

- Wiem, Weroniko, wiem! - mówiła, uśmiechając się 1 do niej. - Ale chcę, żeby w moim domu były jeszcze ładniejsze.

I zaczęło się szukanie, oglądanie, zasięganie rad, kupowanie wreszcie i znoszenie do domu tych wszystkich pięknych rzeczy, które Weronice wydawały się wciąż niepotrzebne, a Wisi śmieszne, sądziła bowiem, że matka, stosując się do mody, pragnie unowocześnić ich mieszkanie, a ona lubiła stare swetry i sukienki i zawsze długo trzeba ją było namawiać, aby włożyła coś nowego. Weronika natomiast miała własną interpretację tego zamieszania, które panowało teraz w domu.

Ujawniła ją właśnie w dniu, kiedy Tereszko miał już wrócić ze swojej miesięcznej prawie podróży, i pani Helena wybierała się wyjechać po niego samochodem na dworzec, wracał bowiem pociągiem z Warszawy, dokąd przyleciał samolotem z Konstantynopola. Wtedy to właśnie, po ostatnich oględzinach zmian zaprowadzonych w domu, Weronika powiedziała, nie kryjąc - po raz pierwszy - tonu akceptacji w głosie:

- Chyba że pani ucieka od pieniędzy...

Pani Helena szukała w szafie rękawiczek i dopiero po chwili odwróciła głowę i spojrzała na nią.

- Co takiego, Weroniko?

- Że ucieka pani od pieniędzy. Teraz wszyscy tak robią.

- Ale cóż znowu! - Pani Helena z trzaskiem zamknęła szafę. Patrzyła bez przychylności na Weronikę, o której mówiło się zawsze, że jest "oddana", i której miało się nigdy nie zapomnieć, że wychowała Wisię i okazywała jej tyle serca. - Co też Weronika wymyśliła?

- Tak wszyscy robią - powtórzyła kobieta. - Właśnie chciałam pani powiedzieć, że trzeba by kupić z pół worka cukru, mąki, kaszy i ryżu. Również trochę czekolady i kakao, żeby Wisia miała. Poza tym kawy, papierosów i tytoniu dla pana, kilka butelek spirytusu, żeby było na wszelki wypadek, spirytus zawsze najlepszy w chorobie, i rany odkazi, i na żołądek pomoże.

Pani Helena rzuciła rękawiczki na stół.

- Zepsuła mi Weronika całą przyjemność.

t25

Kobieta wzruszyła ramionami. ..., ' ', ' '. :^

- Mówię, jak jest. Nie jestem tu od przyjemności, ale od obowiązków i teraz mam właśnie obowiązek pani to powiedzieć: wszyscy ściągają do domu, co mogą. O, i węgla trzeba kupić! Płot będziemy w zimie rąbać? Jakby nie daj Pani& Boże...

- Weroniko!-krzyknęła pani Helena.-Nie chcę tego słuchać! Proszę, proszę, niech Weronika przestanie!

- Mogę przestać. - Weronika, wcale nie urażona, ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się w nich jeszcze na chwilę. - Pani myśli, że jak ja przestanę o tym mówić, to tego nie będzie?

- Nie, Weroniko - odpowiedziała cicho - nie myślę tak. Po prostu nie mogę, nie mogę tego słuchać.

Wbrew temu, co się tu mówiło i o czym się tu milczało, Tereszko wrócił ze świata pełen nadziei. Wyskoczył z pociągu obwieszony paczkami, z kwitem bagażowym w ręku, bo

część z nich musiał nadać na bagaż i od razu - trzymając jeszcze żonę w objęciach - zaczął opowiadać, jak to wszędzie, wszędzie gdzie był, uważano jego zabiegi za zbytek polskiej przezorności, że nikomu na świecie nawet nie śni się o wojnie, więc ta podróż go uspokoiła, a poza tym była to świetna okazja do zakupów, z której oczywiście skorzystał.

- Ach, zobaczysz, co ci przywiozłem! - wołał. - Tobie i Wisi. I Weronice! Oszaleją ze szczęścia moje kobiety! Opalił się, twarz miał wypoczętą, oczy błyszczące - pani Helena z wdzięczności za to, co mówił, jakby na nowo go zobaczyła, i podobał jej się, i chętnie pozwalała się całować wśród tłumu na peronie, gdzie na szczęście nikt się temu nie dziwił.

- Och, moja kochana! - szeptał Tereszko. - Żebyś wiedziała, jak tęskniłem!

- Ja także! - powiedziała, i nie była to tylko uprzejmość wobec powracającego z podróży męża.

- A gdzie Wisia? - zaniepokoił się nagle.

- Wisia w szkole. Zapomniałeś, że dziś koniec roku szkolnego? Powinnam właściwie tam pójść, panie z komitetu rodzicielskiego i dyrektorka mi tego nie wybaczą, ale jednak wołałam przyjść tutaj - powiedziała i uśmiechnęła się z dawną zalotnością.

A Tereszko - Tereszko znowu ją całował, i czekanie na bagaż nie wydawało mu się już tak długie. Przyglądał się żonie ciągle od nowa, była jakby jeszcze piękniejsza niż w chwili jego odjazdu. Ciekawe, myślał, dlaczego znowu tak wypiękniała (zawsze był zdania, że tylko miłość dodaje kobiecie blasku), dlaczego jeszcze wypiękniała, przez ten miesiąc, czekała na mnie i wypiękniała? myślał i mięśnie mu tężały jak wtedy, kiedy się oświadczał i zgniótł w palcach poręcz krzesła, bo nie od razu został przyjęty.

- Dajże ten kwit! - szepnęła wreszcie pani Helena. Docisnęli się akurat do kolejarza wydającego bagaże, a Tereszko jakby zapomniał po co tu stali. - Chyba go nie zgubiłeś?

- Cóż znowu! - powiedział z uśmiechem i wcisnął kwit wraz z napiwkem w dłoń kolejarza. - Po prostu... - pochylił się ku żonie, ściszył głos - zbyt długo na ciebie czekałem. I dziękuję ci, że wołałaś przyjść tu niż do szkoły.

- Wyobrażasz sobie, że mogłabym tam usiedzieć, wiedząc, że już tu jesteś?

- Niech pan wskaże swoje walizki! - przerwał im kolejarz, mimo napiwku niezbyt uprzejmym tonem. Czoło miał złane potem, twarz czerwoną z wysiłku i pośpiechu, bo niespodziewany napór gości z głębi kraju w tegorocznym sezonie zdążył mu się już dać we znaki. - Ta wiśniowa to pana? I ta popielata?

- Tak - potaknął Tereszko.

Kolejarz sprawdził numery i wystawił walizki, Tereszko je dźwignął - wreszcie mógł zużyć na coś swoją siłę - i ruszył ku wyjściu.

- Jesteś samochodem? - zapytał.

- Oczywiście.

- No to prędko będziemy w domu! - ucieszył się. - Bez czekania na taksówkę. Nie masz pojęcia-westchnął znowu

-jak tęskniłem! Za wami wszystkimi. I za domem także!

- Kupiłam trochę nowych rzeczy - powiedziała mimo-chodem, żeby nie zaczął pytać o szczegóły, bo to zepsułoby niespodziankę.

Ale on miał już kluczyki w ręku i nie interesowało go nic poza samochodem. Szybko załadował bagaże i już siedział za kierownicą.

- No to miałaś zajęcie - powiedział tylko.

Nie opuściły go najwidoczniej obawy, które żywił od początku ich małżeństwa. Coś obraźliwego kryło się w tym braku zaufania, ale dziś była skłonna wybaczyć mu wiele - wrócił z tak dobrymi nowinami, nie trzeba już było z życia nic oddawać, wszystko miało pozostać na swoim miejscu.

Czy mogła gniewać się o głupstwa, tak hojnie obdarowana?

- Przez cały miesiąc miałam mnóstwo zajęcia - odpowiedziała pogodnie, choć on myślał już zapewne o czymś innym.

- Teraz sobie odpoczniesz. Mnie się także należy jakiś urlop. Pojedziemy, dokąd zechcesz.

- Ależ ja nigdzie nie chcę jechać - zaprotestowała.

- Co takiego? Nie chcesz jechać? A mówiłaś przedtem...

- Nie, nie chcę - przerwała mu. - Przecież dopiero co wróciłeś. Jak można zaraz mówić o wyjeździe?

- Masz rację. Ale popatrz tylko, ile ludzi podróżuje!

Będzie tego roku piękny sezon nad morzem. Hotelarze i właściciele pensjonatów nabijają sobie kabzę. - Z trudem przepychali się samochodem przez jezdnię, zatłoczoną nie tylko autami i dorożkami, ale i pieszym tłumem, który nie mieścił się już na chodnikach. Warszawski pociąg przywoził zawsze najwięcej letników, a ponadto zbliżało się właśnie Święto Morza.

W domu czekała na nich misa poziomek, którą Weronika wraz z dzbanuszkami śmietany postawiła na wiklinowym stole w najbardziej nasłonecznionym miejscu tarasu. Pachniały już z daleka i miało to być powitaniem powracającego z długiej podróży pana domu. Oczywiście zauważył to od razu i uściskał Weronikę.

- Kości mi pan pogruchocze - piszczała wśród śmiechu kobieta.

- Och, Weroniko! Taki jestem szczęśliwy! Taki jestem szczęśliwy, że wróciłem!

' - Ale po co zaraz ludziom kości łamać? Nałożę panu poziomek, chce pan? Kaszubka z Cisowej przyniosła. Specjalnie zamówiłam na ten dzień.

- - Dziękuję, Weroniko, bardzo dziękuję! Ale najpierw się umyję i rozpakuję walizki. Chcę, żebyście najpierw zobaczyły, co wam przywiozłem. Może Wisia zaraz nadejdzie, i zjemy razem te cudowne poziomki.

Dźwignął znów walizy, paczki i pakuneczki, żeby je zanieść na górę, a pani Helena wykorzystała ten moment i szepnęła Weronice:

- Tylko błagam, moja droga, ani słowa o tym wszystkim...

- O czym? - nie zrozumiała kobieta.

- No... o tych... workach cukru i mąki..., o tym rąbaniu płotu, gdyby nie daj Boże... Ludzi tutaj oblega strach, a pan wrócił ze świata, i nikt tam nie wierzy w wojnę. Nikt,

Weroniko! Naprawdę!

Kobieta poprawiła na stole serwetki.

- Ja nic nie mówię. Co ja mam mówić? A czekoladę i kakao dla Wisi to kupię choćby ze swoich pieniędzy.

- Helenko! - wołał Tereszko z góry.

- Już idę! - odkrzyknęła.

Czekał w drzwiach łazienki, rozebrany do pasa, tracąc rękami mokre piersi.

- Nie przywitałaś się ze mną jak należy.

- Ależ... Wisia może wrócić każdej chwili...

- Nie wróci, proszę cię, nie wróci...

- Ale jednak... I wiesz, że nie lubię tak w pośpiechu...

- Helenko... Cały miesiąc... Cały miesiąc mnie nie było...

A taki pośpiech... taki pośpiech ma czasem swój urok...

Miała urok ta gwałtowność, z jaką brał ją w ramiona, z jaką ją niósł, otwierając pchnięciem ramienia wszystkie drzwi, ku owej chwili niecierpliwej, tak długo oczekiwanej...

5 - Tak trzymać t. II 129

- Telefon do pana! - zawołała Weronika z dołu.

- A niech ją wszyscy diabli! - zaklął Tereszko. I odkrzyknął: - Niech Weronika powie, że mnie nie ma!

- Kiedy już powiedziałam, że pan jest.

- Niech ją diabli! Niech ją wszyscy diabli! - zajęczał.

Dzwonił ktoś z bliskich znajomych, kto go widział na dworcu i ciekaw był wieści ze świata.

- Spokój - odpowiedział mu Tereszko półgębkiem.

- Wszędzie idealny spokój. Opowiem szczegółowo, jak się spotkamy.

- No to good bye!

- Good bye - warknął. - Nie mogła Weronika powiedzieć, że mnie nie ma? - wybuchnął, odłożywszy słuchawkę.

- A czy pan co mówił, że pana nie ma? - odwarknęła Weronika z kuchni. Była aniołem tego domu, ale - nie zaczepiana. Gdy ktoś jednak odważył się nadebrać jej na odcisk, nie mógł liczyć na anielską cierpliwość. - Zawsze pan mówi, że bym odbierała telefony. Że może być coś ważnego. Więc myślałam, że to coś ważnego. Na drugi raz to nawet nie spojrzę, niech sobie dzwoni.

- Ależ już dobrze, Weroniko - wycofał się Tereszko

- przepraszam.

- Niech dzwoni choćby do wieczora - burczała w dal - szym ciągu Weronika. - Ani nie drgnę.

- Powiedziałem: przepraszam.

- Dużo mi przyjdzie z tego przepraszania. Człowieksię stara...

- Ależ ja się też staram - uśmiechnął się Tereszko z przymusem. - Niech no Weronka tylko zobaczy, co Weronice przywiozłem.

Zaczął się rozpakowywanie waliz i oglądanie prezentów, a potem przyszła Wisia ze świadectwem i trzeba było poświęcić temu wydarzeniu odpowiednią chwilę.

Wbiegła - zdyszana od wspinania się po ścieżce, która przez strome zbocze wiodła do domu - i od razu rzuciła się ojcu na szyję.

- Jak dobrze, tatku! Jak dobrze, że już jesteś!

- Pokaż no się! -

wyciągnięcie ramienia. -

czas urosła? .

ojciec odsunął ją od siebie na

Czy :to możliwe, żebyś przez ten

- Na pewno urosła - wmieszała się Weronika.

dwa centymetry! Co dnia ją mierzę w drzwiach.

Całe

- Ale jakby jakoś przymizerniała - powiedział Tereszko, nie przestając przyglądać się córce.

- Pod koniec roku miała dużo zajęć w szkole - wyręczyła Wisię w odpowiedzi matka. - Ale chyba opłaciło się przysiąść trochę fałdów; same piątki?

Wisia przygryzła zębami dolną wargę i zacisnąwszy powieki, aż długie rzęsy położyły się jej na policzkach, potaknęła głową.

- Prawie.

- Co to znaczy prawie?

- Pokaż! - powiedział ojciec. Rozwinął świadectwo zwinięte w trąbkę, żeby się nie pogniotło, i przebiegł oczyma rządkiem ocen. Same piątki! - zawołał.

- Zobacz lepiej - szepnęła Wisia.

- Ach, rzeczywiście! Gimnastyka? Z gimnastyki tylko dobrze? Cóż to jest, Wisiu?

Potrząsnęła warkoczami.

- Nie wiem. Może dlatego, że opuściłam kilka lekcji. Ale miałam zwolnienie.

- Miałas zwolnienie? Dlaczego?

- Zauważyłam - wmieszała się matka - że po gimnastyce wraca bardzo zmęczona. Lekarz powiedział, żeby jej tak nie forsować.

- Byłaś z nią u lekarza? I nic o tym nie wiem?

- Ależ nie rób z tego od razu afery. Wszystko jest w porządku. Może tylko trochę anemii, prawie normalnej w tym wieku. Po prostu za szybko się rozwinęła. Pije teraz żelazo, a podczas wakacji odpocznie. Sam zauważyłeś, że w ciągu miesiąca urosła.

- Panna Halszka mówi - wtrąciła Wisia - że jestem prawidłowo wyrośnięta.

- Kto? - spytali rodzice i Weronika równocześnie.

Wisia dobierała się już do poziomek.

- Panna Halszka. Ta pani od PW. Uczy nas strzelać, zakładać maski przeciwgazowe, szyć poszewki do szpitali i robić bandaże. Podczas wakacji też będziemy to robić.

- Podczas wakacji będziesz odpoczywać! - krzyknął Tereszko. - Co za bzdury! Kto pozwala w ten sposób zawracać w głowach naszym dzieciom? Wysyłają człowieka w misji państwowej, a przez ten czas... - umilkł, nie wiedząc, jak zakończyć to zdanie.

Wisia tymczasem posypywała już poziomki cukrem i lała na nie śmietanę.

- Tak trzeba, tatku - powiedziała całkiem spokojnie.

- Zapisywali w PW-u na kurs sanitariuszek, to się zapisałam.

- Jutro tam pójde! - rozsierdził się Tereszko. - Pójde tam od samego rana! Powiem im, co myślę o angażowaniu dzieci do takich spraw, o zwalaniu na nie obowiązków...

- Ależ ja chcę! - zawołała Wisia. - Tatusiu! Ja chcę!

Sama się zgłosiłam.

- A pytałaś się w domu, czy możesz?

Podniosła na rodziców swe ogromne, zdumione oczy.

- A czy o to trzeba się pytać? Wszystkie harcerki się zgłosiły i żadna się nie pytała. Julitka Grabieniówna...

- Julitka Grabieniówna... - powtórzyła matka.

- Zośka Grabowska, Janka Petke, Zdziśka Paniulis...

Wszystkie.

- Ale ty... słyszałaś przecież, co mówiła mama, masz anemię...

- Wszystkie mają anemię - przerwała Wisia. - Może tylko Julitka Grabieniówna nie.

- A nie poszliby państwo na plażę? - wmieszała się Weronika. - Słońce piecze, a do obiadu jeszcze godzina.

- Na plażę? - powtórzył zaskoczony tą propozycją Tereszko, ale zaczynało mu się to już podobać.

- A dlaczego nie? - zachęcała Weronika. - Nie mówiłabym tego, gdyby było daleko, ale że tak blisko... szkoda dnia nie wykorzystać.

- Chodźmy, tatku! - wołała już Wisia. - Chodźmy!

- Pójdiesz także? - spytał Tereszko żonę.

- Oczywiście - powiedziała pani Helena.

Przez moment miał jej chyba to za złe, że zgodziła się tak od razu, że nie pomyślała o tej chwili, którą przerwał im telefon, a którą można było przywrócić... Nie, nie można było jej przywrócić, sam to widział. Wisia wpatrywała się już w rodziców roziskrzonymi oczyma, należała się jej jakaś przyjemność w tak uroczystym dniu jak dzień zakończenia roku szkolnego i powrotu ojca do domu z podróży.

Poszli więc we troje na plażę i od razu zanurzyli się w hałaśliwy tłum, manifestacyjnie beztroski i wakacyjny, choć wakacje zaczynały się dopiero tego dnia. Powietrze miało gorzką woń wyrzuconych przez morze na brzeg i schnących teraz w słońcu wodorostów, zmieszana z drogerijnym zapachem kremu nivea. Och, jak dobrze! myślała pani Helena, pozwalając, aby mąż i córka smarowali ją tym kremem od karku po pięty. Jak dobrze! Jak cudownie! Leżała wyciągnięta na kocu, z czołem opartym o dłoń, i poddawała się tym zabiegom, które pielęgnując ciało, prawdziwą terapią były także dla duszy. Znowu było tak, jak lubiła: oni obydwój, małe własne życie, przylegające łagodnie do takiego samego życia innych, komórka w ogromnym plastrze miodu, wypełniona słodyczą...

- Pójdę, mam - zaczęła szeptem Wisia. - Śpisz?

Powiedz, czy mogę? Ojciec nie chce zabrać mnie do wody bez twego pozwolenia. Ale przecież jest ciepło! I już dawno po świętym Janie!

- Ależ idź do wody, córeczko - odparła pani Helena.

- Weź ją ze sobą - powiedziała do męża. - Tylko uważaj! Uważajcie oboje!

Odwróciła się na wznak i patrzyła, jak biegną obydwój ku morzu - wysoki i silny mężczyzna i ten smukły i lekki żrebaczek, jakim była Wisia przed przeistoczeniem się w dziewczynę i w kobietę. Może z kim innym nie miałabym tak pięknej córki? pomyślała. Może tylko jego miłość mogła dać życie temu czułowemu wdziękowi, jaki był w Wisi, czyniąc ją tak niepodobną do jej rówieśnic? I to osadzenie głowy na

wysokim karku, i tę smukłą długość nóg... A jednak ta myśl nie była przyjemna. Jakby grzesząca przeciwko czemuś...

- Ależ tutaj! - powiedziała dziewczynka ściszonego głosem. - Obok mamy!

Opalona na złoto dziewczyna już ją jednak usłyszała.

Otworzyła oczy. Skinęła Wisi przyjaźnie ręką.

- Jak się masz? Dopiero coś się rozstały.

- Ach, to pani! - powiedziała pani Helena. Nie wiadomo dlaczego jakby się zatrwożyła. - To pani - powtórzyła ciszej.

- Moja mama - przedstawiała Wisia. - I mój tatko.

Właśnie dziś mówiłam... to jest... -zarumieniła się-wspominałam o naszym szkoleniu... że i podczas wakacji...

- A to dobrze, że panią widzę - powiedział Tereszko. Przestał wyciskać wodę z wełnianych kąpielówek, które opinały mu muskularne uda. - Bo się nawet wybierałem...

- Tatku - szepnęła błagalnie Wisia.

Ale panna Halszka nie wyglądała wcale na speszoną.

Przechyliła na bok swą śliczną głowę i nawet uśmiechnęła się leciutko.

- Słucham - powiedziała. - Słucham.

- Czy to nie za wcześnie zawracać takim dzieciom głowę jakimiś... jakimiś... - Tereszko szukał jakiegoś słowa mniej obraźliwego niż to, które cisnęło mu się na usta - nieodpowiednimi dla nich sprawami? Strzelanie! Maski gazowe! Bandaże! Co jeszcze?

Dziewczyna słuchała tego cierpliwie, z niewymuszoną uprzejmością.

- Zawracać głowę oczywiście za wcześnie, i nikt by się na to nie odważył - powiedziała, dopuszczona wreszcie do słowa.

- Sama pani to przyznaje! - zatriumfował Tereszko.

- Tak. Ale my nie zawracamy głowy. My najzupełniej poważnie szkolimy nasze dziewczęta, aby nie zaskoczyło ich to, co je prawdopodobnie czeka.

- Ależ proszę pani... - zaczął Tereszko pobłaźliwie.

- Przepraszam - przerwała mu panna Halszka - czy jest pan gotów zastąpić nasze działanie na przykład odpowiednim instruktążem w domu? Czy nauczysz pan swoją córkę strzelać, czołgać się, żeby wróg jej nie spostrzegł...

_ Do diabła! - krzyknął Tereszko, tracąc już panowanie nad sobą. - Od tego są żołnierze!

_ Żołnierzy może zabraknąć - powiedziała spokojnie dziewczyna. - A poza tym... skąd pan wie, jaka to będzie wojna?

_ Właśnie - szepnęła wpatrzona w nią Wisia. - Skąd wiemy, jaka to będzie wojna?

_ Cicho bądź! - zgromiła ją matka.

_ Może będzie taka - ciągnęła dalej panna Halszka - jak dotychczasowe zachowanie wroga: podstępna i, choć Niemcy spodziewają się czegoś innego, długotrwała?

_ Przede wszystkim wcale jej nie będzie! - zaciętrzewił się Tereszko.

Halszka spuściła głowę.

_ Bardzo bym chciała, żeby miał pan rację. Żeby cała moja praca okazała się niepotrzebna. Ale przecież...

_ Ale przecież...? - powtórzyła za nią pani Helena.

- ...może zdarzyć się inaczej.

- Nie będę się z panią spierał. - Tereszko sięgnął po ręcznik i wytarł nim plecy Wisi. - Tak czy siak, wolałbym, żeby moja córka nie miała z tym nic wspólnego.

- Ależ dlaczego? - zawołała Wisia, dotknięta boleśnie.

- Zapraszam panią na obiad! - wmieszała się nagle pani Helena. - Mieszkamy bardzo blisko stąd, nawet będzie pani mogła po obiedzie wrócić na plażę. Podczas obiadu - uśmiechnęła się z lekkim zażenowaniem, jakby przepraszając za nieuprzejmość swego męża - będziemy mieli okazję uzgodnić nasze poglądy.

- Doprawdy... - zmieszała się dziewczyna - nie jestem przygotowana... Może innym razem...

- Cóż to znaczy: nie przygotowana? W lecie i w pobliżu plaży każdy strój jest dobry. Bardzo prosimy.

- I ja proszę! I ja! - zawołała żarliwie Wisia.

W chwilę potem, gdy prowadząc pannę Halszkę pod górę ku domowi, wyprzedziła ich o kilka kroków, Tereszko mruknął do żony.

- I po cóż to zaproszenie? Pierwszy obiad w domu po tak długim czasie mam sobie psuć...

Pani Helena chwyciła go za rękę.

- Chcę z nią porozmawiać. Nie zorientowałeś się jeszcze, jaki ma wpływ na Wisię? Zjawia się nagle ktoś - dodała po chwili cicho -- i zabiera nam dziecko.

- Co za bzdura! - parsknął Tereszko. - Co za bzdura!

- Bardzo cię proszę! - szepnęła. - Bardzo cię proszę, staraj się opanować.

- Dobrze - machnął ręką. - Postaram się. Ale jadąc pociągiem, przez cały czas myślałem, jaki piękny czeka mnie dzień...

- Kochanie!

- Nie, nie, nic nie powiedziałem. Przepraszam.

Wbrew przewidywaniom nastrój przy stole panował przyjemny. I Tereszko, i gość zdołali opanować chęć kontynuowania drażliwego tematu, mimo że było to celem zaproszenia. Panna Halszka zaczęła opowiadać o swojej pracy w Polskiej Radzie Sportowej w Gdańsku, co zajęło nie tylko Wisię. I Tereszko zaczął patrzeć na nią przychylniejszym wzrokiem, zwłaszcza gdy się okazało, że pracownica tej instytucji nie tylko sportowe ma zadania, ale że jej celem głównym jest przede wszystkim walka o język polski wśród tonącej w morzu niemczyzny Polonii, i to zarówno w samym Gdańsku, jak i na terenie wsi należących do Wolnego Miasta.

- Ale są przecież szkoły Macierzy Polskiej - wtrąciła pani Helena, przypominając sobie, jak namawiała Krzysztofa Grabienia, gdy w Gdyni nie było jeszcze gimnazjum, żeby maturę zdawał w Gimnazjum Polskim w Gdańsku.

- Są - przytaknęła dziewczyna - ale nie we wszystkich wsiach. Wystarczy poza tym, żeby gdzieś hitlerowcy zastraszyli ojca Polaka i nakłonili go do zabrania dzieci ze szkoły, a już szkoła zostaje zamknięta na skutek braku przepisowego minimum uczniów. Mieliśmy właśnie taki wypadek w Wielkich Trąbkach, w Gross Trampken, jak oni teraz tę wieś nazywają.

- I co? - spytała Weronika od drzwi. Przyniosła sobie

z kuchni stołek, żeby móc uczestniczyć w tej rozmowie.

Zainteresowały ją jej urywki, gdy podawała do stołu.

- I nic - uśmiechnęła się do niej panna Halszka. - Po kilku naszych rozmowach z ojcem tych dzieci udało nam się go przekonać, tak że zabrał je z niemieckiej szkoły, i nasza można było znowu otworzyć.

- Uszło mu to na sucho? - spytał półgłosem Tereszko.

- W Wolnym Mieście Polakom nic na sucho nie ucho-

dzi. Ale ludzie się nie boją. Mają swoją pieśń, która kończy się słowami: "Orężem i krwią paragrafy spiszemy..." Krwi jeszcze nie ma, choć zdarzają się już pobicia i inne szykany, ale paragrafy traktatu wersalskiego, które odebrały Polsce Gdańsk, zmazywane są co dnia właśnie przez to, że się w Wolnym Mieście mówi po polsku, że się po polsku śpiewa, modli, tańczy, że nie wygasają tam polskie obyczaje i polskie nadzieje. A sport - dziewczyna błysnęła uśmiechem ku Tereszce - o sporcie się także nie zapomina. Choć jest to przeważnie chodzenie. Ileż to już kilometrów przeszły pieszo dziewczęta z PWK, ściągnięte do Wolnego Miasta z Poznania i Torunia, żeby organizować w gdańskich wsiach polskie ogniska, pokazywać jasełka...

- To i w zimie wędrujecie pieszo? - zapytała ze zdumieniem Weronika.

- Jak się da. Czasem jakaś dobra dusza podwiezie furmanką. Ale nigdy się nie wie, czy się trafi akurat na Polaka. Czasem niemieckie dzieci witają nas kamieniami i wyzwiskami. Jak na przykład w Piekle.

- Gdzie? - spytała znowu Weronika, ledwie pokonawszy chęć przeżegnania się od uroku.

Panna Halszka ponownie się do niej odwróciła.

- To taka wieś na południowo-wschodnim krańcu Wolnego Miasta. Spotykają się w niej, w rozwidleniu Wisły i Nogatu, trzy granice: Wolnego Miasta, Polski i Prus Wschodnich. Tam Polacy przeżywają prawdziwe piekło, także i dzieci, bo ich niemieccy rówieśnicy spokoju im nie dają. Widzi pan - powiedziała do Tereszki - a pan uważa, że nasze dzieci powinniśmy zostawić bezbronne. Ze nie powinny nawet wiedzieć, na co się zanoszą.

Tereszko podniósł obie ręce w geście kapitulacji.

- Poddaję się, poddaję się i przepraszam.

- Och, mniejsza o to - roześmiała się dziewczyna.

- Nie dlatego to powiedziałam. Długo zastanawialiśmy się nad tym, czy naszą akcją przysposobienia wojskowego objąć także harcerstwo, nie zuchów jeszcze, choć w Wolnym Mieście już i małe pimpfy noszą noże i umieją obchodzić się z bronią, ale przynajmniej starsze roczniki; i doszliśmy do wniosku, że to konieczne. I nie tylko dlatego, że oni to robią.

- Przepraszam - powiedział jeszcze raz Tereszko.

Ale pani Helena nie chciała poddać się tak łatwo. Przez cały czas patrzyła na Wisłę, która z wypiekami na twarzy chłonęła każde słowo tej dziewczyny. Jakiś strach przyplątał się jej do serca, uderzył w nie, zatrwożył. Dopiero jednak wieczorem - bo nie puścili już panny Halszki na plażę

- kiedy odprowadzali ją we trójkę na dworzec, znalazła odpowiedni moment na osobną rozmowę. Męża puściła przodem z Wisłą, a sama, ujawszy pannę Halszkę pod rękę, zwolniła kroku.

- Niech pani jednak tego nie robi - powiedziała cicho.
- Czego... czego mam nie robić? - spieszyła się dziewczyna.
- Niech pani nie wciąga Wisi... w te sprawy. Widziała pani, jak ona, jak ona panią słucha? Jak połyka każde słowo?
- Widziałam. Wszystkie tak słuchają, kiedy się do nich mówi. I nie jest ważne, kto mówi, tylko c o mówi.
- Ale ja się tak o nią boję - szepnęła pani Helena.
- Tak się boję... I dlatego proszę panią, proszę jak matka... Dziewczyna przystanęła, łuna rumieńca buchnęła jej na twarz. Pani Helena doznała przykrego nad wyraz uczucia, że zawstydziła ją swym upokorzeniem. Ale powtórzyła jeszcze raz:
- Proszę! To jeszcze dziecko! I taka słaba. Nawet z gimnastyki ma tylko dobrze. Lekarz twierdzi, że to anemia. Jeśliby teraz te... wzruszenia... te...
- Rozumiem, że się pani boi - powiedziała dziewczyna, lecz powieki miała spuszczone, i pani Helena nie widziała jej oczu - rozumiem. Ale gdy się słyszy ich marsz, gdy się słyszy, jak śpiewają "heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt", pragnie się przygotować każde polskie dziecko, żeby było zdolne poderwać się z granatem w rękę i rzucić go im pod nogi. Pani jeszcze tego nie słyszała?
- Nie - szepnęła pani Helena. Zaczynała rozumieć, że przegrała.
- To niech pani pojedzie do Gdańska. Trzeba to zobaczyć i usłyszeć.
- Ale mąż mój wrócił dziś z długiej podróży po Europie, i nikt tam nie wierzy w wybuch wojny.
- Oni tam nie czują się jeszcze zagrożeni - powiedziała dziewczyna krótko. - W polityce liczy się tylko własne zagrożenie. Wszelkie pakt są nadzieją przedszkolaków na darowaną czekoladkę. Ale nikt już nie daje niczego za darmo. I bez powodu. Proszę mi wybaczyć, jeśli panią uraziłam.
- Ależ nie. Robi pani to, co do pani należy - szepnęła pani Helena z rezygnacją.
- I co uważam za słuszne - dodała panna Halszka.
- A co do Wisi... - teraz ona ujęła panią Helenę pod rękę i skierowała się z nią w stronę dworca - przyrzec mogę tylko jedno: że nie będę zbyt rozpalać jej wyobraźni. Dziewczyna jest rzeczywiście wyjątkowo wrażliwa...
- Wyjątkowo - szepnęła pani Helena, znów z niemiłym uczuciem, że się upokarza i że tamtą wprawia to w zakłopotanie.
- Ale podczas wakacji i tak nie będziemy się widywać. Ja jadę na swój obóz pewiacki, a harcerki z chorągwi gdyńskiej mają się tylko meldować w tutejszym Hufcu Morskim PWK.
- Meldować się... - powtórzyła pani Helena. Przerażały ją te wyrażenia, które zaczynały się już wkradać do potocznego języka.
- Powiedzmy to inaczej - próbowała złagodzić swoje słowa panna Halszka - zachowują łączność z tutejszym PWK-. I - uściśnęła pani Helenie rękę - niech się pani tak nie boi. Ja wiem, boimy się wszyscy, ale już powiedzieliśmy światu, że się nie boimy. Austria się przestraszyła i Czechy.

Ktoś się wreszcie musi z nimi bić. Ktoś to musi zacząć.

- Akurat my?

- Bo najwięcej mamy do stracenia. Bo mamy do stracenia wszystko - powiedziała dziewczyna po bardzo długiej chwili.

Kiedy wsiadła do pociągu i wychyliła się ku nim z okna, pani Helena pomyślała po raz drugi, że jej kogoś przypomina, że już ją chyba kiedyś widziała, a może tylko... może tylko jawiła jej się w wyobraźni taka postać, gdy zaczynała się bać, że Wisia i inne dzieci za nią pójda, że któregoś dnia za nią pójda, nie słuchając już swoich matek, dorosłe nagle i samodzielne.

Pociąg drgnął i ruszył, twarz panny Halszki przepłynęła przed nimi wolniutko, zaczęła się oddalać, niknąć.

- Co to jest? - szepnęła pani Helena do męża, opierając się ciężko na jego ramieniu. - Chyba boję się jej i... jakbym nie mogła jej czegoś wybaczyć.

- Wybacz jej - powiedział Tereszko cicho.

Po tym dniu wieczór, który nadszedł, nie był, nie mógł już być tamtą chwilą przerwana rano.

Zbliżenie, do którego się niejako czuli zobowiązani po tak długiej rozłące, nie miało już w sobie nic z owej niecierpliwej gwałtowności, tak miłej kobietom, choć się do tego nie przyznają nawet przed sobą. Było w nim coś prawie z kurtuazji, obraźliwej niemal kurtuazji.

Obydwoje czuli się skrępowani tą nieszczerością, ale skrywanie jej jeszcze bardziej ją uwidaczniało. Tereszko, który zawsze był żywiołem i nie kalkulował swoich przeżyć, teraz nie mógł pozbyć się dokuczliwych myśli. Cały dzień ułożył się inaczej, niż to sobie wyobrażał. Walił się oto w gruzy świat, w którym był mężczyzną, w którym mógł przeciwstawić się każdej sytuacji. Już nawet własne lędzwie były mu nieposłuszne, już nie mógł nakazać sobie skupienia, które czyni z miłości akt strzelisty, nie lubił, nienawidził pospolitego walenia się między uda kobiety. Powinien był jej pozwolić zasnąć, pozostać czymś więcej niż kobietą: matką, niezdolną do innych uczuć poza obezwładniającym lękiem o dziecko. Nie uszanował tego, nie uszanował także i swego lęku - bo to było właśnie to: po raz pierwszy w życiu zaczynał się bać, i źle usiłował z tym walczyć.

- Kochanie! - szepnął w poczuciu winy. - Nie powinniśmy.. Cóż to za dzień!

- Cicho, cicho... Staraj się zasnąć.

- Staram się. A ty?

- Ja także.

Kłamała. Wiedziała, że nie zaśnie. Z dołu, z nadmorskiego bulwaru, dochodził przez otwarty balkon czyjś śmiech, strzęp jakiejs piosenki. Na zatoce stały oświetlone okręty, raz po raz blask rakiety rozdzierał ciemne niebo. Główne uroczystości Święta Morza wypadały dopiero jutro, ale już tej nocy dokonywano jakby próby iluminacji. Noc była pogodna i ciepła, tak jak ciepłe są nad morzem noce tylko u schyłku czerwca, pozwalające wierzyć przybyszom z głębi kraju, że nie oddalili się od swoich stron zbyt daleko na północ. Gdzie mnie tu przygnało? myślała. Może tam na południu było teraz bezpiecznie, może tam nigdy nie dotrze tutejszy, nadgraniczny strach? Wisię można by było uchro-

nić, myślałaby tam jeszcze o lalkach, a nie o maskach przeciwigazowych i szyciu poszewek dla szpitali. Tereszko zaś dłubałby w ziemi i szukał nafty zamiast włóczyć się po świecie w poszukiwaniu okrężnych dróg dla sojuszniczej broni.

Łagodny wiatr zakołysał sosnami w ogrodzie, poruszyły się firanki, i do pokoju przeniknęła woń igliwia i żywicy - aromat nadbałtyckich wzgórz.

Nie, pomyślała, nie będę jeszcze myśleć o bezpiecznych miejscach. Jeszcze to jest bezpieczne, tyle tu się przeżyło, tyle tu się władowało uczucia; jakby to był cement, barykady by można było z niego wznieść, zbudować fortyfikacje, umocnić się betonowymi liniami nie do zdobycia. A może to był cement, pomyślała, może to jednak był cement...

Tereszko zaczynał już pochrapywać, z twarzą wtuloną w jej włosy, rozsypane na poduszce. Lubił, gdy rozplatała je do snu, bawił się nimi, zanurzał w nie palce, a dziś nawet ich nie dotknął. Zasnął jednak z twarzą w ich ciepłe, i dopiero to ich naprawdę tego dnia połączyło.

Nawet nie zapytał, czy go nie zdradziłam? pomyślała z rozczuleniem. Zawsze o to pytał, gdy wracał z podróży. Wciąż mu się zdawało, że oblegają tłum zagubionych na tej nadmorskiej pustyni mężczyzn, mężczyzn, dla których była ratunkiem i nadzieją, tak jak ratunkiem i nadzieją stała się któregoś wieczora dla niego...

Tak, o tym właśnie trzeba myśleć, ucieszyła się; ucieszyła się, że zaczęło się to jej wreszcie udawać. Była kobietą, kobietą przede wszystkim, jeszcze się oglądano za nią na ulicy, jeszcze wracano do niej z tęsknotą. Trzeba się tylko starać to zatrzymać, nie pozwolić, żeby coś ją zwyciężyło tak jak dziś. Nie zapytał, czy go nie zdradziła... Nie był gwałtowny, brutalny, niesprawiedliwy. Całował ją tak, jakby wyrażał jej współczucie. I z takim samym współczuciem oddawała mu pocałunki.

Więc nie zapytał o to, o co zawsze pytał. I nie mogła mu odpowiedzieć jak zwykle: skąd te podejrzenia! W końcu nie było ich tak wielu, tych mężczyzn w jej życiu - przed nim tylko dwóch - ale o tym nie mówiła już na głos, o tym tylko myślała, leżąc w ramionach tego, który pozostał, który miał być ostatni. Dwóch... Ten pierwszy, do którego nie było złej drogi przez wojenne wertepy Galicji, i Lebrac, śmieszny, zapłakany przy rozstaniu Lebrac... I może jednak ten trzeci, którego właściwie liczyć nie należało, bo nie zbliżyli się nigdy do siebie, nawet jednego pocałunku nie było między nimi, ale właśnie dlatego nie stał się jeszcze wspomnieniem...

Gdyby go wtedy zaprosiła - tego dnia, kiedy padał deszcz, a on musiał pilnować kładzenia dachu nad werandą - gdyby go wtedy zaprosiła do pokoiku za kuchnią, może mogłaby o nim myśleć tak spokojnie jak o Lebracu?

Co teraz robił, oddalony od niej zaledwie o parę ulic? Czy spał, czy trzymał w ramionach tę swoją dobrą, wierną kobietę, która nie знаła innych mężczyzn? Sądził kiedyś zapewne, że to wystarczy na dumę całego życia. Ale skąd można wiedzieć, co wystarczy na dumę całego życia? Skąd to, na Boga, można wiedzieć?

Tereszko się poruszył, zamruczał przez sen. Poczuła się winna wobec niego za te myśli sprzed chwili, naciągnęła

kołdrę na jego nagie plecy i ostrożnie, żeby go nie zbudzić, odsunęła się od niego i wstała. Zajrzała do pokoju Wisi, posłuchała, czy śpi, dotknęła ręką jej czoła. Było chłodne. Uspokojona tym, wróciła do sypialni, szerzej otworzyła drzwi balkonu, ale cała nastawiona była na słuchanie wnętrza domu, a nie tego, co działo się poza nim. Zegar na dole wydzwonił połowę jakiejś nocnej godziny, uderzenie zabrzmiało jak plusk, jak opadnięcie dźwięku w ogromny staw nocnej ciszy.

Źle umocowany pod dachem domek dla kosów skrzypiał cichutko, ocierając się o belkę. Usłyszeć to jeszcze jutro, myślała, pojutrze, zawsze...

Stała na progu balkonu, odetchnęła rzeźwym powietrzem. W dole na bulwarze wciąż jeszcze wrzało nocne letnie życie. Ktoś idąc grał na gitarze, melodia zbliżała się z dalekiego mroku, a potem w dalekim mroku przepadła. Za Basenem Prezydenta port podpalał horyzont wszystkimi światłami, noc kończyła się na ich granicy; trwała za nią praca jak za dnia, przy wszystkich kranach i dźwigach, przy węglowym taśmociągu. Jutro, pomyślała, Adam rozpowie wszystkim szeroko, co słyhać na świecie, i z biura do biura, z magazynu do magazynu, z nabrzeża na nabrzeże potoczy się ta wieść oczekiwana, że tam nikt nie spodziewa się wojny, że tam nikt w nią nie wierzy.

Pokrzepiła ją ta myśl, dodała otuchy, wprawiła prawie w uniesienie. Dopiero teraz wypełniło ją prawdziwie kobiece uczucie - uczucie dumy, że to właśnie jej mąż został wybrany do tak odpowiedzialnej funkcji państwa i stwowej i że oto wrócił, po spełnieniu jej, przywożąc dobre, przez wszystkich oczekiwane wiadomości. Uwierzyć w nie! myślała. Zaczarować, żeby stały się prawdą! Przemienić w rzeczywistość! Tej dziewczyny, której się bała, nigdy tu nie było, nie mówiła nic, nie wstrząsnęła nadzieją. Tak trzeba było myśleć, tego się trzymać, trzymać z całej siły.

Odwróciła się, żeby spojrzeć na męża, jakby on mógł ją w tym umocnić i wesprzeć, i nagle - w jednej chwili rozpadło się wszystko, roztrzaskało się jak rażone gromem: po raz pierwszy pomyślała, że mogłaby utracić i jego.

VII

- Dziadziu - mówił Tomaszek, siedząc na ławce przed starym domem Bernarda Konki - wcale mi się nie chce iść do domu.

Zdjął koszulę i wystawił białe jeszcze plecy na słońce, na największy blask i żar lipcowego dnia. Dziadek wiązał sieci, które mu przynosili rybacy bardziej dla jego rozrywki niż po to, aby im pomagał. Wczepił palce w motaninę stwardniałych od morza sznurów i nie od razu się odezwał.

- Dziadziu - powtórzył Tomaszek sennie - wcale mi się nie chce iść do domu.

- To nie idź - powiedział stary.

- Ale babcia będzie krzyczeć, jak nie przyjdę na obiad.

- A tak się jej boisz? - bąknął Konka niby żartobliwie.

- O, bardzo nie lubi, jak nie przychodzimy na obiad.

- Ona powinna być w wojsku - mruknął Bernard do siebie. - Tam by się najlepiej przydała jej akuratność.

- Co dziadzio mówi?

- Ech, nic. Tak sobie mruczę do siebie. Słońce bardzo piecze. Uważaj, żebyś sobie pleców nie spalił.

- Nic jeszcze nie czuję.

Tomaszek, "cały Augustyn", jak z lubością zwykła mówić o nim babka, rzeczywiście przypominał Augustyna z jego lat chłopięcych, i choć wtedy Bernard - starszy o dwa lata - nieraz go lał i poszturchiwał, teraz podobieństwo stryjecznego wnuka do zmarłego brata napełniało go również dumą i tkliwością. Przyszedł skądś ze świata, myślał o mężu Łucki, a dzieci po nim kaszubskie, aż się serce rozgrzewa, gdy się na nie patrzy, płowe jak piasek nad brzegiem i mocne jak sosny, które na przekór wszystkim wiatrom go się trzymają. Może Julitka bardziej do ojca podobna, ale Tomaszek - cały Augustyn.

- A może zjesz obiad z dziadkiem? - zapytał prawie czule.

- A lanie dziadek za mnie odbierze?

- O, to byłoby aż lanie?

- A co? W dodatku ścierką.

- Jak to ścierką?

- Ścierką! - Tomaszek aż zacisnął powieki z obrzydzenia. - Taką mokrą. I tłustą.

- To już kija nie ma u was w domu?

- Nie. A może i jest. Ale babcia woli ścierkę.

Konka ledwie poskromił wesołość.

- To upokarzające dla chłopaka, jak go biją kuchenna ścierką, prawda?

- Żeby to było bicie - Tomaszek wstrząsał się wciąż z obrzydzenia. - Ale babcia to zajędzie tą ścierką koło nosa, albo trzepnie po głowie, i już wie, że mamy za swoje. Julitka się tego boi jeszcze więcej niż ja.

- No to co - powiedział dziadek - to musisz iść. Nie ma rady.

Tomaszek naciągnął koszulę. Jego jasna skóra zaróżowiła się już od słońca.

- Jak są wakacje - mruczał - to i z obiadem nie powinno być tak jak zawsze.

- Ale jednak jeść trzeba, wakacje nie wakacje.

- Wie dziadzio co? - zawołał chłopak nagle. - A może ja bym w ogóle przez wakacje mógł być tutaj?

- Gdzie?

- No tu, u dziadzia. Inni chłopcy pojechali na obozy harcerskie, a mnie babcia nigdy nie chce puścić.

- A do mnie cię puści?

Tomaszek się zasępił.

- Bo ja wiem? Będzie się od razu bała, że ucieknę dziadkowi, pójdę sam na plażę, będę się kąpał i zaraz się utopię.

- Ale ty byś nie uciekł i nie poszedł sam na plażę?

- Nie, dziadku, słowo!

- No to... może byśmy porozmawiali o tym?

- Z babcią? - spytał bez cienia nadziei Tomaszek.

- Najpierw z mamą. A jak się mama wstawi u babci...

- Och, to by było dobrze - szeptał Tomaszek, zaglądając dziadkowi w oczy. - To by było dobrze. Bawilibyśmy się w stary dom.

- Co to znaczy: bawilibyśmy się w stary dom? Przecież on tu jest, nie musimy się w niego bawić.

- Jest - powiedział Tomaszek zmieszany - ale nie ze wszystkim taki jak dawniej. Opowiadałbyś mi, jak dziadek Augustyn był mały i jak pradziadek brał was razem na łódź, i kiedy było jeszcze ciemno, płynęliście po rybę... To by była zabawa w stary dom...

Tomasz Konkka, myślał Bernard z dumą. Najmłodszy

i - gdy on zemrze -jeden z ich rodu. I choć płynęła w nim także krew nietutejsza, tutejsze miał myśli i tutejsze uczucia.

- Tak - powiedział cicho. - Opowiadałbym ci o tym wszystkim. Bo już przyszedł czas, żebyś wiedział i zapamiętał.

Wstał, wszedł do domu, umył ręce w miednicy na wiklinowym stojaku i sięgnął po marynarkę.

- Po co dziadzio zakłada jaczkę? - zdumiał się Tomaszek.

- Przecież idę z tobą. Jakże na ulicę wyjść bez jaczki?

- Idzie dziadzio ze mną? Ale mamy nie ma jeszcze w domu.

- To i dobrze. Pójdziemy po nią do biura. Zaraz będzie wychodzić. Powiemy po drodze o twoich wakacjach w starym domu Konków, w tym starszym, bo ten, który wybudował dziadek Augustyn, jest o wiele młodszy. Nie mieszkało w nim tylu Konków co tutaj. - Bernard przygarnął na chwilę Tomaszka do siebie i ścisząc głos, powiedział do niego z bliska: - A teraz dusze ich wszystkich gnieżdżą się na strychu.

- Och, dziadziu! -przestraszył się Tomaszek.

- Nie trzeba się ich bać. Twój ojciec spał tam przy kominie - nieraz mi mówił, że to były najszczęśliwsze chwile w jego życiu - i nie bał się ich, potrafił się z nimi żyć lepiej niż z żywymi. Bo żywych czasem życie złem opęta, a tamci przechowują w sobie tylko dobro, żeby mieć czym obdarowywać tych, którzy im wierzą.

Tomaszek mrugał powiekami, niewiele rozumiał z tego, co mówił dziadek, ale myśl o wakacjach w jego domu wydawała mu się bardzo nęcąca.

- I powiemy to wszystko mamie, żeby się zgodziła?

- To wszystko właśnie powiemy mamie.

Tak więc szli razem do portu ręka w rękę, dziadek Bernard i jego stryjeczny wnuk Tomasz, drugi z żyjących Konków i, jak Bóg da, nie ostatni. Nie ostatni. Miał dopiero trzynaście lat, brodę jeszcze miękko zarysowaną, jak u dziecka, a jak to miło było z nim iść, z tym knopem niedorośliwym, z tym gówniarzem zasmarkanym, w którym było tyle nadziei.

Dziadek mocniej ścisnął go za rękę i przyśpieszył kroku.

- A jak mama się nie zgodzi - szepnął Tomaszek - to poprosimy ojca. Na pewno pamięta jeszcze, jak spał u dziadka na strychu. Sam dziadek przed chwilą powiedział...

- Mama się zgodzi - uśmiechnął się dziadek. - Konkówna przecież wie, czego człowiek musi się nawdychać, żeby mieć siłę do życia.

Gdy zaszli do portu, ludzie wychodzili właśnie z pracy. Zatrzymali się wobec tego przed firmą Łucki i czekali na nią w niecierpliwym podnieceniu, Tomaszek - bo był tu po raz pierwszy, Bernard - bo to, co zamierzył, wydało

mu się najważniejsze w życiu. Łucka jednak się nie zjawiła, już chyba wszyscy opuścili biuro, a jej wciąż nie było widać.

- Co się stało? - zmartwił się Bernard. - Poszła dziś mama do pracy? - spytał Tomaszka.

- Poszła.

- Wiesz na pewno?

- Wiem. Nawet ją z/drugim śniadaniem goniłem po schodach, bo zapomniała zabrać.

- No to może wyszła wcześniej?

- Chodźmy zapytać - niecierpliwił się Tomaszek. -

Chyba tam ktoś jeszcze jest? Zobaczymy, gdzie mama pracuje i przy jakim siedzi biurku.

Bernarda ogarnęło onieśmienie. To, że jego bratanica pracowała w biurze, i to w nie byle jakim, ale w biurze firmy zajmującej się z ramienia kilku koncernów węglowych przeładunkiem eksportowego węgla, było dla niego zawsze źródłem dumy i najwyższej życiowej satysfakcji. Już kiedy pchał ją przed oczy panu Lebracowi, który najpierw zatrudnił ją w laboratorium badania cementu, wiedział, że na Łuccie ludzie się poznają, że nie będzie przez całe życie stać przy kuchni i gary osmolone szorować. I to, że tak się stało, że Łucka pracowała dziś w biurze, wydawało mu się już dostateczną łaskawością losu. Nie trzeba było tego losu wyzywać wciskaniem się w jej świat, szukaniem w nim jeszcze miejsca i dla siebie. Może Łucka zawstydziliby się, gdyby musiała go przedstawić swoim kolegom czy przełożonym... Stryjek pani Grabieniowej, której kroi się awans na prokurenta firmy, zgarbaciały od noszenia sieci, jakby stale nachylony ku wiosłom - jakże takiego przedstawić panu dyrektorowi i nie zarumienić się przy tym?

- Idź sam - powiedział do Tomaszka cicho. - Ja tu poczekam.

- Sam? - speszył się chłopiec.

- No to co takiego? Przecież cię tam nie zjedzą!

- To dlaczego dziadzio nie chce iść?

- A po co od razu zbiegowisko takie urządzać? Idź sam i zobacz, czy jest mama. I czy już wychodzi.

Tomaszek wszedł do budynku firmy ociągając się i oglądając na dziadka. Wrócił za to rozpromieniony i w podskokach.

- Jest mama! I prosi, żeby dziadzio zaraz przyszedł.

- E tam - rzekł Konka. - Co tam będę ludziom na oczy lazał.

- Ale tam nikogo nie ma! Wszyscy już wyszli. Jest tylko mama.

Tylko mama... -powtórzył stary w wyraźnej rozterce.

- Sama jedna. Musiała zostać, bo ma telefon zamówiony, nie może się ruszyć z biura, i prosiła, żeby dziadzio wszedł.

- No, jak sama... - mruknął Konka. Zdjął czapkę, zwinął ją w dłoni. - Prowadź! - powiedział do Tomaszka.

Łucka pokój miała osobny, ale - żeby prawdę rzec

- Bernard wyobrażał go sobie okazalej. Zaskoczyła go zwykłość sprzętów i nagość ścian, których jedyną ozdobą był widok z okien na stojące w kanale portowym statki. Jakoś

inaczej to sobie wyobrażał, i zbyt wyraźnie musiało się odbić na jego twarzy rozczarowanie, bo Łucka od razu poczuła się zmuszona do wyjaśnień. Posadziła stryja na ubożuchnym krześle naprzeciw swego biurka i zatoczywszy ręką łuk, obejmujący jej niezbyt paradne otoczenie, powiedziała z pośpiechem:

- To wszystko się niedługo zmieni. Za rok albo dwa. Będziemy mieć nowy lokal biurowy. A na razie najpilniejsze były urządzenia do przeładunku. Najpierw w nie trzeba było inwestować, żeby mógł iść węgiel. Dostaliśmy goły plac przy nabrzeżu.

- Wiem, wiem - przytaknął Konka. Łucka mówiła "będziemy", "dostaliśmy", i brzmiało to tak, jak brzmieć powinno; to jedno przynajmniej zgadzało się z jego wyobrażeniem o nowym miejscu życiowym bratanicy. Po tych słowach z łatwością wybaczył jej, że nie ma fotela za biurkiem ani dywanu pod nim.

A Łucka już wołała, podsuwając stryjowi otwarte pudełko z cygarami:

- Niechże stryjek bierze! To firmowe! I cóż za niespodzianka! Co za odwiedziny!

- Umyśliliśmy sobie z Tomaszkiem, że będziemy na ciebie czekać przy wejściu...

Łucka zerknęła na zegarek.

- Dziś musiałam zostać trochę dłużej, mam zamówioną rozmowę. Jakoś długo mi jej nie dają. Ale tylko zdam raport z dzisiejszego przeładunku, i idziemy! Pięknie dziś na dworze.

- Bardzo! I dlatego właśnie, że takie piękne mamy lato tego roku, doszliśmy z Tomaszkiem do wniosku, że lepiej by mu było u mnie niż na Świętojańskiej. U was tyle po schodach trzeba się nalatać, żeby wyjść na powietrze. Trzymacie z matką chłopaka w domu, na obóz nie chciałyście go posłać...

- No wie stryjek, jak to jest z tymi obozami - Łucka sprawdzała jeszcze jakieś papiery, głowę miała nad nimi pochyloną i nie patrzyła na stryja. - Mógłby się chłopak nawet utopić.

- Wciąż się tylko wszyscy boją, że się utopię - zapiał Tomaszek z bezsilnej złości.

- Ja bym go dopilnował - dokończył myśl swoją dziadek. - I na plażę bym z nim chodził. Żeby tylko chłopak miał jakąś odmianę.

- Na plażę? Stryjek? - Łucka dopiero teraz podniosła głowę i roześmiała się na głos, szczerze rozbawiona.

- A co w tym śmiesznego? - obruszył się stary.

- Bo jeszcze wtedy, kiedy ja byłam w wieku Tomaszka, stryjek twierdził, że jest za stary na plażę. Mało to razy prosiłam, żeby stryjek ze mną poszedł? ; '

Konka poprawił wąsy, chrząknął.

- Inne czasy były. A miałaś ty chociaż kostium na tę plażę?

- Kostium? - speszyła się Łucka. - Nie, nie miałam.

- Ano widzisz. To znaczy, że iść nie mogłaś. Jednak inne czasy. A teraz to i ja bym się nie wstydził na plaży posiedzieć. Zadzwieczył na biurku telefon, Łucka natychmiast podniosła słuchawkę.

- Hallo! Berlin? - zawołała. - Berlin? Hier Gdynia!
Guten Tag! Heute melde ich mich etwas später, ich konnte
lange nicht durchkommen. Also notieren Sie, bitte, Frau
Sprudel: Heute haben wir verschifft: aus Kohiengrube
Walther ein tausend zwei hundert Tonnen, aus Kohien-
grube...
Bernard Konka wyjął z ust dopiero co zapalone cygaro,
z którego puścił zaledwie parędymków, i zdusił je w popiel-
niczce. Ręce mu się trzęsły.
- Hören Sie mich, Frau Sprudel? - wołała Łucka do
słuchawki. - Also notieren Sie, bitte: aus Kohiensgrube
Luise neuen hundert Tonnen, aus Kohiensgrube...
Konka odwrócił się do okna, oparł rękę o ramię Tomasz-
ka, przyglądającego się statkom. Akurat z otwartej ładowni
jednego z nich dźwig wydobywał ogromną skrzynię.
- Co w niej jest?-zapytał Tomaszek.
Dziadek nie odpowiedział.
- Co w niej jest? - powtórzył Tomaszek głośniejszym głosem.
- Dziadku, słyszysz? Co może być w takiej skrzyni?
- Skądże mogę wiedzieć? - odezwał się wreszcie Konka
po długiej chwili.
- Pomarańcze?
- Może pomarańcze.
- Albo orzeszki?
- Cicho! - krzyknęła Łucka. - Musicie teraz gadać?
Tomaszek zamilkł od razu i tylko oczyma pytał wciąż
dziadka o zawartość skrzyni kołyszącej się teraz wysoko nad
pokładem statku. W spojrzeniu dziadka nie było jednak nie
tylko odpowiedzi, ale nawet cienia myśli wspólnej, i Toma-
szek się zasępił. Łypnął ku matce spochmurniałym okiem,
wydał wargi. Tyle rzeczy ciekawych działo się za oknem,
a nawet zapytać o nie nie było mu wolno. Co to za rozmowa
taka ważna? I w dodatku nic się z niej nie rozumie...
- Dziadku - zaczął szeptem, ale Konka wyrazem oczu
nakazał mu milczenie.
Nie szacunek dla meldunku, który składała Łucka, nakazy-
wał mu to milczenie, ale konieczność rozważenia najpierw
w myśli tego, co zamierzał jej powiedzieć. Przy Tomaszku,
niestety przy Tomaszku, a może właśnie dobrze, że przy
Tomaszku, powinien wiedzieć, już powinien wiedzieć, jakie
to sprawy są na tym kawałku ziemi, na którym się urodził.
Konka czekał, kiedy Łucka skończy telefonować, kiedy
przestanie wyliczać, ile to ton polskiego węgla...
Skończyła wreszcie. Rzuciła słuchawkę na widełki i ode-
tchnęła z manifestacyjną ulgą.
- Ufff! Co za dzień! Dwie godziny czekałam aa tę
rozmowę. Zwykle dostaję po dziesięciu minutach.
- A co to było? - spytał cicho Konka.
- Co takiego?
- No... to... Ta rozmowa...
- Codzienny raport o stanie przeładunku.
- Do Berlina?
- Do Berlina.
- Łucka, bój się Boga! - jęknął stary.
Młoda kobieta patrzyła na niego zdumiona.
- Chyba nie dowiedział się stryjek dopiero dzisiaj, że
centrala koncernu mieści się w Berlinie?

- Łucka, bój się Boga! - powtórzył stary.

- No więc co? - krzyknęła. - Mam rzucić tę pracę?

- Spuściła głowę, zagryzła wargę. Konka bał się, żeby nie zaczęła płakać, od razu zrobiło mu się jej żal, już był gotów nadstawić kamizelki jak za dawnych lat, ale Łucka jednak wyrosła z wypłakiwania swoich żalów na stryjskim łonie. Kiedy podniosła głowę, w oczach jej nie było ani śladu łez.

- Czy to moja wina... moja wina - zawołała - że tyle kopalń na Śląsku pozostało w niemieckich rękach? A jak nie w niemieckich, to we francuskich. Francuzi aż linię kolejową wybudowali, żeby im ten węgiel łatwiej było wieźć, o tym stryjek to nie myśli?

- Ty wiesz, o czym myślę.

Milczała długo.

- Wiem - powiedziała wreszcie.

Tomaszek niewiele z tej rozmowy rozumiał, ale udzieliło mu się jej napięcie i zmusiło do uwagi. Przenosił z twarzy dziadka na twarz matki spojrzenie domagające się nie tyle wyjaśnień, co poniesienia nudnego tematu, który wykluczał go z uczestniczenia w rozmowie. Ale oboje - dziadek i matka - nie patrzyli na niego.

- Zastanawiam się nad tym - zaczął Konka cicho^

- z jakim to skutkiem oni przegrali ostatnią wojnę. I po co im ta następna, skoro i tak mają nas w rękach?

- Niech stryjek nie przesadza - zaprotestowała Łucka.

- Przesadzam? Do tej pory nie potrafiliśmy usunąć kapitału niemieckiego ze Śląska! Przez dwadzieścia lat! Przez dwadzieścia lat! Niby po wierzchu to wszystko po polsku jakoś się nazywa, jeden właściciel Cieślak, drugi...

- Witulak - odpowiedziała Łucka.

- Witulak, proszę bardzo - zaśmiał się Konka - same rdzennie polskie nazwiska, a co dzień raport do Berlina o przeładunku polskiego węgla przez polską Gdynię!

- Dziadku! - krzyknęła Łucka. Patrzyła na Tomaszka, fala ciemnego rumieńca zalewała jej twarz.

- Niech słyszy! - powiedział Bernard Konka. - I niech zaczyna coś z tego rozumieć!

- On? - wzruszyła ramionami Łucka. - Ja tego nie rozumiem, dziadek nie rozumie, nikt nie rozumie, a on ma zrozumieć? Za bardzo to wszystko poplątane. Przeniosłabym się do innego przedsiębiorstwa, no i co z tego? Tam także będzie jakiś pan o nazwisku na "ski" albo na "ak", jak Kowalski albo Pawlak, i dużo upłynie czasu, zanim się dowiem, kogo firmują. Przeładunek węgla w Gdyni opłaca się koncernom węglowym bardziej niż w Gdańsku, tutaj mają ulgi podatkowe, których nie dałoby im Wolne Miasto. A Polska im dała. Przynajmniej mamy za to urządzenia portowe.

- Już ty mi nie mów, co my za to mamy - powiedział Konka zgnębiony.

- W końcu służyć także przeładunkom węgla i z polskich kopalń. A kiedy uda nam się wreszcie Niemców spłacić i wyrugować...

- Ja bym ich spłacił! - mruknął stary. - Ja bym...

- Dziadku! - zbuntował się Tomaszek. - Mamo! Musimy tu siedzieć? Głodny jestem!

- Już idziemy! - Łucka poderwała się z krzesła ochot-

czo, wdzięczna synowi, że przerwał tę rozmowę. Takie gadanie i tak na nic się nie zda.

- Masz rację! -- Konka machnął ręką i rozejrzał się za czapką. Zły był na siebie nie tylko za to, że tu przyszedł i zaczął tę rozmowę, ale przede wszystkim za to, że nie /wykorzystał jej dla edukacji Tomaszka, pierwszej, jakiej 'zamierzał mu udzielić. - Ale wracając do tego, po co tu przyszliśmy - zmienił temat, gdy byli już na ulicy.

, - Myślałam, że stęskniliście się za mną zupełnie bezinteresownie - zaśmiała się nieszczerze Łucka. Rozmowa ze stryjem po telefonie do Berlina zaboląła ją bardziej, niż mógł przypuszczać. - O co chodzi? Czy Tomaszek coś zrobił?

- Mama od razu... - zaperzył się chłopak.

- A kto wczoraj wybił szybę na pierwszym piętrze? No widzisz! Piłka sama poleciała tak wysoko? Ile razy mam ci mówić, że na podwórzu w piłkę grać nie wolno?

- Ojej! Mama jeszcze o tej szybie? To gdzie ja mam grać?

- No właśnie! - wmieszał się dziadek, przygarniając do siebie Tomaszka. Żał mu się zrobiło chłopaka, żał mu się zrobiło jego całego straconego wakacyjnego dnia. - Gdzie chłopak ma pograć w piłkę, gdzie w ogóle ma poczuć, że ma wakacje?

- W sierpniu mamy obydwójce z Krzysztofem urlop i jedziemy razem z dziećmi do Krynicy.

- Do Krynicy!-powtórzył stary z wyraźną dezaprobatą. - Owszem, zmiana powietrza dobrze dzieciom robi, choć ja powietrza nigdy w życiu nie zmieniałem, a chwalić Boga siedemdziesiątka już wlaźła mi na kark. Ale co w tej Krynicy? Będzie spacerował z wami po deptaku, prowadzony za rączkę. A to jest chłopak! Chłopak!

Łucka odęła wargi. Tomaszek, który często dąsał się^w ten sposób, miał to po niej.

- Z Krynicy Krzysztof, bo ja będę musiała zostać ze, względu na kąpiele, wyskoczy z dziećmi do Zakopanego. Na; tydzień albo dwa, zależeć to będzie od pogody i od tego, czy pojedą także do rodziców Krzysztofa. To chyba dosyć jak na jedne wakacje.

- Chcę go zabrać do siebie - powiedział Bernard Konka stanowczo. •

- Do siebie? - powtórzyła Łucka.

- Tak. Do starego domu Konków. Do tego prawdziwego starego domu Konków, gdzie urodził się twój ojciec i gdzie ja się urodziłem, a przedtem twój dziadek i pradziadek, i wszyscy Konkowie, jak pamięcią sięgnąć Do tego domu.

- I po cóż to? - Łucka najwidoczniej nie zrozumiała tego, co mówił i dlaczego to mówił, bo spojrzała na stryja z wyrazem obojętnego zdumienia w oczach. - Cóż to za odmiana dla chłopaka?

- Duża! - powiedział Konka cicho.

- Mamo! - Tomaszek uwiesił się u ramienia matki.

- Zgódź się! Bardzo cię proszę! I powiedz babci, żeby się zgodziła!

- Co? Jeszcze mam u mamy pleców za was nadstawiać?

- Jak ty powiesz, że się zgodziłaś, to i babcia się zgodzi.

-Ale ja się jeszcze nie zgodziłam.,.

- Sama powiedziałaś "jeszcze". A jak będę cię prosił,

wciąż cię będę prosił...

- Tomaszku, daj spokój - przerwał chłopcu Konka.

Przez chwilę siedł w milczeniu, patrząc gdzieś daleko przed siebie. - Jeśli to, co powiedziałem, nie wystarcza... - rzekł wreszcie, podnosząc głos i wyraźnie to podniesienie głosu adresując do Łucki - ...jeśli to nie wystarcza, poproszę Krzysztofa, on prędzej zrozumie niż ty...

Łucka odwróciła głowę i patrzyła na stryja z zawstydzonym zdziwieniem.

- A... czegoż to ja nie rozumiałam?

Konka przystanął, i ona także musiała się zatrzymać.

- Że trzeba gromadzić siły, tego nie rozumiałaś. Zewsząd gromadzić siły na ten niedobry czas, który idzie, który może nadejść. Zewsząd! Skąd się da! Wiesz, ile mam szacunku dla Krzysztofa, i jestem pewien, że pod jego kierunkiem dzieci rosną u was jak trzeba. Ale i to - dodał ciszej - co ja im chcę dać, co chcę dać głównie Tomaszкови, bo chłopakowi może okazać się bardziej potrzebne, też im się przyda.

Łucka oddychała ciężko, jakby dopiero teraz dopadł ją lipcowy, skwarny upał, w którym szli przez cały czas, południowo-zachodnią stroną ulicy, najbardziej wystawioną na działanie słońca. Dotknęła wierzchem dłoni czoła, może sądziła, że jest mokre od potu, ale było suche.

- Stryju -, zaczęła cicho -- jeśli Tomaszek chce... i stryj... to dobrze, ja się zgadzam. Przynajmniej przez ten miesiąc pobądźcie razem. Przynajmniej przez ten miesiąc... nie będzie stryjek w domu taki sam...

- Ależ ja nie dlatego - wybuchnął Konka - nie dlatego! I nigdy nie czułem się w tym domu sam! Nic nie rozumiałaś! Nic!

- Zrozumiałam - powiedziała Łucka łagodnie. Wzięła stryja za rękę i pośród mijających ich przechodniów, w gwarze ulicy, w szumie aut podniosła ją do góry i gdyby jej stary nie wyrwał, byłaby ją pocałowała, jak zwykła to czynić w dzieciństwie. - Wszystko zrozumiałam. Tylko stryjek nie rozumiał, że wołałam powiedzieć tamto, niż zgodzić się na ten niedobry czas, przeciwko któremu trzeba gromadzić siły, zewsząd, jak stryjek mówi, gromadzić siły. Nie! Nie chcę o tym myśleć. Już tak dobrze ułożyło się nam życie. Gdyby to... gdyby to wszystko miało...

- Łucka! - wzruszył się stary, natychmiast zły na siebie, że rozpętał tę rozmowę. - Nie trzeba wyobrażać sobie zaraz, że... My też przecież mamy wojsko... my także potrafimy...

- No więc mogę pójść do dziadka? - zawołał Tomaszek rozżalonym głosem. - Mogę czy nie?

- Możesz - odpowiedziała matka, i od razu ruszyli w stronę domu. - Zaraz o tym porozmawiamy przy obiedzie.

Ale gdy tylko zasiedli do stołu i Anula wniosła wazę z zupą, u drzwi odezwał się dzwonek. Popatrzyli po sobie zdumieni - nie spodziewano się nikogo o tej porze.

- To na pewno ktoś do ciebie - powiedziała Konkowa, spojrzawszy z naganą na Julitkę. - Mam już tych koleżanek powyżej uszu. Powiedz, że jesz obiad. I nie stój na schodach! Julitka pobiegła otworzyć i wróciwszy do pokoju, ob-

wieściła triumfalnie, zanim gość ukazał się w progu:

- Wołodia!

- Jaki Wołodia? - zgromiła ją szeptem babka. - Dla ciebie: pan kapitan!

- Wołodia! - powtórzyła Julitka podśpiewując. - Jeszcze pan zaręczony? - zawołała.

Innego dnia wybuchłaby po tej impertynencji awantura

- dziś nikt nie zwrócił na nią uwagi, nawet sam zapytany.

Nie widziano jeszcze w tym domu Wołodi bez jego zwykłego uśmiechu, bez tej nieodłącznej kpiny w oczach, z jaką patrzył na świat, a dziś wszedł z twarzą tak zmienioną, że - choć był gościem częstym i zwykłym - Łucka i Krzysztof równocześnie zerwali się od stołu.

Powstrzymał ich gestem dłoni.

- Przepraszam. Wiem, że pora nieodpowiednia, ale chciałem porozmawiać.

- Usiądź! - Krzysztof dostawił do stołu jeszcze jedno krzesło. - Zjesz z nami. Nie zaczęliśmy nawet jeszcze zupy. Anula dawała za plecami gościa rozpaczliwe znaki, ale tylko Konkowa je zrozumiała. Już dziadek Bernard był dodatkową osobą na obiedzie, a w lecie gotowano tylko tyle, żeby od razu zjeść.

Na szczęście gość nie przyjął zaproszenia.

- Obiad jadłem w kasynie. Dziękuję.

- Ale usiąść możesz - nalegał Krzysztof. - Porozmawiamy.

Wołodia przebiegł wzrokiem po twarzach osób siedzących wokół stołu i zawahał się.

- Chciałem porozmawiać z tobą - powiedział do Krzysztofa.

- Tylko ze mną? - zapytał ten cicho.

- Tak. Przepraszam, ale tylko z tobą.

Znowu chce pożyczyć pieniędzy, pomyślała Konkowa.

Wprawdzie te dwadzieścia złotych, które pożyczył u niej, gdy zgrał się w karty u pana Słubickiego, oddał zaraz po pierwszym, ale każda pożyczka budziła w niej nieufność. Pieniądzy, które miała u ludzi, nie uważała za swoje. Nie wiadomo, co mogło się im przytrafić w drodze powrotnej, lepiej było trzymać je w ręce i nie wypuszczać ich z niej nawet dla najlepszego przyjaciela.

Julitkę zalewała fala gorącego rumieńca. Jeśli ta piękna panna puściła go kantem i on to tak przeżywa, to cała radość z nowej wolności Wołodi na nic. I jak głupio wyrwała się z tym "Czy jest pan jeszcze zaręczony?" A jeśli on naprawdę cierpi i nigdy jej tego nie wybaczy? Ale czy to możliwe, żeby Wołodia cierpiał? Przez kogoś, kogo nie znał jeszcze pół roku temu, podczas gdy ich znał od wieków, od zawsze - ojca i matkę od swego pierwszego dnia w Gdyni, ją i Tomasza jeszcze przed urodzeniem? Powinni go pocieszyć, powinni mu wytłumaczyć, że ktoś tak obcy jak panna Blok nie może nawet skrzywdzić, nie może przyprawić o cierpienie.

Wyrzucili go z mieszkania, myślała Łucka. Może nie płacił, może zrobił awanturę? Już raz pokłócił się z gospodarzami i spał u nich przez tydzień na kanapie w stołowym, zanim nie znalazł nowego pokoju. Wciąż nie mógł się zdobyć na to, żeby kupić sobie meble i wynająć mieszkanie jak Pan

Bóg przykazał. Mieszkając w pokojach umeblowanych, nie chroniony przez żadne prawo lokalowe, narażał się na gwałtowną utratę lokum przy lada utarczce z gospodarzami mieszkania. No tak, myślała Łucka, znowu musiało mu się coś przytrafić. Kiedy ten Wołodia się ustatkuje? Dobrze, że się wreszcie żeni. Najwyższy czas!

Bernard Konka przyglądał się Wołodi z niepokojem. Znał go prawie równie dobrze jak Krzysztofa i wiedział, że byle jaka sprawa nie mogła go tak odmienić. W pierwszych miesiącach budowy Gdyni Wołodia miał jedną parę portek i jedną marynarczynę na połatanej koszuli, a jednak zawsze potrafił się śmiać, i za to właśnie tak go wszyscy lubili, nawet Francuzi – pan Lebrac i pan Briffaut. Pani Briffaut chyba także. Bernard przymknął powieki i odgradzony nimi od widoku twarzy, które miał przed sobą, uświadomił sobie, że już raz widział Wołodię z takim wyrazem twarzy. A było to tego dnia, kiedy po zawieszeniu robót w porcie Francuzi z konsorcjum opuszczali Gdynię. Mała pani Briffaut stała na peronie i całowała po kolei: Krzysztofa, Seweryna i Wołodię, Wołodię na ostatku. Briffaut czekał, kiedy to się skończy, bo ona zacisnęła ramiona na szyi Wołodi, i wszyscy, którzy na to patrzyli, widzieli, że oczy ma pełne łez, a twarz Wołodi jest biała jak ściana. Wtedy to po raz pierwszy zobaczył go bez uśmiechu, z wyrazem katastrofy w mrocznych żrenicach, z takim samym wyrazem katastrofy, z jakim zjawił się teraz u Krzysztofów w sam czas obiadu. Nie, byle jaka sprawa – Bernard wiedział o tym aż nadto dobrze – nie mogła tak odmienić kapitana.

Tylko Tomaszek i Anula nie przydawali wizycie Wołodi żadnego specjalnego znaczenia. Anula postawiła przed nim szklaną czarkę z doskonale oziębionym kompotem – przynajmniej kompotu miała tyle, żeby obdzielić nim zarówno domowników, jak i gości – i zatrzymawszy się przy drzwiach, jak to miała w zwyczaju, patrzyła z zadowoleniem, że kapitan kompotem nie wzgardził, że z przyjemnością, choć taki jakiś nieswój, gasi nim pragnienie. Tomaszek przyglądał mu się mniej pogodnie. Był jego chrześniakiem i witał go zawsze z burzliwą radością jak po długim niewidzeniu – dziś nawet nie wstał od stołu, żeby się uklonić. Wizyta Wołodi podczas obiadu, ta rozmowa, jaką chciał on odbyć z ojcem, odsuwała na później rodzinną naradę w sprawie jego wakacji w domu dziadka. A już myślał, że będzie się zaraz pakował, że weźmie nie tylko piłkę, ale i nóż, wspaniały fiński nóż o ciężkiej rękojeści, który tak dobrze było podrzucać, gdy grało się nim z chłopakami "w noża", w grę, do której na Świętojańskiej nie było partnerów, a w starych domach na Żeromskiego, gdzie mieszkał dziadek, wprost się od nich roiło. Wołodia więc naraził się Tomaszekowi, zjawiając się tak nie w porę, i chłopak nie potrafił tego ukryć. Z łokciami na stole – choć wiedział, że nie wolno tak siedzieć – wpatrywał się w gościa z ponurą niechęcią.

Tak więc nikt – poza Krzysztofem – nie domyślał się prawdziwego powodu wizyty kapitana. W ciągu tych piętnastu lat, które razem przeżyli, Wołodia zawsze rozpraszał wszystkie smutki – teraz przychodził z najgorszym, jaki można było sobie wyobrazić, i obaj wiedzieli, że nie ma nań

pocieszenia.

- No to chodźmy! - powiedział Krzysztof, wstając od stołu. Szukał w kieszeniach papierosów, i to pozwoliło mu
6 - Tak trzymać t. II 161

nie patrzeć na nikogo. - Może przejdziemy do sypialni, albo do pokoju dzieci.

- Idźcie do mnie - powiedziała Konkowa. - Klucz wisi w przedpokoju. Tam będziecie mogli spokojnie pogadać. Żeby tylko nie za głośno, bo jak balkon otwarty, u panny Loewe wszystko słyhać. A ona i tak co wieczora płacze...

- Ale co to ma... co to ma do rzeczy? - zachnął się Krzysztof. - Po co mama to mówi?

- Nie wiem po co - speszyła się Konkowa. - Tak mi się jakoś powiedziało.

Wołodia milczał. Nie odezwał się także w windzie, dopiero na piątym piętrze, w "garsonierze" Konkowej, gdy usiedli i zapalili, powiedział, przyglądając się dziwnie z bliska swoim palcom trzymającym papierosa:

- Dziś zapadła decyzja o powołaniu osobnego Dowództwa Ładowej Obrony Wybrzeża.

- Domyśliłem się, że przychodzisz z czymś takim.

- Trudno teraz o dobre wiadomości.

- W tej sytuacji nawet żadne wydawałyby się dobre.

Psiakrew, takie piękne lato! Mieliśmy w sierpniu pojechać z Łucka i dziećmi do Krynicy. Przy tej okazji chciałem odwiedzić moich rodziców. Nie widziałem ich cały rok. Do Przeworska szmat drogi. I jak tu się teraz wybierać tak daleko, kiedy czas taki niepewny...

Wołodia wciąż przyglądał się swoim rękoma.

- Ledwo mianowany dowódca ma już podobno być odwołany.

- Dowódca... czego? - spytał Krzysztof, pograżony w swoich myślach.

- Ładowej Obrony Wybrzeża, mówiłem ci przecież. Na miejsce pułkownika Sasa-Hoszowskiego ma przyjść jakiś pułkownik aż ze Złoczowa.

- Skąd?

- Ze Złoczowa! Wyobrażasz sobie, człowieku? Województwo lwowskie! W głowie się nie mieści. Biorą skądś stamtąd faceta i stawiają go na takiej reducie za pięć dwunasta! Pewnie nigdy przedtem tu nie był, nie zna terenu ani ludzi, może tylko spędzał kiedyś wakacje nad morzem...

- Ładowa Obrona Wybrzeża - powtórzył Krzysztof tępo; - Więc tak to będzie się nazywać...

Wołodia ciągnął dalej:

- Nawet lokal już przydzielony. Dwa czy trzy pokoje w gmachu, w którym mieści się Komenda Przysposobienia Wojskowego. Przy ulicy Zgoda bodajże. W każdym razie niedaleko naszego sztabu. To ważne, bo już zaczynają się kłócić, a kłótnie telefoniczne byłyby niewskazane ze względu na podsłuch wroga. No cóż, przynajmniej będą mieli blisko do siebie.

- Przestań! Cóż to za żarty w takiej chwili!

- Przecież gdzieś muszę się wygadać! - krzyknął Wołodia. - Na okręcie ani pary z gęby, w sztabie, gdyby nawet tam zawołali, ani pary z gęby! Człowiek musi gdzieś w końcu

powiedzieć, co myśli. Żeby w chwili tak poważnej grały jeszcze rolę jakieś osobiste ambicje, żeby się teraz zastanawiać nad tym, czy zadraśnięto kogoś przez to podzielenie Dowództwa Obrony Wybrzeża Morskiego na Dowództwo Morskiej Obrony Wybrzeża i Dowództwo Lądowej Obrony Wybrzeża! Oczywiście u nas tego drugiego nikt nie bierze poważnie. Mówię ci: obłęd! A tymczasem już wiadomo, że Anglicy nie dadzą nam ani jednego monitora z najcięższą artylerią. Komandor Rawlings, kiedy tu był pod koniec maja z misją generała Clayтона, przypierany do muru przez naszych, wił się jak piskorz, żeby niczego wiążąco nie obiecać. W czerwcu nasza misja podjęła te rozmowy jeszcze raz w Londynie, oczywiście z tym samym skutkiem: Royal Navy potrzebuje tych monitorów dla siebie. W zasadzie - powiedział po długiej chwili -trudno się im dziwić. - Oczywiście - potaknął Krzysztof machinalnie. - Narazić się na utratę w tej naszej bałtyckiej balii dwóch takich okrętów to z angielskiego punktu widzenia nierozsądek. Trudno sobie wyobrazić, żeby sojusze wojskowe skłaniały do sentymentów. - A czy to takie dla nas ważne, te monitory? - spytał dopiero teraz Krzysztof, bez specjalnego zainteresowania. W przeciwieństwie do ludzi z Marynarki Wojennej, którzy od początku byli skłonni lekceważyć Lądową Obronę Wybrzeża, rozumiał, a może tylko przeczuł w tej krótkiej chwili zupełnie jasnej i bolesnej pewności całą wagę przyszłych wydarzeń właśnie tu na lądzie, na tym ciasnym skrawku ziemi, wciśniętym między dwie granice. Pewnie niedługo dostanę powołanie, pomyślał. - Człowieku - zdumiał się Wołodia - pytasz, czy to dla nas ważne? Opancerzone okręty, wyposażone w najcięższą artylerię? Dwa działka kaliber trzysta osiemdziesiąt jeden milimetrów i osiem dział kaliber sto dwa to coś znaczy! Z takimi armatami można już coś zdziałać na morzu! - Wołodia znał się na tym. Wysłany przez kierownictwo Marynarki Wojennej do Francji, skończył tam przecież Oficerską Szkołę Artylerii Morskiej z odznaczeniem, a później już w kraju, wyższy kurs taktyczny Marynarki Wojennej. Kiedy jeszcze żartował ze swoich umiejętności, zwykł był mawiać, że strzelać już się nauczył, teraz ważne tylko, żeby było z czego. Krzysztof prawie czekał, że Wołodia i w tej chwili to powie, ale nie powiedział. Umilkł na długi czas, przeszedł się po pokoju, wreszcie wrócił na miejsce, zapalił jeszcze jednego papierosa. - Człowieku - zaczął znowu - gdybyśmy mieli coś takiego, gdybyśmy to mogli zakotwić przy Helu, zamaskować i czekać, wielki Boże! Trzysta osiemdziesiąt jeden milimetrów! - Czy to znaczy...? - zaczął pytać ostrożnie Krzysztof. - Tak - krzyknął Wołodia - właśnie to, właśnie to znaczy! Nie mamy baterii do zwalczania okrętów liniowych. Nasza bateria cypłowa na Helu należy do baterii średnich, może ze względu na swój kaliber prowadzić skutecznie ogień ^najwyżej do krążowników. Jeśli weźmiesz pod uwagę, że na Gryfie mamy sześć boforsów kaliber sto dwadzieścia... Krzysztof słuchał nieuważnie. Wiedział, że Wołodia może mówić bez końca o uzbrojeniu okrętów i że nie sposób mu wtedy przerwać, zwłaszcza że poza kręgiem służbowym

tylko z nim pozwalał sobie na takie rozmowy. Jaki jednak teraz miały one cel? Nie opuszczało go zdumienie, że tak zwyczajnie to się dokonało: już wiedzą, że to się musi stać, już o tym mówią... już gdzieś tam w Złoczowie, w jakiejś galicyjskiej mieścinie, przygotowuje się do podróży człowiek, któremu powierzono obronę nadmorskiego skrawka ojczyzny. Może nie zna go nawet, może nie kocha tak jak ci, którzy się tu urodzili albo przywędrowali skądś, żeby urodzić się tu po raz drugi, razem z powoływanym przez nich do życia miastem. Co on teraz robi, przed tą podróżą na północ? Wrzuca do walizki koszule i skarpetki? Żegna się z żoną? Mówi jej: nie płacz?

- Wiesz, jak się nazywa? - spytał.

Wołodia przerwał swój wywód o uzbrojeniu artyleryjskim Gryfa, na którym pływał od roku, i w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co mu chodzi.

- Wiesz, jak się nazywa? - powtórzył Krzysztof. - Ten pułkownik ze Złoczowa, czy skądś tam?

Wołodia znowu wstał, przeszedł się po pokoju, wyszedł na taras. Nad dachami Gdyni niebo czerwieniło się już pierwszą zapowiedzią zachodu. Krzysztof wyszedł za przyjacielem i obaj patrzyli teraz w milczeniu na zielone wzgórza, otaczające miasto, na Chyłoński Las, na grzbiet Obniża i widoczne stąd ponad portowymi kanałami oksywskie wzniesienie. Ostry blask zachodzącego słońca rysował wyraźną linię między niebem i ziemią.

- Stanisław Dąbek się nazywa - powiedział Wołodia.

VIII

Miasto przyzwyczaiło się już do mundurów, nie tylko do granatowych, teraz zielonych było tu nawet więcej. W niedzielę, po mszy o godzinie dwunastej, roiło się od nich u Fangrata, o wolny stolik o tej porze było coraz trudniej, ale stali bywalcy umieli się o niego postarać. Wołodia oczywiście do nich należał i wiódł teraz pochód Grabieniów ciasnym przejściem między stolikami. Spotkał Krzysztofa z żoną i dziećmi przed kościołem i namówił ich na kawę, biorąc na siebie trud znalezienia wolnego miejsca w kawiarni.

- Cieszę się, że pan kapitan na lądzie - powiedział kelner, sprzątając stolik, zanim usiedli.

- Ja też - powiedział Wołodia. Rozdawał wokół ukłony i uśmiechy, co Krzysztofa zawsze, gdy był w jego towarzystwie, nieco peszyło. Był w Gdyni tak samo długo jak Wołodia, a jednak nie miał tylu znajomych, miał ich właściwie zupełnie mało - ciasny krąg ludzi związanych z budową portu. Wołodia zdawał się znać wszystkich: oficerów i kupców, maklerów i lekarzy, bankowców i pracowników Komisariatu Rządu.

- Witam pana prezesa - wołał do kogoś przez całą salę, komuś obok ściskając rękę. - Cześć! - odpowiadał na czyjeś powitanie. - Kiedy znowu zagramy? Dawno pana nie widziałem, doktorze! Dopiero pan wrócił z Krynicy? - O - powiedział do Krzysztofa ciszej - ukłoń się! Jest pani Helena!

Oczywiście w nowym kapeluszu! pomyślała Łucka. Odwróciła także głowę, żeby wymienić ukłony z rodziną Tereszków; siedzieli w głębi, pod samą ścianą, ale panią Helenę i tam się widziało. Tego upalnego dnia miała na

sobie skromną, białą suknię bez rękawów z czymś szafirowym przy dekolcie, aby tym właściwszy, prawie nieodzowny jako uzupełnienie tego stroju okazał się marynarski granat kapelusza, odwiniętego nad czołem i ukazującego przedziałek w czarnych włosach. Ten kapelusz widziała Łucka na wystawie u modystki przy Świętojańskiej, trzy razy przechodziła koło niego, dwa razy zatrzymała się nawet, prawie zdecydowana, żeby go kupić, ale w końcu zwyciężyło w niej przekonanie, że tego lata nie warto już wydawać pieniędzy na nowy kapelusz. Po co właściwie mam te pieniądze? pomyślała naraz z trwogą. I co z nimi będzie, co z nimi się stanie, jeśli naprawdę... Zaoszczędziła dwadzieścia złotych (bo chyba tyle kosztował ten kapelusz), a pani Helena siedziała w nim, i patrzyła na nią cała sala, wszyscy oficerowie, których chyba znów było więcej niż ostatniej niedzieli...

- Może generał Bortnowski przyjechał znowu na inspekcję - powiedział Wołodia do Krzysztofa. - Podobno to on właśnie zdecydował o powołaniu osobnego dowództwa Łądowej Obrony Wybrzeża...

- Błagam was - Łucka pochyliła się nad stolikiem -przynajmniej tutaj skończcie z tym tematem! Słuchać tego nie można.

- Zgoda! - Wołodia pocałował jej dłoń i po małym namyśle, zerknąwszy ku Krzysztofowi, jakby podkreślał, że czyni to pod jego okiem, pocałował także opaloną łapkę Julitki. - Tu jesteśmy tylko do dyspozycji pań. Julitka spąsowiała, uniosła się na krześle i nieomal tracąc z nim kontakt, przycupnęła na samym jego brzeżku.

- Ach! - szepnęła prawie boleśnie, chowając rękę pod stół.

- No co? - zaśmiał się Wołodia. - Takie to straszne? Musisz się przyzwyczajać, niedługo wszyscy panowie będą całować cię w rękę.

- Trochę czasu jeszcze upłynie - powiedziała kwaśno Łucka. - Co zamawiamy? Dla nas kawę, a dla dzieci?

- Dla mnie lody! - rozpromienił się Tomaszek.

- No dobrze - zgodziła się bez entuzjazmu matka

- tylko żebyś potem nie kaszlała. A dla ciebie? -zwróciła się do córki. - Julitko, słyszysz? Co dla ciebie?

- Wszystko jedno-szepnęła ta w roztargnieniu. Wciąż jeszcze w krwawych rumieńcach, przyglądała się ukradkiem swojej ręce, ukrytej pod stołem.

- Co to znaczy: wszystko jedno? - spytała zdumiona matka. - Nie chcesz lodów?

- Mogą być.

- O, to coś nowego! - powiedział Wołodia z udaną powagą. - Kiedy o lodach mówi się "mogą być", zaczyna się nowa era w życiu.

- Niech pan przestanie - szepnęła Julitka, jeszcze czerwieńsza niż przed chwilą. Kiedy tu weszli, nie mogła wybaczyć matce, że kazała jej włożyć białą bluzkę z granatowym, marynarskim kołnierzem, podczas gdy Wista Tereszkówna siedziała w kwiecistej, wakacyjnej sukience, i w kapeluszu jak matka. Na opalonych rękach miała białe rękawiczki. Te rękawiczki Julitka wstrząsnęła, ale teraz pomyślała sobie, że gdyby i ona miała je na rękach, Wołodia nie

mógłby... na pewno by nawet o tym nie pomyślał...

- No więc co? Lody? - spyta matka już zniecierpliwionym tonem.

- Proszę! I krem!

- Dla mnie też! - zawołał Tomaszek.

- Młodzi mężczyźni nie jadają kremu - wmieszał się Wołodia. Jakoś mu się ten jego chrześniak wydawał za bardzo infantylny, spojrzał nawet na Krzysztofa z pretensją, że tego nie dostrzega.

Ale Krzysztof niespodziewane wziął stronę syna.

- Tomaszewi należą się dziś specjalne względy. Jest dziś u nas na wakacjach.

- Przecież od początku miesiąca ma wakacje.

- Ale spędza je u dziadka Bernarda. A tylko na niedziele przychodzi do domu.

- On ma jeszcze jedne wakacje podczas wakacji - wyjaśniła Julitka.

- A w ogóle to wcale nie chcę - przerwała Łucka

- żeby za prędko stał się mężczyzną. Boże, i tak ten czas za szybko leci! Po co go jeszcze poganiać? Będzie tym mężczyzną, aż mu się odechce. A teraz jeszcze niech je krem! Dwie duże porcje kremu! - zwróciła się do kelnera, gdy podszedł do stolika. - Dwie duże porcje lodów i trzy kawy.

- Cztery kawy - sprostował Wołodia, zerkając na zegarek - Marynka powinna przyjść lada chwila. - Umówił się z narzeczoną od razu w kawiarni, w słusznym przewidywaniu, że nie będzie miała dość silnej woli, by po wczorajszym dansingu wstać przed dwunastą.

W ułamku sekundy przypomniał sobie, ile kosztował go ten wczorajszy wieczór, i że do pierwszego daleko, a jeśli ona wymyśli jeszcze jakąś eskapadę, nie racząc pamiętać o tym, że kapitan marynarki nie zarabia nawet dziesięciu procent tego, co zarabia jej ojciec...

Wołodia zamyślił się ponuro i nie zauważył wcale, że kiedy on milczy, przy stole zapada ód razu cisza, nikt nie ma nic do powiedzenia, nawet Julitka, której na ogół nie można było posadzać o małąmówność. Siedziała wciąż jeszcze ze spuszczoną głową, nawet zapomniała się wyprostować, jak to ostatnio zwykle czyniła. Mimo to Wołodia pomyślał: Jak ta smarkata rośnie! Boże drogi, jak ta smarkata rośnie! Natychmiast jednak zawstydził się tej myśli wobec Łucki i Krzysztofa, i żeby się z niej już ostatecznie wycofać, starał się wyobrazić sobie siebie samego w podobnej sytuacji rodzinnej: z żoną i dziećmi, przy stoliku w jakiejś kawiarni, nad lodami i kremem... A jednak nie mógł. Dlaczego, do jasnej cholery, zdenerwował się, nie mógł sobie tego wyobrazić? Dlaczego?

Panna Blok się spóźniała. Kawa podana dla niej już stygła na stoliku, a ona wciąż się nie zjawiała, ku pełnej satysfakcji Julitki.

- Ja wypiję tę kawę - powiedziała wreszcie dziewczynka.

- Ani się waż! - zaprotestowała matka. - I tak jesteś za nerwowa.

- Wcale nie jestem nerwowa. A ta kawa na pewno me jest taka mocna.

Wołodia znowu zerknął na zegarek.

- Jeśli nie przyjdzie za pięć minut, wypijemy ją oboje.
- Dziękuję, panie kapitanie - powiedziała Julitka głosem, jakiego nikt u niej dotąd nie słyszał.
Ale Wołodia tego już nie zauważył. Kłaniał się właśnie jakiejś pani, która siedziała opodal w grupie oficerów. Krzysztof machinalnie przyłączył się do tego ukłonu i dopiero po chwili uświadomił sobie, że skądś zna tę twarz, że spoza niej wyziera jakby druga, o miękkich, dziewczęcych rysach, w obrzeżeniu warkoczy spływających na piersi, a czasem odrzucanych na plecy gwałtownym ruchem głowy.
- Kto to jest? - zapytał, pochyliwszy się ku Wołodi.
- Dokładnie nie wiem. Żona jakiegoś pułkownika czy majora. Przyjechała, żeby być bliżej męża. On gdzieś w wojsku pod Kartuzami, a ona w Różanym Gaju. Poznałem ją wczoraj na plaży, kiedy przed spotkaniem z Marynką skoczyłem na chwilę, żeby się wykapać.
- Jak to... poznałeś ją na plaży? - spytał Krzysztof, czując, że błędnie. Bo już zaczynał sobie przypominać, już prawie wiedział, kto to jest.
- Człowieku, zwyczajnie! - parsknął Wołodia ściszo- nym śmieszkiem. - Nudzą się te biedne panie tutaj, mężowie, jak widzisz, mogą im towarzyszyć tylko w nie- dzielę...
Karolinka Wolska! myślał Krzysztof. Tak, to była Karolinka Wolska! Na myśl o niej trzęsły mu się kiedyś ręce, głos zamierał w krtani, oddech w płucach. Panienka ze dworu. Biedny to był dwór, prawie tak biedny jak szkoła, w której się urodził, ale to w niczym nie zmieniał jego sytuacji. .
-Ty ją znasz także? - spytał Wołodia półgłosem, nie angażując w tę rozmowę Łucki i dzieci.
- Tak - bąknął Krzysztof - trochę... Znałem ją kiedyś... Dawno temu...
- Ale ona patrzy na ciebie, to znaczy, że także cię pamięta.
- Możliwe... - Krzysztof zarumienił się i ponieważ czuł, że się rumieni, spotęgowało to jeszcze jego zmieszanie.
- Ostatni raz widziałem ją przed moim przyjazdem do Gdyni. To ktoś... ktoś z moich stron. Uśmiejesz się, jak ci powiem, że urodziliśmy się w jednej wsi.
- Na pannę ze wsi nie wygląda.
- Bo to panna ze dworu.
- Dopiero teraz będę się śmiał. Typowa polska historia! Panna ze dworu i... - Wołodia urwał i dokończył po chwili:
- Żeby było bardziej w stylu, jakiś ułan ci ją pewnie sprzątnął sprzed nosa?
- Nie wiem, czy ułan- zaproponował Krzysztof, usiłując całą tę historię obrócić w żart. I to nie tylko dlatego, że Łucka nie zdejmowała spojrzenia z jego twarzy, ale także i dlatego, że była to naprawdę jakaś dziecinna sprawa w jego życiu. Tylko cierpienie, które wtedy na niego spadło, nie było dziecinne, i to ono sprawiło, że zapamiętał tę twarz, teraz bez spływających z obu jej stron warkoczy, i to zaczepne spojrzenie ciemnych oczu, które nie straciło nic z siły przyciągania. Uniósł się na krześle i jeszcze raz ukłonił. Łucka zapytała zaraz:
- Kto to jest? Komu się kłaniałeś?
- Słyszałaś przecież, co mówiłem Wołodi: to ktoś z mo-

ich stron. Panna Wolska. Teraz oczywiście nazywa się inaczej.

- Nigdy nic nie mówiłeś... - zaczęła Łucka, od razu jakby z pretensją i żalem.

- Bo nie było o czym. Gdy byłem w domu, chodziłem z ojcem do dworu w sprawach szkoły. Czasem ojciec pomagał pani Wolskiej w administrowaniu majątkiem, dopóki syn nie wrócił z wojny.

- Nigdy nic nie mówiłeś - upierała się Łucka.

Boże święty, myślał Wołodia, te niewinne dziewczyny, jeśli obdarzą kogoś swoją cnotą i miłością raz na całe życie, wiąza mu potem z tego sznur konopny na szyję! Tkliwym wspomnieniem powrócił do tych, które nie były ani tak cnotliwe, ani tak wierne.

- Panie kapitanie! - szepnęła Julitka. - Minęło pięć minut!

- 'Ach, tak! - przypomniał sobie. - Pijemy kawę mojej spóźnialskiej narzeczonej.

Ale ona szła właśnie ku nim, przepychając się między stolikami. Już z daleka przepraszała oczyma i gestami za swoje spóźnienie.

Julitka wysunęła dolną wargę.

- Nie mam szczęścia - szepnęła.

- Żeby tylko w tym, Julitko, to jeszcze pół biedy!

- pocieszył ją Wołodia. Wstał na powitanie narzeczonej.

- Mam nadzieję, że się wyspałeś?

- Och, spałam jak suseł! - mówiła panna Blok, witając się ze wszystkimi, ale patrząc tylko na Wołodię. - Obudziłam się pół godziny temu. Nie zdążyłam nawet wziąć prysznicu.

- I tak jesteś świeża jak poranek.

Jak poranek! myślała z dezaprobatą Julitka, przyglądając się posępnie pannie Blok. Stara panna! Ma już na pewno ze dwadzieścia pięć lat! A może i więcej...

- Spotkaliśmy się przed kościołem, i Wołodia nas tu zaciągnął - wyjaśniła Łucka tonem usprawiedliwienia.

Panna Blok gwałtownie uściśnęła jej rękę.

- Ależ cieszę się! Ogromnie się cieszę! - Pojęła już, że oderwanie Wołodi od Grabienia i jego rodziny będzie trudne, jeśli w ogóle nie niemożliwe. W każdym razie nie zamierzała tej walki rozpoczynać przed ślubem. Uśmiechnęła się promiennie do Łucki i Krzysztofa, do Julitki i Tomasza, i powtórzyła jeszcze raz: - Ogromnie się cieszę! Czy to moja kawa, Włodeczku? - zwróciła się do narzeczonego.

- Tak. Zdążyła już nawet wystygnać - odparł.

- To świetnie! - zawołała. - Na dworze taki upał!

- Podniosła filiżankę z kawą do ust i wychyliła ją duszkiem.

- Tak, mamy piękne lato! - powiedziała Łucka.

To samo powiedziała do panny Loewe pani von Schabenbach-Słubicka, gdy jej syn wciąż się nie odzywał, i trudno było przy stoliku nawiązać rozmowę. Siedzieli niedaleko wejścia, co starszej pani się podobało, bo mogła sobie obejrzeć wszystkich wchodzących i wychodzących, ale dla jej syna było wysoce męczące: bez chwili odpoczynku wymieniał ukłony, a nawet uściski rąk, gdy trafiał się ktoś z serdeczniejszych znajomych.

Czy byłby kimś "aż takim" we Wiedniu? myślała matka.
I od razu musiała sobie odpowiedzieć, że nie. Teraz już na pewno nie, choć może i przedtem nie było na to szans. Arystokracja nie liczyła się już po wojnie tak jak dawniej... Po wojnie! powtórzyła w myśli, i wydawało jej się, że ta wojna dopiero co się skończyła, skoro wciąż się jeszcze o niej mówi, skoro wciąż odczuwa się jej skutki. Więc dopiero jest po wojnie, pomyślała z przestachem, a już...
- Mamo - odezwał się syn - przysiadę się na chwilę do Grabieniów. Muszę porozmawiać z nimi o schronie w kamienicy. To w końcu sprawa gospodarzy. Widzę, że są, więc nie będę musiał innego dnia tracić czasu na tę sprawę. I Marynka Blok z narzeczonym jest z nimi. Chciałbym się dowiedzieć, czy jej ojciec wrócił już z Warszawy.
- Posiedź z nami jeszcze chwileczkę - powiedziała matka z naciskiem.
- Dobrze - odrzekł, tłumiąc westchnienie. - Może zamówić coś jeszcze?
- Ja dziękuję - szepnęła panna Loewe.
- A mama?
- Ja wypiłabym kieliszek koniaku.
- Nie za gorąco na koniak? Może mazagran?
- Proszę o koniak. Kieliszek martela.
- Nie wiem, czy będą tu mieli.
- Mają. Piłam wczoraj.
- Raz martel! - zwrócił się Słubicki do kelnera. Wszędzie ciągnie za sobą tę dziewczynę, myślał. Wydaje jej się, że w ten sposób odżegnuje się od tego, co dzieje się w Wiedniu, a nawet, że jakoś to naprawia. Pokazywaniem się z nią w kawiarni w porze, gdy spotyka się tu najczęściej znajomych, afiszowaniem się ze swoją sympatią dla tej stenotypistki, z którą w końcu ludzie zaczęli go łączyć, skoro wciąż widują go w jej towarzystwie. Stara wariatka! pomyślał bez zwykłej czułości. Matka nieraz go niecierpliwiła. Ale zwykle znajdował łatwo usprawiedliwienie dla jej dziwactw. Teraz nie mógł go znaleźć. Siedział jak na szpilkach, a piękne oczy panny Loewe miast poprawiać, pogarszały jeszcze tylko tę sytuację: Każdy, kto spojrzy w nie z bliska, myślał, może nabrać przekonania, że łatwo stracić dla nich głowę.
- No więc masz już koniak! - ucieszył się zbyt wyraźnie, gdy kelner postawił przed matką kieliszek. - Pozwolisz teraz, że załatwię kilka spraw.
- Teraz? W niedzielę? I w kawiarni?
- To nie jest zwykła kawiarnia - uśmiechnął się.
- Większość spraw gdyńskich załatwia się właśnie tutaj.
- Wstał, odpowiedział chłodno na ukłon pewnego dziennikarza, który goniąc za sensacją dla swego pisma, węszył ciągle jakieś "afery" w życiu gospodarczym młodego portu, wyminiął w przejściu prokuratora, który całą nadzieję na swą karierę upatrywał głównie w śledzeniu przestępstw podatkowych, ukłonił się uroczej pani, żonie znanego lekarza, którą poznał w ubiegłym roku podczas rajdu samochodowego, i przywitawszy się po drodze jeszcze z kilkoma osobami, dotarł wreszcie do stolika Grabieniów.
- Znajdzie się tu jeszcze dla mnie miejsce? - zapytał, choć widział, że przy stoliku jest już i tak za ciasno.

- Ależ oczywiście! - zawołała Łucka, od razu cała w rumieńcach. Nieczęsto się jej zdarzało rozmawiać ze Słubickim, w dodatku nie na schodach, ale w kawiarni po niedzielnej mszy. - Wstań, Tomaszku! Zrób miejsce panu prezesowi.

- Ależ niech skończy lody - zaprotestował Słubicki, zajmując natychmiast krzesło zwolnione przez Tomaszka.

- Dzieci usiądą razem - zarządziła Łucka. - Julitko, posuń się!

Julitka niechętnie odstąpiła bratu brzeżek swego krzesła. Zlizwała krem z warg, wyprostowała się prowokująco i przechyliwszy głowę, zaczęła się przyglądać sąsiadowi z pierwszego piętra.

Słubicki zaś niespodziewanie zaczął:

- Mieszkamy w jednym domu, a właściwie się nie widzimy.

- Pan prezes taki zajęty... - szepnęła Łucka.

- Ach, nie dlatego - zaprzeczył. - Nie dlatego. A to przecież najmniejsza społeczność, ludzie z jednego domu... Ponieważ ani Łucka, ani tym bardziej Krzysztof me wiedzieli, co na to powiedzieć, trud poprowadzenia dalszej rozmowy wziął na siebie Wołodia.

- Najskuteczniejsze - zaczął, zdając sobie równocześnie sprawę z niewłaściwości tego, co mówi - dla zbliżenia sąsiadów byłoby organizowanie pokera wśród mieszkańców jednego domu.

Boże święty, pomyślała Łucka, co ten Wołodia wygaduje! Pan Słubicki i na przykład Joe-mikser! Albo jego siostra! Słubicki może także o tym pomyślał, bo milczał przez chwilę, ale w końcu uśmiechnął się do Wołodi, do którego miał słabość.

- Byłem pewny, mój drogi, że przede wszystkim to przyjdzie ci na myśl.

- Po prostu nie lubię się nudzić z ludźmi. A pula na stoliku w znacznym stopniu zastępuje inny rodzaj kontaktu.

- Włodek tak tylko mówi - wmieszała się panna Blok. Wpatrywała się w narzeczonego z zachwyconą zachłannością, która zawsze tak złościła Julitkę. - Bo on właśnie niesłychanie łatwo nawiązuje kontakty z ludźmi. Nawet mu tego zazdroszczę. Kiedyś wychodziliśmy z kina, i akurat padał ulewny deszcz, trzeba go było przeczekać w przedsionku, w tłumie, który tam się zebrał. Włodek już po chwili wiódł rozmowę prawie ze wszystkimi. Wiedział, czy film się podobał, kto czeka na autobus, a kto ma blisko do domu, mało brakowało, a zebrałby dane co do stanu zdrowia i zatrudnienia...

Roześmieli się wszyscy, a Krzysztof dodał, że tak było z Wołodia zawsze. Z wszystkimi potrafił się dogadać. Może ze sobą najmniej, ale tego nie powiedział już na głos. A ja, pomyślał Słubicki, czy przyszło mi kiedyś na myśl, żeby zatrzymać kogoś bodaj na schodach, zapytać, jak mu się wiedzie, czy nie ma kłopotów z pracą, ze zdrowiem? I oto przyszło na to, że trzeba się zatroszczyć o zdrowie wspólne, a więc i o własne także, zagrożone tak samo jak zdrowie tych z parteru, z drugiego, trzeciego, czwartego i piątego piętra. Nie znał nawet ich nazwisk, a okoliczność, w której mogłyby ich poznać osobiście, nie miała w jego rozumieniu cech

towarzyskich. Zdenerwowany tymi myślami, wypalił bez ogródek, choć przedtem miał zamiar uczynić to zręczniejsze:

- Schron trzeba wybudować w kamienicy, drodzy państwo.

Zapadło milczenie i słyhać było tylko smakowite mlaskanie Tomaszka, wylizującego do czysta krem z czarki.

- Myślałem o tym - powiedział wreszcie Krzysztof.

- Myślałeś o tym? - prawie krzyknęła ze-zdumienia Łucka.

- Tak, myślałem o tym, choć nie było jeszcze oficjalnego zarządzenia.

- Sądzę, że oficjalne zarządzenie zostanie wydane lada dzień - powiedział Słubicki. - Dobrze by było je ubiec.

-- Dlaczego... ubiec? - spytała pobladłymi wargami Łucka.

- Kiedy już wszyscy się do tego wezmą, może na przykład zabraknąć cementu.

- Cementu?

- Chodzi głównie o cement i żelazo. Strop schronu powinien być żelazobetonowy. Sądzę, że strop piwnicy jest za słaby, a poza tym...

- Co poza tym?

- ...poza tym schron w piwnicy jest niebezpieczny ze względu na możliwość zawalenia się domu.

- Zawalenia? - powtórzyła Łucka. Mimowolnym gestem chwyciła Julitkę i Tomaszka za ręce, przyciągnęła zdumione dzieci do siebie. To po raz pierwszy usłyszane i wymówione słowo dudniło jej w głowie jak uderzenia młota. Więc mógłby się zawalić dom, wzniesiony na polu jej ojca w najpiękniejszym miejscu południowo-zachodniego stoku Kamiennej Góry, mógłby paść, grzebiąc wszystkie ich nadzieje na bezpieczeństwo pod swoim dachem, na cały dobry los, który miał ich w nim czekać? - Nie! - - szepnęła.

- To niemożliwe.

- Przepraszam, że zacząłem o tym mówić - spieszył się Słubicki. - Jednak... strzeżonego Pan Bóg strzeże. Może wszystko się jeszcze rozwieje, ale przygotowani być musimy. Ty, braciszku, pomyślał Wołodia po raz pierwszy bez żadnej przychylności dla swego partnera od kart i przyjaciela przyszłego teścia, wsiądziesz w samochód, naciśniesz gaz i za dwadzieścia godzin znajdziesz się w Wiedniu, a ja na Gryfie, który na zatoce ma szybkość krowy na pastwisku, ja będę stał przy boforsach i czekał, żeby mi jakaś kanonierka niemiecka weszła pod strzał... Urwał tę myśl z uczuciem niesmaku do samego siebie. Bo jeśli tak myślał o Słubickim, to znaczy, że sam się bał.

- Zajmę się tym w najbliższych dniach - powiedział Krzysztof.

- To może ja już nie będę u dziadka? - odezwał się Tomaszek.

- Właśnie świetnie się składa, że jesteś u dziadka - przerwała mu matka.

- Dlaczego? - obraził się chłopiec. - Mógłbym pomóc tatusiowi.

- Ja pomogę. Ja się na tym znam! - Julitka powiodła po wszystkich triumfującym wzrokiem. - Przechodziliśmy to na szkoleniu. Schron przede wszystkim trzeba uszczelnić.

- Akurat! - krzyknął Tomaszek. - A powietrze?

A dostęp powietrza?

- I tak będziemy musieli znaleźć jakiegoś majstra - pogodził dzieci Krzysztof. Po raz pierwszy odczuł, jaki to długi, a równocześnie jaki krótki czas upłynął od ich urodzenia.

- A co słyhać w Warszawie? - zwrócił się Słubicki do narzeczonej Wołodi. - Ojciec przyjechał?

- Niech pan sobie wyobrazi, że nie. Widocznie nie załatwił nic w Ministerstwie Skarbu i zdecydował się zostać na poniedziałek.

- Prawdopodobnie nie dostał się do dyrektora departamentu. We łbie się tym dygnitarzom poprzewracało! I wciąż nas traktują jak oszukujących państwo krętaczy. - Słubicki rozejrzał się po sali, jakby mówił w imieniu wszystkich siedzących tu prezesów spółek, dyrektorów i właścicieli przedsiębiorstw transportowych, maklerów i kupców, przez których ręce przechodził cały obrót morski, całe bogactwo i znaczenie tego miasta. - Najgorsze są sprawy celne i podatkowe, nie mówiąc już o socjalnych. O, spójrzcie tylko państwo! - mówił głównie do Grabieniów i Wołodi, bo dla Marynki Blok te sprawy nie były nowością. - Pod ścianą siedzi prokurator, nie ma jeszcze trzydziestki, ale w swoim przekonaniu zna się doskonale na transporcie morskim, na prawie celnym i kilku jeszcze innych sprawach, których poważnie traktujący rzecz ludzie uczą się przez całe życie, w trudniejszych wypadkach zasięgając rady specjalistów w danej dziedzinie. A chłopaczkowi się zdaje, że ma to wszystko w małym palcu, i niech no tylko jakiś pismak z braku mordu lub gwałtu wysmaży jakąś aferę gospodarczą, akt oskarżenia gotowy. Aż się dziwię, że w kawiarni tak tłoczno i połowa ludzi jeszcze nie siedzi. Może dlatego, że teraz ci panowie co innego mają na głowie. Na szczęście te procesy kończą się na ogół fiaskiem, bo w sądach apelacyjnych siedzą jeszcze ludzie, którzy nie są tak szczeniacko zacierzwieni i potrafią interpretować przepisy w nie zadławiający gospodarki sposób, ale wrzawa rozchodzi się szeroko, i dla kogo stąd korzyść? Dla firm Wolnego Miasta! Szermują na rynkach światowych swoją moralnością kupiecką, jakże nieskazitelną przy zgoła podejrzanej reputacji ich polskich konkurentów. To jeszcze nie wszystko. - Słubicki przerwał swój wywód i skinął na kelnera, żeby mu przyniósł kawę. Na ogół nierozmowny, teraz się rozgadał, co Łuckę i Krzysztofa wprawiło nieomal w zakłopotanie, zwłaszcza że dzieci zaczęły się już kręcić na wspólnym krześle. - Nie wszystko! -- powtórzył, podejmując na nowo przerwany wątek. - Pod drugą ścianą siedzi redaktor Rusinek. On nie goni za sensacją, afery gospodarcze to temat nie dla niego, dla niego główną aferą w Gdyni są slumsy na peryferiach, szczury i wszy, które jedzą robotników, bezrobocie i choroby... Co tydzień można coś takiego przeczytać w Robotniku albo w Walce Ludu. Oczywiście jest to adresowane przede wszystkim do rządu, .ale i do sfer gospodarczych Gdyni także. I nie postawi taki pan pytania: czego trzeba było Gdyni najpierw: mieszkań dla robotników czy magazynów portowych, ogródków jordanowskich czy taśmociągów i wywrotnic wagonowych do węgla, stołówek i ambulatoriów czy dźwigów? O to taki pan nie zapyta. Jemu potrzebna

jest popularność wśród robotników, i on o to nie spyta.

A przecież magazyny, dźwigi i wywrotnice to warsztat pracy dla tych robotników. One stanowią o tym, że te puste nabrzeża stały się żywym portem. Nam też by odpowiadała taka idealna sytuacja, w której byłoby nas stać i na urządzenia portowe, i na mieszkania dla robotników, ale od chwili rozpoczęcia budowy portu mija przecież dopiero piętnaście lat! A cóż to jest piętnaście lat?

Dzieci na krześle coraz wyraźniej zaczynały się kręcić.

Julitka, wiedząc, że matka jej nie skarci, bezceremonialnie rozglądała się po sali. Głównie oficerowie przyciągali jej wzrok, ale ponieważ żadnego z nich nie mogła sprowokować do spojrzenia, odwróciła się ku Tereszkom i wymieniała od czasu do czasu porozumiewawcze uśmiechy z Wisią. I to jednak wkrótce się jej sprzykrzyło.

- Głupia! - parsknęła nagle.

- Kto? - zgromił ją Krzysztof.

- Wiśka! Wciąż siedzi w tych rękawiczkach.

- Nie przeszkadzaj. Słyszysz chyba, że rozmawiamy o poważnych sprawach.

Skarciwszy córkę, Krzysztof przyłapał sam siebie na tym, że rozmowa ze Słubickim nie wydawała mu się tak interesująca, jak to sobie - nader rzadko dostępując zaszczytu rozmawiania z nim - wyobrażał. I to nie dlatego, że prezes wyrażał się z sarkazmem o Rusinku, którego Seweryn darzył najwyższym szacunkiem, a we wszystkich tych sprawach Seweryn był ciągle jeszcze dla Krzysztofa wyrocznią, ale dlatego, że zawsze uważał, iż piętnaście lat to dużo dla tych, którzy głodują i czekają, mokną i czekają, marzną i czekają na coś, co nawet nie zaczęło się jeszcze zbliżać. Po raz nie wiadomo już który doświadczał cichej satysfakcji, że mimo namów Łucki nie przeniósł się do żadnej z firm portowych ani też nie zdecydował się na założenie własnego przedsiębiorstwa, tylko nadal siedział na tej swojej skromnej posadzie, absolutnie pewny słuszności swojej decyzji. Oddychał przeto swobodnie, słuchając oburzonych wywodów Słubickiego, wcale nie przekonany co do tego, czy ów młody prokuratorzek rzeczywiście nie zna się na prawie podatkowym, czy też nie ma racji, podejrzewając niektórych o finansowe kręactwa. Być może jestem niesprawiedliwy, pomyślał, ale nie mam ochoty zastanawiać się nad tym. Od jutra miał budować schron na podwórzu kamienicy - co w obliczu tego faktu mogło mieć jeszcze swe dawne znaczenie? Ale jednak jak Julitka przed chwilą ku Tereszkom, tak on zerkał teraz ku stolikowi, przy którym siedzieli oficerowie, a z nimi Karolinka Wolska, w jakimś czasie dawno minionym jego Karolinka, a teraz pani majorowa czy pułkownikowa; nie było najmniejszego sensu zastanawiać się nad tym, który z towarzyszących jej mężczyzn jest jej mężem, a przecież usiłował to w jakiś sposób odgadnąć i widział, że ona także rada by wiedzieć, czy siedzące przy stoliku dzieci są jego dziećmi, a ich matka jego żoną. Nachylił się więc raz i drugi ku Łucce, żeby wyjaśnić tę wątpliwość, szczęśliwy, że może się pochwalić nie tylko nią, ale i towarzystwem, w którym go była panna Wolska po tylu latach niewidzenia zobaczyła.

Gdy wojskowe towarzystwo zaczęło wstawać od stolika,

Poprzez spodnie czuł jego ciepło, zaczepny, obiecujący ucisk. Mimo to powiedział:

- -Dziś mam służbę na okręcie.

- W niedzielę?

- Na służbę nie ma niedzieli. Tak mi przykro, skarbie.

Rozmawiali szeptem. Marynka samym końcem warg, mimo to Krzysztof, pożegnawszy Słubickiego, usłyszał jeszcze koniec ich rozmowy. Nic go to wprawdzie nie obchodziło, ale postanowił dać Wołodi nauczkę.

Wolny stolik obok został już dawno zajęty przez jakieś dwie pary, najwidoczniej małżeństwa, bo panie, znudzone, rozglądały się wciąż po sali, a panowie nie przestawali mówić o interesach, o frachtach, cłach, preferencjach, aukcjach, kontyngentach importowych i podatkach. I tak w gwar tych rozmów, zwykłych w tym lokalu, wkroczył nagle człowiek, który najwyraźniej był tu po raz pierwszy.

Stał w progu, niezbyt wysoki, w mundurze pułkownika piechoty, otarł chustką czoło, które okazało się mokre od potu po zdjęciu czapki, i speszony nieco brakiem miejsc, rozejrzał się po sali, a potem ruszył w jej głąb, przeciskając się między stolikami.

Krzysztof, który dostrzegł go pierwszy, zerwał się z krzesła.

- Proszę, panie pułkowniku - powiedział. - Jest stolik. Właśnie wychodzimy.

Podnieśli się wszyscy, nie pytając o nic, a pułkownik, niemłody już człowiek, jak się okazało z bliska, podziękował im uśmiechem i zajął wolne miejsce.

- Myślisz, że to on? - spytał Wołodia Krzysztofa, gdy wyszli już na ulicę.

- Może on - odpowiedział.

Stali przez chwilę przy dużej szybie, przez którą było widać cały lokal, i starali się go jeszcze zobaczyć, ale wciąż ktoś go im przesłaniał. Ludzie wstawali i krążyli między stolikami, witali się ze sobą, rozmawiali, nikt nie zwracał na pułkownika uwagi i nikt nie wiedział, kto to jest.

Powinni byli to przeczuć - ale nie przeczuli.

IX

Różany Gaj był najbardziej malowniczo usytuowanym pensjonatem na Kamiennej Górze. Położony wysoko na południowym jej stoku, przez cały dzień miał wszystkie okna i balkony w słońcu. Ogród, schodzący tarasami w dół, był prawdziwym różanym gajem. Kwitły tu wszelkie odmiany róż; pnące podpalały czerwono cały budynek aż powyżej okien parteru, pięły się po ściankach altany i kratownicach rozpiętych nad alejkami pergoli, niskie tworzyły wielobarwne rabaty, nad którymi unosił się rój os, pszczoł i trzmieli. Tego niedzielnego popołudnia, kiedy Krzysztof postanowił zacząć się tu na Wołodię, nagrzane słońcem zbocze buchało natarczywą i duszną wonią róż, ziół i traw. Działo się to usypiająco i trzeba było dużej siły woli, żeby nie zdrzemać się na kamieniu, doskonale osłoniętym przez krzewy, a będącym równocześnie dogodnym miejscem obserwacyjnym. Sam nie zauważony, mógł Krzysztof widzieć stąd całą ścieżkę, która prowadziła do pensjonatu. Wyobrażał sobie minę Wołodi, gdy go na niej zaczepi, wyłoniwszy się niespodziewanie zza krzaka.

Może sobie tylko ubzdurał, że on tu przyjdzie, ale była to

jednak bzdura nie pozbawiona cech prawdopodobieństwa.

"Tak mi przykro, skarbie!" powtórzył w myślach słowa Wołodi do narzeczonej, przedrzeźniając go, bo przypomniał sobie podzielony na pół uśmiech byłej panny Wolskiej i jej zalotne, również nie tylko do niego skierowane spojrzenie. Czy trzeba było jeszcze czegoś więcej, żeby powziąć podejrzenie?

Nic go to oczywiście nie powinno obchodzić i, do diabła! nie obchodziło go wcale. Nie miał ochoty pokłócić się z Wołodią o kobietę, której nie widział od piętnastu lat i o której chyba także przez piętnaście lat ani razu nie pomyślał. A jednak zależało mu na tym, żeby Wołodią do niej nie poszedł, żeby zatrzymał się tu na tej ścieżce, żeby razem z nim z niej zawrócił.

Dlaczego mu na tym zależało? Dlaczego siedział tu i czekał na niego, nie mając nawet pewności, czy przyjdzie? Nie bez trudu wydostał się z domu: musiał okłamać Łuckę (zdarzyło mu się to bodajże po raz pierwszy w życiu), że idzie do Seweryna i razem z nim na Grabówek, żeby się zorientować w panujących tam nastrojach. Niedziela była dniem rodzinnym i zwykle spędzali ją razem z dziećmi, toteż Łucka z bolesnym zdziwieniem przyjęła jego decyzję, zwłaszcza że mama Konkowa wybierała się z Anulą do kościółka w Kołibkach, gdzie tego dnia miały być jakieś uroczyste nieszpory przed obrazem Matki Boskiej Piaśnickiej - do obrazu tego, ufundowanego przez Marysienkę Sobieską, miała Konkowa specjalne nabożeństwo i za nic nie zostałaaby tego dnia w domu. Na Łuckę zatem spadł obowiązek pilnowania "chałupy", bo od początku uważali, że zawsze ktoś z gospodarzy powinien być w kamienicy. Nie była więc w najlepszym humorze, gdy wychodził, i to jej niezadowolenie potęgowało jeszcze w nim złość na Wołodię, bo ten w dodatku wcale się nie zjawiał.

Przetaczające się już na zachód słońce przygrzewało coraz. łagodniej, znad morza ciągnęli, objuczeni torbami i płaszczami kąpielowymi, ostatni plażowicze, w Domu Zdrojowym po przeciwległej stronie ulicy rozpoczynał się popołudniowy fajf - orkiestra grała już jakieś powolne tango. Krzysztof poprawił się na swoim kamieniu, bo brała go senność; żeby się przed nią obronić, zaczął się rozglądać wokoło, po zatoce, która wydawała mu się dziś dziwnie mała między redami Gdańska i Gdyni, po redłowskim wzgórzu, schodzącym ostrym klifem w morze, i po zboczach, na którym siedział, owiewanym coraz ostrzejszym aromatem różanoziołowych woni. Gdzieś tu miała być ta parcela, którą papa Blok kupił dla swojej córki i Wołodi. Będzie miał dobrą wymówkę, jeśli naprawdę się tu zjawi: zacznie kręcić, że przyszedł ją obejrzyć. "No dobrze - powie mu na to - a dlaczego sam? Dlaczego bez narzeczonej, której powiedziałeś, że masz służbę na okręcie?" Wiódł sam ze sobą tę rozmowę, coraz mniej nią zajęty, bo w myśl o Wołodi i wiarołomnej żonie majora czy też pułkownika zaczęła wkradać się inna, napływająca wraz z widokiem morza ku któremu znowu zwrócił głowę. To miało się zacząć stamtąd, od strony Wolnego Miasta. Stamtąd nadpłyną okręty, nadlecą samoloty... Na wzniesieniu, na którym siedział i skąd tak rozległy roztaczał się widok, miast róż powinna być płyta żelbetowa

z posadowioną na niej baterią, która obejmowałaby swoim zasięgiem całą zatokę. Ale róże posadził jakiś ogrodnik za kilkanaście złotych, a na baterię trzeba by było kilkunastu milionów...

Na dole zazgrzytał żwir pod spiesznymi krokami. Krzysztof zaczął się za krzakiem i poszukiwał w popłochu sposobu, w jaki można by najłatwiej obrócić całą tę historię w żart, gdy u wylotu ścieżki ukazała się zadyszana dziewczyna z pasiastym ręcznikiem, przerzuconym przez ramię. Potem przeszło jeszcze kilka osób -jakiś młody człowiek z rakietą tenisową, starsza para, zatrzymująca się co kilka kroków dla nabrania oddechu, dwie smarkule pod opieką guwernantki. Krzysztof czuł się ośmieszony przed samym sobą, ale przyjął to z radosną ulgą. Wołodia musiał mieć naprawdę służbę na okręcie, a więc nie okłamywał narzeczonej, uśmiech Karolinki Wolskiej zaś nie był podzielony na pół: z przeznaczeniem dla niego i dla Wołodi. Stary byku, mówił do siebie, że też teraz, w obliczu tego, co każdej chwili może się zacząć właśnie tu, w tej zatoce, przychodzą ci do głowy takie pomysły! Wstydu nie masz i Boga w sercu! Zaczął nadśledzać, czy nikt nie nadchodzi, żeby bez wzbudzenia sensacji móc opuścić swoje stanowisko, ale wtedy właśnie u wylotu ścieżki zobaczył Wołodię. Biegł pod górę, najwidoczniej spóźniony, z odkrytą głową i czapką w ręku, rażąco dostrzegalny w tym swoim białym mundurze na tle zieleni. Krzysztof, przed chwilą już zupełnie rozbrojon, teraz dopiero poczuł przypływ prawdziwej wściekłości na niego. Wyszedł ze swojej kryjówki i zastąpił mu drogę.

- Więc jednak - powiedział.

- Co jednak? - zapytał Wołodia, zanim, zwrócony pod ostre światło zachodu, poznał Krzysztofa. - Co ty tu robisz? - zawołał zdumiony.

- A ty?

- Co ja? No tak... przechodziłem właśnie tędy... A niech cię wszyscy diabli! - Wołodia trzepnął Krzysztofa w piersi, i obydwa roześmieli się na całe gardło, aż przechodnie w dole zwrócili ku nim głowy. - Niech cię wszyscy diabli!

- powtórzył Wołodia. - Skąd wiedziałeś, że tu przyjdę?

- Tak zwane przeczucie - odpowiedział Krzysztof, kiwając z politowaniem głową.

- No, nie miej od razu takiej miny! Powiedziałem ci... te panie się nudzą. Szkoda, żeby się nudziły takie ładne panie. Mężowie zajęci są teraz czym innym...

- Wołodia!

- Skąd mogłem wiedzieć, że się kiedyś w niej kochałeś?

- To nieważne.

- No więc czemu tu przyszedłeś, żeby na mnie czekać?

- Sam nie wiem. - Krzysztof cofnął się do swojej zielonej kryjówki, usiadł na kamieniu. Wołodia, zerkając na zegarek, przysiadł się do niego.

- Sam nie wiesz - powtórzył za nim.

- Nie. Chyba nie. Teraz nie wiem. Przedtem zdawało mi się, że powinienem do tego nie dopuścić... ze względu na ciebie... na nią... na tamtego człowieka. Siedzi gdzieś z wojskiem w jakiejś dziurze...

- Słuchaj - przerwał mu Wołodia poważniejąc - już raz kiedyś zepsułem sobie szmat życia czymś podobnym.

I nie chcę już sobie zepsuć ani godziny. Pamiętasz Briffauta?

- Czy pamiętam...

- I Anetkę oczywiście też, jego żonę. Ze względu na niego... co ja ci zresztą będę mówił, sam się chyba wszystkiego domyślałeś, i wtedy, i potem... oddaliłem ją od siebie, wyrwałem ją z siebie jak kawał serca. Bo nie chciałem, żeby był ośmieszony; budował port, to dla mnie wtedy wiele znaczyło, to dla nas znaczyło wszystko. W ciągu następnych lat nieraz zadawałem sobie pytanie, czy to miało sens; czy jest dla niej dobry, czy mu się nie znudziła, czy nie przestało mu na niej zależeć, podczas gdy ja palce gryzę po nocach... Tak długo nad tym rozmyślałem, że kiedy w końcu wysłali mnie do Francji na trzy lata, bałem się do niej zadzwonić czy napisać. W dni wolne od zajęć inni koledzy szli się zabawić, i nietrudno im było o to, Francuzki za nami przepadały, a ja zamiast robić to samo, jechałem do Paryża i krążyłem koło jej domu jak wariat, żeby ją zobaczyć.

- Zobaczyłeś?

- Raz. Z daleka. Wsiadała z ojcem do auta przed domem. Z Briffautem nie widziałem jej nigdy. Zacząłem nawet myśleć, że się rozwiedli.

- I nie starałeś się z nią zobaczyć?

- Po co? Wiedziałem przecież, że wystarczy, aby gwizdnęła tylko na mnie, a zostanę we Francji. A to by była dezercja.

Wołodia zapalił papierosa i umilkł na długą chwilę. Na statkach stojących na redzie Wolnego Miasta zabłyśły pierwsze światła. Od morza powiało chłodem zmierzchu.

Wołodia włożył czapkę na głowę, zerknął na zegarek.

- Nie sądziłem, że kiedykolwiek w życiu komuś o tym powiem. Było, minęło. Wydobyłeś ze mnie to wyznanie, bo nie miałem żadnego innego argumentu, żeby ci udowodnić, że już nie do mnie to gadanie. Ze względu na niego! Stoi gdzieś z wojskiem! A ja będę stał na swoim okręcie. Zarówno on, jak i ja już jutro możemy nie żyć. Bo jego zasypia gdzieś w okopie, a mnie utopia jak szczeniaka w kubie. Co może w takiej sytuacji znaczyć kobieta?

- Nie mówisz tego poważnie.

- Nie? - Wołodia zdusił obcasem ledwie zapalonego papierosa. - Być może.

- A poza tym... - Zaczął Krzysztof ostrożnie; wciąż bał się, że wyda się Wołodi śmieszny - poza tym... masz narzeczoną.

- To zupełnie inna sprawa.

- Jaka inna?

- Przede wszystkim ty powinienesz wiedzieć jaka. Dlaczego chcesz być ode mnie lepszy? -

- Nie rozumiem - powiedział Krzysztof. - Ja?

- Sam się ożeniłeś z dziewczyną nietkniętą jak jej wykrochmalona koszula. Opowiadałeś mi przecież, nie będziesz się teraz tego wypierał. Czy myślisz, że komuś takiemu jak ja też się nie może to zamarzyć?

- Wołodia! - roześmiał się Krzysztof prawie nietakownie, ale równocześnie jakby czule i z pokrywanym przez śmiech wzruszeniem. Wciąż bał się, żeby nie ośmieszyć się przed przyjacielem.

Tymczasem ten bał się o to samo. Siedział obok zmieszany

swym wyznaniem, zarumieniony pod opalenizną jak Tomaszek, gdy przyłapywało go się na czymś, o co by go nikt nie podejrzewał.

- Dałem sobie słowo - powiedział, starając się odzyskać swój dawny ton - że inaczej się nie ożenię. Wykrochmalona koszula, niepokalane prześcieradło, niepokalana panna młoda... Nawet jej to powiedziałem.

- Oszalałeś!

- Możliwe. Ale wciąż mnie zamęcza, że jej nie kocham.

Więc powiedziałem jej, że chcę, żeby wszystko odbyło się jak u ludzi.

Krzysztof uwielbiał takie rozmowy z Wołodia. Już zapomniał, po co tu przyszedł i dlaczego tu siedzą, a także i o tym, że nie mają już obaj po dwadzieścia lat, że daleko za nimi jest ten czas, kiedy wszystko można było obracać w żart.

- I co? - zapytał z zaciekawieniem, jakby nie miał żadnych innych problemów. - Co ona na to?

- Ona zapytała, co to znaczy "jak u ludzi"?

- Co jej odpowiedziałeś?

- Właśnie to: wykrochmalona koszula, niepokalane prześcieradło, niepokalana panna młoda...

- Obraziła się?

- Dlaczego miałyby się obrazić? Co ty sobie myślisz? Ale jednak... jakby się trochę zmieszała. I zapytała, czy to nie... mieszczańskie?

- Mieszczańskie?

- Tak.

- I co odpowiedziałeś?

- Odpowiedziałem: moja droga, mieszczaństwo ma swoje uroki.

- Przyznała ci rację?

- Nie wiem. Nie dopytywałem się o to. Widzisz, trwanie przy swoich ideałach wymaga czasem okrucieństwa. Gdybym pozwolił się zagadać, ba! gdybym się wzruszył... Znowu się śmiali, a przechodnie w dole podnosili głowy i penetrowali wzrokiem czerwono, różowo i biało rozkwitłe zbrocze, z którego wciąż buchała woń nagrzanym słońcem kwiatów, traw i ziół.

- Słuchaj no - powiedział nagle Wołodia - a skąd ty wiedziałeś, że jeśli mnie tu przyłapiesz, uda ci się mnie zatrzymać? Bo byłeś tego pewny, tak?

- Prawie.

- A to kawał sukinsyna z ciebie!

- Ze mnie? - spytał niewinnie Krzysztof.

Wołodia spoważniał.

- Przyznaj się, chcesz ją zobaczyć?

- Ja? - zdumiał się Krzysztof szczerze.

- Ty. I dlatego tu przyszedłeś. Najpierw poczęstowałeś mnie bajeczką, że to ze względu na mnie, na nią, na tamtego człowieka, który trzęsie się teraz w gaziku, jadąc do swego wojska, a przez cały czas marzyło ci się co innego.

- Ależ ja ci daję słowo honoru... - zaczął Krzysztof żarliwie.

- Nie dawaj, nie dawaj. Idź lepiej do niej!

Krzysztof pokręcił głową.

- Przecież czeka na ciebie!

- Nieważne. Jesteśmy dorosłymi ludźmi. Zresztą wobec

tego wielkiego wstrząsu, który wszystkim zatarga, co może się nam jeszcze wydawać ważne? Ciągłe jeszcze panicznie trzymamy się dawnych spraw, dawnych wyobrażeń, Boże święty, nawet dawnych nadziei... - Wołodia zapatrzył się w morze i zamilkł na długo. - Wiesz, co jeszcze pozostało ważne? - odezwał się wreszcie. - Chyba tylko ta pamięć, która kazała ci tutaj przyjść. Pamięć o czymś, co przechowujemy w duszy jako własną czystość. I siłę zaczerpniętą u źródła. Bo przecież tobie nie o tę kobietę chodzi, ale o tamten czas i o tamto miejsce, które ci się z nią wiąże. I dlatego możesz iść do niej, chociaż czeka na mnie.

Krzysztof milczał.

- No! - powiedział Wołodia. - Przyznaj się do tego wszystkiego przed sobą. Przede mną nie musisz. Odwagi! Kiedy indziej bym się na to nie zdobył, ale dzisiaj...
- Patrzył na morze, na świetliste wtapianie się zatoki w horyzont. - Kiedy indziej nie - powtórzył - ale dzisiaj...
- Wstał, obciągnął mundur, poprawił czapkę na głowie.
- Idź! - powiedział. - W tamten czas i w tamto miejsce!

Idź tam!

Krzysztof podniósł się także z kamienia. Zaschło mu w gardle, w głowie czuł zamęt.

- Jakże ja... - zaczął.

- Chłopie! - parsknął Wołodia zniecierpliwiony.

- Gdybym ja mógł w tej chwili dotknąć ręki człowieka, który przyniósłby mi moją młodość! Przecież ona ci ją właśnie przynosi! Powiedz, miała warkocze ze wstążkami na końcach? Biegła skacząc przez strumienie i powalone drzewa? Przystawała, żebyś usłyszał, jak jej ze zmęczenia serce bije?

- Tak! - zawołał Krzysztof. - Tak!

- No więc idź tam! Na co czekasz? Przecież chcesz to jeszcze raz zobaczyć! Spiesz się! Ona tam jest. Daję ci ją z tym wszystkim, co dla ciebie znaczy.

Pobiegł, rzucił się w górę ścieżki, nie obejrzawszy się już nawet na Wołodię. Serce waliło mu w piersi, w płucach brakło tchu. Tak, nosiła warkocze ze wstążkami na końcach, biegła skacząc przez strumienie i powalone drzewa, przystawała, żeby usłyszał, jak jej ze zmęczenia serce bije... Była każdą z kobiet, które później kochał. Łucka w wykrochmalonej na noc poślubną koszuli, panią Heleną, której nigdy nie tknął, była tym wszystkim, o co chciał walczyć, co chciał zdobyć, na co zbierał w sobie siły. I była letnim deszczem pod ledwo co rozwiniętymi liśćmi drzew, tęczą przerzuconą nad jakąś wysokością i dala, czystym dźwiękiem, który się wciąż powtarzał powracającym z głębi duszy echem...

Zapukał do drzwi pensjonatu, choć były otwarte i ukazywały długi, biały korytarz. Zapukał i czekał. Wydawało mu się, że usłyszy zaraz głos matki albo ojca, że gdzieś blisko rozlegnie się tupot nóg jego młodszych braci, zaszczeka pies, który go zawsze witał, gdy wracał ze szkoły, zaskrzypi furka... Więc to było to, Wołodia miał rację, po to tu przyszedł w obliczu... W obliczu czego?

Pokojówka w białym fartuszkach musiała już dłuższy czas stać przed nim, bo głos miała lekko zniecierpliwiony, kiedy ją wreszcie usłyszał:

- Pan do kogo?

Dopiero teraz, otrzeźwiony tym tonem, zdał sobie w pełni sprawę z tego, w jak wysoce kłopotliwej znajduje się sytuacji. Nie znał nazwiska kobiety, której zamierzał złożyć wizytę, a w dodatku oczekiwała ona kogoś innego.

- Przyszedłem do pani Karoliny... - wymamrotał.

- Do pani Buczackiej? - powiedziała dziewczyna.

- Tak... do pani Buczackiej - potaknął skwapliwie.

- Dziewczyna przyglądała mu się z zaciekawieniem.

- Pani Buczacka kazała pana przeprosić. Źle się czuje i nie może pana przyjąć.

- Ach tak? - wyszeptał z obezwładniającą go radością.

- Źle się czuje i nie może przyjąć...

- Co w tym wesołego? - Dziewczyna wzruszyła ramionami. Przyglądała mu się coraz bardziej podejrzliwie.

A w nim wszystko śpiewało z radosnego triumfu. Więc nie czekała na Wołodię! Nie chciała go widzieć! Wyszarpnął z portfela wizytówkę i wepchnął ją w dłoń pokojówki.

- Mnie przyjmie - wyszeptał. - Mnie na pewno przyjmie.

- Co to znaczy: pana przyjmie? Przecież właśnie panu kazała powiedzieć... - Dziewczyna stała w progu niezdecydowana.

Krzysztof usiłował pchać ją wzrokiem w głąb korytarza, nakazać jej pośpiech, jak najpilniejszą niezwłoczność i natychmiastowość.

- Proszę zaraz oddać tę wizytówkę - mówił gorączkowo. - Proszę! Bardzo proszę!

Poszła, nieufnie oglądając się za siebie. Został w progu, wsparty o futrynę, jakby mu sił zabrakło, jakby się bał, że upadnie. Skąd ta woń? Skąd ten zapach skoszonego siana, schnącej w słońcu koniczyny, nie odczuwany w żadnym innym miejscu i w żadnym innym czasie aromat lat, które przeżył najsilniej, bo świeżymi, najbardziej chłonnymi zmysłami?

- Pani Buczacka prosi - obwieściła w połowie korytarza pokojówka, nie wiadomo dlaczego obrażonym głosem.

- Pani prosi! - powtórzyła, gdy wciąż jeszcze nie ruszał się z miejsca.

- Dziękuję - powiedział.

Szedł przez korytarz długo. Było to zaledwie kilka metrów, ale szedł przez rozległe jakieś widoki, przez omamienia, przez szczęśliwy obłąd. Karolinka, którą zastał nad otwartą walizką, była granicą tego wszystkiego.

Powiedziała: - Cieszę się, że przyszedłeś.

Powiedziała to bardzo zwyczajnie i po prostu. Wrzuciła do walizki ostatnią rzecz, która pozostała jej jeszcze do wrzucenia, zamknęła ją i spojrzała na niego swym najdawniejszym spojrzeniem, w którym nie było jeszcze wyniosłości z późniejszych lat, nie było tego obrzydzenia, jakie wywołał w niej widok wiadra z kaszanką w jego rękach, kiedy był posługaczem u rzeźnika, a ona panienką ze dworu, przybyła do miasta na egzamin.

- Bardzo się cieszę - powiedziała jeszcze raz. - Naprawdę!

Nie zapytała, skąd się dowiedział, że tu mieszka, nie

wspomniała o spotkaniu w kawiarni, zarówno z nim, jak i z kapitanem, którego poznała na plaży i który mógł mu podać jej adres. Odrzuciła to wszystko i od razu przestało istnieć, zmazane jej obojętnością.

- Cieszę się, że przyszedłeś. Właśnie wyjeżdżam. - Oczy miała czerwone jak po niedawnym płaczu.

- Dlaczego... tak nagle?

Spuściła głowę.

- Przyjechałam, żeby być bliżej męża, żeby się z nim widywać, a to jest niemożliwe. Tylko w niedziele przed południem może tu do mnie przyjeżdżać, ale nie wiadomo, czy dziś nie było to ostatni raz. Po co więc mam tu siedzieć, samotna kobieta? W tej sytuacji byłoby to nawet dziwne... Nic nie mówił, więc ciągnęła dalej, sprawdzając zamknięcie walizki:

- Pojadę do Rabki, zabiorę dzieci, które tam zostawiłam, i pojedziemy na resztę lata do Zaleszczyk. Mąż mówi, że tam najbezpieczniej.

- Najbezpieczniej - powtórzył za nią.

- Ty też tak sądzisz? Wiele osób to mówi. Słuchaj

- zaczęła nagle zupełnie innym tonem, jakby pytała o inny świat - dawno byłeś u nas na wsi?

- Dawno - odpowiedział ze wstydem. - Przed dwoma laty. Zeszłego roku rodzice mnie odwiedzili, więc nie musiałem tam jechać... - urwał, ugodzony słowami, które wybrał na usprawiedliwienie (najgorsze, jakie tylko mógł wymyślić) swojej długiej nieobecności w miejscach, o których się nie pamiętało i których się nie odwiedzało nawet myślą w czas spokojnej i zadufanej w siebie teraźniejszości. Nie musiałem

- jakże mógł tak powiedzieć?

- Nie musiałeś - powiedziała Karolinka, biorąc od razu na siebie połowę ciężaru tych słów. - I ja nie musiałam, skoro po śmierci matki brat majątek wydzierżawił, a dzierżawca jest sumienny i punktualny w wywiązywaniu się ze swoich obowiązków. Nie było przecież żadnego praktycznego powodu, żeby tam jeździć. A jednak... - patrzyła nań z dobrotliwą wyrozumiałością, z uśmiechem jakby odległym i nie zwróconym do niego - ...jednak obydwoje myślimy teraz przede wszystkim o tym, że byliśmy tam kiedyś razem. - Tak-powiedział cicho.

- Czy wiesz, kiedy coś takiego człowieka nawiedza?

7 - Tak trzymać t. II 193

- Wiem.

Karolinka usiadła obok niego na kanapce, na której mu przedtem wskazała miejsce, wygładziła suknię na kolanach i zatrzymała na nich ręce w nie dokończonym i przerwany z niewiadomego powodu ruchu.

- Kochałeś mnie kiedyś, a mnie to cieszyło, byłeś moją pierwszą zdobyczą i za bardzo cię za nią uważałam, żeby cię nie skrzywdzić. Wybacz mi to. Nie powinno ci to sprawić trudności, skoro oboje traktujemy teraz rzecz całą prawie jako niebyłą, skoro oboje myślimy przede wszystkim o tym... Nie dokończyła, nie powiedziała, o czym myślała, a on o to nie zapytał, przekonany, że ona naprawdę wie, że odgadła...

- Cieszę się, że się spotkaliśmy - zaczęła znów po długim milczeniu. - Że wiem, gdzie jesteś i co się z tobą dzieje. Brakowało mi tego w ciągu tych wszystkich lat.

Znowu się nie odezwał. Patrzył na nią i zastanawiał się, co takiego zaszło po południu, że była tak odmieniona, inna niż w kawiarni, zupełnie inna niż ta, którą zapamiętał. Roziskrzona dziewczęcość Karolinki, przemieniona później w prowokacyjny urok, stała się w ciągu tych kilku godzin wielkim kobiecym zamyśleniem, kobiecą zadumą, kobiecym samosądem. Co zaszło? myślał. Co się stało?

- Bardzo chciałam, żebyś był szczęśliwy - powiedziała.

- Ja też - rzekł wreszcie, choć nigdy przedtem nie przychodziło mu to do głowy. - A jesteś? - zapytał ciszej. Potrząsnęła przecząco głową.

- Teraz już tego nawet nie wiem. Teraz przede wszystkim się boję. I wyrzucam sobie każdą szczęśliwą lekkomyślność... - urwała na chwilę, spłotła i rozplotła palce na kolanach. - A tyle w życiu było ku temu okazji... nawet tutaj. Nawet tutaj i w tych strasznych dniach.

- Jeszcze nie są straszne - powiedział, w nadziei, że teraz wreszcie dowie się tego, o czym wciąż jeszcze nie mówiła.

- Są. Już są. Już jest ta pewność, którą wciąż odsuwaliśmy od siebie. Umacnia się. Z dnia na dzień, z godziny na godzinę.

- Czy twój mąż...? - zapytał ostrożnie.

- Musiał zaraz wracać do pułku. I już chyba... już chyba się nie zobaczymy... nie zobaczymy się tego lata. Wolę wyjechać, niż siedzieć tu, tak blisko... A jednak... - zerknęła na zegarek i nie dokończyła już przerwanej myśli. - Za godzinę mam pociąg - powiedziała nieomal sucho.

Wstał, żeby się pożegnać, ale w tej samej chwili rozległo się stuknięcie w drzwi i na progu ukazała się zdyszana pokojówka.

- Proszę pani, nie mogę złapać taksówki. Chodziłam aż pod Komisariat Rządu, ale i tam nie ma.

- Niedziela - powiedział. - O taksówkę będzie bardzo trudno. Pozostaje autobus. Może mógłbym pomóc? - Zerknął ku walizce. - Do przystanku niedaleko, ale myślę, że lepiej by było przejść się pieszo, na przełaj, przez nie zabudowane tereny wzdłuż torów, w dwadzieścia minut bylibyśmy na dworcu.

- Jeśli jesteś tak dobry - powiedziała Karolinka, szczerze wdzięczna. - Walizka nie jest ciężka. Rozmawiali przez drogę o dzieciach, bo i ona miała ich dwoje, o wspólnych znajomych, o szkole w mieście, do której on chodził, a do której ona przyjeżdżała tylko na roczne egzaminy.

Dopiero gdy pociąg ruszył, gdy zaczęła się razem z nim oddalać, wychylona ponad szybą okna, zrozumiał, że teraz traci ją naprawdę, że teraz nie będzie mu już potrzebna. Zjawiła się - aby zamknąć jeden okres jego życia - na progu niewiadomego, które już się zaczynało. Wołodia to jakoś przeczuł i starał się mu to przekazać - nie była kobietą, była tamtym czasem i wszystkimi tamtymi miejscami, które mu się z nią wiązały.

Powoli opuścił dworzec. Na ulicach panował ożywiony przedwieczorny ruch. Mijał przechodniów nie zwracając na nich uwagi.

Widziałeś ją, myślał, zjawiła się tu, a razem z nią ten ktoś,

kim byłeś, kiedy stamtąd, z tamtego czasu i z tamtych miejsc, ruszałeś w drogę. Zjawiała się, żebyś postawił sobie pytanie, czy jeszcze możesz być taki sam? Czy możesz mieć pewność, że któregoś dnia nic cię nie powstrzyma, nie obciąży, nie zniewoli, nie okaże się ważniejsze? Była tu po to, żebyś zadał sobie te pytania - nawet jeśli trudno ci uwierzyć, że tylko dlatego los styka ze sobą dwoje ludzi, którzy nie myśleli o sobie przez długie lata.

X

Szła zadyszana schodami na górę, bo nie miała klucza od windy, a nie wpadło jej na myśl, żeby poczekać na kogoś, kto by ją jej otworzył. Nie знаła zresztą nikogo w tej kamienicy, chyba także i w tym mieście, od dawna tu obca i zapomniana. Nacisnęła dzwonek przy drzwiach do mieszkania Łucki i odruchowo poprawiła siwe włosy - jednak chciała się dobrze zaprezentować po długim niewidzeniu. Otworzyła jej. dziewczyna, której nie знаła. Służąca? pomyślała. We łbach im się przewracało w tej Gdyni.

- Zastałam Konkową? - spytała.

- Pani gospodyni - odpowiedziała Anula z naciskiem

- jest u siebie. - Dbała o splendor domu, w którym pracowała. Podnosił on ją we własnych oczach.

- Gdzie? - spytała przybyła z bardzo nieuprzejmym zdumieniem.

- U siebie. W swoim mieszkaniu na piątym piętrze.

- No, no, no! - mruknęła stara kobieta do siebie.

A głośniej dodała: - Sprowadź ją tutaj!

- Ale... - Anula oglądała gościa bez zachwyty-- pani gospodyni powiedziała, żeby jej nie przeszkadzać. Może się położyła.

- Teraz? O tej porze? Przecież rano.

- Ale pani gospodyni wstaje bardzo wcześnie i jak już panią i pana wyprawi do biura - Anula się rozgadała, przejęta rolą obrońcy zagrożonego spokoju swej chlebobawczyni - jak już zakupy zrobione i wiadomo, co na obiad, to pani gospodyni idzie do siebie na górę, żeby odpocząć.

- Sprowadź ją tutaj. Powiedz, że Truda Plischke przyjechała. Szwagierka.

- A, ciotka z Gdańska! - Anula dopiero teraz pojęła, kogo ma przed sobą.

- Niech ci będzie, że ciotka. Pośpiesz się!

- A bo pani tak mówi - zarumieniła się Anula.- Niech pani wejdzie. Już lecę po panią gospodynię.

Ciotka z Gdańska, ciotka Truda Plischke, do śmierci brata Augustyna rzadko pojawiała się w Gdyni. Z Bernardem wyraźnie się nie lubili. Przebaczyłyby jej może dawno małżeństwo z Kurtem Plischkem, synem handlarza ryb, do którego jeździła trzy razy w tygodniu z pełnymi kosztami flaków i węgorzy, gdyby go z powrotem przerobiła na Pliszkę, co młodej żonie powinno się było udać i czego Bernard się po niej spodziewał, ale ona nie tylko nie spełniła tych nadziei, ale jeszcze sama stała się Frau Plischke tak gorliwie, jakby nie wychowała się na wsi, w której później - gdy miastem się stała -jedną z głównych ulic nazwano imieniem Antoniego Abrahama, co to na piechotę do Warszawy szedł, żeby się zabrać z polską delegacją do Paryża i tam w Wersalu obwieścić na pokojowej konferencji, że "nie ma Kaszeb bez

Polonii..." Augustyn nie boczył się tak na siostrę jak Bernard; gdy Łucka podrosła, wciąż ją do niej posyłał z ciężkim koszem, co może by i złościło jego żonę, gdyby w tym koszu, po powrocie Łucki do domu, nie znajdowano tabaki i cygar, butelki machandla czy innego trunku, a także migdałów i rodzyneków, tak potrzebnych do świątecznego ciasta. To wszystko można było wprawdzie kupić i w Wejherowie, a potem już nawet na miejscu, w Gdyni, ale Augustyn cenił sobie gdański towar i siostrzaną dbałość o niego. Może dopiero na łożu śmierci myślenie o niej mu się odmieniło. To ona przecież nakłoniła go do trzymania pieniędzy w gdańskim banku, co go potem, gdy bank splajtował, rzuciło na ziemię, odjęło mu zdolność poruszania się i mowę, tak że nawet dowiedzieć się nie było można, co myśli - również i o niej. Bratowa i Bernard nigdy jej tego nie wybaczyli, bratowa pielęgnowała przez długie lata tę pretensję z taką zaciekłością, że nawet nie pokazała się u niej w Gdańsku ani razu, pozostawiając jedynie Łucce rolę rodzinnego łącznika. I oto teraz miały się spotkać po raz pierwszy od piętnastu lat.

Konkowa, gdy jej Anula obwieściła przybycie tak niespodziewanego gościa, straciła mowę tak jak ję[^] mąż przed śmiercią, tyle że ją zaraz odzyskała.

- Kto? - spytała z niedowierzaniem.

- Przecież mówię: ciotka z Gdańska.

- I wpuściłaś ją do mieszkania?

- Wpuściłam.

- I zostawiłaś ją samą?

- Samą - odpowiedziała Anula już z mniejszą pewnością siebie.

- A skąd wiesz, że to naprawdę ona? Każdy może tak powiedzieć. Boże święty, może złodziejkę jaką do mieszkania wpuściłaś? Nigdy nie nauczysz się żyć w mieście!

Anula runęła do drzwi i schodami w dół, a Konkowa zamknęła najpierw na klucz szufladę, którą zasunęła w pośpiechu, gdy dziewczyna stanęła w progu, i dopiero wtedy, z jakimś namysłem, podażyła za nią.

Tak, to była naprawdę Truda Plischke, której nie widziała od pogrzebu męża. Co to się stało, że przypomniała sobie nagle o niej? Nie ucałowały się ani nie uściśnęły, usiadły naprzeciwko siebie sztywne i napięte. Obydwie pomyślały o sobie nawzajem, że się zestarzały, ale to nie odsunęło w głąb lat urazy, przeciwnie - zaprawiło ją triumfem.

Z gołym tyłkiem przywiózł ją Augustyn z tego Połczyna pod Puckiem, myślała Plischkowa, przyglądając się bratowej, a teraz proszę, jaka kamienica! I dwa mieszkania! Jakby nie mogła mieszkać w kuchni u córki i prowadzić jej gospodarstwa. Augustyn, gdyby żył, inaczej by tym wszystkim rządził. On cenił pieniądź, ale wiedział też, że może się on przeciwko człowiekowi obrócić, jeśli go nie szanuje... No tak, pomyślała nagle spłoszona, Augustyn go szanował, a jednak obrócił się przeciwko niemu. Co jeszcze na tym świecie może być pewnego? Poprawiła się na krześle i powiedziała:

- Piękna kamienica! Nawet w Gdańsku wydałaby się piękna!

- Nie pasowałyby do Gdańska - mruknęła Konkowa, nie wiedząc, do czego szwagierka zmierza. - Tam wszystko

inne. I u nas inne.

- Czy podać herbatę? - spytała Anula, wsuwając głowę przez uchylone drzwi.

- Tak - zarządziła Konkowa. - I ciasto jest w spiżarni.

- Wiem, wiem - powiedziała spiesźnie dziewczyna.

- Służąca? - spytała Truda Plischke, gdy Anula wyszła.

- Służąca - odparła Konkowa. - Łucka pracuje

w biurze, a jak przychodzi, to jest zmęczona. Mąż, dwoje dzieci, duże mieszkanie, no i kamienica, która także wymaga... - spostrzegła, że się prawie tłumaczy przed szwagierką, i ogarnęła ją złość na samą siebie. - Pracy dużo - dodała, podnosząc głos - musimy mieć kogoś do pomocy. Przywiozłam ją z mojej wsi, znajoma.

- Może się także dobrze wyda - powiedziała siostra Augustyna, patrząc w okno.

Konkowa udała, że nie słyszy. Co mogła zrobić innego?

Zacząć kłótnię i nie dowiedzieć się, po co tamta przyszła, czy też z chętnym, ale jakże jałowym teraz triumfem przyznać się do tego, co ją przez całe życie u boku Augustyna cieszyło: tak, wydała się dobrze, wydała się za niego, i nikt nie mógł jej w tym przeszkodzić, a najmniej jego rodzina. Wybrała jednak milczenie, odkładając sobie na później wyrównanie tego rachunku.

- Łucki nie ma? - zagadnęła Truda.

- Nie. Przecież pracuje w porcie.

- Myślałam, że ma urlop.

- Urlop będzie miała od przyszłego wtorku. Wzięła sobie na sierpień razem z Krzysztofem. Chcą pojechać z dziećmi do Krynicy.

- Do Krynicy - powtórzyła Truda. - To daleko.

- Dlaczego daleko?

- Bo daleko.

- Na urlop nie jeździ się blisko. Jak się mieszka nad morzem...

- Jak się mieszka nad morzem, to się siedzi w domu

- powiedziała krótko ciotka z Gdańska.

Weszła Anula z herbatą i ciastem. Milczały przez cały czas, kiedy była w pokoju, nie odrywały oczu od jej rąk, ustawiających na stole szklanki i talerzyki do ciasta. Dopiero po jej wyjściu Konkowa powiedziała:

- Nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz?

- Tego, co powiedziałaś, że jak się mieszka nad morzem, to się siedzi w domu. Myślałaś o... urlopie i wakacjach?

- Nie myślałam o urlopie i wakacjach - odpowiedziała Truda Plischke spokojnie. I nagle straciła panowanie nad sobą. - Kobieto? - zawołała. - Czy ty jeszcze nie rozumiesz, po co tu przyjechałam?

Konkowej zatrząsły się ręce. Słodziła właśnie herbatę, i cukier rozsypał się jej po stole. Zaczęła go zbierać, zgarniać palcami i łyżeczką, jakby to było w tej chwili najważniejsze: czysty stół, przy którym zasiadły do herbaty. \

Szwagierka syknęła ze zniecierpliwieniem:

- Zostaw! Masz służącą, posprząta. Czy JUŻ wreszcie zrozumiałaś?

Konkowa potrząsnęła gwałtownie głową. Odpędzała od siebie tym ruchem całe zło, które się do niej cisnęło, oddalała

je, nie przyjmowała go do wiadomości.

- No to postaraj się zrozumieć. Nie przyjechałam tu po to, żeby odgrzebywać stare sprawy, ale jestem ciotką Łucki, i Augustyn w grobie by się przewrócił, gdybym zostawiła jego dziecko bez pomocy.

-Bez jakiej... pomocy?-wybełkotała Konkowa.

Truda wstała, wzięła swoje krzesło i przystawiła je do krzesła Konkowej. Zerknęła na drzwi, ale były zamknięte.

- Słuchaj, to się może zacząć każdego dnia. Jutro, pojutrze, za tydzień, za miesiąc. Słyszę, co mówią. W sklepie z rybami ludzie nie są tacy rozmowni, ale od kiedy prowadzimy piwiarnię, niejednego można się dowiedzieć. Kurt słyszał wczoraj...

Konkowa podniosła do uszu obie ręce.

- Nie! - zawołała. - Nie! Nic mnie to nie obchodzi!

Szwagierka odsunęła się od niej.

- Więc dobrze, niech cię nic nie obchodzi. Wiem, że
2W

jesteś uparta. Ale Łucka Jest nie tylko twoją córką, jest także córką mego brata, i jeśli to się stanie... jeśli to się naprawdę stanie, może jej grozić niebezpieczeństwo, jej, jej mężowi i dzieciom... Bernardowi, Bernardowi także - dodała po chwili. - Pamiętaj, masz mi zaraz dać znać. Mam trochę znajomości. Przychodzi do nas na piwo sam...

Wymieniła jakieś nazwisko, ale Konkowa nie zwróciła na nie uwagi. Trzęsącymi się rękami zbierała wciąż ze stołu ostatnie ziarenka cukru.

- Co im może grozić? - powtarzała. - Boże święty, co im może grozić?

Truda Plischke schyliła głowę.

- Nie wiem - powiedziała cicho. - Ale na wszystko trzeba być przygotowanym. Pieniądze jakieś masz?

- Pieniądze? - szepnęła Konkowa. Ugodziła ją myśl, że Truda tylko do tego dążyła, że cała rozmowa prowadziła do tego pytania. - Pieniądze? - powtórzyła, żeby zyskać na czasie.

- Macie chyba jakieś pieniądze? Grabieniowie oboje pracują, no i ten dom! W Gdańsku wciąż mówią, jakie w Gdyni czynsze drogie, nie bawicie się chyba w filantropię i nie trzymacie' tu za darmo bezrobotnych? Jest przecież i stary dom Augustyna, który także wynajmujecie.

- Tak - powiedziała Konkowa. Wciąż chciała zyskać na czasie. - Wynajmujemy stary dom.

- No więc na pewno macie jakieś pieniądze. Szkoda, żeby się zmarnowały.

Bank w Gdańsku! myślała Konkowa w popłochu. Truda zaraz powie, że trzeba je oddać do banku w Gdańsku, te wszystkie pieniądze, które mieli - ona w szufladzie na górze, Łucka w szafie pod pończochami i bielizną. Zdawało jej się, że to sen, że śni jej się to, co było, co już raz przeżyła. Czy tym samym nie powinna uzyskać od losu gwarancji, że się to już po raz drugi nie wydarzy?

A Truda naprawdę mówiła: - W tej chwili w Gdańsku pieniądze najpewniejsze. Zresztą możesz je wpłacić do banku szwedzkiego albo fińskiego. Mam nadzieję, że jeszcze je przyjmą.

- Nie mamy żadnych pieniędzy - powiedziała Konko-

wa twardo.

- Nie? - zdumiała się Truda.

- Nie. Zaciągaliśmy na dom pożyczkę, którą jeszcze spłacamy.

- Łucka mi nic nie mówiła.

- Bo wszystko na mojej głowie. Jej mąż także żyje w obłokach. Mógłby się tym zająć, ale nic go to nie obchodzi, nic! - Ogarnęła ją najszczersza wściekłość na Krzysztofa, którego obojętność dla majątkowych spraw Łucki uważana była dotąd za zaletę, a w tej chwili okazała się tak bolesną, tak tragiczną wadą.

- Czym mógłby się zająć? - zapytała podchwytliwie Truda.

- Ach, wszystkim - jęknęła Konkowa. - Wszystkim!

- Więc pieniędzy nie macie - wróciła jeszcze raz do tematu siostra Augustyna.

- Nie - zaprzeczyła ponownie Konkowa.

- No to przynajmniej dobrze, że się nie zmarnują.

Truda przesunęła krzesło na dawne miejsce i dopiła herbatę. Obrzucała raz po raz bratową spojrzeniem nieufnym, jakby ją nim obmacywała, szukając miejsca, w którym Konkowa ukryła prawdę. Sięgnęła ręką po ciasto, zjadła kawałek z apetytem. Ocierając usta powiedziała bardzo głośno:

- Wobec tego jestem spokojna, że się nie zmarnują.

Konkowa wytrzymała i to. Cieszyło ją w tym mierzeniu się z siostrą męża, że i ona może pokazać jej swoją siłę.

Wiedziała, że Truda jej nie wierzy, i to także ją cieszyło. Bo kłamstwo było jednak odwagą; całe życie spędziła w cieniu Augustyna - nie miała przy nim głosu i żadnego znaczenia, prócz tego tylko, że ją żoną swoją uczynił i miejsce jej wśród ludzi ustanowił - prawdziwej śmiałości do życia nabrała dopiero po jego śmierci, i oto teraz mogła to udowodnić. Truda Plischke sięgnęła po drugi kawałek ciasta.

- Sama piekłaś? - spytała łaskawie.

Konkowa zaprzeczyła ruchem głowy.

- Łucka?

- Dziewczyna piekła - powiedziała, po raz pierwszy dumna z Anuli. Bez uciekania się do kłamstwa mogła teraz z jej przyczyny sycić się swoim kolejnym triumfem: nie popychadło jakieś miało w kuchni, ale służącą jak się należy, do wszystkiego zdatną, co to i ciasto upiecze, i białe męskie koszule wykrochmali i wyprasuje, podłogę pastą zaciągnie, dywan wytrzebie, a jeszcze jak do kościoła idzie, to czyściutka taka, że aż od niej pachnie. Powiedziała to wszystko szwagierce, rzucając jednak od czasu do czasu uważne spojrzenie na drzwi - Anula lubiła podsłuchiwać, a pochwwały mogły przewrócić jej w głowie.

- No, no! - mruczała tylko Plischkowa. - A Julitkę do gospodarstwa przyuczacie? - zapytała.

Konkowa miała ochotę parsknąć śmiechem, ale powstrzymała się od tego. Jej samej ta wesołość, która owładnęła nią przed kilku minutami, wydawała się zdolna przemienić się od razu w wielki płacz, w tłuczenie głową; o mur, w wołanie o ratunek. Odpowiedziała więc spokojnie, ale z pobłażliwym uśmiechem:

- Julitkę? Do gospodarstwa? I po co?

- Jak to po co? Dziewczyna powinna wszystko umieć.
- Dużo Łucce z tego przyszło? Czasem w niedzielę chce obiad gotować, ale ją z domu wyganiają. Albo biuro, albo kuchnia. A Julitka pójdzie jeszcze wyżej.
- Wyżej?
- Wyżej! - zapamiętywała się Konkowa w swoich nadziejach co do wnuczki. - Jak zda maturę, na uniwersytet pojedzie. Do Warszawy. Może doktorką zostanie. :
- Dlaczego doktorką? - Plischkowa dała się wciągnąć w te plany. - W Gdańsku mogłaby na politechnikę chodzić. Mieszkałaby u mnie...
- Doktorką! - upierała się Konkowa. - Co doktor, to doktor! - Nie zapomniała jeszcze, jak to Krzysztof czwartą część swojej pensji musiał doktorowi z Wejherowa wyłożyć, żeby do Augustyna zechciał przyjechać. - To jest zawód!
- powiedziała, przysmykając z rozmarzenia oczy.
- A ileż ona ma lat? - spytała Plischkowa, bo jakoś nie mogła sobie tego obliczyć, zwłaszcza że na ślub Łuckiej nie zaproszono i na dłuższy czas straciła z nią kontakt.
- Czternaście - powiedziała z dumą Konkowa. - Dużo z niej panna!
- Ładna? Nie widziałam jej z rok. Trzymacie tak te dzieci przy sobie, to niedobrze. Nie mogłaby kiedy Julitka z Tomaszkiem przyjechać do nas na niedzielę?
- Mogłaby - odpowiedziała Konkowa bez przekonania. I żeby to pokryć, zaczęła z ożywieniem: - Nawet niedawno o mało co nie była w Gdańsku. Łucka mówiła, że powinna zanoć u was na Mariackiej... naturalnie, gdyby pojechała, ale w końcu ta nauczycielka zanoć u nas...
- Kto? Jaka nauczycielka? - Plischkowa nie mogła nic z tego zrozumieć.
- Ach, taka jedna - urwała Konkowa.
- Nie powiedziałaś mi jeszcze, czy ładna?
- Julitka? - Konkowa ucieszyła zmianą tematu. - Wszyscy mówią, że tak. Do ojca podobna.
- Do czyjego ojca?
- Do czyjego by? Do swego. Czy Łucka ma brzydkiego męża? Brzydkiego ojca wybrała swoim dzieciom? Ta chełpliwość, jak i wesołość przed chwilą, wydała się Konkowej także bliska wielkiego płaczu, który wciąż czuła w gardle. Wystarczyłby jakiś gest kobiety siedzącej naprzeciwko i patrzącej na nią z coraz większym zdumieniem, a wybuchnęłyby płaczem, rozplakałaby się przed nią na cały głos, bez opamiętania.
- A Tomaszek do Augustyna podobny - zaczęła szybko i ciszej jakoś, prawie serdecznie. - Cały Augustyn! Cały Augustyn!
- A on ile ma lat?
- Trzytnaście. Urodził się zaraz w rok po Julitce. Nawet jeszcze nie ma trzynastu.
- To dobrze, że jeszcze nie ma trzynastu lat.
- Dlaczego... dobrze? - spytała Konkowa cicho. Siostra męża nie patrzyła jej w oczy.
- Dobrze - powtórzyła. - Bardzo dobrze!
Żegnając się - choć Konkowa chciała zatrzymać ją na obiedzie, sama zdziwiona, że się na to zdobyła - Truda

Plischke zbliżyła usta do jej ucha.

- Ale jemu ani słowa!

- Komu? I o czym ani słowa? - Konkowa zamarła z przerażenia.

- Mężowi Łucki. Ani słowa o tym, że mówiłam, co się szykuje. I że kazałam ci, abys dała mi znać, gdyby... Z tym nie ma żartów. U nas nie ma żartów. Mam trochę znajomości, ale także mogę zadyndać. - Oparła się na chwilę o framugę drzwi, przymknęła oczy. - Oni wszystko wiedzą i wszędzie są. Może nawet w tym domu.

- W tym domu? - wykrztusiła Konkowa.

- A co ty myślisz?

Kiedy odeszła, Konkowa długo stała w przedpokoju, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Serce dudniło w niej, jakby ktoś uderzał ją pięścią w piersi.

Anula wyjrzała z kuchni zaniepokojona.

- Co pani gospodyni?

- Krople! - powiedziała Konkowa cicho. - Nalej mi na cukier waleriany!

- Może ja po panią zatelefonuję? - przestraszyła się dziewczyna.

- Powiedziałam ci: nalej mi waleriany! I ani słowa nikomu, że tu była...

- Ciotka z Gdańska?

- Wiesz, a się pytasz! Dwadzieścia kropli!

Woń lekarstwa rozeszła się po całej kuchni. Konkowa wygarnęła je wargami z łyżki i przysiadła na taborecie. Pan Słubicki! pomyślała. Pan Słubicki! On miał przez całe życie do czynienia z pieniędzmi. Powinien wiedzieć, co się z nimi robi w taki niepewny czas. Zapyta go, poprosi... Na pewno nie odmówi jej pomocy.

Podniosła się ze stołka, oparła dłońią o ścianę. Anula rzuciła się ku niej.

- Niech pani gospodyni posiedzi! Przecież pani gospodyni chora!

- Głupia jesteś! - warknęła. - Teraz nie czas na chorowanie. Zejdę tylko na dół do Karola. Muszę go poprosić, żeby mnie umówił z panem Słubickim, jak tylko wróci do domu.

- Z panem Słubickim? - zdumiała się Anula.

- A co ty myślisz? Byłe kto się na tym nie zna.

Zeszła, trzymając się poręczy, na pierwsze piętro; jakoś straciła ochotę do posłużenia się windą, już nie jeździła nią z takim upodobaniem jak dawniej. Na słomiance przed progiem mieszkania prezesa Carbopolu leżał Lord. To ogromne psisko zagradzało sobą całe wejście, nawet sięgnąć do dzwonka nie było można bez zbytniego zbliżenia się do jego wielkiej głowy. Konkowa stanęła niezdecydowana. Z góry zbiegał ktoś, wesoło pogwizdując. Joe-mikser! pomyślała. Zwykle złościło ją to jego gwizdanie na schodach, teraz ucieszyła się, że się zjawia i jest w dobrym humorze.

- Panie Jasiu! - uśmiechnęła się słodziutko, wskazując psa. - Pan się go nie boi?

- Ja? - roześmiał się. - Tego cielaka? Piękny pies, ale głupi. Ja bym go wytresował!

- Po co mu tresura? Czy to policyjny pies? Pan Słubicki ma go do ozdoby. Jak się go pan nie boi, to niech pan

zadzwonili.

- Przecież drzwi otwarte - powiedział mikser - nie widzi pani? A on nic pani nie zrobi. - Pochylił się nad psem, poklepał go po głowie. Piękny - powiedział jeszcze raz - ale głupi!

Zbiegł po schodach gwiżdżąc jakąś melodię z kabaretu, która wydała się Konkowej bardzo ładna, wesoła i godna zapamiętania. Taki chłopak to ma dobrze! pomyślała z zadowolaniem. Czy się martwi, co zrobić z pieniędzmi? Zawsze będzie mieszał te swoje wódki, wszystko jedno dla kogo. Lord położył głowę na wyciągniętych łapach, zmrużył ślepią. Przekroczyła go ostrożnie i pchnęła drzwi. W przedpokoju stały niedaleko progu dwie skórzane walizy z przetrzuconym przez nie kraciatym pledem podróżnym. Z kuchni dobiegała przytłumiona rozmowa: pani Słubicka rozmawiała z Karolem. Konkowa wstrzymała oddech. Wmawiała w siebie, żenie podsłuchuje, tylko po prostu jest tutaj, gdzie słychać tę rozmowę.

- Czy pan na pewno pamięta, że ma po mnie przyjechać?

- pytała pani Słubicka.

-- Na pewno - odpowiedział Karol.

- Przypomniał mi o tym Karol przy śniadaniu?

- Nie musiałem wcale przypominać. Pan sam powiedział, że przyjedzie o dwunastej.

-Ale jest już dziesięć po.

- Może mu co wypadło. A poza tym wie, że pociąg dopiero o pierwszej.

- Mógłby te kilka minut spędzić ze mną - powiedziała cicho pani Słubicka. - Nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczymy. - I nagle dodała żarliwym szeptem: - Karol pamięta, co mi przyrzekł?

- Pamiętam, proszę pani.

_ Gdyby coś się stało... natychmiast dzwoni Karol do Wiednia, tak?

-Tak, proszę pani.

- A jeśli... jeśli stąd nie będzie można telefonować, pojedzie Karol na pocztę do Gdańska i stamtąd zamówi rozmowę. Zna przecież Karol niemiecki.

- Już nie tak dobrze, jak dawniej, proszę pani.

- Mimo to rozmowę jakoś tam Karol zamówi! Na to nie trzeba znać języka perfekt. Natychmiast przyjadę. Natychmiast przyjadę! I niech Karol pilnuje pana, bardzo proszę! Karol długo milczał, zanim rzekł:

- Jeśli oni naprawdę tu przyjdą, proszę pani, to w całym mieście nikt nie będzie tak bezpieczny jak nasz pan.

Pani Słubicka krzyknęła:

- Co Karol ma na myśli?

- Pani dobrze wie, co ja mam na myśli - odpowiedział Karol spokojnie.

- Ale to mi ubliża - krzyczała pani Słubicka. - To mnie stawia w rzędzie osób...

- Sama pani powiedziała, żebym zaraz telefonował do Wiednia - dodał jeszcze spokojniej Karol.

Zapadła teraz cisza, w której Konkowa bała się ruszyć, bała się głębiej odetchnąć, choć serce domagało się tego, dudniąc znów jak oszalałe w ciasnej klatce piersi.

-- Karolu! - zaczęła znowu pani Słubicka. Głos jej

odpłynął w głąb, zapewne zbliżyła się do Karola, który stał dalej od drzwi. - Nie rozstawajmy się w gniewie. Wszystko jest bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażamy. Czegoś takiego nie było jeszcze na świecie, i dlatego trudno sobie wyobrazić...

Konkowa wycofała się z przedpokoju na palcach, przekroczyła Lorda, który nie uniósł nawet łba, i ciężko oparła się o barierę schodów. Pomyślała, że najlepiej by było pojechać windą na piąte piętro i położyć się, zamknąć drzwi na wszystkie zamki, żeby nikt nie miał do niej dostępu. Nikt. Ani jeden człowiek ze złą nowiną. Bo dobrej już nie będzie - o tym wiedziała.

Nie otworzyła jednak drzwi windy, odwróciła się od niej i powoli zaczęła pisać na drugie piętro, do mieszkania Łucki. Postanowiła posiedzieć z Anulą w kuchni, dopilnować obiadu, zająć się czymkolwiek, co by uwolniło ją od myślenia.

Otworzywszy jednak drzwi, usłyszała, że w kuchni ktoś rozmawia. Powtarzała się więc sytuacja sprzed chwili. Konkowa dotknęła wierzchem dłoni czoła, potem policzków. Nie, nie miała gorączki, i nie śniło jej się to także - w kuchni wyraźnie ktoś rozmawiał z Anulą. Pomyślała, że to może Truda zawróciła z drogi, i ogarnęła ją panika. Jezusie Nazareński, czego ona jeszcze mogła chcieć? Ale głos za drzwiami nie był głosem Plischkowej. Pchnęła wobec tego drzwi i zobaczyła na taborecie pod ścianą żonę Seweryna. Sewerynowa siedziała skurczona, jakby jej było zimno w ten upalny dzień, przy rumieńcach Anuli, rozgrzanej przy kuchni, sprawiała wrażenie ziemiście bladej. Gdy Konkowa ukazała się w drzwiach, wstała, zawsze wobec niej zastraszona i niepewna, czy któregoś dnia ta władająca jej spokojem kobieta nie wymyśli innego przeznaczenia dla swego starego domu i nie odbierze jej schronienia, które w nim znalazła.

- Ja do pani gospodyni - powiedziała cicho.

w siebie, że nie podsłuchuje, tylko po prostu jest tutaj, gdzie słyhać tę rozmowę.

- Czy pan na pewno pamięta, że ma po mnie przyjechać?

- pytała pani Słubicka.

- Na pewno - odpowiedział Karol.

- Przypomniał mu o tym Karol przy śniadaniu?

- Nie musiałem wcale przypominać. Pan sam powiedział, że przyjedzie o dwunastej.

-- Ale jest już dziesięć po.

- Może mu co wypadło. A poza tym wie, że pociąg dopiero o pierwszej.

- Mógłby te kilka minut spędzić ze mną - powiedziała cicho pani Słubicka. - Nie wiadomo, kiedy się znowu zobaczymy. - I nagle dodała żarliwym szeptem: - Karol pamięta, co mi przyrzekł?

- Pamiętam, proszę pani.

- Gdyby coś się stało... natychmiast dzwoni Karol do Wiednia, tak?

-Tak, proszę pani.

- A jeśli... jeśli stąd nie będzie można telefonować, pojedzie Karol na pocztę do Gdańska i stamtąd zamówi rozmowę. Zna przecież Karol niemiecki.

- Już nie tak dobrze, jak dawniej, proszę pani.
- Mimo to rozmowę jakoś tam Karol zamówi! Na to nie trzeba znać języka perfekt. Natychmiast przyjadę. Natychmiast przyjadę! I niech Karol pilnuje pana, bardzo proszę! Karol długo milczał, zanim rzekł:

- Jeśli oni naprawdę tu przyjdą, proszę pani, to w całym mieście nikt nie będzie tak bezpieczny jak nasz pan.

Pani Słubicka krzyknęła:

- Co Karol ma na myśli?

- Pani dobrze wie, co ja mam na myśli •- odpowiedział Karol spokojnie.

- Ale to mi ubliża - krzyczała pani Słubicka. - To mnie stawia w rzędzie osób...

- Sama pani powiedziała, żebym zaraz telefonował do Wiednia - dodał jeszcze spokojniej Karol. .

Zapadła teraz cisza, w której Konkowa bała się ruszyć, bała się głębiej odetchnąć, choć serce domagało się tego, dudniąc znów jak oszalałe w ciasnej klatce piersi.

- Karolu! - zaczęła znowu pani Słubicka. Głos jej odpłynął w głąb, zapewne zbliżyła się do Karola, który stał dalej od drzwi. - Nie rozstawajmy się w gniewie. Wszystko jest bardziej skomplikowane, niż to sobie wyobrażamy. Czegoś takiego nie było jeszcze na świecie, i dlatego trudno sobie wyobrazić...

Konkowa wycofała się z przedpokoju na palcach, przekroczyła Lorda, który nie uniósł nawet łba, i ciężko oparła się o barierę schodów. Pomyślała, że najlepiej by było pojechać windą na piąte piętro i położyć się, zamknąć drzwi na wszystkie zamki, żeby nikt nie miał do niej dostępu. Nikt. Ani jeden człowiek ze złą nowiną. Bo dobrej już nie będzie - o tym wiedziała.

Nie otworzyła jednak drzwi windy, odwróciła się od niej i powoli zaczęła piąć się na drugie piętro, do mieszkania Łucki. Postanowiła posiedzieć z Anulą w kuchni, dopilnować obiadu, zająć się czymkolwiek, co by uwolniło ją od myślenia.

Otworzywszy jednak drzwi, usłyszała, że w kuchni ktoś rozmawia. Powtarzała się więc sytuacja sprzed chwili. Konkowa dotknęła wierzchem dłoni czoła, potem policzków. Nie, nie miała gorączki, i nie śniło jej się to także - w kuchni wyraźnie ktoś rozmawiał z Anulą. Pomyślała, że to może Truda zawróciła z drogi, i ogarnęła ją panika. Jezusie Nazareński, czego ona jeszcze mogła chcieć? Ale głos za drzwiami nie był głosem Plischkowej. Pchnęła wobec tego drzwi i zobaczyła na taborecie pod ścianą żonę Seweryna. Sewerynowa siedziała skurczona, jakby jej było zimno w ten upalny dzień, przy rumieńcach Anuli, rozgrzanej przy kuchni, sprawiała wrażenie ziemiście bladej. Gdy Konkowa ukazała się w drzwiach, wstała, zawsze wobec niej zastraszona i niepewna, czy któregoś dnia ta władająca jej spokojem kobieta nie wymyśli innego przeznaczenia dla swego starego domu i nie odbierze jej schronienia, które w nim znalazła.

- Ja do pani gospodyni -- powiedziała cicho.

-• Już pani chce płacić za czynsz? Przed pierwszym?

- Ja nie w sprawie czynszu. - Sewerynowa znów usiadła, zaciskając palce na pustej siatce do zakupów, którą

położyła sobie na kolanach. - A w ogóle nie w swojej sprawie. Mąż mnie przysłał... nie mamy w domu pieniędzy, a przyszedł Leon Majka, wie pani, Leon Majka, co to z nim spali w łodzi, Seweryn, pan Krzysztof, pan kapitan Jazowiecki i Gerard Schulz...

- Kiedy to było, sto lat temu! - powiedziała twardo Konkowa.

- Ale oni to pamiętają. I właśnie przyszedł Leon Majka... Ten jego najmłodszy od tygodnia leży chory. Myśleli, że mu przejdzie, ale nie przechodzi. Seweryn go nawet widział niedawno, jak po deszczu taplał się w kałuży. A teraz chłopak leży i jest z nim coraz gorzej. Lekarza trzeba by sprowadzić, ale Leon nie ma Kasy Chorych, bo jest bez pracy. Czasem uda mu się złapać jakąś dniówkę, ale do Kasy Chorych tak od razu nie zapisują. Więc przyszedł do nas, myślał, że mu pożyczymy pieniędzy na doktora, ale my nie mamy pieniędzy, jeszcze teraz, przed pierwszym... - mówiła to wszystko cicho i szybko, jakby bojąc się i wstydząc każdego słowa, łuna rumieńca przepływała przez jej bladą twarz, na dłoniach wystąpiły jej żyły, tak bardzo zaciskała palce na pustej siatce do zakupów. - I dlatego Seweryn przysłał mnie...

- Do mnie? - spytała zimno Konkowa. Anuli wypadła z ręki łyżka, i blaszany łoskot wypełnił kuchnię.

- Tak. Myślał, że pani... Nikt nie ma pieniędzy przed pierwszym...

- A ja mam! - powiedziała Konkowa tym samym głosem, który był bardziej uderzeniem niż dźwiękiem. Anula odwróciła się do okna.

- Seweryn myślał, że pani ma. Że kto jak kto, ale pani... Nie mieliśmy się do kogo zwrócić. On tam siedzi u nas, ten Majka. Siedzi i czeka...

Dlaczego nie zwrócili się do Krzysztofa? myślała Konkowa. Przecież mogliby pójść do Urzędu Morskiego, nawet bliżej niż tutaj, mogliby wywołać Krzysztofa i poprosić, chyba by im nie odmówił. Ale nie zrobili tego,, ho na pewno są mu winni pieniądze... na pewno już mu są, winni. Więc do niej, przyszli do niej!

- Seweryn powiedział, że oddamy zaraz na pierwszego. Razem z czynszem.

- Razem z czynszem - powtórzyła Konkowa. Nagle zachciało jej się śmiać. Podniosła nawet rękę do ust, żeby je osłonić, jak to miała w zwyczaju podczas śmiechu, bo brakowało jej z boku zęba, a nie mogła się zdecydować na pójście do dentysty. Więc to nie musiał być płacz, to, co od rana czuła w gardle; zamiast płakać, mogła się roześmiać, tak samo głośno, na całe gardło. Razem z czynszem! powtórzyła w myślach. Dowcipna z tej Sewerynowej kobiety, tylko kto by jej uwierzył? No, no, razem z czynszem.

- On tam siedzi i czeka - powtórzyła Sewerynowa

- ten Majka. Popłakał się u nas. Najmłodszy to był jego ulubieniec. Ale każdego dziecka żal, jak umiera, choćby było nawet najgorsze.

Anula odwróciła się od okna, trzymała fartuch przy oczach.

- Niech pani gospodyni da z moich pieniędzy - zachU-

pała. - Do pierwszego niedaleko.

- Widzisz ją! - zgromiła ją Konkowa. - Jaka mądra!

Z moich pieniędzy! A może ja ich nie mam, tych pieniędzy? Ludzie mi jeszcze za mieszkania nie popłacili, skąd mam je wziąć? Wszyscy myślą, że na nich śpię.

- Potrzeba niedużo - szepnęła Sewerynowa. - Dziesięć złotych.

- Niech pani gospodyni da z moich! - powtórzyła Anula.

- Cicho, głupia! - krzyknęła na nią Konkowa. - Dziesięć złotych! Przez trzy tygodnie pracujesz na dziesięć złotych! Niech pani idzie ze mną! - powiedziała do Sewerynowej.

Zawiozła ją windą na piąte piętro, otworzyła przed nią drzwi swego mieszkania. Wciąż jej się chciało śmiać, ale teraz już wiedziała z czego. Z tych pieniędzy w szufladzie, które nagle stały się zmartwieniem, a myślała, że zawsze będą radością, spokojem i zabezpieczeniem na starość. Jednym ruchem wysunęła szufladę tak mocno, że o mało co nie wypadła ze stołu, i pochyliła się nad nią nisko. Leżały w niej równo ułożone banknoty różnej wartości i srebrny bilon pięcio- i dwuzłotowy. Położyła ręce na pieniądzach, zgarnęła je i mieszała ze sobą.

: - Ile pani chce? - odwróciła głowę do Sewerynowej. Przerażona tym wszystkim kobieta cofała się do drzwi szepcząc coś do siebie.

- Ile?! - krzyknęła Konkowa. - Dziesięć złotych? Nie za mało? Może sto? Może tysiąc?

- Niech się pani uspokoi - zdołała powiedzieć Sewerynowa.

- Jestem spokojna. Jestem całkiem spokojna. Więc ile? Tylko dziesięć? Proszę się namyślić...

- Dziesięć.

- Bo mogę dać więcej! - Konkowa zanurzyła palce w pieniądzach, przesypała je z ręki do ręki. - Niech pani przynajmniej zapamięta, że chciałam dać więcej.

- Dziesięć - powtórzyła Sewerynowa. - Więcej nie moglibyśmy przecież oddać.

- Kobieto! - pokiwała głową Konkowa. Podała jej dwa krążki srebra i nie słuchając podziękowań, odprowadziła ją do drzwi.

A potem runęła twarzą na otwartą szufladę z pieniędzmi, uderzyła w nie czołem. Wreszcie była sama, wreszcie mogła śmiać się i płakać, tłuc głową o twardą nieustępliwość tego, czego nie spodziewała się nigdy w życiu, a jednak nadeszło. Marija, Józef, nadeszło!

Tak ją zastała Anula, która zaalarmowana przez Sewerynową, wbiegła zdyszana na górę.

- Pani gospodyni! - krzyknęła przestraszona. Nie zauważyła otwartej szuflady z pieniędzmi, zawsze dotąd skrętnie przed nią zamkniętej, objęła Konkowa, przyciągnęła do siebie. - Niech pani nie płacze, pani gospodyni! Stara kobieta miast zimnego dotyku srebra poczuła teraz na czole przesiąknięty kuchennymi zapachami fartuch Anuli, a pod nim twardą młodość jej ciała. I zamarzyło jej się nagle coś bardzo odległego - nurzanie bosych stóp w trawie, śmiech o zmierzchu nad brzegiem jeziora, gdy konie

pławia się w nagrzanej wodzie, a ludzie szukają swoich rąk...

- Niech pani nie płacze, pani gospodyni - powtarzała Anula. Kołysała ją jak dziecko i szeptała jak do dziecka:

- Może pojedziemy na niedzielę do Połczyna? Posiedzimy, pogadamy. Wszystko się człowiekowi odmienia wśród swoich.

XI

- Najwidoczniej się starzeję - westchnął Wołodia - bo najlepiej czuję się tutaj. - Powiódł wzrokiem po białych ścianach ascetycznie skromnego pokoju księdza pułkownika. - Bez gwaru publicznych lokali. Bez sztuczności tych wszystkich spotkań towarzyskich, w których zdarza mi się ostatnio brać udział. Hm... - uśmiechnął się prawie w poczuciu winy - i bez pań...

- Chłopcze drogi - zawołał ksiądz kapelan - zdejm buty i czuj się jak u siebie w domu.

- Ba! - westchnął znów Wołodia. - Żebym go miał, tobym wiedział, co to znaczy.

. - Mógłbyś go mieć, mógłbyś go mieć od dawna.

Wołodia rozłożył ręce.

- Nie składało się, proszę księdza pułkownika.

- Nie składało się, nie składało... I kto to mówi?

- burczał starszy pan w sutannie, przygotowując stół do kart. Przykrył go zielonym suknem, rozstawił w rogach popielniczki. Czekali na partnerów do brydża, a także na Jasia, ordynansa księdza pułkownika, którego ten wysłał do kasyna po zakąski i piwo (mocniejsze trunki trzymał u siebie w szafie). - Już nie pamiętam, ile razy szykowałem się dawać ci ślub.

- Bóg strzegł - szepnął Wołodia.

Przyszedł tu prosto z morza, rozbity jakiś i zziębnięty, choć na lądzie wieczór dopiero zapadał po upalnym dniu. Umówiony był w mieście z Marynką, ale skierował swoje kroki tutaj, chciał króciutko porozmawiać z kapelanem, a potem pojechać do Gdyni, ale nagle poczuł się tu tak, że nie chciało mu się stąd wyjść -jakoś dziwnie dobrze, swojsko i zupełnie jak za dawnych lat, kiedy był jeszcze bezczelnym młokosem, a doznawał tu łaski zaufania i serdeczności.

Zadzwoń do niej i przeproszę, myślał. Zresztą, jeśli nie mogę się z nią przespać, to po co mam tam jechać?

Porozmawiać wolę z księdzem kapelanem. O, nawet na pewno porozmawiać wolę z księdzem kapelanem! A swoją drogą, co za głupie pomysły mogą człowiekowi w moim wieku przyjść do głowy! Krochmalona koszula, nieskazitelne prześcieradło, nieskazitelna panna młoda...

Ledwie stłumił parsknięcie, ale ksiądz pułkownik, układający papierosy w rzeźbionym pudełku, jednak je zauważył.

- Co mówiłeś?

- Nic, proszę księdza pułkownika.

- Stało się coś na okręcie?

- Nie. Dlaczego?

- Bo jesteś jakiś nieswój.

- Źle spałem tej nocy.

Naprawdę źle spał, jak zresztą prawie zawsze na okręcie. Tych, co mówili, że dobrze śpią tylko na morzu, uważał za blagierów i pracowitych twórców własnego mitu, który

-- jak sądzili - mógł się kiedyś przydać potomnym. Albo choćby nowym rocznikom marynarzy, których na początku służby faszerowano takimi opowiastkami o dowódcach. On nie miał takich ambicji, i monotonne uderzenia fali o kadłub okrętu przyprawiały go o ból głowy. Noc spędzili na redzie, po zakończeniu kolejnej kampanii w morzu, która jak zawsze w lecie trwała od wtorku do piątku, obejmując zwykle cykle ćwiczeń. Były to ćwiczenia indywidualne okrętu, zespołowe ze względu na braki w budżecie odbywa- no rzadko. Nie mówiło się o tym głośno, ale każdy to wiedział.

Ksiądz skończył układanie papierosów, wyrzucił do kosza puste po nich pudełka.

- Dlaczego źle spałeś? Masz na Gryfie chyba lepsze warunki niż na Rybitwie? . .

- Ale się starzeję, proszę księdza pułkownika^ już to powiedziałem na początku. Byle co mi przeszkadza.

- Podchorążowie jeszcze nie wyokrętowani?

- Wyokrętowani. Właśnie dziś zakładaliśmy z powro- tem tory minowe na dwóch międzypokładach, które oddaje- my im na pomieszczenia podczas ćwiczeń.

-No to cisza na okręcie?

- Cisza. Ale to nas także denerwuje. Bo już przyzwycza- iliśmy się do tego, że mamy na pokładzie oprócz załogi stu chłopaków.

- Bardzo byli rozczarowani, że i tego roku nic nie wyszło z oceanicznego rejsu?

- Rocznik techniczny zaokrętowano w końcu na Wilii, jest właśnie na Morzu Śródziemnym. Rozczarowana jest tylko załoga Gryfa.

Kapelan stuknął go w plecy.

- Przyznaj się, że i ty, stary koniu!

- A dlaczego nie? Jak się przez tyle lat pływało na "ptaszkach", niech sobie ksiądz przypomni: najpierw na Jaskółce, potem na Czajce i Ry bitwie, tylko na Mewie nie, no. więc jak się przez tyle lat odbywało rejsy ćwiczebne po Bałtyku, a wizyty kurtuazyjne składało co najwyżej w por- tach skandynawskich, to może się w końcu zamarzyć człowiekowi to, co marzy się każdemu gimnazjaliście, który pragnie dostać się do Marynarki Wojennej.

- Ale przecież ty byłeś trzy lata w Ecole d'Oficiers Canonniers.

Wołodia wstał i przeszedł się po pokoju.

- Ale ja wtedy bardzo kogoś kochałem, proszę księdza pułkownika.

- Co to ma do rzeczy?

- Ma. Nic nie miałem z tych trzech lat poza nauką.

Ksiądz może sobie wyobrazić taki stan duszy?

Kapelan, który tasował karty, bezwiednie zaprzestał tej czynności. Pokiwał głową i na chwilę przymknął oczy.

- Mogę.

- A więc wszystko sobie sam zepsułem. Byłem na Morzu Śródziemnym, i nie widziałem Morza Śródziemnego. Byłem w portach afrykańskich, i nie sprawiało mi to żadnej przyjemności. Sam jestem teraz wściekły na siebie i nie mogę sobie tego wybaczyć.

- Nie możesz sobie tego wybaczyć - powtórzył za nim

ksiądz pułkownik znad kart. - Ależ nie przydarzyło ci się w życiu po raz drugi nic równie pięknego - powiedział cicho. - Chciałeś być z drugim człowiekiem. To było dla ciebie najważniejsze. Już z nikim nie chciałeś być tak bardzo jak z nią. Szkoda, że już z nikim nie chciałeś być tak bardzo jak z nią.

- Ksiądz wie, kto to był?

- Tak - kapelan oparł się o poręcz krzesła, znieruchomiał. - Byłem bardzo szczęśliwy, kiedy wróciłeś. I wtedy na początku... kiedy nie wyjechałeś za nią do Paryża. Bałem się o ciebie. I, nie śmiej się, wiem, że to dla ciebie nic nie znaczy, modliłem się, żebyś mimo cierpienia wybrał słuszną drogę.

- Dziękuję księdzu - powiedział Wołodia zmieszany. Słuszną drogę! pomyślał gorzko. Byłby teraz zapewne mężem Anetki Briffaut, współwłaścicielem firmy, która wciąż miała do budowy jakieś porty na świecie, mieszkałby w Paryżu, i co najwyżej ze ściśnięciem serca czytałby we francuskich gazetach o tym, co się tutaj dzieje. Czy dezertery mogą być szczęśliwi? pomyślał bez żadnego innego uczucia poza ciekawością. A głośno powiedział, wracając do poprzedniego tematu: - W każdym razie chciałoby się zobaczyć trochę świata. Nie tylko podchorążym, ale i załozdze. Jeśli stawiacz min zdecydowano się również przeznaczyć na okręt szkolny, to niechby w końcu załoga coś z tego miała. Od marca ubiegłego roku, od kiedy Gryf przypłynął ze stoczni w Hawrze do Gdyni, wciąż się o tym mówiło. Że szkolenia będą się odbywać w oceanicznych rejsach. A tymczasem minęła jedna wiosna i lato, minęła druga wiosna i drugie lato ma się ku końcowi, a o rejsie oceanicznym cisza. Ksiądz pułkownik rzucił karty.

- Tylko że tego lata już wiadomo dlaczego.

- Tak - powiedział Wołodia. - Wiadomo.

Jasio ciągle jeszcze nie wracał z zakąskami. Miał po drodze zawiadomić partnerów - w letni, sobotni wieczór nie zaplanowany wcześniej brydż mógł napotkać trudności, ale ksiądz pułkownik był pewien, że przynajmniej dwóch sąsiadów nie zawiedzie: Radzinowski, pierwszy oficer mechanik na Sępie, i Szaflarek, nawigator Rybitwy, bliski kolega Wołodi z lat służby na tym okręcie.

- Jak już Szaflarek zawiedzie - powiedział kapelan smętnie - nie mamy na co liczyć.

- Szaflarek nie zawiedzie - pocieszył go Wołodia.

- Chyba że nie byłoby go w domu. Ale Szaflarek może grać zawsze i wszędzie. O północy można go zerwać z łóżka i pokazać karty, a nawet nie zaklnie. Boże, ile nocy spędziliśmy przy kartach, kiedy pływaliśmy razem na Rybitwie!

- Na starej Rybitwie?

- Na starej i na nowej. Nie pamięta ksiądz kapelan? Gdy w trzydziestym piątym stare "ptaszki" wycofano i dostaliśmy nową Rybitwę, obydwaj z Szaflarkiem walczyliśmy zażarcie, żeby i tu nas razem zaokrętowano. - Wołodia się roześmiał, z nutą pobłażania, ale i czułości w głosie: dla tych wspomnień, dla tamtych lat. - Nikt nie domyślał się dlaczego. Myślano, że to przywiązanie do okrętu, przynajmniej do nazwy, skoro stary okręt zastąpił nowy o tej samej nazwie.

Ksiądz kapelan spojrzał na niego spod oka.

- A nie było tak? Ani trochę?

- Nie rozumiem.

- Nie było tego przywiązania tak nic a nic? Przecież wszyscy prawie płakali po starych "ptaszkach". Pierwsze okręty Rzeczypospolitej! Najlepszy dowód, że kiedy się wysłużyły i trzeba je było wycofać ze służby, nowe nazwano tak samo. :

- Nie jestem zwolennikiem tych sentymentów.

- Nie?

- Zupełnie nie.

Ksiądz pułkownik uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- A kto to opowiada mi wciąż z zachwytem o uzbrojeniu artyleryjskim Gryfa?

- To zupełnie co innego. Grzeszyłbym, gdybym twierdził, że jest nienowoczesne. Jakie może być, skoro okręt jest nowy? Armaty Boforsa mają swoją markę i system kierowania ogniem jeden z najlepszych. Ale kaliber za mały; Przydałby się większy, przynajmniej na okręcie, skoro baterię na Helu mamy tylko średnią. O czym to mówiliśmy?

- Urwał nagle i umilkł na długą chwilę, zawstydzony, że znowu rozprawia o uzbrojeniu Gryfa. - O czym to zaczęliśmy mówić?

Ksiądz pułkownik nie przestawał się uśmiechać.

- Ogólnie rzecz biorąc, o przywiązaniu do okrętu.

- Ja jestem racjonalistą - powiedział Wołodia ze sztucznym chłodem. - Jak można pokochać żelazo? Trzeba umieć się z nim obchodzić, to wszystko.

- A więc jesteś racjonalistą... - powtórzył kapelan.

- A w ogóle czego ksiądz pułkownik ode mnie chce?

Uprzedzam, że się dziś upiję.

Kapelan patrzył na niego długo, już bez uśmiechu, uważnie.

- Ja bym ci to nawet radził - powiedział po chwili.

- Prześpisz się u Radzinowskiego. Jego żona nie wróciła jeszcze ze Szczawnicy, ma wolne łóżko.

- Skąd wiemy, że w ogóle będzie grał? Jasio gdzieś przepadł. Może sam się przejdę do Radzinowskiego?

- Jeśli chcesz, to idź. Ale Jasio załatwi to tak samo jak ty. Wołodia znowu się zmieszał.

- Chciałbym przy tej okazji zatelefonować. Umówiłem się z narzeczoną.

- Umówiłeś się?

- Tak. Po co ma niepotrzebnie czekać?

- Bój się Boga, Włodek! - szepnął tylko ksiądz kapelan.

- Zatelefonuję, przepraszę.

- Nałgasz, że cię nie puszczają z okrętu, że masz służbę...

- Oczywiście.

- Oj, Włodziu, Włodziu! A dlaczego ty się właściwie z nią nie żenisz?

- Przecież ksiądz wie, że ślub wyznaczony jest na ósmego września, po powrocie mamy .Blok ze Stanów Zjednoczonych. Pompa i parada, wszystkie ciotki w komplecie, druhny w długich sukniach, drużbowie we frakach, szpaler oficerów marynarki przy wyjściu z kościoła. Kapelan chrząknął wymownie.

. - Jak w końcu udaje się jakiejś pannie zaciągnąć kapitana Jazowieckiego do ołtarza, to trudno się dziwić, że chce to pokazać. A ja - zadumał się na chwilę - ja dałbym ci ślub zaraz, po cichu i bez pompy...

- Nigdy by mi tego nie wybaczyła.

- Jesteś tego pewny?

- Tak - powiedział Wołodia. - Chyba tak.

- No to idź! - powiedział ksiądz pułkownik z rezygnacją. - Nałgaj jej, co ci ślina na język przyniesie, i wracaj z Radzinowskim.

Radzinowskiego nie było jednak w domu. Wołodia dzwonił bezskutecznie, w końcu zaczął walić pięścią w drzwi, co także nie dało rezultatu. Sukinsyn, pomyślał, wykorzystuje czas pod nieobecność żony!

Najbliższy telefon był w kasynie. Wołodia pobiegł tam, nie przestając przeklinać w duchu Radzinowskiego, który poza zmarnowaniem im wieczoru karcianego ponosił jeszcze winę za tę tak niedogodną dla niego rozmowę z Marynką, bo telefon w kasynie znajdował się przy bufecie, i trudno tam było o ciszę o tej porze. Pomyślał, że mógłby skorzystać z telefonu w pokoju kierownika, ale kierownika nie było, a pokój jego był zamknięty. Skierował się więc do sali jadalnej, prześliznął się za plecami stojących przy bufecie, żeby uniknąć powitań, odwrócił się tyłem i nakręcił numer.

Podniosła słuchawkę natychmiast, jakby warowała przy aparacie, jakby trzymała na nim rękę.

- O Boże! - zawołała. - Co się stało?

- Nic się nie stało, kochanie - odpowiedział uspokajająco. - Po prostu nie dysponuję w pełni sobą.

- Musisz zostać na okręcie?

-- Właśnie to. Bardzo mi przykro.

- Tak liczyłam na ten wieczór. Wiesz, papa znowu wyjechał.

- Wyjechał?

T

- Tak. Do Warszawy. Wciąż ta sama sprawa podatkowa. Nęka ją nas z zupełnie niezrozumiałych względów.

- Przykro mi - powtórzył Wołodia, ale wcale mu nie było przykro. Świat mógł za chwilę wylecieć w powietrze, nie było więc sensu martwić się kłopotami podatkowymi papy Bloka.

- Jestem zupełnie sama - skarżyła się Marynka. - W związku z wyjazdem papy nawet dziewczynie dałam wychodne. Myślałam, że przyjdziesz. Bylibyśmy sami przez cały wieczór.

Jeszcze by tego brakowało, pomyślał Wołodia. I przepowiedział sobie jednym tchem: Krochmalona koszula, nieskazitelne prześcieradło, nieskazitelna panna młoda...

- Co mówisz?

- To nie ja, kochanie. Pełno tu ludzi. Wyskoczyłem, żeby zadzwonić do ciebie z kasyna.

- Dziękuję.

- Bardzo mi przykro. Naprawdę bardzo mi przykro.

- Kochasz mnie jeszcze?

- Przecież wiesz.

- Nie, nie wiem. Czasami nawet...

- Marysiu! - tchnął w słuchawkę żarliwie. - Jak

możesz? Jak możesz? Czy nie masz dość dowodów na to...

- Kończ, stary! - szepnął mu ktoś do ucha.

Wołodia obejrzał się zawstydzony. Zyzio Samulewicz, jeden z podwodników, patrzył na niego wymownie, stukając się palcem w czoło. ;

- Muszę już kończyć, kochanie - zawołał Wołodia desperacko do telefonu. - Kolejka się już uformowała. Jedyne telefon w kasynie.

- No więc kiedy przyjdiesz?

- Jak tylko będę mógł! - krzyknął. Ale ponieważ miał przed sobą bezczelny uśmiech na gębie Samulewicza, dodał:

- Może nawet jeszcze dzisiaj. Jeszcze dzisiaj! Czekaj na mnie!

- No, no, no! - cmoknął Zyzio, gdy Wołodia odłożył słuchawkę.

- Uspokój się, to narzeczona! Masz wolny wieczór? .'- Tak jakby. .

-Zagrałbyś w brydża u kapelana?

- Nigdy z nim nie grałem, ale to może być ciekawe.

Może się wypowiadam przy tej okazji?

- Radziłbym ci skupić się na kartach. Stary gra jak szatan. Ostatni raz ograłem go na większą sumę piętnaście lat temu. - Wołodia zaśmiał się cicho. - Do dziś to pamięta.

- No, ja także dawno przestałem grać w guziki - powiedział Zyzio. - Idziemy!

Ale przy wyjściu spotkali Jasia, którego Wołodia nie zauważył przedtem w tłoku przy bufecie. Niósł tacę przykrytą białą serwetą, spod której biły cudowne wonie.

- Co tam masz? - zagadnął Wołodia.

- Melduję posłusznie, panie kapitanie, mam śledzie w śmietanie, wędzonego łososia, szynkę i pieczeń wołową na dziko.

- Na co?

- Na dziko. To taki wół zrobiony na zająca, melduję posłusznie panie kapitanie. I jajka mam jeszcze w majonezie, pomidory i ogórki małosolne.

-Pycha!-szepnął Zyzio.

- Tylko... panie kapitanie - przypomniał sobie Jasio

- porucznika Radzinowskiego nie ma w domu, a kapitan Szaflarek nie może dziś zagrać.

- Nie może dziś zagrać? - powtórzył Wołodia zdumiony. - Dlaczego?

- Idzie do kina, z żoną, panie kapitanie.

- Koniec świata! - szepnął Wołodia. - Szaflarek nie zagra w karty! Zanieś to wszystko i powiedz księdzu pułkownikowi, że trzeciego już mam i zostałem w kasynie, żeby dobrać czwartego.

O czwartego jednakże nie było łatwo. Wszyscy byli już poumawiani i zajęci - w sobotni wieczór nikt nie miał zaufania do improwizacji.

- Co zrobimy? - zmartwił się Samulewicz. Myślał z żalem o tacy z takim nabożeństwem niesionej przez księżowskiego ordynansa.

- No widzisz, że czwartego nie ma. Co za świat! Schodzi człowiek po kilku dniach z okrętu i nawet kart nie ma komu rozdać.

- Wcześniej trzeba było o tym pomyśleć.

- Ba! - powiedział Wołodia. - Nigdy nie wiem naprzód, na co będę miał ochotę. Nie planuję przyjemności ani zmartwień.

- W każdym razie ja się splawić nie dam. Idę do księdza kapelana.

- Na pewno się ucieszy - powiedział Wołodia bez przekonania. A u księdza pułkownika, żeby uniknąć jego zdziwienia, już od progu wyjaśnił sytuację: - Czwartego do brydża nie ma, ale za to jest trzeci do zakąsek. Jasio powiedział, co jest z Radzinowskim i Szaflarkiem? Kapelan machnął ręką.

. - Trudno! Dobrze, że jest trzeci choć do zakąsek. Witam pana - powiedział do Samulewicza. - Ostatecznie we trójkę możemy pociągnąć małego pokerka.

- Oczywiście! - zawołał skwapliwie podwodnik.

- No to najpierw na jedną nóżkę! - powiedział ksiądz kapelan.

- Zakrzętnął się koło swojej szafy, z przepaścistej kieszeni sutanny wyjął klucz, co objaśniło gości od razu, że zawartość szafy jest chroniona przed Jasiem ordynansem. Nawet przekręciwszy klucz w zamku, ksiądz kapelan drzwi szafy nie otworzył na oścież, tylko uchylił je zaledwie i spośród wiszącej w szafie odzieży wyjął okazałą butelkę.

- Żmudzińska! - powiedział do podwodnika. Wołodia stłumił uśmiech. Nie miał za złe księdzu pułkownikowi, że zwraca się tylko do Zyzia. Wyłącznie nowych gości czarował gospodarz opowieścią o żmudzińskiej wódce, dając tym samym do zrozumienia, że byle kogo nią nie częstuje i że to nie picie, lecz zaszczyt.

- Bukiet żmudzińskich ziół - mówił ksiądz pułkownik, obejmując szybką butelki pieszczotliwymi palcami - bukiet żmudzińskich ziół, które co roku w czerwcu dostają aż stamtąd. Zalewam to trzema litrami spirytusu, po tygodniu dodaję pół kilo miodu, szklanek cukru i wystawiam gasior na słońce. Słońce jest bardzo ważne - mówił, unosząc butelkę pod światło. - Słońce tam, na żmudzińskich polach, kiedy w czerwcu zioła kwitną, i tutaj, kiedy w szkle syca się miodem. Gdy rok w słońce jest niebogaty, lepiej nie robić żmudzińskiej wódki.

Kapelan napełnił kieliszki i wpatrywał się w Samulewicza, gdy ten podnosił kieliszek do ust.

- Najpierw niech pan powacha! - powiedział pewny efektu.

Zyzio przymknął oczy i wciągnął w nozdrza niezwykle aromat żmudzinówki.

- A co? A co? - dopytywał się ksiądz pułkownik.

- Cudowna woń! - rzekł podwodnik z zachwytem, stając tym samym na wysokości zadania. - Cudowna! Cały las! Od razu człowiekowi żal, że tak dawno nie był w lesie.

- Tajemnicę tych ziół - zaczął wyjaśniać gospodarz, podnosząc w górę kieliszek - znają tylko bardzo stare kobiety na Żmudzi. Ja dostaję je od matki, a ściślej mówiąc: od babki znajomego leśnika. Doprawdy nie wiem, co to będzie, jak babina zemrze.

- Chyba przekaże swoją wiedzę następnym pokoleniom

- powiedział Zyzio i wychylił kieliszek do dna. Poza mlekiem pijał już coś niecoś w życiu, ale jednak odebrało mu na chwilę mowę. Chrząknął, zakąsił płatkami łososa i z zapalem dodał:

- Musi przekazać swoją wiedzę następnym pokoleniom!

Wołodi, który - jako gość zadowolony tu od dawna - zwolniony był od tych dywagacji, wydało się, że w kuchni coś parska i chichocze. Był pewien, że to Jasio kryje się tam ze swoim rozbawieniem. Kiedyś wiosną, gdy zaproszony na karty zjawił się trochę za wcześnie, zastał go przy pośpiesznym przyrządzaniu żmudzinówki z garści ziół przyniesionych dopiero co z drogerii za pięćdziesiąt groszy. "Tylko niech pan nie mówi księdzu pułkownikowi, że panu powiedziałem", przestraszył się chłopak. "Oszalałeś? - uspokoił go... - Miałbym też co opowiadać!".

A jednak miał teraz ochotę to powiedzieć, ciekaw reakcji księdza i Zyzia, który z wyrazem uduchowienia na gębie wciąż powtarzał, że tajemnica doboru ziół żmudzińskich nie może przepaść wraz ze śmiercią babki leśnika. Ksiądz kapelan mnie wyrzuci, pomyślał jednak w porę, w końcu mnie wyrzuci, już nieraz na to zasłużyłem, no i wreszcie mnie to spotka. Ale gorzej będzie z Jasiem. Ma tu naprawdę jak u Pana Boga za piecem. Szkoda by było, gdyby przez głupią żmudzinówkę poszedł z powrotem na okręt i to akurat teraz, kiedy się to wszystko rozhuśta. Kiedy się to wszystko rozhuśta... powtórzył w myśli.

- A tobie nie smakuje? - zwrócił wreszcie na niego uwagę ksiądz pułkownik.

Wołodia stuknął obcasami.

- Już nieraz miałem okazję sławić ten nieporównywalny z niczym aromat i smak słynnej nalewki księdza kapelana. Ksiądz zerknął ku niemu podejrzliwie, ale Wołodia patrzył mu niewinnie prosto w oczy.

Pociągnęli potem pokerka, nie zapominając oczywiście o butelczynie, którą rychło musiała zastąpić druga, również wyciągnięta spod sutann wiszących w szafie. L

O którejś tam godzinie nocy Wołodia zapytał:

- Dlaczego ksiądz pułkownik przypuszcza... dlaczego ksiądz pułkownik przypuszczał, że dezterter nie mógłby być szczęśliwy? Zresztą, Boże drogi, podczas pokoju cóż to za dezercja? Czy nie jesteśmy przypadkiem opętani ojczyzną? Kapelan tasował właśnie karty. Zaprzestał na chwilę tej czynności i spojrzał na Wołodię z niezadowolonym zdziwieniem.

- To dlatego, że nie mieliśmy jej tak długo - powiedział.

- Nie mieliśmy państwa, proszę księdza. Ojczyznę mieliśmy zawsze, nawet we wzmocnionym odczuciu, bo nam państwo zastępowała. I to jest właśnie całe nasze niebezpieczeństwo. Inni także mają ojczyzny, ale nie aż tak jak my.

- Włodeczku - chciał przerwać mu kapelan.

- Przepraszam, ale to ksiądz pułkownik mówił dzisiaj o tej słusznej drodze mimo 'cierpienia.

Gospodarz rzucił karty.

- Co cię dziś opętało, Włodek?

- Jeszcze raz przepraszam.

- Któraż to godzina? - Zyzio spojrzał na zegarek.

- Czy i na ciebie czeka narzeczona? - spytał z przeką-

sem ksiądz pułkownik.

- Co tam narzeczona - uśmiechnął się Zyzio. - Na mnie czeka matka.

- No to zaraz pójdziesz do niej, synku. Już kończymy. Już kończymy, skoro matka czeka.

Mimo tej deklaracji księdza kapelana pokerek jednak jeszcze trochę się przeciągnął. Wyszli od niego dopiero wtedy, gdy niebo miało już na wschodzie ton pierwszej różowości, a powietrze, utraciwszy parność nocy, nabierało rzeźwości porannego chłodu.

- Jak się dostaniesz do miasta? - spytał Zyzio. Sam mieszkał niedaleko koszar. - Będziesz czekał na autobus?

- Nie wiem jeszcze - powiedział Wołodia. Przypomniało mu się, jak przed laty wyszedł tak o świcie od księdza kapelana z Bńffautem, mężem Anetki. Jak bał się, że tamten wie i że za chwilę zacznie o tym mówić. Jak prawie chciał go zabić, żeby tego uniknąć...

- Autobus będzie dopiero o piątej - powiedział Zyzio.

- Zaprosiłbym cię do siebie, ale matka by się obudziła...

- Daj spokój. Przejdę się. W końcu to nie tak daleko.

Miałem całkiem blisko, kiedy nie było tu portu. Możesz to sobie wyobrazić? Chodziłem tu na przełaj pieszo, przez te miejsca, gdzie są teraz kanały.

- Od dawna tu jesteś?

. - Od samego początku - powiedział Wołodia. - Psia-krew, nie upiłem się dziś tak, jak chciałem.

- Ani ja. Ale matka mnie i tak skrzyczy.

- Mnie nie będzie miał kto.

A może jednak? myślał, idąc długą drogą, która okalała teraz port od północno-zachodniej strony. Koledzy mieszkający na Oksywiu zawsze mu zazdrościli, że się ulokował w Gdyni, teraz on im zazdrościł. Po cieple pokoju kapelana powietrze na dworze wydawało mu się dziwnie ostre.

Wstrząsnął nim dreszcz. A kiedyś nocował na dworze, kiedyś, gdy nie było tu jeszcze portu ani miasta. Czy teraz byłby do tego zdolny? Teraz jestem zdolny do czegoś innego, pomyślał, ale lepiej nie zdawać sobie w pełni z tego sprawy. Nie upiłem się tak, jak chciałem, dlaczego nie upiłem się tak, jak chciałem, do końca? Ale i tak mnie ktoś za to skrzyczy, jak Samulewiczka matka. Nie, nie ma nikogo takiego. A może jednak? powtórzył w myśli jeszcze raz. Może był ktoś taki, kto na niego czekał? Może trzeba to było przyjąć? Ukorzyć się przed tym? Dzisiaj, właśnie dzisiaj...

Minął dworzec, a na ulicy 10 Lutego wiedział już, dokąd idzie. Tak, powiedział sobie, właśnie dzisiaj.

Miało być zupełnie inaczej, miała być pompa i gala, wszystkie ciotki panny młodej i drużny w długich sukniach, druźbowie we frakach, szpaler oficerów marynarki przy wyjściu z kościoła, a potem wykrochmalona koszula, nieskazitelne prześcieradło, nieskazitelna panna młoda... a - przyszedł o świcie, ziejący alkoholem, stanął na progu i załomotał w drzwi.

Zanim otworzyła, długo dopypywała się przez łańcuch zalęknionym szeptem:

- Włodek? To ty?

- To ja! - zawołał na całą klatkę schodową.

-Na litość boską, cicho!

- Dlaczego cicho? - zbuntował się. - Jest ranek. Wszyscy porządni ludzie właśnie wstają. Teraz otworzyła mu już czym prędzej, a on, wciąż pamiętając, że miało być inaczej, zupełnie inaczej... że miała być wykrochmalona biała koszula i nieskazitelności jakieś, których strzegł przed samym sobą, wziął ją w ramiona i wymamrotał zionącym żmudzinówką księdza kapelana szeptem:

- Czy chcesz mnie jeszcze? Chcesz mnie teraz... i takim?

- Kocham cię - powiedziała, a on nie zauważył, nie chciał zauważyć, że płacze.

Oprzytomniał naprawdę dopiero wtedy, kiedy wszystko już się stało. Za otwartym oknem odzywały się pierwsze wróble. Otworzył oczy i zobaczył pokój, w którym się znalazł, i dziewczynę obok siebie. Było lato, uda Marynki miały kolor brązu, pachniała cała kremem nivea i wodorostami, których woni po kąpieli w morzu nie spłukała prysznicem.

Nie był jej pierwszym, ale to nie miało, to już nie miało żadnego znaczenia.

T

XII

Tereszce zabrakło głosu. Trzymał w ręku słuchawkę telefonu i nie mógł wydobyć z gardła żadnego dźwięku. Dopiero wtedy, gdy usłyszał w niej zaniepokojone wołanie, powiedział cicho:

- Ależ to niemożliwe, panie naczelniku.

- Dlaczego niemożliwe?

- Rozumie pan przecież... mam żonę, córkę... jakże mogę tak nagle wyjechać? I to w chwili...

- Chwila jest najbardziej odpowiednia.

- Nie rozumiem.

- Niech pan postara się zrozumieć. Musimy dopiąć te umowy do końca. Pan zaczynał rozmowy na ten temat, pan musi je zakończyć. Musimy mieć zabezpieczone dostawy okrężne. Daliśmy się zwieść chwilowemu uspokojeniu i straciliśmy dużo czasu.

- Ależ na świecie panuje powszechne przekonanie...

- To nie jest nasze przekonanie. To jest przekonanie nie zagrożonych. A żonę i córkę może pan zabrać ze sobą.

- Tak z dnia na dzień?

- Co to znaczy, z dnia na dzień? Dobrze, że nie z godziny na godzinę. Uważam, że ma pan świetną okazję. Kto inny byłby mi wdzięczny za to.

- Panie naczelniku -jęknął Tereszko. Już wiedział, że ministerstwo ma rację, że ludzie w nim są dobrze zorientowani, ale wyobrażał sobie rozmowę z Heleną, słyszał prawie jej głos.

- Ja sam byłbym wdzięczny, gdyby mi to ktoś zaproponował.

- Ależ ja naprawdę dziękuję.

- Jutro rano zjawi się u pana urzędnik ministerstwa z pełnomocnictwami dla pana i innymi papierami. Wyjeżdża z Warszawy na noc. Statek ma pan po południu.

- Może nie być miejsca.

- To kto inny nie pojedzie, a pan pojedzie. Wydałem odpowiednie zarządzenie.

- A gdybym nie mógł... - wykrztusił Tereszko - gdybym się nie zdecydował?
Głos w słuchawce zamilkł na długą chwilę.
- Rozumie pan, że zawieść w takich okolicznościach...
- Rozumiem.
- Jeszcze nie ma wojny, ale rozkazy są już wojenne.
- Rozumiem - powtórzył Tereszko. Odłożył słuchawkę i nie mógł ruszyć się od biurka. Czuł się jak ogłuszony i sparaliżowany. Powinien wsiąść w samochód i pojechać do domu albo przynajmniej zatelefonować do Heleny, powiedzieć jej, żeby pakowała rzeczy swoje i Wisi. Miały zeszlорoczne paszporty, chyba z łatwością dałoby się uzyskać wizy w którymś z konsulatów. W najlepszym wypadku będzie to urlop, niespodziewany zagraniczny urlop. A co z domem? pomyślał ze ściśnięciem serca. Zostawić dom tylko pod opieką Weroniki?
-- Wychodzę! - krzyknął do sekretarki. - Niech mi pani da korespondencję do podpisu.
- Nie wróci pan już dzisiaj? - zapytała, podając mu teczkę.
Nie podniósł na nią oczu. Pracowała z nim od dziesięciu lat.
- Jutro wyjeżdżam. I nie wiem na jak długo.
- O Boże! - szepnęła.
- Niech pani ze wszystkim zwraca się do Siwkowskiego. Zaproszę go wieczorem na rozmowę. A teraz najpierw... teraz najpierw muszę porozumieć się z żoną. Podpisał korespondencję nie czytając jej, zamknął teczkę.
T
Sekretarka wzięła ją od niego, przycisnęła rękami do piersi.
- To pan już... to ja już pana... - szeptała, nie mogąc opanować łez napływających do oczu.
- Pani Jadwigo! - poprosił. - Po prostu mówimy sobie: do widzenia! Trzeba wierzyć, że to wszystko obróci się jeszcze na dobre. A tymczasem... tymczasem pani dopilnuje biura i najważniejszych spraw. Przekazę Siwkowskiemu instrukcje, jak trzeba będzie się zachować w razie... - urwał, widząc znękaną twarz kobiety przed sobą. Jakie instrukcje? pomyślał ze zniechęceniem. Kto wie, jak trzeba będzie się zachować, gdy naprawdę... - Sama będzie pani wiedziała to najlepiej - zakończył szybko.
- Tak - odparła prawie z płaczem. - Boże, Boże...
- Tylko niech pani nie płacz! Czekam na pewno w domu. - Wysunął szuflady z biurka, jedną, drugą, trzecią... Trzeba by było uporządkować w nich papiery, przejrzeć je, zabezpieczyć lub zniszczyć, ale ile zajęłoby mu to czasu! Zatrzasnął je z rezygnacją. - Pani Jadwigo - poprosił - w wolnej chwili niech pani to uporządkuje.
- Tak, panie dyrektorze.
- Błagam panią, po co te łzy?
- Ależ ja nie płaczę.
- Nie płaczę pani?
- Nie. Przynajmniej się staram. Czy... oni tam w Warszawie... czy oni są już pewni...?
- Pewności oczywiście nie ma, ale...
- No tak, rozumiem.
- Wszystkiego najlepszego, pani Jadwigo!

- Nawzajem. I niech pan szybko wraca!
- Nie będę się ze wszystkimi żegnał. Powie pani jutro w biurze, że musiałem nagle wyjechać.
- Powiem tak, panie dyrektorze.
- Może jednak niech pani wyraźnie powie, że to rozkaz ministerstwa. Nie chciałbym, żeby myślano...
- Rozumiem, panie dyrektorze.

Wyszedł, wsiadł do samochodu, ale nim zapuścił motor, objął długim spojrzeniem budynek swego przedsiębiorstwa, które stworzył z niczego, w którym spędził wiele lat i z którym wiązał tyle nadziei na przyszłość. Weź się w kupę, stary! pomyślał. Najgorsze jeszcze cię czeka.

Wyjechał z portu, ale tuż za wiaduktem kolejowym musiał się zatrzymać, bo uświadomił sobie, że nie może prowadzić samochodu. Czuł ucisk w piersiach i brak tchu. Otworzył więc drzwiczki, żeby zaczerpnąć powietrza. O tej letniej południowej godzinie ulica była prawie pusta. Ludzie dzielili się teraz na tych, co pracowali albo oczekiwali przed Urzędem Pośrednictwa Pracy, i na tych, co leżeli na plaży. Tylko wśród bud "Błazanej Warszawy" bawiły się rachityczne dzieci. Po raz pierwszy zobaczył ten widok n a r prawdę: opodał zaczynały się nowe, wysokie kamienice "ulicy Portowej, za nimi widać było okazały Dom Bawełny i początek pięknej zabudowy ulicy Świętojańskiej, a tu stały bezładnie skupione obok siebie budy i budki, wzniesione z porozrzucanych w porcie opakowań, z kawałków drewna i skrawków blachy. Z wypuszczonych przez lufki rur wydobywał się dym, niski i mizerny, jak mizerny był ogień, który go wydawał, i jak mizerne było gotowanie na tym ogniu i grzanie się przy nim w zimie. Po raz pierwszy naprawdę zobaczył ten widok i po raz pierwszy pomyślał, jak trudne dni czekają to miasto, nie zespolone wewnętrznie, pocięte jakby mieczem na bolesne przeciwnieństwa. Czy była w tym także i jego wina? Tak, oczywiście, jeśli przyjąć, że ponoszą ją wszyscy, którzy się z tym stanem rzeczy godzili. Ruszył wreszcie z miejsca i powoli, jakby odwlekając rozmowę z Heleną mogło zmienić jej sens, skierował się ku domowi. Ale zastał tylko Weronikę w kuchni. Czyściła właśnie rydze przed smażeniem.

- O! - ucieszyła się. - Już pan jest? Dostałam dzisiaj na targu pierwsze rydze. Zaraz panu kilka usmażę.

- Nie, dziękuję, Weroniko - powiedział. - Gdzie pani? I Wisia?

- Obie poszły na plażę. Ale tylko się wykapać, leżeć na słońcu można i u nas w ogrodzie. Zaraz powinny wrócić.

- Poczekam.

- Nie usmażyć panu rydżów? Przecież pan tak lubi.

Specjalnie dla pana kupiłam. Bo pani boi się jeść" ze względu na wątrobę, a Wiśka jak przy wszystkim grymasi.

- .Później zjem, Weroniko, później. W tej chwili... nie mam jakoś apetytu.

Weronika dopiero teraz podniosła głowę znad miski z grzybami.

- Czy coś się stało, proszę pana?

- Nie... nic. To znaczy... jeszcze się nic nie stało, ale... muszę jutro wyjechać. I może nawet z panią i z Wisią...

- Przecież niedawno pan wrócił!
 - No tak, i znowu otrzymałem polecenie wyjazdu.
 - Na długo?
 - Nie wiem na jak długo, Weroniko.
 - I tylko ja mam zostać w domu?
 - Tylko Weronika... Może zaprosi sobie Weronika kogo z rodziny?
 - Pani nie lubi, jak zapraszam rodzinę.
 - Ale teraz to co innego, Weroniko.
- Kobieta pokiwała głową.
- Co innego, mówi pan?
 - Tak. Zupełnie co innego.

Stał jeszcze chwilę w drzwiach kuchni, choć Weronika już nic nie mówiła, a on także powiedział wszystko, co trzeba było powiedzieć. Za oknem kwitł krzak pnącej róży, obrzeżał całą futrynę, wciskał się do wnętrza. Posadzili go zaraz po zakończeniu budowy domu, przetrwał wszystkie zimy, pieczołowicie okrywany, rozrósł się i piał się coraz wyżej po zielonej kracie.

- Jakie to piękne róże! - powiedział. I zaraz szybko dodał, bo Weronika zwróciła na niego zdumiony wzrok:
- Pójdę na górę i poczekam na panią. Może się położy.
Nie położył się jednak. Stał na balkonie i patrzył w dół ku plaży, skąd miały nadejść te dwie, na które czekał, mała i duża, obydwie jednakowo kochane, za bardzo kochane, zdawał sobie z tego sprawę. Jeśli nawet wyjadą razem, rozmyślał, gdzie znaleźć dla nich miejsce, żeby mogły przeczekać ten zły czas, którego się już wszyscy spodziewali, czy jest takie miejsce, żeby było w nim bezpiecznie? Przewornie ulokował trochę pieniędzy w banku szwajcarskim, mógł zabrać wszystko, co miał, za granicą liczył się jeszcze polski pieniądz, ale tego, co najważniejsze, zabrać się nie dało, i wiedział, że Helena o tym przede wszystkim pomyśli.

Zobaczył ją wreszcie. Biegła za Wisią ścieżką pod górę, nie mogła za nią nadążyć, przystawała co chwila i śmiejąc się łapała się za serce. Miała narzucony na kostium biały płaszcz kąpielowy, wiatr rozwiewał jego połę, ukazując brązowe od słońca nogi i uda. Zawsze się tak łatwo opalała, w przeciwieństwie do niego, bo on czerwieniał na słońcu jak rak, i każdego lata Wista, zaśmiewając się z uciechy, ściągała z niego całe płaty skóry.

Ona też zobaczyła go teraz pierwsza.

- Mamo! - zawołała. - Popatrz! Tatusz jest na balkonie.

Helena przystanęła, uniosła dłoń do góry i przysłoniła nią oczy. Potem zgarnęła mokre włosy z pleców i wycisnęła z nich wodę. Musiała je zamoczyć w kąpeli, więc je rozplotła, żeby się prędzej wysuszyły. Patrzył na przechylenie jej głowy, na uniesienie ramion, na czarny warkocz, który zaplatała szybkimi palcami. Przymknął oczy, żeby już dłużej na to nie patrzeć. Tak, pomyślał, to będzie bardzo bolało. Zszedł na dół i wybiegł im naprzeciw, a one go obydwie zaczęły całować, mokre i chłodne od morskiej wody, Wista rozkrzyczana z radości.

- Wróciłeś dziś wcześniej, jak to dobrze! Pojedziemy gdzieś po południu? Do Władysławowa, albo do Jastrzębiej

Góry?

Trzymał w ramionach to swoje małe, śliczne pisklę i nie mógł z gardła wydobyć głosu. Po raz drugi w ciągu ostatnich dni pomyślał, że oto wali się w gruzy świat, w którym był mężczyzną, w którym liczyła się jego siła.

- Powiedz, pojedziemy? - dopytywała się Wisia.

- Zastanowimy się, kochanie - wykrztusił.

Usiedli w trzcinowych fotelikach na tarasie. W takich chwilach zjawiała się zwykle Weronika z dobrze ochłodzonym kompotem na tacy albo z galaretką owocową, którą dla stężenia wystawiała do piwnicy. Teraz się nie pokazała, a w kuchni panowała martwa cisza.

- Weroniko! - zawołała Wisia. - Jesteśmy!

Z kuchni nie dobiegł żaden odgłos.

- Weroniko! Hej-ho! Wróciliśmy! Daj coś do picia!

- Idź i sama przynieś - powiedziała matka. - Może Weronika wyszła do piwnicy.

Tereszko przytrzymał Wisię za rękę.

- Chwileczkę. Dajcie jej spokój. Chcę najpierw z wami porozmawiać.

- Z nami? - spytała Wisia. To sformułowanie wydało jej się w ustach ojca dziwne.

- Tak. Z wami obiema. Jutro wyjeżdżamy.

- Nareszcie! - ucieszyła się Wisia. - Całe wakacje siedziałam w domu. Inne dziewczynki...

- Cicho bądź! - przerwała jej matka. - Co to znaczy wyjeżdżamy? I dokąd?

- Najpierw do Sztokholmu. A potem... zobaczymy. Ja będę musiał pojechać także na południe...

- Wysyłają cię znowu?

- Tak.

- Musisz jechać?

- Muszę. Ale naczelnik w ministerstwie, z którym rozmawiałem przed dwiema godzinami, powiedział mi, żebym zabrał was ze sobą. Że to świetna okazja.

- Okazja?

- Tak powiedział. Dał mi do zrozumienia, że lepiej gdzieś to przeczekać.

-Przeczekać...-powtórzyła pani Helena.

- Heleno! - krzyknął. - Nie powtarzaj za mną każdego słowa.

- Przepraszam. - Dotknęła ręką czoła. - Nic nie mogę zrozumieć...

- Bo to niełatwe. Jutro po południu mamy statek.

- Jaki statek?

- Ten, którym odpływamy. Muszę do tej pory załatwić formalności związane z waszym wyjazdem. A ty spakujesz rzeczy.

-- Ależ... to niemożliwe.

- Co niemożliwe?

- Wszystko. Wszystko! Jakże ja mogę... jakże ja mogę to zostawić?

Wstała i ruszyła w głąb domu, a on rzucił się za nią.

- Heleno - zaczął z perswazją w głosie.

- Nie jadę! - krzyknęła. - Nie jadę.

Dopadł ją na schodach, objął.

- Nie chcesz, żebyśmy byli razem?
- Chcę. I jeśli zostanę tu z Wisią, wrócisz.
- Ale czy nie rozumiesz, że może wytworzyć się sytuacja, w której... nie będę mógł wrócić?
Zacisnęła powieki. Nigdy nie sądziła, że będzie musiała o tym mówić.
- Było już coś takiego w moim życiu. I wiem, że jeśli naprawdę pragnie się być z kimś razem...
Potrzęsała nią, zapominając o swojej sile.
- Nie wyobrażaj sobie, że to będzie wojna podobna do tamtej.
- A skąd wiesz, że nie będzie podobna?
- Helenko! - jęknął. - Zlituj się!
- A może będzie podobna? Więc po co w takim razie opuszczać dom?
- Więc o dom ci głównie chodzi? Myślałem do tej pory, że dom to my: ty, ja, Wisia, i że można to przenieść w każde mnę miejsce.
- Nie w każde - powiedziała cicho.
- Nie na stałe przecież. Wrócimy, jak się uspokoi. Jeśli nawet... jeśli nawet stracimy to, co tu mamy, to nie pierwszy raz zaczniemy dorabiać się od początku.
- Ale czy musimy? Czy musimy?
- Mówisz tak, jakbym zamierzał stąd, uciec. A wykonuję tylko polecenie państwowe.
Spuściła głowę, nie widział jej twarzy.
- Ja go nie otrzymałam.
Rozluźnił uścisk, odsunął ją od siebie.
- Więc nie chcesz jechać?
- Nie mogę.
- To na jedno wychodzi.
- Jeśli zostaniemy tu, wrócisz. Wrócisz jak najprędzej.
- Tak - powiedział. - Na pewno. Jeśli mi się to uda.
Zamknął się zaraz w swoim gabinecie, a do niej przybiegła Wisia, i obie płakały w pokoju za ścianą, słyszał to, nawet gdy zatrzęsnało okno, nawet gdy przestały już dawno płakać, zmęczone swoją daremną rozpaczą. Był zły na Helenę, a równocześnie rozumiał ją, od początku był przecież pewien, że tak właśnie postąpi. Ale czy nie mógł oczekiwać od swojej kobiety, że rzuci wszystko, żeby tylko być z nim razem?
Wieczorem przyszedł Siwkowski, prokurent firmy, z którym omówił najważniejsze sprawy. Rozmowa przeciągnęła się do późna. Helena w niej nie uczestniczyła. Przysłała im przez Weronikę kolację do gabinetu, sama się nie pokazała. Nie mieszała się nigdy do spraw firmy, ale teraz odczuł to boleśnie. W roztargnieniu pożegnał się z Siwkowskim, którego choć usiłował być optymistą opuściło jednak poczucie taktu.
- A że też pani nie jedzie! - powiedział na końcu. Stali już na ganku, dokąd go odprowadził, w chłodzie nocy i mroku, który pozwalał im nie widzieć swoich twarzy.
- Wie pan, jak to jest z babami - powiedział mu na to.
- Moja to by nie miała w takiej sprawie nic do gadania.
Gdyby jeszcze w dodatku było dziecko.
- Panie Siwkowski! Panie Alfredzie! - załamał się Tereszko. - Gdybym nie zdażył wrócić... niech pan... niech

pan się nimi opiekuje. Jak swoją rodziną.

- Postaram się, panie dyrektorze - powiedział bez entuzjazmu prokurent. - Ale pani jest tak samodzielna...

- Ale mimo to! Mimo to!

Siwkowski odszedł wreszcie, a on długo stał na ganku, słuchając, jak żwir na ścieżce trzeszczy pod jego krokami. Wiatr poruszył gałęzie sosen, które pozostawili na skarpie, mimo że bardzo przeszkadzały w budowie domu, ale Helena chciała je tu mieć i cieszyła się nimi każdego dnia - były prawdziwą ozdobą ogrodu; teraz ich nagrzane za dnia pnie promieniowały intensywnym aromatem żywicy, który mieszał się z wonią róż, obrastających dom od południowej strony. Chciała tu zostać - czy mógł się jej dziwić? A Zamknął cicho drzwi, na zatrzask i łańcuch. Wszyscy w domu już spali, nawet u Weroniki było już ciemno, a zwykła do późna w noc odmawiać różaniec. Wszedł na palcach do sypialni, rozebrał się szybko. Helena leżała nieruchomo, zwrócona ku otwartemu balkonowi. Może spała, może patrzyła na światła w Basenie Prezydenta. Żeby jej nie niepokoić, położył się na samym brzegu tapczana, żałując, że nie ma pod ręką jakiegoś proszku, który by sprowadził natychmiastowy sen. Nigdy nic takiego nie zażywał, a teraz by się przydało. Czuł, że nie zaśnie do rana, a miał przed sobą długi trudny dzień przed tymi wszystkimi, jakie miały nadejść. Odwrócił się gwałtownie i przytulił twarz do pleców żony.

- Ty jesteś silna - szepnął - ale dlaczego nie pomyślisz o mnie?

Leżała przez długi czas nieruchoma i milcząca jak przedtem. Może naprawdę spała i nie słyszała, na szczęście nie słyszała tego, co powiedział. Poczuł się nagle ośmieszony swoją słabością, tym, że go jednak dopadła, że się z niej zdradził przed Heleną; była ostatnią osobą, której chciałby się ukazać taki bezradny.

Ona jednak nie spała. Odwróciła się powoli, przygarnęła go do siebie. Teraz dopiero naprawdę zrozumiał, czym była: płakał w jej ramionach i nie czuł się tym upokorzony. Był wciąż mężczyzną, mężczyzną, który płacze, ponieważ świat okazał się silniejszy od niego.

Rano mówili już tylko o sprawach praktycznych, o tym, co powinien zabrać w podróż, jak się na nią ubrać.

- Jaka pan walizkę bierze? - zapytała Weronika.

- Dużą czy małą?

- Małą - odpowiedział.

Stała jeszcze przez chwilę w drzwiach, podniosła do oczu zwiniętą pięść.

- Już nigdy nie kupię rydzwów! - szepnęła. - Nigdy!

- Co to znaczy? - zdziwiła się pani Helena.

- A bo wczoraj kupiłam specjalnie dla pana, a pan ani ich nie tknął.

Na szczęście zjawił się urzędnik z ministerstwa, i rozmowa z Weroniką nie miała już dalszego ciągu. Panowie zamknęli się w gabinecie, czas płynął szybko, zbliżała się godzina odejścia statku.

- Pojedziemy do portu? - spytała Wisia. - Odwieziemy tatusia?

- Oczywiście. Jakże by mogło być inaczej! - powiedział-

ła matka.

Córka nie patrzyła na nią. Jej długie rzęsy leżały prawie na policzkach, powieki miała zaczerwienione i opuchnięte.

Może płakała po przebudzeniu? Może płakała całą noc?

- Chodź tu do mnie - zawołała ją matka.

Dziewczynka wstała posłusznie, obeszła stół, stanęła obok niej.

- Spójrz na mnie! Czy uważasz, że postąpiłam źle nie godząc się na wyjazd, i że powinienam przedtem zapytać, co ty o tym myślisz?

Wisia milczała.

- Odezwij się! Chyba sobie potrafisz wyobrazić, co czuję?

- Tak.

- No więc? Po co dodajesz mi cierpienia?

- Musimy zostać - powiedziała Wisia wreszcie; patrzyła matce prosto w oczy, i matka po raz pierwszy zrozumiała, że nie jest to już spojrzenie dziecka. - Ja muszę zostać. Nawet gdybyś ty się zgodziła, nie mogłabym wyjechać. Smutno mi tylko, że tatuś będzie tam taki samotny.

- Jak to nie mogłabyś wyjechać? Co to znaczy? - matka nie zwróciła uwagi na jej ostatnie słowa, sens pierwszych ugodził w nią jak grom.

- Wiesz przecież.

- Nie, nie wiem.

- Jestem tu potrzebna.

- Ty?

- Ja.

- Jesteś jeszcze dzieckiem - powiedziała matka, ale bez pieszczoty w głosie. Tak, że też o tym zapomniała! uświadomiła sobie nagle. Czy miała teraz biec na górę, powiedzieć o wszystkim Adamowi, prosić, żeby jednak usiłował załatwić dla nich paszporty? Czy miała wyciągać walizy, pakować w nie choćby najpotrzebniejsze rzeczy? Jakże mogła o tym zapomnieć, że przed kilkoma tygodniami była tu ta dziewczyna, którą potem odprowadzali całą rodziną na dworzec! To za nią pójdą dzieci, nie pytając o zgodę rodziców, to ona je zawoła i poprowadzi...

- Wisiu! - szepnęła z żalem. - A nie myślisz o mnie? Że i ja byłabym taka samotna?

- Myślę - odpowiedziała dziewczynka bardziej ruchem warg niż głosem.

- A jednak masz odwagę...

- Tak trzeba, mamusiu.

Jej dziecko powiedziało: tak trzeba. Jej małe, jej niedorosłe dziecko! I nie mogła tego zlekceważyć, nie mogła tego wyśmiać - wiedziała, że gdyby próbowała zniweczyć to uczucie, najpiękniejsze ze wszystkich, już sama nie miałaby nigdy prawa do miłości.

- Może jeszcze wszystko dobrze się skończy - szepnęła i usiłowała się uśmiechnąć, ale Wisia i tak na nią nie patrzyła.

- Może - powiedziała tylko cicho.

- Wyprowadzę samochód z garażu.

- Otworzyć drzwi?

-- Otworzę sama. Ty przynies walizkę ojca i powiedz Weronice, żeby nie płakała. Żeby przy nim nie płakała.

Kiedy Tereszko skończył wreszcie rozmowę z urzędni-

kiem ministerstwa, obydwie siedziały już w samochodzie. Był im za to szczerze wdzięczny. Bał się, że będzie miał przed sobą kilka pożegnań: jedno przy opuszczaniu domu, drugie w porcie, zanim wejdzie na trap, trzecie - gdy trap zostanie podniesiony i statek zacznie oddalać się od nabrzeża; teraz zostały mu już tylko dwa. Pozwolił żonie prowadzić, sam usiadł z tyłu z Wisią, wziął ją za rękę.

- Nie bój się - powiedziała dziewczynka -nie będzie-my płakać w porcie. Jesteśmy obie z mamą bardzo dzielne.

- Wiedziałem, że jesteście dzielne.

- Jesteśmy. Bardzo.

- Tylko za dużo o tym mówisz - powiedziała matka.

Jednak naprawdę nie płakały. Na Dworcu Morskim znalazły się nagle pośród ludzi o twarzach skażonych tą samą rozpaczą i tym samym pragnieniem opanowania jej. Przestała nagle istnieć wyjątkowość ich własnej sytuacji, to jak gdyby większe prawo do cierpienia - nic takiego nie mogły już sobie wyobrazić, nic takiego nie istniało; wszyscy cierpieli tak samo, wykrzykiwali słowa pożegnania, rzucali się sobie na szyję.

- Widzisz - powiedziała do matki Wisia, z minuty na minutę coraz doroślejsza i coraz bardziej świadoma tego, co się działo -jedni wyjeżdżają, drudzy zostają. Podnieś rękę, ojciec patrzy na nas. Uśmiechnij się do niego.

Pani Helena potrząsnęła głową.

- Tego już nie dostrzeże.

Stał przy relingu, zdołał się do niego docisnąć, choć nie było to łatwe. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że zabiłby każdego, kto by mu w tym przeszkodził. A jednak opuszcza nas, pomyślała. Nie walczył, żeby zostać. Wiedziała, że byłoby to niegodne, skoro otrzymał polecenie wyjazdu, ale nie mogła się obronić przed tą myślą.

Statek oddalał się coraz bardziej, ludzie krzyczeli - ci przy burcie i ci na nabrzeżu - więc mogła wśród nich milczeć, mogła poczuć się wyręczona ich łzami, ich gestami, ich wołaniem.

. - Już nie widzę tatusia - szepnęła Wisia.

- A teraz trzymaj mnie mocno. Mocno! Z całej siły!

-powiedziała pani Helena.

- Mamo!

- Nie, nic. Zaraz przejdzie.

- Może usiądziesz?

- Nie, to zaraz przejdzie. To musi przejść. Tylko ty bądź przy mnie.

Wisi zaczęła trząść się bródka.

- Przecież jestem. >

- Widzisz! Teraz tylko my dwie... my dwie.

- Nie mów tak, bo zaraz zacznę beczeć.

- Nie! Trzymałaś się tak dobrze przez cały czas! Podziwiałam cię! Już wiem, kto będzie się mną opiekował podczas nieobecności ojca. Nie Siwkowski, ale moja dorosła, moja dzielna, moja mądra córka.

Było to pierwsze oszustwo wobec Wisi, oszustwo, którego matka musiała się dopuścić: dla jej dobra, dla jej (dlaczego już teraz tak pomyślała?) ocalenia. Nie liczyła na nią w żadnej sytuacji, wiedziała, jak jej córka jest słaba i niezaradna, rozpieszczona w domu przez wszystkich, ale wie-

działa także, czym będzie dla niej jej pierwszy i od razu tak wielki obowiązek.

- Tak, mamusiu! - szeptała Wisia. - Tak! Będę się tobą opiekować! Zobaczysz!

- Byłam tego pewna - powiedziała z ulgą.

Posiedziały jeszcze jakiś czas w kawiarni na Dworcu Morskim i gdy poczuła się lepiej, poszły do samochodu.

- Mamo - poprosiła Wisia - nie chcę jeszcze wracać do domu.

- Ależ dobrze. Dokąd chcesz pojechać?

- Może do Jastrzębiej Góry? Nie, do Jastrzębiej Góry nie. Chciałam tam pojechać wczoraj z tatusem. Pojedziemy do Pucka, albo do Wejherowa.

- Wszędzie, dokąd zechcesz - zgodziła się szybko, choć marzyła o tym, żeby jak najprędzej znaleźć się w domu, położyć się do łóżka i odprawić w nim wielką rozpacz, nareszcie w samotności, nareszcie bez świadków.

- Bardzo dawno nie byliśmy w Pucku - powiedziała Wisia. - Może zobaczymy lotnisko. I hydroplany!

- Dobrze. Pojedziemy do Pucka i zobaczymy hydroplany.

Ulice o tej popołudniowej porze były prawie puste. Dopiero na Śląskiej trzeba było przyhamować i zjechać na pobocze drogi: z Grabówka na witomiński cmentarz szedł ubogi pogrzeb.

Nie prowadził go ksiądz, na którego rodzina zmarłego nie miała najwidoczniej pieniędzy, tylko chłopak niedorostek z krzyżem, zbitym z dwóch młodych brzoźowych pni, jaśniejących z daleka białą korą. Za nim szła gromadka starych kobiet, zawodzących piskliwie i fałszywie jakąś żałobną pieśń.

- Popatrz, mamo, jaka mała trumna! - powiedziała Wisia. •-

-Nie patr2 tam!-krzyknęła.

- Dlaczego? . - ; •

- Nie wiem dlaczego. W naszych stronach mówią, że nie wolno patrzeć na pogrzeb przez okno.

- Tu nie ma okna. ;

- Jest. W samochodzie.

- Ależ to zabobon! - zawołała Wisia.

- Na pewno. Ale nie patrz tam.

Trumna była rzeczywiście mała, zbita z zaledwie heblowanych desek. Kryła zwłoki dziecka. Szedł za nią nieliczny kondukt żałobny: ojciec, matka, młodsze rodzeństwo, garstka sąsiadów lub znajomych, gromadka bosych i obdartych dzieci. Wisi pani Helena zakazała na to patrzeć, ale sama patrzyła, bo ludzie za trumną wydali jej się skądś znajomi, i ojciec zmarłego dziecka, kroczący za trumną z dłońmi zaciśniętymi na zmiętej czapce, którą trzymał przy piersi, i postępujący za nim wysoki, pochylony mężczyzna... Znała ich, widywała ich kiedyś, kiedy była bliżej wszystkiego, co działo się w tej wsi, a potem w tym mieście. Krzyknęła cicho, kiedy wśród gromadki żałobników dostrzegła Krzysztofa Grabienia. Odcinał się od reszty swoim wyglądem, ale mimo to pomyślała, że należy do tych ludzi, skoro tu jest, skoro idzie za trumną zmarłego dziecka, choć nie potrafił zapobiec jego śmierci. Była pewna, że o tym właśnie myśli. Znała go na

tylę, żeby mieć tę pewność, żeby wyobrazić sobie, co czuje. Mężczyzna postępujący tuż za najbliższą rodziną to Seweryn Turek. Więc wciąż się przyjaźnią. Wciąż pamiętają nocę w łodzi na brzegu morza i płową pustkę piasku, i nadzieję, która nie dla wszystkich się spełniła. Łączyło ich to - jak wielu ludzi w tym mieście - ale czy nic nie rozdzielało? Żaden żal? Żaden niepokój?

Włączyła silnik i ruszyła, mijając powoli idących.

- Co robisz? - zaniepokoiła się Wisia. - Poczekajmy, aż przejdą.

- Tam idzie ojciec Julitki, widzisz?

- Widzę. Co on tu robi?

- Znał widocznie to dziecko. I jego Ojca.

Chciała żeby na nią spojrzął, żeby ją zobaczył. I stało się tak Podniósł głowę, i na chwilę spotkały się ich oczy. A^e DTÓCZ niego patrzyli też inni. A w ich spojrzeniach me było zdumienia^gniL. Usuwali się niechętnie z drogi, ocierali ^M^ Wisia. - Ja się boję. Spójrz, jak oni na nas patrzą!

- Co ojciec pisze? - spytała Łucka. Była szczęśliwa, że listonosz przyniósł tylko ten list. Zaraz po powrocie z biura pytała o pocztę i przerzucała ją drżącymi rękami. Ale zamiast listu, którego się bała, był ten spod Przeworska.

- Masz, przeczytaj sama.

- Przeczytałem po obiedzie. A teraz krótko powiedz nam.

Wszyscy jesteśmy ciekawi. Dzieci i mama.

- Ja mogę sobie wyobrazić, co dziadek pisze - odezwała się Julitka, odsuwając swój pusty talerz po zupie. - Spodziewałem się nas, a tymczasem przyszło zawiadomienie, że nie przyjedziemy. Na pewno się zdenerwował. Tatusiu, tak?

- Porozmawiamy po obiedzie - powiedział Krzysztof wymijająco.

Łucka nie zwróciła uwagi na brzmienie jego głosu. Skinęła na Anulę, żeby podawała drugie, zebrała puste talerze po zupie i odstawiła je na brzeg stołu. Dopiero teraz odpowiedziała Julitce:

- Oczywiście, że dziadek się zdenerwował. Ale chyba przyznaje nam rację, że nie ruszamy się z domu. Pojedziecie, jak się uspokoi.

- Pojedziemy - burknął Tomaszek pod nosem - gdy się wakacje skończą.

- Cicho bądź! - uciszyła go babka. - Pyskaty zrobiłeś się przez ten miesiąc u dziadka Konki, że sobie rady z tobą dać nie można.

- A dlaczego wszyscy byli na wakacjach, tylko my nie?

- Wybuchnęła Julitka.

- Kto wszyscy? - spytała ją matka. - Kto wszyscy?

Wisia Tereszkówna siedziała tak samo w domu jak wy.

- Bo jej ojciec był za granicą. Wrócił, ale teraz znowu wyjechał.

- Wyjechał? - spytał Krzysztof. Bardzo się starał, żeby zabrzmiało to naturalnie, ale wydało mu się, że krzyknął, choć nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Tak - powiedziała Julitka. - Musiał. Dokądś go tam wysłali.

- Kto? - spytała Konkowa.

- Jacyś ważni ludzie w Warszawie. Chciał, żeby jechały

razem z nim, ale one nie chciały.

- Kto? - zapytał tym razem Krzysztof.

- Pani Tereszkowa i Wisia. Ona tu zaraz przyjdzie.

- Wisia? - zdumiała się Łucka.

- Wciąż się tylko pytacie. Wisia przyjdzie. Mamy w szkole spotkanie z panną Halszką. Bo już przyjechała.

- Ta... panna z Gdańska? - wyjąkała Konkowa.

- Znowu się pytają! - parsknął Tomaszek. - Julitka, znowu się pytają!

- Zwariować z wami można! - zdenerwowała się Łucka. Anula od dłuższego czasu stała obok niej z półmiskiem w rękach, czekając, żeby - jak zwykle - zaczęła rozkładać porcje na talerze. Nie zauważyła tego. Patrzyła posępnie na Julitkę. - Przecież rok szkolny jeszcze się nie zaczął?

- To nic nie szkodzi - wzruszyła ramionami Julitka.

- Mamy spotkanie z panną Halszką.

- Ty i Wisia?

- Nie. Wszystkie dziewczynki.

- Powiedz coś! - krzyknęła Łucka do Krzysztofa.

- Siedzisz i nic nie mówisz. Tylko ja się mam z nimi użerać?

- Mięso stygnie - odezwała się Anula.

Konkowa przyzwalają do siebie i zaczęła sama rozdzielać drugie danie.

- Chciałem tę rozmowę odbyć dopiero po obiedzie

- zaczął Krzysztof, nie patrząc na nikogo.

- Jaką rozmowę? - przestraszyła się Łucka. Sama go sprowokowała, ale już zapomniała o tym.

- Julitka! - Tomaszek tracił w bok siostrę. - Słyszysz? Znowu! Znowu się pytają!

- Jak się nie uspokoisz - popatrzyła na niego groźnie babka - nie dostaniesz deseru.

- A co jest dzisiaj? - Tomaszek odwrócił się do Anuli.

- Kompot z jabłek.

- A to mi deser! Mogę nie jeść! U dziadka dostawałem zawsze lody. Dawał mi pieniądze, i sobie szedłem i kupowałem.

- I już więcej do dziadka nie pójdziesz! - wybachnęła Konkowa.

- Zobaczymy! - mruknął Tomaszek, spuściwszy głowę.

Babka powiodła po wszystkich wzywającym na ratunek spojrzeniem.

- Czy słyszycie, jak on się odzywa?

- Uciszcie się na chwilę! Proszę. - Krzysztof podniósł obie ręce, jakby miał zamiar zatkać sobie uszy albo chwycić się za głowę.

Łucka patrzyła na niego z niepokojem.

- Może powiesz wreszcie, o co chodzi?

- Właśnie usiłuję. Najpierw chciałem z tobą o tym porozmawiać, ale skoro zmuszasz mnie, żeby mówić o tym przy dzieciach...

- Ależ wcale cię nie zmuszam.

- No więc nie zmuszasz mnie. Sam doszedłem do tego, że powinny o tym wiedzieć. Ojciec pisze w liście, żebym je przywiózł do niego na wieś.

- Hurr! - zawołał Tomaszek.

Matka trzepnęła go w kark. Rękę miała delikatną, wypielęgowaną, ale jak wtedy, kiedy nosiła kosze z rybami, silną. Chłopak o mało nosem nie uderzył w stół. Miał ochotę zacząć wrzeszczeć, już usta otworzył, ale spostrzegł, że nikt na niego nie zwraca uwagi, więc zmalał tylko przy stole i popatrywał mściwie na matkę i babkę.

- Ojciec uważa- ciągnął dalej Krzysztof-że tam u nich na wsi najbezpieczniej. Daleko od granicy i głównych szlaków...

Łucka milczała. Julitka siedziała ze spuszczoną głową.

Konkowa żuła wystygłe kartofle.

- A poza tym wieś. To nie to co miasto. W dodatku nasze.

- Jak to sobie wyobrażasz? - spytała Łucka.

- Myślę, że mogłabyś odwiedzić dzieci...

- Przecież rok szkolny za pasem!

- Może się uspokoi do tego czasu.

- Sam w to nie wierzysz. Odwiozę i co?

- Mogłabyś tam z nimi trochę zostać. Masz nie wykorzystany urlop.

- Ty też.

- Ale ja mogę dostać każdej chwili powołanie. Muszę być na miejscu.

To tego listu bała się Łucka co dnia. To przed nim drżała, biorąc pocztę do ręki. Teraz zadrżała na sam dźwięk tego słowa.

- Są młodszy od ciebie - powiedziała cicho. - Oni powinni najpierw dostać.

Mówiła tak, bo go kochała. Przecież, na Boga! nie wyrzywał się na tę wojnę, ale jednak spojrzał na nią z niechęcią.

- To już nie zależy od nas - powiedział sucho.-

Konkowa uderzyła w lament:

- A mówiłam, żeby wtedy, kiedy miał iść do wojska, prosić inżyniera Wendę, na kolana się przed nim rzucić.

Wyreklamowałby go! Na pewno by go wyreklamował! Ale Krzysztof uważał, że ze wstydu by się spalił, gdyby z czymś takim miał się do niego zwrócić. No to teraz macie! Oficer rezerwy, powołają go lada dzień.

- Niech mama nie płacze - przerwał jej Krzysztof.

- Mówimy teraz nie o mnie, ale o dzieciach. Czy je stąd wysłać, czy nie.

Łucka zerwała się od stołu, podbiegła do dzieci, gwałtownie przygarnęła je do siebie. Oczy jej płonęły.

- Nie dam! - zawołała. - Nigdzie ich stąd nie puszcze!

Odetną nas, i co wtedy? O tym nie pomyślałeś?

- Pomyślałem. Sądzę, że i wtedy lepiej by było, gdyby znajdowały się tam, a nie tutaj.

- Nie! - krzyczała Łucka. - Nie! Nie puszcze! Nie puszcze! Nie dam! - Gniotła w uścisku Julitkę i Tomaszka, obsypywała ich pocałunkami.

Dzieci, oszołomione z początku, znosiły to biernie, ale Julitka w końcu oswobodziła się z matczynych ramion. Była wyraźnie zawstydzona tą sceną.

- Mamo!-powiedziała cicho.-Uspokój się!-I dała już głośniejszy, poprawiając potargane włosy: - Nigdy nie wyjdę za mąż i nie będę miała dzieci. Ludzie od tego rozum

tracą.

Czekała, żeby wybuchła awantura, żeby ktoś krzyknął, zaczął ją łajać, ale w pokoju trwała cisza, i to było gorsze niż karcenie i krzyki.

- Wychodzę! - dodała prawie wyzywająco. - Muszę się przebrać.

I teraz nikt się nie odezwał. Przez otwarte okno dochodził z dołu szum ulicy, gwizd opon zatrzymującego się opodal na przystanku autobusu. Wyszła do drugiego pokoju, przebrała się szybko w harcerski mundurek. Wracając do jadalni dopinała pas.

Wszyscy siedzieli jeszcze przy stole, matka wróciła na swoje miejsce, milcząc podniosła na nią oczy.

Julitka zacisnęła pas o jedną dziurkę dalej niż zawsze, manipulowała przy nim przez długą chwilę - pozwalało jej to stać tu i czekać, żeby się ktoś odezwał, Tomaszek bodaj, albo babka. Milczeli jednak wszyscy i tego już nie można było znieść.

- Poczekam na Wiśkę na dole - zawołała, okręcając się na pięcie. Zatrzasnęła drzwi i zjechała po poręczy na dół. Wiśki jeszcze nie było. Wyszłaby jej naprzeciw, ale nie wiedziała, z której strony może nadejść. Stała w bramie, żeby babka nie mogła jej dostrzec, gdyby przyszło jej do głowy wyjrzeć przez okno. Przejrzała się w dużej szybie oszklonych drzwi, obciągnęła sukienkę pod paskiem, żeby dobrze przylegała, ale to nie poprawiło jej humoru. Jak mogła, myślała o matce, jak mogła! Co pomoże krzyk? Albo płacz? Miała rację, że nie chciała ich posiać do dziadka, ale czy wyobrażała sobie, że uda jej się w ten sposób ich zatrzymać? No tak, Tomaszek był jeszcze smarkacz, Tomaszka nie powinna matka puszczać od siebie, ale jeśli myślała tak samo o niej...

Wisia nadbiegła zdyszana. Była w zwykłej letniej sukience, warkocze miała prawie zupełnie rozplecione.

- Przepraszam - powiedziała, opierając się o ramię Julitki, by zaczerpnąć tchu - spóźniłam się, ale nie mogłam przyjść wcześniej.

- Co się stało? Dlaczego nie jesteś w mundurku?

Wisia zarumieniła się.

- Och, moja mama jest trochę dziwna.

- Nie dziwniejsza od mojej. Żebyś wiedziała, co się przed chwilą u nas w domu działo!

- U was także?-ucieszyła się prawie Wisia. Poczuła się tą wiadomością pokrzepiona. Objęła Julitkę za szyję.

- U was także...

- Mama zaczęła krzyczeć, że nigdzie nas nie puści... Bo ty jeszcze nie wiesz, że mieli nas wysłać do dziadka.

- Za granicę? - spytała Wisia.

- Za jaką granicę? Myślisz, że każdy może wyjechać za granicę. Pod Przeworsk!

- To całkiem blisko.

- Ładnie mi blisko, prawie całą Polskę trzeba przejechać.

- Ale to blisko! - powtórzyła Wisia. Była przyzwyczajona do rozmów o podróżach o wiele odleglejszych.

- Niech ci będzie. Ale nie pojedziemy.

- To dobrze! Nie mogłabym zostać bez ciebie!

- Udusisz mnie! - zawołała Julitka, oderwała ramię Wisi od swojej szyi, poprawiła w szybie włosy. - Wciąż chce mnie dzisiaj ktoś udusić. Jak ty wyglądasz? Zapleć warkocze, idziemy.

Przed dom zajechał samochód prezesa Carbopolu. Słubicki nie wysiadł od razu, wydawał jeszcze polecenia szoferowi.

- On mnie wciąż zaczepia - szepnęła Julitka. - Chce mnie odwozić do szkoły.

- Przecież to pan Słubicki. Był u nas raz w domu.

- No to co z tego, że pan Słubicki? Wciąż mnie chce odwozić do szkoły. Mówię ci ile razy zejść na dół, a samo-; chód stoi przed domem...

Słubicki wreszcie wysiadł, trzymał w ręku ciężką teczkę. Obydwie dygnęły, ale nie zauważył tego. Przeszedł obok nich i ramieniem, bardzo jakoś nieelegancko, pchnął drzwi. Julitce przypomniało się, że matka zawsze strofowała Tomaszka, żeby tak nie robił. Ale widocznie jak ktoś jest wielkim panem, pomyślała, używając bezwiednie wyrażenia babki, to mu wszystko wypada.

- Chodźmy! - powiedziała do Wisi. - Bo się spóźnimy.

Przebiegły na drugą stronę ulicy, przeskakując przez trawnik, który wąskim, zielonym pasmem ciągnął się środkiem jezdni. Przeszły przez sień kamienicy naprzeciwko, przez nie ogrodzone podwórze i wydostały się na pole, porośnięte nie zżętym jeszcze, późno tu dojrzewającym żytem. Grzbietem toru kolejowego, ponad ruchliwą, mieniącą się złotą powierzchnią kłosów, jechał pociąg do Gdańska.

- Nigdy wtedy nie szłam - szepnęła Wisia zachwycona.

- A którąś chodziłaś do powszechniaka?

Wisia spuściła głowę.

- Tatuś mnie odwoził samochodem.

- A ja zawsze chodzę wtedy. Nawet zimą ta ścieżka jest wydeptana w śniegu. Właściciel po-la ją kiedyś zaorał i zagroził drutem, ale na drugi dzień już drutu nie było, a ścieżkę ludzie znowu wydeptali. Tędy najbliżej, na dworzec i na pocztę.

Teraz szły "na Zgodę" - tak nazywano krótką uliczkę między ulicami Mściwoja i 3 Maja, na tyłach ulic 10 Lutego i Starowiejskiej. Zwykle parkowały tu samochody gości z restauracji George, teraz, zamiast prywatnych wozów stały pojazdy wojskowe, otwarte gaziki i przykryte plandekami ciężarówki. Uliczka aż zielona była od mundurów, przed wejściem do budynku, w którym mieściło się Przysposobienie Wojskowe i Liga Obrony Powietrznej Państwa, panował tłok.

Julitkę i Wisię zatrzymało w przejściu dwóch podchorążych:

- Paniutki do kogo?

- Na szkolenie przeciwgazowe.

Jeden z podchorążych, szczuplejszy i jakby młodszy, wydawał się bardzo przejęty swoją rolą.

- Pierwsze piętro, drzwi na lewo! - powiedział głosem dowódcy plutonu.

A drugi zagroził im drogę. Przymknął na chwilę swe ciemne, błyszczące oczy i westchnął:

;

- Szkoda! Bo właśnie kończę służbę.

Wyminęły go chichocząc i zatrzymały się dopiero na schodach. Akurat nikogo tu nie było, tylko na otwartym oknie od podwórza hałasowały wróble.

- Ty, Wiśka - szepnęła Julitka - całowałaś się już kiedy?

Na twarz Wisi buchnęła łuna rumieńca.

- Jak to... czy się... całowałam?

- Zwyczajnie. Nie wiesz, co ludzie robią i skąd się biorą dzieci?

- Nie. Nie całowałam się.

- Ja też nie. Ale myślę, że to musi być przyjemne.

- Nie wiem - szepnęła Wisia.

- Tylko nie myśl, że ja chcę. I z pierwszym lepszym, który się nawinie. Jak ten z dołu. - Przymknęła oczy, udając wyraz twarzy i głos podchorążego. - "Szkoda! Bo właśnie kończę służbę". Ja się pocałuję pierwszy raz dopiero z wielkiej miłości. Powiedz, ty też?

- Ja też - powtórzyła Wisia, wciąż bardzo zmieszana.

- Z takiej największej! Z takiej nie-do-wy-trzy-ma-nia! To dopiero będzie przyjemne. Dajmy sobie na to słowo!

- Na co?

- Że się pocałujemy dopiero z wielkiej miłości. Przyrzekasz?

- Przyrzekam.

Z dołu ktoś wspinał się po schodach, więc ruszyły się, spłoszone.

- Tylko nikomu nie mów! - zdążyła szepnąć Julitka.

Szkolenie jeszcze się nie zaczęło, i panna Halszka opowiadała dziewczynkom, które przyszły wcześniej, w jaki sposób spędziła wakacje. Widziały ją pierwszy raz od zakończenia roku szkolnego - była opalona, ciemnobrązowe włosy połyskiwały jej złotem nad czołem, ale między brwiami pojawiła się zmarszczka, której przedtem nie było.

Julitka i Wisia weszły cicho i dygnawszy przy drzwiach, usiadły pod ścianą.

Panna Halszka przywołała je ręką.

- Chodźcie tu bliżej. Opowiadałam właśnie dziewczynkom o obozie, na którym byłam, i o tym, jaką zastałam sytuację, jakie nastroje w Gdańsku po powrocie. Mówiłam także o naszych przygotowaniach, bo przecież nie możemy tam tkwić tak całkiem bezbronni. Dla wszystkich kobiet z Polonii Polska Rada Sportowa zorganizowała szkolenie przeciwgazowe. Takie same kursy opigaz przeprowadziliśmy we wszystkich polskich ośrodkach, rozwieźliśmy podręczne apteczki, a także... - urwała i nie dokończyła zaczętego zdania. Jej spojrzenie, które akurat spoczęło na twarzy Julitki, cofnęło się spłoszone. - No tak - podjęła innym już tonem po chwili - szkoda, że nie przyszłyście wcześniej. Teraz nie ma już czasu, żeby to wszystko powtarzać. Macie tu maski przeciwgazowe, spróbujcie je założyć.

Po zapoznaniu dziewcząt z maskami panna Halszka zaczęła szkolenie w udzielaniu pierwszej pomocy rannym. Zmierzch już zapadał, gdy rozpuściła dziewczynki do domu, naznaczwszy uprzednio termin następnego spotkania. Zanim się rozeszły, powiedziała jeszcze:

- Grabieniówna! Zostań na chwilę.
- Czy ja także mogę zostać? - spytała Wisia. - Wracamy razem do domu.
- Poczekaj na nią na korytarzu. Albo... - panna Halszka zawahała się --usiadź sobie tam pod ścianą. Muszę porozmawiać z Julitką. ;
- Może mam pojechać z panią do Gdańska? - ucieszyła się Julitka. - Już teraz nic nie powiem w domu. Nie będą się już pytać jak wtedy.
- Tak nie wolno - powiedziała panna Halszka surowo.
- Rodzice powinni o wszystkim wiedzieć. Ale o Gdańsku właśnie chciałam z tobą porozmawiać. Masz tam ciotkę?
- Tak - potwierdziła Julitka zdumiona. - To właściwie ciotka mojej mamy.
- Jak się nazywa?
- Plischke.
- Pliszka czy Plischke?
- Chyba... Plischke - zająknęła się Julitka.
- Przez "sch"?
- Przez "sch" - powtórzyła cicho dziewczynka.
- To po mężu?
- Po mężu.
- A jak się przedtem nazywała?
- Konka. Jak dziadek. I mama, kiedy była jeszcze panną. Ale dlaczego pani pyta?
- Julitko! - Ponieważ panna Halszka trzymała w rękach ołówki, widać było, że palce jej drżą. - Muszę cię przeprosić za te pytania, ale są konieczne. Wszystko jest tak skomplikowane - dodała ze smutkiem - tak skomplikowane na tej ziemi!
- Ale ja... - zawołała Julitka. Zaczynała już powoli rozumieć.-Ja...
- Uspokój się! Czy ciotka twojej matki często do was przyjeżdża?
- Prawie nigdy.
- Dlaczego?
- Bo nie kochają się z babcią i dziadkiem Bernardem.
- Nie kochają się? Nie wiesz z jakiego powodu?
- Julitka zarumieniła się.
- Trochę wiem. Dziadek jest zły na nią o tego Plischke, a babcia o pieniądze...
- No, to mnie nie obchodzi - przerwała szybko panna Halszka. A po chwili zapytała jeszcze: -- To ty jeździsz do ciotki do Gdańska? Bo mama twoja powiedziała, że mogłabyś tam zanocować...
W oczach Julitki pokazały się łzy.
- Czy to co złego, proszę pani? Jeździmy tam czasem z mamą. Mama bardzo lubiła jeździć do Gdańska.
- Dlaczego powiedziałaś "lubiła"?
- Bo teraz już nie jeździ. Dawno tam nie byliśmy.
- Kiedy ostatni raz?
- Zeszłego roku.
- Na pewno?
- Na pewno.
Panna Halszka objęła Julitkę i przez chwilę trzymała ją przy sobie w milczeniu. Słyszały obydwie Jak wala im serca.
- Przepraszam cię - powiedziała - przepraszam cię

jeszcze raz. Ale musisz zrozumieć, że wszystko, co tu mówimy i robimy, jest tylko dla nas. Niemcy robią już w Gdańsku spisy Polaków, którzy im się szczególnie narażili, zresztą nie tylko tych, im wystarczy nawet to, że się jest Polakiem. Robią także spisy mieszkańców Gdyni, których zamierzają aresztować, jeśli tu wejdą.

- Ale nie wejdą? - szepnęła Julitka. - Nie pozwolimy im na to!

- Nie wiem - powiedziała panna Halszka cicho.

Julitce drżały usta.

- Nie wie pani?

- Nie. I dlatego musimy być czujni. Są bardzo silni.

O wiele silniejsi od nas. Na pewno zwyciężymy. Ale teraz oni są bardzo silni.

Pod ścianą cichutko płakała Wisia.

- Idźcie już do domu - powiedziała panna Halszka, uściskawszy Julitkę na pożegnanie. - A do Gdańska teraz nie jedź! - dodała, - Choćby cię nawet ciotka zapraszała.

- Wcale mnie nie zaprasza.

- Tym lepiej. Zrozumiałaś, dlaczego z tobą rozmawiałam?

- Tak.

- Nie gniewaj się na mnie. Musiałam.

- Wcale się nie gniewam, proszę pani - szepnęła Julitka, ledwie opanowując łzy.

Na schodach zapytała Wisię:

- Słyszałaś wszystko?

- Słyszałam. Nie chciałam, ale słyszałam.

- Masz chusteczkę do nosa? Jak wkładałam mundurek, zawsze zapominam sprawdzić, czy mam chusteczkę w kieszeni.

- Masz. Trochę mokra...

- Nie szkodzi.

- Stały chwilę na schodach, Julitka wytarła oczy i nos.

Bała się, że ci dwaj podchorążacy - choć jeden mówił że kończy właśnie służbę - stoją jeszcze w bramie na dole. Mogliby zobaczyć, że płakała, mogliby się domyślić dlaczego, czuła się tak, jakby miała wypisane to na czole.

- Chodźmy! - pociągnęła ją. Wisia. - Już późno.

Mama nie wie, dokąd poszłam.

- Jak wyglądam? - Julitka zwróciła ku niej twarz.

- Nic nie znać?

- Nie.

W bramie zamiast podchorążych stał teraz tęgi sierżant i nie zwrócił na wychodzące dziewczynki uwagi. Wiedział, że był kurs przeciwgazowy na górze, przed nimi wychodziły już inne.

- Idźmy ulicą - poprosiła Wisia. - Nie na przełaj.

Robi się już prawie ciemno.

- Boisz się?

- Tak trochę. Tyle teraz włóczęgów. Mama mówi, że trzeba uważać. Nie mają pracy i do wszystkiego są zdolni. Nawet tak źle patrzą.

- Ty byś tak nie patrzyła, jakbyś była głodna?

- Nigdy nie byłam głodna. Nie mam apetytu - wyznała Wisia ze zmieszaniem.

- Wczoraj było w gazecie, że jakiś człowiek zemdlał

z głodu w bramie przy ulicy 1 O Lutego - powiedziała Julitka posępnie, choć wczoraj się tym tak nie przejęła. Otwierał się przed nią nowy świat, zastanowień i podejrzeń, świat, którego przedtem nie знаła i nie wyobrażała sobie, że istnieje. Mówiło się nieraz o tym w domu, ale puszczała to zwykle mimo uszu. Dopiero dziś... - Słuchaj, panna Halszka powiedziała, że oni są silni.

- Niemcy?

- Niemcy. To by znaczyło, że my jesteśmy słabi. Czy sądzisz, że to dlatego...

- Dlaczego? - nie rozumiała Wisia.

- Och, myśl o tym, co do ciebie mówię! Ludzie u nas nie mają pracy, mdleją z głodu, czy myślisz, że to nie ma żadnego znaczenia?

- Może ma...

- Że dla nich ta wojna, jeśli wybuchnie, będzie tym samym, co dla nas?

- Nie wiem... nie wiem... - szeptała Wisia bezradnie.

- Niemcy na pewno wiedzą o tym, jak u nas jest. I liczą na to. Liczą na to!

- Co ja mamie powiem? - martwiła się Wisia. - Co ja powiem? Uciekłam z domu jak złodziej.

Rozstały się na rogu ulicy, Wisia pobiegła na Kamienną Górę, Julitka skręciła w Świętojańską. Szła powoli, nie śpieszyło jej się do domu, choć wszyscy na pewno siedzieli już przy kolacji. Spuszczała oczy przed spojrzeniami przechodniów, jakby każdy z nich wiedział, o czym rozmawiała z nią panna Halszka, jakby naprawdę miała wypisane to na czole. Ociągając się, weszła na górę i zadzwoniła krótko, zapominając, że dźwiękiem umownym domowników były dwa dzwonki. Otworzyła jej Anulą, mówiła coś do niej, ale minęła ją, jakby tego nie słyszała.

Stanęła na progu i krzyknęła do wszystkich: do matki i babki, do ojca i Tomaszka, krzyknęła przez łyż:

- Czy ciotka w Gdańsku jest Niemką?

XIV

Gdyby jeszcze cokolwiek mogło ją napawać dumą, Konkoma byłaby z niego dumna - z tego schronu, wymurowanego w środku podwórza, żeby żadne gruzы nie mogły zwalić się na niego, z tego schronu przykrytego żelbetową płytą i przysypanego grubą warstwą ziemi, najlepszego, najbezpieczniejszego schronu na długim odcinku ulicy.

Kiedy wreszcie był gotów, zgromadzili się przy nim prawie wszyscy lokatorzy: właściciele sklepów z parteru, z których dwóch zajmowało mieszkania na czwartym piętrze, celnik Rosochacki, oboje Arciszewscy, panna Loewe, Joe-mikser i jego siostra Anita, która tańczyła w Morskim Oku, pan Słubicki z Karolem i Lordem, no i oczywiście gospodarze.

- Jak długo musi schnąć ten beton? - spytał Joe.

- Już jest wyschnięty - powiedział Krzysztof.

- Możemy wejść do środka?

- Oczywiście. Tylko proszę ostrożnie stapać po schodach.

Po kolei zeszli do schronu, Karol wprowadził także Lorda.

- O tu jest światło! - ucieszyła się Anita. Poprawiła włosy, jakby w dziennym świetle na dworze dbała mniej

o swój wygląd niż tutaj. Nosiła fryzurę pazia, zawinięte pod spód końce puszystych włosów okalały jej twarz. - On nie gryzie? - zwróciła się zalotnie do Karola, odsuwając się od psa.

- Może taką ładną nóżkę by sobie i schrupał - odpowiedział Karol z elegancją. Zapomniał o sprzeczkach, jakie miewał z siostrą miksera ze względu na poranne trzepanie dywanów, przeszkadzające rodzeństwu w odsypianiu pracowanych nocy. Ale wszyscy byli w tym momencie dla siebie wyjątkowo mili i uprzejmi, dlaczego więc i on nie miałby być uprzejmy dla tych wycirusów z nocnych lokali? - Dobrze, że schron taki obszerny - pochwalił Słubicki. Ale nie zapyta nawet, ile kosztował, pomyślała Konkowa. Nie dała jednak poznać po sobie, że o tym myśli - nie odbyła jeszcze z panem Słubickim owej rozmowy na temat umieszczenia gdzieś pieniędzy, które wciąż tkwiły w jej szufladzie. Tylko on mógł jej pomóc coś z nimi zrobić. Carbopol miał przecież, jak i inne firmy, swoją filię w Gdańsku i pewnie konta w zagranicznych bankach, z Wolnego Miasta można było wysyłać pieniądze na cały świat. Nie musiałyby uderzać w pokorę i zwracać się z tym do Trudy. Wolałyby umrzeć, niż zobaczyć triumf w jej oczach.

- Wstawimy tu jeszcze ławki - mówił Krzysztof. - Powierzchnia schronu się trochę zmniejszy, ale i tak będzie dosyć miejsca, nawet dla ludzi z ulicy, których nalot złapie w mieście.

- Chcę stąd wyjść - powiedziała Łucka. Stała w głębi, pod samą ścianą, trzymając przy sobie Tomaszka, jakby to nie była tylko próba pobytu w schronie, lecz najrealniejsza potrzeba ucieczki tu przed bombami. Ruszyła ku wyjściu, ciągnąc za sobą syna. - Chcę stąd wyjść! - powtórzyła zdławionym głosem.

- Niech się pani uspokoi - szepnęła Zosia Arciszewska. Położyła dłoń na ramieniu Łucki i usiłowała ją zatrzymać. -- Ja jestem spokojna. Tylko chcę stąd wyjść. Tyle ludzi... tyle ludzi w tak małym... w tak ciasnym pomieszczeniu...

- Ależ mówiliśmy właśnie przed chwilą, że w porównaniu z innymi ten schron jest bardzo obszerny - odezwał się Słubicki. - Bardzo. Wprost komfortowy.

- Staraliśmy się, proszę pana prezesa - szepnęła przypomnie Konkowa. Manewrowała przez cały czas tak, żeby znaleźć się jak najbliżej Słubickiego.

- Poza tym... - zaczął Arciszewski, ale zaraz zawiesił głos, szukając jak najogłędniejszych słów dla wyrażenia tego, co zamierzał powiedzieć - poza tym nie wszyscy mieszkańcy będą w schronie razem... Nastąpią przecież powołania do wojska, a także i na innych posterunkach okazać się może konieczna obecność... no i w końcu... to także trzeba brać pod uwagę... - mówił bezładnie, na jego zwykle bladą, szczupłą twarz buchnęły rumieńce. Jego żona zachowała większy spokój.

- Może będziemy musieli wyjechać...
- Co ty mówisz! - krzyknął na nią.

- No co takiego? Nie możemy między sobą tego powiedzieć? Nie damy się chyba Niemcom połapać przy biurkach?

- A dlaczego nie mówimy o tym - odezwał się milczący dotąd Joe-mikser - że ich tu nie wpuszczymy? Że tu nie wejdą?

Że każdy dom będzie twierdzą nie do zdobycia?

Zwrócili wszyscy ku niemu głowy. Zawstydził ich, ale byli mu za to wdzięczni. Nawet Łucka zatrzymała się w drzwiach schronu z zamiarem pozostania i wysłuchania tych krzepiących słów. Ale dlaczego mówił je nie kto inny, tylko Joe-mikser? Cóż znaczył Joe-mikser? Cóż wiedział? Czyż nie powinno się oczekiwać tych słów od ludzi, którzy mieli niejako obowiązek żywić nadzieję, że...

Te same pytania musieli sobie postawić i inni. Celnik Rosochacki wyprężył swą wątlą pierś.

- Oczywiście, że się nie damy! Oczywiście, że każdy dom będzie nie do zdobycia! Wykrwawia się tu, sukinsyny... Słubicki go uciszył niecierpliwym gestem.

- Wszyscy czujemy to samo. Trudno powtarzać wciąż to, co się czyta w gazetach i słyszy przez radio. Zdawanie sobie sprawy z siły wroga jest równie pożyteczne, co wiara we własną. Moim zdaniem początek wojny może być ciężki. Zanim ruszy się Zachód, zanim poczynione zostaną przygotowania do uruchomienia tak ogromnej maszyny, jaką jest wojna. Na razie tylko oni są przygotowani. Ci straszni ludzie w sercu Europy. Ci nigdy nie nasyceni barbarzyńcy. Ci... - szukał następnego określenia, ale zrezygnował z niego. Uśmiechnął się życzliwie do miksera. - Wszyscy czujemy to samo, ale jednak to bardzo pięknie, panie Jasiu, że pan uznał za słuszne to powiedzieć. ;

Joe-mikser skłonił się głęboko, jakby został czymś obdarowany.

- Dziękuję panu prezesowi.

Zapadła cisza, w której słychać było tylko głośnie dyszenie Lorda.

- Żałuję ogromnie - dodał Słubicki, uśmiechając się wciąż, ale tym razem do wszystkich, uśmiech jednak nie zdołał pokryć zakłopotania, z którym bezskutecznie walczył

- żałuję ogromnie, że nigdy dotąd nie mieliśmy okazji spotkać się tak wszyscy razem...

- Czy mogę go już wyprowadzić? - spytał Karol dyskretnym szeptem.

- Kogo? - obrzucił go roztargnionym spojrzeniem Słubicki. Nie mógł zrozumieć, o co służący pyta.

- Lorda! Bo to za długo dla niego. Zaraz może się ska...

- Wyprowadź go! - zgodził się Słubicki pośpiesznie.

Usiłował powrócić do tego, co mówił, ale było to już niemożliwe. Za Karolem i psem wszyscy zaczęli cisnąć się do wyjścia, więc i on się tam skierował.

- Otrzymałam dziś kartkę z pozdrowieniami z Wiednia od pana matki - wyznała nieśmiało panna Loewe, gdy razem znaleźli się na ciasnych schodach.

- Cieszę się - powiedział, zły na siebie, że nie może wydusić nic więcej. Ale ona naprawdę ma piękne oczy, ta stenotypistka! pomyślał. Po co dziewczynie takie oczy, jeśli ich nikt nie całuje? A może już je ktoś całował? Nie wiadomo, dlaczego nie pomyślał, że ktoś będzie je całował.

- Wiedeń musi być bardzo piękny - powiedziała, niezręcznie podtrzymując rozmowę.

Odpowiedział równie lakonicznie jak przedtem:

- Bardzo.

Nie powinno jej to: ośmielić, ale jednak ośmieliło.

- Dlaczego... -zapytała - dlaczego wyjechał pan stamtąd, skoro pan... nie musiał?
Zrozumiał, że miała na myśli swoją sytuację, i porównanie jej z jego komplikacjami rodzinnymi uznał za wysoce niewłaściwe.

- Ależ musiałem! - - odpowiedział z naciskiem. - Po prostu chciałem być w ojczyźnie mego ojca. - Był wściekły na siebie za to wyznanie, a także i na nią, że je wymusiła. Mówienie na ten temat podawało jakby w wątpliwość zrozumiałą oczywistość jego wyboru. Miał wielu przyjaciół i bliskich znajomych, a jednak nawet w tym gronie nie było nikogo, kogo uznałby godnym tego zwierzenia. Aż nagle ta zupełnie obca dziewczyna...

- Pozwoli pani, że ja pożegnám - powiedział oschle. Panna Loewe dopiero teraz zauważyła swoją śmiałość.

- Och, przepraszam - szepnęła przestraszona - nie chciałam pana zatrzymywać.

- Istotnie, mam mało czasu.

- Panie prezesie! - zastąpiła mu drogę Konkowa.

- Czy Karol panu nie mówił, że chciałam prosić... że prosiłam o chwilę rozmowy?

- Owszem, wspominał... Ale byłem w ostatnich dniach tak zajęty. Boże drogi! - zawołał nagle. - Czyżbyśmy znowu nie zapłacili za czynsz?

- Ach, nie - zmieszała się Konkowa. - Czynsz wyjątkowo... to jest chciałam powiedzieć... zupełnie punktualnie w tym miesiącu został zapłacony. I czyja się kiedy upominałam? Panie prezesie!

- Nie było by w tym nic złego. Mam tyle spraw na głowie, że mógłbym przez zwykłe roztargnienie... Przejdź się trochę z Lordem - zwrócił się do Karola.

> - Ależ ja wiem, panie prezesie - krygowała się Konkowa. - Zwykły człowiek może czasem o czymś zapomnieć, a co dopiero...

- No, no - przerwał jej Słubicki - niech pani mówi, o co chodzi?

.Konkowa rozejrzała się spłoszonym wzrokiem po podwórzu - wszyscy, stali jeszcze wokół schronu.

-- Wolałabym bardziej na osobności.

- Na osobności? - powtórzył za nią zdumiony.

- Tak. Bo to sprawa delikatna.

- Ano jak delikatna - westchnął - to proszę do mnie.

- Wskazał jej gestem drogę przed sobą, i Konkowa ruszyła przez podwórze, wyprzedzając o dwa kroki "pana prezesa", który za nią postępował. Dawniej kazałoby jej to podnieść głowę i patrzeć z góry na wszystkich, ale teraz nie było w tym żadnego zaszczytu. Może i nawet był, ale go nie czuła.

Marija, Józef, nic nie było już takie jak dawniej.

i - Mama nie wie, gdzie jest Julitka? - zawołała za nią | Łucka.

- Nie wiem! - odkrzyknęła. - Dlaczego jej sama nie pilnujesz?

- Myślałam, że mówiła mamie, dokąd idzie.

- Nie mówiła. I nie mam teraz czasu. Przepraszam pana prezesa - zwróciła się do Shibickiego, który musiał także na chwilę się zatrzymać. - Ale tyle kłopotu z tymi dziećmi. Ze wszystkim teraz tyle kłopotu.

- Ze wszystkim - przytaknął. Wprowadził ją do swego gabinetu, otworzył szafkę, w której stały butelki oklejone kolorowymi etykietami. - Napije się pani gospodyni?

- Dziękuję, panie prezesie - szepnęła Konkowa, co nie wyrażało ani rezygnacji, ani przyzwolenia. Słubicki przejął inicjatywę.

- Kieliszczyk czegoś mocnego dobrze nam zrobi. Koniaczku?

- Proszę, jeśli pan prezes tak uprzejmy...

Słubicki ustawiał kieliszki na stoliku przed sofą.

- Koniaczek żyły rozszerza - mówił - a w naszym wieku, pani Konkowa...

- Co tam pan prezes się ze mną porównuje! - zaprzeczyła gorliwie. - Ja jestem stara baba...

- A ja stary kawaler! Na jedno wychodzi.

- Ale lata inne, panie prezesie, lata inne. A starych kawalerów nie ma. Stare są tylko panny. Nie powinnam tego mówić, bo jestem kobietą, ale za chłopą to się zawsze jeszcze jakaś wyda, a panna jak w latach, to już z nią koniec. Pan prezes na przykład to by sobie jeszcze mógł każdą wziąć. I młodą, i ładną...

- I tylko bym wciąż myślał, czy mi się Już puściła, czy jeszcze nie.

Konkowa nie wiedziała, czy się roześmiać, czy zaprotestować.

-Co też pan prezes... :

- A nie jest tak w życiu? - Słubicki nalał koniaku do kieliszków. - Mam czterdzieści pięć lat. Powinienem się ożenić z kobietą o pięć, sześć lat młodszą od siebie, ale takie wydają mi się stare. A z dwudziestolatką miałbym chyba kłopot. Napijmy się, pani Konkowa! Rozmawiamy o głupstwach, a co innego teraz przed nami. Jaką ma pani sprawę? Konkowa pociągnęła łyk koniaku. Aromatyczne, rozgrzewające ciepło spływało w nią powoli, kropla za kroplą; znieruchomiała na chwilę, zasluchana w sobie, śledząca to, 'co się działo w jej wnętrzu. Prawie zapomniała, z czym przyszła. Jak dobrze byłoby naprawdę o tym zapomnieć! Słubicki spojrzał na nią uważniej.

. - Jakież kłopoty?

Trzeba więc było wreszcie to powiedzieć. Nie przychodzi się do takiego pana, żeby z nim siedzieć na sofie i pociągać z kieliszka, trzeba wyłożyć swoją sprawę i nie zabierać mu czasu.

- Pieniądze... - wyjąkała.

Słubicki cofnął się na oparcie kanapy. Poszukał nerwowo papierosów.

- Szkoda, że nie zwróciła się pani do mnie wcześniej. Akurat kilka dni temu...

- Ale kilka dni temu, panie prezesie, nie myślałam, przez głowę mi nie przeszło, że będę musiała...

- Ile pani potrzebuje? Może będę mógł...

- Ależ ja nie potrzebuję! - krzyknęła Konkowa. - Ja ich wcale nie potrzebuję! Składałam grosz do grosza, odmawiałam sobie różnych przyjemności, nawet jak na placu Kaszubskim miałam coś do załatwienia, to nie wsiadałam w autobus, tylko szłam pieszo, a teraz duszę te pieniądze w szufladzie i nie wiem, co z nimi zrobić.

-- Myślałem, że chce pani pożyczyć.

- Ja? Pożyczyć? - roześmiała się nagle Konkowa.

- Od pana prezesa? Ja bym mogła panu prezesowi pożyczyć! Każdemu mogłabym pożyczyć, kto by tylko chciał. Ale pan myśli, że ludzie teraz chcą? Była tu kilka dni temu taka jedna... Na lekarza potrzebowała. Nawet nie dla siebie, dla kogoś drugiego, na lekarza do dziecka. To dziecko i tak umarło, ale mówiłam jej: mogę dać więcej! A ona chciała tylko dziesięć złotych.

- Dlaczego nie wpłaciła pani tych pieniędzy do banku?

- odezwał się Słubicki, żeby coś powiedzieć. Nie przywiązywał wagi do żadnego swego słowa.

- A... w banku pewne? - spytała Konkowa.

- No... - zająknął się.

- Niech pan prezes powie. Z ręką na sercu!

- Niezbyt pewne.

- A pan prezes trzyma swoje w banku?

- Tak.

- Tutaj?

Słubicki coraz mniej był zadowolony z tej rozmowy, do której tak nieopatrznie dopuścił. Nie odpowiedział Konkowej wprost.

- Firma, którą kieruję, ma rozległe międzynarodowe kontakty, a więc także i konta w różnych bankach zagranicznych... Poza tym... część pieniędzy przekazałem matce.

- Matce?

- Tak. Nie chciałbym, żeby... żeby została bez zabezpieczenia...

Karol mówił, że jest bardzo bogata! chciała powiedzieć Konkowa, ale zaniechała tego. Miała przecież zamiar użyć od Słubickiego jakąś pomoc, przynajmniej radę, jeśli nie można już było mieć nadziei, żeby z jej pieniędzmi zrobić to samo, co ze swoimi.

- A ja?-zapytała cicho.-Ja... nie mogłabym wpłacić moich pieniędzy do jakiegoś zagranicznego banku?

Słubicki siedział jak na rozżarzonych węglach.

- Nie.

- Dlaczego?

- Legalnie tego zrobić nie można. .Gdyby miała pani krewnych albo znajomych za granicą, a oni prowadziliby tu jakieś interesy... to mogłaby pani pokryć ich należności swoimi pieniędzmi, oni zaś wpłaciliby na pani konto... Słowem: prywatny clearing.

Konkowa pokiwała głową.

- Nie mam nikogo takiego; Więc muszę stracić te pieniądze? - zapytała po chwili bolesnym szeptem.

- Dużo tego? - spytał niepotrzebnie Słubicki.

Spuściła głowę, zawstydzona wysokością sumy, którą miała wymienić. Przez całe życie myślała, że będzie dumna z tych pieniędzy, a teraz wstydziła się.

- Dwadzieścia - szepnęła.

- Hm... - mruknął Słubicki. - To będzie trudne...

- Ale to jeszcze nie wszystko, panie prezesie.

- Nie wszystko?

- Chyba drugie dwadzieścia tysięcy ma Łucka.

- Bo jest możliwość... - zaczął z wahaniem.

Ożywione nadzieją spojrzenie Konkowej zawisło na jego

twarzy.

- Jest możliwość?

- Ale właśnie zastanawiam się, czy powiedzieć pani o niej. Zresztą... sama pani zdecyduje, czy zechce z niej skorzystać...

- Jaka? Jaka możliwość? - dopytywała się Konkowa. Słubicki nalał znów koniaku do kieliszków i swój od razu wypił jak zwykłą wódkę.

- Wymienić na gdańskie guldeny - powiedział szybko. Konkowa wpatrywała się w niego tępym wzrokiem. Może wydawało jej się, że zamiast niego mówi to do niej jej szwagierka, Truda Plischke, może nawet widziała ją przed sobą.

- Słyszała pani, co powiedziałem?

- Słyszałam.

- Na gdańskie guldeny. W Wolnym Mieście wciąż chętnie przyjmują nasze złotówki ze względu na należności celne. Po co ja to zresztą będę pani tłumaczył. Przyjmują złotówki i już, wystarczy pojechać do Gdańska i wymienić. Nasi celnicy na granicy w Orłowie pytają tylko, ile się przewozi pieniędzy, i prawie nigdy nie rewidują. Jednorazowo można przewieźć osiemset złotych, ale przecież... No i w końcu ma pani rodzinę, nie musi pani sama... tylko sama...

Konkowa milczała.

Słubicki znowu nalał sobie koniaku i wypił. Wyrzucę tę babę! pomyślał. Zaraz ją wyrzucę! Co za dzień! Najpierw jedna pyta mnie... jakbym jej dał do tego jakieś prawo... Jakby miała podstawę do takiej poufałości! a teraz druga zmusza mnie do mówienia...

- Więc jest tylko ta możliwość - powiedział bardzo nieuprzejmym tonem, wyraźnie kończącym tę rozmowę. Ale Konkowa nawet nie drgnęła, tylko wciąż patrzyła na niego.

- Coś jeszcze? - zapytał.

Pokręciła przecząco głową, nie ruszała się jednak z miejsca.

- Nic innego nie mogę pani poradzić.

- Ale to by znaczyło... - powiedziała cicho - to by przecież znaczyło...

Pożałował, że jej jednak nie wyrzucił, nie licząc się z tym, że może będą siedzieć obok siebie w schronie, bo oto była jednak świadkiem tego, że błędnie, że zaczynają mu się trząść ręce. Już nie próbował nalać sobie koniaku. Ona wciąż patrzyła na niego, i widział w jej oczach wątpliwość, której może w nich nawet nie było, ale on ją widział, widział ją, bo się jej bał, bo się jej spodziewał.

- Tak - powiedział, zbliżając swoją twarz do jej twarzy

- to by znaczyło właśnie to! I dlatego powiedziałem wyraźnie, że sama pani zdecyduje, czy zechce z tej możliwości skorzystać.

Do czego mnie ona doprowadziła! myślał. Wyobraża sobie teraz na pewno, że tylko ja mogłem jej to poradzić, tylko ja, bo... tak, na pewno tak myśli... wszyscy wokoło tak myślą, kiedy na mnie patrzą. Czekają tylko, kiedy samochód zajedzie przed dom i Karol zacznie wynosić walizy. Więc ona myśli tak samo, przeklęta baba! Niechby straciła te swoje

dwadzieścia tysięcy, po co takiej starej kwoce tyle pieniędzy? I co to go w końcu może obchodzić? W ciągu dziesięciu lat, od kiedy tu mieszkał, nie zamienił z nią nawet dziesięciu zdań, i nagle dziś dowiedziała się o nim więcej niż najbliższa osoba. Ale gdzie ją miał, tę najbliższą osobę? Odzieją miał?

- Pani Konkowa - zaczął cicho, z wyraźną prośbą w głosie - źle się czuję. I nic już więcej pani poradzić nie mogę. Wszystko zależy od pani. Decyzja zależy od pani. I... proszę zapomnieć o tej rozmowie. Zarówno dla pani, jak i dla mnie nie była ona miła.

Konkowa, mruczając coś pod nosem, wycofywała się do drzwi. Zamknęła je cicho i oparła się o nie na chwilę. Zabrakło jej siły, żeby ruszyć się stąd, żeby coś ze sobą zrobić. Chciała dostać się do windy, pojechać nią na górę, zamknąć się u siebie, ale nagle przeraziła ją myśl o samotności w tym pokoju, jakby leżał w nim trup, rozkładający się trup pieniędzy, które składała w ciągu tylu lat. Czy miała pojechać do Trudy i powiedzieć jej, żeby zabrała stąd tego trupa? Czy też sama po kawałku miała przewozić go do Gdańska? Ale to by oznaczało, Chryste! to by oznaczało wiarę w to, że oni tu przyjdą. Że zwyciężą. Ruszyła na górę do Łucki, żeby być z ludźmi, żeby zająć się czymkolwiek, pomóc Anuli w kuchni, przeprać coś, posprzątać...

Grabieniowie mieli akurat gościa. Przyjechał brat Krzysztofa, Cyprek, ale śpieszył się tak samo jak ostatnio, ledwie Łucka wmusiła w niego jakiś kotlet z obiadu i szklankę herbaty. Przyjechał ze swoim pułkownikiem do Dowództwa Lądowej Obrony Wybrzeża, musiał zaraz się tam stawić, jeszcze dziś wracali do pułku.

- Wpadłeś jak po ogień - wymawiała mu Łucka.

- Myślałem, że nawet to mi się nie uda, ale powiedziałem pułkownikowi, że mam tu brata, i zwolnił mnie na godzinę. Jest na odprawie u pułkownika Dąbka. Muszę być przy samochodzie, jak od niego wyjdzie.

- Odprowadzę cię - powiedział Krzysztof.

- Może byś się rozejrzał tam za Julitką -- poprosiła Łucka. - Nawet nie pomyślisz, gdzie dziecko się podziewa.

- Cóż ja? - Krzysztof wzruszył bezradnie ramionami.

- Widzisz, co się dzieje.

Łucka powstrzymywała łzy.

- Mnie nie słucha. Babki już też nie. Całymi dniami

1

przepada nie wiadomo gdzie. Dziś wyszła zaraz po południu...

- Na ulicy Zgoda przy dowództwie pełno harcerek i pewiaczek - wtrącił Cyprek. - Pełnią służbę porządkową, pilnują samochodów... Tam trzeba się za nią rozejrzeć.

- Gdzie jej będę szukał w takim tłumie? - zachnął się Krzysztof.

- Może zadzwonię do pani Heleny? - powiedziała Łucka.

- Do... pani Heleny? - gwałtownie zwrócił ku niej głowę.

- Tak. Zapytam, czy Wisia jest w domu. Może dowiem się czegoś.

- Zadzwon - zgodził się, nie patrząc na nią.

Wisia była w domu. Pani Helena mówiła do telefonu cicho, wyraźnie nie chciała, żeby córka słyszała tę rozmowę.

- Płacze - powiedziała. - Przez cały czas płacze.

- Dlaczego płacze? - spytała Łucka.

- Bo ją z ulicy Zgoda odesłali do domu. Do służby pomocniczej przyjmują tylko dziewczynki, które mają ukończone czternaście lat. A ona jeszcze nie ma.

- Julitką skończyła czternaście przed tygodniem - powiedziała Łucka bardzo cicho, choć nie musiała przed nikim ukrywać tej rozmowy. Pożegnała się z panią Heleną, odłożyła słuchawkę. - Słyszałeś? - spytała Krzysztofa.

- Słyszałem. Idę tam zaraz.

- Czy... - Cyprek zająknął się, nie wiedział, jak to sformułować - ...czy myślisz, że uda ci się ją zabrać?

Krzysztof spojrzał na brata - mimo munduru wyglądał na chłopaka niewiele starszego od Julitki.

- Przynajmniej będę wiedział, gdzie jest.

- Masz ją sprowadzić do domu! - krzyknęła Łucka, gdy byli już na schodach. - Słyszysz? A jeśli nie, to sama pójdę do pułkownika...

- Matka! - usprawiedliwił ją przed Cyprikiem Krzysztof.

Szli dość długo w milczeniu. Wystarczyło im, że są razem, że myślą o rodzicach, o domu... Powietrze nabierało błękitnej barwy zmięzchu; piękne lato było tego roku - wciąż chciało się o tym mówić, wciąż wydawało się to aż dziwne, aż boleśnie cudowne.

- Szkoda, że nie byłeś ostatnio w domu - powiedział Cyprek. Wciąż używali między sobą tego słowa; dopóki żyli rodzice, dom był zawsze tam, gdzie rodzice.

- Szkoda.

- Na pewno w sadzie dojrzały już pierwsze jabłka.

- Papierówki były zawsze dobre już w lipcu. A teraz dojrzewają malinówki. Pamiętasz tę jabłoń pod oknem?

- Pamiętam.

; - Trzeba było zawsze podpierać jej gałęzie, żeby się nie połamały pod ciężarem jabłek.

- Ojciec nauczył nas potem przerywać na niej kwiaty, żeby nie miała tyle owocu. Jabłka były wtedy dorodniejsze. I jakie soczyste!

- Bardzo soczyste. Chyba już nigdy nie jadłem takich dobrych jabłek.

- Ja też nie - powiedział Cyprek.

Na ulicy Zgoda mimo późnej pory panował ruch jak w godzinach rannych. Na placu za budynkiem Linii Gdyń-Ameryka stały wojskowe samochody, które nie mieściły się teraz w ciasnej uliczce.

- Tam poszukaj Julitki - powiedział Cyprek. - I ucałuj ją ode mnie.

Ucisnęli się bez słowa i Cyprek przepadł w tłumie, a Krzysztofowi przypomniało się nagle, że tyle miał mu do powiedzenia. I że nie powie już tego nikomu...

Wśród tłumu kręcących się tu dziewcząt jakoś nie dostrzegął Julitki. Ściemniło się już zresztą zupełnie, i wszystkie były teraz do siebie podobne w tych granatowych beretach, szarych mundurkach i białych skarpetkach. Zatrwożył go ten widok. Nie dlatego, że spodziewał się tu znaleźć swoją

córkę, ale że skrzyknięto tu dzieci, a wojskowi nie dostali jeszcze powołań, wojskowi tkwili jeszcze w domach bez mundurów i broni.

Wszedł między kolumny wozów, rozejrzał się za wartownikiem. Opodał stała dziewczynka mniejsza i drobniejsza od Julitki. Masz czternaście lat? chciał zapytać, ale powstrzymał się od tego, bo patrzyła na niego groźnie.

- Szukam Julitki Grabieniówny - powiedział. - Jestem jej ojcem. Może jest gdzieś tutaj?

- Jest - odpowiedziała mała bardzo oficjalnym tonem, z nutą niezadowolenia w głosie. - Ale ma teraz służbę.

- Muszę się z nią zobaczyć.

- A to takie ważne?

- Ważne - powiedział, już trochę zły na tę nieustępliwą smarkulę.

- Znajdzie ją pan tam w głębi.

Skinęła ręką, i poszedł w tym kierunku, wyobrażając sobie, jak zawstydzi Julitkę przed koleżankami, że się tu pojawił. Miał ochotę zawrócić, ale przypomniał sobie głos Łucki, dudniący w czeluści klatki schodowej: "Masz sprowadzić ją do domu..." Szkoda, że sama tu nie przyszła i nie popatrzyła w oczy tej smarkatej.

- Julitko! - zawołał, gdy nie mógł nikogo dostrzec w mroku.

Wyskoczyła od razu zza jakiegoś samochodu, i tak jak się spodziewał, nie ucieszyła się na jego widok.

- Co się stało? - wyjąkała.

- Nic się nie stało. Ale mama się niepokoi. Wyszłaś po południu i nie powiedziałaś, dokąd idziesz.

- A bo mama... i babcia... Nie wiedziałam zresztą, że mnie tu zatrzymają.

- Co to znaczy: zatrzymają?

- Że od razu będę miała służbę.

- Przy tych samochodach?

- Przy tych samochodach.

- A co to ma za znaczenie, to twoje stanie tutaj?

- Tatusiu! - krzyknęła.

Zrozumiał i zamilkł. Gdzieś na górze coś się rozprzęgło, rozkazy wydawane były w chaotycznym pośpiechu, ale tu na dole były uważane za świętość.

- Mama prosiła, żebyś wróciła ze mną do domu - powiedział cicho.

- Ale przecież nie mogę - zawołała z rozpaczą.

- Wiem, że nie możesz.

- Muszę tu stać. Wszyscy stoją. Dziewczyny i chłopcy. Mamy służbę.

- Do której godziny ta... służba?

- Do dziesiątej.

- Do dziesiątej? Jak wrócisz o tej godzinie sama?

Przyjdę po ciebie.

Z mroku wyłoniła się postać wysokiego chłopca w mundurze PW-u.

- Ja ją odprowadzę - powiedział.

Krzysztof nie widział go dokładnie.

- Ty? - spytał prawie nieuprzejmie.

- Mam po drodze. Mieszkam przy Komisariacie Rządu.

- I przedstawił się jak ktoś zupełnie dorosły: - Jerzy

Powsiałowicz z drugiej licealnej. W tym roku zdaje maturę.

-Grabień-mruknał Krzysztof speszony.

- Proszę się nie niepokoić - mówił dalej chłopak.

- Odprowadzę Julitkę pod sam próg.

- Dziękuję - powiedział Krzysztof. Julitka milczała.

I tak zostawił ją w mroku z tym chłopakiem, którego twarzy nawet dobrze nie widział, zostawił ją tam, słysząc, jak właśnie zaczynają coś do siebie mówić, zupełnie zwyczajnie, jakby nie było wokół nich wozów załadowanych bronią, jakby świat w ogóle się nie odmienił w ciągu tych ostatnich dni.

- Dopiero teraz dowiedziałam się, jak się nazywasz

- powiedziała Julitka.

- A ja już cały rok znam twoje imię - odezwał się z mroku chłopak. - Słyszałem, jak wołają na ciebie koleżanki.

.'. - Słyszałeś?

- Tak. Bo siedłem zawsze za tobą. Do szkoły. I ze szkoły.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Mieszkamy przecież niedaleko od siebie.

- Tylko dlatego?

- Nie. Nie tylko.

Przed budynkiem dowództwa wszczął się ruch, trzaskaly drzwiczki od samochodów, rozległ się warkot silników, który po chwili spływał w głąb ulicy.

Nadsłuchiwali tego oboje, bo dopiero po długim czasie chłopak zapytał:

- Gdzie spędziłaś wakacje?

- W domu. Mieliśmy pojechać na sierpień do Krynicy, do Zakopanego i do dziadków, ale nic z tego nie wyszło.

- Ja także byłem przez cały czas w domu. Szkoda...

- szepnął.

- Czego szkoda?

- Że nie spotkaliśmy się ani razu. Że dopiero dzisiaj..., Julitka oddychała głęboko.

- A może to i lepiej? - ciągnął dalej chłopak. - Gdybym spotkał cię na plaży, albo na kortach tenisowych... nie byłoby tak jak dzisiaj.

- Dlaczego? Dlaczego nie byłoby tak jak dzisiaj?

- Nie wiem. Ale na pewno nie byłoby tak samo.

Zamilkli teraz na długo. Przyjeżdżały i odjeżdżały jakieś samochody, odzywały się w mroku czyjeś głosy, dudniły kroki. Na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy.

- W domu mówią na mnie: Jerzyk - odezwał się znowu chłopak.

- Czy chcesz, żebym i ja tak mówiła?

:<•••

- Tak.

Znowu zamilkli, ale i bez słów było pięknie, tak pięknie, uroczyste i podniosłe, jakby to było jakieś wielkie święto, obchodzone po raz pierwszy w życiu.

- Wiesz - powiedział chłopak cicho -ja piszę wiersze.

- Wiersze? - szepnęła Julitka.

- Tak. Tobie pierwszej o tym mówię.

- Mnie pierwszej... - powtórzyła bez tchu.

- Nawet mój największy przyjaciel o tym nie wie.

Siedzimy w jednej ławce, i zawsze mnie pyta, co piszę pod

zeszytem od matmy.
- Dlaczego od matmy?
-^ Bo na matmie mam najwięcej czasu. Zawsze pierwszy rozwiązuję zadania.
- A ja nie... - szepnęła zawstydzona.
- Pomogę ci. Podciągniesz się tego roku, zobaczysz. Jeśli chcesz, powiem ci jeden z moich wierszy.
- Umiesz na pamięć?
- Wszystkie umiem na pamięć. Ale nigdy... nigdy jeszcze nie powiedziałem żadnego na głos. Nie patrz na mnie.
- I tak dobrze nie widzę twojej twarzy, bo ciemno.
- Ale patrz gdzieś w bok, bardzo cię proszę.
- Dobrze. Patrzę na plandekę samochodu.
- Ten wiersz napisałem rok temu. I nie wiedziałem jeszcze wtedy do kogo.
- A teraz wiesz?
- Chyba już wiem. Posłuchaj:
Że to ty - przeczuję od razu.
W moje serce imię twoje wpiszę.
W jego ogromną pustkę.
W jego ogromną ciszę.
I nikomu o tym nie powiem.
Nikommu -
nawet tobie.
- Powsiałowicz!- zawołał jakiś donośny głos. - Powsiałowicz!
- Tak jest! - odkrzyknął. - Jestem.
Z mroku wyłoniła się wysoka postać kapitana, którego od kilku dni widywali w dowództwie. Jerzyk wyprężył się przed nim na baczność.
- Jestem, panie kapitanie.
- Są tu do doręczenia pierwsze karty mobilizacyjne.
- Głos kapitana łamał się ze zdenerwowania. - Rozniesz za potwierdzeniem odbioru. Masz ulice Świętojańska i Bema. Gdzie jest Jezierski i Klemke?
- Przy kolumnie wozów od strony ulicy 3 Maja, panie kapitanie.
. - No to ruszaj! Na twoje miejsce zaraz tu kogoś dam.
- Tak jest, panie kapitanie. - Czy mógłbym...
Ale kapitan zniknął już w mroku i Jerzyk nie dokończył tego, co chciał powiedzieć.
- Obiecałem twemu ojcu, że cię odprowadzę - powiedział do Julitki z żalem.
- Ale musisz lecieć - szepnęła.
- Muszę lecieć. Może uda mi się rozniesć do dziesiątej. Wtedy przyjdę po ciebie.
- Przyjdź. Jerzyk! - zawołała, gdy już odchodził.
- Tak? - zapytał z mroku.
- Stań na chwilę przy latarni na ulicy i zobacz... bardzo prędko zobacz, czy w tych kartach... czy w tych kartach nie ma powołania dla mego ojca?
- Zaraz zobaczę. .
Pobiegł do najbliższej latarni i wrócił po chwili.
- Nie ma.
- No to idź, śpiesz się! .
-Może zdążę do dziesiątej.
- Postaraj się. .

Skoczył w mrok, i już go nie widziała, nie słyszała nawet jego kroków, bo zaraz przepadł za rogiem ulicy. Została sama - sama inaczej niż bez babki, matki czy ojca, w zupełnie inny sposób sama.

XV

Zaraz z rana Siwkowski przybiegł na Kamienną Górę do domu Tereszków.

Pani Helena siedziała jeszcze z Wisią przy śniadaniu.

Weronika razem ze świeżym pieczywem przyniosła gazety.

Przeglądały je teraz obie, roz pogodzone brakiem jakichkolwiek zatrważających doniesień. Radio nadawało muzykę.

Miłość ci wszystko wybaczy śpiewała Hanka Ordonówna.

- Walc angielski - powiedziała Wisia.

- Co takiego? - pani Helena podniosła zdumiony wzrok znad gazety.

- Mówię, że to walc angielski, ta piosenka. Uczyłyśmy się to tańczyć na lekcjach tańca. - Wisia zaczęła się już uspokajać po zawodzie, jaki ją spotkał. Do ukończenia czternastu lat brakowało jej pięciu miesięcy. Nie mogła więc należeć do służby pomocniczej, jaką pełniły starsze harcerki i pewiaczki przy Dowództwie Lądowej Obrony Wybrzeża. Z ulicy Zgoda odkomenderowano ją na Świętojańską, gdzie w sklepie Singera dziewczęta szyły pościel dla szpitali polowych oraz płaszcze z koców dla marynarzy. To jest ważniejsze niż stanie całymi godzinami przy samochodach, powiedziała jeszcze tego samego dnia przez telefon do Julitki Grabieniówny. Ta na długo zamilkła.

Tylko Weronika nie brała poważnie tego odpowiedzialnego zajęcia Wisi. Ponieważ przeciągało się do późna, wsadzała jej do torby drugie śniadanie i przykazywała, żeby zostało zjedzone. Teraz zrobiła to samo i jak zwykle pokręciła głową z powątpiewaniem.

- Kto to widział dawać dzieciom robotę, przy której i dorosły człowiek by się nabiedził? No, niechby mi kto kazał uszyć płaszcz dla marynarza!

- Ależ my je tylko zszywamy - broniła się Wisia.

- A kroi prawdziwy krawiec.

- Zszywacie! - wciąż z powątpiewaniem kręciła głową Weronika. - Wyobrażam sobie tych biednych marynarzy w waszych płaszcach!

Wisia roześmiała się.

- Dlaczego biednych?

- No bo jak będą wyglądać? Że też wcześniej nie mogli im poszyć tych płaszczy!

- Na pewno mają wszystko, co trzeba - powiedziała pani Helena półgłosem do Weroniki.

Ale Wisia to dosłyszała.

- To po co my jeszcze szyjemy?

-- Przydadzą się i wasze płaszcze.

- Ale powiedziałaś to tak... powiedziałaś to tak...

- Uspokój się. Jak miałam inaczej powiedzieć? Dlaczego nie wypijaś kakao?

- Już nie mogę.

- Nie grymas! - powiedziała groźnie Weronika. -

Przejrzyj się w lustrze! Strach na wróble z ciebie.

.- Strach na wróble? - powtórzyła Wisia prawie kokieteryjnie. Wpadała z nastojem w nastrój. - Przecież to

nieprawda, Weroniko, to nieprawda!

- Pewnie, że nieprawda! - Weronika pocałowała ją czule. - Moje śliczniutko! Ale dlaczego takie chudziutki? Dlaczego takie leciutkie?

- Na obiad zjem wszystko - powiedziała Wisia. - Czy to ktoś dzwoni?

Weronika ruszyła do drzwi.

- Zaraz otworzę.

- Nie, ja otworzę! - Wisia ją ubiegła. Skoczyła do przedpokoju i po chwili wróciła, wyprzedzając gościa,

- Pan Siwkowski!

Gdy stanął na progu, od razu zrozumiały, że nie przychodzi z dobrą nowiną. Przywitał się w milczeniu, otarł pot z czoła.

- Napije się pan kawy? - spytała Weronika.

- Chętnie.

-A może zje pan coś? Jajecznice albo omlet?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie. Nie jestem głodny. - Objął spojrzeniem stół nakryty kolorową lnianą serwetą, gliniany dzbanek z kwiatami, świeże bułki w wiklinowym koszyczku, biały ser na półmiseczku, przybrany pęczkiem soczystego szczypiorku, miód w kryształowej czarce... - Przyszedł list od pana dyrektora - powiedział.

Tereszkowa wyciągnęła rękę, nim jeszcze wyjął go z kieszeni.

- Skąd? Jaką drogą go pan dostał?

- Przywiózł go kapitan szwedzkiego statku. Dał mi go dziś rano, jak tylko statek wszedł do portu.

- Spóźnię się! - zawołała Wisia. - Ale przecież muszę wiedzieć, co tatuś pisze. - Stanęła za plecami matki, starała się zajrzeć do otwieranego właśnie przez nią listu.

Pani Helena odsunęła ją łagodnie.

- Pozwól, że najpierw ja przeczytam.

Tereszko pisał:

"Kochana Moja! Jedyna! Mam nadzieję, że we wtorek otrzymasz ten list. Natychmiast pakuj rzeczy swoje i Wisi. Tylko najpotrzebniejsze, przede wszystkim zimowe - weź swoje futra i futerko Wisi. Także zimowe obuwie. Zima, może być ostra, a będzie to już zima wojenna - także i w Anglii, gdzie mam nadzieję się z Wami spotkać.

Wynająłem przez agenta mieszkanie w Londynie, na razie tam, potem zobaczymy. Nie stawiaj już żadnych pytań

- również sobie. Ja i tak nie mógłbym ci na nie odpowiedzieć. Zaufaj memu rozsądkowi i memu poczuciu odpowiedzialności. Proszę Cię, bądź natychmiast gotowa do drogi.

Siwkowski załaduje Was na pierwszy statek odpływający do Londynu. Myśl tylko o tym, że będziemy znów razem..."

Dalej następowały adresy: sztokholmski i londyński, a także adres banku w Szwajcarii i numer konta. Patrzyła na to wszystko jak przez mgłę. I na to ostatnie zdanie na dole:

"Jeśli moja prośba nie będzie miała dla Ciebie żadnego znaczenia, to zrozum, że nie tylko proszę; ale i rozkazuję!

Rozkazuję, bo mam do tego prawo, daje mi je to, że Was kocham, że nie wyobrażam tu sobie życia bez Ciebie i Wisi.

Więc śpiesz się! Masz mało czasu! Masz bardzo mało czasu!

Całuję Was obie, a także Weronikę, której przekaż, że

zostawiam dom w jej dzielnych rękach - Adam".

Słowo "rozkazuję" było dwa razy podkreślone, pani Helena nie mogła oderwać od niego oczu.

- Pan zna treść tego listu? - spytała Siwkowskiego.

- Tak. Pan dyrektor napisał do mnie także.

- I uważa pan... uważa pan również...?

- Nie należy się już zastanawiać - powiedział Siwkowski cicho. - Proszę mi dać paszporty. Muszę załatwić formalności.

- Na kiedy mamy być gotowe? - zapytała ochryple, starając się nie widzieć pobladyli twarży Wisi i Weroniki.

- Statek do Londynu odpływa pojutrze.

- Trzydziestego pierwszego?

- Tak.

- Mamo! - zawołała Wisia. - Wyjeżdżamy? Wyjeżdżamy stąd?

Objęła córkę mocno. Ukryła jej twarz na swojej piersi.

- Musimy.

Gdy zaczęła się pakować, wszystko leciało jej z rąk. Przedmioty i rzeczy, zbierane od lat, martwe istnienia związane z człowiekiem, ileż zawierały wspomnień i jak ciężko było rozstawać się z nimi!

Pakowała do waliz to, o czym pisał mąż - futra, zimowe sukienki i obuwie dla siebie i Wisi - ale nagle przyłapywała się na tym, że zbiera z półek jakieś drobiazgi, jakieś książki, że wyjmując z szuflad stare torebki, sztuczne kwiaty...

Weronika chodziła za nią krok w krok, popłakując, Wisia

- od razu chora, z podwyższoną temperaturą - domagała się, żeby dokądś tam zadzwonić i usprawiedliwić ją, powiedzieć, że wyjeżdża.

- Ja tam nie pójde! - krzyczała. - Ja im tego MA powiem!

Wzięła więc to na siebie i zadzwoniła. Usłyszała suchą odpowiedź, że trudno, że jakoś sobie dadzą radę bez Wisi. Nie powtórzyła jej tego, uśmiechnęła się nawet, odkładając słuchawkę.

- Widzisz - powiedziała - jak to gładko poszło.

Oczywiście rozumieją tam twoją sytuację.

Wisia poszła do swego pokoju i przyniosła stamtąd brązowego niedźwiadka bez ucha, jedną z pierwszych swoich zabawek.

- Zapakuj go! - powiedziała. - Skoro chcesz, żebym była jeszcze dzieckiem.

- Wisiu! - zawołała ją do siebie.

Dziewczynka podeszła niechętnie, stanęła ze spuszczoną głową.

- A kto to mówił tak całkiem niedawno, że będzie się mną opiekował? Kto to mówił? Czy mi się to tylko zdawało?

Wisia rzuciła jej się na szyję. Podbiegła do nich Weronika, i płakały teraz wszystkie trzy, bez nadziei na ulgę, jaką zwykle przynoszą łzy.

W. którejś .godzinie, r;QpQłudnia" zmęczona, rozpaczą rozstawaniem się ze wszystkimi, co - lekceważone latami

- nabierało teraz niezwyklej wartości, pomyślała o sprawie ostatniej (jeszcze i teraz nie była przed sobą szczerą, jeszcze i teraz potrzebna jej była droga okrężna do tej prostej prawdy): że domu nie może zostawić tylko pod opieką

Weroniki i Siwkowskiego, że byłaby spokojniejsza, gdyby wiedziała, że jeszcze ktoś będzie tu zaglądał, z potrzeby serca, nie z obowiązku. Krzysztof Grabień! Musi mu powiedzieć, że wyjeżdża. Musi się z nim pożegnać, zobaczyć go. Nie chciała przyznać się do tego pragnienia, wmawiała w siebie, że to przede wszystkim sprawa domu, że tylko troska o dom pcha ją do telefonu, każe zdecydować się na tę rozmowę.

Słuchawkę podniosła Łucka. Głos miała roztargniony, wiadomość o wyjeździe nie wydała jej się żadną rewelacją. Poproszona o przyjęcie z Krzysztofem na Kamienną Górę, powiedziała, że tak, że oczywiście, że postarają się przyjść...

- Z kim rozmawiałaś? - spytał Krzysztof, gdy Łucka, odłożwszy słuchawkę, ruszyła do drzwi. Telefon zatrzymał ją w momencie, gdy wybierała się na górę do matki, która ostatnio zachowywała się niepokojąco.

- Z panią Heleną - powiedziała. - Wyjeżdża z Wisia pojutrze do Anglii. Mąż ją ściąga. Prosiła, żebyśmy przyszli. Chodzi jej o opiekę nad domem...

- No to chodźmy! - zawołał.

- Muszę najpierw iść do mamy. Anula mówiła mi, że dziś przez całe przedpołudnie zaczęła wszystkich na schodach i mówiła, że nie wymieni pieniędzy na gdańskie guldeny. Boże, Boże, żeby tylko nie zwariowała z tego zmartwienia!

- No to idź! Pośpiesz się! Dlaczego stoisz?

- A ciebie to nic nie obchodzi! - krzyknęła nagle.

- O nasze pieniądze nie zadbałeś! I pieniądze matki cię nie martwią...

- Przecież nie będę z tego powodu walił głową o mur.

Więcej ludzi jest w podobnym położeniu.

- Co mnie obchodzą inni ludzie? Każdy martwi się o siebie. Za dużo tego wszystkiego na mnie! Ten strach, że lada moment możesz dostać powołanie...

- Idź do matki - poprosił łagodnie. - Skoro przyrzekłaś pani Helenie...

- Ach, poczeka! - Łucka otarła wierzchem dłoni łzy z policzków. - Nie myśl, że naprawdę martwię się tymi pieniędzmi - szepnęła. - Żebym tylko wiedziała, że ty... że tobie nic nie grozi, że zostaniesz ze mną...

Objęła go za szyję, dyszała ciężko na jego piersi.

- Na razie nie myśl o tym - powiedział, nie mogąc zdobyć się na ton czułości w głosie.

- Nie myśl! Jak mogę nie myśleć? Przedtem bałam się tylko listonosza. A teraz... Słyszałeś, co mówiła Julitka! Każdej chwili możesz dostać kartę mobilizacyjną. Za dnia, w nocy...

- Miałas zajrzeć do matki - przypomniał jej z naciskiem.

- Już idę. Boże, Boże, kiedy to się skończy?

Konkovej nie było na górze. Łucka, wjechawszy na górę windą, pomyślała, że może matka schodzi właśnie schodami (co ostatnio zdarzało się jej coraz częściej), i pobiegła za nią. Ale na żadnym piętrze jej nie było. Dopiero na pierwszym zastanowiły ją uchylone drzwi do mieszkania Słubickiego. Jak się wszystko zmieniło! Pomyślała. Trudno było sobie dawniej wyobrazić, żeby drzwi do mieszkania prezesa Car-

bopolu stały otworem. Nawet przy zamkniętych na zamek Yale i łańcuch warował Lord i Karol, obydwaj równie czujni na każdy szelest.

Zatrzymała się nadśłuchując, zdawało jej się, że z głębi dochodzi głos matki. Chciała zadzwonić, ale rozmyśliła się - pchnęła drzwi i weszła do środka. Karola w kuchni nie było, może zszedł do piwnicy, może na podwórze z Loredem... - ale nie, pies był w domu. Odezwało się właśnie jedno jego szczeknięcie, a po nim uspokajający głos Słubickiego.

- Więc przyszedł specjalnie, panie prezesie - usłyszała głos matki, nieco podniesiony - przyszedł, żeby panu powiedzieć, co postanowiłam. Bo pan może sobie pomyślał: zacznie baba się teraz uwijać między Gdynią i Gdańskiem, wywozić złotówki i zwozić guldeny...

- Wcale tak nie pomyślałem, pani Konkowa - odezwał się zmęczony głos Słubickiego.

Łucka podeszła do drzwi gabinetu. Przez szparę, bo były nie domknięte, zobaczyła prezesa leżącego na sofie i Lorda wyciągniętego obok, z łbem złożonym na kolanach pana.

Ostro przycięte uszy psa nastawione były czujnie, uważne, nieruchome ślepia skierowane ku drzwiom.

- Ja panu wierzę, panie prezesie - ciągnęła dalej Konkowa - że pan tak nie pomyślał. Ale mógł pan pomyśleć. Doradził mi pan z dobrego serca, bo zrobiło się panu mnie żal. I swoje pieniądze pan uratował...

- Pani gospodyni - przerwał Słubicki słabym głosem.

- Nie, nie, panie prezesie, ja nie mam tego panu za złe.

Każdy musi myśleć o sobie. Więc dlatego, że pan swoje pieniądze uratował, chciał pan, żebym i ja uratowała swoje. Ale tego nie można już zrobić bez wstydu i bez tego żalu, co

2&2
człowieka po nocach żre, jakby jakieś zwierzę przyssało się do serca...

- Ja przecież pani powiedziałem - odezwał się znowu Słubicki - że pani sama postanowi...

- I postanowiłam. Postanowiłam! Niech spleśnieją te pieniądze! Niech je rdza pokryje! A nie będę ich wozić do Gdańska, nie będę na guldeny wymieniać! Bo musiałabym się potem cieszyć, że mi się nie zmarnowały. Marija, Jozef! Cieszyć się, kiedy by trzeba głową walić o mur z rozpacz! Słubicki poruszył się na sofie, podniósł się nieco i oparł na łokciu. Pies przyjął z niezadowoleniem zmianę pozycji pana, oderwał na chwilę swoją wielką głowę od jego kolan, ale zaraz ją znowu na nich położył i nieruchome, czujne spojrzenie wparł w drzwi.

- Głową walić o mur z rozpacz - powtórzyła Konkowa - gdyby oni naprawdę tu przyszli.

- Mam migrenę, pani gospodyni - powiedział Słubicki nieledwie z prośbą o litość w głosie.

- Ja jeszcze tylko chwileczkę, panie prezesie. Bo chciałam panu powiedzieć...

Łucka stała w przedpokoju, nie wiedząc, co ze sobą począć. Powinna wejść do gabinetu i wyciągnąć z niego matkę. Musiałaby jednak przy tym przeprosić Słubickiego za jej zachowanie, czego matka by oczywiście dobrze nie przyjęła, i na pewno wywiązałyby się przy tej okazji kłótnia,

a nie czuła się na siłach, żeby znieść to wszystko. Wycofała się więc na palcach z przedpokoju, a na schodach spotkała Karola.

Rzeczywiście był w piwnicy, w wiklinowym koszyku, z którym zwykle schodził po wino, niósł dwie butelki.

- Pana boli głowa - powiedział. - Może mu przejdzie po kieliszku burgunda. To lepsze niż proszek z kogutkiem.

- Panie Karolu - zatrzymała go zawstydzona - u pana Słubickiego jest moja matka. Nie zamknął pan drzwi, idąc do piwnicy, i musiała w tym czasie... Wie pan, ostatnio zachowuje się dosyć dziwnie... My wszyscy zachowujemy się dziwnie, ale ona... Więc siedzi tam u prezesa i męczy go akurat teraz, kiedy go głowa boli... Powinnam tam wejść, ale nie chciałam robić jeszcze większego zamieszania. Niech pan powie matce, że spotkał mnie pan na schodach, że jej szukam...

- Zaraz powiem. Rzeczywiście zrobiła się ostatnio trochę dziwna, sam to zauważyłem. Wciąż o tych pieniądzach...

- Więc niech ją pan wywoła. Panu się to na pewno uda.

- Na pewno - uśmiechnął się Karol. - Jestem tu od tego, żeby pan miał spokój. Musi teraz napić się wina -i przespać z godzinkę.

Łucka wróciła do siebie zgnębiona. Krzysztof czekał już na nią, gotowy do wyjścia i zniecierpliwiony.

- Myślałem, że się pośpieszysz -- powiedział z wyrzutem.

- W ogóle nie wiem, czy będę mogła wyjść.

- Ale przecież obiecałaś pani Helenie! - krzyknął.

- Nie krzycz! Co z tego, że obiecałam? Mam własne sprawy na głowie. Ona sobie wyjeżdża... Idź sam - powiedziała po chwili cicho. - Ja muszę zostać z mamą. Boję się o nią.

Krzysztof zawstydził się obojętności dla spraw swego domu, i choć już był w drzwiach, choć już chciał biec, zatrzymał się jednak na chwilę.

- Może ja z nią porozmawiam? Jak... wrócę.

Łucka potrząsnęła przecząco głową.

- Nie wiem, czy to coś da. Ale spróbuj. Pozdrów panią Helenę ode mnie. I przeproś. Powiedz, jaka jest sytuacja.

- Dobrze - zgodził się natychmiast, już za progiem.

- Przepraszę.

Biegł. Czuł, że jest śmieszny, śpiesząc się tak bardzo, ale nie mógł nakazać sobie powolności i opanowania. Czekala na niego, chciała go zobaczyć, chciała go o coś prosić w tej chwili dla siebie trudnej... Czy mógł się nie śpieszyć, czy mógł nie biec, skoro go wezwała?

Przed domem Tereszków jednak przystanął i nabrał powietrza w płuca. Zwykły ruch ręki do dzwonka wydał mu się bardzo trudny. Ale nie musiał dzwonić. Drzwi się otworzyły, ledwie stanął przed nimi. Czekano tu na niego.

- Dziękuję, że pan przyszedł - powiedziała pani Helena, wyciągając do niego dłoń. Od razu znaleźli się blisko siebie, w małym i ciemnym przedpokoju między gankiem a hallem. - Bardzo dziękuję! A Łucka? Pani Łucka? Nie przyszła z panem?

- Nie mogła - wyjąkał. - Przepraszam, ale ze względu na matkę musiała zostać w domu. Teściowa źle się czuje.

- Tak nagle to przyszło?

- Nagle. Zresztą... czyja wiem? Chyba można się było tego spodziewać. Nie wszyscy mają mocne nerwy... Wprowadziła go do pokoju, wskazała fotel.

- Ja także chyba ich nie mam, skoro odważyłam się... skoro przyszło mi na myśl po tylu latach... liczyć na pana życzliwość i pomoc...

Ledwie usiadł, a już się chciał zerwać i zapewniać, że wciąż ma do tego nie utracone prawo, że nigdy nie przestała go mieć, ale powstrzymała go łagodnym ruchem ręki i cofnęła znów na fotel, daleko od siebie.

Wbiegła Wisia, żeby się przywitać i zapytać o Julitkę.

- Prawie jej nie widuję - powiedział.

- Widzi pan - szepnęła - a ja...

- Wisiu! - Matka pocałowała ją w policzek. - Idź do siebie i zastanów się, co byś jeszcze chciała ze sobą zabrać. Wisia jej nie słuchała. Patrzyła na niego.

- Niech pan pozdrowi Julitkę!

- Dziękuję. Pozdrowię.

- I niech pan powie, że wciąż będę o niej myślała. O tym, co ona robi, a czego ja...

- Przede wszystkim nie masz jeszcze czternastu lat

- podniosła głos matka. - A mam nadzieję, że wojna nie potrwa tak długo, aż ty je skończysz. Chyba nie pragniesz tego, prawda? A teraz idź i zastanów się nad tym, o czym mówiłam.

- Do widzenia panu - szepnęła Wisia.

- Do widzenia! Bądź zdrowa. - Wstał i po chwili wahania pocałował ją w czoło, tak jak u matki odsłonięte. Wisia zmartwiała, spuściła powieki, jej długie rzęsy zatrze-potały i przywarły do policzków.

- Idź do siebie - kochanie - powtórzyła matka. - Straszny z nią kłopot! - westchnęła, gdy za Wisią drzwi się zamknęły. - Boję się, żeby mi się nie rozchorowała.

- To bardzo trudny wiek - odezwał się niezręcznie.

- Tak. I akurat teraz... Mówiła panu Łucka, że wyjeżdżamy już pojutrze?

- Mówiła - potwierdził cicho.

- Nawet dobrze przygotować się do podróży nie zdążę. Zupełnie straciłam głowę, nie wiem, co zabrać, jak zabezpieczyć dom. Zostaje tu Weronika, która jest u nas od czternastu lat. Sama kobieta w tak dużym domu! Wprawdzie mąż zobowiązał prokurenta firmy, pana Siwkowskiego, do opieki nad przedsiębiorstwem i domem, ale on mieszka w Orłowie, a to jednak daleko stąd... i gdyby... gdyby... Dlatego odważyłam się zadzwonić i prosić pana...

Patrzył na nią, na jej twarz, tak dawno z bliska nie widzianą, lecz zawsze tak samo drogą, utraconą od tylu lat, a teraz nagle odzyskaną w chwili ostatecznego rozstania.

- Pani wie... - zdołał tylko wyszeptać - że ja wszyst-ko...

Oczy pani Heleny nabrały blasku.

- Och, wiedziałam... wiedziałam, że mogę zwrócić się z tym do pana... że mi pan nie odmówi... Weronika będzie czuła się zupełnie inaczej, bo jednak Świętojańska to nie Orłowo... Szkoda, że nie mamy bliskich sąsiadów, zabudowa tu rzadka, nie wszystkie parcele zajęte, to zresztą

zadecydowało o tym, że wybraliśmy to miejsce. Kiedy czas spokojny, ludzie uciekają od siebie, a gdy przychodzi chwila taka jak ta, to chcieliby być stłoczeni ze sobą tak ciasno, żeby wystarczyło zawołać, dać znak ręką... Boże, Boże-potrząsnęła głową - czy to może mieć jakieś znaczenie?

Słuchał jej głosu, nie rozumiejąc słów. Docierały do niego jakby z daleka, przytłumione i zatarte żalem, który rozdzierał mu serce. Równocześnie jednak wzrokiem odbierał wszystko z nadmierną, boleśnie atakującą go ostrością: kolor jej pończoch, zagięcie sukni na kolanach, przekreślony w pośpiechu pasek, złamany - prawdopodobnie podczas pakowania - paznokieć u małego palca lewej ręki. Odwrócił oczy, żeby tego nie widzieć, ale z taką samą natarczywością zaczęły atakować go inne szczegóły, na które w zwykłych okolicznościach nie zwróciłby uwagi: okruchy nie sprzątnięte spod stołu, wzór dywanu, odcisnięte na nim ślady nóg od krzeseł... Widział to wszystko tak wyraźnie, jakby przyszedł tu specjalnie po to, żeby się temu przyjrzeć i odnotować w pamięci nie tę chwilę, ale jej obramowanie kształtami i kolorami rzeczy.

Pani Helena wciąż mówiła. A gdy przerywała, oczekując od niego odpowiedzi, ogarniał go popłoch; usiłował się wtedy skupić, patrzył na jej usta, żeby z ruchu warg domyślić się znaczenia słów.

- Weronika nigdy nie widziała pana u nas. Będzie trochę zdumiona, że nie zostawiam jej pod opieką kogoś z naszych licznych znajomych, ale zaraz ją tu poproszę i wszystko jej wytłumaczę.

Uniosła się z krzesła, lecz powstrzymał ją gwałtownym gestem.

- Proszę! - powiedział cicho. - Bardzo proszę! Niech pani zostanie.

Zmieszała się i przestraszyła.

- Ale ja... Weronika pana nie zna... Muszę...

- Proszę! - powtórzył. - Niech pani tak siedzi i pozwoli mi patrzeć.

Umilkła. Znieruchomiała.

Co go łączyło z tą kobietą? Czy siedł z nią choć raz wzdłuż brzegu, czy stali przy sobie w letnim zmierzchu i słuchali szeptu morza? Czy w ciemnym kinie trzymał ją za rękę, mówił jej śmieszne, nieważne, a równocześnie najważniejsze słowa? Nie czekał nigdy na nią, tak jak mężczyzna czeka na kobietę, nie biegł do niej, żeby wziąć ją w ramiona, a rankiem obudzić się u jej boku. Nie on stał, drżąc, w korytarzu szpitalnym, kiedy rodziła dziecko, nie on patrzył, jak je karmi, jak przytula do siebie macierzyńskim gestem. Nie on podejmował życiowe decyzje dla nich trojga, nie z nim miała się zestarzeć... A jednak, choć nic ich ze sobą nie łączyło, opuszczała go teraz, i odczuwał to tak boleśnie, jakby każda godzina i każde miejsce jego życia miały być pustką po niej, po jej żywej obecności, po jej dotykającym istnieniu. Znowu chciała unieść się z krzesła.

- Zawołam Weronikę...

I znowu poprosił:

- ' Niech pani zostanie!

Więc była to ta chwila, kiedy patrzył na nią może po raz ostatni. Czy wróci, zakosztowawszy raz życia poza tym

tragicznym krajem? Czy te zbyt częste niepokoje na tym skrawku ziemi nie skłonią jej do szukania innego, bardziej dla ludzkiego losu zacisznego miejsca? Nie pomyślał, że może być jeszcze inny powód, dla którego...

- Proszę tak nie patrzeć - odezwała się cicho. - I proszę nie utrudniać mi tej chwili, i tak już dla mnie bardzo trudnej.

- Ależ ja... - zawołał żarliwie - ja chcę pani pomóc!

- Więc niech pan będzie rozsądny.

- Przez cały czas... od tylu lat jestem rozsądny.

- Bardzo proszę, niech pan taki zostanie. I... niech Weronika niczego się nie domyśli.

Uśmiechnął się smutno.

- Niestety za to już ręczyć nie mogę.

Ale Weronice nie w głowie było przyglądać się cudzej rozpacz, dosyć miała własnej, opiekę nad domem swoich państwa przyjmowała jak dopust boski. Wiadomość, że będzie blisko ktoś, kto podzieli z nią ten trud, uspokoiła ją nieco, ale główne wątpliwości zostały.

- Wszystko się może zdarzyć - szeptała. - Pożar.

Zbombardowanie. Albo kradzież. Wojna jednych napełnia strachem, a drugich zuchwałością. Rychło się dowiedzą, że jestem tu sama. I co zrobię, jak ktoś w nocy napadnie?

- Ma Weronika telefon - powiedziała pani Helena bez najmniejszej wiary w swoje słowa. - Zadzwoń Weronika na policję i do pana Grabienia.

- Telefon! - mruknęła Weronika. - Pani wierzy

w takie rzeczy?

- Co dnia będę tu przychodził -- powiedział Krzysztof szybko. - Poproszę także stryja Konkę, żeby tu zaglądał.

Jak trochę ludzi zaczniesz się tu kręcić, dom nie będzie sprawiał wrażenia opuszczonego. Może nawet dzieci przyjdą czasem do ogrodu...

- Och, to dobrze! - powtarzały pani Helena i Weronika.

Było jeszcze trochę innych spraw praktycznych, które musieli omówić, i zajęli się nimi gorliwie. Tylko ich spojrzenia, na których się od czasu do czasu wzajemnie przyłapywali, wyrażały myśl inną, nie z tego kręgu, niewiarygodnie niepraktyczną i nierozsądną. Pani Helenie wtedy zaczynały się jak dawniej trząść ręce, ale teraz nie mogła ich zająć wycieraniem szklanek i kieliszków i ustawianiem ich na tacce, którą zaraz porywała kelnerka Żonka. Co też się z nią stało? Pomyślał z nagłą serdecznością. Była świadkiem tamtych chwil, szczęśliwych i nieszczęśliwych, które już nie powtórzyły się w jego życiu... I chyba była także przywiązana do pani Heleny...

Gdy zrobiło się już bardzo późno i trzeba było wreszcie stąd pójść, ruszył się ociężały z miejsca i nie patrząc już na panią Helenę, skierował się do wyjścia.

Podążyła za nim, choć zwykle wyprowadzała gości Weronika, aby zamknąć drzwi. Znaleźli się znów w tym ciasnym przedpokoju między gankiem a hallem, blisko siebie, niemal dotykali się oddechami, śmiertelnie tym przerażeni.

On nie mówił nic, a jej może właśnie to wydało się groźne, bo wyszeptała nagle z lękiem i prośbą w głosie:

- Proszę niech mi pan nie utrudnia... I tak już wszystko

jest takie trudne...

Małe przechylenie ciała, nieznaczny skłon tułowia, i byłaby przy nim, byłaby w jego ramionach. Świat mógł się lada moment zakotłować, mogły się zachwiać wszystkie znaczenia, wszystkie wartości, czy w takiej chwili nie miał prawa... czy naprawdę nie miał prawa, żeby raz jeden pozwolić sobie na tę słabość?

- Niech pan będzie rozsądny - szeptała w mroku, ale w głosie jej już było pragnienie, było wołanie, żeby nie był
10 - Tak trzymać t. II 289

rozsądny, żeby poddał się temu, co nierozumne i szalone, ale co czasem wynosi człowieka ponad niego samego. - Niech pan będzie... - zaczęła jeszcze raz omdlałym głosem. Cofnął się o krok. Jego splecione z tyłu dłonie dotknęły zimnej ściany. Jechała do mężczyzny, który na nią czekał. Czy miał go okraść tylko dlatego, że na chwilę zostawił ją samą i że nigdy by się o tym nie dowiedział?

Nie ten rodzaj szczęścia, nie ten rodzaj zapomnienia mógł mu zapłacić za tyle lat rozsądku.

- Niech pani będzie spokojna o dom - powiedział.

- Dołożę wszelkich starań, żeby nic się nie stało. O ile oczywiście będzie to w mojej mocy. - I teraz dopiero sobie o tym przypomniał! Dlaczego nie powiedział tego na samym początku? Już był na ganku, gdy się odwrócił i dodał:

- O ile... nie powołają mnie do wojska...

- Pana? - wyjąkała w zdumieniu. Ona także o tym nie pomyślała. Jego służba wojskowa umknęła jej uwagi, była wtedy zdobywana przez Tereszkę, a ten dbał o to, żeby wszystkie nici z jej dawnym czasem zostały zerwane. - Pana? - powtórzyła.

- Jestem przecież oficerem rezerwy. Ale miejmy nadzieję, że i wtedy, gdy będę w wojsku, pozostanę na miejscu. Może nawet lepiej będę mógł zaopiekować się pani domem. Ona jednak już o tym nie myślała. Jej kanapy, jej dywany, jej kryształ - coś znaczyła utrata tego wszystkiego wobec tej myśli najgorszej, która dopiero teraz ją dosięgła?

- Pana? - powtórzyła jeszcze raz.

- Spotka mnie to, co innych. Ale może wszystko skończy się szybciej, niż to sobie wyobrażamy. Niemcy nie będą miały siły walczyć na dwa fronty. A potencjał wojenny Anglii i Francji, no i nasz własny, chyba coś znaczą.

- Poszukał w mroku jej ręki, przytulił do niej na chwilę swoje suche, jakby spieczone gorączką usta.

- Tylko jeden Pan Bóg wie - powiedziała nagle - jak nie chcę stąd wyjeżdżać.

, Zbiegł już kilka stopni w dół, zatrzymał się jednak i odwrócił.

,; .Stała na ganku, widział w mroku plamę jej jasnej sukni, podświetlonej blaskiem lampy, bijącym z przedpokoju.

- Do widzenia! - zawołał. - Mówię pani: do widzenia!

Proszę wrócić jak najprędzej!

Posunęła się na brzeg ganku, oparła się o jego balustradę.

- I ja! I ja mówię panu: do widzenia! I niech pan uważa na siebie! Niech pan...

Nie mógł już tego słyszeć, bo biegł ścieżką w dół, żwir trzeszczał pod jego stopami, rozległo się trzaśnięcie furtki. Podniosła dłonie do ust i zagryzła boleśnie palce.

XVI

Sobieski miał wyjść z portu za kilka dni, ale gruchnęła wieść, że wychodzi dziś, że wychodzi zaraz, nie czekając na emigrantów, których miał zabrać.

Z ust do ust podawano sobie wiadomość o decyzji Departamentu Morskiego, która nie tylko wyprawiała Sobieskiego wcześniej z Gdyni, ale także nakazywała innym statkom handlowym, znajdującym się akurat w drodze do kraju, wziąć kurs na Wielką Brytanię. W Żegludze Polskiej, w biurach przedsiębiorstwa armatorskiego Gdynia - Ameryka zawrzało. W zasadzie uważano tę ostrożność za słuszną, ale byli i tacy, którzy podawali ją w wątpliwość, zwłaszcza że minister przemysłu i handlu siedział wciąż jeszcze w Juracie, a także spokojnie kończył tam swój sierpniowy urlop dyrektor Departamentu Morskiego: decyzja więc pochodziła od wicedyrektora, który ulegając warszawskiej panice, przejął się -jak sądzono - zbytnio swoją rolą.

Siwkowski w tej podniecającej wszystkich dyskusji udziału nie brał. Każda ostrożność wydawała mu się słuszną, jakkolwiek wciąż usiłował być optymistą. Bardzo mu w tym pomagał strach przed Tereszką: wierzył w zwycięstwo i powrót szefa, nie chciałby mieć z nim do czynienia, gdyby mu żony i córki na czas z kraju nie wyprawił.

Rzucił więc swoją biurową robotę, w której skuteczność i tak już nie wierzył, zostawił jakieś lapidarne instrukcje popłakującej wciąż po kątach pani Jadwidze i popędził na nabrzeże Francuskie, gdzie przy Dworcu Morskim stał Sobieski. Przypomniawszy sobie, że Tereszko był w dość przyjaznych stosunkach z pierwszym oficerem, i postanowił to wykorzystać.

Do statku jednak trudno było się docisnąć. Oblegał go tłum, ciżba rozkrzyczana i drapieżnie walcząca o miejsce. Tratowano bagaże, zdzierano z siebie wzajemnie odzienie, kobiety spazmowały, płakały dzieci.

Siwkowskiego ogarnęło przerażenie. Wydało mu się, że pokpił sprawę, że już wczoraj powinien był wsadzić panią Helenę z córką na jakikolwiek statek wypływający z Gdyni, bo teraz będzie to bardzo trudne. Jeśli nawet nadzieje na pomoc ze strony pierwszego oficera były realne, w jaki sposób się do niego dostanie?

Miał znajomych wśród celników, pomyślał, że może oni mu to ułatwią, ale i na Dworcu Morskim nie mógł się nigdzie docisnąć. Oprócz wyjeżdżających było tu także wielu ciekawych, liczących na to, że mogą skorzystać w tym zamieszaniu.

Ale byli i tacy, którzy przyszli tu z innych względów. Pod ścianą w hali dworca dostrzegł Siwkowski dobrze znaną postać sekretarza Związku Ekspedytorów, Michalewskiego. Rozmawiał z Sewerynem Turkiem, z którym zwalczały się wzajemnie przez długie lata. Jeden miał przed oczyma jako ideę główną rozwój handlu morskiego, drugi - poprawę robotniczego losu. Przez tyle lat nie mogli się pogodzić, a teraz stali obok siebie i rozmawiali nie jak przeciwnicy. Docisnął się do nich.

- Pan wyjeżdża? - zwrócił się do Michalewskiego.

Ten patrzył na niego długo, zanim rzekł.

- Ktoś przecież musi zostać. Nie widzi pan, co się dzieje?
- Widzę. Właśnie muszę wpakować na statek Tereszko-
wą z córką.

- Panią Helenę? - zainteresował się Turek.

- Pan zna panią Tereszkową? - zdumiał się Siwkowski.

- Z dawnych lat - odpowiedział Seweryn.

- A on? - zapytał Michalewski. - A Tereszko?

- Ministerstwo go wysłało, nie wie pan o tym? Dla
zawarcia tych umów o dostawie alianckiej broni. Przekazał
mi list, żebym ją natychmiast wyprawił do Londynu.

- Dlaczego nie pojechała z nim od razu?

Siwkowski poczerwieniał ze złości.

- Uparta baba. Nie chciała.

Ogarnęła go wściekłość na panią Helenę, i na Tereszkę
także, że taki był wobec niej miękki, że tak jej ulegał. A teraz
on musiał wziąć na siebie cały ten kłopot wyekspediowania
jej z kraju w momencie, który wiele osób uznało już za
ostatni. Rozejrzał się jeszcze raz po hali dworca. "Liczę na
pana!" pisał Tereszko. Siwkowski, przedrzeźniając szefa,
powtarzał sobie w myśli te trzy słowa na przemian z prze-
kleństwami, przed którymi nie mógł się obronić. Liczę na
pana, psiakrew!

Docisnął się jakoś do celników, z których jeden przepro-
wadził go na statek i pomógł mu odnaleźć pierwszego
oficera. Ten zaś miał błędny wzrok i padał z nóg ze
zmęczenia. Na nazwisko Tereszki jednak zareagował.

- Dobrze - powiedział - niech je pan obie zaraz
przywiezie. Tereszko by ducha ze mnie wytrząsł, gdybym
tego dla niego nie zrobił. - I zaraz chwycił się za głowę.

- Dwa miejsca! Gdzie ja znajdę dwa miejsca?

Do Etapu Emigracyjnego na Grabówku nie zjechali się
jeszcze emigranci, ale statek i bez nich był już pełny.

- Kiedy odpływacie? - spytał Siwkowski.

- Najdalej za trzy godziny. Niech pan o tym nikomu nie
mówi. Rozumie pan, jaka jest sytuacja. Wszystkich nie
zabierzemy.

- Rozumiem - szepnął Siwkowski. Rzucił się do trapu,
ale wśród osób na pokładzie mignęła mu znajoma twarz:

Blok! Tak, to był Blok z Poispedu. - Pan wyjeżdża?

- zwrócił się do niego z tym samym pytaniem, jakie
postawił Michalewskiemu.

Ale tym razem otrzymał odpowiedź twierdzącą.

- Jak pan widzi. Na co tu będę czekał? Żona w Ameryce
Tylko córka mi się spóźnia. Schodzi pan jeszcze na ląd?

- Ja nie płynę.

- Nie? To co pan tu robi?

- Załatwiałem miejsce dla żony i córki Tereszki. Zaraz
po nie jadę.

- - Panie Alfredzie kochany! - Blok rzucił się ku niemu
z serdecznością, jakiej mu nigdy dotąd nie okazywał.

- Niech pan rozejrzy się tam za Marynką! Ta wariatka
znalazła sobie odpowiedni moment, żeby się żegnać z narze-
czonym! Niech pan zadzwoni do mnie do domu, może tam
siedzi i czeka na niego. A może pojechała na Oksywie.

- Sięgnął po portfel i wyciągnął z niego dziesięć dolarów.

- Niech pan opłaci jakiegoś taksówkarza, żeby ją odnalazł
i odstawił do portu. Wszyscy znają jej chryslera! Błagam

pana! Nie chcę sam schodzić ze statku, bo widzi pan, co się dzieje.

- Widzę - potwierdził Siwkowski.

- To nieobliczalna dziewczyna! - Blok chwycił się za głowę. - Sam byłem kiedyś młody i zakochany, ale żeby do tego stopnia rozum tracić! W panu cała moja nadzieja!

- Spróbuję - bąknął Siwkowski, przenosząc teraz całą swoją złość na Bloka. Jeszcze i on był mu potrzebny ze swoimi kłopotami!

Wydostał się jakoś z dworca, przedarł się przez tłum, który go otaczał, ale taksówkę udało mu się złapać dopiero na Portowej. Kazał się odwieźć na Kamienną Górę i wcisnąwszy taksówkarzowi dziesięć dolarów Bloka w garść, polecił mu szukać jasnowłosej panny w popielatym chryslerze.

- Zna ją pan? - zapytał.

- Znam - mruknął taksówkarz, wcale nie rozjaśniony wysokością honorarium za tak niezwykle zlecenie. - Jeden taki wóz na całą Gdynię. Ale gdzie ja ją teraz znajdę?

- Niech pan spróbuje. Narzeczonego ma na Gryfie.

Może pojechała na Oksywie do portu.

- No, jak się z nim żegna - uśmiechnął się jednak taksówkarz - to przecież nie na ulicy!

- Ale wóz pan gdzieś zobaczy. Niech pan jedzie najpierw pod mieszkanie na Lipową.

- Dobrze, pojedę najpierw na Lipową, bo najbliżej.

Panie, ale się wyprawia, co?! Nie tylko w porcie, ale i na dworcu kolejowym ludzie się zabijają, żeby do pociągu się dostać. Ja to się nigdzie nie ruszam. Mógłbym benzyny zatankować pełny bak i pojechać gdzieś na wschód. Rodzinę mam w Siedlcach. Ale jak mam zdychać, to wolę na własnych śmieciach. Przynajmniej się człowiek przedtem nie namęczy. Oni nam za to zapłacą! - podniósł głos. - Jeszcze zobaczymy, kto kogo będzie gonił. I czyje będzie na wierzchu!

Ostatnie słowa taksówkarza dobiegły Siwkowskiego już na ścieżce, którą się wspinał, trzymając się dłonią za serce. Ach ten Tereszko, myślał zły, gdyby budował dom w Zakopanem, na pewno kupiłby sobie parcelę na Kasprowym Wierchu. Niechęć do szefa wzrastała w nim z minuty na minutę. Uspokajała go tylko nadzieja na ulgę, jaką odczuje, gdy zobaczy panią Helenę wraz z córką przy burcie Sobieskiego. Przypiął się do dzwonka i nie odrywał od niego palca, dopóki mu nie otworzono.

Weronika była w równie złym humorze.

- Pali się czy co?

- Jest pani?

- Jest. Na gorze.

- A Wisia?

- W ogrodzie.

- Niech Weronika zaraz zawoła. Jedną i drugą.

- Niech sobie pan sam woła! Ja to mogę poprosić:

- Weroniko! - krzyknął. - Statek zaraz odpływa!

Przysiadła na chwilę na brzegu krzesła, a potem rzuciła się do drzwi.

- Proszę pani! - rozplakała się w głos. - Proszę pani!

Pani Helena musiała leżeć w swoim pokoju, bo zbiegła ze schodów w szlafroku narzuconym na bieliznę, bosa, z włosami

mi w nieładzie i oczyma zapuchniętymi od płaczu.

- Statek zaraz odpływa - powiedział Siwkowski. -
Gdzie są pani bagaże?

- Dlaczego dziś? Byłam przygotowana na jutro...

- Proszę o nic nie pytać. Nie wiadomo, czy jutro będzie
jakiś statek. Dziś odpływa Sobieski. Załatwiłem miejsce dla
pani i Wisi. Musimy się śpieszyć!

- Musimy się śpieszyć! - powtórzyła. Stała bezradna.

Weronika przyniosła jej z kuchni swoje rozdeptane pantofle.

-Musimy się śpieszyć...

- Niech się pani ubiera! - przynaglał Siwkowski.

- Weroniko! Niech Weronika zawoła Wisię. I proszę mi dać
klucze od garażu, wyprowadzę wóz.

- Nie postanowiliśmy... nie postanowiliśmy jeszcze co
zrobić z samochodem... - szepnęła pani Helena.

- Co tam będziemy się martwić samochodem! - zlekce-
ważył to Siwkowski. - Jutro już go może zarekwirują. Dziś
zabrali wszystkie wozy Carbopolu. Zostawili jeszcze tylko
wóz Słubickiego, ale na nic mu się nie przyda, bo kierowca
dostał powołanie, a on sam prowadzi tak, że zabiłby się
zaraz przy pierwszej jeździe. Jeszcze teraz przy tych ner-
wach... Pani Heleno! - krzyknął. - Niech pani nie stoi! Na
co pani czeka? Myśli pani, że coś się'zmieni? Jutro mają
ewakuować Komisariat Rządu.

Odróciła się i poszła na górę. Słyszała, jak Weronika
woła Wisię, a potem pomaga jej się ubierać, ponaglać
i popłakując na przemian, więc ubrała się także. Na szczęście
rzeczy miała przygotowane i nie musiała się zastanawiać, co
na siebie włożyć. Zapakowała ostatnie drobiazgi i pudrując
twarz, spojrzała po raz ostani w lustro - wydała się sobie
bardzo spokojna, tak spokojna, jakby już nie żyła, jakby
aktem śmierci oddała siebie ludziom, żeby nią dysponowali,
żeby za nią myśleli. To dobrze, myślała, tak trzeba! Tam
pokażą jej miejsce, gdzie będzie spała, dadzą jeść. A w Lon-
dynie odbierze ją Adam, albo agent przedsiębiorstwa,
zawiezie ją do tego nowego mieszkania, da klucze... Widziała
przez okno, jak Siwkowski znosi walizy i ładuje je do
bagażnika samochodu. Zeszła na dół, obrzuciła Wisię
pobieżnym spojrzeniem, czy gotowa, i ucałowała Weronikę.

- Więc niech Weronika ma oko na wszystko - powie-
działa.

Kobiecina zaniosła się łzami.

- I po cóż to? - skrzywiła się z niezadowoleniem pani
Helena i odsunęła od siebie Weronikę, bo ta chciała ją
całować.

W samochodzie, gdy Siwkowski ruszał, Wisia szarpnęła ją
za ramię.

- Mamo, popatrz! Nasz dom...

- Nie oglądaj się! - krzyknęła na nią. - Patrz przed
siebie.

Wisia ukryła twarz w chusteczce.

- A jeśli będziesz płakać, to cię zostawię.

Na nabrzeżu Francuskim tłum był jeszcze gęstszy. Siwko-
wskiego ogarnęło przerażenie. Nie mógł podjechać pod
Dworzec Morski, musiał się zatrzymać daleko od niego, bo
manewrowanie wozem w tej ciżbie było niemożliwe. Nie
pomyślał o tym, że przecież mógł mu ktoś pomóc nieść

bagażę, że mógł zabrać kogoś z biura - nie przyszło mu to do głowy. Spodziewał się, że podjedzie pod samo wejście dworca, a tam czekali zawsze bagażowi - pakierzy, jak mówili Galicjanie.

- Trudno - powiedział, otwierając bagażnik - musimy się sami zająć walizkami. - Sam wziął dwie, dla pani Heleny i Wisi zostało po jednej.

Były ciężkie, nabite najpotrzebniejszymi rzeczami. Nie do wiary, myślała pani Helena, przeciskając się z walizką przez zbity tłum, niechętny każdemu, kto jeszcze usiłował się weń wcisnąć, nie do wiary, ile to niepotrzebnych rzeczy uważa człowiek za najpotrzebniejsze! Siwkowski, któremu rozpacz dodawała siły, jak taranem wcinał się niesionymi przez siebie bagażami w stłoczoną masę ludzką, zwałął nimi ludzi z nóg, potraçał ich i rozpychał. Gdy udawało jej się postępować za nim, podziwiała go, po raz pierwszy w życiu. Ale musiała oglądać się za Wisia i coraz częściej traciła go z oczu. Przystawała wówczas, a Siwkowski się od niej oddalał, rozdzielała ich od razu spleciona masa istnień ludzkich, tak samo zrozpaczonych, jak oni, żywioł szaleństwa i pośpiechu. Słyszała już wtedy tylko jego głos:

- Prędejj, na litość boską! Gdzie Wisia? Niech pani nie zgubi Wisi!

Odwracała się więc znowu, szukała jej oczyma, a tymczasem odpychano ją coraz dalej od Siwkowskiego, od nabrzeża, od statku. Błada twarzyczka Wisi ginęła jej coraz częściej w tłumie. Czas płynął, mijała minuta za minutą, dziesiątki minut... niewiarygodnie wiele minut, traconych na pokonanie odległości tak niewielkiej...

- Mamo! - usłyszała nagle za sobą. - Mamo! Słabo mi...

Porzuciła swoją walizkę i jak lwica wdarła się w tłum. Ktoś zrzucił jej z głowy kapelusz, ktoś szarpnął płaszczem, aż trzasnęły guziki - nie zwracała na to uwagi. Dotarła do Wisi, otoczyła ją ramieniem.

- Co ci się stało?

- Słabo mi - powtórzyła dziewczynka. - Wody!

Trochę wody!

- Skąd ja ci teraz wezmę wody? Kochanie, opanuj się.

Jeszcze trochę! Musimy dotrzeć do statku. Popatrz, gdzie jest Siwkowski.

- Nic nie widzę - szepnęła Wisia. Osunęła się na walizkę, przysiadła na niej. Ludzie spychali ją z niej i potraćali, ciągnęli po jej plecach swoje bagaże.

- Wstań! - poprosiła matka.

- Nie mogę. Nie mogę...

- Zbierz siły! Wstań! Wezmę twoją walizkę...

- A gdzie twoja? - szepnęła Wisia.

- Nie wiem... - powiedziała pani Helena, rozglądając się bezradnie. - Zostawiłam ją tam, gdzie stałam... Pewnie tam jest...

Nie było jej; zanim Wisia zebrała siły, żeby móc wstać, zanim dotarły w to miejsce, już jej tam nie było. Pani Helena krzyknęła, ale natychmiast zawstydziła się swego głosu. Kto jej mógł tu pomóc? Policja? W taki czas nikt nie boi się policji i nikt na nią nie może liczyć.

- To nic - szepnęła do Wisi. - To nic. Trudno.

Kupimy sobie to wszystko w Londynie. Widzisz Siwkowskiego?

- Nie.

- Rozejrzyj się dobrze.

- Nie widzę.

- Panie Siwkowski! - krzyknęła. - Panie Siwkowski!

Ktoś się roześmiał, ktoś popchnął ją w przeciwnym kierunku, ledwie zdołała utrzymać przy sobie Wisię. Czas płynął. Statek jeszcze stał przy nabrzeżu, widziała go ponad głowami tłumu, ponad lasem gestykujących rąk. Jeszcze stał, ale każdej chwili mógł unieść się jego trap, mogły opaść cumy.

- Panie Siwkowski! - krzyknęła jeszcze raz. Teraz także jej nie usłyszał.

- Co zrobimy? - szeptała Wisia. - Co zrobimy:

- Odnajdzie nas. Przecież przepychamy się w tym samym kierunku. Trzymaj się mnie dobrze!

- Znowu mi słabo! Mamo! Znowu mi niedobrze.

Zatrzymała się, postawiła znów walizkę na ziemi, ale tym razem ścisnęła kolanami. Oparła Wisię o siebie, zaczęła rozcierać jej skronie - były mokre od potu. Ubrały się już na podróż, za ciepło jak na ten upalny dzień i na tę walkę z tłumem. W kostiumie kąpielowym byłoby tu za gorąco.

Ściągnęła z Wisi płaszcz, przerzuciła go sobie przez ramię.

- Zaraz będzie ci lepiej - powiedziała. - Zobaczysz, zaraz poczujesz się lepiej.

- Słabo mi - powtórzyła Wisia.

- Gdzie się podziewacie? - krzyczał Siwkowski. - Co się z wami dzieje? - Brnął do nich przez tłum, tracąc tę cenną pozycję, jaką już zdobył o kilka metrów od trapu. Był czerwony z wysiłku, jakby za chwilę miała go tknąć apopleksja. Nie panował już nad sobą. - Do jasnej cholery, co się z wami dzieje?!

- Wisia zasłabła.

- Akurat teraz?

- Pan się dziwi?

- Mogła się pani jeszcze dłużej namyślać z wyjazdem!

- krzyknął. - Niech pani teraz coś z nią zrobi! Muszę was załadować na statek! Adam mnie zabije, jeśli mi się to nie uda.

Nigdy nie mówił o Tereszcze "Adam" - pani Helena spojrzała na niego zdumiona.

- Co pani tak patrzy? Zabije mnie, jeśli was do niego nie wyprawię. Gdzie pani walizka?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami. - Musiałam zająć się Wisia, i walizka gdzieś się zapodziała.

- Zapodziała się! Boże, co za babskie gadanie! Jak można było nie pilnować walizki? Jej nic nie jest! - Potrząsnął Wisia. - No, weź się w garść.

- Niech ją pan zostawi - powiedziała pani Helena ostro. - I sam niech się pan weźmie w garść, bardzo pana proszę!

Siwkowski jednak nie przycichł.

- Nie mogę za wszystko odpowiadać! - krzyknął.

- Jeśli teraz zaczniemy się w dodatku kłócić...

- Ależ nie kłócę się z panem - powiedziała. - Co pan sobie wyobraża? - Nie poznawała Siwkowskiego. Wyda-

wał jej się zawsze dystyngowanym starszym panem, aż przesadnie dla niej uprzejmym. Wystarczyło więc trochę strachu, żeby zmienił się w pokrzykującego na nią gbura. Nie przeczuwała tego, wyobrażała sobie, że może spokojnie zdać się na jego opiekę, na opiekę ludzi na statku, na agenta w Londynie... Wisiu! - ujęła córkę pod ramię. - Zbierz wszystkie siły! Musimy dostać się na statek!

Wisia wyprostowała się, była bardzo blada.

- Postaram się - szepnęła.

Zaczęli znowu przebijać się przez tłum, coraz gęstszy, im bliżej było do statku, im krótsza wydawała się droga do trapu, przy którym wszakże zwartym szeregiem stali żołnierze ze Straży Granicznej, tak że same mocne barki nie wystarczały, żeby dostać się na pokład. O tym jednak nie wszyscy myśleli. Chwila była tak ostatnia, że myśl o paszportach czy o biletach na przejazd statkiem wydawała się przynależna do innej epoki, zamkniętej raz na zawsze strachem, który ludzi opętał.

- Prędej! - przynaglał Siwkowski. - Podnoszą trap!

Zdawało mu się to tylko, żołnierze wciąż jeszcze sprawdzali dokumenty, i celnicy nie zeszli jeszcze ze statku, ale na panią Helenę to ponaglanie podziało obezwładniająco.

Zatrzymała się, walizkę znowu postawiła na ziemi.

- To dobrze - szepnęła. - To bardzo dobrze!

, Wisia oparła się o nią, i obie patrzyły teraz ponad głowami tłumu na statek, na ludzi stłoczonych przy burcie. Krzyczeli coś, powiewali trzymanymi w ręku chustami.

Siwkowski obejrzał się. Nie miał już także kapelusza, wiatr zwichrzył mu resztki włosów, które zwykle starannie sobie przyklejał do ciemienia brylantyną.

- Prędej! - krzyknął. - Do jasnej cholery, prędej!

Znowu nie odezwały się do niego z tłumu, więc nie usłyszawszy ich głosu, zdołał się jakoś w ścisku obrócić wraz ze swoim bagażem i torując sobie nim drogę, zaczął się powoli do nich przedostawać. Czas płynął, Siwkowski czuł to, jakby mu krew wyciekała z serca, kropla po kropli. Odnalazłszy je wreszcie, prawie zapłakał.

- Na miłość boską, co znowu? Że też akurat mnie musiało to spotkać! Pojechał sobie jak kawaler, a mnie zostawił na głowie...

- Cicho! - powiedziała pani Helena.- Cicho, panie Siwkowski!

- Ależ pośpieszcie się, do jasnej cholery! Mijają ostatnie minuty. Ostatnie sekundy!

- Nie widzi pan, co się z nami dzieje?

Chwycił ją za ramię.

- Na statku będzie się pani pieścić, nie tutaj!

Uśmiechnęła się do niego, jakby nie stał przy niej, jakby patrzyła na niego z oddali.

- Ależ ja nigdzie nie jadę, panie Siwkowski.

Prokurent stracił oddech. Rzucił walizki, dotknął dłonią mokrego od potu czoła.

- Jak to... jak to... pani... nie jedzie?

- Nie jadę.

- Pani zwariowała! - krzyknął. - W głowie się pani pomieszało! Zaraz wsadzę panią na statek siłą. Siłą!

Przez nabrzeże przebiegł szmer. Ucichły na chwilę krzyki

i nawoływania i zamiast nich dało się słyszeć jakby westchnienie, stłumiony jęk tłumu.

Teraz naprawdę podnoszono trap.

Czymże był? Drewnianym pomostem, kilkoma zbitymi deskami, obrzeżonymi liną, urządzeniem niezbędnym na statku - teraz, uniesiony już w górę, stanowił ostatnią, zrywaną właśnie łączność z Ojczyzną.

Po krótkiej i przejmującej chwili ciszy buchnął znów krzyk z tysiąca gardeł.

Krzyczał także Siwkowski. Rzucił obydwie walizy, z którymi tak dzielnie sobie dotąd poczynał, zostawił je pośród tłumu i zaczął przebijać się przez niego sam, wolnymi rękami torując sobie drogę.

- Poczekajcie! - wołał. - Zatrzymajcie się! Na litość boską! Są tutaj dwie kobiety! Dwie kobiety, które muszą... które muszą...

Trap został wciągnięty na statek, maszyny rozpoczęły pracę.

- Chwileczkę! - wołał Siwkowski. - Jedną chwileczkę! Ludzie śmiali się z niego.

Pani Helena poczuła na swoim ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciła się. Była to Marynka Blok, która wsparła się o nią bezwładnie i szukała wśród tłumu na statku twarzy ojca. Oczywiście miała załzawione, włosy w nieładzie.

- On tam jest - szepnęła, unosząc rękę.

- Kto?

- Mój ojciec. Spóźniłam się.

Blok dostrzegł ją także. Przepchał się, brutalnie torując sobie drogę, do relingu, uczeplił go się rękami.

- Idiotko! - zawołał. - Ty idiotko!

- O Boże! - szepnęła pani Helena.

- On ma rację - powiedziała Marynka i zacisnęła powieki, żeby na to nie patrzeć, żeby tego nie zapamiętać.

- Ma rację!

Blok wołał na całe gardło, ale na szczęście nikt nie mógł się zorientować, do kogo kieruje swoje słowa:

-- Co ja powiem matce? Co powiem matce? Żeś latała za jakimś łobuzem, który czyhał tylko na twój posag? Że wolałaś być z nim niż z ojcem?

Pani Helena chwyciła głowę Marynki i złożyła ją na swojej piersi. Odgrodziła ją sobą od tego widoku, przycisnęła dłoń do jej ucha.

Ale Bloka i tak już nie było słyszeć. Statek oddalał się coraz bardziej od nabrzeża. Na ciemnozielonej wodzie kanału, pod niebieskim niebem, wydawał się elementem kolorowej pocztówki, jednej z tych, których tysiące wysyłali latem w głąb kraju bawiący na wybrzeżu urlopowicze. Pocztówka malała, odsuwała się sprzed oczu, ale ludzie na brzegu wciąż stali, zwrócenie ku niej twarzą, napięci i nieruchomi.

- Chciałam pożegnać się z Włodkiem - szeptała Marynka z twarzą na piersi pani Heleny. - Czy mogłam nie pożegnać się z Włodkiem?

- Cicho, cicho...-Pani Helena pogładziła ją po głowie jak dziecko.

- Ale i tak go nie widziałam - powiedziała dziewczyna z rozpaczą. - Nie widziałam go!

Siwkowski przepychał się ku nim z powrotem. Był półprzytomny, ale walizki jednak odnalazł i rzucił je pani Helenie pod nogi.

- Ja za to nie odpowiadam! - krzyknął. - Mogła pani zdążyć! Wszystko było załatwione, i mogła pani zdążyć! Trochę wysiłku! Tylko trochę wysiłku! A jeśli nie chciała pani jechać, to trzeba było mnie uprzedzić...

Pani Helena potrząsnęła głową. Usta jej drżały, ale usiłowała się uśmiechnąć.

- Nie mogłam pana uprzedzić.

- Nie? A dlaczego?

- Bo nie wiedziałam... sama nie wiedziałam...

- Babskie fanaberie! - krzyknął prokurent. -Przekłęte babskie fanaberie! Ale nie ja będę za nie odpowiadał. Zaraz piszę do Adama, żeby mnie uwolnił... żeby zdjął ze mnie tę odpowiedzialność!

- Ależ ja ją z pana zdejmuję - powiedziała pani Helena łagodnie. - Jakże pan teraz będzie pisał do Adama? Jak pan wyśle ten list?

Marynka Blok uniosła głowę.

- To już nie będzie żadnych statków?

- A! - dopiero teraz Siwkowski ją rozpoznał. - Znała się pani! Szkoda, że tak późno!

Dziewczyna patrzyła na niego nic nie rozumiejąc. Znała go z portu (w branży spedytorskiej wszyscy się znali), ale nie mogła pojąć, skąd prokurent Tereszki wie, że miała wypłynąć Sobieskim razem z ojcem. Siwkowski jej to wyjaśnił:

- Ojciec pani dał mi dziesięć dolarów, żeby opłacić taksówkarza, który by panią szukał.

. - Gdzie pan widział się z ojcem?

- Na statku. Załatwiałem miejsce dla pani Heleny i Wisi.

- Siwkowski trzepnął rękami, jakby już ostatecznie zrzucił z siebie odpowiedzialność za całą tę sprawę. - Ot, i widzi pani!

Panna Blok powoli zaczynała się orientować w sytuacji.

Patrzyła na Tereszkową zdumiona, ale już z rodzącym się blaskiem wyraźnej ulgi w oczach.

- Pani też się spóźniła?

- Ależ nie! - krzyknął Siwkowski. - Mogliśmy zdążyć!

Na pewno byśmy zdążyli, gdyby nie babskie fanaberie, gdyby nie...

- Niech się pan uspokoi! -powiedziała z naciskiem pani Helena.

- Jak ja się mogę uspokoić? - Siwkowski mówił do Marynki, jakby brał ją na świadka swoich niepowodzeń z tą niepoczytalną kobietą, za jaką zaczął już uważać Tereszkową. - Niech pani sama powie, jak ja się mogę uspokoić? Najpierw jedna mdleje...

- Zrobiło mi się słabo -wyjaśniła Wisia, oblewając się rumieńcem.

- ...a potem druga mówi, że nie jedzie. Słyszysz pani? Nie jedzie! Jesteśmy o kilkanaście metrów od trapu, wszystko załatwione, nawet celnicy mi obiecali, że przepuszczą bagaże bez otwierania, a ona, że nie jedzie!

- Panie Siwkowski - powiedziała pani Helena cicho

- pan się zapomina. I niechże pan wreszcie zostawi nas same. Nie będę już więcej potrzebowała pana pomocy.

: W sprawach firmy niech się kontaktuje ze mną pani Jadwiga. Siwkowski zaniemówił. Zaczął cofać się, potrącając ludzi, których na nabrzeżu było już znacznie mniej.

- Ależ proszę... - wymamrotał wreszcie, - Bardzo proszę... niech się kontaktuje z panią pani Jadwigą... Pani Helena nie zwróciła już ku niemu głowy. Dźwignęła walizy.

- Weź swoją - powiedziała do Wisi.

- Ja pomogę - zaofiarowała się Marynka.

- Niech pani jedzie do nas - zaproponowała jej pani Helena. - Co będzie pani robić w pustym domu?

- Położę się na łóżku i będę płakać całą noc.

- I przed tym właśnie chcę panią obronić. Zabieram panią do nas.

Była znowu silna, była znowu komuś potrzebna - już nie przedmiot w czyimś działaniu, ale człowiek stanowiący sam o sobie. Wyzbyła się nagle wszelkich niepokojów. Tylko myśl o mężu powodowała tępy ból w sercu. Tereszko, do którego miała jechać, był innym człowiekiem niż Tereszko, do którego nie pojechała. Pierwszy był wzywającym ją do siebie mężczyzną, budzącym nawet w niej niechęć ze względu na to, że się znajdował w pomyślniejszej sytuacji, że się spokojnie usadowił gdzieś poza zasięgiem niebezpieczeństwa, drugi - wzniecał żal i współczucie, a także poczucie winy.

Weronikę zastały w tym samym miejscu, w którym ją zostawiły, na ganku, tylko już nie stojącą, ale siedzącą z kolanami objętymi rękoma. Nawet się nie obejrzała na warkot samochodu. Dopiero gdy zaczęły do niej wołać z dołu, odwróciła głowę i zerwała się na równe nogi. Nie chciała wierzyć własnym oczom. Nie była już młoda, a jednak biegła do nich ścieżką jak dziewczyna.

- Co się stało? - wołała, nie kryjąc radości.

- Nie dostałyśmy się na statek - uznała za słuszne skłamać pani Helena.

Weronika objęła ją, przytuliła do siebie mocno. Nie pocałowała jej na rozstanie, za to całowała ją teraz na szczęśliwy powrót. I Wisię, i Wisię także. I pannę Blok, której przedtem nie знаła, ale która od razu wydała jej się swojska i znajoma. Cały ogród napełnił się wrzawą i radosnymi głosami, jakby naprawdę wróciły z długiej i szczęśliwej podróży,

Tylko dźwigając już do domu walizy, Weronika spoważniała nagle na chwilę i przystanęła na ścieżce.

- Tak widocznie miało być - powiedziała cicho.

- Co Weronika mówi? - spytała Wisia.

- Mówię, że tak było sądzone. Człowiek się szarpie, szarpie, a tam gdzieś jest już postanowione i zapisane, co z nim będzie.

- Weroniko! - krzyknęła Wisia. - To po co człowiek miałby wolną wolę i rozum?

- E tam! - machnęła ręką Weronika. - Co komu po tym? Jak mój leżał w okopach pod Yerdun, to dużo mu przyszło z tej wolnej woli i rozumu! Dużo mu z tego przyszło! Kartkę mi tylko przysłali, w dodatku po niemiecku...

- W Weronice wzbierał taki żal, że nie mogła powstrzymać się od łez. Jako młodziutka żona straciła męża pod Yerdun,

lecz to, że przypomniała sobie o nim teraz, miało swoją przyczynę bardziej w przyszłości niż w minionym dawno czasie.

Pani Helena to zrozumiała, ale nawet za cenę narażenia się Weronice nie mogła dopuścić do tego, żeby pojawił się w rozmowie ton, który postanowiła wyeliminować na całą resztę dnia.

- Nie rozstrzygniemy teraz tego sporu - powiedziała.

- Masz coś, Weroniko, do jedzenia? Nasz gość jest na pewno głodny, a i Wisia powinna coś zjeść. Zasłabła w porcie.

- Wisiu! - przeraziła się Weronika, od razu zapominając o wszystkim.

- Tak - zaczęła jej opowiadać i skarżyć się przed nią Wisia - zrobiło mi się tak, jakbym miała nogi z gumy, w uszach mi zaczęło szumieć... a pan Siwkowski wciąż krzyczał, żeby prędeej... Ja wiem, że to przeze mnie... że przeze mnie mama...

- Cicho! - zawołała pani Helena. - Ani słowa więcej!

- Chwyciła walizki i skierowała się z nimi na górę. - Zrób coś szybko do jedzenia - krzyknęła jeszcze do Weroniki

- a potem idź do miasta! Trzeba coś kupić! Nie mamy nic w domu!

- Teraz! - mruknęła Weronika. - A mówiłam o tym od dwóch miesięcy. Ale pani kupowała kilimy.

- Może teraz będę miała co sprzedawać! - odkrzyknęła pani Helena.

- Kto to kupi? - nie rezygnowała z dyskusji Weronika.

Niestety nigdy nie wiedziała, kiedy należy zamilknąć.

- Ja mam w domu cukier i mąkę - odezwała się na szczęście panna Blok. - I konserwy amerykańskie, które matka przysłała, żebyśmy spróbowali, jak tam jedzą. Mam nadzieję, że ojciec nie zabrał tego z powrotem do Ameryki. Zaraz po to wszystko pojadę. Tylko.,, tylko posiedzę tu jeszcze trochę... Nie chcę być sama w domu.

- Nigdzie pani stąd nie puszczę! - Pani Helena zeszła z góry już w szlafroku, drugi rzucając Marynce. - Niech się pani przebierze. Może chce pani wziąć prysznic? Po tym strasznym dniu...

- Nie - przerwała jej dziewczyna, ściągając przez głowę mokrą od potu sukienkę. - Na razie nic nie chcę. Posiedzę tu w fotelu.

- Zginęła walizka z rzeczami ojca - powiedziała pani

Helena do Wisi. Wyjeżdżając nie zabrał wszystkich swoich rzeczy, dla podkreślenia nadziei, że szybko wróci. Zapakowała więc je, głównie zimowe, do walizki, którą porzuciła w tłumie, zaalarmowana zasłabnięciem córki, i nie odnalazła już jej, gdy wróciła w to samo miejsce. - Trudno! - westchnęła. - Ktoś się tym wszystkim ucieszy.

- A nie możemy zawiadomić policji? - spytała Wisia.

- Kochanie! - powiedziała tylko matka.

Do wieczora musiały załatwić mnóstwo spraw. Na szczęście. Nie miały ani minuty na myślenie, na zastanawianie się nad tym, co się stało. Weronika z Wisią biegały do miasta po zakupy. Można było jeszcze wszystko dostać w sklepach. Żeby nie wszczynać paniki, chodziły do różnych sklepów

i znosiły po dwa, po trzy kilo cukru, mąki, ryżu, kaszy, herbaty, kawy i soli. Weronika przytaszczyła od rzeźnika kilka kilo smalcu, wędzony boczek i suchą kiełbasę.

- Ja tego nie będę jeść - krzywiła się Wisia.

- Nie zarzekaj się - zganiła ją odruchowo Weronika.

ale myślami była już przy czymś innym. Przypomniało jej się. że można by kupić jeszcze sardynki, jakieś trwałe sery, nawet faskę bryndzy, że można by złożyć w piwnicy jarzyny kapustę w główkach i kiszoną, jabłka, których teraz pełno było na straganach. Toteż stanęła u wylotu schodów na dole i zawołała do pani Heleny: - Wzięłaby pani samochód, i obsprawiłybyśmy się raz-dwa. Ja już ręk nie czuję od tego dźwigania. Co pani tam właściwie robi na górze?

- Rozpakowuję walizki.

- To ma jeszcze czas.

- Ale to bardzo ważne, Weroniko. Skoro wróciłam do domu...

- Zdaży pani zrobić to jutro. A jedzenie musi w domu być. Zresztą nic się nie zepsuje. Nawet jakby się to wszystko jeszcze uspokoiło, niczego nie wyrzucę.

- Ależ tego się nie boję. Tylko może... może przesadza-
my trochę...

- Niech no tylko pani mnie słucha. Kto do domu znosi, ten o nic nie prosi, tak mi zawsze mówiła moja matka. I źle na tym nie wychodziła. Będzie pani miała za dużo, to innym pani da. Znajdą się tacy, co będą potrzebować.

Ulegając perswazjom Weroniki, pani Helena zrzuciła szlafrok i naciągnawszy jakąś sukienkę, już po chwili siedziała przy kierownicy.

- Jedziemy do miasta - zawołała do Marynki Blok, tkwiącej wciąż przy telefonie w nadziei odnalezienia narze-
zonego.

- Co ten Siwkowski mówił o naszym samochodzie?

- spytała Weronika bez przychylności dla prokurenta.

- Że go pewno zarekwirują lada moment.

- Jego powinni zarekwirować, żeby ludzi nie straszył.

- Nie straszył, tylko mówił, co się dzieje. Rekwirują innym, to i nam zarekwirują.

- Pewnie! Co będzie gromadce, będzie i babce - zgodzi-
ła się Weronika, nastrojona sentencjonalnie tego dnia.

Nakupiły pełen bagażnik żywności. Nie zabrakło w nim nawet kilku butelek spirytusu, o którym Weronika od dawna mówiła, że na wszystkie choroby najlepszy, na żołądek i na rany. Kiedy wychodziły już obładowane, z ostatniego sklepu. Wisia szarpnęła matkę za rękaw.

- Popatrz! - szepnęła.

Przed witryną sklepu stał jakiś człowiek w wyszarżalym ubraniu, trzymał za rękę chude i blade dziecko. Obydwoje wpatrywali się w wystawę, na której piętrzyły się puszki kakao, kolorowe pudełka biszkoptów, czekolady Wedla, marcepanowe ciastka, sprowadzane samolotem ze Lwowa od Zaleskiego...

- Mamo! - szepnęła Wisia. - Dam mu co...

Pani Helena drżącą ręką wyjęła z portmonetki dziesięć złotych. Wisia wzięła dwie srebrne monety i zbliżywszy się do człowieka z dzieckiem, podała mu je na otwartej dłoni.

Patrzył długo, i na pieniądze, i na dziewczynkę, która mu

je dawała, i nie wyciągał ręki.

- Tato! - szepnęło dziecko. - Weź!

Dopiero wtedy, ale bardzo niespiesznie, przyjął pieniądze i powiedział cicho:

- Biorę, bo moje dziecko jest głodne. Ale to niczego nie zmienia, panienko. Proszę to sobie zapamiętać: to niczego nie zmienia.

Wisia wróciła do matki czerwona i milcząca.

- Co ci powiedział?

- Że bierze te pieniądze, ale to niczego nie zmienia.

- Ma rację - szepnęła pani Helena. I dopiero teraz zrozumiała, dlaczego zdecydowała się tu zostać, dlaczego powinna tu zostać, w tym mieście i z tymi ludźmi. Przeżyła tu wiele szczęśliwych lat, czy wolno jej było stąd uciec dlatego, że nadchodziły złe? Czy na te złe mieli tu zostać tylko ludzie, których nie łączyły z tym miastem żadne dobre wspomnienia?

- Dlaczego nic nie mówisz? - zaniepokoiła się Wisia.

- Wracajmy do domu - - powiedziała.

31'0

XVII

- Co ci przyszło do głowy? - zmartwił się Wołodia.

Marynka Blok dopadła go wreszcie, gdy Gryf wszedł do portu i część załogi otrzymała zezwolenie spędzenia nocy na lądzie. Czekala na Wołodię tu od rana, prawie obłąkana nadzieją, która w końcu się spełniła - droga zatłoczona była marynarzami i cywilami, a ona, nie zważając na nic, trzymała go w ramionach i opowiadała mu z płaczem, co się zdarzyło poprzedniego dnia.

- Co ci przyszło do głowy? - powtórzył Wołodia

z żalem, gdy skończyła. - Trzeba było jechać z ojcem.

- Nie mogłam - szeptała. - Nie mogłam! Musiałam cię zobaczyć!

- I co ci z tego przyjdzie,, kochanie? - powiedział bardzo łagodnie i ostrożnie. - Nie będę mógł być z tobą.

A tu może być bardzo niebezpiecznie.

- Więc miałam pojechać i nawet nie pożegnać się z tobą? Delikatnie skierował ją w stronę samochodu. Jakie to ma znaczenie? chciał powiedzieć, ale uścisnął tylko jej rękę i otworzył przed nią drzwiczki wozu.

- Zatrzymujemy ludzi na drodze - powiedział.

- Miałam pojechać i nie pożegnać się z tobą? - zapytała jeszcze raz. Twarz jej była mizerna, oczy zaczerwienione od płaczu.

Zrobiło mu się jej żal, ale równocześnie był zły na nią i sam nie wiedział, które uczucie jest silniejsze.

- Wolałbym, żeby nie zagrażało ci żadne niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo? - zapytała z wyrzutem. - Nic z zewnątrz naprawdę mi nie zagraża. Największe niebezpieczeństwo jest we mnie. Myślałam, że oszałamiam, jeśli cię nie zobaczę.

- Marynko! - poprosił.

- O Boże! Jesteś! Jesteś ze mną!

- Jedźmy! - powiedział.

Otarła łzy, zapuściła motor.

- Do mnie. Nareszcie nie będziesz się bał, że ojciec

zastanie cię u mnie.

- Kochanie! - Wołodia starał się powiedzieć to ze smutkiem, bo w gruncie rzeczy cieszył się z tego, że spędzi tę noc u siebie i sam. Chciał uporządkować rzeczy i napisać list do ojca. - Muszę dziś nocować w swoim mieszkaniu. Pod numerem telefonu, który znany jest dowództwu.

- Przecież możesz zadzwonić i podać mój numer telefonu.

- To nie jest możliwe.

Prowadziła samochód przez dłuższy czas w milczeniu.

- Dlaczego? - zapytała wreszcie.

- Nie bądź dziekiem - powiedział. - Co ty sobie wyobrażasz? Że to podchody harcerskie? Pancernik Schleswig-Holstein stoi w Gdańsku od siedmiu dni. Cztery działa kaliber dwieście osiemdziesiąt i dziesięć dział kaliber sto pięćdziesiąt milimetrów! - Nie mógł się powstrzymać od wyliczenia głównego uzbrojenia pancernika. - Wczoraj ogłoszono powszechną mobilizację, chyba wiesz o tym? I po południu Błyskawica, Grom i Burza odeszły do Anglii. Nie będę ci tłumaczył, co to znaczy.

- Jadę do ciebie - powiedziała cicho. Milczał, nie była pewna, czy dosłyszał, więc powtórzyła głośniej: - Jadę do ciebie.

- Ależ... - nie wiedział, co powiedzieć. - Moi gospodarze... - próbował się wykręcać. - Wiesz, że nie mam osobnego mieszkania. Nie chciałbym cię narażać...

Potrząsnęła głową.

- Nic mnie to wszystko nie obchodzi.

Jechali już ulicami miasta, gwałtownie o tej wieczornej porze jak każdego letniego dnia. Tylko mundurów wśród przechodniów było już bardzo wiele, i jakieś nerwowe przyspieszenie nadawało inny rytm miejskiemu ruchowi. Najciaśniej było przy dworcu. Żołnierze z plecakami na ramionach mijali się w przejściu. Jedni dokądś jechali, drudzy właśnie skądś przyjechali. Boże, myślał Wołodia, co to znaczy? Co to znaczy? Zadawał sobie to pytanie, choć od kilku dni znał bolesną na nie odpowiedź. Należało właściwie bez komentarzy i dociekań włączyć się w to, co się działo - po raz pierwszy precyzja służb i zadań na okręcie wydała mu się doskonałością, nie musiał się nawet troszczyć o własne potrzeby. Poprosił Marynkę, żeby przystanęła. Podeszedł do kiosku z papierosami i kupił dziesięć pudełek płaskich, Potem, po namyśle, wstąpił jeszcze do sklepu obok i wyszedł z butelką wina. Zawrócił i dokupił dwie butelki i pudełko sardynek.

Marynka powitała go z tymi zakupami z taką radością, jakby wybierali się na piknik,

v

- O! - zawołała. - Świetnie! Nie będziemy głodni.

Pochylił się ku niej, pocałował w policzek.

- Bądź taka! - poprosił. - Może uda nam się wybronić ten wieczór i noc dla siebie.

Gospodarze, u których odnajmował pokój, stary buchalter jednej z firm portowych. Bednarski, i jego również niemłoda już żona, zastrzegli sobie wyraźnie, - żeby w ich mieszkaniu "żadnych wizyt" nie było. Wołodia przypomniał sobie nagle, jak przed rokiem, uchyliwszy samowolnie po kilku kieliszkach zakaz gospodarzy, sprowadził do domu

jakaś dziewczynę, a właściwie usiłował sprowadzić, bo na tym w gruncie rzeczy się skończyło. Trafił oczywiście na panią Bednarską, która zwykle za łada szmerem zaglądała do przedpokoju. Zobaczywszy go z dziewczyną, pisnęła, chwyciła się dłonią za pierś w okolicy serca i zamknęła się w łazience. Dziewczyna zawróciła od proga.

'Teraz do przedpokoju wylegli oboje małżonkowie. Czekali na swego lokatora od kilku dni i nocy, niespokojni, a także ciekawi jakichś wieści. Kiedy zobaczyli kapitana z butelką wina, sardynkami, pieczywem i z blondynką, nie powiedzieli ani słowa. Pani Bednarska nie zamierzała także uciekać, stała, jakby wrosła w ziemię, tylko usta poruszały jej się bez wypowiedzania słów.

- Moja narzeczona - przedstawił Wołodia. - Panna Blok. Ślub ósmego września - uśmiechnął się do pani Bednarskiej i prawie złożył jej ukłon. - Ojciec wypłynął wczoraj Sobieskim, spóźniła się na statek i nie odebrała od niego kluczy od mieszkania. Papa popłynął z nimi do Stanów Zjednoczonych. Dopiero jutro będzie zmieniony zamek, więc tę noc... tę noc spędzi Marynka ze mną.

- Mówił byle co i wciąż atakował panią Bednarską uśmiechem wykluczającym wszelki opór i nieuprzejmość z jej strony.

Cofnęła się o krok.

- Pościelę na sofie w jadalni - powiedziała.

- Ach, nie - powstrzymał ją Wołodia. - Dopiero wróciłem z morza. Nie widziałem się z narzeczoną kilka dni, mamy sobie tyle do powiedzenia!

- Właśnie! - pośpieszył mu na ratunek Bednarski.

- Co się dzieje, panie kapitanie? Nic pan nie słyszał?

- Owszem. Ładowanie min na Gryfa.

- Więc to już pewne? - Buchalter wpatrywał się w niego, wyczekując zaprzeczenia. Już pewne?

Wołodia usiłował wyminąć go w przejściu.

- Chyba tak.

- A ja myślałem... ja wciąż miałem nadzieję... - Starsza pani zaniechała zamiaru słania sofy i szukała w kieszeni szlafroka chusteczki.

Wydała się naraz prawie sympatyczna. Groźba nieszczęścia starła z niej wszelkie ostrości, o które można było się poranić, gdy w czas niezachwianego porządku królowała w swoim państwie. Teraz wszystko się zatrzęsło, i pani Bednarska stała się starą, małą kobietką, wreszcie bezradną i wymagającą współczucia.

- Uspokój się, skarbie - powiedział do niej mąż.

Wołodia pomyślał, jak dobrze byłoby spędzić wieczór w towarzystwie starszych państwa w ich kuchni, gdzie na gazie zawsze stał czajnik z gorącą wodą, prawie samowar z kijowskich czasów. Pan Władysław opowiedziałby jeszcze raz historię swego pobytu w Baku, gdzie do rewolucji zajmował się finansami jakiegoś towarzystwa naftowego, pani Kasia wyjęłaby album i pokazała zdjęcia stamtąd - siebie i męża w jasnych kostiumach i ogromnych słomkowych kapeluszach. Nie lubił Bednarskich, rzadko spędzał z nimi czas - teraz ich towarzystwo wydało mu się tak powabne i pożądane, że prawie bez uprzejmości w geście otworzył przed narzeczoną drzwi

swego pokoju.

Weszła szybko i sama zamknęła je za sobą.

- Ufff! - powiedziała. - Myślałam, że mnie wyrzuca.

- Są starej daty - odezwał się nieśmiało, nie zdając sobie sprawy, że w irytujący sposób staje po stronie gospodarzy.

Spojrzała na niego zalotnie. Wiele ją kosztowało, żeby obrócić to w żart. Usta jej drżały, ale uśmiechnęła się.

- Pojechałabym do domu. Ale przecież powiedziałeś, że nie mam klucza.

Zawstydził się. Postawił wreszcie na stole butelkę wina i sardynki i przyciągnął ją do siebie.

- I nie masz go, kochanie.

- Już zaczynałeś być taki miły, i nagle wszystko się zepsuło przez tych cerberów w drzwiach.

- Nic się nie zepsuło. Nie pozwolimy na to. A oni... oni czekali na mnie prawie tak samo jak ty. Nie było mnie w domu przez trzy dni i trzy noce.

Odsunęła się.

- Może masz ochotę zaprosić ich na wino?

- Skądże! - zaprzeczył. - Najwyżej... pójdę do nich na chwilę i wypiję z nimi jeden kieliszek. Nie masz nic przeciwko temu?

- Nie - odpowiedziała. - Oczywiście, idź do nich.

- Nawet muszę - dodał z naciskiem - bo zapomniałem uprzedzić, że może być telefon. Powinni o tym wiedzieć. Mogliby nie odebrać, gdyby dzwonił.

- Mogliby nie odebrać -powtórzyła. - Uprzedź ich.

- A poza tym nie mam kieliszków. I tak musiałbym o nie prosić.

Już się nie odezwała, a on odkorkował butelkę i wyszedł z nią do przedpokoju.

Bednarscy stali, tak jak ich zostawił, na progu kuchni. Od razu uznali za słuszną kontynuować rozmowę.

- Czy to prawda, że nasze okręty wysłano do Anglii?

- zapytał pan.

- Nie wszystkie, skoro ja tu jestem - odpowiedział Wołodia.

- Ale niszczyliście podobno poszły. W sąsiednim domu czeka mechanik z Burzy, ledwie zdążył się pożegnać z żoną. Kapitan wszedł do kuchni i poszukał w kredensie kieliszków.

- Trzeba wierzyć, że wszyscy są na swoim miejscu, ci, co popłynęli, i ci, co zostali. Wypijmy, drodzy państwo!

Pani Kasia chwyciła się za prawy bok.

- Miałam dziś atak wątroby, ale wypiję. Chciałabym się upić do nieprzytomności.

Za mało kupiłem wina, zmartwił się Wołodia. Bo i Marynkę należałoby upić, żeby zasnęła zaraz kamiennym snem i pozwoliła mu czuć i'zebrać myśli, na co nigdy nie miał czasu na okręcie. Poza tym chciał w spokoju napisać list do ojca. Nie odpowiedział mu na jego ostatni, pisany z Rzymu tuż przed powrotem do kraju z corocznego letniego wojażu. Pojawiły się w tym liście pewne pytania (odnoszące się zresztą nie tyle do tak ostro atakującej rzeczywistości, ile do odległych jakichś niedomówień, żalów, zaniedbań), których otrzymawszy ten list, nie uznał za dość ważne, a teraz

objawiły mu się jakby w nowym sensie, teraz dostrzegł, że były wyraźnie adresowane do wspólnych spraw, bardziej wspólnych niż kiedykolwiek, i postanowił na nie odpowiedzieć. Musiał jednak zebrać myśli, musiał mieć na to czas, trochę czasu. Potrzebna mu była ta noc.

Dotknął ręką czoła.

- Może być w nocy telefon. To będzie do mnie. Proszę odebrać.

- Ależ niech pan będzie spokojny, kapitanie - powiedział Bednarski. I dodał: - Na pewno nie będziemy spali zbyt mocno tej nocy.

- Poproszę o dwa kieliszki.

- Ależ proszę! - Pani Kasia rzuciła się do kredensu.

- Może zrobić herbaty?

- Nie - uśmiechnął się. - Dziękuję. Wino nam wystarczy.

Gdy wrócił do pokoju, Marynka siedziała na brzegu tapczana, tak gotowa do natychmiastowego powstania, jakby przyszła tu tylko na chwilę i zaraz miała wyjść.

- Powiedziałeś o telefonie? - zapytała zaczepnie.

- Tak.

- I przyniosłeś kieliszki?

- Oczywiście. Przecież widzisz.

- Tylko że ja nie chcę wina. Jestem bardzo zmęczona.

Chcę spać. Gdzie jest pościel? - zapytała nagle.

- W tapczanie.

- No to wyjmij ją z łaski swojej. Ja pójdę do łazienki.

Wejście z przedpokoju?

- Tak - wyjąkał.

Trzasnęła drzwiami, a on wyjął pościel i rozesłał ją na tapczanie. Pani Bednarska wstawiła mu do pokoju szafę z lustrem, omijał je teraz spojrzeniem, żeby nie widzieć w nim swojej twarzy. Nalał sobie kieliszek wina, wypił go szybko. Poczul się trochę lepiej, ale nie na długo. Marynka wróciła z łazienki (znowu trzasnęła drzwiami), usiadła na tapczanie, zrzuciła z nóg obuwie, ściągnęła przez głowę sukienkę i w bieliźnie wsunęła się pod kołdrę. Na jej opalonych ramionach jaśniały białe ramiączka.

- Jak będziesz rano wychodził, obudź mnie - powiedziała.

- Może jednak coś zjesz? - zaproponował nieśmiało.

- Dziękuję. Nie jestem głodna. Nie jadłam nic od śniadania, ale nie jestem głodna.

- Napiszę kilka słów do ojca i zaraz przyjdę do ciebie.

- Nie krępuj się - mruknęła spod kołdry.

Usiadł przy biurku, znalazł jakiś kawałek papieru.

"Drogi Ojczcie!" zaczął i daremnie zastanawiał się nad dalszym ciągiem. Już wiedział, że nie zbierze myśli, że nie odpowie na żadne z pytań ojca. Najwyżej wysili się na skreślenie kilku lakonicznych zdań - podziękuję za list, zapyta o zdrowie, wyrazi nadzieję, że skoro nie zobaczyli się w lecie, na pewno zobaczą się na Boże Narodzenie... Ale nawet na to nie mógł się zdobyć. Nie czuł nadziei, po co więc miał kłamać.

"List otrzymałem", napisał wreszcie. "Dziękuję. Nie odpisywałem wcześniej, bo nie było o czym pisać. Teraz też nie ma o czym, Ojciec sam wie. Ale nadeszła w końcu chwila,

kiedy to, co dotąd wydawało się niepoważne, niepoważnym być przestało, a głupstwo poświęcenia jawi się ludziom jako największa konieczność. Gdyby mi jeszcze przed miesiącem ktoś powiedział, że będę się rwał walczyć i ginąć za ojczyznę, roześmiałbym mu się w twarz. A jutro o świcie pognam na okręt, i jest to jedyne miejsce, w którym chcę być, gdy... Drogi Ojczy, nie dokończę tego zdania. Marzy mi się, że otrzymasz ten list w dzień, kiedy wszystko okaże się złym snem - wolałbym więc, żebyś nie wiedział, co miałem na myśli.

Ucałuj ręce Oldze. Powiedz Jej, że żałuję... tak, żałuję ogromnie, że nie mogę Jej zobaczyć po powrocie z Rzymu. Zawsze pięknieje w tym mieście. Ciebie ściskam - Wołodia".

Wstał już od biurka, ale po chwili do niego powrócił. Wydawało mu się, że Marynka śpi - nie tylko w pokoju, ale i w całym domu panowała cisza. Wziął znowu pióro do ręki, zaczął pisać.

„Rzecz w tym, że nasi wrogowie nie wychodzą z przegranych wojen pokonani do końca, a nam nie pozwala się nigdy odczuć w pełni, że jesteśmy w gronie zwycięzców. Stąd żadnemu z pokoleń nie brak tej tragicznej rozrywki, jaką jest wojna. Stoimy teraz na wodach naszej zatoki, patrolujemy, czekamy".

I dalej, po chwili namysłu:

"Pewnie nie zobaczymy się ósmego września. Stary Blok wyjechał wczoraj przyspieszonym rejsem Sobieskiego, będzie się starał dotrzeć do żony, która wciąż jeszcze przebywa w Ameryce. Marynka jest ze mną. Byłem w morzu, więc chciała się ze mną pożegnać, i... została. Ogarnia mnie dławiące uczucie odpowiedzialności - jak wiesz, nigdy nie lubiłem takich stanów - ale jest jeszcze i coś ponadto: może zbędne w tej chwili uczucie szczęścia, że ofiarował mi się drugi człowiek. Nie wiem, co z nim począć, ale mam go, jest w tej chwili przy mnie. Przychodzi mi do głowy szalony pomysł - i z Ojcem pierwszym się nim dzielę - żeby rano, o pierwszym świcie, obudzić zaprzyjaźnionego księdza pułkownika i poprosić go o ślub. Na cóż czekać, skoro ósmego nie będzie i tak tej całej parady, która miała towarzyszyć temu wydarzeniu - ciotek i druhen w długich sukniach, družbów we frakach, szpaleru oficerów marynarki i... kilku innych rzeczy, jakie sobie niekiedy naiwni planują w podobnych wypadkach. Więc co byś na to powiedział, Mój Drogi Staruszk, który także bywałeś nieraz szalony, gdybym naprawdę rano wziął moją dziewczynę i pobiegł z nią do księdza kapelana? Nie myśl tylko, że czuję się w tej chwili jak harcerz, który postanowił zrobić dobry uczynek. Wiesz, że zawsze nienawidziłem dobrych uczynków, jeśli nie sprawiały mi one przyjemności. Ależ naprawdę, zrobię to także dla siebie".

Tak bardzo podobała mu się ta myśl, że nie dokończywszy listu, zerwał się od biurka i pochylił nad Marynką. Chyba jednak spała, bo usta jej miały wyraz owej nie kontrolowanej bezbronności, na jaką człowiek jest skazany w czasie snu. Wsunął jej ręce pod plecy, uniósł nieco ku sobie.

- Posłuchaj - powiedział. - Weźmiemy rano ślub. Obudzimy księdza pułkownika...

Otworzyła oczy, patrzyła na niego ogromnymi, czarnymi źrenicami, niczego nie pojmując. Dopiero po chwili zapaliło się w nich światełko rozumienia.

- Weźmiemy rano ślub! - powtórzył. - Słyszysz?

Pojedziemy do księdza pułkownika, znajdziemy w koszarach dwóch świadków... Chcesz? Cieszysz się? Nie będzie ci żal, że tak ubogo... i tak w pośpiechu?

Potrząsnęła gwałtownie głową.

- Nie. Och nie! Nie chcę nic. Chcę tylko ciebie!

Całowała go, zrozpaczona i szczęśliwa. I on także poddał się temu żywiołowi. Nareszcie nie myślał o niczym, nie bał się niczego, był wyzwolony, zupełnie wyzwolony ze świadomości, z odbierania tego groźnego świata.

Po długiej ciszy, jaka zawsze zapada po miłości jak po wielkim zdziwieniu, powiedział, całując jej ramię:

- Wiesz, zdarzają się czasem zupełnie cudowne noce przedślubne. Może teraz napijesz się wina?

- Bardzo chętnie.

- I zjesz bułkę z sardynką?

- I zjem całą bułkę z sardynką. Jestem głodna.

- Widzisz, niegrzeczna dziewczyno. A chciałem cię nakarmić.

- Ale nie byłeś dla mnie dobry. Jestem jak pies, który przyjmuje jedzenie tylko od tych, co mają wobec niego dobre zamiary.

- Mój mały, śliczny piesku!

Był czuły, mówił sepleniącym szeptem te wszystkie śmieszne głupstwa, które tak uwielbiają dziewczyny, brał tę chwilę z całą prymitywną radością, potrzebną mu teraz jak powietrze. Otworzył pudełko z sardynkami, wyłożył je na pokrojone bułki, nalał do kieliszków wina. Ustawiał to wszystko na talerzu, gdy odrzuciła kołdrę.

- Zjemy przy stole - powiedziała.

- Nie! - zaprotestował. - Chcę ci to podać do łóżka.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Będzie to najbardziej niekonwencjonalne kolacjo-śniadanie po nocy przedślubnej, jakie znam.

- Ale nikomu nie będę mogła o tym opowiedzieć.

- Po latach opowiesz. Opowiemy razem. Naszym dzieciom.

- Gorszyć dzieci takimi opowieściami?

- Będą na pewno dużo mądrzejsze od nas.

Zamyśliła się.

- Może.

Oliwa z sardynek spływała jej po palcach, zlizywała ją, a Wołodia przypatrywał się temu z zachwytem.

- Widzisz - powiedział - nic takiego nie mogłoby ci się przydarzyć w nocy z ósmego na dziewiąty września.

- Przede wszystkim bylibyśmy w podróży poślubnej.

- A jutro - przyciągnął ją do siebie i ukrył jej twarz na swojej piersi - jutro tylko ja wypłynę w podróż poślubną... Zamilkła, czuł tylko na swej nagiej skórze drżenie jej warg.

- Nie płacz - poprosił. - Napijemy się wina, wysuszemy butelkę do dna, na pewno nam to pomoże.

Wino okazało się niesłychanie udanym sprawunkiem, popijali je małymi łyчками, palili papierosy. Sen nie przychodził. O którejś godzinie nocy Wołodia zapytał:

- Czy... nie śmiej się ze mnie, nieraz chciałem cię o to zapytać, a dziś chyba mogę... czy to, co było w twoim życiu przede mną, to coś poważnego?

Naprawdę zaczęła się śmiać. Wsunęła mu palce we włosy, potargała je i przyciągnęła do siebie jego głowę. Z bliska patrzyła mu w oczy.

- Skądże! Byłam w Paryżu na Sorbonie. Wybraliśmy się całą paczką w Alpy. Oczywiście był w niej ktoś, kto wodził za mną oczyma. Kolega z tego samego roku, chyba nawet młodszy ode mnie. Pamiętam tylko, że pochodził z Reims. Jego ojciec miał tam kancelarię adwokacką. Sprawił mu zawód, że nie poszedł na prawo.

- Ojciec mnie nie interesuje - mruknął Wołodia.

Znowu się roześmiała.

- Dobrze, powróćmy do syna. Zgubiliśmy się w górach. On i ja. Nocowaliśmy u jakiegoś przewodnika na strychu, było bardzo zimno...

- Biedactwo - szepnął. Współczuł Marynce, tej dziewczynie, której wtedy nie znał, że odbyło się to tak pospolicie, zupełnie bez uroku... Ale dlaczego wyobrażam sobie, że bez uroku? pomyślał, ogarnięty nagłą sennością. Diabli ją wiedzą, a może właśnie z urokiem, którego dotąd nie | zapomniała...

- Śpisz? - zapytała.

- Zasypiam. Postaraj się zrobić to samo. I nie myśl o synu adwokata z Reims, który sprawił ojcu zawód, nie sprawiając go, zdaje się, tobie. Bardzo cię proszę.

11-Tak trzymać t. II

Zasnął. Śniło mu się coś miłego. Jakieś wakacje. Nie wiedział gdzie to było i kiedy, ale wakacje czuło się w powietrzu - w zapachu miodu, który pszczoły zbierały z kwiatów, ciepłym parowaniu zgrzanej skóry, w czyimś szepcie, miłym dla ucha, w cudownym lenistwie, które ogarniało członki. Na wakacjach żyło się dla samego życia, i to właśnie było w tym śnie, czuł, że jest, ale nie wiedział po co i dla kogo. Jadł coś słodkiego, słuchał jakiejś cichej muzyki, miał czas. Nagle otworzyły się gdzieś drzwi, w jakiejś głębi poza nim, i usłyszał spieszne kroki - nie poznał ich, choć tyle razy ich odgłos nawiedzał go we wspomnieniach, nie poznał, że to zbliżała się do niego matka. Wstał, czekał, i wreszcie ją zobaczył. "Już przyszli", powiedziała. "Kto?" zapytał. "Nie wiem - odpowiedziała.

- Przyszli, musisz iść". "Nie! - krzyknął. - Jeszcze nie!"

Obudził się krzycząc. Marynka targała go za ramię.

- Miałeś zły sen? - zapytała sennym głosem.

- Z początku bardzo piękny.

- Co ci się śniło?

- Wakacje.

- Gdzie?

- Nie wiem. To było coś bardzo pięknego. Jak wszystko, co się zaraz musi skończyć.

- Zaśnij jeszcze.

- Nie wiem, czy mi się to uda.

Leżał z otwartymi oczyma, wpatrując się w bielejący nad nim sufit. Niebo za oknem było jeszcze zupełnie ciemne. Nagle gwałtowna detonacja rozdarła powietrze. Strzelały potężne działa, nie w pobliżu, ale gdzieś o kilkanaście

kilometrów dalej - Wołodia od razu rozpoznał ich moc.
- Schleswig-Holstein strzela - powiedział. Już się zaczęło.

W minutę był gotów. Marynka także. Wsunęła mu do kieszeni papierosy. Kiedy wypadli do przedpokoju. Bednarscy już w nim byli - obydwój w bieliźnie i boso.

- Słyszysz pan, panie kapitanie?

- Słyszę. To Schleswig-Holstein. Pewnie wziął na cel Westerplatte. Jadę na okręt.

W jadalni zadzwieczał telefon. Wołodia rzucił się ku niemu. Rozmowa była krótka.

- Zaraz się melduję! - krzyknął do słuchawki.

Marynka siedziała już w wozie, zapalała silnik. Przy włączonych światłach widział jej twarz, zapadłą i ziemistą, z szarą linią zaciśniętych ust.

Jechali już, gdy odgłosy dział umilkły. Cisza znowu spadła na miasto, ale już ze wszystkich domów sypali się ludzie.

- Uważaj, jak będziesz wracać - powiedział Wołodia, bo mu nic innego, co mógłby powiedzieć dziewczynie na rozstanie, nie przychodziło na myśl. - Na pewno będzie ogromny ruch.

- Będę uważać - odpowiedziała.

- I dokąd wrócisz? Do domu?

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie wytrzymałabym w domu. Pojadę do Tereszkowej.

- Tam będę cię szukał.

- Tak. Tam mnie szukaj.

Kiedy przejeżdżali obok bloków na Oksywiu, w których mieszkał ksiądz pułkownik, pogłodził jej rękę, zaciśniętą na kierownicy.

- Kochanie, innego jakiegoś dnia o świcie obudzimy księdza kapelana.

Znów nadpłynął z oddali odgłos detonacji artyleryjskiej.

I równocześnie rozległ się warkot samolotów...

- Jakiegoś innego dnia o świcie - powtórzył Wołodia.

XVIII

Tego samego ranka, o tej samej godzinie, mieszkańców ulicy Pfefferstadt w Gdańsku obudziły bliskie wystrzały.

- Panno Halszko! - zawołano z głębi mieszkania.

- Co się tam dzieje?

Długo nie odpowiadała.

Od kilku dni, od kiedy mieszkanie przy Polskiej Radzie Sportowej, mieszczącej się w gmachu Dyrekcji Kolei Polskich, okazało się niebezpieczne, zajmowała pokój od frontu u zaprzyjaźnionej polskiej rodziny, Migockich (z ich najmłodszą córką, Maliną, zaprzyjaźniła się na obozie w Spale). Sypiała w tym pokoju dotąd matka Maliny, ale wobec tego, na co się zanosilo, wyprawiono ją do rodziny na wieś pod Kartuzy. Pokój był doskonałym punktem obserwacyjnym, ale przez to właśnie nie zmrużyła oka przez całą noc. Ulica jechała bez przerwy w kierunku Gdyni załadowane wojskiem samochody.

Wieczorem w okolicy Wielkiego Młyna było jak zawsze rojno, pogoda dopisywała, więc na wysepce grała kapela i tłoczyli się piwosze, przechodnie wiwatowali i śpiewali, samochody obrzucane były kwiatami. W polskiej księgarni Ruch, na parterze kamienicy, wybito szyby.

W nocy te manifestacje ustały, trwał tylko nieprzerwanie monotony jak lot trzmieli szum motorów, zdążających ku lipowej alei. Na zdobycie Gdyni jechały wszystkie oddziały niemieckie Wolnego Miasta: policja, straż graniczna, formacje SS-Heimwehr i SA, oddziały ochrony wybrzeża... Każdy samochód ciągnął małą armatkę.

Nad ranem ruch samochodowy ustał. Dopiero te strzały od ulicy zbudziły cały dom.

- Co pani widzi przez okno, panno Halszko? - dopytywał się dziadzio Migocki. Stał w kałesonach i trząsł się z emocji. Miał osiemdziesiąt lat, ale nie pozwolił wyprawić się na wieś. - Co pani widzi?

Wyjrzała ostrożnie - mieszkankę nad polską księgarnią mogło być obserwowane. Na środku ulicy stał młody żołnierz. Przejście w stronę Oliwaer Tor było zamknięte.

- Nic się nie dzieje. Spokój.

- Ale ktoś strzelał - upierał się staruszek. - Słyszaliście przecież.

- Może to było słychać strzały z Dyrekcji Kolei? - zastanawiała się głośno Malina.

- Za daleko. Nie byłoby tak dobrze słychać.

- Zostawcie okna otwarte - powiedział dziadzio, wycofując się do swego pokoju.

- Nie napije się dziadzio herbaty? - spytała Malina.

- Teraz? Któraż to godzina?

- Za piętnaście piąta. Ale i tak już nie uśniemy. Nastawię wodę na gaz, zaparzę świeżej herbaty. Przyniosę dziadziowi do łóżka.

Namyślał się przez chwilę w drzwiach.

- Posiedzę z wami w kuchni. Posłucham, co mówicie.

- Co my możemy mówić, dziadziu? - uśmiechnęła się smutno Malina. - Pójdę dziś wcześniej do banku, może się czegoś dowiem. - Wzięła do ręki czajniczek od herbaty, żeby go wypłukać. W tej samej chwili potężna detonacja targnęła powietrzem. Jedna, druga, trzecia, następne... Od strony morza biły potężne działa. Upuszczony czajniczek roztrzaskał się na kamiennej posadzce w kuchni, w oknach zadrżały szyby.

- Odezwał się! - jęknął dziadzio. - Odezwał się Schleswig-Holstein!

Dziewczyny stały jak skamieniałe. Objęły się, ale nie płakały. Od kilku lat uczyły strzelać, rozpoznawać samoloty, rzucać granaty, i oto nadchodził czas wielkiej próby. Detonacja trwa - niemiecki pancernik, przebywający w Gdańsku z kurtuazyjną wizytą, wyjawiał wreszcie jej cel.

- Więc jednak! - szepnęła Halszka.

Malina nie schyliła się, żeby pozbierać skorupy czajnika. Odsunęła je nogą w kąt kuchni.

- Zdaje się, że już dziś nie pójde do banku - powiedziała. - Do Godami chyba też nie.

Pracowała w Banku Brytyjsko-Polskim, a popołudnie spędzała jako instruktorka w Klubie Sportowym Gedania, który zrzeszał członków Polonii.

- Dwa, trzy dni - powiedział dziadzio - a będą tu nasi.

Nie zawtórowały mu w tym buńczucznym entuzjazmie.

Nie powiedziały nic, ale myślały o tym samym. Pozostawiono je bez żadnych instrukcji, bez żadnych zadań i wskazó-

wek, w samym sercu wroga. Nie miały żadnej łączności, tylko uprzednio wydany rozkaz, żeby wytrwać w Gdańsku. Po co? Po co je szkolono, po co przygotowywano do określonych zadań? Same domyślały się, że należy zniszczyć wszelki ślad działalności. W Radzie Sportowej i Gedanii biurka były już puste, nie pozostał w nich ani jeden papierek z czyimś nazwiskiem, ani jedno sprawozdanie, z których były takie dumne, gdy wysyłały je do Polski.

- Dwa, trzy dni, a nadejdzie odsiecz! - snuł swoje przypuszczenia dziadzio Migocki. - Pod Kościerzyną stoi armia. Pod Kartuzami także. Co to dla nich znaczy dojść do Gdańska. Jeden skok! Nie przestraszą się chyba nasi żołnierze tych policjantów. Malinko! - zawołał nagle.

- A gdzie jest nasza chorągiew?

- Jaka chorągiew? - zapytała dziewczyna, nie mogąc zrozumieć, o co mu chodzi.

- Jaka! Polska!

- Jest u mamy w pokoju. W kufrze pod rzeczami. Niech dziadzio nie wyjmuj.

- Ale trzeba ją mieć w pogotowiu. Co ty sobie wyobrazasz? Nasi przyjdą, a my chorągwi nie będziemy mieli?

- Będziemy ją mieli, dziadziu. Niech się dziadzio uspokoi. Jeszcze zdążę ją przygotować.

- Ja bym wolał, żeby w ostatniej chwili nie trzeba jej było szukać, prasować, przyczepiać do drzewca. W każdym polskim domu powinna być chorągiew. I zawsze była. Tylko teraz daliście się tak zastraszyć tym bandytom...

Od morza nadbiegł znów odgłos artyleryjskiej detonacji.

- Słyszysz dziadzio? - powiedziała Malina, jakby to starszy pan był winien temu, że Schleswig-Holstein znów strzela.

- No i co? I co? - podniósł głos staruszek. - A myślisz, że nasi to mają gruszki w armatach?

- Zrobię jednak herbatę - powiedziała Malina, nie odpowiadając już dziadkowi. - Miałam gdzieś w kredensie drugi dzbanuszek.

Po wczesnym śniadaniu wyszły na miasto. Malina przedtem nakazała dziadkowi, żeby z domu nie wychodził nawet na podwórze, żeby oknem nie wyglądał i z nikim nie rozmawiał, zwłaszcza po polsku.

- Dobrze, dobrze - odburknął. - Wy to się już tak wszystkiego boicie...

- Dziadziu! - szepnęła z perswazją. - Niech dziadzio będzie rozsądny!

- Będę! - krzyknął. Układał pod opaską swoje siwiutkie wasy. Wyglądał teraz jak stary, pomarszczony, buńczuczny chłopiec.

- Może nie powinniśmy zostawiać go samego - powiedziała Halszka, gdy były już na schodach.

Malina przystanęła na chwilę.

- Ostatecznie co może zrobić? W domu na szczęście nie ma broni, bo gdyby była - nie zdołała powstrzymać uśmiechu, który wbrew opanowaniu rozwarł jej wargi - gdyby była, bałabym się, że otworzy okno i zacznie strzelać.

Wizja dziadzia Migockiego strzelającego wbrew rozsądkowi przez okno do Niemców poprawiła im humor.

Na dole jednak już go utraciły. Grupa wyrostków z Hitlerjugend wyrzucała z księgarni na ulicę polskie książki. Cofnęły się do bramy, przywarły plecami do muru. Halszka odwróciła głowę.

- "Wielkie nieszczęście ziemi, gdy przez dwóch upragniona!" - szepnęła. ;

-- Kto to powiedział?

- Nie pamiętam. Może ja? Może ktoś inny, kto miał przed oczyma taki widok. , ,

- Nikt jeszcze nie miał przed oczyma takiego widoku, nikt nie widział wojny z książkami.

Halszka ruszyła się z miejsca, wyjrzała na podwórze.

- Nie jestem tego taka pewna. Ale nawet w takiej dziedzinie trudno by mi było przyznać im pierwszeństwo.

- A jednak chyba w tej dziedzinie zadziwią świat.

Przeszły przez podwórze i bramą sąsiedniej kamienicy wydostały się na ulicę. Panował tu zwykły spokój: dzieci szły do szkoły, kobiety po zakupy, mężczyźni do pracy. Wstawał piękny dzień, rozjarzony słońcem. Na niebie nie było ani jednej chmurki, wody w Raduni nie marszczył najmniejszy nawet powiew. Tylko czerwieniejące już liście dzikiego wina na ścianie zabytkowego domu przy narożniku Elisabeth-Gasse były zapowiedzią kończącego się lata.

- Taki piękny dzień! - szepnęła Halszka. - U nas chyba dzieci do szkoły nie idą.

- Może tylko w miejscowościach przygranicznych - powiedziała Malina, sama nie biorąc poważnie swoich stów. Kierowały się w stronę banku, żeby zobaczyć, co się tam dzieje, czy należy zgłaszać się do pracy - sumienność Maliny tego wymagała.

Ale dostęp do budynku Banku Brytyjsko-Polskiego, który był w zasadzie filią Banku Gospodarstwa Krajowego w Gdyni, został już odcięty. Przed wejściem stał kordon niemieckiej policji, blokując dostęp interesantom. Kto by się zresztą tam pchał! Przeszły, udając obojętność, drugą stroną ulicy i za narożnikiem gwałtownie przyspieszyły kroku. Skierowały się następnie pod gmach Gimnazjum Polskiego. I tam było to samo: zwarty kordon policji i wojska. Przed Komisariatem Generalnym RP żołnierze stali z twarzami zwróconymi w stronę budynku. Ich drapieżne czujne oczy penetrowały okna, ręce trzymały gotową do strzału broń.

Tylko przed budynkiem Wysokiego Komisarza Ligi Narodów panował spokój. Nie było tu kordonu wojska, w otwartych oknach powiewały firanki, a na podwórzu za mурowanym ogrodzeniem, ciągnącym się wzdłuż obszerne-go parku, ktoś ze służby trzepał dywan.

- Zmarnowałam tyle lat - szepnęła z goryczą Malina, gdy przechodziły obok. - Wydawało mi się, że robię coś potrzebnego i istotnego: uczyłam nieletnie dziewczynki strzelać, obchodzić się z maską przeciwgazową... A trzeba było wysadzić w powietrze ten gmach! Jako protest przeciwko pozorom. Przeciwko spokojnemu sumieniu Europy. Halszka uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Czy tylko Europa ponosi tu winę! Mieliśmy sporo okazji, żeby rozprawić się z bezsenssem wersalskich układów w odniesieniu do Gdańska. Dlaczego nie zrobiliśmy tego?

- Nie wiem, nie wiem - powtarzała z rozpaczą Malina.

- Boże, co to się działo w trzydziestym trzecim roku, kiedy z Wilii wysiadło na Westerplatte trochę naszych uzbrojonych chłopaków! Poszły w kął wszystkie swastyki, pochowano je w najciemniejszych dziurach. Gdyby wtedy nastąpił atak, wcielilibyśmy Gdańsk do Polski bez większego hałasu. Hitler, dopiero co po dojściu do władzy, nie był gotowy do interwencji zbrojnej. Ale Liga Narodów potrafiła i wtedy wszystko zaklepać. A myśmy na to przystali. Cieszyliśmy się, że przywołaliśmy Gdańsk do porządku, że wycofano zarządzenie o powołaniu policji portowej. Wielkie polskie zwycięstwo i mediatorska chwała Ligi Narodów! A byliśmy przygotowani konspiracyjnie do natychmiastowego przejęcia władzy. Na wszystkich przedmieściach i w Sopotach mieliśmy zorganizowane piątki, czekaliśmy. Gdańsk nie był wtedy nawet w jednej dziesiątej zmilitaryzowany tak jak teraz... Boże! Wystarczyło, by...

- Tylko się nie rozbecz na ulicy.

- Można się rozbeczeć. Ciebie tu jeszcze wtedy nie było, nie wiesz, jak to wszystko tutaj wyglądało. Mieliśmy dużą szansę. I przy pomocy Ligi Narodów zmarnowaliśmy ją. Niemcy zresztą w trzydziestym trzecim roku z niej wystąpiły. Nie była im do niczego potrzebna. W Gdańsku zorganizowali wybory, ..! oczywiście hitlerowcy odnieśli w nich zwycięstwo. Wyciągnęli z dziur swastyki, odprasowali je, wywiesili na domach. Och, trzeba było wtedy widzieć, jak wyglądało to miasto!

- Nie inaczej niż dzisiaj.

- Ale w ciągu tych sześciu lat... - Malina przystanęła i chwyciła przyjaciółkę za ramię - wiesz, to brzmi strasznie, ale myśmy się w ciągu tych sześciu lat prawie przyzwyczaili do tego widoku. Wtedy wydawał nam się upiorny.

- I jest upiorny. Chodźmy stąd!

Rozmawiały po polsku, ścisząc głos, gdy ktoś się zbliżał. Od dworca nadchodził patrol policji. Nie śpiesząc się, jakby wyszły na spacer w ten piękny letni dzień, udały się na drugą stronę ulicy i tylko jeszcze raz, już ze znacznej odległości, a także niejako z perspektywy większego niż dotąd rozumienia tych spraw, spojrzały na siedzibę Wysokiego Komisarza Ligi. Właśnie młoda służąca z koszykiem na zakupy wyprowadziła z budynku czarnego pudła; pies pobiegł prosto do najbliższej latarni, obwąchał ją najpierw starannie, a potem podniósł nogę.

Policjanci przystanęli, cmoknęli do psa, uśmiechnęli się do panny służącej.

- Uroczy, sielski obrazek - parsknęła Malina. - Szkoda, że nie mam aparatu fotograficznego.

- Chodźmy stąd! - powtórzyła Halszka. Nie była tak rozmowna jak przyjaciółka. Rozpacz przejawiała się u niej milczeniem. Nie opuszczało jej uczucie gorzkiego rozczarowania. Chodziły po ulicach Gdańska bezczynne i niepotrzebne. Więc tak mogła wyglądać ta wojna? Bez broni w rękę? Bez określonych zadań, bez niezbędnego w takich chwilach uczucia, że się spełnia swoją powinność? A powinnością była walka, nie czekanie. Nie udawanie, że się nie jest sobą, że się ma spokojną twarz, że nie odpowiada się

nienawiścią na nienawiść. Dlaczego je tu zostawiono? A jeśli tak - jeśli były tu potrzebne - dlaczego nie słyszeć już od południowych granic Wolnego Miasta nacierającego na nie polskiego ataku? Dlaczego z morza strzela tylko Schleswig-Holstein? Pięć godzin! pomyślała. Dopiero pięć godzin trwa wojna! To rozpacz przydaje niecierpliwości czekaniu. Nasi przyjdą, trzeba czekać. Odezwa się strzały z południa i zagrzmią działa na polskich okrętach. Czekać! Zdobyć się na tyle siły. Na tyle mądrości i siły. Czekać cierpliwie. Do Dyrekcji Kolei nie dotarły. Odcinał ją gęsty kordon wojska, ruch na całej ulicy był wstrzymany, zawracano przechodniów i pojazdy. Za to przed gmachem Viktoria-Schule aż ciasno było od aut. Zwożono pierwszych więźniów, pierwszych aresztowanych Polaków.

Wycofały się z tłumu, weszły do najbliższej bramy. Bały się, że zdradzi je wyraz twarzy. :-

- Wytrwać w Gdańsku! - powiedziała Halszka z goryczą, powtarzając rozkaz, który im przekazano bez żadnych dodatkowych instrukcji i który obowiązywał.

Malina zwróciła ku niej czujne spojrzenie.

- O czym myślisz?

- Że powinniśmy być w Gdyni.

- A... dziadek?

- Dziadkowi chyba nic nie zagraża. Ma osiemdziesiąt lat.

- Mamy czekać w Gdańsku na dalsze rozkazy.

- A jeśli nie nadejdą? - krzyknęła Halszka. - Albo nie przenikną do nas przez mury Viktoria-Schule?

- Nie krzycz! - Malina wyjrzała niespokojnie na ulicę, ale nikt z podekscytowanych przechodniów nie zwracał uwagi na bramę, w której stały. - Przez front do Gdyni i tak się nie przedostaniemy - dodała posępnie.

- Trzeba się zorientować w sytuacji.

- W jaki sposób?

- Pojedziemy do Wrzeszcza. Do Oliwy i Sopot. Zobaczymy, jak tam wygląda.

- Na pewno tak samo jak tutaj. Ale jeśli chcesz, jedźmy

- skapitulowała Malina. - Ostatecznie najbezpieczniej jest poza domem.

Wsiadły do zatłoczonego tramwaju, nie odzywając się już do siebie, jakby się nie znały, jakby nie widziały się nigdy przedtem.

Tramwaj, przejechawszy spokojnie przez całą aleję lipową, utknął, zatrzymany przez wojsko, na ostatnim przystanku przed Wrzeszczem -jezdnią w kierunku Gdyni ciągnęła artyleria z Brzeźna i Wiśloujścia. Na chodnikach gęstym szpalerem ustawili się wiwatujący przechodnie. Rzucano kwiaty na lufy armatnie, podbiegano z nimi do żołnierzy. W tramwaju rozgorzał także entuzjizm.

- Dwa dni! - mówił jakiś tęgi jegomość w jasnej marynarce, trzymający przed sobą papierową torbę pełną dojrzałych pomidorów. - Dwa dni, i skończymy z Polską. Dmuchiemy, i rozleci się ten domek z kart, nawet śladu po nim nie zostanie.

Wodził oczyma po twarzach osób stojących wokół niego, oczekując od nich potwierdzenia swych słów. Zawtórowano mu chórem. Tylko dwie młode panny odwróciły głowy

i patrzyły przez tylną szybę w głąb cienistej alei lipowej, łagodnie prześwieczonej słońcem, w której powinien teraz brzmieć krok polskich żołnierzy, a dudniło w niej echo łoskotu niemieckich baterii, ciągniętych na północ ku Gdy-
ni.

Trwało to długo, więc w pewnym momencie spojrzały na siebie i skierowały się ku wyjściu. Tęgi jegomość z pomidora-
mi wciąż przepowiadał rychły koniec wojny. Malina niezna-
cznym ruchem ramienia pchnęła Halszkę w jego objęcia. Znalazłszy się w tak niespodziewanej bliskości ślicznej
panny, zaniemógł i zapatrzył się w nią z zachwytem.

- Co ty wyprawiasz? - powiedziała z wyrzutem Hal-
szka, gdy znalazły się na ulicy.

Malina uśmiechnęła się leciutko.

- A obejrzyj się tylko!

Halszka ostrożnie zerknęła za siebie i zapomniawszy na
chwilę o grozie sytuacji, o mało co nie parsknęła śmiechem

- potracony przez nią jegomość w jednej ręce trzymał
torebkę ze zgniecionymi pomidorami, a drugą ścierał ich
jaskrawy sok z kłapy swojej marynarki.

Czym prędzej wmieszały się w tłum. Miały niewiele ponad
dwadzieścia lat, rozumiały więcej, niż rozumiały dziewczęta
w ich wieku, i poważniejszymi, zupełnie nie dziewczęcymi
zajmowały się sprawami, ale młodość miała jednak swoje
prawa i musiały im ulec: gdy nikt z tramwaju nie mógł już ich
dojrzeć, pozwoliły sobie na chwilę uciechy.

- Dopiero co chciałaś wysadzać w powietrze gmach Ligi
Narodów, a teraz zachowałeś się jak mały łobuz - powie-
działa Halszka ze śmiechem.

Malinie błyszczały oczy. .

- Musiałam! Musiałam! To pierwszy odwet, z jakim
spotkał się ten jegomość, i pierwszy, jaki wzięłam sobie za
dzisiejszy dzień. Po nim przyjdą następne.

- Zaczynasz mi przypominać swego dziadzia.

Malina spoważniała.

- Znasz lepszy sposób, żeby to przetrzymać?

- Nie znam - odpowiedziała Halszka cicho.

Pieszo dotarły do śródmieścia. Transport artylerii się
skończył, na ulicy pozostały tylko zdeptane, zmiażdżone
kołami kwiaty. Jakaś niemłoda już kobieta zeszła z chodnika
na jezdnię, pozbierała je z nabożną prawie pieczołowitością
i niosąc je na dłoni, zwróciła ku obserwującą ją przechod-
niom rozjaśnioną fanatycznym blaskiem twarz.

- Na pamiątkę! - oznajmiła triumfalnie. - Na pamiąt-
kę dzisiejszego dnia!

- Tak - szepnęła Malina, gdy odeszły na bok i nikt ich
nie mógł słyszeć - zgniecionymi pomidorami ich nie
zwalczymy. - Poszarzała na twarzy, zagryzła usta.

Ale dopiero w Oliwie zobaczyły to, czego nie powinny
były zobaczyć tego dnia: środkiem ulicy szedł oddział
polskich jeńców.

Wiele mogły znieść i wiele mogło się jeszcze zdarzyć, ale to
jedno nie, na Boga, to jedno nie! Wojna trwała zaledwie
kilka godzin, jeszcze zecerzy nie złożyli nagłówków z jej
strasznym imieniem, jeszcze nie rozruszały się sztaby, jeszcze
rządy sojuszników nie zdążyły się zebrać, jeszcze w dalekich,
spokojnych krajach nikt nie wierzył, że podpalono świat

- a oni już szli, bez broni, ze spuszczoneymi głowami, wlokąc powolnym krokiem swoją rozpacz i gorycz wśród szydzącej gawiedzi, szli do niewoli pierwszego wojennego dnia! Wpadły do najbliższej bramy. Nie można było na to patrzeć, nie można było stać z kamienną twarzą i nie rzucić się do gardła tym, którzy wznosili triumfalne okrzyki. "Wielkie nieszczęście ziemi, gdy przez dwóch upragniona..." Kto to powiedział? Kiedy? O jakim skrawku ziemi? W którym miejscu świata?

Zapragnęły natychmiast wrócić do domu. Ukryć się i zapłakać. Nie słyszeć radości, którą rozbrzmiewały ulice, nie widzieć czerwieni flag i transparentów oblepiających domy jak na metry, na kilometry przerobiona krew. Zapłakać, wreszcie zapłakać.

Ale ten dzień się jeszcze nie skończył.

Na Pfefferstadt nie mogły się dostać. Wystrzały z dział pancernika właśnie zamilkły i w ciszy, która po nich nastąpiła, usłyszały detonacje o wiele bliższe. W stronie, gdzie mieściła się Poczta Polska, ukazał się dym. Ale zgromadzeni na ulicy ludzie nie patrzyli w tę stronę. Powstrzymywani przez oddział policji, parli ku domowi, w którym działo się coś niezwykłego.

Coś wielkie go, pomyślały obie ze ściśniętym sercem.

Bo to był dom, który opuściły rano, dom, do którego szły, żeby zapłakać, żeby ukryć w nim swoją bezsilność. Nie był to jednak w tej chwili dom żałoby. Dziadzio Migocki, siwiutki jak gołębek, stał w otwartym oknie i ku dymom nad Poczta Polska wznosił na długim drzewcu białą-czerwoną chorągiew.

XIX

- Z Hamburga uciekłam do Gdańska, z Gdańska kiedy i tam się zaczęło, przeniosłam się do Gdyni... Ale jeśli oni i tu wejdą... jeśli oni i tu wejdą... - szeptała panna Loewe, nacierając na Słubickiego oddechem i ciałem. Odsuwał się, jak tylko mógł, ale gdy i z ulicy zaczęli do schronu napływać ludzie, coraz trudniej mu się to udawało. Schron, który wydawał się tak przestronny, gdy go ukończono, teraz okazał się zaledwie wystarczający dla stałych mieszkańców kamienicy. Wbrew przypuszczeniom znaleźli się w nim wszyscy, ranny nalot zaskoczył ich w mieszkaniach, nie zdążyli jeszcze - i na szczęście - udać się do pracy, bo większość pracowała w porcie, który był właśnie celem pierwszego nalotu na Gdynię.

- Dokąd uciec, czy można jeszcze dalej uciec? - szeptała panna Loewe.

Słubicki rozpaczliwie poszukiwał dla siebie innego miejsca. Mogła przysiąc się do Arciszewskich, byli przecież jej sąsiadami, do Konkowej, do Grabieniów, do celnika albo do jego żony, do Joe-miksera wreszcie, ale przysiadła się właśnie do niego, choć niczym jej nie zachęcił do dotrzymania mu towarzystwa, a już najmniej do zwierzeń! Zbiegli do schronu prawie równocześnie, niekompletnie ubrani, nie rozumiejący, co się dzieje, nie ułożeni jeszcze do tego wszystkiego, co niosła wojna. Choć mogli być pewni, że wybuchnie - nie wierzyli w to do końca, łudząc się wciąż nadzieją, naiwną, ale krzepiącą. I oto przyszła ta pewność, od razu w rujnującym wszystkim natężeniu, od razu nie

pozwalająca nawet na zebranie myśli. Służąca Grabieniów popłakiwała cicho w kącie. Przedtem opowiedziała wszystkim, jak to mleczarka z jej rodzinnej wsi, przywożąca co piątku śmietanę i masło do Gdyni, przyniosła wiadomość o zbombardowaniu lotniska w Pucku. Siedziała już w pociągu, miał odejść jak zwykle, o piątej dziesięć, ale gdy się to nad lotniskiem zaczęło, maszynista wcześniej ruszył z dworca, i dobrze zrobił, bo może zbombardowaliby i pociąg... Więc nie ma już lotniska, myślał, nie ma już wodnopłatowców w Pucku. W pierwszej godzinie wojny, zanim świat się o niej dowiedział! Będzie to zatem wojna inna, niż sobie dotąd wyobrażano, i to właśnie musi przemyśleć, nad tym się zastanowić, a ta wciąż mówi, do nikogo innego tylko do niego, akurat jego wybrała sobie do tych strasznych, przejmujących zwierzeń, których w dodatku nie wypadało mu zlekceważyć, bo nadawała sobie nimi od razu jakby wyższą, a w każdym razie najwyższą w tym gronie, rangę zagrożenia.

- Niech się pani uspokoi - zwrócił się do niej zniecierpliwionym szeptem. - To są pierwsze godziny wojny, nie wiemy, jak się potoczy...

- Ale oni są tak blisko... tak blisko... - dyszała panna Loewe.

- Niech się pani uspokoi - powtórzył z bardzo już nieuprzejmym naciskiem.

- Na współczucie dla panny Loewe zdobył się nieoczekiwanie Joe-mikser. Stał przy ławce, na której siedziała i gdy inni byli zajęci wyłącznie sobą, pochylił się ku niej i prawie dotykając ustami jej czoła, powiedział:

- Gdynia to nie Hamburg i Gdańsk. Tutaj zawsze znajdzie pani ludzi, którzy pani pomogą.

Panna Loewe zamrugała powiekami, zdumiona nie tylko tą nagłą serdecznością, ale chyba także i tym, że on wie o jej sytuacji. Słubicki należytym to ocenił: zwierzała się tylko jemu, tylko jego obrała za obiekt godny tych zwierzeń i wtargnięcie w ten obszar kogoś innego uznała za wysoce niewłaściwe. A jednak zachowuje się jak dama, pomyślał. Joe-mikser szybko się wycofał z tej nieprzyjętej przez pannę Loewe serdeczności i pokrył rozbrajającym uśmiechem przykrość, jakiej musiał doznać. Słubicki chciał mu to jakoś wynagrodzić, ale że nie był to czas dawnych gestów a dawnych hierarchii, nie był pewien, czy łaskawość prezesa Carbopolu liczy się jeszcze w tym samym stopniu co dawniej. Nie miał zresztą czasu dłużej się nad tym zastanawiać, bo Karol, który wraz z Lordem napierał na niego z drugiej strony, zionął mu w twarz swoim przesyconym nikotyną oddechem.

- I na co pan jeszcze czeka? Co jeszcze ma być? Co jeszcze ma się stać, żeby pan się zdecydował? Niech pan bierze ten ostatni wóz z przedsiębiorstwa...

- Kto poprowadzi? - zapytał słabym głosem Słubicki.

- Jakoś tam poprowadzimy. Trochę pan, trochę ja... A zawsze mówiłem, żeby się nie posługiwać tylko szoferem. Gdyby chciało się panu czasem usiąść za kierownicą...

- Mój Karolu!

- No nic, przepraszam. Ale jakoś tam obaj prowadzimy i dojedziemy gdzie trzeba. Wsadzimy do wozu kilka waliz i Lorda...

- Mój Karolu! - powtórzył Słubicki.
- Niech się pan zastanowi! Błagam pana, niech się pan zastanowi! Ja obiecałem starszej pani...
- Co Karol obiecał starszej pani?
- Że pana nie zostawię. I chciałbym się z tego wywiązać. Ale też nie może pan wymagać ode mnie, żebym milczał, kiedy widzę, że zachowuje się pan jak dziecko.
- Jak dziecko? - Słubicki prawie krzyknął, zdumiony przede wszystkim tym, że Karol ośmiela się tak mówić do niego.
Ale Karol nie zwrócił na to uwagi.
- A jak? - zapytał. - Nie jak dziecko? Co pan właściwie sobie wyobraża? Że czym to się skończy? Słubicki przyciągnął go za kłapy marynarki, choć; już właściwie nie mogli być bliżej siebie, niż byli.
- Mój drogi Karolu-zaczął z pozornym spokojem, ale dużo wysiłku musiał włożyć w opanowanie drżenia głosa-.
- Na litość boską, mój drogi Karolu! Przecież nie są wilkami, które nas zaraz rozszarpia. I ktoś tu musi zostać dla zabezpieczenia dóbr portu. W końcu polskie przedsiębiorstwa egzystowały dotąd w Gdańsku i chyba będą dalej egzystować w Gdyni. Przeładowywaliśmy także węgiel z niemieckich kopalń na Śląsku, udawało nam się dotąd jakoś dogadywać ze sobą, dlaczego więc teraz... dlaczego by teraz...? - Urwał. Po co to mówił? I do kogo? Do Karola? Ale właśnie Karola nie przekonywały te argumenty. Potrząsnął pana za ramię, odważył się potrząsnąć pana za ramię, i zaczął znowu swoje:
- Nikt o tym nie myśli, tylko pan. Już prawie wszyscy z tych, co przychodzili do pana na karty, wyjechali. Pan Blok...
- Pan Blok ma żonę w Ameryce.
- A inni? Też mają żony za granicą? Chyba że je tam wcześniej wysłali.
- Bardzo Karola proszę, niech Karol przestanie. Karol wzruszył ramionami, szarpnął obrożą Lorda.
- Mogę przestać - burknął. - Mogę! Ale jak się coś stanie... panu albo Lordowi, to ja za to nie będę odpowiadał.
- Nie będzie Karol odpowiadał.
- I przed starszą panią także nie.
- Przed starszą panią także nie! Proszę, niech Karol raz z tym skończy!
Cisza, która zaległa w schronie, świadczyła o tym, że wszyscy przysłuchiwali się tej rozmowie. Dopiero po chwili odezwał się donośny szept Konkowej, odmawiającej Pod Twoją obronę. Towarzyszyła jej tylko Łucka, w roztargnieniu powtarzając za matką słowa modlitwy. Wpatrywała się niespokojnie w Krzysztofa, który stał przy wyjściu ze schronu, i kurczowo trzymała za ręce Julitkę i Tomaszka.
- Mamo, która godzina? - dopytywała się Julitka.
- Powiedz, która godzina?
Nie odpowiedziała jej, powtarzała w dalszym ciągu za matką modlitwę, i dopiero po długiej chwili rzuciła twardym szeptem dwa słowa:
- Nie pójdziesz!
- Pójdę!
- "O Pani nasza. Orędowniczko nasza, Pocieszycielko

nasza..." Nie pójdziesz! Powiedziałam raz, i nie naprzykrzaj mi się.

- Ale ja muszę iść. Mama myśli, że to zabawa.

- Ty myślisz, że to zabawa. A jest wojna!

- Wiem, że jest wojna. I dlatego muszę iść!

- "Łaskę Twoją, prosimy Cię, Panie, racz wlać w serca nasze..." - podniosła głos Konkowa.

- Módl się! - syknęła Łucka do Julitki. - Zamiast kłócić się z matką.

- Ja się nie kłócę. Ja muszę iść! - powtórzyła z uporem mała.

- Krzysztof! Zawołała Łucka. - Zrób coś z nią! Na litość boską, zrób coś z tą dziewczyną!

Nie odezwał się, nie odwrócił nawet głowy. Nachylony ku wpółotwartym drzwiom, nadsłuchiwał odgłosów z ulicy i miasta, z nieba i morza.

- Pani gospodyni, ja zostawiłam mleko na gazie!

- przypomniała sobie dopiero teraz Anula.

. Konkowa, która zaczęła znowu odmawiać litanię i przyzywała wzrokiem obecnych w schronie, aby jej wtórowali, przerwała ją w pół słowa.

- Co zostawiłaś?

- Mleko na gazie, proszę pani gospodyni.

- Leć zaraz do domu!

- A... już można? - Anula wyjrzała na podwórze.

Opowieść mleczarki o bombardowaniu Pucka wciąż dźwięczała jej w uszach.

- Można, można - odpowiedziała Konkowa. - Leć!

Garnek się na nic spali!

Dokonywała się właśnie jedna z największych strat, jakie poniosła w życiu. Tylko śmierć Augustyna mogła się z nią równać, bo już nawet nie śmierć rodziców - coś bardzo zwykłego było w tym, że rodzice marli przed dziećmi. Zaczynała się już przyzwyczajać do tego, że pieniądze marniały w jej szufladzie, na straty wielkie była już uodporniona, ale z małymi nie mogła się jeszcze pogodzić.

- Leć! - krzyknęła na Anulę.

Dziewczyna wypadła ze schronu, błyskając gołymi piętami. ! . . ; .

- Garnka pani żałuje? - odezwała się z naganą w głosie siostra Joe-miksera.

- A co? - Konkowa spojrzała na nią z niechęcią.

- Wszystko ma szczeznąć?

- Co to znaczy wszystko? - obruszył się z niewiadomej przyczyny barman. - Co ma pani na myśli, mówiąc "wszystko"? :

- A daj mi pan spokój! - odwróciła się do niego plecami Konkowa.

- Kiedy to się skończy? Kiedy stąd wyjdziemy? - pytała cicho panna Loewe.

Mówiła przed siebie, nie patrzyła na nikogo, ale odpowiedzi udzielił jej Słubicki.

- Może już się uspokoiło i niepotrzebnie tu siedzimy.

Bądź co bądź nie mamy praktyki, jak należy zachowywać się w takich sytuacjach - usiłował zażartować. - Zaraz wyjdę i zobaczę.

- Nie, nie - zawołała panna Loewe. Wyciągnęła ramię,

żeby go powstrzymać, ale zaraz je cofnęła, zmieszana swoją śmiałością.

On jednak i tak został, uderzony żarliwym tonem jej głosu, i nagle, dopiero teraz! spostrzegł, jak prześliczne jest to ramię, które chciało go zatrzymać, jak ponętne w tym powiewnym rękawie letniego szlafroka, szczupłe, ale okrągłe, lekkie i śmigłe... Co, do diabła, pomyślał, co się ze mną dzieje?

Anula wróciła prawie rozpogodzona.

- Garnek się nie przepalił - obwieściła od progu.

- Mleko zalało gaz!

- A jak tam na świecie? - zapytała Konkowa.

- Na świecie spokój.

- Nic nie słychać?

- Gdzieś tam strzelają.

- Daleko?

- Bardzo daleko. Chyba w Orłowie.

- Marija, Józef! To dla ciebie; daleko?

Mężczyźni wychodzili powoli ze schronu. Słubicki zaczął Krzysztofa:

- Pan idzie do portu?

- Muszę.

- Pójdę z panem. Samochód mi już zarekwirowali, to znaczy mam jeszcze jeden w firmie i mógłbym właściwie po niego zadzwonić, ale wolę pójść pieszo.

Krzysztof nie wyraził zdumienia, mimo iż w ciągu tych wszystkich lat, od kiedy pan Słubicki zamieszkał w ich domu, nigdy nie szli razem do portu.

- Tylko zjem śniadanie - powiedział. - Jest jeszcze dość wcześnie.

- Ależ oczywiście. Ja także jeszcze nie jadłem.

- Czy... - panna Loewe zawahała się na chwilę, zanim wyjawiała swoją prośbę - czy mogłabym pójść z panami?

- To zrozumiałe! - zawołał Słubicki. - Musimy się trzymać razem. Czekamy na panią w bramie.

- Dziękuję - szepnęła. I zwróciła się do Konkowej:

- Chciałabym pani gospodyni zapłacić za mieszkanie.

- Prawda! - Konkowa chwyciła się za głowę. - To już pierwszy! O niczym człowiek nie pamięta z tego zmartwienia.

Idąc po schodach do mieszkania Łucki, myślała: Tylko panna Loewe zapłaciła za czynsz. Innym ani to w głowie.

.Chociażby Słubickiemu! Znowu trzeba się będzie upominać, uśmiechać do Karola, żeby raczyhsobie przypomnieć, że ma przypomnieć swojemu panu.. A może lepiej, żeby jej nie .płacili? Żeby byli'jej winni? Aż przystanęła na schodach dla rozważenia tej myśli. Była na pewno dobra. Nie będzie się upominać o czynsz, nie będzie się uśmiechać do Karola. Tak, nic lepszego nie mogła wymyślić! Była z siebie zadowolona. A do panny Loewe poczuła nagle niechęć.

J Przez nie domknięte drzwi mieszkania Łucki dochodziły podniesione głosy. Konkowa przyśpieszyła kroku, ugodzona nagłym niepokojem, który od razu zniszczył to małe ucieszenie, jakie ofiarowała sobie sama przed chwilą. Nie, to chyba niemożliwe! Któż by tak rano i podczas alarmu doręczył kartę mobilizacyjną dla Krzysztofa? W ciągu Ostatnich dni tylko o tym mówili, Łucka zawsze ze łzami i ze złym wspomnieniem tego dnia sprzed wielu lat, kiedy to

Krzysztof nie chciał zwrócić się z prośbą do inżyniera Wendy, żeby go wyreklamował z wojska. Na pewno inżynier Wenda uczyniłby to z czystym sumieniem, bo kto wtedy, po dopiero co zakończonej wojnie, wierzył, że wojsko może okazać się znów potrzebne, a dla portu był cenny każdy .wykwalifikowany człowiek. Ale Krzysztof nie poprosił go, nie śmiał, jak zawsze poddając się z pokorą wszelkim powinnościom, i oto czekali teraz na tę kartkę papieru, która •miała przemienić go w żołnierza.

Konkova zadyszana wpadła do mieszkania na drugim piętrze. Nie, tej kartki jeszcze nie było. Ale było coś gorszego niż ona: tępe, nieruchome spojrzenie Krzysztofa i bladość Łucki, śmiertelne przerażenie na jej twarzy.

- Nie, tego nie zrobisz! - wołała. - Nie zrobisz tego!

Masz żonę i dzieci!

- Wszyscy mają żony i dzieci. Albo matki i ojców.

- Nie zrobisz tego!

- Muszę! - powiedział krótko. Nie patrzył na nią, a ona mu, wciąż zaglądała w oczy, żeby dojrzeć w nich, żeby wymodlić w nich cień niepewności i wahania.

- Krzysztof! - zapłakała. - Już nas nie kochasz.

- Ależ kocham was! Nie powinnaś teraz o tym mówić.

Nie powinnaś domagać się tych zapewnień.

Ona jednak słyszała w nich tylko ton zniecierpliwienia.

Rzuciła się do drzwi, jakby już teraz chciała zastąpić mu drogę.

- Na razie idę do portu - powiedział. - I chyba ty też.

- Czy zostajesz w domu?

- Idę także - szepnęła spod chustki, którą wycierała łzy z twarzy. - Pracy na pewno żadnej nie będzie, ale pójść muszę.

- No to dlaczego się nie ubierasz?

- Jak ja mogę się ubierać - zawołała w przypływie nowej rozpacz. - Ty wydzierasz się z domu! Julitka też! We wszystkim do ciebie podobna. Może mi powiesz, co mam z nią zrobić?

Krzysztof powoli odwrócił głowę i spojrzał na stojącą pod oknem córkę. Miała na sobie harcerski mundurek i białe skarpetki na nogach, wyglądała dziecinniej niż w ciągu lata, kiedy nosiła letnie sukienki, tylko spojrzenie jej było już niedziecinne. Zrozumiał, że nie będzie mógł niczego jej zabronić, przed niczym powstrzymać.

- No, dlaczego nic nie mówisz? - zawołała Łucka.

Przystąpił do Julitki, pocałował ją w czoło, przez chwilę czuł na szyi jej lekkie ramiona, a przy swojej piersi ptasie kołatanie jej serca.

- Mogę tylko prosić, żeby była rozsądna.

- Krzysztof! - krzyknęła boleśnie Łucka.

I do niej podszedł, i ją także pocałował w czoło.

- Przypomnij sobie, czy zakazy twego ojca miały dla ciebie jakieś znaczenie. A chodziło o coś o wiele mniej ważnego niż to, przy czym chce wytrwać Julitka.

Łucka znowu ukryła twarz w chustce.

- Kochałam cię -- wyszlochała.

- I nie niszczy teraz tego - powiedział cicho.

Gdy wyszedł, zabierając Julitkę i zapowiadając Łucce, że czeka na nią na dole, Konkova podeszła do córki. Nie miała

odwagi odezwać się wcześniej, czas zaczynał być taki, że nie można było nic przewidzieć, a już najpewniej nie można było przewidzieć tego, co człowiekowi wyjdzie na dobre, po cóż więc było strzępić sobie język na próżne gadanie? Ale Łucka była jej dzieckiem, i należało jej się od matki pocieszenie. Poglaskała ją po głowie, po tych włosach wciąż tak złotych, że panną mogłaby się jeszcze wydać każdemu, kto by nie wiedział, że już za mężem i dzieciata.

- Moje dziecko - powiedziała cicho - człowiek nigdy nie wie, w które miejsce los go uderzy. Osłaniasz jedno, a on wybiera sobie drugie. Ze wszystkich stron się nie zabezpieczysz.

Łucka zaszlochała głośniejsze. Słowa matki miały ją pocieszyć, rozrzewniły ją jeszcze bardziej i obudziły litość nad sobą.

Konkowa się tego domyśliła. Podniosła głos:

- Umyj oczy zimną wodą i ubieraj się. Czekają na ciebie. Czy ty myślisz, że ja męża na wojnę nie musiałam oddać? Że ty pierwsza?

- Mamo - Łucka uspokajała się powoli - co to była za wojna! A przy dzisiejszej technice...

- Każda wojna jest wojną - przerwała jej Konkowa.

- Na każdej człowiek nic nie znaczy. Tyle co robak. Co komar albo mucha.

- Więc po co się pchać, jak się nie musi? Co innego, jakby dostał powołanie. Ale nie dostał! I nie jest im potrzebny! A on uważa...

- On przede wszystkim nie będzie czekał na ciebie, jak się nie pośpieszysz - powiedziała rzeczowym tonem Konkowa. - Wolałabym, żebyś nie szła sama do portu. Przez otwarte okno dochodził odgłos dalekich wystrzałów. Anula miała rację: bitwa toczyła się już w Orłowie. I od morza szedł pomruk artyleryjskich detonacji. Tylko niebo było na razie spokojne - niebo bez jednej chmurki, czyste i pogodne, rozjarzone okrutnym słońcem, oświetlającym ziemię jak rozległy poligon.

- Wracaj zaraz do domu, jakby się co zaczęło! - Krzyknęła Konkowa za córką, gdy Łucka zbiegała już po schodach. - Słyszysz?

- Słyszę! - odkrzyknęła.

W bramie czekał Krzysztof z Julitką, Słubicki i panna Loewe. Po chwili zjawił się także celnik Rosochacki, do którego żona krzyczała coś z okna, ale zaczął się opędzać od tego jak od brzęczenia muchy.

- W takich chwilach człowiek powinien być sam - powiedział do Krzysztofa.

Słubicki to dosłyszał, krzywym uśmiechem pokrył zmieszanie.

- Ja jestem sam - powiedział. - I ani odrobinę nie czuję się lepiej.

Panna Loewe milczała.

Szli szybko wśród takich jak oni, spiesźnie przemierzających ulicę, przechodniów. Krzysztof wziął Łuckę za rękę, bał się, że upadnie, potknęła się kilka razy.

- Niech się pani oprze na mnie - powiedział Słubicki do panny Loewe, choć maszerowała dzielnie jak żołnierz.

Na skrzyżowaniu Świętojańskiej z ulicą 10 Lutego Julitka

przystanęła.

- Ja już tu skręcam - powiedziała. - Do widzenia.

Nie dygnęła jak zwykle. Słubicki czekał na to, lubił ten taneczny ruch jej nóg w białych skarpetkach i czekał na to, jakby w tej chwili nie obchodziło go nic innego. Ale Julitka nie dygnęła.

< - Do widzenia - powtórzyła. Chciała już odbiec, żeby uniknąć sceny pożegnania, ale jednak zatrzymała się i rzuciła na szyję matce.

- Nie gniewaj się - szeptała. - Kocham cię! Tak cię kocham! I tatusia, i babcię, i Tomaszka! Ale ja muszę! Mamusiu, ja muszę! Muszę tam iść!

Płakały obie, a Krzysztof stał obok zupełnie bezradny, przerażony przede wszystkim tym, że nie wierzył, żeby to wszystko mogło się na coś przydać, stać się jakąś siłą przeciwko drugiej sile, o wiele większej. Godność klęski, uświadomił sobie nagle. Tak, chodziło tylko o godność klęski!

Julitka przybiegła na ulicę Zgoda w momencie, gdy w jednym z pokoi - w panice, pomieszaniu, ścisiku i hałasie - formowano drużyny sanitarne. Lada chwila mogli być pierwsi ranni.

Jedna ze starszych dziewcząt zapisywała nazwiska. Znała Julitkę.

- Grabieniówna! Nie boisz się krwi?

Julitce coś ogromnego i oślizłego podeszło do gardła. Nie mogła się odezwać.

- Nie boisz się krwi?

Zacisnęła powieki, potrząsnęła przecząco głową.

- Nie.

- To dobrze. Mało jest takich, co się nie boją. Będiesz w drużynie sanitariuszek. Masz przeszkolenie?- Dziewczyna zapisująca nazwiska umilkła speszona. Powinna najpierw o to zapytać, ale jej rozbiegane oczy świadczyły o tym, że straciła głowę.

- Mam - szepnęła Julitka.

- Zejdź na dół i czekaj z innymi przy samochodach.

- Na co?

Dziewczyna z ołówkiem w ręku popatrzyła wółprzymnie.

- Na wyjazd - powiedziała.

- Na wyjazd - powtórzyła Julitka.

Szkolono je od miesięcy, ale czym innym było m ó w i e - n i e o wojnie, a zupełnie czym innym świadomość i obozwniające uczucie, że ta wojna już jest, prawdziwa, realna i groźna. Krew była dotąd słowem, teraz miała być prawdą, lejącą się z czyichś ran, z oberwanych rąk i nóg, z obnażonych wnętrzości. Julitka oparła się o poręcz schodów, zacisnęła na niej palce, klatka schodowa wydała jej się czeluścią, która ciągnęła ją w dół. Zamknęła oczy, starała się przełknąć to, co znowu podeszło jej do gardła.

; Przy wejściu na dole wrzało. Kiedy Julitka, słaniając się, wreszcie tam dotarła, ledwie mogła przecisnąć się przez tłum mężczyzn. W cywilnych ubraniach, z odkrytymi głowami i bez broni sprawiali dziwne wrażenie na tym obszarze zalanym wojskową zielenią, jakim była od kilku dni ulica Zgoda. Powstrzymywał ich w drzwiach rozgorączkowany

porucznik.

- Do Związku Rezerwistów! - wołał. - W Związku Rezerwistów powinna być broń i mundury!

Przy samochodach gromadziła się młodzież. Julitka zobaczyła swój własny strach w oczach wszystkich dziewcząt. Ku chłopcom nie patrzyła, ale właśnie z ich grupy ktoś ją zawołał. Poznała ten głos i odwróciła głowę z budzącą się w sercu nadzieją, że oto zjawia się jakiś ratunek, jakiś mały ratunek u progu tego przerażającego dnia.

Nigdy dobrze nie widziała jego twarzy, poznali się w mroku, w mroku wiedli swoją pierwszą rozmowę i mrok go potem zagarnął, gdy pobiegł z pierwszymi kartami mobilizacyjnymi, żeby je jak najszybciej doręczyć. Teraz stał przed nią wysoki chłopak w przyciasnej bluzie PW, patrzył niebieskimi oczyma spod wiechy ciemnych włosów i nawet rozpacz i przerażenie nie mogły zaćmić blasku radości, jaki się w nich na jej widok pojawił.

- Jerzyk! - szepnęła. - Cześć! -

- - Cześć! Jaki dostałaś przydział?

'- Do sanitariuszek.

drużynie sanitarnej. To dobrze.

- Ja też jestem w

Będziemy razem.

- Będziemy razem-

żeby nikt nie dosłyszał: -

a bardzo się boję.

-powtórzyła. A potem ściszyła głos,

- Powiedziałam, że nie boję się krwi,

Jerzyk spuścił głowę.

- Ja także - powiedział cicho. Wyprostował się jednak zaraz i dodał: - Ale ja jestem mężczyzną.

- Czy myślisz, że... jak się nie jest mężczyzną...? - zapytała, bojąc się dokończyć tego zdania.

- W każdym razie jest o wiele trudniej. Zawsze. I wszędzie - dodał. - Ale będziemy razem. Będę się starał być blisko.

- A jeśli... jeśli to nie będzie możliwe?

- Zawsze będę się starał - powtórzył. - Pamiętaj o tym. Chyba że... naprawdę bym nie mógł.

- Nie chcę o tym myśleć - szepnęła.

- Nie myśl o tym - poprosił;

Potem był długi, straszny dzień, pierwszy dzień wojny.

Niemcy byli już rano w Kolibkach, a w południe zajęli Mały Kack i Osowę, wdarli się do Orłowa. Bronił tych pozycji 2 morski pułk strzelców pod dowództwem podpułkownika Szpunara. Front posuwał się od granicy Wolnego Miasta, a pierwszymi rannymi byli żołnierze ze Straży Granicznej, zaskoczeni niespodziewanym atakiem. Ich zbierali najpierw, czołgając się przez pola po obydwu stronach toru, wśród drzew porastających wzgórza między pierwszymi domami Orłowa i Kacka. Szpital Sióstr Miłosierdzia na placu Kaszubskim zapełniał się szybko.

Gdy Julitka, drugi już raz tego przedpołudnia, wyładowywała rannych z samochodu, gdy razem z koleżanką wniosła do szpitalnego korytarza nosze z jakimś rannym chłopakiem, który wył, ściskając sobie rękami podziurawiony

•brzuch, i gdy oparła się o ścianę i poprosiła siostrę o wodę, ta

popatrzyła na nią zdumiona.

- Ileż ty masz lat?

- Czternaście. Już czternaście.

- Rodzice wiedzą, gdzie jesteś?

- Wiedzą.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Zostań tutaj. Przydasz się w szpitalu. Tamto... nie dla ciebie.

- Wszyscy boją się tak samo jak ja - powiedziała

Julitka cicho. - Niech mi siostra da tylko szklankę wody.

Szybko, bardzo proszę.

Biały kornet wokół głowy zakonnicy zafalował gwałtownie. Chwyciła Julitkę za rękę.

- Nie możesz tam iść. Są jeszcze mężczyźni. Jest wielu mężczyzn, którzy nie przywdziali jeszcze munduru. Wojna nie jest dla dzieci. Chodź do ambulatorium, dam ci kropli.

Julitka nie oderwała się od ściany.

- Nie mogę, proszę siostry. Muszę tu czekać, aż rozładują samochód, i zaraz wracamy.

- Zaraz wracacie? - zapytała zakonnica, błędąc.

Twarz jej stała się biała jak szeleszczące płótno jej kornetu.

- Tak. Musimy. Nie ma zbyt wielu samochodów, więc musimy... Proszę o wodę.

- Już biegnę! - zawołała siostra już teraz bez protestu.

Zawinęła w pośpiechu habitem, załopotowała skrzydłami kornetu.

Ale kiedy wróciła ze szklanką wody, zabarwionej jakimiś kroplami, dziewczynki, której widok tak poruszył jej przywykłe do ludzkich cierpień serce, już nie było. Samochód służący za ambulans, choć nie przystosowany do tego celu, właśnie się oddalał ze szpitalnego podwórza. Wybiegła, żeby go zatrzymać, ale było to już niemożliwe. Ze wszystkich stron pod ogromnym obszarem tego rozświetlonego nieba dochodziły odgłosy wystrzałów i detonacji. Na ziemi, na morzu i w powietrzu nacierał wróg. Siostra, trzymając szklankę wody w jednej ręce, drugą poszukała ziaren różańca. Zaczęła się modlić za tych, którzy go odpierali i powstrzymywali, za żołnierzy i dowódców, za ich działania, aby były mądre i skuteczne, nie przyćmione rozpaczą, zaczęła się modlić o pomoc dla nich, a także o pomoc dla siebie, przeciwko rodzącemu się w sercu, mylącemu jej słowa modlitwy zwątpieniu.

Zawróciła z zalanego słońcem podwórza, wpadła do sali, w której opatrywano rannych, rzuciła się po bandażę i jodynę. Błada twarzyczka dziewczynki, której nie zdążyła podać wody, stała jej wciąż przed oczyma.

Wczesnym popołudniem nadciągnął od zachodu ciężki, dudniący warkot samolotów. Leciwały bombowce. Ominęły miasto, kierując się na port i Oksywie. W chwilę potem ogłuszające detonacje wstrząsnęły powietrzem. Nalot trwał krótko, kilka minut, a może nawet i nie tyle, ale ludziom, którzy zdążyli dopaść schronów lub przyczaić się we wnękach bram, ludziom struchlałym w mieszkaniach, biurach, sklepach, pod drzewami, w przydrożnych rowach, ludziom mającym bliskich tam, gdzie biły bomby, wydawało się, że

trwał wieczność.

W szpitalu gotowano się na przyjęcie nowej, ogromnej partii rannych. Ale minęło dużo czasu, bardzo dużo czasu, a na podwórzu szpitalne nie zajechał ani jeden samochód. Dopiero ludzie, którzy tłumnie zaczęli teraz opuszczać port, powiedzieli, dlaczego nie pojawił się ani jeden samochód z rannymi. Nie było rannych. Byli tylko zabici. I nawet grzebać nie trzeba było wszystkich. Tylko tych, którzy zginęli przy zniszczonej baterii na Oksywiu. Załogi dwóch okrętów stojących w porcie - szkolnego okrętu artyleryjskiego Mazur i okrętu do prac podwodnych Nurek - poszły na dno razem ze swoimi jednostkami.

Na ulicy Zgoda, gdzie także już wiadano o wydarzeniach w porcie, podawano sobie z ust do ust wiadomość o bohaterstwie obronie Mazura. Okręt już tonął, a artylerzyści, zanurzeni w wodzie do kostek, do kolan, do pasa, ostrzelali dalej samoloty.

Więc bohaterami są ci, którzy nie żyją, myślała Julitka. W krótkiej chwili ciszy, jaka nastąpiła po nalocie, nakarmiono ich bulkami i jakąś zupą, po której rozbolał ją brzuch. Może po tej zupie, a może dlatego, że wciąż wyobrażała sobie, jak ci chłopcy na okręcie stoją i strzelają pod bombami, a woda sięga im coraz wyżej i wyżej... Oni już nie żyli, byli bohaterami, zrobili to, o czym się pisze w książkach: poświęcili życie za ojczyznę - a ją bolał brzuch, wstrętne i kompromitujące, musiała natychmiast rozejrzeć się za toaletą. Ale jedyna toaleta była w lokalu dowództwa, a tam nie można się było dopchać, nie można było nawet marzyć, żeby się tam docisnąć na czas. Rozejrzała się z rozpaczą po okolicznych domach.

- Słuchaj - szepnęła do koleżanki - ja muszę...

- Zadzwoń do któregoś mieszkania - powiedziała koleżanka - Na pewno cię wpuszczą.

- Na pewno mnie wpuszczą... - powtórzyła Julitka.

Pobiegła do sąsiedniego domu, nacisnęła dzwonek przy pierwszych drzwiach na parterze. Dzwoniła alarmująco, ale nikt nie otwierał. Przycisnęła dzwonek jeszcze raz - i tym razem za drzwiami trwała martwa cisza.

Dygocząc w zimnych dreszczach, pobiegła piętro wyżej. Oparła się o drzwi, wczepiła dłoń w dzwonek. Tym razem alarm odniósł skutek. Szybkie kroki wewnątrz mieszkania podbiegły do drzwi. Na progu ukazała się niemłoda kobieta w kwiecistym szlafroku, z kompresem na głowie.

- Czy... czy mogłabym skorzystać z toalety? - wymamrotała Julitka.

- Znowu? - krzyknęła kobieta. - Dopiero tu była jakaś dziewczyna. Ci na dole już nie otwierają, więc oczywiście wszyscy do mnie!

- Ale ja proszę! - krzyknęła Julitka.

- No to wejdź! Wejść - powiedziała kobieta, niechętnie ustępując z proga. - Tylko mi nie nabrudź! - krzyknęła za nią, gdy Julitka zatrzasnęła za sobą drzwi łazienki. Wstrętne, obrzydliwe uczucie upokorzenia! W książkach bohaterstwo bywało zawsze piękne, podniosłe, czyste, bohaterowie wyprostowani i nieustępliwi, zdecydowani na wszystko - a ją bolał brzuch, tak jak nie bolał jej jeszcze nigdy, nawet po śliwkach, gdy nie słuchając babki, zjadła ich za

dużo. Może zatrulałam się tą zupą? myślała. Ale i inni ją jedli, a nie zaszkodziła nikomu. Nie nadaję się, myślała z rozpaczą. Nie nadaję się...

To samo powiedziała jej, gdy zawstydzona opuściła łazienkę, właścicielka mieszkania.

- Moje dziecko, wracaj do domu! Sama widzisz, że nic tu po tobie. Nie nadajesz się do czegoś takiego. Mężczyźni łąza bez mundurów, a dzieciom każą... - w głosie jej brzmiała życzliwość, którą chciała pokryć swe szorstkie powitanie. Julitka uciekła. Ponieważ boleści ustąpiły tylko na chwilę, trzymała się z daleka od chłopców i dziewcząt, starannie unikając przede wszystkim Jerzyka. Nie mogła mu przecież powiedzieć, co jej jest, to by było straszne, gdyby się domyślił. Tak pięknie rozmawiali ze sobą, była pewna, że długo będzie to pamiętać, że będzie pamiętać zawsze, do późnej starości. Czy komuś, kto mówi dziewczynie napisany przez siebie wiersz, można przyznać się do tego, że się ma boleści i że się musi zaraz lecieć nie wiadomo dokąd, bo ta pani na pierwszym piętrze już na pewno drzwi nie otworzy.... A ten wiersz był krótki, i dobrze go zapamiętała:

Że to ty -przeczuje od razu.

W.moje serce imię twoje wpiszę.

W jego ogromną pustkę.

W jego ogromną ciszę.

I nikomu o tym nie powiem.

Nikommu -

Nawet tobie.

Taki to był wiersz. I powiedział, że już wie, dla kogo i do kogo go napisał. A teraz ona była zupełnie mną dziewczyną, i chyba już nie można było pisać do niej wierszy... Żałowała, że nie została w szpitalu przy tej siostrze o dobrej twarzy, ocienionej białym kornetem. Ten kornet był rozległy jak skrzydła jakiegoś wielkiego ptaka, i gdy zakonnica się poruszała, szumiał jak one. W szpitalu byłaby tak samo potrzebna, ale tu była zapisana, tu musiała być, tu na nią czekali... A do tej siostry, co nie zdążyła jej przynieść wody, pójda kiedyś z babcią, pomyślała. Kiedy? Kiedyś. Tak, kiedyś... ;

Zjawiła się dziewczyna, która rano wciągnęła ją na listę.

Teraz robiła jakąś drugą listę, wciąż coś pisała. Oczy miała tak samo nieprzytomne.

- Wytrzymasz do rana? - zapytała Julitkę.

- Wytrzymam - odpowiedziała.

- Źle wyglądasz.

- Ty też.

Dziewczyna się zmieszała. Bardzo chciała być godna swojej funkcji, ale wciąż jej się coś nie udawało. Uśmiechnęła się, zagryzając wargę.

- Słusznie. Kto teraz dobrze wygląda? W nocy ma być atak. Odpieramy Niemców. Musimy być w pogotowiu.

Rano nas zlużują.

- Kto? - spytała Julitka.

- Nie wiem. Och, nie wiem. Ale przecież musi być jakaś rezerwa.

Chciała odejść, lecz Julitka zatrzymała ją za ramię. Czuła powracające boleści, i ogarniał ją popłoch na myśl, że za chwilę będzie musiała znów szukać w pośpiechu jakiegoś

miejsca... jakiegoś miejsca...

- Słuchaj - powiedziała do dziewczyny zbieleiałymi wargami - czy tu jest tylko jedna... tylko ta jedna toaleta przy dowództwie?

- Nie, są jeszcze na drugim i trzecim piętrze. Ale przeważnie zajęte. Na tyle ludzi to za mało. My biegamy do GAL-u.

- Dokąd?

- Do budynku Gdynia-Ameryka. To przecież tylko przez ten plac, gdzie stoją samochody. Tam jest po kilka na każdym piętrze. Oprócz tego na parterze w kawiarni Bałtyk i w piwnicy, gdzie jest dansing. Zaprowadzić cię?

- Nie, dziękuję. Trafie sama. -- Julitka poczuła się trochę lepiej widząc, że dziewczyna uważa całą sprawę za najzupełniej naturalną. W Bałtyku wyżyła się reszta skrzepowania - wojna to było także to: zbiorowość obnażona przed sobą we wszelkich zachowaniach i odruchach. Czy można się było wstydzić, że boli brzuch, kiedy każdej chwili groziła śmierć? Przed toaletami w Bałtyku stały kolejki żołnierzy, oficerów, chłopców i dziewcząt w mundurach. Jeszcze wczoraj by się na to nie zdobyła, nie zdobyłaby się na to nawet jeszcze przed godziną, a teraz przepchała się ku przodowi kolejki, rozgarnęła barkami czekających, docisnęła się do samych drzwi.

- Przepuść tę małą - powiedział jakiś podchorąży do kolegi. Zabrzmiało to poważnie, nie kpiąco, nie grubiańsko, ale właśnie poważnie i życzliwie, tak że Julitka, zapominając o krępujących ją okolicznościach, uniosła głowę i podziękowała. Nie było chłopców i dziewcząt - byli żołnierze. Nie było zawstydzenia, skrzepowania, intymnych spraw - był dla wszystkich los jednakowy. Była wojna. Nie ta, do której się przygotowywano, mimo wszystko w nią nie wierząc, ale ta, która naprawdę wybuchła, która naprawdę się stała. Kiedy wyszła i wydostała się na ulicę, zobaczyła, że pod oknem kawiarni stoi Jerzyk Powsiałowicz. Czekał na nią, i spieszyło ją to tylko na krótko.

- Chyba mi ta zupa zaszkodziła - powiedziała z nadmiernie wesołą miną.

Jerzyk potrząsnął głową.

- To nerwy.

- Jakie nerwy? - zaprzeczyła gwałtownie. - U nas w domu czegoś takiego nie gotują.

- U nas też nie - przyznał. - Ale będziemy musieli się przyzwyczaić. Do takiej zupy i... do wszystkiego.

- Wiesz, że w nocy ma być atak?

- Wiem. Musimy wyprzeć Niemców z Orłowa i Małego Kacka. - Mówił "musimy", tak samo jak dziewczyna z notesem i ołówkiem, zapisująca składy drużyn sanitarnych, i nie było w tym najlżejszego tonu przechwałki, choć naprawdę musieli tylko żołnierze.

- Wiesz, o której to będzie?

- Nie wiem. Ale możemy chyba do tego czasu trochę odpocząć. Może nawet się przespać.

- Gdzie? - zapytała, nie zdoławszy poskromić w głosie

12 - Tak trzymać t. II

zbyt radosnej nadziei na ten niespodziewany odpoczynek.

;- W którymś z samochodów. Może uda mi się znaleźć

jakieś koce. - Miał za krótkie rękawy u bluzy, w ogóle była ona na niego za ciasna, wyrósł z niej, zanim w domu to zauważono, ale mimo to nie wyglądał w niej śmiesznie. Julitka, w której oczach ośmieszał się każdy chłopak najmniejszą niewłaściwością stroju, zauważyła i te za krótkie rękawy, i zbytnią krótkość bluzy, wymykającej się spod pasa, i za ciasny kołnierzyk, ale nie dała tego Jerzykowi odczuć. To, co dawniej wydawałoby się jej śmieszne, teraz ją wzruszało. Bo ten chłopak o gołych nadgarstkach, wystających z rękawów, potrafił opanować strach przed krwią, przed jękami, przed przerażającym cierpieniem, z którym się dotąd nigdy nie stykał, i mówił "musimy" odeprzeć Niemców, i miał znaleźć koce, żeby mogła położyć się na nich i zebrać siły przed trudem nadchodzącej nocy. W samochodach było ciasno, ludzie leżeli pokotem, choć wieczór jeszcze nie zapadł, choć dopiero pierwsza liliowość zmierzchu zaczęła łagodzić kontury miasta. Było ciepło, jak zawsze nad morzem u schyłku lata, ale nikt o tym nie myślał, nikt tego nie czuł, nikt się z tego nie cieszył - piękna pogoda przestała być sojusznikiem tego miasta, stała się sprzymierzeńcem wroga. Po jego stronie były słoneczne dni i wygwieżdżone noce, po jego stronie dalekosiężna widoczność na morzu, cisza powietrza i łagodność fali. Jerzyk znalazł miejsce w którejś z sanitarek, podał rękę Julitce i wciągnął ją do wozu. Tuż obok nóg jakiegoś żołnierza wymościł jej kąt kocem, drugi koc trzymał jeszcze pod pachą.

- Tym cię okryję - powiedział.

- Żebym tylko nie musiała znowu... lecieć - szepnęła.

- Zdarza się - mruknął. - Nie przejmuj się.

To był największy dar, jaki otrzymała w życiu: miała tę paskudną, odrażającą i ośmieszającą przypadłość, lada chwila mógł znowu rozboleć ją brzuch, i będzie musiała panicznie rozglądać się za toaletą, a chłopak, który już wiedział, dla kogo napisał swój wiersz, nie uważał tego za obrzydliwość, nie musiała się przed nim wstydzić.

- Dziękuję ci - powiedziała.

- Za co?

- Że jesteś taki.

-Jaki?

- Dobry.

- Dla ciebie to nie sztuka.

Co to znaczy, myślała, dlaczego on mi to powiedział, co on mi powiedział? Bo wiedziała, że to coś ważnego, że chłopcy nie mówią tego każdej dziewczynie.

- Dla ciebie to nie sztuka - powtórzył. I zaraz dodał:

- Kładź się szybko. Może nie mamy dużo czasu.

- A ty?

- Będę przy tobie. Oprzyj się o mnie. Tak ci będzie wygodniej.

Usiadł obok niej, okrył ją kocem, podsunął jej swoje ramię tak, żeby mogła złożyć na nim głowę. Skądś - od wzgórz, a może od zatoki - dochodził wciąż odgłos wystrzałów, ale tu, pod plandeką sanitarki, wojna wydawała się daleka, odsunięta w głąb nocy, podczas której miał się rozpocząć ich atak.

- Jerzyk! - zawołała cicho, choć był tuż obok.

- Co?
- Byłoby mi o wiele trudniej, gdyby ciebie tu nie było.
- Milczał długo, zanim odrzekł:
- Mnie też.
- Nie chciałeś się do tego przyznać?
- Nie.
- Dlaczego?
- To nie świadczy dobrze o żołnierzu.
- Ale nikt o tym nie będzie wiedział. Tylko ty i ja.
- Tak. Tylko ty i ja.
- Dziękuję ci - powiedziała znowu.
- To ja tobie dziękuję.

Była znowu czymś obdarowana. W tym strasznym dniu, kiedy zwałił się w gruzy świat dzieciństwa, świat bezpieczeństwa i dostatku, otrzymywała coś w zamian, i tamta strata wydawała się jej teraz złagodzona, nie bolała już tak ostro. Pod kocem było przytulnie, ramię chłopca, ciepłe i silne, czuła pod głową, mogła zasnąć, ale szkoda jej było tej chwili. Co by pomyślała babcia, albo mama, gdyby ją teraz zobaczyły? zastanowiła się nagle. Czy zaczęłyby krzyczeć ze zgorzienia, czy też byłyby szczęśliwe, że jest pod opieką Jerzyka Powsiałowicza, że jest pod tak dobrą opieką, choć żadna opieka nie mogła być teraz naprawdę dobra? Zgorzzyć by się nie mogły, pomyślała, bo przecież nie dzieje się nic takiego, o czym bałaby się opowiedzieć w domu. Ramię chłopca pod jej głową - czy to już był grzech, czy to już było to, po czym chłopcy dziewcząt nie szanują? Nie, to nie mogło być nic takiego. Przytuliła policzek do ręki w za krótkim rękawie, i od razu jakieś błogie, uspokajające ciepło rozlało się po całym jej ciele.

- Czy, jeśli wojna się skończy - zapytała sennie - będziesz mnie wciąż lubił?
- Będę cię lubił zawsze - odpowiedział.
- No to chcę, żeby skończyła się jak najprędzej.
- Skończy się prędko. Dziś w nocy wypędzimy Niemców z Orłowa.
- I nie pozwolimy im drugi raz tam wejść.
- Nie pozwolimy. Staraj się zasnąć - szepnął z ustami tuż nad jej czołem. - Noc może być trudna.

Była trudna. Ale i pomyślna zarazem - cudowna noc pierwszego zwycięstwa. Oddziały zgrupowania podpułkownika Szpunara uderzyły na piechotę niemiecką i wyparły ją z polskiego obszaru na pozycje wyjściowe wzdłuż granicy Wolnego Miasta. Zdobyto broń i sprzęt, liczono zabitych w mundurach policji gdańskiej. Ale byli także zabici i w mundurach zielonych.

Julitka z koleżanką odtransportowały do wozu żołnierza rannego w nogę i wróciły jeszcze raz na wzgórze w Kolibkach, w którym stał kościół. Stąd prowadzony był ostrzał ciągnącej się poniżej drogi do Sopot i toru kolejowego za nią, ostrzał, przeciwko któremu zwrócił się niemiecki odpór. Mogli tam być ranni, między grobami cmentarza za które się kryli, trzeba było ich pozbierać, zanim świt to uniemożliwi - wzgórze porośnięte było rzadkimi wysokimi drzewami, a tam gdzie się one kończyły, zaczynał się nagi obszar zielonej kotliny, ciągnącej się aż do morza i ukazującej jego powierzchnię, mroczną teraz, ale połyskującą w wysokim

blasku gwiazd. Za tą kotliną i małym wzgórzem przepływał potok, który był granicą. Stał przy nim domek polskiej Straży Granicznej, i Julitka, patrząc nań spod ściany kościoła, przypomniała sobie, że ojciec, ilekroć przejeżdżali tędy pociągiem, opowiadał zawsze, jak to przed piętnastu laty, gdy po raz pierwszy jechał do Gdyni, zobaczył przy tym domku polskiego żołnierza. Jechał do tej Gdyni przez całą Polskę, z południa na północ, i wszędzie spotykał takich samych żołnierzy, a jednak ku temu wychylił się przez okno, zaczął machać mu ręką, a wzruszenie ścisnęło mu gardło. Nie wiedział wtedy dlaczego, a i Julitka zrozumiała to dopiero teraz.

Ze zbocza, którym cmentarz schodził ku drodze, dobiegi cichy jęk. Julitka zmartwiała. Rozejrzała się za koleżanką, ale nigdzie nie mogła jej dostrzec. Może schowała się za węglem kościoła - zza toru padały pojedyncze strzały. Julitka przypadła do ziemi i z twarzą w darni jakiegoś grobu zawołała ją cicho. Koleżanka nie odezwała się, tylko głośnieżej zajęczał ranny. Julitka zawołała raz i drugi, ale zawsze odpowiadał jej tylko ten jęk. Poczuła zimny pot na całym ciele, odezwały się znowu, uciszone już od kilku godzin, boleści, mimo to zaczęła pełznąć w tym kierunku, skąd dochodził głos - tylko działanie mogło uwolnić ją od strachu, od pragnienia ucieczki. Biała ściana kościoła została już poza nią; odwracając ku niej głowę, myślała, że wisi na niej i świeci teraz w mroku nawy blaskiem wotów ów obraz Matki Boskiej Piaśnickiej, do którego babka Konkowa miała takie szczególne nabożeństwo. Kiedy babka ją zmuszała, żeby jej towarzyszyła podczas długich nabożeństw przed tym obrazem, z początku klęczała, ale potem, zmęczona tą pozycją, siadywała na piętach i rozglądała się bezmyślnie po kościele. Teraz przydałaby się jej bodaj jedna chwila prawdziwej modlitwy przed tym obrazem, miałaby ją dla tego żołnierza, który jęczał i wzywał pomocy, mogłaby mu ją zanieść razem z wiarą w ratunek. Ale wtedy gapiła się tylko bezmyślnie w szerniałe od starości malowidło, i była teraz sama między grobami, z tym jękiem tylko, który wciąż cichł i milkł na długie chwile, tak że traciła orientację, w którym powinna czołgać się kierunku.

Nad wschodnią stroną nieba ukazała się pierwsza różowość, drzewa zaczynały się już obrysowywać coraz wyraźniejszym konturem na jej tle. Od majątku Kolibki, od pierwszych zabudowań, dochodziły ciche odgłosy przemierzającego się wojska. Byli tam żołnierze, były samochody sanitarne, może Jerzyk był przy którymś z nich, ona była tutaj sama, koleżanka gdzieś przepadła, a ranny jęczał coraz ciszej. Umilkł w końcu, i już go więcej nie słyszała. Uniosła się nieco i na kolanach, penetrując wszystkie kotliny między grobami, zaczęła posuwać się w kierunku, skąd po raz ostatni doszedł do jej uszu jęk. Pomniki bieleły już w ostatniej ciemności uchodzącej nocy, drewniane krzyże nabierały srebrnego lśnienia od rosy, opadającej na ziemię przed świtem. Na wieży kościelnej odezwał się jakiś ptak. Znowu kilka strzałów posypało się zza toru. Julitka przypadła z powrotem do ziemi i poczuła nagle, że dotyka czołem nie chłodnej darni, ale czegoś, co było jeszcze żywe, ale już nieruchome, ciepłe, ale już stygnące.

Była to ręka w tak samo za krótkim jak przy bluzie Jerzyka rękawie, ale rękaw ten był z sukna, należał do żołnierza, tylko że żołnierza przy nim nie było. Julitka, czując, jak gromadzi się jej w gardle jakieś wysokie, psie wycie, uniosła się na klęczkach i spojrzała z góry na to miejsce między grobami, w którym leżała ręka. Nie, żołnierza przy niej nie było. Nie było! Ręka leżała sama pośród trawy, bielejąc swoją bladością na ciemnym tle uchodzącej z niej krwi.

Julitka pochyliła się i wciąż słysząc to wysokie, psie wycie w swoim gardle, dotknęła jej palcem. Krew jeszcze nie zakrzepła. Ten żołnierz, który jęczał, a potem przestał jęczeć, i już go nie słyszała, ten żołnierz musiał gdzieś być. Żył może jeszcze, może stracił tylko rękę, tylko rękę, ale jeszcze żył, i gdyby obandażować mu ranę, gdyby...

Czołgała się wzdłuż grobów, rozgarniając rękami trawę, obmacując nimi ziemię kawałek po kawałku, metr po metr, aż wreszcie znalazła. Uderzyła dłońmi w kałużę krwi, która wyciekła z tej strasznej rany. Leżał tutaj, rzucony na wznak, jak bezwładna kukła, którą poruszał ktoś przedtem i nagle przestał nią poruszać, gdy sprzykrzyła mu się ta zabawa. Oczy miał otwarte, zapatrzone w coraz bardziej jaśniejące niebo. Pochyliła się nad nimi - zrozumiała, że jej nie widzą. Uniosła się i stała, choć zza toru znowu zaczęli strzelać, i trzeba było paść na ziemię, całą tutaj moką od krwi.

• - Padnij! - krzyknęła koleżanka, która nagle skądś się znalazła i czołgała się w jej kierunku.

Nie ruszyła się, nie schyliła się nawet.

- Padnij! - wołała koleżanka, i dopiero teraz usłyszała ten głos, którego Julitka wciąż nie mogła opanować: jękliwe, wysokie wycie psa. - Co ci jest? - przeraziła się. - Jesteś ranna?

Julitka nie odpowiedziała, a gdy tamta wreszcie jej dopadła, wskazała tylko ręką leżącego w trawie żołnierza. Koleżanka, nieco starsza od niej, bo już w beżowej bluzie pewiaczki, pochyliła się nad nim. I zaraz odwróciła głowę.

- Nie żyje - szepnęła. I dodała ostro: - Przestań krzyczeć! Cóż to za histerie?

Ujęła ją za ramię i zaczęła sprowadzać ze wzgórza. Sama dygotała jak w febrze.

Odwieźli rannych do szpitala, gdzie Julitka daremnie zaczęła się rozglądać za zakonnicą, która przed południem chciała jej dać jakichś kropli. Nie było jej, a te siostry, które przyjmowały teraz rannych, kazały jej tylko umyć z krwi ręce.

- Odmeldowujemy się - powiedział Jerzyk. Znowu znalazł się przy niej, i wyraźnie go to uszczęśliwiało.

- Odmeldowujemy się, i odprowadzam cię do domu.

- Och, jak to dobrze! - szepnęła. - Tak, odprowadź mnie. Bardzo chcę być już w domu.

Długo milczał. Myślała, że on nie powie, ale jednak powiedział:

- Ja także. Ale Niemców nie ma już w Orłowie! -- zawołał zaraz, unosząc wysoko głowę.

Zobaczyła opaloną szyję chłopca w rozpiętym kołnierzu za ciasnej bluzy, i zachciało jej się nagle przytulić do niej

czoło i usłyszeć z bliska ten głos radosny i pełen nadziei, który wreszcie zagłuszył w niej wysokie, psie wycie, wciąż jeszcze drżące w jej gardle.

Musieli jeszcze pojechać na ulicę Zgoda, żeby się odmeldować, i tam, w pierwszej jasności nadchodzącego dnia, zobaczyła ojca, stojącego w grupie mężczyzn. Miał na sobie mundur, wyjmowany ze skrzyni na strychu tylko na ćwiczenia, i wysokie buty, których nie zdążył wyczyścić, cholewy ich były matowe, nie tknięte pastą. Stał z Sewerynem Turkiem, co ją nie wiadomo dlaczego ucieszyło, i jeszcze z jakimś niemłodym już podporucznikiem w równie nieeleganckim mundurze.

- Tatusiu! - zawołała. Przecisnęła się do niego, chciała mu się rzucić na szyję, ale wydało jej się to nagle jakieś za bardzo ckliwe i dziecinne. - Idę już do domu - powiedziała tylko.

- Nareszcie! - Ojciec jednak ją objął i pocałował. - Jak ty wyglądasz, moje dziecko? - zapytał cicho. - Boże! Mama od zmysłów odchodzi.

- Wyparliśmy Niemców z Orłowa- oznajmiła z dumą.

- Wiedziałaś już o tym?

- Wszyscy o tym mówią. Ale prawdziwa wojna z nimi dopiero się zacznie. U pułkownika Dąbka są ludzie, którzy zorganizują całe społeczeństwo miasta, jest Rysiek i Michalewski, powstają oddziały robotnicze i komitet obywatelski. Nie ma wprawdzie tyle broni, ale w magazynach portowych znaleziono kosy, które także się przydadzą. Och, Seweryn!

- zwrócił się teraz do Turka. - Tak się bałem rozłamu!

Tego, że ludzie będą pamiętali krzywdy, tylko krzywdy w tej tragicznej chwili, w której powinniśmy być wszyscy razem, a jest zupełnie inaczej.

- Pamiętają je - powiedział Seweryn. - Tego się nie zapomina. Ale ojczyzna jest ojczyzną niezależnie od tego, kto i jak nią rządzi.

- To cała pociecha w tym nieszczęściu - rzekł Krzysztof. - Cała pociecha. - I zwrócił znowu oczy ku córce. Wydawało mu się, że od początku chce go o coś zapytać, że od pierwszej chwili, kiedy go tu zobaczyła, chce to wiedzieć.

- I ja się zgłosiłem - powiedział, uśmiechając się do niej z wysiłkiem, ale miał nadzieję, że ona tego nie zauważy. Ona jednak miała już za sobą cały dzień i całą noc wojny, przeżyła i widziała tyle, że nie można jej było już oszukać. Wiedziała, ile musi kosztować człowieka poczucie obowiązku i co się dzieje z tą chełpliwą odwagą, którą chciałoby się obnosić nie tylko przed ludźmi, ale - i może przede wszystkim - przed samym sobą. Wiedziała, jak maleje, kurczy się i znika, jak się zmienia w zimny pot na całym ciele, w ból brzucha ze zwyczajnego, obrzydliwego uczucia strachu, w rodzące się w gardle wysokie, nieposkromione wycie. Wiedziała już to wszystko i patrzyła na ojca jakby skądś z daleka, i litowała się nad nim, i bała się o niego: on miał to jeszcze przed sobą.

- Powiedz mamie - mówił tymczasem Krzysztof - że jestem oficerem łącznikowym przy samym pułkowniku Dąbku. Otrzymałem tę funkcję razem z panem Kąkolem

- dotknął ramienia wciąż milczącego podporucznika

- obydwaj dobrze znamy teren, pan Kąkol tu się urodził,

a mnie wystarczyło piętnastu lat, żeby poznać tu każdy kąt. Więc się przydamy pułkownikowi, prawda, panie Leonie?

- Podporucznik skinął tylko głową. Julitka popatrzyła na niego uważnym spojrzeniem, które nauczyło się już patrzeć na ludzi i naprawdę ich widzieć. Nie nadrabiał tak miną jak ojciec. Miał w twarzy posępną determinację, która doprowadziła go w to miejsce o świcie drugiego dnia wojny. On wie, myślała. On wie, co to jest, co to znaczy. On nie czytał tylko o tym w książkach. Ma tyle lat, że chyba zdążył być i na poprzedniej wojnie. Może pod Verdun... Uczyli się o tym w szkole.

- Aha! - powiedział ojciec, znowu całując ją w czoło.

- I powiedz jeszcze mamie... pamiętaj, to bardzo ważne! że pan Kąkol ma także rodzinę. I większą niż nasza. Siedmioro dzieci. A jeszcze ósme ma się urodzić.

- Ósme ma się jeszcze urodzić - powtórzyła Juhtka.

Nie mówiło się z nią dotąd o takich sprawach. Teraz to było zupełnie naturalne.

- Tak - potwierdził ojciec. - A zgłosił się także jako ochotnik. I nikt go nie zatrzymywał. Pamiętaj, powiedz o tym mamie.

Milczący podporucznik i teraz się nie odezwał, patrzył tylko przed siebie. Julitka była pewna, że nie widzi nikogo.

- Dobrze, powiem mamie - powiedziała cicho. Wspięła się na palce, pocałowała ojca w policzek. - Uważaj na siebie - szepnęła. - To nie jest takie... nie jest takie, jak sobie wyobrażaliśmy.

Krzysztof dopiero teraz pozwolił sobie na prawdziwy wyraz twarzy i prawdziwy ton głosu. Spuścił głowę.

- Wiem.

Nie wiesz, nie wiesz, myślała Julitka. Tego nikt nie wie, zanim sam... zanim sam... Nie, tego nie zamierzała OJCU powiedzieć. Wiedziała, że tego mu powiedzieć nie wolno.

Czuła się przy nim starym żołnierzem. Miała za sobą cały dzień i całą noc wojny.

XX

Wołodia pisał wciąż ten list.

Jego początek - nie wysłany - zostawił w domu na stole.

Gdyby zaadresował kopertę albo dał adres ojca Bednarskim, na pewno by go wysłali, ale nie zrobił tego, i list leżał wciąż na stole w domu (jeśli był tam jeszcze ten dom i ten stół), a on pisał jego dalszy ciąg, wciąż pisał jego dalszy ciąg, bez pióra i choćby skrawka papieru, pisał go myślami, które musiał do kogoś zwracać, których sam nie mógł znieść.

"Drogi Ojczy! Zaraz wstanie świt trzeciego września, samoloty dopiero co odleciały, ale pewnie zaraz nadlecą.

Tak było przez całą noc, tak było wczoraj i przedwczoraj.

W każdej wojnie czekało się na osłonę nocy, weź do ręki którąkolwiek z wojennych książek, a przekonasz się, ile razy pisze się tam o tym z nadzieją, ulgą i wytchnieniem - w tej wojnie nic takiego nie istnieje. Widzą nas, ramię naszego półwyspu, jak na powiększonej mapie - nie wiem, czy istniał w historii wojen cel bardziej dogodny - i walą w nas jak w tarczę, schodzą tak nisko, że nie myśląc nawet o bombach, chce się schylić odruchowo głowę, żeby nie zawadziły o nią skrzydłami samolotów. Strzelamy do nich, odpędzamy je, nie udało im się dotąd ani jedno trafienie

w okręt, ale i my nie możemy się pochwalić żadnym sukcesem: brak nam amunicji przeciwpancernej, a niektóre ich samoloty mają kadłuby wzmocnione i pociski odbijają się od nich. Możesz sobie wyobrazić, co się dzieje z nami w takich chwilach. Uczucie bezradnej bezsilności równa się pragnieniu śmierci. Chce się naprawdę umrzeć, zaraz, natychmiast, skoro nie możemy im nic zrobić, kiedy rzucają się na nas jak jastrzębie...

Znowu są. Ojcie, już znowu są... już ich słyszać. Wciąż nie mogę ci opowiedzieć o tym najgorszym, muszę zerwać się z koi i biec do dział, stać przy nich i przy chłopcach, i być gotowym zastąpić każdego z nich, gdyby... I sędzę, że każdy z nich mógłby zastąpić mnie - w takich chwilach nie liczą się..."

I było znowu tak, jak podczas poprzednich nalotów: mieli ich nad sobą i nie mogli im nic zrobić, straszili ich tylko, a może nawet i nie straszili, może ci w górze wiedzieli, że oni nie mogą im nic zrobić - wiedzieli przecież wszystko, wiedzieli, gdzie, w którym słabym miejscu położyć ciężką łapę swojej druzgocącej przewagi. Ale jednak nie udawało im się trafić Gryfa. Przepędzali ich. Zasłona nocy chyba jednak także miała jakieś znaczenie, i trzeba by dopiero słonecznego światła, żeby niemieckie jastrzębie mogły powtórzyć swój sukces z poprzedniego dnia, gdy pod Jastamią udało im się zbombardować i zatopić dwa przemienione na transportowce i załadowane ludźmi statki żeglugi przybrzeżnej, Gdynię i Gdańsk, a potem wystrzelać w wodzie z broni maszynowej prawie wszystkich rozbitków. Może jednak zasłona nocy przytępiała jastrzębiom wzrok, i Wołodia niesłusznie twierdził, że w tej wojnie nie ma ona żadnego znaczenia.

Ogłuszony kilkuminutowym nalotem, strzelaniem artylerii okrętowej i detonacją bomb - na szczęście trafiających tylko w wodę - zawlókł się do swojej kabiny i rzucił się na koję. Dziwił się, że nie chce mu się spać. W przerwach między nalotami, w tej śmiertelnej ciszy, gdy się wciąż nadśluchiwało, czy nie nadlatują następne bombowce, mógł przecież zdrzemnąć się na chwilę. Ale sen nie przychodził. Wołodia nie spał już trzecią noc - bo tej nocy w domu też nie można było uważać za przespaną - a nie czuł senności, nawet bał się, że już nie uda mu się zasnąć nigdy w życiu.

Wojna trwała dopiero dwa dni, a jego okręt stracił już dowódcę, ster i wszystkie miny, które miały wysadzać w powietrze nieprzyjacielskie okręty, żeby nie mogły wejść na wody zatoki - leżały teraz zabezpieczone na dnie morza, leżały na dnie morza, nie zdołali zaminować nimi zatoki, musieli wrzucić je do wody, gdyż stanowiły zbyt wielkie niebezpieczeństwo dla okrętu...

Okręt nie miał już dowódcy, steru, min, wojna trwała dopiero dwa dni, a okręt nie był już okrętem; uwięziony w doku po zadanych mu uszkodzeniach był już tylko bateria broniąca półwyspu.

Wołodia znowu pisał ten list, bez skrawka papieru, bez ołówka, samymi tylko myślami, które rozsadzały mu czaszkę, które musiał komuś przekazać...

"Wciąż nie wiesz najgorszego, wciąż tego nie wiesz, ponieważ i ja nie zdołałem jeszcze przyjąć tego do wiadomo-

ści, ponieważ ja sam jeszcze w pełni tego nie wiem. Po pierwszym nalocie na port w Gdyni wyszliśmy z Oksywia i w Jamie Kuźnickiej pobraliśmy z barek uzupełniający zapas min. Nie mogę sobie teraz uzmysłwić, jaka była nasza pierwsza reakcja na to, co się dokonało w ciągu tych kilkunastu minut, nie pamiętam, czy sobie od razu w pełni uświadomiliśmy, że jest wojna, i co ona znaczy - dla kraju, dla tego skrawka ziemi i morza, których mieliśmy bronić, dla okrętów pozostawionych w zatoce i dla nas na tych okrętach, dla wszystkich razem i każdego z osobna. Działaliśmy jak automaty, dzięki wdrożonym nam nawykom, bez myślenia. Gryf wyszedł z portu tak pięknie, jakby udawał się nie na swoje pierwsze wojenne zadanie, ale na morską paradę - nie pominięto w pośpiechu nic z obowiązującego na okrętach rytuału komend i ich powtórzeń, gwizdków i sygnałów, wykonywano wszystkie czynności nakazane przez Regulamin Służby Okrętowej, sygnalizowano zwroty i zmiany szybkości, załoga była na swoich miejscach, spokojna i wierząca w okręt, w jego mechanizmy i broń.

Myślałem wtedy tylko o tym: że zdążyłem! że zdążyłem na okręt przed rzuceniem cum. Stefan - komandor Kwiatkowski - zezwolił nocować tej nocy na lądzie tylko oficerom mieszkającym na Oksywiu, ale po kilku minutach wezwał mnie do siebie i trochę podniesionym głosem, którym zawsze starał się przeciwdziałać wrażeniu, że wzruszając go można z nim zrobić, co się zechce, tym podniesionym głosem powiedział: »Mój drogi, niech cię diabli wezmą! Nie mogę patrzeć na twoją skwaszoną gębę! Jedź ty do domu i prześpij się, jeśli masz z kim, ale wracaj na czas. A gdy się będzie zanosilo na następną wojnę, bardzo cię proszę, wynajmij sobie pokój jednak na Oksywiu, a nie w Gdyni«. . Tak powiedział. Nie zapamiętałem wtedy tych słów, najważniejszy był dla mnie ich sens, ale wspominam je teraz z tą szczególną, czułą dokładnością, jaką pamięć przydaje wydarzeniom i słowom ostatnim. Bo następny dzień nie dał już nam okazji do rozmowy - nie jest przecież rozmową wydawanie i odbieranie rozkazów, w dodatku kiedy padają bomby.

Zanim jednak te pierwsze bomby spadły, cieszyłem się, że jestem na okręcie, że zdążyłem wrócić i jestem na swoim miejscu. I byłem tam przez cały czas podczas wszystkich nalotów, które zaczęły nękać okręt, gdy tylko uniosła się ranna mgła. Przeszliśmy spod Jastarni w pobliże Kępy Oksywskiej, żeby być pod osłoną stojącej tam baterii, a razem z nami przeszedł w to miejsce także wspierający nas dywizjon »ptaszków«, z których Ty zdołałeś zapamiętać tylko Rybitwę, bo na niej pływał Twój syn. Wciąż jeszcze nie wiesz najgorszego, ale i ja jeszcze w pełni tego nie wiem, nie zdołałem sobie jeszcze tego uświadomić.

Po południu spotkała się na redzie gdyńskiej cała nasza flota, nie odesłana do Anglii, pozostawiona w zatoce. Po omówieniu najbliższego zadania, jakim miało być nocne postawienie zagrody minowej na południe od Helu, obraliśmy ten kurs, i gdy zbliżaliśmy się już do portu, właśnie wtedy się to stało.

Zaczął się nalot, najsilniejszy z tych, które udało nam się już przeżyć - nie wiem, jak długo trwał, zaczął się około szóstej. Mieliśmy na torach minowych trzysta min, wciąż myślałem, że ci w górze o tym wiedzą, wciąż myślałem, że wiedzą wszystko, także i to, że dopiero teraz mamy kłaść zaporę minową, i postanowili nam to uniemożliwić, bo biją wciąż w Gryfa. Ale cały zespół nas otoczył, wszystkie »ptaszki«, i Wicher, który sam jeden z naszych niszczycieli decyzją Dowództwa Floty pozostał w zatoce. Obrona była skuteczna, nie trafili nas, nie widzieli, żebyśmy wylatywali w powietrze, wysadzeni naszymi własnymi minami, ale kiedy nam się zdawało, że już ich przepędzamy, kiedy na naszym i na wszystkich innych okrętach zaczęła rodzić się nadzieja, któraś z bomb wybuchła tuż przy burcie Gryfa, i wystarczyła jedna chwila, słyszysz? wystarczyła jedna chwila, żeby w pierwszym dniu wojny największy okręt zespołu nie miał już dowódcy i steru, a w jakiś czas potem i min, wystarczyła jedna chwila, żeby - mając możliwość manewrowania jedynie za pomocą motorów - przestał w zasadzie być okrętem. Odłamki bomby, a miała ona najprawdopodobniej pół tony, zniszczyły pomost nawigacyjny okrętu i część pokładu, zabiły dowódcę, kilka osób z załogi i pokotem położyły rannych. To samo spotkało Mewę. Tylko kilku marynarzy ocalało i nie odniosło ran, wprowadzili oni Mewę do portu z tak samo potrząskanym i zboczonym krwią pokładem jak nasz. Stoi teraz niedaleko doku, który sprowadzono tu z Gdyni w sierpniu i w którym dałoby się prawdopodobnie usunąć uszkodzenia Gryfa, gdyby nie to, że wyniesiony z wody stanowił zbyt widoczny cel. Dok trzeba było zatopić, i jesteśmy w nim uwięzieni. Oprócz nas stoją w porcie dwie kanonierki i Wicher, który już także przestał być okrętem. Wygaszono na nim kotły, i jest już tylko baterią obrony półwyspu.

Jeśli będę żył, może zdołam kiedyś bez żalu i gniewu pogodzić się z myślą, że zostawiono nas tutaj. Może zdołam przyjąć ją w pokorze. Wszyscy dowódcy świata musieli prawdopodobnie zawsze decydować się na takie ofiary, i nie przychodziło im to chyba łatwo. Ale co innego wyznaczać kogoś na ofiarę, a co innego nią być, w każdym razie to na pewno nie jest to samo, chociaż nie wiem, czy wolałbym być dowódcą, który musi podjąć taką decyzję, bo czasem mi się zdaje - i nie myśl, że się zgrywam, przejmując ton tych wszystkich zasmarkanych książek o wojnie, których autorzy tak lubią opisywać śmierć - czasem naprawdę mi się zdaje, że rozumiem, dlaczego nas tu pozostawiono, i godzę się z tym, i przyjmuję to jako konieczność, żebyśmy się tu bronili do ostatka..."

Dzwonek alarmowy poderwał Wołodię z koi.

- Panie kapitanie! - zawołano i prawie równocześnie jakaś pięść załomotała w drzwi i czyjeś spieszne kroki pognały dalej korytarzem.

Natychmiast wybiegł na pokład. Zdziwiła go cisza w powietrzu - nie było słychać samolotów, niebo było czyste i, jak podczas wszystkich tych ostatnich dni, okrutnie pogodne, bez jednej chmurki, bez najmniejszego zamglenia. Wstał rano trzeciego września, trzeciego dnia wojny.

- Niech pan patrzy! - wołał gorączkowo marynarz-obserwator. - Panie kapitanie, niech pan patrzy!

Wbiegł do wieży bojowej, nastawił ostrość dalmierza stosownie do swego wzroku i zobaczył na błękitnej powierzchni zatoki sylwetki dwóch idących kursem na Hel okrętów;

- Są! - powtarzał gorączkowo dalmierzysta. - Są!

Kapitan Jazowiecki założył hełm bojowy. Drżały mu ręce, ale głos miał spokojny:

- Azymut sto osiemdziesiąt stopni! Cel okręt pierwszy! Mierzyć odległość!

Kiedy stał tu na wieży, żadna z myśli, które nękały, go przedtem, nie miała już do niego dostępu. Wszystko było jasne i oczywiste, w jedyny sposób celowe: dowodził artylerią okrętu, był tu po to, aby jego salwy nakryły wroga. Nic więc się nie liczyło. Spokój jego głosu powinien udzielać się załodze - byli jakby jednym ciałem, on tu na wieży, oni przy działach.

Wydawało mu się, że mówi spokojnie, ale jednak krzyknął:

- Granat półpancerny! Kurs celu pięćdziesiąt stopni! Szybkość...

Jeszcze nie skończył wydawania komend do otwarcia ognia, gdy pierwsze pociski okrętów niemieckich zaczęły padać tuż przed basenami portu.

Mieli za sobą dwa dni i dwie noce ataków lotniczych, z atakiem okrętów spotykali się po raz pierwszy. Nieraz myślał o tym, jak w takiej sytuacji zachowają się marynarze, i oto poprzez huk rozrywających się pocisków usłyszał meldunek o gotowości dział do strzelania, a w chwilę potem centrala artyleryjska zameldowała wypracowanie danych do otwarcia ognia i przekazania ich do dział. Głosy chłopców były opanowane, żadnemu nie zadrżał nawet głos, płynął stamtąd spokój, byli naprawdę jednym ciałem, on tu na wieży, oni przy swoich mechanizmach i działach, byli jednym ciałem, jedną siłą, jednym pragnieniem.

Przywarł do lornety, prawie się w nią wcisnął.

- Pal! - zawołał.

Zobaczył, że Wicher zwraca swoje działa w tym samym kierunku, i zanim padła pierwsza salwa Gryfa, usłyszał działa Wichra, które włączyły się do walki. Potężny słup wody zakrył na chwilę okręt nieprzyjaciela - ta pierwsza salwa Gryfa upadła tuż przed celem.

Wołodia poczuł skurcz w gardle. Spokój! pomyślał. Oni tam są! Widzę ich dokładnie. Muszę ich dosięgnąć! Po to przeżyłem całe życie, żeby ich teraz dosięgnąć! Żeby nie udało im się bezkarnie ostrzelać polskich pozycji! Żeby nie odeszli stąd zwycięzcami!

- Więcej czterysta! - poprawił odległość strzelania.

I wydał nową komendę: - Pal!

Czekał w napięciu na upadek swojej salwy, ale zanim mu sekundmierzysta o tym zameldował, zobaczył, jak Wicher nakrywa swoją salwą drugi w szyku okręt. Kapitana Jazowieckiego ogarnęła obezwładniająca radość. Tym szarym, ciężkim cielskom niszczycieli nie ujdzie więc bezkarnie wypad ku polskim brzegom. Przy działach na Wicherze i na Gryfie, przy lornetach i dalmierzach, mimo trwającego przez całą noc alarmu, panuje spokój i opanowanie.

- Upadek! - zameldował sekundomierzysta.
- Nakrycie! - zabrzmiał prawie równocześnie triumfalny okrzyk dalmierzystów.
Ale kapitan sam już to zaobserwował, sam już to widział.
I jego artyleria nakryła swoimi pociskami okręt wroga!
Zaśmiał się sam do siebie, zaszeptał coś - może się modlił,
po raz pierwszy od wielu lat modlił się dziękczynnie.
Oprzytomniał jednak natychmiast.

- Ogień ciągły salwami! - zawołał. ;
Nowy bliski grzmot wstrząsnął powietrzem - to znowu strzelał Wicher, a zaraz po nim włączyła się do walki bateria cypłowa. Widzieli upadki jej pocisków w pobliżu pierwszego okrętu wroga. Niszczyciele niemieckie były w ruchu, nie tkwiły w miejscu jak oni, dawało im to możliwość manewru, stwarzało ogromną przewagę. Wołodia odczuwał tę przewagę jak policzek, jak zniewagę - stali tu wystawieni na cel, nie mogąc ani zbliżyć się do atakowanych okrętów, ani ujść przed ich atakiem. Tkwili tu, a tamci wiedzieli, albo właśnie chcieli dowiedzieć się o tym, że nie mogą ruszyć się z miejsca. Mimo to uzyskali jednak nakrycie, tak samo jak Wicher i bateria cypłowa, i prowadzili ogień ciągły, nie myśląc o tym, nie wiedząc i nie czując tego, że i tamci mają nakrycie, że władowali już w okręt kilka pocisków, że jęczą już na nim ranni, że krew pokrywa pokład, że palą się domy osady, wala się betonowe umocnienia portu, a okaleczona już pierwszego dnia wojny Mewa, broniąca ich do ostatka swych sił Mewa idzie na dno. Nie widzieli tego. Wszyscy byli na swoich miejscach. Artylerzyści w rozpaczliwym skupieniu wykonywali wciąż powtarzające się komendy:

- Ogień ciągły salwami! Ogień ciągły!
I zobaczyli wreszcie, że Niemcy nie wytrzymują ich siły ognia. Jeden z niszczycieli zaczął się szybko oddalać, kładąc zasłonę dymną, ale zdążyli jeszcze zaobserwować, że na drugim wybuchł pożar, że okręt traci szybkość i w końcu, unieruchomiony, przechyliła się na burtę.
Przez pokład Gryfa przeszedł dobyty ze wszystkich piersi okrzyk radości i triumfu.

Wołodia wydał komendę: - Stój! Przestań strzelać
- i poczuł się nagle w czyichś ramionach, całowała go jakaś szczeciniasta gęba, sam kogoś ścisnął, sam całował takie kłujące trzydniowym zarostem twarze.

Na dziobie i rufie okrętu wzbijał się w powietrze ogromny-
mi słupami ognia nie ugaszony jeszcze pożar. Jęczeli ranni.
ktoś wołał, że jest dwóch zabitych - a oni nie mogli pohamować radości z odniesionego zwycięstwa- Jak potrzebna była im ta chwila, ile dodała im sił!

- Nie mamy samolotów - mówili marynarze -ale na morzu byśmy im pokazali!

Kiedy zasłona dymna się podniosła, zobaczyli, że jeden z niszczycieli uchodzi z dużą szybkością w kierunku Pilawy, a drugi naprawdę tkwi w miejscu z mocnym przechyłem na lewą burtę.

- Panie kapitanie! - zawołał marynarze. - Dokończmy go! Prędeż! Dokończymy go!

- Czym? - spytał gorzko.

Zrozumieli. Umilkli.

Niszczyciel był poza zasięgiem dział ich okrętu, a także

poza zasięgiem dział Wichra i baterii cyplowej, która też nie mogła posłać go na dno. Gdyby mieć monitory, których nie chcieli nam dać Anglicy! myślał Wołodia. Mocny Boże, kaliber trzysta osiemdziesiąt jeden milimetrów! Leżałby już na dnie ten Leberecht Maass, i sam Hitler by mu nie pomógł. Ale nie mieli ani jednego działu, którego ogniem mogliby go dosięgnąć. Pozostawiono ich tu, żeby świat się dowiedział, że się bronią, i to miało wystarczyć, po co jeszcze tracić dodatkowo angielski sprzęt w ciasnej balii Bałtyku! Stali wciąż przy działach i widzieli, jak w kilku miejscach pali się osada rybacka. Większość pocisków niemieckich trafiała w domy poza portem. Ludzie kryli się w ziemiankach w lesie, może nawet nie wiedzieli, że ich domostwa płoną. Kilku chłopców na okręcie było właśnie z Helu. Jeden należał do obsługi enkaemu, Wołodia zbliżył się do niego.

- Dampc - powiedział cicho - mój chłopcze, może w nocy się trochę uspokoi i będziesz mógł wyjść na ląd i przekonać się, że nie trafili w twój dom. A my trafiliśmy w ich okręt i będziemy trafiać, za każdym razem, kiedy się z nimi spotkamy. Niech no tylko naprawią nam ster i uwolnią z tego pudła.

- Panie kapitanie - zaszlochał prawie chłopak - ale to w tej stronie.

- Nie myśl teraz o tym, że to w tej stronie. Myśl o tym, że kiedy się ściemni, matka wyjdzie ze schronu, wróci do domu i ugotuje dobrą zupę, bo będzie miała przeczucie, że przyjdiesz, matki to zawsze dobrze wiedzą. Myśl tylko o tym.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Nie mów: tak jest. Nie wydaję teraz rozkazów, których musisz słuchać. Jesteśmy obydwa tylko żołnierzami, którzy bronią swego okrętu, takimi samymi żołnierzami. I powiesz o tym, co robimy, matce, powiesz jej, że przepędziłeś swoim enkaemem samoloty znad swego okrętu i znad jej domu.

- Powiem jej tak, panie kapitanie.

- Więc myśl tylko o tym. Tylko o tym. - Wołodia chciał już odejść, ale zatrzymał się jeszcze na chwilę. - Wiesz - powiedział, patrząc na rozbity pomost nawigacyjny, na rozrzucony na pokładzie sprzęt, a także na ślady krwi, których usunąć nie było czasu - zgrzeszyłem niedawno przeciwko naszemu okrętowi. Powiedziałem, że nie można kochać żelaza, że tylko trzeba umieć się nim posługiwać. To nieprawda, Dampc, przekonałem się o tym dopiero dzisiaj. To nie jest, to nigdy nie był dobry okręt, jest to może nawet najgorszy z okrętów, jakie zakupiła polska marynarka, ma przedziwną sylwetkę i za małą szybkość, a także za słabą, choć nowoczesną artylerię, ale jest to nasz okręt, i nie wydaje mi się to już teraz frazesem z pogadanek dla marynarzy. Boli mnie każda jego rana, i pragnąłbym skoczyć do gardła tym, którzy mu je zadali.

- Tak jest, panie kapitanie - szepnął Dampc.

Nastała chwila ciszy, na morzu nie było widać żadnej jednostki, a także i niebo pozostawało czyste, okrutnie błękitne, straszliwie i bezwzględnie pogodne.

Wołodia wrócił do swojej kabiny. Zastał w niej Grzesia, marynarza z mesy oficerskiej, który przyniósł mu kubek kawy, kawałek chleba i zimną konserwę. Przysiadł na brzegu

koi, choć nigdy nie zrobiłby tego przedtem w jego obecności, i czekał, aż zje, żeby zabrać naczynie. Patrzył ponuro na kapitana.

- Teraz przyjdą samoloty - powiedział. - Nie udało im się zbić nas z morza, to się teraz zemszczą.

- Przestań - mruknął Wołodia łagodnie.

Sam to dobrze wiedział. Niepowodzenie akcji niszczycieli musi sprowadzić lotniczy odwet. Nie należało jednak o tym mówić, żeby nie wzbudzić paniki na okręcie. Ale załoga i tak domyślała się tego, podczas wojny szybko zdobywa się doświadczenie.

- Nie może być inaczej, panie kapitanie - ciągnął dalej Grześ. Był to niepozorny chłopaczek, przez pomyłkę chyba przyjęty do marynarki. Wołodia po raz pierwszy widział go tak dokładnie. Od roku już odbywał służbę na Gryfie, ale nigdy mu się jeszcze dobrze nie przyjrzał. Teraz widział, że chłopak ma niebieskie oczy, wysuniętą nieco do przodu górną wargę i zupełnie infantylny podbródek. Ten podbródek mu teraz drżał, jakby od usilnie powstrzymywanego płaczu. Oczy były przekrwione, zupełnie małe w opuchniętych od niewyspania powiekach, a usta spękane do krwi. Tak samo wyglądał ja, myślał Wołodia, mam przekrwione oczy, spierzchnięte wargi, tylko może ten podbródek nie drży mi tak wyraźnie - wszyscy mamy teraz jednakowe twarze, upodobniła je do siebie bezsenność, rozpacz i strach. Ale nim nastąpił nalot, przyszła dobra wiadomość, najlepsza z najlepszych! Podało ją Dowództwo Floty: O godzinie jedenastej Anglia i Francja wypowiedziały Niemcom wojnę! Nie byli już w tej walce sami, nie byli już flotą małego kraju, wydanego na zagładę hordzie nowocześnie uzbrojonych barbarzyńców - mieli potężnych sprzymierzeńców, którzy mogli ich wesprzeć na morzu, a także i na ziemi, jeśli stworzą na tyłach wroga drugi front.

I znowu rzucali się sobie w objęcia, znowu szczeciniaste gęby kłuły się wzajemnie od trzech dni nie golonym zarostem, znowu w oczach pokazały się łzy, i nikt się ich nie wstydził. Załogi Gryfa i Wichra oblepiły burty swoich okrętów, krzyczano do siebie, wiwatowano, podrzucano w górę czapki. Ze schronu Dowództwa Floty biegli oficerowie, krzyczeli jak w przystępie szału. Spełniła się wreszcie wyczekiwana w największym niepokoju nadzieja.

Nadszedł więc dzień inny niż dwa poprzednie, w których zaznali tylko gorzkiego smaku klęski.

Kapitana Włodzimierza Jazowieckiego wezwał dowódca.

Od pierwszego dnia wojny, kiedy zginął komandor Kwiatkowski, był on trzecim dowódcą okrętu - poprzednicy jego tylko po kilka godzin pełnili tę funkcję. Nie wszedł jeszcze w swoją rolę, nie przestał być jednym z oficerów i jednym z kolegów, zbyt niespodziewanie spadła na niego ta zbyt wielka odpowiedzialność. Objał Wołodię. Milczeli przez długą chwilę.

- Chciałem ci podziękować za celny ogień i za skuteczne odparcie ataku - powiedział cicho. - I przekaz moje uznanie wszystkim artylerzystom. Gdyby nie bolesne straty, które ponieśliśmy, byłby to piękny dzień.

- Tak - powiedział Wołodia - bardzo piękny! Ale mówmy tylko o tym, co będzie.

- Będzie dobrze! - ożywił się komandor. - Niemcy będą musieli teraz część sił odesłać na zachód. Anglia i Francja bądź co bądź to potęgi morskie.

- Potęgi! - powtórzył Wołodia. Przypomniały mu się lata spędzone we Francji w szkole artylerii morskiej, zobaczył przed sobą twarze przyjaciół i kolegów stamtąd. Może byli już na pokładach swoich okrętów, może śpieszyli już z pomocą... - Potęgi! - powiedział jeszcze raz z zaśpiewem rozmarzenia w głosie.

- Jestem pewny, że Niemcy od razu przyhamują. Nie spodziewali się chyba, że Anglia i Francja się ruszą, i to tak prędko. Wyobrażam sobie tę konsternację.

- Ja także! - Wołodia parsknął cichym śmiechem. Serce ogrzewała mu nadzieja. Płynęły już ku nim te wspaniałe okręty, przybywała na odsiecz cała potęga obydwu flot sprzymierzonych.

- Napijesz się czegoś? - spytał dowódca.

- Chętnie.

- Ale jest tylko herbata.

- W takiej chwili wystarczy mi herbata.

Herbatę przyniósł Grześ. Gdy postawił szklanki na stole, kapitan trzepnął go w plecy.

- No co? Nie masz już takich złych myśli?

Chłopak wyprostował się, stuknął obcasami. Ale się nie uśmiechnął.

- Melduję posłusznie, że mam, panie kapitanie - odparł, wciąż zasępiiony. - Zobaczy pan, zaraz nadlecą samoloty.

- Ale może to będą angielskie, albo francuskie?

Chłopcu dopiero teraz poweselały oczy.

- Żeby tak było! -- westchnął, i podbródek przestał mu na chwilę drżeć.

Nadleciały zaraz po południu, i nie były angielskie ani francuskie, miały czarne krzyże na skrzydłach, jak te, które widywali nad sobą dotąd. Trwało to wszystko bardzo krótko. Wciąż strzelali z całej broni przeciwlotniczej, i choć jedna z bomb trafiła śródokręcie, okręt trzymał się na wodzie, świetnie trzymał się na wodzie, ale nagle zachwiał się, rozstał się jakby na dwie części, i do wnętrza zaczęła się wdzierać woda. Dopiero po chwili zobaczyli izrozumieli, że to uszkodzona bombami ściana doku przewróciła się na okręt, rozdarła szwy burty.

- Ogień! - krzyknął nagle ktoś. - Pali się!

Ze środka okrętu buchnęły płomienie, musiały się zapalić zbiorniki ropy, a okręt miał jeszcze na pokładzie pewną ilość min.

Załogę ogarnęła panika.

- Na ląd! - wołano. - Na nabrzeże!

- Spokój! - krzyknął Wołodia. - Będziemy zdejmowali działa!

Patrzyli na niego jak na obłąkanego, cisnęli się do burty, usuwali go z drogi. Pożar rozprzestrzeniał się coraz szerzej, i nie mogła go ugasić wdzierająca się do wnętrza okrętu woda.

- Zdejmujemy działa! - powtórzył zdesperowanym głosem. - Przydadzą się na lądzie. Nie możemy pozwolić, żeby zatoneły.

Przyskoczył do niego któryś z oficerów.

- Oszalałeś? Wygubisz ludzi i sam zginiesz. To, co chcesz zrobić, jest niemożliwe.

- To jest możliwe!-zawołał kapitan; - To jest możliwe!

Dowódca okrętu przytrzymał go za ramiona.

- Rozkazuję ci zejść na ląd!

- Nie! - szarpnął się Wołodia.- Nie! Nie zostawię ich tutaj! Zdejmujemy je, choćbyśmy mieli zginąć! Kto się zgłasza na ochotnika?

Natychmiast odezwały się głosy, podniosły w górę ręce.

Nad głowami wciąż krążyły samoloty, padały bomby, załogi nurkujących jukersów nie przestawały ostrzeliwać okrętu z broni maszynowej, trzaskały wokół płomienie, i każdej chwili mogły eksplodować miny - a Wołodia liczył zwrócone ku niemu twarze, podniesione ręce. Wiedział, że stanowi ze swoją załogą jedno ciało, że zawsze będzie mógł na niej polegać, nawet w takiej chwili jak ta.

- Kapitanie Jazowiecki! - zawołał dowódca, podnosząc głos. - Rozkazuję panu opuścić okręt!

- Wichra nie ma! - krzyknął ktoś nagle.

Odwrócili powoli głowy.

Nie spostrzegli nawet, kiedy zatonał. Zajęci ratowaniem własnego okrętu, nie oddali mu ostatniego salutu, wiernemu towarzyszowi walki, tak krótkiej i daremnej, i oto nie było go już. Leżał na dnie basenu, okręt Rzeczypospolitej Polskiej, tak jak Gryf, skazany w tej wojnie na zagładę.

Ze spuszczonymi głowami schodzili na falochron, i stamtąd jeszcze raz spojrzeli na basen portowy, na ogromne dzieło zniszczenia.

- Wybacz mi! - dowódca ścisnął Wołodię za ramię.

- Musiałem. Dostyc już ofiar. Jutro... jak ropa się wypali... będziesz mógł spróbować zdjąć te działa. Okręt osiadzie na dnie basenu...

Wołodia milczał. Był trzydziestosześcioletnim mężczyzną, nie pamiętał już, kiedy ostatni raz płakał - chyba nawet nie wtedy, gdy zostawiał matkę pod tymi dwoma drzewami na jakimś polu między Kijowem a Warszawą - a teraz czuł w gardle ogromny kłęb płaczu. Płonął jego okręt. Jego okręt pogrążał się w wodę. Mówił kiedyś o nim, że nie można pokochać żelaza, że tylko trzeba umieć się nim posługiwać, dlaczego więc teraz nie mógł opanować łez?

Jego okręt płonął i pogrążał się w wodzie. Jeszcze unosiła się nad nim chmura dymu, jeszcze nie zagasł pożar, a już woda wdzierała się na rozdarty pokład, już sięgała rozstraskaną nadbudówką i komina, który zawsze uważali za

• nieudany i śmieszny. Chciało mu się skoczyć w wodę, żeby tego nie widzieć, żeby nie zachować w pamięci tego widoku. Umrzeć! myślał. Spocząć na dnie razem z okrętem! Ale równocześnie pragnął żyć, wiedział, że musi żyć, żeby wziąć odwet za ten widok, za tę chmurę dymu i trzask płomieni, za te groby na helskim cmentarzu... Musi żyć, musi walczyć, musi zobaczyć, jak płoną i zapadają w wodę ich okręty.

- Chłopcy - powiedział z trudem - zaraz, jak tylko się da, zaczniemy zdejmować działa. Zbudujemy betonowe podstawy dla naszej baterii. Postawimy ją na brzegu. Nie pozwolimy, żeby milczała.

Odszedł, a oni wszyscy patrzyli, dokąd idzie; tak samo jak on nie mieli gdzie złożyć swoich poranionych głów, zupełnie bezradni, gdy ich okręt leżał na dnie basenu.

Jakiś kąś, myślał Wołodia, znaleźć jakiś ciemny kąś, zaszyć się tam, nie mieć przed oczyma tych pokrwawionych i osmolonych ogniem twarzy! Każda z nich była jego własna, a nie chciał w nią patrzeć, nie chciał patrzeć w twarz klęski.

Pchnął nogą drzwi pierwszego z brzegu domu (ręce miał poparzone, nie mógł niczego dotknąć opuchniętymi palcami), lecz drzwi były zamknięte, nikt ich nie otwierał. Od wstrząśnięcia drzwiami otworzyło się jednak będące ich górną połową okno (wszędzie tu, wzdłuż głównej ulicy tej rybackiej osady, drzwi miały takie okna, dziwił się zawsze temu, ile razy tu przyjeżdżał). Ostatnim wysiłkiem wydzwignął się na palących go, jakby zanurzał je w ogniu, rękach i nieprzytomny prawie z bólu znalazł się w środku. Nie było tu nikogo. Krzyknął - nikt mu nie odpowiedział. Przypiął się do wiadra z wodą, które stało na ławce w kuchni, i przechyliwszy je, zaczął pić z niego jak spragnione zwierzę. A potem zanurzył w nim twarz i ręce i doznał krótkiej ulgi. Później znalazł w izbie obok łóżko, ale zanim zwałił się na nie, wrócił do kuchni po wiadro i ustawił je tak, zęby mógł leżąc trzymać ręce w wodzie.

Gdzieś tu musiał być szpital, punkt opatrunkowy, lekarze i sanitariusze, ale nie miał siły tam się zawlec, i nie miał także siły mówić o tym, co się stało, a na pewno by go o to pytano.

Stracił okręt. Jakimi słowami można by było to wyrazić? Nie było takich słów. Mogło być tylko milczenie.

Nade wszystko pragnął snu. Kojącego, zamazującego myśli krótkim zapomnieniem. I musiał ten sen nadejść, bo kiedy nad ranem usłyszał czyjeś kroki, zrozumiał, że go obudziły, że go przywołały znowu w to samo miejsce z wyzwajającej na kilka godzin z wszelkich zmartwień nieobecności.

- Jest tu kto? - zapytał cicho przestraszony i drżący głos starej kobiety.

Zanim odpowiedział, zobaczył ją - stała w progu mała i zgarbiona, w białej chustce na głowie, w watowanym kubraku, spod którego wystawał pasiasty fartuch.

- Ja jestem, matko - odpowiedział.

Zbliżyła się, ale nie za bardzo.

- Jak tu wszedłeś? - zapytała.

- Przez okno w drzwiach. Musiałem się gdzieś położyć.

- Jesteś z tych potopionych okrętów?

- Tak - odpowiedział cicho.

Teraz podeszła zupełnie blisko, stanęła przy łóżku.

- Straszna bitwa była. Uciekliśmy wszyscy do lasu.

Przyszłam zobaczyć, czy dom stoi. Ten okręt w porcie jeszcze płonie.

- Jeszcze płonie... - powtórzył. Mówiła piękną polszczyzną, uprzytomnił to sobie od razu, gdy się tylko odezwała.

- Tak. Niebo było czerwone przez całą noc.

- Niedługo się ropa wypali - powiedział po długiej chwili.

- To twój okręt?

- Tak.

Pochyliła się nad nim. Zobaczył z bliska pomarszczoną twarz, zapadnięte na bezzębnych szczękach usta, siwe oczy w zaczerwienionych od niewyspania i płaczu powiekach.

- Jesteś ranny? - zapytała.

-- Poparzony.

- Pokaż! - powiedziała z nagłą energią.

Nie miał odwagi spojrzeć na własne ręce, a ona oglądając je zajęczała. Zakrzętnęła się potem szybko po izbie, chwyciła wiadro i wyszła z nim na podwórze. Słyszał, jak wylewa wodę i wyciąga ze studni świeżą Jak potem wraca zadyszana, dźwigając ją z trudem do domu. Później rozległo się skrzypienie drzwi od szafy, wysuwanie szuflad, darcie płócien. Leżał uciszony tymi odgłosami, czekał z ufnością na to, co nastąpi.

Kobieta przyniosła wodę w miednicy, dwie jakieś butelki i stertę białego, podartego na bandaże płótna. Zaszczeaka nożyczkami.

- Muszę ci przeciąć rękawy - powiedziała. - Ale mundur i tak cały w dziurach, popalony i podarty. Dadzą ci chyba nowy.

- Może dadzą.

- Muszą dać. Nie będziesz dalej wojował w takich łachach. Co ty jesteś, oficer?

- Oficer.

- Wysoki?

- Kapitan.

- Bo Fabisów Alojz dostał tego roku bosmana.

- Na jakim okręcie?

- Nie wiem. Uważaj, teraz będzie bolało. Mam tu w butelce trochę spirytusu. Na oparzenia spirytus najlepszy. Mój stary mówi, że na łamanie w kościach też. Smaruje sobie nim nogi, tylko nie wiem, dlaczego zawsze wtedy wódka z gęby mu jedzie.

Wołodia chciał się uśmiechnąć, bo wydawało mu się, że to się należy tej kobiecie, ale nie zdążył - żywy ogień spadł mu na rany rąk, wyrwał z ust jęk, którego nie miał nawet siły się zawstydzić.

- Cicho, cicho - szeptała staruszka. - Już po wszystkim. Już nie będzie boleć. Teraz posmarujemy to wszystko olejem, zawiniemy, zawiążemy... - Mówiła do niego jak do dziecka, i on poddawał się temu z ulgą niewysłowioną, z uczuciem błogości w sercu. Od jak dawna już nikt do niego tak nie mówił? Od jak dawna w żadnym z kobiecych głosów nie odnajdywał tego tonu?

Dziękuję, matko - szepnął. - Ja się za wszystko odwdzięczę. Wszystko wynagrodzę.

Zasępiła się.

- Jak? Teraz w sklepie już nic kupić nie można. Ten olej był do kraszenia kartofli...

- Do kraszenia kartofli? - powtórzył

- Tak. Starczyłoby na tydzień albo i więcej. I placki można by było na nim upiec, i śledzie, jakby udało się co złowić...

- Wynagrodzę wam - szeptał - wszystko wynagrodzę...

A ona mówiła teraz o spirytusie:

- Za spirytus wszystko można dostać. I mąkę, i cukier.

Na wymianę. Bo spirytus to lekarstwo dla chorych i odwaga dla tych, co się boją... A jak to dłużej potrwa, ta wojna o ten cypel, to znikąd nie będzie dowozu, i ludzie zjedzą wszystko, co mają, a nie mają wiele, bo tu zawsze każdy miał puste szafy i skrzynie, niebogaty to kawałek świata, a teraz biją się o niego, jakby tu było samo złoto...

A może tu jest złoto? pomyślał Wołodia. Może tu jest złoto?

Ale od razu tę myśl zastąpiła inna. Wciąż pragnął zapewnić tę kobietę, że jej w jakiś sposób wynagrodzi poniesione straty. - Czym? - zapytał nagle samego siebie. - Czym? - Nie miał już nic. Wiedział, że nie wróci już na drugą stronę zatoki - nie miał przy sobie żadnych rzeczy, żadnych wartościowych przedmiotów, ani pieniędzy (choć ich brakiem, gdy zaczynała się już towarowa wymiana między ludźmi, najmniej należało się martwić). Nie miał już nic! Jak to szybko poszło! Jak to niewiarygodnie szybko się stało!

- Co tam mruczysz pod nosem? - zapytała staruszka. Zawstydział się.

- Chciałbym wam to wszystko jakoś wynagrodzić, ale na razie... na razie...

Kobieta podniosła ręce i zaczęła się nimi opędzać przed tym, co chciał powiedzieć.

- Co ci chodzi po głowie? O jakim wynagrodzeniu ci się marzy? Zobaczyłbyś się w lustrze, to przestałbyś o czymś takim gadać. Nie myślałam o żadnym wynagrodzeniu, jak cię ujrzałam tu na łóżku. A o tym oleju... to mówiłam tak, no bo... gospodyni jestem. Każda się martwi, co do garnka włoży i co chłopu da jeść... Nie myśl o tym.

- Mogę tu jeszcze trochę zostać?

- Zostań. Kawy zaraz ugotuję i kilka kartofli. Stary czeka w lesie. Muszę mu zanieść. Ty się także trochę pożywisz.

- Wstanę i pójde do wojskowej kuchni. Już nas pewnie do jakiejs przydzielili. Dla was też coś przyniosę.

- Na to masz jeszcze czas - powiedziała. - Poleż trochę. Wojna się tymczasem nie skończy. Ten profesor, co tu do nas przyjeżdżał co roku z Warszawy na całe lato, zawsze mówił, że tutaj będzie najgorzej. Każdego wieczoru przychodził do kuchni i z nami gadał. To od niego -zaśmiała się cichutko, przypominawszy sobie te chwile szczęśliwe i spokojne - nauczyliśmy się mówić tak, jak każą w szkole. Nie zdziwiłeś się tym?

- Zdziwiłem.

- A my uczyliśmy go po kaszubsku. Zawsze go pytałam, czy mu czasu na to nie szkoda. Na to gadanie z nami w kuchni.

- Co odpowiadał?

- Że nie szkoda. Że może kiedyś książkę o nas napisze. Już pewnie nie napisze... W Warszawie też wojna?

- Też.

- Taka jak u nas?

- Taka sama. Tyle że z morza nie biją.

- Taka sama... - powtórzyła. - On zawsze mówił, że tu i w Warszawie będzie najgorzej. Już pewnie nie napisze tej książki.

Krzętała się po kuchni, a on słuchał odgłosu jej kroków, dzwonienia naczyń i fajerek, pluskania wody. Dzień za oknem wstawał tak samo przerażająco pogodny jak poprzednie, nie wróżyło to spokoju, choć już nie było w porcie okrętów do niszczenia. Ale był jeszcze port, i bronili się w nim ludzie. Tu i na całym półwyspie, na każdym metrze tej ziemi.

Bateria! przypomniał sobie nagle. Trzeba wymontować działą! Może się to uda. Musi się udać. Podniósł się na łóżku, ale zaraz z jękiem na nie upadł.

- Co się dzieje? - spytała kobieta, stając w drzwiach kuchni.

- Muszę wstać! Muszę iść! Działą trzeba przenieść na ląd... Trzeba z nich strzelać! Okręty znowu przypłyną. Samoloty nadlecą... Trzeba do nich strzelać... Trzeba im nie pozwolić...

Kobieta dopiero teraz po raz pierwszy podniosła fartuch do oczu.

- Nie boją się tego - powiedziała bardzo cicho.

Ale dosłyszał. Ujęła to krótko, lecz było to wszystko, co można było powiedzieć o tej wojnie. Wielka żelazna siła skierowana została przeciwko ubóstwu i słabości, wspartym tylko żarliwym pragnieniem obrony.

- No boją się - powtórzyła. - Palą nie tylko domy.

Palą także las. Upieką nas w nim, jak kartofle w popiele.

Co miał jej powiedzieć? Czym pocieszyć? Czy tym, że bez względu na straty i ofiary będą się tutaj bronić do ostatka? Do ostatniego bochenka chleba?

Spuścił głowę, i ona to zrozumiała, zrozumiała, że nie ma jej nic do powiedzenia, w każdym razie nic takiego, co by mogło wzbudzić w niej choć skrę nadziei. Toteż sama postanowiła go nią obdarować. Przeżyła wiele lat, przynajmniej dwa razy tyle, co on, napatrzyła się na świat, i wiedziała, co znaczy dla człowieka nadzieja.

- Ja to tylko jedno mogę rzec: że jak się coś źle zaczyna, to się dobrze kończy. Jeszcze ty sobie postrzelasz do nich jak do kaczek. Stara Hejkowa ci to mówi. Jak człowiek ma w życiu naprawdę coś do zrobienia, to i śmierć go omija. A ty chyba właśnie masz coś takiego.

Mam naprawdę coś

- Tak, matko - powiedział. - takiego do zrobienia.

Przymknął oczy i znowu zaczął pisać ten list, kończyć ten list nie wysłany. I nie był to już list tylko do ojca, był to równocześnie list do dziewczyny, z którą spędził ostatnią noc na łodzi, i do przyjaciela, o którym nic nie wiedział, tak jak i przyjaciel nic nie wiedział o nim, list do wszystkich, z którymi chciał rozmawiać, którym chciał powiedzieć, że tak, ma coś takiego do zrobienia, musi żyć, musi sprawić, żeby płonęły i szły na dno ich okręty, musi to zobaczyć! Słuchały teraz wciąż radia - panna Loewe i Konkowa, która przesiadywała obecnie więcej na górze niż w mieszkaniu córki.

Łucka - od kiedy Julitka i Krzysztof wyszli z domu, żeby włączyć się w tę straszną, w tę z góry skazaną na klęskę bitwę o miasto - nie pozwalała w ogóle włączyć radia.

Każda zła wiadomość - a dobrych teraz nie było - potwie-

rdzała nękające ją przeczucia. Siedziała więc albo w schronie, albo w oknie, obserwując..ulicę, którą obydwójce mogli nadejść. Ale nie nadchodzili.

Julitka przestała wracać na noc do domu, wpadła któregoś dnia na chwilę, żeby powiedzieć, że nocuje w szpitalu. Krzysztof- a był to już ósmy dzień wojny - nie pokazał się ani razu. Przysłał tylko żołnierza po bieliznę i przybory do golenia. Jedyną pociechą były zapewnienia Julitki, że kilka razy widziała ojca, że nawet z nim rozmawiała. Ale było to przed trzema dniami, a w ciągu tych trzech dni wszystko mogło się zdarzyć... Łucka nie potrafiła myśleć o niczym innym. W domu nie sprzątano i nie gotowano, Tomaszek snuł się głodny po kątach, Anula, która nie miała żadnych wiadomości ze swego Połczyna pod Puckiem, popłakiwała w kuchni.

Konkowa nie mogła tego znieść, wolała siedzieć u siebie na górze, choć z piątego piętra dalej było do schronu niż z drugiego. Windy już nie używała, od kiedy Karol od pana Słubickiego powiedział jej, że przy wstrząsie od detonacji winda może stanąć między piętrami. Straciła więc i tę przyjemność, ale kto myślał teraz o przyjemnościach! Zmarnowanie pieniędzy przeboleła. W tym żalu, który początkowo rozdzierał jej serce, doznała niespodziewanej pociechy: kiedy oni szli, kiedy szli już zewsząd, od Wolnego Miasta, od granicy zachodniej i wschodniej, zza Kartuz i Wejherowa, zza Wisły od Prus Wschodnich, kiedy szli, płynęli morzem, lecieli nad ziemią, ta straszna szarańcza, cała w żelazie - ona cieszyła się, że nie wymieniła swoich pieniędzy na guldeny, że nie poddawała się myśli o ich zwycięstwie. Było to największe głupstwo jej życia, ale była z niego dumna.

Któregoś wieczora pokazała swoją szufladę pannie Loewe. Było to czwartej dnia wojny, kiedy niemieckie radio podało triumfalnie wiadomość o przecięciu "korytarza pomorskiego", o zwycięskim uderzeniu niemieckiej 4 armii na prawe skrzydło polskiej armii Pomorze. Bitwa w Borach Tucholskich skończyła się polską klęską, Niemcy uzyskali połączenie Rzeszy z Prusami Wschodnimi, a Konkowa śmiała się nad szufladą pełną pieniędzy, przesypywała w dłoniach krążki srebra, gniotła banknoty.

Panna Loewe osłupiała. Cofała się do drzwi, pragnąc jak najprędzej znaleźć się przy nich, ale gospodyni przywołała ją znów do siebie nagłym gestem.

- Mogłam to wszystko mieć w guldenach - szepnęła konfidentycznie. - Ale nie chciałam. Rozumie pani? Nie chciałam! Trudę Plischke szlag by trafił, jakby zobaczyła tę szufladę. - Zamyśliła się na chwilę, po czym dodała: - I może ją nawet jej pokażę.

Panna Loewe nie wiedziała, kto to jest Truda Plischke, i nie zapytała o to, ale dziwną radość Konkowej ze zmarnowania tylu pieniędzy przecież pojęła i po raz pierwszy od wielu dni uśmiechnęła się do niej. Wywiązała się między nimi jakaś bliskość. Konkowa zaczęła mówić do panny Loewe "panno Małgosiu", i przesiadywały teraz razem przy radioodbiorniku, słuchając stacji polskich, niemieckich i angielskich, choć - jak twierdziła panna Loewe - z tych ostatnich najmniej można się było dowiedzieć.

13-Tak trzymać t. II

Tego dnia, kiedy Krzysztof przyszedł do domu, siedziały także przy radioodbiorniku.

Tomaszek, czerwony na twarzy z podniecenia, przybiegł na górę i zapominając o dzwonku, załomotał pięścią w drzwi.

- Tato przyszedł!

Nie powiedział "wrócił", i Konkowa od razu to zrozumiała. Wojna się jeszcze nie skończyła, a jej zięć nie po to na nią szedł, żeby wracać przed jej końcem.

- Zdrow i cały? - zapytała Tomaszka już na schodach.

- Głodny.

- A macie co w domu?

- Anula już coś gotuje.

- Mam sardynki! - Panna Loewe wróciła do mieszkania i po chwili dogoniła ich na schodach. - Sardynki i ser szwajcarski.

- Niech to pani schowa dla siebie, panno Małgosiu

- powiedziała Konkowa, nie mogąc ukryć wzruszenia.

- Nie mają chyba pustej spiżarni.

- Ale to żołnierz - mówiła panna Loewe. - To dla żołnierza!

Krzysztof nie wyglądał źle. Schudł wprawdzie, ale za to się opalił, jakby całe dni siedział na słońcu. Tylko oczy miał przekrwione od niewyspania, a w nich jakiś nowy, obcy wyraz, choć ustami się uśmiechał, choć miał tyle dobrych nowin.

- Bijemy Niemców! - mówił, wciąż obcalowywany przez Łuckę, Tomaszka i stryja Bernarda, który akurat miał szczęście teraz właśnie zjawić się na Świętojańskiej. - Bijemy Niemców! Już zrozumieli, że nie pójdzie im z nami tak łatwo! W nocy trzeciego września sam pułkownik Dąbek prowadził natarcie i rozgromił pułk gdańskiej Landspolizei. Odrzuciliśmy Niemców za Osowę i Wielki Kack...

W nie zamkniętych przez Konkowa i pannę Loewe drzwiach cisnęli się mieszkańcy kamienicy: Słubicki, a za nim Karol, celnik Rosochacki z żoną, Joe-mikser i jego siostra. Ktoś musiał zobaczyć Krzysztofa na schodach i rozniósł to po całym domu.

- Jakie wieści? - dopytywał się gorączkowo Słubicki.

- Jakie wieści?

- Dobrze. Trzymamy wciąż Niemców na granicy z Wolnym Miastem, nie posunęli się tam nawet na krok.

- Były jakieś nocne bitwy w tej stronie. Słyszeliśmy strzelaninę.

- Już o tym mówiłem, nim pan prezes przyszedł. Z trzeciego na czwarty pułkownik Dąbek sam prowadził natarcie i rozbił pułk gdańskiej policji. Odrzucił Niemców za Osowę i Wielki Kack. Pułkownik Dąbek... - Krzysztof urwał.

Mówienie o pułkowniku, obsesyjne mówienie o pułkowniku •wobec tych ludzi, którzy zaledwie znali jego nazwisko, wydało mu się nagle prawie niestosowne i śmieszne. Czy wiedzieli, kim był, kim stał się dla nich w ciągu tych ośmiu dni i nocy, czym była jego obecność, w sztabie i w każdym batalionie, objętym nie tylko jego rozkazami, ale i silniejszą od nich, ważniejszą od nich nieustępliwością w walce, którą potrafił wzbudzać nawet wbrew nadziei? Co wiedzieli o tym

człowieku?

- Pułkownik Dąbek? - zapytał Słubicki. - Legionista?

- Nie. Z dawnej armii austriackiej.

- Z dawnej armii austriackiej? - ożywił się prezes.

- I chyba mu to nie pomagało w karierze. - Krzysztof spostrzegł, że pragnienie mówienia o pułkowniku zawiodło go za daleko. Usiłował sobie przypomnieć, na czym to zakończył swoją relację. - No więc odrzucił Niemców za Osowę i Wielki Kack - powtórzył po chwili. - Mieliśmy tylko ośmiu poległych, a Niemcy mieli ich czterdziestu. - To... są już i polegli? - struchlałym głosem zapytała Łucka.

Krzysztof obrzucił ją tylko krótkim spojrzeniem i nic odpowiedział jej. Zwracał się wciąż do Słubickiego. Ale mówił do wszystkich:

- Zdobyliśmy tej nocy trochę broni, kilka samochodów i motocykli. Przydały się nam, bo... - rozejrzał się po słuchających go i nie dokończył. - Podczas wypadu w noc\ z pierwszego na drugi września - dodał szybko - udało nam się zdobyć także trochę sprzętu. Dziś w nocy drugi %7

batalion rezerwy doszedł w natarciu do Kamienia i zdobył trzy armaty.

Mówił, a oni słuchali. Wiódł swoją opowieść żołnierską, a oni otoczyli go kołem i nie zdejmowali z niego oczu.

Przypłynął skądś przeżyty przez inne pokolenia czas - już to kiedyś było, już tak bywało, nie raz i nie dwa na tej ziemi: żołnierz wracał z wojny i wiódł swoją opowieść.

Czytało się o tym w książkach, widziało na obrazach...

A teraz on przedłużał tę nieszczęsną tradycję, która z pokolenia na pokolenie przesuwająca te same sceny, zmieniając tylko ich kostium.

- Niemcy - odezwała się panna Loewe -- podają w swoich komunikatach radiowych, że Polacy do obrony wybrzeża rzucili elitarne jednostki wojskowe.

- Elitarne - powtórzył Krzysztof, ale nic nie powiedział. ;

Wyręczył go w tym Słubicki:

- Widocznie generałowie usprawiedliwiają się w ten sposób przed Hitlerem. Oczekiwał od nich natychmiastowego sukcesu.

- Ale Kościerzyna padła już drugiego! ;

Odwrócili wszyscy głowy ku drzwiom. To mówił Joe-

-mikser. Twarz miał rozognioną, oczy płonące.

-- To co z tego? - krzyknął Karol.

Joe nie zwrócił na to uwagi.

- A czwartego byli już w Kartuzach!

- Panie! - Karol, który z niewiadomego powodu nie cierpiał barmana, gotów byłby go uderzyć. - Co pan tu będzie takie rzeczy gadał? Pan wie, co to jest za siła? Niech pan sam wyskoczy na drogę i spróbuje ich zatrzymać, to nie będzie miał pan pretensji do innych.

- Ależ ja nie mam żadnych pretensji - wycofał się od razu Joe. Siostra pociągnęła go ku drzwiom.

- To co pan gada? Co pan gada? - nacierał na niego Karol.

-- Każdemu żal - odezwał się celnik - że jednak już

weszli w nasze granice.

- Żal! - wzruszył ramionami Karol. - Co to w ogóle jest za słowo w tej sytuacji? •

Karol, który dotąd w obecności pana nigdy się nie odzywał, teraz nie pozwalał nikomu dojść do głosu. Słubicki zamilkł i tylko patrzył gdzieś przed siebie.

- Żal to nie jest ani słowo, ani uczucie na dzisiejszy dzień. Bić się trzeba, a nie żałować! Dlaczego tu stoimy? Tyle chłopa? Dlaczego nie zgłaszamy się na ochotnika?

- Podobno broń trzeba mieć własną - szepnął Roso-chacki, którego żona trzymała drapieżnie za ramię.

- Ja przepraszam - powiedział Krzysztof - ale wpadłem na chwilę i... chciałbym się wykapać. Tyle dni spania byle gdzie...

- Zaraz zrobię ci kąpiel! - Łucka rzuciła się do łazienki. Poszedł za nią, a gdy zapaliła gaz, objął ją i przytulił usta do jej włosów.

- Słuchaj - powiedział - to wszystko prawda, trzymamy się na granicy z Wolnym Miastem, ale na innych odcinkach... na innych odcinkach...

- Wiem - powiedziała cicho. - Nie musisz o tym mówić.

- Muszę. Bo właśnie przenosimy sztab na Grabówek. Do budynku Etapu Emigracyjnego. Ulica Zgoda jest w samym centrum miasta, i gdyby... gdyby... Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Nie możemy pozwolić, żeby nas odcięto.

- Rozumiem - powtórzyła Łucka.

- Więc przyszedłem... przyszedłem, żeby ci to powiedzieć... Nie wiem, czy stamtąd uda mi się tu wpaść.

Łucka coraz silniej przyciskała głowę do jego piersi. Uścisk jego ramion był bolesny, rozpaczliwy i gwałtowny, a jednak wiedział, że je rozewrze, że zdoła to uczynić, że będzie musiał to uczynić.

- Poszukaj Julitki! - szeptała gorączkowo Łucka.

- Każ jej zaraz wracać do domu!

- Kochanie! - szepnął tylko, a ona nie powtórzyła już swego żądania.

Zmył szybko tygodniowy pot, brud i kurz, zebrany z wielu podłóg, na które rzucał się w krótkich chwilach wypoczynku. Pułkownik, gdy przerwana została wszelka łączność telefoniczna z podległymi mu oddziałami, wysyłał rozkazy do ich dowódców poprzez oficerów łącznikowych, którzy musieli ich odnaleźć i dotrzeć do nich bez względu na warunki. Nie opowiadał o tym Łucce, nie wyobrażał sobie nawet, że kiedykolwiek będzie mógł o tym komuś opowiedzieć. Pozwolił jej, żeby wytarła go ręcznikiem, a potem, żeby ubierała go w bieliznę, jak zwykła była ubierać dzieci, gdy były małe. Poddawał się tym zabiegom, rozgrzeszając się /a tę błogą chwilę myśla, że sobie na nią zasłużył, że mu się należała od losu za ten straszny, długi tydzień.

A potem jadł w pośpiechu, bo czas już naglił - oficer operacyjny, który powiedział mu o przenosinach na Grabówek, dał mu dwie godziny tylko na pożegnanie się z rodziną. Musiał zdążyć na czas, a chciał jeszcze przedtem wpaść na Kamienną Górę, żeby wywiązać się z obietnicy danej pani Helenie, choć był przekonany, że jej gospodyni dobrze sobie

radzi i domowi nic się nie stało.

Anula postawiła przed nim dymiący talerz ziemniaków, na których żółciły się sadzone jaja. Nie udało jej się posadzić ich tak, żeby nie rozlały się żółtka, ale Konkowa nie zwróciła na to uwagi. Stryj Bernard zaś promieniał.

- Jedz! - mówił do Krzysztofa. - Jedz! Jajka świeżutkie! Od moich kurek. A tyle razy mówiliście, że po co je trzymam? Że jajka można kupić w sklepie. No i nie można. Jak to dobrze, że akurat dziś je przyniosłem!

- Dziękuję stryjowi - szepnęła Łucka.

- Nie masz za co dziękować. A dla kogo mam te jajka jak nie dla was? Stary człowiek może już zjeść byle co. Siły mu i tak nie przybędzie. A młodemu ona potrzebna.

- Kochany stryju - powiedział Krzysztof, całując staro na pożegnanie w policzek i w rękę. - Niech stryj zagląda tu jak najczęściej. Łucce i mamie będzie lżej... same kobiety w domu... -..

- Ja przecież jestem - odezwał się Tomaszek. Ale nikt się nie roześmiał. Ojcu wydał się naprawdę jakiś bardziej dorosły niż przed tygodniem, nawet jakby wyższy, prawie wcale nie musiał się schylać, żeby go pocałować w głowę. Krzysztof pożegnał się następnie z teściową i Łucką, która tym razem zdołała się jakoś powstrzymać od płaczu, a na koniec nawet Anulę uściskał, zapewniając ją, że Puck jest jeszcze w rękach Polaków.

Kiedy wypadł na schody i zbiegł na dół, w bramie zastąpił mu drogę Joe-mikser.

- Dlaczego pan nie mówi prawdy? - wybuchnął. -

Dlaczego pan im nie powiedział, gdzie już są Niemcy?

: Chciał go odsunąć ręką, ale młody człowiek nie pozwolił mu na to.

- Dlaczego? - wołał. - Dlaczego pan to ukrywa?

Był w tym jego oburzeniu jakiś szczególny ton, i Krzysztof choć uważał to oburzenie za słuszne i sprawiedliwe, poczuł się tym tonem zaniepokojony.

- Niech mi pan pozwoli przejść - powiedział do barmana. - Nie mam tyle czasu co pan. Mógł się pan przynajmniej zgłosić do kopania rowów.

Kiedy wybiegł na ulicę, usłyszał za sobą jakby krótkie parsknięcie, ale już nie zawrócił. Czasu było coraz mniej, nie mógł go tracić na dyskusje. Porozmawiam jeszcze z nim, myślał, zapytam, co to znaczyło? Ale po kilkunastu metrach już o tym zapomniał. Biegł na Kamienną Górę, a to łączyło się ze wzruszeniem. Nawet te siedem dni, podczas których myślał nieraz z goryczą o tych, co zdołali uciec, wywożąc stąd swój spokój i pieniądze, a obronę miasta pozostawiając ludziom nie mającym tu ani jednego, ani drugiego, nawet te siedem dni nie zdołało go zmienić na tyle, żeby nie waliło mu ; w piersi serce, gdy się zbliżył teraz do tego domu. Drzwi były zamknięte, ale zaraz mu je otworzono. Gospodyni Tereszków widziała go najprawdopodobniej przez okno.

- Przyszedłem zobaczyć, czy, wszystko w porządku - powiedział.

- Ano w porządku - odrzekła. - Jeśli teraz w ogóle cokolwiek jest w porządku.

- Nie to miałem na myśli.

Stali na ganku, skąd roztaczał się szeroki widok na port i zatokę. Pomyślał, że ten wschodni stok Kamiennej Góry byłby nader dogodny dla ostrzału z okrętów, gdyby nieprzypadł się na to zdecydował. Ale może się nie zdecyduje, pocieszył się zaraz.

- Widać stąd zatokę jak na dłoni - powiedział do Weroniki.

- Jak na dłoni - potaknęła. - Pierwszego dnia, kiedy był nalot na port, a potem ta bitwa, widziałymy wszystko. Nie zapytał, kogo ma na myśli, używając liczby mnogiej - zastanowiła go raczej odwaga tych jakichś kobiet, które przyglądały się nalotom, zamiast schronić się w piwnicy.

- Nie bałyście się? - zapytał.

- Weronika spuściła głowę.

- Myślałyśmy, że to lecą Anglicy.

-- No tak - powiedział Krzysztof. - Muszę już iść.

Cieszę się, że wszystko w porządku. Oby... oby tak dalej. Do widzenia! Pani Helena na pewno wciąż myślami jest tutaj.

I jeśli myśli mają jakąś moc...

- O Boże! - zawołała Weronika, łapiąc się za głowę.

- To pan? Nie poznałam pana w tym mundurze. Myślałam, że wojsko sprawdza, jakie są szkody. A to pan!

- Ja - uśmiechnął się blado Krzysztof. - Przyszedłem, bo pani Helena mnie prosiła...

- Ależ pani nie wyjechała! - Weronika zbiegła za nim na ścieżkę. - Wróciła się z portu.

- I jest tutaj?! - krzyknął, nie panując nad głosem, nad wyrazem twarzy, nad uniesieniem, które kazało mu natychmiast biec z powrotem pod górę i jednym skokiem pokonać schody przed gankiem.

- Nie ma jej w domu - powstrzymała go Weronika.

- Ani pani, ani Wisi.

- Gdzie? Gdzie są?! - zapytał rozczerwony.

- Są przy kopaniu rowów. Niedaleko stąd. Na południowym stoku Kamiennej Góry. I panna Marynka jest z nimi.

- Panna Blok?

- Tak. Także nie pojechała. Szukała narzeczonego i spóźniła się na statek. Razem wróciły się z portu...

Nie słuchał już dalszych słów Weroniki, biegł w kierunku, który mu wskazała. Czasu miał już naprawdę niewiele i pośród tego wszystkiego, co się działo, na pewno śmieszne było to jego pragnienie, ale musiał zobaczyć panią Helenę, musiał ją zobaczyć, skoro tu była!

U podnóża Kamiennej Góry, od strony Redłowa, a więc od strony Wolnego Miasta, kopano rowy strzeleckie. Nie bardzo rozumiał cel tego przedsięwzięcia, ale ludzie najwidooczniej zdecydowani byli bronić się i tutaj. Zeszli się tłumnie i pracowali dzielnie: mężczyźni, którym wiek nie pozwalał włożyć mundurów albo dla których mundurów zabrakło, kobiety, dzieci. Rozejrzał się z rozpaczą po tej ciżbie, znaleźć tu kogoś było niepodobieństwem. I nagle zobaczył Sewerynową, a raczej to ona jego zobaczyła i podniosła ku niemu dłoń.

-- Szuka pan kogoś?.

- Tak. Pani Heleny Tereszkowej - wyznał od razu, nie wiadomo dlaczego przekonany, że Sewerynowa ją zna

jeszcze z tych dawnych lat, kiedy pionierzy tego miasta trzymali się razem, kiedy nie było jeszcze między nimi bariery posiadania. I rzeczywiście знаła ją, i wskazała mu teraz miejsce, gdzie pani Helena pracowała razem z innymi. Chciał od razu tam biec, ale Sewerynowa zatrzymała go nieśmiałym gestem ręki.

- Seweryna pan nie widział?

- Widziałem go. Przedwczoraj. - Przystanął zawstydzony, że sam jej tego nie powiedział, że musiała o to zapytać.

- Zdrow? - Patrzyła z lękiem w oczach.

• - Zdrow i cały.

- Niech mu pan powie, jak go pan spotka, że myślę o nim... że wciąż o nim myślę... •

- Powiem mu.

- I że... że o Witusiu nic nie wiem. Nic o nim nie wiem.

Ale inne matki także nie wiedzą.

Znowu biegł, czasu miał już naprawdę mało, bardzo mało.

Wystarczy go już tylko na spojrzenie, na kilka słów, na nic więcej! Czy grzeszył tym przeciwko komuś, czy było w tym coś niegodnego? W spojrzeniu, w kilku słowach? Przed tym, co go czekało, co czeka każdego żołnierza?

Zobaczył ją wreszcie. W chustce na głowie kopała, pochylona nad łopatą, i byłaby go nie zauważyła, gdyby Wisia, odpoczywająca właśnie, nie krzyknęła:

- Pan Grabień!

Podniosła głowę, odgarnęła wierzchem dłoni włosy, które wymknęły się jej spod chustki, uśmiechnęła się.

- Jest pani tutaj - szepnął.

- Jestem - powiedziała.

- Cieszę się z tego - wyjąkał - i jestem tym przerażony.

Przeciwstawiła się tym jego ostatnim słowom łagodnym ruchem głowy.

- Nie trzeba tak myśleć - powiedziała. - Trzeba przyjaść na siebie los miasta, w którym się żyło. Cóż to za miłość, która wybiera tylko chwile dobre? A komu mają przypaść złe? Komu mają przypaść te złe?

- Widziałam Włodka! - zawołała Marynka Blok, zbliżając się do nich ze swoją łopatą.

Podbiegł do niej.

- Kiedy?

- Pierwszego o świcie. Odwiozłam go do portu. Dostał zezwolenie na spędzenie tej nocy na lądzie. Spędziliśmy ją razem -- powiedziała po prostu. - Gdyby nie samochód, nie zdążyłby na okręt. - Spuściła głowę. - Robię sobie teraz wyrzuty, że... zdążył. Pan wie, że była bitwa w zatoce. Mam" takie złe przeczucia...

Chciał ją czymś pocieszyć i uspokoić, ale nie znalazł słów na wyrażenie tego kłamstwa. A poza tym musiał już iść, bo może czekały już na niego rozkazy pułkownika, może zależało coś od nich i najmniejsza z tych spraw była stokroć ważniejsza od tego, co czuł, czego pragnął.

- Znalazłem tylko chwilę czasu, żeby tu przyjść" - powiedział z rozpaczą. - Muszę już wracać do sztaba.

Pani Helena zbliżyła się do brzegu wykopu.

- Jest pan blisko Dąbka?

- Jestem do jego wyłącznej dyspozycji.

- Czy... naprawdę... naprawdę nie spodziewamy się pomocy?

- Nie mamy żadnych wiadomości.

Znowu uczyniła gest odgarniania włosów z czoła, choć nie wymknęły się jej spod chustki.

- Żadnych?

- Żadnych.

- Ani z Francji, ani z Anglii?

- Nie, ani z Francji, ani z Anglii?

- A żołnierze o to nie pytają?

- Pytali. Ale już nie pytają.

- Bo ludność cywilna jednak wciąż czeka.

- Wydaje mi się... wydaje mi się - powiedział z trudem

- że w tym stadium wojny to złudzenia.

Umilkła. Nie chciała mu powiedzieć o swoim czekaniu, o tej bolesnej nadziei, o tych poniżających, śmiesznych marzeniach, które jawiły się jej wśród rozpacz. Tej nocy na przykład wyobrażała sobie, że Adam, jej mąż, pokonując wszelkie przeszkody, dociera do króla Szwecji. Pada przed nim na kolana. Tam jest moja żona, woła, i córka! A Lebrac... tak, Lebrac, dostaje się w Paryżu do ministra wojny. Do prezydenta! Nie wstydzi się prosić. Nie uważa, że jest to . niegodne byłego żołnierza spod Yerdun. Panowie, błaga, tam jest kobieta, którą kochałem!

Czy mogła się przyznać do tych rojeń? Czy mogła poprzez ich bezradną śmieszność obnażyć swój strach?

- Złudzenia... - powtórzyła tylko.

- Tak sędzę - powiedział.

I pożegnał się szybko, już prawie bez słów, samym tylko spojrzeniem. A ona nie zapytała, kiedy go znów zobaczy, czy jeszcze będzie mógł przyjść.

Ze sztabu wynoszono już ostatnie biurka, gdy Krzysztof wrócił, ale pułkownik był jeszcze w swoim pokoju - odbywał naradę z oficerami sztabowymi. W korytarzu, w którym oficerowie łącznikowi czekali zwykle na jego rozkazy, nie było już żadnych sprzętów, porucznik Kąkol, którego Krzysztof tu zastał, siedział na jakiejś skrzynce opartej o ścianę. Usiadł obok niego.

- Dawno pan wrócił? - zapytał, bo razem wyszli ze sztabu, a Kąkol mieszkał aż na Tatrzańskiej, pod samym lasem, prawie naprzeciwko szkoły, w której przez dwadzieścia lat był nauczycielem.

- Niedawno - odparł porucznik. Nigdy nie był rozmowny, a teraz to jedno słowo z trudem mu przeszło przez gardło.

Krzysztof wyobrażał sobie, co ten człowiek przeżył przed chwilą: ciężarna żona i siedmioro dzieci na progu, ich płacz... Już kilka razy chciał powiedzieć porucznikowi, że ojczyzna nie wymaga ofiar aż tak wielkich, że nie wszyscy mężczyźni przywdziali mundury, ale gdy tylko spojrzał mu w oczy, tracił odwagę - była w nich wciąż ta sama rozpacz, gotowa na wszystko.

- Czy pułkownik wie? - zapytał cicho.

Nauczyciel porywczo odwrócił ku niemu głowę.

- O czym?

- O pana... sytuacji rodzinnej?

Porucznik Kąkol najwidoczniej źle zrozumiał intencję

tego pytania,' bo odpowiedział twardo:

- Wie. On ma też rodzinę.

Krzysztof nie zdążył mu wyjaśnić, co miał na myśli, bo drzwi od pokoju otworzyły się gwałtownie i stanął w nich pułkownik Dąbek. Przyzwyczaili się już do tego, że kiedy się zjawiał, wszystko nabierało natychmiastowego przyspieszenia. Zerwali się i stanęli na baczność, czekając rozkazu.

- Pan - zwrócił się pułkownik do Kąkola, wręczając mu zaklejoną kopertę - uda się natychmiast do drugiego empeesu*. Doręczy pan tę kopertę pułkownikowi Szpunarowi.

- Tak jest, panie pułkowniku.

- Pan - zwrócił się do Grabienia - jedzie ze mną.

Rozbudowujemy drugą linię obrony. Sam muszę tego dopilnować. A pan dotrze z moimi rozkazami do pierwszego

* Morski pułk strzelców.

empeesu, do pułkownika Pruszkowskiego. Niech samochód zajeżdża.

- Tak jest, panie pułkowniku.

Obydwaj byli już w drzwiach, zderzając się w nich ramionami, gdy głos pułkownika ich jeszcze zatrzymał.

- Chwileczkę, panowie!

Odwrócili się, czekali zdumieni.

- Widzieliście się ze swoimi rodzinami?

- Tak jest - odpowiedzieli równocześnie.

- Wszystko w porządku?

- Wszystko w porządku.

On miał już tę chwilę dawno za sobą, oddalił się już od kobiecych łez, nie pamiętał ciężaru ramion na szyi, w krótkich chwilach przed zaśnięciem nie wracały już pewnie do niego strzępy ostatnich rozmów z tymi, których kochał, myślał Krzysztof, w tym ułamku sekundy, gdy patrzył w twarz pułkownika. I zrozumiał równocześnie, ile ten człowiek musiał mieć siły, żeby to wszystko odsunąć od siebie, żeby być już tylko mężczyzną zdecydowanym na spełnienie do końca swego obowiązku. Wymagał teraz tego samego od innych, ale musiał dobrze zapamiętać, jak to boli, bo jednak podarował im tę krótką chwilę i zamykając ją, powiedział:

- Cieszę się. Bardzo się cieszę. - Podszedł do nich, każdemu uścisnął rękę. - Cieszę się - powiedział jeszcze raz, ale już bardzo cicho.

A potem jechali już otwartym dżipem w stronę Wejherowa. Pułkownik milczał, pogrążony w myślach, od czasu do czasu tylko przynaglał kierowcę-kaprała do pośpiechu. Droga zatłoczona była wojskiem, piechotą i taborami; żeby je wyminąć, zjeżdżali na pobocze, i wtedy kurz się wzbijał spod kół, dławiały i sypki. Krzysztof nie widział prawie przed sobą pleców pułkownika, pragnął niekiedy krzyknąć, żeby się upewnić, że on tam jest, na przednim siedzeniu dżipa, przepychającego się przez strumień wojska. Zatrzymywali się co pewien czas, pułkownik pytał o nazwę oddziałów, kazał sprowadzać do siebie dowódców, wydawał rozkazy, porządkował, wskazywał nowe pozycje. Krzysztof widział go wciąż jak przez mgłę, choć - gdy samochód przystawał - kurz osiadał i powietrze stawało się na powrót czyste, aż jaskrawo przeświecone słońcem. Wydawało mu

się to wszystko niemożliwe do opanowania, ten chaos, ten żywioł wszystkich wojennych nieszczęść - nad kreską drogi, tak wyraźną wśród płowej barwy sprzątniętych już o tej porze roku pól, ukazywały się raz po raz samoloty i rzucały małe bomby albo strzelały z broni pokładowej, nie zagrożone z dołu ani jednym działem przeciwlotniczym; oddziały Obrony Narodowej, składające się ze źle uzbrojonych rezerwistów, zapadały w rowy, chroniły się pod koronami drzew; przeraźliwie wysokimi głosami rżały konie. Krzysztof przypominał sobie, co mówiła rano panna Loewe po wysłuchaniu komunikatów niemieckiego radia: "Polacy rzucili do obrony wybrzeża elitarnie jednostki wojskowe". Chciał powiedzieć o tym pułkownikowi, ale spojrzawszy na jego twarz, poniechał tej myśli. Pułkownik wziął od najbliższego stojącego żołnierza jego broń i oglądał ją ze ściągniętymi brwiami. Był to stary flower myśliwski. W dodatku niezbyt starannie utrzymywany przez swego dotychczasowego właściciela.

- Naboje są? - spytał pułkownik.

- Są - odpowiedział żołnierz. Usta miał ściągnięte, tak że ledwie przeszło przez nie to słowo.

- Dużo?

- Niedużo. - Żołnierz przez zmrużone powieki patrzył daleko przed siebie, w wysrebrzony unoszącym się spod taborów kurzem promień drogi. - Ale wystarczy, żebym zdobył prawdziwą broń.

- Tak myślicie? - spytał pułkownik cicho.

- Tak myślę.

Znowu siedzieli w dżipie i znowu jechali. Przemarsz kolumny się skończył, i droga była prawie pusta, kapral dodał gazu, lekki samochód podskakiwał na wybojach, trudno było utrzymać się na siedzeniu, ale właśnie wtedy pułkownik odwrócił się i powiedział:

/ - Oto czym wojujemy: ludźmi! Niemcy mają uzbrojenie i sprzęt, a my mamy tylko ludzi i ich rozpacz. Kiedy indziej i gdzie indziej może bym myślał, że to mało, ale teraz i tutaj myślę, że to jednak bardzo wiele.

Odwrócił się i już się nie odezwał, a Krzysztof starał się zrozumieć, kim jest żołnierz, kim jest dowódca, który tak myśli w obliczu nieuchronnej klęski, i kim jest on sam, który się godzi na nią u jego boku. Bo pułkownika któregoś lipcowego dnia skazano na tę klęskę w Warszawie, wyznaczono go, aby był postacią pierwszą i główną tej klęski, ale on, Krzysztof Grabień, znalazł się przy nim z własnej woli i właśnie starał się zrozumieć dlaczego.

Pomogła mu w tym już następna chwila.

Poprzez warkot silnika dżipa przebił się donośny huk zbliżającego się samolotu. Nad drogą leciał samotny bombowiec, nie miał celu godnego bomby, lecz obsługa jego karabinów maszynowych obserwowała drogę i postanowiła rozprawić się z samochodem w dole. Posypała się seria, ale samolot zbyt szybko rozminął się z pędzącym dżipem, aby mogła być celna.

Kierowca skręcił pod drzewa, przyhamował.

- Na ziemię, panie pułkowniku! - zawołał. - Pod pień i na ziemię! - Sam zamierzał wyskoczyć, ale pułkownik przytrzymał go przy kierownicy.

- Jedziemy! - krzyknął. - Albo prowadzimy wojnę, albo robimy w portki. Będziemy siedzieć w krzakach, a oni tymczasem dojdą do Gdyni.

Kierowca odwrócił na sekundę głowę i zrozpaczonym spojrzeniem szukał oczu Krzysztofa, ale ten się nie odezwał. Już wiedział, już rozumiał. Ten człowiek, który siedział przed nim w małym dżipie, spełni swój obowiązek do końca, a oni urodzili się po to i po to rośli - kapral-kierowca, on, skromny pracownik Urzędu Morskiego, i nauczyciel Kąkol, który przedzierał się teraz do pułkownika Szpunara, oraz tysiące oficerów, żołnierzy i rezerwistów w mundurach i bez mundurów - oni wszyscy urodzili się i rośli na polskiej ziemi po to, żeby teraz pod dowództwem tego człowieka dokonała się rzecz, która jak manifest ma zadziałać na spokojny jeszcze świat: mały naród, napadnięty przez naród, który był przeszło dwa razy od niego większy i który zawsze, poprzez wieki, uważał, że siła musi się wyrażać przemocą, ten mały naród się nie poddał, ten mały naród walczy, a więc można walczyć, a więc należy walczyć z przemocą, należy rzucić ją na kolana, znowu rzucić ją na kolana. I właśnie ten człowiek, z którym siedział teraz w jednym dżipie, miał wykonać to zadanie, a oni razem z nim - nareszcie Krzysztof to jasno wiedział. I zdziwił się tylko, że nie uważa wcale tej uświadomionej sobie dopiero co prawdy za rzecz gorszą od uniesienia, jakie go dotąd przepełniało.

Nie opuszczała go już ta myśl, choć potem potoczyło się wszystko - jak zawsze i wszędzie tam, gdzie zjawiał się pułkownik - w ogromnym, tragicznym przyspieszeniu.

Pod wieczór dotarli do jakiejś leśniczówki, gdzieś w lewo od Koleczkowa, gdzie słychać już było artylerię, wspierająca! niemieckie natarcie. Jedli tam kolację, i pułkownik miał tam zażyć krótkiego snu na kraciastych piernatach, które długo trzepała na dworze służąca leśniczego. Nie wiadomo dlaczego Krzysztof zapamiętał ją tak dokładnie: miała czerwoną twarz pod bardzo jasnymi włosami, przenikliwie niebieskie oczy i zawsze otwarte usta, jakby dyszała po długim biegu, gwałtownie łapiąc oddech. Gdy podawała do stołu, gdy wchodziła i wychodziła, przygotowując posłanie dla pułkownika, wydawało mu się, że wciąż słyszy ten jej głośny oddech i furkot jej czerwonej, wykrochmalonej spódnicy. W pewnym momencie gdzieś znikła, i zanim na motorze leśniczego wyruszył do pułkownika Pruszkowskiego, usłyszał, jak leśniczyna wołają, w różnych miejscach podwórza, i jak narzeka przed mężem:

- Mówiłam ci, że to ladaco. Nie mogła posiedzieć w domu choćby w ten jeden wieczór, kiedy mamy takiego gościa.

- Daj spokój - mruczał leśniczy - może ma tu gdzieś w okolicy żołnierza.

- A ty jej jeszcze broń! - powiedziała kobieta nadąsanym głosem.

Nie słuchał dalej tej rozmowy małżeńskiej, czasu miał niewiele, musiał w ciągu kilku godzin dotrzeć do dowódcy pierwszego morskiego pułku strzelców z rozkazem pułkownika, żeby ten wycofał się do Redy, żeby natychmiast obsadzał drugą linię obrony. Nie włączył od razu motoru, bo bał się o zmroku jechać ścieżką, której nie znał, tylko

postanowił zapuścić go dopiero wtedy, gdy znajdzie się na drodze - i teraz prowadził go pod niskimi gałęziami sosen, czując na twarzy ich wilgotny już od rosy dotyk. Kiedy ostatni raz był w lesie? Usiłował to sobie właśnie przypomnieć, gdy jakieś szmery w płytkim wąwozie opodał zwróciły jego uwagę. Przystanął, uciszył się, a potem zostawił motor i zaczął ostrożnie posuwać się w tym kierunku. Nie wiedział, dlaczego to czyni, dlaczego natychmiast nie wykonuje rozkazu, który otrzymał, dlaczego postanowił, sam postanowił, że musi najpierw zbadać, co się dzieje wokół leśniczówki, w której śpi pułkownik. Jakoś wydało mu się to nagle ważniejsze niż najpilniejszy z rozkazów. Wciąż nie opuszczała go myśl o roli pułkownika w tej wojnie, i to ona właśnie sprawiła, że musiał przekonać się najpierw, w j a - kim miejscu go zostawia.

Ktoś biegł przez las. Gdy odgłosy artylerii milkły na chwilę, słychać było wyraźnie te spieszne kroki. Posuwał się za nimi, starając się zachowywać jak najciszej, ale gdy artyleria zaczynała znowu bić i gdy się nie bał, że może zostać usłyszany, biegł wymijając drzewa, raniąc sobie o zarośla twarz i ręce. Niebo na zachodzie było jeszcze jasne, więc wiedział, że wkrótce zobaczy na jego tle - rozpiętym jak ekran nad grzbietem leśnego wzniesienia - sylwetkę człowieka, za którym biegnie, nie mogąc oprzeć się uczuciu, że to ważne, że to ważniejsze niż najpilniejszy rozkaz.

I było rzeczywiście tak, jak się spodziewał: między rzadkimi drzewami, na tle płonącego jeszcze zachodem nieba zobaczył go. W pierwszej chwili nie wierzył własnym oczom, ale zarys sylwetki był wyraźny: była to dziewczyna w szerokiej, sztywno wykrochmalonej spódnicy, biegła grzbietem wzgórza prosto w płonący zachód. Leśniczy chyba się nie mylił. Miała tu pewnie gdzieś chłopca i biegła, żeby się z nim zobaczyć, bo już jutro mogło go tu nie być.

Ogarnęło go na krótko wzruszenie, ale zaraz potem wściekłość na siebie za stratę czasu i opóźnienie doręczenia

401
rozkazu. Artyleria wciąż biła, i kierunek, z którego dochodziły detonacje, podsunął mu myśl, żeby iść dalej śladem dziewczyny - być może przez las było bliżej do oddziałów pierwszego empeesu niż drogą. Żeby jej jednak nie peszyć, postanowił się nie ujawniać i posuwał się dalej za nią chyłkiem, aż do momentu, gdy usłyszał męskie gosy i padł pod jakimś drzewem jak rażony piorunem.

Rozmawiano po niemiecku. O pięćdziesiąt, najwyżej sześćdziesiąt metrów od niego i nie dalej niż dwa kilometry od leśniczówki, w której spał pułkownik, byli Niemcy! Nie widział ich, nie wiedział, czy jest to wojsko, czy jakiś oddział dywersyjny, ale to jedno nie ulegało wątpliwości: dziewczyna z leśniczówki była wśród nich. Słyszał jej głos i entuzjazm, z jakim spotkała się przyniesiona przez nią wiadomość.

- Bist du brav! - wołano. - Aber bist du wirklich brav!

Tak, czuła się dzielna. Opowiedziała podniesionym głosem, że w leśniczówce śpi polski pułkownik. Mówiła źle po niemiecku, posługiwała się najprostszymi słowami, ale to wystarczyło, żeby mogła dokonać się rzecz nieodwołalna w losach tej wojny.

- Nur ein Mann! - tłumaczyła. - Nur ein Mann ist

dabei. Der zweite ist weg.

Słuchał jej głosu i wydawało mu się, że widzi jej otwarte usta, dyszące już wtedy, gdy myślała, że za chwilę będzie biec przez las z tą wiadomością. .

Była najprawdopodobniej zbyt głupia, żeby do końca zrozumieć, kto ośpi w leśniczówce, ale atencja okazywana pułkownikowi przez leśniczego musiała utwierdzić ją w przekonaniu, że jest to ktoś ważny, że wobec tego warto zadać sobie trud i donieść o tym przyszłym zwycięzcom, którzy zapewne docenią tę przysługę.

- Wie lange wird er schlafen? - zapytał jakiś męski głos.

- Ein paar Stunden. Bis der zweite kommt.

- Wohin ist er gefahren?

Krzysztof nie słuchał, co dziewczyna odpowie, zdjęty nagłym wstydem za nieostrożność i ufność, z jaką odnosili się do ludzi, nie przeczuwając nawet, że na ziemi, której bronią, nie wszyscy są po ich stronie. Pułkownik nie był stąd, mógł tego nie wiedzieć, ale on powinien był go ostrzec. Co mógł teraz uczynić? Miał przy sobie broń, ale nie wiedział, ilu jest tamtych i uważał, że wdawanie się w strzelaninę w tych warunkach byłoby zwykłym szaleństwem. Jedynym ratunkiem wydało mu się w końcu jak najszybsze dotarcie do leśniczówki i ucieczka stamtąd, zanim nastąpi okrażenie. Przeczolgał się kilkadziesiąt metrów, a potem zerwał się z ziemi i zaczął biec do motocykla, nie zważając na to, że gałęzie ranią mu twarz. Na szczęście udało mu się go odnaleźć na ścieżce, i na wyjącym motorze zajechał na podwórze leśniczówki.

Kierowca spał w dżipie.

- Jedziemy! - krzyknął mu nad uchem. - Zaraz jedziemy! Zapalaj silnik!

Gospodarze jeszcze nie spali. Wybiegli na ganek. Odsunął ich z drogi i wpadł do pokoju, w którym spał pułkownik.

- Panie pułkowniku! - zawołał. - Natychmiast do samochodu! Za chwilę mogą tu być Niemcy!

Pułkownik, który nie dał się skusić puszystym piernatom i spał na nich w mundurze i butach, chwycił tylko pas i czapkę i w ułamku sekundy był gotów.

- Co się stało? - zapytał już w samochodzie.

- Na drodze powiem. Teraz jak najszybciej stąd!

- Pan nie wsiada?

- Pojadę motorem!

Zobaczył w ostatniej chwili, jak leśniczy wybiega za nim z jakimś gestem protestu, żalu i chęci zatrzymania motocykla, więc rzucił jeszcze przez ramię:

- I tak go panu zabiorą! A ja tu pewnie wrócę! ;

Na drodze, gdy był pewien, że oddalili się już w bezpieczne miejsce, wyprzedził dżipa i dał znak kapralowi, żeby zatrzymał wóz. Dopiero teraz opowiedział pułkownikowi, czego był świadkiem.

Pułkownik Dąbek słuchał go ze spuszczoną głową, twarz miał zasłoniętą daszkiem czapki, ale gdy się po chwili wyprostował, Krzysztof zobaczył w mroku jego oczy i zdumiał go ich wyraz.

- Dopiero teraz uświadomiłem sobie - powiedział pułkownik w zamyśleniu - gdzie widziałem pana po raz pierwszy. Czy to nie pan ustąpił mi miejsca w kawiarni

którejsz sierpniowej niedzieli wkrótce po moim przyjeździe do Gdyni?

- Tak, to ja - wykrztusił Krzysztof.

- Czy wtedy już pan wiedział, kim jestem?

- Nie miałem pewności, ale wydawało mi się... przeczuwałem...

Pułkownik znowu spuścił głowę.

- To zupełnie niedorzeczne wierzyć w takie rzeczy, zupełnie niedorzeczne. Ale że właśnie panu...

- Zupełnie niedorzeczne - powtórzył Krzysztof.

Zamilkli na krótką chwilę. Obydwa nie wyłączone silniki grały cicho, w zachodniej stronie biła nieprzerwanie artyleria, gdzieś całkiem blisko odezwał się jakiś ptak.

- Niedorzeczne - powiedział jeszcze raz pułkownik.

I zaraz innym tonem dodał: - A pan dopiero teraz do pułkownika Pruszkowskiego?

- Tak jest, panie pułkowniku.

- To źle, że wynikła ta zwłoka.

- Postaram się ją nadrobić, panie pułkowniku.

- Proszę się spieszyć. I... - zawahał się, jakby czuł się zawstydzony słowami, które zamierzał wyrzec - niech pan uważa na siebie.

- Tak jest, panie pułkowniku- odpowiedział Krzysztof cicho.

Czy mógł uważać na siebie przez te dwa dni, kiedy dotarłszy do dowódcy pierwszego empeesu, dostał się w samo centrum bitwy o Redę, w momencie ataku piechoty niemieckiej na obsadzone właśnie przez polskie oddziały miasto? Czy mógł uważać na siebie, kiedy cofający się żołnierze przestali się nagle cofać, kiedy odpór zaczynał stawać się zwycięstwem, broń przestała być wreszcie słabsza od broni wroga i widziało się go wreszcie, jak padał dziesiątkami, setkami ciał, jak wykrwawiał się na ziemi, którą chciał zająć łatwo i bezkrwawo, a która była broniona. Była broniona!

Nie mógł uważać na siebie także i tej nocy, kiedy Niemcy po poniesionej porażce rozpoczęli wielogodzinne ostrzeliwanie miasta artylerią i kiedy z godziny na godzinę przestawało ono istnieć, zmieniając się w dymiące pożarami rumowisko. Ludność chowała się po piwnicach, uciekała w pole, a pułk, który opóźnił o dwa dni zajęcie Redy i powstrzymał wroga, dążącego do odcięcia Lądowej Obrony Wybrzeża od Rejonu Umocnionego Hel, rozbity i wykrwawiony wycofywał się na Kępę Oksywską.

Do leśniczówki nie mógł już wrócić. Spod Koleczkowa cofał się właśnie pierwszy batalion Obrony Narodowej; ten oddział więc, do którego dotarła dziewczyna w czerwonej, wykrochmalonej spódnicy, nie był grupą dywersyjną, lecz przednim natarciem pułku niemieckiej piechoty. Krzysztof wyobraził sobie w mgnieniu sekundy niemieckiego pułkownika na kraciastych piernatach, które chyba ponownie wytrzepała zapobiegliwa służąca leśniczego. Musiał więc tu wrócić kiedy indziej. Nie wiedział kiedy, ale wiedział, że wróci.

Rankiem dziesiątego września, w Dębogórze, w którym zajmował nowe pozycje zdziesiątkowany i poddany spiesznej reorganizacji pułk podpułkownika Pruszkowskiego,

Krzysztof, śpiesząc do sztabu z meldunkiem o nowym usytuowaniu obrony, natknął się niespodziewanie na Cyprka.

Droga zawałona była taborami cofającymi się spod Pucka. Spodziewano się tego dnia zajęcia miasta przez oddziały niemieckie prące od Warszkowa i Jeziora Żarnowieckiego; a więc nie ten pułk, który zatrzymali w Redzie, otrzymał zadanie przecięcia oporu Polaków na dwa człony, udało się to innemu, nie powstrzymanemu w swoim pochodzie. Pierścień okrażenia zaciskał się z dnia na dzień, z godziny na godzinę, drogami z północy i zachodu spływały na Kępę Oksywską cofające się oddziały.

Zatrzymany przez tabor, który zawałił całą drogę, Krzysztof zsiadł z motoru i starał się przeprowadzić go poboczem, aby wyminąć oddział.

Spod kół wozów i końskich kopyt unosił się tuman kurzu, ale w górze słońce świeciło tak samo jaskrawo, jak podczas wszystkich dni poprzednich. Każdej chwili trzeba się było spodziewać nalotu - zbyt widoczny, zbyt otwarty był ten poligon, aby nieprzyjaciel nie miał z tego skorzystać. Jakoż istotnie Krzysztof usłyszał po chwili strzały, ale nie poprzedził ich warkot samolotów. Odruchowo przypadł jednak do ziemi. Strzały powtórzyły się całkiem blisko, w centrum taborów, tuż obok i nieco dalej o krok, o dwa, o trzy. Wybuchło po nich rozdzierające rżenie koni, wysoki jęk i skowyt, w którym był ból i strach, i świadomość ostateczności - ogromny, rozchodzący się po całej równinie płacz zabijanych zwierząt.

Krzysztof zerwał się z ziemi. Widok, jaki ujrzał, już przedtem objawił mu się w wyobraźni: w cudownie pogodny dzień, w kurzu i pyłe drogi przecinającej płaszczyznę rozległej łąki, nie tkniętej jeszcze jesiennym pokosem, wysokiej i bujnej, zapraszającej swoją soczystością i wonią, umierały konie. Jedne leżały już na ziemi, powalone na bok celnym strzałem, od razu ciche i zwrócone ku niebu niemo pytającym okiem, inne rwały się na uprzęży, stawały na tylnych nogach, przednimi bijąc powietrze; ten wstrzymywany pęd rozwiewał im grzywy i ogony, wydobywał lśnienie z grzbietów i boków, z taką dbałością czyszczonych przez żołnierzy, aby teraz oto, gdy padnie drugi, celniejszy strzał, pokrył je zryty kopytami kurz ich ostatniej drogi.

Krzysztof rozejrzał się dokoła, chciał znaleźć jakiegoś oficera, zapytać, co się dzieje. Masakra, której był świadkiem, wydała mu się bezmyślna i okrutna.

Pod najbliższym drzewem stał jakiś podchorąży z czołem opartym o pień. Drganie jego pleców wskazywało na to, że płacze.

Krzysztof przyskoczył do niego, szarpnął go za ramię.

- Co się dzieje? - zawołał. - Co się tu dzieje?!

Chłopak, który odwrócił ku niemu zalaną łzami twarz, był jego młodszym bratem.

- Nie mogę - szepnął zawstydzony, jakby go za coś przeproszał. - Nie mogę tego znieść.

Nie było w nich żadnej radości z tak niezwykłego spotkania - jęk, rżenie, płacz koni nie pozwalał im mówić ani myśleć o niczym innym. Zachowywali się tak, jakbyrozstali się dopiero wczoraj, jakby nie było o co pytać i o co się bać.

Krzysztof chciał wiedzieć tylko jedno:

- Co to znaczy? Kto wydał ten rozkaz? Dlaczego?

- Nie mamy już paszy. - Cyprek daremnie szukał chustki, żeby wytrzeć sobie twarz. Łzy rozmyły na niej kurz wielogodzinne marszu. - Nie mamy obroku ani owsa.

A poza tym nie możemy ich ciągnąć na Oksywie, opóźniają przemieszczanie się oddziałów. I... nie chcemy, żeby dostały się w ręce Niemców.

- Tak - powiedział Krzysztof. - Nie powinny dostać się w ręce Niemców.

Stopniowo uciszało się to wszystko. Żołnierze szli jeszcze wzdłuż taborów, pojedyncze strzały kończyły tu i ówdzie jakieś umieranie zbyt powolne, zbyt odporne; uniesione jeszcze łby końskie opadały w kurz drogi, milkły rozdzielające głosy w drgających gardzielach, nieruchomiały rozwarłe, szczerzące zęby pyski. Ogromna cisza zaległa nad równiną.

- Myślisz... myślisz-spytał Cyprek cicho'-że to... ma jeszcze jakiś sens?

Gdyby ktoś inny zadał Krzysztofowi to pytanie, może wyciągnąłby broń. Miał za sobą dziesięć dni powolnego dochodzenia do zupełnej jasności w tej sprawie: ta ziemia miała być broniona, może na przekór rozsądkowi, ale dla jakiegoś celu ważniejszego niż rozsądek. Każdy, kto myślał inaczej, nie był godny uczestniczyć w tym tragicznym przesłaniu, które miało być stąd przekazane światu. Więc gdyby ktoś inny zadał mu to pytanie, wyciągnąłby pewnie broń. Ale to pytał brat, młodszy brat, który płakał, gdy zabijano konie. Widział zapewne także śmierć ludzi, ale może nie wydawała mu się ona tak okrutna...

- To ma sens - odpowiedział krótko. - Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

Cyprek patrzył mu w oczy z rozpaczą. Czekał na jakieś inne, na jakieś ludzkie słowo, na braterski uścisk. Krzysztof widział to w jego spojrzeniu, odczytywał w nim to pragnienie, które i jemu rozwierało ramiona, które i jemu drgało w krtani wzbierającym płaczem. Rozumiał go. Czy można w nTe mieć tych wątpliwości, czy można było me zadawać sobie tych pytań? A jednak twardo powtórzył:

_ Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

Cyprek znalazł wreszcie chustkę, wytarł w nią twarz.

- Więc... do ostatka? - zapytał cicho.

- Do ostatka.

XXII

Te wszystkie inne miejsca, w. których mógłby być...

A więc Kijów... Gdyby ojcu nie zachciało się ojczyzny (odszukał w pamięci to pierwsze, od dawna zarzucone nazwanie powrotu do kraju), siedłby sobie teraz (daleko, daleko od wojny) Kreszczatikiem, w upalnym, ukraińskim słońcu, a słodkiej woni wszystkich owoców, które jesień zgromadziła na ulicznych straganach, w łagodnym wietrze, ciągnącym znad Dniepru, znad wielkiej, przyjaznej, leniwie płynącej między zielonymi stepami wody. Szedłby sobie teraz Kreszczatikiem (daleko, daleko od wojny) i mógłby przy pierwszym lepszym straganie kupić sobie złocistą kiść winogron albo kilka soczystych brzoskwiń, omszałych dojrziałym rumieńcem, mógłby wbić w nie zęby, poczuć ich

orzeźwiający sok na języku, w gardle, w całym sobie...
Mógłby wejść do pierwszego lepszego sklepiku, w którym sprzedawano kwas chlebowy, stanąć przy beczce, przy ogromnej, pełnej jeszcze beczce, i pić, pić, pić...
Miał chyba gorączkę, bo w chwili gdy na wąskie ramie półwyspu, na to strzeliste pasemko ziemi wyniesione ponad wodą, waliły się z powietrza i morza tysiące ton dynamitu i żelaza, gdy rozpadały się umocnienia portu, paliły się domy w osadzie i las, w którym schronili się ludzie, gdy bez przerwy biła artyleria cypłowa i wszystkie działa przeciwlotnicze, a do małego szpitaliku znoszono wciąż rannych, on nie mógł oderwać myśli od soczystych, nabrzmiałych sokami ziemi owoców, od rzeźwiących napoi, w których można by zanurzyć spękane, krwawiące wargi. Od dziesięciu dni trawiło go to pragnienie; nie ugasił go wodą w małym rybackim domu, do którego się zawlókł, nie udało mu się to wtedy, i wciąż myślał, że gdyby wypił to całe wiadro wody, zamiast trzymać w nim poparzone ręce, gdyby je wypił wtedy, udałoby mu się ugasić pragnienie, nękające go razem ze wspomnieniem najgorszych chwil jego życia, tych chwil, kiedy widział, jak płonie i pogrąża się w wodzie, jak rozpada się i osiada na dnie jego okręt.

Był zapewne chory, może nawet bardzo chory, ale nie zgłosił się do szpitala, w którym i tak ciężko ranni leżeli na korytarzach, w sieni i na strychu, nie zgłosił się nawet do punktu sanitarnego w porcie, ale razem z artylerzystami i tymi, którzy dołączyli do nich, wymontował trzy działa z Gryfa, a potem przy pomocy saperów postawił dla nich betonowe podstawy i czekał, żeby stężały, żeby zaschły, żeby skamieniały i mogły przyjąć na siebie ciężar studwudziestomilimetrowej baterii. Cekał na tę chwilę, dowodząc obsługą przeciwlotniczych boforsów, także zdjętych z okrętu, i czuwając przy dwulufowych enkaemach, których ogień wydawał mu się jednak wciąż za mały i za słaby, aby ten nadludzki wysiłek, jaki włożyli w wymontowanie tej broni pod bezustannymi atakami lotniczymi, okazać się miał potrzebny i celowy. Żeby doznać tego zadośćuczynienia, musiał usłyszeć głos okrętowych dział, przeniesionych na ziemię dla jej umocnienia i obrony, musiał usłyszeć ten głos, jak będzie wtórował baterii cypłowej, bijącej w morze i nie dającej nieprzyjacielowi żadnych szans desantu.

A gdzieś na świecie (daleko, daleko od wojny) były spokojne miasta i soczyste owoce na straganach, i sklepy pełne orzeźwiających napoi, wystarczyłoby tylko wejść, kupić, otworzyć butelkę, napełnić szklanek zimnym płynem i zanurzyć w nim trawione gorączką usta.

Te wszystkie i inne miejsca, w których mógłby być...
Gdyby słuchał ojca, nie nosiłby munduru, ale garnitur z angielskiej flaneli, wieczorami smoking albo frak (te pudle z dyplomacji wciąż wynajdywały sobie okazje, żeby się tak ubierać), i dowiedziałyby się o wybuchu wojny, być może, w Ankarze, w Rio de Janeiro albo w Nowym Jorku. W jakiś sposób zmieniłoby to oczywiście jego sytuację, ale miałyby przynajmniej co pić i nie leżałby razem z innymi na brudnej podłodze jakichś pokoi i korytarzy, gdzie można było zażyć krótkiej rozkoszy snu. Nie uważałby za luksus, za grzech przeciwko wspólnemu poświęceniu spędzenie nocy w rybac-

kiej izbie, której pustka i cisza były tak intensywne, że odgradzały od wszystkiego, co działo się na zewnątrz: od detonacji artylerii i od huku spadających bomb. Nie przeżywałby tego wszystkiego, po prostu nie byłby tutaj. Nie mógł sobie wyobrazić, jak się zachowuje, jak musi się zachowywać dyplomata, którego kraj prowadzi wojnę i wojnę tę przegrywa. Chyba nie wkłada już smokingu ani fraka na wieczór, chociaż... jeśli rauty wydają ambasady państw zaprzyjaźnionych albo neutralnych? Może nawet należałoby się na nich pokazywać, aby udowodnić, aby wciąż udowodniać, każdą wizytą, każdym pojawieniem się w kołach towarzyskich, że kraj, choć pokonany, jednak istnieje, jak długo istnieją i noszą fraki jego dyplomaci. Te tace z napojami, jakie na wszystkich rautach roznoszą kelnerzy! Te patery z owocami, po które wystarczy sięgnąć ręką, aby między jednym a drugim sloganem o czujności Ligi Narodów zgnieść w ustach soczyste grono winorośli! Mógłby być jednym z tych salonowych pudli, mógłby udawać, że nie spada na niego (po tragedii Czechosłowacji!) odium tego najbardziej skompromitowanego zawodu świata. Oczywiście przesadą byłoby - choćby nawet tylko przez wspólne poczucie winy - stawianie się w jednym rzędzie z Chamberlainem i Daladierem, podrzędny dyplomata podrzędnego państwa powinien mieć więcej skromności, ale był pewien, że ta nieskromność mogłaby się przydarzyć właśnie jemu.

Te wszystkie inne miejsca, w których mógłby być! Ankara, Rio de Janeiro, Nowy Jork (daleko, daleko od wojny), Sztokholm, Lizbona, Londyn albo Paryż. Garnitury z angielskiej flaneli, smokingi i fraki, tace z napojami, roznoszone przez kelnerów, patery pełne owoców, po które wystarczyłoby tylko sięgnąć ręką...

Ale czy te pudle z dyplomacji były w ogóle w stanie posiadać pełną wiedzę o tym, w jaki sposób człowiek dowiaduje się naprawdę, że ma ojczyznę?

Dnie wlokły się jak żółwie, powolne, wciąż takie same, bo nawet strach i śmierć trzymane nad człowiekiem zbyt długo stają się w końcu nużącą monotonią.

I raptem w tym powtarzaniu się wszystkiego, do czego już przywykli, przydarzyło się niespodziewanie święto dobrych wieści.

Przyniósł je Grześ, który do obsługi dział się nie nadawał, ale który w ciągu kilku dni pobytu na lądzie nabył umiejętności nie mniej cennej: zawsze, w każdej sytuacji potrafił znaleźć coś do jedzenia. Nie tylko przynosił z odległej kuchni zupę i kawę, a czasem i kaszę, nie wystygła wcale po drodze (bo kasza - jak mawiał - najdłużej trzyma ciepło), ale potrafił także wydostać skądś konserwę mięsna, ziemniaki pieczone w ognisku albo nawet rybę, którą o kilka kroków od enkaemów i działek przeciwlotniczych opiekał nad ogniem. "Panie kapitanie! - wołał go wtedy przyciszonym głosem i gestem intymnym, bo te specjały nie były przeznaczone dla wszystkich. - Niech pan siada do stołu!"

I wskazywał mu miejsce na ziemi przed wzniesieniem z darni, na której rozkładał swoje zdobycze, nie mogąc ukryć rozczarowania i złości, gdy kapitan dzielił je między całą obsługę. "Na wszystkich nie nastarczę - mawiał wtedy

obrażony. - Spod ziemi wyrwę? Spod tego piachu?" Ale już po kilku godzinach zjawiał się z nową niespodzianką, bardzo dumny ze swego w tak dziwnych okolicznościach przejawiającego się sprytu i przedsiębiorczości.

Tego dnia jednak wyraźnie coś odświeżającego było w jego twarzy. Przyniósł konserwy dla wszystkich i otwierając je bagnetem, podnosił raz po raz głowę i uśmiechał się do kapitana.

- Iz czego ty się tak cieszysz? - spytał w końcu

Wołodia.

Grześ wyszczerzył zęby w całkiem wyraźnym uśmiechu.

- Pan kapitan nic nie wie?

- O czym?

Grześ droczył się z nim dalej:

- Naprawdę pan kapitan nic nie wie?

Niebo było od kilku minut czyste, a i na morzu nic nie wróżyło niepokoju, więc Wołodia przysiadł na ziemi obok Grzesia. Zanim go jednak zagadnął, co go tak raduje, zmarszczył brwi i surowo zapytał:

- Piłeś?

- Melduję posłusznie, że piłem, panie kapitanie. I panu także przyniosłem. - Grześ sięgnął po manierkę.

Wołodia, który miał wargi wciąż spieczoną gorączką, z dużym wysiłkiem odwrócił od niej wzrok.

- Co to znaczy? Czy wiesz, co to znaczy?

- Wiem, co to znaczy, panie kapitanie. Wszyscy pija z radości. Sam kwatermistrz otworzył jakiś magazyn, jak się dowiedział.

- O czym?! - krzyknął Wołodia.

- Pan kapitan nic nie wie?

- Mów, do jasnej cholery!

- Zatopiliśmy szwabski okręt! - obwieścił z triumfem

Grześ.

- Gdzie? Kiedy?

- Na wschód od cypla. Artyleria wstrzelała się w okręty blokady i zatopiała jeden. Przy kotłach wszyscy o tym mówią. Kuchnia miała zawsze najlepsze wiadomości (spotykali się tam wysłani z menażkami kurierzy wszystkich stanowisk bojowych, usytuowanych na wybrzeżu od strony zatoki i od strony Wielkiego Morza), wiadomość przyniesiona przez Grzesia więc wydawała się pewna. Wołodia sięgnął po manierkę.

-Co to za okręt?-zapytał.

- Trałowiec. Poszedł na dno, tylko mu kuper przez godzinę widać było ponad wodą.

- Z blokady?

- Z blokady. Przynajmniej Niemcy jeszcze wierzą, że może nadejść dla nas pomoc.

- Ale tego nie uważałbym już za tak zabawne - zwrócił Grzesiowi uwagę Wołodia. Zaczynała go denerwować ta wzmożona alkoholem rozmowność i rezolucyjność chłopaka.

- Tak wszyscy mówią, panie kapitanie - bronił się Grześ. - Że jeszcze tylko Niemcy wierzą w angielską i francuską pomoc dla nas.

- Zamknij gębę! - powiedział Wołodia i odstawił manierkę, choć miał ochotę dowiedzieć się, czym jest

napełniona.

- Jeszcze mnie pan kapitan poprosi, żebym otworzył tę gębę - udawał obrażonego Grześ. - Bo to nie koniec dobrych nowin!

- Nie koniec? Mów!

- Aha! Teraz to mów!

- Co jeszcze? - krzyknął Wołodia.

Grześ zachichotał:

- "Ptaszki" wyszły z portu w Jasiami: Jaskółka, Czajka i Rybitwa przeszły na drugą stronę zatoki, ostrzelały Niemców w Rewie i wróciły jakby nigdy nic. Niemcy zgłupieli, nawet samolotów nie zdążyli wysłać.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Sam by pan kapitan posłuchał, co ludzie mówią!

- Grześ spojrzenie miał zaczepne i zuchwałe.

Wołodię niespodziewanie to wzruszyło. Kilka zwycięstw, i ludzie by odżyli, myślał. Potrzebne im było to podniesienie głowy, ta otucha, zmieniająca rytm serca. Sam czuł to samo, choć u niego objawiało się to jeszcze i zazdrością: czemu wojna nie zaskoczyła go na Rybitwie, na tym małym, dzielnym okręcie, na którym spędził kilka dobrych lat? Ale zaraz zawstydził się tej myśli, bo była zdradą wobec Gryfa, a był to okręt umarły. Albo czemu nie był przy baterii cyplovej? Na co przydała mu się ta jego Ecole d'Officiers Canonniers? Och, niech no tylko zastygnie ten cholerny cement, a wtedy stanie przy swoich boforsach, otworzy z nich ogień...

- O czym pan myśli, panie kapitanie? - spytał Grześ.

Zionął wódką, ale oczy miał czułe i patrzył nimi na swojego dowódcę prawie z tkliwością.

Wołodia, zanim odpowiedział, pomyślał ze wzruszeniem, że wojna nie obeszła się z nim jeszcze tak najgorzej, skoro obdarowała go przywiązaniem Grzesia i przyjaźnią Hejkowej, starej kobiety, która udzieliła mu pomocy, a także i swego spokoju w chwili, gdy najbardziej tego potrzebował. Wciąż nie miał się jej czym odwdzińczyć, i wreszcie teraz przyszło mu coś na myśl.

Wyjął z kieszeni srebrną papierośnicę. Ofiarowali mu ją koledzy z Rybitwy, gdy opuszczał ten okręt. Miała w rogu złotą plakietkę z ptaszkiem i wygrawerowanymi pod nim imionami ofiarodawców.

- Słuchaj - powiedział do Grzesia - weź to i postaraj mi się gdzieś o butelkę spirytusu i kilka prześcieradeł. Spirytus Grzesia nie zaskoczył, ale prześcieradła go zdziwiły.

- Po co... panu kapitanowi prześcieradła? - wyjąkał.

Dopiero teraz poczuł się pijany.

- Pytałeś, skąd te wspaniałe bandażę na moich rękach.

No widzisz, teraz muszę je oddać. Chciałbym je oddać. Ma się rozumieć w całości.

- W całości... - powtórzył za nim Grześ.

- Możesz to załatwić? Ta papierośnica jest coś warta.

Grześ obejrzał ją, szczególnie złoty ptaszek i podpisy pod nim wzbudziły jego zainteresowanie, ale zaraz oddał ją kapitanowi z powrotem.

- Niech ją pan kapitan schowa na gorszy czas.

Wołodia uśmiechnął się do niego ze smutkiem.

- Może być jeszcze gorszy?

- Bo ja wiem? - zamyślił się Grześ. - Jest wojna... Ale ja to panu kapitanowi załatwię bez papierośnicy - ożywił się. - Jeszcze bym kogo obraził, jakbym coś takiego zaproponował.

- Ale ja potrzebuję tego już!

Grześ ustawiał właśnie otwarte puszki konserw na stole z darni. Spojrzał ku Wołodi, przymrużył oko i powiedział:

- Zrobi się, panie kapitanie!

Kiedy indziej kapitan Jazowiecki zareagowałby na ten ton zbytnej poufałości, zresztą Grześ nigdy by przedtem sobie na nią nie pozwolił, teraz dyscyplina zupełnie się rozprzegła, regulamin wojskowy - jeśli nie zdążył stać się nawykiem - poszedł w zapomnienie. Ale zastąpiło go coś o wiele cenniejszego: całkowite zbliżenie, zespolenie się załogi półwyspu. Rejonu Umocnionego Hel, jak oficjalnie się nazywał w planach obrony, choć prawdziwie umocniony był nie sprzętem, nie fortyfikacjami i zaporami minowymi, lecz ludzką, zacieklą wolą obrony.

A Grześ odwoływał kolejno chłopaków ze stanowisk bojowych i karmił ich, nie przestając opowiadać o zatopieniu niemieckiego trałowca i zwycięskiej akcji "ptaszków". Zadziwiły te "ptaszki" wszystkich jeszcze i w ciągu następnych dni. Czternastego dnia wojny dokonały postawienia zapory minowej, która miała być dziełem Gryfa pierwszego września. Trzy okręty: Jaskółka, Czajka i Rybitwa, w ciągu nocy pobrały miny z barek zakotwiczonych w Jamie K-użnickiej, dokonały tego przy wygaszonych światłach, w miejscu niezwykle trudnym dla żeglugi nawet za dnia, w zakolu niebezpiecznych mielizn, wykonały zadanie w przewidzianym czasie i przed świtem wróciły do portu w Jastarni.

Piętnastego września dywizjon znowu znalazł się po drugiej stronie zatoki. Wzdłuż całego półwyspu niesło się echo wystrzałów artylerii "ptaszków", wspierających swym ogniem polskie przeciwnatarcie na Rewę. Po południu cała załoga półwyspu wiedziała już o pochwie dla dywizjonu w rozkazie dowódcy floty.

Ale tym razem Niemcy nie zgłupieli, jak mawiał Grześ. Bohaterskie małe okręty zostały zaatakowane po powrocie do portu dwoma silnymi nalotami. Przestała istnieć Jaskółka, strawiona pożarem po wybuchu amunicji, a Czaplę rozerwały i zatopiły bomby. Tylko Rybitwa, na której pośpiesznie naprawiono uszkodzenia, nadawała się do przejścia na Hel wraz z załogami okrętów.

Wołodia ledwie zwalczył napływające do oczu łzy. Rybitwa wchodziła do portu zalana krwią rannych, strzaskana odłamkami bomb, ale zuchowato trzymająca się na wodzie. Jego mały, stary, dzielny okręt! Gdyby pływał do końca na jego pokładzie, miałby przynajmniej wspomnienia nie tylko klęsk, ale i zwycięstw. I po cóż ci, człowieku, wspomnienia? pomyślał. Dla wspomnień trzeba mieć przed sobą długie życie, życie spokojne... dopiero na jego tle wspomnienia, opowiadane w gronie przyjaciół... Nie dokończył już tej myśli - rozpaczliwie szukał wśród tych, których nie znoszo-
no, którzy sami mogli zejść po trapie, znajomych twarzy. I zaraz też je dojrzał.

Kapitana Borysiewicza z Jaskółki otoczył z miejsca tłum. Wiedziono go triumfalnie ku Dowództwu Floty - siódme-go września Jaskółka zestrzeliła pod Mechelinkami niemiec-ki bombowiec, pamiętano tu tę datę.

Wołodia dostrzegł też na trapie kapitana Szaflarka, odłożył więc sobie na później uściskanie Borysiewicza i chłopców z Jaskółki (czekały ich wspólne dnie na ciasnej powierzchni helskiego cypla, gdzie o spotkanie było nietrud-no) i rzucił się ku przyjacielowi z Rybitwy.

- Spać! - powiedział Szaflarek, uwalniając się z jego ramion. - Przede wszystkim spać!

'< - Och! - zawołał Wołodia. - Mam dla ciebie cudowne miejsce! - Dom Hejkowej wydawał mu się pałacem i w nim właśnie miał zamiar przyjąć wracającego z morza przyja-ciela.

Akurat rano Grześ dostarczył mu spirytus, trzy przeście-radła i kilka konserw. Rozluźnienie dyscypliny w magazy-nach świadczyło o tym, że nie chciano oddać ich nie opróżnionych Niemcom, ale Wołodia o tym wolał nie myśleć. Zaniósł to wszystko Hejkowej, i choć jej nie zastał, był pewien, że przyjdzie z lasu, żeby ugotować coś ciepłego do jedzenia, i wtedy znajdzie jego dary w umówionym miejscu, za piecem w kuchni, gdzie składała drzewo i gdzie kilkakrotnie zostawiał jej chleb.

I tak rzeczywiście było. Gdy szedł, prowadząc do niej Szaflarka, już z daleka uśmiechała się do niego bezzębnymi ustami, wychylona ze swojego okienka w drzwiach. Musiała na niego czekać, musiała go nawet niecierpliwie wyglądać, spodziewając się, że się wreszcie zjawi, skoro cały dzień spędził przy działach. Biły w różnych punktach od strony zatoki i Wielkiego Morza, nad półwyspom przelatowały samoloty, rzucały bomby zapalające, strzelały z broni pokła-dowej, raz po raz najcięższym dudnieniem odzywały się pancerniki, coraz śmielej zbliżające się do Helu, ale ludzie 14 - Tak trzymać t. II 417

potrafili jednak się do siebie uśmiechać. Odsunęli na bok wszystko, czego przyjąć nie chcieli, zdobyli się na to, i to było ich małe zwycięstwo.

Wołodia przyspieszył kroku, podniósł rękę i pozdrowił rybaczkę prawie radosnym gestem.

- Popatrz - powiedział do Szaflarka - jaką sobie dziewczynę znalazłem.

- Wołodia! -jęknął Szaflarek. Zupełnie nie miał ochoty do żartów.

Ale Wołodia nie żartował.

- Nie bądź głupi! - obruszył się. - O czym ty myślisz? To prawdziwe złoto! Pęczek swoich dawnych dziewczyn oddałbym za tę jedną staruszkę.

Szaflarek dopiero teraz zrozumiał, kogo Wołodia ma na myśli.

- O, tak! - powiedział. - Ktoś taki jest mi też potrzebny.

Po chwili siedzieli już przy stole, przykrytym wyszywana serwetą w niebieskie i żółte kwiaty, a z kuchni dochodził smakowity zapach odgrzewanej na patelni konserwy.

- Śniło ci się coś takiego? - spytał Wołodia cicho.

- Podczas tych wszystkich nocy na okręcie?

- Nie. Ale należy mi się taka chwila po dwóch tygodniach piekła.

Hejkowa wniosła butelkę i dwa kieliszki na cienkich, nadszczerbionych nóżkach.

- O, co to, to nie! - zaprotestował Wołodia. - To spirytus dla starego. Żeby miał czym smarować nogi.

- Starczy i na nogi - mruknęła kobieta.

- Co to takiego? - zainteresował się Szaflarek.

Wołodia pokazał mu ręce z nie wygojonymi jeszcze śladami poparzeń.

- To rewanz. Za spirytus zużyty do moich ran, kiedy się tu dowlokłem po pożarze Gryfa. - Pochylił się nad stołem, oczy mu błyszczały. - Zdołaliśmy wymontować działa!

Dwie wieże. Schną już pod nimi fundamenty, ' '

- Zdążą zastygnąć? - spytał Szaflarek w roztargnieniu.

Nie przestawał przyglądać się natarczywie butelce. To wszystko, co tego dnia przeżył i co miał jeszcze w oczach domagało się zmazania, wytrącenia z pamięci choćby na krótki czas.

Wołodia zamilkł.

- Zdążą zastygnąć? - powtórzył swe pytanie Szaflarek.

- Na kiedy bateria będzie gotowa do strzelania?

- Na trzydziestego września.

- Na kiedy?

- Na trzydziestego września.

- Mówisz to poważnie?

- A sądzisz, że żartuję?

- Na trzydziestego września! - powiedział jeszcze raz

Szaflarek. I zaraz dodał: - Człowieku!

Wołodia pożałował nagle, że czekał w porcie na wejście Rybitwy, że zauważył na trapie przyjaciela i że zabrał go ze sobą do Hejkowej. Marzenie, które dodawało mu sił w ciągu tych ostatnich dni, dzięki któremu przezwyciężył strach i cierpienie, to marzenie okazywało się teraz zaledwie mrzonką, śmieszną i nierealną.

Szaflarek wyczytał to wszystko z jego twarzy i choć głównym zainteresowaniem darzył wciąż butelkę, wyciągnął współczująco rękę i przyjacielskim gestem położył ją na ramieniu Wołodi.

- Przepraszam - rzekł. - Nie chciałem cię urazić.

Chodziło mi tylko o to, żebyśmy wreszcie nauczyli się myśleć trzeźwo.

- Nie chcę! - powiedział cicho Wołodia. - Nie chcę!

Hejkowa zrozumiała prawdopodobnie niewiele z tego, o czym mówili, ale wybrała właściwy moment na otwarcie butelki. Ostra woń spirytusu rozeszła się po izbie.

Wołodia wstrząsnął dreszcz.

- To będzie obrzydliwe.

- Nie, dlaczego? - zdumiał się Szaflarek. - Może tylko przydałoby się coś do rozcieńczenia. - Spać! - powiedział nagle. - O Boże, spać! I niech się dzieje, co chce.

- Mam trochę kawy - powiedziała Hejkowa.

- Kawy? - ucieszył się Szaflarek.

- Nie ciesz się tak bardzo! Zbożowa.

- Niech będzie zbożowa!

Rozcieńczyli część spirytusu kawą. Pociągnęli z kieliszków. Hejkowa, częstowana, potrząsnęła gwałtownie głową.

Przyniosła z kuchni mięso, wyłożyła na talerze.

- On także oficer? - spytała Wołodię, wskazując wzrokiem Szaflarkę.

- Także.

- I nie ma już okrętu?

- Nie ma.

- To już wszystkie poszły na dno?

- Jedne poszły na dno, drugie nie nadają się już do pływania.

- To co będzie?

- Będziemy bić się na łodzi - odpowiedział Wołodia.

Spirytus z kawą zbożową strasznie mu nie smakował, ale chciał się upić, chciał się upić i zwalić pod stół bez żadnej myśli, jak zwierzę.

- Ja ci coś powiem - rzekł Szaflarek, odczekawszy, aż Hejkowa wyjdzie do kuchni po ziemniaki, które właśnie dogotowywały się na brzegu płyty.

- Co takiego?

- Paliwo!

- Jakie paliwo?

- Do okrętów. Wiesz, na ile mieliśmy jeszcze paliwa? Na trzy dni. A teraz wyobraź sobie, że niszczyciele i okręty podwodne nie odchodzą do Anglii, że Wicher, Gryf, nasze "ptaszki" i inne mniejsze jednostki nie są zniszczone, że wszystko to walczy, a więc pływa! Na jakim paliwie, pytam się, z jakich baz? Zdaje mi się, że wyobrażaliśmy sobie tę wojnę jako jeszcze bardziej błyskawiczną, niż wyobrażali ją sobie Niemcy. - Szaflarek chwycił się za głowę. - Nie wiem - szeptał - nie wiem. Nic nie wiem.

Hejkowa wniosła na talerzu cztery dymiące ziemniaki. Po dwa na każdego.

- Jedzcie! - powiedziała, przysiadając na brzegu krzesła. Wołodia pocałował ją w rękę, małą i lekką jak wyschnięty liść.

- Dziękuję, matko. I posiedźcie z nami. Zostańcie choć na chwilę. Bo on - wskazał wzrokiem przyjaciela - dopiero dziś stracił swój okręt i jeszcze ma wszystko przed oczyma. Nie potrafi odwrócić serca ku nadziei. Pomóżcie, jak pomogliście mnie.

- Ale ty tego chciałeś - powiedziała cicho kobiecina. Podniosła jednak oczy na Szaflarkę. Były małe, wyblakłe, prawie niewidoczne pod zaczerwienionymi, opuchniętymi powiekami, ale Szaflarek ledwie zniósł ostrość ich spojrzenia.

- Boli? - zapytała.

- Boli - odpowiedział cicho.

- Trzeba myśleć tylko o tym, że jak się coś źle zaczyna, to się dobrze kończy.

- Nie potrafię! - krzyknął. - Nie potrafię!

- Musisz. Wiem, że boli. Wiem, że za wcześnie. Ale musisz! - Przeniosła wzrok na Wołodię. - On w to wierzy.

-- Wierzę - przyświadczył jej Wołodia.

Stara kobieta uśmiechnęła się do niego. Zakołysała się na krześle i powiedziała śpiwnym, wysokim głosem:

- - Postrzelasz ty sobie jeszcze do nich jak do kaczek. Jak do kaczek! Już teraz ludzie mówią", że wiele samolotów spadło w morze.

Wołodia szarpnął ją z radością za ramię.

- Ludzie to widzieli?

- Mówią, że tak. Nie wszyscy się boją i siedzą w ziemiankach. Są tacy, co w niebo patrzą. Już się do tego przyzwyczaili.

- I co mówią? Co mówią? - dopytywał się Wołodia.

- Że wiele samolotów w morze poszło. Tu i nad Jastarnią.

- Słyszysz? - zwrócił się Wołodia do Szaflarka. - Słyszysz? Dzieje się to poza zasięgiem naszej widoczności, wiesz dobrze, że na morzu zestrzelenia nie sprawdzisz jak na ziemi, ale ludzie widzą, że są trafienia, ludzie to widzą! Szaflarek przysłuchiwał się temu apatycznie.

- I jakie to ma znaczenie? - zapytał.

- Wiesz co? - Wołodia zerwał się od stołu. - Idź spać! Bardzo cię proszę, idź spać!

- Marzę o tym. A tobie wciąż się coś roi.

Hejkowa przygotowała im posłania, przyniosła wody ze studni, napełniła nią dwa dzbanki i postawiła przy łózkach. Wołodia od razu podniósł swój do ust, zanurzył w nim spieczone wargi. Podczas dnia nie czuł gorączki, teraz chyba wracała, Szaflarek miał rację, roiło mu się coś niedorzeczne-go. Trzeba było myśleć realnie, ale każda myśl realna była śmiercią albo niewolą. Po raz pierwszy pomyślał o niewoli, i zatrzęsł nim głęboki, przejmujący do szpiku kości dreszcz. - Nie - powiedział cicho do siebie. - Nie! - I wybiegł za Hejkowa. Nie czuł się śmieszny, że szuka u niej ratunku. Była starą, prostą kobietą, skądże mogła lepiej znać się na wojnie niż on, szkolony w uczelniach wojskowych wszystkich stopni, a jednak pragnął usłyszeć choćby jej głos, już w nim samym była jakaś otucha. - Zabraliście spirytus dla męża? - zawołał za nią.

Przystanęła na pustej drodze, mała i leciutka, stare, wytarte życiem piórko, które mógłby porwać byle wiatr. Ale to było złudzenie, bo trzymała się ziemi dobrze, i była tą otuchą i spokojem, wyprostowana i schludna, w czystym fartuchu, widocznym spod watowanego kubraka, i w białej chustce na głowie. Uśmiechnęła się do niego.

- Zabrałam. Spije się dzisiaj stary.

- Na zdrowie! - krzyknął.

- Wariatka? - spytał go Szaflarek, gdy wrócił do izby.

- Dlaczego wariatka?

- "Postrzelasz ty sobie do nich jak do kaczek". Boże święty, wymyślić coś takiego!

Wołodia chwycił go za ramiona, potrząsnął nim z wściekłością, której zaraz potem się zawstydził.

- Pomaga mi to znieść! Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem - powiedział Szaflarek. - A teraz pozwól mi spać.

Wysoki warkot samolotu, który słyszeli od pewnego czasu, nasilił się nagle, obniżył i przeszedł w ogłuszający huk. Wołodia spojrzał pytająco na Szaflarka.

- Ja zostaję - mruknął ten, siadając na łóżku. - Dokąd będę uciekał? Wszędzie mogą czło...

Nie dokończył. Obły kształt, tak przypominający mieszkańcom tej osady olbrzymią rybę, jakiej nigdy tu jeszcze nie złowiono, ale o jakiej zawsze marzyli rybacy, musiał ode-

rwać się właśnie od samolotu i runąć w dół, bo detonacja rozległa się gdzieś w pobliżu, i mały domek zatrzęsł się w posadach. Drzwi, te śmieszne drzwi z oknem w górnej połowie, najpierw otworzyły się gwałtownie, a potem wyleciały z zawiasów i upadły po przeciwległej stronie ulicy. Przesunęły się sprzęty, ze ścian posypał się tynk i farba.

- No i masz! - powiedział Szaflarek, ściągając buty.

- Będę spał jak na werandzie.

Wołodia, tknięty złym przeczuciem, rzucił się ku drzwiom, ku futrynie wypełnionej przedwiecznym światłem.

- Dokąd idziesz? Oszalałeś?! - zawołał za nim Szaflarek. - Tu teraz najbezpieczniej. Drugi raz w to samo miejsce nie rzuca!

Ale Wołodia biegł już ulicą ku miejscu, w którym wybuchła bomba i w którym unosił się jeszcze nad ziemią słup wibrującego powietrza, opadając powoli w głęboką wyrwę w okaleczonej ziemi. Spadła między domami, na pusty plac, a może w ogrodzie - trudno było teraz rozpoznać, czym był przedtem ten kawałek zrytego gruntu - ale siła jej wybuchu i odłamki poczyniły wokoło mnóstwo szkód. Wołodia nie przyglądał się im, biegł dalej, minął wyrwę i przystanął dopiero wtedy, gdy zobaczył pośrodku ulicy bezwładny kształt ludzki w znajomym mu ubraniu. Tylko biała chusteczka na głowie nie była już biała. Jej biel pochłaniała, zagarniała łapczywie jakaś ciemna barwa, rozlewająca się coraz większą, coraz rozleglejszą plamą.

Podbiegł, ukląkł przy leżącej. Kobieta już nie żyła; Musiało się to stać w jednej chwili. I dobrze, pomyślał, że stało się to w jednej chwili - szła do męża, cieszyła się z tego, że w torbie ma nie tylko kawę i ziemniaki, myśli miała pogodne, nie skaził ich strach ani cierpienie. Ale co będzie ze

423.
mną, pomyślał w popłochu, co będzie teraz ze mną?

Kałuża krwi wokół głowy kobiety zwiększała się z każdą chwilą, obok niej druga - schnąca szybko - zwilżyła ziemię. Wołodia, pochylony nisko, poczuł woń spirytusu, i dopiero teraz pragnienie płaczu chwyciło go za gardło. Na pustą dotąd ulicę wypełzli skądś jacyś ludzie, oglądali zniszczenia. Powiedział im, żeby zawiadomili Hejkę o śmierci jego żony, a potem wziął ją na ręce i zaczął nieść ku domowi. Szaflarek zapewne już spał. Wniesienie ciała do domu oznaczałoby pozbawienie go odpoczynku, który mu się należał po tym, co przeżył, i przed tym, co go czekało jutro. Musiał więc ukryć przed nim śmierć gospodyni, nie wciągać go w tę sprawę, wziąć ją tylko na siebie, tylko na siebie. Hejkowa nie miała w tej chwili nikogo prócz niego. Posadził ją pod bielejącą w mroku ścianą domu, oparł ją o nią, żeby się nie zsunęła i jeszcze raz nie upadła na ziemię. Przyniósł drzwi, rzucone na drugą stronę ulicy, położył je przy grzędzie astrów, które kwitły po drugiej, południowej stronie domu, gdzie był mały ogródek, podwórze i studnia i gdzie Hejkowa spędzała chyba w lecie całe dnie, ułożył ją na wyrwanych z zawiasów drzwiach jej starego domu, złożył na piersiach spracowane ręce. Znowu wydały mu się podobne do wysuszonego liścia, choć teraz nie były już lekkie, zdziwił się, jak ciężkim czyni ciało śmierć.

Chciał się pomodlić, zmówić choćby najkrótszą modlitwę za umarłych – nie potrafił. Posiedział tylko chwilę na ławce pod domem, wydało mu się to lepsze niż modlitwa, lepsza taka obecność przy kimś, kto odchodzi, kto zabiera ze sobą nie wiadomo dokąd swoje żywe istnienie, pozostawiając po sobie tylko echo swoich kroków i słów. Wydało mu się, że jeszcze drżą w powietrzu, że jeszcze można je usłyszeć, przytrzymać, utrwalić pamięcią...

A jednak będę do nich strzelał jak do kaczek, pomyślał.

W trawie pod płotem odezwał się świerszcz, na niebie ukazały się pierwsze gwiazdy. W uspokojonym na krótko powietrzu zatoczył koło niskim lotem nietoperz.

Wołodia wszedł cicho do izby, wziął jedno z prześcieradeł, które rano zostawił Hejkowej, i przykrył ją tym białym płótnem, otulił ją nim jak kocem przed nocnym chłodem.

Doznał przy tym uczucia, że po raz drugi traci matkę i że już naprawdę nigdy nie będzie jej miał. Jak do kaczek! powtórzył w myśli. Cicho wrócił do izby i położył się na posłaniu śmiertelnie znużony, ale pewien, że nie zmruży oka do rana.

Szaflarek jednak także nie spał. Niespodziewanie odezwał się z ciemności:

- Dokąd wciąż łazisz? Stało się co?

- Nie, nic – odpowiedział cicho. – Poszedłem zobaczyć, gdzie bomba upadła.

- Niedaleko?

- Niedaleko.

- Popatrz, Wołodia – odezwał się po chwili znowu

Szaflarek – jak to szybko poszło!

- Co?

- Jeszcze pytasz co? Wszystko. Przez dwadzieścia lat nas szkolili. Uczyliśmy się morza, my, pierwsze morskie pokolenie tego kraju, ileż to było radości dla szczeniaków, które po raz pierwszy powąchały morski wiatr! Przypomnij sobie, my na Iskrze, ci z handlowej na Lwowie. Ile radości, ile nadziei! I przychodzi taka wojna, kilka dni, i nie mamy już nic...

- Spij!

- Nie mogę spać. We łbie mi wszystko huczy. Szkoda, że oddałeś spirytus tej starej. Na pewno zmarnują go tam w lesie.

- Nie zmarnują – powiedział Wołodia. ;

- Wypiłbym teraz nie wiadomo ile, żeby wreszcie zasnąć. ;

- Postaraj się zasnąć bez tego.

- Postaraj się! Dobrze ci mówić. Ty się już przyzwyczaiłeś. Kiedy zatonał Gryf!

- Trzeciego.

- Prawda, już trzeciego! No to prawie dwa tygodnie temu.

- Dwa tygodnie. Śpij!

- Nie mogę spać. Słuchaj! Wciąż nie mówimy o najważniejszym.

- O czym?

- Wiesz chyba, co mam na myśli. Jak długo możemy się tu jeszcze bronić? Tydzień albo dwa. Dopóki starczy amunicji. Jeśli wcześniej nie uda im się jakiś desant.

- Nie uda im się.

- No więc dobrze, nie uda się. Ale amunicja wreszcie się

skończy. I będziemy musieli się poddać.

- Unrug i Steyer się nie poddadzą. A my razem z nimi.

- Nie bądź śmieszny. Jaka jest inna alternatywa?

- Nie wiem, jaka jest inna alternatywa. I daj mi spokój.

Nie chcę o tym mówić.

- Nawet jeśli nie będziesz mówił, to przestaniesz o tym myśleć?

Tak, powiedział do siebie, tak! Nie chciał o tym myśleć.

Chciał myśleć o miejscach, w których mógłby być. A było jeszcze takie jedno, zostawione na chwilę najgorszą, miasto stworzone dla ludzi bez ojczyzny, żeby łatwiej było im to zniesić: Paryż! Mógłby być w Paryżu! Mógłby mieć Paryż.

Jego ulice, niebo nad nimi, błękitny, ciepły spokój. I kobietę, którą kiedyś kochał, i której może nigdy nie przestał kochać aż tak, żeby móc naprawdę pokochać inną. Mała pani Briffaut, rdzawa jak kasztany, które teraz sypią się z drzew w Lasku Bulońskim, jakże musiała płakać, kiedy dostała list od chłopaka, który właśnie przywdział marynarski mundur, żołnierski mundur nic nie znaczącego na świecie kraju i postanowił nie przyjechać do Paryża.

Zapłacił potem za ten jej płacz wszystkimi wolnymi dniami w Ecole d'Officiers Canonniere. Gdy koledzy nie próżnowali wśród dziewcząt, on jeździł do Paryża, żeby włóczyć się wokół jej domu, porażony obezwładniającym strachem przed tym, co by się stało, gdyby zbliżył się do niej, gdyby odezwała się do niego, gdyby powiedziała: zostań!

Dwa razy miał tę szansę i dwa razy z niej nie skorzystał.

Mógł być w tym mieście, mieć wszystko, co dawało, spokój i ulice, na których wszędzie były sklepy z napojami, z owocami, zwożonymi tam z całego świata...

Poczuł znowu, że ma gorączkę, że bola go zaschnięte usta.

Mógł być w tym mieście, w którym co prawda też wypowiedziano wojnę, ale które było daleko, daleko od wojny i którego Niemcy nie oblegają, do którego Niemcy nigdy nie wejdą; mógłby tam być. Mógłby naprawdę tam być!

Obrócił się na bok, nie zdając sobie sprawy z tego, że jęczy. Szaflarek odezwał się cicho do niego, ale mu nie odpowiedział. Znowu zobaczył przed sobą stragany uginające się pod dojrzałymi, soczystymi owocami. Mógłby iść ulicą, przystanąć przy którymś z nich...

- Nie, nie chcę! - krzyknął. - Nie chcę!

- Wołodia! - zawołał zaniepokojony tym Szaflarek.

- Śniło mi się coś - powiedział do niego. Sięgnął po dzbanek stojący przy łóżku. Naprawdę nie chciał tam być. Nie chciał być w żadnym innym miejscu. Chciał i musiał być tutaj, gdzie broniła się, gdzie do ostatka walczyła jego Ojczyzna.

- Co robisz? - odezwał się z ciemności Szaflarek.

- Piję wodę - odpowiedział. - Piję wodę.

XXIII

Stała w drzwiach, ledwo mieszcząc się w nich z tym swoim wielkim brzuchem, z którego nie narodzone wyrывało się już na świat.

- Jestem Kąkolowa - powiedziała. - Żona Leona

Kąkola, nauczyciela. Porucznika - poprawiła się. I dodała zaraz: - Oficera łącznikowego pułkownika Dąbka. Mąż był dziś rano w domu i prosił, żebyśmy przekazała wiadomość...

Łucka rzuciła się ku niej, podprowadziła ją do krzesła.

- Jaką... jaką wiadomość? - zapytała bez tchu.

Mała ciężarna kobietka dyszała ciężko. Na czole i nad górną wargą wystąpiły jej krople potu. Najpierw wytarła je chustką, przeprasząc wzrokiem za tę czynność, za konieczność jej dokonania, a dopiero potem odpowiedziała:

- Mój mąż jest przy pułkowniku Dąbku razem z pani mężem. I właśnie dziś rano pułkownik wysłał męża na Witomino do pułkownika Szpunara...

- Krzysztofa?! - krzyknęła Łucka.

- Nie, mego męża. Wysłał go na Witomino, więc mógł po drodze wstąpić na sekundę do domu na Tatrzańską. Mąż pani prosił, żebym przyszła tu i przekazała tę wiadomość...

- Jaką wiadomość? - Łucka patrzyła z bliska w twarz przybyłej, potrząsała ją za ramię.

Kąkolowa rozejrzała się po pokoju, zerknęła nieufnie ku drzwiom.

- Nikogo tu nie ma?

- Nie. Matka i dziewczyna w kuchni. Syn na podwórzu.

- A zresztą... - Kąkolowa machnęła ręką. - I tak się wszyscy jutro dowiedzą. Albo jeszcze dziś po południu.

- Nachyliła się jednak ku Łucke i powiedziała cicho:

- Wojsko opuszcza dziś Gdynię. Pułkownik ściąga wszystkie oddziały na Oksywie. Tam się będą bronić.

- Tam się będą bronić... - powtórzyła za nią Łucka.

- A tu... co?

- Tu... - Mała ciężarna kobietka znowu wytarła pot z czoła i górnej wargi. - Tu wkroczą Niemcy.

Łucka usiadła na brzegu krzesła. Już od kilku dni nie płakała. Nie dlatego, że nie miała dla kogo płakać, że nie mogła oczekiwać niczyjej reakcji na te łzy, że nie mogła nimi nikogo osaczyć, obezwładnić, zatrzymać, ale dlatego, że już wyszło w niej ich źródło, przytępiło się bolesne zadziwienie tym, co stało się z jej życiem, z jej światem. Teraz trzeba było mądrości i spokoju, a nie mazania się łzami, które niczego nie mogły zmienić.

- Kiedy? - zapytała.

- Może jeszcze dziś. Jak się tylko zorientują, że naszych tu nie ma.

- I... nic więcej mąż mi nie przekazał?

Kąkolowa potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, nic więcej.

- Ani słowa o córce?

- Nie. Chyba mój mąż nie zapomniał, on nigdy niczego nie zapomina.

- Na pewno nie zapomniał - powiedziała Łucka twar-

do. - Po prostu nie ma żadnej wiadomości od tej smarkatej.

Kiedy myślała o Julitce, ogarniała ją najpierw wściekłość (pół życia oddałaby za to, żeby móc ją dopaść gdzieś tam, gdzie była, i sprząć na kwaśne jabłko - za nieposłuszeństwo, za mieszanie się do nie swoich spraw, za tę nagłą dorosłość, którą przejawiała z dnia na dzień, w tak groźnym, w tak złym momencie), a zaraz potem walił się na nią strach, i obudzona nim czułość, i przyzwalające na wszystko nierozsądne wzruszenie: jej dziecko - gdzie było, to małe, to noszone do niedawna na rękach, huśtane na kolanach, gdzież ono było teraz, tak nagle i boleśnie dorosłe i samodzielne, wydane na

wszystkie niebezpieczeństwa świata? Dlaczego matka nie mogła tym niebezpieczeństwom zapobiec, zagrozić im drogi, wziąć ich na siebie, przyjąć W swoje, uodpornione macierzyńską miłością ciało?

Popatrzyła z nierozumną zazdrością na ciężarną kobietę.

- Pani dziecko urodzi się już może po wojnie.

- Podczas wojny - poprawiła ją Kąkolowa. Wciąż trzymała w rękach chusteczkę, wycierała nią twarz i szyję.

Przymknęła na chwilę oczy. - Ale ja mam oprócz tego położyła obie dłonie na brzuchu -jeszcze siedmioro...

- Ile? - zapytała Łucka cicho.

- Siedmioro. Najstarsza córka skończy niedługo czternaście lat - dodała z dumą.

- Mąż dostał powołanie? Ojciec tylu dzieci?

- Nie - pokręciła małą, ładną główką. - Sam poszedł.

Nie dodała nic więcej, i Łucka już o nic jej nie zapytała.

Tylko odprowadzając ją do drzwi, poprosiła o jej adres i obiecała, że ją odwiedzi, a także prosiła o przysłanie któregoś z dzieci, gdyby czegoś potrzebowała.

- Wszystko mam - wzbraniała się kobietka. - Wszystko mam.

Łucka wyobrażała sobie, jak wygląda to "wszystko" przy siedmiorgu dzieciach i nauczycielskiej pensji. Ścisnęło ją coś za serce.

- Ale gdyby jednak - powiedziała serdecznie. - Bardzo proszę. Zresztą przyślę do pani Tomaszka. -Tylko czy to będzie możliwe, pomyślała natychmiast, kiedy oni tu będą, kiedy oni tu wejdą, z wojskiem, z wojną, rozwłóczając po wszystkich ulicach i domach, z grożącą zza każdego węgła śmiercią. - Może sama niedługo wpadnę - poprawiła się na wszelki wypadek.

- Ale tylko w odwiedziny - upierała się Kąkolowa.

- Tylko w odwiedziny. Bo nie potrzebuję niczego. Naprawdę.

Kiedy odeszła, Łucka otworzyła okno i wyjrzała za nią na ulicę. Odprowadziła ją wzrokiem na drugą stronę, a potem dalej, aż na wolny plac obok przeciwległej kamienicy, od którego zaczynała się ścieżka wiodąca na przełaj ku torom kolejowym.

Kiedy straciła ją z oczu, zwróciła spojrzenie w lewo w górę ulicy, gdzie już wieczorem, a najdalej następnego dnia; i rano mieli ukazać się Niemcy. Dziwiła się, że może o tym myśleć, że sobie to wyobraża, że nie pęka jej przy tym serce.

Zatrzasnęła okno, poszła do kuchni.

Konkowa siedziała z Anulą, obydwie bezczynne. W domu nie sprzątało się i nie gotowało, nikt nie był głodny, nikt nie miał żadnych potrzeb.

- Mamo! - wywołała matkę. - Niech mama tu pozwoli!

Konkowa ruszyła się z miejsca apatycznie. Ciągnąc za sobą ranne pantofle, przeszła do pokoju.

Łucka powiedziała jej o wizycie Kąkolowej, o wiadomości od Krzysztofa, którą nauczycielowa jej przekazała:

- Może dziś, a najdalej jutro będą tu Niemcy.

Konkowa przyjęła to spokojnie.

- Tego byłam pewna. Jeszcze zanim wypowiedzieli wojnę.

- Mama była tego pewna? - zdumiała się i zagniewała Łucka.
- A co? Gdyby było inaczej, wymieniałabym pieniądze na guldeny.
Łucka chwyciła się za głowę.
- Mamo! Ja od tego zwariuję!
- Ja nie zwariowałam, to i ty nie zwariujesz. Człowiek wiele może znieść. Nawet sobie nie wyobraża ile.
- Nie chcę już słyszeć ani słowa o tych pieniądzach.
- Już nie usłyszysz. Już ich nie ma. Jest tylko papier i trochę srebra.
• - Nie chcę słyszeć o papierze i srebrze! Trzeba się chyba jakoś przygotować... coś zrobić... Jeszcze dziś mogą tu być!
- Jak? Jak się przygotowujesz? Co zrobisz? Wał usypiesz wokół domu? Wejdą do miasta, to wejdą i tutaj. Wejdą wszędzie.
- Ale jednak... Myślę, że trzeba pójść do pana Słubickiego.
- A do niego po co?
- Mądry człowiek. Może coś poradzi...
- Co ci poradzi? Na nim skóra nie cierpnie. Matkę ma Austriaczkę, a to tyle samo co Niemka.

- Mamo - powiedziała cicho Łucka - a my mamy ciotkę Trudę w Gdańsku.
- I co z tego?! - krzyknęła Konkowa.
- No właśnie! Co z tego? To nic nie znaczy. Więc dlaczego mama o panu Słubickim...?
Konkova spuściła głowę.
- Masz rację. Powiedz mu. Może to dla niego ważna wiadomość.
Zeszły na dół obydwie. Początkowo Karol nie chciał ich wpuścić. Słubicki leżał na sofie w swoim gabinecie.
- Śpi?
- Nie.
- Chory?
- Boja wiem? Może chory. Leży tak od rana. Lord przy nim, nawet na mnie warczy, jak się zbliżam.
- Panie Karolu - powiedziała Łucka stanowczo - my mamy ważną wiadomość! Dostałam ją przed chwilą od męża. Nasze wojsko wycofuje się na Oksywie. Mam nadzieję, że zachowa pan tę wiadomość dla siebie. Pewnie już to nie ma żadnego znaczenia, ale jednak niech pan to zachowa dla siebie.
- To zaraz będą tu Niemcy! - jęknął Karol.
- Nie zaraz, ale może wieczorem. Może dopiero jutro rano.
- Zaraz! Oni tu wejdą zaraz! Na co będą czekać? Myśli pani, że oni nie widzą, co się dzieje? Nie latają nad miastem, nie obserwują każdej drogi? Boże święty, Niemcy! - Pchnął bez pukania drzwi gabinetu. - Niemcy, proszę pana!
- zawołał. - Zaraz mogą tu być Niemcy!
Słubicki zerwał się z sofy, Lord zjeżył się i zawarczał, ale pan go uspokoił, kładąc mu dłoń na głowie.
- Już są w mieście? - zapytał.
- Jeszcze nie - odpowiedziała Łucka, która za Karolem, wyprzedzając matkę, weszła do gabinetu - ale mogą

wejść lada chwila.

Powiedziała Słubickiemu, że tę wiadomość otrzymała od Krzysztofa. Słuchał jej w roztargnieniu.

- Nie chcą niszczyć miasta - powiedział. - Ale narażają na zniszczenie port.

- Dlaczego port? - spytała cicho Łucka.

- Bo Niemcy od razu ustawiają artylerię na nabrzeżach.

Zresztą... - spuścił głowę - może nie zechcą zniszczyć portu... Karolu! - zawołał nagle. - Niech Karol wrzuca najpotrzebniejsze rzeczy do walizki! Jedziemy! Zaraz jedziemy!

Karol nawet nie drgnął. Tylko twarz mu ciemniała od gwałtownego, podobnego do krwistej plamy rumieńca.

- Karolu! - powtórzył Słubicki. - Słyszał Karol?

Proszę mi podać moje popielate flanelowe ubranie. I te buty na grubej podeszwie. Drugą parę niech Karol weźmie do walizki. I trochę bielizny. Ciepłe palto wezmę na rękę.

Jedziemy! Niech się Karol pośpieszy! Zaraz jedziemy!

Karol i tym razem nie drgnął. Nie spuszczał tylko z pana ostrego, wściekłego spojrzenia.

- Boże drogi! - wołał Słubicki. - Niechże Karol wreszcie się ruszy! Szkoda każdej minuty. Musimy jechać. Jak najszybciej musimy stąd wyjechać! •;:::

- Teraz? - wrzasnął Karol. - Teraz? I czym, pytam się? I którędy? Pan chyba oszalał!

Słubicki sam zakrzętnął się wokół siebie. Rzucił się do sypialni, otworzył szafę.

- Nie oszalałem, Karolu! Muszę się stąd wydostać.

Zaraz! Natychmiast! Za wszelką cenę! Chyba Karol rozumie, że nie mogę tu zostać?

- Ja to rozumiałem od dawna. Ile razy mówiłem panu, żebyśmy zwijali manatki? Samochody jeszcze były. I droga była wolna, można było im umknąć. Ale pan wciąż na coś czekał.

Słubicki przyskoczył do Karola, Konkowa i Łucka bały się, że go uderzy, ale on tylko potrząsnął nim, schwyciwszy go za poły jego kurtki.

- Czy Karol nie rozumie, że ja wciąż miałem nadzieję? Że wciąż miałem nadzieję?!

Karol odczepił jego ręce, odrzucił je od siebie.

- Tylko idiota mógł mieć nadzieję w tej sytuacji - powiedział. - I co ja teraz z panem zrobię? Obiecałem starszej pani, że pana nie zostawię...

- Karolu! - W głosie Słubickiego pojawił się ton bliski płaczu. - Ja muszę się stąd wydostać! Słyszysz Karol? Muszę!

- Jak? - krzyknął znowu Karol. - Jak?!

Łucka chwyciła matkę za rękę, wyciągnęła ją na schody.

Milczały i nie patrzyły na siebie. Z mieszkania Słubickiego dochodziły wciąż podniesione głosy.

- Może trzeba by jeszcze zawiadomić pannę Loewe

- powiedziała Łucka cicho.

- Daj sobie z tym spokój - matka pociągnęła ją na górę. - Na wszystko jest już za późno. Trzeba zdać się na wolę boską i czekać. Gdzie Tomaszek? Z tego wszystkiego o własnym dziecku zapomniałaś, a jeszcze gotów zrobić jakieś głupstwo.

- Tomaszek nie robi żadnego głupstwa - powiedziała

Łucka. - To mój syn.

Konkowa spojrzała tylko na nią, ale nie powiedziała ani słowa. Sama zeszła na podwórze, zawołała Tomaszka, nakazała mu, żeby nie ruszał się z domu.

- Oni już nie strzelają - bronił się chłopak.

- Właśnie dlatego.

- A jak nie strzelają, to dlaczego mam siedzieć w domu?

Pójdę do dziadka Bernarda.

- Siedź na tyłku w domu! - zezłościła się wreszcie

Konkowa. - Niemcy tu zaraz będą! Rozumiesz?

Tomaszek, który ledwo podnosił nogi na schodach, rzucił się teraz w górę jak ruszony sprężyna.

- Mama o tym wie?

- Wie. Właśnie do niej przyszła jedna pani z tą wiadomością. Jej mąż jest razem z twoim ojcem przy pułkowniku Dąbku.

- Ojciec już nie przyjdzie?

- Nie - powiedziała z trudem Konkowa. Nigdy nie przypuszczała, że tak ją to zaboli.

- A Julitka?

- Julitka też nie.

- Gdzie są?

- Na Oksywiu.

- I nie będą mogli stamtąd przyjść?

- Nie. Już nie.

- Będą się tam bili, tak?

- Tak.

- A u nas będą Niemcy?

- U nas będą Niemcy.

- I nie możemy im nic zrobić?

- Nie. Myślę, że nie - powiedziała Konkowa cicho.

I przestraszyła się nagle. - W każdym razie ty tego nie próbuj! - przykazała mu surowo.

Weszli po południu od strony Orłowa. Ukazali się najpierw przy figurze Świętego Jana u wylotu Świętojańskiej, przeskoczyli ostrożnie tory, następnie drogę. W krótki czas potem już hitlerowska flaga łopotała na budynku Komisariatu Rządu, już czerwono-czarne płótna zwisały z okien. Musieli mieć to wszystko w pogotowiu, od dawna planowali sobie pewnie tę chwilę.

Ludzie pochowali się w domach. Ulice były puste, jakby to było miasto wymarłe, pozbawione istot żywych, jakby wróg zawładnął tylko cegłą i cementem, słupami latarni, ulicznym brukiem.

Tak było przez całą resztę dnia i noc, podczas której oka nie zmrużyły - Konkowa i Łucka, a także i Anula, choć Konkowa wciąż wyprawiała ją do łóżka. Sama położyła się w sukni i obuwiu na posłaniu Krzysztofa, bała się iść na górę, bała się wyjrzeć nawet na schody. Ten sam strach obezwładnił także lokatorów, w całej kamienicy nie było słychać najłżejszego nawet szmeru. Tomaszek również nie spał. Przy zgaszonym świetle ukryty za firanką, obserwował ulicę; i' szeptem donosił, co na niej widzi. Ale widział niewiele. Przemarsz wojska szybko się skończył. Widocznie główną ulicą weszły tylko jednostki, które miały stanowić załogę miasta, a oddziały frontowe pociągnęły na Witomino, Oksywie i Chylonię, ulicą Śląską, za torami kolejowymi;

Kilka razy posypały się strzały w różnych częściach miasta, i zaraz podażyły w tych kierunkach spieszne kroki ulicznych patroli.

- Idź spać! - persadowała Tomaszкови Łucka. -

Nie wiadomo, jaki jutro czeka nas dzień.

Nie słuchał jej. Wciąż stał przy oknie. Ale w końcu go .to zmęczyło. Przysiadł na chwilę przy matce, żeby odpocząć, i zaraz zasnął, z głową na jej kolanach, z twarzą wtuloną w suknię. Położyła mu rękę na głowie. Jak to dobrze, pomyślała, jak to dobrze, że ma dopiero trzynaście lat!

Następny dzień wstał pozornie spokojny, zupełnie cichy.

Odważyli się już zbliżyć do okien i patrzeć na nich, jak •chodzą, jak każą otwierać sklepy, jak porządkują, wprowadzają normalne życie.

Do sklepu naprzeciwko samochód wojskowy przywiózł chleb.

Od kilku dni nie mieli w domu ani kawałka. Anula patrzyła pytająco na Konkową i Łuckę. W końcu szepnęła:

- Pójdę i przyniosę.

Konkową powstrzymała ją strasznym spojrzeniem.

- Ani się waż! Skąd wiesz, że nie zatruty?

- Dlaczego ma być zatruty?

- A widzisz, żeby ludzie brali?

- Nie widzę.

- No to i ty po niego ręki nie wyciągaj. Są jeszcze kartofle w piwnicy.

- No ale w końcu trzeba będzie jeść ten chleb - wmie-szała się Łucka. - Przecież innego nie będzie.

Konkową podeszła do okna.

- Widzisz, żeby kto brał?! - krzyknęła. - A wszyscy ludzie tak samo chleba nie mają jak my.

Łucka już się nie odezwała, zresztą co innego zaprzatnęło jej uwagę: po samochodzie z chlebem zajechała przed dom naprzeciwko ciężarówka pełna łopat. Zeskoczyło z niej trzech żandarmów i weszło do sieni. Po chwili posypali się z tego domu ludzie. Rozdano im łopaty, a żandarmi weszli do następnej kamienicy. Jeden z nich przeszedł przez jezdnię. Łucce zabiło serce. Była pewna, że za chwilę zobaczy przy samochodzie pana Shibickiego i Karola, a zaraz potem usłyszy dzwonek u drzwi i razem z resztą lokatorów będzie musiała zejść na dół. Ale czas płynął, a nie słyszała na dole ani uderzenia bramy, ani kroków na schodach. Nagle zobaczyła przy samochodzie lokatorów sąsiedniej kamienicy. Znała ich z widzenia, niektórych osobiście. Rozdano im łopaty i wskazano kierunek marszu ku rowom strzeleckim, wykopany wzdłuż południowego stoku Kamiennej Góry, ale oni, już z łopatami na ramionach, popychani i potracani, brutalnie formowani w kolumnę, zwrócili wszyscy głowy ku jej domowi i nie zdejmowali z niego oczu. Patrzyli na niego w bolesnym zdumieniu, tak długo, jak długo mogli, oddalając się powolnym marszem.

Co to jest, pomyślała Łucka, co to znaczy? Chwila ulgi, że nie wygarnięto ich z domu, minęła. Otworzyła okno, wychyliła się i serce w niej stanęło: z okna trzeciego piętra jej domu zwisała hitlerowska flaga.

Łucce pociemniało w oczach, uczepiła się palcami parape-tu, żeby nie wypaść, nie runąć głową na ulicę. W tym samym

ułamku sekundy jednak doznała ogromnej ulgi, że Krzysztofa i Julitki nie ma w domu, że tego nie widzą, że przeżywa to sama i jakby zamiast nich. Z trzeciego piętra jej kamienicy zwisała hitlerowska flaga! Czerwona, z czarną swastyką! Nowa, bez jednej fałdki, czysta i duża, bardzo duża!

Wychyliła się lepiej, żeby zobaczyć, z czyjego zwisa okna, kto ją wywiesił. Na trzecim piętrze mieszkał Joe-mikser z siostrą i celnik Rosochacki. Barman! pomyślała ze ściśniętym sercem. Miała rację, kiedy mówiła matce, że niepotrzebnie przyjęła tę hołotę z nocnego lokalu do ich porządnego domu. I oto sprawdziło się, oto okazało się, że miała ra...

- nie dokończyła tej myśli, bo zobaczyła wyraźnie, że hitlerowska flaga zwisa z okna mieszkania celnika.

Cofnęła się do wnętrza pokoju, przymknęła oczy. Czuła pulsowanie krwi w skroniach, słyszała dudnienie serca. Po chwili wyjrzała jeszcze raz - nie, nie myliła się: niemiecka flagę wywiesił celnik Rosochacki.

- Mamo! - krzyknęła na całe gardło, rzucając się w głąb mieszkania. •- Mamo!

Konkowa, która schroniła się w kuchni, żeby nie patrzeć na ulicę, od razu ukazała się w drzwiach.

- Marija, Józef Co się stało? Gdzie Tomaszek?

- Tomaszek jeszcze śpi, ale niech mama przyjdzie coś zobaczyć!

- Na ulicy? ...

- Nie. Na naszym domu!

Konkowa rzuciła ścierkę, którą trzymała w ręce, i zaintrygowana weszła do pokoju. Wystawiła głowę przez okno, przez chwilę niczego nie zauważyła, ale zerknęła wreszcie w górę i - natychmiast cofnęła się do środka.

- Co to jest? - szepnęła. - Co to znaczy?

- Rozumie chyba mama, co to znaczy.

- Nie, nie rozumiem - trzęsła głową Konkowa. - Rosochacki?

- Rosochacki.

Wszyscy przechodnie, pomykający spiesznie ulicą, zwracali głowy ku ich domowi, mijali go w pomieszczeniu i zdumieniu - Konkowa i Łucka widziały to po ich twarzach, a może wyobrażały sobie tylko, że ich twarze muszą mieć ten wyraz, i to było jeszcze gorsze. Czuły się skalane tak jak ten dom, który uważały zawsze za powód do dumy, a który już powodem do dumy być nie mógł.

- Rosochacki! - powtórzyła jeszcze raz Konkowa. I od razu przestrzegła córkę: - Tylko przed nikim ani słowa, co o tym myślisz. Widzisz, że nie wiadomo, kto kim jest.

A najlepiej siedź w domu. Nosa nie wytykaj.

- Dobrze, mamu - powiedziała Łucka pokornie. -

Myśli mama, że chce mi się gdzieś iść? Oni tam walczą...

Gdy przestawały mówić, i gdy na ulicy panowała cisza, słychać było wyraźnie strzały, dochodzące od strony Witołmina, Chyloni i Oksywi, a także dudnienie artylerii na morzu. Górą latały samoloty, ale nie doznawało się wcale pociechy na myśl, że na miasto nie spadnie już ani jedna bomba. W pojawienie się innych samolotów, tak żarliwie i tak bezskutecznie dotąd wyczekiwanych, nikt już nie wierzył. Celnik Rosochacki chyba najmniej.

- Pójdę zobaczyć, co się dzieje w kamienicy - powiedziała Konkowa. - A ty siedź. Anuli też nigdzie nie puszczaj. Ani Tomaszka!

Otworzyła cicho drzwi, wyszła na schody. Była już na pierwszym piętrze, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwiami na górze i zbliżające się pogwizdywanie. Tak schodził zawsze ze schodów Joe-mikser, i zawsze miała mu to za złe, nie powinno się gwizdać na schodach porządnej kamienicy. Teraz zachowanie barmana nabrało zupełnie innego znaczenia.

Zastąpiła mu drogę.

- Panie Jasiu! Pan gwiżdże... w takiej chwili?

Przystanął.

- A co się stało?

- Co się stało? Mało panu jeszcze? A ta flaga u Rosochackiego? - Przestrzegała Łuckę, a sama rozgadała się na całą klatkę schodową. - Widział pan? Taka straszna rzecz w naszym domu!

Przez twarz barmana przebiegł jakby błysk uśmiechu, a może było to tylko drgnienie powiek i ust. Odsunąwszy Konkowa z drogi.

- Przyzwyczaj się pani - powiedział.

Konkowa zaniemówiła. Chciała zejść do Słubickiego, zobaczyć, czy udało mu się opuścić miasto, ale bała się, że i od niego - jeśli pozostał - może usłyszeć coś takiego. Chociaż... zastanowiła się, w tym wypadku byłoby to najmniej dziwne.

Na palcach minęła drzwi mieszkania na pierwszym piętrze, i w tej samej chwili rozległo się za nimi krótkie szczeknięcie Lorda. Dawał znać, że jest, że czuwa. Duże, silne psy nie strzępiły sobie pysków na próżno. Chyba go samego nie zostawili, pomyślała Konkowa. Miała ochotę to sprawdzić, ale zabrakło jej odwagi.

Powinna by pójść do panny Loewe. Już wczoraj po południu myślała, że powinna do niej pójść. Panna Loewe była w najgorszym położeniu, nie wolno było zostawiać jej samej, i kto w końcu miał obowiązek być w tej chwili przy niej, jeśli nie ona? Nie miała tu przecież nikogo prócz niej. Konkowa stała na podeście pierwszego piętra niezdecydowana. Lord znowu szczeknął, mógł się lada chwila rozszczeekać na dobre i zaalarmować Karola, trzeba było stąd iść, ale - w którą stronę? Nie, nie miała odwagi wsiąść w windę, i to wcale nie dlatego, że skończyły się bezpowrotnie czasy, kiedy sprawiało jej to przyjemność, nie, po prostu nie miała odwagi pojechać na górę i spojrzeć w piękne oczy panny Loewe, zobaczyć ten cały strach, który na pewno w nich był. Może po południu, myślała, może wieczorem...

Nie przeczuwała, że powinna się śpieszyć.

Po zapadnięciu zmroku, gdy nie oświetlone latarniami ulice były już zupełnie ciemne, zjawiły się w mieszkaniu Łucki dwie młode panny. Jedną z nich już jakby gdzieś widziały, obydwie z matką odniosły to wrażenie, ale dopiero gdy zapytała o Julitkę, uzmysłowiły sobie, kim jest.

- Aaa - mruknęła Konkowa z wyraźną pretensją

w głosie - to pani była instruktorką Julitki w tym tam jakimś Przysposobieniu Wojskowym?

- Ja - uśmiechnęła się słabiutko bladymi wargami

panna Halszka, bo to była ona. - Nie pamiętają panie?
Nocowałam tu przecież...

- Pamiętam, pamiętam... - powiedziała Konkowa,
choć ledwo ją poznała, taka była szara i wymirowana,
jakby cała przysypana kurzem.

- Julitki nie ma? - pytała dalej panna Halszka nieśmiało.

- Julitka jest na froncie - powiedziała twardo babka.

- Przysposabiała ją pani przecież do tego. Tylko dlaczego...
tylko dlaczego ona... takie dziecko? - Głos Konkowej się
załamał, oczy jej patrzyły na obydwie panny z wyrzutem.
Dziewczyny zrozumiały ich wyraz. Same przecież obwiniały się o to samo. Halszka spuściła głowę.

- Dopiero dziś mogliśmy wyjść z Gdańska.' Bo miałyśmy
rozkaz pozostać tam aż do odwołania.

- Do odwołania? - powtórzyła za nią Konkowa, nic
z tego nie rozumiejąc.

- Tak. I właśnie to odwołanie nastąpiło - powiedziała
dziewczyna cicho. Nie dodała nic więcej. Nic więcej dodać
nie mogła. W kolejnym przypadkowym mieszkaniu (bo do
mieszkania Maliny wrócić już nie mogły) usłyszały przez
radio kilkakrotnie powtórzone zdanie: „Szary z rodziną
proszony jest o powrót do domu”. Zrozumiały, że to rozkaz
dla nich. Opuściły Gdańsk. Ale nie wiedziały, gdzie szukać
"Szarego" i kim on był. Może był nim zastrzelony przez
Niemców zaraz pierwszego dnia wojny szef Halszki z Pol-
skiej Rady Sportowej? Jakaś nić została zerwana, ślad
zagubiony, konspiracyjna dywersja, tak słuszna na tym
zagrożonym terenie, zawisła w próżni.

- W Gdańsku są masowe aresztowania Polaków - ode-
zwała się druga dziewczyna. - Yktoria-Schule pęka
w szwach.

- Tu chyba ludzie spodziewają się podobnej akcji - po-
wiedziała cicho Halszka - bo nie zastałyśmy koleżanek
z PW-u w ich mieszkaniach. A może wycofały się razem
z wojskiem...

- Powinny to zrobić! - krzyknęła Konkowa. - Czy
tylko dzieci...

- Mamo! - uspokoiła ją milcząca dotąd Łucka. -
Niechże mama...

- Przepraszam - mruknęła Konkowa. - Ale panie
chyba rozumieją, co się z nami dzieje. Julitki nie ma w domu
od ostatniego sierpnia. A jej ojciec poszedł zaraz za nią. I nic
o nich nie wiemy... Nic o nich nie wiemy...

- Biją się na Oksywiu! - odezwał się Tomaszek z abso-
lutną wiarą w zwycięstwo ojca i Julitki.

Matka uciszyła go wzrokiem.

- Czy... - zaczęła znowu Halszka, niezbyt pewnym,
a nawet już wyraźnie proszącym głosem - czy nie mogłybyś-
my przenocować? Nie zastałyśmy koleżanek, a nikogo tu nie
znamy... I - dodała po chwili - idziemy z Gdańska od
samego rana...

- Niechże panie usiądą! - zawołała Konkowa zawsty-
dzona. Ale zaraz dodała: - Zanocować chyba u nas nie
będzie można...

- Nie? - zdumiały się, ugodzone tym boleśnie dziew-
czyny.

- Nic nie zauważyłyście na naszym domu...?

- Na ulicy jest ciemno.

- No tak - powiedziała Konkowa - ciemno. Ale myślałam, że to paskudztwo widać nawet w nocy: Hitlerowską flagę mamy na domu!

- Hitlerowską flagę? - Obie dziewczyny, które już usiadły, skorzystawszy z zaproszenia, poderwały się na równe nogi.

- A tak! jeden z naszych lokatorów ją wywiesił. Rosochacki się nazywa. Pięknie, nie? A pracował w Urzędzie Celnym. Teraz pewnie dyrektorem zostanie. Tylko czy im w ogóle będą potrzebne jakieś cła? - zastanowiła się nagle Konkowa.

- « Dziewczyny milczały i spłoszonym wzrokiem patrzyły po sobie. Obie były zdżone i u kresu sił.

- Czy w takim domu -- mówiła tymczasem, trzęsąc głową, Konkowa - czy w takim domu może być ktoś bezpieczny? A to jeszcze nie koniec. Joe - zwróciła się do córki - jakby nigdy nic pogwizdywał sobie na schodach. A na dole - mówiła znów do dziewczyn - mamy Austria-ka! Matka we Wiedniu! Czego można się po nim spodziewać?

'- Mamo, mamo - szepnęła ze zgrozą Łucka !- jak mama może!

- A co, nieprawda? Mówię tylko, jak jest. Panie powinny to wiedzieć, zanim zdecydują się tu zostać. - Nie zachęcała ich, ale przecież błysnęła jej myśl, żeby umieścić je w swoim pokoju na piątym piętrze. Czy tam jednak było bezpiecznie? W tym strasznym, niepewnym domu? A jeśli przyjdą w nocy po pannę Loewe i szukając jej, zadzwonią obok i znajdą dwie nie zameldowane dziewczyny z Gdańska? Bo przecież mogą przyjść... każdej chwili mogą przyjść po pannę Loewe... Boże, myślała, co to za dom się zrobił! Co to za dom!

- Nie - powiedziała Halszka - my nie zostaniemy.

- Powiedziałam tylko, jak jest - powtórzyła Konkowa głównie pod adresem Łucki, gdyż zbyt wyraźny wyrzut widziała w jej oczach. - Weźmiesz to na swoje sumienie?

- krzyknęła.

- Nie, nie, my nie zostaniemy - dziewczyny cofały się do drzwi.- Mamy jeszcze jedno miejsce... jeszcze jedno miejsce... Może tam się nam uda przespać.

Tylko Konkowa odprowadziła je do drzwi i długo stała w ciemnym przedpokoju. Ale oddalające się kroki naraz przystanęły, a po chwili zaczęły się znów zbliżać. Konkowa szybko otworzyła drzwi. Dziewczyny wpadły do mieszkania. Nie od razu mogły wymówić to straszne słowo:

- Gestapo! Gestapo na schodach!

- Do kogo szli? Do których drzwi?

Potrząsnęły głową. Tego nie zauważyły. Nie mogły zauważyć.

- Uciekłyśmy zaraz - powiedziała Malina.

- Widzieli was?

- Chyba nie. Myślę, że nie...

- O Boże, Boże! - zaszeptała Konkowa. - Łucka, gestapo w kamienicy! - powiedziała, gdy córka ukazała się na progu.

- Co to "gestapo"? - spytał od razu Tomaszek. ;

- Cicho bądź! Jeszcze się dowiesz.

Na dole trzasnęły drzwi. Konkowa i Łucka spojrzały na siebie.

- Do Słubickiego!

Ten odgłos, tak znajomy, przywodził na myśl dawne wieczory, gdy do prezesa Carbopolu schodzono się na karty. Obydwie pomyślały o tym samym i obydwie się tego zawstydzily. Jeśli Karol zejdzie zaraz do piwnicy po wino, pomyślała Konkowa, to...

- Trzeba wyjrzeć przez okno - szepnęła Halszka - i zobaczyć, jakim przyjechali wozem. I czy w ogóle przyjechali,

- Jakie to ma znaczenie? - szepnęła Łucka, postępując za nią.

- Ma. Wiele można z tego wywnioskować.

Otworzyły ostrożnie okno. W pokoju było ciemno, mogły więc wychylić się i spojrzeć w dół. Z przyciemnionymi światłami stała przed domem duża karetka policyjna. Dziewczyny dobrze znały ten typ samochodów z Gdańska.

- Zaczęły się aresztowania - powiedziała Halszka po długim, ciężkim milczeniu. - Pewnie biorą zakładników.

- Ale... pana Słubickiego? Pana prezesa? - nie mogła uwierzyć Konkowa.

- No tak - zamyśliła się Łucka - był kimś w tym mieście.

Uchyliły się drzwi na schody. Tak, u Słubickiego coś się działo. Słyszały podniesione głosy; wszystkie znały dobrze niemiecki, ale nie mogły zrozumieć słów. Dopiero krzyk Karola doszedł wyraźnie ich uszu. Karol wybiegł widocznie za swoim panem, gdy go wyprowadzano, i krzyczał na całą klatkę schodową:

- Niech im pan powie! Niechże im pan powie, że pańska matka...

Nie dokończył, rozległo się jakieś głucho uderzenie, jakby rzucenie ciała o ścianę, i boleśnie zaskowyczał Lord, a zaraz potem miękko plasnęły drzwiczki policyjnej karetki. Zrobiło się cicho, tak cicho, że słyszały znów dalekie wystrzały i bliski łoskot serc.

- Ale dlaczego nie odjeżdżają? - spytała nagle Malina.

Teraz dopiero uzmysłowiły sobie, że karetka wciąż jeszcze, stoi przed domem. Odskoczyły od drzwi, gdy na dole znowu rozległy się kroki. Po kogo, myślały w popłochu, po kogo? Odpowiedzi udzieliły im dwa, bynajmniej nie hamujące swojej siły, głosy. Jeden mówił:

- Die Judin wohnt ganz oben. Auf dem funften Stock!

- Yerdammt! - zaklął drugi. - Solch'ein Dreck ist nicht soviel Miiehe wert!

A potem wszystko poszło już bardzo szybko.

Panna Loewe schodziła z góry płacząc. Może nie pozwolili jej zabrać okularów, a może je zbili, bo wciąż powtarzała:

- Meine Brille! Meine Brille!

- Du wirst doch schon keine Brille mehr brauchen

- zaśmiał się jeden z gestapowców.

Konkowa zacisnęła palce na ramieniu córki. Dławił ją płacz. Co to się stało, co to się stało z jej domem? Dlaczego mają tu dostęp tacy ludzie? Czemu nie może zamknąć przed

nimi drzwi. Po to budowała ten dom i te schody, żeby teraz mówił ktoś na nich "Dreck" ojej najlepszej lokatorce? Nikt w całej kamienicy nie zapłacił czynszu na pierwszego, tylko panna Loewe. A przecież na początku można było jeszcze coś kupić za te pieniądze, więc nie mogli myśleć, że są nic niewarte. A teraz panna Loewe była "Dreck", i można było mówić tak o drugim człowieku, można było wyciągnąć go z jego mieszkania. Co z nią zrobią, myślała, co z nią zrobią? Słyszała, że w Niemczech... Ale nigdy w to nie wierzyła. To było niemożliwe... Tego nie mogli robić ludzie...>- Dlaczego powiedział, że okulary nie będą już jej potrzebne? - zapytała cicho. Obydwie dziewczyny milczały, Łucka także się nie odezwała.

- Dlaczego? - powtórzyła Konkowa, choć wiedziała już, że nie otrzyma odpowiedzi. Wciąż dławił ją płacz, bólem przejmowała myśl, że nie poszła do panny Loewe, nie pocieszyła jej, gdy ta się bała, nie zdążyła się z nią pożegnać. Nie miała dziewczyna w tym domu nikogo prócz niej. W tym domu, a może i na całym świecie... ;

Konkowa oparła czoło o ramię Łucki i zapłakała cicho. Doznałaby może pociechy, gdyby wiedziała, że panna Loewe nie była w tej chwili sama na świecie, że w półmroku karetki wyciągnęła się do niej silna dłoń Słubickiego, a z głębi odezwał się jego dobry (może naprawdę dobry ten jeden raz w życiu) głos:

- Ja jestem tu także. Niech mi pani poda rękę. Niech pani usiadzie przy mnie.

Oficer operacyjny w sztabie pułkownika Dąbka, w małym domku za Szpitalem Zakaźnym w Babich Dołach, z godziny na godzinę zmieniał pozycje oddziałów na sztabowej mapie. Pułkownik pochylał się nad nią coraz niżej, a kiedy podnosił znad niej wzrok, twarz miał szarą jak popiół, usta zaciśnięte, a gorzki ich wyraz był prawdą oczywistszą niż słowa. Nie pytali go o nic, wiedzieli, że nie powinni pytać.

Trwało to jednak zawsze tylko chwilę, nie dłużej.

Pułkownik opanowywał się szybko i potrafił wszystkich wokół siebie podporządkować temu tragicznie zdyscyplinowanemu spokojowi. Cofali się, ale nie bez zwycięstw, nie bez zadawania bezustannych strat nieprzyjacielowi. Hitler wciąż jeszcze nie otrzymywał meldunku, na który czekał, a w komunikatach radiowych, nadawanych przez wszystkie rozgłośnie Rzeszy, przewijała się znów wiadomość, że Polacy rzucili do obrony wybrzeża elitarne jednostki wojskowe.

-^ Panie pułkowniku - doniesiono o tym Dąbkowi

- Niemcy nie przestają mówić o elitarnych jednostkach wojskowych na wybrzeżu.

Pułkownik przygotowywał nocne kontrnatarcie na Mechelinki i Mosty - nie od razu zrozumiał skierowane do niego słowa. Dopiero po długiej chwili przymknął oczy i uśmiechnął się. Nie widziano jeszcze nigdy podczas tych dramatycznych dni takiego wyrazu jego twarzy. A jednak teraz uśmiechnął się - na krótko i jakby wstydliwie

- pokonując wzruszenie, na które nie pozwalał sobie nigdy przed ludźmi. Były to naprawdę jednostki elitarne, ta zbieranina ludzka bez odpowiedniego umundurowania i broni: dwa dziesięciotkowane pułki strzelców, przetrzebione

bataliony rezerwy, drużyny ochotników w cywilnych ubraniach, kosynierzy i krakusi na koniach, bo i kawaleria była tu także, ale zupełnie niepodobna do malowniczych o niej wyobrażeń. Dowodził całą tą zbieraniną, scementowaną rozpaczą w najwspanialszą na świecie armię, i kiedy podczas swych bezustannych, nagłych i wspierających pojawień się w pierwszych liniach natarcia patrzył w oczy tych ludzi, wiedział, był pewien, że to są ż o ł n i e r z e.

- Panowie - powiedział do zgromadzonych w sztabie oficerów - Niemcy mają rację. W obronie wybrzeża biorą udział jednostki elitarne. Może tylko przydałaby się tu mała poprawka... - Zamyślił się na chwilę, i znowu wzruszony { zawstydzony tym wzruszeniem uśmiech rozjaśnił mu na krótko twarz. - Oni mówią: Polacy rzucili do obrony wybrzeża jednostki elitarne. A ja bym powiedział: do obrony wybrzeża rzucili się jednostki elitarne. To jednak różnica. I taka jest prawda.

Milczeli.

s A pułkownik ciągnął dalej:

- I gdybyśmy z tymi wspaniałymi ludźmi mieli na Kępie Oksywskiej choćby lada jakie umocnienia betonowe, nasza obrona wyglądałaby inaczej.

Znowu nikt się nie odezwał. Wszyscy mieli w świeżej pamięci te powtarzające się do ostatnich dni sierpnia obietnice, że zostanie przysłany cement, a wreszcie, że zostanie .wydana decyzja o zarekwirowaniu transportu, który czekał w porcie na eksport. Wszyscy wiedzieli, że decyzja ta nigdy nie nadeszła, a kiedy wojsko mogło podjąć ją samo, było już za późno na budowanie betonowych umocnień.

- Tak więc - pułkownik znowu pochylił głowę - tylko wróg, i chyba mimo woli, żeby usprawiedliwić brak własnych sukcesów, oddaje sprawiedliwość naszemu żołnierzowi.

Płaski, nie zalesiony obszar Kępy Oksywskiej był najgorszym polem bitewnym świata. Kilka kilometrów wszcz i wzdłuż otwartej przestrzeni, bez schronów i bunkrów, z płytkimi, w pośpiechu kopanymi strzeleckimi rowami, wielka scena, oświetlona w dzień bezlitosnym słońcem, a w nocy rakietami i pociskami świetlnymi. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że właśnie tu dokona się ostatni akt tragedii. Atakowały już nie tylko samoloty, i nie tylko coraz bliższa artyleria wroga, ale także i okręty, które tego dnia od rana ostrzeliwały Babie Doły, choć na szpitalu powiewała chorągiew Czerwonego Krzyża. Wstrzeliwały się coraz dokładniej, ale otepiali już wobec stałego zagrożenia obrońcy prawie wcale nie zwracali na to uwagi, dopóki jeden z pocisków nie wyrwał ściany w budynku, w którym mieścił się sztab.

Gdy opadł tuman białego, wapiennego kurzu, ujrzeli przed sobą zielone zbocze wzgórza, osłaniającego domek od północy, i skrawek niebieskiego nieba nad nim. Wszyscy rzucili się ku pułkownikowi.

- Nie jest pan ranny?

Nie lubił zbytnej troskliwości, strzepnął wapno z munduru, usunął kawałki tynku, które pokryły mapę.

- Przenosimy się do ziemianki - powiedział. Wskazał miejsce na skarpie w cieniu młodych dębów. - W końcu

człowiek... prędzej czy później musi się znaleźć blisko ziemi. Nawet gdyby... gdyby nie zdarzyła się taka sytuacja jak ta. Porucznicy Kąkol i Grabień zebrali żołnierzy i razem z nimi chwycili za łopaty. Do wieczora schron był gotów. Oslaniała go z jednej strony ściana budynku, a z drugiej wysokie wzniesienie, doskonale zamaskowane zielenią. Kiedy się stawało na szczycie skarpy, widać było rozległą płaszczyznę płowej już o tym jesiennym czasie ziemi. Stamtąd przyjdą, myślał Krzysztof, choć właściwie mogli przyjść z każdej strony, nawet z morza, skąd bił, już teraz wyprowadzony na wody zatoki Schleswig-Holstein. Mogli przyjść z każdej strony, ale on był pewien, on prawie wiedział, że przyjdą stamtąd. Z płaskiej równiny od Kosakowa i Stefanowa, z tego pola, które ostrzeliwali z ostatnich swoich pozycji na grzbiecie skarpy, pod osłoną żółknących już liści wysokich dębów.

Rannych zwożono teraz zewsząd. Z zaciskającego się wciąż pierścienia walk, a także z miejsc, w które wstrzeliwała się artyleria niemiecka i nad którymi odbywały się nękające i prawie bezustanne przeloty samolotów. Szpital nie mógł już ich pomieścić. Sanitariuszki składały nosze gdzie popadło, same opatrywały rannych w lżejszych wypadkach, z ciężkimi przepychały się przez zawałone chorymi korytarze na salę operacyjną, gdzie dzień i noc pracowali opadający z sił lekarze.

Krzysztof, choć był od iulitki zaledwie o kilkadziesiąt kroków, prawie jej nie widywał. Kiedy przychodziła do sztabu, znalazłszy wolną chwilę, zawstydzona i obwiniająca się, że z niej korzysta, gdy ranni jej potrzebują, on był wtedy gdzieś w polu, wysłany przez pułkownika do walczących jeszcze oddziałów, biegł, czołgał się, pełził rowami, niosąc rozkazy, odbierając meldunki. Kiedy z kolei on po wykonaniu zadania zjawiał się w szpitalu, Julitka zbierała rannych spod Pierwoszyrna, Suchego Dworu, Pogórza i Kosakowa. W tych nielicznych wypadkach, gdy udało im się spotkać, prawie ze sobą nie rozmawiali. Julitka obejmowała ojca wpół, i tak siedzieli na jakimś zwalonym drzewie, na darni, wyrwanej ze zbocza pociskiem, albo - gdy trwał ostrzał - chronili się w załomie szpitalnych murów.

- Nie jesteś głodna? - pytał niedorzecznie, z wieloletniego nawyku; zawsze pytano dzieci przede wszystkim o to.,

- Nie-potrząsała przecząco głową Julitka.-W ogóle jem teraz mało...

Było to widać, szcerniała i schudła, tylko oczy i zęby świeciły w jej pociemniałej twarzy. Była chyba także brudna; czuł pot, którym przesycone były jej nie zmieniane od dwóch tygodni rzeczy. I od niego bił ten sam odór, odór długo nie mytego ciała, poniewieranego we wszelkich kurzach i brudach, wleczonego przez kilometry rowów i kartoflisk. Brodę pokrywała mu szczecina od dawna nie golonego zarostu, dziwił się, że Julitka go poznaje.

Nie rozmawiali więc prawie ze sobą, bo nie było o czym.

Ale któregoś dnia Julitka zapytała: •

- Nie słyszałeś przypadkiem o... Jerzyku?

15 - Tak trzymać t. II

- O kim? - zapytał zdumiony. Nie wiedział, o kogo jej chodzi.

- O Powsiałowiczu. Pamiętasz, wtedy, jeszcze przed wybuchem wojny, kiedy mieliśmy służbę przy samochodach i; ty po mnie przyszedłeś, bo już było późno... on miał mnie odprowadzić do domu.

- Pamiętam - odpowiedział, nie wiadomo dlaczego boleśnie zdziwiony.

- Był na początku ze mną, ale potem... potem uznał, że zbierać rannych mogą same dziewczęta, a chłopcy powinni się bić.

- I nic nie wiesz o nim?

- Tylko tyle, że został wcielony do drugiego batalionu rezerwy.

- Suchy Dwór - powiedział.

- Co to znaczy Suchy Dwór! Są tam?

- Wczoraj usiłowali wyprzeć Niemców z zachodniej krawędzi kępy. Ale bez skutku. I zostali zepchnięci do Suchego Dworu. Tylko nie usiłuj się tam przedostać!

- krzyknął nagle, bo wydało mu się, że widzi w jej oczach wyraz napiętego namysłu, po którym ostatnio następowała zawsze zacięta nieustępliwość. - Nie waż mi się próbować! Nie wiesz, co się tam dzieje.

-- Wszędzie dzieje się to samo - powiedziała cicho Julitka. - I docieramy tam. Bo musimy.

- Przepraszam - powiedział. Był nie tylko ojcem tej małej sanitariuszki, ale i jednym z oficerów przebywających stale przy sztabie obrony i wiedział, musiał wiedzieć, na jakie niebezpieczeństwa narażone są dziewczęta ze służby sanitarnej.

- Ale nie bój się - ciągnęła dalej Julitka - nie pójdę tam. Jestem potrzebna w szpitalu. Coraz nas mniej... a żołnierza... żołnierza nie tak łatwo znaleźć w polu.

- Julitko! - szepnął. - Będę się o niego pytał... Przy najbliższym kontakcie z tym batalionem...

Uścisnęła go. Na piersi, gdzie trzymała twarz, wciśnięta w jego brudną kurtkę, poczuł ciepło jej oddechu.

- Dziękuję, tatusiu! Wiedziałam, że mogę cię o to prosić.

- Zawsze możesz mnie o wszystko prosić.

- On... pisze wiersze. Jeden napisał, kiedy mnie jeszcze nie znał. Ale potem, kiedy mnie już znał, był pewien, że pisał go do mnie. Możesz to zrozumieć?

- Mogę.

- Ja także od razu to zrozumiałam. To bardzo piękny wiersz.

- Powiesz mi go, kiedy przestanastrzelać.

- Tak, kiedy przestaną strzelać.

Nie przestawali. Atak szedł z morza, powietrza i lądu, z setek pozycji, które nieprzyjaciel zajął, wdzierając się wyłomami w siły polskie.

Osiemnastego września rozpoczął się szturm ostateczny. Od rana niemiecka artyleria przygotowywała natarcie piechoty na Suchy Dwór. Natarcie się powiodło. Zatrzymało się aż pod Pogórzem. Żołnierze, którym udało się ująć z życiem i którzy przynieśli rannych, opowiadali w szpitalu, że Niemcy dotarli do szosy Pogórze-Kosakowo.

W sztabie pułkownika Dąbka przygotowywano nocne przeciwuderzenie. W tym samym czasie Julitki szukały sanitariuszki po całym szpitalu i przy wszystkich transpor-

tach - chciał ją zobaczyć jakiś ranny żołnierz.

Kiedy zjawiła się w sanitarce z rannymi przywiezionymi spod Obłuża, skąd wyparte zostały właśnie na płonące Osywie oddziały podpułkownika Sołodkowskiego, wyszła ku niej siostra przełożona.

- Ty jesteś Grabieniówna?

- Ja.

Julitka od razu wiedziała, że coś się stało. Zeskoczyła z samochodu.

- Kto? - zapytała cicho.

- Moje dziecko -- powiedziała siostra, nie znajdując dość siły, żeby znieść jej spojrzenie. - Jakiś żołnierz prosi, żebyś przyszła...

- Gdzie leży?

- Na korytarzu pierwszego piętra, przy schodach.

- Niech siostra zajmie się karetką! - krzyknęła Julitka.

- Są ciężko ranni!

Przez schody trudno było się przecisnąć, nawet na podestach stały nosze. W oknach brakowało szyb, przeciąg łomotał wszystkimi drzwiami, ale dzięki temu w straszny odór gnijących ran i bandaży wdzierało się świeże powietrze. Zanim dotarła na pierwsze piętro, upadł i detonował w pobliżu szpitala pocisk z morza, posypały się resztki szyb i kawałki tynku. Ranni zaczęli krzyczeć. Jeden z nich wysoko i cienko. Jak zwierzę.

Przeraziła się, że to on tak krzyczy, ten, który chciał ją zobaczyć, ten, ku któremu szła. Ale gdy opadła biała chmura wapna, zobaczyła na pierwszych noszach przy schodach Jerzyka milczącego i spokojnego. I tak bladego, że twarz jego aż jaśniała w półmroku korytarza. Był przy nim kapelan, którego widok powiedział Julitce od razu wszystko.

- Jesteś! - szepnął chłopak.

- Jestem - powiedziała ochryple.

- Czekałem na ciebie.

- Zbliź się, moje dziecko. - Ksiądz pułkownik wziął ją za rękę i doprowadził do noszy. - On ma mało sił. Stracił wiele krwi.

- Czekałem na ciebie - powtórzył Jerzyk.

Przypadła do noszy, uklękła przy nich.

- Co ci zrobili? - krzyknęła. - Co ci zrobili?!

- Cicho... - szepnął chłopak. - Cicho... Bądź przy mnie.

- Jesteś ciężko ranny?

- Nie wiem. Chyba tak... chyba mnie zupełnie... zupełnie podziurawili.

- Masz zrobiony opatrunek?

- Tak. O ile... o ile ma to jeszcze jakieś znaczenie.

Objęła go ramionami, przytuliła twarz do jego twarzy.

- Zatrzymam cię! - szepnęła. - Zatrzymam!

Ksiądz pułkownik przymknął oczy. Palce trzymające stulę zacisnęły się na niej w bezsilnej rozpacz. Po raz który doznawał jej już dzisiaj? Po raz który modlił się nie modląc, bez krzty wiary w przepisane liturgią słowa? Jakoś inaczej chciało mu się rozmawiać z Panem Bogiem, krzyczeć do niego z tego obszaru wydanej śmierci, wołać jego pomsty, jeśli już nie można było uprosić zmiłowania. Nawet gdy nachodziły go chwile pokory, nie potrafił zupełnie się jej

poddać. - Panie Boże - szeptał do siebie - wybac mi!
Wiem, że grzeszę. Ale nie czuję uspokojenia, że oto jeszcze jedna dusza wraca do Ciebie.

- W mojej kurtce jest wiersz - szepnął Jerzyk. -
W górnej prawej kieszeni. Weź go... I pokaż także moim rodzicom. Jak wrócisz... jak wrócisz do Gdyni...
Julitka trzęsącymi się rękami rozsupłała zawiniątko z rzeczami chłopca, złożone przy jego głowie.

- W górnej... w górnej prawej kieszeni... - powtórzył Jerzyk z wysiłkiem. - Powinny być dwie kartki...

- Jest tylko jedna.

- Powinny... być dwie...

- Jest jedna. Nic więcej nie ma w kieszeni.

- Musiała wylecieć... musiała wylecieć, kiedy biegłem i upadłem. Ale przeczytaj, co tam napisałem...

- Tylko dwie linijki.

- To sam koniec. Przeczytaj...

Julitka przełknęła dławiące ją łzy. Podniosła brudne, poplamione ziemią i krwią palce do oczu.

- Nie płacz, tylko przeczytaj...

Rozwinęła karteczkę. Przeczytała łamiącym się głosem:

Jeśli ja się nie poddam,
nie podda się moja Ojczyzna.

- Tak... - szepnął Jerzyk. - To właśnie jest koniec...

Julitka znowu ogarnęła go ramionami, przytuliła twarz do jego twarzy. Odwróciła głowę dopiero wtedy, gdy poczuła czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

- Wstań, moje dziecko! - powiedział ksiądz pułkownik. - Czy mogę ci w czymś pomóc?

Julitka potrząsnęła przecząco głową. Jerzyk leżał nieruchomo, oczy miał zamknięte. Już się oswoiła z widokiem takich twarzy, już wiedziała, co oznacza ich wyraz -- ale teraz nie chciała się z tym pogodzić, nie chciała przyjąć do wiadomości wyroku, który już zapadł.

- Ja... - spojrzała bezradnie w głąb korytarza - ja sprowadzę doktora... ja...

- Możesz się już tylko modlić, moje dziecko. - Kapelan uniósł ją z klęczek i usiłował odciągnąć od noszy. - Modlitwa daje pocieszenie. Modlitwa przynosi ulgę.

- Ksiądz sam w to nie wierzy - odezwał się słaby głos z sąsiednich noszy. - Ksiądz sam w to nie wierzy, a dzieciom w głowie zawraca. I po co?

Na korytarzu składano najciężej rannych, Julitka wiedziała o tym, i temu więc obok Jerzyka nie pisane było długie wyczekiwanie na śmierć. Był tak samo blady, zamiast prawego ramienia miał zwój bandażu, przez które przebijała już krew.

Ksiądz pułkownik zbliżył się do niego.

- Mój synu - zaczął, wciąż z tą samą bolesną niewiarą w każde ze swoich słów - cierpienie rodzi opór w duszy twojej. Gdybyś pojednał się z Bogiem...

- Nie gniewałem się z nim, to i pojednywać się nie muszę. Obydwaj byliśmy dla siebie obojętni. Niech mi ksiądz da wreszcie spokój!

Przez schody przebiegła jedna z sanitariuszek.

- Grabieniówna! - zawołała, spostrzegłszy Julitkę. -
Do noszy!

Ranny odwrócił z wysiłkiem głowę ku Julitce.

- Krzysztof... Krzysztof Grabień... to twój ojciec?

- Tak.

- Gdzie jest?

- Tutaj. Za szpitalem. Przy pułkowniku.

- Powiedz mu... powiedz mu... - ranny usiłował się podnieść, ale opadł zaraz na nosze - ...że mnie widziałaś.

Że widziałaś Leona Majkę. Bo mieliśmy taką jedną rozmowę... Nie chciałbym, żeby myślała... Powiesz? "•<

-Powiem-szepnęła Julitka: »

- Byłem w kompanii kosynierów porucznika Kąkolewskiego.

- Powiem - powtórzyła.

Kapelan wziął ją za rękę.

- Idziemy.

Usiłowała mu się wyrwać.

- Ja... ja tu jeszcze zostanę.

- Idziemy! - powiedział jeszcze raz z naciskiem ksiądz.

- Żywi czekają na ciebie, potrzebują twojej pomocy. I mojej także. A umarłych zabierzemy ze sobą. W pamięci pełnej czci.

- Niech mi ksiądz nie mówi o pamięci pełnej czci!

- zawył Leon Majka.

- Ja nie mogę go tak zostawić... - szepnęła z rozpaczą Julitka, cofnęła się ku noszom, na których leżało ciało Jerzyka.

-- Musisz. Nie jesteś mu już potrzebna. A jesteś potrzebna żywym. Może wołają o wodę, może krzyczą z bólu, a ty potrafisz sprawić im ulgę. Ja także - ksiądz pułkownik wykonał ręką gest, który nie przypominał kapłańskich gestów przy ołtarzu -ja także... - Na schodach zdjął stulę i komżę, zawinął w nią brewiarz. - Czy mogłabyś mi to przechować?

- Przechować? - zdumiała się Julitka, ocierając łzy.

- Tak, przechować. - Kapelan uśmiechnął się ze smutkiem. - Wiesz, co mówiłem piętnaście lat temu, kiedy twój ojciec i twoja matka przyszli do proboszcza na Oksywiu, żeby dać na zapowiedzi? Byłem przy tym i powiedziałem do Włodka, do kapitana Jazowieckiego, który nie był jeszcze wtedy w wojsku... znasz go chyba?

- Znam. Nie wiemy, co się z nim dzieje.

- Ja także nie wiem. Powiedziałem wtedy do Włodka, a może mówiłem to do twoich rodziców, do młodej pary, że potrzebni tu będą żołnierze, że zawsze będą tu potrzebni żołnierze... No i są potrzebni - dodał po chwili milczenia - wszyscy, którzy mogą nosić broń.

Zostawił Julitkę na schodach i wyszedł z budynku szpitalnego w rzeźwe i przesyczone już zapachem jesieni powietrze wieczoru. Mrok rozświeślały raz po raz rakiety rzucane przez Niemców, i ksiądz, uśmiechając się gorzko na myśl, że to one właśnie wskazują mu drogę, ruszył w kierunku, w którym spodziewał się znaleźć jakąś broń.

Ale leje po bombach i wyrwy od pocisków artyleryjskich tak zryły teren wokół szpitala, że nie mógł się w nim rozeznać. Zaczepił więc kogoś, rozpoznając w mroku szlify oficerskie.

- Broń - zareagował ostro porucznik. - A co zrobiliś-

cie ze swoją?

- Nie używałem jej dotąd - powiedział cicho kapelan-Porucznik dopiero teraz go poznał.

- A, to ksiądz pułkownik! - zawołał zdumiony.

- Pułkownik - potwierdził - ale pułku mi nie potrzeba, żebym mógł spełnić swoją powinność. Wystarczy mi zwykły karabin, tylko żeby dobrze strzelał.

Panie Boże, mówił sobie w głębi duszy, znowu musisz mi coś wybaczyć. Ale najpierw uczyniłeś mnie Polakiem, a dopiero potem księdzem. Taka była Twoja wola i według niej muszę ustalić pierwszeństwo moich obowiązków. Oni tu przyszli zabić mój kraj. Wybacz mi. Panie Boże, nie mogę teraz tylko się modlić...

Nocne uderzenie, którego celem było odzyskanie Suchego Dworu i które powierzono zorganizowanemu naprędce z niedobitków różnych oddziałów batalionowi, nie powiodło się, choć część batalionu zdołała wykonać zadanie: musiała jednak wycofać się pod bezustannym ogniem artylerii.

Okolo czwartej nad ranem pułkownik Dąbek wezwał oficera łącznikowego.

Zgłosił się porucznik Kąkol.

Nie widział prawie w półmroku twarzy pułkownika, ale jego głos ukazywał mu ją wyraźniej niż najostrzejsze oświetlenie. Musiały być w niej wszystkie nie przespane noce, rozpacz z powodu porażek i odwrotów, nie spełnione nadzieje na pomoc, panika i determinacja, jaka była w każdym żołnierzu, którego wysyłał do ataku, w samą gardziel śmierci, musiała być w niej pewność, że zbliża się koniec oporu.

- Do pułkownika Pruszkowskiego! - powiedział, wręczając Kąkolowi kopertę z rozkazem. - Musi pan dotrzeć do niego za wszelką cenę.

- Tak jest, panie pułkowniku - odpowiedział cicho Kąkol, nauczyciel Kąkol, porucznik Kąkol, ojciec siedmiorga dzieci, ósmego jeszcze nie narodzonego. - Tak jest, panie pułkowniku! Za wszelką cenę.

Wziął karabin i chlebak z dwoma ręcznymi granatami, z którymi od kilku już dni się nie rozstawał. Dostał je od żołnierzy, z kompanii podporucznika Skowrona podczas wypadu w nocy z czternastego na piętnasty września w lesie Dębowa Góra. Wypadem tym dowodził sam pułkownik

Dąbek, i on, porucznik Kąkol, nie odstępował go ani na krok, bo walka toczyła się na bagnety i granaty. Zdobyli wtedy trochę broni. Nie poprawiło to w niczym sytuacji (Niemcy wdzierali się coraz głębiej w siły polskie), ale to małe zwycięstwo nakarmiło ich serca krótką pociechą.

Schował więc wtedy do chlebaka dwa granaty, miał je teraz ze sobą, chciał je mieć ze sobą - dwa granaty zdobyte na wrogu.

Ledwie wyszedł z Babich Dołów, ledwie minął folwark leżący po drodze do Starego Obłuża, musiał rzucić się na ziemię. W różnych punktach rozległego pola, zalanego ostrym jesiennym światłem, odezwały się pojedyncze wystrzały. Czołgał się prawą stroną drogi w płytkim rowie, zarośniętym suchą trawą. W kartoflisku po lewej stronie byli już Niemcy. Otworzył chlebak, ale granatów jeszcze nie

odbezpieczał. Musiał za wszelką cenę dotrzeć z rozkazem do podpułkownika Pruszkowskiego; nie zaatakowany, nie powinien wdawać się w walkę. Gdy unosił się na rękach, widział ich: głowy w hełmach, broń, którą ciągnęli za sobą, nie bardzo się nawet kryli, jakby nie było to już potrzebne, jakby już nic im nie zagrażało. Miał w chlebaka dwa granaty, a nie mógł ich rzucić. Boże święty, nie mógł ich rzucić! Rozkaz musiał dotrzeć do miejsca przeznaczenia. W drodze powrotnej, pomyślał, w drodze powrotnej!

Po prawej stronie drogi, w płytkich rowach i wnękach, byli jeszcze polscy żołnierze. Zapytał ich o podpułkownika Pruszkowskiego. Wskazali mu miejsce jego postoju. Twarze mieli szare ze zmęczenia, oczy nieprzytomne.

- Niech mu pan powie, że poległ pułkownik Sołdkowski, a my wycofujemy się do bloków Pagedu. Pułkownikowi Dąbkowi niech pan także o tym zamelduje.

Zza grupy żołnierzy wysunął się młody podchorąży.

- Pan jest przy pułkowniku Dąbku?

- Tak.

- Czy Grabień... Krzysztof Grabień jest tam jeszcze?

- Jest. Widziałem go dziś w nocy.

- Niech mu pan powie, że spotkał pan jego brata. Ze jeszcze żyje. I że wycofuję się z resztką oddziału do bloków Pagedu.

- Powiem mu - przyrzekł. Twarz podchorążego roz-
płynęła się wśród innych 'żołnierskich twarzy, zagubiła się wśród nich, znikła.

Zaczął się znowu czołgać. Gdy wreszcie znalazł podpułkownika Pruszkowskiego, dochodziła już dziewiąta.

W płytkiej ziemiance, zamaskowanej byle jak kilkoma gałęziami rzadkich tutaj drzew, krył się sztab pierwszego morskogo pułku strzelców. Wielokrotnie silniejszy i uzbrojony w najnowocześniejszą broń nieprzyjaciół potrzebował prawie trzech tygodni, żeby go zepchnąć od Wejherowa na Obłuże. Prawie trzy tygodnie posuwał się przez te dziewiętnaście kilometrów, wspierany artylerią i nalotami bombowców, a jednak wciąż odrzucany z zajętych pozycji i nękany nocnymi wypadami Polaków. A teraz oto mieściła ich jedna ziemianka i kilka niedługich rowów strzeleckich.

Pułkownik Pruszkowski przeczytał rozkaz Dąbka, podał go swoim oficerom.

- Meldunek przekaże pan ustnie - powiedział do Kąkola. - Niech pan zapamięta: stan bojowy - stu osiemdziesięciu dwu żołnierzy. Żołnierz jest tak zmęczony, niewyspany i głodny, że dowódcą trudno poderwać go do dalszej walki. Proszę to przekazać pułkownikowi Dąbkowi. I... niech go pan pozdrowi ode mnie.

- Tak jest, panie pułkowniku.

<<' - Może pan chwilę odpocznie?

- Nie, dziękuję. Szedłem tu... czołgałem się tu prawie pięć godzin, nie wiem, ile potrwa droga powrotna. Porucznik Kąkol odmeldował swoje odejście, opuścił ziemiankę i skoczył do przydrożnego rowu. Poranne mgły podniosły się już, i słońce piekło teraz jak w środku lata. Tylko nad morzem wisiała jakaś siność nieprzenikniona, jakby niebo opadło w ciasną miskę zatoki. Nie przeszkadzało to jednak wcale niemieckim okrętom kierować nieprze-

rwany ogień na Babie Doły, na Wawóz Ostrowiecki, gdzie były składy amunicji, i na Cypel Oksywski, z którego wciąż jeszcze strzelała polska bateria. Od czasu do czasu odzywał się głuchy pomruk ciężkich dział Schleswiga-Holsteina. Bliska strzelanina także się wzmogła. Strzelała krótkimi seriami broń maszynowa, nie można było podnieść głowy, nie można było przebiec nawet kilku metrów. Porucznik Kąkol czołgał się przez całą drogę, ale przy zakręcie koło folwarku, już niedaleko Babich Dołów, uniósł się nieco i odbezpieczył obydwie granaty. Z bliskiej odległości bił 'ęczy karabin maszynowy. Nasłuchiwał przez chwilę, starając się dobrze rozpoznać jego miejsce, a kiedy uznał, że już wie, kiedy strzały znowu rozsypały się po równinie, uniósł górną część tułowia i rzucił granaty, dwa granaty zdobyte na wrogu po to, żeby do tego wroga wróciły, żeby to jemu zaniósł zamkniętą w sobie śmierć, rzucił je i czekał, przypadłszy do ziemi. Nastąpił wybuch, jeden, potem drugi, a po nich zapadła cisza, naprawdę zapadła po nich cisza tak wielka, że nie było w niej słyhać nawet dział bijących z morza, pomruków Schleswiga-Holsteina ani też wystrzałów ostatniej polskiej baterii na Cyplu Oksywskim. Leżał twarzą przy ziemi i dopiero po chwili spostrzegł, że płacze.

Była już pierwsza po południu, kiedy się zameldował u pułkownika Dąbka.

Pułkownik przyjął raport o stanie bojowym pierwszego empeesu z kamienną twarzą. Wiedział już także o śmierci podpułkownika Sołodkowskiego i o tym, że trzeci batalion rezerwy przestał istnieć. Przyniósł mu tę wiadomość wysłany na Oksywie Grabień. Trzeci oficer łącznikowy, porucznik Michalik, nie dotarł już do podpułkownika Szpunara. Większość żołnierzy drugiego empeesu dostała się do niewoli. Byli więc w okrażeniu tak ciasnym, że tylko stado ptaków mogło się stąd poderwać do lotu, ale i im trudno byłoby się przebić przez ogień bijący z ziemi i morza. Porucznik Kąkol stał wciąż wyprężony na baczność, choć drżał w nim ze zmęczenia każdy mięsień, a serce omdlewało z wysiłku i rozpacz.

- Czy będą dalsze rozkazy, panie pułkowniku?

Pułkownik go nie słyszał. Patrzył przed siebie, na osłaniające ich wzgórze, które tego ranka, po pierwszym nocnym przymrozku, pokryły pożółkłe liście. Po koronach dębów przeleciał wiatr. Pułkownik podniósł głowę i Kąkol, który nie zdejmował oczu z jego twarzy, odniósł wrażenie, że słyha tego wiatru, wysokiego wiatru, szumiącego w gałęziach drzew. Zbliżyli się do nich oficerowie nielicznego sztabu, z którym od początku pułkownik kierował Lądową Obroną Wybrzeża.

- Czy będą dalsze rozkazy, panie pułkowniku? - powtórzył Kąkol.

Pułkownik spojrzał w przekrwione, błyszczące jak w gorącej oczy porucznika.

- Rozkazy? - zapytał, jakby nie rozumiał, co Kąkol do niego mówi. - Jakie mogą być jeszcze rozkazy? Mój drogi - powiedział po chwili - niech pan sprawdzi, czy wszyscy są na linii bojowej wzdłuż skarpy. - Wyjął z kabury pistolet,

odbezpieczył go. - Oni zaraz tu będą - powiedział do oficerów. - Teraz musimy bić się także i my. Zaczął pisać się pod górę po wzniesieniu. W pewnym momencie odwrócił ku nim głowę. Patrzyli na niego z głuchym, rozsadzającym serce bólem.

- To już wszystko - powiedział. (A może zdawało im się, że powiedział, może to były tylko ich myśli.) - To już wszystko, co można było zrobić, a może nawet o wiele więcej. Byłem żołnierzem, nawet wróg powinien to ocenić, ale nie jestem pewien, czy to jest wojna żołnierzy. Odbezpieczyli broń i także zaczęli wspinać się pod górę, żeby - tak jak chciał pułkownik - stanąć na linii bojowej i bronić się do ostatka.

Niemcy zbliżali się już zewsząd. Od strony morza, Oksywia i Obniża, i tak jak to sobie Krzysztof już od dawna wyobrażał - z szerokiej i płowej płaszczyzny pola pod Stefanowem, z obszaru, który w ostatnich dniach daremnie usiłowano utrzymać. Ucichła artyleria i wsparcie z morza, teraz szła do ataku piechota, i pułkownik postanowił powitać ją na skarpie. Stał i strzelał.

Krzysztofa, który był najbliżej, obezwadniała nagle przerażająca myśl, złe przeczucie, gorzka pewność.

- Panie pułkowniku! - krzyknął. - Na ziemię! Na ziemię! Zabijają pana!

Dąbek zwrócił ku niemu nieprzytomne, ledwie widoczne spod opuchniętych powiek oczy.

- Jednostki elitarne... - powiedział nagle. - Tak, tylko z nimi mogłem... tylko z nimi... dziewiętnaście dni...

- Panie pułkowniku... - wykrztusił Krzysztof. Gwałtowny skurcz zaciskał mu gardło. Tylko z nim, myślał, z żadnym innym dowódcą, tylko z nim... dziewiętnaście dni na tym odsłoniętym skrawku ziemi... pod bezlitosnym słońcem... bez żadnej nadziei...

- Jednostki elitarne... - powtórzył pułkownik. I przyjrzał się z bliska twarzy Krzysztofa Grabienia, jakby dopiero teraz wydała mu się znajoma. - To pan... wtedy w kawiarni...?

- Ja - szepnął Krzysztof. Przyskoczył do pułkownika, ściągnął go ku ziemi, przykrył prawie swoim ciałem. Ale pułkownik łagodnie odsunął go od siebie.

- To pan - powiedział jeszcze raz - ustąpił mi miejsca. I potem... przez cały czas... przy mnie...

- Tak, przez cały czas.

- Dziękuję panu. Wszystkim dziękuję.

- Panie pułkowniku! - jęknął Krzysztof. Chciał, żeby pułkownik zsunął się ze szczytu skarpy, żeby ukrył się poza jej zrębem, bo niemieckie moździerzowe odezwały się niewiarygodnie już blisko.

- Dziękuję - powtórzył pułkownik. - I już nie patrzył na niego. Podczołgał się do armatki przeciwpancernej, odsunął od niej celowniczego, któremu dygotały ręce, kazał podawać sobie pociski i sam zaczął strzelać.

Nie trwało to długo. Niemcy podchodzili coraz bliżej, słyszeli ich nawoływania, wzywające do zaprzestania ognia, do poddania się.

Pułkownik wciąż strzelał, i wszyscy oficerowie jego sztabu, posłuszni rozkazowi. Jakiś żołnierz płakał, ktoś przekli-

nał, ktoś wzywał pomocy. W bezustannym huku wystrzałów mieszały się te odgłosy w jedno wspólne brzmienie kończącej się tragedii.

Pocisk mózdzierzowy wybuchnął tuż obok armatki. Umiłkła. Odsunięty przez pułkownika celowniczy krzyknął rozdzierającym głosem:

- Pułkownik jest ranny!

Leżał na ziemi. Rzucili się ku niemu wszyscy, którzy to usłyszeli. Zapomnieli o tym, że niebezpieczeństwo trwa, że trzeba się kryć i czołgać.

Powstrzymał ich gestem. W prawej ręce trzymał pistolet, który powoli unosił ku skroni. Mówił coś, ale nie docierało to do ich uszu. I nagle padł strzał.

Ogłuszeni już byli bezustanną palbą, ale ten strzał wyodrębnił z cichnącego hałasu bitwy, usłyszeli go wyraźnie i osobno.

Długo trwała ta chwila, rozciągnięta ogromnie nie w czasie, ale we wszelkiej daremności, zanim zrozumieli, że to już naprawdę koniec, koniec nie tylko życia jednego człowieka, ale całego wysiłku, którym kierował, którego był uosobieniem i siłą, on - obcy na tym skrawku ziemi, ale teraz zjednoczony z nim na zawsze. Nie mogli wiedzieć, że ta przegrana bitwa, od początku bez nadziei i ratunku, błyszcząc będzie kiedyś w historii blaskiem równie jasnym, jak najświeńniejsze zwycięstwo.

- Hande hoch! - krzyczeli już Niemcy z daleka. -

Hande hoch!

Sypały się jeszcze strzały. A gdy umilkły, Babie Doły zalało mrowie żołnierzy w mundurach feldgrau.

4^2

Pod bronią prowadzili polskich oficerów do ziemianki w skarpie.

- Gdzie jest głównodowodzący armii? - pytali ich.

- Gdzie jest generał?

- Pułkownik -- powiedzieli Polacy. - I już nie żyje.

Przez tłum Niemców przeszedł szmer.

- Trafiliśmy go jednak!

- Nie - odpowiedzieli Polacy po długim, po bardzo długim milczeniu. - Zabił się sam.

Kiedy pułkownika znoszono na kocu ze skarpy, stali na baczność - już bez broni, już wzięci do niewoli, ale z wysoko podniesionymi czołami, wyprężeni, jakby przechodził wzdłuż ich szeregu po raz ostatni. Coś z tragicznej podniosłości tej chwili musiało dotrzeć do zwycięzców, hałaśliwie przeżywających swój triumf, bo zamilkli także na ten krótki moment. A może tylko milczeniem wyrażali swoje zdumienie.

Krzysztof był w grupie żołnierzy stojącej najbliżej szpitala, na jego tyłach, blisko wejścia do części gospodarczej i kotłowni, przy której chronił się ostatnio z Julitką przed ostrzałem z morza. Widział tu wtedy otwarte okienko do piwnicy, przez które zapewne zsypywano koks. Cofał się więc teraz powoli w tym kierunku, a gdy zauważył, że żołnierzy niemieckich zajęło segregowanie rzucanej przez Polaków broni, upadł na ziemię i czołgając się wzdłuż muru, przez niskie zarośla pokrzyw i łopianu, dotarł do tego okienka, przewinał się przez jego parapet i znalazł się na stercie koksu, który pod jego ciężarem cicho zachrzęścił.

Odczekał długą chwilę, nasłuchując, czy nikt nie biegnie za nim. Przez wrzawę, jaka panowała wokół szpitala, nie przebijał się jednak żaden odgłos, który mógłby uznać za skierowany przeciwko niemu, przeciwko jego ucieczce. Dudnienie, które początkowo brał za pogoń, było jedynie rozsadzającym piersi waleniem serca. Przez godzinę był w niewoli. Wszystko, tylko nie to! myślał. Tylko nie to! Widział z bliska ich oczy, słyszał ich głos! To było gorsze niż śmierć.

Po sterwie korytarza dostał się do drzwi i otworzył je na korytarz. Był ciemny. Małe, brudne okienko niewiele przepuszczało światła: zaczął się posuwać ku następnym drzwiom. Nie wiedział jeszcze, co robi, jak ucieknie, ale wiedział, że musi uciec, że się nie podda. Nie po to przyjechał piętnaście lat temu na ten brzeg, nie po to oddał mu najpiękniejsze lata swego życia, żeby teraz iść stąd do niewoli, żeby podnieść do góry ręce, które przecież mogły jeszcze nieść broń.

Doszedł do połowy korytarza i nagle przystanął. Zawrócił, otworzył drzwi kotłowni, zdjął swoją oficerską kurtkę i zasypał ją koksem. Teraz miał na sobie już tylko wojskowe spodnie, ale nie zdradzały one oficerskiego stopnia. Znowu zaczął posuwać się korytarzem, nasłuchując odgłosów z zewnątrz i z wnętrza szpitala – sufit nad jego głową dudnił spiesznymi, ciężkimi krokami, tam już także byli Niemcy. Kiedy znalazł się na końcu korytarza, sprzed drzwi, które musiały wieść na schody, zawróciły go zbliżające się podniesione głosy. Mówiono po niemiecku. Skoczył do tyłu, otworzył pierwsze z brzegu drzwi i zamknawszy je za sobą, zapadł w zupełną ciemność. Za gardło chwycił go mdły, słodkawy, odrażająco gnilny odór.

Tymczasem korytarzem zbliżały się już głosy i kroki, twardo brzmiące na cementie posadzki. Przywarł plecami do ściany, ręką potracił o coś twardego i zimnego, co jednak nie było sprzętem, nie było rzeczą, i włosy zjeżyły mu się na głowie. Był... był w ...

W głębi korytarza otwarto drzwi do kotłowni.

- Hier Keller - mówił nieporadną niemieczyzną prawdopodobnie ktoś z administracji szpitala, zmuszony do towarzyszenia żołnierzom przy przejmowaniu budynku. - Keller, Heizung. Kesseiraum.

- Ach, so! - odpowiedział jakiś głos, i drzwi kotłowni zatrzaśnięto. Kroki zbliżyły się teraz do pomieszczenia, w którym był ukryty. Pojaśniało pasemko światła nad progiem. Żołnierze mieli latarkę.

- Und hier Leichenhalle - powiedział objaśniający głos. A po chwili dodał: - Ganz voll!

- Och! - zaśmiał się żołnierz, ale jednak niezbyt szczerze. - Hier nissen wir gar nicht herein!

Głosy umilkły, kroki oddaliły się, zatrzaśnięto drzwi od korytarza. Był więc w kostnicy - tym tłumaczyła się ta dziwna woń, która doprowadzała go do omdlenia. Ponieważ szpital był pod stałym ostrzałem z morza, ziemi i powietrza, zmarłych nie grzebano prawdopodobnie już od kilku dni.

Powstrzymując mdłości, uchylił drzwi na korytarz, ale nie opuścił tego smutnego pomieszczenia, skoro okazało się tak dobre, najlepsze, jakie mógł znaleźć.

Gdyby przytrafiło mu się to przed trzema tygodniami, oszalałby chyba albo wyszedł stąd z posiwiałym włosem. Teraz był obeznany ze śmiercią i bał się żywych, a nie umarłych. Byli towarzyszami w tej tragicznej walce, którą przegrali, którą musieli przegrać, wiedzieli o tym od samego początku. On mógł być także wśród nich, mógł tak jak oni leżeć tu, nie pogrzebany. Odsunął od siebie łagodną i już niebojaźliwą dłońią czyjeś ciało i usiadł na ziemi przy ścianie. Przez szparę w uchylonych drzwiach dochodziło czyste powietrze. Wciągał je w płuca, oddychając głęboko.

Kiedy sufit przestał dudnić ciężkimi krokami żołnierzy, wyszedł na korytarz, a potem schodami dostał się na parter szpitala. Pierwszą napotkaną siostrę PCK poprosił o sprowadzenie Julitki. Zjawiła się po długotrwałym poszukiwaniu, podczas którego czekał wśród rannych, gotów każdej chwili paść między nich, gdyby pojawili się Niemcy. Ale Niemcy uznali najwidoczniej teren za dostatecznie spenetrowany, przed wejściem do szpitala stała już warta. Julitka chciała rzucić mu się na szyję, ale powstrzymał ją spojrzeniem. Trzeba było zachować ostrożność.

- Muszę stąd uciec - powiedział. - Nie dałem się wziąć do niewoli. Może znajdziesz gdzieś jakieś niewoj-skowe spodnie.

Przyniosła je po chwili - białe, płócienne spodnie pielęgniarki, albo kucharza, nie wiadomo skąd je wzięła, ale nie było czasu zastanawiać się nad tym. Przebrał się w kacie, a Julitka jego wojskowe spodnie wsunęła pod któregoś z rannych.

- Muszę się stąd wydostać -powtarzał. - Muszę stąd uciec.

- Zaraz jedziemy po rannych - powiedziała. - To już zarządzenie niemieckie. Chcą, żebyśmy pozbierali najpierw wszystkich ich żołnierzy. Weźmiesz razem ze mną nosze. Uprzedzę koleżanki, żeby się nie dziwiły, że mamy męską pomoc. Tylko zachowuj się naturalnie. I rób, co ci powiem. Słuchał jej, słuchał swojej małej córki, uspokojony jej opieką, jej rozsądkiem i przebiegłością. I było tak, jak powiedziała. Chwycili obydwoje nosze i wybiegli, gdy zajęła sanitarka. Przed wejściem do szpitala stało dwóch niemieckich żołnierzy z bronią gotową do strzału.

Nad polami, nad rozległą przestrzenią niedawnej walki unosiły się dymy pożarów. W jaskrawym słońcu zachodu stały między ziemią i niebem jak białe wykrzykniki grozy i klęski. Nie roznosił ich ucichły nad wieczorem wiatr, nie rozwiewały pociski, których nie wysyłano już z morza. Stały dziwnie nieruchomo w tej martwej ciszy, jaka zaległa nad pobojowiskiem.

Ale gdy sanitarka stanęła na skraju Obłuża, usłyszeli wystrzały.

- To bronią się jeszcze w koszarach Kadry Floty na Oksywiu - powiedział Krzysztof do Julitki. - I w blokach Pagedu.

- Bierz nosze! - szepnęła.

Przy szoferze sanitarki siedział żołnierz z gdańskiej grenz-wachy z odbezpieczonym karabinem.

- Oni rozumieją po polsku - powiedziała, gdy odbiegli spory kawałek i zatrzymali się pośród stratowanego karto-

fliska.

Znowu patrzył na nią z pokornym podziwem. Skąd to wiedziała? Jego mała, do niedawna jeszcze noszona na rękę, a teraz opiekująca się nim córka?

- Julitko! - szepnął. - Boże drogi! Żyjemy!

Nic na to nie odpowiedziała. Patrzyła tępo przed siebie. Zawstydził się tej krótkiej chwili radości i ulgi, jaka nim zawładnęła.

- Posłuchaj! - powiedział. - Otrzymałem w ostatniej chwili wiadomość; że Cyprek wycofywał się z resztkami swego oddziału ku blokom Pagedu. Muszę tam dotrzeć. Muszę go odnaleźć. Mam znajomych w tych blokach. Może udałoby się przebrać go u nich w cywilne ubranie, a potem dotrzeć do stryja Bernarda... U samotnego staruszka nie będą chyba robić rewizji...

Milczała.

Więc powiedział wreszcie:

- A ty staraj się jak najprędzej wrócić do domu. Już dosyć... już naprawdę dosyć... jak na ciebie...

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nie mogę.

- Dlaczego nie możesz?

- Są ranni. I... umarłych musimy pogrzebać.

Nie powiedział już nic. Nie mógł nic powiedzieć. Owiał go odór, który wciąż jeszcze czuł, którego nie zdołało rozwiać spod nozdrzy powietrze szerokiego pola.

- Wiesz... - Julitka zagryzła dolną wargę i milczała przez długą chwilę. - Jerzyk także... Powsiałowicz - powiedziała potem z trudem. - Nawet go dobrze nie widziałeś wtedy w mroku przy samochodach... - Opanowała się jednak i dodała już spokojniej: - Razem z nim był Leon Majka. Kazał ci to powiedzieć. Mówił coś jeszcze, ale już teraz nie pamiętam. Jego także... jego także trzeba pogrzebać.

Majka, myślał Krzysztof. Zamykały się losy ludzkie, zatrzaśkiwało się nad nimi ciężkie wieko skrzyni, której nikt nie mógł już otworzyć. I nie można już było nic do nich dodać, ani jednego szczęśliwego dnia. Seweryn, przypomniał sobie z bolesnym skurczem serca. Nie wiedział nic o Sewerynie, a byli razem, on i Majka, w oddziałach kosynierów.

- O Sewerynie nic nie wiesz?

- Nie.

- Na pewno?

- Przecież bym ci powiedziała. Skoro... skoro powiedziałam ci... o tamtych. Za długo tu stoimy - szepnęła po chwili.

Znaleźli w kartoflisku jakiegoś Niemca, podnieśli go. Już nie żył, ale ułożyli go na noszach i brnęli z nim przez zagony, kierując się w stronę sanitarki tylko wtedy, gdy zdawało im się, że śledzi ich spojrzenie żołnierza siedzącego obok szofera. Na szczęście zajechały inne wozy i na drodze powstało zamieszanie. Dzięki temu oddalili się spory kawałek, biegnąc ku najbliższym zabudowaniom.

Przy pokonywaniu rowu zabity zsunął im się z noszy.

Julitka zaklęła. Chwyciła go pod pachy, targnęła nieruchym ciałem. Krzysztof odwrócił oczy.

- Psiakrew, jeszcze i teraz chce z nami wojować!

- Julitko! - upomniął ją cicho.

Podniosła na niego gniewne oczy. Nie, na pewno nie była już dzieckiem, nie była już dzieckiem bezpowrotnie. Wojna trwała, każdej chwili mógł jeszcze zginąć, ale nie myślał o tym - myślał, co to się stało z jego dzieckiem, z jego małą córką, jak ona będzie dalej żyć, czy potrafi zapomnieć o tych okrutnych, bolesnych, gorzkich, złych dniach, które wtargnęły w jej dzieciństwo?

- Proszę cię - powiedział bezradnie. - Proszę cię.

Układała na noszach głowę Niemca, przedziwnie ruchliwą, lecącą raz do tyłu, raz w bok. Martwe oczy patrzyły spod uchylonych powiek.

- Proszę cię - powtórzył jeszcze raz.

- No więc dobrze - krzyknęła - sam się nim; zajmij!

- Ten człowiek nie żyje - powiedział cicho.

- Jak wielu naszych. I nie myśmy szli do nich, tylko oni przyszli do nas. Nie rozczulaj się teraz nad jednym...

- Julitko! - przerwał jej przerażony. - Zostawmy go!

Kto inny go zabierze. Nam... mnie nie będzie już potrzebny. Doczołgam się jakoś do tych zabudowań.

Zaczęła płakać. Nie miała chustki, żeby schować w nią twarz, płakała wyprostowana, z boleśnie, a jednak bardzo po dziecinnemu skrzywionymi ustami.

- Nie potrafię być inna! Nie potrafię! Nie będę już nigdy inna!

- Wracaj! - powiedział. - Uważaj na siebie! I nie pozwól, żeby tymczasowa klęska, którą nam zadali, stała się klęską prawdziwą.

XXV

Jesteśmy tam, moja miła, myśl o tym, że tam jesteśmy, ty i ja, oboje. Staraj się to sobie wyobrazić. Staraj się w to uwierzyć.

Lato, jakaś łąka, owoce, ptaki...

Siedzieli na posadzce kościelnego baraku, który dopiero miał się stać kościołem, ale przed wybuchem wojny odprawiano tu już nabożeństwa, gdyż mały kościół na Świętojańskiej był zbyt ciasny. Teraz zamknięto tu zakładników i innych "prominentnych" z Gdyni, a także i z Gdańska, bo Viktoria-Schule nie mogła już pomieścić wszystkich aresztowanych Polaków. Rzucono im kilka snopków słomy, po to tylko chyba, żeby - gdy wyprowadzano ich do zamykania ulic - musieli wyciągać jej żdźbła ze zmierzwionych włosów, czyścić z niej zmięte ubrania i zakurzone obuwie; ogrzać kamiennej posadzki ani uczynić jej miękką nie mogła.

Człowieka bardzo szybko można stłamsić, pognieść, pobrudzić, ale przed tym zniszczeniem nie może się obronić tylko ciało - to, co jest w nim naprawdę człowiekiem, pozostaje długo, czasem nawet na zawsze, nietknięte, nieskażone i silniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

I dlatego Słubicki trzymał w dłoni brudną i zimną rękę panny Loewe, nie widzącej prawie nic pozbawionymi okularów oczyma, i powtarzał jej wciąż słowa, którymi chciał odwrócić od niej rzeczywistość, zabrać ją z tego miejsca i z tego okrutnego czasu.

- Lato, jakaś łąka, owoce, ptaki... niech pani sobie wyobrazi, że to było, że to się przytrafiło pani i mnie... Byliśmy tam...

- Przedtem mówił pan jesteśmy - powiedziała nieśmia-

ło panna Loewe.

- Woli pani, żebym mówił "jesteśmy"?

--- Wolę.

- Ma pani tyle siły, żeby tam być?

- Mam tyle siły. Chcę tam być. Teraz.

- Dobrze - powiedział. - Dobrze! W końcu kiedy człowiek dochodzi do... pewnego punktu w swoim życiu, wszystko mu jedno, czy ma coś za sobą, czy mógł mieć przed sobą. Wspomnienia i marzenia wyrównują się, mają ten sam nierealny walor. A my się temu nie poddamy. My będziemy mówić: jesteśmy.

- Tak - szepnęła panna Loewe. - Proszę.

- A więc jesteśmy nad jakimś pięknym jeziorem. Jesteśmy tam razem. Nigdy nie widziałem równie pięknego jeziora... Czujesz, jak pachnie łąka?

- To kwitnie konieczyna.

- Tak, konieczyna. Chcesz jeszcze poziomek?

- Proszę.

- Jakie soczyste! I słodkie. Cieszę się, że jesteśmy tutaj, a nie w Karisbadzie, w Baden-Baden czy nawet w Nicei. Tam byłby tłum i nie moglibyśmy być sami.

- Tak, tu nie ma nikogo prócz nas. Dziękuję ci za wszystko, co mi dajesz. I za to, że jesteś. Tutaj. Taraz. I ze mną.

Takie były wieczory. A rankami wyprowadzano ich z miotłami w rękę na ulice miasta. Żandarmi z odbezpieczonymi automatami stali na brzegach chodników. Nikt nie mógł się do nich zbliżyć, odezwać, podać choćby najmniejszej paczki. Ludzie zwracali ku nim tylko głowy, w niemym pozdrowieniu, w geście bezradnej solidarności. Znało ich całe miasto - wysokich urzędników Komisarjatu Rządu, Urzędu Morskiego i Celnego, pracowników sądownictwa, banków, firm żeglugowych i portowych, nauczycieli i lekarzy, działaczy związkowych, a także księży.

Ksiądz kanonik Turzyński, dziekan gdyński, zamiatał zwykle u czoła kolumny. Żandarmi ustawiali go zawsze tak, żeby był widoczny, żeby każdy przechodzień widział jego czarną sutannę zamiatającą bruk pospołu z miotłą. Słubickiego stawiano zwykle obok księdza - kanonik i prezes Carbopolu to jakoś tak dobrze pasowało, obydwaj wiele znaczyli w mieście. Nie zawsze udawało się Słubickiemu utrzymać przy sobie pannę Loewe. Starał się nią opiekować, bo prawie nic nie widziała, potykała się o krawężnik i nierówny bruk i omijała miotłą kupki śmieci, a wtedy zawsze rozlegał się wrzask żandarmów. Raz czy dwa Słubicki, który nie odwracał wtedy głowy (wciąż jednak pragnął żyć, wciąż miał nadzieję, a gdyby to zobaczył, skończyłoby się wszystko), usłyszał za sobą odgłosy uderzeń. Wiedział, na kogo spadły. Nikogo tu jeszcze nie bito, ale ją już było można, ją nawet należało, rosły od tego niemieckie zasługi. Wieczorami starał się jej to wynagradzać.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - mówił. - Jesteśmy na Capri.

Znudziło mi się już to jezioro. Chciałbym pokazać ci coś innego. Capri... zamknij oczy.

- I tak nic nie widzę.

- Ale jednak je zamknij. Powieki są żelazną kurtyną, którą człowiek odgradza się od świata. Szkoda by było,

gdyby coś zepsuło ci widok Capri. Właśnie przypłynęliśmy tu niedużym, białym statkiem...

- Skąd?

' - Z Neapolu. Pogoda jest piękna. Tu zawsze jest piękna pogoda. Prawie zawsze. Ile razy tu byłem, świeciło słońce tak jak dziś. Na całym stoku góry ponad zatoczką, w której jest port, kwitną róże.

- Jesienią?

- Teraz są najpiękniejsze. Wokół wszystkich domów, które tu oblepiają zbocze, kwitną czerwono, różowo i żółto, wspinają się na ściany domów i altan, wszędzie czuje się ich zapach.

- Tak, czuję go. Jest oszałamiający;

- Na górze będzie jeszcze piękniej. Pojedziemy kolejką, i od razu zobaczysz morze z góry. Widzisz? Zawsze ma wtedy inny kolor, niebo odbija się w nim jak w lustrze. Chcesz tutaj usiąść?

-- Chcę.

- Napijemy się kawy. Lubię te stoliki pod gołym niebem, w gwarze ulicy. Siedzi się, a jakby się wciąż chodziło, wśród ludzi, razem z nimi.

- I nogi wtedy nie bolały - powiedziała cichutko panna Loewe.

Ścierpl. Wyłamała się z gry. Więc to nie było możliwe

- zabrać ją stąd, z tego miejsca i z tego czasu? To musiało być możliwe! Tylko w ten sposób mogli się bronić. A on... tylko w ten sposób mógł wytrwać w swoim postanowieniu.

- Dlaczego miałyby cię boleć nogi? - powiedział łagodnie. - Na statku przez cały czas siedziałaś. I miałaś takie dobre miejsce. Tak samo w kolejce. A teraz napijesz się kawy i napiszemy razem kartkę do mamy w Wiedniu. Ona tak lubi otrzymywać pocztę...

To musi być możliwe! myślał. To musi się udać! Nie może się załamać. Czekają chyba na to. Są pewni, że to nastąpi. Że zerwie się któregoś dnia ze słomianego barłogu i rzuci się do strażnika przy drzwiach, wołając na całe gardło: Ja jestem von Schabenbach! Mój dziadek był baronem von Sehabenbach; Matka zakochała się w jakimś Słubickim, ale to nieważne, to już nie istnieje. Jestem Niemcem, Austriakiem. Ale to już także nieważne i nie istnieje skoro nie ma Austrii, skoro została połączona z Wielkimi Niemcami, z tysiącletnią Rzeszą. Czekają na to, żeby to krzyknął: Jestem Niemcem! Jestem Niemcem!

A ci wszyscy, przed którymi zawsze uchodził za Polaka, przed którymi i dla których był Polakiem, odwróciliby głowy i patrzyliby na niego z pogardą: i ksiądz kanonik Turzyński, i wicekomisarz Rządu Szaniawski, który kilka razy był u niego na kartach i zawsze przekomarzał się z Karolem, że jego koktajle nie różnią się niczym od koktajli Joe-miksera, i Karwowski - naczelnik z komisariatu Rządu, i Fałatowicz z Urzędu Celnego, częsty gość w Carbopolu, nie zawsze tylko w sprawach celnych, i Borkowski, i Jagodziński z Urzędu Morskiego (nie było bodaj dnia, żeby z nimi nie rozmawiał), i stary Kaszub Konka, którego nieraz spotykał na schodach kamienicy (chyba krewny jej właścicielki), ten stary Konka, któremu teraz, podczas wieczornego spaceru przez kościelny barak, młody gestapowiec pod-

nosił końcem pejcza do góry głowę i pytał: "Konke"?, a który odpowiadał: "Konka". ("Ale na pewno kiedyś nazywałeś się Konke?" "W metryce mam zapisane Konka. Bernard Konka". "Metrykę można przepisać". "Ale ja się jednak do śmierci jednego będę trzymał.")" A więc ten Konka także odwróciłby głowę i patrzyłby na niego. A razem z nim sędziowie i prokuratorzy, urzędnicy przedsiębiorstw i banków, wszyscy, których spotykał u siebie w biurze, na konferencjach, na kawie u Fangrata. Odwróciłiby głowy i patrzyliby na niego.

Wziął lepką od brudu i zimną rękę panny Loewe w swoje tak samo brudne i zimne dłonie, podniósł ją do ust.

- Moja miła - szepnął żarliwie - pomóż mi! Uratuj mnie. Słuchaj tego, co mówię. Wierz w to, co mówię, bądź razem ze mną w tych cudownych miejscach i nigdy nie mów... nigdy nie mów, że bola cię nogi. To, że jesteśmy tu naprawdę, jest tak samo potrzebne tobie, jak i mnie.

Któregoś dnia (strzały na Oksywiu dawno już umilkły i tylko z morza dochodziły jeszcze odgłosy ciężkiej artylerii pancerników, skierowanej przeciwko Helowi) do baraku przybył ktoś, kogo nie widywano przedtem u Fangrata. Nazywał się Seweryn Turek. Dostał się do niewoli na Oksywiu wraz z resztą niedobitków oddziału czerwonych kosynierów, ale że nie był w mundurze, a rychło dowiedziało się, kim jest, włączono go w poczet zakładników i aresztowanych.

Od niego dowiedzieli się o przebiegu walk Lądowej Obrony Wybrzeża i o samobójstwie pułkownika Dąbka. Wiedzieli, że walka już ucichła, ale dopiero teraz ogarnęło wszystkich głębokie przygnębienie. Próbowali się przed nim bronić. Kanonik się modlił, pozostali oblegali Seweryna, żeby dowiedzieć się od niego szczegółów obrony. Jak się teraz okazało, nie składała się ona z samych tylko klęsk, i klęską nie była w końcowym swoim wyrazie, bohaterska i ponad siły małego narodu wobec potężnej przemocy wroga.

Wśród zakładników Gdyni byli i gdańszczanie: redaktor Wilhelm Christian Grimsman z Gazety Gdańskiej, który przysłuchiwał się opowieściom Seweryna tak, jakby miał zaraz zamieścić je w swoim artykule, w swoim ostatnim artykule, nauczyciele, a także byli uczniowie Gimnazjum Polskiego, aktywni członkowie Polonii, a wśród nich Gerard Schulz, którego Seweryn i Konka stracili z oczu, od kiedy przeniósł się z kolei w Gdyni do Dyrekcji Kolei Polskich w Gdańsku, a który teraz został aresztowany wraz z innymi pracownikami DKP.

- I po co mi to było? - jęczał teraz, ściskając głowę rękami. - Po co mi to było? Większych zarobków mi się zachciało! Guldenów! I dałem się wziąć bez jednego strzału. Gdybym tu został, walczyłbym razem z wami. I przynajmniej bym wiedział, za co tu siedzę. Dlaczego nie byłem z wami? Dlaczego zachciało mi się...

Seweryn położył mu dłoń na ramieniu.

- Byłeś z nami zawsze - powiedział. - Nie trzeba być przy kimś fizycznie, żeby być z nim razem.

- Ale nie podczas wojny! - zawołał Schulz. - Nie wtedy, kiedy ludzie się biją!

Ksiądz podniósł głowę znad brewiarza i przez chwilę przysłuchiwał się im w milczeniu. Potem przeniósł wzrok na twarz Seweryna.

- Komunista? - zapytał cicho.

Seweryn, wymizierowany i poczerniały jak stare, zużyte drzewo, patrzył na niego długo, zanim odpowiedział:

- Chyba nie ma ksiądz wątpliwości, że także i Polak?

- Zbliżył się do kanonika, usiadł obok niego na startej prawie na sieczkę słomie. - Wie ksiądz - powiedział cicho

- za co ja bym na miejscu księdza zanosił teraz modły dziękczynne? A tak - potwierdził, odebrawszy przejęte

zgrozą spojrzenie kanonika - dziękczynne, choć brzmi

to strasznie, i sam się sobie dziwię, że mówię to na głos, bo dotąd powtarzałem to sobie tylko sam przed sobą. Za to, że

(c)ni nas nie pokonali do końca. Ksiądz dobrze wie, jak

wysoki był rachunek krzywd w naszym kraju. Ale na

szczęście nie zemściło się to na narodzie w chwili niebezpieczeństwa. Bałem się tego, bo można było się bać. W te dni

byliśmy jednak naprawdę razem. Wszyscy. I ci, co byli tu

-- jak mówią - zawsze, i ci, co przyszli nie wiadomo skąd,

zarówno wierzący w Boga, jak i niedowiarki, biedni, jak

i bogaci. Wszyscy byliśmy razem. Czy to nie przejmuje serca

otuchą?

Ksiądz wsunął palec między kartki brewiarza i potoczył

wzrokiem po ciżbie ludzkiej wypełniającej barak.

- Masz rację, mój synu - powiedział. - Nie udało im

się jednak pokonać nas do końca.

Wokół kościelnego baraku, a także ulicami, które zakład-

nicy zamiatali, snuł się Karol, usiłując zbliżyć się do swego

pana. Setki ludzi wychodziły co dnia na ulice w tej samej

nadziei, ale nikomu nie udało się zmylić czujności straży.

Dnie stały się już chłodne, i Karol zabierał ze sobą płaszcz,

sweter albo ciepły szalik, sądząc, że będzie mógł podać te

rzeczy Słubickiemu, rzucić mu je, zostawić w miejscu, do

którego - zamiatając ulicę - jego pan musiał się zbliżyć.

Ale niczego takiego nie udało mu się dokonać, i Karol

wracał do domu zgnębiony. Wciąż jeszcze uważał za najważ-

niejsze, żeby pan się nie zaziębił i nie zachorował. Starszą

panią zawiadomił o aresztowaniu syna, tak jak jej obiecał.

Wprawdzie zawiadomił nie nazajutrz, lecz dopiero po trzech

dniach, ale odczekanie ich wydało mu się konieczne. Sądził,

że pan zaraz wróci, że to jakaś pomyłka, która szybko się

wyjaśni, że to niemożliwe, aby aresztowano właśnie jego.

Gdy się nie wyjaśniło i nie okazało niemożliwe, Karol włożył

na głowę zielony mały kapelusz swego pana, i sądząc, że

wygląda w nim jak prawdziwy Tyrolczyk, pojechał na pocztę

do Sopot. Podawszy nie tylko numer telefonu w Wiedniu, ale

także i nazwisko von Schabenbach, uzyskał połączenie

bardzo szybko; narodowy socjalizm nie był aż tak socjalisty-

czny, żeby nie liczonego się w nim ze szlacheckimi tytułami.

Głos starszej pani, jego brzmienie, gdy tylko się odezwała,

świadczyło o tym, że od razu zrozumiała wszystko, że

wystarczyło jej tylko usłyszeć, kto mówi i skąd. "Zaraz

przyjeżdżam - powiedziała - najprędzej, jak tylko się da".

.. Czekał dniami i nocami. Ale widocznie z Wiednia nie

można było przyjechać tak prędko.

Musiała jechać przez Berlin, droga przez Polskę była

jeszcze niemożliwa.

Kiedy dotarła wreszcie do Gdyni, wrzesień zbliżał się ku końcowi, ale Hel jeszcze się bronił, i broniła się jeszcze Warszawa. Przed dworcem nie było taksówki, i Karol jej nie oczekiwał. Wzięła więc swoją małą walizeczkę i ruszyła w kierunku miasta. Z pociągu wysiadł tłum, sądząc z mowy - samych Niemców; była w nim jedna z nielicznych kobiet, zagubioną wśród mundurów Wehrmachtu, SS, NSDAP, grenzwachy, gestapo i żandarmerii. Wszyscy podążali do miasta, do zdobytego miasta - ten triumf słyszało się w ich podniesionych głosach.

Jakiś porucznik, który właśnie ją wyprzedzał, potrącił jej walizkę, ale zaraz z przepaszającym uśmiechem wyciągnął po nią rękę.

- Gestatten Sie, gnadige Frau?

- Nein! - warknęła. - Ich danke Ihnen.

Oficer poczerwieniał z przykrego zdumienia i ruszył przed siebie szparkim krokiem. Nie obejrzał się ani razu.

Karol na widok starszej pani zapłakał. Zapłakali oboje.

Dopiero po długiej chwili starsza pani mogła zapytać.

- Jak... jak to się stało?

Karol wytarł wezbrany wilgocią nos.

- Zwyczajnie, proszę pani. Przyjechali karetką i zabrali.

Pana i pannę Loewe.

- Tę Żydówkę z góry?

- To była Żydówka?

- Karol o tym nie wiedział?

- Nie.

- Ale ktoś inny musiał wiedzieć. Ktoś inny musiał to wiedzieć... - Starsza pani zamyśliła się, ale zaraz się ocknęła. - A pan, kiedy tu przyszli, nie powiedział im, że...?

- zapytała. I zaraz zaczęła się usprawiedliwiać: - Tylko niech mnie Karol zrozumie właściwie, w końcu tu chodzi o życie, jakie jeszcze mogą mieć znaczenie te wszystkie niepoważne historie, które człowiek wali sobie jak kłody pod nogi! Nie powiedział im więc, że ja... że jego matka... że po matce jest Austriakiem?

Karol wyprostował się. Sam uważał milczenie swego pana na ten temat za bezsensowne i groźne, a jednak podniósł głowę.

- Nie, proszę pani.

- Nic nie mówił?

- Nic nie mówił, proszę pani.

- A Karol... Karol sam nie mógł? - Starsza pani poczuła, że się rumieni. - Przecież Karol mógł.

- Wybiegłem za nimi, proszę pani. Na całą klatkę schodową wołałem do pana, żeby im powiedział. Ale uderzył mnie jeden z gestapowców i rzucił na ziemię, że o mało Lordowi krzyża nie złamałem, a drzwi od karetki tymczasem się zatrzasknęły, i nie wiem już nic więcej, proszę pani.

- I nie wie Karol nic więcej...

- Nie. Tylko tyle, że pan jest w tym baraku kościelnym razem z innymi zakładnikami. Pobrali co ważniejszych ludzi z miasta. I co dnia ich prowadzą do zamykania ulic.

Pani Słubicka zakrztusiła się własnym oddechem.

- Do... czego?

- Do zamykania ulic. Z miotłami ich wszystkich prowa-

dzą. Księdza kanonika, wicekomisarza Rządu, naszego pana prezesa...

- I... można ich zobaczyć? - zapytała bardzo cicho starsza pani.

- Można, ale z daleka. Kilka razy zabierałem z domu palto i sweter, myślałem, że mi się uda coś panu podać, bo przecież chłodno się już zrobiło...

- I co?

- I nie udało się. Żandarmeria ich pilnuje. Albo gestapo.

- Niech mi Karol zrobi mocnej kawy. - Starsza pani zerwała się energicznie z krzesła. - Umyję się tylko, i idziemy.

Ale tego dnia zmiatających ulicę było mniej, i Karol nie znalazł wśród nich swego pana.

- Przejdziemy się jeszcze raz - powiedział do starszej pani, biorąc ją pod rękę.

Wybaczyła mu tę poufałość i nawet się na nim oparła. Jechała dwa dni i dwie noce..

- Niech pani także patrzy, Oni się teraz zrobili tacy jacyś podobni do siebie... ;

- Podobni?

- No, niech się pani przyjrzy. Nie ogoleni, brudni, pomięci... Co to się z człowiekiem może zrobić przez kilka dni.

- Karolu - powiedziała z boleścią w głosie starsza pani

- jego tu nie ma!

- Może go... wypuścili? - szepnął Karol.

Zwróciła ku niemu oczy, od razu pełne nadziei.

- Ależ tak - uśmiechnęła się. - Na pewno.

- Panny Loewe także nie ma - dodał Karol, ale starsza pani już tego nie słyszała.

Biegła prawie do domu, ledwie mógł za nią nadażyć.

- O Boże! - szeptała. - Pewnie przyszedł, a nas nie ma.

Chce się umyć, ogolić, a nie ma...

Przed progiem leżał na wycieraczkę Lord. Nie pozwalał się teraz zamykać w mieszkaniu. Skomlił i wył. Czekał na pana.

Na widok Karola uniósł się na łapach, ale zaraz położył się z powrotem, przymykając oczy.

- Nie ma go - powiedziała starsza pani, zatrzymując się na schodach. - Karolu, czy Karol wie, gdzie jest gestapo?

- Nie. Ale ludzie mówią, że jest na Kamiennej Górze.

Mam... iść z panią? ;

- Pójdę sama. Niech Karol czeka w domu. Bo może jednak... może jednak pan przyjdzie...

Dowiedziała się od pierwszego spotkanego na ulicy żandarma, gdzie mieści się gestapo. Spojrzał na nią zdumiony i zapytał:

-- Haben Sie was zu melden?

-- Mich! - zawołała. - Mich habe ich zu melden!

-Doświadcziała uczucia, że mówi językiem obcym. Jej język był językiem obcym w tym mieście, i odbierała to w jakiś dziwny sposób, jakby tłumaczyła każde zdanie z polskiego na niemiecki. - Mich selbst - powiedziała jeszcze raz - habe ich zu melden.

Gestapo - jak słusznie przypuszczał Karol - miało istotnie swoją siedzibę na Kamiennej Górze, przy małym placu, zavalonym teraz samochodami i umundurowa-

nym tłumem. Nie chciano jej wpuścić do budynku, wyjęła więc z torebki swoją wizytówkę, wydrukowaną na safianowym papierze w najlepszej drukarni Wiednia. Młody gestapowiec wziął ją bezradnie w dwa palce - w ciągu całej swojej służby nie miał nigdy do czynienia z osobami, które podawałyby mu wizytówki. W końcu jednak zaniósł biały bilecik gdzieś w głąb budynku, a jej - wpuszcivszy ją do obszernej sieni - kazał czekać.

- Jak długo? - zapytała.

Wzruszył ramionami.

W sieni nie było krzesła ani ławki. Stała przy oknie, oparła się o parapet. Dwa dni i dwie noce w pociągu, podczas wojny, już wygranej, ale trwającej wciąż jeszcze, kiedy wszystko, co miało jej służyć, było w pełnym rozruchu, dwa dni i dwie noce tłoku, czekania, niepokoju - i teraz ten wydłużający się czas, który przy wszystkim innym, czym dla niej był, przejawiał się także upokorzeniem. Stała w sieni, potrącana przez śpieszących się mężczyzn w mundurach, popychana jak przedmiot zawadzający na drodze, nie znacząca nic dla nikogo, stara i na pewno śmieszna w tym swoim arystokratycznym i niemodnym ubraniu.

Kiedy wezwano ją wreszcie przed oblicze człowieka w czarnym mundurze z dystynkcjami, na których się nie znała, pomyślała najpierw, czy poprosi ją siadać. Ludzie, którzy kazał innym czekać, wiedzą, po co to robią. Ten także wiedział. Obracał w palcach bilet z safianowego papieru, wydrukowany w najlepszej drukarni Wiednia, długo mu się przyglądał, a ona, siedemdziesięcioletnia kobieta, przez całe życie przyzwyczajona do szacunku mężczyzn, stała przed biurkiem.

- Niechże pani usiądzie - powiedział wreszcie. - Co panią do mnie sprowadza? ,

Starsza pani oparła ręce o brzeg biurka. Na serdecznym palcu lewej ręki miała szafir w starej weneckiej oprawie, który jej matka dostała od cesarzowej Elżbiety. Zauważało się ten pierścień w każdej sytuacji.

- Mój syn... - zaczęła z obrzydliwą pokorą, chciała się jej pozbyć, ale nie mogła, nie mogła - mój syn, Ferdynand von Schabenbach Słubicki, prezes Carbopolu, został aresztowany. Jestem jego matką. Mieszkam we Wiedniu i przyjechałam z Wiednia... - spojrzała z rozpaczą w zimne oczy siedzącego przed nią człowieka. - Bo to chyba jakaś pomyłka...

- Zaraz zobaczymy. - Gestapowiec położył na biurku trzymany dotąd w rękach bilet wizytowy i otworzył teczkę, którą miał przed sobą. Leżał w niej stos papierów, zaczął je powoli przeglądać. Był młody, nie miał chyba jeszcze trzydziestu lat. Co on wie o życiu! pomyślała nagle pani Słubicka. Co on wie o życiu!

- W dokumentach pani syna - odezwał się gestapowiec

- figuruje tylko jedno nazwisko: Słubicki. Nie używał rodzowego nazwiska matki.

- Nie używał - szepnęła starsza pani. - Ale wszyscy używają nazwiska ojca... to chyba w niczym nie zmienia sytuacji. Jestem jego matką. Z domu von Schabenbach. Mój dziad, baron Ferdynand von Schabenbach... właśnie syn otrzymał po nim imię...

- Do rzeczy - wtracił młody człowiek w czarnym mundurze.

- Do rzeczy? - powtórzyła z bolesnym zdumieniem.

- Ależ to jest jak najbardziej do rzeczy... jak najbardziej...

- Zapomniała, o czym mówiła, mrugała przez chwilę powiekami, a potem zaczęła je trzeć chustką. - Moja rodzina - szepnęła z żalostí, która nadała zaraz prawie zupełnie inny sens jej słowom - moja rodzina należy do tych trzydziestu rodów w Austrii...

- Do rzeczy! - powtórzył gestapowiec. - Tak świetne pochodzenie nie przeszkodziło jednak baronównie von Schabenbach wyjść za mąż za Polaka.

Starsza pani wczepiła się silniej palcami w brzeg biurka. Wiedziała już, co powinna teraz powiedzieć. Powinna zaprzec się całej urody swojej młodości, wszystkich jej najpiękniejszych dni, powinna powiedzieć, że nigdy nie kochała tego człowieka, ale tak nie było, tak nie było! Owiał ją zapach wiedeńskiej wiosny, pierwszej zieleni kasztanów, •perfum, których wtedy używała, kawy i świeżego pieczywa - zapach Grinzingu z tamtych lat. Chodziła tam jak zwyczajna dziewczyna, i to było szalone, to było cudowne! Powinna teraz zapytać tego młodego człowieka, czy nigdy nie był szalony? Czy nigdy nie przeżywał takiego nierozumnego szczęścia? Ale zamiast tego powiedziała:

- Ten Polak był poddanym monarchii austro-węgierskiej. A mój syn podczas wojny światowej służył w austriackim wojsku i był na froncie włoskim, dosłużył się rangi porucznika i ma odznaczenia...

Gestapowiec przerzucił plik papierów w teczkę.

- Właśnie to wszystko chcieliśmy usłyszeć od pani syna. Daliśmy mu na to dość dużo czasu.

Starsza pani zadrżała.

- Sądzę, że o tym mówił. Może nie chciano go wysłuchać? Może...

- Nie - przerwał jej. - Chciano! Czekaliśmy na to. Dlaczego tego wszystkiego nie powiedział? Dlaczego nie powiedział, że pochodzi ze starej niemieckiej rodziny? Powtarzam: zostawiliśmy mu na to dość dużo czasu! - Zamknął teczkę. - Wybaczy pani, ale nie mogę dłużej zajmować się tą sprawą. Jest wojna. Wprawdzie już się kończy, ale mamy tu jeszcze trochę roboty.

Starsza pani nie ruszała się z krzesła. Siedziała na nim z wpółotwartymi ustami, zapatrzona w człowieka przed nią, jakby nie mogąc uwierzyć, że on istnieje.

- Ależ... - szepnęła -ja to wszystko powiedziałam. Ja, matka. Przyjechałam z Wiednia, żeby to powiedzieć...

- Za późno, proszę pani.

- Za... późno?

- Tak. Za późno.

Teraz dopiero wstała, wstawiała wolno, unosząc się z trudem z krzesła wraz z ciężarem, jaki na nią spadł.

- Czy... to znaczy...?

- To znaczy właśnie to. Musimy mieć zakładników w tym mieście. I syn pani był właśnie jednym z nich. Nie dalibyśmy tu sobie inaczej rady.

Starsza pani z trudem łapała oddech.

16 - Tak trzymać t. II

- Mordercy! - krzyknęła, cofając się ku drzwiom;

- Mordercy!

Młody człowiek wyskoczył zza biurka. Złapał ją za ramię. Ścisnął.

- Radzę pani się opanować! Jest wojna! I nie będziemy pobłażać...

- Ja... ja - krztusiła się starsza pani -, ja trafię do najwyższych władz. Mnie znają w całym Wiedniu... Mnie cesarzowa Elżbieta zapraszała na bale urodzinowe arcyksięcia Rudolfa. Was fur ein schönes Kind! mówiła o mnie.

- Was fur ein schönes Kind - powtórzył mimo woli gestapowiec, patrząc na siedemdziesięcioletnią damę, i szyderczy, prostacki uśmiech rozwarł mu wargi. - Precz!

- powiedział cicho. - I niech mi pani nie grozi! Niech mnie pani nie straszy swoim Wiedniem! Tu, w tej teczce - uderzył dłonią w papiery - jest zanotowana pewna śliczna pani rozmowa. Nie uzyska pani niczego u "najwyższych władz", jeśli zapoznam je z tą rozmową. A teraz radzę pani czym prędzej stąd wyjechać!

Cofała się ku drzwiom z wyciągniętymi przed siebie rękoma. W gardle drżał jej wciąż ten zwierzęcy krzyk, który przeradzał się tylko w jedno słowo:

- Mordercy! Mordercy!

Ramię w czarnym rękawie pomogło jej w opuszczeniu pokoju, zatrzasnęło za nią drzwi. Znowu znalazła się w sieni, oparła się o ścianę. Myśli ją opuściły, nie wiedziała, skąd się tu wzięła i po co. Wydawało jej się, że w tłumie wchodzących i wychodzących mignął jej ktoś znajomy. Gdzieś widziałam już tę twarz, pomyślała. Kelner albo ekspedient, ktoś z tych ludzi, których twarze pamięta się niepotrzebnie, choć tak trudno sobie przypomnieć, do kogo należały.

Wychodząc, odwróciła głowę - ten człowiek z zapamiętaną, ale nie umiejscowioną we wspomnieniu twarzą stał i patrzył za nią.

Zapagnęła być jak najprędzej w domu, nie tutaj na Świętojańskiej, ale u siebie, w Wiedniu, wśród ludzi i rzeczy, które знаła od lat, to pomagało przeżywać smutki, pomagało się z nimi godzić. Czy mogła mieć nadzieję, że kiedyś pogodzi się z tym największym?

Karolowi powiedziała tylko dwa słowa:

- Za późno.

Wprowadził ją do mieszkania. Położył na sofie. Lord został przed progiem. Wciąż słuchał kroków na schodach. Wciąż czekał na pana.

Trzeba było zacząć mówić o sprawach praktycznych, o likwidacji mieszkania, o meblach i rzeczach. Nic mnie to nie obchodzi, myślała, jakie to jeszcze może mieć znaczenie? Jakież? Chciała jak najprędzej wrócić do Wiednia. To wszystko mogło tu zostać.

- Karolu - powiedziała cicho - chyba będzie musiał mnie Karol odwieźć do Wiednia. Nie wiem, czy po tym... czy po tym wszystkim dam radę wrócić sama. A potem - uczyła szeroki, bezładny ruch ręką - potem sobie Karol to wszystko zabierze. Był Karol z moim synem tyle lat.

Nie powiedziała "służył" i Karol to od razu zauważył, nie był zdolny do myślenia, ale to jednak zauważył.

- Dziękuję pani - powiedział.

- Za co? Karolowi się to wszystko należy.
- I tak to pewnie oni zaraz zajmą. Nawet sprzedać nie zdążę, bo komu i za jakie pieniądze? A dziękuję za co innego. Za to, że powiedziała pani "był". Boja naprawdę byłem z panem przez te wszystkie lata.
- Jeśli Karol zechce, to może Karol zostać we Wiedniu. Ze mną.
•- A Lord? Ja go nie zostawię.
- Lord... - powtórzyła starsza pani. - On był do niego bardzo przywiązany...
Karol odwrócił twarz ku oknu.
- Ostatnie dni to tylko leżał z nim wciąż na tej sofie. Nawet na mnie zaczynał warczeć, jak się zbliżałem. Pan to już tak lubił tego psa... - Karolowi głos się załamał.
- A pies jego! Widzi pani, jak wciąż na niego czeka. Przedtem minuty nie leżałby przed progiem, a teraz nie mogę zagonić go do mieszkania.
- To będzie trudne - szepnęła starsza pani - ale musimy go zabrać ze sobą. Ostatecznie za pieniądze, za biżuterię... - zamyśliła się na chwilę - ...wszystko chyba można załatwić. Nawet dziś miałam wrażenie... - obróciła na palcu szafir w weneckiej oprawie - nawet dziś miałam wrażenie, że gdyby nie to, że... było już za późno... Chyba nawet spotkał kogoś z tej racji duży zawód...
Na dole rozległo się donośne trzaśnięcie bramą, a potem spieszne, wesołe kroki zaczęły pisać się w górę. Towarzyszyło im głośnie pogwizdywanie.
Starsza pani podniosła dłonie do uszu.
- Któż to zachowuje się tak we wspólnej kamienicy? I to teraz...
- To barman - wyjaśnił Karol z nie ukrywaną pogardą.
- "Joe-mixer" nazywa się na afiszach. Całe miasto było nimi oklejone, jak nastał do Habanery. Mówiłem pani gospodyni, żeby nie wynajmowała mieszkania tej hołocie z nocnego lokalu. Sama mu nieraz zwracała uwagę o to gwizdanie na schodach.
Przed drzwiami rozległo się ostre szczeknięcie Lorda, a potem jego wściekły charkot, ryk potężnego gardła, i ludzki głos, przestraszony z początku, jakby próbujący perswazji.
Karol rzucił się do drzwi, ale nim zdążył je otworzyć, usłyszał za nimi szamotaninę, krzyk i - strzał. Zamarł, nie mógł się ruszyć z miejsca. Starsza pani wyminęła go w progu, otworzyła drzwi.
Nad drgającym jeszcze ciałem Lorda stał Joe-mikser z rewolwerem w ręku. Drugą obmacywał sobie szyję, szukał na niej śladów krwi.
- Rzucił się na mnie - powiedział. - Zbliżyłem się do niego, a on rzucił się na mnie. Głupi, ale piękny pies. Szkoda! Gdybym go wytresował... - urwał, uzmysłowiwszy sobie, że trzyma broń w ręku. Czuł na swojej twarzy nieruchomy, pełen grozy i oskarżenia wzrok pani Słubickiej. - No to już wiecie! - krzyknął. - Wiecie wszystko!
Stara kobieta szła ku niemu.
- To pan... - szeptała - to pan...
Twarz kelnera albo ekspedienta, myślała gorączkowo, gdzie widziałam, gdzie widywałam' tego człowieka?

On od razu ją poznał, stał i patrzył na nią.

I nagle przypomniała sobie! Ta "śliczna rozmowa" w aktach gestapo! Już wiedziała, skąd tam trafiła. To ów wieczór w Habanerze tak zaważył na jej życiu. Na jej życiu, na życiu jej syna i tej małej stenotypistki, panny Loewe.

- Morderca! - krzyknęła. - Morderca!

Gdyby ktoś miał odwagę znaleźć się teraz na klatce schodowej, mógłby odnieść wrażenie, że epitety ten związany jest ze śmiercią psa. Joe-mikser przez ułamek sekundy rozważał tę możliwość, ale doszedł do wniosku, że niepotrzebne mu są te pozory. Wciąż jeszcze nie chował broni, już się zdradził, że ją posiada, nie musiał więc już także kryć się z tym, kim jest.

- Stara dworska papugo! - krzyknął. - Zabieraj stąd jak najprędzej ten swój arystokratyczny tyłek! Żebyś cię już jutro tu nie widział! Bo to się może źle skończyć! Naprawdę może się to źle skończyć. I nie pomoże ci wtedy nawet duch samego cesarza Franciszka Józefa!

- Morderca! - wołała starsza pani, ochrypla już od krzyku. - Morderca!

Karol wciągnął ją do przedpokoju. Zatrzęsnał drzwiami.

Osunęła się bezwładnie w jego ramiona, a on zaniósł ją do pokoju i ułożył na sofie jak dziecko.

- Odwiozę panią do Wiednia - powiedział. - Ale potem tu wrócę - dodał po chwili. - Już pewnie nie do tego mieszkania, ale do tego miasta. I upilnuję go! Upilnuję tego człowieka! Pan by się w grobie przewrócił, i panna Loewe także, i Lord, jeśli bym go nie upilnował...

Gdy już z klatki schodowej nie dochodził żaden szmer, wciągnął ciało Lorda do przedpokoju i ukląkł przy nim. Położył mu dłoń na oczach, przykrył je powiekami, naciągnął mu wargi na wyszczerzone z bólu zęby.

- Rzucił mu się do gardła! - mówił z podziwem, dumą, a także z jakąś bolesną, gorzką czułością. - On pierwszy rzucił mu się do gardła!

XXVI

- Śpij! - mówiła pani Helena. - Śpij, żołnierzu! Przegrałeś bitwę, ale nie jest to bitwa ostatnia. Zbierzesz siły, świat zbierze siły, i wtedy... jeszcze czeka cię wiele trudu. A teraz śpij i lecz się z ran. Będzie ci dobrze w moim domu, bezpiecznie i cicho. Wiem, co to znaczy, kiedy żołnierz śpi, kiedy żołnierz zbiera siły, już kiedyś kochałam żołnierza... Krzysztof słuchał tych słów, jakby dobiegały skądś z daleka, z tej całej, nie zmierzonej żadną ludzką miarą odległości, z której teraz wracał, z trudem i powoli, ale jednak wracał, i każdy dzień, każda godzina czyniła ten powrót pewniejszym.

Nie dotarł do bloków Pagedu, gdzie miał nadzieję znaleźć brata. Broniono się tam zażarcie, ale z równą zażartością Niemcy prowadzili atak. Była to ostatnia placówka oporu, choć obrońcy zapewne o tym nie wiedzieli. Z każdego okna padały strzały, ale ogień powoli wygasał. Kończyła się amunicja, kończyli się ludzie.

Widział to z zabudowań na skraju Nowego Obłúza, do których się doczołgał po rozstaniu z Julitką. Leżał za jakąś stodółką w niskich krzakach agrestu, które zaczęły już gubić liście. Obok niego przywarł do jakiegoś przedmiotu osłonię-

tego brezentem chłopak najwyżej w wieku Tomaszka, płakał przez cały czas i nie spuszczał oka z ostrzeliwanych domów.

"Mieszkasz tam?", zapytał go.

Chłopak wskazał głową na pobliski dom.

"Mieszkam tutaj. Ale tam... tam jest mój ojciec".

Atakujących przybywało. Pojawiali się w rowach i bruzdach, szli zewsząd, niepotrzebni już tam, gdzie walka się skończyła. Bloki okrążone były całkowicie, z każdej strony słychać było strzały.

W pobliżu zabudowań, przy których leżeli, on i chłopiec, przypominający mu Tomaszka, pojawił się także jakiś mały oddział niemiecki. Wypełzył z wklęsnięcia ziemi za drogą i posuwał się krótkimi poderwaniami ku blokom. Żołnierze odbezpieczali granaty.

"Siedmiu ich jest", policzył chłopiec.

Sprawdził, było ich rzeczywiście siedmiu. Tylko raz widział ich tak z bliska - 'w Babich Dołach, kiedy po śmierci pułkownika zjawili się jak spod ziemi, a oni nie mogli im już nic zrobić i musieli rzucić broń, musieli rzucać broń na przeraźliwie rosnącą w oczach stertę. Teraz miał ich przed sobą. Nie widzieli go, nie spodziewali się go za plecami. Ale on miał ręce puste, bez broni.

"Proszę pana! - zawołał go cicho chłopak i uchylił brezent, na którym leżał. Błysnęła błękitna stal. - Myślałem, że ojciec będzie z niego strzelał, chowałem go tu dla ojca... ale niech pan strzela... Ich jest tylko siedmiu". Porzucony przez jakiegoś żołnierza erkaem był gotowy do strzału. Wystarczyło go podnieść i dobrze ustawić. To było szaleństwo! Zdawał sobie z tego sprawę. Ale nigdy nie widział ich z tak bliska. Tylko wtedy, kiedy nie miał już broni. Kiedy nie miał już broni! Dziewiętnaście dni jeździł i chodził z rozkazami pułkownika, przynosił meldunki, które musiały do niego dotrzeć, to było najważniejsze, nie mógł wtedy wdawać się w walkę, ale teraz... Teraz miał ich przed sobą i czuł pod palcem gładką, wyslizganą powierzchnię spustu, teraz widział poprzez szczerbinę celownika błękitny metal lufy i muszkę broni, którą mógł nakierować na każdego z nich, na każdego z tych siedmiu.

"Proszę pana! - szepnął chłopiec. - Bo nam uciekną!

Miał strzelać ojciec, ale niech pan strzela..."

Dziewiętnaście dni, i ani jednej takiej sytuacji! A teraz miał ich, miał ich tak blisko, że nie mogli mu już uciec spod celownika, nie mogli mu się spod niego wymknąć. Przyszli tu, na jego ziemię, pod muszkę broni, którą mógł nakierować na każdego z nich po kolei, na wszystkich siedmiu.

"Proszę pana!", jęknął chłopiec.

Oparł się na łokciach, przyłożył palec do spustu i nacisnął go lekko: zaterkotało szybko, szarpiąco -żołnierze podnieśli się właśnie do następnego skoku i padali teraz jeden po drugim, jeden po drugim... ale ostatni zdążył się jeszcze odwrócić i podnieść rękę.

Krzysztof czuł jeszcze pod palcem cudowne, rytmiczne dygotanie broni i słyszał jej śpiew, kiedy wybuchł granat. Uderzyło go coś w lewy bok, ale wciąż jeszcze opierał się na łokciach i wywodził ten trel wysoki ponad pobojowiskiem. Pozwolił opaść dłoni nie wtedy, kiedy poczuł ból, ale gdy zobaczył, że żaden z nich już się nie podnosi, żaden z tych

siedmiu.

"Co się panu stało? - zapłakał chłopiec. - Co się panu stało?"

"Nic wielkiego - odpowiedział przez zaciśnięte zęby.

- Przynieś jakiegoś płótna".

Leżał potem w tej stodółce przy agrestach całą noc i dzień, i jeszcze jedną noc i dzień, i jeszcze jedną noc. Chłopiec sprowadził matkę. Opatrzyła go, jak umiała, i zrobiła mu ze snopków słomy kryjówkę. Wciąż płakała. Z bloków Pagedu wyprowadzano jeńców.

Kiedy się trochę uspokoiło, chłopiec wyruszył do Gdyni.

Wyuczył go tylko dwóch adresów, nie sądził, że ten trzeci, o którym wciąż myślał, byłby najważniejszy w tej chwili.

Wieczorem zjawiła się w stodółce przyprowadzona przez chłopca Łucka. Dopiero gdy się wypłakała, powiedziała, że stryja Bernarda aresztowano prawie zaraz po wkroczeniu Niemców do Gdyni, a na domu przy Świętojańskiej powiewa hitlerowska flaga, i jest już w nim troje Niemców: celnik Rosochacki, Joe-mikser i jego przyjaciółka Anita - obydwie od wczorajszego dnia w mundurach gestapo.

"Nie możesz mnie tam zabrać", szepnął. Miał gorączkę, myśli mu się mąciły, bok rozrywały szarpiące bóle.

"Nie mogę - odpowiedziała, zasłaniając dłońmi twarz.

- A u stryja można by było cię przechować. Choćby na tym strychu, na którym spałeś. Na odczepnego mógł im powiedzieć, że nazywa się Konke, ale stryjek był zawsze uparty..."

Przez nieszczelne ściany stodółki wdzierał się nie tylko wiatr, coraz wyraźniej - zwłaszcza nocami - jesienny, ale za dnia także i światło, rozpraszając mrok kryjówki. Widział w nim wymizerowaną twarz Łucki i musiał wybaczyć jej to, co powiedziała. Wziął ją za rękę, uścisnął.

"Pójdiesz do pani Heleny".

"Do kogo?"

"Do Tereszkowej".

"Przecież jej nie ma. Wyjechała".

"Nie wyjechała. Jest".

"Skąd wiesz?"

"Później ci to opowiem. Widziałem ją... tego ostatniego dnia, kiedy byłem w domu. Nie dostała się na statek.

Pójdiesz tam..."

"Do niej?" pytała Łucka coraz bardziej zdumiona.

"Do niej. I powiesz... powiesz, żeby mnie stąd zabrała..."

"Zabrała? Ona? Dlaczego ona?"

Miał gorączkę, ogarniała go panika, rana w boku nie goiła się, przemieniała się w coraz większą, śmierzącą ropą plamę.

"Niech mnie stąd zabierze! - jęknął. - Zaraz! Jak najprędzej!"

"Jak? - szepnęła Łucka. - Jak? I dlaczego ona?"

"Ona mnie stąd zabierze... Idź do niej... Powiedz! Przecież zawsze nam pomagała..."

"Tak, zawsze nam pomagała..." Łucka przestała pytać, to był wystarczający dla niej argument. Wstąpiła w nią otucha, była pewna, że pani Helena coś wymyśli, znajdzie jakiś sposób na przetransportowanie Krzysztofa do Gdyni. I ma willę na uboczu, a w niej na pewno mnóstwo schowków

i kryjówek.

"Idź do niej! - naglił. - Idź do niej!"

Następnego dnia rano przed dom, przy którym stała stodołka, zajechała furmanka i zsiadły z niej dwie obwiązane chustkami kobiety. Zadźwięczały blaszane konwie na mleko. W chwilę potem podniesiono go ze słomy, jakieś ręce zaczęły go ubierać, i usłyszał głos Łucki i głos pani Heleny. Na dworze było jeszcze szaro i nie widział ich twarzy, słyszał tylko, że pani Helena mówi o mleku, które rano wiezie się z tych okolic do Gdyni, i że to jest najlepszy sposób, żeby go przetransportować, wśród konwi, może jeszcze pod workami kartofli.

I zawieziono go tak do miasta. Nie wiedział nawet, jak długo to trwało, bo chyba tracił wciąż przytomność, skoro nie mógł sobie teraz przypomnieć, w jaki sposób znalazł się na tym stryszku pod samym dachem, w białym łóżku, po tyłu, tyłu dniach w białym łóżku! Kiedy otwierał oczy, ona siedziała na krześle obok, a nikłe światło lampy jak dawniej, jak przed piętnastu laty, padało ciepłym blaskiem na jej czarne włosy.

Za dnia na tym krześle przesiadywała Łucka albo Konkowa, ale przed godziną policyjną musiały wracać do domu. Nocami siedziała ona, i słyszał jej głos, mówiący jak do dziecka, że był pan doktor, że wyjął odłamki z rany, że teraz się już zagoi i wszystko będzie dobrze, musi być dobrze - Francja i Anglia ruszą na wiosnę, więc trzeba przetrzymać tylko zimę.

Na stryszek przychodziła także Wisia, Weronika i Marynka Blok, narzeczona Wołodi, a także te dwie dziewczyny z Gdańska, które pani Helena zatrzymała u siebie, gdy się u niej zjawiły, przynosząc ze Świętojańskiej wiadomość o aresztowaniu Słubickiego. Zatrzymała je, pewna, że już drugi raz gestapo nie zjawi się w jej domu - po Tereszkę bowiem byli także. Pokazała im wtedy jego list, pisany w Sztokholmie, w którym wzywał ją do wyjazdu za granicę. "I została pani?", zdziwił się jeden z nich, mówiący po polsku. "A dlaczego miałabym nie zostać?", zapytała, nie zniżając spojrzenia. Była więc pewna, że nie przyjdą po raz drugi. Przynajmniej na razie. Dziewczyny zresztą nie na długo zatrzymały się u niej. Wybierały się w drogę, na południe kraju, ale w tej chwili zajmowały się ekshumacją i grzebaniem poległych. Wciągnęły je do tej akcji ich koleżanki, które po zaprzestaniu działań na Kępie Oksywskiej wróciły do domu. Wisia uczestniczyła w tym także, i pani Helena nie próbowała już jej tego bronić. "Musisz iść?", zapytała tylko w pierwszej chwili, i to z nieśmiałością, jakiej nie odczuwała jeszcze nigdy w życiu. Wisia popatrzyła jej w oczy prowokująco. Szepnęła: "Na szczęście nikt teraz nie pyta, czy się ma czternaście lat".

Kiedy wracały wieczorem, śmiertelnie znużone, z odbiciem w oczach tego wszystkiego, na co patrzyły w ciągu dnia, i kiedy, nakarmione na dole przez Weronikę, wpadały na chwilę do niego, żeby podzielić się z nim zasłyszanyymi nowinami, chciał je zapytać o Cyprka, ale nie miał na to odwagi. Pocieszał się nadzieją, że gdyby go znalazły, nie ukrywałyby tego przed nim.

- Na pewno by tego nie ukrywały - utwierdzała go

w tym przekonaniu pani Helena. Darzyła obie dziewczyny zaufaniem, tym gorliwszym, im boleśniej przypominał jej się żal, jaki miała do jednej z nich za to, że odbiera jej Wisię i burzy świat jej dzieciństwa.

Najtrudniej rozmawiało się z Marynką Blok. Przez cały dzień siedziała na górnym tarasie i patrzyła w morze. Niczego tam nie mogła wypatrzeć prócz niemieckich trałowców, przepędzanych od czasu do czasu ogniem artylerii z helskiego cypla. Ale siedziała i patrzyła. Weronika nie mogła się jej dowołać nawet najedzenie. Dopiero gdy zmrok spadał na zatokę, przychodziła do Krzysztofa i siadała obok pani Heleny.

"I nic pan nie wie o Włodku? - pytała. - Naprawdę nic pan nie wie?"

"Nie męcz go", prosiła pani Helena.

"Ale może coś wie", nastawała mimo to dziewczyna.

Nie wiedział. Nie wiedział nic o Wołodi ani o tym, co się dzieje na Helu, prócz tego, co wiedzieli wszyscy - że jeszcze się broni, że jeszcze się nie poddał. Przed dziesiątym września, kiedy jeszcze Puck był w polskich rękach, a i potem, gdy nie musieli się jeszcze wycofywać z Rewy i Mecheliniek i gdy na zatokę wypływały z Jasiami dzielne "ptaszki", wspierające swoim ogniem przeciwnatarcia Lądowej Obrony Wybrzeża, wtedy gdy jeszcze z półwyspu, z Chałup i Kuźnic u jego nasady, przedostawały się łodzie do rewskiego cypla, wtedy wiedzieli wszystko o sytuacji na Helu, o jego bohaterskiej obronie. Teraz na zatokę wyszły niemieckie trałowce i oczyszczwały drogę pancernikom, które coraz bliżej podchodziły do Helu.

"Nie - mówił z rozpaczą - nie wiem nic o Wołodi".

Wydawało mu się, że gdyby byli razem, łatwiej można by coś przedsięwziąć w tym tragicznym osaczeniu, w jakim się znaleźli. Był sam wśród kobiet. Uratowały mu życie, ale któregoś dnia będzie musiał stąd pójść. Dokąd?

Do wschodniej części kraju weszli Rosjanie, tu wszędzie byli Niemcy, podejrzewał, że już także i w Warszawie, tylko mu nie mówiono o tym. Krąg się zamykał. Więc dokąd?

Dokąd?

Warszawa poddała się dwudziestego siódmego września. Przyniosły tę wiadomość dziewczyny, wracając ze swoich smutnych zajęć. Na wszystkich rogach ulic Niemcy za-instalowali już megafony, z ogłuszającym pogłosem, więc spadała na miasto ta wieść. Warszawa padła. Nie było już w Warszawie polskiego rządu, polskich władz, polskiej armii - byli tylko jeńcy. Żandarmeria zgarniała z ulic Gdyni wszystkich przechodniów, spychała ich ku megafonom, ku tym strasznym słowom, ku tej prawdzie, której można było się spodziewać z dnia na dzień, ale w którą jednak nikt nie chciał wierzyć. Warszawa padła. W Warszawie byli Niemcy i pewnie sam fuhrer szykował się już, żeby odebrać w niej defiladę swoich zwycięskich wojsk.

Halszka i Malina znalazły się także pod megafonem.

Brzegiem tłumu Polaków, przeciskając się między nimi, przeszedł młody oficer gestapo z dwoma dobermanami na pejcach. Psy szarpały go i ciągnęły niecierpliwie, ale poskro-mił je i zatrzymał się na krótką chwilę. Powiódł po tłumie

Polaków rozbłysłym triumfalnie okiem. "Niemals frei" - powiedział w ścięte rozpaczą twarze. - Niemals frei!" Psy szarpały się znowu, więc poszedł za nimi dalej, młody i wyprostowany, wierzący w to swoje okrutne posłannictwo przeciwko ludzkości.

Opowiedziały także i o tym, kiedy zjawiły się w domu na Kamiennej Górze, szare na twarzy, z zapadniętymi głęboko oczyma.

- Tylko jemu ani słowa! - poprosiła pani Helena. -- Niech jeszcze nie wie.

- Ale jest i druga zła wiadomość - szepnęła Halszka.

-Mają wysiedlać Polaków z Gdyni.

Skąd się wzięło słowo, nie używane już od dawna, zapomniane w słownikach, zagrzybione spokojnym czasem, skąd się nagle wzięło, ożywione, gotowe od razu do czynnej służby, do zaprezentowania wszystkich swoich złych treści? Wysiedlać! Wyrzucać ludzi z ich domów! Pozbawiać ich dachu nad głową! Pokonać ich jeszcze raz, bezprawiem i gwałtem! Uczynić ich podwójnie bezbronnymi! Bo dom, w którym dotąd żyli - ludzie wokół niego, zażyłość z nimi i bliskość - dawał im jednak siłę, Wiedzieli o tym ci, którzy znów wydobyli z pogardliwego zapomnienia to straszne, a tak in' teraz użyteczne, tak przydatne słowo.

Pani Helena znowu zaczęła przyglądać się swojemu domowi, odbierać z bolesną uwagą wszystko, co było dotąd najzwyczajniejszą zwyczajnością. Kochała go za wygodę i zasobność, za szczelność ścian w pierwsze jesienne, sztor-mowe dni, za piękno miejsca, w którym stał, i za to jeszcze, że mogła dać w nim schronienie swojemu drugiemu żołnierzowi, który wrócił z wojny. Nigdy jeszcze ten dom nie był jej tak potrzebny.

- Nie mówcie mu! - błagała dziewczęta. - Niech jeszcze nie wie! Niech nie wie!

Ale bała się, że on wyczyta to z jej twarzy. Toteż siadając przy jego łóżku, spuściła głowę.

- Czy coś się stało? - zapytał od raziły

- Nie, nic.

- Nic? ,,, ,;• , ..''..,

- Wszystko, co najgorsze, już się stało. Są tutaj. Mają nas w swojej mocy. Ale niech tylko zima przejdzie... zobaczysz... zobaczy pan... .

- Proszę tak mówić -szepnął. - Bardzo proszę.

Zarumieniła się. Nie podniosła oczu, ale powtórzyła:

- Zobaczysz. Niech tylko przejdzie zima. Myśl tylko o tym.

- Tak, tylko o tym.

- Przetrzynam cię tu, ochronię.

Chciał powiedzieć, powinien był powiedzieć, że skoro tylko wyzdrowieje, wstanie i pójdzie stąd, nie będzie jej dłużej narażać - ale tak dobrze było słuchać tego, co mówiła.

- Zresztą... może jeszcze przed zimą... Przecież Hel się broni. Mają gdzie lądować, mają gdzie się zaczepić. Anglicy i Francuzi... Nie wierzę, żeby byli nie przygotowani...

W takim razie po co by już teraz wypowiadali wojnę?

Słuchał jej głosu, patrzył na nią. Miał inny pogląd na tę

sprawę i dawno wyzbył się już złudzeń, ale nie chciał się tym zadręczać. Liczyło się tylko to, że był tutaj, że chciała go ratować i osłaniać. Znowu dawała mu dach nad głową, jak wtedy, kiedy poszedł do niej po raz pierwszy, bezdomny chłopak, a ona podarowała mu brezent, który rozpostarł potem nad łodzią.

- Pokochałem panią już wtedy - powiedział nagle.

- Co? - szepnęła, wytracona ze swoich myśli, od razu spłoszona, z lękiem w oczach. - Dlaczego? Dlaczego pan to mówi?

- Już tego pierwszego dnia. Kiedy przyszedłem do Pawilonu. I potem kochałem przez te wszystkie lata...

- Wiem - powiedziała cicho.

Wyciągnął rękę, a ona podała mu swoją. Podniósł ją do ust i trzymał przy nich długo.

- Musiałem to w końcu powiedzieć.

- Ale już więcej nie będziemy o tym mówić.

- Nie, nie musimy. Skoro obydwójce to już wiemy. Skoro to mamy. Nikt nam tego już nie odbierze.

- Nie, tego nie - powtórzyła. I zaszeptała zaraz w półochu: - A teraz śpij już! Spij, żołnierzu. A kiedy się obudzisz, myśl tylko o tym, że istnieje jeszcze skrawek polskiej ziemi, na którym mogą stanąć ci, którzy przyjdą z morza, z odsieczą i obroną. Na pewno przyjdą. Myśl tylko o tym. Tylko o tym!

Uśmiechnęła się do niego od progu i cicho zamknęła drzwi. O Boże! pomyślała, uwierzyć w to! Wbrew rozsądkowi. Wbrew temu, co się działo!

Zaczęła teraz, tak jak Marynka Blok, nasłuchiwać odgłosów detonacji z morza. Warszawa się poddała, ale bronił się jeszcze Hel. I stamtąd, z tego pasemka lądu mógł nadejść ratunek, mogła nadejść nadzieja.

XXVII

Tego dnia - a był to dzień niespodziewanych zwycięstw na Helu - Grześ od samego rana liczył coś na skrawku papieru.

Byli osaczeni, otoczeni, blokadą, atakowali z morza i powietrza, a jednak przez te kilkadziesiąt godzin nie opuszczała ich pewność, że zwyciężają, że nie można tego inaczej ocenić, i że musi to także ocenić wróg.

Od dwóch dni pancerniki niemieckie - Schleswig-Holstein i sprowadzony dla wzmocnienia ognia drugi okręt liniowy, Schlesien - wychodziły w otoczeniu trałowców na zatokę z wyraźnym zamiarem skończenia z polskim oporem. Ale go tylko wzmogły.

Po nakryciu polskimi salwami niemieckie okręty uchodziły w zasłonie dymnej do gdańskiej bazy. I to się powtarzało przez dwa kolejne dni. W tym trzecim powinno być podobnie.

Grześ siedział przy swojej baterii i spisywał coś na kartce papieru. W ogóle oddalał się stąd rzadko, tylko po jedzenie. Nie strzelał, nie miał żadnego stanowiska przy działach, lecz był przekonany, że jest tu potrzebny, że także walczy. Racje żywnościowe przynosił wprawdzie coraz mniejsze, ale to, że zawsze potrafił zdobyć nie najgorsze jedzenie dla obsługi przeciwlotniczych boforsów z Gryfa, przestało już być głównym źródłem jego pewności siebie. Bo lękliwość z pier-

wszych dni wojny już dawno go opuściła. Ku nadlatującym samolotom nie podnosił nawet głowy, a jeśli nalot zastawał go przy jakiejś czynności - przy myciu menażek choćby

m

-nigdy jej nie przerywał. Co ma być, to będzie, mawiał do swego kapitana i jeszcze donośniej dzwonił naczyniami.

Teraz trzymał w ręku ołówek i pytał:

- Więc co oni mają, panie kapitanie? Bo nie zapamiętałem, jak pan wczoraj mówił.

Wołodia patrzył na morze, na niemieckie trałowce, które jak co dnia oczyszczały drogę okrętom liniowym.

- Po co ci to? - powiedział w roztargnieniu.

Grześ się zamyślił. Przymknął na chwilę oczy, zacisnął powieki.

- Schowam sobie tę kartkę - powiedział.

- Schowasz?

- Tak - potwierdził chłopak cicho. - Schowam sobie... na później... na potem.

Kapitan zwrócił ku niemu oczy.

- No to pisz - powiedział, pokonując nagłe ściśnięcie gardła. - Pancerniki niemieckie tego typu mają po cztery działa kaliber dwieście osiemdziesiąt...

- To razem osiem?

- Razem osiem, oczywiście. Cztery na Schleswigu-Holsteinie i cztery na Schlesien. - Wołodia miał wiele cierpliwości dla Grzesia. Obserwował zmianę, jaka w nim zachodziła w ciągu tego tragicznego miesiąca, a przede wszystkim wzruszało go to, że chłopak, gdy tylko mógł, wciąż był przy nim. - Zapisalesz? - zapytał.

- Zapisalem.

- Prócz tego każdy z nich ma dziesięć dział kaliber sto pięćdziesiąt.

- Razem dwadzieścia.

- Razem dwadzieścia.

- A my?

- Nasza bateria cypłowa ma cztery działa...

- ...kaliber sto pięćdziesiąt dwa przecinek cztery - dokończył Grześ nie bez dumy, że orientuje się w sile ognia polskiej baterii.

- I dopisz do tego dział kaliber sto pięć pod Juratą, i te mniejsze po siedemdziesiąt pięć.

- Dopisałem.

- No i podlicz to teraz, to będziesz wiedział, z czego strzelamy my, a z czego oni. W dodatku oni są w ruchu, a my tkwimy w miejscu. ;

- Ale spieprzają z zatoki! - powtórzył Grześ ulubione powiedzenie marynarzy. - Spieprzają ile sił w kotłach!

A jeszcze jak my... - dodał dziwnie wysokim głosem.

Wołodia znowu spojrzał na niego zdumiony.

- O czym myślisz?

Chłopak nie podnosił głowy.

- Już teraz je tu dopiszę - powiedział cichuteńko, pochylony nad swoją kartką.

- Co już teraz dopiszesz? - nie mógł zrozumieć kapitan.

Odwrócił już głowę i jak przedtem patrzył na morze.

Schleswig-Holstein, który od rana manewrował na zatoce, teraz jakby zmienił kurs i kierował się w stronę Orłowa.

- Nasze działa dopiszę - szepnął Grześ - nasze działa z Gryfa. Bo przecież niedługo zaczniemy z nich strzelać. Wołodia milczał. Podniósł do oczu lornetę.

- Zaczniemy? Panie kapitanie?

- Którego dziś mamy? - zapytał po długiej chwili Wołodia.

- Dwudziestego siódmego. Zawsze pan mówił, że cement w podstawach ma zastępnąć na trzydziestego.

- Tak. Na trzydziestego.

- Ale ja... ja je już dziś dopiszę. Dopisać?

- Dopisz.

- O rany! - zawołał śpiewnie Grześ. - Ale się zdziwią!

Zupełnie zgłupieją, jak nagle rąbniemy z naszej baterii!

Wołodia nie mógł pohamować uśmiechu. Nie odrywał wciąż lornety od oczu, przeniósł ją tylko z Schleswiga-Holsteina na Schlesien, który zmierzał teraz wyraźnie ku Kępie Oksywskiej. Prawdopodobnie obydwie okręty szły na swoje pozycje ogniowe, lada chwila mogło się rozpocząć ostrzeliwanie Helu, a on nie mógł pohamować uśmiechu, solidaryzując się z naiwnym marzeniem chłopaka. Czy właśnie nie na tym polega ta dziwna bliskość między nim a tym najmniej roztargnionym z marynarzy, który nieraz przedtem wydawał mu się aż nazbyt prymitywny w swoich reakcjach. Teraz go to nie raziło. Teraz go to wzruszało. Boże święty, myślał, w końcu miłość ojczyzny jest jednym z uczuć najprostszych.

Schleswig-Holstein stanął na północny zachód od Kępy Oksywskiej i wznosił lufy dział. Ogień z jego dziobowej wieży skrzyżował się jednak z ogniem baterii cypłowej, skąd obserwowano każdy ruch niemieckiego okrętu.

Nim nad horyzontem pojawiły się samoloty, które miały naprowadzać ogień pancerników na cel, Wołodia zdołał jeszcze zaobserwować przez szkła swojej lornety, że trzecia polska salwa uzyskała nakrycie, że Schleswig-Holstein został trafiony i że umilkło, umilkło, umilkło! jedno z jego dział. Trwała więc ta szczęśliwa polska passa, może jeszcze wszystko się zmieni, może zdołają utrzymać się tu, aż nadejdzie pomoc, może...

- Chłopczy! - zawołał wielkim głosem kapitan Jazowiecki. - Salwa w celu! Nasza salwa w celu!

Odpowiedzieli okrzykiem, ale zagłuszyły go zaraz nadlatujące samoloty, a w chwilę potem skierowane przeciwko nim boforsy i erkaemy. Wołodia nie miał już możliwości śledzić tego, co działo się na morzu, kierowana przez niego bateria miała swoje zadania. Tylko w tych krótkich chwilach, gdy samoloty się oddalały, mógł zwracać znów lornetę na morze. Schleswig-Holstein ostrzeliwał wciąż baterię cypłową, ale Schlesien skierował swoje działa na port w Jastarni i spotkał się z ogniem baterii bijącej spod Juraty. Detonacje wstrząsały półwyspom, kłęby dymu z dział, po odpaleniu pocisków, unosiły się pod wciąż przerażająco pogodnym niebem jak małe, długo nie rozplywające się w bezwietrznej ciszy, obłoczki.

Trwało to godzinę, może dłużej. Gdy toczy się bitwa, minuty mają tysiąc sekund i każda z nich może być ostatnia. Ale nie myśli się o tym, jest napięcie, skupienie, pośpiech, precyzja wyćwiczonych nawyków w obchodzeniu się z bro-

nią, precyzja, której nie może zburzyć strach. I są to w tym wszystkim tylko krótkie przeblyski pragnienia, żeby zobaczyć to jeszcze raz, żeby to jeszcze raz przeżyć: to odchodzenie, oddalanie się, niknięcie i w końcu nieobecność wroga na czystym, na oczyszczonym polu walki.

I tym razem tak było. Było tak naprawdę.

Patrzyli na to z zapartym tchem, nie wierząc oczom, a równocześnie sycąc je tym widokiem - niemieckie okręty naprawdę wycofywały się z zatoki, uchodziły z pola bitwy, uciekały.

Do wieczora każda z załóg obrony Helu wiedziała wszystko o odpartym ataku. Nie tylko Schleswig-Holstein został trafiony. Bateria nadbrzeżna, strzelająca spod Juraty, uszkodziła burtę drugiego okrętu i zmusiła do odwrotu towarzyszące mu trałowce. Podawano sobie te wieści z ust do ust, z baterii do baterii. Marynarze śmiali się i płakali, padali sobie w ramiona, całowali gorące od wystrzałów lufy dział, powtarzali szczegóły stoczonej walki. Radość i duma sprawiały, że była to już równocześnie i prawda, i legenda, prawda i legenda o kolejnym zwycięstwie podczas tych niezwykłych, krzepiących trzech dni.

I wtedy to właśnie z Dowództwa Floty wysypali się gońcy z rozkazem dotarcia do wszystkich baterii, z którymi nie było łączności telefonicznej.

Obsługa baterii boforsów i erkaemów przeciwlotniczych z Gryfa zażywała krótkiej chwili spokoju, na posterunku pozostali tylko obserwator i dalmierzysta, ukryci w cieniu kapeluszy maskowniczych.

Wołodia odszedł kilka metrów od baterii i położył się na piasku pod najbliższą sosną. Od ziemi ciągnął chłód, po zapadnięciu zmierzchu czuło się już nadchodzącą jesień. Przed kilkoma dniami Grześ przyniósł mu płaszcz z magazynu, ale ku zmartwieniu chłopaka zostawił go w baraku przy baterii cyplowej, gdzie ostatnio sypiali.

- Przyniosę go - upierał się Grześ,
- Daj mi spokój.
- Zaziębi się pan kapitan.
- Podczas wojny nikt się nie zaziębia - odburknął, podnosząc kołnierz kurtki.
- Nie? - zdumiał się chłopak.
- Nie. To by było zbyt śmieszne: umrzeć na przykład na zapalenie płuc.
- E tam - zdenerwował się Grześ. - Takie gadanie.
- Daj mi trochę odpocząć.
- Chce pan kapitan być sam?
- Tak.
- No to ja tu sobie obok posiedzę - szepnął Grześ.
- Bo jakby pan kapitan czegoś potrzebował...
- Nie będę niczego potrzebował!

Po raz pierwszy od długich dni myślał o drugiej stronie zatoki, o ludziach, którzy musieli słyszeć dzisiejszy bój - jeśli tam jeszcze byli, jeśli... Nie, postanowił nie dopuścić do siebie żadnych złych myśli. Ten dzień miał być świętem, odparli atak, który w mniemaniu wroga miał być zapewne ostatni, i gdyby się powiódł, radio niemieckie roztrąbiłoby niechybnie ten triumf, ale ponieważ to nie nastąpiło, mieszkańcy Gdyni mogli być pewni, że kolejny atak na Hel został

odparty. Krzysztof, Marynka... Przeraził się, że tak dawno już o niej nie myślał. Że prawie nie może jej sobie przypomnieć. Jakby od ostatniego widzenia się z nią upłynął nie miesiąc, ale całe życie, które spędzili osobno. Postanowił, że jej to wynagrodzi (kiedyś, kiedy to będzie możliwe...), ten brak pamięci i czułości, że zaraz zacznie jej to wynagradzać dobrymi wspomnieniami, dobrymi myślami w ten odświeżający, zwycięski dzień, kiedy znów widzieli uchodzące okręty wroga, kiedy trzymali je w szklach lornet, dopóki nie stały się małymi punkcikami i nie zniknęły, nie wtopiły się w szare tło morza. W ten szczęśliwy, odświeżający, zwycięski dzień można było sobie pozwolić na takie myśli...

- Goniec z Dowództwa Floty do pana kapitana! - zameldował Grześ, nie wiadomo dlaczego także zdyszany. Bo tamten chłopak biegł i miał do tego prawo, żeby teraz ciężko dyszeć i z kroplami potu na czole nie móc wykrztusić słowa.

- Mów! - krzyknął Wołodia, zerwawszy się z ziemi.

- Panie kapitanie! - Marynarz nie przyjął postawy zasadniczej, zachwiał się, oparł o pień drzewa, dłońmi zasłonił oczy.

- Mów - powtórzył Wołodia, ale już zupełnie cicho.

- Warszawa! - jęknął chłopak. - Warszawa padła!

Kapitan przyskoczył do niego, potrząsnął go za ramiona.

- Skąd... ta wiadomość?

Chłopak dygotał, trząsł się cały. Wołodia przejął w siebie drżenie jego ciała.

- Skąd ta wiadomość?! - krzyknął.

- Pan admirał... przyszedł radiogram do pana admirała... radiogram od generała Rómmła. Kapitulacja!

- Kapitulacja! - powtórzył Wołodia. Otoczyli go już marynarze z baterii. Nie patrzyli na siebie, odwracali wzrok od swoich twarzy. Porażający był widok wypisanej na nich klęski.

- Pan admirał zwołuje odprawę - zakończył goniec swój meldunek. - Melduję posłusznie, że pan admirał...

- Dobrze - przerwał mu kapitan Jazowiecki. - Idę.

Akurat dziś, myślał, akurat dziś!

Zdał dowodzenie starszemu bosmanowi i wciąż nie patrząc na nikogo, skierował się na drogę prowadzącą do schronu dowództwa. Miał złe przeczucia, ale nie pozwolił sobie sformułować ich w to słowo najgorsze i ostatnie, które było przecież zaprzeczeniem tego, co czuli w ciągu ostatnich dni, kiedy odpierali wroga, kiedy odnosili zwycięstwa. Na Boga, mogli jeszcze walczyć! Mogli czekać na pomoc. Nie zjedli jeszcze ostatniego bochenka chleba, nie wystrzelali całej amunicji. I była jeszcze amunicja w zatopionych komorach Gryfa. Panowie, powie im, jeśli padnie to słowo najgorsze i ostatnie, panowie, broni się jeszcze grupa generała Kleeberga na Podlasiu! Musimy walczyć i my! Za trzy dni ma zastępnąć cement pod moją baterią, panowie, będziemy mieli jeszcze jedną baterię! Wszyscy na to czekaliśmy. Uważam za niegodne odbierać żołnierzowi nadzieję w skuteczność jego działania, uważam za zbrodnię zabijać w nim wiarę, kiedy jeszcze chce walczyć i kiedy...

Ale to słowo nie padło.

Odprawa była krótka: bijemy się dalej. Warszawa padła,

ale Hel będzie walczył. Mówiono to wszystko zdaniem skąpych w słowa, surowymi w swej niezbędnej zwięzłości i prostocie, i nikt nie podniósł nawet głosu, nikt nie pozwolił sobie na żaden tragiczny akcent.

Admirał uściśnął wszystkim dłonie. Rozeszli się w milczeniu.

Nazajutrz radio gdańskie nadawało co pół godziny odezwę skierowaną do kontradmirała Unruga przez obydwu dowódców niemieckiego natarcia na Hel, lądowego i morskiego: przez generała Kaupischa i kontradmirała Schmunda.

- "Do dowódcy Helu!" - usłyszeli marynarze z obsługi baterii cypłowej, którym w namiocie obok baterii, służącym za świetlicę, zainstalowano radio. - "Do dowódcy Helu! Warszawa i Modlin poddały się. Polska została całkowicie opanowana przez wojska niemieckie".

- Nie całkiem! - wołali chłopcy, ledwo hamując skurcz wykrzywiający im usta niepohamowaną chęcią płaczu.

- Nie całkiem!

Obsługa baterii poniosła poprzedniego dnia ciężkie straty, byli zabici i ranni, ale raniony także dowódca baterii, kapitan Przybyszewski, uciekł po kilku godzinach ze szpitala i wrócił do centrali artyleryjskiej, był wśród swoich ludzi, wydawał rozkazy.

- Nie całkiem!

Któryś z marynarzy przyskoczył do radia i wyłączył je. Nie usłyszeli więc już, że nazajutrz o godzinie czternastej ma się zjawić na Helu parlamentariusz w celu omówienia warunków kapitulacji.

W Dowództwie Floty wysłuchano jednak wezwania do końca.

I właśnie o tej samej godzinie następnego dnia, kiedy to miał rozpocząć rozmowy nie przyjęty przez Polaków niemiecki parlamentariusz, kontradmirał Unrug wydał rozkaz dzienny, który natychmiast dotarł do wszystkich jednostek.

"Hel pozostał jedynym bastionem, który stawia rzeczywisty opór wrogowi. Jesteśmy ostatnimi obrońcami ojczystej ziemi... Musimy do ostatniej chwili trwać na posterunku, aby zadokumentować światu, że żołnierz polski nawet w najcięższych warunkach nie odda bez walki ani piędzi ziemi..."

Kapitan Włodzimierz Jazowiecki przeczytał ten rozkaz obsłudze swojej baterii.

- Ani piędzi ziemi! - powtórzył za nim ktoś spośród artylerzystów.

Dopiero teraz Wołodia odważył się zatrzymać wzrok na ich twarzach. Od przedwczorajszego dnia, od wieczora, kiedy nadeszła wieść o upadku Warszawy, bał się tego. Bał się, że odbijająca się na nich klęska porazi go także. Teraz odzyskał pewność, że granice rozpaczy, przekroczone w owej chwili, nie dzielą ich, ale że zamknęły ich we wspólnym kręgu tej samej, ostatecznej determinacji: postanowili walkę kontynuować. I nie dlatego, że ktoś postanowił to za nich. Tak, padali zabici, kładli się pokotem na zakrwawionej ziemi półwyspu ranni i każdego, kto decydował się dalej walczyć, mógł spotkać ten sam los, ale bezsensu śmierci w tym nie było. W tej zacieklej obronie małego

skrawka ziemi, którego przez miesiąc nie mógł zdobyć atakujący z wielokrotną przewagą wróg, był sens, mądry i tragiczny. To od tej walki, od wysiłku każdego z nich zależało, żeby fiihrer tysiącletniej Rzeszy nie mógł otrzymać meldunku o wygaśnięciu oporu W.Polsce. Od każdego z nich. Wiedzieli o tym.

Ogromna, niepokojąca cisza trwała nad półwyspem.

Może Niemcy czekali wciąż na przyjęcie swojej propozycji, a może, nie mając już na to nadziei, przygotowywali się do nowego uderzenia. W tej chwili jednak niebo było czyste, a na wody zatoki nie wypłynęły ciężkie cieleśka pancerników. Wołodia od kilku już dni chciał pójść na cmentarz, na grób Hejkowej i kolegów z Gryfa, i właśnie postanowił zrobić to teraz, po raz drugi mogła mu się już nie nadarzyć ku temu okazja. Zabezpieczył więc dowodzenie baterii i przywołał Grzesia, który już nieraz chodził z nim na cmentarz. Chłopak się ucieszył. Ale po drodze niepotrzebnie zapytał:

- Dlaczego nie atakują? Co to może znaczyć?
- Nie wiem - odparł niechętnie Wołodia. Starał się o tym nie myśleć.
- Może wezmą nas głodem?
- Do tego chyba jeszcze daleko.
- Nie tak daleko, jak pan kapitan myśli. Słyszę, co mówią w kuchni i w magazynach. Wyżywić tyle ludzi! Ile nas tu jest?

- Na całym półwyspie chyba ze cztery tysiące.
- Żołnierzy - uściślił Grześ. - Ale są jeszcze cywile. Oni też muszą jeść.

I wyjść z tych nor w lesie, myślał kapitan. Dalszy opór odbywać się będzie także ich kosztem. Strasznym kosztem, pomyślał, gdy stanął nad grobem Hejkowej.

Była to mogiła usypana w pośpiechu, jak wszystkie w tej nowej części cmentarza, ledwie wystawała nad ziemię niskim kopczykiem. Leżała w niej Hejkowa, ułożona na drzwiach swego domu, z ich dobrym, wiernym drewnem pod głową, towarzyszącym jej przez całe życie i także po śmierci. Otworzyła te drzwi może po raz pierwszy jako panna młoda, kiedy wchodziła w progi domu męża, a może to on przyszedł do niej, i rozwarła je przed nim szeroko, zapraszając na wspólny los, na wspólną radość i biedę. Teraz leżała na nich, i Wołodia cieszył się, że stary Hejko nie pożałował ich swojej żonie, że dom zabezpieczył innymi drzwiami, wyjętymi z framugi między kuchnią i sionką, a te frontowe dał żonie do grobu, żeby - zanim nadejdzie czas, kiedy będzie można ją złożyć w trumnie - nie leżała na gołej ziemi.

- Zabierze mnie pan kapitan ze sobą? - zapytał nagle Grześ.

- Dokąd? - zdumiał się zaskoczony.
- Nie wiem. Ale przecież pan tu... nie zostanie. Co będzie z nami, jak tu zostaniemy?
- Ciebie - kapitan powoli odwrócił głowę, żeby nie patrzeć na chłopaka - ciebie może puszcza do domu.
- Nie chcę! Tam wszędzie są Niemcy. Chcę być z panem. .
Wołodia milczał. Powinien był krzyknąć na chłopaka, przywołać go do porządku, bo przecież przed chwilą odczytał także i jemu rozkaz dowódcy Floty o kontynuowaniu oporu, dlaczego więc powążył się mówić o czymś tak z nim

sprzecznym, o czymś, co nie powinno... Nie, nie mógł na niego krzyknąć, nie mógł go za to skarcić, bo i jemu rościło się niekiedy to marzenie, może zbyt śmiałe, żeby mogło stać się rzeczywistością, ale coraz częściej do niego wracał... Kontynuowali opór, ale w końcu musi nadejść dzień, kiedy zabraknie amunicji i chleba, kiedy walka będzie już niemożliwa - czy nie pozostanie wtedy już nic prócz niewoli? Dlaczego nie nadchodziła pomoc? Czy tam na Zachodzie nie wiedzieli, że się jeszcze trzymają, skoro Niemcy nie donosili o zwycięstwie? Czy naprawdę nie można sforsować duńskich cieśnin, przedrzeć się przez nie, albo zablokować Niemcom portów, tak jak oni zablokowali Hel? Nic prócz niewół i... W porcie wojennym stało kilka kutrów i ścigacz motorowy Batory, należący do Straży Granicznej. Nie brał on udziału w walce - ze względu na swe słabe uzbrojenie. I stał tam, miał obsługę i paliwo. I, Boże święty, szybkość dwadzieścia pięć węzłów!

Szaleństwem było wyobrażać sobie, że mogłoby przedrzeć się przez niemiecką blokadę i dotrzeć do Szwecji, ale w końcu wszystko, co robili od miesiąca, było szaleństwem, i trzeba się było na nie ważyć, jeśli druty niewoli wydawały się gorsze od śmierci.

- Mój drogi - powiedział do Grzesia - trzeba wierzyć, że się stąd wydostaniemy.

- Jak? - jęknął chłopak. - panie kapitanie, jak?

- Trzeba wierzyć - powtórzył. Skurcz zacisnął mu gardło, nie mógł powiedzieć nic więcej. Grzesz zresztą już o nic nie zapytał.

Po dwóch dniach wyjaśniły się powody osłabienia ataków powietrznych i morskich: od nasady półwyspu ruszyła ofensywa lądowa, i miało to być natarcie ostateczne. Powstrzymało je na krótko wysadzenie zagrody minowej, którą polscy minierzy przecięli półwysep pod Chałupami, ale to uratowało ich tylko na kilka godzin, na kilka nic nie znaczących godzin.

Rankiem pierwszego października dotarła do załóg Helu wieść o radiotelegramie dowódcy Floty do dowódcy okrętu Schleswig-Holstein. Zawiadamiano w nim o gotowości podjęcia rozmów w sprawie warunków kapitulacji. Po wymianie dalszych depeesz zawieszenie broni ustalono na godzinę czternastą.

Kapitan Jazowiecki skrzyknął przez gońca dawnych artylerzystów z Gryfa. Nie wszyscy się zgłosili. Wiedział, że wszyscy się nie zgłoszą, że nigdy nie staną już wszyscy razem przy działach. Prowadził teraz tylko tych, którzy jeszcze zostali, prowadził przez dziesięć kilometrów zrytego bombami półwyspu, przez piasek i wyrwane pnie sosen, prowadził ich ku owemu miejscu nad brzegiem Wielkiego Morza, gdzie stały teraz uratowane z Gryfa działa. Dobrnęli do nich na czas.

Nie wybiła jeszcze godzina zaniechania ognia.

- Wszyscy na swoje stanowiska! - krzyknął. Jesienny sztorm, który z hukiem pędził na brzeg wysokie fale i gwałcił sosny na wydmach, rozrzucił te słowa, zagłuszył, ale chłopcy je dosłyszeli. W mgnieniu oka stanęli na stanowiskach bojowych.

Wokół krzywego ramienia Helu stały okręty niemieckiej

blokady. Za dnia, gdy widoczność była dobra, rozluźniały jej pierścień, odchodziły nieco na północ i zachód, w nocy zacieśniały go, zbliżając się ku polskiemu brzegom. Kołysała je teraz fala sztormowa, wynosiła na swój grzbiet, gubiła w rozpadlinach, ale tym, którzy na to patrzyli, wydawało się, że wciąż mają je przed oczyma.

- Cel okręt pierwszy! - wydał komendę Wołodia.

- Mierzyć odległość!

Huk sztormu nie ustawał ani na chwilę, oni słyszeli jednak wokół siebie ciszę, w której miały zabrzmieć działa ich okrętu. Nigdy jeszcze nie załadowano ich tak szybko i tak szybko nie zameldowano o gotowości do otwarcia ognia.

I wreszcie padło to słowo:

- Pal!

I znowu. - Pal!

Jakby znów zabiło umilkłe serce Gryfa. Dwie salwy! Dwie honorowe salwy zmartwychwstałego na krótko okrętu. ! Zadrżał cement posadowienia baterii, nie myśleli o tym, czy zastygł już naprawdę, nie liczyło się dla nich już nic poza tym, że dwie salwy lecą teraz ku pierwszemu okrętowi blokady. Gdy upadły, tuż przy jego burcie, powstał na pewno wśród załogi popłoch i konsternacja. Niemcy nie spodziewali się ataku z tej strony, nie wiedzieli nic o baterii w tym punkcie półwyspu. I rzeczywiście. Po chwili nie tylko zaatakowany okręt, ale i inne okręty blokady ruszyły się ze swoich miejsc i zmieniły pozycję.

- Przysolimy im jeszcze raz! - wołali chłopcy. - Panie kapitanie, przysolimy im jeszcze raz!

Ale Wołodia nie wydał już drugiej komendy. Nie dlatego, żeby bał się skutków samowoli, której się dopuścił (w zamęcie i rozpacz przed kapitulacją już się tego nie musiał obawiać), ale dlatego, że czekała ich jeszcze praca. Ta ostatnia praca.

- Panie kapitanie! -stawiali nań artylerzyści. Okręty blokady wydawały im się rozpiezchającym się stadem kurcząt.

- Chłopcy - powiedział cicho - niszczymy działa!

Musiał powtórzyć to jeszcze raz, zanim zrozumieli. Przystępowali do tej pracy ostatniej z ciężkim sercem, w milczeniu, ze ściśniętymi gardłami. Każdy dźwięk, który by z nich wyszedł, byłby płaczem. Boforsy z Gryfa nie mogły przypaść w udziale wrogowi zdadne do strzelania. Te same ręce, które przeniosły je na ląd, miały je teraz zniszczyć i unieruchomić. Zabraniały tego warunki kapitulacji, ale - na Boga! - nie mogli się im poddać!

Rozbili przyrządy celownicze, wymontowali zamki.

- Rzucimy je do morza? - zapytali artylerzyści i czekali na decyzję dowódcy baterii.

Milczał długo.

- Nie - powiedział wreszcie. Nie mógł opanować drżenia warg. - Zakopujemy je w piasku.

Wydobyli łopaty ze schronu przy baterii. Wybrali miejsce wśród sosen, otwarte jednak na uderzenia wiatru, żeby je zasypał zaraz piaskiem, zatarał wszelki ślad po tym, czego tu dokonano. Kopali w milczeniu, ale mimo to z wyczuwalną ulgą, którą sprawiała decyzja kapitana. Jeśli nie topili zamków, tylko zakopywali je w piasku, znaczyło to, że tu

wrócą, wydobędą je, zamontują znów do dział. Wołodia wiedział, że wszyscy o tym myślą. Przynajmniej to się należało tym ludziom. I jemu.

Po południu zgłosił się wraz z innymi oficerami u dowódcy Floty, który udzielił im zezwolenia na dokonanie próby ucieczki.

- Pan jest ranny - powiedział do niego admirał.

Dopiero teraz Wołodia spojrzał na swoje zakrwawione ręce, na poszarpany mundur.

- Zniszczyliśmy działa - odrzekł. - Nikt już nie będzie miał z nich pożytku, panie admirale.

- Wbrew rozkazowi.

Wołodia wyprostował się, po raz ostatni stał na baczność przed swoim admirałem.

- Wbrew rozkazowi! - powtórzył za nim, widząc w oczach dowódcy swoją własną rozpacz.

- Pan wie - zaczął admirał surowo, ale nie skończył zaczętego zdania, jakby to, co zamierzał powiedzieć, wydało mu się już zupełnie niedorzeczne. - Ile pan ma lat?

- zapytał nagle.

- Trzydzieści sześć - odpowiedział kapitan Jazowiecki zdumiony.

- Trzydzieści sześć... tak, niech pan próbuje... niech pan próbuje się stąd wydostać... Choć szansę.. szansę są znikome.

- Wiem, panie admirale;

- Szansę są znikome, ale sam... gdybym...

Admirał był prawie o dwadzieścia lat starszy, i było to teraz widać na jego znużonej twarzy, nie o tym jednak chyba myślał w tej chwili. Był od czterdziestu lat dowódcą Floty, i stracił ją teraz w ciągu kilkunastu dni, a resztki jej załóg miał oddać za kilka godzin w niewolę - powinien być wśród nich. Musiał to chyba wiedzieć już od pierwszej chwili, w której zrozumiał, że nie ma ratunku.

- Życzę panu szczęścia - powiedział cicho.

- Dziękuję, panie admirale. Jeśli... jeśli mi się uda; będę dalej walczył.

- Właśnie tego panu życzę.

- Dziękuję - powtórzył Wołodia. Coś się skończyło, myślał jednocześnie, coś się skończyło.

Gdy wyszedł z Dowództwa Floty, musiał oprzeć się o ścianę schronu, zabrakło mu tchu.

Zmierzch już zatarł kontury brzegu i coraz wyższa fala natężającego się przed nocą sztormu biła o poszarpane falochrony, gdy wraz z innymi oficerami wszedł na pokład ścigacza Straży Granicznej. Silniki były już uruchomione.

- Panie kapitanie! - krzyknął ktoś z falochronu. Do burty przyskoczył Grześ.

- Obiecał mnie pan zabrać! - wołał. - Obiecał pan, panie kapitanie!

Zbliżył się do niego.

- Nie dostałem dla ciebie pozwolenia - powiedział cicho. - I szansę... szansę są znikome - powtórzył słowa admirała.

Chłopak płakał. Głośno, jak małe dziecko. Jeśli uda mi się, pomyślał Wołodia, będę słyszał ten płacz do końca życia. Ale powtórzył jeszcze raz:

- Szansę są znikome.
- To nic! - wołał chłopak. - To nic! Wolę umrzeć, niż zobaczyć ich z bliska.
- Możemy go zabrać? - spytał Wołodia kapitana Milisiewicza, który dowodził ścigaczem.
- Niech wsiada - uciał ten krótko. - Ale będzie go pan miał na sumieniu, jeśli...
- Będę go miał na sumieniu - powiedział Wołodia.
Grześ w jednej chwili znalazł się na pokładzie, przywarli razem plecami do ściany nadbudówki. Chłopak dygotał i nie przestawał płakać.
- Nie mogę zobaczyć ich z bliska! - powtarzał. - Nie mogę!
- Ja także-powiedział Wołodia cicho.-Będziemy ich widzieć tylko na odległość strzału.
- Mam kawałek chleba-szepnął Grześ-chce pan kapitan? • - . - _ .
- Daj.

Chłopak sięgnął pod bluzę. Chleb był suchy, ciepły od jego dała, ojczyści chleb. Kiedy będą go jeść znowu? Żegnali się z nim tak samo, jak żegnali się z tym brzegiem, który trzymali do ostatnich sił, a teraz oto opuszczali go, żeby bić się o niego gdzieś na świecie, wszędzie tam, gdzie mogli spotkać okręty wroga.

Na odległość strzału, myślał Wołodia. Tylko na odległość strzału!

I nie zobaczył ich z bliska. Następnego dnia, kiedy dwóch oficerów z Dowództwa Floty, przywiezionych z Helu nie-mieckim kutrem do Sopot, szło z mola wśród szpaleru triumfującej gawiedzi do Grand Hotelu, żeby podpisać tam kapitulację, kapitan Włodzimierz Jazowiecki był już daleko stąd. Pokrwawiony, zziębnięty i głodny, ale wolny. Wolny! I mógł walczyć!

^ BIBLIOTEKk GD/INSKk

W przygotowaniu: Karol Olgierd Borchardt

Znaczy Kapitan

Maria Pruszkowska

Przyślę panu list i klucz

T4K TRZY/M/1C!

NIEPOKONANI

NIEPOKORNI

^S^aS(tm)"^3 -kontrtytutowa • ^a

Redaktor naukowy serii

Ryszard Karwacki

SaSS^ wydawnictw0 Mtewa Obrony Narodowej

BBM 83 ^15-83 00-8

Miasto miało teraz jakby inną twarz.

Dawna - znajoma, dobra i szczęśliwa - przykryta została maską, którą chciało się z niej zerwać każdego ranka, gdy tylko pierwszy brzask wydobywał z mroku i narzucał oczom szyderczą wrogość ulic, przybranych czerwienią i czernią - ale nikt, nikt nie podniósł ręki, żeby to uczynić. Tej jesieni i nadchodzącej zimy trzeba było czekać. Zbierać siły i czekać - czekać na wiosnę, która miała odmienić losy wojny.

Tak myślano, przyjęto ten rodzaj myślenia z powszechną nadzieją, a nawet ze szczególną odmianą dumy z zawartego

w nim rozsądku, nie za często objawiającego się w tragicznej gwałtowności polskich dziejów. Głównym zadaniem Polaków miało więc być tej jesieni i zimy czekanie. Przyczajone, mądre i obronne, wszędzie i we wszystkich wypadkach, gdy można się było jeszcze bronić: przebiegłością, ucieczką, myleniem gończych psów, które gubiąc ślad, stawały z głupawym wyrazem na pyskach przed nieprzeniknioną ścianą bezimiennego oporu, o którą raz po raz rozbijały sobie nosy na tej ziemi. Jawnie jednak nikt nie podnosił ręki. Tylko myślom przyzwalano na tę nierozważną zuchwałość, na którą trzeba było jeszcze czekać, czekać, czekać.

Łucka po wyjściu z portu chyłkiem i w pośpiechu przemierzała ulice, którymi dawniej chodziła z niewyczerpującą się w ciągu lat radością. Teraz mijała je, nie przyglądając się domom i nie wspominając już, że każdy - jak jej własny - piętro po piętrze powstawał w jej oczach. Gdyby się nie bała, że zwróci na siebie uwagę patroli żandarmerii, biegłaby co tchu, żeby jak najprędzej znaleźć się w swoim mieszkaniu, zamknąć drzwi na wszystkie zamki i łańcuch, odgradzić się nimi od zmienionego życia miasta. Ale zmiany nie ominęły i tego miejsca, które uważała za najbardziej własne. Przypominało o tym puste krzesło przy stole, puste łóżko w sypialni, brak maszynki do golenia w łazience, wszystkie nieobecne zwyczaje dawnej codzienności, których nie można było przywołać i przywrócić, jak długo nie mógł wrócić ten, przez którego i dla którego istniały. Ale nie była to jeszcze rozpacz i żałoba, i trzeba się było z tym godzić dziękczynnie, jak mówiła jej co dnia matka: inne rodziny spotkał gorszy los. Wiedziała, że Krzysztof żyje, mogła go widywać przynajmniej raz na tydzień, docierając pod pozorami szukania żywności do jego nowego ukrycia - to musiało jej wystarczyć, o Boże, to jej wystarczało: w bezustannym lęku, żeby nie wyzywać losu, powtarzała sobie, że nie pragnie nic więcej, do końca wojny nie pragnie nic więcej.

Kupiła po drodze chleb, rada, że dostał jej się bochenek dobrze wyrośnięty i wypieczony. O dobry chleb było coraz trudniej, a dzieci - zwłaszcza Tomaszek - potrzebowały teraz dużo chleba; jadło się go zamiast mięsa i nabiału, napełniało się nim żołądek, żeby nie burczała w nim pustka, i znowu był główną wartością, jak za chudych lat tej wsi, zanim jeszcze stała się miastem.

- Zobaczcie, co wam przyniosłam! - zawołała od progu. Nie strząsnęła z płaszcza mokrego śniegu, nie zdjęła, nawet nie wytarła śniegowców, weszła w nich do pokoju, żeby od razu pokazać dzieciom przyrumieniony i parujący cudowną chlebową wonią bochenek. Ale siedziały przy stole pilnie czymś zajęte i nie zwróciły nawet ku niej głowy.

- Zobaczcie, co przyniosłam - powtórzyła ciszej. Już wiedziała, że coś się stało i ta nikła, mała radość, jaką chciała im sprawić, nie zostanie zauważona.

Trzymając wciąż chleb w rękach, podeszła do stołu. Leżała na nim sterta zeszytów szkolnych z kilku ostatnich lat. Składano je w pawlaczu nad szafą w przedpokoju, babka Konkowa nie pozwalała ich niszczyć, dumna z dobrych stopni, które zawierały. Prawnukom będę je pokazywać, mówiła ze śmiechem. Teraz pochylała się nad nimi Julitka z nożyczkami w ręku, a Tomaszek śledził w napięciu każdy

ich ruch.

- Co robicie? - spytała matka cicho.

Julitka odgarnęła włosy z czoła, ale nie podniosła głowy.

- Przecież widzisz - powiedziała z obojętnością zbyt usilną, aby matce mogła wydać się zwykła. Po wrześniowej nieobecności Julitki w domu i po jej milczącym powrocie przypatrywała się jej z bolesną czujnością, ale wciąż doznawała uczucia kołatania do szczelnie zamkniętej bramy.

- Nie, nie widzę - szepnęła prawie zawstydzona tym, że ta brama znowu nie uchyla się nawet na milimetr. - A jeśli nawet widzę, to nie rozumiem...

Julitka wreszcie podniosła głowę. Twarz miała szarą, jakby nie spała od kilku dni, ale tak właśnie wyglądała tej jesieni.

- Mogą nas za to wysiedlić - powiedziała znowu tym boleśnie obojętnym tonem, który ranił serce Łucki bardziej niż płacz. - Gdyby tu weszli i znaleźli to w zeszytach... Trzymała w palcach wycięte z zeszytów kolorowe znaczki, które dzieci w szkołach otrzymywały za wpłaty na FOM. Fundusz Obrony Morskiej rósł także z takich groszowych składek, a kiedy podczas Świąt Morza Krzysztof prowadził dzieci do portu, żeby mogły obejrzeć przycumowane przy nabrzeżu okręty, przekrzykiwały się wzajemnie, pokazując sobie Orla, Groma, Błyskawicę, czy Gryfa. To za moje lody! Za moje rurki z kremem. Za wycieczkę do Jastrzębiej Góry! Za Cyrk "Medrano"!

- Kto ci ó tym powiedział?

- O czym?

- O tym... wysiedlaniu. I o znaczkach...

Julitka patrzyła na matkę wzrokiem nieruchomym, powracała z trudem i bardzo powoli z odległych swoich myśli, które na chwilę rozjaśniły jej twarz dawnym blaskiem.

- Ach, o tym... - szepnęła wreszcie.

- Kto?! - krzyknęła Łucka.

- Dziewczyny mówią. Wszyscy mówią. To tylko ty siedzisz wśród tych swoich Niemców i nic nie wiesz. Łucka położyła chleb na zeszytach, oparła się o brzeg stołu. Śnieg topniał na jej płaszczu; na lśniącym niegdyś parkiecie utworzyły się wokół śniegowców mokre plamy.

- Co to znaczy: siedzisz wśród tych swoich Niemców?

- zapytała prawie groźnie. - Przecież muszę pracować.

Gdzieś muszę pracować. A teraz wszędzie są Niemcy.

Julitka znowu opuściła głowę, włosy - od dawna nie strzyżone - opadły jej na czoło.

- Przepraszam - powiedziała, w jej głosie był jednak znów ten ton obraźliwej obojętności, którym podawała w wątpliwość-każde swoje słowo, i Łucka wcale nie miała uczucia, że została przeproszona.

- A skąd bralibyśmy pieniądze na życie? - zawołała, nie mogąc pohamować żalu i rozgoryczenia. - Choćby na ten chleb?

- Przecież i tak sprzedajemy rzeczy - bąknęła Julitka.

- Ale trzeba by sprzedawać więcej, trzeba by się wyprzedać do gołych desek w szafie. A idzie zima, myślało się o wszystkim tego lata, tylko nie o tym, żeby się na nią zabezpieczyć. A niszczyć rzeczy tak szybko...

- Właśnie - odezwał się Tomaszek nieśmiało, z trudem odrywając wzrok od chleba, którego zapach rozszedł się już po całym pokoju. - Buty mi dziś przemokły. Jest dziura w podeszwie.

- O Boże! -jęknęła Łucka. Wszystkie braki w garderobie dzieci napełniały ją przerażeniem. Ale teraz się z niego otrząsnęła. - Widzisz - zwróciła się do Julitki z gorzkim triumfem.

- Nic nie widzę - mruknęła. - Jeszcze mi tej dziury w podeszwie nie pokazał.

- Przestań w ten sposób ze mną rozmawiać! Słyszysz? Zakazuję ci raz na zawsze! - Łucka nie panowała nad sobą i to właśnie było najgorsze, to mogło ją ośmieszyć w oczach dzieci. Więc jeszcze i taką trudność miała przed sobą - sama jedna musiała nie tylko utrzymać dom, ale i udźwignąć rodzicielski autorytet, który w obliczu tego, co się dokonało, nie był już taką oczywistością jak dawniej. Zaczepnęła tchu i przetrzymywała go przez chwilę w piersiach, bojąc się, że jeśli tylko otworzy usta, nie zdoła już nic powiedzieć i zaraz zacznie płakać.

- Och, mamó! -jęknął Tomaszek z niezadowoleniem.

- Powinniście... powinniście mi pomagać - zaczęła dziwnie wysoko, prawie piskliwie, ale tylko ona to spostrzegła. Dzieci wróciły do swego zajęcia, wyrywały sobie zeszyty i nożyczki. - Powinniście mi pomagać, a nie stwarzać trudności.

- A jakie my ci stwarzamy trudności? - spytała Julitka z kamiennym spokojem, przestawszy na chwilę szarpać się z bratem. - Jakie? Proszę, wymień!

- Jakie? - wykrztusiła Łucka. - Jeszcze się pytasz jakie!

Ale nie wiedziała jakie i od razu ogarnęła ją panika. Pod wyczekującym spojrzeniem Julitki daremnie usiłowała sobie coś przypomnieć -jakieś uchybienie, zaniedbanie, zuchwalstwo - żeby nie zaczynać od tego jedyne, które ją tak zabolalo.

- No bo cóż to za wytykanie mi pracy u Niemców!

A gdzie jest inna? Przynajmniej pracuję na swoim dawnym miejscu... Może uda mi się na nim przeczekać jakoś to wszystko... obronić mieszkanie... i dom... Bez zaświadczenia, które dał mi pan Lohmann...

- Mam nadzieję, że nie będzie dziś na obiedzie - przewrwała matce Julitka. Szczękała nożyczkami, wycinała pilnie znaczki FOM z zeszytów, układała je w pudełku, nie podnosząc na matkę oczu. Tomaszek zaśmiał się nagle głupio i prostacko. Ale zaraz zamilkł.

Łucka dotknęła palcami chleba, przesunęła nimi po jego spieczonym, chropawym wierzchu i już ich od niego nie odjęła. Znowu nabrała w płuca powietrza i przetrzymała je długą chwilę. Potrzebowała siły, dużo siły. Na teraz i na potem. Od pewnego czasu jasno i dotkliwie zdawała sobie z tego sprawę.

- Pan Lohmann był tutaj tylko raz - powiedziała.

Tylko jeden raz. Dobrze o tym wiecie. Co miałam zrobić, skoro prawie sam... prawie sam się zaprosił...? Pamiętał, że jeszcze w maju - powiedziała "w maju", a nie "przed? wojną", jak teraz wszyscy mówili, i zobaczyła, że Julitka od

razu to odnotowała spojrzeniem, ale właśnie dlatego powtó-
rzyła jeszcze raz: - tak, w maju mówił mi, że nie jadł jeszcze
nigdy świeżych śledzi. Obiecałam mu, że go na nie zaproszę...

- Ale wtedy, w maju, ojciec się na to nie zgodził.

Łucka nie zaprzeczyła, choć przypomnienie owej niezgo-
dy Krzysztofa na zaproszenie gościa ze Śląska boleśnie ją
ugodziło. Nie uszanowała jej bowiem i to teraz, kiedy
nieobecność męża wzmagala wagę wszystkiego, co mówił
i robił w tym domu.

- Tak - potwierdziła cicho. - Ojciec się na to nie
zgodził... Ale wtedy. Wtedy! Teraz sytuacja jest inna... chyba
-zdajecie sobie sprawę z tego, że sytuacja jest inna...

Dzieci milczały. Te dwa jej własne istnienia, teraz prawie
wrogo osobne. Milczały. Dotkliwie wyraźnie słyhać było
szczęk nożyczek, szelest papieru. W pudełku rosła sterta
wyciętych znaczków - był w nich inny czas, dawny czas,
zamknięty w jednym ze swoich pięknych znaczeń - i Łuckę
ogarnęło nagle zawstydzenie, że właśnie w obliczu tego
wspomnienia, które chciały zachować jej dzieci, mówi,
musi mówić o obmierzłej nadziei, pokładanej w osobie
jej nowego szefa, o zabiegach wokół pozyskania jego przy-
chylności. Ale wiedziała, że musi. Że w tym wszystkim, co
się stało, niespodziane i niepojęte, jej w udziale przypadły
nie zaciekle i dumne zamilknięcia, nie luksus ambicji i hono-
ru, ale zapobiegliwa i zakazująca prawdy w spojrzeniach
i słowach pospolitość codziennych starań o chleb, o ziem-
niaki, o zelówki do butów, o dom - o uratowanie domu.
Dzień za oknem kończył się szaro. Śnieg przestał padać
i deszcz zaczął teraz bębnić o blachy okiennych parapetów,
nad dachem przeciwległej kamienicy wisiał skrawek brud-
nego nieba. O Boże! - pomyślała Łucka - dlaczego nie
mogę się zbudzić, dlaczego wciąż trwa ten straszny, męczący
sen?

Zabrała chleb ze stołu, ciężko ruszyła ku drzwiom. Ale
w progu odwróciła się i powiedziała:

- Teraz sytuacja jest inna i bardzo was proszę, żebyście
o tym pamiętali. A panu Lohmannowi powinniście być
wdzięczni choćby za to, że to on, a nie Joe-mikser, dostał
mieszkanie po panu Smbickim.

- Bardzo jesteście mu wdzięczni - mruknęła Julitka.

- Ale cieszyliście się, kiedy w ciągu jednego dnia wyrzu-
cił go z tego mieszkania.

Julitka rzuciła na stół nożyczki, zsunęły się z zeszytów
i spadły na podłogę. Nie schyliła się, żeby je podnieść.
Patrzyła na matkę.

- Cieszyliśmy się. Tylko że zaraz potem trzeba było się
zastanawiać, kim musi być pan Lohmann, skoro dał radę
Joe-mikserowi. K-im jest on sam!

- Milcz! - krzyknęła Łucka. I od razu zaczęła płakać.

Z bezsilności i żalu, z całej tej udręki, która osaczała ją
zewsząd i przed którą nie widziała ratunku.

Julitka przyglądała się jej płaczowi najpierw z pobłażli-
wym, a potem zniecierpliwionym zdumieniem, w końcu
jednak podeszła do matki, objęła ją i - równa już jej
wzrostem - przyciągnęła do siebie.

- Och, mamusiu! - szepnęła. - Cóż ty wyprawiasz?

- Co ja wyprawiam? - rozpłakała się na dobre Łucka.

- Mówisz mi nagle coś tak niegodziwego... Coś tak strasznego...

- Ależ nie powiedziałam tego, żeby cię straszyć. Musisz się jednak zastanowić...

- Wciąż się zastanawiam, od rana do nocy się zastanawiam nad sprawami, o które was głowa nie boli: skąd wziąć jedzenie, buty, w jaki sposób zabezpieczyć się na zimę w razie...

Julitka zacisnęła powieki, przytuliła twarz do zalanego łzami policzka matki.

- Mamo, nie bądź taka praktyczna. Proszę cię. Bardzo cię proszę...

Pląkały teraz obydwie, ciasno objęte, aż przerażony tym Tomaszek pobiegł do kuchni i sprowadził babkę.

- Co się tu dzieje? - zawołała, wycierając w pośpiechu o fartuch mokre dłonie. - Stało się co?

- Nie, nic - Łucka zawstydzona odsunęła Julitkę i zaczęła szukać chusteczki w kieszeni płaszcza. Dostałam taki ładny chleb i tak się cieszyłam, kiedy go niosłam do domu... tak się cieszyłam...

- I dlatego płaczesz?

- Nie dlatego. - Łucka znalazła chustkę i gorliwie wytarła nią zaczerwienioną od płaczu twarz. - Ale myślałam, że wszyscy się ucieszą... a oni, właściwie Tomaszek nie... chociaż powiedział o tych butach akurat w momencie...

- Im obojgu jeszcze się bieda do tyłka nie dobrała

- ucięła żale córki Konkowa. - A ty się od razu tymi wszystkimi głupstwami przejmujesz. Chodź tu lepiej i zobacz, kto trzepie persa pana Słubickiego.

Łucka - wcale tego nieciekawa - poszła za matką ku oknu w kuchni i posłusznie wyjrzała na podwórze. Potem szybko odwróciła głowę i spojrzała na matkę - z niedowierzaniem, oczekując od niej potwierdzenia.

- Tak, tak - pokiwała głową Konkowa.

- Karol? Naprawdę Karol?

- Przecież widzisz!

- Wrócił? I zgodził się do pana Lohmanna?

- Przecież widzisz! - powtórzyła Konkowa.

Patrzyły teraz razem na roslą postać Karola, uwijającego się przy trzepaku. Z ogromnego dywanu unosiły się w powietrze chmury kurzu - dawno widać nie trzepany, doczekał się wreszcie silnej ręki. Porabyła co prawda na trzepanie nieodpowiednia, ale Karol wyzywająco spoglądał w okna kamienicy, prawie czekając na to, żeby mu ktoś zwrócił uwagę.

- Rozmawiała z nim mama? - spytała Łucka.

- Tylko przez chwilę na schodach.

- Co mówił?

- Nic. Że w Wiedniu nudno.

- Nudno?

- Nudno.

- Zawołam go do nas.

- Po co?

- Jak to po co? - gorączkowała się Łucka. - Ciekawa jestem, co powie. Tak nagle się zjawił i prosto tutaj...? Panie Karolu! - zawołała, uchylwszy okna. - Niech pan wstąpi na chwilkę!

Nie zdziwił się zaproszeniem, oparł trzepaczkę o sięgający prawie ziemi dywan, i niespiesznie podążył ku wejściu do sieni. Łucka wybiegła mu naprzeciw i wprowadziła do kuchni.

- Panie Karolu! Co za niespodzianka!

Usiadł na podsuniełym mu taborecie, z kieszonki kamizelki w beżowo-wiśniowe pasy wyjął cygaro. Łucka natychmiast poznała gatunek, który palił Lohmann.

- Jaka niespodzianka? - Karol wzruszył ramionami.

- Przecież powiedziałem, że wrócę.

- A starsza pani Słubicka... - spytała Konkowa

ostrożnie - starsza pani nie potrzebowała pana Karola?

- Starsza pani także jest zdania, że powinienem być tutaj.

- Zdrowa?

- Zdrowa. I mówi, że doczeka.

Nie zapytały czego, tylko Konkowa odpędziła od drzwi Tomaszka, gdy stanął w nich, przysłuchując się rozmowie.

- Teraz dzieci nie powinny wszystkiego wiedzieć - powiedziała nie wiadomo dlaczego, i to bardziej do Karola niż do Łucki, wciąż rozgorączkowanej i nie dowierzającej własnym oczom.

- Wrócił pan Karol! -powtarzała. - Wrócił pan Karol!

- Co miałem się po świecie włóczyć - mruknął nowy służący nowego lokatora z pierwszego piętra, nie wypuszczając z ust cygara. - Tu moje miejsce.

- Ale że pan Lohmann... że pan Lohmann... - zaczęła Konkowa powoli, szukając odpowiedniego słowa - akurat pana Karola potrzebował... I że pan Karol nie przyszedł trochę wcześniej, kiedy w tym mieszkaniu...

Karol patrzył w okno. I z tej strony domu widać było nad dachami sąsiednich kamienic brudne, niskie niebo.

- Nie przyszedłem tutaj od razu. Zatrzymałem się najpierw u znajomego na Lipowej. Zaznajomiliśmy się zeszłego roku przez psy. - Karol zamilkł na chwilę. - Boja wychodziłem na spacer z Lordem, a on ze swoim jamnikiem. Śmieszne to było, jak te dwa psy się ze sobą bawiły, jeden taki duży, a drugi mały. Ludzie przystawali, żeby na to popatrzeć. No i ja się z tym Gołdzikowskim zaprzyjaźniłem.. Nawet mi wtedy przez myśl nie przeszło, jak będzie mi potrzebna ta przyjaźń. Przetrzymał mnie przez te dni, kiedy jeszcze nie mogłem tu przyjść...

- To pan Karol wiedział - spytała cicho Konkowa

- że w waszym mieszkaniu... że w mieszkaniu pana Słubickiego mieszka Joe-mikser?

- Wiedziałem.

- Ale gdyby się tak szczęśliwie nie złożyło, że pan Lohmann..., że akurat pan Lohmann... - zaplatała się Łucka.

Karol wyjął na chwilę z ust cygaro, obracał je w palcach.

- To musiałbym czekać gdzie indziej.

- Gdzie indziej?

- Gdzieś w pobliżu.

- Ale jak to dobrze, że pan Karol jest znowu tutaj!

- zawołała ze szczerą radością Konkowa. - Że pan Lohmann zgodził się pana Karola przyjąć...

- Przedstawiłem mu swoje kwa-li-fi-ka-cje - przerwał. jej z godnością Karol. - I w końcu to dobrze o nim świadczy, że się na nich poznał. Pan Lohmann na swoim obecnym stanowisku także będzie musiał prowadzić otwarty dom i powinien mieć kogoś, kto by się na tym znał. Już dziś wieczorem mają być goście.

- Już dziś wieczorem? - zachłysnęła się Łucka.

- Tak. Nawet jakiś dowódca okrętu podwodnego, który po raz pierwszy wszedł do Gotenhafen.

- Do... Gotenhafen? - szepnęła ze zgrozą Konkowa.

- Do Gotenhafen - powtórzył Karol. Nie patrzył na żadną z kobiet. - Tak powiedział pan Lohmann. I ja tylko powtarzam. Do Gotenhafen...

Minęła bardzo długa chwila, zanim zwrócił się do Łucki z przyciszonym pytaniem:

- A szanowny małżonek... w domu?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie... wrócił?

- Nie.

Karol nie wiedział, w jaki sposób sformułować następne pytanie, uniósł się nieco na krześle w niezręcznym geście, którego intencja przeraziła Konkowa.

- Panu Karolowi możesz przecież powiedzieć - zganiła Łuckę.

- Mogę powiedzieć tylko to, co mówię wszystkim: że z wojny nie wrócił.

Karola nie odstraszyła rezerwa w jej głosie. Zapytał cicho:

- Ale wie pani, że żyje?

- Wiem - odpowiedziała Łucka równie cicho, jakby ich ktoś podsłuchiwał, jakby ta najradośniejsza w jej życiu pewność była równocześnie jej największym niebezpieczeństwem.

- To chwała Bogu - powiedział Karol. - Chwała Bogu!

Odprowadziły go obydwie do drzwi i obydwie - jedna przez drugą - zapraszały do częstych odwiedzin. Konkowa nigdy jeszcze w ciągu całego swego długiego życia nie była dla nikogo tak serdeczna. Uzmysłowała to sobie, bo spojrzała na Łuckę prawie zawstydzona.

- Zawsze to jakiś polski mężczyzna w tym strasznym domu.

Tak się teraz mówiło - i tak się teraz myślało - o tej największej dumie rodziny Konków, o pięciopiętrowej kamienicy, którą obydwie z Łucka wzniosły na skrawku Augustynowego pola i cieszyły się nią, dopóki nie stała się jedną z wojennych udręk. Zajmowali ją teraz Niemcy od parteru po dach i obecność w niej polskich właścicieli mogła wydawać się równie tymczasowa, co zgoła podejrzana. Z dołu ktoś wolno szedł po schodach. Zostawiły szparę w drzwiach, żeby zobaczyć, kto to taki, i poszerzyły ją dopiero wtedy, gdy kobieta o szarej, zapadłej twarzy zatrzymała się przed ich progiem, usiłując odczytać słabo widoczną w mroku wizytówkę.

- Kogo pani szuka? - spytała Konkowa, choć powinna się domyślić, że ktoś tak wyglądający nie przybył w odwiedziny do niemieckich lokatorów domu.

- Julitki - szepnęła kobieta. - Julitki Grabieniówny.

- O co chodzi? - Łucka odsunęła matkę od progu. Niepokój, który od razu nią ośwładał, nie pozwolił jej na cień uprzejmości w głosie. Sercem targnęło przypomnienie niezbyt odległych chwil, gdy opuściła ją matczyna czujność, gdy zabrano jej z domu dziecko, jakby ktoś miał większe prawo... - O co chodzi? - powtórzyła prawie groźnie.

- Jestem Powsiałowiczowa - przedstawiła się kobieta, wyjmując z torby gruby brulion, starannie owinięty papierem. - Matka Jerzyka Powsiałowicza. Proszę oddać ten zeszyt Julitce.

Ale Julitka już biegła do progu, odtrąciła prawie matkę i babkę od drzwi, błada, z płonącymi oczyma.

- Jestem! - krzyknęła boleśnie. - Przecież jestem!

- To są te wiersze - szepnęła kobieta; ledwie widoczny, czuły uśmiech złagodził na chwilę gorzki wyraz jej ust. Pochyliła się i szybko pocałowała Julitkę w czoło. - Te wiersze, o których ci mówiłam. Znalazłam je wśród rzeczy Jerzyka. Przeczytaj je, może zechcesz je sobie przepisać.

- Tak - powtarzała Julitka żarliwie. - Tak. Przepiszę wszystkie.

- A potem mi je oddasz. Bo... chcielibyśmy je mieć...

- Niechże pani wejdzie - odezwała się Konkowa, speszona zaniedbanie obowiązków gospodyni.

Łucka milczała. Znowu poraziła ją świadomość, że coś przed nią zatajono, że o czymś nie wie, czegoś nie rozumie.

- Nie, dziękuję - przybyła nie skorzystała z zaproszenia. - Męża zostawiłam samego w domu. A wciąż choruje. Nie może przyjść do siebie, od kiedy dowiedzieliśmy się, że Jerzyk... że Jerzyk... Muszę zaraz wracać.

- Ja ten zeszyt odniosę - szepnęła Julitka. Trzymała brulion oburącz przy piersi. - Ale trochę chciałabym go mieć... Czy mogę? Czy mogę go trochę mieć?

- Ależ tak - matka Jerzyka Powsiałowicza znowu pocałowała ją w czoło. - Po to go przyniosłam. Gdy zaczęła schodzić po schodach, Łucka, zbyt pośpiesznie i zbyt głośno zatrzęsła drzwiami.

- Co to znaczy? - zwróciła się do Julitki. - Mów zaraz; co to znaczy?

- Mamo... - Julitka cofała się w głąb mieszkania, wciąż trzymając brulion oburącz przy piersi. - Muszę teraz zostać sama. Proszę...

- Co to za tajemnice? Dlaczego mi wszystkiego nie mówisz? Wciąż czegoś nie wiem...

- Proszę... - szeptała Julitka. - Powiem ci... Potem ci powiem... Ale teraz... pozwól mi, muszę zostać sama.

- Sama? - krzyknęła Łucka, ugodzona boleśnie. - Dlaczego sama?

Rzuciła się ku córce, ale Julitka była szybsza. Wpadła do pokoju, zatrzęsła drzwiami, przekręciła klucz.

Tych kluczy w zamkach wewnętrznych drzwi nigdy się nie używało. Tkwiły w nich po to, żeby się gdzieś nie zagubiły w szufladach - i oto Łucka usłyszała, jak jeden z nich przekręca jej dziecko, żeby uciec od niej, żeby się od niej odgrodzić szczelnymi deskami drzwi.

Zabębniła pięściami o ich powierzchnię.

- Natychmiast otwórz! Słyszysz? Masz natychmiast

otworzyć!

Za drzwiami trwała cisza.

- Słyszysz? - krzyknęła Łucka głośniej. - Powiem jutro o wszystkim ojcu, ucieszy się, jak się o tym dowie. Konkowa położyła jej dłoń na ramieniu.

- Zostaw ją - powiedziała cicho.

- Co mama? - zachnęła się Łucka. - Mam pozwolić, żeby mi zamykano drzwi przed nosem?

- Zostaw ją - powtórzyła matka. - I może byś wreszcie zjadła obiad, wciąż go tylko przygrzewam. Dzieci już jadły.

Pochylona nad talerzem kartoflanki Łucka ledwo powstrzymywała łzy.

- Żeby tak nic nie wiedzieć o własnym dziecku...

- A ja o tobie co wiedziałam? - uspokoiła ją Konkowa niespodziewanym argumentem. - I nie było wtedy wojny.

- Przecież ja... - zaczęła Łucka od razu zapłoniona, ale już łagodniejsza, łagodniejąca z każdą chwilą. -Ja... - Nie dokończyła, zamilkła, gorliwie wyławiając ziemniaki z rzadkiej zupy. Kiedy ukazało się dno talerza, odsunęła się od stołu i oparta plecami o ścianę, przymknęła na chwilę oczy. Od świtu nie zaznała odpoczynku i teraz wreszcie dopadło ją zmęczenie, przynębiające zmęczenie tych, którzy stracili nadzieję na prawdziwe odzyskanie sił.

- Połóż się - szepnęła matka.

- Nie, nie - zaprotestowała. - Tak tu sobie tylko trochę z mamą posiedzę.

- Musisz jeszcze gdzieś iść?

- Zaraz mamie powiem - szepnęła.

Jeszcze trochę, myślała, jeszcze trochę tej ciszy, tego spokoju, tego ciepła. Brudne niebo ociekało wciąż deszczem, wiatr - któremu raz po raz udawało się w silnych porывach od morza pokonywać zaporę Kamiennej Góry

- uderzał w szyby, w dzwoniące blachy okapów i rynien.

Ale tu było zacisznie i ciepło, w tej kuchni, w której królowała matka i gdzie zawsze na małym gazowym płomyku cichutko śpiewał czajnik. Niechby nie było świata poza tymi czterema ścianami, pomyślała, niechby... Przeraziło ją bluźnierstwo tego pragnienia i to, że zapomniała o Krzysztofie, że na krótką choćby chwilę potrafiła jednak o nim zapomnieć. Zerwała się ze stołka, rozejrzała za chustką na głowę.

- I dokąd to? - krzyknęła matka.

- Przecież jutro zaraz po pracy jadę do Krzysztofa.

- No to jutro. A co dziś?

- Dziś... - Łucka odwróciła wzrok od pytających oczu matki - dziś muszę pójść na Kamienną Górę.

- Do Tereszkowej?

- Tak. Do pani Heleny.

- I po co?

- Zapyta o nią - powiedziała cicho.

- Krzysztof...?

- Zapyta o nią - powtórzyła Łucka.

Zamilkły na długo. Konkowa chwyciła miotłę, zgarnęła jakieś pyłki, prawie niewidzialne, z podłogi, przejechała mokrą ścierką po białych kaflach.

- Czym ty sobie głowę nabijasz, dziewczyno - powie-

działa wreszcie.

Łucka wiązała chustkę na głowie, tak samo jak przed laty zaciekle ściągając jej końce pod brodą.

- Za każdym razem tak jest - szepnęła - zawsze o nią pyta.

- Podle by było z jego strony - krzyknęła Konkowa

- gdyby nie pytał. Uratowała mu życie, przetransportowała go nieprzytomnego do siebie, sprowadziła do niego doktora, przetrzymała w swoim domu, aż wyzdrowiał, i miałby teraz o nią nawet nie zapytać?

Łucka potrząsnęła gwałtownie głową.

- Ale pyta nie z wdzięczności.

- Nie... z wdzięczności?

. - Nie.

- Łucka! - krzyknęła znowu matka. Patrzyła ze zgrozą w oczach. - W taki czas... w taki czas przychodzi ci do głowy...

- Ale to prawda.

- Skąd wiesz, że prawda?

- Czuję.

- Aha, czujesz! - Konkowa zerwała z wieszaka swój płaszcz, zadzwoniła kluczem.

- Co... chce mama zrobić? - przestraszyła się Łucka.

- Idę z tobą.

- Ale po co? Po co?

- Chcę na nią popatrzeć. Chcę się jej przyjrzeć. I dopiero d powiem, czy to prawda.

- Ale to nie ona... -jęknęła Łucka. - Czyja mówię, że ona...?

- Idziemy! - warknęła Konkowa. - Tomaszek! - za-wołała w głąb mieszkania. Uważaj! Zostajecie sami w domu!

- Była już w progu, ale zawróciła i załomotała dłonią w drzwi, zamknięte przez Julitkę, zza których wciąż nie dochodził najlżejszy szmer. - A ty może wreszcie otworzysz! Boże, co za dom! - szepnęła do siebie. - Co za straszny dom!

- Tylko niech mama... - zaczęła Łucka w popłochu, gdy tylko znalazły się na ulicy - niech mama, broń Boże, "nie da odczuć pani Helenie...

Konkowa szarpnęła ramieniem, żeby je wyswobodzić z kurczowego uścisku Łucki.

- Za kogo mnie masz!

Na Kamienną Górę zaszły milcząco. Dom Tereszków stał ciemny, jak inne domy w całym mieście - brak zasłon zaciemniających na oknach karany był bardzo surowo - ta ciemność jednak wydała im się tak intensywna, że obydwie pomyślały o tym samym.

Przystanąły, spojrzały na siebie.

- Pójdziemy tam? - szepnęła Łucka. Trzymała dłoń na furtce, ale nie otwierała jej. Wiatr huczał w gałęziach sosen, musiała powtórzyć głośniejszym głosem: - Pójdziemy tam?

Mamo!

- Przecież po to tu przyszliśmy - warknęła Konkowa.

- Ale ja się czegoś boję...

- Czego się boisz? - głos Konkowej brzmiał wciąż ostro i nieprzyjaźnie. - Jeśli jej tu nie ma, jeśli ją wysiedlono, może przestaną cię dręczyć te twoje głupie myśli...

Łucka znowu uwiesiła się u ramienia matki. Poczuli się prawie winni za tę pustą i cichą ciemność domu, przed którym stały. Ledwie pohamowała płacz, zaciskający jej gardło.

- A czy ja mówiłam, że to pani Helena, że to z jej strony...

- Cicho - przerwała jej matka. Pchnęła furtkę i ruszyła stromą ścieżką pod górę. Pokrywał ją śnieg. Na dole w mieście rozdeptywały go na brudną masę nogi przechodniów, tu leżał puszysty i nie tknięty ludzką stopą, rozjaśniając mrok.

- Mamo - szeptała wciąż Łucka. - Ja się boję... Wolę powiedzieć Krzysztofowi, że tu nie byłam, że nic nie wiem...

Matka jej nie słuchała. Pokonując zadyszkę, pięła się wciąż w górę, aż wreszcie stanęła na ganku i nie otrzepawszy nóg ze śniegu, jakby to była zrobiła, wiedząc, że wejdzie do środka, zbliżyła się do drzwi. Widniała na nich biała kartka.

Nie trzeba było zapoznawać się z jej treścią, żeby wiedzieć, co oznacza. Na setkach mieszkań naklejono w ostatnich tygodniach takie kartki. Co dnia odchodziły z gdyńskiego dworca transporty wysiedlonych. Z pięćdziesięciokilogramowym bagażem opuszczali miasto, w którym wszystko było ich dorobkiem; nie tylko to, co kryło się w ścianach ich mieszkań.

- Widzisz - powiedziała Konkowa. Już mogła zaoszczędzić tego Łucce, ale wściekła była na nią, że to jej domysły, niegodne i pospolite w czas tak nieodpowiedni, były powodem, że tu przyszła, że zobaczyła tę kartkę na drzwiach. Nie ulegała łatwo wzruszeniom, ale od dziecka chwyciła ją coś za gardło na widok opuszczonych ptasich gniazd.

W Łucce jednak ostatnie słowo matki wzbudziło gwałtowne pragnienie sprzeciwu. Z niezrozumiałą nadzieją przypomniało jej się, jak to już raz była pewna, że pani Heleny od dawna nie ma w jej domu i jak Krzysztof, prawie nieprzytomny po odniesionej na Oksywiu ranie, kazał jej tu przyjść, kazał jej tu szukać ratunku.

- Ona jednak może tu być - powiedziała.

- Zwariowałaś?

- Można przecież zadzwonić i przekonać się...

- A jeśli otworzą Niemcy?

- Od razu nas przecież nie rozstrzelają.

Konkowej nie ucieszyła nagła odwaga i energia Łucki.

Wciąż patrzyła na nią z nie ukrywanym niezadowoleniem.

- Widzę, że chcesz wiedzieć na pewno.

- No więc dobrze - krzyknęła - niech mama tak myśli!

- Podniosła rękę do dzwonka i nie odjęła jej, dopóki z głębi domu nie nadpłynął odgłos zmierzających ku drzwiom kroków.

Matka patrzyła na nią ze zgrozą. Cofnęła się ku krawędzi ganku, oparła o poręcz schodów.

Ale drzwi otworzyła, jak zwykle, Weronika. Widać ją było wyraźnie w blasku bijącym od śniegu na tle ciemności domu, z których się wyłoniła.

- O Boże! - zawołała. - To wy! To pani Łucka? Pani Konkowa!

- Jesteście? - roześmiała się Łucka triumfalnie. Ten śmiech, jego ton szczególny, mógłby zdumieć Weronikę, więc dodała niezręcznie: - Bo matka, jak zobaczyła tę kartkę na drzwiach...

- Co ja...? - zaczęła się bronić Konkowa. - Każdy by tak pomyślał...

- Ona tu wisi od tygodnia - wyjaśniła Weronika, zamykając za nimi drzwi. - Dom zajęty dla marynarki. Dla u-bootów. Tak powiedzieli, kiedy naklejali tę kartkę. Siedzi-my na walizkach, śpimy w ubraniach.

- Z domu nie wychodzicie? - zdumiała się boleśnie Konkowa. - Śnieg na ścieżce nietknięty...

Weronika ściszyła głos:

- Bo pani się boi, że każdej chwili mogą przyjść. Że każdej chwili mogą nas stąd zabrać. Lepiej, żeby wtedy wszyscy byli w domu. Jak byśmy się potem odnaleźli?

- Kto przyszedł? - zawołała pani Helena z góry.

- Pani Grabieniowa z matką! - odkrzyknęła Weronika. - Zaraz spuszczę zasłony i zapalę światło.

- Tak siedzicie po ciemku? - szepnęła Łucka.

- Położyłam się trochę - tłumaczyła się pani Helena, schodząc ze schodów. - Wisia przy mnie... Weronika odmawia różaniec po ciemku, a Marynka chyba siedzi przy oknie.

- Już do was schodzę - odezwała się z piętra panna Blok sztucznie ożywionym tonem.

- Ja także! - krzyknęła Wisia.

Gdy Weronika uporała się wreszcie z zasłonami i zapaliła światło, były już wszystkie na dole. Pani Helena porządkowała w pośpiechu potargane włosy, wygładzała dłońmi pognieciony szlafrok.

- Przepraszam - szepnęła zawstydzona. - Nie powinienam przyjmować tak gości.

Łucce zdawało się, że mówiąc to, patrzy tylko na nią, że to przed nią przede wszystkim wstydzi się swego domowego zaniedbania i że ma ku temu swój kobiecy powód. Bo Marynka Blok nie sprawiała wrażenia zmieszanej, choć i jej wygląd daleki był od dawnej elegancji i świeżości. A i Wisi nie peszyła przykrótka sukieneczka, odsłaniająca jej zbyt chude i zbyt długie nogi. O Boże - pomyślała Łucka, zapominając na chwilę o swoim strapieniu - to dziecko znowu wyrosło! Zaczynała się już przyzwyczajać do tego, że Julitka dorównuje jej wzrostem, na Julitkę patrzyła co dnia i nie widziała, jak rośnie, Wisia podczas każdej wizyty w domu Tereszków przyprawiała ją o bolesne zdumienie. Dlaczego one tak rosną? - myślała w popłochu. - Dlaczego te dzieci tak rosną? I akurat teraz! Nie mogli wybrać sobie innego czasu na wyrastanie z odzieży i butów, na nadmierny apetyt, na eksplodującą nagle, nieustępliwą, manifestacyjną samodzielność, która podczas bezsennych nocy wydawała jej się największym wojennym niebezpieczeństwem? Powiem o tym Krzysztofowi - pomyślała, ale nie znalazła w tym pocieszenia. Przypomniał się tylko powód, dla którego tu przyszła, miast stać przy zamkniętych przez Julitkę drzwiach, walić w nie pięścią i czołem, i prosić,

żeby otworzyła...

- Jadę jutro do Krzysztofa - zaczęła z nieuprzejmym prawie pośpiechem, jakby jej wizyta w domu Tereszkowej nie mogła mieć innej przyczyny. - Jadę do Krzysztofa... Na pewno ciekaw będzie, co u pani słyhać.

- Co słyhać! - Pani Helena uczyniła zrezygnowany ruch ręką ku drzwiom wejściowym. - Widziałyście tę kartkę?

Łucka i Konkowa skinęły w milczeniu głową.

- Każdej chwili możemy być stąd wyrzucone. Zostawili nas na razie chyba po to, żeby dom był ogrzany, gdy zjawia się nowi lokatorzy.

- A dostarczyli przynajmniej koksu? - spytała trzeźwo

Łucka. - W piwnicach kamienicy przy Świętojańskiej niemieccy lokatorzy zgromadzili koksu na cały rok.

- Tak - potwierdziła pani Helena. - Tego samego dnia, kiedy naklejono tę kartkę, marynarze przywieźli całą platformę koksu. Ależ proszę usiąść! - zawołała, podsuwając Łucce i Konkowej poszarzałe od kurzu fotele. Pokój, lśniący zawsze czystością, nie był chyba sprzątnięty od długich tygodni.

- My tylko na chwileczkę - sumitowała się Łucka, przysiadłszy na brzegu fotela. Splatała i rozplatała palce. Powrócił jej nagle dawny sposób bycia i dawny, zawsze skrępowany ton rozmów z panią Heleną, gdy przydźwigawszy do jej Pawilonu kosz ryb, czekała na zapłatę. Pamiętała jeszcze dudnienie swoich bosych pięt o drewniane schodki przed werandą, stąpanie po lnianym chodniku ku kontuaro- wi i zawsze to samo objawienie, jakim była dla niej piękność i obcość tej kobiety, wyczuwalna mimo jej dobroci, mimo wdzięczności, jaką musieli mieć dla niej. - My tylko na chwileczkę - powtórzyła, opuściwszy głowę.

- Ależ dlaczego? - zaprotestowała pani Helena. - Tak się cieszymy, że jesteście. Wciąż tylko ze sobą rozmawiamy. Już nie mamy o czym.

- O Boże! - odezwała się nagle Marynka. - Same baby!

Patrzyły na siebie, jakby widziały się po raz pierwszy. Zapadła cisza, którą dopiero po bardzo długiej chwili przerwała Weronika.

- Jak w każdą wojnę - powiedziała.

Pani Helena sprawdziła, czy zaciemnienie okien jest szczelne, dopiero potem odwróciła się powoli.

- Tylko że właśnie dla kobiet ta wojna będzie trudniejsza od poprzednich.

Wisia objęła matkę za szyję.

- Ale skończy się niedługo. Zima szybko przejdzie. Jeśli nawet nas stąd wyrzucą, to przecież...

- Cicho bądź.

- Dlaczego? Wrócimy tu za kilka miesięcy. Najwyżej trzeba będzie kupić nowe meble. Nie mogłabym spać w łóżku, w którym...

- Cicho bądź! - podniosła głos matka.

- Chodź tu do mnie - przywołała Wisie Weronika.

Usiadła w fotelu i pociągnęła ją na swoje kolana. Wisia broniła się przed tym zawstydzona, ale Weronice udało się pokonać jej opór. Kołysała ją na kolanach jak dziecko.

Łucce ten widok wydał się przerażający. Mała Weronika trzymała w ramionach długie, nadmiernie w ciągu tej jesieni wyrosnięte ciało dziewczynki. Nogi Weroniki, zagłębionej w fotelu, nie dostawały do ziemi, ale nogi Wisi opierały się na dywanie, wysunięte daleko na środek pokoju. Nie przestawała nimi wierzczać, wciąż usiłując wydostać się z objęć Weroniki.

- Co ty sobie wyobrażasz? - krzyczała. - Za kogo mnie masz? To ja ciebie mogłabym wziąć na kolana! Chyba to widzisz?

- Widzę - mruknęła Weronika spokojnie. - Ale mnie to nie jest potrzebne.

- A mnie? - spytała Wisia ściszone nagle głosem. Przestała wyrwać się Weronice, oparła czoło o jej policzek.

- Same baby! - powtórzyła Marynka. Pochylona nad popielniczką, znalazła wreszcie niedopałek, który można było jeszcze włożyć w usta i zapalić bez obawy poparzenia.

- Straszne! Same baby!

- My już pójdziemy - Łucka uniosła się z fotela.

- Ach - roześmiała się cierpko panna Blok - niech pani tego tak nie rozumie. Czasem wydaje mi się, że wariuję. Tyle miesięcy i żadnej wiadomości. Wciąż zadaję sobie pytanie, na jakich przesłankach buduję swoją nadzieję. Ci, którzy poszli do niewoli, przysłali kartki z obozów jenieckich. A od Włodka nie ma żadnego znaku życia...

- Ludzie na Helu mówią... - zaczęła Konkowa, a Marynka wpiła w jej twarz rozbłyśniętą czujnością spojrzenie.

- Co? Co mówią? - zapytała bez tchu.

- ... że powiodło się kilka ucieczek do Szwecji. Kiedy jeszcze bitwa trwała i w czasie kapitulacji...

Marynka wrzuciła niedopałek do popielniczki, dopadła Konkowej, chwyciła ją za rękę.

- Kochana pani! Złota moja! Niech mnie pani skontaktuje z tymi ludźmi. Może coś wiedzą? Może słyszeli nazwisko...

- Ja sama pytałam - powiedziała Konkowa powoli, szukając odpowiednich słów dla złej nowiny. - Bo przecież my Wołodię... od tylu lat... Nie było prawie dnia, żeby kapitan nas nie odwiedził. Nawet do mnie zachodził na piąte piętro... "Ale garsoniera!" mówił. Tak zawsze mówił o tym moim piątku...

- To nic! To nic, że pani pytała - przerwała jej Marynka, wciąż potrząsając ją za rękę. - Trzeba pytać bezustannie, przecież nie od razu trafi się na ludzi, którzy coś wiedzą. Ale na takim małym kawałku ziemi... na takim małym kawałku powinien ktoś, choćby ktoś jeden... Nie zna tam pani nikogo?

- Nie znam. Wstyd się przyznać, to od nas tak blisko, tylko przez zatokę, a nieczęsto się tam jeździło. Co innego mężczyźni. Gdyby Bernard żył...

Łucka dotknęła ramienia matki. Zbliżała się godzina policyjna, a przypomnienie śmierci stryja rozpoczynało zwykle długą rozmowę o rozstrzelanych w Piaśnicy. Nieobecni mężczyźni - w Gdyni, wśród gdańskiej Polonii, w Wejherowie i Pucku, w Kościerzynie i Kartuzach, we wsiach i osadach Pomorza - dzielili się teraz na tych, którzy zaginęli bez wieści, i tych, o których wiedziało się, że żyją

i wróć, i na tych wreszcie, co do których miało się okrutna pewność, że nie wróć nigdy. Bernard należał do tych ostatnich. Skromny za życia, nabrał teraz nawet w oczach bratowej tej ważności największej, jaką pamięci po człowieku przydaje bohaterska śmierć. Bo gdyby się nie upierał przy tym "a" na końcu swego nazwiska, mógłby spokojnie siedzieć w starym domu Konków i może nawet dla Krzysztofa znalazłoby się w nim bezpieczne miejsce. Ale jak człowiek ma coś zapisane w metryce, to już raz na zawsze i nie ma dla niego ratunku, chyba że duszę by swoją zaprzedał, a Bernard nie należał do takich, co by się duszy swojej wyrzekli.

Konkowa nie pozwoliła sobie przerwać. Strzepnęła rękę córki ze swego ramienia i odsunęła się od niej.

- Gdyby Bernard żył - zwróciła się znów do panny Blok - pojechałby na Hel. Zasięgnąłby wśród ludzi języka.

- A przecież my... - Marynka nie dawała, za wygraną - my także możemy tam pojechać...

- My? - zdumiała się Konkowa. - To znaczy...?

- Pani i ja! - Marynka całowała ją po twarzy i rękach.

- Kochana, złota pani! Pojedzie tam pani ze mną?

- Pociągi Niemcy kontrolują - spieszyła się Konkowa

- trzeba mieć przepustkę...

- Ubierzemy się byle jak, zabierzemy puste kosze, wezmą nas za rybaczeki, które jeździły do Gdyni z rybą. Pani Konkowa! - W oczach Marynki zalśniły łzy. - Pojedzie pani ze mną?

- Mamo! - przypomnienie rybackich koszy zawsze budziło w Łuccie panikę. Szarpnęła matkę za rękaw. - Idziemy! Zaraz godzina policyjna.

- Pojedzie pani ze mną? - powtórzyła Marynka. Zagroziła Konkowej drogę, wczekując patrząc jej w oczy.

- Dobrze - powiedziała kobieta z wahaniem. - Niech pani jutro do nas wpadnie. Musimy to omówić.

- Jutro jedziemy do Krzysztofa - powiedziała Łucka, zbliżając się do pani Heleny, żeby się pożegnać. Patrząc na nią podczas całej przedłużającej się rozmowy matki z panną Blok i powoli zaczął ją ogarniać wstyd, podejrzenia, które żywiła, wydały się bezsensowne i uwłaczające przede wszystkim jej samej. Pani Helena miała tak znękaną twarz, że litość wydawała się jedynym uczuciem, jakie mogła budzić. Łucka zapragnęła nieledwie uściskać ją na pożegnanie, ale nie wiedziała, jak ta nagła serdeczność będzie przyjęta i czy nie wznieci w pani Helenie obawy, że żegna ją w ten sposób na bardzo długo. W drodze do drzwi zatrzymała się na chwilę i odwróciła ku niej głowę. - Może oni wcale tu nie przyjdą - powiedziała prawie z prawdziwą nadzieją. - Może wcale do tego nie dojdzie. Zajęli w mieście wiele mieszkań dla załóg okrętów podwodnych, które mają wejść do Gdyni. Ale może się coś zmienić. Może nie zdecydują się na wprowadzenie okrętów na Bałtyk. Bądź co bądź cieśniny duńskie... - Przypomniało jej się, że onegdaj mówili właśnie o tym Niemcy w firmie, nie krępując się jej obecnością. Postanowiła pocieszyć tym panią Helenę ale spostrzegła, że ta jej wcale nie słucha. W głębi pokoju Konkowa umawiała się jeszcze z panną Blok, Wisia wyrывała się znów z objęć Weroniki, a one obydwie stały przy drzwiach w ciszy, która zapadła po

zamilknięciu Łucki.

I nagle pani Helena powiedziała, chwytając ją gwałtownie za ręce:

- Ale jemu proszę nic nie mówić!

- Komu? - zapytała cicho Łucka. Czuła się jak po uderzeniu w piersi, w sam ich środek, w miejsce, w którym gromadziły się wszystkie udręki, zmieniając się nocami w głuchy, przewlekły ból. - Komu? - powtórzyła.

- Krzysztofowi. Niech nie wie o tej kartce na drzwiach. Niech się nie martwi.

- Niech się nie... martwi...

- Tak. Wiem, że bardzo by się tym przejął. Po co mu jeszcze to zmartwienie? Lepiej mu go zaoszczędzić. Niech myśli tylko o sobie. Tylko o sobie. Żeby przetrwał. Żeby przeżył!

- Po to wywiozłam go na wieś - powiedziała Łucka twardo. Odsunęła panią Helenę od siebie, żarliwość jej głosu, jej gorący oddech przyprawiała ją o zawrót głowy. - Po to wywiozłam go na wieś - powiedziała z naciskiem jeszcze raz. - I postarałam się, żeby go tam w gemeindeamcie zapisali na męża Anuli. I umieściłam go w domu jej rodziców. Wszystko po to, żeby przeżył. Bo żeby przeżyły dzieci i ja, muszę martwić się sama.

- Ale wam na szczęście nic nie grozi - szepnęła pani Helena. Patrzyła na Łuckę zdumiona.

- A skąd można wiedzieć, co komu grozi? I komu najpierw? I komu bardziej? Dobrze, jeśli pani nie chce, nie powiem mu o tej kartce na drzwiach.

- Sądzę, że tak będzie lepiej.

- Oczywiście.

- Proszę go tylko ode mnie pozdrowić!

- Zrobię to. Dziękuję.

- I proszę przyjsć, jak pani od niego wróci. Proszę przyjsć koniecznie i opowiedzieć, jak mu tam jest... czy sobie radzi... Bo, zdaje się, pracuje w... stajni?- spytała pani Helena struchlałym głosem.

- W stajni - potwierdziła Łucka. I dodała: - W majątku pana Laubnitza. Pan Laubnitz bardzo dba o konie, więc i ludziom, którzy przy nich pracują, nie jest źle! Mógł trafić gorzej.

- Mógł trafić gorzej... - powtórzyła pani Helena, ale w widoczny sposób jej to nie pocieszyło. - Może głoduje?

- zapytała. - Bo mamy trochę zapasów...

- Nie głoduje - przerwała jej Łucka. - Mamo! - zawołała zaraz. - Mama naprawdę chce, żeby zatrzymał nas na ulicy patrol i żeby wlepili nam po trzydzieści pałek na żandarmerii. Trzydzieści pałek na goły tyłek. - Mówiła głośno, ordynarnie, w gardle czuła łzy. Zdołała je jednak powstrzymać. Nie rozpłakała się także na ulicy, choć mogła w mroku ukryć twarz, choć od razu poza bramą ogrodu Tereszków wyprzedziła matkę i dla uniknięcia rozmowy szła kilka kroków przed nią. Konkowa ją jednak dogoniła.

- No widzisz - powiedziała pogodnie - że ubzdurałaś sobie to wszystko. Jakżeby teraz, w taki czas... rozsądni ludzie...

- Mamo! Czy musimy o tym mówić? - krzyknęła Łucka.

- Nie musimy, jeśli nie chcesz. To dobrze, że się wstydzisz swoich głupich myśli. Powiem ci, że i mnie było wstyd przez cały czas, jak patrzyłam na panią Helenę, wstyd mi było, że musiałam aż przyjść i spojrzeć na nią, żeby się przekonać, że teraz takie 'rzeczy ludziom nie w głowie.

- Niech się mama pospieszy! - krzyknęła Łucka.

- Zdamy. Już szybciej nie mogę. Więc mówię ci, że mi było wstyd. I żal. Bo co z tego, że piękna jak zawsze? Co jej teraz po urodzie? Wszystkie troski na jej głowie i ani jednego chłopaka wokoło, żeby je odjął albo zmniejszył. A ona to przede wszystkim ceniła zawsze w mężczyznach. Przypomnij sobie: Lebrac dobudował jej drugą salę w Pawilonie, a Tereszko dom jej wystawił w najładniejszym miejscu Kamiennej Góry...

29-

- Mamo, co to mnie obchodzi?

- Tak mówię. Bo przy takim Tereszce kim jest dla przykładu twój Krzysztof? Nie mam nic przeciw niemu, uchowaj Boże, ale to nie on dla ciebie, tylko ty dla niego dom wybudowałaś, tak jak Tereszko dla swojej żony. Tego kobieta nigdy nie zapomina. Tej chwili, w której mężczyzna wprowadza ją do wzniesionego dla niej domu. Kiedy mnie Augustyn, twój ojciec...

- Mamo! - krzyknęła po raz drugi Łucka.

- Czy i to cię nie obchodzi? Twój ojciec darował mi tę piękną chwilę i nie zapomniałam mu tego, i szanowałam go za to do śmierci. Więc i ona tak myśli o Tereszce. I jest pewna, że do niej wróci, i jeszcze pieniędzy nawiezie z tej zagranicy, bo taki chłop jak on nigdzie nie siedzi z założonymi rękami. Ona o tym wie i czeka na niego, a jak czeka, to jej się nikt inny nie przywiduje, a już na pewno nie ten twój nieborak, którego wyrwała śmierci. Dobrze, że to zrozumiałaś.

- Zrozumiałam - powtórzyła Łucka cicho.

Konkova z trudem dotrzymywała jej kroku.

- Co mówisz?

- Mówię, że zrozumiałam.

- No, widzisz. Dobrze, że tam poszłyśmy. Bo byś się dalej trapiła swoją głupotą. Nie pędź tak, tchu nie mogę złapać.

- Nie pędzę - Łucka zwolniła kroku. Zwykle, wychodząc od Tereszków, schodziły w dół po zboczu i skręcały w lewo, żeby - nakładając drogi - wyminąć dom, w którym na Kamiennej Górze mieściło się gestapo. Teraz nie było na to czasu i oto znalazły się właśnie przed budynkiem z czarną wartą przy wejściu. Było coś ze złego snu w widoku tych dwóch nieruchomości, ostro od bieli śniegu odbijających postaci. Twarze ginęły w cieniu czapek, ale w złożonych na broni rękach czuło się natychmiastową gotowość do gestów, które poznało już to miasto. Łuckę jednak przeraziło coś innego. Przeraziło ją to, że się nie bała. Udręka, którą niosła w sobie, udręka podwójna, bo zatajona nawet przed matką, uodporniała ją w jednej chwili na wszystko, co mogło przyjść z zewnątrz. Była nawet w tym jakaś ulga, groźna i bolesna,

ale jednak ulga, odczuwała ją w sposób wyraźny i przejmujący. Nic nie wiemy o ludziach, myślała ze zdumieniem. Nic nie wiemy o ludziach. Ani o sobie.

- Przyniosłem ci białe rękawiczki! - zawołał Laubnitz.

Szedł między dwoma rzędami końskich boksów w swojej zniszczonej wojskowej kurtce, należącej do uniformu armii cesarza Wilhelma, w jasnych bryczesach i wysokich butach, w których wydawał się wyższy, niż był - stary, ale wciąż jeszcze zwinny i lekki jeździec, stary oficer. - Hej, ho! Jesteś tam? - zawołał głośniejszym głosem. - Przyniosłem ci białe rękawiczki! Krzysztof wysunął się wreszcie z cienia między ostatnim boksem a ścianą stajni.

Spędzał tu najlepsze chwile w ciągu dnia. We względnym spokoju, w ciszy, w usypiającej woni siana, która przypominała mu dzieciństwo na wsi, czas sianokosów, wieczory na łące. Brunon Pawliszek - drugi stajenny, z którym zaprzyjaźnił się łatwo, choć był o wiele od niego młodszy, właściwie niedorostek jeszcze, uważający pracę przy koniach za zaszczytny awans po dotychczasowych, sumiennie wykonywanych obowiązkach w dworskiej chlewni - nie przeszkadzał mu w tych chwilach, sam zresztą pozwalając sobie na popołudniowe drzemki w dobrze wymoszczonym sianem żłobie "Meteora", chluby polczyńskiej stajni.

- Jestem - odezwał się Krzysztof bez pośpiechu, usiłując nadać swojej twarzy wyraz, który powinno się mieć podczas gorliwej pracy, jakiej wymagali Niemcy. Miejsce u Laubnitza było najlepszym z możliwych w tej wsi. Gdyby go stąd zwolniono, musiałby chodzić osiem kilometrów dziennie - po cztery w każdą stronę - do Luftwaffewerke w Pucku, gdzie zapewne bardziej dokładnie przyglądano się papierom zatrudnionych ludzi, niż to czynił Laubnitz.

- Przyniosłem ci białe rękawiczki - powiedział dzie-dziec jeszcze raz. - Mamy gości. Tylko żebyś starannie pozapinał guziki. Bo podczas ostatniej wizyty nie zrobiłeś tego.

- Dobrze, proszę pana - rzekł Krzysztof. - Pozapi-nam starannie guziki.

Laubnitz przez chwilę patrzył na niego; to, że Polak powtarza za nim całe zdania, już nieraz wydało mu się nie tylko posłuszeństwem. Ale nie miał czasu, może także i ochoty - w końcu wojna została wygrana - zastanawiać się nad tym.

- Przyjeżdża pan hauptmann Wacholz z żoną - do-dał. - Pewnie zechce zobaczyć "Meteora". Wyczysz-czony?

- Jak zawsze. Czyścimy konie nie tylko wtedy, kiedy mają być goście.

- No, no - stary pan uśmiechnął się - nie masz się co obrażać. Tak tylko powiedziałem. Miał słabość do nowego Polaka. Szczycił się nim przed gośćmi, że tak poprawnie mówi po niemiecku i tak dobrze wygląda, gdy na wybiegu oprowadza konie.

- Kiedy wyprowadzić "Meteora"?

- Mniej więcej za godzinę. Ale dam ci jeszcze znać. Może hauptmann Wacholz się spóźni, jego żona jest w odmiennym stanie, a panie w takich okolicznościach bywają kapryśne.

- Koń będzie gotowy.

- Włóż rękawiczki.

- Tak jest, proszę pana, włożę rękawiczki.

Stary Laubnitz znów badawczo spojrział na Polaka. Tym razem pomyślał, że powtarzanie jego rozkazów jest podkreśleniem ich zrozumienia. Wydało mu się to nadmierną gorliwością.

Oprowadzanie koni przed gośćmi nie należało do najłatwiejszych zajęć Krzysztofa. Prace w stajni przy zwierzętach

- jakoś znosił, nie wydawały mu się poniżające, dopiero obecność ludzi, tych ludzi, upokorzała go we własnych

2 - Tak trzymać t. III 33

oczach, rodziła nierozumne pragnienie, żeby nie godzić się potulnie na ich rozkazy, wyjawiać im, kim jest, powiedzieć, że walczył z nimi, że nie poddał się bez walki. Pragnienie to było niekiedy tak silne, że przyjmował je nieomal jak powinność i tylko myśl o tych, których kochał, powstrzymywała go przed jego spełnieniem.

• Bo goście dziedzica Połczyna należeli przeważnie do starej szlachty niemieckiej zorganizowanej znakomicie podczas polskiego dwudziestolecia w ReiTeisenverband, co wyrażało się nie tylko kultywowaniem tradycji pruskich ziemian, ale także i prawem do przydziału nawozów sztucznych z Rzeszy, którymi zasilano obficie pozostające wciąż w niemieckich rękach ziemie polskiego Pomorza.

Szczęki zwierzały mu się z bezsilnej wściekłości, gdy dowiadywał się coraz to nowych szczegółów tej przedziwnej polityki, jaką Polacy zastosowali na odzyskanym przez siebie wybrzeżu, w miejscu tak newralgicznym, tak narażonym na niebezpieczeństwo. Bał się, że zdradzi go wyraz twarzy, drganie zaciśniętych ust, spojrzenie, któremu nie mógł nakazać obojętności i pokory.

Najgorsze były jednak odwiedziny hauptmanna Wacholza - pragnął zapaść się wtedy pod ziemię, utracić pamięć i zdolność myślenia.

Wacholz był zięciem właściciela sąsiedniego majątku.

Przyjeżdżał do Połczyna w mundurze Wehrmachtu, a ludzie znali go tu jako rotmistrza polskiej kawalerii, w którym na jakichś wyścigach konnych zakochała się brzydka, ale bogata panna Stammfeld. Rotmistrz Wacholz, wychowanek podchorążówki w Grudziądzu, zachował mimo zmiany armii ten sam stopień - nosił teraz mundur hauptmanna, choć nawet Polacy uważali, że należał mu się awans za zadania, które miał do wykonania i które niechybnie wykonał.

Dostanie go przy najbliższej okazji - myślał Krzysztof, patrząc na dystynkcje zdobiące mundur oficera. Był tak napięty wewnętrznie, że nie zdołał zastanowić się nad tym, co by to mogła być za okazja. Styczniowy wiatr, pędzący od morza śnieżne chmury, przewiewał go do szpiku kości.

Płaszcz by go przed nim osłonił, ale nie mógł włożyć płaszcza

- rytuał oprowadzania koni po wybiegu wymagał, aby miał na sobie kurtkę z błyszczącymi guzami, na których widniał ponoć herb Laubnitzów. W dodatku były rotmistrz uważał się za znawcę koni, parada na wybiegu nie trwała nigdy krótko, dziś mogło ją skrócić tylko złe samopoczucie jego małżonki, która - bardzo już ociężała, w nie dopiętym na brzuchu futrze - przez cały czas mu towarzyszyła.

- Mój drogi - mówiła, wpatrując się w męża z tym samym chyba zachwytem, z jakim spojrzała na niego po raz pierwszy podczas owych pamiętnych wyścigów - jeśli zdecydujesz się pojechać, to tylko na "Meteorze".

- Marzyłbym o tym - powiedział uprzejmie właściciel konia. Podniósł futrzany kołnierz szuby, którą nosił zwykle w czasie zimowych polowań, a która wydała mu się najodpowiedniejsza na tę pogodę.

Wacholz zrobił ruch, jakby miał zamiar uczynić to samo. Opanował się jednak i jeszcze bardziej wyprostowany nadstawił twarz na uderzenia śniegu i wiatru. Może nie chciał psuć linii swego pięknego oficerskiego płaszcza, który nosił nie jak uniform, ale jak kostium teatralny. Było w ogóle coś nieodparcie teatralnego w niemieckiej armii, przynajmniej jak długo zwyciężała. Krzysztof zauważył od pierwszej chwili zetknięcia się z Wehrmachtem w Babich Dołach, że dla żołnierzy w mundurach feldgrau wojna była przede wszystkim wielkim przedstawieniem, w którym uczestniczyli z satysfakcją podziwianych aktorów. Och, jakże pragnął zobaczyć ich w odwrocie, w jenieckiej kolumnie, w haniebnym dla żołnierza momencie rzucania broni na rosnący stos. Czy zachowaliby wtedy swoje gesty i pozy? Czy wyreżyserowane one zostały tylko dla zwycięstwa? Faszyzm był okrutną ideą, ale dla umysłów zbyt słabych, żeby zgłębić jej sens istotny nie dla jednego narodu, ale dla ludzkości - efektywność spektakl' znaczyła więcej niż prawdziwy "stan kasy", którą - być może - zechce ktoś kiedyś podliczyć. Na razie jednak - Krzysztof musiał to przyznać ze ściśnięciem serca - widowiskowa strona idei była opracowana bardzo starannie.

- Ten koń - odezwał się wreszcie hauptmann Wacholz ze skromnością zbyt manifestowaną, aby mogła być prawdziwa - nie będzie miał na wyścigach w Sopotach żadnej konkurencji. I dlatego wszystko jedno, kto na nim pojedzie. Doprawdy wszystko jedno...

- Heini, kochanie - żona wiedziała, że powinna w tej chwili nie zgodzić się z nim i udowodnić, że nie ma racji.

- Wiesz dobrze, że nasze wyścigi różnią się na szczęście od upokarzających te piękne zwierzęta gonitw, na których liczą się tylko pieniądze. Na takich gonitwach oczywiście wszystko jedno, kto jedzie na koniu, wystarczą środki podniecające...

- Zabiłbym tego, kto by je podał "Meteorowi" - powiedział hauptmann.

- No więc widzisz, że powinienes sam na nim pojechać.

- Hm...-Laubnitz spostrzegł ze zdumieniem, że nie był brany pod uwagę w tej rozmowie - skądże środki podniecające w mojej stajni? Kto by je miał dać "Meteorowi"? I po co? Obydwa, pan... - skłonił głowę przed hauptmannem, nie za nisko jednak, akurat na tyle, na ile zezwalał mu wobec gościa własny stopień podpułkownika w stanie spoczynku

- i ja wierzymy tak samo, że "Meteor" ma wielkie szanse w wiosennej gonitwie.

- Jasne - potwierdził hauptmann. - Ale na wiosnę... mogą być trudności.

- Co ty mówisz, Heini? Jakie trudności? - Pani Wacholz zaplotła dłonie na wystającym spod nie dopiętego

futra brzuchu. Oczy jej stały się okrągłe jak oczy kury. - Nie strasz mnie, bardzo cię proszę.

- Wcale cię nie straszę. Ale wiesz przecież... - eks-rotmistrz Wacholz zerknął ku Polakowi, który krążył z koniem po wybiegu. - Mówiliśmy o tym w domu

dostatecznie często - dokończył ze zniecierpliwieniem.

- Ale zawsze prosiłam, żeby o tym przy mnie nie mówić.

- Kochanie! To będzie także trwało bardzo krótko.

Do Krzysztofa dochodziły poszczególne zdania tej rozmowy. Ostatnie - może nawet przeznaczone dla niego

- zabrzmiało prawie donośnie.

Przechodząc przed ławką, na której siedział Laubnitz ze swoimi gośćmi, widział ich z bliska, miał w odległości wyciągniętej ręki zdrajcę, któremu należała się kula w łeb, a któremu nie mógł nic zrobić, nawet spojrzeć w oczy tak, żeby mógł z nich coś wyczytać. Dla niego czyścił zad i boki "Meteora", żeby błyszczały jak najlepszy atlas, dla niego szczotkował grzywę i ogon. Falowały teraz puszyście na wietrze, a hauptmann Wacholz, a rotmistrz Wacholz, zmrużywszy oczy, przyglądał się koniowi z lubością.

Czy był naprawdę zdrajcą? Krzysztof musiał zadać sobie w końcu to pytanie. A może był patriotą niemieckim, wypoczywającym teraz po ofiarze i znakomicie spełnionym zadaniu, a zdrajcami trzeba by nazywać tych, którym zabrakło czujności, którzy w swojej armii tolerowali szpiegów? Czy głupota i zadufanie w sobie nie były także zdradą? Wyobraził sobie, że mógł być podkomendnym Wacholza, w oczach mu pociemniało, szarpnął koniem, boleśnie zacisnął uzdę przy jego pysku.

"Meteor" przyjął to ze zdumieniem. Gwałtownie podrzucił głowę. Zarżał.

- Uważaj! - zwrócił mu uwagę Laubnitz. Nie podniósł nawet głosu. Miał wyraźną słabość do Polaka.

Ale zakochany w koniach rotmistrz, a teraz hauptmann Wacholz, nie był skłonny do równie łatwego pobłażania. Przywołał Krzysztofa skinieniem ręki.

- Heini - poprosiła żona. - Wiesz, że jestem... że przy mnie...

- Uspokój się, kochanie - powiedzą! ze wzrastającym zniecierpliwieniem. - No, chodź, chodź! - zwrócił się do Polaka. - Chodź tu bliżej!

Jeśli mnie uderzy, myślał Krzysztof, będę musiał mu oddać i wtedy mnie chyba zastrzeli, na pewno ma przy sobie broń i zastrzeli mnie, nic innego stać się nie może. Jednym skurczem serca pożegnał się ze wszystkimi, dla których chciał żyć, gdyby mógł, gdyby nakazujący mu znośnięcie upokorzeń rozsądek nie doszedł do granicy, poza którą musiał utracić swoją władzę...

- Chodź! - przywoływał go Wacholz.

Krzysztof zbliżał się powoli, słyszał plaśnięcia kopyt końskich o zamrażającą ziemię, krakanie wron na wysokich topolach wokół pobliskiego stawu. Jeśli mnie uderzy...

- myślał.

- Człowieku! - zaczął Wacholz. - Takiego konia jak "Meteor" trzeba traktować ze specjalną uwagą. Ze zrozumieniem, a nawet czułością. Konie mają w ogóle wysoce wykształcony zmysł sprawiedliwości. Karczone bez powodu

czują się krzywdzone i buntują się, co jest najlepszym potwierdzeniem ich wysokiej klasy. Rozumiesz to?

- Tak. Buntują się, co jest najlepszym potwierdzeniem ich wysokiej klasy.

Dlaczego on wciąż powtarza całe zdania? - zatrwożył się nie wiadomo dlaczego Laubnitz. Wydało mu się, że to coś znaczy, że to musi coś znaczyć. Wacholz nie zwrócił jednak na to uwagi.

- I tylko ludzie - ciągnął dalej z groźnie łagodnym spokojem - którzy sami mają tę klasę... którzy sami... Chodź tu bliżej! - krzyknął.

- Heini! - szepnęła żona.

- Przestań mi wciąż zwracać uwagę!

- Nie pozwalam ci! - pisnęła. - Przy mnie... teraz...

- No, dobrze - powiedział, ale nie było to skierowane do niej. Nagle jakby go wszystko przestało interesować.

Znudzonym wzrokiem objął postać Polaka. Polak - nawet zasługujący na naganę - nie był w stanie zająć go na dłużej. Co innego koń... Ale i konie nie podniecały go jak dawniej, skoro nie było w bliskiej perspektywie żadnych wyścigów i sportowych emocji. Wiosna, pomyślał i znowu miał ochotę podnieść kołnierz. Wiosna... Nie wiedział, czy przerażał go ten termin, czy go oczekiwał. Na razie nudził się, żołnierze zawsze nudzą się podczas wygranej wojny... Dlaczego pomyślał: podczas? Co za głupie słowo! Po wygranej wojnie, powinien był pomyśleć. Ale tylko ten jeden kawałek, ten jej polski kawałek był już wygrany. Lecz czy nie powiedział przed chwilą tej głupiej kobiecie, którą pojął za żonę, czy nie powiedział jej, że to będzie także trwało bardzo krótko?

Miała niechęć do niej wzrastała w nim po każdym jej odezwaniu, po każdym spojrzeniu, które na nią kierował.

W dodatku znowu była w ciąży! Trzech chłopców, których mieli, mogłoby wystarczyć nawet fuhrerowi. - Wynos się!

- powiedział do Polaka. - Wynos się stąd jak najprędzej!

- Odprowadź konia do stajni - rozkazał Laubnitz z wyczuwalną ulgą.

- Krótko to dzisiaj trwało - zdziwił się Bruna, gdy Krzysztof wprowadzał "Meteora" do boksu.

- Krótko - odparł, pokonując suchość gardła.

- Dlaczego? Stało się coś?

- Nie. Nic.

- Bo... jak spojrzałem na ciebie, pomyślałem...

- Nic się nie stało. Jeszcze dziś nic się nie stało.

Do stajni wszedł stary Cygier, obsługujący dworskie maszyny - dziadek Bronk, jak go tu wszyscy nazywali.

Przysiadł na odwróconym do góry dnem żłobie, wyjął z przepastnej kieszeni spodni kapciuch z tabaką, nasypał jej na wierzch dłoni, pociągnął, a potem czekał przez chwilę na serię kichnięć potężnych i donośnych, od których konie płoszyły się w swoich boksach.

- Ja także - powiedział, wytarłszy nos w kraciastą chustę - kiedy ten Wacholz przyjeżdża, czuję się przez cały czas, jakby mi ktoś dał w pysk.

Krzysztof gwałtownie potrząsnął głową.

- Nie mówmy o tym.

Dziadek Bronk spojrzał na niego uważnie. We wsi

sądzono, że ma nie po kolei w głowie - dziwak był, mrucał

coś wciąż do siebie, w domku, w którym mieszkał samotnie na skraju wsi, gromadził jakieś śrubki, zawory, łańcuchy, butle z różnego rodzaju kwasami i olejami, kawałki starej uprząży - ale czasem potrafił spojrzeć tak, że widziało się w nim wszystko poukładane bardzo starannie i bardzo po kolei, i powiedzieć potrafił coś, czego nie powiedziałby nikt inny we wsi.

- Tak, nie mówmy - powtórzył - ale każdy po to ma głowę, żeby myślał. I jak długo myślenie jest jak należy, tak długo oni nas do końca nie mają.

- Co to znaczy: do końca? - spytał Bruna.

Dziadek Bronk zwrócił ku niemu powoli głowę.

- Wszystko ma początek i koniec, tylko Pan Bóg podobno nie, ale to już nie moja sprawa. I to, co w człowieku jest, co w człowieku jest człowiekiem, też ma swój początek i koniec. Zrozumiałeś?

- Nie - powiedział Bruna.

- Jeszcze zrozumiesz.

- Zadałeś koniom siana? - spytał Krzysztof. Pragnął i bał się tych rozmów. Wciąż powtarzał sobie, że musi być nieufny i czujny, nawet gdyby miało to kogoś krzywdzić.

- Zadałeś?

- Tak.

- To na razie fajrant.

- Fajrant! - rozpogodził się chłopak. - Matka dostała skądś oleju i-mają być dziś placki kartoflane.

- No to się śpiesz! - uśmiechnął się do niego Krzysztof.

Lubił chłopaka, nieraz myślał, jak inaczej wyglądałaby jego praca, jego pobyt tutaj, gdyby pracował w stajni z kimś innym. - Śpiesz się! - powtórzył.

Bruna mieszkał z matką po drugiej stronie stawu w małym domu, który kupiła na własność po śmierci męża za odszkodowanie, wypłacone za tę śmierć podczas wyrębu państwowego lasu. W żałobie pocieszała ją więc niespodziewana radość posiadania - stała się nagle gospodynią, jak inne w tej wsi, nie siedziała już na komornem, w kościele pchała się przed sam ołtarz, tylko modlitwy jej się myliły: ta wciąż pełna żalu, niepokorna wobec wyroków boskich

- z dziękczynną, chwającą szczodroблиwość Pana. Z pensji, jaką otrzymywała po mężu, syna wychowała jak należy, nawet do gimnazjum w Pucku zaczęła go posyłać, ale nie miał głowy do nauki, więc dokupiła pięć morgów pola i gospodarzyli na nich spokojnie do wybuchu wojny we dwoje, matka i syn, bardziej sobie bliscy niż matka i syn w domach, z których nikt nie ubył, z których nikogo nie zabrała śmierć. Krzysztof podczas pierwszej bytności u Pawliszków od razu to wyczuł. Tę nadmierną, bezustannym lękiem podpalaną miłość matki, tę wzajemną zawisłość, którą chłopcy w wieku Bruny zrywali brutalnie, a on by bez niej żyć nie umiał i nie chciał, i nie mógł.

- Śpiesz się! - powtórzył Krzysztof, gdy chłopak zatrzymał się jeszcze przy którymś z końskich boksów. Wiedział, jak matka czeka na syna.

Na niego czekała Anula. Opuściwszy podwórze dworskie, zobaczył ją na dróżce przy stawie, którą zwykle wracał do domu. Anula także pracowała z Laubnitzów, nie w gospo-

darstwie jednak, ale "na pokojach", do czego przyczyniła się jej miejska praktyka w Gdyni. Tak orzekła pani Laubnitz, biorąc ją do sprzątania we dworze, do woskowania podłóg i ścierania kurzu z mebli, książek i tych wszystkich dziwnych rzeczy, które państwo (Anula nie mogła obyć się bez tego słowa) przywieźli z Afryki, gdzie pan dziedzic przez wiele lat służył w wojsku. - Mam praktykę w mieście - powtarzała nieraz.

Teraz czekała na niego przy stawie, choć mogła przyjść do stajni albo spotkać się z nim na podwórzu czy w bramie. Uchodzili tu za małżeństwo i byłoby całkiem naturalne, że razem wracają do domu. Ale wolała czekać tutaj, wciąż onieśmiewiona tą dziwną sytuacją, do której, mimo upływu kilku miesięcy, nie zdołała się przyzwyczaić.

- Chciałam panu przypomnieć - powiedziała, gdy się zbliżył - że dziś przyjeżdża pani z panią gospodynią. Bałam się, że pan pójdzie do Pawliszów i zapomni o tym.

- Pamiętałem. Jakżebym mógł zapomnieć. Ale ty o czymś zapomniałaś. Jak mam na imię?

- Krzysztof.

- To dlaczego tak nie mówisz?

- Ale to przy ludziach - broniła się Anula, spuszczaając oczy. - A jak jesteśmy sami...

- Wszystko jedno, przy ludziach czy jak jesteśmy sami, masz mi mówić po imieniu. Prędzej się przyzwyczaisz, jak będziesz zawsze mówiła jednakowo.

- Tak, proszę pana.

- Anula!

- Tak, Krzysztof.

Zarumieniła się, patrzyła spłoszona spod opuszczonych rzęs. Krzysztofa ogarniało przerażenie: jego życie zależało od rozsądku, czujności i przebiegłości tej małej, nawet podczas spokojnego czasu nie nazbyt rozgarniętej służącej. Był teraz - tu, w tej wsi, i na tę zimę wojenną - jej mężem. Wszyscy wiedzieli - także pan Laubnitz - że przywiozła go sobie z Gdyni, gdzie był do wojny robotnikiem w porcie, że ich ksiądz stułą przedtem związał, zanim go wcisnęła pod stertę pierzyn w domu swoich rodziców.

Gdyby to był inny czas i gdyby metryka ślubu, służąca za wszelkie zaginione dokumenty, była prawdziwa, Anula szczyciłaby się nim zapewne przed dawnymi koleżankami. Ale że to wszystko było na niby - nie na to "niby" wesołe i beztrudne z dawnych przebiegów w zapusty, ale wojenne - i groźne - w oczach Anuli nie widział triumfu, tylko pomieszenie albo tępy, obojętny strach.

Co ranka przypominał jej reguły gry, która z początku wydawała się jej prawie zabawą, ale z upływem czasu stawała się pojętym wreszcie, trudnym obowiązkiem wobec dawnych chlebobawców, do których miała zamiar wrócić po wojnie i chyba nie za piętnaście złotych miesięcznie, ale na pensję podwyższoną stosownie do jej zasług. Widział te myśli w jej oczach, gdy skwapliwie powtarzała lekcję. Bardzo chciała sprostać swemu zadaniu.

- Może jakie dobre nowiny będą - powiedziała cicho, a on zrozumiał, jak bardzo pragnie, żeby się to skończyło, żeby nie musiała się bać, żeby nie musiała każdej chwili pamiętać, że już nie jest Dyszków najstarszą, szukającą sobie

chłopaka w swojej wsi dziewczyną, której wszystko wolno i wszystko przystoi.

- Nie będzie dobrych nowin - odparł i pomyślał: Teraz dobre nowiny ma tylko hauptmann Wacholz.

- Nie? - zmartwiła się. - Dlaczego?

- Za wcześnie na dobre nowiny.

- Już styczeń!

- I co z tego?

- Niedaleko do wiosny. A na wiosnę miało się ruszyć...

, - I ty to wiesz!

- Wszyscy wiedzą. I mówią o tym. Każdy ma dobre nowiny.

I było tak naprawdę. Każdy, kto skądś przybywał - z sąsiedniej wsi czy z miasta, z drugiego obejścia nawet - przynosił jakieś wieści. A że złymi się nie chwalono, pozostawały tylko dobre. Do Dyszków przyniósł je tego popołudnia Alojz Szwenk, hofsmaurer we dworze, którego Laubnitz wysłał po jakieś gospodarskie sprawunki do Pucka. Wrócił nie tylko z puckim piwem. Zastali go nad miską dymiącej grochówki, a byle kogo i bez powodu nie goszczono tak w skąpy wojenny czas.

- W Tempczu słuchają radia! - powitał Krzysztofa triumfalnie.

Nie zapytał gdzie, u kogo - nie zrobił tego także nikt z Dyszków. Rodzice Anuli, a nawet jej młodszy brat Józefek, choć w szkole uważano, że ma ciężką głowę, wiedzieli dobrze, że o to pytać nie należy. I wiedzieli także, że to radio jest zagraniczne, choć mówiące polskim głosem. Niemieckiego można było słuchać od rana do nocy - wisiało na słupie przed gemeindeamtem i nawet nikt głowy ku niemu nie skręcał, przechodząc tamtędy.

Szwenk poprawił się w krzesło. Stały przed nim już dwie opróżnione butelki po piwie.

- Co nocy słuchają - dodał.

Krzysztof zrzucił z nóg drewniaki, które nigdy nie dały się oczyścić ze stajennego gnoju, i w grubych skarpetach z owczej wełny, zrobionych przez Anulę na drutach, podszedł do stołu. Odnosił się sceptycznie do tych wszystkich przekazywanych z ust do ust wojennych plotek, ale wiedział, że nie powinien tego okazać Szwenkowi. Był chrzestnym Anuli, za jego wstawiennictwem dostali oboje pracę we dworze, Laubnitz liczył się z nim, wyraźnie wyróżniał swego hofsmaurera wśród służby - i Alojz Szwenk przywykł do tego, że liczono się z nim wszędzie. Nie zapytał go jednak o nowiny. Ale gospodarze byli ich chciwi.

- I co? I co? - przynaglił Dyszk. I przed nim stały dwie butelki po piwie.

Szwenk odczekał jeszcze chwilę, zanim powiedział:

- Na wiosnę ofensywa!

Z najwyższych drzew we wsi widać było morze. W pogodne dni chłopcy, drąc do reszty połatane porcięta, wspinali się po pniach aż na ich szczyty i patrzyli na błękitne pasemko między ziemią a horyzontem. Wierzano, że to przyjdzie stamtąd. Może niekoniecznie z tego kierunku, nie od zatoki, może zza Krokowej, od Karwi, z Wielkiego Morza - ale na pewno z tej wolnej, niezmierzonej przestrzeni, w którą

odeszły polskie okręty, żeby się tu nie poddać, żeby cała Polska nie była pod wrogiem.

Czekano tu na nie każdego dnia, wyglądano ze szczytów najwyższych drzew.

Ci, co byli na dole, pytali tych w górze:

- Nic nie widać?

Jeśli nie było odpowiedzi, oznaczało to, że nie-że jeszcze nie dziś. Ale wszyscy wierzyli, że to będzie na wiosnę.

Drzewa okryją się świeżą zielenią, może nawet pączki będą miały dopiero, kiedy na horyzoncie ukażą się okręty...

- Ofensywa - powtórzyli cicho wszyscy domownicy

i Krzysztof wraz z nimi. W jednej chwili wyzbył się swego sceptycyzmu i poddał nadziei, nie pytając rozsądku, czy nie jest za naiwna albo zbyt pochopna. Chciał wierzyć, chciał, i to było najważniejsze, najlepsze. Mimo woli powiódł spojrzeniem po izbie i zaczęło mu się coś roić. Nie wypił jeszcze piwa, które i przed nim postawiono. Spojrzał na mężczyzn przy stole, licząc ich i przymierzając do bliskich zadań...

Drzwi uchyliły się nieśmiało, ukazał się w nich Teofil, najmłodszy syn Szwenka. Anuli policzki zapaliły się krwisto, spuściła oczy, głowę odwróciła do okna.

- Ojca szukam - bąknął speszony i tylko stary Szwenk me wiedział dlaczego.

- O! Jest jeszcze jeden żołnierz! - zawołał.

Myślał więc o tym samym - Krzysztof spojrzał na niego z sympatią, po raz pierwszy odczuta tak żywo. Myślał o tym samym! A miał w niewoli dwóch starszych synów, wszyscy o tym wiedzieli, także i Laubnitz. Dostali się do niej w Borach Tucholskich wraz z armią "Pomorze". Jeden z nich przysłał kartkę z oflagu, drugi ze stalagu, ojciec pokazywał je ludziom - nie tylko jego najmłodszy, ale i on sam mocno ścisnąłby w rękach broń, gdyby mu ją ktoś dał...

A Dyszk, ojciec Anuli? Nie miał jeszcze pięćdziesiątki

- wysoki, żylasty i silny. Służył podczas pierwszej wojny w niemieckim wojsku; do polskiego go nie powołali, kiedy wybuchła druga, ale nie zapomniał jeszcze na pewno, jak się strzela...

- Nie patrz tak! - szepnęła Anula. Bała się zawsze jego zamyśleń, wyrazu twarzy, tak bardzo innego niż ten, który nauczył się obnosić na co dzień; bała się, że z tych zamyśleń nie powróci w miejsce, gdzie teraz był, że odezwie się jakimś słowem nie do tych ludzi przed sobą, ale do tamtych ze swoich myśli... Traçała go zawsze wtedy w bok i teraz to także zrobiła. Żeby oprzytomniał, żeby przypomniał sobie, gdzie jest i z kim. - Nie patrz tak! - powtórzyła cicho.

- Znowu tak patrzysz przed siebie, aż się boję...

- Nie bój się - uspokoił ją łagodnie. - Teraz nie musisz się bać. - Liczył żołnierzy... Tych w izbie i poza nią. Bo Teofil, którego Dyszkowa sadzała właśnie przy stole w nadziei, że to on kiedyś będzie jej pradziwym zięciem, a także i Józefek Dyszk mieli przecież kolegów i przyjaciół w tej wsi. Gdyby ich skrzyknął, gdyby im powiedział, że przez siedemnaście dni był przy boku pułkownika Dąbka, na pewno nie odmówiliby mu swego zaufania... Dręczyło go poczucie winy wobec tych ludzi, że nieraz czuł się wśród nich obco, choć właśnie tu doszedł do pełnego zdrowia, odgradzony ich

życzliwością od wojennych niebezpieczeństw. Taka chwila jak ta zbliżała go jednak do nich bardziej niż wielomiesięczna zażyłość. - Nie bój się - powiedział do Anuli jeszcze raz.

- Słyszysz przecież, co mówi twój chrzestny. A jednak są dobre nowiny!

Anula zerknęła teraz ku matce, niespokojna, czy dla Teofila starczy jeszcze grochówki - zdołała sobie jednak coś przypomnieć:

- Pan Laubnitz mówi co innego.

- Jasne, że co innego - zgodził się dobrotliwie. Rozbie-rało go ciepło izby, gorące jedzenie, piwo dolewane przez Dyszka, a nade wszystko myśli, którym poddał się z ulgą.

- Chciałabyś, żeby mówił to samo co my?

- Ale pan Laubnitz ma zięcia gdzieś tam wysoko i byłam akurat na pokojach, kiedy dostał od niego list. Zawołał zaraz panią i cieszyli się obydwój, a mnie nawet potem uszczypnął w policzek...

- Na pewno w policzek? - spytał żartobliwie, wchodząc w swoje mężowskie prawa.

Anula spłonęła rumieńcem, ale patrzyła na Teofila, jakby to on miał prawo do tej nieufności. Czy powiedziała mu?

- zastanowił się Krzysztof. Nie powinien mieć do niej o to żalu, dziewczyny pragną mieć mężów, prawdziwych mężów, na całe życie, nie tylko podczas niebezpieczeństw wojny, nie mógł więc mieć do niej żalu, że o tym myślała. A jednak poczuł niepokój.

- W policzek! - potwierdziła Anula tak głośno, że wszyscy to usłyszeli, choć wiodła przyciszoną rozmowę tylko z nim. Zarumieniła się jeszcze bardziej, zła na siebie, że przyznała się kiedyś w domu do innych nawyków Laubnitza, który do pierwszej wojny, a ściśłe do momentu jej przegrania przez Niemcy, służył jako oberstleutnant w Kamerunie, w Deutschwestafrika, skąd najprawdopodobniej przywiózł nie przemijający z latami zachwyty dla pośladek damskiej służby bez względu na kolor jej skóry. - Pani była przy tym!

- dodała, żeby nie ulegało wątpliwości, iż tym razem, po liście od zięcia, figle starego podpułkownika były najzupeł-niej stosowne. - Obydwój się cieszyli i mówili, że niedługo się skończy.

- Co się skończy? - spytał Krzysztof powoli, choć dobrze wiedział, co mogło tak cieszyć starszych pań-stwa, że aż zrezygnowali z ostrożności wobec polskiej służącej.

- Myślę, że... wojna - powiedziała Anula ostrożnie.

Wiedziała, że takie sprawy nie są na jej głowę. Mężczyźni byli od tego, żeby rozprawiać o wojnie, przepowiadać jej losy

- kobiety im się tylko przysłuchiwały, ale teraz była prawie pewna, że we właściwy sposób odgadła przyczynę radości państwa ze dworu. Uśmiechnęła się jednak nieśmiało do Krzysztofa, bo zbyt szybko się zasępił, i od razu poczuła się temu winna. - A może źle zrozumiałam...? Nie umiem tak dobrze po niemiecku, a kiedy mówią szybko...

Przystąpił na to skwapliwie, ale nastrój sprzed chwili już się rozwiął. Był to czas gwałtownego przemijania radości i smutku, nadziei i chwytającego za gardło zwątpienia.

Trzeba było nie poddawać się tak łatwo ni jednemu, ni drugiemu

- ale tego jeszcze nie potrafił. Nikt tego jeszcze nie potrafił.

I może w ogóle nie było to możliwe.

Za oknami pociemniało, coraz gęstszy śnieg kłębił się w ostrych porywach ciągnącego od morza sztormu. Dyszko-
wa zaczęła szeleścić papierem, którym zasłaniała co dnia okna przed zapaleniem światła, a Łucka z matką szły już zapewne z dworca w Pucku do Połczyna - Krzysztof wyobraził sobie, jak targa nimi wiatr, jak śnieg sypie im w oczy; może powinien był, nie zważając na zakaz teściowej, wyjść im naprzeciw, ogarnęło go zawstydzenie, że za gorliwie jest temu zakazowi posłuszny, że nie chce mu się ruszyć spod pieca zwłaszcza teraz, gdy Alojz Szwenk, sięgnawszy po ostatnią butelkę piwa (tylko ono było jeszcze bez kartek), zaczął właśnie mówić o radiowym przemówieniu Churchilla, pierwszego lorda brytyjskiej Admiralicji. Dowodził chyba także i polskimi okrętami, skoro były w Anglii, wszystko więc w jego przemówieniu odnosiło się także do nich, do ich przyszłych zwycięstw, którymi miały wesprzeć potęgę morską sprzymierzonych.

Jeśli miało się do wyboru wierzyć Laubnitzowi, podpułkownikowi z nie istniejących od lat dwudziestu niemieckich kolonii w Afryce, albo pierwszemu lordowi brytyjskiej Admiralicji - namysł nie musiał trwać długo. Krzysztof rozpogadzał się znowu po każdym słowie Szwenka, nie zastanawiając się nad tym, ile jego własnej fantazji kryje się w tej powtarzanej z dziesiątych ust relacji. Pomyślał, że nie najgorszym schronieniem na wojenną zimę był ten zaciszny dom z ciepłym piecem i bliskimi ludźmi - czy zdoła im kiedyś wynagrodzić to, co zrobili dla niego? Choćby ten smutek, z jakim Teofil spoglądał ukradkiem ku Anuli w poczuciu śmiertelnego grzechu, nie wyznanego nawet na spowiedzi. Mógł go z niego rozgrzeszyć jednym słowem. Ale jeszcze nie teraz, pomyślał. Nie teraz.

- Znowu tak pan patrzy - szepnęła Anula - że się aż boję. Jest pan tu, a jakby pana nie było. Niech pan tak nigdy nie patrzy.

- Dobrze - przyrzekł pokornie. - Ale tym razem byłem tu. I nawet bardzo blisko ciebie.

- Już dawno powinny przyjść - powiedziała.

Dopiero po chwili zrozumiał, że mówi o Łucce i Konkowej. Zerknął na zegarek - tak, już od godziny powinny tu być. Nawet gdyby pociąg spóźnił się z powodu śnieżycy, na tak krótkiej trasie opóźnienie mogło być duże. A może Łucka przestraszyła się pogody, zdecydowała się zostać w domu, nie zobaczyć go tej soboty, odłożyć odwiedziny do przyszłego tygodnia? Nie, to było niemożliwe. Przez te wszystkie lata, które z nią przeżył, pozostała wciąż dziewczyną, gotową iść za nim na koniec świata.

- Wyjrzę na drogę - powiedziała Anula, wstając od stołu.

Zerwał się także.

- Pójdę z tobą.

- Nie! - przestraszyła się. - Pójdę sama. Pani mówiła wyraźnie, żeby pan nigdzie nie wychodził.

- Anula! - upomniął ją szeptem.

Nie odważyła się już mu sprzeciwić. Narzuciła chustkę na plecy, z gwoździa na drzwiach zdjęła pikowaną jaczkę, służącą teraz Krzysztofowi za zimowe okrycie. Nałożył ją

niechętnie, wyobraził sobie, że spotka Łuckę tuż za progiem, że zaraz pójdą do sąsiedniej izby, w której - choć nie opalana - zawsze mogli spędzić kilka godzin razem. Oczekiwał wieści z Gdyni, wciąż oczekiwał wieści najważniejszych - nie wiedział, co się stało z Wołodią i Sewerynem, wierzył, że się odezwą, że ukryli się gdzieś tak jak on, że wreszcie znajdą sposób, żeby się z nim skontaktować. Nie mógł już znieść tej izolacji, tego bezczynnego odosobnienia, był prawie pewien, że ani Wołodią, ani Seweryn nie pozwalają sobie na takie bierne czekanie, że tam, gdzie są, coś się dzieje wokół nich, poprzez nich - to właśnie chciał usłyszeć od Łucki, to miała mu któregoś dnia powiedzieć, tym pocieszyć.

Na dworze pogoda nie była tak dokuczliwa, jak to sobie wyobrażał, siedząc w ciepłej izbie. Odetchnął głęboko po panującym w niej zaduchu, wyprostował ramiona, poczuł się jak dawniej, silny i młody. Spieg wciąż padał, mokry, nasycony wilgocią ciągnącą od morza, ale na ziemi się jednak nie topił. Nawet droga nie utraciła pod stopami przechodniów swej bieli, jej brzegi nie rysowały się już wyraźnie, tylko rząd płotów i domy poza nimi wytyczały jej szlak. Za wsią drzewa, którymi była obsadzona, broniły podróżnych przed zbłądzeniem w tej równinnej, posypywanej śniegiem przestrzeni. Ale nawet gdyby ich nie było, Łucka z matką nie mogły zabłądzić. Znały tę drogę obydwie od dziecka, Konkowa tu się urodziła i wychowała, a potem, gdy Augustyn wywiózł ją do Gdyni, przyjeżdżała tu często do rodziców, jak długo żyli, a Łucka, ulubienica dziadków, razem z nią. Nie mogły więc zabłądzić, powtarzał sobie, nie mogły zabłądzić. Co się wobec tego stało, że ich nie było, że nie spotkał ich tuż za progiem, o kilka kroków od domu, za stawem, przy którego brzegach ślizgały się dzieci, za gospodą, rozbrzmiewającą teraz niemieckim śmiechem?

- Wracajmy do domu - szeptała Anula. - Wracajmy, bardzo pana proszę. - Wiatr przewiewał jej chustkę, szarpał nią, ale nie dlatego chciała, żeby jak najszybciej wrócili do ciepłej izby.

Przed gospodą stał motor żandarmów z Pucka. Często przyjeżdżali tu służbowo, ale jeszcze częściej na piwo, którego w Pucku, pod okiem komendanta, bali się pić. Tu uchodziło im to bezkarnie, jak długo, oczywiście, udawało im się uniknąć wypadku. Cała wieś była pewna, że się kiedyś zabiją, ale jakoś wciąż żyli. Teraz mogli wyjść, wytoczyć się z gospody, a wtedy każdy, kto znalazł się przed nimi, budził w nich podejrzenie i wściekłość.

- Chodźmy! - przynaglała Anula. - Widzi pan przecież...

Krzysztof nie zawrócił z drogi.

- Ostatecznie obydwójce mamy piękne zaświadczenia pracy, wystawione przez pana Laubnitza. A pan Laubnitz bądź co bądź liczy się w tej wsi i w okolicy.

- Niech pan nie żartuje.

- Wcale nie żartuję. Ani mi to w głowie. Ale sama wiesz, że gdy tylko ktoś ważniejszy pojawi się w Pucku, albo nawet w Gdańsku, zjeżdża tutaj w gościnę. Ziemiaństwo niemieckie okazało pełne poparcie dla Hitlera, a na terenach •polskich, które włączył znów do Rzeszy, przybrało to

charakter... - Urwał, mówienie do Anuli o tych sprawach wymagało chyba szerszego komentarza, dziewczyna zresztą wcale go nie słuchała. Wpatrywała się wciąż w drzwi gospody, zza których dochodziły podniecone głosy.

- A mnie pani przykazała - zaczęła znowu - żebym rozum miała nawet wtedy, kiedy pan go mieć nie będzie.

- Tak powiedziała? - spytał prawie ubawiony. -

A która?

- Tak powiedziała - potwierdziła Anula, speszona tym, że zbyt szczegółowo powtarza otrzymane polecenia.

- Pani gospodyni. - Nazywała tak Konkową, tylko przed nią miała respekt; Łucki właściwie nigdy nie brała poważnie, wiedział o tym. Wydawała jej się tak samo pozbawiona samodzielności pod czujnym okiem matki, jak Julitka i Tomaszek. - Pani gospodyni, ma się rozumieć - powtórzyła.

W Krzysztofie nie obudziło to niechęci do teściowej.

Przeciwnie, poczuł coś na kształt rozczerwienia. I nie dlatego, że tak bardzo bała się o niego, ale że przeczuwała w nim ten brak rozumu, który mężczyźnie ujmy nie przynosił.

- Dobrze - zgodził się łagodnie. - Zaraz wracamy.

Podejdziemy tylko do gminy i, jeżeli ich nie spotkamy, idziemy do domu. Żeby stanęło na tym, że masz jednak ten rozum, chociaż i ja swego jeszcze nie utraciłem.

Anula wykazała brak poczucia humoru, nie uśmiechnęła się, choć zwrócił ku niej głowę i powinna zrozumieć, że oczekuje tego po niej. W blasku bijącym od śniegu widział jej dziecienną jeszcze twarz, zasznurowane surowo usta, posępne oczy. Czy to nie za duży dla niej ciężar? - pomyślał. - Czy udźwignie go do końca, czy nie zabraknie jej sił?

Milcząco ruszyli w stronę gemeindeamtu. Śnieg ciął prosto w twarz, tracił jakby swoją miękkość i wilgoć, zanosilo się na to, że w nocy będzie mróz. Powiedział to Anuli, ale znowu go nie słuchała, zapatrzona uważnie przed siebie.

- Widzi pan? - zapytała.

Nie, jeszcze nic nie widział. Śnieg zasypywał oczy, wirował przed nimi ruchomą, migotliwą zasłoną. Ale ona jednak dostrzegła poprzez nią coś, co wydawało się jej dziwne, a jak dziwne, to i groźne, nauczyła się już tego podczas kilku miesięcy wojny.

- Tyle ludzi przed gminą - szepnęła. - Nie idźmy tam.

Ale Krzysztof też już dostrzegł tłum przed niemieckim urzędem i przyspieszył kroku. Biegła za nim, usiłowała chwycić go za rękaw.

- Niech pan tam nie idzie! Proszę pana! Niech pan wraca!

Zatrzymał się, ale tylko na chwilę. Ścisnął Anulę za ramię, aż pisnęła.

- Albo mów do mnie po imieniu, albo milcz!

Zamilkła, wciąż jednak biegła za nim coraz bardziej przerażona, bo już zrozumiała, już była tak samo jak on pewna, że ten tłum spędzono po to, aby coś zobaczyć i zapamiętać...

Przepchali się przez pierścień ludzi, tworzących krąg przed wejściem do gemeindeamtu. Z daleka było słychać podniesione głosy dwóch Niemców i wcale nie ciche odpowiedzi,

w których Krzysztof poznał głos Konkowej.

Kiedy się przecisnął aż do czoła tłumu, zobaczył ją. Stała pod ścianą gemeindeamtu z odkrytą głową, z rozwichrzonymi siwymi włosami, na które padał i topniał od razu śnieg. Twarz miała czerwoną, rozognioną i niepokorną - nie, lamentującej teściowej Krzysztof nigdy jeszcze nie widział, chyba w dzień nagłej choroby jej męża Augustyna, zanim zrozumiała, dlaczego ta choroba na niego spadła, potem już nie lamentowała, potem była już tylko wściekła. Teraz także na twarzy jej nie było łez, uniosła ją hardo ku dwóm żandarmom, stojącym przed nią - tylko Łucka obok niej popłakiwała cicho w przyciśniętą do twarzy chustkę.

- Pytam po raz drugi - krzyczał jeden z żandarmów, młodszy i wyższy, o koguciej twarzy i koguciej zadzierzystości - pytam po raz drugi, dlaczego przeszłyście obok nas bez pozdrowienia.

Konkowa namyślała się przez krótki czas.

- Bo się nie znamy - powiedziała.

Ktoś w zewnętrznym pierścieniu tłumu roześmiał się radośnie, ale zaraz umilkł.

- Co? - zapiał młodziak w zielonym mundurze. - Nie znamy się? Możemy się zaraz poznać. Możemy się poznać całkiem z bliska.

- Moment! - powiedział drugi z przedstawicieli niemieckiej władzy. Starszy i już statecznie zaokrąglony, pełnił ją najwidoczniej o wiele dłużej i nie tylko na polskich terenach. Odsunął nieco swego towarzysza, zbliżył się do kobiet.

- Istnieje zarządzenie - powiedział - że wszyscy Polacy muszą pozdrawiać Niemców w mundurach.

- Nie słyszałam - bąknęła Konkowa.

- Nieznajomość prawa nie uwalnia od odpowiedzialności - oznajmił i powiódł po tłumie spojrzeniem, które świadczyło, że zdanie to skierowane było nie tylko do dwóch kobiet pod ścianą gemeindeamtu.

- Nie uczono mnie o tym - powiedziała Konkowa.

- A chodziłam do niemieckiej szkoły.

Żandarmi na chwilę zamilkli, ten młodszy o koguciej twarzy i ten zaokrąglony już dojrzałą statecznością, obydwaj zadławieni tym samym uczuciem zdumionej wściekłości.

Z otwartych ust buchała im para jak zgonionym koniom.

- Ale wszyscy we wsi wiedzą, że takie zarządzenie istnieje. Prawda? Wszyscy wiedzą - starszy z żandarmów powiódł znów spojrzeniem po tłumie. - Prawda? - powtórzył.

Nikt się nie odezwał. W milczeniu, spotęgowanym jakby tym pytaniem i groźną pauzą, pozostawioną na odpowiedź, słychać było suchy chrzęst opadających płatków marznącego przed nocą śniegu.

Konkowa narzuciła na głowę chustkę - nie wiadomo, czy wiatr ją jej zerwał, czy spadła podczas szamotania się z żandarmami, zanim zdążyli zaprowadzić ją pod ścianę gemeindeamtu, teraz wiązała ciasno jej końce, wsuwała pod nią mokre włosy.

- My tu nie mieszkamy - powiedziała tonem prawie pogodnym, wyraźnie kończącym tę narzuconą jej rozmowę.

- Nie mieszkacie tu? - zawołali obydwaj żandarmi

równocześnie.

- Nie. Nie mieszkamy w Połczynie.

Nie ma Połczyna. Jest Polzin.

- Nie mieszkamy tu - powtórzyła Konkowa.

- A gdzie mieszkacie?

- W Gdyni.

Młodszy z żandarmów zbliżył się do Łucki.

- Ona co? Niemowa?

Konkowa zerknęła ku córce.

- Do tej pory nie była. Może teraz jej się co stało.

- Po co tu przyjechałyście? - wrzasnął młodzik. - Na handel?

Konkowa trzymała w ręku torbę, widok pękatego jej wyrzucenia przyprawił Anulę o skurcz serca - musiały się w niej kryć jakieś rzeczy z Tomaszka, z Tomaszka na Józefka, Konkowa nigdy nie przyjeżdżała bez dowodów wdzięczności za ukrywanie jej zięcia. Teraz przerzuciła tę torbę leciutko z ręki do ręki, jakby była pusta.

- Nie na handel.

- A po co?

- Do rodziców tu przyjeżdżam.

- Do rodziców? Gdzie mieszkają?

- Już nie mieszkają - Konkowa pokiwała w zamyśleniu głową. Powiodła spojrzeniem po dalekiej przestrzeni nad głowami żandarmów. - Już nie mieszkają, ale tu są. Zawsze tu byli.

- Co to znaczy? Co to za gadanie takie? - wołali teraz żandarmi, przekrzykując się wzajemnie.

- Zawsze tu byli - powtórzyła Konkowa ze spokojną stanowczością. W głosie matki było coś, co Łucce musiało dodać odwagi. Odjęła chustkę od ust, podniosła głowę. Jej oczy napotkały utkwiony w nią wzrok Krzysztofa.

Przez cały czas, kiedy tu stał i patrzył na nią, nie opuszczało go upokarzające uczucie bezsilności. Czy nie był już mężczyzną? Czy nie miał już ani odrobiny godności, pozwalając na to, aby jego żona, matka jego dzieci, dziewczyna, którą - Boże, przecież nie było to tak dawno - prowadził przez śnieg do kościoła, płakała teraz, lżona przez jakiegoś parobka w zielonym mundurze? Był tu, był tu o krok i nie rzucił mu się do gardła, nie krzyknął nawet, nie dał poznać po sobie, że go z tą kobietą coś łączy. Kiedy ostatnio o niej myślał, ogarniało go tylko poczucie winy; nie tęsknił do niej tak, jak na to zasługiwała, nie było mu jej brak w dzień i w nocy, nie była tą najpiękniejszą, najgorętszą potrzebą, jaką dla człowieka może być drugi człowiek. Ale teraz, kiedy tam stała, kiedy patrzyła na niego z tej odległości, której oboje nie mogli przekroczyć, zrozumiał, czym była dla niego przez te wszystkie lata: jedynym spokojem, jakiego zaznał, jedyną pewnością.

- Wracajcie do Gdyni! - krzyknął starszy żandarm.

Pragnął już zakończyć scenę, która miała być lekcją pogładową dla mieszkańców tej wsi, a nią nie była, do diabła, na pewno nią nie była. - Natychmiast! I żebym was tu więcej nie widział!

- Nie mamy już dziś pociągu do Gdyni - powiedziała Konkowa.

- To poczekacie na dworcu do rana.

- Do rana? - Konkowa zaczynała pojmować, czego się doigrała hardymi odpowiedziami. Głos jej się załamał.

- Na dworcu zimno...

Ale teraz Łucka odzyskała opanowanie i siłę. Krzysztof wiedział, że gdyby wyciągnęła z kieszeni zaświadczenie, podpisane przez Lohmanna, który - jak dawniej Słubicki, choć z innych zapewne powodów - był kimś na całym wybrzeżu, gdyby wyciągnęła to zaświadczenie, w jednej chwili zmieniliby to zachowanie żandarmów. Dotknęła jednak tylko ramienia matki.

- Idziemy! - powiedziała.

- O! - zawołał młodszy, ten z kogucią twarzą i kogucim głosem. - Więc jednak nie niemowa! Jakże się cieszę! A dlaczegoż to nie raczyła panienska dotąd się odezwać? Nieoczekiwany komplement, jakim było przypisane Łucke panieństwo, mógłby kiedy indziej sprawić przyjemność albo co najmniej rozśmieszyć - teraz nawet to ostatnie nie było możliwe.

Nie było możliwe - bo oni nie byli śmieszni. Nie, na pewno nie byli śmieszni. Ani ten podskakujący i piejący kogucio, ani ten drugi, ziejący piwkiem jak podgrzana i nie domknięta baryłka. Może gdzieś tam, skąd tu przybyli, budzili uśmiech, gdy tak razem pojawiali się na drodze. Tu, na tej ziemi, gdzie były już groby w Piaśnicy, nie zaznaczone najniższym kopczykiem piasku, który należy się nawet psu - tutaj śmieszni nie byli. Tu nawet ich śmieszność wydawała się groźna.

- No! Pytam! Dlaczegoż to panienska nie raczyła dotąd się odezwać?

Łucka milczała. Koguci żandarm przyskoczył do niej i szarpnął ją za ramię.

- Znowu ci głos odebrało? Pomożemy ci go odzyskać.

Jak się kogoś w tyłek bije, to mu to od razu w gębie głos przywraca. Nie wiesz o tym?

Krzysztofowi krew uderzała do głowy gwałtownymi falami. Paznokcie wpiły mu się w dłonie, czuł ich piekący ból, ale go to nie trzeźwiło, nie niweczyło pragnienia, żeby rozgarńawszy tłum skoczyć przed Łuckę, osłonić ją sobą, odgrodzić własnym ciałem od człowieka, który ośmielał się jej dotykać, wyciągać do niej rękę...

Musiało się to wszystko malować na jego twarzy, bo kiedy znów na chwilę napotkał spojrzenie Łucki, wyraz jej oczu przywrócił mu przytomność. Patrzyła na niego ostro i zrozumiał, musiał zrozumieć: ona mu tego zakazywała. Ona go rozgrzeszała z uczucia bezsilności, wstydu i upokorzenia - Ona kazała mu czekać.

- Idziemy! - powiedziała jeszcze raz do matki.

- Precz! - wrzasnął starszy żandarm. Miał już napraw-, de dosyć tego stania na potęgującym się mrozie i tej gawiedzi wokół, którą spędzili nie wiadomo po co. - Precz! I żebym was tu więcej nie widział!

Teraz i Konkowa ruszyła się z miejsca. Od razu spieszenie, bez słowa już, bez oglądania się za siebie. Łucka podążyła za nią, ale jednak na chwilę odwróciła głowę i oczy jej jeszcze raz spotkały się z oczyma Krzysztofa. Wciąż mu zakazywał a wszelkich nierozsądnych manifestacji, wciąż go rozgrzeszała z uczucia winy i upokorzenia.

Ale czy on sam mógł się z tego rozgrzeszyć? Wycofał Anulę z rzędnącego tłumu, pchnął ją w stronę domu. Czy mógł pozbyć się tej lepkiej, oślizłej niechęci do siebie, pogardy dla swojej przezorności? Nie było sensu w tym, co chciał uczynić, ale czy we wszystkim, co człowiek czyni, musi być sens? Oni tu przyszli, mówił sobie, nie tylko po to, żeby zabijać, ale także i po to, żebyś się dowiedział, jakim jesteś tchórzem, i żebyś - co najgorsze - uważał to za rozsądek. Anula biegła za nim popłakując.

- Tak się bałam... tak się bałam, że pan nie będzie miał tego rozumu...

- Widzisz - powiedział cicho. - A jednak go miałem.

M i a ł go i wobec Wacholza, i wobec tych dwóch żandar-
mów - ale to miejsce, w którym chciał przetrzymać wojnę,
nie było wcale takie bezpieczne i dobre, i może w ogóle
nigdzie nie było takiego miejsca...

III

- To tutaj! - powiedział Grześ. - Panie kapitanie, to
tutaj!

- Tak - potwierdził Wołodia, pokonując skurcz gard-
ła. - Chyba tutaj.

Stali przed małym sklepikiem ze sprzętem sportowym
i zabawkami, który miał być kolejnym etapem ich wędrówki,
Obydwa trzymali na ramionach narty, ubrani byli w norwe-
skie kolorowe swetry, także czapki i wyglądali na wesołych
narciarzy, którzy zeszli z gór, żeby odpocząć w tym uroczym
miasteczku, ogrzewanym ciepłym powiewem Golfstromu.

W rzeczywistości padali na twarz ze śmiertelnego znużenia.
Przeprawa na nartach przez granicę wzdłuż linii kolejowej,
którą przewożono rudę żelazną ze szwedzkiej kopalni Kiru-
•na do norweskiego portu Narwik, była bardzo ciężka.

- Narciarze z nas jak z koziej dupy trąbka - mówił
Wołodia, dla pocieszenia Grzesia używając liczby mnogiej.
On sam dawał sobie jeszcze jako tako z deskami radę, miał za
sobą kilka zimowych urlopów w Zakopanem, ale Grześ
urodził się i wychował w Tczewie, a z nartami zetknął się po
raz pierwszy, gdy Tage, szwedzki przewodnik, dowiózłszy
ich do Kiruny w charakterze robotników, udających się do
kopalni, przemienił ich w którejs z bram w pobliżu dworca
w beztroskich sportowców. Trasa, na szczęście, nie była
długa - wysiedli na ostatniej stacji szwedzkiej, wsiedli na
pierwszej po norweskiej stronie - niemniej jednak kilka
kilometrów przez zaśnieżone góry, przez które gdzieś tam
w nie kończącej się białej przestrzeni przechodziła granica,
wydawało im się trwającym wieczność koszmarem. Szwedz-
ki przewodnik nie ułatwiał im zadania, omijał płaskie fjeldy,
tłumacząc Wołodi przy użyciu nader skromnych niemiecko-
-angielskich słów, że widoczność na nich zbyt niebezpieczna,
że strażnicy ustrzeliliby tu i zającą, gdyby się pojawił na tej
wysokości i w tej śnieżnej pustce. Kluczyli więc wśród
załomów skalnych, przeprawiali się przez szczyty, usiłując
nie stracić z oczu linii kolejowej, wzdłuż której posuwali się na
zachód. Gdy jechał pociąg, słyhać go było na przestrzeni
wielu kilometrów, ale cichł w tunelach, licznych wzdłuż całej
trasy, i wtedy trzeba było uważać, żeby z niej nie zboczyć.
Zbłądzenie oznaczało nie tylko spotkanie ze strażą granicz-
ną - co wobec drugiego niebezpieczeństwa wydawało się

jeszcze nie najgorsze, było nim bowiem niechybne zamarznięcie przy dwudziestostopniowym mrozie w arktycznej śnieżnej pustyni. Przewodnik więc naglił, nie miał zamiaru ginać w najgłupszy, a także - jak mu się wydawało -najmniej potrzebny sposób przez jakichś dwóch Polaków, którym zachciało się walczyć, zamiast siedzieć jak u Pana Boga za piecem w obozie dla internowanych w Vaxholm, gdzie bezpiecznie mogli przeczekać wojnę. Grześ padał co kilka kroków, kłął, płakał, w końcu zdjął narty i siadał na nich przy zjazdach; gdy trzeba było pisać się pod górę, prosił, żeby go dobić. - Nie ma czym - mówił Wołodia, starając się, żeby brzmiało to jak żart. - Przecież cię nie uduszę. Gdy dotarli do pierwszej stacji po stronie norweskiej, humor im się poprawił. Tu wprawdzie rozstawali się z przewodnikiem i odtąd zdani byli tylko na siebie, ale Norwegia wydała im się bardziej przyjazna niż Szwecja, w której wciąż straszycie ich widmo fortecy w Vaxholm ze sprzyjającym Niemcom szefem policji. Wołodia odbył z nim wprawdzie kilka prawie towarzyskich rozmów, gdyż kapitan rezerwy i milioner w życiu prywatnym Regner Erfass nudził jak mops na swoim posterunku. Pozował na intelektualistę i cenił sobie dyskusje o literaturze francuskiej, jakie mógł wieść z polskim kapitanem. Nie przeczuwał, że był ostatnim człowiekiem, którego Polak chciałby w swoim życiu zobaczyć po raz drugi.

W malutkim bufecie na norweskiej stacyjce Tage, w którym się tu rozstawali, postawił im na pożegnanie po ogromnym kubasie cudownej, aromatycznej i gorącej kawy ze śmietanką wraz z nieograniczoną ilością świeżych drożdżówek. Miały rumowy lukier i byłoby zupełnie głupio twierdzić, że tak właśnie pachnie wolność, ale kapitan i Grześ, pochłaniając je, myśleli o tym samym: taką właśnie woń miał zachować na długie lata w ich wspomnieniach ów pierwszy dzień ich wojennej wolności. O ile, oczywiście, będą te długie lata - pomyślał Wołodia, ale poprawką tą nie podzielił się z Grzesiem.

A teraz stali przed małym sklepikiem, który należał do Berit Bjemsen, żony pracownika stoczni rybackiej w Bodę. Adres ten wbijali sobie w głowę jeszcze w Sztokholmie, kiedy podano im trasę do Anglii, a dom w Bodę zaznaczony był na niej nadzieją na odpoczynek przed morską przeprawą najpierw na południe, wzdłuż fiordów norweskich, a potem przez Yikingbank na Szetlandy. Wybrano za nich tę drogę okrężną i Wołodia się na nią zgodził. Trasa najkrótsza - przez Göteborg, Kristiansand, ewentualnie Egersund lub Stavanger - jako najbardziej "uczęszczana" przez uciekinierów nie była pewna. Szwedzi, których neutralność była podszyta strachem, penetrowali ją gorliwie. - Poczekamy, aż nikogo nie będzie w sklepie - powiedział Wołodia.

Zdjęli z ramion narty i oparłszy się na nich, udawali, że przyglądają się wystawie.

- Gdybym zasypiał, niech mnie pan kapitan trąci - poprosił Grześ. Patrzył z poczuciem winy, przepraszająco. Zawstydziała go własna słabość, nie popisał się podczas tej podróży.

- Przecież spałeś w pociągu - przypomniał mu kapitan

niezbyt surowo. Sam walczył ze snem, ogarniającym go raz po raz na krótkie momenty zupełnego wyłączenia z rzeczywistości. Padną tu, myślał, wokół zbierze się zaraz tłum, ta kobieta w sklepie nie przyzna się, że nas oczekiwała, pojawi się policja i jeśli Norwegowie są równie gorliwi w swojej neutralności... Spokój! - przykazał sam sobie. - Cóż to za histerie! Jeszcze mogą być gorsze sytuacje, w których przydadzą się zdrowe nerwy. Nie był to najlepszy rodzaj pocieszenia, ale musiał go użyć podczas tych przedłużających się chwil przed szybą wystawy, gdy do sklepu wchodzili wciąż nowi klienci, gdy dziewczynki z tornistrami na plecach przymierzały w nieskończoność kolorowe włóczkowe czapki, mężczyźni oglądali buty i sprzęt wędkarski, a chłopcy pytali o ceny łyżew.

Niskie, blade słońce arktyczne stało nad horyzontem, a niska granica między dniem i nocą nadawała wszelkim czynnościom ludzkim ospałą powolność, nie przynaglana - jak gdzie indziej - wyraźnie mijającymi porami dnia.

- Ten sklep nigdy nie będzie pusty - jęknął Grześ. Przywarł prawie do szyby, za którą rozstawione były różowe mebelki pokoju dla lalek. - Kupcież coś wreszcie, do jasnej...! - zdenerwował się, gdy chichoczące uczennice przebierały wciąż w stercie czapek.

- Nie mamy wyboru - mruknął Wołodia - musimy czekać.

Kobieta stojąca za ladą w sklepie, zapewne sama pani Berit Bjernsen, obserwowała ich od dłuższego czasu. Czyniła to dyskretnie, ale ruchy jej rąk, gdy obsługiwała klientów, stały się nerwowe i spieszne. Była to osóbką o nie narzucającej się oczom powierzchowności, ozdobiona żółtawymi włosami, zwiniętymi w ciasny koczek w tyle głowy, pękata w luźnym, obszytym futrem serdaczku, pod który -- gdy nie rozkładała towaru na ladzie i nie liczyła pieniędzy - chowała zziębnięte dłonie. Tylko oczy rozjaśniały tę twarz szarą, przysypaną jakby sennością całego miasteczka, oczy rozszerzone czujną uwagą, którą w nich obudził widok dwóch obcych mężczyzn za szybą wystawy. Wołodia był pewien, że od pierwszej chwili wiedziała, kim są. I że od pierwszej chwili zastanawia się nad sytuacją.

Kiedy w sklepie pozostały tylko dziewczynki, wciąż wśród chichotów przymierzające przed lustrem włóczkowe czapki, spojrzała na zegarek i zaczęła porządkować rozrzucony na ladzie towar. Uśmiechnęła się przepraszająco do swoich niezdecydowanych klientek, co zrozumiały właściwie, bo zaraz zdjęły z głów czapeczki i położyły na ladzie. Dygnęły, skierowały się ku drzwiom.

- Bardzo grzeczne dziewczynki - szepnął Grześ, którego na chwilę opuściła senność.

Wołodia zerknął na tabliczkę umocowaną przy drzwiach; do przerwy obiadowej brakowało pół godziny.

- Musiała im powiedzieć, że wcześniej zamyka sklep

- mruknął. Zbliżył się do wejścia i gdy dziewczęta ukazały się na progu, a kobieta szła przez sklep, żeby zamknąć za nimi drzwi, wszedł do wnętrza z manifestacyjnym zamiarem dokonania nie cierpiącego zwłoki sprawunku. Grześ wsunął się za nim.

Dziewczynki miały ochotę przejść na drugą stronę ulicy,

ale teraz zatrzymały się przed sklepem.

- Muszę udawać, że usiłuję wyprosić panów - uśmiechnęła się nieznacznie pani Bjemsen, odwracając głowę od oszklonych drzwi.

Mówiła po angielsku - francuskiego ani niemieckiego nie знаła - o czym uprzedzono Wołodię w Sztokholmie.

W ciągu czterech miesięcy spędzonych w twierdzy Vaxholm odświeżył sobie zaniedbaną od dawna znajomość tego języka i teraz mógł powiedzieć:

- Rozumiem.

Przez chwilę certowali się przy drzwiach, aż znudziło się to obserwującym tę scenę dziewczynkom. Podskakując, przebiegły jezdnię i zginęły za najbliższym narożnikiem.

- Proszę jednak udawać, że panowie coś kupują - powiedziała pani Bjemsen. Wróciła za ladę, postawiła na niej kilka par narciarskich butów.

Wołodia wziął je w ręce, ale nie patrzył na nie. Nie widział także twarzy stojącej przed nim kobiety. Poza nią były drzwi, wiodące zapewne w głąb mieszkania, w jego ciepło, w jego domowe wonie, w spokój, sytość i sen w wygodnym łóżku...

- Jesteśmy tak znużeni... - szepnął.

- Proszę udawać, że panowie coś kupują - powtórzyła.

Wydała się Wołodi straszną babą; pomyślał, że ją udusi, jeśli będzie dłużej trzymać ich przy ladzie albo gdy każe im stąd pójść w jakieś inne, przeznaczone dla nich miejsce. Grzesz zachował się lepiej od niego. Skwapliwie zajął się oglądaniem butów, uderzał zgiętym palcem w ich podeszwy, sprawdzał okucia.

Pani Bjernsen podeszła do drzwi i ostrożnie wyjrzała na ulicę - to było oczywiste: gdyby ktoś sklep obserwował, klienci, którzy do niego weszli, powinni go po chwili opuścić - ale ulica była pusta, w oknach przeciwległego domu nie poruszyły się firanki, nie zadrżał ani jeden listek czerwonych pelargonii w doniczkach. Właścicielka sklepu "Sportartik-len" zapuściła żaluzję na wejściowe drzwi.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Musimy być ostrożni.

- To zrozumiałe - przytaknął Wołodia. Wciąż patrzył na drzwi wiodące w głąb mieszkania, wciąż czekał, kiedy otworzą się przed nimi. - Mieliśmy bardzo trudną przeprawę przez granicę - dodał. - No i przedtem... podróż ze Sztokholmu do Kiruny w dość nerwowych okolicznościach... Ale najgorsze były góry. Kolega - wskazał Grzesia - po raz pierwszy w życiu nałożył narty.

- W dodatku nasz klimat! - pokiwała głową. - Chyba był dla panów zaskoczeniem. Bądź co bądź Bodę leży już na północ od koła podbiegunowego. A jednak - uśmiechnęła się - w ciągu całego roku nie brak w naszym mieście turystów. Głównie Anglików. W zimie przyjeżdżają tu na narty, a wiosną, żeby słuchać szumu potoków, spływających z gór. Latem zaś... - weszła za ladę i zaczęła porządkować rozrzucony na niej towar - ... latem widok fiordów i gór - wokół nich, zielonych nad brzegiem morza, skalistych i nagich na fjeldach, na szczytach wiecznie białych i skrzących się w słońcu... Zresztą sami panowie to zobaczą i oceniają - podniosła oczy znad lady i napotkany wzrok mężczyzny musiał ją przerazić, bo szepnęła w popłochu:

- Przepraszam. Tylko włożę buty do pudełek. Zawsze w przerwie obiadowej panuje tu porządek. Gdyby komuś przyszło do głowy zajrzeć przez okno... Musimy zachować ostrożność.

- Panie kapitanie - nie wytrzymał Grześ - długo tu będziemy stać?

Jazowiecki mu nie odpowiedział. Ogarniało go coraz dotkliwsze i po raz pierwszy odczuł tak silnie przerażenie obyczajną. Tym, że znaczył tu tyle co ziarnko żwiru, zniesione z gór w dolinę wiosennym potokiem. Każdy mógł je kopnąć nogą, potoczyć w inne miejsce, zmiażdżyć. Jak rozpękła nagle rana zapiekła go tęsknota do kraju, do Gdyni, do tego miasta, które uważał po stokroć za swoje, choć poza starym mundurem i kupką bielizny w pokoju, odnajmowanym od Bednarskich, nic tam do niego nie należało. Ale kiedy szedł ulicą, kobiety piękniały i rozjaśniały się na jego widok, a tutaj jakaś baba trzymała go przed ladą swego nędznego sklepiku i był dla niej tylko uciążliwym cudzoziemcem, przez którego ze strachu nie zmruży oka tej nocy.

Skończyła wreszcie układanie butów w pudełkach, dzwignęła je i ustawiła na półce. Potem starannie wytarła ściereczką powierzchnię lady.

- ...zasadniczka! - mruknął Wołodia po polsku.

Grześ, którego znowu ogarnęło przemożne senne znużenie, zwrócił ku niemu ledwie odemknięte oczy.

- Co pan kapitan powiedział?

- Żeby cię nie zgorszyć, co nie przystoi przełożonemu, ograniczyłem się tylko do drugiego słowa w tym dobitnym określeniu. Tak pasuje do tej damy przed nami, że nic innego nie przyszło mi na myśl. Zasadniczka, psiakrew!

Pani Bjernsen strzepnęła ściereczkę i schowała ją pod ladę. Niezrozumiała dla niej wymiana zdań między mężczyznami jakby ją nieco ponagliła.

- Proszę! - zawołała. - Proszę do pokoju! Panowie przecież zmęczeni...

Wołodia nie odezwał się ani słowem. Pchnęła wreszcie drzwi, o których zaczynał myśleć, że już nigdy się przed nimi nie otworzą. Spać! - myślał. - Jakiś gorący płyn i spać! I obudzić się w Anglii!

Pokój za sklepem był naprawdę taki, jakim go sobie wyobrażał: niewielki i przytulny, ciepły. Prowadziło z niego wejście do kuchni, w której pani Bjernsen od razu na chwilę zniknęła.

- Nastawię wodę na herbatę! - zawołała. -• Proszę usiąść!

- Nareszcie! - mruknął Wołodia. ;•.-

Rzucili się obydwaj z Grzesiem na małą soflicę pod oknem, wyciągnęli zmęczone nogi w ciężkich narciarskich butach, z których śnieg zdążył na szczęście stajać w sklepie. Wołodię przypomniał się zimowy czas na Ukrainie, w Kijowie, gdzie w domu rodziców podawano zawsze gorący grog, kiedy wracał ze ślizgawki albo z polowania na zające, na które tuż przed rewolucją ojciec zaczął go zabierać. Wydawało mu się w tej chwili omal nieprawdopodobne, że zimy na południu Ukrainy były o wiele ostrzejsze niż tutaj, za kołem podbiegunowym. Wracali do domu pobieleni szronem, przy-

waleni baranicami, spod których trudno było się wydostać. Ale słyszał jeszcze swój śmiech z tamtych lat, gdy opowiadał matce o drodze przez zaspy, o ośnieżonym lesie, o niezwykłych przygodach, które zawsze miewał jej jednak, a które ją napawały niezmiennym lękiem. Usiłował uzmysłowić sobie, ile miał wtedy lat, ale było to zbyt trudne

- Zaraz zagotuje się woda - powiedziała niemal wesoło pani Bjemsen, ukazując się w drzwiach kuchni. Zdjęła tam z siebie swój podszyty futrem serdak i ze zdumieniem spostrzegła, że z pękatej sprzedawczyni narciarskich butów i włóczkowych czapek stała się całkiem zgrabną kobietką o piersiach małych i okrągłych jak weselne bukieciki, które niosą postępujące za panną młodą drużki.

- Całkiem rajcowna! - powiedział Grześ, który zaczął odkrywać uroki porozumiewania się tylko im obydwu znanym językiem.

Wołodia nie przejął jednak od niego tonu ani tematu.

- Musimy porozmawiać - zwrócił się do pani Bjernsen.

-- W Sztokholmie powiedziano nam...

- Zaraz do tego przejdziemy - przerwała mu. Odwróciła się do kredensu, żeby wyjąć talerze, może speszył ją oceniający wzrok mężczyzn, którym prowadzili ją od progu, może potrzebowała czasu na zastanowienie się, jakiej ma udzielić informacji i jaką podjąć decyzję.

Wołodię zaczynała coraz bardziej niecierpliwić jej kobieca ostrożność.

- O której pani mąż wraca ze stoczni? - zapytał.

Ustawiła talerze na stole, przy każdym położyła sztucę i małą serwetkę. Usiadła i dopiero wtedy podniosła na Wołodię oczy.

- Mąż jest w morzu na próbnym rejsie nowej jednostki. Wróci za trzy dni.

- Za... trzy dni... - powtórzył Wołodia. Co ona robi z nami przez te trzy dni? - pomyślał. - Gdzie nas ukryje? Dokąd odeśle? Eryk Bjemsen był ostatnim ogniwem łańcucha pomocy, jakiej Skandynawowie udzielali uciekinierom z Polski. Jako pracownik stoczni rybackiej w Bodę, zatrudniony w nadzorze technicznym, miał podczas próby kutra przerzucić ich na angielskie Szetlandy, skąd zamierzali dostać się do Dundee w Szkocji, gdzie stały polskie okręty podwodne. Eryk Bjemsen! Ile razy podczas ostatnich nocy w Szwecji powtarzali sobie to nazwisko. I akurat teraz musiał wyjść w morze, choć wiedział przecież, choć na pewno wiedział... -Trzy dni -powtórzył jeszcze raz i już nie mógł ukryć rozczarowania, które Grześ od razu wyczuł w jego głosie.

- Co się stało? - zapytał. - Musimy gdzieś iść?

- Nie - warknął kapitan. Był pewny, że nigdzie się stąd nie ruszą, że nie ma siły, która by ich zabrała z tego ciepłego pokoju, z miękkiej sofki, grzejącej im plecy, z domowej zaciszości tego miejsca, ostatniego - do diabła! - na pewno ostatniego przed końcem wędrówki.

Pani Bjernsen wygładziła dłonią serwetę. Ręce miała duże, ale kształtne, silne.

- Tego rejsu mąż nie miał w planie - powiedziała.

- Musiał zastąpić kolegę, który nagle zachorował. Wróci

i od razu zajmie się panami.

- A... przez ten czas?

Potrząsnęła głową, nie zrozumiała - angielski jej gościa sprawiał jej kłopoty, ale teraz była pewna, że nie chodzi o nieporadność słów.

- Co to znaczy: przez ten czas?

3 - Tak trzymać t. III

- Przez te... trzy dni?

- Och! - podniosła dłonie i szerokim gestem objęła pokój i widok za oknami, daleką ścianę fiordu, stromo schodzącego w morze. - A trzy dni urlopu w Bodę nie należą się panom?

- Trzy dni urlopu? - powiedział cicho Wołodia.

- No... może nieco dziwnego urlopu, bo jednak w czterech ścianach tego domu, ale przecież nie jest najgorszy?

- znowu rozłożyła ręce w szerokim geście, prezentującym walory ich schronienia, i nagle wydała się Wołodi ładna, urocza, zachwycająca, gdy tak czekała na potwierdzenie swoich słów.

- Ależ tak! - zawołał. - Tak! Boże drogi! Trzy dni w takim domu!

- Co powiedziała? - dopytywał się Grześ. - Co takiego powiedziała?

- Powiedziała, że mąż w morzu. Że wróci dopiero po trzech dniach, a przez ten czas będziemy .tu na niego czekać.

- Nie - szepnął Grześ, obezwładniony tą cudowną nowiną.-Całe trzy dni?

- Całe trzy dni.

Przysłuchiwała się z uśmiechem ich rozmowie; nie rozumiejąc słów, rozumiała jej treść.

- Niestety - dodała - ja wiele czasu muszę spędzać w sklepie. Ale zajmie się panami moja przyjaciółka, córka pastora.

- Nie potrzebujemy żadnych przyjaciółek! - zawołał Wołodia. - Niech jej pani nie sprawia nami kłopotu.

- Ale to będzie dla niej przyjemność! - pani Bjernsen odrobinę za długo zatrzymała wzrok na twarzy siedzącego przed nią mężczyzny. - W końcu tak mało dzieje się w naszym mieście. A poza tym - dodała spieszenie ona świetnie zna francuski.

- Męczy panią rozmowa ze mną po angielsku?

- Ach, nie to - zarumieniła się. - Po prostu szybciej minie panom czas, gdy będzie jeszcze ktoś w domu.

Zrozumiał, że córka pastora miała być przyzwoitką. Eryk
T

Bjernsen, tak wiele czasu spędzający w morzu, był zapewne - jak wszyscy rybacy i marynarze - mężem zazdrośnym.

Wydało mu się to zabawne, ale i wzruszające równocześnie.

Pani Bjernsen nie wyglądała na osobę, która powinna tak dalece troszczyć się o pozory. I naraz wyobraził ją sobie w pięknych sukniach Marynki, w uczesaniu, które nosiła, a które najbardziej nadawało się do jasnych włosów. Gdyby rozpuściła je tak jak Marynka na ramionach... - myśl się urwała, zastąpiła ją inna, zdumiona i bolesna. Od jak dawna nie nawiedzał go obraz Marynki tak wyraźny i ostry, że był nie tylko kształtem, barwą, ale i cierpieniem? Opuścił

Vaxholm w momencie, kiedy internowani oficerowie rozważali możliwość zwrócenia się do kierownictwa szwedzkiej marynarki wojennej z prośbą o pomoc w sprowadzeniu do Szwecji pozostawionych w Polsce rodzin. Gdyby do tego doszło, Marynka niechybnie by się o tym dowiedziała. Dwukrotnie za pośrednictwem poselstwa pisał do niej ze Sztokholmu, ale nie otrzymał odpowiedzi i nie wiedział, czy te listy do niej dotarły. Może także mógłby ją sprowadzić, choć nie była jego żoną, choć nie zdążyli wstąpić do księdza kapelana, żeby związała ich ręce stulą po owej nocy przedślubnej, którą upamiętniły tylko wystrzały z Schleswiga-Holsteina...

- Panowie zmęczeni - pani Bjernsen podniosła się z krzesła. - Podam herbatę i coś do jedzenia. Mam upieczone mięso. Spodziewałam się dzisiaj panów. Zerwali się, żeby pomóc, ale powstrzymała ich gestem ręki. Może bała się bliskości mężczyzn w ciasnej kuchni, a może naprawdę nie chciała przerywać ich wypoczynku. Zresztą bardzo szybko znalazła się na stole parująca smakiem wonią pieczeń wołowa, jakieś przyrumienione kiełbaski, cynowa misa z przysmażonymi ziemniakami, prawie wrząca herbata w ogromnych fajansowych kubkach i wcale pokaźna butelka rumu.

- To przeciwko przeziębieniu - powiedziała gospodyni jakby dla usprawiedliwienia, chyba przed samą sobą. - Mój mąż, kiedy zmarł, zawsze rozgrzewa się rumem.

- Chwała Brykowi Bjernsenowi, który zna zalety rumu!

- zawołał Wołodia. - Zrobimy sobie wspaniały grog! Nie do wiary! Marzyłem o nim przed chwilą.

Zbliżył butelkę do kubka pani Bjernsen.

- Mnie proszę nie nalewać! - przeraziła się. - Nie wróciłam z gór.

Kapitan nalał rumu Grzesiowi i sobie, a gdy pokój napełnił się aromatyczną wonią, jeszcze raz spojrzał pytająco na kobietę.

- No, troszeczkę! - zgodziła się ostrożnie.

Była jakby zasznurowana, spętana sytuacją ponad jej siły i chyba wyrobienie towarzyskie - prawdopodobnie po raz pierwszy gościła w domu obcych mężczyzn pod nieobecność męża. Ejże - pomyślał Wołodia - a angielscy turyści, dla których tak świetnie opanowała ich język? Wszystko to zaczynało go coraz bardziej bawić. Rum z gorącą herbatą spływał w ciało trochę sennym, trochę podniecającym ciepłem, perspektywa trzech dni w tym cudownym domu wydawała się bajkowa, a w dodatku czekała ich jeszcze pastorał, prawdopodobnie równie zasznurowana wobec mężczyzn jak jej przyjaciółka ze "Sportartiklen". A gdyby je tak "rozsznurować"? - pomyślał Wołodia, ale zaraz odwrócił wzrok od bukiecików weselnych, które tak wysoko i pięknie trzymała przed sobą pani Bjernsen. Jeszcze nie wygrałeś wojny, mój stary, jeszcze masz coś do zrobienia, przyrzekłeś to sobie i dotrzymasz. Na wszystko inne przyjdzie czas i będzie to wielkie święto, w którym kobiety kochać będą żołnierzy i nie pozwolą im zasnąć w tę pierwszą spokojną noc...

- Ale pan nic nie je - szepnęła pani Bjernsen. Patrzyła z niepokojem na swego gościa, Wołodia miał przez chwilę

wrażenie, że odgadła jego myśli.

- Jem! - zawołał. Nałożył sobie potężny kawał pieczeni, zerknął, czy Grześ nie ma pustego talerza, ale Grzesia nie trzeba było zachęcać do jedzenia, zmiatał po kolei wszystko, co było na stole.

- Jak panu... jak panom na imię? - spytała pani Bjernsen.

- Kolega ma na imię Gregory, po polsku: Grześ. A ja

- kapitan zawahał się, patrzył na pytającą go o imię kobietę z zamyślonym uśmiechem - ja: Wołodia. To rosyjskie zdrobnienie od Włodzimierza. Bo urodziłem się i wychowałem w Rosji. Tak nazywali mnie rodzice, a później i koledzy, już w Polsce...

- Wołodia... - powtórzyła z trudem.

- Tak. To bardzo ładnie brzmi w pani ustach.

- Ładnie? - przestraszyła się. - Nie umiem tego wymówić.

- Nauczy się pani - szepnął.

Zajęła się gorliwie Grzesiem. Podsunęła mu masło i chleb, bo misa z ziemniakami była już pusta, nałożyła nową porcję kielbasek. Ale zaraz zwróciła się znów do drugiego swego gościa, z którym mogła wieść rozmowę.

- Kim pan jest? - zapytała i poprawiła się zaraz niezręcznie: - Kim pan był?

Uśmiechnął się, żeby rozgrzeszyć ją z tego.

- Żołnierzem. Teraz i przedtem żołnierzem.

- Tak, oczywiście - szepnęła, spuszczaając głowę.

- Czy nie myślicie, że i tu... - zapytał ostrożnie - że i wasi mężczyźni...

- My tak - przerwała mu - my o tym myślimy. Tylko rząd nie chce się narazić Niemcom jakimikolwiek przygotowaniami. Może sądzi, że jawna bezbronność onieśmieli napastnika, skłoni go do pozostawienia nas w spokoju. Ale oni nas w spokoju nie zostawia - dodała po chwili zamyślenia. - Był pan w Kirunie, prawda?

- Byłem - potwierdził. Już wiedział, do czego zmierza.

W jednej chwili stała się inną kobietą, opuściła ją nieśmiałość i skrępowanie; w tym domu, którego właściciel odważał się nieść pomoc pokonanym, wiedziono rozmowy nie tylko o cenach sprzętu narciarskiego i zabawek.

- Z Kiruny - ciągnęła - i z sąsiedniej jeszcze większej kopalni Gallivare Niemcy importują rudę żelazną. Chyba ponad dziesięć milionów ton, to coś znaczy dla ich przyszyłych czołgów i samolotów. Większa część tych transportów idzie przez port Lulea w Zatoce Botnickiej, ale Lulea zamarza na długie miesiące zimowe i wtedy potrzebny jest nie zamarzający ze względu na Golfstrom port w Narwiku i linia kolejowa z Kiruny, którą jechaliście. Niemcom niezbędna jest szwedzka ruda i niezbędny jest Narwik.

- Rozumiem - powiedział Wołodia.

- Chyba jednak nie wszystko. Bo i Anglikom przydałaby się szwedzka ruda, a przede wszystkim chcieliby ją odebrać Niemcom. A oni do tego nie dopuszczają. Tak więc jesteśmy w tej chwili pierwsi w niemieckim rozkładzie jazdy.

- Będziecie się bronić? - spytał po długiej chwili milczenia.

Pani Bjernsen wyglądała znów dłońmi serwetę, przesunę-

ła pustą misę po ziemniakach, poprawiła swoje sztucce, choć leżały równo obok talerza.

- Przypuszczam, że tak. Jeśli zdążymy. Armia nie jest przygotowana. Ministrem wojny był u nas do niedawna Vidkun Quisling. Mówi panu coś to nazwisko?

- Tak. Nasłuchałem się o nim w Szwecji. Coś w rodzaju "piątej kolumny", którą mieliśmy i w Polsce.

- Więc rozumie pan - powiedziała, mimo woli ścisząc głos - że jeśli tak bardzo zależy nam na zachowaniu ostrożności, co może nawet zdumiewać i niecierpliwić...

- Przepraszam - szepnął Wołodia w pełnym poczuciu winy.

- To ja przepraszam. Gdybyśmy się bali tylko władz norweskich, przestrzegających pozorów neutralności, wszystko wyglądałoby inaczej. Ale mamy Unię Narodową, faszystowską partię z panem Quislingiem na czele, a oni są bardziej czujni niż norweska straż graniczna. I z innymi represjami musimy się liczyć, jeśli wkroczą tu Niemcy.

- Przepraszam - powiedział jeszcze raz Wołodia.

- O czym mówicie? - spytał Grześ z pełnymi ustami.

- Potem ci powtórzę.

- Czy będziemy mogli zaraz położyć się spać?

- Przypuszczam, że tak. Muszę pani coś powiedzieć

- Wołodia zwrócił się znów do pani Bjernsen. Wsunął palce w swoje zwichrzone włosy, których od dawna nie tknęła ręka fryzjera, zatargał nimi, aż go zabolalo. Pragnął przykryć dłońmi leżące na stole ręce pani Bjernsen, ale bał się, że źle to zrozumie. - Muszę pani coś powiedzieć... Co dnia, kiedy się rano budzę, widzę swój okręt, jak płonie i pogrąża się w wodzie. Trzy dni, rozumie pani? Trzy dni brał udział w wojnie, niecałe nawet, bo trzeciego już przestał istnieć i odtąd wciąż pali się i tonie w moich oczach, każdego ranka, zanim je otworzę i zobaczę, że wokół jest inny świat, inny rzeczywisty świat, bez tego widoku. Nie narażalibyśmy was na niebezpieczeństwo, gdyby można było o tym zapomnieć. Tage, przewodnik szwedzki, który towarzyszył nam aż do stacji granicznej Bjórnefjell, gdy podczas przekraczania granicy w górach opuściły go na chwilę siły i cierpliwość, a chyba także i dobra wola, powiedział nam, że moglibyśmy bezpiecznie siedzieć w Szwecji, bezpiecznie przeczekać w niej wojnę. Czy pani też tak myśli?

- Nie - powiedziała cicho. - Cokolwiek by się potem stało, nie.

- Dziękuję. - Znowu chciał przykryć dłonią jej ręce, choćby dotknąć ich na chwilę, ale bał się, że to źle przyjmie. Mała kobietka, goszcząca obcych mężczyzn pod nieobecność męża... - Dziękuję - powtórzył. - Człowiek przede wszystkim dla samego siebie musi być coś wart. Potem niech go oceniają inni. Nie pozbędę się tego widoku spod powiek, dopóki nie zobaczę, jak ich okręty płoną i zapadają się w wodę, dopóki się do tego ja sam nie przyczynię. I tylko dla tego pragnienia, dla tej myśli i nadziei odważamy się liczyć na pomoc, prosić o nią...

Zarumieniła się gwałtownie.

- Niech pan nie prosi! Niech pan w ogóle nie używa tego słowa. Dla nas, przede wszystkim dla mego męża, jest to

sprawa całkowicie jasna i oczywista.

- O czym mówicie? - spytał znowu Grześ. Wymiótł do czysta talerz, głos miał senny.

Pani Bjemsen spojrzała na zegarek.

- Muszę wracać do sklepu. A panowie na pewno z ochotą położą się spać. Przygotowałam pokój na górze. Wstępowali za nią po stromych schodkach, mając przed oczyma jej nogi w kolorowych wzorzystych pańczochach, widoczne spod krótkiej, kołyszącej się przy każdym kroku spódnicy. Zdawała sobie z tego sprawę, bo biegła pod górę szybko, żeby jak najbardziej zwiększyć dystans między sobą a postępującymi za nią mężczyznami. Wołodziej zachowanie wydało się znów zabawne, ale i wzruszające równocześnie. Trzy dni - pomyślał. - Całe trzy dni!

Pokój na górze był prawdopodobnie sypialnią Bjemsenów. Podwójne małżeńskie łóżko królowało w nim pod ścianą na wprost drzwi. Na jaśniejących świeżą bielą poduszkach leżały dwie pasiaste piżamy Eryka Bjemseny, przygotowane dla gości.

- O mój Boże! - cichutko westchnął Grześ. - A taka wydawała nam się na początku wredna.

- Wyjedziemy stąd zakochani - powiedział Wołodia. Przysłuchiwała się z uśmiechem temu, co mówili, i jakby dla zmiany tematu zwróciła ich uwagę na widok za oknem. Fiord Salt... Jego północna ściana, tak zdawałoby się bliska, że 'chciało się ku niej wyciągnąć rękę, stała teraz w nikłym blasku bladego arktycznego słońca. Był to rodzaj mlecznej poświaty, nie obrysowującej konturów domów i skał, nie tworzącej cieni, ale barwiącej wszystko łagodnym rozjaśnieniem, które zdawało się być bardziej nastrojem niż barwą. W dole przy nabrzeżu stały kutry i łodzie rybackie, kilka wychodziło właśnie z portu. To stąd mieli za trzy dni wypłynąć - obydwaj pomyśleli o tym z Grześiem.

- A teraz spać! - powiedziała pani Bjemsen. - Odespać wszystkie zaległości, a nawet, o ile to możliwe, wyspać się na zapas. - Była już w progu, gdy powiedziała, nie odwracając ku nim głowy: - Łazienka i toaleta są w korytarzu.

- O czym mówiła? - zapytał od razu Grześ, choć nie zamknęła jeszcze drzwi.

- Że klozet w korytarzu - wyjaśnił Wołodia, ściągając sweter.

- Przez cały czas o tym myślałem. Bo się tak objadłem... I gdybym musiał w nocy...

. - To już lepiej idź teraz. Tylko uważaj - Wołodia nie wiedział, jak to sformułować. - Gdzie to widziałem taki napis? "Opuść to miejsce w takim stanie, w jakim je zastałeś!"

- Co pan, kapitan? - obraził się chłopak. Zrezygnował z wyjścia do toalety, rozebrał się błyskawicznie, włożył za dużą na niego piżamę Eryka Bjemseny i ledwie przyłożył głowę do poduszki, od razu zasnął.

Wołodia mu tego pozazdrościł. Pragnienie snu, które nękało go w ciągu ostatnich kilku godzin, zanim znaleźli się w pokoju za sklepem pani Bjernsen, podczas rozmowy z nią opuściło go, rozproszone przywołanymi wspomnieniami,

a także ostrym wyobrażeniem tego, co ich czekało. Rozbijając się, wyjął z kieszeni i położył na stoliku nocnym papierośnicę, którą dali mu koledzy z Rybitwy, gdy opuszczał ten okręt, przechodząc na Gryfa. Dwa razy wręczał ją Grzesiowi i oto znowu miał ją przy sobie. Pierwszy raz chciał ją wymienić na prześcieradło i spirytus, kiedy wobec zbliżającej się kapitulacji Helu postanowił zdobyć je dla starej rybaczki, która opatrzyła jego rany po pożarze i zatonięciu Gryfa. Grzesiowi dla załatwienia tej sprawy papierośnica nie była potrzebna. Drugi raz dał mu ją, gdy po internowaniu Batorego, kutra Straży Granicznej, którym udało im się uciec z Helu i dotrzeć do Gotlandii, władze szwedzkie zatrzymały oficerów i podoficerów, a sześć pozostałych osób zwolniły. Był wśród nich Grześ. Mógł najać się gdzieś w Szwecji do pracy, mógł wrócić do kraju, ale on dał mu papierośnicę i wiedział, że chłopak pozostanie w pobliżu twierdzy w Vaxholm i będzie na niego czekał. I tak było, jak się spodziewał – kiedy po raz pierwszy wydano im przepustki, odebrawszy uprzednio przyrzeczenie, że nie podejmą prób ucieczki, kiedy wreszcie mogli opuścić koszary fortecy, a nawet udać się do Sztokholmu, Grześ jak spod ziemi zjawił się przed nim z ubraniem cywilnym dla niego pod pachą i znowu nie musiał sprzedawać papierośnicy, żeby je zdobyć. Okazała się potrzebna zaraz podczas pierwszej wizyty, jaką złożył w Sztokholmie w domu przedstawiciela koncernu węglowego, którym w Gdyni kierował Słubicki. Poznał go właśnie u szefa na kartach, nie przypuszczając, że nadejdzie czas, kiedy ów Fredzio Rokicki, licytujący dwa bez atu, kiedy miał szóstkę w kolorze i vice-renons, stanie się dla niego prawdziwą opatrnością w nazbyt stanowczo gościnnej Szwecji. Pani domu miała kuchynia na Rybitwie i ze wzruszeniem oglądała papierośnicę – niestety, nie umiał jej powiedzieć, co się stało z załogą małego bohaterskiego okrętu. Ostatni raz widział się z kolegami czternastego września, gdy trałowce zostały zbombardowane pod Jastarnią i tylko Rybitwa zdołała dojść o własnych siłach do portu w Helu. Potem już się nie widzieli, na różnych odcinkach wybrzeża bronili półwyspu przed desantem. – Może dostał się do niewoli, a może... – szepnęła, oglądając i gładząc papierośnicę, zanim oddała ją właścicielowi. I już go nie puściła ze swego domu. Jego i Grzesia, bo chłopak wciąż go się trzymał i nie sposób było ich rozłączyć.

Na drugi dzień zjawił się w domu Rokickich agent jakiejś firmy angielskiej – przynajmniej jako takiego Rokicki mu go przedstawił. Może tylko w karty grać nie umiał, w innych, ważniejszych sprawach wykazywał większą bystrość. W rozmowie, jakby mimochodem, zaczęto rozważać możliwości dostania się do Anglii. Nikt nikogo nie werbował ani nie namawiał, omawiano sprawę z chłodnym do niej dystansem i tylko w jednym momencie nie zdołał opanować bolesnej żarliwości w głosie. Mówili o owym przyrzeczeniu, które polscy oficerowie musieli złożyć na piśmie, zobowiązując się do powrotu pod opiekę kapitana Regnera Erfassa, w twierdzy Vaxholm. Powiedział wtedy, iż nie sądzi, aby jego honor oficerski mógł ucierpieć, jeśli nie dotrzyma tego przyrzeczenia. Nie został internowany w Szwecji wraz ze swoim okrętem, jak załogi Sępa, Rysia i Żbika. Zjawił się tu prawie

prywatnie na pokładzie kutra Straży Granicznej, któremu udało się przedrzeć przez blokadę niemiecką wokół Helu - a przyrzeczeniem, obowiązującym go do końca życia, była przysięga wojskowa. - Tak myślałem - powiedział Anglik. Rokicki się nie odezwał, ale to on przecież zatrzymał go w swoim domu i skontaktował z agentem tej wielkiej firmy angielskiej, której pomyslnosć wypili zaraz pięciogwiazdkowym martelem. Potem on wyciągnął swoją papierośnicę i poczęstował Anglika polskimi Wawelami z zaopatrzenia okrętów podwodnych, a agent angielski długo trzymał ją w ręku i zaczęła się zaraz rozmowa o bohaterstwie "ptaszków" podczas obrony Helu, o skutecznej osłonie załadowanego minami Gryfa w dniu pierwszym września, o zestrzeleniu przez Jaskółkę junkersa pod Jastarnią i zespołowych wypadach pod Rewę z odsieczą oddziałom pułkownika Dabka, obleganym przez piechotę niemiecką...

I teraz otworzył papierośnicę, żeby wypalić papierosa przed snem. Położył ją potem na nocnym stoliku, błyszczała w mroku srebrną powierzchnią i złotą plakietką na niej, przedstawiającą ptaka o szeroko rozpostartych w locie skrzydłach. Obok pochrapywał przez sen Grześ, a na dole mała kobietka, choć zajęta w swoim sklepie, myślami była przy nich i czuwała nad ich bezpieczeństwem - wojna nie odmawiała mu swej łaskawości w chwili, kiedy po raz drugi na nią wyruszał.

Obudził się z głębokiego, kojącego snu z uczuciem, że ktoś się nad nim pochyla, że ktoś na niego patrzy. Otworzył oczy - pani Bjernsen wydała okrzyk ulgi.

- O Boże! Już myślałam, że się panu coś stało.

- Mnie?

- Czy wie pan, która godzina? Szósta wieczór.

- Szósta? - wymamrotał.

- Tak, ale następnego dnia! Właśnie zamknęłam sklep.

Zagładałam tu kilka razy rano i po południu. ?

- Nic nie słyszałem.

- Pana kolega przynajmniej chrapie, ale pan spał tak cicho... - Wyprostowała się i już nie miał tak blisko nad sobą jej oczu, pociemniałych z niepokoju. - Przestraszyłam się, że pan nie oddycha...

- Cóż znowu? - roześmiał się głośno i szczęśliwie.

I w tej samej chwili uświadomił sobie, że leży w nie pozapinanej piżamie Eryka Bjernsena i że wzrok kobiety, utraciwszy swój zaniepokojony wyraz, spoczął na jego nagich piersiach. Powinien był podciągnąć w górę kołdrę, przykryć się nią po brodę, ale nie uczynił tego. Nie wstydził się swego ciała, służyło mu dobrze, lubił je, nie sprawiło mu nigdy zawodu, nawet w górach podczas przejścia przez granicę dawał sobie radę lepiej niż dwudziestoletni Grześ. A gdy patrzyły na niego kobiety, cieszył się nim podwójnie. Czy była jakaś zdrożność w tej radości? Jakże mógł ją pohamować, widząc, że szarą zwykle twarz pani Bjernsen pokrywa krwisty rumieniec, a w jej oczach zapala się głębokie, rozjaśniające je światło. - Wyspałem się cudownie! Powiedziała pani przecież, żebyśmy wyspali się na zapas.

- Chyba za bardzo się pan tym przejął...

Oddaliła się już od łóżka, stała przy drzwiach i dopiero

teraz spostrzegł, że uczesana jest inaczej niż poprzedniego dnia, że była rano u fryzjera albo sama umyła sobie wieczorem włosy - lśniły jak zmyta letnim deszczem pszenica, a na karku, pod wysoko i fantazyjnie upiętym kokiem, wiło się mnóstwo drobnych loczków.

Wzruszyło go to, ale uznał, że lepiej będzie nie przyznawać się do tego. Jeszcze dwa dni, pomyślał, jeden już przespałeś, więc jeszcze tylko dwa dni... Bardzo ostrożnie wyrażając to, co czuł, powiedział:

- Ładnie tak!

- Co? - zapytała, choć na pewno wiedziała, o czym mówi.

- Ładnie pani w tym uczesaniu. Powinna pani...

- Zawsze się tak czeszę - przerwała mu, jeszcze bardziej zapłonioma. - Tylko wczoraj... Tyle pracy, w domu i w sklepie...

- A teraz jeszcze kłopot z nami. Ale już wstajemy i będziemy pomagać.

- Nie ma przy czym. Kiedy byłam w sklepie, Harriet przygotowała wspinałką kolację.

- Harriet?

- Moja przyjaciółka. Mówiłam, że przyjdzie. Córka pastora. Niech pan zbudzi kolegę i zejdzie na dół.

Wołodia dotknął dłonią swojej szorstkiej brody.

- Przedtem musimy się ogolić.

- W łazience są przybory do golenia. Proszę z nich skorzystać.

- Dziękuję. Postanowiłem wprawdzie zapuścić brodę, ale może zabiorę się do tego dopiero w Anglii.

- Taki ciemny ma pan zarost - powiedziała cicho. Stała wciąż przy drzwiach, dawno już powinna wyjść, żeby mogli się ubrać, ale dłoń jej leżała na klamce nieruchomo, leniwie i bezwolnie, jakby nigdy nie miała jej nacisnąć.

- Tak - Wołodia poczuł się tym trochę speszony

- zupełnie czarny, ale zaraz wyskakuję z łóżka i za chwilę go nie będzie...

Chwycił róg kołdry, co -jak sądził - winno przyspieszyć wyjście pani Bjernsen z pokoju. I przyspieszyło. Bo w tej samej chwili oczy jej spoczęły na spodniach od piżamy, które Wołodia, włożywszy swoim zwyczajem tylko kurtkę, przewiesił z szacunkiem przez poręcz łóżka, żeby się nie pogniotyły i żeby od razu było widać, że ich nie używał. Pani Bjernsen przyglądała się im z pomieszaniem i grozą.

- Och, przepraszam - jęknęła. - Przepraszam!

Wypadła na schody, które zadudniły pod jej gwałtownymi krokami.

- Jeszcze się zabije na schodach - mruknął Grześ. Nie

spiał już, rozbudzony rozmową. - Żeby ten Bjernsen wcześniej wrócił z morza! - dodał, nie patrząc na kapitana.

- Bo jak tu dłużej pobędziemy, a on pojmie, co się święci, to nas potopi zamiast dowieźć do Anglii.

- Nie bój się - powiedział Wołodia z łagodnym, prawie tkliwym smutkiem, który go jednak ogarnął - nic się nie stanie.

- A może by pan kapitan zajął się pastorówną?

- Właśnie mam zamiar to zrobić.

- Ale wtedy znów nasza będzie wściekła - zamyślił się Grześ - i jeszcze nas otruje, zanim stąd wyjdziemy...

- Ubieraj się! - krzyknął kapitan. - Co sobie w końcu wyobrażasz, po co wyruszyliśmy na tę wojnę? Żeby bić się czy żeby... - urwał, nie dokończywszy zdania. Grześ był synem kościelnego czy też organisty z jakiejś wsi pod Tczewem, nie wiedział tego dokładnie i nigdy nie przyszło mu na myśl, żeby go o to zapytać. W każdym razie wciąż mu się wydawało, że za chłopakiem ciągnie się woń kadzidła i że trzeba hamować przy nim język.

Grześ jednak odezwał się całkiem niespodzianie:

- Bez przerwy przecież bić się nie będziemy.

- Nie wiem, może? - jakoś bardzo cierpko odpowiedział mu kapitan.

Panna Harriet Halvind, jedyna córka miejscowego, owdowiałego niedawno pastora, którą zastali na dole, w sposobie bycia przypominała panią Bjernsen. Miała w głosie ten sam ton, trzymający ludzi na dystans, ale... tak jak i ona, tylko na początku rozmowy. W miarę upływu czasu dystans ów zaczynał się zmniejszać o wiele szybciej, niż tego pragnęła, niż była w stanie to sobie kiedykolwiek wyobrazić. Przyjaciółka patrzyła na nią z niepokojem. Z wyraźnego szacunku, z jakim się do niej zwracała, można było wnioskować, iż uważa ją - a w każdym razie uważała dotąd - za doskonałość, że zaprosiła ją po to, aby była tej doskonałości widowym wzorem, wspierającym jej własną słabość. Ale nim nie była. Nie była.

Znacznie wyższa od pani Bjernsen, sprawiałaaby wrażenie sportsmenki, gdyby nie okulary, które nosiła, a które ją wyraźnie peszyły. Dotykała ich raz po raz nerwowo, poprawiała na zaczerwienionym po bokach od ich noszenia nosie i powiedziała wreszcie:

- Zepsułam sobie wzrok czytaniem. Od dziecka dużo czytałam. A u nas, kiedy zapada noc na długie miesiące...

- mówiła to po francusku i Wołodia zrozumiał, że tylko jemu czyni to wyznanie. Powinno mu się to wydać naturalne - z Grzesiem w ogóle nie mogła się porozumieć, przyjaciółka wiedziała o niej wszystko od urodzenia - a jednak zaskoczyło go to i zmieszało.

- Ależ są twarze - zawołał żarliwie - którym doskonale jest w okularach! Pani nie umiałbym sobie w ogóle bez nich wyobrazić! - Pragnął zrobić coś dla tych kobiet w Bodę. Może miejscowi mężczyźni nie prawili im komplementów, może kochali je z północną oziębłością, a turyści po wylądowaniu za szybko szli w góry?

- Och, pan bardzo uprzejmy - powiedziała panna Halvind. Patrzyła na smagłego mężczyznę z zabarwionym lękiem niedowierzaniem. Nie dotyczyło ono słów, które wypowiadał, ale jego samego - nie była pewna, czy naprawdę istnieje.

Nauczycielka, myślał Wołodia, nauczycielka matematyki, wstydząca się, gdy czasem przyjdzie jej pobłażać swoim uczniom. Albo pracownica biblioteki, podsuwająca czytelnikom książki Sigrid Undset i Emilii Bronte, zamierająca z podniecającego zgorszenia, gdy ktoś prosi o Hemingwaya

lub Joyce'a. - A może niech pan nam coś powie o sobie

- poprosiła, uprzedzając jego pytanie.

- O sobie? - powtórzył bez radości Wołodia. Zagłębia-
nie się w życie ludzi, których poznawał, w ich świat, tak
odmienny od własnego, było ukojeniem i nie miał ochoty
z niego rezygnować. - Czy pani Bjernsen nie powiedziała,
że udaję się do Anglii?

- Powiedziała, oczywiście, nie mamy przed sobą sekre-
tów. Ale chciałabym wiedzieć coś więcej. Kiedy pan stąd
odjedzie... o nic już nie będzie można zapytać... - Panna
Harriet Halvind dotknęła znów palcami srebrnej oprawki
swoich okularów. Wyglądała, jakby ganiła samą siebie za to,
że powiedziała coś niewłaściwego. - Nie chciałabym,
oczywiście, być natrętna - szepnęła.

Pani Bjernsen patrzyła na przyjaciółkę w czujnym napię-
ciu. Nie знаła francuskiego i, być może, żałowała teraz, że
zapraszając ją, dość nierozważnie wyłączała siebie z uczest-
niczenia w rozmowie. Zapytała, jak Grześ przed chwilą:

- O czym mówicie?

- Panna Harriet chciałaby wiedzieć o mnie coś bliższego

- wyjaśnił Wołodia po angielsku.

- Mnie pan nic nie powiedział - pochyliła głowę
i zagryzła wargi.

- Owszem, powiedziałem pani prawie wszystko. Powie-
działem, po co chcę dostać się do Anglii. I co mnie do tego
zmusza. Poza tym, wydaje mi się, w ogóle nie mam
życiorysu.

- O czym mówicie? - zapytała panna Halvind.

Wołodia zwrócił się do niej z uśmiechem:

- Właśnie wyjaśniałem pani Bjernsen, o czym rozma-
wiałem z panią.

Rozmowa była więc dla niego pracowita. Na szczęście
Grześ przestał się już odzywać i dopytywać o jej treść i trzeba
było tylko tłumaczyć pani Bjernsen to, o czym rozmawiał
z panną Halvind, i na odwrót. Grześ żarł przez ten czas
cielęcinę i uśmiechał się nad talerzem.

- Wydaje mi się - powtórzył Wołodia po francusku

- że w ogóle nie mam życiorysu.

- Czy to możliwe?

- Możliwe. Jeśli liczy się tylko to, co będzie. Co ma być. •

Co ma zmasać klęskę, którą nam zadano. Życiorys to także
rozmyślanie, czy powinniśmy ją ponieść. Czy nie było w tym
jakiegoś naszego zaniedbania, nierozwagi, bezmyślności...

- Służył pan w wojsku zawodowo?

- Tak!

- W jakiej broni?

- W marynarce.

- Był pan oficerem?

- Kapitanem artylerii na stawiaczu min, który zatonął
już trzeciego września. I to właściwie już wszystko, co
mógłbym o sobie powiedzieć.

- Zostawił pan w kraju rodzinę? - panna Halvind nie
miała zamiaru zrezygnować z dalszej indagacji. Znowu
dotknęła palcami okularów, widocznie i teraz ganiła siebie
za popełniony nietakt, ale nie mogła się przed nim powstrzy-
mać.

- Tak. Ojca.

-Tylko ojca?

- Tylko ojca - odpowiedział z naciskiem. - Nie licząc macochy.

- Nie był pan żonaty? - wykrzyknęła prawie córka pastora.

- Nie - uśmiechnął się. - I dopiero teraz widzę, ile było w tym rozsądku.

Zamilkła, rozważała zapewne, czy ostatnie słowa są złośliwością pod jej adresem, czy też odnoszą się do niepewności wojennych losów.

Wołodia pośpieszył to wyjaśnić, starając się, żeby w głosie zabrzmiała nutka melancholii:

- Przynajmniej nikt nie będzie płakał po mnie.

- To niemożliwe - szepnęła.

- O czym mówicie? - zawołała pani Bjernsen.

Wołodia powoli odwrócił głowę i spojrzał na nią.

- Że nikt nie będzie płakał po mnie.

- Dlaczego?

- Poza ojcem nie mam rodziny.

- I co na to powiedziała Harriet?

- Powiedziała coś, czego nie rozumiem.

- Co powiedziała?

- Że to niemożliwe. Niemożliwe, żeby nikt nie płakał po mnie.

- Styczniowe sztormy na Vikingbank są najgorsze.

- Pani Bjernsen uznała najwidoczniej grożące mu niebezpieczeństwa za bardzo doraźne i bliskie.

- Co mówisz o Vikingbank? - spytała Harriet po norwesku.

Wołodi zaczynało kręcić się w głowie. Spojrzał na Grzesia, jakby u niego szukał ratunku, ale chłopak pochłaniał właśnie ogromny kawał drożdżowego ciasta i nie odrywał od niego oczu. Kąciki ust drgały mu tylko powstrzymany śmiechem.

- Powiedziałam, że na Vikingbank styczniowe sztormy są najgorsze.

- Co nas obchodzi Vikingbank?

- Bo Eryk wyznaczył taką trasę rejsu. Najpierw na południe, wzdłuż wybrzeży do Bremangerland, a stamtąd przez Vikingbank do Lerwick na Szetlandach.

Nazwy geograficzne pozwoliły Wołodi włączyć się do rozmowy.

- Przykro mi - powiedział do pani Bjernsen -' z powodu tych sztormów. Ale nie my wybieraliśmy porę na tę wojnę.

- Tak, oczywiście - szepnęła.

Boi się, pomyślał, boi się o męża. I zamarzyło mu się nagle, że także i o niego, o niego i o chłopaka, który był razem z nim. Wydała mu się pomocna we wszystkich niebezpieczeństwach - ta myśl bolesna kochających kobiet, ale gdzie były te, które ich kochały? Żadna z nich nie wiedziała, co się z nimi dzieje, co im zagraża. Ani matka Grzesia w jakiejś wsi pod Tczewem, ani Marynka Blok, którą miał ósmego września wyprowadzić z kościoła pod skrzyżowanymi oficerskimi kordami. Dlaczego powiedział przed chwilą tej ciekawej, tej zasmucającej ciekawej dziewczynie w małym miasteczku norweskim, w którym nic się nie działo, że

oprócz ojca nie ma nikogo? Często - zwłaszcza w książkach - poza mężczyzn, którzy pragną być samotni, gdy zagraża im niebezpieczeństwo, wydawała mu się tania i fałszywa. Och, jakże pragnęli, żeby ich ktoś kochał, żeby ktoś czekał na nich! Przymknął oczy i zobaczył stary, po wielokroć oglądany film - dziwne - nie wyblakły, nie zniszczony od tego za częstego oglądania: w niskiej rybackiej izbie Anetka Briffaut, przybyła właśnie z Francji do polskiej nadmorskiej wsi, w której jej mąż budował port, Anetka Briffaut, o głowie rdzawej i połyskliwej jak kasztan, rozpakowywała swoje paryskie walizy. Prócz sukien, bielizny i kreciego futra, które nosiła wieczorami nawet w lecie, gdy od zatoki wiał chłodny wiatr, prócz sardynek, serów i wina przywiozła w nich najnowszy tom Prousta i niosąc go w wyciągniętej dłoni, patrzyła nie na męża i nie na Lebraca, szefa firmy, zapewne także nudzącego się w tym pustkowiu, ale na chłopca w postrzępionej marynarce, który rozpoczął z nią rozmowę o Balzaku, wielbionym przez nią, póki nie zaczęła czytać Prousta. Dlaczego znowu zobaczył ten dzień, dlaczego usłyszał tamten czas, poczuł jego woń i smak? Zakazał sobie do niego wracać, zakazywał wciąż na nowo i oto znowu był nieposłuszny i krnąbrny: Anetka Briffaut w małej rybackiej izbie rozpakowywała swoje walizy...

- Czy coś się stało? - spytała cicho pani Bjemsen.

Przytomniał z trudem.

- Nie. Dlaczego?

- Bo tak pan zamilkł.

- Myślałem o tym, co czeka nas na Yikingbank.

- Nie mówmy już o tym.

-Zgoda, nie mówmy. >

-I tak mało pan je...

- Berit, znowu nie wiem, o czym rozmawiacie - odezwała się panna Halvind z pretensją i niepokojem w głosie.

- Pytam pana, dlaczego nie je.

- Za długo spał i nie był dziś na powietrzu, chociaż to temu drugiemu nie odbiera apetytu. Myślałam, że ciasto zostanie na jutro... - urwała spłoszona, jakby cudzoziemcy mogli ją rozumieć. - Czy nie sądzisz, że można by im pozwolić na mały spacer?

- Och, nie - przestraszyła się pani Bjemsen.

- Ależ dlaczego? - panna Halvind zapalała się coraz bardziej do swojej myśli. - Niech się trochę przewietrzą. Od razu wyprawisz ich w ten sztorm na Yikingbank? Mogliby obejrzeć miasto. Ależ tak! Pokażę im jutro nasz kościół i zaproszę na kawę do siebie.

- Nie, nie - protestowała pani Bjemsen.

Olśniona swoim projektem córka pastora nie zwracała na to uwagi.

- Właśnie mówimy z Berit - zwróciła się do kapitana

- że panowie nie byli dziś na powietrzu. I że jutro moglibyście przejść się trochę, zwiedzić kościół i wpaść do mnie na kawę.

- Chętnie - powiedział Wołodia, pytając patrząc na panią Bjemsen.

Harriet ciągnęła dalej:

- Nasz kościół nie jest wprawdzie zabytkiem tej klasy, co katedra w Stavanger czy Trondheim albo drewniane kościo-

ły z jedenastego i dwunastego wieku w Gavmo, Borgund i Heddal, ale i tak jesteśmy z niego dumni, szesnasty wiek to już bądź co bądź coś znaczy. W naszej architekturze, jak i w całej sztuce, dopóki się z tego nie wyzwoliła, znać wpływy obce, dość długo byliśmy pod panowaniem Duńczyków i Szwedów, ale drewniane budowle sakralne i snycerstwo są czysto norweskie i właśnie będzie pan to mógł stwierdzić w naszym kościele. Budynek plebanii jest też ciekawy, choć oczywiście o wiele późniejszy.

- Nie! - krzyknęła Berit Bjemsen.

Popatrzyli na nią, ale tylko panna Halvind ze zdziwieniem.

- Co nie? - zapytała.

- Nie zgadzam się... nie mogę się zgodzić...

- Na co?

- Na to, żeby chodzili po mieście. Żeby stąd wyszli.

- Berit!

- Tak, nie mogę się zgodzić. - Pani Bjernsen czerwieniła się gwałtownie i zdawała sobie z tego sprawę, co peszyło ją jeszcze bardziej. - W końcu nie chodzi tylko o nich. Gdyby się ktoś nimi zainteresował, gdyby się zorientował, kim są...

Wiesz, że zwolennicy Quislinga...

- Och, Boże! - zawołała Harriet. - Wszędzie tylko wężysz quislingowców! W naszym spokojnym mieście?

- Nie! - powtórzyła pani Bjemsen. - Bardzo cię proszę, nie namawiaj ich i nie zapraszaj.

Wołodia miał wreszcie okazję zająć się jedzeniem. Nie rozumiał rozmowy obydwu kobiet, ale jasne dla niego było, że się kłóca i nietrudno było się domyślić dlaczego. Nawet Grześ to pojął, choć nie mówił mu, o czym poprzednio rozmawiali. Sięgnąwszy po przedostatni kawałek ciasta, mruknął:

- Krew się tu poleje. I to jeszcze zanim ten Bjemsen wróci z morza...

- Dlaczego? - zdziwił się niewinnie Wołodia. -

- Pan kapitan dobrze wie dlaczego. Chłopa te baby nie widziały?

- Widziały, widziały, możesz być pewny.

- No to czemu...

- Uspokój się, dobrze? Myślałem, że nie zostawisz ani jednego kawałka ciasta.

- Zostawiłem. Dla pana kapitana.

Wołodia musiał się w końcu uśmiechnąć. Grześ wbił w ciasto zęby i przymrużył oko.

- A one wciąż się kłóca.

Panna Halvind robiła to taktownie - z tym samym wyrazem twarzy mogła mówić w dalszym ciągu o norweskiej sztuce snycerskiej czy wczesnym budownictwie sakralnym w swoim kraju, właścicielka sklepu z szyldem "Sportartik-len" nie miała najwidoczniej tego obycia, bo czerwieniała i bladła, usta jej drżały, a oczy miały płomienie.

- No więc, dobrze, nie, to nie - ucięła tę scenę córka pastora. - Chciałam im sprawić przyjemność. W końcu trzy dni tylko w tym domu, jak w więzieniu...

- Jak w więzieniu? - zakrztusiła się pani Bjemsen.

- Powiedziałam: dobrze, moja droga. Za nic w świecie

nie chciałabym narazić cię na niebezpieczeństwo. Tylko trochę mi przykro... No, trudno. Jak pewnie pan się domyśla, panie kapitanie, Berit nie zgadza się, żebyście pokazywali się w mieście. Obawia się, że ktoś mógłby...

- Rozumiem. Wczoraj rozmawialiśmy na ten temat.

- Moim zdaniem jej obawy są przesadzone, ale oczywiście ona decyduje w tej sprawie. Już nie będziemy o tym więcej mówić. Przysięgam być miła do końca wieczoru. Prawda, jak ładnie Berit w tej nowej fryzurze? Kochanie - zwróciła się do przyjaciółki po norwesku - zapomnijmy o tym temacie. Właśnie powiedziałam kapitanowi, że świetnie ci w tej nowej fryzurze... Uważam, że powinnaś się stale tak czesać, nie tylko od święta.

Pani Bjemsen wstała i wyszła do kuchni. Nie wracała z niej długo, a kiedy wreszcie się pojawiła z dzbankiem gorącej kawy, nie patrzyła na niego.

Następnego dnia zamknęła sklep. Spuściła żeluzje.

- Co się stało? - spytał kapitan.

- Przecież idziemy.

- Dokąd?

- Czy Harriet nas nie zaprosiła?

Nie mógł poskromić uśmiechu, choć na jej twarzy nie było cienia wesołości.

- Właściwie tak. Ale czy zamknięty sklep nie zwróci uwagi...

- Wywiesiłam kartkę, że wyjeżdżam po towar do Narwiku. Często tak robię. Mogę więc i dziś.

- Brawo! Mały rewanż dla panny Halvind? - spytał półgłosem.

- Ach, nie - zmieszała się - o czym pan myśli? Harriet jest dobra, bardzo dobra, tylko może... w sposób trochę okrutny: chciałaby, żeby wszyscy dorównywali jej w doskonałości. A to - dodała ciszej - nie każdemu i nie zawsze się udaje.

Panna Halvind była rzeczywiście doskonałością. Nie wyraziła najmniejszego zdziwienia. Otworzyła im drzwi z wyrazem uprzejmego oczekiwania na twarzy, tak jakby na pewno się ich spodziewała. Pani Bjernsen również ani słowem nie skomentowała sytuacji.

Udali się najpierw do kościoła, pustego o tej porze dnia, nasyczonego ciszą i mleczną, bladą, chorowitą jakby barwą arktycznego słońca. Pastor odprawiał nabożeństwo rano, a czas po śniadaniu spędzał w parafialnej kancelarii, przygotowując kazanie na najbliższą niedzielę, po czym wychodził na lekcje religii do którejś ze szkół. Panna Halvind sprawowała więc sama rolę gospodyni. Rychło jednak spostrzegła, że goście nie są miłośnikami zabytków. Podczas przydługiego swego wywodu o rzeźbach w drzewie, zdobiących główny ołtarz, pochwyciła roztargnione spojrzenie kapitana. Nie mogła wiedzieć, że Wołodia od dziecka zabierany był przez niańki na niedzielną sumę do soboru Pieczerskaja Ławra i że po bizantyjskim bogactwie i blasku tamtej świątyni, po kadzidlanych woniach, które w późniejszych porach jego życia owiewały wiele wspomnień, po rozbrzmiewających tam chórach, wibrujących wszelkimi tonami muzycznych świateł i mroków - żaden już kościół nie wyda mu się na tyle teatrem modlitwy, żeby towarzyszące jej rekwizyty mógł

uznać za godne uwagi. Musiało się to jakoś malować na jego twarzy, bo panna Halvind przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby także po raz pierwszy zobaczyła ten mały kościół, w którym ją ochrzczono i w którym jej ojciec sprawował w imieniu króla swoją duszpasterską władzę. Na krótko wpadła w popłoch, zagarnęła swoich gości jak stado kurcząt, skierowując ich ku zakrystii, skąd wychodziło się wprost na ganek plebanii.

- Zaraz napijemy się kawy - mówiła przynaglając, jakby ta kawa stygła już w filiżankach i jakby tylko ona była celem wizyty.

Wołodia, znalazłszy się we wnętrzu, które zarazem zachwycało go i odpychało mnogością nagromadzonych tu sprzętów, pomyślał, że może tak, może prawdziwym powodem zaproszenia i wizyty było wypicie kawy w tym domu, pokazanie tego królestwa rzeczy, gromadzonych tu przez kilka pokoleń z zamiłowaniem i znanstwem, a także - z płonną w innych miejscach świata - nadzieją trwania. Były tu ściany wykładane drewnem, a z niego wyrastały kredensy i szafy, spojone z nim nie tylko sztuką stolarską, ale i tą szczególną przynależnością, która jest silniejsza od gwoździ, a która trzyma w wyznaczonym im miejscu nie tylko sprzęty. W kredensach i szafach stały serwisy i srebra, leżały obrusy i serwety, kupowane i haftowane przez praprababki Harriet, na całe życie zakotwiczone nad fiordem Salt, na ścianach wisiały stare obrazy ze szkoły holenderskiej, ciemne i mroczne, a w skojarzeniu z nimi zrozumiała wydawała się mnogość lamp, które na przełomie wieku ktoś w tym domu zbierał, a które teraz, umieszczone na przeróżnych stoliczkach i półeczkach, były główną ozdobą wnętrza.

- Prawie wszystkie to Brennery i Ditmary z Wiednia

- powiedziała z dumą panna Halvind.

Wołodi nic to nie mówiło, nie był zbieraczem ani znawcą lamp i choć w kijowskim domu stało kilka pięknych ich okazów, nigdy nie przyszło mu do głowy zainteresować się, z jakiej pochodzą firmy. Teraz także myślał o czym innym. Były oto jeszcze takie domy ze sprzętami na swoich miejscach, z ludźmi na swoich miejscach, były takie domy, których nie opuszczało się z walizką w ręku, nie wiedząc, dokąd się ją zabiera i gdzie się ją postawi... On nie miał teraz nawet walizki i pobyt w takim domu oszałamiał go i dławił.

- Przetrwało tu tak wszystko...? - szepnął.

Panna Halvind nie zrozumiała jego zdumienia.

- W naszej rodzinie duszpasterstwo przechodziło z ojca na syna - powiedziała. - Dopiero teraz... dopiero teraz...

- urwała, płomień rumieńca zabarwił jej twarz.

- Myślałem o czym innym - Wołodia nie chciał być brutalny, ale dynastyczne problemy rodziny pastorskiej wydawały mu się niepomrotnie mniej ważne od spraw, o których myślał. Postanowił to wyjaśnić. - .Mieścieście przecież jakieś kłopoty z Duńczykami i Szwedami...

Panna Halvind zaczerwieniła się jeszcze silniej.

- Och, wyglądało to jednak nieco inaczej niż u was.

- Własne doświadczenia nie dopuszczają na ogół wyobrażeń o innych. Rozmawiając wczoraj i przedwczoraj z panią Bjernsen, utrwaliłem się w przekonaniu, że wszystkie narody, które były w niewoli, są do siebie podobne. Nieufne'

i niespokojne. Czy zapomnieliście już Duńczykom i Szwedom...

- Zapominamy - powiedziała panna Halvind. - Jeśli się o to bardzo starają. •• •

Rozmowa zesłała na tory, które wydały się jej w tej chwili niewłaściwe. Pragnęła mówić o czym innym, pragnęła zmusić tego człowieka bez domu, bez poduszki i łyżki, bez stołu, na którym mógłby oprzeć łokcie w długie zimowe wieczory, żeby usłyszał, co jej ustami mówią do niego ściany przechowujące echo głosów wielu pokoleń Halvindów, pragnęła...

- Och! - powiedziała. - Tak się cieszę, że pan tu jest... że jesteście tu wszyscy.

Pani Bjernsen od momentu, gdy kapitan wymienił jej nazwisko, szczególnie drapieżnie śledziła rozmowę i czekała, żeby ją jej przetłumaczono. Ani Wołodia, ani Harriet nie uczynili jednak tego. Wołodia zaczynał powoli rozumieć. To stąd, z tego miejsca naprawdę - z własnej nieprzymuszonej woli - wyruszał na wojnę. W Szwecji była półniewola internowania i intelektualne rozmowy z szefem policji twierdzy Vaxholm, prowadzone mimo pozorów porozumienia w atmosferze nieprzełamanego chłodu, tu... Podniósł oczy na pannę Halvind. Wdzięczność i równoczesne współczucie sprawiły, że wydała mu się ładniejsza niż poprzedniego dnia, bardziej kobieca. I usta ma inne niż wczoraj, pomyślał. Już poprzedniego dnia zwrócił na nie uwagę. Spostrzegł, że jakby nie pasowały, nie należały do jej twarzy, zaprzeczały swoim śmiałym rysunkiem i ciemną barwą surowemu spojrzeniu. Dziś były jeszcze bardziej prowokujące, łakome i spragnione, nierozsądne w nagłych rozchyleniach i półuśmiechach, wilgotne, jakby je przed chwilą ktoś całował.

- Czy pani wie... - rzekł cicho - czy ktoś już to pani powiedział...9

- Co? - przestraszyła się. •

Zrozumiał, że brnie w coś, co mogłoby być żartem w innych okolicznościach, a teraz nim nie było i tym bardziej wydawało się kabotyńskie i rażące. Ale chciał tego, chciał ośmieszyć się przed samym sobą, nabrać do siebie odrazy i pogardy, chciał zniszczyć swoje krótkie, niegodne marzenie.

- Czy powiedział już ktoś pani, jakie piękne ma pani usta?

Panna Halvind ustawiała właśnie na tacy szkło wyjmowane z kredensu. Ręce jej zadrżały i w pokoju rozległo się nagte cichutkie dzwonięcie szklanek, spodków i kieliszków - srebrzysty alarm, na szczęście czy na trwogę? Tego właśnie nie wiedziała i nie mogła odczytać w spojrzeniu mężczyzny. Ten alarm usłyszała także pani Bjernsen. Wyłączona z rozmowy, coraz bardziej w jej odczuciu niebezpiecznej, przenosiła wciąż niespokojne oczy z twarzy przyjaciółki na twarz człowieka, który przybył tu po to, żeby zakłócić ich spokój.

Wołodia uśmiechnął się do niej sennie. Wszędzie, na całym świecie i od wieków kobiety chciały mieć w domach mężczyzn, było w tym coś naturalnego i dobrego - cała nadzieja świata pomnożona przez miliardy małych rodzin-

nych szczęść. Czy nie mógł być zięciem pastora Halvinda w norweskim miasteczku Bodę, czy nie mógł zapewnić ciągłości duszpasterskiej dynastii, i sprawić, żeby to królestwo rzeczy, gromadzone od kilku pokoleń, nie dostało się w obce ręce? Mógłby przejść na anglikanizm, sprawy religii zawsze były mu obojętne i nie trzeba było rewolucji i bolszewików w Kijowie, żeby uznał ten problem za nie istniejący w swoim życiu. Nawet ksiądz kapelan, z którym przez piętnaście lat grywał w karty na Oksywiu, rozumiał, że nie osiągnie wiele swoimi perswazjami. Gdyby więc dać pastrowi złudzenie...

- Czy ona wreszcie poda tę kawę? - odezwał się Grześ i, o dziwo, natychmiast został zrozumiany. Zarówno panna Halvind, jak i pani Bjernsen wszystkie odezwania małego Polaka łączyły z doraźnymi, praktycznymi sprawami życia. Harriet nie odpowiedziała kapitanowi na postawione jej pytanie - zresztą chyba wcale nim nie było, retoryczną swoją formą równając się komplementowi - ale coś trzeba było powiedzieć, żeby pokryć słodkie obezwładnienie i jeszcze słodsza trwogę. Teraz poczuwała się zwolniona z tego obowiązku i uśmiechnęła się tylko do swoich gości.

- Już! Już podaję kawę. - Szklanki, spodki i kieliszki znowu zadźwięczały na tacy, panna Halvind, bardzo starając się o lekkość, wybiegła z pokoju.

- Ale zaraz po kawie wyjdziemy - szepnęła pani Bjernsen. - Tak się czegoś boję.

- Nie trzeba się bać - powiedział równie cicho Wołodia. Wziął zziębniętą i zaciśniętą w pięść dłoń Berit i starał się ją rozgrzać, podniósł do, ust. '...

A w chwilę potem biegł już do kuchni, wezwany tam przez Harriet, aby wybrać likier czy też koniak do kawy. Zaprowadziła go do mrocznej spiżarni, gdzie na półkach stały i leżały butelki; spostrzegł to z zadowoleniem - znano się w tym domu na przechowywaniu alkoholi.

- Niech pan wybierze, co pan lubi najbardziej - powiedziała z żarliwością, jakby wybór miał dotyczyć sprawy o wiele ważniejszej. Nie mylił się; stojąc przy nim w ciasnej spiżarni, dodała jednym tchem: - I musi pan... naprawdę musi pan płynąć do tej Anglii?

- Oczywiście, że nie - powiedział.

Poczuł na ramieniu zaciśnięcie jej palców, drapieżne, chciwe, bolesne. .

- Nie? - spytała.

- Nie.

Na najwyższych półkach stały słoje konfitur, sprowadzanych chyba skądś z południa, wszystkie miały kolorowe etykiety, obok nich puszki ogórków w occie i znów słoje, niskie, pękate, z marynowanymi rybkami, które w Polsce z niewiadomej przyczyny nazywano moskalikami i w każdym warszawskim barze podawano do wódki. Na niższej półce cisnęły się obok siebie puszki kakao, kawy i herbaty, pudełka cukru w kostkach, worki cukru miałkiego i maki, torebki rodzynek i migdałów; z nie dokręconego słoika unosiła się woń wanilii... Na bocznej ścianie, tuż pod otwartym oknem, przechowywano sery i wędliny, pudełka sardynek, jaja w wiklinowym koszyku, masło ubite w kamiennym garnku. Pod tą właśnie półką, na kilku poniższych,

ułożonych ciasniej niż pozostałe, stały i leżały butelki. Kiedy indziej oglądałby je z zachwytem, teraz nawet się do nich nie zbliżył.

- Nie musi pan...? - szepnęła Harriet.

- Nie - powtórzył. - Nie muszę. Chcę.

- Chce pan? - krzyknęła.

- Tak. I trzeba się temu poddać tak, jak ja się poddałem.

Czy tylko kobiety niemieckie mogły zdobyć się na to, żeby nie zatrzymywać w domach mężczyzn?

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła rękę i wzięła z półki pierwszą lepszą butelkę. Gdy zjawili się w pokoju, pani Bjernsen gryzła wargi i łamała palce pod stołem.

- Ja to bym na miejscu pana kapitana obydwie je przerobił - powiedział do niego Grześ wieczorem, gdy znaleźli się na pięterku u Bjernsenów.

- Żadnej - mruknął. - Żadnej!

- Dlaczego? - spytał chłopak z rozczarowaniem, jakby ta rezygnacja dotyczyła jego, a nie kapitana.

- A kto to mi mówił przedwczoraj, że Bjernsen nas potopi, zamiast dowieźć do Anglii?

- Ja. Ale jak takie chętne...

Eryk Bjernsen zjawił się nazajutrz. Był - jak mogli się domyślać z rozmiaru jego piżam - wysoki i kościsty, twarz okalała mu jasnoruda bródka ("Ach, jaki ciemny ma pan zarost" - przypomniał sobie Wołodia), w której od czasu do czasu ukazywały się w uśmiechu duże, piękne zęby.

- Dobrze, że się pan teraz zdecydował, kapitanie - powiedział do Jazowieckiego. - Na wiosnę może być za późno.

Zamknął się z nim w pokoju na górze dla omówienia najważniejszych spraw. Tak jak żona, znał dobrze angielski.

- Na razie - powiedział, gdy podał Wołodi trasę i związane z nią szczegóły - wody norweskie nie są zaminowane. Ale to nastąpi lada miesiąc.

- Kto to zrobi? Wy?

- Nie. Anglicy. Norwegia jest w tej chwili jabłkiem, po które z dwóch stron wyciągają się ręce.

- To prawdziwy pech, ta ruda szwedzka zbyt blisko Narwiku.

Bjernsen pochylił się nad mapą, przeciągnął palcem wzdłuż norweskich fiordów.

- Chodzi nie tylko o to. Niemcy chcą opanować wybrzeże norweskie, żeby atakować stąd Wielką Brytanię. Mieliby tu wspaniałe oparcie dla lotnictwa i okrętów. Anglia zdaje sobie z tego sprawę, poza tym oczywiście, że sama również potrzebuje rudy. Rzecz w tym, kto uderzy pierwszy i kto to zdaży zrobić przed przeciwnikiem. Na razie jednak - podniósł głowę i uśmiechnął się do kapitana - nic nie zagraża naszej wyprawie. Odstawię was bezpiecznie na Szetlandy. Byłoby mi bardzo głupio, pomyślał Wołodia, gdybym uwiódł mu żonę. A głośno rzekł:

- Panie straszyły nas sztormami na Yikingbank.

- Och! - roześmiał się Bjernsen. - Berit i Harriet!

Pewnie miały nadzieję, że zostanie pan w Bodę! Boże drogi! Nowy mężczyzna, samotny mężczyzna w naszym sennym miasteczku!

- Jest nas dwóch! - z naciskiem sprostował Wołodia.

- Ten mały się jeszcze nie liczy.

Ale liczył się jednak i był potrzebny nie tylko jemu. Pani 'Bjernsen, gdy opuszczali jej dom przed świtem następnego dnia, pani Bjernsen, żegnająca ich na progu, objęła i pocałowała najpierw Grzesia, żeby móc objąć i pocałować także i jego. Eryk Bjernsen naglił do pośpiechu, a ona trzymała go w ramionach i czuł na twarzy, na policzkach, na oczach, na ustach, jej suche, spieczone jakby gorączką usta. Przypomniała mu się podobna chwila sprzed piętnastu lat, gdy Lebrac i Briffaut, inżynierowie francuscy, budujący port w Gdyni, zmuszeni byli przerwać roboty i wracać do Paryża ze względu na dewaluację franka - pociąg stał już pod parą, a Anetka Briffaut całowała po kolei Seweryna i Krzysztofa, żeby na końcu móc pocałować jego. Myślał o niej po raz drugi w ciągu ostatnich dni i dopiero teraz, w chwili gdy naprawdę - z własnej, nieprzymuszonej woli - wyruszał stąd na wojnę, zdał sobie sprawę, dlaczego podświadomie dążył myślami w tym kierunku. Był czas, kiedy wyobrażał sobie Paryż zaludniony tylko postaciami Balzaka, później Prousta, teraz myślał, że wszyscy tam noszą mundury. Jak Lebrac i Briffaut, zanim opuścili stołeczne kawiarnie dla pierwszej linii na froncie, zanim na długie miesiące zapadli w okopy pod Verdun. Opowiadali o nich podczas wszystkich wieczorów w Gdyni, a teraz - choć temat nie został jeszcze wyczerpany - była już druga wojna i oni byli wciąż jeszcze dostatecznie młodzi, żeby znów włożyć mundury...

- Pośpieszcie się! - naglił Eryk Bjernsen. Był już za progiem, zimowa arktyczna noc niewiele różniła się od dnia, mówiąc "o świcie", myślało się o wczesnej godzinie, gdy mało było jeszcze przechodniów na ulicach i w porcie, a nie o blasku, który wydawał ciekawym oczom to, co powinno być przed nimi ukryte.

Wołodia zdjął ze swojej szyi ramiona kobiety, złożył je na bukiecikach weselnych, które trzymała tak wysoko i pięknie.

- Pozdrowienia dla Harriet! - powiedział cicho. I odwrócił się. I odszedł.

Czuł jej spojrzenie na swoich plecach, wołało, żeby przystanął, żeby jeszcze raz spojrzeć. Mógł to uczynić, Eryk Bjernsen postępował przed nim zajęty swoimi myślami, nie dostrzegłby niczego. Ale mimo to przyśpieszył kroku i nie odwrócił głowy. To jego miała kochać - tego, który szedł przed nimi - pastor ich pobłogosławił, niepotrzebne jej było cierpienie przez jakiegoś przybłędę.

Kiedy byli już na morzu, kiedy oddaliła się i zapadła w mlecznym grzęzawisku, które było tu horyzontem, wysoka ściana fiordu Salt, Bjernsen, wydawszy polecenia załodze kutra - dwóm, tak jak on, zarośniętym rudo mężczyznom - przysiadł się do Wołodi i Grzesia. Chłopakowi z emocji dzwoniły zęby.

- To także marynarz?

- Marynarz - powiedział kapitan i dodał rad, że rozmawiają po angielsku: - Stołowy z mesy oficerskiej.

- Teraz nie będzie podawał jedzenia, tylko pociski do dział.

- Miejmy nadzieję - powiedział cicho Wołodia.

- Najgorsze mamy za sobą. Wyjście z portu. Straży Granicznej zachciewa się czasem sprawdzać załogi kutrów.

Na wszelki wypadek wziąłem papiery dwóch kolegów ze stoczni, którzy w tej chwili śpią smacznie w domu.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Jedziemy na tym samym wózku. Jest jeszcze coś, czego wolałbym uniknąć...

- Mianowicie? - spytał Wołodia bez zainteresowania.

Ogarniała go senność, słodka senność, płynąca z poczucia bezpieczeństwa, oddania się pod czyjąś opiekę.

- Możemy się natknąć na niemieckich rybaków.

- To chyba niegroźne.

- Groźne - uśmiechnął się w mroku Eryk Bjernsen.

- Bo to także nie rybacy.

IV

- ...i arcybiskup mówi do dziadka: drogi kuzynie.

- To było naprawdę? - spytała Wisia.

Pani Helena uśmiechnęła się i zamilkła na długo. Było coś odległego w tym uśmiechu i w tym zamilknięciu, Wisia nie odważyła się go przerwać. Czekala, aż matka wróci ze swego miasteczka wśród gór, gdzie wszystkie dziewczyny miały czarne warkocze, a stare kobiety, gdy zaczynały siwieć, upinały je wysoko na głowie i nosiły jak najpiękniejsze korony. W niedzielne letnie popołudnia siadywały w słońcu na gankach, grały w karty, paliły mocne papierosy z macedońskiego tytoniu, popijały wodę z różanym sokiem i wyjadały konfitury z małych porcelanowych talerzyków, ormiańskie konfitury, najlepsze na świecie... Znała to wszystko tylko z opowiadań matki. Nigdy z nią w Kutach, w tym miasteczku wśród gór, stolicy polskich Ormian, nie była - ojciec nie pozwalał jej zabierać, kiedy matka udawała się w odwiedzin do ciotek, nie pochwalał w ogóle tych azjatyckich, jak mawiał, sentymentów; uważał, że trzeba patrzeć na zachód i że Gdynia jest właśnie tym oknem... Ale one wracały, czy chciało się tego, czy nie - te sentymenty i wspomnienia, one były teraz ratunkiem i ucieczką, pozwalały odwracać się od rzeczywistości choćby na krótko, choćby na godzinę w ciągu dnia.

- Naprawdę? - zapytała cicho.

Pani Helena wciąż jeszcze milczała. Odpowiedziała dopiero po chwili, głosem powolnym i ściszym:

- Nie wiem, czy naprawdę. Może tylko chciał sprawić dziadkowi przyjemność. Nosili to samo nazwisko.

Opowiadała dziecku bajkę o czasach, które musiały wydać się bajką, gdy przez okno widać było marynarzy niemieckich, spacerujących po bulwarze, gdy wieczorami słyszeć było z kasyna, w Riwierze butne niemieckie pieśni, najczęściej Englandslied, pieśń zapowiadającą klęskę Anglii na przekór całej polskiej nadziei...

- Nosili to samo nazwisko - powiedziała jeszcze raz, ale teraz już z pewnym naciskiem --choć nazwisko dziadka miało inną jedną literę. Dziadek przeprowadził tę zmianę, bo nie chciał służyć w austriackim wojsku i musiał ukrywać się przed asenterunkiem. Ale biskup to zrozumiał, biskup był wielkim polskim patriotą.

- Wielkim polskim patriotą - powtórzyła Wisia. Opierała się na kolanach matki, owinięta razem z nią kraciatym pledem. Dom był należycie ogrzany, koks, dostarczony przez niemiecką marynarkę, palił się świetnie, a im było

wciąż zimno, jakby strach, że któregoś dnia będą musiały wyjść z walizkami w ręku na zaśnieżoną ulicę, już teraz ziębił je i sprowadzał dreszcze.

- Potem on właśnie dawał mi ślub.

- Arcybiskup? - spytała Wisia, wyraźnie zaszczyciona wymawianiem tego słowa.

- Arcybiskup. W katedrze ormiańskiej we Lwowie.

- Tatuś mówił, że braliście ślub w Gdyni. W nowym kościele.

- Wiesz, że byłam już raz zamężna - powiedziała pani Helena miękko. - Kochałam kogoś przed tatusem.

- Tego Francuza?

- Ach, nie - zaprzeczyła ze swobodnym uśmiechem i pocałowała Wisię w to śliczne miejsce między zbiegającymi się prawie kruczymi brwiami. - To był jeszcze ktoś inny.

- A jednak powiedziano jej, pomyślała, ale niewiele ją to obeszło. Żadnego z mężczyzn, których kochała, nie było z nią, więc jakby w ogóle nie istnieli i tym bardziej ten, który nie istniał naprawdę, mógł się wydawać rzeczywisty, żywy i nie utracony na zawsze. Jakże biegła na te pierwsze spotkania, jak radosny był ten pośpiech, upiększający wszystko dokoła, rynecek miasteczka, uliczki, które przestawały być wąskie i brudne, park, zbyt szumnie tak nazywany wobec ubóstwa kilkudziesięciu drzewek... Ciotki, które wychowywały ją po śmierci matki, zamierały z podnieconego strachu. Kiedy później ten oficer, ten pierwszy polski oficer, jakiego widziano w miasteczku, tak bardzo, tak śmiertelnie zakochany w Heluni, zaczął bywać w ich domu - warowały przy drzwiach salonu, zaniepokojone, ale i ciekawe, co on tam z nią robi, czy jej - broń Boże - nie całuje...

Oszalałam, pomyślała, dotykając wierzchem dłoni czoła, oszalałam! A może... - przestraszyła się - umrę niedługo, ludziom przed śmiercią czas odległy wydaje się bliższy niż to, co było wczoraj... oni chcą, żeby czas odległy był bliższy niż wczoraj.

- Głowa cię boli? - spytała Wisia.

- Tak - odpowiedziała. - Chyba tak.

Na dole zadudniły kroki na drewnianych schodach przed domem, trzasnęły drzwi wejściowe - ktoś przyszedł. Nadśłuchiwały chwilę w niepokoju - wciąż spodziewały się tej wizyty najgorszej - ale zaraz rozjaśniły im się twarze, to Marynka Blok wróciła z miasta, najprawdopodobniej z chlebem i świeżymi nowinami.

- Masz chleb? - wołała Wisia, zbiegając po schodach.

Przez całe swoje krótkie życie cierpiała na brak apetytu, teraz wciąż była głodna.

- Mam. I jeszcze coś dla ciebie! - Marynka wyjmowała z siatki zakupy i kładła je na stole w kuchni.

Weronika wzięła najpierw w ręce chleb. Był niski i przypalony, ale ona powiedziała:

- Jaki piękny! - Zawsze już teraz chleb był najważniejszym sprawunkiem i kiedy udawało się go zdobyć, wszyscy doznawali ulgi. Patrząc na ten chleb, Wisia zapytała z radością mniejszą, niż można się było tego spodziewać:

- A co dla mnie?

- Zobacz! - Marynka podała jej małą, przybrudzoną

torebkę

4 - Tak trzymać t. III

- Rodzynki?

- Rodzynki. Torebka, trochę... nieświeża, ale teraz takich rarytasów nie trzyma się w sklepie na półkach. A rodzynki i tak przecież się myje.

- Zaraz je umyję - powiedziała Weronika. - Moja wiewióreczka! - popatrzyła na Wisię z czułością. - Ma wreszcie coś słodkiego do gryzienia... Gdyby pani mnie słuchała, gdyby do ostatniej chwili nie kupowała kilimów i firanek, mielibyśmy w spiżarni wszystkiego pod sufit... - urwała, zobaczywszy w drzwiach Tereszkową, ale zaraz dodała, zawstydzona, że zamilkła na jej widok: - Pod sufit mielibyśmy jedzenia! Ja to pani w oczy mówię, wcale się z tym nie kryję, że gospodarki u nas dobrej nie było i żadnego przewidywania.

- Dobrze, dobrze, Weroniko, już to słyszałam nie raz.

- Pani Helena także najpierw spojrzała na chleb. - Dużo by nam przyszło z tych zapasów! Tylko większy żal, że musimy zostawić je Niemcom.

- Może wcale nie przyjdą? - Weronika od razu przycichła, przygarbiła się i zmalala. Sitko, na które wysypała rodzynki, zadrżało jej w rękach. - Może nie przyjdą? Już tak długo wisi ta kartka, doczekamy jakoś z nią wiosny...

- A propos wiosny - odezwała się dziwnym jakimś głosem Marynka - a raczej a propos naszego oczekiwania na wiosnę: oficerowie z Sępa, Żbika i Rysia, internowani w Szwecji, sprowadzają tam swoje rodziny z kraju. Pani Helena przysunęła sobie do stołu taboret, usiadła na nim ciężko.

- Skąd wiesz?

- Spotkałam koleżankę, której siostra jest żoną jednego z oficerów ze Żbika. Wiadomość absolutnie pewna. Wystarali się jakoś o to u władz szwedzkich, a Szwecja, jako państwo neutralne, ma prawo żądać od Niemców, aby pozwolili internowanym połączyć się z rodzinami. Boże, Boże... - szepnęła Marynka - tylko ze względu na pobyt mamy w Stanach, ze względu na datę jej powrotu wyznaczaliśmy ślub na ósmego września...

- Tylko nie "płacz!

- Ach, skąd! - powiedziała, odwracając twarz ku oknu.

- Ani mi to w głowie.

- Poza tym... dlaczego wciąż myślisz, dlaczego wciąż masz nadzieję, że on tam jest?

- Bo nie odezwał się z niewoli i... nie ma go wśród poległych na Helu. Przecież byłam tam.

Tej pewności (chciała powiedzieć pani Helena) nigdy mieć nie można. Ziemia (chciała powiedzieć) ma wciąż swoje tajemnice. Po każdej bitwie (och, nie - nie powie tego, nie powie tego nigdy tej dziewczynie) trzeba na kolanach przemierzyć jej obszar, metr po metr, metr po metr, rękami obmacać każde wzniesienie, palcami rozgrzebać każde usypisko piasku, pochylić głowę nad każdym zmierzwiem trawy. Dopiero wtedy...

- Przestań o tym myśleć - powiedziała prawie szorstko.

- Nawet jeśli tam jest, nie został internowany ze swoim okrętem, a sądzę, że tylko internowani oficerowie będą mogli sprowadzić swoje rodziny z kraju.

- Masz rację. - Marynka odwróciła twarz od okna, naprawdę nie było na niej śladu łez. Wyglądała teraz na uczennicę, która posłusznie i z ulgą poddaje się rozkazom starszych i bardziej doświadczonych. - Że też musiałam akurat spotkać tę babę! I właściwie po co mi o tym powiedziała?

- Ludzie teraz dzielą się ze sobą wszelkimi nowinami.

- Do diabła z nimi! Z takimi nowinami! - Marynka rozejrzała się po kuchni. - Jest coś do zrobienia? Muszę się czymś zająć.

- Wszystko już zrobiłam - odezwała się Weronika.

- Co tu w ogóle jest teraz do zrobienia? W pokojach pani sprzątać nie pozwala.

- Nie! - krzyknęła pani Helena.

- Ale oni mogą wcale nie przyjść - podniosła także głos Weronika - a meble tymczasem się poniszczą, kurz się wszędzie powbija... Jak ja je potem doczyszczę?

- Doczyści Weronika.

- Pani to dobrze mówić. A potem wszystko na moje ręce. Jakby się mieszkanie normalnie utrzymywało w czystości...'- .. ! ' ,.."-.-. :.-....

- Powiedziałam: nie.

- No to ja pójde jeszcze raz do miasta - Marynka sięgnęła po płaszcz. - Mam kupca na karakuły mamy. Zobaczę, jeśli da mi dobrą cenę...

- Nie wyprzedawaj wszystkiego - zaprotestowała sła-
bo Tereszkowa.

- A właściwie dlaczego? Mieszkania sprzątać nie pozwalasz, bo myślisz, że lada moment nas stąd wyrzucą, a mnie nie dajesz sprzedawać rzeczy. Mam im jeszcze zostawić futra mamy? Dobrze, że udało mi się zabrać z naszego mieszkania wszystko, co cenniejsze. Przynajmniej mam co sprzedawać, a mama - dodała z nutą wrogości w głosie - na pewno w Nowym Jorku bez futra nie chodzi. Co do tego mogę być spokojna. Ślub ósmego września! - parsknęła. - Parada i gala! Cały garnitur ciotek! Boże, jak mogłam być taka głupia!

- Marynko! - upomniała ją znowu pani Helena. - Naprawdę przestań o tym myśleć.

- Nie mogę! Nie mogę! Pojechałabym do Szwecji! Byłabym razem z nim!

Pani Helenie zabrakło już siły, żeby przypomnieć jeszcze raz, że Wołodia Jazowiecki nie został w Szwecji internowany wraz ze swoim okrętem. Bo przecież gdyby było tak, że każdy z Polaków, przebywających w Szwecji, mógłby sprowadzić z kraju rodzinę, to i Adam Tereszko... i Adam... Na szczęście Wisia odezwała się ni stąd, ni zowąd:

- Jak to dobrze, że nam ukradli tę walizkę.

- Jaką walizkę?

- Już zapomniałaś? Tę z rzeczami tatusia na Dworcu Morskim. Kiedy miałyśmy wsiadać na statek.

- Ach, wtedy - szepnęła pani Helena, a Weronika spojrzała na Wisię z naganą. Nie wracało się w rozmowach do tego tematu.

Ale Wisia ciągnęła dalej:

- Dobrze, że nam ją ukradli. Przynajmniej Polacy!
- Patriotka! - usiłowała uśmiechnąć się pani Helena.
- A co, nie mam racji? - Wisia już biegła, żeby ją uściskać, szczęśliwa, że zdołała wywołać uśmiech na twarzy matki. - Przynajmniej jakiś Polak ogrzeje się ciepłymi rzeczami tatusia.
- Mój skarbie!
- Pocałuj i mnie - powiedziała Weronika, nadstawiając policzek. - Zaraz weselej robi się w domu, kiedy zaczyna szczebiotać mój ptaszek.
- Dopiero co byłam wiewióreczką.
- A teraz jesteś ptaszkiem.
- Przestańcie się czulić! - krzyknęła Marynka. - Wiewióreczka! Ptaszek! Zwariować można! Wisia rośnie jak na drożdżach i najwyższy czas, żeby nie uważać jej za dziecko. Zwłaszcza teraz!
- A kto mi przyniósł rodzyнки?
- No, ja - załamała się Marynka. - Zobaczyłam, że jakaś kobieta je sprzedaje, i pomyślałam, że tak dawno nie jadłaś nic słodkiego. Pocałuj także i mnie, jeśli to może na coś pomóc.
- To na pewno pomaga! - szeptała Wisia, objawszy ją za szyję. - Na pewno! Musimy się teraz bardzo kochać. Wszystkie cztery!
- Same baby! - westchnęła Marynka. Przypomniało jej się, że uzmysłowiła to sobie po raz pierwszy, gdy było ich sześć, gdy odwiedziła je Łucka Grabieniowa z matką. Wtedy jeszcze wydawało jej się to straszne, w jakiś nieokreślony sposób i żałosne, prawie wbrew naturze - teraz pragnęła, żeby to trwało jak najdłużej, żeby w ten ich kobiecy świat nie wtargnęli mężczyźni. Mogli być nimi tylko...
Pani Helena odgadła jej myśli.
- Daj Boże, żeby tak zostało do końca wojny - powiedziała.
- A teraz, zanim co - poderwała się Marynka - sprzedaję karakuły! I kupię ci czekoladę! - ucałowała Wisię.
- Jak to było? Wiewióreczko i ptaszku!
- Jeśli po to masz sprzedawać futro... - zaprotestowała pani Helena.

- Futro sprzedaję i?o-to, żeby im go nie zostawić, jeśli w końcu tu przyjdą.

- Nie przyjdą! - zawołała Weronika. - Czy musimy wciąż na to czekać?

- Ależ my nie czekamy, Weroniko. My jesteśmy tylko na to przygotowane - powiedziała spokojnie pani Helena.

- Przygotowane.

Na to jednak nie można się było przygotować.

Przekonała się o tym już nazajutrz, kiedy przyszli z samego rana, o wczesnej godzinie marcowego świtu.

Słyszała ten dzwonek, słyszała, jak Weronika otwiera drzwi i od razu płacze, słyszała pomieszane brzmienie kilku głosów męskich i wreszcie ten, który był wyrokiem:

- Są tu jeszcze Polacy? Ośmielacie się wyobrażać sobie, że będę spał pod jednym dachem z Polakami?

Podniosła się z tapczanu; zapomniała, że jest w szlafroku narzuconym na bieliznę, że włosy ma w nieładzie – zaczęła schodzić w dół. Tyle razy myślała o tej chwili, tyle razy ją sobie wyobrażała, a dopiero teraz wydała się jej niemożliwa w swoim okrucieństwie, niepojęta, niezrozumiała. Z tym niezrozumieniem, z tym nie godzącym się na rzeczywistość pytaniem w oczach spojrzała na człowieka stojącego na środku jej pokoju.

Był średniego wzrostu i średniego wieku, nie odznaczał się niczym szczególnym, twarz krył mu cień od daszka czapki, której nie zdjął, choć już rozpiął guziki oficerskiego płaszcza.

– Pół godziny na ubranie i zapakowanie rzeczy! – powiedział stojący za nim marynarz. – Jest samochód, zabierze was od razu do punktu wysiedleńczego.

Wisia, Marynka i Weronika zapłakały – jednak nie zdołały się od tego powstrzymać. Pani Helena miała w oczach wciąż ten sam, sprzeciwiający się temu, co się działo, wyraz pytania i niezrozumienia. Zamiast wbiec na górę, ubrać się, zgarnąć rzeczy, które pragnęła zabrać – przerzuciła na ramię rozpuszczone włosy i podzieliwszy je palcami na trzy pasma, zaczęła je wolno i systematycznie zaplatać w gładki, lśniący warkocz.

Mężczyzna, który nie zdjął czapki i nie dokończył rozpinania płaszcza, patrzył na to nieruchomo. Palce pani Heleny pracowały niestrudzenie, ale bez pośpiechu. Przesuwały się między nimi połyskliwe wstęgi włosów, zwijały się w puszyste pierścienie, wygładzały w ciasnym splocie i znów zwijały się miękko, gdy pani Helena pozwalała im przez chwilę spływać swobodnie wzdłuż piersi.

Kiedy zaplotła je do końca, łagodnym ruchem głowy przerzuciła warkocz na plecy i podniosła ramiona, żeby upiąć go na karku.

Wisia, Marynka i Weronika nie przestawały płakać.

Mężczyzna na środku pokoju i marynarze za nim milczeli.

Zdawali się przyglądać ruchom rąk kobiety, która wyjąwszy z kieszeni szlafroka szpilki, wbijała je powoli w zwinięty na karku węzeł.

Dopiero gdy skończyła, oczy jej straciły dotychczasowy wyraz. Pojawił się w nich zimny blask determinacji.

– Pół godziny? – powiedziała. – To dużo.

Nikt się nie odezwał. Jeden z marynarzy miał katar, słychać było jego świszczący oddech.

– To dużo! – powtórzyła.

– Do diabła! – zaklął mężczyzna w oficerskim płaszczu.

Odwrócił na chwilę głowę ku marynarzom, którzy stali za nim, ale zaraz potrzęsnał nią gniewnie, jakby chciał podkreślić, że decyzja należy wyłącznie do niego. – Do diabła, w końcu to są same kobiety. A ja wyniosę się stąd po trzech dniach. Może przynajmniej posprzątają ten dom, zanim.

zjawię się znowu. – Trzepnął dłonią w kanapę i najbliższy fotel, uniósł się z nich tuman kurzu. – Proszę! – powiedział, skierowując wzrok ku kobietom. – Nikt tu nigdy nie sprząta?

Kiedy mu nie odpowiedziano na to pytanie, zdjął płaszczyk i czapkę, zawahał się, czy może rzucić je na tak zakurzone meble, i dopiero po chwili zdecydował się na to.

Nie patrząc na nikogo, powiedział:

- Kiedy człowiek wychodzi wreszcie na ład, nie może mieszkać jak w stajni.

Weronika, Marynka i Wisia rzuciły się do kuchni po szczotki. Pani Helena odwróciła się i poczęła wolno wstępować na górę.

Już wiedziała, dlaczego od kilku dni nie opuszczają jej wspomnienia dzieciństwa i młodości; dlaczego wciąż do nich wracała. Nie dlatego, że miała wkrótce umrzeć, ale że potrzebna jej była siła na dni, które się zbliżały. Siła czerpana od korzeni, jak w drzewie trzymającym się dobrze ziemi. Jak w roślinie.

V

- Tylko nie siedźcie tam długo - powiedziała Konkowa cierpko.

- Och, nie! - Łucka wiązała na głowie szalik. Schowała pod niego wszystkie włosy, nad czołem uformowała węzeł.

- Załatwimy sprawę i zaraz wracamy.

- I... musisz mieć ten szalik na głowie?

Łucka odwróciła od lustra zdziwione oczy.

- A dlaczego nie?

- Dobrze wiesz dlaczego.

- Nie, nie wiem.

- Chcesz się do nich upodobnić. One wszystkie noszą tak te szaliki na głowie. Jak jedna.

- Mamo!

- Co? Nie zauważyłaś?

- Zauważyłam. A jeśli chodzi o jazdę pociągami, to nawet dobrze, żebym wyglądała tak jak one. I w Gdańsku także.

- Ale nie jedziesz sama.

- Właśnie! - odezwała się Julitka. Stała już przy drzwiach, gotowa do wyjścia, i czekała na matkę z manifestacyjnie okazywanym zniecierpliwieniem, potrząsając krótko przyciętymi włosami; głowa jej stała się teraz bardzo podobna do głowy ojca, gdy Krzysztof nie strzygł się dłuższy czas i brązowe jego włosy zaczynały się zwijać na skroniach i karku.

- Mogłabyś także włożyć coś na głowę - powiedziała matka.

- Nie. Wiosna!

- Jaka tam wiosna. Pierwsze dni kwietnia. Wczoraj padał śnieg.

- Ale w kalendarzu wiosna!

- Nie mam pojęcia, po co w ogóle do ciebie się odzywam

- westchnęła Łucka. - Powinnaś się już przyzwyczaić do tego, że cię nigdy i w żadnej sprawie nie przekonam.

- A jednak wiezie mnie mama do Gdańska! Więc może nie jest tak źle.

- Jesteś posłuszna, bo boisz się, że cię zabiorą na roboty do Niemiec. I dlatego pozwalasz, żebym "wiozła" cię do Gdańska.

- Nie, nie dlatego - zaprzeczyła Julitka cicho.

- Nie dlatego?

- Nie.

- No, wszystko jedao! - Łucka uporała się wreszcie z szalikiem, rozejrzała się za rękawiczkami.

- Mówię ci, zdejm go! - przypuściła jeszcze raz atak Konkowa.

- Co mama?

- Zdejm go! Masz tyle kapeluszy.

- Kapeluszy! Kto teraz chodzi w kapeluszach? Nawet Tereszkowa nie.

- Tereszkowa nosi chustkę. I ty też zawiąż chustkę, jak dawniej. Pod brodę.

- Moja mamó - Łucka ściszyła głos, ale tym bardziej widać było, że jest wściekła - czy mama naprawdę musi... Czy mama musi tak bez przerwy do wszystkiego się wtrącać? Konkowa nie odpowiedziała, nie odpowiadała długo i przez ten czas, przez cały ten czas uporczywie trwającego milczenia nie jej twarz, ale twarz Łucki pałała krwawym rumieńcem.

- Przepraszam, niech się mama nie gniewa. Taka jestem zdenerwowana. Wszystko na mojej głowie. Mamó!

- Wiem, moje dziecko - powiedziała matka z dziwną jakąś, nadmierną łagodnością. Ale to "wiem" nie obejmowało zdenerwowania Łucki i mnogości spraw, którym musiała teraz sama podołać. Konkowa wiedziała co innego. Coraz dotkliwiej zaczynała odczuwać, że jest jeszcze jednym ciężarem w tym domu. Na mizerną, wojenną pensję Łucki było ich czworo. Ba, gdyby miała te pieniądze, którym pozwoliła umrzeć w szufladzie, wszystko wyglądałoby inaczej. Powróciłyby dawne zapachy w kuchni, w szafach byłoby znowu ciasno od rzeczy... Mogłaby pójść pod halę koło dworca i od żołnierzy niemieckich kupić - za guldeny - słodyczy dla dzieci i może co do ubrania, mogłaby pojechać do Gdańska i - za guldeny - wykupić pół sklepu Meinia i całą jubilerską ladę, albo i dom mogła kupić - za guldeny - na nie byle jakiej ulicy. I nikt by jej wtedy nie mówił, żeby się nie wtrącała do wszystkiego, nikt by się na to nie odważył, nawet rodzone dziecko, któremu się wszystko wybacza, któremu musi się wybaczyć, choć ślad bólu i obrazy zostanie gdzieś tam głęboko, wystarczająco jednak płytko, żeby się czasem przypomnieć...

- Mamó! - powiedziała jeszcze raz Łucka bardziej z perswazją niż z prośbą o wybaczenie w głosie.

- Jedź! - mruknęła Konkowa. - I wracaj jak najprędzej! - Zaczynała być wściekła, a to zawsze przywracało jej przytomność. Naprawdę nie gniewała się na Łuckę, na samą siebie się gniewała, że tak mało trzeba jej było - tylko podenerwowania czy niezręczności córki - żeby zaczęła żałować tego, czego miała nie żałować do końca życia: tych umarłych pieniędzy w szufladzie, nie wymienionych, nie wymienionych - o Marija, Józef! - na guldeny. - Jedź!

- krzyknęła prawie. - Na co jeszcze czekasz?

- Właśnie! - powiedziała znowu Julitka. - Na co właściwie czekamy?

- Boże, Boże! - zaszeptała Łucka do siebie, jak to ostatnio coraz częściej miewała w zwyczaju, i dokończyła w duchu: Daj to wytrzymać! Pozwól to wszystko wytrzymać! To całe zmienione życie, zmienionych ludzi, zmienione słowa, które teraz odważają się mówić... Nie dokończyła tej myśli, uświadomiwszy sobie, że sama przed chwilą zachowała się w stosunku do matki tak, jak nie zachowywałyby się nigdy

przedtem. Niech to się tylko dobrze skończy, pomyślała znów z modlitewną intencją, niech to się dobrze skończy, niech Krzysztof wróci do domu, a będę taka jak dawniej dla wszystkich, dla wszystkich...

- A co ja mam robić? - zbuntował się Tomaszek, odprowadzając matkę do drzwi.

- Lekcje odrobiłeś?

Wzruszył ramionami, popatrzył na matkę z obraźliwą prawie pobłażliwością.

- Jakie lekcje? Chodzimy do szkoły raz na tydzień...

Niemcy to mają lekcje, ale my?

- Tym bardziej powinienes się uczyć w domu.

- A nie mógłbym pojechać także do Gdańska?

Łucka zastanawiała się przez chwilę.

- Nie. Zostań w domu. Jeszcze by ciotka pomyślała, że was obydwoje chcę jej zwalić na kark.

- Aż wizytą nie mógłbym pojechać?

- Z wizytą? - zdumiała się Łucka. - Teraz nie jeździ się do nikogo z wizytą, tylko ze sprawą - powiedziała serio.

- No to zejdę do pana Karola.

- Po co?

- Może w karty zagramy.

- Ty z panem Karolem?

- Ja z panem Karolem - potwierdził Tomaszek. Mat-

ka, przyglądając mu się, patrzyła zwykle na buty (czy już nie podarte?), na wypchane na kolanach spodnie, na za krótkie rękawy - teraz po raz pierwszy od długich miesięcy spojrzała naprawdę na niego i przeraziło ją to, że nie tylko Julitka, ale i Tomaszek coraz bardziej groźnie przestaje być dzieckiem.

- Idziemy czy nie? - jęknęła od progu Julitka.

- Idziemy! - Łucka zostawiła sobie na wieczór medytację nad zbyt szybką dorosłością Tomaszka. - Myślałby kto, że się tak stęskniłaś za ciotką - powiedziała do Julitki.

W pociągu tłoku nie było. O tej popołudniowej godzinie urzędnicy, dojeżdżający z Gdańska, jedli już w domach obiady albo rozmawiali w piwiarniach przy kuflu gdańskiego o nowych porządkach, zaprowadzanych w Gotenhafen.

Na spacer po sopockim moło lub oliwskim parku było jeszcze za zimno - pasażerami pociągu byli więc kolejarze, wiecznie jeżdżący na tej trasie, kobiety z torbami na zakupy i spóźnieni funkcjonariusze niższych szczebli, których gorliwość w służeniu III Rzeszy nie znała godzin i umiaru. Jak ten pod oknem, myślała Łucka, poddając się senności, jaka opanowywała ją w pociągu. Spod ciężkich powiek spoglądała na mężczyznę, który trzymając na kolanach pękata teczkę, także zdawał się drzeć. Cieszyło ją to, nie lubiła rozmów w pociągu, zwłaszcza teraz.

Ten senny nastrój przerwała Julitka. Zbliżyła się do okna i opuściła z trzaskiem szybę. Pociąg, minawszy Orłowo, zbliżał się do Kolibek, do zielonego wklęsnięcia ziemi między dwoma wzgórzami. Poza nim widać było morze spokojne i bardzo niebieskie tego dnia.

- Zamknij okno! - syknęła Łucka do córki. Mówiła po niemiecku i może dlatego Julitka nawet nie drgnęła. Uniósłszy twarz pod gwałtowny podmuch wiatru, oddychała szybko i głęboko.

- Zamknij okno! - powtórzyła matka, widząc, jak siedzący z drugiej strony okna współtowarzysz podróży przytrzymuje dłonią rozwiewające się włosy.
- Ależ mnie to nie przeszkadza - odezwał się uprzejmie.
- W przedziale było nawet trochę za gorąco, a na dworze przecież wiosna.

Łucka tylko się uśmiechała w nadziei, że na tym rozmowa się skończy, ale mężczyzna wybił się z drzemki i wyraźnie miał ochotę pogawędzić w pociągu.

- Widzi pani? - powiedział, patrząc na wzniesienie kolibskiego cmentarza, które pociąg właśnie mijał. Między drzewami i grobami ciemniał świeżym, wilgotnym obnażeniem ziemi pusty plac. - Już go tam nie ma!

- Kogo? - spytała Łucka niechętnie. Wiedziała, o czym mówi ten człowiek.

- Czego! Tego kościoła już tam nie ma, co go królowa polska ufundowała. I obrazu z drugą królową - zaśmiał się cicho - z królową korony polskiej też już nie ma. Za dużo tu było tych polskich królowych. Polacy wciąż czekali na jakiś cud. A teraz proszę, pusty plac!

Łucka milczała. Kątem oka widziała, jak Julitka odwraca się powoli, żeby spojrzeć na wypowiadającego te słowa. Powinna była szarpnąć ją za rękę, wyprowadzić na korytarz pod pozorem, że wysiadają w Sopocie, nie dopuścić do tego, co mogło się stać, co prawie musiało się stać - znała swoją córkę. Ale myliła się co do niej po raz pierwszy w życiu. Julitka obróciła się znów ku oknu i nieruchomo patrzyła. Dla niej nie był to pusty plac. Dla niej wciąż stał tam ten kościół i ona pod jego ścianą, zanim zaczęła czołgać się, a potem biec z krzykiem między grobami. Dla niej tam zaczęła się wojna; ten człowiek o tym nie wiedział, ten człowiek nie wiedział także, jakie to groźne, jeśli dla kogoś tak zaczyna się wojna...

- Ładną ma pani córkę! - współtowarzysz podróży zmienił temat. Widział przez chwilę oczy Julitki, najwidoczniej chciał, żeby spojrzała na niego po raz drugi.

- To jeszcze dziecko - bąknęła Łucka.

- Oczywiście. Ale dzieci podczas wojny dojrzewają wcześniej. Do BDM należy?

- Nie. Za młoda.

- Za młoda?

- Tak. Za młoda.

Łuckę ogarniała panika. Bała się, że nie podoła tej rozmowie aż do Gdańska, a pociąg na tej trasie włókł się ospale. Pomyślała, czyby naprawdę nie wysiąść w Sopocie, ale nie było możliwości porozumieć się w tej sprawie z Julitką, mogła zaoponować, mogła wyrazić zdziwienie i towarzysz podróży domyśliłby się wszystkiego.

- W Reichu wszystkie dziewczęta należą do BDM

- powiedział z nutą przygany i perswazji w głosie.

- No, w Reichu! - bąknęła znowu Łucka. Sama nie wiedziała, co właściwie miało to oznaczać.

- A Reich to teraz także i te tereny - ciągnął niesyty swoich patriotycznych obowiązków mężczyzna.

Łucka zamilkła, patrzyła przed siebie bezradnie, ale

- niespodziewanie i na bardzo, co prawda, krótko - ciężar rozmowy przejęła na siebie Julitka. Gwałtownie

wyszarpnęła chustkę z kieszeni kurtki i podniosła ją do ust.

- Rzygać mi się chce! - powiedziała- Mog^a wyrazić się inaczej, delikatniej, mogła powiedzieć, że jej niedobrze, że ją nudzi, ale powiedziała właśnie tak, a po niemiecku zabrzmiało to jeszcze ordynarniej: - Ich will kotzen! - powtórzyła.

Zerwała się z ławki i z trzaskiem rozsunawszy drzwi, wypadła na korytarz. Tu zwolniła kroku i schowała chusteczkę do kieszeni, udała się jednak do ubikacji na końcu wagonu z zamiarem nieopuszczenia jej aż do Gdańska.

- Ona taka słabowita od dziecka - powiedziała Łucka do natrętnego towarzysza podróży. - Zupełnie nie może jeździć pociągiem, nawet na tak krótkiej trasie. - I dodała: - A pan by chciał, żeby już należała do BDM?

Ciotki w mieszkaniu na Freuengasse nie zastały. Musiała być z mężem w "interesie" - w piwiarni, którą Plischkowie mieli przy Brotbaenkengasse, niedaleko Griines Thor. Poszły tam, omijając ogromny maszyn kościoła Marii Panny, którego południowa i zachodnia strona czerwieniały jeszcze blaskiem zachodzącego słońca, ale północna mroczniała już w chłodnym cieniu, a potem, przeskoczywszy Jopengasse, skręciły koło ratusza na Langer Markt.

Julitka dawno nie była w Gdańsku, a teraz - patrząc na domy, prezentujące w jaskrawym wiosennym świetle ozdobne swoje fasady, rzeźbione fryzy i portale - pomyślała, że chyba dorosłymi oczyma patrzy na nie po raz pierwszy, że chyba po raz pierwszy naprawdę je widzi i ocenia ich piękno. Zwykle biegła obok matki, trzymana przez nią za rękę, i starała się przede wszystkim dorównać jej krokom, w mijanych domach interesowały ją głównie sklepiki w przedprożach, do których schodziło się po kilku stopniach w ich mroczny chłód, w cudowne wonie lemoniady, lodów, chałwy i bitej śmietany. Głowy w górę nie podnosiła, kunsztowne elewacje domów, pilastry i zwieńczenia dachów nie zachwycaly jej w takim stopniu, jak wystawy sklepów, na których często ruszały się jakieś figurki, ludzi czy zwierząt - zależnie od reklamowanego towaru. Teraz, miast czekoladowego Murzyna, przewracającego oczyma z rozkoszy po wypiciu filiżanki kawy Meinia, po raz pierwszy zobaczyła miasto.

Na szczęście nie wypadało tego dnia żadne z hitlerowskich świat i czerwone flagi z czarną plamą swastyki w umiarkowany sposób - jeśli w ogóle mogła być mowa o jakimkolwiek umiarkowaniu w tym względzie - podkreślały, kto tu panuje. Drzewa zazieleniły się już jasną, nieśmiałą jeszcze zielenią i one, a nie napastliwa czerwień i czerń flag, były głównym akcentem tej dziwnej odświeżności, która u schyłku wiosennego popołudnia panowała na Długim Targu, od wysokiej ściany ratusza po ażurową granicę Zielonej Bramy.

Julitka przystanęła.

- Pośpiesz się - przynaglała matka. - Mamy mało czasu.

- Chcę trochę popatrzeć!

- Na co tu patrzeć! Znasz tu chyba wszystko.

- Nie, nie znam.

- Jak to nie znasz? Mało razy tu byłaś?

- Nie znam - powtórzyła Julitka.

- Słuchaj - zaczęła Łucka groźnie i nagle złagodniała. Z powiewu, ciągnącego znad Motławy, czy też z barwy wiosennego światła wysnuło się nagle wspomnienie, nie przywoływane od dawna. I ona tu kiedyś stała, zadzierając wysoko głowę ku szczytom tych samych pięknych domów, stała nie sama, ktoś ją trzymał za rękę, ktoś tłumaczył jej to piękno, nazywał je po polsku, wywodził ze spraw, których przedtem nie rozumiała. Zawahała się, czy powiedzieć o tym Julitce. Najpierw się tego zawstydziła, a zaraz potem uwiodła ją ta myśl. - Słuchaj! - powtórzyła, ale już zupełnie innym tonem. - W tym samym miejscu stałam kiedyś z ojcem.

- Po ślubie? - spytała Julitka rzeczowo. - Ja już wtedy byłam?

- Nie! - zarumieniła się Łucka nie wiadomo czemu.

- Przed ślubem.

- Ale już wiedziałaś, że się pobierzecie?

- Nie. To znaczy... ja tak, ja wiedziałam, ja byłam tego pewna... On, ojciec, chyba nie... Staliśmy tutaj, ojciec przedtem długo czekał na mnie, bo wpłacałam pieniądze w banku...

- To przez ten bank dziadek Augustyn umarł, kiedy splajtowała niemiecka marka?

- Tak. - Łucka na chwilę przygryzła dolną wargę i patrzyła posępnie na wejście do banku, jakby jeszcze na schodach przedproża był ślad jej kroków, kroków nieświadomych nieszczęścia, ku któremu dążyły. Nie była rada, że wspomnienie zawiiodło ją w tę stronę. Chwyciła Julitkę za ramiona, odwróciła ją ku studni z posągami Neptuna. - Tu ojciec na mnie czekał. Pokazał mi orły polskie na ogrodzeniu fontanny.

- Ale ich tu nie ma. Nie ma tych orłów - powiedziała cicho Julitka.

- Nie, już ich nie ma. - Łucka zatrwożyła się znowu. Nie o tym chciała mówić Julitce w momencie, kiedy prowadziła ją do domu swojej niemieckiej ciotki. Trzeba było teraz, jak długo mogło to być potrzebne, zapomnieć o tych wszystkich sprawach, kryło się w nich niebezpieczeństwo, wiedziała o tym. Ale równocześnie wiedziała, że gdyby Krzysztof - tak jak wtedy z nią - stał tu teraz z Julitką, na pewno powiedziałaby swemu dziecku to, co powinno od niego usłyszeć. - Nie ma ich, ale będą! - szepnęła ze ściśniętym gardłem, bo jednak bała się tych słów, tego dnia i tej godziny, w dodatku rozmawiały po polsku w samym centrum Gdańska, nieszczęście nie spało w tym mieście... - Chodźmy już stąd - powiedziała. - Naprawdę musimy się śpieszyć.

Ciotka Plischke nie okazała zdziwienia niespodziewaną wizytą. Zachowała się taktownie, to musiała jej Łucka - sama zmieszana niezręcznym tłumaczeniem się z tak długiej nieobecności - sprawiedliwie przyznać. W tym tłumaczeniu najgorsze było to, że wciąż używała określenia "przed wojną" i wydłużało to jeszcze czas o tę miarę dotąd nie znaną i odleglejszą niż miesiące, które

upłynęły.

- Szczerze mówiąc -powiedziała Truda Plischke -

H3

spodziewałam się ciebie wcześniej. Ale to dobrze, że wcześniej nie przyszłaś.

- Dobrze? - Łucka nie mogła zrozumieć, co ciotka ma na myśli.

- Dobrze - potwierdziła i zaraz zapytała: - Matka nie powiedziała ci, że byłam u was, że byłam u was w Gdyni, zanim... zanim to się zaczęło?

- Nie - szepnęła Łucka zdziwiona.

- Tego mogłam się spodziewać.

Rozmawiały w pokoju za piwiarnią, do którego docierał gwar i szcęk szkła, ale jednak było tu lepiej niż przy ladzie, gdzie zastały ciotkę królującą wśród kufli i beczek z piwem. Przywołała na swoje miejsce męża, żeby spokojnie móc porozmawiać z tak rzadkimi gośćmi.

- Była ciocia u nas... - Łucka wciąż nie mogła zrozumieć, dlaczego matka zataiła to przed nią.

- Tak. Bo... - Truda Plischke zawahała się, nie wiedziała, czy powinna przyznać się do całego celu swojej wizyty na Świętojańskiej - bałam się, żeby się wam co nie stało. Wiedziałam - ściszyła głos - że różnie może się przydarzyć. I prosiłam bratową - niechętnie używała jej imienia - żeby mnie zawiadomiła, gdyby nie daj Boże... - Ucałowała Łuckę w obydwie policzki. - Ale na szczęście nic złego się nie stało.

- Dziękuję cioci - szepnęła Łucka. - I nic mi mama nie powiedziała...

- Może to i dobrze. - Plischkowa postanowiła zachować się dyplomatycznie. - Zdenerwowałabyś się niepotrzebnie. Bo skoro nic się nie stało...

- No, jednak - przerwała jej cicho Łucka - jestem sama, bez męża.

- Ale żyje!

- Żyje - potwierdziła Łucka. Ale zaraz zapytała:

- Skąd ciocia wie?

- Dowiadywałam się. Co ty myślisz? Augustyn w grobie by się przewrócił, gdybym nie zatroszczyła się o jego jedyne dziecko. Ale powiedziano mi...

- Powiedziano cioci...? - szepnęła zdumiona Łucka.

- Tak, powiedziano mi, że w żałobie nie chodzisz, czyli że wdową nie zostałam.

- Ale nic o nim nie wiem. Nic. Zupełnie nic. - Łucka czuła na sobie ostre spojrzenie Julitki i uległa mu. -Zupełnie nic, proszę cioci.

- Ej, ej - powiedziała Truda Plischke. - Nie chcesz mówić, to nie mów. Nie interesuje mnie wcale, gdzie jest. Ale przecież wiecznie ukrywać się nie będzie.

- Wiecznie? - zakrztusiła się Łucka.

- No... -ciotka usiłowała złagodzić swoją niezręczność

- to jednak chyba jeszcze potrwa. Z tym przychodzisz do mnie?

- Nie - zaprzeczyła Łucka gwałtownie.

- Nie?

- Mam inne zmartwienie. I prośbę... prośbę do cioci.

- Słucham - powiedziała Plischkowa prawie oschle.

- Chodzi o Julitkę. Wyrosła już na tyle...

- Właśnie widzę. Na ulicy bym jej nie poznała. Naprawdę bardzo dawno nie byłaś u mnie z dziećmi. Nie pomyślałaś, że jak się własnych wnuków nie ma, to by się może chciało na te po bracie popatrzeć.

- Miałam tyle pracy... tyle pracy podczas tych ostatnich miesięcy... - płatała się Łucka - tych ostatnich miesięcy przed wojną...

- No, już dobrze - Truda ucięła te wykręty, wiedziała doskonale, co znaczyły. - A więc chodzi o Julitkę?

- Tak, o Julitkę. Do szkoły nie chodzi, bo... bo nie ma gimnazjum dla Polaków, i każdej chwili mogą ją wziąć do pracy...

- No cóż? Wszyscy muszą pracować...

- Tak, wiem - Łucka uznała za słuszne nie sprzeciwiać się ciotce. - Wiem. Ale podobno teraz biorą do fabryki broni w Gdańsku albo wywożą do Reichu. Ciocia sobie wyobraża Julitkę... przecież nie ma jeszcze piętnastu lat. Oszalałabym z rozpaczy, gdyby moje dziecko... gdzieś tam wśród obcych... I Krzysztof... Krzysztof by mi nigdy nie wybaczył, gdybym do tego dopuściła...

- Tylko nie zaczynaj od razu płakać.

- Nie płaczę, ciociu - Łucka uśmiechnęła się swoim dawnym, ślicznym uśmiechem, który zawsze rozczulał stryja Bernarda, gdy wyżaliwszy się w jego kamizelkę, odrywała od niej głowę i - pocieszona - podnosiła na niego oczy. Teraz uśmiech ten miał zaatakować niezbyt czułe serce ciotki.

- Nie płaczę, bo wiem, że ciocia mi pomoże...

- Jeśli tylko będę mogła - zastrzegła się Truda Plischke, siostra Augustyna i Bernarda.

- Och, na pewno będzie ciocia mogła. Wszystko obmyśliłam.

- Wszystko obmyśliłaś?

- Tak. Niech ciocia zatrudni Julitkę u siebie w piwiarni. Będzie bezpieczna i na pewno cioci pomoże. Plischkowa oderwała wzrok od pełnych nadziei oczu bratanicy i przeniosła go na jej córkę. Julitka siedziała na brzegu beczki z piwem, opierając pięty o jej żelazną obręcz. Pod wpływem spojrzenia ciotecznej babki przybrała pozę jeszcze bardziej niedbałą i także zaczęła się jej przyglądać, jakby to ona godziła starą kobietę do służby. Przypomniało się jej wszystko, co mówiła o ostrożności wobec gdańskiej krewnej panna Halszka, i poczuła się upokorzona prośbą matki, a w chwilę potem zgnębiona zupełnie tym, że nie było, naprawdę nie było innego wyjścia.

- Hm - zastanawiała się Truda - to by może nawet nie było złe... Nogi już mnie bolały od tego stania za ladą, zbierania kufli ze stołów...

- Ależ ona wszystko to za ciocię robi! - zawołała Łucka.

- Też tak myślę. Duża już z niej dziewczyna.

- Większa ode mnie! Wstań, Julitko! Pokaż się babci. Julitka posłusznie zsunęła się z beczki, obróciła się w lewo i w prawo, żeby Plischkowa mogła ją lepiej obejrzeć. Czuła się jak przedmiot, oglądany ze wszystkich stron, przedstawiany z miejsca na miejsce, ale jeszcze w domu zgodziła się być tym przedmiotem - do chwili, gdy wszystko się ruszy, gdy

ruszą się także i ożyją rzeczy.

- Właściwie powinnaś do mnie mówić tante-oma -
rozpogodziła się zupełnie Plischkowa. Otworzyła drzwi do
piwiarni i krzyknęła w jej gwar i posiwiały od dymu
półmrok: - Kurt! Chodź tu szybko! Szybko!

Kurt Plischke zjawił się w mokrym od piwa i zmywania
kufli fartuchu, wytarł o niego ręce, ale pozostały równie
mokre, jak przed chwilą.

- Och, Kurt! - zagruchała do niego żona. - Jaka
dobra nowina! Możemy mieć pomoc do piwiarni całkiem za
darmo.

- No... -wtrąciła Łucka, nie tracąc przytomności, jako
że, tak jak i ciotka, Konkówna z domu - za wyżywienie
i mieszkanie.

- Oczywiście, że za wyżywienie i mieszkanie - potwier-
dziła ciotka. - No popatrz. Kurt, jaka już panna wyrosła
z tej wnuczki Augustyna!

Julitka znowu okręciła się na pięcie, żeby i onkel-opa mógł
obejrzeć ją ze wszystkich stron.

- No tak... - powiedział. - Panna jak należy.

- I jaka ładna! Klientela się nam odmłodzi, jak będziemy
mieć kogoś takiego w interesie. Bo do tej pory nie było tu na
kogo patrzeć.

- Ci, co się na piwie prawdziwie znają - obruszył się
Plischke - przychodzą tu dla piwa.

- Ale u Gieslinga na Breitgasse stoi Frieda za kon-
tuarem, ślepiami przewraca, bluzkę ma wyciętą... Albo
Anna u Broma Berga na Fischmarkt! Co, może powiesz, że ci
się Anna nie podoba? Sam tam lubisz zachodzić i chyba nie
powiesz mi, że na piwo.

- Truda, Truda - bronił się onkel-opa, ale widać było,
że posadzenia żony sprawiają mu przyjemność.

- Ja wiem swoje - ciągnęła. - Każdy woli mieć przed
oczyma coś ładnego i młodego zamiast rozdeptanego stare-
go kapcia. Prawdę mówię, opa?

- Prawdę - przyświadczył Kurt Plischke, który kiedyś
zakochał się do niepamięci w dziewczynie przywożonej
z Gdyni ryby do sklepu jego ojca i zamiast ważyć je
sumiennie, patrzył jej w oczy i płacił za dorsze tyle co za
węgorze. - Prawda, Truda - powtórzył miękko.

- No, to interes ubity! - zakończyła sprawę Plischko-
wa, popychając męża z powrotem ku drzwiom, wiodącym
do piwiarni. - Jutro zamelduję Julitkę w arbeidsamcie.
Napisz mi na kartce jej datę urodzenia. I niech przyjedzie
z rzeczami w poniedziałek.

- Dziękuję cioci - powiedziała z prawdziwą wdzięczno-
ścią Łucka.

Stara kobieta objęła ją i przytuliła na chwilę do siebie.

- Ja nie zapominam, że jesteśmy najbliższą rodziną, że
prócz ciebie i mnie, i twoich dzieci nikt już z niej nie pozostał.
Gdyby Bernard miał trochę rozumu...

- Och, nie mówmy o tym - poprosiła Łucka.

- Dlaczego? Ja się już pogodziłam z jego śmiercią. I nie
od was się o niej dowiedziałam. Obcy ludzie mi o niej
donieśli. Twoja matka widocznie uważała, że jak mnie
Bernard nie lubił i ja do niego miałam żal, to i śmierć jego
mnie nie obejdzie. Ale jednak brat jest zawsze bratem i boli

mnie, że zginął tak głupio. -

- Ciociu! - poprosiła Łucka. Patrzyła na Julitkę, na jej oczy, na zaciśnięcie ust. Wszystko, co tak pomyślnie zaczęło się układać, mogło rozpaść się w jednej chwili pod uderzeniem pierwszego niewłaściwego słowa.

- Moja droga - ciotka trzymała ją jeszcze wciąż w objęciu i to zapewne złagodziło jej głos, bo tego, co mówiła, złagodzić nie była w stanie. - Co ty sobie właściwie wyobrażasz? Oni pójdą teraz na zachód. Nie po to zaczęli wojnę, żeby zatrzymać się w Polsce. Zastanawiasz się nad tym?

- Tak - potwierdziła cicho Łucka.

- Więc wiesz, jak sprawy stoją. I takiej sile, takiej potędze przeciwstawiać jedną literę swego nazwiska!

- Mamo! - odezwała się Julitka zachrypniętym głosem.

- Już musimy chyba iść. Godzina policyjna!

Łucka spojrzała na nią z wdzięcznością.

- Tak! - zawołała. - Nawet musimy się śpieszyć, żeby zdążyć na pociąg.

Plischkowa, już w drzwiach, zatrzymała ją jednak na chwilę.

- Powiedz matce, że jest tu obok bardzo ładna kamieniczka do sprzedania. Będzie wiedziała, co toznaczy. I dlatego przesyłam jej tę wiadomość.

- Ależ mama... mama nie ma żadnych pieniędzy...

- Wiem, że nie ma - warknęła. - Ale powiedz jej to!

Przez cały czas w pociągu Łucka nie przestawała zastanawiać się nad słowami ciotki. Zapytała w końcu Julitkę:

- Nie wiesz, co to mogło znaczyć?

Julitka wytłumaczyła jej to od razu:

- Chyba tante-oma wie, że babcia miała te pieniądze, którym pozwoliła umrzeć w swojej szufladzie. Może nawet wtedy, przed wojną - wyjaśniła z naciskiem - także i po to przyjechała do babci. Żeby dała jej te pieniądze do wymiany.

- Do jakiej wymiany?

- Och, mamu! - zniecierpliwiła się Julitka. - Do

wymiany na guldeny, jeszcze mama nie rozumie?

Jechały same w zaciemnionym wagonie i mogły swobodnie wieść tę rozmowę.

- Na guldeny... - powtórzyła Łucka.

- No chyba!

Łucke powoli rozjaśniło się w głowie i jakby ją płomień zaczynał obejmować od dołu ławki i pełzł ku górze, ku sercu i głowie. Umarłe pieniądze matki! Ale i ona miała na półce w szafie takie same umarłe pieniądze, dużo pieniędzy, nieprzydatnych na nic.

- O, mój Boże! - jęknęła. - I była wtedy u nas, i można było jeszcze...

- Niech się mama nie ośmiesza - powiedziała ze smutkiem Julitka.

Ale Łucka jej nie słyszała. Wzbierał w niej żal do matki i złość na nią, i wściekłość na siebie, że sama nie zadbała o to, żeby złotówki stały się guldenami, jeśli ciotka mogła im w tym pomóc, jeśli sama im to proponowała...

Kiedy wysiadły na dworcu w Gdyni, ruszyła od razu ostrto do domu, choć do godziny policyjnej było jeszcze trochę czasu. Chciała jak najprędzej zapytać matkę, jak to było z tą

wizytą ciotki, o czym podczas niej mówiły i dlaczego matka zataiła to przed nią... Ale Konkowa położyła się już, a w pokoju, w którym teraz sypiała, nie było zaciemnienia i nie można było zapalić światła, żeby przekonać się, czy śpi.

- Mamo - rzekła Łucka cicho, poskramiając podniecenie.

- Nie śpię - odezwała się Konkowa. - Chodź tu do mnie! - A gdy Łucka weszła i usiadła na brzegu jej łóżka, wzięła ją za rękę, ścisnęła mocno. - Kiedy otworzyłam drzwi, żeby wywołać Tomaszka od pana Karola - powiedziałam bardzo cicho, jakby bała się, że ktoś ją podsłuchuje - zdawało mi się, że panna Loewe idzie po schodach, a za nią pan Słubicki z ciężką walizką w ręku. Przystanęli na pierwszym piętrze, myślałam, że tam wejdą.

- Co też mama? - przeraziła się Łucka. Dotknęła ręką głowy matki. - Głowa mamę nie boli?

- Nie. Nic mi nie jest. Widziałam ich na schodach. Ich oboje.

- Niech się mama stara zasnąć. Może podać mamie herbaty?

- Już piłam. Dopilnuj, żeby Tomaszek zjadł kolację. Godzinę siedzi nad tymi kartoflami. A co w Gdańsku? Załatwiłaś pracę dla Julitki?

- Tak. Od poniedziałku będzie pracowała u ciotki.

- Ale u niej... wszystko dobrze?

- Tak. - Łucka zawahała się; - Pozdrowienia dla mamy - dodała.

. Zamknęła cicho drzwi, ale Konkowa zaraz krzyknęła:

- Otwórz! Lubię słyszeć, jak się kręcicie po mieszkaniu. W kuchni Tomaszek zasypiał nad talerzem przysmażonych na oleju ziemniaków.

- Dlaczego nie jesz? - spytała matka.

- Nie mogę! - jęknął. - Pan Karol poczęstował mnie prawdziwą szynką.

- Szynką?

- No! Taką jak przed wojną. Oni dzisiaj mają gości. Pan Lohmann przywiózł skądś szynkę i pan Karol powiedział, że nie mogliby w nocy spać, gdyby zjedli ją sami Niemcy.

- Tylko nie mów o tym nikomu.

' - Mamie mówię, nikomu więcej.

- Daj te kartofle - odezwała się Julitka. - Ja je zjem.

- Przysunęła sobie talerz i zaczęła pochłaniać ziemniaki z ponurą zaciętością. Odłożyła jednak na chwilę widelec, wstała i niespodziewanie pocałowała matkę, najpierw w policzek, potem w rękę.

- Dziękuję!

- Za co? - wzruszyła się Łucka rzadką u córki serdecznością. - Musiałam ci przecież znaleźć pracę.

- Ach, to nie za to.

- Nie za to?

- Nie. Dziękuję ci, że nie powiedziałaś nic babci. Bo tak się bałam...

Łucka aż do bólu zacisnęła powieki.

- Wyobrażasz sobie, że bym mogła?

VI

Pięć godzin! - myślał Wołocha, starając się..opanować podniecenie, które nie opuszczało go od pierwszych godzin

świtu, gdy w Dover wszedł na pokład angielskiego, transportowca, udającego się pod osłoną jednostek Hortie Fleet do Calais; teraz siedział w pustawym przedziale paryskiego pociągu, a napięcie nerwowe, miast słabnąć, potęgowało się coraz bardziej. - Pięć godzin w Paryżu! Do dalszego ciągu marzenia bał się przyznać.

Od pierwszego września do tego wiosennego ranka powiniem się już był przyzwycząć do wszelkiego rodzaju emocji. Nawet te ostatnie nie należały do najsłabszych: po przybiciu do Lerwick na Szetlandach i pożegnaniu z Brykiem Bjernsenem, którego obiecywał sobie jeszcze w życiu zobaczyć, przez Dundee - gdzie, jak zmartwychwstałego, powitali go koledzy z Orla i Wilka - dostał się wreszcie do Kierownictwa Marynarki Wojennej, aby tu przejść (ku swemu zdumieniu) przez proces weryfikacji. Przez te wszystkie dni, kiedy czekał na orzeczenie, czy godzien jest wejść znów na pokład okrętu Rzeczypospolitej, przez te wszystkie dni, kiedy panowie przy sztabowych biurkach, prawie takich samych, przy jakich siedzieli w Warszawie, badali jego drogę z Gryfa na Szetlandy - starał się powstrzymać od jakichkolwiek uczuć. Nie pozwolił sobie na żal czy rozgoryczenie. Uznał, że obawa, czy aby nie za wcześniej zjawił się w Szwecji, jest słuszna i rozsądna, i sprawiedliwa. Ci panowie przy sztabowych biurkach mieli prawo sądzić, że opuszczenie Helu przed godziną kapitulacji, przewidzianej przez nich, zanim wojna wybuchła, jest zdradą i hańbą dla żołnierza. Mówił sobie, że mają rację, że ostrożność jest konieczna, że sam na ich miejscu przyglądałby się - z czujnością, uwagą i niedowierzaniem - każdemu, kto miałby wejść na okręt Rzeczypospolitej. Byłe nie za długo. Nie za długo. Jednego nie potrafił na pewno: czekać. Już wtedy - w okresie tej upokarzającej go beczynności - mógł pojechać do Paryża, mógł wykorzystać ten czas na osobistą, coraz bardziej nagłą przez swoją realność, przez swoją bliskość, sprawę. Nie skorzystał z tego. Czuł się spętany i w tym spętaniu zawieszony w próżni, z której nie było wyjścia. Kiedy wszystko wreszcie dobrze się skończyło, poczuł ulgę - aż śmieszną, bo przecież wiedział dobrze, że musiało się to dobrze skończyć. Podał nazwisko Rokickiego w Sztokholmie, a on zapewne nazwisko, czy kryptonim owego agenta firmy angielskiej, tej w i e l k i e j firmy angielskiej, który był źródłem wszystkich dalszych kontaktów, wiodących na zachód. Potwierdzenie przez nich terminu, w którym zjawił się w Szwecji, musiało mieć zasadnicze znaczenie dla sprawy - a jednak poczuł ulgę tak silną, że zastąpiła wszelkie inne uczucia, nawet ciekawość, na jaki dostanie się okręt. Jakby dla rekompensaty dano mu dwa do wyboru: Błyskawicę i Garlanda. Na Błyskawicy dokonywano właśnie zmiany dowództwa i częściowo kadry oficerskiej. Mógł więc wejść na Błyskawicę w chwili nader dogodnej, choć i Garland, niszczyciel angielski, przekazany Polskiej Marynarce Wojennej, czekający na Malcie na swoją nową załogę, był propozycją nie do pogardzenia. Przez chwilę nawet wyobrażał sobie, jak powabna - dla przybysza z północy, który nie zapomniał jeszcze przeprawy na nartach przez szwedzko-norweską granicę - byłaby to służba: na Morzu Śródziemnym, w słońcu i spokoju, z dala od Atlantyku i Morza

Północnego, gdzie ciągle zagrażały niemieckie u-booty. Ale kiedy wreszcie zdecydowano za niego, przydzielając go na Błyskawicę - ucieszył się. Perspektywa walki była tu bliższa, a wciąż myślał - choć to było zupełnie niedorzeczne - o Hejkowej z Helu i o tym, co mu przepowiedziała. No i na Błyskawicy Grześ był razem z nim! Nie przyznawał się przed chłopakiem, który szalał z radości, że i dla niego była to jednak jakaś wygrana w niepewnym wojennym losie;:

- Ale nie będę tu podawał do stołu? - dopytywał się Grześ, gdy formowano załogę.

- Nie - odpowiedział mu, przypominając sobie rozmowę z Brykiem Bjernsenem, kiedy tylko opuścili Bodę. - Tu będziesz podawał pociski do dział. A może zostaniesz dalmierzystą?

- Ale... - zasępił się chłopak - czy potrafię?

- Nauczysz się.

Pierwsze tygodnie istotnie upłynęły nowo uformowanej załodze Błyskawicy na bezustannym szkoleniu i ćwiczeniach. Było to konieczne ze względu na zaokrętowanie nowych marynarzy z poboru przeprowadzonego wśród Polaków we Francji. Niektóre z tych ćwiczeń - zwłaszcza szkolenie w zakresie taktyki i sygnalizacji, obowiązującej w brytyjskiej marynarce wojennej - prowadzone były przez angielskich oficerów, co przy słabej znajomości języka przysparzało dodatkowych trudności.

Pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, ktoś wysiadł, ktoś wsiadł, trzaskały drzwi wagonów, korytarzem biegły pośpieszne kroki. Wołodia otworzył oczy, ale potrzebował trochę czasu, żeby uświadomić sobie, gdzie jest. ARRAS - przeczytał nad okazałym budynkiem stacji. Był w drodze do Paryża i zamiast się cieszyć, zamiast wyobrażać sobie te pięć godzin, jakie miał między pociągami - on tkwił na okręcie, który wreszcie znowu miał, ze wszystkim dobrem i złem, wpisanym w jego losy. Tego dnia przeprowadzano na Błyskawicy czyszczenie kotłów, był zbędny przy tej czynności, mógł więc - bez wyrzucenia sobie, że osobiste sprawy stawia przed służbą - poprosić o dzień urlopu. I oto był w drodze do Paryża... Był w drodze do Paryża! Musiał uśmiechać się do swoich myśli, bo dwie młode panie, które zapewne wsiadły w Arras, zaczęły mu się przyglądać ze wzrastającym zainteresowaniem. Nie miały żadnego bagażu, najprawdopodobniej udawały się na wiosenne zakupy do stolicy. Obydwie wyglądały na to, że nie odmawiały sobie wszelkiego rodzaju przyjemności.

Pod wpływem ich spojrzeń przywrócił obojętny wyraz swojej twarzy i patrzył sennie na kłębiący się po peronie tłum cywilów i wojskowych w mundurach wszelkich rodzajów wojsk, wysiadających i wsiadających do pociągu. Gdyby ci sami wysiadali i wsiadali z powrotem - absurd byłby mniejszy. Ale inni wysiadali w Arras i inni opuszczali Arras, i choć zapewne były po temu jakieś powody - bolesne podobieństwo przypominało mu, że w ostatnich dniach sierpnia widział w Gdyni zupełnie to samo.

Młode panie rozgościły się już w przedziale, nie interesując się w najmniejszym stopniu tym, co działo się na peronie. O wiele bardziej godny uwagi wydawał im się przystojny oficer w zaciekawiającym je mundurze.

W końcu jedna z nich nie wytrzymała.

- Przepraszam - powiedziała - czy może nam pan zdradzić, jeśli to nie tajemnica wojskowa - uśmiechnęła się zalotnie - jaki mundur ma pan na sobie?

Skłonił się, unosząc się lekko na siedzeniu.

- Polskiej marynarki wojennej.

- Och! - zawołała druga. - Mama знаła jednego Polaka przed wojną.

- Przed którą?

- Przed pierwszą oczywiście. Był prawdziwym hrabią.

- Zdarza się - mruknął.

Nie nabrały w ciągu tej podróży zbyt dobrego mniemania o rozmowności i - niestety - manierach Polaków. W innych okolicznościach zadbałby o to, bawiłby je wytrwale aż do Paryża i nie zostawiłby ich w przedziale - teraz nie chciało mu się gęby otworzyć, a kiedy pociąg wjechał na dworzec Paris-Nord, pożegnał je tak pośpiesznie i tak nerwowo, jakby Anetka Briffaut czekała na niego na peronie i mogła go widzieć w tym towarzystwie.

Dopiero w taksówce, gdy podał adres szoferowi, opadły go wątpliwości. Wszystko, co sobie zaplanował, nie dbając o realność tego po piętnastu latach urzeczywistnianego planu, wydało mu się niedorzeczne i niemożliwe. Jakże mógł sobie wyobrażać, że ona tam jest, że ją zobaczy, że...? Po tylu latach, po wszystkim, co mogło podczas nich zajść, miałaby na niego czekać, miałaby go pamiętać - śliczna pani z Paryża, którą kochał zziębnięty chłopak w postrzępionej marynarczynie na grzbiecie...?

Podniósł rękę, żeby zatrzymać taksówkę, wysiąść, wmieszać się w tłum i pójść dokądkolwiek, znaleźć jakąś knajpę i przepiwszy w niej wszystkie pieniądze - wrócić na dworzec. Pięć godzin w Paryżu! Zbyt zuchwały był, sądząc, że mógłby je spędzić inaczej. Ale nie dokończył gestu, nie położył dłoni na ramieniu taksówkarza, który jednak zauważył niepokój pasażera.

- Pan sobie życzy?

- Ach, nic, przepraszam. Chciałem, żebyśmy pojechali inną drogą.

- Ta jest najkrótsza.

- Tak, wiem, ta jest najkrótsza.

Naprawdę wiedział. Ileż razy podczas pobytu w Ecole des Cannoniers jeździł tędy z dworca po to tylko, żeby włóczyć się po rue de Nancy, z daleka omijając dom Briffautów. Do obłędu doprowadzały go soboty i niedziele, które spędzał w ten sposób, ale nigdy nie pozwolił sobie na przekroczenie wyznaczonej granicy. Raz tylko udało mu się zobaczyć panią Briffaut, gdy w towarzystwie ojca - a nie męża - wsiadała przed domem do auta. Nie rozpoznała go w wysokim mężczyźnie, stojącym u wylotu ulicy, nie zaalarmował jej oficerski płaszcz, jakiego nie noszono w armii francuskiej. Ale on ją widział i biegł za autem, gdy ruszyło sprzed domu...

Ona tam jest, myślał gorączkowo, ona czeka.

Taksówka stanęła.

- To tutaj - powiedział taksówkarz, gdy dziwny, jak mu się wydawało, pasażer nie ruszał się z miejsca.

- To tutaj... - Wołodia powtórzył za nim. Wcisnął mu

do ręki jakiś pieniądz i nie przyjął reszty, co jeszcze bardziej zdumiało Francuza.

- Pan jest...? - zapytał.

- Polakiem.

- Od razu tak sobie pomyślałem.

Wysiadł i dopiero kiedy taksówka odjechała, zbliżył się do bramy domu; w jej wnęce przy guzikach dzwonek do mieszkań widniały nazwiska lokatorów. Przymknął na chwilę oczy, zanim odważył się na nie spojrzeć. Tak, na pierwszym piętrze mieszkali Anette i Marcel Briffaut.

Zaczynało się jednak urzeczywistniać to niemożliwe, nierealne... Poczuł się obezwładniony nadzieją tak bliską, że znowu zatrwożyła go jej zuchwałość. Stał tu tak długo, aż konsjerżka wyjrzała ku niemu zza swego okienka.

- Pan do kogo? - zapytała.

- Do pani Briffaut - wykrztusił.

- Nie wiem, czy jest, bo wychodziłam na chwilę po gazetę do kiosku. Trzeba wiedzieć, co się dzieje na świecie.

- Nic się nie dzieje - powiedział.

- Nie? - kobieta poprawiła kolorową apaszkę na głowie, nie wiedziała, czy się uśmiechnąć, czy potraktować sprawę serio. - Zupełnie nic? - zapytała z niedowierzaniem.

- Trochę strzelaniny na morzu. To wszystko.

- A pan z morza?

- Z morza.

- I teraz pan przyjechał?

- Teraz.

- To dlaczego nie idzie pan na górę? Może pani Briffaut jest, nie widziałam, żeby wychodziła, bo, mówiłam panu, poszłam do kiosku po gazetę.

Ropoczął tę rozmowę i nie kończył jej - ze strachu. Z paraliżującego ruchu lęku, że wszystko może się rozwiać, przemienić w śmieszność, która często bywała końcem pragnień zbyt zuchwałych.

- No, dlaczego pan nie idzie? - dziwiła się konsjerżka.

- Ma pan dużo czasu? Teraz wojskowi nie mają czasu.

- Ja mam - powiedział. - Prawie pięć godzin.

Ruszył wreszcie w górę po schodach, a ona wychyliła się ze swego okienka i jeszcze raz poprawiwszy kolorową apaszkę na głowie, patrzyła długo za nim.

Na półpiętrze zatrzymał się, słyszał swój zdyszany oddech, jakby wspinał się na wieżę Eiffia. Oparł się o parapet okna i spojrzął na ulicę, tonącą w oślepiającym wiosennym słońcu. Wróble hałasowały w pokrytych już pierwszą zielenią koronach drzew. Ona tam jest! - myślał. - Ona tam jest!

Resztę schodów pokonał w kilku skokach. Zadzwoił, jakby się paliło na wszystkich wyższych piętrach i jakby on właśnie zawiadamiał o tym lokatorów mieszkań.

Otworzyła mu młoda pokojówka w czarnej sukience i białym fartuszk, obszytym koronką - przez chwilę wydało mu się, że ogląda jakiś film, odwykł od widoku takich pokojówek.

- Pana nie ma - powiedziała, zanim zdążył się odezwać.

- Ja... do pani.

- Pani też nie ma.

;

- A - z trudem pokonywał suchość warg - kiedy...
wróci?

Dziewczyna zawahała się. Przyjrzała się jego mundurowi.

- Czy pani oczekuje pana?

- Tak! - zawołał. - Tak! To jest... trudno to w ten sposób określić... wpadłem do Paryża dość niespodziewanie.

- Bo pani powinna niedługo wrócić.

- Niedługo? - spytał cicho.

- Tak sędzę. - Pokojówka znów mu się przyjrzała z zastanowieniem, ale teraz jakby i współczuciem.

- Może pan zaczeka?

- Och, dziękuję!

Otworzyła szerzej drzwi i wpuściła go do przedpokoju.

Zdjął płaszcz i czapkę, przygładził w lustrze włosy, nie poznając swojej twarzy. Ledwie opanowując wewnętrzne dygotanie, wszedł do salonu i usiadł w fotelu. Dziewczyna zatrzymała się w drzwiach.

- Źle się pan czuje?

- Nie. Chociaż może... trochę się zaziębiłem...

- Przyniosę panu kieliszek koniaku.

- Proszę.

Wyszła, a on ostrożnie i powoli - jakby rozkładał to sobie, żeby starczyło na dłużej - rozejrzał się po pokoju. Więc tak mieszkała! Siadywała w tym fotelu lub na kanapie, przyjmując gości, patrzyła na ten dywan, na te obrazy, na żyrandol w stylu III Cesarstwa, który zwisał z sufitu. oddychała tym powietrzem... Niepokój zaczął się w nim uciszać, niecierpliwość nie była już tak dręcząca. Wydało mu się, że gdyby nawet jej nie zobaczył, wystarczyło mu to, że tu był, że tu siedział, że mógł ze sobą zabrać obraz tego wnętrza.

- Proszę, jest koniak - powiedziała pokojówka. Niosła na srebrnej tacce kieliszek, w którym kołysał się miodowo-złoty płyn. - Zaraz poczuje się pan lepiej.

- Dziękuję. - Wypił i naprawdę dobrze mu to zrobiło.

- Pani powinna zaraz nadejść - dodała dziewczyna.

Dopiero teraz spostrzegł, że oczy miała lekko zaczerwienione - od płaczu, a może tylko od kataru.

-- Przyniosę panu coś do czytania.

- Nie, nie, nie trzeba.

- Nie będzie się pan nudził?

- Nie. Nie będę się nudził - odrzekł cicho.

O jednym jeszcze nie pomyślał. Że ta, która stanie w drzwiach, nie będzie już jego Anetką Briffaut. I że on także nie będzie dla niej jej Wołodią. Jak śmiesznie, jak cudownie wymawiała jego imię! I mogło się zdarzyć, że już mu się to nie podoba. Piętnaście lat nie było tygodniem ani miesiącem

- obydwójce mogli być dla siebie okrutną niespodzianką.

Przy odrobinie kultury, pomyślał w panice, można będzie rozegrać to spotkanie tak, żeby oboje jak najprędzej mogli o nim zapomnieć...

Zerwał się z fotela, podbiegł do drzwi, ale zdołał się przy nich zatrzymać. O czym myślał? O czym odważał się myśleć, u diabła! A więc niech będzie stara, niech będzie brzydka!

Czy mogło to mieć jakieś znaczenie? Dlaczego nie kochał żadnej z tych pięknych kobiet, które mu się ofiarowały?

Pożałował, że nie poprosił pokojówki o gazetę, ona wiedziała lepiej, że powinien się czymś zająć. Usiadł z powrotem

w fotelu, ścisnął dłońmi skronie.

I wtedy usłyszał zgrzyt klucza w zamku.

Znowu się zerwał, obciągnął na sobie mundur.

- Jakiś pan czeka na panią - powiedziała pokojówka niedostatecznie ściszonego szeptem.

- Jakiś pan? - zdziwiła się nieprzyjemnie Anetka. Jej

5 - Tsk trzymać t. III

głos, jej dawny, wciąż ten sam, trochę jakby nieśmiały i strwożony głos nie stracił nic z powabu swego brzmienia, ale był w nim jakiś ton, którego nie znał. Może znużenie, może smutek...? - Nie wiesz, kto to taki?

- Nie. Wojskowy. I chyba cudzoziemiec.

- Cudzoziemiec? - krzyknęła.

Stanęła w drzwiach - niewysoka i drobna, ale tą jakąś przedziwnie doskonałą miarą kobiecą odmierzona pani Briffaut. Przypomniawszy sobie, że tak właśnie o niej pomyślał, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy. Włosy nosiła teraz inaczej uczesane i nie miała na sobie rdzawego kostiumu, tylko jakiś błękitny wiosenny płaszcz, który nie przypominał niczego z jej dawnych rzeczy, ale ona była w nim wciąż taka jak dawniej, ona była w nim wciąż sobą. Cóż za głupiec ze mnie! - pomyślał. - Piętnaście lat! Tylko piętnaście lat! Obydwoje byli jeszcze młodzi, na tyle młodzi, żeby spotkanie po piętnastu latach wydawało się jeszcze szczęściem i żeby obchodziło ich jeszcze to, co było kiedyś między nimi.

- Wołodia! - zawołała. - Nie! To naprawdę ty?

- Ja - powiedział, nie poznając swego głosu.

- O Boże! Nie wierzę! Nie mogę uwierzyć!

- Ja - powtórzył.

- Skąd? Jakim sposobem? I... akurat dziś?

Zbliżył się do niej wreszcie, chwycił za ręce, pocałował je w milczeniu.

- Wołodia - powiedziała cicho. - Mój Wołodia!

Pokojówka stała w drzwiach.

- Czy mam coś podać, proszę pani?

- Tak... oczywiście...

- A co, proszę pani?

- Cokolwiek... to jest... wszystko, co masz. Pewnie jesteś głodny?

- Nie... Chociaż nie wiem, może... Opuściłem Harwich o świcie po filiżance kawy.

- Harwich? To w Anglii?

- W Anglii.

- Juliette - pani Briffaut w roztargnieniu zwróciła się do pokojówki - moja droga, przygotuj coś do jedzenia. Coś dobrego, bardzo cię proszę...

- Rozumiem, proszę pani.

- I podaj przedtem aperitif.

- Tak, proszę pani.

- A może wolisz koniak? - spytała, widząc kieliszek na stoliku.

- Dziękuję, wszystko jedno.

- A może whisky?

- Naprawdę wszystko mi jedno... Musiałem cię zobaczyć - powiedział cicho, gdy pokojówka wyszła.

Pani Briffaut usiadła na brzegu fotela i złożywszy na

kolanach ręce, patrzyła w milczeniu na swego gościa.

- Jestem w Harwich - zaczął mówić szybko, jakby tylko to miejsce, w którym stał jego okręt było jej nie znane z długich lat, zawieszonych bolesną niewiadomą między nimi - w Harwich, na północ od Dover. Na polskim niszczycielu Błyskawica.

- Brałeś udział w wojnie? - zapytała cicho. - Myślę... tam u siebie... w Polsce...

- Tak, przez cały wrzesień. W nocy z pierwszego na drugi października udało mi się wraz z piętnastoma osobami uciec z Helu i przedostać się przez niemiecką blokadę na Gotlandię. Do stycznia siedziałem w Szwecji, internowany z całą grupą Polaków, a potem wydostałem się stamtąd i jestem w Anglii. Kiedyś ci to dokładnie opowiem...

- Kiedyś...?

- Tak. Sądzę, że będziemy mieli na to dużo czasu.

- Och, mój drogi!

- Sądzę, że będziemy mieli na to dużo czasu - powtórzył. - Skoro tu jestem. Skoro wreszcie tu jestem. Nie zapytała, jak to sobie przedstawia i co rozumie przez te słowa. Przesiadła się na bliższy fotel, wyciągnęła rękę i położyła ją na jego ramieniu. Bał się poruszyć, bał się odetchnąć.

- Przez cały ten czas... przez cały wrzesień myślałam... bardzo myślałam o tobie.

-Ja też... kiedy tylko mogłem... kiedy była chwila spokoju.

- Nieczęsto... się zdarzała?

- Nie. Nieczęsto.

- Wyobrażałam to sobie.

- Nie, kochanie - powiedział jak do dziecka - aie mogłaś sobie tego wyobrazić. Nikt nie może sobie wyobrazić wojny, jeśli jej sam nie przeżył.

- Czekaliście; że wam pomożemy? - zapytała po długim milczeniu.

- Tak. Bardzo.

- To także sobie wyobrażałam, choć sądzisz, że nie można sobie tego wyobrazić. Wojny może nie, ale to można. Czuliśmy się strasznie, kiedy u was... wciąż to trwało... a tutaj była bardzo piękna jesień, tyle słońca, tyle owoców... Poczuł, że usta ma suche jak wtedy, przed siedmioma miesiącami, kiedy trawiły go gorączka i rozpacz.

- Widziałem te owoce. Na straganach, na ulicznych wózkach.

- Widziałeś...?

- Wciąż o nich myślałem. Miałem gorączkę, chciało mi się pić...

-Byłeś ranny?-zapytała cicho.

- Nie. Tylko poparzony. I widziałem te stosy owoców, kiedy bardzo chciało mi się pić. Przymknęła oczy, zacisnęła powieki.

- Czuliśmy się tu okropnie. Może nie wszyscy, to prawda... Wiesz, to jednak dosyć od nas daleko... i nie była to sprawa tylko odległości... Ale dla przeciętnego Francuza ni stąd, ni zowąd umierać za Gdańsk...

- A za Paryż... przeciętny Francuz zechce umierać?

- spytał Wołodia brutalnie. Na tę jedną chwilę opuściła go czułość i wzruszenie.

Pani Briffaut cofnęła się na oparcie fotela. Otworzyła zdumione oczy.

- Za Paryż?

- Nie macie na tyle rozeznania? I wyobraźni?

- Nie krzycz na mnie. Mówiłam ci przecież, co czuliśmy podczas września. Szczególnie my, bo byliśmy tam u was, znaliśmy was. Marcel i Lebrac... och, gdybyś widział wtedy Lebraca... Pamiętasz go chyba jeszcze?

- Nie zapomniałem nikogo z was - odrzekł powoli.

- Więc Lebrac...?

- Szalał. Szalał i rozpaczał, że nie możemy wam pomóc.

- A... naprawdę nie mogliście?

Milczała długo.

- Nie mogliście? - zawołał. Na Boga! Nie przyjechał tu po to, żeby wieść tę rozmowę. I z kim? Z Anetką Briffaut! A dlaczego nie z generałem Gamelin, naczelnym wodzem i dowódcą sojusznicznych sił we Francji? Dlaczego nie z nim? Do niego by go nie dopuścili, a ona tu siedziała, pierwszy obywatel tego kraju, któremu mógł przedstawić swój żal. Nie, były jeszcze te dwie panie w pociągu, a przed nimi bagażowy, którego pytał w Calais o pociąg pośpieszny do Paryża. Potem konduktor i taksówkarz... Konsjerżka wreszcie i pokojówka... Dlaczego im nie postawił tego pytania? Dlaczego zachował je dla tej, której nie widział przez piętnaście lat, a po piętnastu latach miał dla niej tylko pięć godzin, pięć godzin przed powrotem na okręt i przed wyjściem w morze. - Przepraszam - powiedział.

- Ach, nie! - zawołała. - Masz prawo o to pytać. Ale czy istnieje na to odpowiedź? - zapytała po chwili.

- Nie istnieje?

- Chyba nie. Sądzę, że... po prostu nie byliśmy na to przygotowani.

- A teraz... Jesteście?

- Wołodia! - powiedziała bardzo cicho. - Nie widzieliśmy się tak długo i zapewne, wbrew temu, co powiedziałaś, znowu nieprędko się zobaczymy, o czym my rozmawiamy, mój drogi, mój kochany...?

- Przepraszam - powiedział po raz drugi. Ale jednak dodał, nie mógł się od tego powstrzymać: - Najpierw przeprosiłem cię za moje polskie pytanie, na które nie ma odpowiedzi, a teraz za pytanie wyspiarzy, bo w tej chwili Anglia, tak jak przedtem Polska, liczy na was. A ja przyjeżdżam stamtąd.

Weszła Juliette z dwoma szklankami aperitif na tacy.

Pani Briffaut powitała ją z widoczną ulgą.

- Więc co nam dasz do jedzenia? - zapytała.

Sztuczne ożywienie w jej głosie zabrzmiało jak wołanie o ratunek.

- Mamy - powiedziała Juliette - kurę na zimno, pasztet, ser, sałatę i oliwki...

- Cudownie! Wciąż nie jesteś głodny? - Anetka uśmiechnęła się zachęcająco do swego gościa.

- Jestem - przyznał, żeby uspokoić ją, że już nie wróci do poprzedniej rozmowy.

- No, widzisz! - ucieszyła się. - Juliette! pośpiesz się,

pan przyjechał z Anglii i nie miał nic w ustach poza filiżanka kawy o świcie.

- Zaraz nakrywam do stołu - zawołała dziewczyna.

- Podać tu czy w jadalni?

- W jadalni.

Słyszeli, jak krząta się w sąsiednim pokoju, jak biega wokół stołu drobnymi, spiesznymi krokami, jak ustawia szkło, porcelanę, rozkłada sztucce. Pośród tych uspokajających dźwięków zapytał wolno i bez nadmiernego zainteresowania, jakby dowiadywał się o kogoś, o kogo należało zapytać przez grzeczność:

- A gdzie Marcel?

Pani Briffaut dopiero teraz przypomniała sobie, że jest w płaszczu, rozpięła guziki i zaczęła ściągać go z ramion. Wstał, żeby jej pomóc.

- Och, Marcel...:- powiedziała. - Marcel jest w Oranie. Razem z ojcem.

- Budują tam coś?

- Tak. Chyba tak...

- Lebrac jest z nimi?

- Nie. Lebrac jest w armii. Był oficerem rezerwy.

- Marcel przecież także?

- Ale... - przerzuciła płaszcz przez poręcz fotela, wygładziła go dłonią - nie dostał powołania... długo nie dostawał powołania...

- Nie jest chyba starszy od Lebraca...?

- Nie, nie jest starszy - powiedziała.

- Proszę do stołu - rzekła Juliette, otwierając drzwi.

Dopiero teraz poczuł, że naprawdę jest głodny.

Pani Briffaut wskazała mu miejsce, sama usiadła naprzeciwko. Patrzyła z czułością, jak je, jak pochłania wszystko, co w pośpiechu, ale ze zjawstwem i dbałością zgromadziła na stole Juliette. I na winach znała się także. Wytrawne sauterne było znakomicie ochłodzone i bardzo podnosiło smak zimnego mięsa.

- Zjem wszystko, co tu jest - powiedział do Anetki, wiedząc, że ją tym ucieszy. Kobiety zawsze lubiły patrzeć, jak jadł. Najpierw matka, a po niej wszystkie, które znał, nawet te dwie w Bodę, pani Bjernsen i Harriet, panna Harriet Halvind, córka pastora. Ale ta, która patrzyła teraz, oprócz czułości miała w oczach smutek.

- Na jak długo przyjechałeś do Paryża? - zapytała.

Między kęsem pasztetu a oliwką niesioną do ust powiedział:

- Na pięć godzin.

- W jakichś sprawach służbowych?

- Nie. Do ciebie. Wyłącznie do ciebie. Mamy mnóstwo czasu.

- Mnóstwo czasu - powtórzyła. I jeszcze, nie dowierzając temu, co powiedział, zapytała: - I tylko żeby się ze mną widzieć, dostałeś urlop i przepustkę na kontynent... teraz... podczas wojny...?

Wołodia przechylił się ku niej ponad stołem. Wypił już dwa kieliszki wina, oczy zaczynały mu błyszczeć.

- Przyszedłem do nich...

- Do kogo?

- Do tych, którzy mogli to dla mnie zrobić. Którzy

musieli to dla mnie zrobić. Czuli się chyba wobec mnie trochę nie w porządku po pewnej paskudnej sprawie, kiedy okazało się, że wcale paskudna nie była.

- Nic z tego nie rozumiem.

Wypił trzeci kieliszek wina.

- Zrozumiesz, kochanie, gdy opowiem ci to kiedyś dokładnie. Więc poszedłem do nich i powiedziałem: "Panie! Nie widziałem jej piętnaście lat. A-bardzo ją kiedyś kochałem".

Siedziała bez ruchu, nie oddychała chyba także. Gdyby w innych okolicznościach miał przed sobą kogoś z takim wyrazem twarzy, natychmiast pobiegłby po szklankę wody.

Teraz mówił dalej:

- Bardzo ją kochałem... Jak całą prawdziwą radość, której człowiek pragnie w życiu, jak jedyną pewność na tę najeżoną niepewnościami drogę, jaką ma się przed sobą.

Mogła go teraz o coś zapytać, nawet powinna to uczynić, miała do tego prawo. Ale nie zapytała, siedziała wciąż z tym samym wyrazem twarzy, jakby mdlała albo umierała i trzeba jej było przynieść szklankę wody, żeby ją ocucić.

- Powiedziałem im to i to wystarczyło, każdy z nich wie, Jak to jest, kiedy się chce kogoś zobaczyć...

I teraz także nie postawiła pytania, które nękało ją przez te wszystkie lata; być może, gdyby знаła na nie odpowiedź, gdyby odpowiedź taka istniała - wielkie cierpienie, wielka rozpacz, wielkie zaciemnienie całej jasności wokół stałoby się o wiele mniejszym cierpieniem, mniejszą rozpaczą i zupełnie malutką ciemnością, którą można by było pokonać, jednym krokiem wydostając się na światło.

- Więc tylko do mnie... - powiedziała, kiedy wreszcie zdołała się odezwać.

- Do ciebie, skarbie! - uśmiechnął się jak chłopak, który przyjechał do swojej dziewczyny z sąsiedniego miasteczka. Nie miał za sobą trzech dni na Gryfie i dwudziestu ośmiu dni obrony Helu, nie miał za sobą ucieczki na Gotlandię, długich miesięcy internowania w szwedzkiej twierdzy Vaxholm, przeprawy do Bodę, a z Bodę na Szetlandy, a z Szetlandów do Dundee, a z Dundee... Nie miał za sobą ani jednego z tych rozpaczliwych, strasznych, a potem już tylko gorzkich i nużących dni. Był chłopcem z sąsiedniego miasteczka i pamiętał tylko ostatnią majówkę w brzozowym lasku, strażacką orkiestrę i walca, którego tańczyli na wydeptanej murawie... - Do ciebie!

- I masz... pięć godzin?

- Pięć godzin między pociągami i przeprawą przez kanał.

- Wołodia! - zawołała cicho. - Jesteś szalony!

Wciąż się uśmiechał, ale wargi mu drżały.

- Zawsze byłem szalony. Nie zauważyłaś?

- Zauważyłam.

Podniosła ręce, myślał, że wyciągnie je do niego, ale ona ukryła w nich twarz.

- Anetko! - poprosił.

Nie odpowiadała.

Wstał okrążył stół, pochylił się nad nią.

- Więc tak spędzimy te pięć godzin? Co ja mówię, już

chyba tylko cztery i pół. Ty będziesz płakać,, a ja będę zadawał sobie pytanie, czy miałem prawo, przyjeżdżając tu, narażać cię na taką przykrość. Może naprawdę lepiej, żebym sobie zaraz poszedł?

- Och, nie! - krzyknęła gwałtownie. - Nie! Zostań!

Oderwała ręce od twarzy i zacisnęła mu je na szyi, a on całował jej mokre od płaczu oczy, policzki i usta, całował je z tą samą rozpaczą, jaką wyczuwał w niej, w bolesnym uścisku jej ramion, w skurczu wargi. Już nie był wesołym chłopcem, który przyjechał do swojej dziewczyny z sąsiedniego miasteczka, nie na długo zdołał utrzymać się w tej rozgrzeszającej go z braku rozsądku i opamiętania roli, już pamiętał, co miał za sobą, co przeżył, zanim tu przybył, już wiedział, co go czeka, gdy znowu znajdzie się na morzu... Anetka szeptała...

- Juliette... może tu wejść... Każdej chwili może tu wejść...

- Niech wejdzie!

- Akurat dziś... akurat dziś przyjechałeś... Juliette, kiedy wejdzie i zobaczy...

Powiedziałem: niech wejdzie!

- Och, mój drogi! Przyjechałeś i odjedziesz, a ja tu zostanę... ..:•

- Niech wejdzie! - krzyknął. - I niech zobaczy! Mamy już niewiele ponad cztery godziny...

-- Tylko cztery godziny...?

- Tylko cztery.

- Słuchaj... - powiedziała, skrywając przed nim oczy.

Gdzie była ta śmiała pani Briffaut, która odwiedziła go w izbie rybackiej, pani Briffaut, nie odwracająca twarzy pod zgorszonym spojrzeniem starej rybaczki? Teraz odwracała od niego oczy, powiedziała jednak do końca to, co zamierzała powiedzieć: - Mam klucz... mam klucz od mieszkania ojca... stoi puste... Będziemy tam sami... zupełnie sami... To nawet niedaleko stąd... przy bulwarze Magenta.

Jeśli uda mi się przeżyć wojnę, myślał, jeśli będę miał czas na użycie pamięci, na używanie pamięci, najpiękniejszym wspomnieniem tego dnia stanie się nie to, co nastąpi w mieszkaniu przy bulwarze Magenta, ale droga na ten bulwar, przemierzenie kilku ulic w wiosennym słońcu, w odzyskanej na nowo młodości. Wiatr rozwiewał Anetce włosy i poły nie zapiętego płaszcza, biegła śmiejąc się, a jemu przypominał się ich pierwszy spacer, gdy Briffaut polecił mu, żeby oprowadził ją po Kamiennej Górze i pomógł w znalezieniu mieszkania w którymś z pensjonatów. Wtedy tak biegła, poprawiając włosy po każdym uderzeniu wiatru, i śmiała się, choć nie zawsze był ku temu powód, i odwracała ku niemu szczęśliwe oczy, a on nie wiedział jeszcze wtedy, co wyrażają i dlaczego są takie.

Mieszkanie przy bulwarze Magenta tonęło w mroku;

przez opuszczone żaluzje dostawały się do wnętrza tylko cienkie, poziome smugi światła, ale to wystarczyło, żeby się w nim odnaleźć, gdy tylko Anetka zatrzasnęła drzwi, gdy pchnęła jakieś inne, wiodące do któregoś z pokoi. Mogli tu mówić głośno, mogli krzyczeć, ale milczeli i odnaleźli się w milczeniu, w niecierplivej i gwałtownej ciszy, w ciszy podniosłej i odświeżonej, o której się wie - gdy wreszcie

odzyskuje się zdolność myślenia - że nie przydarzy się już nigdy w życiu.

Gdzie jestem? - myślał Wołodia. Obce, mroczne mieszkanie, którego nigdy nie widział, wydało mu się chatą rybacką z dymną wonią sosnowych szczap, płonących w glinianym piecu, z aromatem suszonych przy nim grzybów i ziół, i pokrajanych w plasterki, nanizanych na lnianą nitkę jabłek... Gdzie jestem? Zaraz za ścianą odezwą się kroki gospodarzy, a ta, którą trzyma w ramionach, zatrwoży się, przytuli się ciaśniej, ukryje na jego piersiach rozgrzaną pocałunkami, rozgrzaną miłością twarz.

Ale zamiast tego wszystkiego, zapytała cicho:

- I dlaczegoś ty wtedy nie przyjechałeś, dlaczego wtedy nie przyjechałeś do mnie?

i - Kochanie... - powiedział z żalem.

-Wszystko przygotowałam. Ciotka chciała nam pomóc. Zresztą i ojciec był bliski tego, żeby uznać mój rozwód z Marcelem za możliwy i konieczny. W końcu... nie mieliśmy dzieci i żadnych wspólnych obowiązków... a i jemu należało się może w życiu coś lepszego niż niekochająca żona. Sądzę, że ożeniłby się powtórnie i szybko by o wszystkim zapomniał. A ty... ty wciąż myślałeś o nim.

Milczał.

- Ty wciąż myślałeś o nim. Dlaczego nie o mnie? Nie o sobie? A może nie kochałeś mnie już...? Może wtedy już mnie nie kochałeś?

- Kochałem cię.

- A więc dlaczego? - krzyknęła, jakby nie upłynęło wiele długich, zacierających kontury wszystkiego, a więc także i cierpienia, lat.

Patrzył w mroczny sufit, poprzecinany ostrymi liniami światła. Przycisnął głowę Anetki do swojej piersi, przykrył dłonią jej czoło i oczy. Nie rozumiała i nie wiedział, czy zrozumie.

- To jednak daleko stąd... Sama to dziś powiedziałaś.

- O czym ty mówisz?

- Właśnie o tym, o czym już dziś rozmawialiśmy. Że daleko stąd i że nie jest to tylko sprawą odległości, więc boję się, czy zrozumiesz...

- Wołodia! - jęknęła.

- Boję się, czy zrozumiesz. Widzisz, kiedy człowiek wreszcie dotarł do ojczyzny, nie może zrobić z niej przystanku, miejsca na przesiadkę między dwoma miejscami, w których chciałby żyć. Wygodniej i lepiej, bez bolesnych obowiązków, których można spodziewać się w ojczyźnie, a one przez to, że bolesne, stają się ważne. My jesteśmy opętani ojczyzną, przydarza się to wszystkim nieszczęśliwym narodom. Szczęśliwe tego nie rozumieją. Dla nich ojczyzna jest koniecznością płacenia podatków, a podatek to co innego niż... - nie powiedział tego słowa. Wydało mu się nieuczciwe wobec Anetki, jak kokieteria albo szantaż. Więc nie powiedział tego słowa i dodał tylko: - Wy także chyba od czasów Joanny D'Arc, wybaczone, nie jestem mocny w waszej historii, nie mieliście nigdy zagrożonej państwowości, więc nie jesteście w stanie zrozumieć, jak to jest, gdy się ją wreszcie odzyskuje.

- Sądziłeś, że łatwiej mi będzie znieść ten zawód, jeśli

uwierzę... jeśli naprawdę uwierzę, że właśnie to cię zatrzymuje...?

- Sądziłem przede wszystkim, że nie będziesz miała do mnie żalu, że nie będziesz źle o mnie myśleć.

- A wiesz, że to czasem pociecha? - Uniosła się na łokciu i patrzyła na niego z bliska, przesunęła palcami po jego czole, policzku, ustach. - Bardzo chciałabym źle myśleć o tobie! Może by mi to pomogło?

- Nie - uśmiechnął się. - Nie pomogłoby ci. Nie pomogłoby ci nic.

- Jesteś pewny?

- Jestem pewny. Mnie także nie pomogło, kiedy myślałem o tobie, że jesteś bogatą burżujką, która kupuje sobie chłopca, sprowadza go do Paryża, do urządzonego mieszkania, ubierze go, żeby nie przyniósł jej wstydu przed znajomymi...

- Wołodia!

- Pozwól mi skończyć. Kupi mu piękne koszule, krawaty i ubrania... Chociaż nie, o ile sobie przypominam, miałem się zjawić w Paryżu nienagannie ubrany, w garniturze uszytym przez najlepszego sopockiego krawca. - Pocałował ją i milczał przez chwilę, uśmiechając się do siebie.

- Żeby zdobyć na to pieniądze, ogrywałem systematycznie w pokera księdza kapelana na Oksywiu.

- Czy musimy o tym mówić?

- To ty zaczęłaś. A żeby zakończyć temat, powiem ci, że zaprosiłem cię do kasyna w Sopocie, kiedy upadła niemiecka marka, za pieniądze wygrane od twego męża. Piekielnie nie szła mu wtedy karta.

- Proszę, nie mówmy o tym.

- Dlaczego? Chcę ci tylko uprzytomnić, kogo zamierzałaś poślubić i przed czym cię uchroniłem. Nawet w takim chłopaku, jakim byłem wtedy, może obudzić się ambicja. Pragnąłem ci dawać, a nie brać.

- Więc to nie tylko to, o czym mówiłeś przedtem?

- Nie tylko to.

- Ale zacząłbyś i dawać. Pracowałbyś u ojca, w jego firmie...

- Bez odpowiedniego wykształcenia?

- Mógłbyś je zdobyć. Byłeś dostatecznie młody... obydwójce byliśmy młodzi... Tak, masz rację - powiedziała po chwili - niepotrzebnie zaczęłam o tym mówić.

- Ale skoro zaczęłaś, trzeba skończyć. Nie powiedziałem ci wszystkiego.

- Nie powiedziałaś wszystkiego?

- Nie. Byłem potem przez trzy lata we Francji. Już jako porucznika marynarki wysłano mnie do Ecole des Canonniers. Studia te, w tej i w innych szkołach, ukończyło wielu naszych oficerów...

Nie słuchała tego, co mówił. Poderwała się gwałtownie i usiadła, opierając się rękami o jego piersi.

- Trzy lata...

- Tak. Trzy lata...

- I nie przyjechałeś... nie przyjechałeś ani razu...

- Owszem. Każdej wolnej soboty czy niedzieli przyjeżdżałem do Paryża.

- Byłeś tu?

- Tak. Krążyłem wokół twego domu.

Zaciśniętymi pięściami uderzyła go w piersi.

- Dlaczego nie przyszedłeś? Dlaczego?

- Raz... - ciągnął dalej - udało mi się zobaczyć cię z daleka. Wsiadłaś z ojcem do auta.

- Dlaczego nie przyszedłeś?

Przyciągnął ją do siebie, choć wrywała się wciąż i biła go zaciśniętymi pięściami w piersi.

- Bo bałem się, że zostanę. Że zostanę, gdy powiesz, żebyś został.

- Powiedziałabym to! Powiedziałabym, żebyś został!

- Dlatego nie mogłem cię zobaczyć. Byłem w wojsku.

Musiałem wrócić do kraju.

- A teraz jesteś tu! - krzyknęła. - Widzisz, na ile się to zdało! - Uwolniła się wreszcie z jego uścisku, odsunęła się tak, że nie mógł jej dosięgnąć. - Jesteś tu! I to wszystko okazało się niepotrzebne. Całe nasze zmarnowane życie!

Zmarnowane przez twoje powinności i obowiązki, które sprowadziły się do tego, że będziesz stąd bronił swego kraju i może go stąd obronisz, a tam byłeś niepotrzebny. Niepotrzebny!

- Przestań!

- Tak. Zaraz przestanę. Tylko ci przedtem coś powiem.

Przez cały czas... przez cały czas wiedziałam jedno: że kiedy się kogoś kocha, nie ma się obowiązków, powinności, godności nawet.

- Przestań! Na litość boską, nie mów tego wszystkiego!

- Muszę! Bo muszę ci powiedzieć, gdzie byłem, skąd wróciłam, kiedy u mnie w domu czekałeś na mnie...

Podniósł się także i patrzył na nią w zdumieniu.

- Co to ma wspólnego...? Nie obchodzi mnie, gdzie byłaś.

- Owszem. Powinno cię obchodzić. Odprowadziłam Marcela na pociąg.

- Dziś właśnie wyjechał do Oranu?

- Nie do Oranu. Na północ. Nad Kanał. Dostał powołanie. Ma się stawić w swoim pułku. Odprowadziłam go, płakałam na peronie jak inne kobiety, a potem wróciłam i... Już nigdy nie odzyskam szacunku dla siebie.

Sięgnął po koszulę, naciągnął ją, zaczął powoli zapinać guziki.

- Słyszysz? Już nigdy nie odzyskam dla siebie szacunku. Płakała, ale nie czuł się na siłach, żeby ją pocieszyć choć jednym słowem. Marcel Briffaut w Oranie, zajmujący się pogłębianiem czy rozbudową portu, Marcel Briffaut spijający angielskie wina nie był Marcelem Briffaut w mundurze, Marcelem Briffaut, którego musiały oblegać wspomnienia miesięcy w okopach Verdun, kiedy udawał się nad kanał La Manche.

- To moja wina - powiedział, nie odwracając ku niej głowy. - Nie wiem, czego właściwie się spodziewałem, przyjeżdżając tu dzisiaj.

Biegła za nim do drzwi, płakała, usiłowała go zatrzymać.

A on wciąż widział Marcela Briffaut trzęsącego się w wagonie, Marcela Briffaut jadącego na wojnę. Sam nie przeżywał czegoś takiego, wojna zaskoczyła go od razu w pełni swoich działań, nigdy się na nią nie udawał, ale potrafił sobie wyobrazić, że są to dla żołnierza chwile najgorsze. Nie mógł

więc zostać, choć biegła za nim do drzwi, choć płakała i usiłowała go zatrzymać. Bo ten drugi, bo Marcel Briffaut... Do diabła z nim! - pomyślał, gdy znalazł się na ulicy. - Do diabła, do najgorszego z diabłów! Gdyby go miał przed sobą, skrzyłby mu kark. Ale on jechał właśnie pociągiem na północ, jechał nad Kanał i nie na regaty, nie na... Do diabła z nim! - zaklął jeszcze raz i tym razem na głos, i chyba po polsku, bo siwowłosa staruszka, opuszczająca sklep, który właśnie mijał, przystanęła na progu ze zdumienia.

I okazało się, że ma mnóstwo czasu na ten wojenny Paryż, który nie stracił nic ze swego dawnego wdzięku, gdyby tylko ludzie potrafili to dostrzec. Nie wiedział, co ze sobą począć w tym pięknym obcym mieście. Włóczył się bez celu po ulicach, stawał przed witrynami sklepów, nie widząc, co na nich leży, w końcu wszedł do jakiegoś małego bistro z dalekim widokiem na Notre Dame, żeby napić się kawy. Ale pił nie tylko kawę, miał mnóstwo czasu, przeraźliwie dużo czasu, trzeba było go czymś zabić - dopiero teraz zrozumiał, z jakiej prawdy powstawały potoczne zwroty. Zabijał go więc - ten długi, nie kończący się czas, jaki pozostał mu do odejścia pociągu - najpierw kilkoma kieliszkami armaniacu, potem courvoisier i henesie, a kiedy już nie wiedział, czy to brudne szyby w bistro przyćmiewają mu widok Notre Dame, czy też prawdziwa mgła obiegnęła kościół mlecznym zadymieniem, zaczął się modlić do jednej z wież, do ulotnego jej kształtu, do strzelistości, którą godziła wprost w niebo, jak rakietą z wszystkimi zebranymi na ziemi modlitwami; zaczął się modlić do niej o spokój, o swój własny spokój, o wyciszenie udręk, które nie pozwalały mu się skupić na tej jednej prawdziwej i jedynie ważnej, jaką miał. Było jeszcze coś do zrobienia na tym kawałku ziemi i zagwarantowano mu w tym udział, zabiegał o to, więc zagwarantowano mu w tym udział, nie obejdzie się bez niego ta zabawa, stara kobieta, patrząca w jego udręczoną twarz, przepowiedziała mu to, wiedziała, że należy mu się pociecha, pociecha, którą musi mieć żołnierz, który przegrywa bitwę, a musi wygrać wojnę. Co w takiej chwili znaczyły kobiety, nic w takiej chwili nie znaczyły kobiety - dla niego ani dla Marcela Briffaut, który trząsł się teraz w pociągu w drodze na północ, nad Kanał i nie na regaty... nie na... Do diabła z Marcelom Briffaut! Czy zawsze miał mu stawać na drodze, czy nigdy o nim nie zapomni? Poprosił o jeszcze jeden koniak, wieżę Notre Dame spowijała coraz gęściejsza mgła, a na całym świecie było mnóstwo kobiet i mnóstwo łóżek, na których brzegu mogli przysiąc żołnierze, żeby zdjąć buty ze zmęczonych nóg.

- W piwnicy mogą je pogryźć myszy. Szkoda by było takiego futra - Sewerynowa, żona Seweryna Turka, dla jego znajomych wciąż bez własnego imienia, uniosła w górę pelerynę ze srebrnych lisów.

Pani Helena machnęła ręką.

- Niech pogryzą! Wolę to, niż gdyby miała w nich paradować jakaś Niemka.

Od momentu, w którym pojawił się w jej domu lokator w mundurze Kriegsmarine, zaczęła znosić do Sewerynowej co cenniejsze rzeczy. Lokator wprowadził przepadł po trzech

dniach, ale wiadomo było, że wróci - między akcjami na morzu należał mu się zasłużony wypoczynek. Aby jednak wypoczynek ten był pełniejszy, lokator mógł sprowadzić żonę albo jakąś dziewczynę z BDM, a te umiały się rozglądać po cudzych mieszkaniach. Zaczęła więc myśleć, żeby sprawić im zawód, opróżniła szafy i schowki, w które zapobiegliwy Tereszko wyposażył dom podczas budowy, słusznie obawiając się kradzieży - nie przewidział tylko, że nie na wiele mogą się zdać, gdy złodziej będzie miał dość czasu, żeby je odkryć. W znalezieniu odpowiedniego miejsca dla wyniesionych z domu rzeczy pomogła jej Konkowa, odwiedzająca coraz częściej swój stary dom, w którym - nie nachodzoną przez Niemców ze względu na jego skromność - mieszkała wciąż Sewerynowa, sama teraz, bez męża i dzieci, szczęśliwa, jeśli choć z wieściami o nich.

Tego dnia właśnie, choć nie opuszczała jej troska o bezpieczeństwo lisów pani Heleny, zwracała wciąż ku niej dziwnie, jak na ten okrutny czas, rozjaśnione oczy.

- Wiadomość od Witusia? - spytała Tereszkowa, widząc, że chce jej coś powiedzieć.

- Sewerynowa roześmiała się cichutkim, nieśmiałym, ale wyraźnie szczęśliwym śmiechem, podniosła ręce do ust, do oczu, zatrzepotała palcami.

- Od Witusia była karta ze stalagu w zeszłym tygodniu.

A dziś! Dziś... - zaśpiewała z radości.

- Od kogo?

- Dziś od męża!

- Och, jak się cieszę! - szepnęła pani Helena. Ucałowała Sewerynową, która teraz dla odmiany zaczęła płakać ze wzruszenia.

- Po tylu miesiącach! Kiedy go już opłakałam, kiedy widziałam się już wdową, a dzieci sierotami...

- Gdzie jest? - dopytywała się pani Helena. - Co się z nim działo? Dlaczego dopiero teraz się odezwał?

Od listopada uważano Seweryna za nieżyjącego. Ktoś dostrzegł go w długim szeregu zakładników, wyprowadzanych z kościelnego baraku do zamykania ulic, a zakładników wywieziono do Piaśnicy i rozstrzelano. Sewerynowa jednak wciąż miała nadzieję, traciła ją, odzyskiwała i na powrót traciła, jak wszyscy, którzy na kogoś czekali. I wreszcie ten list, właściwie kartka, przyniesiona przez listonosza w niemieckim pocztowym mundurze.

- Skąd? Skąd? - dopytywała się pani Helena.

Sewerynowej trzęsły się palce, gdy wzięła w nie skąpy skrawek papieru.

- Ze Stutthofu.

- Ze... Stutthofu? - powtórzyła Tereszkowa tężejącymi ustami. Przeraziła ją radość bijąca z twarzy Sewerynowej w połączeniu z tym strasznym słowem. - Ależ to... obóz! Nie wie pani o tym?

- Wiem.

- Obóz koncentracyjny, tak to się u nich nazywa.

- Tu jest napisane - żona Seweryna Turka podniosła kartkę do oczu - Zivil-Gefangenen-Lager.

- To jest obóz koncentracyjny tak jak Dachau... chociaż... może... - pani Helena zaczynała pojmywać niewłaściwość swego uporu w wyjaśnianiu Sewerynowej prawdzi-

wych funkcji obozu w Stutthofie. Wszyscy wiedzieli, że powstał z inicjatywy SS w Gdańsku, zaplanowany jeszcze przed wybuchem wojny dla gdańskich, a potem - wraz z rozszerzaniem się terenów niemieckiej bezkarności - dla pomorskich Polaków. Ale jeśli ona o tym nie wiedziała... nie chciała wiedzieć, wolała nie wiedzieć, lepiej było nie wypro- wadzać jej z błędu.

- Zivil-Gefangenen-Lager - powtórzyła.

- Może to jest jeszcze jakiś inny... rodzaj obozu - skapi- tulowała Tereszkowa. Ale przerażenie jej nie opuszczało.

- Taki czy inny... to jednak obóz!

- Ale on żyje! - zawołała Sewerynowa wciąż z tym samym blaskiem radości na twarzy. - Żyje! A myślałam, że go rozstrzelali, że leży gdzieś tam we wspólnym grobie w Piaśnicy. A on żyje! Odezwał się! Napisał!

Pani Helena spuściła głowę. Co się z nami stało przez te siedem miesięcy, myślała, co oni z nami zrobili przez te siedem miesięcy, że kartka z obozu wydaje nam się dobrą wiadomością? Żeby nie peszyć Sewerynowej, powinna ucze- stniczyć w jej radości, powinna przedłużać razem z nią tę chwilę szczęśliwą, tak rzadko przydarzającą się w dniach wzrastającego zwątpienia. Bo oni już byli w Norwegii! Już tam wylądowali i nie dawali się wyprzeć, odrzucić, zepchnąć do morza - już tam zostawiali, jak wszędzie, dokąd weszli, jak tutaj...

Seweryn był za drutami, niewola wydawała się bardziej niewolą, kiedy Seweryn i tacy jak on byli za drutami. Kto miał z nią walczyć, kto się miał jej przeciwstawić? Krzysztof musiał się ukrywać, Tereszko był za granicą w nieaktualnej już chyba misji państwowej, Wołodia przepadł bez wieści... tysiące innych wywieziono i rozproszono po kraju w okrut- nej pewności, że pierwszą potrzebą będzie walka o byt, a nie walka z wrogiem.

- Pani Heleno - rzekła cicho Sewerynowa. Wydawało jej się dziwne to milczenie po wiadomości tak pomyślnej.

- Pani Heleno...

- Och, droga moja! - Tereszkowa znowu ją objęła i ucałowała w obydwa policzki. - Oczywiście! Najważniej- sze, że żyje!

Na mizerną twarz kobiety zaczęła powracać rozjaśniająca ją łuna radości. Znowu podniosła do oczu kartkę.

- Tu jest napisane "Baukolonne", to znaczy, że on coś buduje, a jak zbuduje, to go puszcza, to wróci... To chyba logiczne?

- Logiczne - potwierdziła pani Helena cicho.

- Musi wrócić! Po co by go mieli dłużej trzymać, jak wszystko zostanie zbudowane? Pani Heleno! Mam rację? Niech pani powie, mam rację? ^

- Tak.

- Jakby go uważali za zwykłego więźnia, to by go nie dawali do "Baukolonne", prawda?

- Chyba... tak.

- Jasne, że tak. "Baukolonne" to coś znaczy. Po prostu funkcja, która jest, ale która musi się skończyć. Będę mu paczki posyłać, żeby się odżywił, bo... zapomniałam pani powiedzieć, że przy tej kartce była jeszcze i druga kartka... na paczkę.

Pani Helena rozejrzała się nieznacznie po ubogim wnętrzu. Musiało być zawsze ubogie, ale teraz znaczyło to coś więcej: nie było tu nic do sprzedania, a paczki trzeba było wysyłać także do stalagu, nie tylko do "Zivil-Gefangenen-Lager" w Stutthofie.

- Niech pani sprzeda te lisy - powiedziała.

- Li... sy? Pani lisy? - wyjąkała Sewerynowa.

- Tak. Nie będą mi potrzebne. Po wojnie kupię sobie nowe - usiłowała się uśmiechnąć - a teraz najważniejsze jest jedzenie. Jedzenie dla mężczyzn. Swemu mężowi nie muszę posyłać paczek, więc... niech to będzie dla Seweryna. Sądzę, że mnie pamięta i że kiedyś chyba mnie trochę lubił.

- Och, nigdy nie zapomniał, co pani zrobiła dla niego i Krzysztofa, gdy stanęła robota w porcie. Wzięli się do łowienia ryb, ale co by z nimi zrobili, gdyby nie było na nie zbytu. A jak pani zaczęła podawać w swoim Pawilonie tylko rybne dania...

- Stare dzieje - przerwała jej pani Helena. - Widzi więc pani, że możemy sprzedać te lisy. Zawsze mi jakoś los odplącał, kiedy pomagałam ludziom. I teraz też jestem o to spokojna.

- Nie, nie! - Sewerynowa gwałtownie potrząsnęła głową. Odsunęła się nawet od etoli, jakby samo jej dotykanie było niestosownym nadużywaniem dobroci pani Heleny.

- To rzecz za cenna i... za duża...

- Ach - zmartwiła się pani Helena. - Trudno będzie ją sprzedać?

- Nie o tym myślałam! - zatrzęsła się Sewerynowa.

- A ja o tym.

- Po prostu myślę, że nie może się pani dla mnie wyprzedawać. Sama pani ma na utrzymaniu trzy osoby.

- Niezupełnie. Marynka Blok radzi sobie całkiem nieźle, miała zresztą trochę zapasów...

- Ale jest Wisia i Weronika. A wojna nie wiadomo jak długo potrwa.

- No to może coś ze srebra...? - podsunęła pani Helena.

- Niech pani weźmie któryś lichtarz albo cukiernicę...

- Nie, nie - wciąż potrząsała głową Sewerynowa, ale jednak jakby już bez poprzedniej gwałtowności w tym przeczeniu. Widziała w wyobraźni bochen chleba i kawał słoniny, które mogłaby posłać Sewerynowi, i całe kilo cukru, a może nawet jakieś ciasto, dobre ciasto, żeby nie zeschło się za prędko, teraz kobiety nauczyły się piec do obozów takie ciasta, co to mogą stać długo i nie tracą smaku ani wartości...

- Cukiernica! - powiedziała pani Helena. - Sprzedamy cukiernicę. To znaczy, pani ją sprzeda. Dziwne, zawsze miałam zdolności do handlu, a teraz mnie opuściły.

- Bo się pani odzwyczaiła.

- Tak, odzwyczaiłam się. - Pani Helena uśmiechnęła się w zamyśleniu. Zapobiegliwość i dbałość Tereski była tarczą, którą osłaniał ją przed życiem, nie przeczuwając, że trzeba było i ją, i Wisię hartować, a nie rozpieszczać. - Mam nadzieję, że się na nowo w to wciągnę, ale trzeba mi trochę czasu. - Znowu usiłowała uśmiechnąć się do Sewerynowej.

- Bo ja pochodzę z ormiańskiej rodziny, a u nas mówiło się zawsze, że Ormianin to i Żyda w handlu oszuka.

- Teraz nie ma już prawie Żydów - pociągnęła watek

w niewłaściwą stronę Sewerynowa. - 'Wszyscy gdzieś poprzepadali.

- Cukiernica! - powtórzyła pani Helena pośpiesznie.

Nie chciała rozpoczynać rozmowy na temat, o który niepotrzebnie zahaczyła Sewerynowa. Był przepaścią, nad którą dostawało się zawrotu głowy, był okrucieństwem, o które nie chciało się posadzać nawet wroga. - Niech pani sprzeda cukiernicę. Na pewno łatwiej uda się na nią znaleźć kupca niż na lisy. Ludzie teraz chętnie kupują srebro.

- Och! - ożywiła się Sewerynowa. - Przede wszystkim o to pytają. O srebro albo o złoto.

- No więc będą mieli srebro. Niech pani jak najszybciej to załatwi i wyśle mężowi porządną paczkę.

Sewerynowa złożyła ręce jak do modlitwy.

- Jak ja się pani odwdzięczę?

Pani Helena nie lubiła takich momentów. Chwyciła torebkę, zapięła płaszcz, którego nie zdjęła, bo nie zamierzała zabawić tu długo. Zwykle oddawała to, co przyniosła do przechowania, i natychmiast wracała do domu; wciąż się bała, że podczas jej nieobecności coś się stanie.

- Jakoś mi się pani odwdzięczy, nigdy nie wiadomo, jak się los ułoży. Może... - przesunęła wzrokiem po ścianach, które Augustyn Konka wzniósł dla swojej rodziny, nie przeczuwając, że będą innych ludzi chroniły przed wiatrami i zimnem - może któregoś dnia zjawimy się tu i poprosimy o gościnę...

- To by trzeba było zrobić przed wysiedleniem - Sewerynowa od razu podeszła do tego praktycznie. - Zanim sami przyjdą i wyrzucą. Bo wtedy zabierają do punktu przesiedleńczego i wywożą.

- No, na razie, póki co, siedzimy na miejscu - wycofała się pani Helena. - Póki nasz Niemiec nie zmieni zdania i nie zacznie go mierzić obecność Polaków pod jednym dachem.

- Wrócił z morza?

- Jeszcze nie. Myślę, że ma trochę roboty wokół Norwegii.

- Stary? Młody?

t50

- Nie wiem. Nie przyglądałam mu się, ale starzy nie pływają na okrętach podwodnych.

- Jak się zachowuje?

- Wobec kogo?

- Wobec... pani. Wisi, panny Blok, Weroniki...

- Tego też nie wiem. Nie dajemy mu okazji, żeby mógł się wobec nas w jakiś określony sposób zachowywać. Dom jest dostatecznie duży i nie musimy się z nim spotykać. Nie było żadnej rozmowy na ten temat, ale uważam, że zajął dół, a my zostajemy na górze.

- A kuchnia? Łazienka i kuchnia?

- Z tym największy kłopot. Podczas jego obecności z kuchni rezygnujemy, wystarcza nam maszynka elektryczna, ale łazienka jest na górze i on musi z niej korzystać. Słyszymy, jak idzie po schodach, i wtedy zamykamy się u siebie. Jeśli o coś prosi, załatwia to Weronika.

- Nie boi się go?

- Ona nie boi się nikogo. A poza tym... chyba jest jednak... dość uprzejmy. Kiedy wyjeżdżał, zostawił jej dwie

paczki czekolady. Jedną dla niej, drugą dla Wisi. Czekała na niego nietknięte na stoliku w pokoju, w którym sypia.

- Pani Heleno! - nie wytrzymała Sewerynowa. - Ależ to nonsens. Czekolada dzisiaj... Wszystko można dostać za czekoladę... A Wisia przecież... nie pomyślała pani o Wisi...?

- Och, Wisia pochłonięłaby ją w mgnieniu oka. Ale i ona wie, że nie przyjmuje się czekolady od kogoś, kto zabrał tak wiele.

- Trzeba myśleć przede wszystkim o tym, żeby przeżyć

- Sewerynowa biegła za panią Heleną do wyjścia, chciała ją zatrzymać, chciała jej to jakoś wytłumaczyć. - Takie manifestacje na nic się nie zdadzą. A jeszcze go pani zrazi. Wścieknie się i co wtedy?

Pani Helena zatrzymała się na progu, podniosła kołnierz płaszcza, kwiecień tego roku był zimny, od morza dął przenikliwy wiatr.

- Nie wiem co wtedy - powiedziała. - Ale nie mogę postąpić inaczej.

Żeby nie natknąć się na Niemców, starała się iść do domu bocznymi ulicami, ale w Gdyni nie było bocznych ulic, z krótkich uliczek w zgrupowaniu starych domów na zapleczu Portowej musiało się wyjść na plac Kaszubski i początek Świętojańskiej, albo ulicą Waszyngtona na skwer Kościuszki i sąsiadujący z nim plac Grunwaldzki, skąd już blisko było .na Kamienną Górę. Wybrała tę ostatnią drogę, choć wiatr był tu większy - ale spotykało się tu tylko marynarzy i oficerów z Kriegsmarine, a nie żandarmów, jak na Świętojańskiej.

Już na ścieżce w ogrodzie poczuła niezwykle zapachy, bijące z domu przez uchylone w kuchni okno. Oho, pomyślała, Marynka upłynęła znowu którąś z toalet mamy! Zdumiewała ją mściwa satysfakcja, z jaką narzeczona Wołodi wyzbywała się rzeczy wyniesionych z mieszkania rodziców. Bezpieczni gdzieś tam, gdzie byli, syci i spokojni, nie mieli w pamięci córki prawa do żadnych względów.

W kuchni smażyły się placki kartoflane. Był to zawsze przysmak Wisi, teraz - kiedy była nie tylko łakoma, ale i głodna - zdejmowała je wprost z patelni, dmuchając na palce. Gdy matka stanęła w progu, rzuciła się ku niej. Policzki jej pałały, rozgrzane ciepłem bijącym z kuchni, usta błyszczały od oleju.

- Och, mam! Jak dobrze, że jesteś! Założyłyśmy właśnie nowe towarzystwo. Będzie się nazywać TWPK.

- Jak?

- TWPK. Towarzystwo Wielbicieli...

- Wielbicielek - sprostowała Marynka.

- Towarzystwo Wielbicielek Placków Kartoflanych. Jeśli chcesz, możesz zostać wiceprezesem.

- A kto jest prezesem? - zapytała, włączając się w żart.

- Marynka oczywiście. Przyniosła olej i śmietanę!

- Czy mam zgadywać? - pani Helena zwróciła się do Marynki. - Nocna koszula mamy? A może szlafrok?

Marynka siedziała na stołku pod ścianą z talerzem na kolanach. Maczała placek w śmietanie i niosła go uważnie do ust, żeby nie uronić ani kropli. Odpowiedziała więc dopiero po chwili:

- Nie zgadniesz.

- Nie? A może to spinning tatulka? Mówiłaś»że masz na niego kupca... :

- Spinning tatulka może jeszcze poczekać. Z dnia na dzień rośnie w cenę.

- Hm... coś by to mogło być? - pani Helena przysiadła obok na drugim stołku, Weronika już zdejmowała z patelni placki dla niej.

- Ze śmietaną?

- Oczywiście! - zawołała. Był to galicyjski sposób jedzenia placków, przywieziony przez nią z "jej stron". Weronika nigdy nie mogła się do niego przyzwyczaić, zawsze jadła placki z cukrem i uważała, że dopiero • wtedy są najsmaczniejsze. - Oczywiście, że ze śmietaną! Już wiem!

- zawołała po namyśle. - Obrus!

Marynka potrząsnęła głową.

- Nie zgadniesz! Bo w ogóle nic nie sprzedawałam. To znaczy, nic swego.

- Jak to... nic swego?

- Po prostu: tylko, pośredniczyłam. Jest to chyba istota handlu. - Marynka umaczała drugi placek w śmietanie.

- A więc zahandlowałam trochę.

- Za... handlowałaś? - wykrztusiła Helena."

- Tak się jakoś złożyło. Ktoś miał dolary do sprzedania, ktoś chciał kupić...

• - Bój się Boga! Dolary?

- Całkiem prosta sprawa. - Marynka gryzła zdrowymi zębami przyrumieniony placek. - Myślę, że będę się chyba i w tym specjalizować. Nie dźwiga się tobołów, w ogóle nic i widocznego, a zarobek większy. Tatulek byłby ze mnie | dumny!

- Nigdy by ci na to nie pozwolił.

Marynka zwiesiła głowę. Ale tylko na chwilę.

- Nie mogę się tym przejmować. W ogóle nie mogę się za "bardzo przejmować. To mi szkodzi. A nie wiadomo, jak to wszystko długo potrwa. Nie mam zamiaru być starą, zniszczoną nerwicą babą, kiedy wojna się skończy. Mimo niefrasobliwego tonu Marynki pani Helena zapytała cicho:

- Czy coś się stało?

- Och, nic ważnego. Tylko znowu kogoś spotkałam. Kogoś, kto miał tak zwane dobre wiadomości.

- Jakie?

- Listy z Anglii, wysłane przez szwajcarski Czerwony Krzyż.

- Więc jednak dochodzą?

- Dochodzą. Oczywiście jeśli zostały wysłane.

- Tak - powiedziała pani Helena, nie patrząc na Marynkę - jeśli zostały wysłane. Czekaliśmy tak na tę wiosnę...

- Tylko nie mówmy o wiośnie, bardzo proszę! Ruszyli się! Tylko że nie ci, na których czekamy. Po Norwegii pójdą na zachódzie inne kraje, jestem tego pewna...

- On przyjechał! - zawołała Wisia.

Zwróciły ku niej głowy, nawet Weronika, która lała właśnie olej na patelnię, odstawiła butelkę i spojrzała pytająco.

- Kto?

- On! Idzie tutaj! - Wisia, gdy matka zajęła jej stołek obok Marynki, usiadła w oknie, stawiając talerz na parapecie. Roztaczał się stąd widok na cały ogród i na ścieżkę, która go przecinała od furtki do ganku.

- Kto? - zawołały teraz wszystkie razem i rzuciły się do okna.

- O Boże! - szepnęła pani Helena.

Zobaczyły go, jak biegnie ścieżką pod górę, jak jednym skokiem pokonuje schody przed wejściem. Miał klucz

- zażądał go, gdy tylko się wprowadził - za późno było na to, żeby opuścić kuchnię i schronić się na górze. Zastał je więc tutaj, gdy zdyszany stanął w progu.

- Wiedziony zapachem, przyszedłem aż do tych drzwi

- powiedział, jakby musiał się tłumaczyć, że tu jest i że mu wszystko wolno.

Uśmiechał się jednak dość niepewnie i niezręcznym ruchem podniósł rękę, żeby zdjąć czapkę.

- Dzień dobry!

Odpowiedziały nie słowem, ale jakimś dźwiękiem wymamrotanym pod nosem - każda na własną rękę uznała, że odpowiedzieć na powitanie trzeba, ale przecież nie tak, aby pomyślał, że naprawdę go witają. Może to zrozumiał, a może nie - rozejrzał się po kuchni, pociągnął nosem.

Ł- Co to tak cudownie pachnie?

Wszystkie znały niemiecki, najgorzej Wisia, ale za to Weronika perfekt, chodziła do niemieckiej szkoły i pani Helena oczekiwała, że ona właśnie udzieli odpowiedzi na to pytanie. Ale Weronika milczała, zerkając to na nią, to na Marynkę.

Gość zrozumiał to w sposób najmniej uwłaczający. Trzymał w ręku ciężką torbę, podał ją Weronice.

- Nie pytałbym o to, nie mając możliwości rewanżu. Ale zabrałem ze sobą suchy prowiant na wypadek, gdyby nie chciało mi się chodzić najedzenie do kasyna. Kiedy wreszcie ma się sufit nad głową w normalnym miejscu, a podłogę pod nogami, dobrze przymocowaną do ziemi, nie pragnie się niczego więcej - zaśmiał się i wreszcie zobaczył i usłyszał, że sam śmieje się w tym domu. Odebrał z rąk Weroniki torbę, postawił ją na stole, otworzył i zaczął z niej wyjmować konserwy, masło i sery, chleb i herbatniki, cukier, herbatę, tabliczki czekolady, papierosy. - Proszę! - powiedział.

- Przecież nie zjem sam tego wszystkiego.

Milczały, Wisia najprawdopodobniej przełykała ślinę; matka bała się na nią spojrzeć.

Niemiec trzepnął się dłońmi po kieszeniach spodni, wyjął scyzoryk, wysunął małe ostrze do otwierania konserw. Nie zapytał już, którą otworzyć; zrozumiał, że nie należy stawiać pytań, bo milczenie po nich jest zbyt krępujące dla obydwu stron. Uśmiechnął się sam do siebie.

- Otworzymy sardynki i szynkę. Zakąska może być zimna, skoro drugie danie jest gorące. - Zerknął ku patelni, którą Weronika zestawiła z ognia, gdy się zjawił. - Już nie pamiętam, kiedy ostatni raz jadłem coś podobnego. Chyba jeszcze w dzieciństwie, podczas jakichś wakacji w Prusach Wschodnich. Wróciliśmy z ojcem z jeziora strasznie głodni i nim ryby były gotowe do smażenia, zjedliśmy kolację, która

mazurska gospodyni przygotowała dla swojej rodziny, takie właśnie placki kartoflane na oleju...

Pochylony nad puszkami konserw nie patrzył na żadną z kobiet i nie widział wyrazu ich twarzy. Pozwoliło mu to na swobodny ton, którym dorzucił:

- Do dziś pamiętam ich smak! Mam nadzieję, że te są jeszcze lepsze.

- Moje placki? - nie wytrzymała Weronika. - Wszyscy je chwalą! Nawet nasz pan, choć nie lubi smażonego. Ale dla pana to ja je zawsze składałam jeden na drugim, żeby odeszły... - urwała, przerażonym spojrzeniem zerknęła ku Tereszkowej.

Niemiec to spostrzegł, uśmiechnął się - ale nie do nich, uśmiechnął się jakby między nimi, w przestrzeń, w której nie było ani wrogiego milczenia pani Heleny, ani zawstydzonego zmieszania Weroniki.

- Jestem pewien, że są nadzwyczajne - powiedział.

Wyłożył szynkę i sardynki na talerze, które - gdy nikt mu ich nie podał - sam wziął z kredensu. Uporawszy się z tym, sięgnął po dwa następne: na masło i chleb, i pięć mniejszych, przy których ułożył wyjęte z szuflady sztucce. Cofnął się, żeby objąć wzrokiem swoje dzieło i dopiero wtedy powiedział: - Nakryte do stołu, proszę pań i panienek!

Na twarz pani Heleny buchnął płomień. Wiedziała, że jakakolwiek manifestacja z jej strony może skończyć się tym, iż w jednej chwili zostaną bez dachu nad głową. Trzeba się było zdobyć na uległość, jeśli była mądrością i jeśli była tylko pozorna, nie zaprzeczająca temu, co się czuło. Poza tym Niemiec (korvettenkapitan, jak zdołała zorientować się po naszywkach na rękawach) nie zasługiwał w sytuacji, którą stworzył - na afront z jej strony. Gdy patrzyła, jak się krząta po jej kuchni, pomyślała najpierw, że - być może - zachowywał się tak zawsze we własnym domu, może lubił przygotowywać i podawać jedzenie żonie, na prawej ręce miał obrączkę, był żonaty, a częsta nieobecność w domu sprawiała, że - gdy wracał - umiał się nim cieszyć. Ale właśnie ta sytuacja, którą stworzył, wydała jej się szczególnie groźna i niebezpieczna. Więc mogą być tacy, myślała, nie muszą od razu strzelać w plecy, nie muszą wlec do obozu, wrzucać do więziennych piwnic - mogą otworzyć puszkę z szynką, mogą podsunąć sardynki i czekoladę...

- Proszę! - powiedział. - Siadamy!

- Nie jesteśmy głodne - wykrztusiła.

- Naprawdę? - zapytał powoli.

- Naprawdę - odpowiedziała, nie zniżając spojrzenia.

Miał bardzo jasne, przenikliwe oczy, dopiero teraz to spostrzegła. Z blond włosami, szczupły i dość wysoki, stanowił prawdziwie nordycki typ, flihrer może być z niego dumny - pomyślała.

- No to... proszę przynajmniej dotrzymać mi towarzysztwa, nie będę... przecież nie będę... sam tu jadł... - zająknął się, ale wciąż się uśmiechał, choć - zapewne - musiało go to już kosztować trochę wysiłku.

Nie ruszała się z miejsca, niezdecydowana. To, że była zapraszana do stołu w swoim własnym domu przez kogoś, kto ten dom jej odebrał, wydawało jej się obelgą zbyt trudną

do zniesienia. Ale jednak była jeszcze w tym domu i nie sama, nie sama - o tym przede wszystkim nie wolno jej było zapomnieć.

- A ja usiądę i będę jadła - odezwała się Marynka po polsku. - I wam radzę zrobić to samo i nie tylko dlatego, żeby go nie obrazić... Taka szynka, Boże drogi! Wisia musi się odżywiać. Siadaj, Wisiu! Mama jest rozsądna i pozwala ci na to.

l - Pozwalasz? - spytała Wisia.

S - Tak - szepnęła pani Helena.

l Niemiecki oficer zwrócił się teraz do Weroniki. Od-
|sunął dla niej krzesło, wskazał jej miejsce przy stole.

^Weronika zapłonęła krwawym rumieńcem - sytuacja była

•dla niej podwójnie trudna, nigdy nie siadała z państwem do stołu.

- Proszę, niech Weronika usiądzie - powiedziała pani Helena i stara służąca zrozumiała, że w tej podwójnie trudnej dla niej sytuacji otrzymała podwójne przyzwolenie.

Niemiec nie rozumiał prawdopodobnie tej polskiej wymiany zdań, ale teraz jakby coś do niego dotarło, ze szczególną galanterią posadził przy stole Weronikę.

- A pani? - zwrócił się do tej, która wciąż jeszcze stała i która nie zamierzała usiąść, widział to po wyrazie jej twarzy. - Bez pani nie rozpoczniemy jedzenia.

- Dlaczego?

- Pani jest tu gospodynią.

- Tak, ale jakie to ma teraz znaczenie?

Odebrał we właściwy sposób to bolesne słowo "teraz", ale jednak nie ustępował.

- Czekamy.

Usiadła na brzegu krzesła, łokcie lekko oparła o stół, jakby je miała zaraz unieść i odejść stąd, uciec, zamknąć się na górze, zapłakać...

- Głowę daję, że szynka z naszego Nakła! - odezwała się znów po polsku Marynka. Przechyliła się przez stół, zwróciła puszkę etykietką do siebie. - Oczywiście, napis już niemiecki, ale Nakło, jak Bożię kocham, Nakło! - Roześmiała się do Niemca prawie radośnie. Wciąż była tak samo ładna jak wtedy, kiedy kochał się w niej Wołodia, teraz może nawet ładniejsza, bo nie umalowana, świeża, pozłożona już wiosennym słońcem, do którego mimo zimna wystawiała twarz w oknie. - To z naszego Nakła - powiedziała po niemiecku. - Świetna fabryka konserw, wysyłaliśmy z niej szynki na cały świat. O ile pamiętam, należała dotąd do jakiegoś Żyda.

Kapitan się nie odezwał, a Marynka mówiła dalej, tym razem po polsku:

- Jedz, Wisiu, to polska szynka! Z żydowskiej wytwórni, ofiarowana nam przez Niemca, zwariować można, ale niemniej jest to polska szynka i najedz się nią do syta i bez żadnych skrupułów, które ma twoja mama.

- Daj spokój - powiedziała pani Helena.

- Nie siedź z taką miną, bo go w końcu szlag trafi, zabierze szynkę i całą resztę i pójdzie do swego pokoju.

- Przestańcie się mną zajmować, bardzo was proszę.

- Dobrze, przestaniemy się tobą zajmować - powie-

działa Marynka cierpko. - Przepraszam. Nie będziemy się przecież przez niego kłócić. Tylko chyba za wcześnie na-
brałaś przekonania, że to dżentelmen.

Drgnął przy tym słowie, ale podniósł głowę znad talerza dopiero wtedy, gdy skończył swój płatek szynki.

- Pani nie je? - zmartwił się, widząc pusty talerz gospodyni.

- Dziękuję. Głowa mnie boli.

- Och! Mam świetny proszek na ból głowy! - otworzył torbę i pochylił się nad nią. - Nie minie nawet pół godziny, a ból ustąpi. Gwarantuję!

Położył przed nią pastylkę, rozejrzał się za szklanką, w której mógłby jej podać wodę - wziął ją z kredensu, pobiegł do kranu.

- Proszę zaraz zażyć!

- Mamusiu, nie bierz tej pigułki! - szepnęła Wisia.

- Nie bądź głupia! - skarciła ją Marynka.

Pani Helena położyła pastylkę na brzegu swego talerza, szklankę z wodą odsunęła od siebie.

- Dziękuję. Zażyję na gorze, kiedy będę mogła się położyć.

- To ja teraz usmażę resztę placków - Weronika zerwała się od stołu.

- Tak, Weroniko, zrób to prędko.

Był to nietakt wobec gościa, ta rozmowa w dwóch językach i chyba jako taki ją przyjmował, znowu patrzył na swój talerz, nałożył sobie sardynkę, ale jej nie tknął. Uderzył się dłońmi po kieszeniach, wyjął pudełko papierosów, nie otworzył go, położył na stole, choć leżały już na nim dwa inne, wyjęte z torby.

- Proszę, niech pan zapali - powiedziała Marynka.

- Nam to nie przeszkadza. Prawda, Heleno?

- Proszę.

- Helenę - powtórzył. - Piękne imię!

- A ja mam na imię Maria - ciągnęła Marynka.

Zdawała się nie widzieć spojrzeń pani Heleny. - Całkiem zwyczajnie: Maria. To jest Wisia, a to Weronika. A pan się nam nie przedstawił!

Zerwał się od stołu, opuścił dłonie wzdłuż bocznych szwów spodni.

- Korvettenkapitan Arno Wieseirode.

Usiadł i trochę się jakby zaczerwienił: Marynka przechyliła się ku niemu przez stół.

- Wiem, o czym pan myśli.

- Ja? O czym?

- Jakie to szczęście, że admirał nie widzi pana w tej chwili.

Roześmiał się, ale chyba niezupełnie szczerze.

- To byłoby pół biedy. Mój admirał to równocześnie mój teść. Podczas ostatniej wojny był pół roku w niewoli u Anglików i nie wspomina źle tego okresu.

- Ale pan nie jest w niewoli - powiedziała Marynka.

- To nie pan jest w niewoli.

Pani Helena patrzyła na nią coraz bardziej przerażonym wzrokiem - podobny wyraz był w spojrzeniu Niemca, gdy na chwilę spotkały się ich oczy. Odrzekł:

- Nie, nie jestem w niewoli. Ale to nie zmienia sytuacji... aż tak bardzo.

- A jednak! - Marynka nie zamierzała umilknąć.

- Zdaje pan sobie chyba z tego sprawę.

Weronika podała placki i - na szczęście - one stały się teraz głównym tematem rozmowy. Niemiec zachwycał się nimi, dobierał je z patelni, polewał śmietaną, ale były momenty, że niosąc je do ust, jakby zapominał o tym

- trzymał je na widelcu zamyślony, a wyraz jego twarzy świadczył o tym, że nie były to myśli zbyt przyjemne.

Otrząsał się z nich jednak, zaczynał jeść z manifestowanym apetytem, znów zachwycał się smakiem dania tak skromnego, uśmiechał się do Weroniki.

- A na deser mamy czekoladę! - zawołał. - I wreszcie możemy zapalić. - Podsunął pudełko z papierosami na środek stołu, otworzył tabliczkę czekolady.

- Ja nie palę - powiedziała pani Helena. - A... te dwie czekolady, które pan zostawił, wyjeżdżając, są u pana w pokoju.

- Ależ... zostawiłem je dla... Weroniki i Wiszi!

- z trudem i bardzo śmiesznie wymówił imię dziewczynki.

Sądził, że się do niego uśmiechnie, ale się nie uśmiechnęła.

Zerwał się i wybiegł z pokoju; sądził, że po jego wyjściu wybuchnie tam awantura, ale kiedy wrócił z tabliczkami czekolady w ręku, kobiety siedziały tak, jak je zostawił - spokojne i nieruchome, polskie kobiety, które nie wiadomo dlaczego chciał zobaczyć po przyjeździe z morza.

- Rozumiem - zawołał. - Panie nie chciały jeść same...

- Rozerwał opakowanie na wszystkich paczkach, jedną z nich podał Wisi.

Ułamała mały kawałek, podniosła do ust.

- Podziękuj - powiedziała matka - i idź na górę! Masz lekcje do odrobienia.

- Lekcje? - zapytał, gdy dziewczynka wyszła, zrozumiał to słowo, brzmiało podobnie jak po niemiecku.

- Tak - odpowiedziała za Wisię pani Helena. - Szkoły nie ma, więc musi się uczyć w domu.

- To się chyba wkrótce jakoś unormuje... - powiedział niezręcznie.

- Mam nadzieję - szepnęła.

Zapalił papierosa i siedział naprzeciwko niej, patrząc na nią przez siny obłok dymu. Znowu w jej domu, przy jej stole siedział mężczyzna. Nie było Adama, Krzysztofa, Wołodi i Seweryna, nie było tysięcy mężczyzn i chłopców, nawet Siwkowski, z którym pokłóciła się podczas nieudanej wyprawy na statek, przepadł bez wieści - teraz byli tu ci mężczyźni w mundurach Kriegsmarine, Wehrmachtu, żandarmerii, SS i gestapo, w uniformach NSDAP, niemieckiej poczty, niemieckiej kolei, niemieckiego cła, ci mężczyźni byli tu zamiast tamtych.

Powoli podniosła się z krzesła.

- Dokąd pani idzie?

- Do siebie. Głowa... muszę się położyć.

Wstał również od stołu.

- Bardzo mi przykro.

- Ale czekolady nie zostawimy - odezwała się Marynka również po niemiecku. - Nie pozwalacie nam jej zjeść

przy stole, ale Jej nie zostawimy. - Zgarnęła otwarte tabliczki czekolady, położyła je na półce w kredensie. - Dla Wisi.

- Przyniosłem je z tą myślą - powiedział.

- Pokój ma pan przygotowany - pani Helena już w drzwiach odwróciła ku niemu głowę. - Do widzenia!

- Och! - uśmiechnął się. - Jesteśmy w jednym domu.

Nie musimy mówić sobie "do widzenia".

- Pokój ma pan przygotowany! - powtórzyła.

Czyżby to oznaczało, że i posprzątały? - pomyślał, przypominając sobie tumany kurzu na podłodze i meblach, które zastał, gdy zjawił się tu po raz pierwszy. A jednak!

- zdziwił się, przechodząc przez lśniąco czystość jadalnię i salon do pokoju poza nimi, który wybrał dla siebie, gdyż

- jak sobie wyobrażał - miało to być najmniej dla domowników krępujące. Najprawdopodobniej pan domu grywał tu w karty ze swoimi gośćmi, składany stolik do kart stał w rogu, a obite wiśniową materią ściany zachowały jeszcze aromat dobrych tytoniów, które tu palono. Z okna rozpościerał się rozległy widok na zielony stok wzgórza, żółte pasemko plaży i zatokę poza nią - no, widoku wody to sobie mógłem zaoszczędzić, pomyślał. Przypomniała mu się rozmowa z kwatermistrzem, którą odbył po wyjściu na ląd. Zastał w dowództwie wiadomość, że kwatermistrz prosi o nią - to nader uprzejme sformułowanie było skierowane do zięcia admirała, choć chyba dowódca U-003, który wprowadził we współdziałaniu z lotnictwem, ale jednak przyczynił się do posłania na dno francuskiego niszczyciela Bison podczas ewakuacji desantów sprzymierzonych z Namsos w fiordzie Ramsdal - chyba dowódca U-003 bardziej zasługiwał na tę kurtuazję ze strony lądowego szczura. Przyzwyczajony był już do tego, że zawsze musiał z nimi walczyć po przyjsciu z morza, ale tym razem było to coś szczególnego i - na krótko, patrząc na morze, którego widoku mógł sobie zaoszczędzić - pożałował, że nie przystał na propozycję kwatermistrza.

Bo była chyba wyrażona w prawdziwej trosce o niego: inny dom, inne mieszkanie, w cichej, zadrzewionej okolicy, gdzie mógłby należycie wypocząć przed następną akcją w morzu... Słuchał tych słów człowieka, niewątpliwie bardzo mu życzliwego, i nie wiadomo z jakiego powodu zaczął się w nim budzić sprzeciw. Zamiast podziękować, wynalazł sto argumentów na to, żeby pozostać na uprzednio przydzielonej kwaterze, i zmusił spoconego już kwatermistrza, żeby wreszcie wyjąkał:

- Ale tam... tam są... cztery... cztery samotne kobiety...

- Dwie - sprostował z uśmiechem, choć niełatwo się nań zdobył. - Dwie młode kobiety, jedna stara i dziewczynka.

Kwatermistrz był coraz bardziej zakłopotany.

- No więc dwie...

- Pozwoliłem im zostać - przerwał mu - dopóki nie sprowadzę żony (wiedział, że nigdy jej nie sprowadzi do tego obcego kraju). Przynajmniej ktoś sprząta ten dom i opala.

No i ktoś w nim jest - dodał, choć nie był pewien, czy kwatermistrz zrozumie, co to znaczy.

A kwatermistrza wyraźnie opuszczały siły. Miał przed

sobą zięcia admirała i widać było, że to odbiera mu możliwość użycia sformułowań, którymi by się posłużył w stosunku do każdego innego oficera. Chrząknął.

- Wszystko jedno, ile ich jest - powiedział w końcu

- ale sam pan rozumie...

- Nie, nie rozumiem - odparł sztywno.

- Bardzo proszę - jęknął prawie kwatermistrz - niech mi pan nie utrudnia...

- To pan nie rozumie - przerwał mu znowu - co to znaczy wrócić z morza po iluś tygodniach, po iluś tygodniach u wybrzeży norweskich! - Widział, jak kwatermistrz kurczy się na swoim fotelu w odwiecznym poczuciu winy, nekającym podczas wszystkich wojen świata oficerów admistracji wojskowej wobec tych, którzy walczyli. Strzał był dobry, postanowił dalej prowadzić ogień z tego działa.

- Pan o którejś godzinie dnia kończy służbę, opuszcza swoje biuro i udaje się do domu. Ja nigdy podczas akcji nie kończę służby i nie udaję się do domu. Na Atlantyku i na Morzu Północnym, nie licząc operacji norweskiej, trwa od pierwszego września nieprzerwanie wojna, i nie z Polską, ale z Wielką Brytanią, z Wielką Brytanią na morzu, z jej flotą, z jej morskimi tradycjami od czasów admirała Nelsona i diabli wiedzą z czym jeszcze, chyba także z angielską ambicją i angielskim przeświadczeniem, że Anglicy są żołnierzami przede wszystkim na morzu. I pan chce, żebym po kilku tygodniach na okręcie podwodnym wchodził do pustego domu, w którym, aby usłyszeć czyjś głos, będę musiał krzyczeć sam do siebie?

- Ależ... - kwatermistrz był pewien, że nareszcie go złapał - jeśli tylko o to chodzi, to ulokuję tam jakąś niemiecką rodzinę...

- Żebym potem mógł jej usunąć po wojnie? Dziękuję. Chcę tę willę mieć dla siebie. A poza tym - wstał i wyraźnie był gotów do odejścia - mam tylko sześć dni na lądzie i nie będzie mi pan w tym czasie urządzał żadnych przeprowadzek. Bardzo pana proszę. Moja sprawność w morzu jest ważna. Dla ojczyzny. I dla fuhrera. Muszę być wypoczęty, uważny, czujny. Niech mi pan to umożliwi. Musiał więc stoczyć prawdziwą bitwę, lądową - uśmiechnął się do siebie - żeby być teraz w tym pokoju, żeby położywszy się, na tapczanie słyszeć dobiegający z góry odgłos kroków, a gdy się uciszały - strzępy rozmowy w nie znanym dla siebie języku. Dlaczego się nie zgodził na inną kwaterę? Albo na to, żeby dokwaterowano mu tutaj jakąś niemiecką rodzinę? Grałby teraz w szachy na przykład z sympatycznym urzędnikiem celnym, a jego żona, z wdzięcznością przyjąwszy ofiarowane jej produkty, krzątałaby się, nucąc, w kuchni. Nie przeżywałby afrontów, których mu dziś nie szczędzono, a na które on ani razu nie odpowiedział tak, jak odpowiedzieć należało. Dlaczego? I tak miało być przez sześć dni? Wyjątkowo wypoczęty wyjdzie w morze. Sześć dni na tapczanie z oczyma utkwionymi w suficie, nadśluchując kroków z góry. Dlaczego one tak biegają? Jak osaczone myszy, pomyślał i znowu pożałował, że nie przyjął propozycji kwatermistrza. Gotów był już biec, żeby go przeproszać, ale jakiś osad, który pozostał po rozmowie z nim, powstrzymał go od tego. Kroki na górze stały się

żywsze, głosy podniosły się o ton. Chyba się nie kłóca?
- pomyślał i nie wiadomo dlaczego zrobiło mu się czegoś
;żał. Ale one się śmiały, usłyszał to wyraźnie, gdy wstrzymał
prawie oddech, żeby się w tym upewnić. Śmiały się, dziew-
czynka i panna, która -jedyna wśród nich - chciała z nim
rozmawiać. Śmiały się zapewne, jedząc czekoladę - śmiały
się z niego. Tamte dwie milczały. Stara kobieta, która
pozmywawszy naczynia w kuchni, poszła także na górę, i ta
cierpiąca na migrenę, jeśli w ogóle była to prawda. Kwater-
mistrz otrzymał dobre informacje - było ich cztery, ale dla
niego była tu tylko jedna, ta ciemna, która - gdy przyszedł
tu po raz pierwszy - zaplatała, stojąc na schodach, swój
ciężki, czarny warkocz... Odwrócił się twarzą do ściany,
zaciśnął powieki. Czy było to grzechem przeciwko własnej
rodzinie, przeciwko ojczyźnie i flihrerowi, że chciał zobaczyć
to raz jeszcze...?

Przez chwilę miał nadzieję, że zaśnie - że nareszcie
nawiedzi go spokojny lądowy sen, w który zapada się
z ufnością i bez lęku, że przerwie go zaraz alarm. Ale sen nie
nadchodził. Odwrócił się znów na wznak i zaczął liczyć,
najpierw do stu, a potem - gdy wciąż nie czuł się senny - do
tysiąca, do dwóch tysięcy, do trzech... Teść admirał zwykł
był w czasie bezsenności liczyć wieloryby. Gdyby nie wojna,
byłby już na emeryturze, ale Dónitz był zdania, że dowódcy,
oficerowie i żołnierze, którzy podczas ostatniej wojny za-
znali upokorzenia niewoli - w tej zechcą wziąć zań odwet
i wezmą odwet, fuhrer im to przyrzekł. Sam, spędziwszy
w mundurze szeregowca wiele miesięcy pod niezdobytym
Ypres, wejdzie w tej wojnie do tego miasta, a armia
niemiecka dotrze do kanału La Manche może nawet głównie
dlatego, że nie udało się jej dotrzeć tam wtedy. Fuhrer
wiedział, co należy powiedzieć żołnierzom tamtej wojny: nie
oni ją przegrali - nie! Armia niemiecka nie została
pokonana i nie zostanie pokonana n i g d y, to każdy niemiec-
cki żołnierz ma dużymi literami wypisane w sercu - wojnę
przegrali politycy, rząd, giełdciarze i paskarze, dezenterzy,
Żydzi i komuniści, dziennikarze, którzy nie potrafili pod-
trzymać ducha narodu. Żołnierze wyszli z niej bez skazy
i gorycz klęski potrafią teraz przemienić w triumf zwycię-
stwa. Pośród tej żarliwości w wyrażaniu nadziei zapomniano
na szczęście zapytać admirała o wrażenia z półrocznej
niewoli na angielskiej wyspie. Z tego, że nie był to najgorszy
okres w jego życiu, zwierzył się tylko najbliższej rodzinie
- w każdym razie wieloryby zaczął liczyć podczas bezsen-
ności dopiero w kilka lat później, kiedy wyczerpały się
zapasy spokoju, zakumulowane podczas sześciu miesięcy
patrzenia na ojczyznę z zewnątrz, z dystansu, który zawsze
daje nie tylko widzenie szersze, ale i czas na zebranie myśli.
Obłe, płowe, leniwe ciała wielorybów... była w ich ruchach
jakaś senność, morze kołysało je wahadłowym wznoszeniem
i opadaniem fali jak wiejska matka, która - sama senna
- wznosi jednak rękę, żeby pchnąć zawieszoną u sufitu
lnianą płachtę z dzieckiem... Nie wieloryby już teraz liczył,
nie wieloryby, liczył kołyski z dziećmi, płowe tobołki
z małymi ludźmi, które kołysała ogromna fala na swoim
ogromnym grzbiecie; niekiedy spadały z niej w dół i wtedy
myliło mu się liczenie, a gdy na nowo je podejmował, mali

ludzie w lnianych tobołkach stawali się dużymi ludźmi w mundurach, setkami, tysiącami ludzi w mundurach, którzy skacząc z tonących okrętów, padali w wodę jak kamienie, wypływali z niej po drugiej, niewiarygodnie długiej chwili, usiłowali chwycić się czegoś, ale nie było się czego chwycić, więc krzyczeli, wzywali pomocy, bo wciąż nie mieli się czego chwycić, niebo rzucało nowe tony dynamitu, nowe tony dynamitu cięły głębiej morza i nie było się czego chwycić, i nie było po co wołać, nie można już było wołać, wołanie na morzu jest krótkie, bardzo krótkie, prędko następuje po nim cisza...

Ale tu, w tym pokoju, ktoś krzyczał. Zerwał się, usiadł na tapczanie. Serce waliło w nim jak ciężki młot, który z trudem unosi ktoś w górę i bezsilnie opuszcza w dół. Nadsłuchiwał przez chwilę - nikt nie krzyczał, zimna obręcz strachu zacisnęła mu gardło, kiedy zrozumiał, że to on sam krzyczał, on - który widział i słyszał, jak krzyczeli tamci. Nie powinien był wychodzić z zanurzenia, trzeba się było trzymać raczej dna morza niż jego powierzchni, ale dał rozkaz wynurzenia, bo chciał się przekonać, od czego tonie francuz - od bomb lotniczych czy od torpedy, którą posłał w jego bok. Ci w dowództwie chcą to wiedzieć dokładnie, zanim przypiszą komuś wojenne trofea... Dlaczego nie myślał teraz o orderze ani o awansie, ale o ludziach, którzy nie mieli się czego chwycić, gdy pochłaniała ich woda? Dlaczego nie mógł opowiadać o tym 2 duma w kasynie albo w domu - gdyby chciał, gdyby miał odwagę tam pojechać? Jego synowie powinni być dumni z ojca i mógł im dostarczyć powodu do tej dumy, ale wołał czas wolny od morza spędzić tutaj, gdzie nie musiał, gdzie nawet nie mógł pochwalić się swoim sukcesem. Setki, może tysiące żołnierzy francuskich i angielskich, ewakuowanych z Namsos nie dopłynęło do Scapa Flow, dokąd skierowano okręty sprzymierzonych - czy mógł powiedzieć o tym w tym domu, tym kobietom, których mężczyźni byli gdzieś na wojnie, tej złotowłosej, tej rozmownej i śmiałej, i tej milczącej, zaplatającej wciąż - w jego pamięci - swój czarny, ciężki warkocz...?

VIII

Gemeindekommissar podniósł głos i rękę, jakby godził nią w niebiosy, biorąc je na świadka - i sprawcę - nowych niemieckich zwycięstw na zachodzie.

- Norwegia, Dania, Holandia i Belgia są już nasze!

Ostatnie komunikaty doniosły o upadku Antwerpii, Brukseli i Ypres. Ypres! Armia niemiecka winna to swemu fuhrerowi! Będzie mógł odebrać defiladę w mieście, pod którym walczył jako bohaterski żołnierz, odznaczony Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy, pod którym walczył w czternastym, siedemnastym i osiemnastym roku, kiedy to o mało co nie oślepił od angielskiego gazu. A teraz przed ratuszem w Ypres nasz fuhrer odbierze defiladę, jeśli tylko będzie miał czas, jeśli nie będzie się musiał śpieszyć na defiladę do Paryża!

W tłumie, spędzonym przed urząd gminny dla wysłuchania przemówienia gemeindekommissara, rozległy się pojedyncze okrzyki entuzjazmu. Jednak Niemców było tu niezbyt wielu, a Polacy milczeli.

- Jeśli fuhrer nie będzie się musiał śpieszyć na defiladę

do Paryża! - powtórzył gemeindekommissar. Powiódł spojrzeniem po zebranych, jak zwykł to czynić z kazalnicy, kiedy nie porzucił był jeszcze swojej duszpasterskiej profesji dla innej, bardziej ziemskiej i realnej. - Bo Francja także się nam nie oprze! Czuje się niezdobyta poza swoją Linia Maginota, ale dla armii niemieckiej nie ma przeszkód! Znowu nieliczne, odosobnione okrzyki entuzjazmu odezwały się wśród tłumu.

- W uciekaniu! - syknął za plecami Krzysztofa dziadek Bronk. - Już ich raz widziałem, jak zwiewali.

- Ciszej! - uspokoił go Krzysztof.

- Dlaczego? - zdziwił się dziadek. - Wkoło sami swoi.

Stali całą grupą, wywołani z obejść dworskich przez samego pana Laubnitza, który uważał, że jego służba powinna wziąć udział w wiecu. Stał opodał wyprostowany, z wysoko uniesioną głową, pruski oficer w stanie spoczynku, ale biorący udział we wszystkich zwycięstwach swego kraju.

- On nie rozumie - powiedział dziadek Bronk.

- Na pewno?

- Nie wiem, czy na pewno.

- No więc ciszej, dziadku, ciszej!

Stary wzruszył ramionami, ale umilkł, zwłaszcza że gemeindekommissar zwrócił ku nim głowę.

- Francuzi będą mogli - mówił - pieczarki hodować w bunkrach Linii Maginota! Oczywiście pod niemieckim nadzorem.

Nikły śmieszek przeszedł przez tłum. Gemeindekommissar, który dobrze wiedział, w jakim momencie należy zejść z kazalnicy, żeby ludzie nie pospali się w ławkach, uznał, że przemówienie należy kończyć.

- Trzecia Rzesza - powiedział - sięga korzeniami

w głąb tradycji germańskich i trwać będzie wieczna i potężna jak - były pastor potoczył wokół rozbłysłym spojrzeniem, szukając efektownego i najlepiej wyrażającego jego myśl porównania - jak... jak nasz szary Alojz - wskazał rozłożysty dąb nad stawem, nazywany tak przez mieszkańców wsi. - Ten dąb będzie świadkiem zwycięstwa i wiekowego panowania Niemców w Europie, wiekowego panowania Niemców na tej ziemi.

- A gówno! - szepnął zjadliwie dziadek Bronk. -

Gówno, gówno, gówno! - Patrzył w górę na jasnozieloną, , dopiero co rozkwitłą młodymi liśćmi kopułę drzewa.

1 Kochał starego Alojza, wychował się, wyrósł i zestarzał 1 w jego cieniu, ale go w tej chwili bez żalu poświęcił dla innej swojej miłości - choć jej tak nigdy nawet przed samym sobą nie nazywał i dopiero teraz uświadomił sobie i to uczucie, i to słowo. - A gówno! - powtórzył. Paryż nie był w jego zasięgu ani Linia Maginota, ani to Ypres w Belgii, po którym fuhrer o mało nie oślepił, ani Antwerpia, ani Bruksela, ale Połczyno... Ho, ho! Uśmiechnął się do siebie. W Połczynie był jeszcze dziadek Bronk i mogło się okazać, jak wiele to znaczy!

Krzysztof chwycił go za ramię i stanowczo wyprowadził z tłumu, który zresztą po wzniesieniu nikłych okrzyków zaczął się już rozchodzić.

- Czy dziadek chce...

Stary podniósł na niego wybladłe, ale teraz jednak

rozbłyśłe i prawie młodzieńcze oczy.

- Oj, żebyś ty, synu, wiedział, czego ja chcę! I o czym myślę...

- To jednak najlepiej zachować dla siebie.

- Masz rację - powiedział po chwili zamyślenia.

- Masz rację. Ale człowiek swoją uciechą zawsze chce się z drugim dzielić.

- Uciechą? - Krzysztofa ogarniała zgroza. - Chyba nie mamy się czego cieszyć. Słyszał dziadek przecież, idą na zachodzie naprzód...

- A idą, jakby im kto prochu w tyłek nasypał, ale mówię ci - nachylił się Krzysztofowi do ucha - ja to już raz widziałem, i widziałem potem...

- Dziadku! - zniecierpliwił się Krzysztof. Zadzierzystość i dufność starego wydała mu się denerwująca i śmieszna. Ta wiosna, na którą czekali wszyscy z nadzieją, przyniosła zwycięstwo Niemcom, a im - pogłębienie uczucia klęski i odsunięcie wyzwolenia może na całe lata. Chciało mu się z rozpaczyny walić głową w gruby pień starego Alojza, gemeindekommissar słusznie porównał do niego trwałość i twardą niezniszczalność Trzeciej Rzeszy.

Zostawił pośrodku drogi Cygiera, trzęsącego siwą głową i mruczącego coś do siebie, i skierował się ku folwarcznym zabudowaniom; pragnął jak najprędzej schronić się w mrocznym zaciszu stajni i nie patrzeć nikomu w oczy. Jak długo mogło to teraz trwać - rok, dwa, a może pięć? Może dziesięć? I miał przez ten czas tkwić w tej wsi? Udawać męża Anuli? Po raz pierwszy pomyślał, że i dla niej oznaczało to tragedię. Wobec ludzi była mężatką, ale naprawdę nią nie była, a dziewczynom lata płyną prędzej niż kobietom... Stała teraz przy folwarcznej bramie z Teofilem Szwenkiem; nie rozmawiali ze sobą, tylko stali i patrzyli na siebie. Podobno mieli się ku sobie, zanim Anulę zabrała Konkowa do Gdyni

- Krzysztof niedawno dowiedział się o tym od ludzi.

Przywołał Anulę.

- Powiedziałaś mu? - zapytał.

- O czym? - przestraszyła się. - Co też pan mówi?

Gdzież ja bym mu o tym powiedziała!

- Przede wszystkim nie pan. Najwyższy czas, żebyś się do tego przyzwyczaiła.

- Krzysztof - szepnęła, spuszczaając oczy.

- Chociaż... właściwie wszystko wydaje mi się bez sensu.

- Aleja mu nie powiedziałam. Krzysztof! Ja mu nic nie powiedziałam! - zawołała żarliwie.

- Ja mu powiem.

- Nie! - zagroziła mu drogę. - Nie! Pani gospodyni by się gniewała. Wyraźnie powiedziała, że nikt ma nie wiedzieć.

- Ale to ja mu powiem, nie ty. Na mnie nie będzie mogła się gniewać, jeśli jej opowiem, jak on na ciebie patrzy. Zawsze tak patrzył?

Zarumieniła się, dłońmi zasłoniła twarz.

- Zawsze. Jeszcze jak do szkoły chodziliśmy.

- Dlaczego przedtem nie powiedziałaś o tym?

- Bo to z panem... to z tobą... miało być na krótko.

I pani gospodyni tak prosiła...

- Na krótko! - powtórzył z goryczą.

- Tak! Wszyscy myśleli, że na bardzo krótko. I ojciec;
I mama. A zrobiło się z tego...

- Teofil! - zawołał.

Chłopak odwrócił tylko głowę, ale nie ruszył się z miejsca.

- Teofil! - krzyknęła Anula.

- Muszę wracać do roboty - odkrzyknął. Krzysztof
zbliżył się do niego.

- Chcę z tobą porozmawiać.

- Ze mną? - przestraszył się chłopak. - Ja przecież
nic... co pan...?

- Chcę z tobą porozmawiać. Chcę ci coś powiedzieć.

Weselszy będziesz, jak ci powiem. Zobaczysz.

- Weselszy?

- No! Chociaż trochę. Chodź do stajni.

Teofil się zawahał, spojrział niepewnie na Anulę.

- Idź! - szepnęła.

Przy boksie "Meteora" panował półmrok. Świeża woń
siana z pierwszego wiosennego pokosu, bogaty aromat nie
wyschniętych jeszcze traw i ziół skłaniały raczej do drzemki
niż do tej rozmowy, ale trzeba ją było odbyć. Krzysztof
wskazał Teofilowi odwrócony do góry dnem żłób.

- Siadaj.

- Postoję - mruknął chłopak. Rozejrzał się niepew-
nie po najbliższych boksach, konie pobrzękiwały łańcu-
chami, nachylając głowy ku żłobom, obficie napełnionym
sieczką, byli sami w tej części stajni. Brona krzesał
się w drugim jej końcu, przygotowywał się do codziennego
ujeżdżania "Meteora", Laubnitz postanowił zrobić z niego
dżokeja i tylko Brona wiedział, że był to pomysł szalony.
W panicznym strachu pobrzękiwał ostrogami w sennej ciszy
stajni - Teofil nasłuchiwał przez chwilę tego dźwięku,
wyraźnie się zatrwożył, że dochodzi z tak znacznej odle-
głości.

- Siadaj! - powtórzył Krzysztof. - Żał patrzeć, jak się
męczysz.

- Ja? - chłopak uznał za słuszne nadrabiać miną.

- Ty. Wciąż wodzisz oczyma za Anulą. A najważniejsze,
że i ona za tobą.

- Tego jej nie każę.

- A może każesz? Może chcesz, żeby tak było?

Chłopakowi usta zaczęły drżeć, więc nie męczył go dłużej;
powiedział mu, jak sprawy stoja, że nie musi robić sobie
wyrzutów, grzechu śmiertelnego nie popełnia, nie trzeba
będzie się z niego spowiadać ani odprawiać pokuty. Anula
była dziewczyną i mógł ją kochać, byle tylko nikt o tym nie
wiedział.

Teofil uderzył się w piersi twardą swoją pięścią, twarz mu
gorzała, oczy błyszczały.

- Nie powiem nikomu, choćby mnie na kawałki mieli
krajać!

Krzysztof bawił się trochę tą rozmową, wyobrażał sobie,
że ma przed sobą młodszego brata, albo nawet swego syna,
który nagle podrósł i trzeba mu było pomóc w jego
pierwszych miłosnych kłopotach - ale na chwilę spo-
ważniał:

- Wiesz, co by to dla mnie znaczyło, gdybyś nie docho-
wał tajemnicy?

- Wiem.

- A więc uważaj na to, co mówisz i robisz. Bezpieczniej byłoby dla mnie, gdybyś nie wiedział. Ale nie chciałem, żebyś się dłużej męczył.

- Dziękuję.

- No i... - Krzysztof uśmiechnął się lekko •- rola zdradzanego męża także nie byłaby dla mnie zbyt przyjemna.

Teofil nie zrozumiał tego tak, jak należało. Kręcił głową, rumienił się i bladł, szeptał urywane jakieś słowa.

- Co tam mruczysz pod nosem?

- Ja wiedziałem... wiedziałem, że ona... by tak nie mogła. Miała pojechać do Gdyni tylko po to, żeby się trochę obsprawić i trochę pieniędzy mieć na drzewo i płótno...

- Na co?

- Na... meble, pościel i bieliznę. Mieliśmy się pobrać... Jakbym z wojska wrócił...

Krzysztofowi przypomniawszy się biała, wykrochmalona, koszula Łucki, której niepokalaną świeżość zgniótł w ich noc poślubną. Ogarnęło go wzruszenie i żal - nie każde pokolenie w tym kraju mogło cieszyć się przypisaną ludziom radością.

- Zawołaj ją! - powiedział cicho.

- Kogo?

- Ją! Chyba czeka za progiem.

Naprawdę czekała. Pani Laubnitzowa szukała jej na pewno po całym dworze, może posadzki nie lśniły jeszcze jak należy, może nie zostały jeszcze obmiecione szczotką z piór wszystkie afrykańskie cacka, które bez umiaru zapełniały półki i szafy - a ona stała tutaj, zawstydzona i drżąca, ale jednak pośród tego okrutnego czasu samowolnie i jakby wbrew niemu - szczęśliwa.

Teofil nie śmiał, to Krzysztof wciągnął ją do stajni i pchnął ku chłopakowi.

- On już wie. I nie ma ci tego za złe. Rozumie, że musiałaś to zrobić.

- Pani gospodyni tak prosiła... - zaczęła Anula, ale ją uciszył.

- Sza! Już ani słowa o tym. Szkoda na to czasu, a na pewno już was wołają do roboty.

Gdzie to już było? - myślał. - We włoskim mieście Weronie... Ale nie tylko zwaśnione rody rozdzierały kochanków, w małej wiosce kaszubskiej dzielił ich gniew potężniejszy i bardziej groźny, a śmierć mogła nie być ich wyborem i dotyczyć nie tylko ich, nie tylko ich samych...

Odszedł, a oni usiedli na starym żłobie i wzięli się za ręce.

- Widzisz! - szepnęła Anula. - A już byłeś taki głupi, już myślałeś...

- A co innego miałem myśleć, jak nie wiedziałem. Przywiozłaś sobie męża, i to nie byle jakiego...

- Z byle jakim to bym się nie pokazała - odezwała się hardo Anula - żeby pani gospodyni nie wiem jak prosiła.

- Nie gadaj głupot, każdego trzeba ratować. Ładny czy nieładny...

" - Tak - szepnęła Anula. - Wiedziałaś, że tak będziesz

myślał.

- Tylko... że to nie będzie tak krótko trwało, jak miało trwać - zmartwił się Teofil.

- To nic, to nic - zaszeptala goraco - żebyśmy tylko mogli być ze sobą tak jak teraz... chociaż raz dziennie... i żebym wiedziała...

- A nie wiesz?

- Wiem.

Znowu milczeli, tylko palce zwarły się ze sobą silniej, opłotły się wokół siebie, zacisnęły.

- Będziesz czekać?

- Będę.

- Ja na ciebie to bym całe życie mogła czekać.

- Ja na ciebie też.

"Meteor" uderzył kopytem w ścianę boksu, para jaskółek śmignęła w promieniu światła między otwartymi wrotami, pod okapem; zachłystując się radością ze słonecznego dnia, świergotały wróble.

- Ciepło dzisiaj.

- Ciepło! Układłbym się w stogu siana na łące i leżałbym sobie do wieczora. Ty też? - zapytał Teofil cicho.

- Ja też.

- Ze mną?

- Z tobą.

- I nie chciałoby mi się jeść ani pić.

- Mnie także.

- Dobrze by tak było.

- Dobrze. I będzie tak. Zobaczysz. Skosimy swoją łąkę, wysuszymy siano, ułożymy stóg i położymy się na nim do słońca.

- Chciałbym wiedzieć, kiedy to tak będzie.

- Myśl, że niedługo.

- A jak będę tak myślał, to się wojna obróci dla nas w lepszą stronę?

- Obróci się. Myśl tak. Myśl, że niedługo.

- Musisz już iść?

- Tak. Laubnitzowa na pewno już mnie wołała.

Palce Teofila, splecione z palcami Anuli, zacisnęły się na nich boleśnie. Krzyknęła cicho, ale zaraz umilkła. Zrozumiała, że nie chciał zadać jej bólu.

- Kiedy wojna w inną stronę się obróci, nikt nie będzie mógł cię zawołać, tylko ja.

- Tylko ty.

- Nikt nie będzie miał takiego prawa. Nigdy.

- Nigdy.

Znowu przez chwilę milczeli, słuchając łagodnych poruszeń koni, oganiających się od moich, świni jaskółek, świergotu wróbli...

Anula podniosła się pierwsza.

- A teraz naprawdę muszę już iść.

- Tak. Ale wyjdziemy razem.

- Nie! - przestraszyła się. - Tego nam nie wolno.

- Tylko ten jeden raz. Tylko dziś.

Wyszli z wrót stajni, trzymając się za ręce, ale puścili się zaraz, gdy w oczy uderzyło ich słoneczne światło

i gdy zaraz potem zobaczyli ojców - Szwenka i Dyszka

- wybiegających z niezwykłą gwałtownością z dworskich

drzwi. Nie patrząc na siebie, jakby się nie znali, popędzili przez podwórze w dwie różne strony, a zawsze chodzili razem.

Widział to także Krzysztof i dla niego był to widok niezwykle. Postanowił zapytać wieczorem Dyszka, co się stało, ale nie musiał pytać. Dyszk płonął jeszcze krwawym rumieńcem - oburzenia, gniewu, żalu i rozpacz - i choć żona błagała go, żeby się uspokoił, każdego witał swoją złą nowiną.

- Pan Laubnitz na pokoje nas zaprosił. Szwenka i mnie.

- Widziałem, jak wychodziliście.

- Aha, widziałeś. To i może domyśliłeś się po co? Żeby machandla nam postawić za te niemieckie zwycięstwa na zachodzie.

- Tego nie mogłem się domyślić.

- A jednak go nam postawił. Szwenkowi i mnie.

- Machandla?

- Machandla.

Długa chwila upłynęła, zanim Krzysztof zapytał:

- Wypiliście?

- A dlaczego mieliśmy nie wypić? Tak często ktoś teraz człowiekowi machandla stawia? I czy to ważne, jeśli się za coś pije? Zwykle gadanie. Ja sobie w duchu powiedziałem, że piję akurat za coś innego, niż chciał pan Laubnitz.

Krzysztofowi jednak nie bardzo się to podobało.

- Można było przecież... - zaczął.

- Co było można? - przerwał mu Dyszk. - Nic nit, było można. Jak pan Laubnitz częstował, można było tylko wypić, głowę otrzeć, podziękować i wyjść. Ale on nam właśnie wyjść nie pozwolił.

- Nalał jeszcze raz?

- Tak. Drugi. Potem trzeci. Prosił siadać i zaczął tę rozmowę.

- Jaką rozmowę?

- O niemieckich zwycięstwach i tym "sz" w naszych nazwiskach.

- "Sz"? - nie rozumiał Krzysztof, choć zaczynało mu już coś świtać w głowie.

- "Sz"! - potwierdzi Dyszk. - Że obydwaj mamy to "sz" w nazwisku. Że Alojz nazywa się Szwenk, a ja Dyszk, i że to tak po niemiecku brzmi... Tak po niemiecku brzmi, że obydwaj powinniśmy się cieszyć z tych niemieckich zwycięstw.

- Co powiedzieliście na to?

- Nic. A on dalej, że w tyłu niemieckich słowach jest to "sz". Dla przykładu: schon, schön, Schwalbe, Schule, Schuster, i że Szwenk i Dyszk... że to "sz" w naszych nazwiskach, co tak po niemiecku brzmi, można by także pisać po niemiecku przez "es", "ce" i "ha"...

- Zacząłem się domyślać od początku, że to o to chodziło - powiedział Krzysztof, siadając ciężko na ławie.

- A o to. Ale ja już nie wytrzymałem. Dlaczego to "sz", proszę pana, powiedziałem, jest niemieckie? A w polskich słowach go nie ma? Takie, dajmy na to, słowo "chrząszcz"... żaden Niemiec go nie wymówi, a przecież także ma to "sz".

A szabla, a szacunek, a szczaw...?

- Co on na to?

- Laubnitz? Nic. Tylko wstał, flaszkę z machandlem ze stołu zabrał i na kredens odstawił, a potem jeszcze mu tego było mało, bo ją do środka schował i klucz w drzwiczkach kredensu przekręcił.

- I nic nie powiedział?

- Powiedział, ale dopiero po chwili. Że nie zrozumieliśmy. Chciał dla nas dobrze, a my nie zrozumieliśmy tego. Należenie do narodu niemieckiego to zaszczyt i szczęście. Tak, powiedziałem, zaszczyt i szczęście, proszę pana, dla każdego Niemca. I wtedy spojrzał na mnie i już wiedziałem, że on wie, co ja myślę..

- I co myśli Szwenk.

Dyszk głową dziwnie podrzucił, gwałtowność, której u niego nie znali, długo nie pozwalała mu odzyskać głosu.

- Tego, co myślał Szwenk, to i ja nie wiedziałem. Nie, nie wiedziałem. Od dziecka się znamy, a nie wiedziałem.

- Tato... - szepnęła Anula. Usiadła także na ławie, szarpnęła ojca za rękaw. - Tato...

- Cicho bądź! Pan Laubnitz zaczął teraz mówić, że to wstyd dla takiej niemieckiej wsi! Jak Połczyno, żeby Niemiec-
kie głosy, kiedy trzeba wzniesć okrzyk na cześć fuhrera, były takie cienkie, jakby myszy gdzieś po kątach popiskiwały. On, jako niemiecki dziedzic i właściciel tej wsi, wstydził się dzisiaj tego. Musiał do tej pory trzymać polską służbę, bo rozumiał, że jak długo Polska tu była, to ludzie mogli się bać ze swoją niemieckością zdradzić, nie każdy miał taką odwagę jak on.

- Nie trzeba było u nas na to odwagi - zauważył z goryczą Krzysztof.

- Też tak myślę. I powiedziałem to panu Laubnitzowi. Że każdy mógł być u nas tym, kim naprawdę był. Polak to Polak. A Niemiec to Niemiec. Czy służył u pana, czy był u siebie gospodarzem, jak ja. Bo chciałem, żeby to ode mnie usłyszał, że gospodarz jestem i choć u pana pracuję, to i swoją ziemię mam i wyżywi mnie ona, jakby nawet ze służby mnie wyrzucił.

- I powiedziałeś to? - spytała struchlała Dyszkowa.

- Tobie mówię - spuścił z tonu Dyszk. - A Laubnitzowi to powiedziałem tylko, że gospodarz jestem. I dobrze zrozumiał, co miałem na myśli, bo zwrócił się teraz do Szwenka.

- Do Szwenka... - szepnęła Anula.

- Tak, już tylko do niego. Żeby sobie dobrze rozważył, o czym była mowa. Bo hofsmaurer u niego wśród służby najważniejszy i w jego domu mieszka, i pensji chyba najgorszej przez tyle lat nie miał, skoro trzech synów na ludzi wychował, a choć dwóch teraz w niewoli, to najwyższy czas, żeby ojciec o tym pomyślał... Żeby pomyślał! Jemu, Laubnitzowi znaczy się, honoru to nie przysparza, że się musi przed gośćmi tłumaczyć, kogo to jako hofsmaurera zatrudnia...

- To Wacholz - wtrącił Krzysztof. - Przed Wacholzem musiał się tłumaczyć. Może syn Szwenka, ten w oflagu, był jego kolegą.

- Nie wiem, może był. A Szwenk powiedział, że pomyśli.

- Pomyśli?

- Tak. Laubnitz po plecach go poklepał i może byłby znowu machandla na stół postawił, ale spojrzał na mnie i ochota go odeszła.

- I wtedy wylecieliście ze dworu.

- A na co było jeszcze czekać?

- Trzeba było porozmawiać ze Szwenkiem.

- Porozmawiać! Przecież powiedział, że pomyśli. To niech myśli! Diabeł z nim tańczył!

Za drzwiami rozległy się kroki, podbiegły do progu, przystanęły.

- Teofil! - szepnęła Anula. Teraz Krzysztofa chwyciła za ramię, targnęła nim, przyciągnęła do siebie. - On się ojca wyrzeknie, porzuci jego nazwisko, jak ma być niemieckie... on to na pewno zrobi, ojca się wyrzeknie...

Ale to nie był Teofil - drzwi otworzył powoli Tomaszek Grabień, pewny radosnej niespodzianki, jaką sprawi swoim pojawieniem się w Połczynie. Bardzo był zadowolony ze swojej samodzielności i odwagi, pozdrowił wszystkich pięknie i rzucił się ojcu na szyję.

Krzysztof nie widział go od lutego - był tu wtedy razem z Julitką, Łucka po incydencie z puckimi żandarmami wolała przez pewien czas nie pokazywać się w Połczynie i wysłała same dzieci, żeby zobaczyły się z ojcem, Tomaszek. znał więc drogę i nie musiał nikogo o nią pytać. Wydał się teraz ojcu o wiele wyższy i jakby silniejszy, choć na pewno nie najadał się ostatnio do syta.

- Sam przyjechałeś? Zupełnie sam?

- No! - odpowiedział z dumą.

- Mama cię puściła?

- Mama kazała jechać. - Wyjął z kieszeni zawinięte w papier dwie kromki chleba, złożone razem kryły jakieś papiery.

- Listy? - zatrząsł się Krzysztof. - Od kogo?

- Jeden od mamy, a drugi od stryja Cyprka i dziadka.

- Daj!

- Widzi tatuś, jak schowałem? Julitka by powiedziała, że to konspiracja...

- Konspiracja? - spytał Krzysztof w roztargnieniu.

- Jak się coś tak chowa, to konspiracja.

Krzysztof trzymał w ręku list od brata. Nie widzieli się od tej pamiętnej chwili, kiedy Cyprek z czołem opartym o pień przydrożnego drzewa opłakiwał śmierć koni z taboru, którego nie mogli i nie mieli czasu ciągnąć na Oksywie.

Widział go wciąż z zalaną łzami, dziecinna jeszcze twarzą

- podchorążego Cypriana Grabienia z pierwszego morskiego pułku strzelców, zdziesiątkowanego przez Niemców.

Nie wiedział dotąd, czy udało mu się podczas ostatnich godzin walki dotrzeć do bloków Pagedu na Obłuzu, jak zamierzał, czy dostał się do niewoli, czy żył... i oto trzymał list od niego, list, który przekreślał najgorsze z pytań.

Cyprek pisał:

"Kochana Łucko! Dziękuję Ci za list i wiadomości.

Jestem u Rodziców. Jak tutaj dotarłem, opowiem Ci, gdy się zobaczymy. Obydwaj bracia cali i zdrowi, jak dawniej w Przeworsku. Ostatni list uspokoił nas co do Ciebie.

Rodzice na szczęście nie mogli sobie nawet wyobrazić tego,

co przeżyliśmy w ciągu kilkunastu dni. Tutaj przeszło to wszystko jakoś bokiem, a kiedy nie wychodzi się z naszego sadu, można myśleć, że i poza nim nic się nie zmieniło. Czereśnie już różowieją, papierówki mają owoce wielkości orzechów. Przez cały czas usiłuję wyobrazić sobie, że noszę jeszcze krótkie spodenki i nie ciąży na mnie żadna odpowiedzialność, żadna z tych odpowiedzialności, które na nas nałożono i którym nie mogliśmy sprostać - ale wyobraźnia nie jest posłuszna rozsądkowi, zresztą z nim właśnie największe kłopoty.

Kiedy się zobaczymy? Kiedy się zobaczymy z całą naszą rodziną? Nasze dwie ciotki, Frania i Ania, czekają na moment dogodny do podróży. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać, aż się zdecydują, do nich należy ocena, czy są naprawdę do niej gotowe - kochane staruszki, oby - tylko nie kazały czekać nam na siebie zbyt długo, bo bardzo już tęsknimy..."

Krzysztof przerwał czytanie listu i spojrzał na postawioną przez Cyprka datę - tak, pisał list ósmego maja, na dwa dni przed początkiem niemieckiej ofensywy na zachodzie. Dwie ciocie, Ania i Frania, były bohaterkami wszystkich listów, które wymieniano między sobą ku pocieszeniu i nadziei. Ale kochane staruszki, ganione za opieszałość, same były teraz w opałach, a termin ich podróży odsuwał się w mgłę zupełnej niepewności...

Dalszy ciąg listu zawierał rodzinne serdeczności i kilka słów od ojca, który czynił sobie wyrzuty, iż niezbyt stanowczo postawił w sierpniu sprawę przyjazdu wnuków, jego zdaniem - byłyby w tamtej okolicy o wiele bezpieczniejsze. Jeśli w ogóle gdziekolwiek jest bezpiecznie, pomyślał Krzysztof. Jeszcze raz przeczytał list; gdyby nie wstydził się Dyszków i Tomaszka, który wciąż nie zdejmował z ojca oczu, byłby pocałował tę małą kartkę, zawierającą nowinę najlepszą z najlepszych. Żyli! Cała rodzina! Rodzice i bracia! Inaczej można było teraz czekać, wiedząc o tym. Jeszcze Wołodia i Seweryn! - pomyślał, otwierając z nadzieją list Łucki.

Pismo miała wyraźne, jakby jeszcze trochę szkolne, litery stawiała prosto i starannie, i przez to cały list wydawał się jakby dyktandem - dyktandem, które sama sobie dyktowała:

"Mój Drogi! Mój Jedyny!

Nie możesz sobie wyobrazić, czym są tu dla mnie dni bez Ciebie. Wstaję rano jak automat, jak automat wykonuję wszystkie czynności w ciągu dnia, nie mają ze mnie wielkiej pociechy w biurze, dziwię się, że pan Lohmann jeszcze mnie trzyma. Staram się jakoś przywoływać do przytomności, otrząsać z tego, ale na próżno. Wszystkie moje myśli są z tobą. Moje serce jest z tobą, a ja tu bez niego całkiem nieżywa.

W domu pozornie wszystko w porządku, mama tylko narzeka, że poza Karolem z dołu nie ma do kogo w kamienicy ust otworzyć. Julitka u ciotki w Gdańsku. Na szczęście co tydzień przyjeżdża do domu, trochę jakby złagodniała w stosunku do mnie - zapewne nie będziesz mógł zrozumieć, co to znaczy. Myślę, że jest w tzw. trudnym wieku, a że to wypadło akurat teraz, wszystko się jeszcze bardziej

utrudniło. Wytlumaczę ci to, kiedy wreszcie przyjadę, żeby zobaczyć się z tobą, bo przecież muszę cię zobaczyć, w przyszłą sobotę przyjadę razem z Tomaszkiem. Z nim kłopotów prawie żadnych. Przykro, że to piszę, ale od kiedy Julitki nie ma w domu, Tomaszek jest posłuszniejszy, pomaga mamie, uczy się..."

Krzysztof przebiegł szybko oczyma list do końca - nie było w nim imion Wołodi i Seweryna, ani tego trzeciego imienia, na które także czytał jego wzrok. Z uczuciem bolesnego zawodu złożył kartki, wsunął je do kieszeni na piersi.

A Tomaszek siedział już przy stole nad miską kapuśniaku, który postawiła przed nim Anula. Zachowała dawny nawyk ze Świętojańskiej - kiedy pojawiały się w domu dzieci, zawsze myślała, czy nie głodne. W gęstym kapuśniaku czerwieniły się kawałki wędzonego boczku, a przy misce leżał potężny kawał chleba.

- Jedz! - zapraszała Anula. - Nie jesteś głodny?

-- Jestem - przyznał się Tomaszek.

- No, widzisz - rozculiła się. - Od razu tak sobie pomyślałam.

Tomaszek zanurzył łyżkę w połyskującej tłuszczyźnie zupy i wyłowił z niej najpierw kawałek mięsa. Dawniej wstrząsał się na sam widok boczku, teraz gryzł go z lubością, długo i dokładnie, jakby się chciał nacieszyć jego smakiem.

- Jedz, jedz - szepnęła Anula.

1

Kiedy talerz był już prawie pusty, Tomaszek coś sobie przypomniał.

- Mama kazała mi powiedzieć... - zaczął z pełnymi ustami.

- Co... co kazała ci powiedzieć? - spytał Krzysztof, pochylając się ku niemu.

- Nie chciała pisać tego w liście.

- Co kazała ci powiedzieć?

- Że pan Turek... że Seweryn Turek żyje.

- Żyje? Odezwał się?

- Tak. Przysłał kartkę ze Stutthofu.

- Ze Stutthofu - powtórzył Krzysztof. Krótka radość przemieniła się w dawny smutek, w inny jego rodzaj - tych w Stutthofie oplakiwało się jak umarłych. Obóz istniał już osiem miesięcy i straszna jego sława objęła całe Pomorze, Niemcy zresztą nie starali się ukrywać prawdziwych jego zadań. Nazwa Zivil-Gefangenen-Lager miała pokrycie tylko w tym, że istotnie trzymano tam ludzi cywilnych, a więc nie chronionych niczym, nawet międzynarodowymi umowami, dotyczącymi jeńców wojennych, które Niemcy - niekiedy - respektowali.

- Pani Sewerynowa powiedziała - ciągnął dalej Tomaszek, przełknawszy ostatni kęs - że Seweryn jest w Baukolonne i że jak wybuduje to, co tam buduje, to na pewno wróci do domu.

- Tak powiedziała? - spytał Krzysztof cicho.

- Tak. I posłała mu paczkę z jedzeniem. Z dobrym jedzeniem. Pani Tereszkowa dała jej srebrne łyżki do sprzedania, żeby mogła posłać mu tę paczkę. Pani Helena,

wie tatuś.

- Pani Helena... - najlżejszym szeptem, nieledwie w myśli tylko, powtórzył Krzysztof. Czekał, że Tomaszek jeszcze coś powie o niej, ale chłopak umilkł i dopiero po chwili dodał:

- Tylko o Wołodi... o panu kapitanie Jazowieckim nic nie wiadomo. Panna Blok powiedziała, że będzie pisać do Czerwonego Krzyża.

- To chyba niemożliwe? Od nas? Stąd?

- Nie wiem, czy możliwe - powiedział Tomaszek.

- Ale różne panie w Gdyni podostawały listy...

- Stamtąd! To co innego. Zupełnie co innego.

- Ale Marynka powiedziała, że będzie pisać. Że musi się dowiedzieć...

Po co? - pomyślał Krzysztof. Nie chciał wiedzieć, wolał nie wiedzieć. Bitwa o Hel pochłonęła wiele ofiar, mógł być wśród nich i Wołodia, lata upłyną, zanim zidentyfikuje się wszystkie zwłoki. Kochał go jak brata - nie, więcej! Żaden z braci nie był dla niego tym, kim był Wołodia - bezdomny, jak on sam, chłopak, którego spotkał pierwszego swego dnia w Gdyni i z którym przeżył wszystkie te lata aż do września, kiedy wojenna powinność wyznaczyła im inne miejsca w obronie. Później, kiedy leżał ranny na strychu u pani Heleny, i potem tutaj, w Połczynie, nie opuszczała go myśl, że wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby byli razem z Wołodia. I z Sewerynem! Że nie siedzieliby tutaj jak mysz pod miotłą, drżąc przed każdym Niemcem, że coś by się zaczęło dziać - Wołodia nie zniósłby tej bezczynności, tego czekania, które musiało się wydać uwłaczające każdemu, kto już raz trzymał w rękach broń...

- Mama pozwoliła mi przenocować - odezwał się

Tomaszek. - Cieszysz się?

Odpowiedział mu dopiero po chwili:

- Bardzo!

- Pojadę jutro rano. Do szkoły idę dopiero w czwartek.

- A Julitka zupełnie się nie uczy?

- Wzięła ze sobą książki. Ciotka... ciocia babcia pozwala jej się uczyć wieczorami.

- Pozwala...?

- Bo roboty w tej piwiarni dużo. Wciąż ktoś przychodzi na piwo.

- Jak jej tam jest? - spytał Krzysztof i od razu

zaprzagnął cofnąć to pytanie. I tego wolał nie wiedzieć

- coraz więcej było teraz takich spraw. Jego córka, której młodość miała być inna od młodości jej rodziców (Łucka wciąż o tym mówiła, cieszyła się, że Julitka nie musi nosić koszy z rybą i nie chodzi do szkoły tak daleko, jak chodził jej ojciec), jego córka podawała Niemcom piwo, myła po nich kufle, wysypywała popielniczki z ogarkami ich papierosów...

- Nie wiem, jak jej tam jest - powiedział Tomaszek.

- Ona nic nie mówi.

- Nic nie mówi?

- Nie. Ani czy źle, ani czy dobrze. Raz tylko płakała, że ją poklepują.

- Że... co?

- Że poklepują - powtórzył Tomaszek. - Wie tatuś...

- U nich to w zwyczaju - włączył się do rozmowy Dyszk. - Jak dziewczyna ładna, to im się ręce same wyciągają.

- I co... co mama na to?- spytał Krzysztof w poczuciu bolesnej bezsilności.

- Mama pojechała z Julitką do Gdańska i prosiła ciotkę... prosiła, żeby nie poklepywali.

- Co ciotka na to?

- Powiedziała, że ona zawsze im mówi...

- Komu?

- Tym, co przychodzą na piwo... że zawsze im to mówi...

- Ale że co...?

- Że nieletnia... że Julitka nieletnia. Tylko że trudno to każdemu mówić, a Julitka wygląda jak dorosła dziewczyna.

- Większa od pani - powiedziała Anula. - I od pani gospodyni. I ode mnie.

Krzysztof już się nie odzywał. W nocy, gdy leżeli z Tomaszkiem na sienniku pod oknem, a obok na łóżku posapywała przez sen Anula, myślał, że bezradności, która towarzyszyła nieraz jego ojcostwu, dodany został jej najsilniejszy akcent i żadną pociechą nie mógł być fakt, że i inni ojcowie nie byli teraz w stanie chronić swoich dzieci. Silniej przytulił do siebie Tomaszka, nie mógł sobie tego przypomnieć, ale chyba nigdy go tak przy sobie nie trzymał, od kiedy Tomaszek przestał być dzieckiem. Teraz miał tuż przy twarzy płową jego głowę, czuł na policzku dotyk krótko przyszytych włosów, o których czystość Łucka zawsze tak usilnie dbała, unosiła się z nich ledwo uchwytna woń wiatru - tak pachniała sierść młodych zwierząt, gdy zdyszane kładły się w legowisku.

Zawstydzony tą czułością, pocałował Tomaszka w głowę.

Myślał, że on tego nie poczuje, ale chłopiec poruszył się zaraz i zapytał sennie:

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego mnie całujesz?

- Bo... nie widziałem cię długo i... znowu długo cię nie zobaczę.

- Przyjadę razem z mamą w przyszłym tygodniu.

- To całe siedem dni.

- Tak, siedem. W czwartek znowu będę jadł szynkę.

- Co takiego? Szynkę? Skąd?

- Pan Karol zaprasza mnie co czwartek, bo w czwartek zawsze jest na dole szynka. Lohmann przyjmuje gości, jak pan Słubicki.

Krzysztof uśmiechnął się w mroku.

- I pan Karol cię zaprasza?

- Zawsze. Nakłada mi szynki pełen talerz i co tam jeszcze jest dobrego. Lohmann nie wie, ile czego ma, sam wszystkiego nie zeżre.

- Tak się nie mówi - Krzysztofowi przypomniał się dawny obowiązek strofowania dzieci, dopiero kiedy to powiedział, wydał się sobie śmieszny.

- Pan Karol tak mówi. Że Lohmann sam wszystkiego nie zeżre, a szynka na pewno polska. Panna Marynka, jak była u babci, to także opowiadała, że ich Niemiec przynosi polską szynkę...

- Jaki Niemiec? - zapytał po długiej chwili.
- Ten, co u nich mieszka. Dowódca okrętu podwodnego, tak mówiła Marynka. Mieszka kilka dni, a potem znowu idzie w morze. Ale jak wraca, to przynosi różności...
- Śpij już!
- Myślałem, że jesteś ciekaw.
- Nie jestem.
- Ale on przynosi nawet czekoladę.
Przez otwarte okno dochodził z wiejskiej drogi odgłos miarowych kroków.
- Żandarmi - szepnął Tomaszek.
- Skąd wiesz?
- Oni tak chodzą. I godzina policyjna już jest. Wszyscy muszą siedzieć w domu.
- Niemcy nie.
- Ale oni nie lubią chodzić, jak ciemno.

Kroki przybliżyły się i ucichły, ktoś stanął pod oknem. Krzysztof ścisnął Tomaszka, chłopak od razu zamilkł. Patrzyli obydwoj w napięciu w jaśniejący w mroku kwadrat okna. Noc była jasna, jedna z pierwszych naprawdę ciepłych majowych nocy, lekki wiatr poruszał firanką - i nagle zobaczyli w jej rozchyleniu blaszany hełm żandarma.

To był ten tęższy, ten stateczniejszy, który łagodniej traktował Konkową i Łuckę, kiedy zjawiły się w Połczynie i nie pozdrowiły na drodze żandarmów. Krzysztof poznał go w mroku najpierw po twarzy okrągłej, a potem po głosie, bo odezwał się zaraz, obmiótlszy izbę światłem latarki:

- Co to jest? Nie śpisz z żoną?
Krzysztof przykrył kocem Tomaszka, chłopak leżał od ściany i można było mieć nadzieję, że żandarm go nie zauważył

- A muszę? - usiłował zażartować. - Muszę spać z żoną?

Żandarm po kolejnym dniu niemieckich zwycięstw nastrojony był pogodnie. Roześmiał się rubasznie:

- Ja na twoim miejscu bym chciał.
- A ja nie chcę - Krzysztof podchwycił ten ton. - Nie chcę, bo chora.

- Chora? - trochę przestraszył się żandarm. - Na co?

- Na zwykłą miesięczną chorobę.

- Ach, tak - roześmiał się głośniejsze. - To przejdzie. To niedługo przejdzie.

Krzysztof już się nie odezwał, a żandarm cofnął głowę z okna i po chwili usłyszeli jego oddalające się kroki. Tomaszek odrzucił z siebie koc, którym był przykryty z głową, Krzysztof czekał w przykrym napięciu, o co go syn zapyta. Nie czuł się na siłach wyjaśniać mu rozmowy z żandarmem - cały długi dzień obfitował w wydarzenia niezwykle i był już nimi zmęczony. Niemieckie zwycięstwa na zachodzie, przekreślające rychłe nadzieje, zachowanie się Szwenka wobec propozycji Laubnitza i fakt, że powiedział Teofilowi, kim jest, że niejako oddał się w jego tak niepewne teraz ręce - były wystarczającym powodem, żeby pragnął zasnąć, zasnąć i nie myśleć o niczym, a przede wszystkim o tym, że Połczyno nie było miejscem tak bezpiecznym, jak

dotąd myślał.

Pedagogiczna, w jego wyobrażeniu, rozmowa z synem przerażała go, ale Tomaszek zapytał o co innego, odwrócił się do niego twarzą i patrząc na niego w mroku, zapytał:

- Dlaczego on wsadził głowę przez okno?

- Bo mu się tak zachciało.

- I wolno mu?

- Wolno. Jest wojna.

- Wojna jest wtedy, kiedy się biją.

- To jest także wojna. Wojna i... (po raz pierwszy miał użyć tego słowa, bo już wiedział, że wojna nie będzie trwała krótko) i okupacja. Wszędzie mogą wejść, do każdego naszego domu, nie możemy zamknąć przed nimi drzwi ani okien. Tylko do dusz i serc nie mają dostępu. I to jest tak, jakby nie mogli wejść nigdzie. Nigdzie.

IX

Tysiące, dziesiątki i setki tysięcy postaci, rojących się na brzegu w skłębionej panice, kompanie, pułki i dywizje bez broni i sprzętu, przyparta do morza, wycofująca się z kontynentu armia, podejmowana z nabrzeży, plaż i wprost z wody, przez którą, wołając o ratunek, brnęli, w którą rzucali się żołnierze...

Patrzył na to od pięciu dni, opuszczając tylko dla krótkich godzin snu swoje stanowisko bojowe na Błyskawicy. Po kampanii norweskiej wrócili do Harwich na przegląd mechanizmów, jeszcze nie oswoili się z uczuciem tamtej prze-granej, gdy zaczęła się Dunkierka.

We wrześniu, na Helu, wydawało się, że nie przeżyje się już nic gorszego, że jest to ostateczność grozy i rozpacz. A potem przeżywało się Narwik, gorycz i niesmak klęski, wobec której strach przed śmiercią właściwie nic nie znaczył, a teraz przeżywało się upokorzenie ustępowania przed wrogiem tak haniebne, tak nie przewidywane w najgorszych myślach, że zatracaly się wszelkie granice prawdopodobieństwa. Niemcy parli z zachodu i południa, zajęli już Calais, skąd nieprzerwanie przestrzeliwała Kanał ich artyleria, posuwali się wciąż naprzód, spychając, wtrącając, wgniatając w morze potężnym swoim uderzeniem angielski korpus ekspedycyjny, wojska francuskie i belgijskie. Płonęła Dunkierka pod bezustannymi nalotami, na morzu dymiły zapadające się w wodę okręty i załadowane wojskiem transportowce - nad Dover, w którym miały się schronić, błyskały ognie artylerii, odpędzającej kolejny nalot wroga.

W tym wszystkim, jeśli można było choć na chwilę zebrać myśli -jednej usiłowali do siebie nie dopuścić, a groziła im bardziej niż bomby z góry, niż torpedy pod wodą, niż ogień artylerii z Calais. Nie, tej jednej nie - tej nie mogli do siebie dopuścić! To miało być tylko jeszcze jedno odsunięcie nadziei. Tylko to - nie upadek, nie klęska - odsunięcie nadziei. I nie straciła swego blasku; może nawet przydawało go jej coraz bardziej piekące pragnienie odwetu. Boże drogi! - myślał Wołodia. - Uwierzyć w to, co mówiła, co powtarzała mu wciąż stara rybaczka na Helu, póki nie zginęła podczas bombardowania, póki nie stracił w niej jedyne oparcia, jakie w tamtych dniach miał.

Uwierzyć w te naiwne, w te z ziemi, z wiatru, z nieba i morza wzięte, ludową mądrością natchnione słowa! Będziesz ty do

nich strzelał jak do kaczek! Myślał o nich, gdy artylerzyści Błyskawicy zestrzelili w fiordzie Herjangs pierwszy niemiecki samolot. Myślał o nich, gdy zestrzelili drugi w fiordzie Skjel, i trzeci przed dwoma dniami w porcie Dunkierka... Po pierwszym zestrzeleniu, gdy otrzymali rozkaz przejścia do Harstadu w północnej części Lofotów, wizytował Błyskawicę admirał Cork and Orrery. W przemówieniu, jakie wygłosił, wyraził załodze swoje uznanie i gratulował odniesionego sukcesu. Kapitan Włodzimierz Jazowiecki, ściskając z należytym szacunkiem zimną dłoń admirała, myślał o suchych, lekkich, wyschniętych jak liście rękach starej kobiety, których współczujący dotyk w najcięższych chwilach czuł na czole. Czemuż się dziwił, nad czym się rozczulał ten zapewne oschły zawsze Anglik, co mu się wydawało takie nadzwyczajne i niezwykle? Hejkowa z Helu dawno to przewidziała! I była tego pewna chyba nawet w chwili śmierci - a może właśnie najbardziej wtedy była tego pewna...

Tłum żołnierzy spływał bezustannie z nabrzeży na pokłady dobijających do nich na krótki czas statków. Odcumowywały pośpiesznie, ustępując miejsca innym, i szły do wyjścia z portu, aby tam pod osłoną niszczycieli czekać na niebezpieczną przeprawę przez Kanał wśród bezustannych ataków u-bootów, niszczycieli i samolotów wroga. Były to nie tylko transportowe, ale i małe statki handlowe, kutry rybackie, jachty, barki i zwykłe łódki, którymi nawet angielscy cywile pośpieszyli na ratunek spychanej do morza armii. Tonęły od detonacji bomb, nie dosięgnięte nawet ich odłamkami, wchłaniane przez wzburzone morze jak garść kamyków rzuconych w wodę - czy zdoła się kiedyś ustalić, kto na nich zginął, kto z tych ratowanych i kto z ratujących, bezimiennych, nie odnotowanych w wojskowych rejestrach, tych, którzy zapewne ukryli przed bliskimi spontaniczne pragnienie spełnienia swej powinności...

Wołodia, nie odejmując lornety od oczu, miał ich wciąż w polu widzenia, gdy schodził spojrzeniem z szarzejącego już w mroku obszaru nieba w ruchliwą, zapchaną statkami przestrzeń portu. Desperacko manewrowali małymi swoimi jednostkami, na których pokładach mieściło się jednak niewiarygodnie dużo żołnierzy, usiłowali przepchać się z nimi między wysokimi burtami transportowców i okrętów, wywieźć ich stąd, zabrać, oddalić jak najprędzej od tego brzegu, ocalić od niewoli albo zagłady. Zupełnie bezbronni, zdani byli wyłącznie na osłonę okrętów; przepływając obok Błyskawicy w stronę wyjścia z portu, podnosili ku niej ręce w geście, który wyrażał i ufność, i nadzieję, a przede wszystkim to najsilniejsze z uczuć wzajemnej wspólnoty, wiążące ludzi w obliczu grożącej śmierci. Odpowiadali gestem tym samym, ratowali nieznanych, bezimiennych ludzi, i każdej chwili gotowi byli dla nich zginąć. Była w tym ta wielka idea braterstwa, jedyna prawdziwie męska sprawa, której nigdy nie zrozumieją kobiety, gdy wreszcie wezmą je w ramiona, ani dzieci, gdy po latach zdołają im to opowiedzieć...

Błyskawica także ruszyła się z miejsca i zwróciła swój dziób w stronę wyjścia z portu; wyprzedzający ją niszczyciel, angielski Greyhound, mijał właśnie jego główki, miał na pokładzie tysiąc żołnierzy. I na Błyskawicy było ciasno,

żołnierze angielskiego korpusu ekspedycyjnego z obłądnym strachem w oczach leżeli pokotem wszędzie tam, gdzie nie przeszkadzali w akcji bojowej. Zdawało się, że już nikt więcej się nie zmieści, a mimo to, gdy oddalający się okręt dosięgnęły błagające nawoływania z nabrzeża, dowódca dał do maszyn rozkaz stopu. Nie wiedział, gdzie pomieści tych ludzi, wiedział, że nie może ich zostawić. Wołodia uśmiechnął się do siebie, jakby widział przed sobą zdesperowaną twarz "Kamyczka", którego wszyscy na okręcie kochali, nie tylko za szczęśliwie zakończoną dla Błyskawicy kampanię norweską, nie tylko za to cudowne manewrowanie wśród bomb niemieckich, między którymi prowadził okręt jak taksówkę po Świętojańskiej w Gdyni, ale także i za te drobne, pozornie nierozsądne gesty w najtrudniejszych chwilach, w najbardziej ludzki sposób wspólne - każdy członek załogi miał uczucie, że postąpiłby tak samo jak dowódca.

Spuszczono łódzie i trap, po kilkunastu minutach pojawili się na pokładzie nowi pasażerowie - w przemoczonych mundurach, dygocący jak w gorączce, o twarzach ściągniętych zwierzęcym strachem. Marynarze upychali ich po jako tako wolnych jeszcze kątach, ale miejsca naprawdę było mało i już po chwili zameldował się u kapitana Jazowieckiego Grześ, obsługujący pierwsze działo na dziobie - ze skargą na przybyszów.

- Ruszyć się nie możemy, panie kapitanie, wszędzie leżą. Jak będziemy podawać pociski?

- Chyba rozumieją, że na to trzeba miejsca.

- Nie wiem, czy rozumieją, panie kapitanie. Bo to piechocińce i w dodatku żabojady.

- Kto?

- Francuzi. Cały oddział francuskiej piechoty. Ich dowódca wciąż krzyczy, że ma orderY spod Yerdun.

Greyhound zaczął już strzelać ogniem zaporowym, kapitan podniósł lornetkę do oczu i nie dosłyszawszy ostatnich słów, spytał w roztargnieniu:

- Że co ma...?

- OrderY spod Yerdun. Kiedy ich przeganiamy, wciąż to powtarza.

- Musicie ich tam jakoś ułożyć. Nie mogę teraz opuścić stanowiska.

Grześ wrócił do dział, a kapitana pochłonęło kierowanie ogniem. Armia niemiecka, pracując ku morzu zmotoryzowany-

- mi dywizjami, unikała wyraźnie walki na lądzie i prawie pozwalała Anglikom załadować się na statki, ale gdy już na nich byli, rozpoczynał się atak zmasowany i bezustanny, z lądu, morza i powietrza, jakby Niemcy chcieli pokazać Wielkiej Brytanii, przeciwko komu wysłała swoje mizerne ćwierć miliona przerażonych żołnierzy. Była to chyba równocześnie propozycja - propozycja z przestroga! - zawieszenia broni i zawarcia osobnego pokoju. Ta obawa, ten strach był dla Polaków gorszy niż bezustanne zagrożenie śmiercią. Wołodia Jazowiecki - jak wszyscy inni - od pięciu dni zadawał sobie pytanie, czy nie uczestniczy w ostatnim akcie wojny? I teraz nie opuszczała go ta myśl, gdy ataki Niemców nasilały się z każdą milą, w miarę jak posuwali się w poprzek Kanału, gdy raz po raz detonowały torpedy

i spadały bomby, gdy niemiecka nauczka, dana Anglikom stawała się coraz bardziej zajadła i wyraźna. Dopiero gdy na chwilę się uspokoiło, wróciły do niego, jak echo zatrzymane gdzieś pod czaszką, słowa Grzesia o protestach francuskiego oficera, przepędzanego w inne miejsce przez obsługę dział... Ordery spod Yerdun... Od razu przypomniał mu się Briffaut i cały kac psychiczny po wizycie w Paryżu... Zdarzyło mu się po raz pierwszy w życiu, żeby kobieta, którą przed chwilą trzymał w ramionach, powiedziała do niego, że nigdy nie odzyska dla siebie szacunku. Mówiły: "Co ty sobie o mnie pomyślisz? albo: "Nie będę mogła spojrzeć ci w oczy"... - ale tego, co powiedziała Anetka Briffaut, żona Marcela Briffaut, który także miał ordery spod Verdun, nie powiedziała żadna. Anetka Briffaut, żona Marcela Briffaut... Do diabła z nim! -pomyślał. Nie, nie chciał wracać do tych wspomnień. Był wtedy nie znającym swej przyszłości chłopakiem, który po rewolucji, bez grosza przy duszy, zjawił się z Kijowa nad brzegiem polskiego morza. A Marcel Briffaut budował tam port i nie powinien zostać ośmieszony w tej wsi, która wkrótce miała stać się wielkim miastem. Ludzie powinni tam pamiętać, że dokonało się to za jego przyczyną, a nie że jakiś przybłęda odebrał mu żonę. Więc wtedy mu ją zostawił. Ale teraz szansę się wyrównały, teraz obydwaj byli żołnierzami. Tylko że ona powiedziała, że ona powiedziała: nigdy już nie odzyskam dla siebie szacunku... Do diabła z nim! - zaklął jeszcze raz. Z nim, z nią, z tymi wszystkimi bzduurami, które są dla człowieka tak ważne, gdy wydaje mu się, że będzie żył wiecznie i że życie powinno ukazywać mu od czasu do czasu uśmiechniętą twarz, nie brudną, nie skrwawioną, nie wykrzywioną strachem - ale uśmiechniętą promiennie i ufnie, jak w sentymentalnym filmie, jak w powieściach dla młodych panien.

Od dziobu nadlatywał samotny junkers. Leciał wysoko, poza zasięgiem artylerii przeciwlotniczej, nie można było mu nic zrobić, nie zniżał się do ataku, najwidoczniej zadanie wyznaczono mu inne; mieli się o tym niebawem przekonać, jak w dziesiątkach podobnych wypadków, gdy samoloty wykrywały na morzu cel, w który później wstrzeliwały się naprowadzone nań okręty. Mogło to jeszcze potrwać, jeśli ten w górze wiedział, że dopiero za jakieś pół godziny zmienią kurs ze wschodniego, którym płynęli ze względu na ostrzał z Calais, na północny, a potem na zachodni - jeśli wiedział o tym i nie chciał alarmować morskich jednostek przed tą zmianą. Była to więc chwila spokoju, ale choć wszyscy na okręcie walili się z nóg, nikt z niej nie korzystał, nikt nie mógł opuścić swego stanowiska, dopóki ten wisiał w górze i niejasne były jego zamiary.

Wołodzia nauczył się zapadać na stojąco w krótki, kilka minut trwający, ale krzepiący sen. Nawet oczy miewał często otwarte, a spał i opuszczały go myśli, tylko nawyk czujności wyostrzał wtedy słuch, reagujący na każdą zmianę dźwięków, towarzyszących pracy i drodze okrętu. Gdy tylko zaczynało się dziać coś innego, budził się natychmiast, trzeźwy i przytomny, gotowy do precyzyjnego myślenia i szybkiego działania.

Tym razem jednak miał ochotę zakląć. Usłyszał pospiesz-

ne kroki na trapie, a kiedy się odwrócił, rozpoznał w mroku Grzesia.

- Panie kapitanie, ten oficer... nie możemy mu nic powiedzieć, bo on od razu, o tych medalach spod Verdun... Przy naszym dziale są chłopaki z Francji, wszystko rozumieją... zaczynają się śmiać, mówią, że ich to nic nie obchodzi, bo nie było ich wtedy na świecie... Więc gdyby pan kapitan do niego zszedł i przemówił, jak oficer do oficera...

- Rozkleił się facet. I nie można się temu dziwić. Dobrze, zaraz tam przyjdę.

W spokojniejszej chwili zszedł na dół. Istotnie, do pierwszego działu trudno było się przepchać. Oblegali je zewsząd żołnierze z jakiejś francuskiej jednostki, a ich oficer, półleżąc przy podnośniku pocisków, patrzył tępo w mrok przed sobą.

Miał czapkę mocno naciśniętą na czoło, jej daszek krył w cieniu całą jego twarz, a mimo to Wołodia poznał go od razu. To było absurdalne, niemożliwe, tragicznie śmieszne - ale to jednak był Briffaut, Marcel Briffaut, przecież Anetka mówiła, że udał się do oddziału, ulokowanego gdzieś pod Dunkierką...

Podszedł do niego, ale nie odezwał się od razu, patrzył

- Briffaut, choć podniósł ku niemu głowę, nie poznał go, prawdopodobnie nie myślał o nim w ciągu tych lat, stracił go z pamięci, więc i jego wygląd, jego twarz... On natomiast wciąż go widział: zwycięskiego męża Anetki, zabierającego ją z gdyńskiego dworca, pamiętał go wyraźnie i boleśnie przez cały czas, jakby rozstał się z nim wczoraj, jakby wczoraj mu ją oddał. A teraz obydwaj byli w położeniu, które tamtą sprawę zamieniło w niegodną mężczyzn błahostkę, stracili ojczyznę, nie umieli jej obronić, co jeszcze mogło się liczyć?

- Marcel! - powiedział cicho. - Panie kapitanie Briffaut!

Siedzący, prawie leżący na pokładzie mężczyzna drgnął

-.Pan mnie zna?

- Tak.

- Skąd?

- Z Gdyni.

- Kim pan jest?

- Nie pamięta pan? Włodzimierz Jazowiecki. Wołodia.

- Wołodia! - powtórzył tamten z radością. Zerwał się z pokładu, odzyskawszy nagle siły i energię. - Wołodia!

Padli sobie w ramiona i długo milczeli w tym uścisku.

- Co pan tu robi? - spytał Briffaut po długiej chwili.

- Jestem tu oficerem artylerii. Bo to polski statek.

- Nie zdołałem tego nawet spostrzec.

- Polski. Błyskawica. Jeden z trzech niszczycieli, które odesłaliśmy do Anglii przed samym wybuchem wojny.

- Miał pan szczęście.

- No... niezupełnie. Bo byłem wtedy na innym okręcie.

Na Gryfie, pozostawionym w kraju.

- Jak... jak się pan tu dostał...?

- To dłuższa sprawa. Potem to panu opowiem. Teraz będę musiał wrócić na swoje stanowisko. Ale przedtem chciałbym zaprowadzić pana do swojej kabiny. Niech pan odpocznie, dopóki... dopóki mamy jaki taki spokój. Briffaut znowu objął go ramieniem. Po drżeniu jego ciała

Wolodia poznał, że płacze.

- Taka klęska! Taka haniebna klęska!

- Niech się pan uspokoi. To dopiero początek wojny.

- Początek?

- Tak, początek! - powiedział Wołodia przez zaciśnięte zęby.

Tamten wciąż płakał, zawstydzony swoim niemęskim załamaniem. Wołodia położył obie ręce na jego barkach, przycisnął go do siebie, chciał, by poczuł, że go rozumie i że ten płacz jest rozłożony jakby na nich dwóch, bo i on tak płakał przed dziewięcioma miesiącami, i on nie mógł opanować drżenia warg, gdy przywaliło go upokorzenie bezsilności.

- Początek! - powiedział jeszcze raz. - Niech pan w to wierzy! Niech pan w to wierzy z całych sił.

Briffaut szedł za nim pokornie przez zapchane wojskiem korytarze, z trudem pokonywał schodki i trapy.

- Będzie się pan tu mógł położyć - powiedział Wołodia, otwierając przed nim drzwi swojej kabiny. - Niezbyt tu czysto, ale kto teraz myśli o sprzątaniu... - Poprawił pościel na łóżku, zmierzwioną krótkimi chwilami jego snu. - Mam przed sobą kilkanaście minut spokoju.

- Skąd pan wie? - spytał Briffaut, padając na posłanie.

- Wiem - uśmiechnął się słabo Wołodia. - Trochę się już wojowało. A oni lubią się powtarzać. Kiedy już raz wypracowali jakąś metodę i okazała się dobra...

Briffaut ścisnął oburącz głowę.

- Taka klęska, taka klęska... - zaczął znowu powtarzać. - Niewiarygodna! Haniebna!

Wołodia przysiadł na chwilę obok niego na koi.

- Niech pan o tym nie myśli - powiedział cicho. - To naprawdę dopiero początek. Wszyscy w to wierzymy. Wszyscy musimy w to wierzyć. Wielkie koła zaczynają kręcić się powoli, powoli nabierają rozpędu. Ale kiedy go już nabiorą, nic nie jest w stanie ich zatrzymać, rozgniotą i zmiażdżą wszystko, co będzie na drodze.

- Gdzie pan widzi te wielkie koła? - jęknął Briffaut.

- Na Boga, gdzie pan je widzi? Nasze okazały się całkiem malutkie w mechanizmie historii.

- A jednak są takie.

- No dobrze, Ameryka. I co dalej?

- Rosja - powiedział Wołodia po krótkiej chwili milczenia.

- Rosja? Rosja sowiecka?

- Nie ma innej.

- Hitler Rosji nie zaatakuję. Ma z nią pakt.

- Niemcy na ogół nie dotrzymywali żadnych paktów.

Czy sądzi pan, że akurat Hitler zmieni ten obyczaj?

- Chyba nie...

- Jest coś, co się dziedziczy narodowo...

- Ale po co wobec tego...?

- Chciał sobie zabezpieczyć tyły przed uderzeniem na zachód. A potem...

- Co potem?

- Nie będzie mógł zbyt długo prowadzić tej wojny tylko w Europie. Dostawy rudy ze Szwecji sobie zabezpieczył, ale potrzebna mu będzie jeszcze ropa. A ona jest na Kaukazie

i w Afryce.

- Ropa jest także w Rumunii.

- Nie zapomną o niej. Ale to za mało, jak na niemieckie potrzeby. Będą musieli rozwłóczyć swoje armie po obszarach, które trzeba będzie nie tylko zdobyć, ale i utrzymać. To o wiele trudniejsze od błyskawicznej, zwycięskiej ofensywy.

- Ale gdybyśmy uderzyli wcześniej... Dlaczego nie uderzyliśmy wcześniej...?

- Nie my na to odpowiemy i nie przed sobą. Możemy się tylko bić. Każdy na swoim stanowisku.

- Ale jak? Czym? - krzyknął Briffaut, zasłaniając rękoma oczy. - Straciliśmy... zostawiliśmy im całą broń, cały sprzęt! Nawet nie było czasu go zniszczyć. Żeby tak nic nie wiedzieć... nic nie wiedzieć! I pomyśleć, że mieliśmy wyższe szkoły wojenne. Że szkoliliśmy oficerów nawet waszych.

- Ja na swoje wykształcenie nie narzekam - uśmiechnął się z wysiłkiem Wołodia. - Przydaje mi się znakomicie.

- Był pan u nas? - zapytał zdumiony Briffaut. Odjął ręce od twarzy. Patrzył na kapitana z niedowierzaniem. Ten wciąż się uśmiechał, ale kąciki ust mu drżały.

- Byłem. W Ecole des Cannoniers.

- I nie odezwał się pan? Nie pokazał u nas ani razu?

- Och! - powiedział Wołodia. - Było tyle zajęć!

Głuchy odgłos bliskiej detonacji wstrząsnął powietrzem.

Jeden, drugi, trzeci - następnych nie można już było zliczyć.

Briffaut zerwał się z koi.

- Co to? To my...? My dostaliśmy...

- To torpedy z u-bootów. A my jeszcze nie dostaliśmy.

Gdyby... gdyby to nastąpiło... - Wołodia był już przy progu

- i gdyby... drzwi... rozumie pan... mogą od wstrząsu ulec zablokowaniu... tu na dole jest miejsce, w które trzeba kopnąć... i będzie mógł się pan wtedy wydostać...

- Nie zostanę tu! Idę z panem!

- Ja wracam na swoje stanowisko. A podczas walki tutaj jest jednak bezpieczniej. Przynajmniej nie grożą odłamki. Zostawił Briffauta w kabinie, a sam w mgnieniu oka był na górze. Na razie w akcji były tylko u-booty. Właśnie jedna z ich torped ciężko uszkodziła Greyhounda; trzymał się na wodzie, ale widać było, że już nie popłynie mocą własnych maszyn. Po chwili Błyskawica brała go na hol.

Wszyscy się domyślali, że "Kamyczek" otrzymał taki rozkaz, choć stanowiło to dla Błyskawicy wielkie niebezpieczeństwo. Czy mógł się nie zgodzić? Pewnie mógł - ale też pewnie sam chciał ratować tych ludzi i zrobiłby to bez rozkazu.

Wlekli się więc z Greyhoundem na holu, z jego potężnym, bezwładnym ciężarem, z jego załogą i tym tysiącem żołnierzy, których miał uratować, a których ratowała teraz Błyskawica. Wlekli się powolnie i nieruchliwie, atakowani prawie bez przerwy ze wszystkich stron i ostrzeliwujący się na wszystkie strony, a ludzie z tamtego okrętu - czuli to na Błyskawicy, czuli to przez cały czas - ludzie z tamtego okrętu wpierali w ich plecy ufne, ale i ponaglające spojrzenia.

Prawdziwe piekło zaczęło się jednak właśnie w Dover, ku któremu z taką nadzieją dążyli. Okręty i statki, którym

udało się przejść przez Kanał, były już w porcie, gdy około północy rozpoczął się nalot niemieckich bombowców. Od-
pierała go broń przeciwlotnicza wszystkich okrętów, a także
cała obrona przeciwlotnicza portu - szkody były wielkie,
w sprzęcie i ludziach, zawyły klaksony karetek, odwożących
do szpitali rannych, zabitych chowano w morzu...

Błyskawica i tym razem wyszła cało ze wszystkich opresji.

Ale choć wreszcie się uciszyło i choć można było mieć
odrobinę pewności, że atak się nie powtórzy, choć malało
powoli alarmowe napięcie i realna stawała się możliwość
krótkiego choćby odpoczynku - nikt nie ruszał się ze swego
stanowiska.

Przez drogą chwilę trwali tak nieruchomi i milczący,
przeżywając niewyraźną niczym ulgę: jeszcze nie dziś,
jeszcze nie teraz... Chciało im się paść na kolana i całować
pokład tego szczęśliwego okrętu, który i tym razem ich nie
zawiodł, tak samo jak oni nie zawiedli jego... - ale oduczyli
się już tych gestów zewnętrznych, potrafili w ściszym
skupieniu przyjmować wszystko, także i radość.

Dopiero kiedy francuscy żołnierze ruszyli się z pokładu,
Wołodia przypomniał sobie o Briffaucie. Pobiegnął do niego
i zastał go w swojej kabinie stojącego przy bulaju, choć
w zaciemnionym porcie nie było nic widać.

- Koniec? - zapytał go drżącym głosem.

- Koniec. Przynajmniej; na jakiś czas. Pana jednostka
opuszcza okręt.

- Nie wie pan... nie wie pan, dokąd... nas teraz...

- Nie wiem.

- Bo chciałbym jakoś... pragnąłbym utrzymać kontakt
z panem...

- Nie wiem, czy to będzie możliwe.

- Musi być możliwe. Przecież nie zginiemy w tym
wszystkim... nie pogubimy się jak ziarnka piasku...

- Niech pan^oowiada się o okręt, to będzie najłatwiej-
sze. Polski niszczyciel Błyskawica, H-34, zapamięta pan?

- Zapamiętam. Dziękuję. Bo przecież chciałbym zoba-
czyć się... porozmawiać... Pierwsze chwile będą tu dla mnie...
bardzo trudne. Anetka została w Paryżu... Tak płakała, tak
płakała, kiedy odprowadzała mnie na dworzec...

- Ach - szepnął Wołodia - nie trzeba... nie powinien
pan o tym myśleć... nie powinniśmy...

- Pan go zna, panie kapitanie? - spytał Grześ, gdy
szczupła postać Briffauta oddaliła się i znikła w mroku.

- Znam.

- Jeszcze z Francji? Jak pan był w tej szkole?

- Znam go z Gdyni. Budował nasz port. I - Wołodia
odwrócił twarz, bo bał się, że chłopaka mimo mroku zadziwi
jej wyraz - wiele, bardzo wiele to wtedy dla mnie znaczyło.

X

- Wiśka! - zdumiała się Julitka. Niosła na tacy trzy
kufle piwa z wysokimi czubami białej piany, zmierzała z nimi
ku stolikowi pod oknem, przy którym w kłębach dymu
z cygar i papierosów siedziała grupa żandarmów, zobaczyw-
szy jednak w drzwiach tak niezwykłego gościa, zatrzymała
się przy progu. - To naprawdę ty?

- Ja. Myślałam, że cię już nie znajdę.

- Szukałaś mnie?

- Tak.

- Stało się coś w domu? Mama cię przysłała czy babcia...? Dlaczego mama sama nie przyjechała, tylko prosiła ciebie...? - dopytywała się Julitka gorączkowo.

- Uspokój się - szepnęła Wisia. - Nie byłam wcale u ciebie w domu. To nie ma nic wspólnego... r

- Julie! - krzyknął któryś z żandarmów pod oknem.

- Poczekaj - szepnęła Julitka do Wisi - zaraz wrócę.

Ruszyła z tacą ku niecierpliwym klientom, postawiła przed nimi kufle. Mówili coś do niej, usiłując żartować, ale im nie odpowiedziała. Wróciła do Wisi i chwyciła ją za ramię. - Tu nie możemy rozmawiać po polsku, chodź do kuchni. Nie - zawahała się - w kuchni ciotka...

- Muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego - szepnęła Wisia.

- Wyjdź na dwór i czekaj za rogiem. Położę tacę na bufecie i czmychnę ciotce tylnymi drzwiami.

- W ogóle nie możesz wychodzić?

- Nie wiem, bo nigdy nie próbowałam. - Julitka wzruszyła ramionami. - Po co tu wychodzić? Wokoło sami Niemcy, tak jak i tutaj. Czasem ciotka posyła mnie po coś, ale rzadko.

- Czekam za rogiem.

- Tak, zaraz przyjdę do ciebie.

- Fraulein! - zawołał ktoś od stolika.

- Moment! - odpowiedziała, nie odwracając głowy w tę stronę. Podeszła do kontuaru, положиła na nim tacę. Na szczęście dyżurujący tu zwykle onkel-opa Plischke gdzieś się wyniósł, być może poszedł do Broma Berga na Fischmarkt, gdzie rozlewała piwo piersiasta i biodrzasta Anna, zawsze mówił, że nie lubi pić piwa w swoim lokalu, albo pracuję, albo piję, mówił i tante-oma rozumiała, że każdy chłop musi mieć chwilę dla siebie. Nie było go więc za kontuarem, ale przez kuchnię nie dało się tak łatwo przemknąć - właśnie parówki dla jakiegoś gościa, który dysponował fleischmarkami, dostatecznie się podgrzały i Truda Plischke wyciągała je ostrożnie z wrzącej wody.

- Biegnij i podaj, póki gorące! - zawołała.

- Teraz nie mogę! - jęknęła Julitka. Wyskoczyła na korytarz, otworzyła i zamknęła z hałasem drzwi od ubikacji. Dopiero potem na palcach wybiegła na ulicę.

Wisia czekała na nią za rogiem, schroniły się we wnętrzu najbliższej bramy, żeby nikt ich nie widział. I nie słyszał - to było najważniejsze. Przyjrzały się sobie, dziwnie onieśmiałe.

- Wyrosłaś!

- Ty też.

- To głupie, że tak teraz rośniemy.

- Bardzo głupie.

- Powiedz wreszcie, po co przysłaś?

Wisia chwyciła Julitkę za szyję, przybliżyła usta do jej twarzy.

- Dziś wieczorem jest zbiórka.

- Zbiórka? - powtórzyła Julitka z niedowierzaniem.

- Jaka zbiórka?

- Jaka! Harcerska. Musimy być obie w pewnym domu

aa Żeromskiego.

- Skąd... skąd się dowiedziałaś...? I kto kazał ci przyjść...
tobie i mnie... kto kazał ci mnie zawiadomić...?

- Jagoda była dzisiaj u mnie rano. Pamiętasz Jagodę
Szczerkównę?

- Z pierwszej licealnej? Pamiętam.

- Jagoda przyszła do mnie. I powiedziała, że się dziś
zbieramy.

Julitka zamyśliła się.

- Może panna Halszka przyjechała. Nie pytałaś?

- Nie. Jagoda od razu zastrzegła się, że nie należy zbyt
wiele pytać.

- Powiedziałaś jej, że tu pracuję?

- Powiedziałam.

- I... co ona na to?

- Że świetnie. Że to może się przydać.

- Co?

- To, że tu pracujesz. W Gdańsku i tutaj.

- Świetnie? Ale jak ja się stąd wydostanę? Choćby
dzisiaj?

- Ciotka cię nie puści?

- Co jej powiem?

- Wymyśl coś!

- Ba! Ale co?

- Że.. przepraszam, ale to by było najlepsze, że mama
chora.

- Na co?

- Czy musisz od razu mówić na co? Nie musimy wiedzieć
na co, bo to chyba ja będę musiała powiedzieć. Że mnie
przysłali, bo twoja mama chora.

- Ciotka sama pojedzie. Albo zatelefonuje.

- Ma tu telefon?

- Nie ma. Ale chodzi do sąsiadów. Do pracowni bursz-
tyniarskiej przy Griines Thor. Przyjaźni się z tą Herta
Benbeneck.

- To Polacy?

- Akurat! Mieliby sklep i w dodatku w takim punkcie!

- Ale nazywają się tak po polsku?

- To nie ma znaczenia. Więc choroba mamy odpada

- zamyśliła się Julitka.

- To powinno być coś, czego by twoja ciotka nie mogła
sprawdzić przez telefon.

- Ona wszystko może sprawdzić przez telefon. Każde
kłamstwo.

- Ale chyba jest coś, o czym oni boją się mówić przez
telefon...

Julitka popatrzyła na przyjaciółkę z podziwem.

- Wiśka, jesteś genialna!

,- Możesz coś takiego wymyślić?

- Oczywiście. Przyjdiesz i powiesz, że... są wiadomości
od mego ojca i że dziś wieczorem będę prawdopodobnie
mogła się z nim zobaczyć.

- Nie boisz się? - spytała ostrożnie Wisia. - Oni chyba
nie wiedzą...

- Nie znają szczegółów, ale wiedzą, że ojciec żyje. Co ty
myślisz, przecież to jednak rodzona ciotka mojej mamy.

A poza tym... - zastanowiła się - przecież to tylko

kłamstwo.

- No więc co mam powiedzieć?

- Właśnie to: że jest wiadomość od ojca. I że będę go mogła wieczorem zobaczyć.

- Dobrze - szepnęła Wisia.

Julitka patrzyła na nią w milczeniu.

- Nie bałaś się tu przyjechać? Pracujesz gdzieś? Masz zaświadczenie?

- Nie.

-Mama cię puściła?

- Mama nic nie wie. Wzięłam wszystkie nasze kartki i powiedziałam, że spróbuję dostać na nie marmolady w niemieckim sklepie. Bo w zeszłym tygodniu Tomaszowi się udało. Jeździł aż do Sopot.

- Nasz Tomaszek? - spytała Julitka z niedowierzaniem.

Wisia się roześmiała i Julitka jakby dopiero teraz doznała uczucia, że na pewno zna tę wysoką, bladą pod pozostałą z lata opalenizną dziewczynę o gładko uczesanych włosach, które rozdzielał na środku głowy równy i wyraźny przedział, jak promień światła, opadły na ich czerń.

- Nie znam innego Tomaszka. Przywiózł ponad kilo truskawkowej marmolady! Nawet całe truskawki były w środku, więc to była prawie konfitura, a nie marmolada. Wszystkim się tym chwalił, wobec tego powiedziałam, że i ja spróbuję. Zresztą... - Wisia potrząsnęła głową - moja mama to już nie ta co dawniej. Rozgląda się za jakąś pracą, bo wyprzedać się ze wszystkiego nie można i nie można także być na utrzymaniu Weroniki i panny Marynki.

- Obydwie pracują?

- Tylko Weronika, w kuchni kasyna oficerskiego.

A panna Marynka handluje. Potem ci to wszystko opowiem, w pociągu. A teraz idź, szkoda czasu. Zjawię się tam zaraz, jakby nigdy nic.

- W pociągu nie będziemy mogły rozmawiać. Nie wiesz o tym?

- Wiem - potwierdziła Wisia cicho.

- I to... już rok?

- Cały rok.

- Oni tu świętowali tę rocznicę, aż czerwono było w oczach od flag.

- W Gdyni też. Nie wychodziłyśmy tego dnia na ulicę.

Tylko Weronika do kasyna, bo musiała. Opowiadała, że się wszyscy popili.

- U nas także. Siedzieli do rana. Wrzeszczeli i śpiewali.

Czasem myślę, że od tego ogłuchnę. Nie potrafia mówić cicho. Czy myślisz... czy nie przychodzi ci jednak na myśl, że to nie ma zbyt wielkiego sensu...?

- Co?

- Wiesz dobrze co. My, pokonani, bez broni, w ogóle bez niczego, i taka potęga. Pokonali Francję i śpiewają już "Englandsied", wybierają się przeskoczyć Kanał.

- Jagoda też o tym mówiła.

- Że... to nie ma zbyt wielkiego sensu? - spytała z rozczarowaniem Julitka. Sama była tego zdania, ale nie chciała, żeby je ktoś podzielał. - Po co wobec tego...

- Mówiła, że to ma sens. Że wszystko ma sens.
Każdy najmniejszy akt niezgody. Że nie możemy tylko
schylać karków i przyjmować wszystkiego, na co nas
skazują.

Julitka objęła Wisię i stały tak w milczeniu, oddychając
głęboko. Wiatr pędził pierwsze liście, opadłe z rachi-
tycznych drzewek, rosnących w kamiennych uliczkach
Gdańska.

- Dziękuję ci.

- Za co?

- Że przyszłaś. Że mnie zawiadomiłaś.

- To po prostu był mój obowiązek - powiedziała Wisia
cicho i skromnie; w jej ustach wszystkie, największe nawet
słowa brzmiały całkiem zwyczajnie.

- Dziękuję ci - powtórzyła Julitka. - A teraz idę
i zaczynam, jakby nigdy nic, roznosić piwo. Wejdiesz, ja się
zdziwię i zaprowadzę cię do ciotki. Do niej możesz mówić po
polsku, ale w piwiarni nie odzywaj się za głośno, boby jednak
była wściekła. Tylko się nie sypnij, jak zaczniesz kłamać.

- Coś ty? - obraziła się Wisia.

Kiedy Julitka wróciła przez kuchnię do piwiarni, uprzed-
nio trzasnąwszy z całej siły drzwiami od ubikacji, Wisia
odczekała długą chwilę i weszła do lokalu państwa Plischke.
Najpierw rozejrzała się po zadymionej salce, jakby była tu
po raz pierwszy, a potem od razu ruszyła ku Julitce, która
właśnie przy bufecie ustawiała kufle na tacy. Przywitały się,
hamując porozumiewawcze uśmiechy.

- Julie, mein Liebchen! - wołał jakiś podochocony
cywil w kapeluszu na głowie.

Frau Plischke ukazała w okienku, łączącym salę z kuch-
nią, swoje groźne oblicze.

- Was ist denn los? - zapytała śmiałka.

- Trude, mein Liebchen! - nie speszył się piwosz.

- Komm, mein Susses, mein Herzchen, mein Schatzchen,
mein...

Stara kobieta cofnęła się do środka, ale dostrzegła jednak
Julitkę, rozmawiającą z obcą dziewczyną.

- Gości przyjmujesz?

- Chodź do kuchni! - Julitka popchnęła przed sobą
Wisię. - Dobrze się składa, tu nie można by poroz-
mawiać spokojnie. Tante-oma! - zwróciła się do Plisch-
kowej. - To jest moja koleżanka z Gdyni. Przyjechała
specjalnie po mnie.

- Po ciebie? - Plischkowa podnosiła właśnie gorącą
pokrywę od garnka, w którym grzały się parówki, i upuściła
ją z hałasem. - Jak to... po ciebie?

Wisia postąpiła krok naprzód. Cichutko chrząknęła,
Julitka spoglądała na nią w napięciu.

- Właśnie... przysłała mnie pani Grabieniowa... pani
Grabieniowa mnie przysłała, żeby przywieźć Julitkę do
domu na dzisiejszy wieczór.

- Co się stało? Ktoś zachorował? -

- Nie. Tylko... dziś wieczorem... Julitka będzie mogła
zobaczyć się z ojcem.

- Wrócił? - z niedowierzaniem, ale i przerażeniem
spytała Plischkowa.

- To znaczy... nie całkiem... - plątała się Wisia, a ostry

wzrok Julitki peszył ją coraz bardziej - ale dziś... dziś wieczór...

- Ciociu! - Julitka rzuciła się Plischkowej na szyję, zapominając, że nigdy dotąd nie była tak serdeczna. - Mogę zobaczyć tatusia! Po roku przeszło mogę zobaczyć tatusia!

- Ależ to jest szaleństwo! - szeptała Truda Plischke.

- Prawdziwe szaleństwo! I ktoś musi w nim mieć głowę, kiedy inni ją stracili. Co one sobie wyobrażają, Łucka i ta jej matka? Że to nie wojna, tylko gra w klasy? Wrócił! Skąd wrócił...?

- Tego nie wiem, proszę pani - szepnęła Wisia bardzo grzecznie.

- Może ty wiesz? - Plischkowa zwróciła się do Julitki.

- Ja także nie wiem.

- Bo... może uciekł skądś... może... a jeśli nawet się gdzieś ukrywa...

- Chcę zobaczyć tatusia! Chcę zobaczyć tatusia! - szepotała Julitka, wciąż wisząc na szyi ciotecznej "babki, co w końcu musiało wzruszyć starą kobietę.

- Boże święty! - westchnęła, ale nie było to westchnienie pobożne. Kryło się w nim wiele pretensji do Pana Boga o to, że stworzywszy tyle ludzkich sytuacji, nie stworzył równocześnie także i wyjścia z nich. - Boże święty! Mężczyznom zachciewa się wojowania i nie myślą o tym, co czują ich kobiety i dzieci.

- Chcę zobaczyć tatusia! - powtarzała Julitka, naprawdę bliska łez.

- No... dobrze. Jedź, ale bądź ostrożna. I powiedz mamie, żeby była ostrożna. Jedyne dziecko! Jedyne dziecko Augustyna! Że też musiał spotkać ją taki los! Niech przyjdzie. Może znajdzie się jakaś rada... skoro ojciec się odnalazł...

- Powiem mamie - przyrzekła Julitka.

- A w pociągu ani na dworcu nie rozmawiajcie po polsku.

- Wiem, proszę cioci.

- Poczekaj, zdejm fartuszek i masz tu cztery parówki dla mamy i Tomaszka. Nie mogę dać więcej, boby się tu poznali, że porcje za małe. No... masz tu piątą dla babki.

- Dziękuję, proszę cioci, naprawdę nie trzeba.

- Co ty wiesz? Oni na pewno wszystkiego upragną. Nie rozwijaj przypadkiem tego w pociągu!

- Nie rozwinę.

- I uważajcie na siebie! Żadnych rozmów z chłopakami!

- Z jakimi chłopakami? - spytała Julitka powoli i bardzo cicho, zapominając o całej przymilności wobec babki, pod wpływem której stara kobieta odzyskiwała dawno zapomnianą łagodność. - Z jakimi chłopakami?

- Jacyś się tam zawsze znajdują. A Leo Benbeneck nie" zagląda tu co dnia?

- Czort z nim! - powiedziała całkiem niedziewczęco Julitka.

Plischkowa zrozumiała to na swój sposób. Roześmiała się pogodnie.

- Poczekaj jeszcze trochę, zobaczysz, będą ci się-e fałopcy

podobać.

- Nigdy! - szepnęła Julitka. - Nigdy!

Na dworzec szły w milczeniu. Nie odzywały się do siebie nie tylko dlatego, że po niemiecku nie chciały, a po polsku lepiej było nie rozmawiać - czuły potrzebę milczenia, obydwie nim coś święciły, choć Wisia domyślała się zaledwie, że dla Julitki jest to także jej własny smutek.

Bez żadnych przeszkód kupiły w kasie bilety i miały się już udać na peron, gdy uwagę Julitki zwróciła trzyosobowa pikieta Hitlerjugend tuż przy schodach. Wyraźnie przewodził jej chłopak najwyższy i chyba w tym gronie najstarszy - pozostali dwóch dość niepewnie czuło się w swojej roli, on się nią w swoiście szczeniacki sposób rozkoszował. Trzymał dłoń na sztylciku, zawieszonym u pasa, a rozstawienie opalonych nóg, widocznych do połowy uda spod krótkich spodenek HJ, przypominało teatralną pozę wszystkich faszystowskich straży. Dostrzegł od razu Julitkę, twarz mu się w wyraźny sposób ożywiła, ale w uśmiechu, który zdołał natychmiast opanować, była nie tylko radość ze spotkania. Nie wiedział, w jaki sposób ją powitać, więc w ogóle zrezygnował z tego.

Julitka powoli odwróciła od niego wzrok.

- To jest właśnie Leo Benbeneck - powiedziała do Wisi.

- Ten, co się uśmiecha?

- Tak.

- Co tu robi?

- Chyba ma służbę. Czatuje, żeby złapać kogoś na mówieniu po polsku albo na przewożeniu żywności ze wsi.

- Wie, że nie jesteś Niemką?

- Może raczej się domyśla. Herta Benbenckowa, jego matka, na pewno dowiedziała się od ciotki, że jestem jej krewną, ale chyba nie zna szczegółów.

Dlaczego nie idziemy na peron?

Wolałabym, aby nie wiedział, że jadę do Gdyni.

Co w tym złego?

2@9

- Nie wiem, ale wolałabym, żeby nie wiedział.

Wmieszały się w tłum i wraz z wieloma osobami przeszły przez punkt kontroli biletów.

- Nie widział nas - szepnęła Wisia. Obejrzała się nieznacznie. - Leon Benbeneck stał wciąż w tej samej pozie, zwrócony twarzą ku głównemu wejściu.

Ale kiedy wsiadały już do pociągu, zobaczyły go tuż obok siebie. Musiał biec, bo był zdyszany i nie mógł tego ukryć. Zatrzymał się najpierw na korytarzu i dopiero po chwili wszedł za nimi do przedziału.

- Jest jeszcze miejsce? - zapytał, zwracając się wyłącznie do Julitki.

- Przecież widzisz - odburknęła. W przedziale prócz nich nie było nikogo.

- Nie jesteś zbyt uprzejma.

- Ciotka zabroniła mi zadawać się z chłopakami.

- O! - uśmiechnął się i usiadł naprzeciwko Julitki.

- Nawet ze mną?

- A nie jesteś chłopcem?

Speszył się, powinien się być już przyzwyczaić, że wszystkie rozmowy z Julitką kończyły się w ten sposób, ale najwidoczniej wciąż miał jakąś nadzieję. Był bardzo rośły, jak na swoje osiemnaście lat, twarz miała jednak rysy jeszcze dziecinne, jeśli nie patrzył tak, jak nauczył się już patrzeć, przez zmrużone powieki, wnikliwie i badawczo.

- Jestem - powiedział. - Jestem.

- No więc widzisz, z tobą także nie mogę się zadawać.

- A jeśli porozmawiam z panią Plischke, żeby wyłączyła mnie z tego zakazu?

- Sądzisz, że zechce z tobą rozmawiać na ten temat?

- W każdym razie spróbuję.

Julitką przez cały czas patrzyła w okno, teraz jednak na chwilę odwróciła głowę i spojrzała na natręta.

- Wybór znajomych zależy także ode mnie.

Wisia zaczynała się bać. Podziwiała Julitkę, ale równocześnie była na nią wściekła, że się w ogóle odzywa do wyrostka z Hitlerj agend. Ta rozmowa nie wróżyła nic dobrego, nawet jeśli chłopak nie miał pewności, że rozmawia z Polkami. Uważając je za Niemki, mógłby na przykład mieć nadzieję, że uda mu się namówić je do wstąpienia do BDM - dziewczyna należąca do Bund Deutscher Madel była zapewne jego ideałem. Na szczęście jednak zamilkł i Wisia zaczynała się powoli uspokajać, dopóki nie spostrzegła, że on przygląda się teraz jej, że odwróciwszy wzrok od Julitki, na nią skierował swoje ostre, ciekawe, badawcze spojrzenie. Tak jak Julitką, odwróciła się ku oknu, ale do samej Gdyni czuła to spojrzenie wciąż na plecach. Po raz pierwszy pomyślała, że odziedziczona po matce południowa uroda może być niebezpieczeństwem.

Na dworcu w Gdyni Julitką usiłowała zgubić w tłumie natrętnego towarzysza podróży. Już nawet były pewne, że to się udało, gdy nagle - wciąż się oglądając - zobaczyły go na 10 Lutego, podążającego za nimi w odległości kilku kroków.

- A jednak się nie odczepił - syknęła Julitką. - Ale ja go zaraz odczepię, odczepię ten ogon, co się wlecze za nami...

- Może wejdziemy gdzieś, do jakiejś bramy?-zapropo-
nowała Wisia.

! - Będzie stał na ulicy i spóźnimy się na zbiórkę.

- A co możemy zrobić innego?

- Zobaczysz. Tylko trzymaj się mnie i wszędzie wchodź zaraz za mną. On nie zna tak Gdyni jak ja. Muszę go gdzieś zgubić.

Skręciły bardzo szybkim krokiem w Świętojańską - Wisia obejrzała się, on skręcił także - przeszły na drugą stronę jezdni i szły, nie oglądając się już, aż do domu, na którym widniały jakieś niemieckie szyldy. "Haupttreuhandstelle Ost" - zdołała Wisia przeczytać na jednym z nich.

- Wchodzimy! - szepnęła Julitką.

- Tutaj?

- Mówię ci, chodź za mną i o nic nie pytaj.

Wbiegły do sieni, ale Julitką ominęła schody i udała się w głąb, ku przeciwnym drzwiom, wiodącym na podwórze.

Nie było tu ogrodzenia między posesjami, graniczącymi z tyłami ulicy Bema - bez trudu wydostały się więc na tę ulicę, znów wpadły w bramę najbliższej kamienicy, z niej na

podwórze, a stamtąd na stok Kamiennej Góry, porosły gęstymi krzewami. Schroniły się w ich cieniu i znalazłszy miejsce, z którego między gałęziami mogły obserwować ulicę, opadły na darń i roześmiały się szczęśliwe.

- Będzie tam z głupią gębą sterczał do wieczora! - parsknęła Julitka.

- A potem pójdzie do "Haupttreuhandstelle Ost" i dowie się, że nie było tam takich dwóch interesantek.

- Coś ty! Biuro dawno zamknięte.

Zaśmiewały się tak przez długą chwilę, aż Wisia nagle westchnęła:

- Właściwie stąd już całkiem niedaleko do mnie do domu.

- Do mnie też - posmutniała Julitka. - Ale nie mogę

wstąpić.

- Ty nie. Ale ja... nie, ja także nie mogę. Bo mama zapytałaby od razu, gdzie marmolada. Z tego można by się jakoś wyłgać, najgorsze, że na pewno nie pozwoliłaby już mi nigdzie wyjść. Widzisz, podczas wojny człowiek nie może być dobrym dzieckiem.

Julitka wstała, wyciągnęła do Wisi rękę.

- I tak jesteśmy spóźnione, mój ty człowieku.

Kiedy dotarły na ulicę Żeromskiego, w skromnym mieszkaniu, wyznaczonym na miejsce pierwszej zbiórki, było już kilka dziewcząt i kilkunastu chłopców. Jagoda Szczerkówna, która stała przy oknie i obserwowała ulicę, spojrzała z naganą na Wisię.

- O której miałyście się meldować?

Odpowiedziała Julitka:

- Jakiś szczeniak z Hitlerjugend czołgał się za nami od dworca w Gdańsku. Musiałyśmy go zgubić.

Wysoki, szczupły mężczyzna, siedzący przy małym stoliku, który przedtem służył zapewne do gry w karty, uśmiechnął się nieznacznie.

- Co robił?

- Czołgał się. No... laźł za nami. - Julitka zarumieniła się, ale nie dała się zbić z tropu. - Miałyśmy go wciąż na piętach. A teraz pewnie stoi ze zdziwionym pyskiem przed "Haupttreuhandstelle" na Świętojańskiej, bo wpadłyśmy tam w bramę.

- Taka ostrożność się wam chwali. - Mężczyzna spoważniał, w oczach jednak tlił mu się wciąż uśmiech. - I tak jeszcze nie ma wszystkich.

- Nie ma wszystkich? Więc nie spóźniłyśmy się tak bardzo? - spytała Wisia.

- Owszem, spóźniłyście się - odpowiedziała cierpko Jagoda. - Tylko schodzimy się, żeby nie zwracać uwagi, nie jednocześnie. Czekamy jeszcze na Majkę Piotrowską. Ma przyjść za dziesięć minut. Gdybyście się z nią spotkały przed domem... trzy osoby to już prawie zbiegowisko...

- Ale nie miały innego wyboru - łagodnie przerwał Jagodzie mężczyzna. - Najważniejsza jest ostrożność. Która z was pracuje w piwiarni w Gdańsku?

- Ja - odezwała się Julitka.

- Dobrze, że mamy chwilę czasu. Chciałbym z tobą porozmawiać. Znasz niemiecki?

- Znam.
- Biegle?
Julitka zawahała się - ciotka Plischkowa miała wciąż do niej pretensje, że ma zły akcent i za mały zasób słów.
- W każdym razie wszystko rozumiem.
- To najistotniejsze. Bo piwiarnię odwiedzają chyba sami Niemcy?
- Oczywiście.
- W mundurach?
- W mundurach także. Mamy dobre piwo - powiedziała z mimowolną dumą. - Nie tylko z gdańskiego browaru, ale także...
- Poczekaj, to nie najważniejsze. Rozmawiają chyba nie tylko o piwie?
,, - Och, nie, o wszystkim rozmawiają...
- O czym na przykład?
- No... - Julitka jednak się zająknęła - o dziewczynach... o żonach, jak który żonaty, o dzieciach... o wojnie.
. - O wojnie też? Nie zauważyłaś, żeby milkli, gdy się do nich zbliżasz?
- Nie.
- Nie wiedzą, że jesteś Polką?
- Nie. Ciotka chyba nikomu o tym nie powiedziała.
- Jesteś pewna? Dlaczego nie powiedziała?
- Pewnie uważa, że... nie ma się czym chwalić.
- Od dziś będziesz się pilnie przysłuchiwać wszystkim rozmowom, które mogą mieć dla nas jakieś znaczenie. O wojnie, o planowanych akcjach na terenie Gdańska i Gdyni, o aresztowaniach, wysiedleniach, sama musisz się orientować, co jest ważne.
- Rozumiem.
- Tylko żadnych notatek. Ani słowa na papierze. Masz dobrą pamięć?
- Bardzo dobrą. Nauczyłam się wszystkich wierszy Jerzyka Powsiałowicza, cały stukartkowy brulion.
- Znałaś Jerzyka Powsiałowicza? - spytał mężczyzna po długiej chwili milczenia.
- Tak - odpowiedziała Julitka cicho.
- Wiesz że... nie żyje...?
- Tak. Byłam przy jego śmierci,
- Gdzie... gdzie to się stało?
- W szpitalu w Babich Dołach. A ranny został podczas nocnej bitwy o Suchy Dwór. Zgłosił się na ochotnika i został wcielony do drugiego batalionu rezerwy.
- Uczyłem go - powiedział mężczyzna znów po bardzo długim milczeniu. - Uczyłem go...
- Ja... - Julitka pochyliła głowę i zagryzła zaschnięte wargi - gdyby były jakieś wątpliwości, czy można mi ufać... bo już takie kiedyś powstały, że-ta ciotka w Gdańsku i że tak dobrze mówię po niemiecku, a teraz jeszcze moja mama pracuje w Oberschlesisches Steinkohlen Syndikat... więc gdyby ktoś jeszcze miał te wątpliwości, to... sama pamięć o Jerzyku, tylko ta moja pamięć o jego śmierci - powinna je rozprościć. Ja mam naprawdę bardzo dobrą pamięć, panie profesorze.
- Tak - powiedział mężczyzna, który był nauczycielem Jerzyka Powsiałowicza - wszyscy musimy mieć bardzo

dobrą pamięć.

W pokoju trwała niczym nie zamacona cisza, a Julitka pomyślała, że przynajmniej w takich chwilach dusze zmarłych powinny wracać z tej odległej krainy, w którą tak dobrze byłoby uwierzyć, nie dla wiekuistego w niej szczęścia, ale dla tych powrotów, pocieszających w długim rozstaniu... Wydało jej się, że przesunęło się obok niej ledwie wyczuwalne tchnienie, jakby czyjś oddech ogrzał jej policzek, jakby dotyk lekkiej dłoni owionął włosy, zatrzymał się na chwilę u czoła...

- A wracając do twoich stosunków rodzinnych - podjął znów rozmowę profesor - to praca matki w instytucji niemieckiej nie powinna cię zawstydzać. Wszyscy teraz pracujemy w niemieckich instytucjach. Innych nie ma. A matka pracowała chyba w syndykacie węglowym jeszcze przed wojną?

- Tak. Została w tym biurze.

- A więc i od matki możesz uzyskiwać pewne informacje.

- Ale ja nie jestem w domu. Jestem w Gdańsku.

- Nie przyjeżdżasz wcale do domu?

- Raz na dwa tygodnie.

- Może w czasie tych odwiedzin uda ci się zebrać jakieś wiadomości.

- Postaram się.

- A ty... - profesor zwrócił się do Wisi.

- Moja mama nie pracuje. Ma zamiar zacząć, tylko jeszcze nie wie gdzie...

- Wiem, że nie pracuje, ale część waszej willi zajął podobno jakiś oficer Kriegsmarine. "

- Tak. Dowódca okrętu podwodnego.

- Wiesz o nim coś bliższego?

- Nie. Bo... bo mama wcale nie pozwala z nim rozmawiać.

- Rozumiem. Ale jednak powinniśmy z nimi rozmawiać, skoro chcemy się o nich i od nich czegoś dowiedzieć.

- Mamę trudno będzie o tym przekonać. Ojciec jest za granicą, jesteśmy same i mama uważa za konieczny dystans...

- Słusznie, niemniej jednak taki dowódca okrętu podwodnego mógłby być źródłem pewnych informacji...

Wisia potrzęsnęła głową, wszyscy przysłuchiwali się tej rozmowie. Peszyło ją to i pragnęła jak najprędzej ją zakończyć.

- Trudno będzie mamę przekonać, zwłaszcza że... nie mogę jej o tym powiedzieć.

- Postaraj się sama czegoś od niego dowiedzieć.

- Wiem tylko, że jest zięciem jakiegoś admirała.

- Nie wiesz którego?

- Nie.

- Jak często wraca z morza?

- Rzadko. Co kilka tygodni.

- Opowiada coś wtedy?

- Przecież prawie z nim nie rozmawiamy. Gdybym mogła powiedzieć mamie...

- Nie, nie możesz. Jeśli zgodzicie się współdziałać w naszej organizacji, będzie obowiązywać was ścisła tajemnica.

Nawet przed rodzicami,

- Nawet przed rodzicami - powtórzyła Wisia. Żal i smutek ścisnął ją za gardło. Przypomniały jej się oczy matki, gdy żegnała się z nią przed każdym wyjściem, przed każdym najkrótszym choćby rozstaniem.

- Tylko zachowanie w tajemnicy naszej działalności może uchronić nas przed niebezpieczeństwem. Nie odważyłbym się narażać was na nie.

Nadeszła Majka Piotrowska i po krótkiej rozmowie z nią profesor zwrócił się do wszystkich zebranych w pokoju:

- Najpierw musimy uczcić minutą milczenia pamięć dwunastu naszych kolegów, rozstrzelanych przez Niemców dwudziestego szóstego października i jedenastego listopada ubiegłego roku na Obłuzu. Część ich pamięci!

Wstali i znowu cisza zawładnęła pokojem, wyłączonym na krótkie jej trwanie z wszelkich odgłosów czynszowego domu, z gwaru ulicy - a Julitka jeszcze raz doznała uczucia, jakby ktoś przeszedł obok niej, poruszając sobą powietrze, i na chwilę się przy niej zatrzymał...

- Pamiętamy, oczywiście, nie tylko o rozstrzelanych harcerzach - zaczął profesor, gdy usiedli - pamiętamy o poległych we wrześniu, o zamordowanych w Piaśnicy, o zakatowanych na śmierć w Stutthofie i na Kamiennej Górze, pamiętamy o nich wszystkich i pamięć ta jest siłą, która każde nam przezwyciężyć strach i podjąć walkę nierówną i pozbawioną na razie nadziei zwycięstwa. Ale ten, kto nie walczy, nie może zwyciężyć. Jestem przekonany, że po początkowych klęskach alianci przystąpią wreszcie do ofensywy. Kiedy to nastąpi, wszelkie dane, które zdołamy im przekazać z naszego terenu, będą miały ogromne znaczenie, dla nich i dla naszego miasta. Dlatego trzeba zbierać wiadomości, na razie tylko to, później przemyślimy i opracujemy inne formy walki. Teraz musicie mieć tylko oczy i uszy otwarte. W porcie gdyńskim Niemcy zgromadzili potężny potencjał wojenny, przemienili go na bazę operacyjną okrętów podwodnych i miejsce postoju kłazowników. W siódmym basenie w stoczni dokonywane są naprawy jednostek uszkodzonych w bitwach morskich, a nawet ma być rozpoczęta budowa okrętów podwodnych. Magazyny przebudowano i zamieniono na arsenały torped i innej broni, na warsztaty artyleryjskie, w Babich Dołach wybudowano torpedownię. Z magazynów żywnościowych Yerpfligungsamtu zaopatrywane są okręty, które często tylko w tym celu wchodzi do gdyńskiego portu. Przy jednym z nabrzeży stoi pancernik Schleswig-Holstein, przemieniony na koszary dla centrum wyszkolenia Kriegsmarine. To tylko port, a i w mieście jest wiele miejsc, którym powinniśmy się przyjrzeć z bliska. Wszędzie pracują wasi ojcowie, matki, bracia i siostry. Wszędzie możemy mieć wgląd, jeśli go mieć zechcemy. Z magazynów Yerpfligungsamtu żywność powinna iść nie tylko na niemieckie okręty podwodne i kłazowniki, powinniśmy przechwycić coś z tego bogatego zaopatrzenia dla jeńców francuskich, których obóz znajduje się przy stoczni, i jeńców angielskich w Redłowie. To najniebezpieczniejsza sprawa i dlatego musimy omówić ją dokładnie...

.

Zebranie przeciągnęło się do popołudnia. Po ustaleniu
217-

łącznie Julitka i Wisia pierwsze opuściły mieszkanie przy
Żeromskiego. Julitka miała jeszcze przed sobą podróż do
Gdańska.

Ale na ulicy przyszedł Wisi do głowy wspaniały pomysł.

- Musisz mi przyrzec, że się zgodzisz.

- Na co?

- Musisz mi przyrzec!

- Ale nie wiem, o co chodzi. Może nie będę mogła...

- Będziesz! Będziesz! Przyrzekasz?

- Oj, ty jednak jesteś strasznie głupia, Wiśka - powie-
działa Julitka z wyrozumiałością. - Przyrzekam.

- Zobaczysz, że nie taka strasznie głupia, jak się do-
wiesz, o co chodzi. Przenocujesz u nas, a do Gdańska
pojedziesz dopiero jutro rano.

- A co powiem ciotce?

- Powiesz, że zatrzymali cię w domu.

- Zatrzymali! Przecież w ogóle muszę się przyznać, że
z tym widzeniem tatusia to była nieprawda. Kiedy ciotka
zobaczy się z mamą, od razu ją o to zapyta...

- Złóż wszystko na mnie - szepnęła Wisia.

- Na ciebie?

- Tak. Powiedz, że ci zrobiłam głupi kawał, że to
wszystko zmyślane i że prosił mnie o to pewien chłopiec,
który chciał cię zobaczyć. No co? Dobrze to wymyśliłam?

- Nieźle.

- Obgadamy wszystko w domu. Może mama pozwoli
nam spać razem w pokoju Niemca?

- On nie zamyka drzwi na klucz?

- Nie. Prawie nigdy nie zostawia żadnych rzeczy.

- Na okręcie podwodnym nie ma ich wiele. Słuchaj

- Julitka przystanęła - nie mogę spać u ciebie.

- Dlaczego? - nadała się Wisia. - Przyrzekłaś!

- Przyrzekłam, ale obydwie o czymś zapomniałyśmy.

Przecież trzeba będzie powiedzieć twojej mamie, dlaczego
nie nocuję w domu. Nie zapyta o to?

Wisia zamyśliła się ponuro.

- Może ciebie przez grzeczność nie zapyta. Ale mnie na
pewno.

- No widzisz.

- To bardzo trudne...

szepnęła Wisia.

- Co?

- Ta konspiracja...

- Bardzo trudne - potwierdziła w zamyśleniu Julitka.

Stały pod murem jakiegoś domu, zamilkły na długo. Miały
obydwie po piętnaście lat, ale żadna nie myślała o tym.

- No to mnie przynajmniej odprowadź, masz trochę
czasu, nie będziesz siedzieć na dworcu - Wisia uczepiła się
ramienia Julitki i pociągnęła ją za sobą.

Drzewa i krzewy na zboczach Kamiennej Góry rudziały
już od jesieni.

- I znowu czekamy na wiosnę - powiedziała Julitka, ale
nie było w tych słowach ani cienia nadziei.

Przed chwilą wyobrażały sobie, że będą rozmawiać całą
noc, a teraz okazało się, że nie ma o czym. Boleśnie odległy

wydał się cel, dla którego zebrano dziś ich grupę, boleśnie odległy i zamglony wszelkimi przeciwnościami, a najgorszą z nich mógł okazać się brak wiary we własne siły...

- A jednak będziemy czekać tak, jak się czeka na coś, co musi nadejść. - Julitka objęła Wisię za szyję, na chwilę ukryła twarz w jej włosach. Zachciało jej się nagle płakać, ale postanowiła odłożyć to na długie godziny nocy w pokoiku za kuchnią u ciotki Plischkowej, gdzie nikt nie mógł usłyszeć jej płaczu. - Przepraszam cię, Wiśka, rozkleiłam się, a nie powinnyśmy się tak rozstawać.

- Ja także przez cały czas nie zachowuję się jak żołnierz.

- Jak kto?

- Jak żołnierz - powtórzyła Wisia. - Bo przecież mamy walczyć. Ale kiedy pomyślę o mamie...

- A tego właśnie nie wolno. Bo gdyby każdy żołnierz... wyobraź sobie to tylko. Nikt na świecie nie chciałby walczyć nawet o najbardziej słuszną sprawę.

Dochodziły już do domu Tereszków stromą ulicą od placu Grunwaldzkiego, gdy z przeciwnej strony, od ulicy Mickiewicza, wypadł wojskowy samochód i zatrzymał się przed bramą. Kierowca w mundurze Kriegsmarine wyskoczył z wozu, otworzył tylne drzwiczki i zasalutował.

- Nasz Niemiec przyjechał! - szepnęła Wisia.

Zatrzymały się opodal i patrzyły, jak biegnie ścieżką pod górę, jak nie pozwoliwszy kierowcy, żeby mu pomógł, sam dźwiga swój marynarski worek, wcale nim nie obciążony, jak niecierpliwie szuka klucza w kieszeni i otwiera nim drzwi.

- Młody jeszcze - powiedziała Julitka.

- Nie za bardzo - wzruszyła ramionami Wisia.

- Jakby nie był młody, to by tak nie biegł pod górę. To chyba dobrze, że ulokował się w waszym domu, może was nie wysiedla.

Wisia spuściła głowę, skubnęła rękaw kurtki.

- Ale mama mówi, że pewnie i tak będziemy musiały się stąd wynieść.

- Dlaczego?

- Nie wiem dlaczego - powiedziała Wisia z rozpaczą, której nie dało się już ukryć. - Naprawdę nie wiem dlaczego.

Samochód sprzed domu odjechał, one stały jeszcze przez chwilę, a potem pożegnały się, nie wiedząc, kiedy zobaczą się znowu, i Wisia powoli zaczęła wstępować ścieżką pod górę. Obejrzała się, podniosła rękę - Julitka odpowiedziała jej takim samym niemy gestem, który właściwie niczego nie wyrażał.

Na dworcu było pustawo, jak zwykle o tej porze; gdańscy urzędnicy, pracujący teraz w Gdyni, odjechali wcześniejszymi pociągami, tylko kilku spóźnionych celników i młodzieńców z centrum wyszkolenia Kriegsmarine kręciło się po peronie, z którego miał odejść pociąg do Gdańska. Na ławce przy kiosku z gazetami siedział Leo Benbeneck. Wstał, gdy zobaczył Julitkę, ale ona odwróciła się i odeszła w przeciwną stronę kraniec peronu. Grupa chłopaków w granatowych mundurach powlokła się za nią. Dogadywali:

- Taka dziewczyna i sama? To prawie grzech!

- Jedziemy potańczyć do Gdańska?

- To niemożliwe, żebyś nie lubiła marynarzy. Wszystkie

dziewczeta nas lubia. Na całym świecie.

- Korzystaj, póki czas. Pójdziemy w morze i nie każdy

z nas wróci.

Nie odzywała się, ale te zaczepki wprawiły ją w dobry humor. Zabezpieczały ją przed towarzystwem chłopaka w mundurze Hitlerjugend, a to już znaczyło wiele. Gdy peron się skończył i trzeba było zawrócić, uśmiechnęła się do marynarzy, a oni, zachęceni tym, nie opuszczali jej aż do odejścia pociągu, a potem wpakowali się za nią do pr odzia- ni i zatarasowali przejście na korytarzu.

- Kochany Boże! -jęknął ten, który usiadł naprzeciw- ko niej. - Co za oczy!

- Dziewczyno! - dodał drugi. - Będiesz mi się śniła przez całą noc!

- Już nie żałuję, że mnie powołali do marynarki, chociaż od dziecka nie cierpiełem wody! - odezwał się trzeci.

- U nas w Passau nie ma takich dziewcząt.

Uśmiechała się wciąż - do żadnego z nich, przed siebie

- ale nie odezwała się ani słowem i wytrwałaby w tym postanowieniu do Gdańska, gdyby nie zdarzyło się coś, czego się nie spodziewała: Leo Benbeneck przepchał się przez tłum marynarzy na korytarzu i stanął w drzwiach przedziału. Początkowo tylko stał i patrzył, ale gdy chłopcy nie zaprzestawali zaczepek, chrząknął i zapiał jak kogut najwyższą nutą oburzenia i pretensji:

- Odczepcie się! Ona jest ze mną.

Młodzi marynarze, a niektórzy z nich mieli już odznaki pierwszych stopni na rękawach i naramiennikach, zaniemó- wili - ale nie na długo.

- Jesteś z nim? - spytał Julitkę ten, który siedział naprzeciwko niej.

Wzruszyła ramionami.

- Wcale nie. Łazi za mną.

- Łazi za tobą?

- W Gdańsku łazi i pojechał nawet za mną do Gdyni.

Łazi i nie chce się odczepić.

Chłopcy zawyli. Przy drzwiach zakotłowało się, zakłębiło, zapłatało - płowy mundur Hitlerjugend pojawiał się jasną plamą w coraz to innych miejscach granatowego zagęszcze- nia. Pociąg stanął właśnie w Orłowie, a kiedy znowu ruszył, marynarze pojawili się w drzwiach przedziału, manifestacyj- nie otrzepując ręce. Za szybą mignęła Julitce rozczzerwienio- na żalem, oburzeniem i wściekłością - a może nie tylko żalem, oburzeniem i wściekłością - twarz Leo Benbenecka.

- Zapraszam was wszystkich na piwo - powiedziała do chłopców. - Mamy piwiarnię przy Griines Thor. Tante- -oma się ucieszy! Tante-oma się ucieszy, że przyprowadziłam jej tylu klientów - dodała gwoili jasności sytuacji, ponieważ była z rodziny Konków, a Konkowie nigdy nie tracili trzeźwości.

- Willy Strohmayer - przedstawił się, powstawszy

z ławki i stuknąwszy obcasami, ten z naprzeciwka.

- Julie Mariarosa Plischke - szepnęła Julitka z dziew- częcym rumieńcem.

Przedstawiali się teraz po kolei, stukając obcasami i prę- żąc ręce wzdłuż boków, a ona uśmiechając się - znów tylko

do siebie -myślała, co by powiedziała Wiśka Tereszkówna, gdyby mogła widzieć ją w tej chwili. Czy postanowiłaby przynajmniej dowiedzieć się od swego Niemca, jak nazywa się teść admirał - skoro ona miała już furtkę otwartą do samego centrum wyszkolenia Kriegsmarine...

- Tante-oma bardzo się ucieszy - powtórzyła. - Na-prawdę! A u nas piwo jest najlepsze! I ja je wam podam. Bo mam nadzieję, że ile razy będziecie w Gdańsku na przepust-ce, odwiedzicie naszą gospodę.

XI

Było to miejsce tak bardzo wyłączone z wojny, że wszystko, co się tu działo, wydawało się raczej złudzeniem niż rzeczywistością. Trybuny wzdłuż wyścigowego toru wypełniała publiczność wytworna i beztroska, panie miały na głowach wiosenne kapelusze, a kolorowa, ruchliwa jaskrawość sukien i kostiumów przywodziła na myśl rozkwitłą, poruszaną lekkim wiatrem łąkę; panowie w mundurach i w jasnych ubraniach, szytych zapewne u najlepszych gdańskich krawców, zdradzali już wyraźne podniecenie zbliżającą się gonitwą, raz po raz podnosili do oczu lornetki, skierowując ich szkła ku miejscu, w którym stały konie. Od pobliskiego morza ciągnął rześki powiew, ale słońce przypiekało już ostro i na sopockiej plaży w osłonie koszy, ochraniających przed wiatrem, opalali się już zapewne pierwsi letnicy z Królewca i Berlina.

- Marija Józef! - szeptał Bruna. Drżał jak w febrze, rozdygotanymi rękami poprawiał wciąż coś na sobie - czerwona czapkę, w której wyglądał śmiesznie i żałośnie zarazem, jasne bryczesy, krótki fraczek.

Krzysztof nieznacznie uderzył go w plecy.

- Uspokój się! - szepnął groźnie. - Na ostatnich treningach byłeś już zupełnie dobry. Nie powiedział ci tego Laubnitz?

- Powiedział.

- A poza tym "Meteor" nie ma tu konkurencji. Wacholz zawsze to mówił, a on zna się na koniach...

- Nie widział "Ajaksa".

- Może i widział. Przed wojną... - Już się tak mówiło, już się w ten sposób określało czas, Krzysztof jednak na chwilę zamilkł, przyłapawszy się na mimowolnym użyciu tych dwóch słów, ale powtórzył je, jakby stanowiły jedno z ćwiczeń odnajdywania się w warunkach, które nieprędko miały się zmienić. - Przed wojną tutejsze wyścigi były międzynarodowe. Brały w nich udział i konie z Poznańskiego. "Ajaks" może też. Więc Wacholz mógł go widzieć na torze...

- Oni bardzo są go pewni.

- Kto?

- Ci, co przyjechali z "Ajaksem". I dżokej... Dżokej jest prawdziwy...

- Co to za gadanie: prawdziwy?

- Bo ja nie jestem prawdziwy - szepnął Bruna. - I oni to widzą. Wciąż mi się zdaje, że się ze mnie podśmiewają.

- Uspokój się! - Krzysztof jeszcze raz uderzył Brunę w plecy. Rozmawiali po polsku, bardzo cicho, samym końcem warg, w przeciwieństwie do Niemców, którzy hałaśliwie rozprawiali o zaletach i wadach koni, o ich

szansach w tych wyścigach. Szczególnie głośny był dżokej "Ajaksa". "Willy" mówił do niego otyły właściciel stajni i Willy rechotał po każdym jego słowie, widocznie pan dziedzic lubił uchodzić za dowcipnego, a obowiązkiem pracowników stajni było utrzymywać go w tym przekonaniu. Willy jednak nie zawsze rechotał, nie zawsze szczerzył żółte i wystające nieco zęby, miewał chwile nagłych i krótkich zamilknień, odwracał wtedy małą swoją twarzyczkę w ich stronę, przyglądał się najpierw "Meteorowi", potem Brunie, pionowa zmarszczka pojawiała się między jego żółtymi brwiami. Co oznaczała? zastanawiał się Krzysztof, ale po raz pierwszy w życiu miał do czynienia z dżokejami i nie mógł sobie wyobrazić, co myślą, zanim zaczną się gonitwa.

Przed wojną - znowu powróciło to określenie, pod którym kryło się tyle bolesnych znaczeń: przed klęską, przed niewolą, przed przegranymi bitwami - przed wojną był tu dwa albo trzy razy z Wołodią, siedział jednak wtedy na trybunach i nie widział z bliska ludzi, pod którymi biegały obstawiane w kasach konie. Widział tylko ich sylwetki, przyklejone do końskich grzbietów, trudno było wprost uwierzyć, że po skończonej gonitwie człowiek i koń będą egzystować osobno. Twarz Wiliego, dżokeja "Ajaksa", była pierwszym szczegółem tej całości, oglądanym teraz w zbliżeniu, którego nie mógł przeczuć wtedy, kiedy siedział na trybunach z Wołodią w białym mundurze, przyciągającym lornetki wszystkich pań. Gdyby mu wtedy powiedział, że będzie kiedyś tu stał, trzymając konia przy pysku, że będzie zastanawiał się nad tym, co oznacza zmarszczka między brwiami niemieckiego dżokeja...

- On jest podobny do konia - szepnął Bruna.

- Kto?

- Ten Willy. Widocznie tak długo przebywa z końmi, że stał się do nich podobny. Zupełnie tak samo szczerzy zęby... Krzysztof ledwie powstrzymał rozbawienie. Istotnie mała żółtawa twarzyczka dżokeja miała w kształcie i wyrazie coś końskiego, dopiero teraz to sobie uzmysłowił i niespodziewanie wpadło go to w lepszy humor. Wyjazd do Sopot wydał mu się niezwykłym urozmaicheniem pośród monotonii podobnych do siebie dni w stajni Laubnitza i w domu Dyszków, a Połczyno - znowu, bo miewał jednak chwile, gdy myślał inaczej - najlepszym miejscem na przetrzymanie złego czasu. Wspominał spokój długich godzin przy oprzataniu koni i słoneczną ciszę na wybiegu, którą od czasu do czasu przerywał tylko podniesiony głos Laubnitza, gdy "Meteor" - z Bruna na grzbiecie - uderzał kopytami w poprzeczki przeszkód. To naprawdę nie była najgorsza wieś dla kogoś takiego jak on, kto musiał się ukrywać, kto bardzo pragnął żyć i doczekać czasu, w którym mógłby się na coś przydać. Tak, to nie była najgorsza wieś... I ludzie w niej byli tacy, jakich chce się spotkać w biedzie...

- Wacholz - powiedział Bruna.

- Wacholz? - spytał z niedowierzaniem wytracony ze swoich myśli. - Gdzie?

- Tam. Na trybunach. Wita się z Laubnitzem. Nie widzisz?

- Widzę- powiedział cicho.

Były rotmistrz, a obecnie hauptmann, a może już oberstleutnant, rzeczywiście tam stał, okazały i piękny - widziało się to nawet z tej odległości i nawet na tej ruchliwej łące, na której tłem dla kwiecistych sukien była zieleń mundurów. Laubnitz nie spodziewał się go na wyścigach, nie sądził, żeby mógł dostać urlop akurat na tę okazję, co nie martwiło go chyba zbyt - nie zwierzał się z tego służbie, ale i Krzysztof, i Bruna byli tego prawie pewni. Teraz witał go bez uniesień i powściągliwie zapraszał, żeby zajął miejsce obok niego.

- A jednak dostał urlop - szepnął Bruna. Drżały mu wargi. Willy, dżokej "Ajaksa", znowu się z czegoś śmiał, szczerząc żółte zęby, Niemcy wokół rozmawiali hałaśliwie, usiłując ukryć podniecenie, które coraz wyraźniej ich ogarniało. Od trybun, jak brzęk pszczoł, nadpływał gwar wielu głosów... Polska samotność w tym morzu niemczyzny mogła być tylko strachem, niczym więcej. - Wolałbym, żeby go nie dostał.

- Ja też - powiedział Krzysztof.

Ale nie myślał o tym samym, co Bruna, który bał się, że spojrzenie Wacholza odbierze mu resztki opanowania i odwagi. Myślał, że hauptmann, czy też już oberstleutnant, po wyścigach uda się niechybnie do majątku żony i, być może, odwiedzi także Połczyno. A w Połczynie usychał "stary Alojz". W Połczynie usychał "stary Alojz" i nikt, ani gemeindekommissar, ani żandarmi z Pucka nie wiedzieli dlaczego. Ale były rotmistrz Wacholz miał chyba inną ostrość spojrzenia niż dwóch osiłeków w blaszankach na głowie i pastor, któremu niespodziewanie otworzyła się kariera w hitlerowskiej administracji - kariera zagrożona teraz przez jedno nieopatrzne porównanie, na jakie sobie pozwolił w przemówieniu. Gemeindekommissar omijał teraz "starego Alojza" z daleka, a kiedy musiał obok niego przechodzić, nie podnosił głowy ku pokrytym niedorozwiniętymi pączkami gałęziom. Wyglądały jak krosty na dorodnym jeszcze i okazałym ciele drzewa, które jednak skażone już było nieuleczalną jakąś chorobą. Tylko wieczorami lub podczas jasnych księżycowych nocy gemeindekommissar zatrzymywał się przy dębim nad stawem i - oglądając się, czy nikt tego nie widzi, a widzieli mieszkańcy wszystkich okolicznych domów - przyciągał ku sobie najniższe gałęzie i przyglądał się im z bliska. Już jesienią liście opadły z nich przedwcześnie, a ludzie we wsi mówili coraz częściej o przemówieniu, jakie gemeindekommissar wygłosił po kapitulacji Francji, biorąc "starego Alojza" na świadka zwycięstwa i wiekowego panowania Niemców w Europie, wiekowego panowania Niemców na pomorskiej ziemi. Mówili o przemówieniu i dziwnej chorobie drzewa, które marło w ich oczach. Wiosna nie przyniosła poprawy. Gemeindekommissar także wiódł, jakby to on sam był chory, jakby to jemu najbliższe tygodnie miały przynieść tragiczne rozstrzygnięcie. Gdy zdawało mu się, że nikt tego nie widzi, brał w ręce chore pączki, rozgniatał je w palcach, podnosił do nosa, wachał... Co się stało z tym drzewem? - zdawał się pytać.

- Z tym drzewem tak pięknym, tak zdrowym? Jaka siła

skazała je na zagładę i czemu miało to służyć? Były pastor, nawykły do pokornego poddawania się siłom wyższym, zapadał chyba w coraz głębszą ciemność swoich trwoźnych domysłów.

A dziadek Cygier, dziadek Bronk się śmiał. Jasne, że nie do wszystkich, a tylko do swoich. Mrużył siwe oczka i parskał śmieszkami cichym, triumfującym i szczęśliwym. Krzysztofowi dreszcze przebiegały po krzyżu, gdy uświadamiał sobie, że we wsi było już o dziesięciu Niemców więcej, choć nikt nowy do niej nie przybył - a teraz mógł się w niej zjawić Wacholz, którego niemiecki wywiad trzymał w Polsce nie tylko dla jego zdolności hipicznych...

- Myśl tylko o tym, że musisz wygrać - powiedział do Bruny. - Wtedy Wacholz będzie w dobrym humorze, przypomną mu się czasy, kiedy sam jeździł na "Meteorze" i zawsze był pierwszy.

- A jeśli nic wygram? - spytał struchlały Bruna.

- No to będzie wściekły. Lepiej by było... dla nas wszystkich lepiej by było, żeby zjawił się w Połczynie z gratulacjami niż... - urwał, cisza wśród Niemców wydała mu się podejrzana. Tak, przysłuchiwali się rozmowie i niechybnie musiały dojść do ich uszu polskie słowa.

Dżokej Willy z wyrazem zaniepokojenia niedowierzania na twarzy zwrócił się do Bruny:

- Od dawna jeździsz?

Bruna nie odpowiedział, choć znał na tyle niemiecki, żeby zrozumieć to pytanie. Drżał mu podbródek, dygotały zęby.

- Pytam, od jak dawna jeździsz? - powtórzył z naciśnięciem Willy. Zaczynał się rozjaśniać triumfującym uśmiechem sprawdzającego się domysłu.

- Od pięciu lat - odpowiedział za Brunę Krzysztof.

- Od pięciu lat?

- Od pięciu.

- A dlaczego on sam nie odpowiada? Nie rozumie po niemiecku?

- Z jakiego powodu miałyby nie rozumieć po niemiecku?

- odpowiedział pytaniem na pytanie Krzysztof.

- No, jakieś powody mogą być.

- Jest tylko jeden. Trema.

- Na "Meteorze" nie powinno się mieć tremy. Jeśli, oczywiście, na bardzo dobrym koniu jedzie bardzo dobry dżokej.

- Nawet najlepsi miewają tremę - powiedział Krzysztof.

Willy uśmiechnął się krzywo. Był naprawdę podobny do konia. Wysuwał do przodu górną wargę jak "Meteor", gdy był z czegoś niezadowolony, gdy nie zaczynał jeszcze wierzyć, ale już było widać, że ma na to ochotę. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale - na szczęście - nie było już na to czasu.

Rozpoczęła się parada koni. Publiczność na trybunach wyraźnie wyróżniła oklaskami "Metora", co Brunę podniosło nieco na duchu. Krzysztof zobaczył, że chłopak prostuje się i śmielej spogląda po trybunach. Laubnitz, nie mogąc opanować podniecenia, powiewał ku niemu zerwaną

z głowy wypłowiwała swoją furażerką z pierwszej wojny światowej, nawet Wacholz - jak przez sekundę wydawało się Krzysztofowi - nie powstrzymał się od jakichś żywiołowych gestów. Wszystko to musiało oddziaływać na Brunę uspokajająco, chłopak pięknie prowadził konia, siedział w siodle pewnie i zgrabnie - Krzysztofa, gdy na niego patrzył, zaczynały powoli opuszczać ponure myśli sprzed chwili.

I rzeczywiście, zaraz po rozpoczęciu biegu "Meteor" wysunął się na czoło i prowadził wśród potęgującego się szmeru na trybunach, lekki i strzelisty, nad pierwszą przeszkodą rozpięty jak łuk, a potem znów wyciągnięty w płaskim biegu, który zdawał się nie być dla niego żadnym wysiłkiem, żadnym przymusem ze strony dżokeja, przyklejonego płasko do jego karku.

Szmer na trybunach wzrastał się coraz bardziej, "Meteor" prowadził już o cztery długości, Laubnitz podniósł się ze swego miejsca i choć żona usiłowała go powstrzymać, wychylony do przodu obserwował przez lornetkę triumfalny bieg konia. Wacholz wyrwał mu ją po chwili i odtąd odbierali ją sobie bezustannie wśród zniecierpliwienia widzów, którzy siedzieli poza nimi.

Ale po drugiej stronie toru z grupy koni, która pozostawała w tyle za "Meteorem", wysunął się "Ajaks", wyrwał się naprzód i nie tylko nie oddał już żadnemu innemu koniowi prowadzenia, ale zaczął coraz bardziej zmniejszać odległość, dzielącą go od "Meteora". Szum na trybunach zmienił się we wrzawę, gdy "Ajaks" zaczął dochodzić faworyta wyścigów, gdy miał go przed sobą już tylko o trzy długości, o dwie, o jedną - gdy w końcu się z nim zrównał i odtąd obydwa konie łeb w łeb ciągnęły ku mecie.

Wacholz nie oddał już lornetki Laubnitzowi, choć go ten szarpał za ramię; wyprężony - jakby to on sam brał udział w wyścigu - śledził bieg koni, walkę, która się dopiero między nimi zaczynała. Następną przeszkodę wzięły razem, zbliżały się do ostatniej, a na trybunach wrzawa wciąż rosła i zamieniła się w krzyk, który zaraz ucięła cisza, ostra i nagła: obydwa konie równocześnie zdjęły się do wzięcia przeszkody. "Ajaks", który wysunął się nieco naprzód, dotknął zadem boku "Meteora" i "Meteor" uderzył przednią nogą w poprzeczkę, usiadł na nią, Bruna przeleciał nad jego głową, a Willy na "Ajaksie" przechodził właśnie przez linię finiszu.

Były to ułamki sekundy, Krzysztofowi - gdy na to patrzył - każdy szczegół zapadł jednak w pamięć tak dokładnie, jakby przypatrywał mu się od dłuższego czasu w pełni świadomości rodzącego się właśnie niebezpieczeństwa. Na torze zaroilo się od ludzi, wszyscy otoczyli konia, znalazł się od razu weterynarz, któremu Laubnitz i Wacholz z niepokojem zaglądali w oczy. Leżącym opodał przeszkody Bruną nikt się nie zainteresował. Na szczęście podniósł się sam i potykając, zbliżył się również do konia. Trafił na zły moment, właśnie weterynarz stwierdził u "Meteora" złamanie nogi. Laubnitz pochylił się nad koniem, przyłożył na strzaskaną, wystającą spod rozerwanej skóry kość, swoją wypłowiwała furażerkę. Wacholz stał wyprostowany i nieruchomy. Tylko ci, którzy docisnęli się najbliżej, widzieli,

że płakał. Nie podniósł ręki, żeby zetrzeć łzy, toczące mu się po twarzy, nie wstydził się ich, nie sądził, że mundur mu na nie nie pozwala. Niemcy szcycili się zawsze miłością do zwierząt, uwielbiali psy i konie, płacz po ich stracie nie uwłaczał niemieckiemu mężczyźnie. Ale Wacholz zobaczył nagle, że oprócz niego płakał ktoś jeszcze - że płakał mały Polak, którego ten zidiociały pułkownik Laubnitz odważył się posadzić na grzbiecie "Meteora", choć powinien był pamiętać, kto przedtem na nim jeździł. Płakał ten przeklęty mały Polak i czymże były teraz jego łzy, skoro zmarnował tak wspaniałego konia, raz na zawsze go zmarnował... Wacholz rozsunął ludzi, którzy dzielili go od dżokeja, zbliżył się do niego i wymierzył mu dwa siarczyste policzki.

- Za co? - zawył Bruna, zasłaniając się rękami. - Przecież ten na "Ajaksie" naumyślnie zderzył się z "Meteorem". Na pewno zrobił to naumyślnie.... na pewno... już przedtem... przed wyścigiem...

Krzysztof przepchał się przez tłum, stanął między Bruną a Wacholzem.

- Widziałem to dokładnie - powiedział. - Przez cały czas nie zdejmowałem oczu z konia. Dżokej "Ajaksa"..-

- Ja także widziałem to dokładnie - przerwał mu Wacholz, patrzył na niego zimno. - Konie szły równo. "Ajaks" wysunął się naprzód o pół długości i w tej sytuacji dżokej "Meteora" nie powinien był zdejmować konia równocześnie, powinien się zorientować, że koń nie pokryje przeszkody.

- Uderzył nas - powtarzał Bruna - uderzył nas zadem.

- Ano właśnie! Trzeba było przyhamować konia wędzidłem, wziąć przeszkodę po "Ajaksie" i wyrównać opóźnienie w płaskim biegu. Tak by postąpił każdy doświadczony dżokej. Boże święty! - Wacholz chwycił się za głowę i przeniósł teraz na Laubnitza swój gniewny wzrok. - Ze też przyszło panu do głowy wsadzić na grzbiet takiego konia zwykłego gnojka ze stajni!

- Niechże pan wreszcie zamilknie - powiedział cicho Laubnitz. Opuścił go na chwilę strach, który podświadomie zawsze odczuwał przed tym zmieniającym mundury człowiekiem. Teraz zastąpił go niesmak. - Niech pan zamilknie, bardzo proszę.

Wacholz oprzytomniał, ale powściągliwość, którą musiał sobie narzucić, wyraziła się gwałtownym zaciśnięciem ust. Dopiero po chwili zapytał:

- Co pan z nim robi?

- Z kim?

- Z koniem oczywiście. Bo gdyby... gdyby uznał pan za konieczne... odkupię go od pana i w stajni mego teścia będzie mógł spokojnie dożyć starości.

- I w mojej stajni dożyje spokojnie starości - powiedział cierpko Laubnitz.

- A... ten pana... dżokej?

- Wróci do chlewni.

Wacholz już się nie odezwał. Zostawił Laubnitza nad koniem i bez pożegnania oddalił się ku trybunom, ale nie wrócił na nie, Krzysztof szukał go tam daremnie, najwidocz-

niej po tym, co się stało, zdecydował się nie uczestniczyć już w wyścigach. Zrodziło to w Krzysztofie nadzieję, że i w Poł-
czyń - po tak przykrych wymianie zdań z Łaubnitzem
- już się nie zjawi.

Zjawił się jednak nazajutrz. Ale nie we dworze -
w gemeindeamcie, dokąd wkrótce poproszono Laubnitza.
Był to jawny afront wobec dziedzica, który nie bywał nigdy
w urzędzie. Jeśli miał coś do załatwienia, wzywał do siebie
gemeindekommissara, a były pastor uważał to za zaszczyty
nie za ujmę dla siebie.

Teraz powitał starego pułkownika w progu - chciał, aby
zrozumiał od razu, że to nie jego pomysł, że nigdy by sobie na
to nie pozwolił, że przeprasza go i prosi o wybaczenie...
Eteiedzie jednak wyminął go, nie dając mu pewności, że we
właściwy sposób ocenia jego zachowanie. Wszyscy ludzie
w oknach widzieli, jak wysoko miał przy tym podniesioną
głowę.

Nie spuścił jej, kiedy w urzędzie zastał Wacholza. Powita-
nie było oziębłe.

- Musimy się wspólnie zastanowić - odezwał się haupt-
mann. - Musimy się zastanowić nad tym, co się u was
dzieje.

- A co się dzieje? - spytał wolno Laubnitz.

- W okolicy mówią, że dzieją się rzeczy dziwne.

- Mianowicie?

- Nie tylko polskie gnoje jeżdżą na najlepszych niemiec-
kich koniach...

- Wypraszam sobie! - krzyknął Laubnitz.

- Niech mi pan nie przerywa! Nie tylko polskie gnoje
dosiadają najlepszych niemieckich koni, ale rozzuchwalona
tym ludność podnosi głowę i dopuszcza się aktów antypro-
pagandowych, szerzących strach i zwątpienie wśród obywa-
teli niemieckich...

- O czym pan mówi? - spytał szczerze zdumiony
Laubnitz.

- O czym mówię? A "stary Alojz"? Nie wie pan,
dlaczego usechł "stary Alojz"? Za co zapłacił "stary
Alojz"?

- No cóż... drzewa w końcu usychają...

- Tak ni stąd, ni zowąd, w ciągu kilku miesięcy? Nie
przyszło panu na myśl, że wiąże się to z przemówieniem pana
gemeindekommissara, jakie wygłosił po naszym zwycięskim
feldzugu na Francję?

Gemeindekommissar kurczył się za swoim biurkiem,
unicestwiany każdym spojrzeniem Wacholza, a teraz i Laub-
nitz zwrócił ku niemu wciąż zdziwione oczy.

- Co ma wspólnego to przemówienie...?

- A ma! Ma! Cała okolica - Wacholz z lubością to
powtarzał, podkreślało to powód, dla którego wmieszał się
w tę sprawę - cała okolica to wie, tylko pan, patrząc z okien
swego dworu na usychające drzewo, tego sobie nie skojarzył.
Gemeindekommissar, niech pan przyniesie tę ziemię spod
dębu!

Były pastor prześliznął się, prawie przepełził obok dziedzic-
a i dopadł drzwi. Wrócił po chwili z dwoma kubłami,
wypełnionymi ziemią. Już z daleka bił w nozdrza dziwny,
unoszący się z niej zapach.

Wacholz nabrał jej pełną garść. Podniósł ją do ust.

- Niech pan także spróbuje - powiedział do Laubnitza.

- Czego? - zachłysnął się starszy pan.

- Tej ziemi. -Tej naszej niemieckiej ziemi. Niech pan jej spróbuje, żeby się dowiedzieć, czym została skażona i czym zabito "starego Alojza".

- Nie chce pan chyba powiedzieć...

- Niech pan spróbuje! - krzyknął Wacholz. Sam

pochylił głowę i dotknął wargami leżącej w jego dłoni bryły ziemi, zgarnął ją językiem, rozsmakował.

Laubnitz z płonąca krwawym rumieńcem twarzą uczynił to samo. Patrzyli na siebie w milczeniu i razem splunęli do kosza na papiery.

- No co? - spytał z triumfem Wacholz.

- Sól i nafta - powiedział Laubnitz cicho.

- Widzi pan! I aż ja musiałem tu przyjechać, żeby to odkryć.

Gemeindekommissar zapadał znów za swoje biurko, jakby w miejscu krzesła przepaść się pod nim otworzyła i wchłaniała go centymetr po centymetrze. Poderwał się jednak, gdy Wacholz rozkazał:

- Cala wieś przed gemeindeamt! A ten mały Polak... ten dżokej pana dziedzica... do mnie!

Laubnitz nie zapytał już, po co mu Bruna i co zamierza z nim zrobić. Podniósł się z krzesła ociężale.

- Ja... chyba nie jestem potrzebny w tym zbiegowisku?

- Przeciwnie - powiedział Wacholz. - Bardzo!

Kiedy mieszkańcy wsi zebrali się przed budynkiem, sam do nich przemówił. Krótco, jak najkrócej wyjaśnił przyczynę zgromadzenia. I zaraz zwrócił się do Bruny, stojącego - postawionego! - pod ścianą.

- Ty podlewałeś "starego Alojza" roztworem soli i nafty?

- Nie! - rozplakał się od razu chłopak. - Dlaczego pan myśli, że to ja?

- Bo ktoś to robił. Systematycznie i z rozmysłem. A że ty w dodatku zmarnowałeś wczoraj najlepszego konia, jakiego dosiadałem i jakiego już nigdy w życiu... już nigdy w życiu...

- Przecież nie chciałem - szlochał Bruna. - Czyja bym chciał, żeby "Meteorowi" się co stało? To ten Niemiec na "Ajaksie", ten Niemiec...

Wacholz uderzył go w twarz, raz i drugi. Bruna dotknął głową ściany, z rozciętych ust ciekła mu krew.

- Niemiecki dżokej zachował się prawidłowo. Chciał zwyciężyć. To ty, ty nie miałeś prawa siedzieć na takim koniu. I zmarnowałeś go! Zmarnowałeś go raz na zawsze.

- Odpowiadaj! Podlewałeś "starego Alojza" solą i naftą?

- Neeee! - płakał Bruna.

- A jeśli nie ty, to kto? Wiesz kto?

--Nie wiem.

- Nie rozmawialiście o tym w stajni?

- Nie.

Wacholz znów zaczął bić, gdzie popadło - w twarz, w-głowę, w piersi i brzuch. Bruna już nie płakał, nie jęczał i nie krzyczał, osuwał się tylko coraz bardziej ku ziemi.

Wreszcie Wacholz się zmęczył. Odgarnął włosy z czoła, wyjął z kieszeni rewolwer, odbezpieczył go i odwrócił się ku

ludziom.

- Jeśli nie on, to kto? Daję wam trzy minuty -na przyznanie się. Zrobił to ktoś z was i jeśli ten ktoś się przyzna albo wskaże winnego...

Ludzie zrozumieli. Szmer grozy przeszedł po gromadzie, szmer przecięty nagłym krzykiem. To matka Bruny, najwi- doczniej dopiero teraz zawiadomiona o tym, co dzieje się przed gminą, krzycząc, rozgarniała sobą ciżbę. Dopadła Wacholza, złapała go za nogi.

- On nie winien! Niczemu nie winien! Dziecko jeszcze. Przecież pan widzi, że to jeszcze dziecko.

Wacholz odrzucił ją jednym uderzeniem buta. Zapadła w tłum, ucichła.

- I dzieciom roją się w głowie różne rzeczy. Dwie minuty. Póltorej!

Krzysztof wiedział, że gdzieś wśród ludzi stoi stary Cygier, nie poszukał go jednak wzrokiem, bał się ku niemu zwrócić głowę.

- Minuta! - powiedział Wacholz.

Bezpieczna wieś, myślał Krzysztof, najlepsze miejsce na przetrzymanie tego złego czasu... Może już teraz trzeba było stąd uciekać? Rzucić się w krzaki za najbliższym płotem, przepaść w polu i uciekać, uciekać ile sił. I dokąd? - pomyślał w popłochu. - Dokąd? Co by z sobą począł? Gdzie złożył głowę? A ucieczka byłaby przyznaniem się do winy...

- Pół minuty! - powiedział Wacholz. Podniósł do góry rewolwer. I nagle wycelował go w Grabienia. - Ty to zrobiłeś!

Krzysztof cofnął się o krok, jak przed uderzeniem. Ale odpowiedział, starając się zachować spokój:

- Nie. Nie zrobiłem tego.

- Tylko ty mogłeś na to wpaść w tej wsi. Od dawna cię obserwuję.

- Nie zrobiłem tego.

- Wobec tego powiedz, kto to zrobił.

- Nie wiem.

- Na pewno maczałeś w tym palce i musisz wiedzieć.

- Nie wiem.

- Stań pod ścianą!

Krzysztof powoli wyszedł z tłumu. Czuł na swoich plecach oczy wszystkich ludzi, Anuli, starych Dyszków i dziadka Bronka, który na pewno gdzieś tu był... na pewno musiał gdzieś tu być...

- Teraz odpowiadaj! - krzyknął Wacholz, gdy Grabień stanął pod ścianą obok Bruny. - Straciliśmy dużo czasu. Zaczynam liczyć od początku, masz trzy minuty, żeby się przyznać albo wskazać winnego.

Krzysztof milczał.

Gdzieś w ciżbie ludzkiej zapłakała piskliwie Anula. Wacholz patrzył na zegarek.

- Dwie minuty!

Nie mogę tego zrobić, myślał Krzysztof. On jest stary i samotny, ale nie mogę tego zrobić, nie... nie mogę... nie mam prawa...

- Minuta! - wrzasnął Wacholz, nie hamując wściekłości.

I nagle przez tłum zaczął się ktoś przepychać do przodu. Ludzie rozstąpili się przed dziadkiem Bronkiem.

- To ja zrobiłem - powiedział.
- Ty? - roześmiał się prawie Wacholz, przyglądając się staremu.
- Ja.
- Sam?
- Sam.
- I sam na to wpadłeś?
- Powiedziałem, że sam. Od razu to wymyśliłem, gdy pan gemeindekommissar...
- Dosyć! - zawołał Wacholz. Schował rewolwer do kieszeni. Rozejrzał się po tłumie. Z oddali dochodził szum motoru, którym przyjeżdżali z Pucka żandarmi. - Sam tego nie wymyśliłeś. Taki stary wiejski idiota nie mógł sam na to wpaść. Kto ci poddał tę myśl?
- Nikt! - prawie obrażony zaperzył się dziadek Bronk.
- Przecież mówię, że sam to sobie wymyśliłem, jak tylko pan gemeindekommissar...
Wacholz uderzył go zwiniętą pięścią w twarz.
- Kto kazał ci to zrobić?
- Nikt! Nikt!-już na ziemi, już w jej pyle, startym przez wiele stóp, powtarzał stary. - Nikt! Ja sam!
- On cię do tego namówił?
- Ja sam -- powtarzał uparcie, nie wiedząc nawet, kogo mu Wacholz wskazuje. - Sam!
- On! - powtórzył Wacholz. Wskazał Grabienia żandarmom, którzy zbliżyli się już do tłumu. - Takich dwóch wiejskich gnoi by sobie tego tak nie ułożyło. Jeden, żeby zmarnować konia, drugi, żeby przeciwstawić się potędze Rzeszy. A ty - mówił teraz do Krzysztofa wprost, mrużąc wąskie oczy - ty mi od razu wydałeś się podejrzany. Już wtedy, kiedy oprowadzałeś "Meteora" po wybiegu, i wczoraj na torze... Brać ich! - krzyknął.
- Wszystkich trzech? - spytali żandarmi.
- Wszystkich trzech.
Płaczowi matki Bruny wtórował wysoki płacz Anuli. Krzysztof usłyszał w nim nie tylko jej zawołanie i dopiero teraz naprawdę zrozumiał to, co się stało. Wacholz, utraciwszy nagle całe zainteresowanie tą sprawą, zbierał się do odejścia. Nie wiedział, jak pożegnać się z Laubnitzem.
- Chyba pan zrozumiał, że chciałem panu tylko pomóc...

- Zrozumiałem - odpowiedział stary pułkownik.

XII

Przez cały dzień, podobny do bezustannej karni, czekali z utęsknieniem na krótkie godziny nocy, ale i one były koszmarem.

Leżeli we trzech na jednej pryczy, żeby się zmieścić - zawsze na boku, lewym lub prawym. Ten, który był w środku, miał najgorzej, więc zmieniali się często - to dziadek Cygier leżał ściśnięty między Krzysztofem i Bruną, to znów któremuś z nich przypadało to najgorsze miejsce. Po kilku tygodniach pobytu w Stutthofie nauczyli się spać w każdej pozie, w każdym ułożeniu, zapadali w sen natychmiast, gdy tylko głowy ich dotykały słomy. Nie przeszkadzał im zaduch, panujący w baraku po zamknięciu na noc okien i drzwi, szepty lub pojękiwania dochodzące z sąsiednich

prycz, nocne wstawanie i wychodzenie chorych na biegunkę, ich nawoływania w stronę strażników na wieżach, których trzeba było zawiadomić - żeby uniknąć strzału - o każdym udawaniu się do latryn. Nawet ponure bijatyki, które wybuchały między więźniami, gdy któryś nie zdołał wyjść na dwór i załatwiać się w słomę przy drzwiach - nie wytrącały ich ze snu. Zamienili się w skatowane, śmiertelnie znużone zwierzęta, instynktownie wykorzystujące każdą chwilę spoczynku. Krzysztof zdawał sobie z tego sprawę, ale odrętwienie, jakie ogarnęło ich po bezsilnej rozpacz, nękającej ich przez pierwsze dni i tygodnie, przyjmował jako jedną i jedyną chyba formę samoobrony. Trzeba było przywyknąć do głodu, brudu, smrodu, bicia i wszelkiego rodzaju upokorzeń, skoro chciało się żyć, choć to pragnienie było chyba upokorzeniem największym. O ile lepsza, czystsza wydawała się szybka śmierć - przed upodleniem ciała, przed tym kresem, do którego musiało dojść - obce, inne, przerażające w swoim wychudzeniu, osłabieniu, zeszmaceniu, w tej ostatecznej formie, w jakiej człowiek nie powinien nigdy siebie oglądać... A jednak wszyscy chcieli tu żyć. Każdy wśród tych tysięcy zwiezionych tu z północnego obszaru niemieckiego bezprawia pragnął doczekać jutra, choć nie miało być inne niż dni, które je poprzedzały. To pragnienie mogła budzić tylko nadzieja. Na co? Na wydostanie się z za drutów? Na nagły, cudowny koniec wojny? Jedno i drugie było tak samo nieprawdopodobne, a jednak ludzi nie ogarniało zwątpienie.

W pierwszych dniach czerwca do wszystkich udręk dołączył się jeszcze upał wczesnego, niezwykle pogodnego lata. Było coś przerażającego w tym, że w ciągu ostatniego czasu piękna pogoda służyła wciąż Niemcom - i Krzysztof zaczął zastanawiać się, co teraz im ułatwi bezchmurne niebo i sucha gładkość wszystkich dróg, którymi chcieliby maszerować na wschód lub na zachód Europy.

W obozie bezdeszczowe dni były tumanami kurzu podczas przemarszu każdej kolumny, pieczeniem zapyłonych oczu, wysychaniem gardeł, pękaniem pobielałych warg. Obóz wciąż się rozbudowywał. W esesmańskiej części, od strony szosy i w pobliżu bramy z napisem, który był pokalaniem każdego użytego w nim ludzkiego słowa, rósł budynek komendantury obozu, a przy nim garaże, magazyny, chlewnia, królikarnia i psiarnia - pomieszczenia (jasne, czyste i przestronne) dla specjalnie tresowanych owczarków, słusznie jako rasa nazywanych niemieckimi. Czekały na wykończenie przeznaczonego dla nich lokum na placu ogrodzonym siatką, wywiesiwszy dyszące jężory, nie zdejmując ani na chwilę bystrych, błyszczących oczu z pracujących więźniów. Dla nich zaś każdorazowe przejście wzdłuż siatki, za którą stały ogromne, czyste, odbijające niebo miski pełne świeżej wody, było dodatkową męką. Nosili belki, cement i cegły, wyładowywane wzdłuż torów kolejki na wszystkie place budowy; uginali się pod nadmiernym obciążeniem, potykali się i padali, gdy rozradowani esesmani podstawiali im nogę, waląc bykowcami po plecach i rękach - ale wszystko to było niczym wobec widoku niedostępnej wody, w której od czasu do czasu psy maczały rozleniwione i opite pyski.

- Nie patrz tam! - mówił Krzysztof do Bruny, z którym dźwigał jedną tragę, wyładowaną wysoko cegłami. Ani jedna nie śmiała z niej spaść, wiedzieli o tym, cegła była tu droższa niż życie więźnia. - Nie patrz tam, patrz pod nogi.

- Kiedy nie mogę - jęczał chłopak. - Tyle tam wody. Czystej. I pewnie się jeszcze nie zagrzała na słońcu, dopiero co nalali świeżej.

- Mysli o tym, że się zagrzała. Że jest ciepła jak lura. Że nie można ugasić nią pragnienia. Myśl tylko o tym i patrz pod nogi.

Mówiło się tak do kogoś drugiego, trudniej było mówić to sobie. Pragnienie czyniło z ust wyschnięty, wydrażony kawałek drewna, kołatał się w nim sztywny język i każde "słowo wydawało się bardziej stukotem, niż dźwiękiem ludzkiej mowy. Starał się nie patrzeć ku miskom, ale głowa odwracała się sama w tę stronę, nozdrza rozszerzały się, jak gdyby małe okienka wody za siatką wydzielały rzeźwiącą woń - pośród zapyłonego obozowego lata woń zroszonej deszczem łąki, cienistej przestrzeni pod drzewami, łąnu młodego, zielonego zboża, nieobeschłego jeszcze po wilgoci i chłodzie nocy. Doznawał krótkich, ale niezwykle wyraźnych i nasilonych halucynacji - zdawało mu się, że matka czeka na niego na progu z glinianym garnkiem pełnym zimnego mleka, a on idzie ku niej nie z ciężką tragą wypełnioną cegłami, ale ze szkolną teczką, starając się nie upuścić z niej ani jednej książki, bo bardzo chce żyć, bo bardzo chce doczekać następnego dnia... To znów widział przed sobą Łuckę z pierwszych dni w Gdyni, kiedy stawiała na progu kuchni, w której wydawano posiłki dla robotników, a za nią były konwie mleka, ogromne kotły kawy i zupy, piwo dostarczane niekiedy dla francuskich inżynierów. Przywidywała mu się także pani Helena, pochylona nad nim ze szklanką kompotu w ręku. Ale wtedy zapominał o pragnieniu i chciało mu się podnieść ciężką, osłabioną chorobą rękę, żeby dotknąć jej włosów, jej policzka... Któregoś dnia przywidział mu się Joe-mikser. Nie oglądał go nigdy mieszającego koktajle, ale wiedział, że to robi, że stoi za barem i miesza napoje, i nalewa je do kieliszków, wiedział i stąd chyba zrodziła się ta przedziwna halucynacja, tym dziwniejsza, że Joe nie miał na sobie swojej białej barmańskiej kurtki, ale czarny mundur i czapkę z trupa czaszką nad daszkiem, nie stał za barem, lecz szedł w grupie obozowych dostojników o trzy kroki za najgłówniejszym z nich, za samym SS-sturmbannfuhrerem Maxem Paulem, twórcą i komendantem obozu...

Minęła długa chwila, zanim zdał sobie sprawę, że Joe mu się nie przywiduje, że widzi go naprawdę zaledwie o kilkadziesiąt kroków od szpaleru esesmanów, między którymi przechodzili więźniowie z tragami. Wiedział od Łucki, że byli niemiecki szpieg, osadzony w Gdyni w charakterze barmana, co dawało mu możliwość znakomitych obserwacji, że Joe - lokator z trzeciego piętra interesował się bardzo losem jej męża i z niedowierzaniem wysłuchiwał historyjki o jego zaginięciu. Gdyby więc teraz rozpoznał w jednym z więźniów podporucznika Grabienia, o którym w dodatku wiedział, że przez cały czas obrony Gdyni był oficerem łącznikowym pułkownika Dąbka, gdyby go rozpoznał i zi-

dentyfikował - nie mogło być dwóch rozwiązań w tej błyskawicznej sprawie. Wprawdzie poprawne stosunki, jakie ich zawsze łączyły, i sprawiedliwa ocena, że Stutthof jest wystarczającą karą za pragnienie uniknięcia oflagu, mogłyby nawet w funkcjonariuszu gestapo obudzić coś w rodzaju pobłażania, ale nie liczył na nie, przypomniawszy sobie ostatnią rozmowę z Joe-mikserem w dniu, w którym sztab Obrony Wybrzeża opuszczał Gdynię. Ta rozmowa, nie zakończona wtedy tak, jak zakończona być powinna, była teraz wyrokiem śmierci, czuł to, był tego pewny. Wsunął głowę w ramiona, ale nie na wiele się to zdało, bo obciążnięte były ku dołowi ciężarem tragi i chuda szyja z zawieszoną na niej głową sterczała z nich, prowokując - jak mu się zdawało - do spojrzeń każdego, kto się do niego zbliżał. A Joe-mikser, Joe-gestapowiec, Joe-lokator kamienicy przy Świętojańskiej, którą Łucka uważała do wybuchu wojny za bezustanne swoje święto, Joe - płowy, młodzieńczy, zwinny i zgrabny w swoim czarnym mundurze - zbliżał się do niego właśnie krok za krokiem... Esesmani w obliczu szefa zdwoili swoją gorliwość, bili, podstawiali nogi, podbijali kopnięciem tragi, aby potoczyły się z nich - na ziemię cegły. Spotkało się to z uznaniem grupy dostojników, przystanęli na chwilę, przystanął wraz z nimi były mikser...

Jeśli mnie pozna, myślał Krzysztof, zaraz się to wszystko skończy. A może nie, może zacznie się coś o wiele gorszego: badanie, przesłuchiwanie, zmuszanie do zeznań, gdzie się ukrywał, kto mu w tym pomagał. Powinni to wszystko mieć w jakichś papierach, powinni wiedzieć, dlaczego i skąd tu trafił, ale po przekroczeniu obozowej bramy zaczynała się inna rzeczywistość i tamte sprawy - zakończone już i nieistotne - mogły ulec zapomnieniu wobec kary, jaka je zamknęła. Zaczną więc pytać, zaczną... Dlaczego tak bardzo chciał żyć? Upokarzająco, poniżająco przed samym sobą - dlaczego nie miał na tyle godności, żeby podnieść głowę i krzyknąć: "Hej, ty tam, gestapowski kundlu, to jestem ja! Rozpoznaj mnie, uciesz się tym, miej tę satysfakcję, że to ty mnie zabiłeś. Prędeż! Czekam na to! Nie boję się, ponieważ to, co zgotowaliście tutaj ludziom, jest gorsze od śmierci!" Nie krzyknął tego. Spuścił głowę, starał się ją odwrócić, na tyle jednak tylko, żeby nie ściągnąć tym na siebie uwagi. Miski z wodą nic go już nie obchodziły, jakby ich tam nie było, jakby nie stały przed sforą rozleniwionych, opitych do pełnego, do cudownego ugaszenia pragnienia, psów. Dźwigał tylne niosidła tragi, przy przednich był Bruna, wychudły i słaniający się tak samo jak on. A jednak obydwaj mieli nadzieję, że przejdą przed grupą dostojników, że im się to uda, że dożyją do wieczora i jutra. Skwapliwy esesman, pragnący zwrócić na siebie uwagę komendanta obozu w tym samym stopniu, w jakim oni chcieli jej uniknąć - przyskoczył do nich. - Prędeż! - krzyknął. - Biegiem! Biegiem! Obciążona nadmiernie traga przykuwała do ziemi, ale mimo to wydawało im się, że się poderwali, że przyśpieszyli kroku.

Esesman był jednak innego zdania. Uderzył bykowcem po leniwych, jego zdaniem, nogach.

- Biegiem! - krzyknął jeszcze raz.

Znowu się poderwali, ale znowu tylko im się to wydawało. Wtedy esesman przeciągnął bykowcem po rękach. Obydwaj z Bruną puścili tragi i obydwa, pochyliwszy głowy, czekali na to, o miało teraz nastąpić. Kątem oka widzieli cegły rozsypane w pyłe drogi, i esesmańskie buty, tkwiące w nim nieruchomo, esesmańskie buty, czekające także na to, co miało nastąpić. Jedne z nich jednak drgnęły, oderwały się od grupy i podeszły bliżej. Stały. Krzysztof poczuł skurcz gardła, gwałtowne zaciśnięcie pętli strachu. Cisza, która przedłużała się nieskończenie, huczała mu w uszach jak obniżający lot bombowiec. Kroki znów się przybliżyły. Stały.

Nie podniósł głowy, ale widział, że tamten na niego patrzy. Na czapeczkę więźnia, odsłaniającą część ogolonej czaszki, na twarz wychudzoną i szerniałą, w której jedynym życiem były ukryte teraz pod powiekami oczy. Wiedział, że tamten patrzy, i czuł, że już teraz zaczyna umierać, że już teraz jest zabijany, że istnieje możliwość, aby działo się to powoli, dłużej i okrutniej niż przy wszystkich wyrokach świata. I nagle postanowił się temu nie poddać. Podniósł głowę, skierował twarz pod spojrzenie Joe-miksera. Ten naprawdę na niego patrzył. Z ciekawością, która kazała mu się przybliżyć do porzuconej tragi i sterty cegieł, z zimną, wzmożoną sytuacją, uwagą.

Krzysztof pozwalał mu na to. Chciał, żeby go sobie obejrzał, żeby się nasycił jego widokiem, żeby ocenił doskonałość metod, stosowanych w obozie. Oczy ich się spotkały, ale była to chwila zdumiewająca tylko dla Krzysztofa. Zrozumiał, że zaciekawienie i wzmożona uwaga gestapowca są niejako bezinteresowne, że Joe-mikser go nie poznał, że wychudzony więzień nie przypominał mu nawet gospodarza kamienicy, w której mieszkał.

Obydwaj równocześnie odwrócili głowy, a komendant, obozu, na którego wciąż pytają patrząc esesman, stojący przy Brunie, Krzysztofie i rozsypanej cegle, wydał wyrok ulaskawiający:

- Niech pozbierają.

Pojawienie się komendanta obozu ze świtą, w której były także osoby spoza stutthofskiego personelu, coś zapewne oznaczało. Co - okazać się miało dopiero nazajutrz.

Od wczesnego świtu (zaraz po brudnobrazowej cieczy, którą tu nazywano kawą, i po kawałku gliniastego chleba, pożeranego przez wszystkich - w pełnym odczuciu odrażającego jego smaku - jak marcepan) ustawiono ich kolumnami wokół placu, na którym stało małe, ozdobione swastyką podium. Zaczęło się kilkunastogodzinne "odliczanie" pod palącym czerwcowym słońcem. Znowu było po stronie Niemców, ale o tym, jak bardzo było po stronie Niemców, dowiedzieć się mieli dopiero za chwilę.

Tych, którzy nie wytrzymali kilkunastogodzinnego stania, którzy mdleli i umierali stojąc, odnoszono na placzyk za jednym z baraków i składano pod ścianą w starannie wyrównaną stertę.

- Jak i mnie zabiorą - szepnął Bruna, stojący obok Krzysztofa - to przyjdź wieczorem zobaczyć... może będę jeszcze żył...

- Przyjdę - odpowiedział i prawie śmieszne mu się wydało, że Bruna nie myśli tego o nim, że uważa go za silniejszego od siebie, a jemu nogi się gięły w kolanach, ogniste płaty latały przed oczyma.

- Bo mogą mnie przywalić... i nie będę mógł się wydo-
stać...

- Przyjdę - powtórzył. - Ale gdyby to mnie... gdybym to ja tam był, to ty przyjdź i zobacz... :

- Tak - szepnął chłopak. - Przyjdę.

- Trzeba to jeszcze powiedzieć dziadkowi.

Dziadek Bronk stał przed nimi, w pierwszym rzędzie, bliżej tych, którzy wzdłuż niego przechodzili, wrzeszcząc i złorzeczając, pchnięciami bykowców lub pałek wyrównując szereg. Dziadek Bronk stał w nim, wsparty ramionami towarzyszy, których miał po bokach. Sami słaniali się na nogach, ale zdołali go jednak podtrzymać.

- Dziadkowi nie - powiedział bardzo powoli Bruna.

- Po co...?

Stary Cygier od kilku dni chorował na biegunkę. Nie miał tu swoich ziół, którymi szybko by się wyleczył i uchodziło z niego życie wraz z żółtą, cuchnącą cieczą, która i teraz wypływała z nogawek jego spodni. Patrzyli na to w przerażonym milczeniu: przy piętach, na zbyt dużych drewniakach, porobiły się małe kałuże. Po chwili zaczęły z nich ściekać ciągnące się strużki jasnobrunatnego śluzu, który od razu pokrywał się pylistym kurzem placu. Dziadek Bronk słaniał się na nogach, ale stojący obok niego trzymali jeszcze jego bezwładne ciało.

Krzysztofem targnęła bezsensowna myśl, jakby mając nie marzenia o karze, jaka musiała spaść na oprawców nie za śmierć zadawaną bezbronnym - któryż zwycięzca zdołał się powstrzymać od bezprawia? - ale za jej rodzaj, za to, co do niej prowadziło, a co było na pewno niemieckim wynalazkiem. Majaczenie tego marzenia wciąż trwało, gdy przed dziadkiem Bronkiem zatrzymał się kapo. Pociągnął nosem.

- Co tu tak śmierdzi?

Nikt nie odpowiedział.

- Ach, ty stary bydlaku! - wrzasnął, zobaczywszy, co się dzieje. - Tak tu sobie stoisz i najzwyczajniej w świecie walisz w portki? I nie wstydzisz się zasmradzać kolegom powietrza? Pozwalacie mu na to?

Nikt nie odpowiedział.

Kapo - niski, ale szeroki w barach, o długich silnych rękach - podniósł głowę i małymi oczkami powiódł po wychudzonych twarzach mężczyzn w pierwszym szeregu.

- O was mi wcale nie idzie, niechby wam srał pod nosem, może to nawet lubicie, jak wam ktoś pod nosem sra, ale tu zaraz będzie przechodził komendant i goście z Gdańska. Ani myślę oberwać za jakiegoś gnoja. Zabierajcie go stąd!

- wrzasnął. - Tylko prędko! Widocznie zasłużył na taką zasaną śmierć.

Podpierający dziadka Bronka obozowi towarzysze powlekli go w stronę placu za barakiem, dwaj najbliżsi otrzymali rozkaz zatarcia śladu, jaki po nim pozostał na ziemi. Kapo pieklił się, ale oni milczeli.

Smutne, zaciekle, boleśnie uporczywe marzenie nie opuszczało Krzysztofa: ktoś kiedyś wymierzy za to karę, ktoś

musi wymierzyć za to karę. Co by się stało ze światem, jak patrzyliby ludzie sobie w oczy, gdyby miało to ujść bezkar-
nie? Ale żeby mogli karać, będą musieli wiedzieć. Prag-
nienie życia nie wydało mu się już poniżające i tchórzliwie,
miało swoje uzasadnienie w tym marzeniu, odległym, odsu-
wanym wciąż niemieckimi zwycięstwami, o których dono-
szono im skwapliwie - ale tak silnym, że pozwalającym
wierzyć w ich nicość.

Przy bramie zaczął się ruch, na placu podniecone głosy
blockfuhrerów poderwały więźniów do postawy zasadni-
czej. Pospiesznym, teatralnie energicznym krokiem zbliżała
się ku podium grupa umundurowanych dostojników.

Pierwszy przemówił sturmbannfuhrer Pauły. Ale mówił
krótko, powitał tylko znakomitego gościa, który w tym dniu
zaszczycił obóz, i zaraz oddał mu głos.

Albert Forster, gauleiter Gdańska i Prus Zachodnich,
wstąpił na podium. Zainstalowany na nim mikrofon roz-
niósł po obozie poprzez wszystkie megafony jego przyspie-
szony oddech, który usiłował opanować przedłużającym się
milczeniem. Patrzył na kolumny więźniów, na szeregi bara-
ków, koryta do mycia przed nimi, otwarte doły latryn,
budynek krematorium, z kominem wyjątkowo nie dymią-
cym tego dnia, i podwójne rzędy drutów kolczastych,
wzmocnionych prądem, zasiekami i wieżami dla uzbrojo-
nych strażników. Długo patrzył na to wszystko, zanim
powiedział:

- Więźniowie! Przebywacie w niemieckim obozie wy-
chowawczym, w którym dana została wam możliwość
rehabilitacji i powrotu do zdrowego społeczeństwa. Pomoc-
ne wam w tym będą wypróbowane metody oddziaływania
pracy na wartościowy rozwój zarówno jednostki, jak i całych
grup. Pamiętajcie: tak, jak i w innych niemieckich obozach,
i tutaj także tylko "Arbeit macht frei". Nie ma innej drogi do
wolności, niż praca i posłuszeństwo. Dobra opinia, jaką
cieszy się wasz obóz, pozwala mi wierzyć, że zrozumieliście
to właściwie.

Jednak i teraz nie jesteście odcięci od świata. Docierają
do was wiadomości o wszystkich zwycięstwach armii nie-
mieckiej, a o ostatnim pragnę osobiście was poinform-
mować.

Więźniowie! Wczoraj we wczesnych godzinach rannych
armia niemiecka przekroczyła granicę z Rosją i z każdą
godziną błyskawicznie posuwa się naprzód. Nie jest to
właściwie posuwanie się armii za ustępującym wrogiem, jest
to gonitwa za nim - krótki cichy śmieszek parsknął we
wszystkich magafonach, rozstawionych na całym terenie
obożu - tak, gonitwa, czegoś podobnego nie przeżywali
nasi żołnierze ani w Polsce, ani we Francji. Niezwyciężona
armia niemiecka zapisuj na swoje dobro kolejne, epokowe
zwycięstwo...

Krzysztof nie rozumiał już dalszych słów, nie dlatego, że
ogłoszyła go wiadomość, że cios był wymierzony w samo
serce, w samo serce nadziei - ale że los zgotował mu
natychmiastowe pocieszenie: w pierwszym szeregu przeciw-
ległej kolumny zobaczył Seweryna Turka.

Zawsze wychudzony i mizerny, nie zmienił się w obozie
tak, żeby nie można go było poznać. Stał wyprostowany,

z wysoko uniesioną głową, nie spuszczał oczu z mówiącego. Na jego twarzy nie było żadnego wyrazu, który by świadczył o tym, jak została przyjęta przez niego nowina - tego właśnie trzeba było w obozie nauczyć się najprędzej: zupełnej martwoty twarzy, nie zdradzającej myśli ani uczuć. Seweryn, tak zawsze żywo reagujący na wszystko, co się działo wokół niego, osiągnął tę umiejętność w sposób doskonały i tylko ktoś, kto znał go tak dobrze, jak Krzysztof, mógł sobie wyobrazić, co teraz czuł. Musiała to być rozpacz - każde słowo gauleitera było wypowiedane po to, żeby ją w więzieniach wywołać - ale Krzysztof wiedział, że Seweryn nie zwykł był długo poddawać się rozpacz. Może już teraz myślał o rozległych obszarach Rosji, o bezkresnych stepach, których armia niemiecka nigdy nie zdobędzie naprawdę, o zimie w tym kraju, legendarnej, wciąż służącej w historii za przykład kary na zuchwałych śmiałków.

Musiał z nim porozmawiać, musiał się z nim skontaktować, zbliżyć się do niego, odnaleźć w tłumie, w który rozsypią się kolumny więźniów. Obecność Seweryna wydała mu się ratunkiem - obydwaj byli więźniami, jednemu i drugiemu każdej chwili groziła śmierć, ale to, że mogli być razem, wydawało się jednak ratunkiem. Wyprostował się tak samo jak Seweryn, wysoko podniósł głowę. Gauleiter zachłystywał się przepowiedniami niemieckiego panowania nad światem, parskając i pluł do mikrofonu, dziesiątkom megafonów przekazywał swój triumfalny, nieposkromiony w obłąkanej radości śmiech - a wycieńczony więzień w jednym z szeregów odzyskiwał siły, miał tracić - odzyskiwał siły i zamiast zwątpienia budziła się w nim nowa nadzieja.

XIII

Pierwszy list od męża przyniósł pani Helenie kapitan szwedzkiego statku Aka Forstrimi, który na prawach neutralności zawinął do Gdyni.

Kapitan, niemłody już i z niejakim trudem pokonujący stromą ścieżkę, zjawił się na Kamiennej Górze wczesnym rankiem upalnego lipcowego dnia i zadyszany, a także niespokojny, czy uda mu się spełnić prośbę Polaka - zadzwonił do drzwi.

Otworzył mu oficer niemieckiej marynarki, dopinający mundur. Obydwaj poczuli się tym zakłopotani.

- Przepraszam - powiedział Szwed bardzo poprawną niemczyzną. - Myślałem, że tu mieszka... to znaczy... mieszkała tu pani Helena Tereszko...

- Ależ mieszka tu nadal - odrzekł Niemiec. Cofnął się do środka z zapraszającym gestem, wprowadzając przybyłego do salonu. - Pani Heleno! - zawołał w głąb mieszkania.

- Proszę zejść, ma pani gościa!

Na schodach rozległ się tupot szybkich kroków i na progu Stała młoda dziewczyna. Cofnęła się na widok obcego.

- Pan wołał?

- Tak. Poproś mamę. Ma gościa.

- Mama? - spytała. Przyjrzała się mundurowi Szweda

z zastanowieniem. - Czy... Czy mama oczekuje pana?

- Nie... właściwie nie - zmieszał się kapitan - choć... może nawet bardzo... Przybywam ze Szwecji...

- Ze Szwecji? - szepnęła Wisia z nadzieją.
- Tak. Jestem kapitanem Aka Forstrimi. Stoi w porcie.

m

- Ze Szwecji... - powtórzyła Wisia. Jej blade policzki zaczęły się zabarwiać gwałtownym rumieńcem. - Ze Szwecji...

- Poproś mamę - powiedział Niemiec z naciskiem.
Musiał czuć się zbędny w pokoju, ale wciąż nie wychodził.
Wisia podniosła na niego oczy.

- Kiedy właśnie...

- Co... właśnie?

- Pan wie...

- Poproś! - powiedział jeszcze raz. Skłonił się Szwedowi i przepuszczając przed sobą dziewczynę, wyszedł z pokoju.

Kapitan przysiadł na brzegu fotela. Co ja mu napiszę?

- pomyślał zatroskany. Z Adamem Tereszką przyjaźnili się od dziesięciu lat, załatwili wspólnie mnóstwo interesów, jego piękną żonę miał okazję poznać podczas któregoś kolejnego pobytu w Gdyni - jej córka była do niej tak podobna, że gdyby nie wyraźnie dziewczęcy wygląd, wziąłby ją za nią samą. Co ja mu napiszę? - powtarzał w myślach, ale od razu o tym zapomniał, gdy ona stanęła w drzwiach.

Oczy miała zaczerwienione od płaczu i nie przypudrowała ich nawet, śpiesząc się na dół.

- O Boże! - zawołała. - List od Adama!

Zerwał się z fotela, gwałtownie wsunął rękę do kieszeni na piersi.

- Tak, łaskawa pani, tak.

- Skąd?

- Z Francji.

- Jest we Francji?

- Proszę przeczytać list.

Podał go jej, a ona trzęsącymi się rękami rozerwała kopertę. Nie poprosiła go siadać, nie zwróciła ku niemu głowy, stała pośrodku pokoju, pochłaniając wzrokiem dwie szczelnie wypełnione pismem kartki. Miała na sobie podniszczoną letnią suknię, a skóra na jej ramionach, które zapamiętał wyłożone słońcem, była biała, nie tknięta jego promieniami. Co się tu dzieje? - myślał. - W tym kraju i w tym domu?

Skończyła czytać, ale nie złożyła listu, nie wsunęła go do koperty.

- Ależ niechże pan usiadzie! - zawołała w roztargnieniu, a sama, wciąż stojąc, jeszcze raz podniosła do oczu zapisane pismem męża kartki.

Obserwował ją w milczeniu. Prośba Tereszki, aby za wszelką cenę dotarł do jego domu, jej ton gwałtowny i żarliwy - znajdowały w tym oglądaniu szczególnie komentarz. Nieodparty wydał mu się urok tej kobiety, choć nie błyszczała teraz elegancją, jak dawniej, a dwa ostatnie lata odcisnęły na jej twarzy piętno znużenia i niepokoju. Przypomniało mu się, jak Tereszko czekał na nią wtedy, we wrześniu, kiedy nie przyjechała i kiedy nie mógł się dowiedzieć - do dziś nie wiedział - dlaczego. Starał się go wtedy uspokajać, ale to było niemożliwe. Zapewnienia, że Niemcy są kulturalnym narodem, rozwściekłały go. Gdyby sam teraz

stanął na progu swego domu, zapewne zmieniłby zdanie, choć widok układowego oficera w mundurze niemieckiej marynarki nie zdołałby go chyba uspokoić...

- Po dwóch latach pierwszy list! - pani Helena złożyła wreszcie arkusiki, zapisane ciasno starannym pismem Tere-szki, i przysiadła w fotelu, składając na kolanach trzymające je kurczowo ręce. - Po dwóch latach!

- Nie od razu zaczęliśmy pływać do Gdyni - Szwed poczuł się zobowiązany do tego wyjaśnienia. - Nie pływa-liśmy jeszcze wtedy, kiedy Adam był w Szwecji. Potem wyjechał, bał się, że Szwecję spotka los Norwegii. Był w okupowanej Francji i dopiero teraz, kiedy udało mu się przedostać do części podlegającej rządowi w Vichy...

- Wyjaśnia mi to wszystko w liście - przerwała mu.

- A poza tym - dodał pośpiesznie - jest to mój pierwszy rejs w czasie wojny do Gdyni.

- Rozumiem.

- Bał się innego pośrednictwa. Bał się ze względu na panią.

- Gestapo było tu po niego zaraz na początku.

- Gestapo...?

- Chyba wie pan, co to takiego? Wymordowali prawie całą gdyńską inteligencję. Adama także by rozstrzelali, gdyby był w domu.

Szwed niespokojnie poruszył się w fotelu. Spłoszone oczy wparł w drzwi. Rozmawiali po niemiecku.

- Ten oficer... - szepnął.

- Dowódca okrętu podwodnego - wyjaśniła. - Otrzy-mał tu kwaterę. Praktycznie dom należy do niego.

Rozumiem. Ale mówimy tak głośno... o gestapo... i roz-strzeliwaniach...

- A sądzi pan, że on o nich nie wie?

Kapitan wyszarpnął z kieszeni portfel, a z niego studola-rowy banknot.

- Adam prosił mnie... oczywiście dolary mają tu swoją wartość?

- Jak wszędzie.

- Zostawiam pani sto dolarów na najpilniejsze wydatki.

Mam nadzieję, że jeszcze w tym roku zawinę po raz drugi do Gdyni i znowu będę mógł pani pomóc. Jak właściwie sobie pani radzi?

Pani Helena uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Jak wszyscy. Wyprzedaję rzeczy, srebra, biżuterię.

Córka musiała pójść do pracy, żeby uniknąć wywiezienia na roboty do Rzeszy, przynosi co miesiąc kilkadziesiąt marek i kartki żywnościowe...

- Dlaczego właściwie nie uciekła stąd pani - spytał ze zgrozą - wtedy pod koniec sierpnia? Adam szalał w Sztok-holmie...

Pani Helena długo milczała. Patrzyła na kapitana, ale miał wrażenie, że go nie widzi.

- Napiszę o tym Adamowi - powiedziała wreszcie.

- Opiszę, co się wtedy tutaj działo... Może gdybym zdobyła się na większy wysiłek... Och, Boże! Coraz częściej zaczynam o tym myśleć. Nikomu nie mogę pomóc przez to, że tu jestem.

- Przepraszam.

- W jaki sposób mam doręczyć panu list dla Adama?
- Przyjdę po niego jutro. Wolałbym nie posługiwać się nikim w tej sprawie.
- Dziękuję.

Wstał, pani Helena także. Przez chwilę wahała się, ale jednak zapytała:

- Adam pisze... daje mi do zrozumienia, że będzie usiłował nas stąd wyrwać. Czy... czy istnieje możliwość... Czy pan ma tę możliwość... na swoim statku...?

- Niestety - zaprzeczył od razu, za szybko, jak się jej wydawało, niepotrzebnie za szybko. - Nie będę mógł w tym pomóc. Niemcy skrupulatnie rewidują wszystkie statki państw neutralnych. Właściwie do Gdyni chodzimy tylko my i Finowie, zajmują się więc nami bardzo dokładnie.

- Czy Adam wie o tym?

- Wie.

- Co wobec tego ma na myśli?

- Jakaś inną drogę. Lądową w każdym razie.

-: Lądową?

- Tak przypuszczam. Przez Niemcy do Francji.

- To chyba tylko marzenie.

- Jeśli on o tym pisze, to nie tylko marzenie.

Z głębi domu dobiegł śmiech dwóch młodych kobiet i głos mężczyzny, który się z nimi przekomarzał. Kapitan nie mógł się powstrzymać od uwagi:

- Ten... oficer niemiecki... ma bardzo swobodny sposób bycia...

- Korvettenkapitan Wieseirode - wyjaśniła. - W domu stara się być wobec nas miły. Jak na Niemca, zwycięskiego Niemca, zachowuje się zupełnie nietypowo.

W jej głosie był jakiś ton niezgodny z treścią słów. Oczy miała wciąż zaczerwienione i Szwed zaczynał wstydzić się swoich myśli sprzed chwili.

- Miły - powtórzyła. - I prawie nie pamięta się w jego obecności o tym, że po każdym wyjściu w morze wraca z jakimś okazałym trofeum na koncie. Pewnie niedługo dostanie Ritterkreuz. Jutro znowu wypływa.

- Zapewne swobodniej czuje się pani podczas jego nieobecności - powiedział niezręcznie.

- Och - potrząsnęła głową - przyzwyczailiśmy się już do niego.

Nie powiedział nic więcej na ten temat, znowu zбитy z tropu. Zaczął się pośpiesznie żegnać.

Odprowadziła go do drzwi, cicho zamknęła je za nim. Nie chciała, żeby w domu usłyszano, że wyszedł - pragnęła być jeszcze sama, mieć czas na zebranie myśli, na ponowne odczytanie listu męża. Wydał jej się prawie nierealny, był jakby z innego świata. Czytając go spostrzegła, że nie rozumie całych zdań. Pisany był w ojczystym języku, ale był to - obcy dla niej teraz - język wolności. Adam pisał:

"...staram się zarobić dużo pieniędzy, żeby ściągnąć was do siebie". Jak można było teraz "zarobić dużo pieniędzy", jak można było "ściągnąć" kogoś do siebie z tego obszaru niewoli i śmierci? I czy teraz chciała być już tam, a nie tu, gdzie była zagrożona wspólnym niebezpieczeństwem, ale w jakiś szczególny sposób nim nobilitowana?

- Heleno! - zawołała Marynka. - Co się z tobą dzieje?

- Musiała jednak słyszeć, że gość wyszedł, albo widziała go przez okno od kuchni, w której wszyscy zwykle siedzieli. W braku kieszeni pani Helena schowała dolary za rąbek stanika i poszła tam, ociągając się - musiała się zastanowić, co przekazać z tej wizyty, a co z niej zataić: Arno był w kuchni także, uważał się za domownika, choć nie był za takiego uważany.

- List od Adama - powiedziała, stając w progu. Powiedziała to po niemiecku, ta część rozmowy była przeznaczona także dla korvettenkapitana Wieseirode.

- Domyśliłam się tego - odpowiedziała po polsku Marynka. - Domyśliłam się, jak tylko Wisia powiedziała, że to Szwed.

- Kapitan Aka Förstrimi. Twój ojciec chyba także go znał?

- Nie wiem. Nie pamiętam. Myślisz, że rodzice mogliby także przez niego się odezwać? Na pewno są w Stanach. A prócz tego... ojciec chyba postanowił mnie ukarać... Czasem żałuję, że nie widzi, jak doskonale daję sobie radę. Skąd Adam pisze?

- Z Francji.

- Spod rządu Vichy?

- Tak. Ale przedtem był w okupowanej części Francji. Będzie starał się nas tam ściągnąć.

- Jak? - zawołała Wisia.

- Tego nie pisze. Mój mąż - zwróciła się po niemiecku do korvettenkapitana Wieseirode, który jak zwykle, gdy w jego obecności rozmawiały po polsku, czekał cierpliwie na przeznaczony dla niego fragment rozmowy - mój mąż, jak pan wie, wyjechał stąd w sierpniu z polecenia naszego rządu, miał zorganizować przewóz okrężnych dostaw broni...

Arno ledwie powściągnął uśmiech, ale na szczęście nie zauważyła tego.

- Dziś dostałam pierwszą wiadomość od niego.

- Mam nadzieję, że dobrą.

- Tak, dziękuję.

- Czy mogę przeczytać list od tatusia? - spytała Wisia.

- Oczywiście - odpowiedziała nie bez wahania. Tęsknota Tereszki wyrażona w nim była z gwałtowną namiętnością, ale uznała, że Wisia jest dostatecznie dorosła, żeby rozumieć te sprawy między rodzicami. - Masz, czytaj.

- Mój kochany ojczulek! - szepnęła Wisia, biorąc list do ręki. Stała przy oknie, żeby nikt nie widział jej twarzy.

- Przeczytaj i mnie - poprosiła Weronika.

- Dobrze, Weroniko, ale za chwilę.

- Mąż jest we Francji - powiedziała pani Helena do Arna.

- Daje sobie jakoś radę? - spytał ostrożnie.

- Och, mój mąż wszędzie daje sobie radę - prawie że się roześmiała, ubawiona przypuszczeniem, że Adam Tereszko mógłby się nie uporać z jakimiś trudnościami. A jednak były takie i właśnie próbował się z nimi zmierzyć.

- Jest... w wojsku?

- Nie. - I zaraz wyjaśniła, czując potrzebę wytłumaczenia tej sytuacji bardziej przed sobą, niż przed kimkolwiek:

- Nie taki już młody.

- Rozumiem.

- To znaczy... w sile wieku, ale... powołania nie dostał, zresztą... wyjechał przed mobilizacją.

- Rozumiem - powtórzył Amo Wieseirode.

- Obiecałaś mu, że zrobisz tort - odezwała się po polsku Marynka, żeby przerwać tę rozmowę. Pani Helena nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Wcale mu tego nie obiecywałam.

- Więc po co przyniósł migdały? Wiesz, że jutro wychodzi w morze.

- I mam to specjalnie uczcić?

- Heleno! - zniecierpliwiła się panna Blok. - Wiem, o czym myślisz. Wciąż sobie wyobrażasz, że mój kapitan Jazowiecki walczy gdzieś na wodach Morza Północnego albo Atlantyku i że może spotka się kiedyś z okrętem naszego współlokatora. Ja nie wyobrażam sobie takiego zbiegu okoliczności, tak samo jak nie wyobrażam sobie już... zresztą mniejsza o to - zamilkła na chwilę, zagryzła wargi.

- Moja droga - szepnęła pani Helena bezradnie. Sama spodziewała się, że Adam wspomni o Wołodi, ale najwidoczniej nic o nim nie wiedział.

- Nas powinno przede wszystkim obchodzić to - krzyknęła, nie panując nad głosem, Marynka - że na razie żyjemy przy naszym Niemcu jak u Pana Boga za piecem!

- Albo to my dla niego stanowimy ten piec.

- Znalazłby sobie jakiś inny, możesz być tego pewna, żeby grzać się przy nim po powrocie z morza, i to chyba bardziej... skutecznie. Bardzo cię proszę, nie zrażaj go i bądź mądra.

- Czyli że... mam zrobić ten tort?

- Tak sądzę. Zwłaszcza że i my mamy na niego ochotę.

Pani Helena uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Domyślałam się tego od początku - powiedziała, patrząc na Wisię, która czytała Weronice fragmenty z listu ojca.

- Mój Boże! - popłakiwała gospodyni, przypomnially jej się rydze, których Tereszko nie tknął przed wyjazdem.

- Co on tam je w tej Francji?

- Tato? - parsknęła Wisia. - Jestem pewna, że same najlepsze rzeczy.

-- Co ty mówisz? - zgorszyła się Weronika. Takie przypuszczenie, kiedy tu głodowano, wydało jej się prawie obraźliwe wobec chlebowawcy.

- Mówię ci - śmiała się Wisia - tato zawsze lubił smacznie zjeść.

- Przestań gadać głupstwa - skarciła ją matka - i przynieś mi książkę kucharską.

- Hurr! - zawołała Wisia. - Będzie tort!

- Tort? Torte? - powiedział Arno z nadzieją. Przysłuchiwał się wciąż rozmowie Polek pokornie i cierpliwie. To, że pozwalały mu zapomnieć o jutrzejszym wyjściu w morze, było dla niego najważniejsze. Był pewien, że gdyby dni między zadaniami bojowymi spędzał w domu lub tutaj z rodziną, ta myśl nie opuszczałaby go ani na chwilę. Dziękował losowi, że żona nie może zostawić szpitala wojskowego, w którym pracowała jako lekarka, że babka admirałowa nie kwapi się przyjechać z wnukami do tego

straszego Gotenhafen, który przedstawiał w listach w jak najczarniejszych kolorach. Ten dom i spędzone w nim dni między wyjściami w morze wydawały mu się prawie nierealne, ale czegoś takiego trzeba mu było, żeby zagłuszyć strach, do którego przyznawał się tylko przed sobą, a którego tylko te kobiety - bez ujemy dla niego - mogły się domyślać. Wisia przyniosła z góry książkę kucharską. Nie oddając jej matce, szukała przepisu na tort migdałowy.

- To ta książka po babce? - spytał sennie.

- Tak - odpowiedziała pani Helena - ta którą moja babka dostała jako prezent ślubny.

- Każde zdanie - odezwała się Wisia - zaczyna się od słów: Wziąć mendel jaj, dwa funty świeżutkiego masła...

- Och, nie dostałem jaj - zmartwił się Arno. -- W sklepie powiedziano mi, że jaja tylko na kartki.

- A co pan myślał? - odezwała się Weronika.

- Nigdy nie załatwiam zakupów, wikt mam na okręcie albo w kasynie. - Żył w pewnym oderwaniu od spraw lądowych i kiedy się z nimi stykał, nie mógł się oprzeć przykremu zdumieniu.

- Ale że też takiemu bohaterowi jak pan nie sprzedano

9 - Tak trzymać t. III

jaj bez kartek - powiedziała Marynka. Mówiła całkiem serio i nie mógł się na nią obrazić. - Ja, gdybym była ekspedientką, na pewno bym je panu sprzedawała.

- Dziękuję - uklonił się nisko, jednak przyjmując to za żart.

- A tu jest w przepisie czternaście jaj - prawie z płaczem zawołała Wisia.

- Zrobimy tort migdałowy według tańszego przepisu

- wmieszała się pani Helena. - Katalani się nazywa. Zobacz, ile trzeba żółtek?

- Katalani... - czytała Wisia. - Tylko sześć! - krzyknęła triumfalnie.

- A... są w domu? - szepnął Arno, patrząc na Weronikę.

- Jakbym czekała na to, co w sklepie dadzą - odpowiedziała - to by ich nie było. Ale Kaszubka spod Wejherowa przywozi mi co wtorek... Co ja bym Wisi dała jeść, jakby nie te świeże jajka? Ona musi się odżywiać, bo rośnie...

- Weroniko - przerwała jej Wisia - kogo to obchodzi? Gdzie jest młynek do migdałów?

- Najpierw trzeba je sparzyć, obrać ze skórki, obsuszyć i dopiero zemleć - powiedziała pani Helena.

- Ojej, tyle roboty!

- A jeść byś chciała? - spytała Weronika srogo, ale i czule zarazem.

- Och, jak ja lubię tort migdałowy! - przymknęła oczy Wisia.

- Mój skowronek.

- Ja ubiję żółtka z cukrem - zgłosiła swój akces do roboty Marynka.

Pani Helena przysiadła na stołku pod oknem.

- A co zostaje dla mnie?

- Dyrygentura.

Arno siedział i patrzył, jak krzątają się po kuchni, wciągał

w nozdrza woń wanilii i jakiegoś olejku, który miał dodać ciastu zapachu. Przypomniało mu się dzieciństwo - od dwóch lat tak odległe, jakby po tym, co teraz przeżywał w swoim morderczym okręcie, nie było do niego powrotu, jakby nie było do niego powrotu po wykonaniu zadań, które przed nim stawiano, a które - wiedział - będzie zawsze starał się spełnić z największą sumiennością. A zresztą... może nigdy nie miał takiego dzieciństwa? Nigdy nie przebywał w takiej kuchni, z tyloma kobietami...? W hamburskim, mieszczańskim domu, w którym się urodził i wychował, kuchnia była ogromna i zawsze zimna, wyłożona holenderskimi, lśniącościami czystością kaflami, a mężczyźni nie mieli do niej dostępu, nie przekraczali prawie nigdy progu tego królestwa, w którym panowały pospół matka i kucharka, stara frau Baumler, przeganiająca także dzieci z urzekającego ich różnymi pokusami pomieszczenia. O ile sobie przypominał, gotowanie i jadenie były bardziej obowiązkiem niż przyjemnością, widział siebie przy stole, w szkolnym mundurku, sztywno wyprostowanego pod zawsze badawczym i strofującym wzrokiem ojca, który z kupieckiego swego biura przynosił do domu cały zły humor i bolesne przeświadczenie, że oto rodzina jest jedyną przyczyną, dla której musi walczyć z przeciwnościami losu. Nie odważał się w tamtych latach powiedzieć, że coś mu nie smakuje, że nie ma na coś ochoty - wiedział, że matka nie weźmie go w obronę, w obecności ojca ustawały jakby jej wszystkie rodzicielskie prawa - jadł więc bez radości solidnie i zdrowo przyrządzone potrawy, nigdy nie był ich ciekaw, nigdy nie stanowiły niespodzianki. Teraz czekał na ciasto, które dla niego piekły obce kobiety, nienawidzące go zapewne podczas chwil szczerości przed sobą; nie mógł mieć im tego za złe, wiedział, że nie ma do tego prawa, i był im wdzięczny za poprawność stosunków. Przyglądał się im nie bez przyjemności, rzadko pozwalając sobie na dłuższe patrzenie na tę jedną, do której stale chciał powracać jego wzrok. Oczy już jej obeschły, ale wciąż było widać, że płakała - dlaczego płakała i dlaczego nie wyglądała na pocieszoną listem męża, na który czekała tak długo? Włosów nie miała dziś zaplecionych w warkocz, zwinęła je jakoś inaczej w ciężki węzeł na karku, przewiązany czarną aksamitką, lśniły jak zawsze granatowo, czarniejsze niż skrzydło kruka. Chciał jej powiedzieć, jak bardzo lubi patrzeć na jej pochyłona głowę, jak wzrusza go i czyni lepszym jej widok - ale nie mógł tego powiedzieć i odezwał się najbardziej niestosownie i niezręcznie, jak tylko było można:

- Gdyby nie jasny kolor włosów Marynki i Weroniki, myślałbym, że zajęliśmy już Kaukaz i jesteśmy w Gruzji. Pani Helena przez chwilę milczała, a potem powiedziała spokojnie:

- Jeszcze dalej.

- Dalej? - stropił się. - Gdzie dalej?

- W Armenii. Bo ja jestem Ormianką... wspominałam panu przecież, kiedy dziwił się pan, że włosy mam takie czarne, i oczy, i brwi, i rzęsy... kiedy podejrzewał pan, że jestem Żydówką...

- Och, nigdy nie przyszłoby mi to do głowy - zaprzeczył żarliwie.

- To by jednak wiele skomplikowało, musi pan przyznać. Nie, nie jestem Żydówką, pochodzę z ormiańskiej rodziny, od dawna osiedlonej w Polsce. Nie słyszał pan o uchodźstwie ormiańskim?

- Nie... niezbyt wiele.

- Rozsiane jest po całym świecie, wszędzie tam, gdzie Ormianie szukali schronienia i miejsca na nowe życie. Są takie nieszczęśliwe narody na świecie, którym sąsiedzi nie dają spokoju...

Amo poruszył się na krześle, nie przerwał jej jednak

- jakim słowem, jakim argumentem mógł jej przerwać?

- Na szczęście wszędzie przyjmowano nas z otwartymi ramionami, w Polsce także. Zachowaliśmy nasz odrębny kościół narodowy, nie słyszał pan o arcybiskupstwie i słynnej katedrze ormiańskiej we Lwowie...?

- Nie słyszałem - przyznał ze skruchą.

- Teraz miałyby okazję ją zobaczyć - bąknęła po polsku Marynka nad miską z żółtkami. Wisia obrzuciła ją błagalnym spojrzeniem.

- Zachowaliśmy nasz odrębny kościół - ciągnęła dalej pani Helena, nie zauważywszy tego - z własnym obrzędkiem i liturgią w języku ormiańskim, ale staliśmy się Polakami, nawet patriotami polskimi, ponieważ losy Polski zaczęły układać się podobnie i w uporze Polaków, walczących o swój kraj, odnajdowaliśmy własne uczucia.

- Mamo! - szepnęła znowu Wisia.

Matka zwróciła ku niej gwałtownie głowę.

- Przecież pan Wieseirode dobrze wie, że ani człowiek, ani naród w niewoli nie przestaje walczyć. Tak? - zapytała.

- Wie pan o tym?

Na twarzy mężczyzny, w napiętych policzkach, zaczęły grać mięśnie.

- Tak? - zapytała jeszcze raz.

- Tak - odpowiedział.

Zamilkli obydwaj, ale patrzyli na siebie - ona, przestraszona, że wymogła na nim to wyznanie, on z uczuciem, że była to jedyna chwila intymności, jaką obdarzyła go ta kobieta.

- No! - zawołała Marynka, dopiero teraz zaniepokojona. - Te żółtka mają chyba dosyć. Ręka mi zemdlała!

Był to moment najbardziej właściwy, żeby przerwać rozmowę. Na szczęście i Weronika z Wisia skończyły mielenie migdałów, pani Helena mogła więc zająć się przyrządzaniem tortu. Piekarnik grzał się już, a wysmarowana masłem i wysypana bułeczką forma czekała, żeby ją napełnić pachnącym ciastem.

- To będzie coś wspaniałego! - cieszyła się, nieledwie podskakując, Wisia. Miała już prawie szesnaście lat, wyrosła na zachwycającą dziewczynę, ale wciąż rozpieszczana przez Weronikę, teraz - w obliczu tylu niebezpieczeństw - jeszcze bardziej niż kiedykolwiek, zachowała wiele cech dziecka. Jedynie nowe, nader poważne obowiązki - jakich się podjęła razem z Julitką - przypominały jej, że już nim nie jest. Rozpacz ogarniała ją niekiedy wobec nikłych efektów wszystkich usiłowań, podejmowanych tylko w najbliższym kręgu - korvettenkapitan Wieseirode był jej jedyną nadzieją. Dowiedziała się już, jak nazywa się teść admirał, gdzie

przebywa i czym dowodzi, nie wyobrażała sobie jednak, żeby mogło to mieć jakiegokolwiek znaczenie. O swoich morskich wyprawach zaś Amo raczej milczał, wiedziała dlaczego, ale nie było sposobu, żeby w domu jej matki i w jej obecności snuł zwierzenia na ten temat. Tymczasem Julitka owijała już wokół palca chłopaków ze Schleswiga-Holsteina, mówili jej o ćwiczebnych rejsach, a Leo Benbeneck - zapewne w nadziei, że przekona ją do narodowego socjalizmu - usiłował imponować jej planami akcji Hitlerjugend. A ona - tak - ona miała tylko tego przedziwnego, domowego Niemca, który cały czas na lądzie spędzał w ich kuchni, nie tęskniąc do kasyna i damskiego towarzystwa. Przysiadła się do niego, uśmiechnęła się najśliczniejszym uśmiechem. Wprawdzie dotąd tylko Weronika twierdziła, że jest najśliczniejszy, ale właśnie nadeszła pora, żeby wypróbować go na kimś innym.

- O czym pan myśli? - zagadnęła.

Sprawiał wrażenie zbudzonego ze snu. Jego bardzo jasne, przenikliwe zwykle oczy utraciły swoją ostrość.

- Ach, o niczym.

- Pewnie o jutrzejszym rejsie.

Podniósł ręce, zatrzepotał nimi, jakby coś od siebie odpędzał.

- Nie, nie, nie, tylko nie o tym.

- Dajże panu spokój - powiedziała Marynka.

- Przecież musi pan myśleć - brnęła Wisia dalej

- skoro jest pan dowódcą. A wie pan przynajmniej, dokąd pana poślą?

- Tego na szczęście naprzód się nie wie.

- Dlaczego "na szczęście"? - spieszyła się Wisia.

Korvettenkapitan nie myślał jednak o jej zbytniej ciekawości.

- Bo są miejsca gorsze i lepsze - odparł. - Choć tych ostatnich prawie już nie ma.

- Już nie ma?

- Wisiu! - upomniała po raz drugi Marynka.

Kiedy w całym domu rozchodziła się woń dopiekającego się tortu, u drzwi zadzwieczał dzwonek.

Poszła otworzyć Weronika i wróciła z dziwnym wyrazem twarzy.

- Pani Grabieniowa z matką.

Pani Helena zerwała się.

- Łucka? Poprosiłaś do pokoju?

- Tak.

Pobiegła tam w nadziei na dobrą nowinę, ale chustka przy oczach Łucki od razu nadzieję rozwiała.

- Co z Krzysztofem? - szepnęła.

- Jest w Stutthofie - wyjąkała Łucka. - przysłał kartkę.

- Przysłał kartkę... - powtórzyła pani Helena, jakby w tej sytuacji mógł mieć jakieś znaczenie fakt, że nie ona otrzymała tę wiadomość.

- Przysłał kartkę do Anuli. Bo tylko do najbliższej rodziny wolno wysyłać, a on został zabrany z Połczyna i uchodził tam za jej męża. Nie wiedzą widocznie, na szczęście...

- Na szczęście.

- Szkoda, że nie poszedł do niewoli - wmieszała się Konkowa. Zmizerniała ostatnio i wychudła, ale nie opuszczała jej dawna energia. - Paczki by mu się posyłało co miesiąc, a i od Czerwonego Krzyża podobno coś dostają, jakoś by przeżył.

- Kto wie, co się jeszcze może stać z tymi jeńcami - szepnęła pani Helena.

- Co zrobimy? - zapytała cicho Łucka. Zapomniała, że była zazdrosna z powodu tej kobiety, nieszczęście obudziło w niej dawną ufność, że tylko ona może im pomóc.

- Przede wszystkim musimy mu wysłać jedzenie. Na szczęście mam pieniądze. Otrzymałam przez jednego ze szwedzkich kapitanów sto dolarów od męża...

- Dolarów? - ożywiła się Konkowa.

- My także mamy pieniądze - ostro przecięła tę ciekawość Łucka. Nie o taką pomoc jej chodziło. Jedzenie mogła wysłać Krzysztofowi sama, nie musiała się z nikim dzielić tym przywilejem. Tylko o niej będzie myślał, jedząc to, co będzie w paczce. - Nie tylko o paczkę chodzi

- powiedziała ostro i nieprzyjemnie, jakby nie miała za sobą dwudziestu lat biurowego szlif i wciąż jeszcze biegła na bosaka z rybami. - Paczkę to ja mogę wysłać mu sama.

- I nagle zapłakała, zanosząc się głośnym szlochem.

- Wyrwać... wyrwać trzeba go stamtąd...

- Jak?-jęknęła pani Helena.

Konkowa zaczęła ostrożnie:

- Myślałyśmy, że może pani kogo zna...

- Ja?

- A jeśli nie pani, to może... może on...?

- Kto?

- Ten pani Niemiec... Ten Niemiec, co u pani mieszka...

Pani Helena zamyśliła się smutno. Wiele było przy okazji tej rozmowy do przemyślenia, ale ona myślała tylko o jednym.

- Nie znam nikogo - szepnęła. - Nikogo.

Konkowa nie odważyła się już wspomnieć o Niemcu.

Siedziały i patrzyły na siebie bezradnie, pani Helenie wydało się jednak, że w oczach tamtych kobiet jest także cień jakiejś pretensji. Powiedziała więc, niepotrzebnie się jakby z tego tłumacząc:

- On także nikogo nie zna. Kiedy wraca z morza, jeśli okręt nie jest na przeglądzie, przez cały dzień siedzi w domu.

- Tutaj? - spytała Konkowa.

- Tutaj.

- Nie gra z nikim w karty? Nikt do niego nie przychodzi?

- Nie, Czasem... ktoś z okrętu. W jakichś służbowych sprawach...Tu trzeba by znać kogoś z SS albo z gestapo.

Kriegsmarine nie ma nic do tych spraw.

- Tak, Kriegsmarine zabija tylko na morzu - powiedziała twardo Łucka.

Konkowa pociągnęła nozdrzami.

- Co to tak pachnie?

O, Boże! - pomyślała pani Helena. - Tort się przypala!

A ci w kuchni tego nie czują! Gadają pewnie i nie czują!

-- Ciasto pachnie - odpowiedziała z poczuciem ogromnej, przytłaczającej winy.

- Ciasto?
- Ciasto.
- No to my już pójdziemy - powiedziała Konkowa.
- Myślałyśmy, że pani kogo zna..
- Nie znam... nie znam nikogo - szepnęła z rozpaczą.
- Ale muszę coś zrobić... muszę coś wymyślić... muszę!
- Ciasto się pani przypali - powiedziała Łucka, wstając. - Ja także będę próbowała coś zrobić.
- Ale co? Co? Może wspólnie...?
- Nie - potrząsnęła głową. - To mogę zrobić tylko ja sama. - I już wiedziała, że to zrobi. Pomyślała o tym po raz pierwszy i choć głęboki, wbijający się w sam środek serca ból towarzyszył tej myśli, była pewna, że już z niej nie zrezygnuje, że już nie zrezygnuje z tego postanowienia. - Do widzenia - powiedziała, nie zwracając głowy ku pani Helenie.

Ta pobiegła za nią do przedpokoju.

- Ależ nie możemy się tak rozstać. Musimy porozmawiać, musimy coś obmyślić... Ta kartka ze Stutthofu to w gruncie rzeczy dobra wiadomość, bo przecież bałyśmy się... bałyśmy się najgorszego...
- Ciasto się pani przypali - powtórzyła Łucka. Wyszła. Za nią Konkowa. Cicho zamknęła za sobą drzwi.
Pani Helena stała przez chwilę w przedpokoju, ogłuszona wszystkim, co przeżyła przed chwilą: wiadomością, rozmową, pożegnaniem, a właściwie brakiem pożegnania... Wszystko, o czym mówiły te kobiety, było głupstwem wobec sytuacji Krzysztofa, wobec grożacej mu w każdej chwili śmierci. Ogarnęła ją panika. Liczyły się minuty i godziny, trzeba było coś przedsięwziąć, trzeba było... Co? pomyślała z rozpaczą. Co trzeba było? Mogła tylko walić głową o mur, wszystko inne odniosłoby zapewne ten sam skutek.

Skierowała się ku schodom na górę, żeby jak najprędzej znaleźć się w swoim pokoju, nikogo nie widzieć, z nikim nie rozmawiać - ale oni wszyscy stali w drzwiach kuchni, czekali na nią, nie zdejmowali z jej twarzy zaniepokojonych oczu.

- Jakaś... zła wiadomość? - spytał Arno cicho.

Spojrzała na niego z nienawiścią.

- A pan sądził, że otrzymujemy dobre?

Cofnął się, pobladł.

- Jednak przed godziną.-- powiedział- choćby przed godziną... ten list od męża...

.. - List był z Francji! - krzyknęła. - Z południowej Francji! Stamtąd, gdzie was jeszcze nie ma!

- Mamo! -jęknęła Wisia. - Przestań! Bądź rozsądna!

Chodź, zobacz, tort się trochę przypalił.

Podniosła w górę ręce, zacisnęła pięści.

- Dajcie mi wszyscy święty spokój!

XIV

Pilnował ich od samego rana.

Krążył wokół okrętu, oddalał się na jakiś czas, odpędzany bombami głębinowymi, ale wracał i znów zbliżał się do Błyskawicy.

- Niech go szlag trafi! - klęli. - W taką pogodę mogłby siedzieć w domu! - Z wściekłości zapominali, że

szalejący od kilku dni na Atlantyku sztorm nie jest tym samym dla okrętu podwodnego, co dla okrętów nawodnych. Śmiertelnie zmęczeni walką z morzem, musieli dobywać ostatnich sił, gdy zjawiał się jeszcze jeden przeciwnik, równie niebezpieczny i zjadły.

Od dwóch tygodni - po rocznym postoju w stoczniach w Greenock, Glasgow i Coves, po remontach i gruntownym przebrojeniu, a także po miesiącu ćwiczeń w Scapa Flow - chodzili w rejsach eskortowych z Greenock do Reykjavíku w Islandii.

O tej porze - a był to styczeń czterdziestego drugiego roku, kiedy na wschodzie, na zaśnieżonych i ściętych mrozem stepach rosyjskich niemiecka armia, od szeregowych po generałów, wspominała Napoleona - tu, na północnym Atlantyku, wrogami aliantów były nie tylko niemieckie torpedy i bomby, ale i sztormy zimowe, niezmienne groźne i zaciekle.

Kiedy tony wody waliły się na okręt, kiedy przechyły sięgały sześćdziesięciu stopni i załogę ogarniała panika, aby znów nie zaciął się ster, co zdarzyło się dwukrotnie: w grudniu poprzedniego roku i, mimo remontu w stoczni w Greenock, na początku lutego, kiedy wszystko na okręcie drżało, trzeszczało, groziło pęknięciem lub oberwaniem - pojawienie się bombowców w górze lub peryskopu okrętu podwodnego na powierzchni morza było jeszcze jednym śmiertelnym niebezpieczeństwem.

Obciążona tonami wody Błyskawica poderwała się do unikowego zwrotu. Za rufą rozległy się trzy głuche wybuchy. Drugi unik, jak skok ociężałej, zataczającej się, pozbawionej sił krowy, ale następne torpedy przeszły jednak przed dziobem okrętu.

Jeszcze nie teraz!"- pomyślał Wołodia; ciepła, obezwładniająca ulga rozpływała się w piersiach. Jeszcze nie teraz! - myślał każdy na okręcie. Śmierć przechodziła obok, ale owiewał ich jej oddech. Błyskawica była szczęśliwym okrętem, wiele jednak "szczęśliwych" do jakiegoś momentu okrętów leżało na dnie mórz i oceanów, gdy chociaż na chwilę odwróciło się od nich szczęście.

Wołodia od wielu godzin nie opuszczał posterunku kierowania ogniem. Chował głowę głęboko w podniesiony kołnierz płaszcza, miał oszronione brwi i rzęsy, nawet dwudniowy zarost pobielał mu na brodzie. Tak jak wszyscy na okręcie, pragnął snu i odpoczynku. Najkrótszego chociażby, o dłuższym nie było nawet co marzyć. Po rocznym przestoju, kiedy właściwie znudziło im się już i spanie, i wysiadanie w różnego rodzaju pubach Greenock, Glasgow i Coves, włączono ich w służbę ostro; chodzili niczym tramwaj z Greenock do Reykjavíku i z powrotem, eskortując głównie transportowce, załadowane wojskiem, nawet Queen Elizabeth z kilkoma tysiącami żołnierzy na pokładzie - cała załoga Błyskawicy była dumna, że jej przypadł ten honor. A teraz z całym tym honorem na bojowym koncie mogli pójść na dno, pogrążeni w rozszalałych falach przez sztorm albo przez którąś z torped, miotanych wciąż przez zjadłego Niemca.

Ustrzelić wreszcie tego sukinsyna, myślał Wołodia, i wprowadzić to stadko gęsi, jakim zawsze wydawały mu się

eskortowane statki, na bezpieczną łączkę rzeki Clyde, której ujście wiodło do Greenock - wejść do portu i zwalić się na kaję, zwalić się na kaję bez myśli i czucia, jak śmiertelnie znużone zwierzę.

Ale Niemiec nie dawał się ustrzelić. Niebo było od kilku godzin czyste, w niskim pułapie chmur nie pojawił się ani jeden bombowiec i gdyby nie ten uparty, obszczekujący ich dookoła torpedami jamnik, mieliby tylko jednego przeciwnika - w szalejącym wciąż oceanie. Wiała co najmniej dziesiątka, mroźny sztorm siekł w twarz, zwał z nóg, najszczelniejsze ubranie przewiewał jak gazę.

Wołodi nedorzecznie zamarzył się zaciszny fiord Salt z uroczym, przeznaczonym jakby dla lalek ze sklepu pani Bjemsen, miasteczkiem, w którym, nie wchodząc zbyttnio Niemcom w oczy, mógłby klepać pacierze pod okiem teścia pastora. Ale jakoś nie Harriet jawiła mu się we wspomnieniu, ale surowa dla siebie, a równocześnie podniecająco sobą przestraszona pani Bjemsen, do której dostępu broniła mu wdzięczność dla jej męża. W kwietniu czterdziestego roku Błyskawica penetrowała fiord Salt, widział wtedy Bodę jak na dłoni, i prawie był tam, pośród domków krytych czerwoną dachówką, i w jednym z nich, ozdobionym okazałym szyldem "Sportartiklen". Kiedy już przy wyjściu z fiordu napotkali mały kuter rybacki, zdawało mu się, że wśród przerażonej załogi, pewnej, że natknęła się na Niemiec-ki okręt, widzi pobladłego Eryka Bjernsena. Ale to oczywiście nie mógł być on, ze stoczni w Bodę nie wychodzono już chyba wtedy w próbne rejsy - po prostu przywidział mu się, ponieważ zbyt często o nim myślał z niejasnym poczuciem winy...

Peryskop u-boota wynurzył się z grzbietu fali, jak przeraźliwie sterczące, osobne oko jakiegoś podwodnego gada. Poszły rozkazy na ster i do maszyn. Błyskawica poderwała się do wyćwiczonego dobrze we wszystkich poprzednich akcjach manewru. Ale unikowy zwrot ustawił okręt burta do fali - wszystko, co nie było umocowane na okręcie, opuściło swoje dotychczasowe miejsce, podskoczyło, przesunęło się, potoczyło, uderzyło w ścianę, która nagle stała się podłogą, znikło w brudnozielonej wodzie, zalewającej wszystkie pomieszczenia. Na pomostach i pokładzie ludzie wczepili skostniałe z zimna dłonie w oblodzone żelazo, broniąc się przed zmyciem i zagarnięciem przez fale. Torpedy u-boota przechodziły za rufę okrętu, ale nikt nie odnotował tego ze zwykłą ulgą, wszyscy myśleli teraz o jednym: czy okręt oderwie się od fali, czy dźwignie się i wyprostuje, czy nie nakryje go druga fala, sunąca jak ruchoma góra o poszarpanych, ostrych szczytach białej piany... Wydawało się, że na całym okręcie mimo pracy maszyn zapanowała cisza. Od kabiny asdicu na samym dnie po pomost dowódcy nikt się nie poruszył, nikt się nie odezwał, cała załoga wstrzymując oddech - czekała. Błyskawica, bezwładna i nieruchoma jak pokonany człowiek, którego opuściły siły, zebrała jednak ich ostatek i zaczęła wolno wracać do pionu. Woda spłynęła w szpigaty po przeciwnej burcie, jej bulgot wydał się wszystkim najradośniejszym dźwiękiem, który mogli usłyszeć na okręcie - a zaraz po nim rozległy się meldunki ze wszystkich dział, zawiadamiające dowódcę, że nikogo nie

zmyła fala, i liczenie statków konwoju, szczęśliwe liczenie, uspokajające liczenie: żadnego nie ubyło...

W tym wszystkim zapomniano o u-boocie, ale na krótko tylko, bo on gdzieś tu był i nie zapomniał o nich, tego mogli być pewni. Choć sztorm trwał, dowódca wydał rozkaz wysunięcia oscylatora asdicu i rozpoczęcia nasłuchu. Od ujścia rzeki Cłyde dzieliło ich już tylko trzydzieści mil i wolał ryzykować oberwanie oscylatora niż storpedowanie okrętu. Jakoż po chwili nasłuch zameldował echo w namiarze, uporczywy towarzysz wciąż nie rozstawał się z nimi. Udało się go przepłoszyć dopiero wczesnym popołudniem; nie zaczął jeszcze zapadać rychły styczniowy zmierzch, gdy radio, ustawione na częstotliwość Niemca przekazało jego podniecony meldunek, skierowany do dowództwa flotylli: "W kwadracie Bruno-Max utraciłem kontakt z konwojem. Prowadzę poszukiwania. Ul".

Wołodę od rana denerwował ten głośnik, włączający ich we wszystkie działania na niemieckim okręcie, choć zdawał sobie sprawę, jakim jest dobrodziejstwem - teraz jednak pobłogosławił w myślach radiotelegrafistów, których dziełem był ten podsłuch. Kiedy nadleciały samoloty, cała artyleria przeciwlotnicza gotowa była do strzelania i Niemców zdumiał chyba fakt podniesienia wszystkich luf w niebo; nie wiedzieli, że okręt, który mieli zaatakować i posłać na dno, to przezbrojony w Coves polski niszczyciel, nazywany odtąd ze względu na nowe działa przeciwlotnicze, ich kaliber, a także maksymalny kąt wzniesienia Antiaircraft Cruiser. Ten "krążownik przeciwlotniczy" -jeszcze zanim otrzymał oerlikony - zestrzelił cztery samoloty nieprzyjacielskie, teraz siła ognia miała być jeszcze skuteczniejsza. Wciąż rozhuśtany ocean uniemożliwiał jednak celność posyłanych w górę serii, strzelali więc głównie ogniem zaporowym, nie dopuszczając samolotów do konwoju.

Ci ludzie tam w górze, myślał Jazowiecki, nie odejmując zgrabiających z zimna palców od lunety, przyciśniętej do oczu, ci ludzie w górze... Co myślą, co czują, kiedy usiłują nas zabić? Nie mieliby chyba na to odwagi, gdyby spotkali się z nami twarzą w twarz, gdyby zabijać trzeba było z bliska - uderzyć, pchnąć, poczuć pod palcami ustępujące, ciepłe, mokre od krwi ciało. Ale oni zabijali z daleka, a z daleka zabija się łatwo, nie czując osobistej odpowiedzialności za zabijanie, doznając niejako rozgrzeszenia odległością i tym, że nie widziało się twarzy, nie widziało się oczu skazywanych na śmierć. Czy oni jednak zabijali tylko z daleka? Czy nie przypisywał im swoich uczuć, swoich myśli? List, który okrężną jakąś drogą dotarł do Londynu z Polski, donosił o zbrodniach, na jakie nie ważyła się dotąd ludzkość. A więc umieli zabijać także, patrząc w oczy zabijanym...

Samoloty niemieckie przepadły za zachodnim skrajem horyzontu, ale gdy kapitanowie eskortowanych transportowców zaczęli już dziękować za skuteczną obronę, powróciły znów, w silniejszym składzie, widocznie wezwano pomoc z baz w Norwegii. Junkersy zdecydowały się teraz na atak, ogień zaporowy już ich nie odstraszał, uniemożliwiał jednak celne bombardowanie.

- Cała naprzód! Prawo na burtę! - dowódca rozpoczął sławne swoje uniki, dzięki którym Błyskawica wyszła z nieje-

dney opresji.

Bomby padały przy burcie, za dziobem i za rufą, żadna nie trafiła w pokład podczas tego tańca; zrzućane były z dużej wysokości, oerlikony nie pozwalały im się zniżyć. Wołodia jakby wreszcie zasiadł przy Bechsteinie po długich latach grania na instrumencie, z którego nie mógł wydobyć właściwego tonu. Bez żalu myślał o zdemontowanych Boforsach - już przy wysokości czterech tysięcy samoloty szły ponad ich zasięgiem i nic nie można było im zrobić, teraz wzniesione wysoko lufy zagarniały całe niebo i tamci w górze od razu to ocenili.

Ale nie odlatywali. Artylerzystom mdlały ręce, mdlały ręce tym, którzy nie odejmowali od oczu lornet - lotowi każdej bomby towarzyszyło już nie przerażenie, ogarniające wszystkich na okręcie podczas pierwszych miesięcy wojny - ale zimna, opanowana uwaga, której celem była właściwa ocena linii spadania, prostej lub odchylonej - zanim na ster, do maszyn i do dział poszły właściwe komendy.

Trwało to do zmierzchu i pierwszej mgły przybrzeżnej, którą parowało morze w zetknięciu z bliskim lądem. Samoloty jeden za drugim zapadły w zachodnią stronę nieba. Dalmierzyści na polecenie dowódcy okrętu zaczęli liczyć statki konwoju.

- Są wszystkie! - zameldowano.

Dowódca zwrócił się teraz do załóg dział.

Meldowały się po kolei - ogromna ulga, ulga szczęśliwego powrotu ogarnęła okręt.

Spać! - myślał Wołodia. Pół szklanki rumu, pół gorącej wody - i spać! Płaszcz miał sztywny od zamrożonej na nim wody, ręce ciężkie i zgrabiałe, nóg prawie nie czuł, były tak samo zimne jak żelazo pomostu, na którym przebywał od wielu godzin. Gdzieś na świecie były ciepłe domy, przy stołach w jasnym świetle lampy siedziały dzieci i kobiety, gotowano kolację, mówiono pacierze... - tu była okrutna, pusta i przerażająca samotność mężczyźni, którzy prowadzili wojnę, którzy musieli prowadzić wojnę, tylko dlatego, że nikt nie przewidział w porę, do czego może doprowadzić... Nie! - przerwał sam sobie. Nie myśleć o niczym, spać! Spać i nie budzić się ani razu w ciągu nocy! Nie mieć snów i nie pamiętać wczorajszego dnia po przebudzeniu...

Kiedy byli już w porcie, ze zdziwieniem obserwował przygotowania załogi do wyjścia na miasto - twarde to były chłopaki, ci Polacy! Nie tak łatwo było ich zwalić z nóg, zwłaszcza gdy wchodzili do znajomego portu, a w Greenock spędzili w sumie ponad dwa lata i prawie każdy - tak samo jak w Coves, gdzie dokonywano przebrojenia okrętu - miał tu swoją dziewczynę. Tylko w skalistym i nieprzytulnym Scapa Flow nikt na nich nie czekał, i jedynie owce przyglądały im się sennie, gdy w ostatecznej rozpaczy udawali się na spacer w ciągnące się wzdłuż zatoki wrzosowiska. Tutaj nawet Grześ miał dziewczynę, nabrał ogromnej pewności siebie, gdy po rocznym noszeniu na rękawie i naramiennikach jednego paska otrzymał wreszcie drugi i ze starszego marynarza stał się matem, a więc już "kimś" na okręcie - pociągało to za sobą konsekwencje w zmianie sposobu bycia: dziewczyna była jedną z nich. Miała na imię Emiły i wystające nieco górne zęby, co najwidoczniej nie

tylko zdaniem Grzesia przydawało jej jeszcze wdzięku - na angielskim destroyerze pływał "prawdziwy" narzeczony Emilki. Przyznawała się do tego otwarcie i nawet z pewnego rodzaju dumą, nie wiadomo dlaczego pewna, że obydwaj destroyery - polski i angielski - nie zawiną do portu równocześnie. Grzesz natomiast nie przestawał o tym myśleć, ledwie kończyła się walka na okręcie, popadał w innego rodzaju bojowy nastrój.

- Żeby będzie zbierał! - odgrażał się nieznanemu rywalowi, któremu wszakże zawdzięczał wiele satysfakcji: godzinami opowiadał chłopakom, jak wielkie powodzenie ma jego Emilka.

Zwykle przed wyjściem na ląd wpadał do Wołodi, żeby mu się pokazać w wyjściowym mundurze. Ale dziś nie to było powodem gwałtownego wtargnięcia do kabiny kapitana.

- Melduję - zawołał w drzwiach - że ma się pan zaraz zgłosić u oficera dyżurnego portu.

- Ja? - zdumiał się Wołodia. Zdejmował właśnie buty, zwalczywszy w sobie pragnienie, żeby zwalić się w nich na kolę. Czuł się stary i znużony. - Zwariowałeś chyba?

- Nie zwariowałem, panie kapitanie. 'Sygnalista z punktu obserwacyjnego w porcie przekazał to polecenie.

- I nic więcej?

- Owszem, że jest jakaś wiadomość dla pana.

- Wiadomość? - powtórzył. Ręce mu się trzęsły, gdy zawiązywał sznurowadła. Wiadomość... Skąd? Od kogo?

Wydawało mu się przed chwilą, że zdolny jest tylko paść na posłanie, ale teraz biegł do trapu, a potem nabrzeżem, biegł, starając się opanować podniecenie, i zdyszany zameldował się u oficera dyżurnego portu. Skierowano go do jednego z pokoi w długim i ciemnym korytarzu, gdzie siedziała za biurkiem dziewczyna z Pomocniczej Służby Kobiet.

Wymamrotał swoje nazwisko.

- Miałem się zgłosić... Jest jakaś wiadomość dla mnie...

Dziewczyna nieznacznym ruchem poprawiła po męsku przycięte włosy. Patrzyła na niego długo, zanim powiedziała:

- Cieszę się, że szczęśliwie weszliście do portu. Od dwóch dni czeka ktoś w Greenock na pana.

- Kto? - wykrztusił.

- Briffaut - Angielka z trudem i zniekształceniem wymówiła francuskie nazwisko. - Wciąż tu przychodzi.

Konieczność chce się z panem zobaczyć.

Wołodi fala wściekłości przesłoniła oczy. Briffaut! Czego mógł chcieć od niego Briffaut?

- Proszę powiedzieć temu panu - odrzekł, nie panując nad sobą - że nie wróciłem z morza. Że mnie ustrzelili... Że zmyła mnie sztormowa fala. Proszę powiedzieć temu panu...

- Ależ to jest pani... - zdołała wtrącić w ten potok słów.

- Kto?

- Pani Briffaut. Przybyła do Greenock tylko na trzy dni i dwa już jej upłynęły na czekaniu. - W głosie wrenki zabrzmiała jakaś miękkość, współczucie, odbity w tych słowach żal drugiej kobiety.

- Pani Briffaut - powtórzył.

- Tak, pani Anette Briffaut z Komitetu Wolnej Francji.
Czeka na pana w hotelu "Old Captains' Haven".

- W hotelu "Old Captains' Haven"... - powtórzył.

- Sea Street numer sześć. Może pan zapisze...?

- Dziękuję. Zapamiętam.

- Niech pan tam zaraz idzie - powiedziała wrenka
z coraz bardziej intymną miękkością w głosie. - Obiecałam
tej pani...

- Ależ idę natychmiast! - krzyknął. - Dziękuję pani

- dodał po chwili.

- Miło mi, że mogłam wam pomóc - odpowiedziała
dziewczyna i choć uśmiechała się przy tym, był w jej głosie
jakiś szczególny ton smutku.

Zamknawszy za sobą drzwi, dotknął palcami brody. Nie,
w tym stanie nie mógł się pokazać na Sea Street. Potracając
w pośpiechu zdumionych Anglików, wpadł na okręt. Grześ
czekał na niego przy trapie. >J

- Nic złego? - zapytał.

- Nie - uspokoił go. - Dlaczego miałoby być coś
złego?

- Bo wojna... i przychodzą tylko złe wiadomości.

Uścisnął go, aż chłopakowi zatrzęszczały kości.

- A jednak są i dobre! Czeka ktoś na mię!

- Chyba połamiał mi pan kapitan żebra -jęknął Grześ.

- Emilka ci je wyprostuje! - uśmiechnął się do niego
i popchnął go w stronę wyjścia. - Idź! Śpiesz się! Marynarz
zawsze ma za mało czasu. Na wszystko. A co dopiero na
miłość.

Grześ zawahał się.

- Nie poczekać na pana kapitana?

- Nie. Muszę się umyć i ogolić, a to potrwa.

Przede wszystkim chciał być sam. Musiał być sam, żeby
rozgrzeszyć się z radości, która rozsadzała mu piersi. Był
pewien, że już raz na zawsze skończył z Anetką Briffaut, że
nie chce jej więcej widzieć na oczy - a oto wariował ze
szczęścia, że ona tu jest, że za chwilę ją zobaczy, usłyszy jej
głos, weźmie w ramiona. Golił się i mył pośpiesznie,
zastanawiając się, skąd się tu wzięła, w jaki sposób wydosta-
ła się z okupowanego Paryża? Wyjął z szafy wyjściowy
mundur, przed włożeniem wyczyścił go starannie, przyjrzał
się krytycznie kantom spodni, ale nie było teraz czasu na ich
prasowanie. Przed wyjściem jeszcze raz przejrzał się w lustrze
i roześmiał się głośno na widok swojej podnieconej i od-
młodzonej twarzy. Jedno przywołanie, myślał bez pogardy
dla siebie, jeden znak i biegnę, i nie wstydzę się tego, i jestem
szczęśliwy, że mnie zawołała. Co znaczą w takiej chwili
wszystkie skrupuły? Ludzie samotni nie mają skrupułów,
gdy ktoś pragnie im ofiarować swoją najkrótszą choćby
obecność.

"Przystań Starych Kapitanów" była blisko portu, Anetka
wybrała ten hotel chyba tylko z tego względu, innych zalet
nie miał, Wołodia ledwie zwalczył przygnębienie, które go
ogarnęło na widok obdrapanej sieni, rozjaśnionej nikłym
światłem, i małego hallu poza nią, gdzie przy tablicy na
klucze urzędował zaspany recepcjonista.

W pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi
niecierpliwemu oficerowi, przypatrywał mu się z wyraźnym

brakiem sympatii i dopiero podniesiony głos mężczyzny przywrócił mu przytomność.

- Pani Briffaut? Ta Francuzka?

- Francuzka!

- Dlaczego pan od razu nie mówił? Czeka na pana od dwóch dni.

- Skąd pan wie?

- Bo wciąż pyta, czy ktoś do niej nie przychodził. Nawet na kolację bała się wyjść i jadła suche bułki tam na górze. Jednym skokiem pokonał schody. Odnalazł drzwi pokoju, oznaczone numerem siódmym (do końca życia, myślał, będę uważał siódmkę za szczęśliwą cyfrę), ale zapukał nie od razu. Zwilżył wargi końcem języka, przełknął ślinę, cicho odchrząknął. Zdjęta z głowy czapka wydała mu się jakoś niezręcznie przyciśnięta do boku, przełożył ją do drugiej ręki. Westchnął. Przymknął oczy. I może nawet przeszeptał szybko początek pacierza.

Zapukał.

- Entrez! - krzyknęła natychmiast. - Entrez!

Nacisnął klamkę, pchnął drzwi.

Siedziała półleżąc na łóżku, przykryta płaszczem, mała jakaś i skurczona, ale gdy stanął na progu; zerwała się od razu i podbiegła do niego. Nie zdążył jej się nawet przyjrzeć, spojrzeć w oczy, przytulił twarz do jej twarzy, dysząc, jakby długo biegł i wreszcie znalazł się w miejscu, w którym będzie mógł odpocząć.

- Musiałam przyjechać - szeptała. - Musiałam cię zobaczyć.

- Dziękuję. Och, dziękuję!

- Tak się bałam! Rozstaliśmy się w gniewie.

- Nie w gniewie- zaprzeczył gorąco.

- Ale niedobrze, rozstaliśmy się najgorzej, jak było można.

- To wszystko głupstwa. Niczego nie pamiętam.

- Nie pamiętasz?

- Nie.

- Musimy być razem, musimy być razem, dopóki żyjemy.

, - Tak - powiedział cicho. - Musimy!

Deszcz ze śniegiem uderzał miękko w blaszany parapet okna, jacyś ludzie chodzili korytarzem, ktoś coś krzyczał, ktoś się śmiał, ktoś kogoś o coś prosił, wzywając Boga, a później recepcjonistę na świadka, przepływało to wszystko obok nich niby odległe brzegi rzeki, która niosła ich swoim nurtem, gwałtowna, odbijająca słońce grzbietem fali, oślepiająca i szybka.

- Naprawdę tu jesteś? - zapytał i nawet własny głos wydał mu się majaczeniem przez sen.

- Jestem.

- Należało mi się już coś od losu - powiedział cicho.

- Za te wszystkie dni na morzu.

Przytuliła się ciałniej.

- Przez cały czas gromadziłam wszystkie wiadomości o twoim okręcie. I znalazłam cię aż tutaj. W dowództwie powiedziano mi, kiedy przyjechałam, że za dwa dni wchodzi cie do portu.

Skąd ta pewność? - pomyślał sennie. - Skąd ta pew-

ność?

Przypomniał sobie nagle, że nie zapytał jej nawet, skąd się wzięła w Anglii, w jaki sposób wydostała się z Paryża.

- A ty? - zapytał po chwili bez wyraźnego zaciekawienia tą sprawą. Była tutaj i nie obchodziło go nic więcej.

- Nie wiedziałem nic o tobie w ciągu tych dwóch lat.

- Opuściłam Paryż, zanim został zajęty przez Niemców.

Dotarłam do Brestu i stamtąd razem z wojskiem dostałam się do Anglii. Na szczęście zabierano także i cywilów.

- Na szczęście - szepnęła.

Milczała przez długą chwilę.

- Właściwie... chciałam się dostać do Oranu, do ojca.

Ale trafiłabym z deszczu pod rynnę. Mers-el-Kebir, baza, w której stały francuskie okręty, jest tylko o osiem kilometrów oddalona od Oranu, wyobrażam sobie, co się tam działo, kiedy w lipcu to się zaczęło, kiedy podpłynęły okręty angielskie i zaczęły ostrzeliwać naszą flotę...

- Czy miała się dostać w ręce Niemców? - zapytał gwałtownie. - Gdyby dowództwo wasze nie czuło się tak związane układem kapitulacyjnym z Niemcami...

- Wiem.

- Gdyby zgodziło się poddać okręty Anglikom...

- Wiem! Ale zginęło prawie dwa tysiące marynarzy i trudno to rozgrzeszyć słowem "gdyby".

- Anetko! - poprosił cicho. Przypomniało mu się, jak podczas krótkiego spotkania w Paryżu wciąż w ich rozmowę wkradały się sprawy wojny. - Czy musimy...?

Znowu gwałtownie przytuliła się do niego.

- Nie, nie musimy. O czym to mówiłam?

- W jaki sposób znalazłaś się w Anglii.

- No więc już wiesz. Zgłosiłam się do Komitetu Wolnej Francji, kiedy tylko powstał. Cieszyłam się, że tu jestem, że mogę chociaż pracować, kiedy inni się biją. Że jestem blisko tych wszystkich wielkich spraw, o które walczą Francuzi i Anglicy.

- I Polacy - wtrącił. - Nie licząc Amerykanów, Kanadyjczyków i kilku jeszcze narodów...

- Och, czy mam wymieniać je wszystkie?

- Nie musisz, kochanie.

- Mam uczucie, że się na coś przydaję, że moja obecność jest tu potrzebna i... usprawiedliwiona...

Mówiła tak ślicznie te wszystkie patriotyczne głupstwa, a on wiedział, że nie dla pracy w Komitecie Wolnej Francji przybyła do Londynu, i żadne jeszcze kłamstwo nie miało dla niego takiego powabu.

Słaba żarówka oświeślała pokój, najwyżej dwudziestka, pomyślał; właściciel hotelu należał widocznie do ludzi oszczędnych, a może nie ufał gościom i bał się, że niestaranie zasłaniać będą okna zaciemniającymi zasłonami. Na suficie zacieki potworzyły rozległe mapy nieznanych jakichś lądów i mórz, w zatkaney umywalni bulgotała woda, pościel na łóżku była sflaczała, nie tknięta krochmalem, na powłoce, oblekającej koc, widniało kilka zażółconych po brzegach dziur, wypalonych papierosami przez twardo zasypiających na lądzie marynarzy. Dlaczego jest tak dobrze? - myślał.

- Tak spokojnie, tak czysto? Trzymał przy sobie kobietę, którą kochał, jej splątane włosy dotykały jego policzka,

każdej chwili mógł zanurzyć w nich usta, nareszcie było tak, jak być powinno, wrócił z morza i czekała na niego, była tu, w tym najpiękniejszym na świecie pokoju, i mieli cztery ściany wokół swojej miłości; ani ona, ani on nie potrzebowali nic więcej.

Pochowały się gdzieś te nękające pytania, na które za często szukał odpowiedzi, aby wreszcie nie straciły swego znaczenia, aby nie zatracił się ich sens wobec ostrej realności szczęścia, które przeżywał, uciszony i uspokojony, jakby miało trwać wiecznie, a trwało tylko teraz.

- Jestem strasznie głodna - szepnęła Anetka.

- Moje biedactwo! - zerwał się. - Powinienem dawno o tym pomyśleć.

- Nie jadłam dziś obiadu ani kolacji. Tylko jakieś suche bułki, które przyniósł mi portier.

- Mówił mi.

- Mówił ci?

- Tak. Od razu chciałem zaprosić cię na kolację, ale potem...

- Zaproś mnie teraz.

- Właśnie cię zapraszam. Tylko... masz kartki?

- Jakież tam mam.

- My ich nie dostajemy. Jadamy na okrętach i chyba dość dobrze w porównaniu z ludnością cywilną.

- Ale chyba nikt wam tego wiktury nie zazdrości.

- Tak sądzę.

Ubierała się, a on patrzył na to, uszczęśliwiony każdym jej ruchem, uniesieniem nogi, gdy naciągała na nią pończochę, zgięciem kolana, półobrotem, gdy trzeba było wysoko na udzie zapiąć podwiązkę.

- Zrób to jeszcze raz - poprosił.

- Co? - podniosła zdumione oczy.

- To właśnie. Od początku. Ściągnij pończochę i włóż ją jeszcze raz.

Chciała powiedzieć: biedaku, ale powiedziała tylko:

- Głuptasie!

- Proszę o to.

- Ależ dobrze. Wszystko, co zechcesz.

.Zdjęła pończochę i zaczęła ją jeszcze raz wciągać, wyprostowywać powoli na łydcę, kolanie i udzie, wygładzać i napinać, aż wreszcie gotowa była, żeby podwiązkami umocować jej brzegi; wyciągnięcie ramion, przechylenie biodra - wszystko wydało mu się nadzwyczajne i cudowne.

- Dziękuję.

- Głuptasie! - powtórzyła, choć z trudem powstrzymywała łzy.

Pończochy miała grube i ciemne, w niczym nie przypominały tych, które zwykle nosiła, tak samo jak i obuwie - masywne i ciężkie, na niskich obcasach. Płaszcz, gdy ściągnęła go z łóżka, okazał się podobny krojem do wojskowego szynela.

- To Charles nas tak ubrał - powiedziała.

- Charles...? - dopiero po chwili zrozumiał, że nazywała tak de Gaulle'a.

-- Tak - potwierdziła z dumą. - Wprowadził pewien rodzaj surowości... pewien rodzaj cieszącej nas surowości.

Przyznaję, że trochę dziwnie czułabym się tutaj w moich futrach, kapeluszach i woalkach.

- Ale czy ci ciepło? - zmartwił się na ulicy, gdy uderzył ich w twarz mokry wiatr.

- Przy tobie o tym nie myślę. Wiesz, która godzina?

Na ulicy było ciemno, nie zapalano latarni w obawie przed nalotami.

- Dokładnie nie widzę, ale wyszliśmy z hotelu po jedenastej.

- Czy restauracje będą jeszcze otwarte?

Dziewczyno! - chciał powiedzieć. - Kiedy z morza wracają okręty i kiedy załogi schodzą z nich i idą w miasto, nic nie może być przed nimi zamknięte. Ale uśmiechnął się tylko.

- Przypuszczam, że są otwarte do rana.

Wstąpili do jednej z nich - a znał wszystkie w tym mieście i nie było w nim żadnej, gdzie by go nie witano jak stałego bywalca, więc wiedział, że zdziwienie Anetki, przykre zdziwienie Anetki go nie ominie. Przypomniał sobie dawne i nigdy nie zrealizowane marzenie, żeby zaprosić ją do jakiegoś pięknego lokalu i siedzieć przy białym nakrytym stole, przy srebrnej zastawie, kryształowych kieliszkach, siedzieć i patrzeć na nią, oprawioną w błękitne morze za oknem... no nie, morza miał na razie dosyć. Chwycił łokieć pani Briffaut i prawie z desperacją wprowadził ją w zadymione, przesyczone wyziewami alkoholu wnętrza starej, poczywiej knajpy "Pod Celną Strzałą Robin Hooda".

- O szczęśliwie pan wrócił, kapitanie! - ucieszył się na jego widok barman,

- I tym razem się udało - powiedział, podnosząc na powitanie rękę.

- To co zwykle?

- Dziękuję. Dziś muszę mieć stolik. Jestem z damą.

- Z damą? - zdumiał się barman i przynajmniej to zdziwienie powinno mu wyjednać pobłażanie Anetki. Ale widocznie nie dosłyszała, bo zapytała od razu, gdy tylko usiedli:

- Znają cię tutaj?

- Kochanie, łącznie staliśmy w Greñnock dwa lata, a miasto nieduże i wszyscy się znają.

- Nieduże?

- Nawet nie wiem, czy ma pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie takie znów całkiem małe.

- Anetko! - poprosił, choć właściwie cieszyło go jej nadąsanie, wciąż było tak, jak być powinno, był tu ze swoją kobietą i brał burę za to, że włóczył się po knajpach. - Nie wyobrażasz sobie, jak długie są wieczory, gdy stoi się w stoczni w takiej angielskiej dziurze.

- Wyobrażam sobie - powiedziała cicho. - Przepraszam.

- Czego się napijemy? To jeszcze można wybierać. Co do jedzenia, musimy zdać się na skromne zasoby kuchni i twoje kartki.

Wyjęła je z torebki, położyła na stole.

- Mogę głodować do końca miesiąca, ale dziś zjemy prawdziwą kolację.

- Zgoda! Zrewanżuję ci się pierwszą kolacją po wojnie.

Uśmiechnęła się, pochylona nad stolikiem.

- Ugotujemy ją razem w domu i nie trzeba będzie na nią zaproszeń.

Przyjął to w milczeniu i dopiero gdy pili grzane wino i na stole pojawiły się mikroskopijne befsztyki z ogromną za to porcją marchewki i ziemniaków, powiedział cicho:

- On jest w Anglii. Wiesz o tym?

- Wiem - odrzekła po długiej chwili.

Chciał zapytać, gdzie stacjonuje Briffaut i czy widują się ze sobą, ale zaniechał tego. Musiało mu wystarczyć to, że tu była, że przyjechała, że chciała być z nim razem, że powiedziała te słowa o kolacji po wojnie...

Podniósł szklankę z winem, było gorące, unosiła się z niego aromatyczna woń goździków i cynamonu.

- Za jak najszybsze i szczęśliwe zakończenie wojny!

Wypiła do dna, policzki jej się zaczerwieniły, oczy błyszczały.

- Ten toast mogę wznosić do rana.

- Upijesz się.

- Byłam już pijana, nim tu przyszedliśmy.

- Skarbie!

Tak, pragnął mówić te najprostsze, te wytarte słowa miłości; kiedy patrzył na nią, odzyskiwały swoją świeżość, jakby to on je wynalazł i po raz pierwszy powiedział kobiecie.

- Skarbie! Mój skarbie!

- Ktoś usłyszy.

- Niech słyszy cała sala. Zaraz krzyknę to na głos! Po polsku, po francusku i angielsku.

- Nie, nie, mów to tylko do mnie.

-: Po polsku, po francusku i angielsku?

- Mów po polsku, przecież w końcu... będę musiała nauczyć się tego języka.

- Powtórz to!

- Będę musiała nauczyć się po polsku.

Odłożył sztućce, przechylił się nad stolikiem, chwycił jej ręce i długo je całował.

- Już dawno powinnam to zrobić.

- Tak - westchnął. - Pragnąłem tego.

- I za to także wypijemy toast!

Zamówił znów wino i nie było ono ostatnim, jakie wypili tej nocy. Wydawało im się cudowne, cierpkie i słodkie zarazem, cieszyli się, że w Anglii nie brakuje jeszcze goździków i cynamonu, a kiedy wyszli, od razu za progiem zaczęli się całować, wstępowali po drodze do bram, żeby w nich stać blisko przy sobie, rozpinali płaszcze i przytulali się do siebie od kolan po ramiona, ciasno, najciaśniej jak było można, szeptali coś i mówili. W końcu Wołodia zaczął się śmiać...

- Z czego się śmiesz?

- Ze szczęścia. Widzę panią Briffaut całującą się w bramie z jakimś marynarzem.

- Ten marynarz nie jest wcale jakiś. Jest mój.

- Jest twój.

Przed wejściem do hotelu Anetka spytała cicho:

- Co będzie, jeśli on Me zechce?'de wpuścić?

- Kto?

- Recepcjonista. Pewnie nie pozwoli ci pójść ze mną na

górze.

--- Nie wiem, jakie są tu obyczaje, ale nawet sam Pierwszy Lord Admiralicji nie zdołałby mi w tym przeszkodzić.

-- Ale jeśli...? - pytała z rozpaczą.

- Pozwól mi to załatwić.

- Jak?

- Zobaczysz.

Recepcjonista, wytracony ze snu, nie był w najlepszym humorze. Dostrzegł jednak dwa funty na ladzie, które położył przed nim kapitan.

- Proszę o dodatkowy koc - powiedział. - Moja żona, zdaje się, już się zaziębiła w tym zimnym pokoju. Przykrywa- nie się płaszczem nie wystarcza.

- Ależ dlaczego mi pani o tym nie powiedziała? - oży- wił się Anglik. Podbiegł żwawo do szafy, wyjął z niej nowiutki koc z wielbłądziej wełny. - Pod nim będzie ciepło. I lekki jak puszek!

- Dziękuję! - wyrzekł łaskawie Wołodia.

- Dobrej nocy życzę państwu.

- Wzajemnie!

Śmiali się cicho, idąc po schodach, śmiali się jeszcze, gdy zamknęli za sobą drzwi pokoju i znowu zaczęli się całować, ale śmiech bardzo szybko zmienił się w niepokój i rozpacz.

- Kocham cię - mówił. - Kiedy się rozstaniemy, przez cały czas myśl tylko o tym, że cię kocham.

- Ty także. Podczas każdej godziny, podczas każdej chwili na morzu.

W ułamku sekundy ugodziło go w serce pytanie, jakimi słowami żegnała się z Briffautem po krótkich wojennych widzeniach, on także był żołnierzem i należały mu się dobre myśli tych, których kochał.

- Musisz jutro jechać? - zapytał cicho.

- Muszę. Dostałam tylko trzy dni wolnego. Dwa czeka- łam na ciebie.

- Nie potrafiłbym skrócić tego czekania, nawet gdybym o nim wiedział.

- Wiem.

- Na wiosnę dostanę urlop. Musimy go spędzić razem.

- Tak, zacznę przygotowywać do tego moich szefów.

- A teraz chodź. Ten koc jest naprawdę lekki, jak puszek.

Zgasili lampę i nie widzieli swoich twarzy, całowali się w ciemności, dopóki Wołodia nie zapytał jeszcze raz: ;•

- Nie możesz zostać ani dnia dłużej? Dopiero w piątek wychodzę w morze.

- Nie mogę. Ja także mam służbę.

- Rozumiem.

Do diabła! myślał. Te stada dziewczyn, oblegające wszyst- kie sztaby, dowództwa, jednostki, czy naprawdę robiły coś ważnego, czy nie mogli się bez nich obejść? Ale przypomniał sobie oczy wrenki, z którą rozmawiał po wejściu do portu, zawstydził się tej wątpliwości i powtórzył:

- Rozumiem.

Rano obudził się pierwszy. Spała, wsparta policzkiem o jego ramię, ogrzewał je jej oddech. Deszcz ze śniegiem, jak poprzedniego dnia, miękko uderzał w parapet okna, nikły blask dnia, wdzierający się do pokoju przez nieszczelne

zaciemnienie, oświetlił zacieki na suficie, plamy na ścianie. A jednak pragnął tu wrócić i pomyślał, że jeśli jeszcze kiedyś będzie mogła go odwiedzić w Greenock, zarezerwuje u recepcjonisty właśnie ten pokój, w którym, jak dobre duchy pochowane po kątach, trwać będą wspomnienia ich pierwszego spotkania.

- Kochanie! - szepnął. - Czas wstawać. O której dokładnie masz pociąg?

- O dziesiątej.

Udzieliła tej odpowiedzi, nie zdając sobie w pełni sprawy, kto i gdzie ją o to pyta. Kiedy otworzyła oczy, najpierw była w nich mgła tej niewiedzy, potem krótka radość, a po niej żal i przerażenie.

- O Boże! Musimy się już rozstać!

Wziął w dłonie jej głowę, przytulił ją sobie do piersi.

- Ale teraz jesteśmy razem mimo wszelkich odległości.

- Tak, jesteśmy razem - powtórzyła, a bezdomny chłopak, którym był znowu, miał wreszcie coś na własność i choć nie mógł sobie tego wziąć i tylko wiedział, że ma - i to wydało mu się bogactwem, przerastającym jego marzenia.

Śniadanie zjedli na stojąco w jakimś barze między hotelem a dworcem - kilka bułek z serem, popijanych namiastką, na szczęście dobrą namiastką, kawę.

- Wybacz mi, kochanie - powiedział Wołodia - ale muszę się napić czegoś mocniejszego.

- Ja też - poprosiła.

- Świetnie! - ucieszył się. Był pewien, że kieliszek "Old Smuggier" - Finest Scotch Whisky, której butelka stała na ladzie, dobrze im zrobi. - Po jednym - powiedział do barmana.

Ten przyglądał się im długo.

- Na rozstanie "Old Smuggier" najlepszy.

- Też tak myślę - powiedział Wołodia. - Dwa razy.

- Z sodową wodą?

^- Och, nie!

Gdy zbliżali się do dworca, mocniej przycisnął jej ramię do swego boku.

- Tylko nie płacz! Bardzo cię proszę.

- Nie będę. .

- W końcu na morzu nie jest wcale tak źle, jeśli... jeśli ma się trochę szczęścia.

- Tak, na pewno.

- I na łodzi można zginać podczas nalotu albo zwykłej wichury, kiedy -leca dachówki z dachów.

- Oczywiście.

- A do wiosny już niedaleko i będę miał urlop. Przecież już styczeń.

- Już styczeń.

Prowadzili tę rozmowę gorliwie i gorączkowo, bojąc się choćby najkrótszej chwili milczenia.

- Pojedziemy sobie, dokąd zechcesz. Mam mnóstwo pieniędzy, z którymi nie wiadomo co począć.

- Trzeba się będzie bardzo potrudzić, żeby je wydać, kiedy niczego nie można kupić.

Wydamy je na old smuggiera i jeszcze jakieś inne dobre trunki. Na szczęście, nie są jeszcze na kartki.

- Na szczęście.

- I pisz! Napiszesz?
- Tak. Zaraz po przyjeździe zacznę pisać ogromny, długi list.
- A ja w morzu będę myślał, że ten list czeka na mnie w porcie.
Pociąg stał już na peronie, ledwie mieli czas kupić bilet i znaleźć dobre miejsce przy oknie. Otworzyła je i wychyliła się do połowy.
- Będę jak pies biegł za pociągiem - powiedział.
- Nie, przyrzeknij, że tego nie zrobisz. - Nie chcę płakać, a musiałabym płakać, gdybyś...
Pociąg drgnął, ostatni wsiadający pasażer zatrzasnął drzwi, kolejarz na peronie podniósł chorągiewkę.
- Bądź zdrowa! - krzyknął Wołodia po polsku, zapominając, że Anetka go nie zrozumie.
- Bądź zdrowa! - powtórzyła. - Mój kochany, mój jedyny, bądź zdrowa!
Wyszedł z dworca, zastanawiając się, dokąd pójść. Ulice były mokre, topniał na nich śnieg, śnieg topniał na suknie jego płaszcza. Podniósł kołnierz, schował w nim twarz, skurcz płaczu wykrzywił mu wargi, w oczach przecho-
dźnięć zobaczył zdumione zaniepokojenie.
Na okręt, pomyślał, jak najprędzej na okręt...

XV

Lohmann, do którego Łucka zdecydowała się w końcu zwrócić, uznał sprawę za bardzo poważną.
- Przecież mówiła pani... i wszyscy wiedzą, że mąż pani zaginął podczas wojny...?
Łucka była pewna, że nie wierzył w to ani przez chwilę, nieraz dawał jej to do zrozumienia, teraz jednak postawił to pytanie i trzeba było na nie odpowiedzieć, skoro oczekiwała od niego pomocy i skoro... Joe-mikser wyleciał w ciągu jednego dnia z mieszkania po prezesie Słubickim, gdy nowy szef firmy zdecydował się je zająć.
Zwiesiła głowę, z trudem zbierała myśli,
- Co innego mogłam myśleć... - wyjąkała - kiedy tak długo nie dawał znać o sobie? - Widocznie bał się... wszyscy go tu znali...
- I od razu zaczął się ukrywać u rodziców waszej przedwojennej służącej?
- Tak, myślę, że tak.
- Nie pytała jej pani o to?
- Och, teraz przede wszystkim obchodziło mnie, dlaczego zabrali go do Stutthofu.
- Dlaczego?
- Za jakieś głupstwo. W dodatku nie przez niego popełnione. Pracował w stajni u dziedzica razem z drugim Polakiem. I ten Polak, z którego pan Laubnitz zrobił dżokeja, bo dawny dżokej, Niemiec, poszedł do wojska, ten mały Polak przegrał wyścigi w Sopotach... Pan Laubnitz bardzo liczył, że jego "Meteor" będzie pierwszy, a on w ogóle, pod tym dżokejem Polakiem, nie dobiegł do mety, zwałił poprzeczkę, złamał nogę i hauptmann Wacholz...
- Wacholz? Słyszałem gdzieś to nazwisko...
- Nie jest takie rzadkie. Ten hauptmann Wacholz, który jeździł na "Meteorze" przed wojną, kiedy służył jeszcze w naszym... kiedy służył w polskim wojsku...

- Ach, to ten Wacholz! - uzmysłowił sobie wreszcie Lohmann.
- Tak, ten Wacholz. Był bardzo przywiązany do "Meteora" i... skatował tego małego Polaka, pod którym "Meteor" złamał nogę, skatował go, a Krzysztof...
- Pani mąż?
- Tak, mój mąż... Krzysztof przeciwstawił się Wacholzowi...
- Co zrobił?
- Przeciwstawił się. Powiedział, że chłopak nie jest nic winien, że to dżokeje-Niemcy stworzyli taką sytuację...
- Rozumiem.
- A ponieważ w tej wsi usechł dąb...
- Pani Łucko! - przerwał Lohmann tę przydługą dla niego opowieść. - Sprawa jest, jak widzę, bardzo skomplikowana. Najgorsze jest to, że właściwie, nie chcąc pogorszyć sytuacji męża, nie powinna się pani w ogóle do niego przyznawać. Chyba że...
- Chyba że co? - zapytała wstrzymując oddech.
- Już raz rozmawiałem z panią na ten temat, ale udawała pani, że mnie nie rozumie.
- Nic takiego nie pamiętam - szepnęła.
- Pamięta pani, pamięta - uśmiechnął się z zakłopotaniem. Gładził swoje tłuste policzki, jakby badając na nich długość zarostu, na krótką chwilę palce mu znieruchomiały.
- Przy pani niemieckim pochodzeniu:..
- Ależ ja... - zaczęła Łucka cicho i zaraz umilkła. Zobaczyła przed sobą Krzysztofa w pasiaku i drewniakach, z ostrzyżoną głową na wychudzonej szyi, wyobraziła sobie każdą jego chwilę w obozie, każdą chwilę, w której groziła mu śmierć.

10 - Tak trzymać t. III

- Przy pani niemieckim pochodzeniu - ciągnął dalej Lohmann - jest to właściwie prawie formalność.
- Formalność...?-powtórzyła. Zaczynała nienawidzić Lohmanna, choć tak był życzliwy, właśnie za tę życzliwość zaczynała go nienawidzić i za dwa złote zęby w górnej szczęcie, za łysinę, wyraźnie postępującą od czoła w tył głowy, za okrągły, ściągnięty ciasną kamizelką brzusek.
- Formalność...
- Tak, zwykła formalność.
Formalność... - powtórzyła jeszcze raz, ale już tylko w myślach. Nie Krzysztofa widziała już przed sobą, ale ojca i stryja, Augustyna i Bernarda Konków. Zmarłych pytała teraz o radę w najtrudniejszej dla siebie w życiu chwili. Augustyn nosił pieniądze do niemieckiego banku i tam, gdzie one były pewne, tam dla niego była ojczyzna. Ale może na łożu śmierci pomyślał o tej, której nie chciał zawierzyć ani grosza, a ona i bez tego budowała miasto na jego nieurodzajnym polu i dała lepsze życie jego córce i wnukom. W Augustynie może się to obudziło dopiero na łożu śmierci, kiedy dowiedział się, że Krzysztof dostał pracę przy samym naczelniku budowy portu - ale Bernard ani jednej chwili w swoim życiu nie przeżył bez świadomości, że jest Polakiem, i w końcu umarł za to swoje "a" zamiast "e" na końcu nazwiska. Wiedziała już, co by powiedzieli umarli, gdyby mogła się ich radzić, żywych - nie miała odwagi

pytać.

- To jedyna rada - powiedział Lohmann. Patrzył na Łuckę z życzliwością, trochę już roztargnioną, nie spodziewał się, że zajmie mu tyle czasu. - W dodatku... załatwiałoby to i inne kłopoty. Z domem. I z dziećmi.

- Z dziećmi? - zapytała od razu śmiertelnie zatrwożona.

- Chyba nie chce pani, żeby córka przez całe życie była kelnerką. Mogłaby się dalej uczyć. Syn także. Lada moment zabiorą go do jakiejś pracy, niekoniecznie... niekoniecznie tu na miejscu, i naprawdę nawet moja interwencja w takim wypadku...

- Rozumiem.

- Chciałbym, żeby to pani dobrze przemyślała. Pomóc mężowi może pani tylko w ten sposób. Jestem przekonany, żeby go natychmiast zwolniono.

- Natychmiast? - prawie krzyknęła.

- No... - Lohmann spostrzegł, że chyba jednak za bardzo się zagalopował - trochę by to potrwało, ale sądzę, że niedługo. Niech się pani nad tym zastanowi.

- Dobrze - powiedziała cicho.

- I wtedy proszę przyjść do mnie.

- Dobrze, przyjdę do pana.

- Głowa do góry, pani Łucko. Niemcy zwyciężają na wszystkich frontach. To szczęście należeć do narodu, który wciąż idzie naprzód i przed którym wszystkie inne muszą ustępować.

Szczęście - powinna była potwierdzić Łucka, ale nie zdołała wykrztusić tego słowa. Żal chwycił ją za gardło, jakby to ona właśnie była winna temu, że narody cofały się przed Niemcami, a oni wciąż szli naprzód, oni...

- Pani płacze! - rzekł Lohmann.

- Ach, nie! - zaprzeczyła gwałtownie, zaciskając powieki. - Zdaje się panu.

Ciotka Plischke była tego samego zdania co Lohmann. Łucka pojechała do niej w tajemnicy przed matką i Tomaszkiem wprost z biura, po drodze wymyśliła jakiś pretekst, którym przed Julitką usprawiedliwiła tę nagłą wizytę.

- Prosiła mnie znajoma, żeby i jej córkę umieścić w Gdańsku - powiedziała, całując córkę. - Chciałabym jej pomóc.

- Mamo, stajesz się konkurencją dla Arbeitsamtu! - Julitka zwykle nadstawiała matce do pocałowania policzek, sama całując powietrze, teraz objęła ją wpół, uścisnęła mocno i wycałowała serdecznie.

- Znowu wyrosłaś! - zdumiała się Łucka.

Plischkowa promieniała.

- Nie jest jej u mnie najgorzej. Chłopcy cisną się do piwiarni, że o mało co nie rozwała tej budy. Z Kriegsmarine i cywile. Leo Benbenek zgłupiał do tego stopnia...

- Ciociu! - zawołała Julitka.

- Ty się z niego nie śmiej! Latka leca, a taki sklep i pracownia bursztyniarska przy samej Zielonej Bramie, gdzie ruch największy, to najlepszy interes w Gdańsku; Benbenckowa cię lubi, sama mi to mówiła, a jak jej powiedziałam, że ta kamienica przy Świętojańskiej to w końcu tylko na was dwoje, na ciebie i na Tomaszka...

Julitka spoważniała.

- Ja bardzo proszę... - powiedziała cicho.

Zmieszała się i Łucka. Wzmianka o kamienicy zabolą ją podwójnie - to, co miała za chwilę powiedzieć ciotce, dotyczyło także kamienicy, w oczach ciotki może nawet głównie kamienicy, a poza tym była za młoda, żeby nie przerażało jej napomknienie o spadku, jaki po niej miały otrzymać dzieci, patrzyła więc także na Plischkową z jawnym wyrzutem.

- To daleka przyszłość - powiedziała cierpko.

- Nie taka daleka, jak to sobie wyobrażasz.

- Nie ma wiadomości od tatusia? - zapytała Julitka.

- Nie.

- Żadnej?

- Żadnej.

- Julitko, wracaj na salę - powiedziała Truda Plischke.

- Goście się już na pewno niecierpliwią.

- Zawołam cię, jak będę odchodzić - dorzuciła Łucka, gdy córka z tacą w ręku stanęła już w progu. I znowu ten sam żal chwycił ją za gardło. Żal, ale i strach - strach przed Oczyma Julitki, przed ich wyrazem, gdyby się dowiedziała, a będzie musiała się przecież dowiedzieć, choć to była decyzja, którą za nieletnie dzieci podejmowała matka...

- Już idę - ociągając się, westchnęła Julitka. - Cieszę się, że przyjechałaś - dodała nagle.

- Cieszysz się? - zaniepokoiła się Łucka. Córka nie przyzwyczaiła jej do czułości.

- Tak, bardzo. Już musiałam kogoś z was zobaczyć.

Babcia zdrowa? A Tomaszek?

- Dziękuję - szepnęła Łucka. - Zdrowi oboje. Przyjechałam z taką dziwną sprawą - zaczęła, gdy za Julitka zamknęły się drzwi - z taką dziwną sprawą...»

- Ależ nie widzę w niej nic trudnego - przerwała jej ciotka. - Dziewczyn do pracy wszędzie potrzebują. Właśnie; słyszałam wczoraj, że na Długiej, zaraz obok ratusza... tam jest sklep kolonialny, pamiętasz?

- Pamiętam. Ale ja... ja nie mam żadnej znajomej z córką, którą trzeba gdzieś umieścić...

- Nie? - zdumiała się Plischkową.

- Nie. Przychodzę z własną sprawą... taką dziwną... już mówiłam... Chcę, żeby mi ciocia poradziła...

Powiedziała o swoim zmartwieniu, o rozmowie z Lohmannem, o jego propozycji... choć i ona sama... tego właśnie dnia, w którym się dowiedziała, że Krzysztof jest w Stutthofie... ona sama od razu o tym pomyślała...

- On ma rację - powiedziała ciotka Plischke. - On ma rację, ten Lohmann.

- Uczciwie ciocia to mówi?

- Co to znaczy uczciwie? To nie jest odpowiednie słowo: uczciwie. Mądrze ci to mówię. I życzliwie. Bo co inaczej poczniesz z tym wszystkim?

- Co pocznę? - szepnęła Łucka.

- Przyznam ci się, że nigdy mnie nie cieszyło, że wyszłaś; za mąż za kogoś ze świata, kiedy tylu chłopaków było na miejscu, ale teraz jest to twój mąż i musisz go ratować. Ty i nikt inny.

- Nikt inny - powtórzyła Łucka z akcentem, który

niedzielił Plischkową.

- Bo kto mu, biedakowi, pomoże? Niepotrzebnie się mieszał w te jakieś sprawy, teraz i w trzydziestym dziewiątym, ale jak już tak się stało... ratować człowieka trzeba. A inaczej go nie uratujesz.

- Wiem - powiedziała Łucka bardzo cicho. - Ale... ale on mi tego nigdy nie wybaczy.

- Wybaczy ci, wybaczy. Na pewno chce żyć i nie myśli o niczym innym, tylko chce żyć. Za wszelką cenę, a więc i za tę. Będzie musiał zrozumieć, że nie było innego wyjścia. A poza tym jak to sobie wyobrażasz? Wciąż się będzie ukrywał?

- No... - bąknęła Łucka - gdyby coś się zmieniło...

- Nic się nie zmieni. Wiem, na co liczysz, ale oni wojny nie przegrają. Wygrywają ją coraz bardziej każdego dnia.

- Ale w Rosji...

- W Rosji jest straszna zima. A mimo to wciąż idą naprzód. Zobaczysz, jak pójda naprzód na wiosnę...

- A dzieci? A mama? - szepnęła Łucka.

- Co dzieci? Niepełnoletnie, a w końcu same zrozumieją, że to dla ich dobra. I dla ratowania życia ojcu. Czy mogłyby mieć ci to za złe?

- Myślę... że nie...

- No widzisz. - Plischkowa zamyśliła się na długą chwilę. - Ale z twoją matką inna sprawa...

- Ostatnio była do Krzysztofa bardzo przywiązana.

- Och, myślę o czym innym. Myślę o tym, że może nawet lepiej byłoby, gdyby ona nie podpisała.

- Nie podpisała? Ale ja...

- Ty to co innego. Ty masz powody; Każdy będzie musiał to przyznać. Co innego z twoją matką. Połowa kamienicy jest na nią?

- Na nią - wykrztusiła Łucka, coraz bardziej, coraz boleśniej zdumiona.

- To dobrze. To bardzo dobrze. Bo w razie czego...

- Ciociu! - krzyknęła Łucka.

- Cicho, głupia! Tak, idą naprzód i powiedziałam przed chwilą, że wygrają wojnę. Ale równocześnie nigdy na świecie nie było takiej sprawy, w której nie istniałby cień wątpliwości, twoja ciotka ci to mówi. I dla tego cienia, dla tej odrobineczki wątpliwości...

- Czy to znaczy...?

- Nie przerywaj mi, tylko słuchaj. Dla tej odrobineczki wątpliwości twoja matka musi zachować swoją narodowość. Po raz pierwszy zostało to nazwane, to - co można było zachować albo zmienić, zdradzić albo uważać za urodzone z człowiekiem i z nim nierozdzielne, nieodłączne jak mózg i serce, jeśli człowiek ten miał żyć, jeśli nie miał być trupem. Łucka chwyciła się brzegu stołu, oparła się na nim ciężko.

- Co ci jest? - przestrasiła się ciotka.

- Nic;.. Może tylko... może tylko trochę słabo się czuję...

- Napij się wody. Dać d?

- Tak. Zimnej.

Wypiła podaną przez ciotkę wodę i na chwilę przymknęła oczy.

- Niepotrzebnie tak się przejmujesz - szepnęła Truda Plischke z perswazją, ale i poczuciem winy.

- Nie myśli chyba ciocia, że to dla mnie łatwe.
- Nie myślę. Ratowanie człowieka od śmierci nie może być łatwe. Myśl o tym, że gdyby on umarł, byłoby ci jeszcze ciężiej.
- Och, ciociu!
- Tylko mi tu nie płacz. Julitka może wpaść po coś każdej chwili. Musisz być dzielna. I mądra.
- Ale czy to jest właśnie mądrość, ciociu, czy to jest mądrość?
Truda Plischke zamilkła.
- Moje dziecko - powiedziała wreszcie, a Łucka wpa-trywała się w nią z prośbą i niepokojem - jakby każdy człowiek wiedział na pewno, co ma robić, to wszyscy bylibyśmy w raj. Ratować męża musisz.
- Muszę.
- Więc nie ma się nad czym zastanawiać. A jeśli wciąż chodzi ci o to, że może będziesz się kiedyś musiała z tego tłumaczyć... że też w ogóle potrafiłaś mnie doprowadzić do rozważań na ten temat! - krzyknęła.
- Ciocia mnie nie rozumie - powiedziała Łucka, znowu ciężko opierając się o stół. - Nie o żadne tłumaczenie mi chodzi, choć i to jest ważne, przyznaję, ale o to, jak ja będę z tym żyła. I Krzysztof... I dzieci... Pokonali nas, nienawidzimy ich...
- Nikt ci nie każe ich kochać.
- Ale przyznawać się do nich, uważać się za jedną z nich...?
- Czy ci się nie wydaje, że plujesz teraz na własną ciotkę?
- Przepraszam. Ale ciocia nie bierze chyba tego do siebie. Z ciocią było inaczej, ciocia się zakochała...
- No, zakochałam się - za gwałtownie jakoś potwierdziła ciotka - świata nie widziałam za tym starym idiotą. Co ja mówię... młody był wtedy i można było dla niego głowę stracić, choć mi Bernard nigdy tego nie wybaczył. Czasem w nocy mi się to przypomina, często mi się to przypomina, od kiedy oni... Bernarda...
- No widzi ciocia. I jeszcze jest pamięć o stryjkę, o jego śmierci...
- Moja droga - podniosła głos Plischkowa - nie chcesz, nie możesz, to nie podpisuj. Twoja sprawa. Twój mąż. Twoje dzieci i twoja kamienica. Tylko po co ty mnie trujesz? Czy ty myślisz, że na moje chore serce taka rozmowa...
- Przepraszam.
- Wciąż mnie przepraszasz. Od przepraszania to, co rozjątrzone, od razu się nie zagoi. Kto z nas jest w mocy zmienić to wszystko, nakotłowane, napłatane i... oplute? Tak - powtórzyła ciszej - oplute.
- Ja to wszystko przemyśle - westchnęła Łucka. Znowu czuła się samotna, sama jedna ze swoim zmartwieniem. Pożegnała się z ciotką, przywołała Julitkę z piwiarni.
- Już muszę iść. Początek lutego, a tak wcześnie robi się ciemno.
- Odprowadzę mamę - Julitka pytająco spojrzała na Plischkowa i dopiero kiedy ta skinęła głową, odwiązała fartuszek.
- Ale niedaleko - zawołała za nimi tante-oma.

Teraz mówiła:

- Wiem - powiedziała łagodnie matka.

- Nie pomyślałam.

- Może nie powinnaś aż tak - szepnęła bezradnie

- Sama powiedziałaś: jeszcze. A poza tym są tu, chodzą na wolności, żyją, podczas gdy tatuś... gdy Jerzyk Powsiałowicz... Prawda, ty nic nie wiesz o Jerzyku...

- Oni mi są do czegoś potrzebni - zaczęła Julitka po długiej chwili. - Kiedyś powiem ci, do czego. Przychodzą tu, rozmawiają ze mną, myślą, że jestem Niemka.

- No, tak. Skoro wiedza, że jestem krewną Plischkowej.

Na twarz Łucki wystąpiły rumieńce, cieszyła się, że w ciemnościach, panujących na ulicy, Julitka tego nie widzi.

- Wracaj już - powiedziała do JulitkiL

- Pójdę z tobą jeszcze kawałek.

- Nie, ciotka będzie się niecierpliwić.

Chciała być sama, bała się obecności Julitki, bała się, że jej powie i że obydwie rozplaczą się na środku ulicy.

- Bądź zdrowa, mamó! - Julitka objęła ją i przytuliła do siebie.

Była wyraźnie już wyższa, jakby silniejsza i bardziej od niej dorosła. Myślała tak nieraz o sobie, ale teraz po raz pierwszy pomyślała tak - matka.

- Uważaj na siebie!

- Daj mi zaraz znać, jak tylko przyjdzie kartka od tatusia.

- Tak, oczywiście, A może... może on sam się zjawi...?

- Och, mamó!

- Nie powinniśmy tracić nadziei. Zdarzają się cuda.

- Ale rzadko - szepnęła Julitka.
- Tak, rzadko - powtórzyła Łucka - zdarzają się jednak. Można je okupić czekaniem i cierpieniem.
- Cierpieniem? Co znaczy nasze cierpienie tutaj wobec tego, co przeżywa ojciec w obozie?
- Ale czy nie byłabyś gotowa na wszystko, żeby tylko stamtąd wrócił?
- Jak możesz pytać?
- Chciałam to od ciebie usłyszeć.

Odeszła, zostawiając Julitkę na chodniku przed jakąś wystawą, i zaczęła biec w stronę dworca, potykając się w ciemnościach, ledwie tłumiąc głośny płacz, który mógłby zwrócić uwagę przechodniów.

W nocy śnił jej się Krzysztof. Leżał obok na łóżku i słyszała jego oddech. Ale nie mogła się do niego zbliżyć, nie mogła nawet dotknąć jego ręki. Oddalał się, gdy przysuwała się do niego, stawał się niewidoczny, nie było go przy każdym gwałtowniejszym jej ruchu. Leżała więc, słuchając tylko jego oddechu, i to musiało jej wystarczyć, tylko to było nim, jego obecnością, jego istnieniem. Kiedy zaczął jęczeć, zerwała się, żeby biec mu na pomoc, ale łóżko było puste, dotknęła dłonią prześcieradła w miejscu, w którym leżał, zachowało swój wykrochmalony chłód... Jęk jednak nie ustawał i dopiero po długim czasie zrozumiała, że to Tomaszek w drugim pokoju jęczy przez sen. Poszła do niego, okryła kołdrą, którą zrzucił z siebie, przez chwilę stała pochylona, patrząc na jego twarz. Śnieg, leżący na ulicy i dachach przeciwległych domów, rozjaśniał mrok pokoju, widziała dokładnie uśpioną twarz syna, dziecinne jeszcze jej rysy, miękki wykrój ust, łagodnie zaokrąglony owal brody... I jego miałyby utracić, i jego mogli jej zabrać, jego także... Rano, gdy tylko Lohmann zjawił się w biurze, poprosiła go o rozmowę.

- Zdecydowała się pani? - zapytał.
- Tak - powiedziała twardo.

Nastąpiły potem dni oczekiwania. Lohmann nie miał w tym czasie łatwego z nią życia. Zaczynał chyba pomału żałować, że zgłosił swoją pomoc w tej sprawie, że w ogóle się w nią wmieszał. Tłumaczył, że powinna być cierpliwa. Że przyjęcie przez nią volkslisty nie jest przecież równoznaczne z natychmiastowym zwolnieniem Krzysztofa.

- Nie? - pytała, mrugając powiekami.

Chwilami miał uczucie, że zwariowała, że pomieszało się jej w głowie od zmartwienia.

Bo zmartwienie było większe, niż sobie wyobrażała.

Przedtem bała się tylko reakcji dzieci, matki i Krzysztofa

- teraz bała się także, że mu zaszkodziła, identyfikując więzionego w Stutthofie za nie tak znów wielkie winy męża Anuli Dyszkówny ze wsi Połczyno pod Puckiem z oficerem łącznikowym pułkownika Dąbka. Widziała Krzysztofa w karnej kompanii albo pod ścianą obozowego baraku, gdy zakrywa sobie oczy przed salwą, na placu pod szubienicą, to znów bitego przez SS-manów do utraty przytomności...

Dochodziło do tego zmienione wobec niej zachowanie Polaków, z którymi pracowała. Odsunęli się od niej, milkli, gdy się zjawiała w ich pobliżu, odwracali oczy. W domu musiała mieć się wciąż na baczności, choć wiedziała, że nie

zdoła ukryć tego, co zrobiła, że prędzej czy później matka, Julitka i Tomaszek wszystkiego się dowiedzą. Niechby Krzysztof był już wtedy w domu! Niechby jego przebaczenie, jego zrozumienie, że zrobiła to, by wyciągnąć go z piekła, osłoniło ją przed nienawiścią najbliższych! Popadała wciąż z jednej skrajności w drugą: z nadziei w zwątpienie, z przerażenia w pocieszającą pewność, że nie mogła postąpić inaczej.

- Co ci jest? - pytała matka. Niespokojnie wodziła za nią wzrokiem podczas godzin, kiedy były razem. - Przecież widzę, że coś niedobrego się z tobą dzieje. Wzruszała ramionami albo odpowiadała jakimś mruknięciem, ale Konkowa nie dała; się tym; zbyć. Któregoś dnia powiedziała z żalem:

- Już nie chcesz z matką porozmawiać?

Były w kuchni same. Płomień gazu syczał cicho pod czajnikiem, z domu, z pierwszego piętra, dochodził rozbawiony głos Tomaszka, którego Karol karmił smacznościami, pozostałymi po przyjęciu u Lohmanna. Jeszcze i Karol...

- pomyślała Łucka. - Jeśli się dowie...

- Nie chcesz z matką porozmawiać? - powtórzyła Konkowa. Siedziała na stołku pod ścianą z dłońmi splecionymi na kolanach; bezwiednie przyjmowała teraz pozy starych kobiet, które już tylko czekają.

- Łucka uświadomiła sobie, że po raz pierwszy widzi ją bezczynną i nieruchomą, odartą z wszelkiej ważności w domu, w którym nie miała już czym i po co rządzić.

- Co też mama? - powiedziała z żalem.

- Bo prawie się nie odzywasz. Jakbym sama zamilkła, to bym głosu ludzkiego nie słyszała.

- Przepraszam.

- Stało się coś?

- Jeszcze mało się stało?

- Myślałam... coś nowego?

- Nie! - Łucka gwałtownie potrząsnęła głową. - Nic nowego się nie stało. Ale nie ma wiadomości od Krzysztofa...

- A może to tylko tej głupiej Anuli nie chce się wziąć tyłka w garść i przyjechać tutaj. Podobno się w kimś kocha...

- Kocha się? - spytała Łucka bez zainteresowania, zadowolona jednak ze zmiany tematu.

- Tak. W tym Teofilu Szwenków, co także robi we dworze. Ale powinna mieć rozum, stary Szwenk podpisał volkslistę, a ludzie wiedzą, że ona ma męża w Stutthofie... Cała wieś o tym mówi.

- Czuję się winna wobec Anuli.

- A ja nie! - potrząsnęła głową Konkowa, odzyskując dawną energię. - Gdyby nie to małżeństwo na niby z Krzysztofem, już by dawno wyszła za mąż za tego volksdeutscha. Dopiero zobacz, co zrobili, jak go do wojska powołają!

- Do wojska? - wykrztusiła Łucka.

- A czego innego mogą się spodziewać? Jak Niemiec, to musi służyć w wojsku.

- Ale... chyba biorą tylko pełnoletnich?

- Pewnie, że pełnoletnich. On właśnie niedługo skończy dwadzieścia jeden lat...

- Kto? - spytała Łucka półprzyciemnie.

- Ten Teofil Szwenków, a o kim mówimy?
- Ach, tak. Zamyśliłam się. Mamo, duszno tu jakoś w kuchni. Chyba pójdę się przejść.
- Na taki mróz? - zdumiała się Konkowa.
- Wszystko jedno. Długo nie będę.
Czuła, że się dusi, że łoskot serca zatyka jej gardło, pozbawia tchu. O tym nie pomyślała! Nie, o tym nie! Chciała mieć Tomaszka przy sobie, chciała go obronić przed robotami, a nie pomyślała o wojsku, o tym, że będzie musiał pójść na front, jeśli wojna... jeśli ta przeklęta wojna potrwa jeszcze kilka lat...
- Pójdę z tobą - powiedziała matka. - Nie puszcze cię samej.
- Ależ dlaczego? - krzyknęła.
- Bo coś się z tobą dzieje, widzę przecież.
Łoskot drzwi, gdy je zatrzaskiwały za sobą, doszedł najwidoczniej do uszu Karola, bo stał na progu, czekał na nie. Skinął przyzywająco ręką.
- Słuchałem dzisiaj radia - szepnął. - Stary...
- Kto? - zapytała Konkowa. Łucka milczała.
- Lohmann. Ma zepsuty w swoim aparacie ogranicznik na skali, podejrzewam, że sam go zepsuł, żeby słuchać Londynu. Wróci dzisiaj późno, bo ma jakieś zebranie w Gdańsku, więc spokojnie wysłuchałem wszystkich komunikatów...
- I co? I co? - dopytywała się gorączkowo Konkowa.
-•- Idą ogromne transporty morskie do Rosji. Do Murmańska i Archangielska. Broń, amunicja, żywność. Jak Rosja się podreperuje, jak uzbroi po zęby wszystkich swoich żołnierzy...
- Chodźmy, mamo! - powiedziała Łucka.
Karol spojrział na nią badawczo.
- Źle się pani czuje?
- Ach, nie. Tak tylko chcę zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Taka pani blada...
- Zdaje się panu w tym świetle.
Tomaszek uchylił drzwi do kuchni. Oblizywał usta.
- Pycha! - zawołał. - Co za żarcie! Sardynki, szynka i udko indyka!
- A ja się dziwię, że w domu nie chce jeść kartoflanki
- parsknęła Konkowa niby to zezłością, ale równocześnie gładziła pasiastą kamizelkę Karola. - Gdyby nie pan Karol, to by chłopak wychudł jak szczapa.
- Musimy sobie jakoś radzić - bąknął służący Lohmanna, niełasy na pochwały i liczenie zasług.
Konkowa patrzyła na pałające rumieńcem policzki wnuka.
- Ale wina mu pan Karol chyba nie daje?
- No... - Karol przymrużył oko. - Odrobineczkę!
Tyle co na zaostwienie apetytu.
- Ale to jeszcze dziecko!
- Dziecko? - roześmiał się Karol. Trzepnął Tomaszka w szerokie plecy. - Ja w jego wieku, kiedy miałem szesnaście lat...
- On nie ma jeszcze szesnastu lat! - krzyknęła Łucka.
- Skończę pierwszego marca - uściślił sprawę Toma-

szek.

- No więc jeszcze nie masz! Jeszcze nie masz! - Łucka wciąż nie mogła opanować swego głosu. Był wysoki i piskliwy. - I żebyś mi nigdy więcej nie pił wina! Panie Karolu, bardzo pana proszę...

Karol, urażony, wzruszył ramionami.

- Jak pani gospodyni sobie życzy. Myślałem, że wino chłopakowi dobrze zrobi. I że to prawie patriotyczna powinność nie dopuścić, żeby je spijali wyłącznie Niemcy. Konkowa się roześmiała, po raz pierwszy od wielu dni. Znowu czule pogładziła pasiastą kamizelkę Karola.

- Pan Karol jak już coś powie...

- Chciała mama iść ze mną, a teraz ruszyć mamy z miejsca nie można - warknęła Łucka.

- Idę, idę, niech Tomaszek jeszcze u pana posiedzi

- Konkowa popatrzyła nie wiadomo dlaczego przepraszając na Karola.

- Może u mnie siedzieć, jak długo zechce. Powiedziałem, że szef na zebraniu. A mają nad czym radzić: ile jeszcze futer ściągnąć z Polaków tej zimy.

Roześmiali się oboje i równocześnie obydwójce umilkli. Na dole trzasnęły drzwi wejściowe, zamknięte energiczną ręką.

Karol schował się do mieszkania, a Konkowa dogoniła schodzącą już po schodach Łuckę. Nie myliła się - to Joe-mikser, jak go wciąż mimo gestapowskiego munduru nazywano, wrócił do domu. Świecił sobie latarką i na chwilę ostry jej snop oświetlił obie kobiety. Poznał je, ustąpił im miejsca na schodach w ugrzecznony sposób, w jaki od dawna tego nie czynił.

- Hei! Hitler! - pozdrowił je głośno.

Łucka przepuściła przodem matkę; Konkowa - sama milcząc - usłyszała, że córka mamrocze coś pod nosem i nie postępuje za nią, zatrzymana przez Joe-miksersa pytaniem, które niejednokrotnie powtarzał, budząc wciąż ten sam strach:

- I wciąż nie ma pani żadnej wiadomości od męża?

- Nie - wykrztusiła Łucka. - To jest... rozpoczęłam starania...

- A mnie się wciąż wydaje, jakbym go gdzieś widział... jakbym go gdzieś widział, tylko nie mogę sobie przypomnieć gdzie. -

- Musiało... się panu zdawać...

- Możliwe. .

Stali w mroku, Joe skierował snop światła latarki na sufit klatki schodowej, nie widzieli swoich twarzy.

- No to dobranoc - powiedział nagle. - Hei! Hitler!

Łucka znowu wymamrotała coś pod nosem, a Konkowa zaraz za progiem ścisnęła ją za rękę.

- Oszalał! Hei! Hitler! Wyobraża sobie, że w domu mieszkają sami Niemcy.

- Mamo! - prawie krzyknęła Łucka. Już nie miała siły, żeby się opanować. Może był to nawet moment sposobny do powiedzenia matce prawdy, otworzyła już usta, ale jednak zabrakło jej odwagi. Wiatr pędził ulicą tumany suchego śniegu, zima trzymała tego roku od pierwszych dni grudnia, przez cały czas tak samo zajądła.

- I musimy tak łązić po tym mrozie - narzekała

Konkowa, ciaśniej obwiązując głowę chustką.

- Chciałam iść sama.
- Ale co ja bym była za matka, gdybym cię samą puściła.
- Niepotrzebnie się mama rozczula.
- Nawet to cię drażni?

Łucka nie odpowiedziała. Pozwoliła matce ująć się pod rękę, dławili ją płacz. Były tak do siebie podobne, ona także myślała przede wszystkim o swoim dziecku, dookoła była wojna, różnym ludziom przydarzały się różne tragedie, a ona myślała tylko o swojej, o swoim lęku, o zagrożeniu najboleśniej godzącym w serce. Widziała teraz przed sobą nie błotnistą, rozdeptaną tysiącem nóg ziemię obozu, ale biały, nie kończący się obszar stepu, poprzecinany liniami unieruchomionych straszną rosyjską zimą okopów, a w nich Tomaszka, swoje dziecko, które sama ubrała w znienawidzony mundur.

- Chyba zwariuję - szepnęła do siebie. - Chyba zwariuję.

- Co mówiłaś? - zapytała matka.
- Nic, nic, niech mama nie zwraca na mnie uwagi.
- Jak ja mogę nie zwracać na ciebie uwagi? - ze smutkiem powiedziała K-onkowa.
- Niech się mama postara, bardzo proszę.

Nieliczni przechodnie mijali je spiesznie, twarze mieli ukryte w podniesionych kołnierzach płaszczy. Zima i wojna wytworzyły ten nawyk, obie jednakowo groźne i obie sobą spotęgowane.

Zbliżały się do skweru Kościuszki, gdy zza węgła wynurzył się patrol żandarmerii. Z daleka słyszać było skrzypienie śniegu pod maszynowymi butami.

- Zawróćmy - szepnęła Konkowa.
- Już teraz nie możemy.
- Dlaczego?
- Widzą nas. I właściwie czego się mama boi? - Łucka nie mogła opanować poirytowania w głosie.
- A ty nie?
- Ja...? Nie ma przecież jeszcze godziny policyjnej.
- Do czego innego mogą się przyczepić.
- Niech mama przestanie!
- Odezwać się dziś do ciebie nie można.
- To niech się mama nie odzywa.
- Boże, Boże... - szepnęła Konkowa.

Żandarmi zrównali się już z nimi i mijali je niespiesznie - w blasku, bijącym od śniegu, widzieli dokładnie dwie kobiety w niezłych zimowych okryciach.

- Halt! - zawołał jeden z nich.

Stały jak wryte.

- Widzisz! - Konkowa szarpnęła ramieniem córki.
- Niech się mama uspokoi.
- Dobrze tak spacerować w ciepłych futrach? - Żandarmi omietli blaskiem latarki najpierw twarze kobiet, a potem okrycia, które miały na sobie i którym chciały w jednej chwili nadać jak najbardziej niepozorny wygląd.
- Jakże tam futra! - Konkowa odgięła połę swego płaszcza, ukazując podszewkę. Ciepłą pelisę z ogromnym skunksowym kołnierzem trzymała w szafie przesypaną naftaliną.

- A to także nie futro? - Jeden z żandarmów pogładził rękaw fokowego futerka Łucki, które nosiła od czterech lat, wytarte już przy guzikach i rękawach. - No, ściągaj je, dziewczusko, prędzej! Nasi żołnierze marzną w okopach!

- A w czym ona będzie chodzić do pracy? - krzyknęła Konkowa. Stała między córką a żandarmami, osłaniała ją sobą. - W niemieckiej firmie pracuje!

- Ma chyba w domu jakieś inne palto. No, prędzej, prędzej! Nie będziemy tu stać na mrozie.

- Zaziębi się! Zapalenia płuc dostanie! Jak można człowieka rozebrać na ulicy?

- Matka! Uspokój się, matka! - Żandarmi odsunęli Konkowa i obydwa z pobłażliwym spokojem zabierali się do ściągania futra z Łucki, kiedy ta otworzyła gwałtownie torebkę i wyjęła z niej swój nowiutki ausweis.

- Proszę! - powiedziała.

Konkowa patrzyła na nią w zdumieniu.

Żandarmi niezbyt skwapliwie pochylili się nad dowodem, oświetlając go latarką.

- Yoiksdeutsche? - zapytał jeden z nich prawie z rozczarowaniem w głosie.

- Tak - powiedziała Łucka.

- Przepraszam! - Żandarm oddał jej dowód, uśmiechnął się krzywo. - Musimy dbać o swoich żołnierzy na wschodzie. Tu Polacy wygrzewają się w futrach, a naszym chłopcom pośladki odmarzają na śniegu.

Odeszli, przez chwilę słychać było skrzypienie śniegu pod ich butami, a potem już tylko płacz Konkowej, która obie ręce podniosła do twarzy, jakby chciała ją zakryć przed spadłym nagle na nią wstydem.

- No więc już mama wie - szepnęła Łucka.

Wracały do domu milcząc.

Dopiero na schodach Konkowa zapytała:

- Dla niego to zrobiłaś, tak?

- Tak.

- Ale on ci tego nie przebaczy.

- Przebaczy.

- Mówię ci, że nie. Żyłas tyle lat z człowiekiem i wcale go nie znałaś.

- Więc co? Miałam dopuścić do tego, żeby umarł? Żeby tam zdechł? Tego by mama chciała?

- Moje dziecko - odpowiedziała Konkowa cicho - ja bym chciała przede wszystkim nie żyć. Leżeć tam na cmentarzu obok Augustyna i nie patrzeć na to wszystko, co się z nami porobiło.

Dopiero teraz Łucka przypadła do matki i zaczęła ją całować po twarzy i rękach, płakały głośno na schodach, ale na szczęście nikt z niemieckich lokatorów tego nie słyszał.

Całą noc nie zmrużyły oka, a kiedy następnego dnia Łucka wróciła z biura do domu, zastała w nim kartkę z nadrukiem Komendantury Konzentrationslager Stutthof. Nie miała odwagi jej przeczytać, spojrzała pytająco na matkę.

- Piszą, że nie ma go tam. I że sprawdzą, czy nie wysłano go do któregoś z podobozów.

- Co to znaczy?

- Tyle wiem co ty. Pewnie wysyłają dokądś więźniów na

pracę. Do jakichś fabryk albo majątków.

Łucka chwyciła się za głowę.

- Może jest gdzieś tutaj niedaleko i nic o tym nie wiemy?

Zrobiłam wszystko, co mogłam, zrobiłam to, czego nie
powinnam była zrobić, a jego tam nie ma, nie ma...

Do pokoju wpadł Tomaszek, który częściej przesiadywał
u Karola niż w domu. Zaniepokoił go wyraz twarzy matki,
urzędowa kartka w jej ręku.

- Co się stało? - szepnął.

- Ojca nie ma w Stutthofie - odpowiedziała za Łuckę
Konkowa.

- No, to dobrze! - ucieszył się. - Nareszcie go tam nie
ma. Pan Karol mówi...

- Cicho bądź! - ofuknęła go babka. - Nic nie rozu-
miesz. - I dodała po chwili ciszej: - Nic nie wiesz.

XVI

Arno Wieseirode, wróciwszy ze stoczni, w której jego u-boot
stał na przegładzie, zaledwie pozdrowił Weronikę, spotkaną
w wejściu, i od razu zamknął się w swoim pokoju. W ten
nietypowy dla siebie sposób postępował już od kilku dni. Nie
opuszczał pokoju, odgradzony drzwiami od ciekawości
i zatrwożenia polskich kobiet. Musiały się domyślać, że coś
się stało - wiedział o tym i powinien był, przybierając
zwykły wyraz twarzy, wyjść do nich i zachowywać się
normalnie - ale właśnie wobec nich nie mógł zachowywać
się normalnie i to było w tym wszystkim najgorsze.
Przypadkowo odkrył wśród polskich robotników, pracu-
jących w stoczni, przygotowania do sabotażu i to na jego
jednostce, która za dziesięć dni miała wyjść w morze.
W przedziale maszynowym, ciasnym jak inne pomieszczenia
na okręcie podwodnym, przepychał się obok pracujących
tam robotników i wyczuł u jednego z nich jakiś twardy
przedmiot w nogawce spodni, poniżej kolana. Nie chciał
rozpoczynać badania w obecności niemieckiego majstra,
wolał najpierw sam się przekonać, czyjego podejrzenia były
słuszne.

Kazał chłopakowi iść do kabiny dowódcy okrętu, przez
cały czas szedł za nim, trzymając w kieszeni palec na spuście
rewolweru. Chłopak wyraźnie się zaniepokoił, przygarbił
się, rozpoczął nawet jakieś manipulowanie przy spodniach,
ale mu to udaremnił, następując mu na pięty. W swojej
kabinie kazał mu się rozebrać.

Chłopcu zaczęły latać oczy, przygryzł wargi i stał pośro-
dku kabiny bez najmniejszego ruchu. Nie miał więcej niż
dwadzieścia lat, bardzo jasne włosy wiły mu się na skro-
niach.

- Słyszałeś? - krzyknął na niego. - Kazałem ci zdjąć
spodnie!

- Ale... dlaczego...? Dlaczego? - zaczął się bronić
chłopak. Miał jeszcze jakąś nadzieję, jakąś rozpaczliwą
nadzieję, że uniknie tego, na co zasłużył.

- Natychmiast zdjąć spodnie!

- Ja nic nie ukradłem! Panie komandorze! Co można
ukraść na łodzi podwodnej? Nic, a narzędzia... to wcale nie
są takie cenne narzędzia i do czego... do czego by mi były
potrzebne...!

Wyjął broń i położył przed sobą na stole.

- Jeśli natychmiast nie zdejmiesz spodni... - zaczął groźnie.

Chłopak trzęsącymi się rękami zaczął odpinać pasek.

Wciąż jeszcze miał nadzieję (skąd - u licha - tyle nadziei w tych Polakach?), spuścił oczy, popatrzył niewinnie, ale zaraz zerknął ku krzwiom.

- Ja panu komandorowi wszystko powiem...

Przyskoczył do niego i jednym szarpnięciem ściągnął z niego spodnie. Opadły na podłogę, obwinęły mu stopy

- pod kolanem miał przywiązany konopnym mocnym sznurkiem lniany woreczek.

- Co to jest?

Milczał.

- Odpowiadaj zaraz, co to jest?

Chłopak stał jak sparaliżowany. Nieruchomo patrzył przed siebie.

Pochylił się więc i zerwał woreczek z jego łydki. Był twardy niczym kamień od ubitego w nim piasku.

Teraz nie musiał już pytać, teraz wiedział wszystko.

Piasek, wsypany do karteru przez sabotażystów był śmiercią dla czterdziestu czterech ludzi, dla całej załogi okrętu, był jego własną śmiercią pod powierzchnią wody, w morzu, w zanurzeniu, z którego nie zdołałby już wydźwignąć okrętu.

Pociemniało mu w oczach. Należało natychmiast wezwać

gestapowców i oddać im chłopaka, niechby się z nim

pobawili, niechby się przede wszystkim dowiedzieli, z kim

współpracował i kto polecił mu dokonanie sabotażu (taki

polski gnojek sam sobie tego nie wymyślił) - ale najpierw

chciał rozprawić się z nim sam. Nie funkcjonariusze gestapo

mieli zatonać gdzieś na morzu bez możliwości sprawdzenia

powodów awarii, nie oni więc powinni mieć satysfakcję

kary. Uderzył chłopaka najpierw w podbrzusze, a kiedy

zawył z bólu, żeby go uciszyć, zaczął bić go po głowie, po

twarzy, po piersiach, po plecach, gdy padał i nieruchomo

leżał na ziemi... Bił go z coraz większą wściekłością, oszalały

od nie opuszczającego go wyobrażenia, co by się stało, gdyby

tego właśnie dnia nie zszedł do maszyny i nie otarł się

o jednego z Polaków. Potem - gdy gestapo zabrało ich

wszystkich - długo siedział w swojej kabinie i nie mógł

opuścić okrętu. Panowała na nim śmiertelna cisza, ustały

wszystkie prace, niemieckich majstrów odwołano na stocz-

nię, załoga w milczeniu przeżywała gorzką świadomość

braku czujności i zażegnanego - bez jej udziału - niebez-

pieczeństwa. Zapobiegł mu dowódca, tak było najlepiej dla

jego prestiżu i dla właściwej atmosfery na okręcie, ale każdy

z oficerów, podoficerów i marynarzy miał obowiązek zadać

sobie pytanie, dlaczego to nie on wykrył planowany na

okręcie sabotaż? Narodowy socjalizm uczył nie tylko niena-

wiści, ale i nieufności, bezustannej, niczym nie stępionej

nieufności wobec niższych podbitych narodów.

Powiedział im to, gdy zebrał całą załogę na pokładzie,

powiedział im to, a teraz - leżąc na tapczanie w swoim i nie

swoim pokoju, wśród odgłosów, dochodzących z głębi

domu, do których w ciągu spędzonych tu miesięcy tak

przywykł - powtarzał to sobie, raz za razem, bez końca:

nienawiść i nieufność, nieufność i nienawiść jako odpowiedź

na nienawiść i bezustanne pragnienie zabijania, które wciąż

żywili Polacy - naocznie się dziś o tym przekonał. Zerwał się, usiadł przy biurku, wyciągnął z szuflady arkusz papieru.

"Najdroższa, Najbliższa memu sercu Hannelohre! - zaczął pisać list do żony.- Gdybyś wiedziała, gdybyś mogła sobie wyobrazić, jak bardzo czuję się tu samotny - bez Ciebie, bez dzieci, bez naszego zacisznego, dobrego domu. Od pięciu dni jestem znów w Gotenhafen, mój okręt stoi w stoczni na okresowym przeglądzie - i dziwne - mimo że jestem tu bezpieczny, wolny od wszystkich napięć, których doznaję w morzu, chciałbym już opuścić ląd, chciałbym znów walczyć, spotykać przeciwnika i niszczyć go z bezwzględnością, o której sensie przekonałem się właśnie tu, na lądzie, w mieście uznanym już za nasze, pokonane i uciszone, wyłączone z wszelkiej walki. Nie jest tak, Hannelohre, i nigdy Cię tu nie sprowadzę, nigdy nie pozwolę tu przyjechać Tobie ani dzieciom - zachowaj swoją spokojną pewność, że robisz to, co jest najpotrzebniejsze na świecie: ratujesz życie ludziom, niesiesz pomoc tym, którzy jej najbardziej potrzebują. Podczas wojny jedyną piękną sprawą trudnią się lekarze, powinnaś być szczęśliwa, że do nich należysz, że nie zbrudzą Cię nigdy..."

Przerwał, nasłuchując.

Z kuchni dochodził głośny, niepohamowany śmiech.

Śmiała się Marynka, ta jasnowłosa, manifestująca zbyt jaskrawo swoją wesołość, aby mogła być ona prawdziwa. Wtórowała jej Wisia dziecinnym jeszcze piskiem i chichotem. Ta ciemna, ta smagła, ta, o której chciał nie myśleć, o której bał się myśleć - milczała. Milczała również, zapewne czymś zajęta, Weronika. Z czego tak się cieszyły? Co mogło je tak rozśmieszyć? Wiedział, że gdyby nawet teraz zjawił się w kuchni, nie powiedzą mu tego.

A Marynka (coraz ładniejsza, im bardziej zaniedbana) śmiała się, usiłując odgadnąć powód jego odosobnienia.

- Zamknął się w pokoju i milczy, bo nie wie, w jaki sposób zakomunikować nam, że dostali gdzieś w dupę.
- Stała się ordynarna, ale wyraźnie ją to cieszyło. - W dupę! Dostali gdzieś w dupę!

Dawniej pani Helena zaprotestowałaby przeciwko takiemu słownictwu choćby ze względu na Wisię - teraz nawet nie drgnęła. Powiedziała tylko:

- Zęby tak było! Ale oni z wiosną ruszyli naprzód na całym wchodnim froncie.

- Nie na całym, nie na całym! - zaprotestowała Wisia, coraz Sępiej obeznana z sytuacją na frontach. - Pod Moskwą i Leningradem nie!

- Jakaś dziewczyna stoi przy furtce - powiedziała nagle Weronika.

Rzuciły się wszystkie do okna. Przed furtką stała niepozorna dziewczyna w szarej chustce na głowie, najwyraźniej pragnąc - i nie mając odwagi - wejść.

- Trzeba wyjść do niej - powiedziała pani Helena.

- Ja wyjdę - zawołała Wisia.

- Zostań! Sama to zrobię.

Nie wiadomo dlaczego schodziła ku furtce z bijącym sercem. Każdy człowiek, który teraz się zjawiał, mógł być złem albo dobrem, nie było innych, każdy coś znaczył

w obwarowanych wojenną regułą dniami. Dziewczyna przy furtce miała w oczach ten sam niepokój.

- Pani Helena Tereszkowa? - zapytała.

- Tak.

- Bo... przed chwilą przywiózł tu samochód jakiegoś Niemca... Ukryłam się za płotem i widziałam.

- Mieszka tu. Ma kwaterę.

Dziewczynie drżały usta, niespokojnie rozglądała się na boki.

- Na pewno jest pani Helena Tereszkowa? Jak na imię ma pani córka?

- Wisia - odpowiedziała pani Helena, coraz bardziej zdumiona i niespokojna.

- Mam wiadomość dla pani.

- Od kogo? - ledwie mogła pohamować niepokój.

Dziewczyna przez chwilę milczała. Znowu rozejrzała się wokoło, ulica - na szczęście - była pusta, w koronach drzew w ogrodzie rozpoczęły już swój wieczorny koncert wilgi i kosy, ale ich śpiew wydawał się ciszą.

- Od kogo? - powtórzyła pani Helena.

- Kiedy nie wiem od kogo. Pracuję u niemieckiego ogrodnika w Oliwie. Przed tygodniem przysłali tam do pracy niewolników...

- Niewolników...?

- Tak. I jeden z nich... jeden z nich zdołał zbliżyć się do mnie i poprosił, żebym tu przyszła...

- Kto? Nie podał nazwiska?

- Nie. Prosił tylko, żebym panią odnalazła i żebym przypomniała dwa słowa...

- Jakie słowa?

- Francuskie chyba...? - Dziewczyna starała się wymówić je dokładnie: - Lebrak i Brufo.

- BrifTaut...?

- Chyba tak.

- Ale ten człowiek... ten człowiek, który prosił o przekazanie tych słów... jest Polakiem?

- Myślę, że tak. Rozmawialiśmy krótko. Prosił, żeby pani przyszła.

- Ależ ja zaraz... ja zaraz... - pani Helena poderwała się, jakby natychmiast miała biec do tego nieznanego człowieka, który je wzywał.

- Chwileczkę - powstrzymała ją dziewczyna. - U nas są róże do sprzedania. Sadzonki. Musi pani mieć jakiś pretekst. I nie wiem, czy uda się pani go zobaczyć. Niewolników pilnuje strażnik. Uzbrojony.

- Róże... - powtórzyła pani Helena. - Sadzonki...

- Tak. Musi pani udawać, że chce je pani kupić.

- Ogrodnik sprzedaje je Polce...?

- On tam o nic nie pyta. Żeby tylko były pieniądze, Bardzo na nie łasy. Niech się pani tylko nie targuje.

- Och, skądże znowu.

- Bo u niego ceny wysokie i wszyscy się targują.

- Ja nie będę.

- To jest w Oliwie. Pani przyjedzie koleją?

- Koleją.

- To z dworca pójdzie pani prosto, do głównej drogi; a potem... - dziewczyna, wciąż rozglądając się wokoło,

podawała dokładny adres, który pani Helena powtarzała trzęsącymi się wargami. - To całkiem niedaleko. Zapamięta pani?

- Tak.

- I niech pani przyjdzie na pewno, bardzo panią proszę!

- oczy dziewczyny zalsniły wilgocią. - Nie może pani nie przyjść. On... ten człowiek...

- Ależ przyjdę! - szepnęła żarliwie pani Helena. - Mogę iść zaraz! Z panią!

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- Dziś już za późno. Dziś już ich nie ma. Na noc odprowadzają ich do baraków.

- Do baraków?

- Tak. Koło klasztoru. Tam jest obóz.

- Trzymają ich tam w zamknięciu?

- Na pewno. Skoro strażnik odprowadza ich i przyprowadza z pracy. No, muszę już iść. Niech pani przyjdzie jutro.

- Przyjdę. Z samego rana.

- Do widzenia.

- Chwileczkę! Czy... mogłabym w jakiś sposób wynagrodzić pani grzeczność...? Niczego pani nie potrzebuje?

Mam pieniądze. I żywność.

Dziewczyna zaprzeczyła gwałtownym ruchem głowy.

- Dziękuję. Nie zrobiłabym tego z myślą o wynagrodzeniu. I niczego nie potrzebuję. Teraz wystarczy, kiedy człowiek jako tako ma siebie. - Uśmiechnęła się i odbiegła w dół ulicy, a pani Helena stała długo przy furtce, powtarzając w myśli jej ostatnie słowa.

Opowiedziała o wszystkim w kuchni, nie wiadomo dlaczego zniżając głos; w tysiącu sytuacji upewniły się, że Arno Wieseirode nie rozumie po polsku. A jednak mówiła prawie szeptem i prawie szeptem zapytała Marynka:

- Myślisz, że to któryś z tych Francuzów?

- Sama nie wiem, co myśleć.

- Mogli dostać się do niewoli. Wszędzie są obozy jeńców i właśnie Francuzów trzymają w Gdyni koło stoczni. Mogli część przenieść do Oliwy...

Bała się zdradzić z nadziei, która od razu jej się objawiła, gdy tylko dziewczyna powiedziała, że ma dla niej od kogoś wiadomość. Za nic nie wymówiłaby na głos imienia, które spodziewała się jutro wypowiedzieć na widok człowieka nie widzianego tak dawno i opłakiwanego każdej nocy, choć kto inny miał do tego prawo, nie ona.

- Pójdiesz tam? - spytała Wisia.

- Oczywiście - odpowiedziała. - Jak możesz pytać?

- Bo boję się o ciebie. Gdybym nie musiała iść do pracy, poszłabym z tobą.

- Najlepiej będzie, kiedy pójdę sama - powiedziała, całując Wisłę. Czuła się wobec niej czemuś winna, jak zawsze, gdy nie myślała o jej ojcu, a miały go, gdyby udał się jego plan, wkrótce zobaczyć; myślała o obcym człowieku, dla którego już raz narażała życie i dla którego zawsze była gotowa... - Najlepiej będzie, kiedy pójdę sama - powtórzyła cicho.

Ale nazajutrz zmieniła zdanie.

Arno nie opuścił swego pokoju przez cały wieczór, a i rano nie dawał znaku życia. Zapukała więc do niego przed

wyjdę z domu, żeby się dowiedzieć, co się z nim dzieje. Bała się odpowiedzialności, jaka spadłaby na nie wszystkie, gdyby na przykład zasłabł, a one nie udzieliły mu pomocy. Otworzył jej drzwi kompletnie ubrany, szarość jego twarzy wskazywała na to, że chyba w ogóle nie spał tej nocy.

- Co się panu stało? - zapytała. I dodała, zdobywając się na mniej oschły ton: - Niepokoimy się już wszystkie...

- Wszystkie? - zapytał cicho.

- No, tak, kolacji pan nie jadł... Nie jest pan chory?

- Nie.

- Bałam się, że pan zachorował. Ale chyba wezwałby pan kogoś z nas, gdyby potrzebował pomocy...

- I... przyszłaby pani?

- Ja... - zmieszała się pani Helena. - Jest Weronika, która znakomicie pielęgnuje chorych...

- Nie jestem chory - powiedział, nie zdejmując oczu z jej twarzy - ale jednak proszę wejść.

- Och, nie! - zawołała z nadmierną swobodą. - Spieszę się bardzo. Jadę do Oliwy. Po róże. Trzeba posadzić nowe na miejsce tych, które wymarziły. Sam pan mówił... i obiecał pomóc...

- Ależ oczywiście - ożywił się. Szarość powoli ustępowała z jego twarzy. Zajęcie się czymkolwiek wydało mu się jedynym wybawieniem od trapiących go przez całą noc myśli. - Obiecałem i dotrzymuję słowa. Jadę z panią

- dodał ze sztucznym ożywieniem.

- Wystarczy... - głos pani Heleny się załamał - wystarczy, jeśli je pan... posadzi. Przywiozę je sama.

- Cóż znowu? - Amo wyraźnie odzyskiwał dawne samopoczucie. - Nigdy na to nie pozwolę. Będzie pani dźwigać krzewy aż z Oliwy? Do tego kłują...

- Ogrodnik je na pewno opakuje - broniła się z rozpaczą pani Helena. Była wściekła na siebie. Po co mówiła o tych różach, mogłaby je sama posadzić. - Jeśli... jeśli w ogóle zostaną dziś kupione... - Powinna pretekst odwieźć u ogrodnika rozłożyć sobie na kilka dni: dziś obejrzeć róże i powiedzieć, że przyjdzie po nie jutro - jutro kupić tylko część i przyjść nazajutrz... Mogła stać się stałą klientką ogrodnika, dopóki... dopóki co? Nie wiedziała, do czego to wszystko miało prowadzić i po co tam szła - w przeddzień wyjazdu z kraju, na który w ostatnim liście przygotowywał ją mąż. Napisał, że ktoś przyjdzie po nią i Wisię, i żeby już o nic nie pytały, nie starały się niczego dochodzić swoim rozumem... Sformułowanie było właściwie obraźliwe, ale przyjęła je w pokorze. Podczas ilu bezsensownych nocy wspominała z krwawym do siebie żalem ów moment w porcie, ostatniego sierpnia, kiedy to mogła, na pewno mogła zdążyć na statek, gdyby nie ta bezwolna opieszałość, ta paraliżująca, bezsensowna nadzieja, jaka ją wtedy opanowała? Teraz - wiedziała - nic takiego nie mogło się już powtórzyć. Choćby ze względu na Wisię należało się Adamowi posłuszeństwo, bezwzględne posłuszeństwo. Wyprzedawała do reszty rzeczy - miały z Wisią wyjść z domu tylko z małymi walizkami, w sportowych kostiumach, przywodzących na myśl urlop, na jaki udawały się do kraju z Osteinsatzu ofiarne dla swojej ojczyzny niemieckie kobiety. Ale przedtem... przedtem czekała ją jeszcze ta sprawa... ta

niewiadoma sprawa w Oliwie z przeznaczonym dla niej udziałem, który mógł przerastać jej siły i możliwości. I nagle olśniła ją myśl: ależ niech jedzie z nią ten Niemiec w mundurze K.riegsmarine, niech się tam z nią pokaże, żeby ogrodnik myślał, że ma do czynienia z Niemką, żeby nie żywił żadnych podejrzeń podczas jej następnych wizyt.

Uśmiechnęła się.

- Jeśli ma pan ochotę, to... proszę, niech pan jedzie ze mną. Nie chciałam tylko pana trudzić i... narażać. Wiedział, co miała na myśli, sposepniał na krótki moment, ale zaraz się opanował. Uczynił ruch, jakby się jej kłaniał, dłonie wyciągnął wzdłuż szwów spodni, pochylił głowę.

- Odniosłem wrażenie, że to pani nie ma odwagi pokazać się ze mną.

- No cóż, to -chyba nic dziwnego w tym mieście.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Panią Helenę przeraziła bielejąca jasność oczu Ama, stały się prawie przeźroczyste i nieruchome, dwie białe plamy paraliżującego ją światła. Odezwał się pierwszy:

- Jest wojna. Zdarzają się chwile, że o tym zapominamy, że chcemy o tym zapomnieć. Ale ona jest i wy sami nam o tym przypominacie.

- Czy... mogłoby być inaczej? - zapytała.

- Nie - odpowiedział, odwracając wreszcie oczy od jej twarzy.

Do ogrodnika dotarli około dziewiątej rano; przez cały czas - w pociągu i kiedy z niego wysiedli - Arno starał się już nie dotykać tego tematu, pani Helena odniosła wrażenie, że nawet jakby usiłował ją bawić, mimo wyraźnego napięcia, które go nie opuszczało. Nie czuł się jednak dość pewnie w towarzystwie nieniemieckiej kobiety, przypadkowe spotkanie z kimś ze znajomych, a przecież mógł ich już tutaj mieć, kompromitowało go i jako oficera, i jako Niemca. Ta sytuacja, a nie rozmowa, którą starał się wieść, zaczynała ją bawić coraz bardziej - ale gdy stanęli przed domem ogrodnika, przed rozległą plantacją róż i innych sadzonek, ciągnących się za nim, umilkła. Gdzieś tam, między wysokimi żywopłotami, które zagęszczała już wiosenna zieleń, pod szkłem oranżerii, przy inspektowych oknach, które właśnie otwierano do słońca - był ten, który ją wzywał, który oczekiwał od niej pomocy.

Ogrodnik na widok munduru korvettenkapitana ruszył rażno w ich stronę. Niemłody już, ale i niestary, miał mimo wczesnej wiosennej pory twarz spaloną słońcem, a sieć jaśniejszych od reszty skóry zmarszczek okalała mu oczy. Wytarł o fartuch ręce pobrudzone wilgotną ziemią.

- Róże... - zaczął Amo z nieporadnością mieszczaucha, którego po raz pierwszy wiosna zaskoczyła obowiązkami wobec ziemi - musimy posadzić róże... Pan podobno ma bardzo piękne...

Ogrodnik patrzył na panią Helenę. Blask, który rozjaśnił mu oczy, czynił go młodszym, niż był. Wciąż na nią patrzył, choć mówił do mężczyzny:

- Najpiękniejszą ma pan.

- Dziękuję - powiedział Arno niezręcznie. Zagrały mu mięśnie na policzkach, gdy po tym jednym słowie zacisnął

szczęki.

A ogrodnik mówił dalej, nie spuszczając rozbłyśniętych oczu z kobiety, która towarzyszyła oficerowi.

- Dla tej najpiękniejszej postaram się wybrać takie, żeby stanowiły godne jej tło.

- Umie pan prawić komplementy - powiedziała pani Helena, żeby rozładować sytuację.

Ogrodnik uśmiechnął się do niej.

- Interes tego wymaga, łaskawa pani. Bo kto przychodzi po kwiaty, po rozsady i jarzyny? Głównie kobiety. Pan koryettenkapitan to wyjątek. Rzadko widuję mężów, towarzyszących żonom przy tych zakupach.

Arno znowu zachował się nie tak, jak powinien. Stanowczo nie był partnerem w sytuacjach, które wymagały gry. Nie umiał kłamać, nawet wtedy, gdy trzeba było tylko milczeć. Powiodł dłonią po twarzy, chwilę zatrzymał ją na czole, chrząknął.

- Gdzież te róże? - zapytał.

- Już pokazuję, już - ogrodnik ruszył naprzód wąską ścieżką między zagonami. - Państwo pozwolą, że pójde pierwszy. Agnes - zawołał - pomóż mi!

W wejściu do oranżerii ukazała się dziewczyna, która poprzedniego dnia zjawiła się u pani Heleny. Teraz nie drgnęła nawet na jej widok. Chwyciła szpadel i ruszyła za nimi ścieżką wśród zagonów.

On gdzieś tu jest, myślała gorączkowo pani Helena, na tym zielonym obszarze, wśród krzewów i ogrodniczych zabudowań, strzeżony wśród nich czujnym okiem strażnika. Rozglądała się uważnie dokoła, nie dostrzegła jednak nikogo. Starą się skontaktować spojrzeniem z dziewczyną, ale to było niemożliwe. Postępowali ścieżką gęsiego i dopiero kiedy ogrodnik zatrzymał się przy poletku z sadzonkami róż, zatrzymali się także, skupiając się wokół niego.

- Tutaj mam odmiany z gatunku wielokwiatowych róż karłowatych. Nie zapytałem nawet, o jakie państwu chodzi.

- Wszystko jedno - powiedziała pani Helena w roz-targnieniu.

- Wszystko jedno? - zdumiał się ogrodnik.

- Zdajemy się na pana gust - pani Helena zrozumiała swój błąd i zbyt gorliwie starała się go naprawić. - Sądziłismy, że coś nam pan doradzi...

- Musiałbym widzieć ogród.

- Jest już w nim trochę róż, ale część wymarzała - wmięszał się Arno. - I zdziczała. Prawdę mówiąc... nie pielęgnowane od trzech lat. Niezbyt znam się na tym...

- Rozumiem - powiedział ogrodnik.

Pani Helena napotkała wreszcie spojrzenie dziewczyny.

Patrzyła daleko, ponad zielonymi uprawami. Spojrzała także w tym kierunku i dopiero teraz dostrzegła w cieniu drzew pobliskiego lasu grupę więźniów, zatrudnionych przy karczowaniu terenu. Serce jej się ścisnęło - odległość była zbyt duża, żeby mogła rozpoznać ich twarze.

Ogrodnik tymczasem mówił:

- Mam róże karłowate, te właśnie tutaj, w siedmiu kolorach, mam pienne i czepne, jeśli państwo pragną je posadzić przy ścianie domu albo przy pergoli...

- Moglibyśmy je zobaczyć? - poprosiła pani Helena.

Miała nadzieję, że gatunki, o których mówił ogrodnik, rosną gdzieś dalej, w kierunku grupy więźniów, ale ogrodnik zwrócił się w inną stronę.

- Po wyglądzie sadzonek trudno będzie się zorientować - mówił. - Po prostu muszą mi państwo zaufać. Sprzedaję materiał sprawdzony, nigdy nie zdarzają mi się reklamacje. Moja plantacja róż jest znana w całej okolicy. Przyjeżdżają do mnie klienci nawet z K-ónigsbergu.

- Otrzymał pan grupę jeńców do pomocy - powiedziała pani Helena, z trudem opanowując drżenie głosu - to najlepszy dowód, jak ceniona jest pana plantacja. Orodnik wyprostował się.

- Dwóch synów mam w wojsku. To się chyba liczy. Musiałem dostać jakąś siłę roboczą, zwłaszcza że plantacja się rozrasta. Wszędzie teraz mają rosnąć róże - taką uchwałę podjęła nasza NSDAP. A ci - machnął ręką w kierunku karczowiska - to nie jeńcy. To więźniowie ze Stutthofu.

- Ze Stutthofu - powtórzyła pani Helena, czując, że musi się na kimś oprzeć, żeby nie upaść. Ale dziewczyna stała za daleko, a mężczyźni, których miała obok, nie powinni byli dostrzec jej słabości. Opanowała się, odetchnęła głęboko.

- Ze Stutthofu - potwierdził ogrodnik. - Wolałbym jeńców, lepiej odżywieni. Ci bandyci wychudzeni jak szczapy. Ale trudno, musiałem się na nich zgodzić. Jeńców dostaje przede wszystkim przemysł.

- Ma pan tu zapewne nie tylko róże - zaczęła gorączkowo pani Helena. - Czy... czy mógłby nam pan pokazać także i inne krzewy... może ma pan cisy karłowate?

- Oczywiście - z dumą zawołał ogrodnik. - I jałowce kolumnowe, jeśli łaskawa pani sobie życzy. Bardzo poszukiwane.

- Och, marzyłam o nich od dawna!

- Zaraz pani pokażę. - Wreszcie wiódł ich w stronę, w której pracowali więźniowie. Wciąż coś mówił, zachwalał swoje ogrodnictwo, słał gatunki uprawianych przez siebie roślin. Oni milczeli: pani Helena, Arno i dziewczyna, z opuszczoną głową drepcząca na końcu. Pani Helena modliła się, powtarzając bezładnie wciąż te same słowa modlitwy. Arno rozważał swoje szaleństwo, najgorsze było w nim to, że zdawał sobie z niego sprawę i nie potrafił z nim walczyć. Dziewczyna myślała o jałowcach, które rosły tuż przy skraju plantacji, prawie na granicy lasu.

- Oto one! - zawołał ogrodnik.

Jałowce były rzeczywiście piękne, wymodelowane w kształt wysmukły i wysoki, gęste i dorodne, ani jednej ich gałązki nie zwarzył mróz, nie obłamał wiatr.

- Piękne! - powiedziała pani Helena. Patrzyła kątem oka na grupę więźniów pracujących opodal. Wszyscy podnieśli głowy i zwrócili twarze w stronę przybyszów. Żadna nie wydała się pani Helenie znajoma: w swoim wyniszczeniu podobne były do siebie, jakby natura z niezwykłą skrupulatnością powtórzyła kilkakrotnie tę samą kompozycję z zapadniętych oczodołów, wklęsniętych policzków, zaschłych warg, bolesnym skurczem oblepiających wystające z nich zęby. Nie ma go, pomyślała ze skurczem serca. Znowu zapagnęła się na kimś oprzeć, tak jak kiedyś

opierała się na Lebracu, a potem - przez tyle lat - na Adamie Tereszce, teraz jednak nie było przy niej nikogo, kto by mógł ją - bez ujemy dla niej - podtrzymać, i musiała zebrać siły, musiała zebrać wszystkie siły, żeby (wciąż rozmawiając z ogrodnikiem) patrzeć w tę stronę i szukać znajomej twarzy.

- Jałowce kolumnowe - mówił ogrodnik - szczególnie pięknie prezentują się na skalniakach wśród niskiej zieleni. Jedna forma pionowa wśród kamieni i pokrywających je roślin. Mam piękne odmiany kwiatów do ogródków skalnych, chce pani zobaczyć?

- Oczywiście - powiedziała. - Jeśli... jeśli nie są daleko stąd...

- Mam je tu całkiem blisko.

Przeszli na sąsiedni zagon, a ona wciąż patrzyła w stronę karczowiska, gdzie jeden z więźniów, wyminawszy drzemia-

11 - Tak trzymać t. III

cego na zwalonym pniu strażnika, zbliżył się do granicy plantacji i - żeby zetrzeć pot z czoła - zdjął czapkę z głowy.

Podniosła dłoń do ust, tłumiąc okrzyk. Zdumiony Amos spojrzał na nią, zaczęła pozorować kaszel, otworzyła torebkę, wyjęła chusteczkę, wytarła nią załzawione oczy.

- Nie mam pojęcia, co mi się stało. Musiałam się zakrztusić.

- Może jakaś muszka wpadła pani w gardło - zmartwił się ogrodnik.

- Może. Zaraz mi przejdzie.

Nie, to nie był Krzysztof. Ale był to jednak ktoś, kto go jej przypominał. Widziała go jakby za mgłą swoich myśli o nim, swego bolesnego pragnienia, żeby go zobaczyć. A może to jednak był on...? Któż inny by ją tu wezwał? Któż inny oczekiwałby od niej pomocy?

Trzymała wciąż chusteczkę przy oczach, była jej potrzebna jak tarcza, za którą mogła ukryć swoje spojrzenia. Do brzegu karczowiska zbliżył się teraz drugi więzień i także zdjął czapkę. Rozpoznała w nim bez trudu Seweryna Turka, zawsze chudego, o ascetycznej twarzy, reguła obozowa niewiele już mogła w niej zmienić. Bardziej proporcje ciała niż twarz utwierdziły ją w przekonaniu, że tym człowiekiem obok Seweryna był jednak Krzysztof Grabień - widywała ich dawniej razem i zarys ich sylwetek utrwalił się we wspomnieniu.

- A więc na co się pani decyduje? - spytał ogrodnik, już z pewną nutką zniecierpliwienia w głosie.

Patrzyła na niego półprzytomnie. Przyszła jej z pomocą dziewczyna:

: - Ja bym jednak radziła róże. Teraz na przesadzanie róż najodpowiedniejsza pora. Jałowce najlepiej przesadzać pod koniec sierpnia.

- Cicho bądź! - ofuknął ją ogrodnik, ale dodał nie bez zadowolenia: - Pół roku dopiero u mnie pracuje, a jaka mądra.

- Ja... chyba będę musiała się namyślić - pani Helena powoli odzyskiwała panowanie nad sobą. Zrozumiała, że musi przyjść tu po raz drugi, może po raz trzeci i czwarty, może będzie musiała pod lada pretekstem jak najczęściej tu przychodzić, żeby wejść w komitywę z ogrodnikiem, żeby

pozyskać jego zaufanie i przyjaźń, i żeby w końcu zaproponować mu to, co zaproponować mu zamierzała. Wśród popłochu myśli przyszło jej to od razu do głowy: dolary! Nie było na świecie nikogo, kto by nimi gardził. A ona po czterech wizytach szwedzkiego kapitana miała ich już cztery-
sta. I francuskie papierosy! I francuski koniak! - Jutro... jutro przyjdę - dodała.

- Jutro? - zdumiał się Amo. - Jutro nie będę mógł pomóc. Tylko na jeden dzień stocznia zawiesiła roboty, dopóki nie zostanie uformowana nowa brygada... - urwał, spostrzegłszy, że powiedział więcej, niż zamierzał.
- Ale ja się muszę zastanowić. Pan - zwróciła się z uśmiechem do ogrodnika - pan ma tu tyle pięknych rzeczy. Wszystko... wszystko bym chciała mieć w swoim ogrodzie... - Teraz ona posunęła się za daleko. Wobec człowieka, który miał kwaterę w jej domu i do którego właściwie ten dom należał, i wobec siebie także. Bo jakież on był ten jej ogród i po cóż miałyby w nim cokolwiek sadzić, skoro postanowiła go opuścić za kilka dni, zdecydowana już na to ostatecznie, ostatecznie z tym pogodzona? A jeśli nie zdoła do tej pory załatwić tej sprawy? - pomyślała nagle. I wydała się sobie szalona, uwikłana ponad wytrzymałość ludzką w zwątpienia i nadzieje...

Przynajmniej dla ogrodnika to, co mówiła, było jasne.

- Oczywiście - powiedział - niech się pani zastanowi.

Co najmniej jeszcze przez tydzień możemy sadzić róże.

- Ależ ja przyjdę jutro! - krzyknęła.

W pociągu, gdy siedzieli obok siebie, Amo przykrył swoją dłonią jej rękę. Nie pieszczota, ale współczucie było w tym uścisku.

- Ma pani jakieś ciężkie zmartwienie? - zapytał cicho.

- Tak - odpowiedziała.

- I... nie mogę w nim pomóc?

- Nie - powiedziała po długiej chwili milczenia. - Nie!

Zapewniam pana, że nie.

Zaczęły się dni męczących, szarpiących nerwy odwiedzin u ogrodnika, z których wracała zawsze z jakimiś sadzonkami, utykanymi potem byle gdzie w ogrodzie. Kiedy je sadziła, Amo patrzył na to posępnie. Jałowiec nie ozdobił skalniaka przy furtce, gdzie istotnie, jak mówił ogrodnik, wyglądałby najokazalej - wcisnęła go między krzewy bzów, w cień głęboki, nigdy nie przenikany przez słońce. Róże czepne nie zastąpiły pod ścianą werandy tych, które tam, nie osłonięte na zimę, wymarzły. Posadziła je na brzegu rabaty ze wschodzącymi już piwoniami i była to kompozycja zupełnie niestosowna. Tę niedbałość tłumaczył sobie Amo na swój sposób, ale chyba właściwie. Chyba jednak właściwie. Coś się działo, istniał jakiś powód, który odmienił zachowanie spokojnej, nawet w wyraźny sposób przygaszonej dotąd kobiety. Gdyby miał więcej czasu, na pewno by go odkrył. Ale dni mijały nieubłagane szybko i coraz bliższy był wyjścia w morze.

Ostatniego wieczoru zastał ją w kuchni tylko z Weroniką, przygotowującą skromną, wojenną kolację. Siedziała pod oknem w ulubionym swoim miejscu, jakby spodziewając się, że ścieżką, którą tak dobrze było stąd widać, nadejdzie ktoś, albo coś, na co czekała. Kiedy się odezwał, spojrzała na

niego półprzytomnie. Zauważył, że zmizerniała, że pod oczyma ma głębokie cienie.

- I wciąż nie chce mi pani powiedzieć? - zaczął cicho. Posunęła się na ławce, żeby zrobić mu miejsce. Potrząsnęła łagodnie głową.

- Nie?

- Coś sobie pan wymyślił. Nie ma nic takiego, o czym miałabym panu powiedzieć.

- Ale jest coś, o czym mi pani nie powie. Mimo że wychodzę w morze. Czy... nigdy nie pomyślała pani, kiedy się z nią żegnałem, że... widzimy się po raz ostatni? Że przecież może się zdarzyć... Skoro nawet Prien, dowódca tak znakomity, został zatopiony...

Pochyliła głowę. Długo wygładzała suknię na kolanach.

- Widzi pan... Ja... przyzwyczajona jestem do pożegnań. Mój pierwszy mąż zginął na wojnie. Mój drugi mąż...

- Przepraszam.

- Nie musi pan. To dawne sprawy. Ale... są bliższe i świeższe.

- Świeższe?

- Tak. Wojny się udoskonaliły. Można umrzeć wszędzie, nie tylko na froncie. I mogą umrzeć wszyscy, nie tylko żołnierze.

- Czy... będzie pani rozsądna?

- Och! - roześmiała się niespodziewanie, aż Weronika, zdumiona, odwróciła się od kuchni. - Rozsądek! Cóż to jest? Może pan sobie na niego pozwolić? Może pan nie wyjść w morze?

- Ależ ja... - Arno uniósł się na ławce. - Ja muszę. Ja mam obowiązek...

- Wszyscy mamy jakieś obowiązki - powiedziała cicho.

- Nigdy nie było mi tak ciężko...

Pochylił się, ścisnął dłońmi czoło.

- Czy to możliwe - powiedział znienacka - czy to ma jakiś sens, żeby los zetknął dwoje ludzi tylko po to, żeby musieli się rozstać...?

- Możliwe - powiedziała.

- I nigdy nie usiłowała się pani przeciwko temu buntować?

- Czasami... tak.

- A... teraz?

- Teraz nie.

Wstał, obciągnął mundur.

- Dziękuję - powiedział.

- Za co? - Chciała się uśmiechnąć, zanim zrozumiała, że jednak miał za co jej dziękować.

Rano, kiedy usłyszała trzaśnięcie zamykanych drzwi, zerwała się z łóżka, natychmiast gotowa do działania, do swobodnego działania, skoro znowu w sposób nieskrępowany rozporządzała swoim domem.

Skąd wzięła się w niej nadzieja - zuchwała i nierozumna',

- że to się uda? W ciągu kilkunastu wizyt u ogrodnika zaprzyjaźniła się z nim na tyle, że zaczęła mu przynosić nie tylko papierosy, ale i koniak, który razem popijali, przegryzając rzadkiewkami. Zaproponować mu dolarów jednak się nie ośmieliła. Podczas patriotycznych wypowiedzi, których jej nie szczędził, wspominając swoich synów-żołnierzy, wy-

wnioskowała, że może tą propozycją zniweczyć cały plan. Postanowiła działać inaczej i obydwie z Agnieszką, dziewczyną pracującą u ogrodnika, doszły do przekonania, że ten plan był lepszy. Któregoś dnia poprosiła ogrodnika, żeby pozwolił Agnieszce odnieść do pociągu zakupione rośliny - mogły wtedy swobodnie porozmawiać. Najpierw o tym, że ich było trzech, nie dwóch, jak sądziła. Ten trzeci był chłopcem, którego zabrano razem z Krzysztofem z Połczyna. Agnieszka usiłowała przekonać Krzysztofa podczas krótkiej z nim rozmowy, że uwolnienie dwóch więźniów jest wystarczająco trudne - ale nie chciał ustąpić. I pani Helena, gdy jej o tym powiedziała, zgodziła się na trzech. Powoli zwiozła do Oliwy i podrzuciła Agnieszce trzy ubrania. Te już czekały. Najtrudniej przedstawiała się sprawa odciągnięcia strażnika od pilnowanej grupy więźniów. W tym miała jej pomóc ostatnia już butelka francuskiego koniaku i pudełko sardynek, które Amo pozostawił w spiżarni. I Marynka, która umiała rozmawiać z Niemcami tak skutecznie, że ostatnio handlowała już głównie z nimi. Musiała, oczywiście, wyjawić całą sprawę nie tylko przed nią, ale i przed Wisią i Weroniką. Weronika zaczęła płakać od razu, Wisia - z początku bardzo dzielna - dopiero rano, gdy zobaczyła, że matka i Marynka wybierają się do Oliwy.

- Mamusi! - objęła ją za szyję. - Teraz? Kiedy lada moment może zjawić się po nas ten człowiek od tatusia? .^ Uścisnęła ją tylko. Nie miała siły powiedzieć, że zdecydowała się nie jechać, zostać - jeśli ratowanie Krzysztofa będzie tego wymagało.

- Czy nie przyszło ci na myśl, że ktoś w ten sposób ryzykuje życie dla nas?

- Może nie aż tak? Nie wyobrażam sobie, żeby tatuś narażał kogoś... i nas...

- Cicho bądź! - przerwała Wisi Marynka. - Wydawało mi się już, że jesteś dorosła.

Umówiły się, że będzie udawała przed ogrodnikiem osamotnioną kobietę, której mąż także wyszedł w morze. Zaczęła od razu o tym mówić, westchnąwszy:

- W dodatku dziś moje urodziny! I będę je obchodzić sama.

- Nie sama - przerwała jej pani Helena. - Jesteś ze mną i nie spędzimy tych urodzin bez mężczyzn. Na szczęście

- spojrzała wymownie na ogrodnika - pozostawiono ich jeszcze trochę na pociechę, a jeden z nich jest moim przyjacielem i nie pozwoli nam się martwić.

- Łaskawa pani - szepnęła ogrodnik w zachwycie.

Schylił się pod stół, skąd wyciągnął dwa pęczki rzodkiewek.

Panią Helenę mdliło już picie pod tę wodnistą, różową czczość, ale uśmiechnęła się na ich widok.

- Jakie piękne! Nie można dostać takich w sklepie ani na targu.

- Bo u mnie prosto z gruntu - ogrodnik powiódł rozbłyśniętym spojrzeniem po twarzach kobiet. - Świeżutkie!

- U pana wszystko najlepsze - pochwaliła pani Helena.

I sposepniała. - Tak we trójkę będziemy pić? Dwie kobiety i jeden mężczyzna? Przydałby się jeszcze ktoś do pary. Jaka

szkoda, że nie ma choć jednego z pana synów.

- Właśnie - posmutniał ogrodnik.

- Synowie w wojsku? - zainteresowała się Marynka.

- Obydwaj.

- Biedni chłopcy - powiedziała. - Nosić mundur to honor, ale kiedy się pomyśli, że młodość w nim upływa...

- Oj, upływa!

- Taki na przykład strażnik - odezwała się pani Helena

- ten, co pilnuje pana więźniów. Spełnia patriotyczny obowiązek wobec ojczyzny, ale życie mu upływa na samych wyrzeczeniach. Nawet napić się nie może, choćby nadarzyła się okazja...

- Nie, dlaczego? - szepnął ogrodnik, wciągając powietrze po pierwszym kieliszku koniaku. - Nawet teraz... gdyby panie się zgodziły...

Kobiety popatrzyły po sobie.

- Nie wiem, jak ty... - powiedziała Marynka.

Pani Helena zastanawiała się długo.

- Właściwie obcy człowiek - mruknęła z nutą wątpliwości w głosie. - Co innego pan, stary przyjaciel...

- Ale pomyśl o żołnierzu - nie ustępowała Marynka

- który służy ojczyźnie, a zasmarkani cywile tego nie dostrzegają. Nawet napić się z nim nie chcą, choć tu o krok obchodzi ktoś swój geburtstag.

- No, jeśli ty chcesz - ustąpiła pani Helena, najwidoczniej nie przejednana do końca. - Ja tu nie mam głosu.

W końcu to twoje święto. Tylko myślę, że...

- Że co? - agresywnie zapytała Marynka.

- Że nasi mężowie nie byłiby z tego zbyt zadowoleni.

- Nie wiem, jak twój - wyprostowała się Marynka z godnością - ale mój na pewno by to pochwalił. Wszyscy żołnierze są sobie równi, niezależnie od stopnia.

- No, jak chcesz - powtórzyła pani Helena, wciąż z odrobiną niechęci.

- Więc co? - zapytał ogrodnik. - Mam go poprosić?

- Niech pan to zrobi w moim imieniu - zawołała Marynka. - I niech pan powie, że mam geburtstag. Pani Helena uniosła się ze stołka.

- Ja tymczasem powiem Agnieszce, żeby przygotowała mi sadzonki. Bo to się może przeciągnąć, a jednak nie mamy zbyt wiele czasu.

Wyszła razem z ogrodnikiem, a kiedy wróciła po rozmowie z Agnieszką, przy stole siedział już senny strażnik, ożywiający się stopniowo na widok butelki i pudełka z sardynkami, które właśnie ogrodnik otwierał.

Zapytała prawie z naganą w głosie:

- I nie boi się pan zostawiać tak więźniów bez opieki?

Wzruszył tylko ramionami. Niemłody już i wyraźnie zmęczony becznością podczas służby, nie wykazywał skłonności do przejmowania się czymkolwiek.

- Daleko się nie rozleżą - powiedział. - Przewracają się jak chore muchy. I dokąd mogliby pójść w pasiakach, z ogolonymi głowami? Tu nikt nie udzieli im pomocy.

• - Jest pan pewien? - spytała pani Helena, z trudem rozwierając suche wargi

- Jestem pewien.

- No, sam pan najlepiej wie, co robi - powiedziała.

Ogrodnik po raz pierwszy spojrział na nią z leciutkim rozczerwienieniem. Przypomnisz ty sobie niedługo moje słowa, pomyślała. A jutro ja sama ci je przypomnę, kiedy zjawię się tutaj i ze zdumieniem przyjmę wiadomość o tym, co tu zaszło. Te w niej dość sympatyczny sposób wyrażone wątpliwości zabezpieczały ją przed ewentualnymi podejrzeniami, że współdziałała w ucieczce więźniów, serce jednak zamierało w niej z lęku, żeby strażnik za bardzo się nimi nie przejął.

Ale ani mu to było w głowie. Z niewiadomego powodu przejął rolę gospodarza i nalał koniaku do wyszczerbionych szklanek. Zanim podnieśli je do góry, Marynka zapytała:

- Aż czym będziemy jedli sardynki? Nie ma pan chleba?

- zwróciła się do ogrodnika.

- Nie. Ani kawałka.

- Żeby choć ze dwie bułki... -

- Poślę Agnes do sklepu - ogrodnik ochoczo zerwał się z miejsca. Słyszeli, jak od progu woła dziewczynę i jak ja • potem łaje, że zaraz się nie zjawiła.

Czas płynął. Czekali na bułki, potem Marynka grymasiła, że oliwa z sardynek ścieka jej po palcach i nie ma serwetek; żeby je obetrzeć, posyłała ogrodnika po papier, którego używał do zawijania kwiatów, poplamiła sobie suknię i usiłowała ją czyścić, uparła się, że rzodkiewki już zwiędły i że sama musi je wyrwać z grządki... Czas płynął. Pani Helena nie uczestniczyła w tych przekomarzeniach, podziwiała przyjaciółkę, sama sparaliżowana śmiertelnym niepokojem, nierozmowna i zupełnie nie pasująca do rozbawionego towarzystwa. Zdumione i coraz bardziej rozczerwienione spojrzenie ogrodnika przywracało ją na krótko do przytomności. Raz klepnął ją w kolano, gdy strażnik powiedział jakiś tłusty kawał-pozwoliła mu na to. Pozwoliła się nawet objąć wół, gdy obydwa Niemcy, rozochoceni alkoholem, zaintonowali fałszywie: "Heimat, deine Steme..." Czas płynął. Trzech mężczyzn w pobrudzonych ziemią ubraniach powinno już podążać ku dworcowi, dźwigając sadzonki w firmowych skrzynkach niemieckiego ogrodnika. Hans Moelker się nazywał. Odczytywali już może to nazwisko podróżni w pociągu zmierzającym do Gdyni, może starały się je zapamiętać gospodarne Niemki z myślą o swoich ogrodach. Hans Moelker, róże i pomidory, jałowce i rzodkiewki, cisy i pietruszka... Hans Moelker, ogrodnik słynny na całą okolicę, do którego klienci przyjeżdżali aż z Königsbergu.

Przypominał sobie coraz to nowe piosenki z repertuaru, którym rozbrzmiewało po całych dniach niemieckie radio:

"Lili-Marlen", "Am Abend auf der Heide..."

Urwał jednak w pewnym momencie, zatrząsał powiekami, przyglądając się pani Helenie.

- Pani dziś smutna.

- Ja? - spłoszyła się. - Skądże? Tylko zmęczona. Na wiosnę wiele pracy mają nie tylko ogrodnicy.

- Mężowie w morzu - podjęła temat Marynka - a

wszystko na naszych głowach. Dom, ogród, dzieci...

- Dzieci? - zdumieli się uprzejmie ogrodnik i strażnik.

- Wygląda pani jak panienka.

- Panienka! - Marynka wzniosła oczy ku niebu.

- Troje dzieci!

- Aż troje?
- Dwóch chłopaków i dziewczynka.
- Najgorzej z chłopakami - zadumał się ogrodnik, wspominając zapewne dzieciństwo własnych synów. - Ani upilnować. Wciąż się bawili w wojnę. No i teraz mają!
- Ja moim na to nie pozwalam - powiedziała Marynka.
- Nie pozwalam im bawić się w wojnę. Chociaż po tej, która wygramy, nie będzie już pod panowaniem niemieckim żadnej innej na świecie.
- Nie będzie! - podnieśli szklanki mężczyźni.
- Nigdy!

Na progu stanęła Agnieszka.

- Sadzonki przygotowane - powiedziała.
- Już? - nie pochwalił jej za to ogrodnik.
- Ktoś musi robić - burknęła dziewczyna. - Pan tu sobie siedzi, a ja klientów załatwiam.
- Wciąż mnie pogania - roześmiał się ogrodnik, bardzo zadowolony z pracowitości polskiej dziewczyny. - A w dodatku strasznie pyskata.
- Bo wieczorem pan burczy. Że to nie zrobione, że tamto... A jak się siedzi, to się samo nie robi.
- Słusznie - powiedziała pani Helena, wstając z miejsca. - Na nas czas. Skoro sadzonki już przygotowane.
- Od dawna - mruknęła z przyganą dziewczyna.
- Nie mówiłem, że pyskata? - roześmiał się hałaśliwie ogrodnik. Klepnął dziewczynę w pośladek, pogłodził po policzku.

Zniosła to spokojnie, wymieniła tylko z panią Helena krótkie spojrzenie.

Marynka zerwała się także.

- Ojej! - zawołała. - Już tak późno! - Uśmiechnęła się do strażnika. - Ale tak się miło rozmawiało! Przyjedziemy jutro - dodała. - Właściwie urodziłam się w nocy i geburtstag mogę obchodzić przez dwa dni.
- Ale butelka nie dopita! - zaoponował ogrodnik.
- Dopiją panowie sami. Co to jest pół butelki koniaku na takich dwóch chłopów?
- A smakował? - spytała przymilnie pani Helena.
- No! - westchnęli obydwaj z zachwytem, ogrodnik i strażnik. - Czegoś takiego nie pije się co dnia.
- Wobec tego smacznego! - zaśmiała się pani Helena.

Marynka jej zawtórowała. - Smacznego!

Śmiały się odchodząc, śmiały się, dźwigając z ziemi swoje skrzynki z sadzonkami, śmiały się aż do furtki, a za nią umilkły od razu, jakby im kto usta zakleił plastrem tajonego dotąd strachu.

To się musi udać, myślała pani Helena, musi! Nie pragnęła nigdy niczego bardziej w ciągu całego życia. Może wtedy... dawno temu, kiedy myślała, że jeszcze żyje ten, który już nie żył. Ale tego tutaj mogła uratować, mimo piekielnych mocy, jakie go od niej oddzielały, mogła go z nich wydrzeć, musiała....

- Nie myślałam tylko, że trzeba będzie tak się przy tym, nadzwigać - odezwała się Marynka, przekładając z ręki do ręki skrzynkę z sadzonkami pomidorów.
- Kochana moja - szepnęła pani Helena. - Tak bardzo ci dziękuję...

- Szczerze mówiąc, nie przepadałam nigdy za tym przyjacielem Wołodi, ale w końcu nawet obcym trzeba pomagać.

- Dziękuję.

- Trzeba będzie tylko jak najprędzej pozbyć się ich z domu. Nie wiemy na przykład, czy Weronika wytrzyma to nerwowo. Nie! Ja chyba wrzucę gdzieś do rowu te pomidory!

- Nie można.

- Wiem, że nie można. Musimy je donieść do samego domu.

Kiedy wreszcie do niego dotarły, trzech mężczyzn w pobrudzonych ubraniach gospodarzyło w ogrodzie zajętym przez korvettenkapitana Wieseirode, jak głosiła przytwardzona także do rutki okazała kartka z pieczętą głównego kwatermistrza Kriegsmarine. Niejako pod jej osłoną kopali teraz grządki na skraju trawnika, a przechodnie - nieliczni na szczęście - podziwiali zapobiegliwość mieszkańców domu w skąpy także i w jarzyny czas wojenny. Ustawione pośrodku trawnika skrzynki z sadzonkami prezentowały z daleka swoje firmowe napisy: "Hans Moelker. Gartenerei".

Weszły do ogrodu, głośno szcękając furtką. Zbliżyły się do kopanej przez mężczyzn grządki. Z okien sąsiednich, niezbyt co prawda bliskich, zajętych przez Niemców domów mógł ktoś patrzeć - ale pani Helena nie zwracała już na to uwagi. Widziała Krzysztofa z bliska. Jego wymizerowaną twarz, płonące oczy.

- Wiedziałem... - rzekł z wysiłkiem. - Wiedziałem, że pani... że ty... że kiedy się do ciebie zwrócę...

- Cicho, cicho - szepnęła. - Nic nie mówmy. Nie trzeba nic mówić. Jesteś tu. U mnie. Znowu tu jesteś. Zbliżył się Seweryn, przez chwilę przerzucał ziemię łopatą.

- Droga nasza pani! - zaczął jak litanię. - Jak pani dziękować?

Uśmiechnęła się, usta jej drżały.

- Podziękujecie po wojnie.

- Trzeba zaraz zawiadomić moją żonę. Musi mnie z kimś skontaktować. Zna tych ludzi...

- I Łuckę trzeba zawiadomić - szepnął Krzysztof.

- Cicho, cicho... - powtórzyła. - Wszystko zrobię, wszystko załatwię (wiedziała, że tego właśnie nie załatwi, że tego załatwić nie może). Mam nadzieję, że tu was nie będą szukać. Jutro znowu odwiedzę ogrodnika. I pojutrze. Myśli, że się z nim zaprzyjaźniłam. Jesteście tu bezpieczni. Ta pieczęć... przy furtce i na drzwiach...

- Zauważyłem - zaczął Krzysztof z niepokojem, ale tylko pani Helena wiedziała, co wyrażał.

- Jeden człowiek - uspokoiła go. - Dowódca u-boota. I od świtu w morzu.

- Często się tu zjawia?

- Teraz nieczęsto. Od kiedy mają u-tanker.

- Co to takiego? - zainteresował się Seweryn.

- Zbiornikowce podwodne. Niedawno to wprowadzili.

Okręty podwodne zaopatrują się z nich w ropę w morzu, nie muszą przerywać działań bojowych i wracać do bazy.

Umilkli, myśląc o tym samym. Wróg był silny, wciąż

jeszcze bardzo silny, może coraz silniejszy... Czy ucieczka nie była tylko przesunięciem terminu?

- Przede wszystkim - poderwała się gorączkowo pani Helena - musicie coś zjeść. Ze względu na sąsiadów nie możecie przerywać pracy. Zaraz coś przygotuję i przyniosę.

- Już o tym pomyślałam - Marynka zjawiła się na ganku z Weroniką. Niosły chleb i kawę w dzbanku.

- Pani? - zdumiał się Krzysztof na jej widok.

- Ja - odpowiedziała po prostu. Usiadła na trawniku kolana objęła ramionami. Patrzyła, jak mężczyźni pochłaniają jedzenie, z trudem poskramiając łapczywość. Bruna, którego mizerna twarz stała się jeszcze bardziej dziecinna, płakał.

- A o Wołodi nic nie wiemy - powiedziała cicho.

- Nic. Zupełnie nic.

XVII

- Ten człowiek robi tylko pieniądze. Nic innego go nie obchodzi.

- Tak jest, panie majorze.

- Odmówił stanowczo?

- Nie. Na to się jednak nie odważył.

- Jak się zachował?

- Powiedział, że na razie nie stać go na ten datek. Że jest całym sercem z nami, ale nie stać go jeszcze na ten datek i że maquis muszą się na razie obejść bez niego. Dopiero kiedy załatwi pewną swoją życiową sprawę...

- Zwykła wymówka.

- Tak też sędzę, panie majorze.

Siedzieli na tarasie małej kawiarenki na rynku - major Lebrac i sierżant Savbois, obydwa w cywilnych ubraniach, pozornie rozluźnieni i swobodni, ale wewnętrznie napięci jak ludzie, których od dawna nie opuszcza czujność, którzy nie śpią w swoich łóżkach, nie kochają swoich żon, a porannej kawy nie piją ze swoich filiżanek. Majowy poranek wilgotny był jeszcze od rosy, w drzewach, rosnących przed budynkiem merostwa, podnieconymi głosami odzywały się ptaki, na rabacie pośrodku trawnika rozwinęły się pierwsze pączki róż.

Córka właściciela kawiarni, doskonale przez młodość uformowana osiemnastolatka, przyniosła na tacy dwie filiżanki kawy, cukiernicę i mikroskopijny dzbanuszek ze śmietanką. Patrzyła na Lebraca, oczy miała koloru dojrzałych śliwek.

- Czy podać, coś jeszcze, panie majorze?

- Dziękuję, Denise - odpowiedział. - I nie mów "panie majorze" bardzo cię proszę.

- Zapomniałam, przepraszam. Niech pan nie mówi papie.

- Oczywiście że nie. -- Uśmiechnął się do niej, a kiedy odeszła, zapytał sennie:

- I na czym on robi te pieniądze?

- Na tym samym co inni. Na handlu. Na różnicy cen między Paryżem a wolną strefą. Na złocie. Na pewnych wahaniach wartości pieniądza... My, żołnierze, nie znamy się na tym.

- Tak, my, żołnierze nie znamy się na tym - powtórzył z godnością Lebrac. Ale myślał: Jakiś przybłęda robi

majątek pod bokiem maquis i w czasie, gdy sentymentalni i romantyczni Francuzi usiłują ratować honor Francji zasadzkami na zboczach wzgórz, marszami po pylistych drogach, męczącym bytowaniem w leśnych kryjówkach, gdy sentymentalni i romantyczni Francuzi usiłują zmazać hańbę układu w Compiègne i przywrócić honor Stowarzyszeniu Weteranów spod Verdun, skoro jego przewodniczący stanął na czele rządu w Vichy, skoro chcąc ratować Francję, zdradził ją i poniżył w oczach świata... W tym czasie inni dorabiali się pieniędzy, a między nimi ten obcy, którego wszyscy znali w miasteczku, a którego równocześnie nikt nie znał, on jeden uparcie odmawiający wpłacenia sum na francuski ruch oporu.

- Wiadomo przynajmniej, jak się nazywa?

- Terechco... czy jakoś tak... Nie wiem, czy dobrze wymawiam to nazwisko. Terechco - powtórzył sierżant jeszcze raz. Tak trudne do wymówienia nazwiska mają ci Polacy.

- Tak - powiedział Lebrac w zamyśleniu. - Bardzo trudne. - Przypomniawszy mu się odległy czas, gdy także nie mógł ich wymówić i wolał łatwiejsze od nich i niekiedy przetłumaczalne na francuski imiona: Wołodia, Christopher, Helenę... Poruszyło się coś w sercu miękko, jakby przepływała przez nie gorętsza fala krwi, ale nie wywołało to pobłażania dla opornego w płaceniu daniny Polaka. Major Lebrac przyglądał się nerwowym ruchem palców siwiejące włosy na skroni. Nie lubił osłabiających wolę wspomnień, nawet o żonie i dzieciach nie zwykł był myśleć zbyt często, tamto... oddaliło się już dawno i starał się nie przypominać sobie nigdy, jak cierpiał, kiedy się oddalało. - Terechco - powtórzył za sierżantem.

- Tak, Adam ma na imię. I wygląda na faceta zdecydowanego na wszystko.

-- Na wszystko?

- Tak. I nie działa sam.

- Z kim jeszcze?

- Z naczelnikiem stacji.

- Z Lepardem?

- Tak. I z Niemcem, który odwiedza go co piątek

- Dziś piątek?

- Tak, panie majorze.

- Niemiec cywil czy wojskowy?

- Kolejarz. Niemiecki kolejarz z tamtej strony. Może nawet z Paryża. Wysiada na granicznej stacji i zjawia się tu na rowerze.

- Chłopcy to sprawdzili?

- Tak.

- Nie jest czysty, skoro mimo kolejarskich papierów woli unikać granicznego przejścia. Czasem kontrolę przeprowadza gestapo... Gdyby znaleźli przy nim na przykład złoto...

- Rozumiem.

- Oni są jeszcze surowsi wobec swoich niż wobec Francuzów.

- Rozumiem - powtórzył Lebrac i dodał w zadumie:

- Dziś piątek...

- Tak jest, panie majorze. Zjawia się zwykle przed

wieczorem. U Leparda jest wtedy zawsze ten Terechco i grają w karty. Jeśli oprócz nich nie ma nikogo więcej, w oknie suszy się zielony ręcznik.

- To sprawdzone?

- Tak.

Pojawiła się znów Denise. Miała czarną sukienkę, głęboko wyciętą na piersiach. Niosła na tacy omszałą butelkę burgunda. Postawiła ją na stoliku obok, przy którym siedzieli miejscowy doktor z miejscowym aptekarzem.

- Ja bym się także napił - szepnął sierżant, oblizując suche wargi. Patrzył przy tym na jedwabny dekolt Denise, na jej piersi, prawie całe widoczne, gdy pochylała się nad stolikiem; pragnienie jakiego doznawał, nie dotyczyło tylko burgunda.

- Mój drogi - odpowiedział mu Lebrac, równie zainteresowany prawdziwie wiosennym widokiem, jaki ofiarowywała im Denise - gdyby mieszkańcy tego miasteczka widywali nas tutaj spijających burgunda, żaden z nich nie ofiarowałby nam ani centyma. Burgunda napijemy się wieczorem, gdy wrócimy do siebie. Uczciwie na niego zapracujemy i pułkownik udzieli nam pochwały w jutrzejszym rozkazie dziennym.

- Pan myśli o... tym Niemcu?

, - Do diabła z nim. Myślę o tym, z czym będzie wracał do Paryża. Pan Terechco, czy jak mu tam, wpłaci nam jednak swoją daninę. Skoro znalazł gościnę w naszym kraju, musi także dbać o honor Wolnej Francji.

Przed wieczorem zielony ręcznik, zgodnie z obserwacjami chłopców z oddziału Lebraca, powiewał w oknie mieszkania naczelnika stacji. On sam zjawiał się co pewien czas na peronie, odprawiał pociągi podniesieniem chorągiewki, a kiedy przejechał ostatni, z Paryża do Marsylii, i na peronie zapanowała cisza, słyszeli wyraźnie, ukryci w krzewach po drugiej stronie torów, plaśnięcia kart o stół i prowadzoną podczas gry rozmowę.

- Zjawia się zwykle w pół godziny po przejściu tego pociągu - poinformował Lebraca Savbois.

- Sprawdzone?

- Sprawdzone.

- Kiedy odjeżdża?

- Po dwóch godzinach. Czasem jeszcze wcześniej. Musi prawdopodobnie zdażyć na pociąg z Marsylii do Paryża, który przelatuje przez tę stację o szóstej pięćdziesiąt.

- Wszystko jak w zegarku?

- Jak w zegarku.

I tego dnia niemiecki partner Polaka zjawił się punktualnie. Widzieli, jak zasapany - starszy już i trochę otyły - zsiada z roweru, jak rozejrzawszy się niespokojnie, wchodzi do wnętrza. W oknie po chwili ukazała się głowa naczelnika stacji, który zdjął ręcznik, zamknął starannie okno.

Czas mijał powoli. Lebrac i Savbois drzemali na przemian, oparłszy głowy na siodełkach ukrytych w zaroślach rowerów. Było ciepło, nagrzana słońcem ziemia oddychała aromatami ziół i traw. Po co mi to wszystko? - myślał Lebrac po przebudzeniu, gdy na niego wypadła kolej czuwania. I beze mnie ktoś wygrałby wojnę i ktoś by ją

przegrał. Jaki to ma sens, to upieranie się, żeby przy wszystkim być osobiście? Może to nie patriotyzm, lecz zwykła pycha? Żeby potem mieć co opowiadać, żeby zawsze być najważniejszym w towarzystwie. Przez dwadzieścia lat nękał wszystkich opowiadaniem o Verdun. Przez następne dwadzieścia...

Szarpnął za ramię drzemiącego sierżanta.

- Jest!

Niemiec wsiadał znów na rower. Twarz miał zaróżowioną i - jak wydawało się Lebracowi - lewą pierś nieco zbyt wypukłą od spuchniętej kieszeni.

Po chwili wynieśli swoje rowery z ukrycia i udali się w ślad za nim. Wnet musieli przyhamować. Pedałował ciężko; gdy droga prowadziła pod górkę, zsiadał z roweru i prowadził go poboczem.

Nie za blisko stacji, myślał Lebrac, żeby zawiadowca i ów Terechco o niczym się nie dowiedzieli - i nie za blisko granicy; strzał w jej pobliżu, choćby pojedynczy tylko, mógł okazać się niebezpieczny nie tylko dla Niemca. Powinno się to stać gdzieś w połowie drogi, w cienistej osłonie drzew, nad porośniętym krzewami rowem, w którym można by łatwo ukryć i rower, i ciało.

Niemiec obejrzał się tylko raz, nie byli pewni, czy ich widział, ale Lebracowi wystarczyło, że się obejrzał;- me lubił zabijać tych, którzy się bali. Strach nie był zbyt ozdobnym stanem duszy, pragnął zapewniać tym, których odsyłał z powrotem do Boga, lepsze wiano: może tylko niepokój, może tylko przeczucie... Kiedy wiedzieli, wprawiało go to zawsze w pewne zakłopotanie, którego powinien się już pozbyć podczas tej najdziwniejszej z wojen. Z okopów strzelało się jednak inaczej i prawie nigdy w plecy. Ale ta wojna wymagała tego od niego i kiedy Savbois spojrział na niego pytająco, odpowiedział:

- Ja strzelam.

Stało się to tuż za zakrętem, za odległymi zabudowaniami ostatniej przed nową granicą wioski. Ruch był tu mały, prawie żaden, ludzie stąd udawali się po zakupy tylko do miasteczka, i to w godzinach porannych. Niemiec stanął, jakby go ktoś zawołał, opuścił nogi z pedałów na ziemię, przez chwilę mieli wrażenie, że chce się obrócić, żeby zobaczyć, kto go woła, ale nie zdołał już tego zrobić. Upadł miękko, właściwie osunął się na ziemię razem z rowem i wsparty na nim znieruchomiał.

Podeszli do niego dopiero po długiej chwili, Lebrac lubił od razu mieć pewność, nie lubił jej nabierać, patrząc - czuł wciąż to przekłete zakłopotanie, którego nie mógł się pozbyć nawet w najbardziej oczywistych sytuacjach. Czy ten Niemiec nie dorabiał się majątku, podczas gdy tylu ludzi ginęło po obydwu stronach wszystkich frontów? Po obydwu stronach - tak - o tym powinien był pamiętać przede wszystkim tamten, a ponieważ o tym zapomniał, spotkała go zasłużona kara...

- Gotów! - krzyknął Savbois, który, znając złe samopoczucie majora w takich wypadkach, sam zbliżył się najpierw do leżącego. - Gotów! Właśnie się melduje w piekle u szefa.

- Bez dowcipów - uciął gniewnie. Podeszedł do Niemca

i omijając wzrokiem jego twarz, pomógł sierżantowi ściągnąć go do rowu. Ukryci za wysokim żywopłotem, który biegł po obydwu stronach drogi, zabrali się do oględzin ubrania zabitego.

Przeszukali wszystkie kieszenie, odpruli podszewkę w marynarce i w czapce, oderwali podeszwy w butach - nie znaleźli nic prócz kilkudziesięciu marek i franków, biletu, jaki starszy inspektor kolei III Rzeszy, Walter Kesler, miał na obszar całego Reichu, i koperty z listem oraz fotografia jakiejś kobiety i podobnej do niej dziewczynki.

- Ładna! - powiedział sierżant Savbois, oglądając zdjęcie. - Pewnie żona.

- Pokaż - mruknął Lebrac bez zainteresowania. Nie mógł opanować rozczarowania i mdłego uczucia winy, które rodziło się w nim zawsze, gdy nie miał racji w bardzo ważnych sprawach. A byłby przysiągł, że Niemcowi odsta- wala kieszeń na piersi. - Pokaż - powtórzył z żalem, którego wstydził się przed sierżantem.

- Niech pan major sam zobaczy! Lubię takie kobiety. Człowiek nie nudzi się z nimi w łóżku...

- Milcz! - powiedział cicho.

- Niech pan major tylko dobrze się przyjrzy. Musi być zmysłowa...

- Milcz! - krzyknął. Po raz drugi tego dnia coś miękkiego i gorącego poruszyło się w sercu, jakby przepłynęła przez nie z trudem mieszcząca się w nim fala krwi. Odległe wspomnienie przybliżyło się patrzącym mu w oczy spojrzeniem kobiety, którą kiedyś kochał i którą uczyniłby swoją żoną, gdyby się na to zgodziła, gdyby zdecydowała się opuścić swój ponury i cierpiętniczy kraj dla jego słonecznej i wesołej ojczyzny. Może przeczuwała już wtedy, że i jego ojczyzna nie zawsze będzie wesoła...?

- Och, Savbois! - jęknął.

- Panie majorze - sierżant patrzył mu w oczy z pytającym niepokojem.

- W jakim języku pisany jest ten list?

Pochylili się nad nim obydwoj., Nie był to język francuski ani niemiecki. "Heleno! Kochana Moja!" przeczytał Lebrac równym, czytelnym pismem napisany nagłówek. Przypomniały mu się słowa, których sam kiedyś używał.

- Och, Savbois! - powtórzył.

- Czy coś się stało, panie majorze?

- Chyba tak... Nie wiem... ale chyba tak. Czy jest jeszcze w oddziale Leclosa ten mały Polak?

- Jest, panie majorze.

- Sprowadzisz mi go dzisiaj, jak wrócimy. Musi przeczytać mi ten list.

Mały Polak pochodził spod Gorlic. Przez Węgry dotarł do Francji, skąd go - ранego - nie ewakuowano w czerwcu czterdziestego roku. Został tu i wyleczył się u jakichś dobrych ludzi, którzy go potem przeprowadzili do maquis. Życiowego sprytu miał mnóstwo, ze szkolną edukacją musiał być jednak od początku - od pierwszych klas - na bakier, bo do listu podszedł z niejakim uprzedzeniem. Długo go oglądał, nim przystąpił do czytania.

- Niewyraźne to pismo - mruknął.

- Wyraźne, wyraźne - przynaglał go Lebrac. -: Czytaj!

- "Heleno! Ko-cha-na Mo-ja..." - wydukał z trudem chłopak.

- To przeczytałem sam. Co dalej?

- Czytam po kolei - obruszył się zadzierzysty Polak.

- Jak pan major chce? -.

- Oczywiście, że po kolei. Czytaj.

- A bo mi pan major wciąż przerywa...

- Już nie będę. Czytaj.

Tereszko pisał do żony: "Kochana Moja! Moje marzenie zaczyna się spełniać. Zebrałem wreszcie sumę potrzebną na sprowadzenie tutaj Ciebie i Wisi. Bądź posłuszna we wszystkim człowiekowi, który się do Ciebie zgłosi z tym listem i Waszym zdjęciem, które mu dałem, żeby nie było wątpliwości, gdy będzie Cię szukał. Przewiduję, że możesz nie mieszkać już w naszym domu, ale chyba tam uzyska Twój adres. Trudno mi wyobrazić sobie warunki, w jakich się znajdujesz - jedno jest pewne: pragnę Cię z nich wreszcie wyrwać. Nie zależało to ode mnie, że nie mogłem uczynić tego wcześniej. Robiłem wszystko, żeby jak najprędzej zebrać te pieniądze. Ten człowiek dostanie je, gdy dowiezie Was tutaj. Ufam mu absolutnie, ma także jakąś swoją życiową sprawę, na którą je przeznacza - zdaje się, obrośnięty winem domek w uroczym mieście Passau, nad Dunajem. Życzę mu, żeby żył w nim spokojnie aż do śmierci. To porządny człowiek, stara się przeżyć wojnę, nie krzywdząc nikogo. Możesz być spokojna, nie powierzyłbym Waszego życia komuś, komu bym nie ufał. A więc Moja Najdroższa! Bądź odważna i mądra! Bądź cudowna, jaka byłaś zawsze w każdej sytuacji. Myśl, że tu czekam na Ciebie i kiedy będziemy razem, wynagrodzę Ci wszystko, co tam beże mnie przeżyłaś. Myśl, że Cię kocham i..."

- Dosyć - powiedział Lebrac. - Dosyć!

- Nie czytać dalej? - zdumiał się mały Polak. Pot zraszał mu czoło.

- Nie. Dziękuję ci.

- Nie ma za co. Ale myślałem, że pan major jest ciekaw, co będzie na końcu.

- Nie, nie jestem ciekaw.

- Ładny list!

- Bardzo ładny - powiedział z trudem. Złożył go ostrożnie i wraz z fotografią wsunął do kieszeni na piersi. Dławiło go coś w gardle, brakowało mu tchu. Ta przeklęta wojna! - myślał. - Ta przeklęta wojna! I po co napytał sobie tej biedy? Po co przyczepił się do tego Polaka, opornego w płaceniu składek na maquis? Czy Jean Moulin, delegat Comité National Français, wysłany przez de Gaulle'a dla zjednoczenia ruchu oporu, nie przestrzegał przed samowolnością partyzantki, przed rozpraszaniem się w działaniu...? Pamiętał o tym i zezwolił sobie na niesubordynację jeszcze tylko ten jeden raz... ten ostatni raz...

- Mieliśmy się napić burgunda - przypomniał Savbois z wyraźną pretensją w głosie.

- Jutro - powiedział - jutro. Albo któregoś innego dnia... Teraz chciałbym się położyć.

- Rozumiem, panie majorze. . . . 1

- Nic nie rozumiesz... Ja sam... ja sam me wiem, jak; mogło się to stać... Aha! - zawołał odchodząc. - Temu

Terechco, czy jak mu tam, temu Terechco dajcie spokój!
- Dopiero gdy został sam, poczuł piekące łzy pod powiekami L'Hirondelle! - myślał. - Moja czarna l'Hirondelle!
Nie poderwie się do lotu, nie przyleci tu - ponieważ to on właśnie podciął jej skrzydła.

XVIII

Obok Wołodi siedziała panna Cynthia Breakburt, córka burmistrza miasta Coves, który wraz z delegacją władz miejskich przybył na Błyskawicę, żeby podziękować dowódcy i załodze za skuteczną obronę miasta przed trwającym kilka godzin nalotem niemieckich bombowców.
Gdyby nie artyleria okrętów stojących w stoczni i późniejsza pomoc ich załóg w gaszeniu pożaru, miasto przestałoby istnieć. Burmistrz wciąż to podkreślał w swojej mowie, którą wygłosił, wręczając dowódcy medal pamiątkowy miasta Coves, a Wołodia patrzył na obiecujące usta jego córki i nie odsuwał nogi, gdy jej kolano zbliżało się pod stołem do jego kolana. Cynthia miała wprowadzić mgliste pojęcie o tym, gdzie leży Polska (dziwne, myślał Wołodia, jak narody, których posiadłości były rozsiane po całej kuli ziemskiej, wykazują brak znajomości geografii, gdy chodzi o kraje od nich nie uzależnione), ale znana była z tego, że specjalizowała się niejako w Polakach, których okręty poddawane były przebrojeniu w miejscowej stoczni. Tym razem Błyskawica poza dalszą poprawą stateczności okrętu miała otrzymać wyrzutnię specjalnych bomb głębinowych, znacznie podnoszącą jej wartość bojową, a panna Cynthia Breakburt "odkryła" Wołodię i była boleśnie rozczarowana, gdy ten odmówił przyjęcia na organizowaną przez nią następnego dnia herbatkę. Korzystając z postoju w stoczni, rozpoczął urlop i zamierzał go spędzić w jednym z miasteczek walijskich, z dala od morza, sztormów i alarmów.
- Pojedzie pan o jeden dzień później - mówiła. -

•

Ojciec nie zgadza się na urządzenie tańczących party, ale tym razem musiał ustąpić: święcimy ocalenie miasta. Musi pan przyjść. Na urlop pojedzie pan o jeden dzień później.

- Nie mogę - jęknął Wołodia. Przeczował, że herbata u panny Breakburt będzie nader interesująca.

- Dlaczego?

- Ktoś będzie na mnie czekał.

- Przeprosi pan. Ja... czekałabym na pana bez szmerania.

- Ale ten ktoś... ma równie mało czasu, jak ja.

- I każdy dzień się liczy?

- Każdy.

Umilkła na chwilę, ale zaraz skubnęła go za rękaw

- przemawiał właśnie dowódca Błyskawicy, więc ściszyła głos:

- Powiem papie, żeby zaprosił delegację z waszego okrętu. I żeby pan w niej był.

Uśmiechnął się przepraszająco.

- Mam już w kieszeni przepustkę urlopową.

- Nikt nie będzie panu do tej kieszeni zaglądał.

- Ale ja sam... ja sam zaglądam do niej, gdy tylko nie mam świadków.

- Cieszy się pan?

Patrzyła z takim jawnym żalem, że nietaktem byłoby przyznać się do radości, rozsadzającej mu piersi. Powiedział więc z umiarkowanym entuzjazmem:

- Oczywiście.
- Ale musi mi pan obiecać, że zaraz po powrocie z urlopu zamelduje się pan u mnie.
- O ile okręt nie będzie już w tym czasie w stoczni w Portsmouth.
- A ma się tam udać?
- Tak. Na remont podwodnej części kadłuba.
- A potem dwa tygodnie ćwiczeń w Scapa Flow?
- Tak, dwa tygodnie ćwiczeń w bazie Scapa Flow.
- I... morze?
- Prawdopodobnie w dalszym ciągu eskorta konwojów atlantyckich. ; ;
- Nie macie tu zbyt urozmaiconego życia.
- No, jednak... - powiedział skromnie.
- I co właściwie będziecie opowiadać o wojnie?
- Coś się znajdzie...
- Powiedziałam jakieś głupstwo?
- Nie takie największe. Bo nawet bezustanne niebezpieczeństwo staje się w końcu monotonią.
- Widzi pan. A odrzuca pan okazję, żeby się dobrze zabawić.

Podniósł do ust małą łapkę panny Breakburt i pocałował ją dwa razy. Wszystkie Angielki bardzo to lubiły, ona najwidoczniej także. Przymknęła oczy, westchnęła.

- Przepraszam - szepnęła.
- Mnie? Za co? Siebie powinien pan przeprosić, że pozbawia się pan przyjemności. Umie pan tańczyć?
- Umie.
- Dobrze?
- Panie twierdzą, że dobrze.
- I musi pan jechać do tego małego, nudnego walijskiego miasteczka?
- Mam nadzieję, że nie będzie nudne.

Miała tam na niego czekać Anetka Briffaut. To ona wynalazła to miasteczko z daleka od morza i prawie także od wojny, choć tę odległość uzyskiwało się już z coraz większym trudem. Pisała, że na pewno będzie mu się tam podobać. Podejrzewał, że spędziła już w tym miasteczku jeden urlop, urlop z Briffautem; już choćby to podejrzenie wymagało słodkiej zemsty w postaci tanga z panną Breakburt. Ale czuł się zmęczony i nie miał ochoty na tę zemstę.

- Żałuję, że posadzono mnie obok pana - szepnęła Cynthia. Wbrew temu, co mówiła, ścisnęła jego dłoń gorącymi palcami. - Po co mi to?
- Co kochanie? - zapytał. Lubił to słowo po angielsku.
- To mianowicie, że naprzytyłam sobie biedy. Pan pojedzie, a mnie przez dłuższy czas nie będzie się nikt podobiał.
- Znajdzie się ktoś taki.
- Och, nie tak prędko. Znam siebie.

M7

Uśmiechnął się z czułością do dziewczyny. Była mu już od dawna potrzebna taka rozmowa, wiedzona szeptem z ust do ust, rozmowa jak krótki stan łaski w okrutnej rzeczywistości.

W całym mieście czuć było swąd spalenizny, na okrętach bomby dokonywały nowych uszkodzeń – postój w porcie, remonty w stocznjach przestały już być wytchnieniem dla załogi. Spać, myślał, zapomnieć o tym wszystkim i spać po dwanaście godzin na dobę, nieprzerwanie i bez tej przeklętej czujności, która zrywała go na nogi za lada szelestem. Kto wie, czy nie zgodziłby się zostać, gdyby panna Breakburt obiecała mu, że będzie mógł spać przy jej boku.

- O czym pan myśli? – zapytała cicho.

- Rozwahałem przed chwilą pewną możliwość.

; - I... okazała się niemożliwa?

- Na razie okazała się niemożliwa.

- Co to znaczy: na razie?

- Zostawmy sobie siebie na później.

- Na później?

- Może się przecież zdarzyć, że oboje będziemy kogoś potrzebować.

- O której ma pan jutro statek?

- O szóstej rano.

- Będę w porcie.

- Niech pani tego nie robi.

- Będę w porcie.

Wstali i pili ze wszystkimi jakiś podniosły toast za skuteczność obrony, za szybki koniec wojny, z niewiadomego powodu przewidywany wciąż jako zwycięski – na razie Niemcy zwyciężali na wszystkich frontach, także i na morzu. Przedzierał się przez eskortę, przetrzebiali transporty, atakowali nieprzerwanie z powietrza i wody. Tylko pod Leningradem i Moskwą im się nie powiodło, blitzkrieg nie miał zastosowania na wschodzie i choć nikt tutaj głośno tego nie mówił, nadzieja – nieśmiała jeszcze i powolna – zwracała się w tę stronę.

- Zanim ta okropna wojna się skończy, będę już zupełnie stara – szepnęła panna Breakburt, odstawiając kieliszek.

- Dziecino-powiedział Wołodia -nie pozwolimy na to.

- Wierzę, że mężczyźni walczą także i o to, żeby ich, kobiety zupełnie się im nie postarzały. Myśli pan, że to bluźnierstwo wobec uczuć patriotycznych?

- Jeśli nawet bluźnierstwo, to znakomicie te uczucia wspierające.

Uśmiechnęła się.

- Dziękuję panu.

Przyszła do portu następnego dnia o świcie w jakimś jasnym płaszczu wiosennym i takim samym berecie, nasuniętym na prawe ucho. Jej świeża twarz, jej błyszczące oczy, jej młodość były jedynym elementem wiosny w spopielałym obrazie zbombardowanego portu.

Stał przy trapie małego statku, który miał go przewieźć z Coves, z małej wyspy w Kanale, do Portsmouth. Panna Breakburt wzruszyła go swoją obecnością.

- Powinna pani jeszcze spać w ciepłym łóżku.

- Och, zdążę się wyspać, zapewniam pana. Chciałam pana zobaczyć. Poważnie to pan powiedział?

- Co takiego?

- Że zostawmy sobie siebie na później?

Uśmiechnął się.

- Jak najpoważniej.

'- Gdziekolwiek pan będzie, niech pan myśli, że jestem tu w Coves i że zawsze może pan tu wrócić.

- Czy... nie powtarza pani tego zbyt często?

- Och, do tej pory powiedziałam to tylko... trzy razy.:

-- Bo... może się tu zrobić tłok po wojnie.

Zamyśliła się.

- Chciałabym. I nie ze względu na mnie. Nie. Chciałabym, żeby po wojnie wszyscy mogli tu przyjechać.

Zamilkła, przez długą chwilę panna Breakburt była dziewczyną, której się nie zapomina, Wołodia poczuł, że nie jedzie do małego walijskiego miasteczka we właściwym stanie ducha, z trudem przypomniał sobie twarz Anetki i dopiero to, że wciąż jawiła mu się jak za mgłą, obudziło w nim popłoch.

- Do widzenia, kochanie! - powiedział pośpiesznie, gdy dwóch marynarzy zbliżyło się do trapu, żeby go podnieść.

Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. Używała dobrych perfum, a twarz jej z bliska miała nieskazitelną świeżość.

- Niech pan powie jeszcze raz, że zostawia mnie pan sobie na później.

- Nawet, gdyby to w tej chwili było kłamstwem?

- Nawet. Bo w innej chwili może nim nie być.

- Ma pani rację - powiedział - ma pani rację...

- A więc?

- Zostawiam sobie panią na później. Jak inne dobre rzeczy.

Gdy statek zaczął oddalać się od brzegu, podniosła rękę i widział, że stoi tak coraz mniejsza i mniejsza, zupełnie mała - nieruchoma w niemym geście pożegnania. - Co to jest? pomyślał. - Nigdy nie nabiorę rozumu.

Anetkę powitał więc z niejakim uczuciem winy. W małym walijskim miasteczku padał deszcz, ale przez to było tu jeszcze zieleniej - od dawna już nie wyobrażał sobie, że istnieją gdzieś takie zielone, prawie nie skażone wojną, nie przysypane popiołem i wapiennym pyłem miasta. Anetka miała na sobie kostiumik o wojskowym kroju i niebieski beret, który nosiła, tak samo jak Cynthia Breakburt, zsunięty na prawe ucho. Był mokry od deszczu i najpierw to właśnie zauważył, bo bał się od razu spojrzeć w jej rozjaśnione radością oczy.

- Tak się bałam, że nie przyjedziesz! - W głosie Anetki była i radość, i rozpacz jednocześnie, jakoś zawsze potrafiła to łączyć.

Całował ją, popychany tłumem, który przewalał się przez peron, a w mgłę wtapiała się teraz twarz panny Breakburt, twarz Anetki, rzeczywista i bliska, była tuż przy jego twarzy, widział ją wyraźnie, czuł pod swoimi ustami.

- Jakże bym mógł nie przyjechać, kochanie?

- Jest wojna.

- Ale i podczas wojny muszą być szanowane prawa żołnierza.

- Jeśli okoliczności na to pozwalają. Tego właśnie "się bałam, żeby nie zdarzyło się coś...

- Sza! Do końca urlopu nic nie może się zdarzyć.
Szli, przytuleni do siebie, do pensjonatu pani Shielfield,
w którym Anetka wynajęła pokój, absolutnie nie krępujący
i z wszelkimi wygodami - na końcu korytarza. Mówiła
o tym właśnie, ale Wołodia nie chciał tego słuchać.
- Przyznam ci się, że marzyłem nawet o tym okropnym
pokoju w Greenock.
- Był najgorszy z najgorszych.
- Był cudowny! Przez cały czas wspominałem go ze
wzruszeniem.
- Ja także. Ale chciałem, żebyś urlop spędził w lepszym.
Przed domem pani Shielfield był mały ogródek i zaczynały
w nim właśnie kwitnąć róże. Wśród mokrej zieleni uwijały się
szpaki, spijające krople deszczu z liści, rosnących nisko nad
ziemią. Tu na pewno nie było wojny, zapachu spalin
i prochu; ogródek i dom, i całe miasteczko stanowiły
odrębny świat, do którego jeszcze nie dotarła.
Wołodia dotknął czule łokcia Anetki
- Dziękuję ci, kochanie.
- Ależ za co?
- Że wynalazłaś coś takiego.
Zarumieniła się.
- Bardzo polubiłam to miasteczko.
Nie zapytał, co znaczyły te słowa: czy polubiła je, czekając
tu przez kilka godzin na niego, czy też była tu już kiedyś.
Dociekanie tego wydało mu się niepotrzebne i śmieszne.
Pani Shielfield ukazała się w drzwiach. Była osobą
w średnim wieku o jasnej cerze Angielek, cudownie pielęgno-
wanej przez angielską mgłę. Podbiegła do Wołodii z wyciąg-
niętą ręką.
- Witam pana, kapitanie. Od dwóch dni radio wciąż
mówi o bohaterskiej obronie Coves i że miasto istnieje tylko
dzięki artylerii stojących tam okrętów.
- Robiliśmy, co było w naszej mocy - powiedział
skromnie Wołodia.
; - Małżonka tak się bała o pana! Pocieszałam, jak
mogłam, ale to nie na wiele się zdało. Kiedy się ma takiego
męża...
Anetka czerwieniała jak rak wrzucony do ukropu.
- Och, proszę! - powiedziała. - Proszę! Nie mówmy
o tym.

- Ale to się widzi! - żartowała pani Shielfield, miło
ujęta jej wstydlivością. - To się widzi!
Wołodia uśmiechnął się uprzejmie. Dziwiło go trochę, że
pani Shielfield nie pyta, dlaczego Francuzka ma męża
w polskiej marynarce - może nie znała się na mundurach,
nie chciało mu się zastanawiać nad tym. Pragnął jak
najprędzej znaleźć się z Anetką w ich pokoju, ale gospodyni
miała jeszcze coś do zakomunikowania.
- Na kolację będzie plum-pudding, choć to nie Boże
Narodzenie. Na pana cześć, kapitanie.
- Dziękuję! - skłonił się Wołodia, a do Anetki, gdy
nareszcie zostali sami, powiedział: - Okropność! Robią to
na nerkowym łożu!
Roześmiała się.
- Powinieneś docenić, że podczas wojny postarała się

o mego.

- Doceniam przede wszystkim to, że możemy tu być razem.

Milczeli przez długą chwilę w ciasnym uścisku, szczęśliwi, a równocześnie zagrożeni świadomością zbyt szybkiego przemijania czasu, którego - dla siebie - mieli tak mało. Trudno mi będzie stąd wyjeżdżać, myślał Wołodia. Trudniej niż z jakiegokolwiek innego miejsca. Podczas wojny nie powinno być w ogóle miejsc tak dobrych, żeby nie chciało się ich opuszczać. A równocześnie jakież to był dar losu, że jednak istniały...

Anetka prawdopodobnie myślała o tym samym. O wiele od niego mniejsza, trzymała go wpół dawnym swoim uściskiem, który go zawsze tak rozczulał. Przypomniał mu się mialki piasek nadbałtyckiej plaży, na którym kiedyś tak stali, dawno, dawno temu...

- Zrobię ci kąpiel - powiedziała, zatrwożona tym milczeniem.

- Och, nie! - zaprotestował gwałtownie. - Na razie mam dosyć wody, nawet w wannie. Marzy mi się wysuszona słońcem pustynia i krzepiąca na niej pewność, że nigdzie nie można się utopić.

Była pewna, że żartuje. Uśmiechnęła się do niego jak do dziecka.

- Biedaku! Napuszczę ci bardzo mało wody.

- Tyciusieńko! Żebym tylko mógł się obmyć.

Roześmiali się, ale nie starczyło im tej wesołości na długo. Razem poszli do łazienki i całowali się tam znów w rozpaczliwym milczeniu, było to powitanie i pożegnanie zarazem, obydwoje to czuli.

Po ciasnocie okrętowych sanitariatów łazienka wydała się Wołodi ogromna, poprosił Anetkę, żeby w niej została, kiedy się będzie golił i mył.

Potrząsnęła głową prawie przerażona.

- Całowałaś się już w bramie w Greenock z jakimś marynarzem, możesz teraz zostać w łazience z zupełnie obcym mężczyzną.

- Pani Shielfield... - zaczęła.

- Myśli, że jesteśmy małżeństwem.

- No i właśnie dlatego...

- Anetko! - mruknął Wołodia. - Ta mieszanina francuskiej swobody z angielską pruderią zaczyna być podniecająca! Bardzo lubię, kiedy się boisz, co ktoś o tobie pomyśli.

Wycofała się jednak z łazienki tak śmiała zawsze pani Briffaut, teraz zniewolona myślą, że mógłby ktoś zganić jej francuskie obyczaje. Wołodia zaczął gwizdać z wściekłości, ale umilkł zaraz, przerażony, że jego zachowanie może się wydać pani Shielfield zbyt swobodne.

Ale była nim zachwycona. Powiedziała mu to przy kolacji:

- Nareszcie jakiś mężczyzna gwizdże w tym domu!

12 - Tak trzymać t. III

Przepraszam pana, panie Burham - zwróciła się do emeryta, który utracił swoje mieszkanie w Londynie podczas niemieckiego nalotu, na stałe zamieszkał w jej pensjonacie - przepraszam, pan po tylu przejściach... trudno oczekiwać, żeby rozweselał pan mój dom... Coraz częściej są tu

same kobiety.

Panny Cantiveller, które również utraciły mieszkanie w Plymouth, zakaszlały cichutko i wytarły swoje nosy, choć były zupełnie suche. Pani Ladlelove, farmerka z okolicy, przybyła do matki przebywającej w miejskim szpitalu, dumna a równocześnie bolejąca z powodu powołania do wojska męża i dwóch synów, pokiwała głową.

- Ja wciąż mówię Tomowi... bo jednego syna mi jednak zostawili - wyjaśniła - ja wciąż mówię Tomowi, że musi ' teraz w domu hałasować za tamtych trzech. I jeść za tamtych trzech, i brudzić... Zupełnie nie mam co sprzątać, popielniczki puste, a jedzenie z obiadu zostaje mi zawsze na kolację. Nie umiem gotować takich małych porcji. Ale najgorsza jest cisza. Więc niech pan gwizdże w łazience, bardzo prosimy, kapitanie.

Panny Cantiveller, wciąż przestraszone, jakby nalot na Plymouth jeszcze trwał, przyłączyły się nieśmiałym uśmiechem do tej prośby. Wpatrywały się w Wołodęjak w Robin Hooda, który na koniu ukazał się wśród leśnego gąszczy. Emeryt dotknął nerwowymi palcami strzyżonego wasa.

- Gdybym był wiedział, że panie to lubią...

- Och - pewne sprostowanie wydało się pani Shielfield konieczne - oczywiście nie w godzinach, kiedy wszystkie jeszcze śpimy.

- Istotnie - zmieszał się starszy pan - wstaje dość wcześniej. Ale właśnie ze względu na to, żeby móc swobodnie korzystać z łazienki.

Wołodi dywagacje na ten temat wydały się nieco przydługie. Wzniósł do góry kieliszek. Whisky "Old Smuggier", którą ostatnio pijał najchętniej i którą przywiózł ze sobą, mieniła się w szkle delikatną barwą szlachetnego trunku.

- Za powrót wszystkich mężczyzn! Za hałasy w domach, gwizdania w łazienkach, za nieporządki i pełne popielniczki!

- Będę je teraz sprzątać bez szemrania! - szepnęła pani Ladlelove ze łzami w oczach.

Po skromnej kolacji gospodyni wniosła uroczyście plum-pudding. Korzenny aromat napełnił pokój.

- Wszystkie przyprawy imperium brytyjskiego - szepnął Wołodia do Anetki. - Nawet w tym cieście jest angielska pycha.

- Nie wyczuwam jej - powiedziała Anetka sztywno.

- Musisz przyznać, że są dla nas wyjątkowo serdeczni.

- Na razie płacimy wszystkie rachunki.

- Ten pokój nie jest wcale taki drogi.

- Nie to miałem na myśli.

Zawstydziła się, a on od razu poczuł przypływ zwykłej wobec jej wszystkich błędów czułości, chciał wreszcie być z nią sam pośród czterech ścian, użyczonych im za schronienie, ale kolacja wlokła się w nieskończoność, a po niej - ledwie zostały sprzątnięte naczynia - pan Burham rozłożył na stole ogromną mapę.

- Popatrzymy sobie, jak wyglądamy - powiedział.

- Jak wyglądamy na wszystkich frontach...

- Nie ma ich znów tak dużo - zauważył Wołodia,

Pan Burham podniósł na niego pytające oczy.

- Wciąż czekamy na ten, którego nie ma - wyjaśnił

kapitan Jazowiecki. - Na drugi front w Europie.

- Och, na razie... - zaczął Anglik - Tobruk...
- Wiem - przerwał mu Wołodia. - Na razie drugi front jest w Afryce. Polska dla sprzymierzonych jest o wiele odleglejsza.
- Mój drogi - odezwała się z perswazją Anetka. Niepotrzebnie, bo i tak zamierzał zamilknąć. Czuł się śmieszny ze swoimi pretensjami. Polacy dali początek tej wojnie, ale nie liczyli się w niej tak bardzo, jak przypuszczali. Zawsze będziemy jak ogon przyczepieni do nadziei na cudze zwycięstwo, myślał z goryczą, zawsze będziemy musieli bić się za kogoś w odwiecznym polskim złudzeniu, że bijemy się za siebie. Teraz bili się za Anglię, w powietrzu i na morzu, a front w Afryce, gdzie były angielskie posiadłości, liczył się bardziej niż polska niecierpliwość...
Powiedział to Anetce, gdy wreszcie zostali sami, do angielskich posiadłości w Afryce dodał francuskie, był zły i rozżalony - patrzyła na niego tak boleśnie zdumiona, że zaczął ją wreszcie przeproszać, czule, coraz czulej...
A w nocy obudził się z krzykiem. Usiadł na łóżku, nie mogąc złapać tchu, i - tak jak na okręcie - najpierw spojrzał na drzwi, czy nie są zablokowane, na ich część nad podłogą, którą w razie czego można było wybić jednym kopnięciem i uciekać tym otworem na korytarz, na pokład... Nie pamiętał, co mu się śniło i dlaczego krzyczał; niepokój, który nigdy nie opuszczał podświadomości, nie musiał już mieć żadnego uzasadnienia, nawet we śnie. Obiecywał sobie, że podczas urlopu będzie spał po dwanaście godzin na dobę, a oto siedział na łóżku, zupełnie trzeźwy i gotowy do działania. Spojrzał na zegarek - tak, nie mylił się - była północ, godzina zmiany wachty na okręcie.
Odłożył zegarek na stolik nocny i położył się ostrożnie, żeby nie budzić Anetki. Ale łóżko zatrzeszczało pod jego ciężarem i poruszyła się zaraz, mruczac sennie:
- Marcel! Nic się nie dzieje. Śpij, kochanie.
Wstrzymał oddech. Cios był ogłuszający. Usiadł znów na łóżku, starając się wmówić w siebie, że się przesłyszał albo że był to dalszy ciąg złego snu, po którym przebudził się z krzykiem. Nie udało mu się to jednak. Zapalił małą lampkę nocną i patrzył na uśpioną twarz Anetki, na jej rozchylone usta i drżące rzęsy. Światło musiało ją jednak razić, bo poruszyła się znowu.
- Marcel - szepnęła jeszcze raz, nie podnosząc powiek.
- Nie jada żadne czołgi... Wciąż ci się to tylko zdaje... Wciąż ci się to tylko zdaje... - powtórzyła z rozdrażnieniem.
- Bardzo cię proszę, śpij!
Dotknął jej ręki, nie powinien był, ale dotknął jej ręki, nie mógł już dłużej tego słuchać.
Obudziła się od razu, tak jak on - choć nie pływała na okręcie - od razu przytomna, świadoma wszystkiego, co się stało.
- Musimy porozmawiać? - spytała.
- Och, nie - zaprzeczył.
- Nienawidzisz mnie?
- Nie, kochanie - powiedział bardzo cicho.
- Nie możesz mieć mi za złe...
- Niczego nie mam ci za złe. Nie wybaczyłbym ci, gdybyś... gdybyś i teraz go krzywdziła.

- Wiesz, że kocham tylko ciebie.

- Tak - powiedział słabym głosem - tylko to się liczy.

Zgasił światło i trzymał ją w mocnym uścisku, bo jednak zaczęła płakać, bo płakała przez całą noc aż do świtu. Już następna wachta, pomyślał, gdy przez firanki przedostał się do mrocznego pokoju pierwszy promień słońca.

Nad ranem deszcz przestał padać, dzień zapowiadał się pogodnie.

- O niczym nie pamiętamy - powiedział Wołodia Anetce.

- Naprawdę? Czy to możliwe?

- Wszystko jest możliwe. Przypudruj nos. I oczy. Scho-
dzimy na śniadanie.

Jadalnia była na szczęście od północnej strony, przyciem-
niona jeszcze dębowymi boazeriami - i nikt nie dostrzegł zaczerwienionych powiek Anetki. Całą uwagę zresztą skupił na sobie pan Burham, który wczesnym rankiem słuchał komunikatów radiowych i powtarzał je potem przy stole.

Poznali więc sytuację pod Tobrukiem i El-Alamein, a także w obszarze Nowej Gwinei, gdzie Japończykom nie powiodła się próba zdobycia Port Moresby; na Morzu Koralowym flota japońska poniosła pierwszą klęskę i spotkała się z pierwszym odwetem za atak na Pearl Harbor.

Pan Burham promieniał, gryząc z trudem sucharki, które poważnie zagrażały jego uzębieniu. Panny Cantiveller - obydwie tego ranka w letnich, batystowych bluzkach - i pani Ladlelove wpatrywały się w niego z nadzieją. Niestety, złe wiadomości miał także - zachował je na ostatek, żeby pomniejszyć ich znaczenie. Konwoje morskie ponosiły wciąż znaczne straty, największe - konwoje do Murmańska, które tylko przez cztery dni w ciągu piętnastodniowej drogi mogły być osłaniane przez angielskie lotnictwo, stacjonujące na Szetlandach i w Islandii, natomiast przez cały czas były w zasięgu niemieckich samolotów i okrętów podwodnych, atakujących z baz w północnej Norwegii.

- Prócz samolotów chroni konwoje silna eskorta floty - wtrącił Wołodia.

Pan Burham uniósł się lekko na swoim krześle, jakby składał ukłon kapitanowi.

- To oczywiste. Bez eskorty żaden konwój nie dotarłby do celu. Między wyspą Jan Mayen a Wyspą Niedźwiedzia, gdzie zwykle mijają się idące do Murmańska i powracające stamtąd konwoje, dochodzi za każdym razem do wielogodzinnych bitew. Przepraszam - powiódł spojrzeniem po twarzach kobiet - ta rozmowa nie dla pań...

- Teraz wszystko jest dla pań - odezwała się jedna z panien Cantiveller, pozbywając się na chwilę wrodzonego zaleźnienia.

A druga dorzuciła jeszcze agresywniejszym tonem:

- Zapomina pan, że konwoje do Murmańska wspierane są także przez nasze okręty, patrolujące w rejonie Lofotów i północnej Norwegii.

- I w rejonie Spitsbergenu także - z naciskiem uzupełniła informację pani Ladlelove. - Mój Richard pływa tam na krążowniku.

- To wszystko oczywiste... oczywiste - tłumaczył się ze swojej nieścisłości pan Burham. - Mówicie państwo o spra-

wach oczywistych. Któż by wyprawiał konwoje bez silnej eskorty?

Nie zyskał już jednak przychylności u kobiet, zapomniał, że na tej wyspie wszystkie były matkami, żonami, siostrami lub córkami marynarzy i że życie upływało im w stałej łączności z morzem.

Wołodia uśmiechnął się w zamyśleniu. Zamarzyło mu się coś takiego we własnym kraju. Jedynym skrawkiem wolnej ojczyzny były wciąż jeszcze tylko pokłady okrętów, ale jemu, walczącemu na jednym z nich, zamarzyła się już teraz ta nieogarniona szerokość i przestrzenność, przenikająca sprawy każdego domu, kształtująca każdy polski los.

Pani Shielfield zmieniła temat. Zapytała, czy jej goście życzą sobie jeszcze kawy, a ponieważ nikt nie miał ochoty na drugą filiżankę zbożówki, wspartej żołędziami z lasów dębowych hrabstwa Yorkshire, zaczęła zbierać ze stołu filiżanki.

- Co robimy? - spytał Wołodia. Poczul się nagle bezradny wobec nadmiaru wolnego czasu, nie poprzecinanego godzinami wacht. Na okręcie wydawało mu się, że wystarczy go tylko mieć, teraz zrozumiał, że trzeba go także zapełnić czymś innym niż bezustanny strach przed jego zbyt szybkim przemijaniem.

- Pochodzimy po mieście - powiedziała Anetka.

Pochodzili. Przystawali przed wystawami, na których prawie nic nie nadawało się do kupna, bo albo trzeba było mieć kartki, albo miejsce, gdzie można by postawić kupiony przedmiot. Z tego też powodu Wołodia nie kupił Anecie wieszaka do przedpokoju, który bardzo jej się podobał, ani przycisku na biurko w formie starej korwety, ani klatki dla kanarka, pustej zresztą.

- Jak długo można nie mieć domu? - spytała Anetka.

- Nie zadajesz sobie czasem tego pytania?

- Nie.

- Bo masz swój okręt. I zawsze na niego wracasz.

- Nie dlatego. I nie dlatego, że właściwie domu nigdy nie miałem, poza wczesną młodością w Kijowie. Potem były już tylko wynajmowane pokoje i okręty, a jeszcze przedtem hamak w ogrodzie dwóch starych wron, które nigdy nie wpuściły mnie bodaj do przedpokoju... - urwał, przypominawszy sobie, że nigdy nie mówił pani Briffaut w pierwszych tygodniach ich znajomości, gdzie właściwie mieszka w tej przedziwnej wsi, jaką była Gdynia. - To zamierzchłe czasy - dodał szybko.

- Nie takie zamierzchłe, skoro je pamiętasz.

- Pocieszam się tą pamięcią. Bywałem już w różnych opresjach.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, które postawiłam.

- Jak długo można nie mieć domu? Myślę, że tak długo, jak długo walczy się o ten jeden, który jest najbardziej potrzebny. I w którym mieszczą się wszystkie inne.

Wszystkie inne... - powtórzyła. Czekał, że zacznie mówić o tym, który mieli mieć wspólnie, ale ona popełniła tą fatalną niezręczność, do której daremnie starał się nie przywiązywać zbyt wielkiej wagi. Zaczęła mówić o swoim paryskim domu, o tym, co tam zostawiła, a czego miała strzec Juliette, płocha, jak wszystkie młode dziewczyny.

- Meble... - mówiła - dywany i obrazy, futra...
- Nie zabrałaś ani jednego? - bąknął.
Wzruszyła ramionami, zła na siebie za swoją lekkomyślność, ale i na niego, że o niej przypomniał.

- Trudno w czerwcu myśleć o futrze. A zabrakło mi wyobraźni...

- Wszystkim zabrakło wyobraźni, możesz być pewna.

- Ale to nie pociesza. Ani nie grzeje.

- Sama powiedziałaś, że czujesz się dobrze w swoim uniformie.

Przytuliła się do jego ramienia, patrzyła mu w oczy pokornie.

- Nosząc ten uniform, przyjemnie by jednak było myśleć, że ma się futro w szafie.

Sądziła, że go tym rozczuli - zawsze go rozczulało, gdy czegoś pragnęła, a nie mogła tego mieć, pamiętała wieczór w Sopotach, który jej ofiarował zamiast Paryża, gdy bardzo pragnęła tam być - teraz jednak milczał i w milczeniu tym wyczuła jakąś wrogość.

- Wołodia! - poprosiła cicho.

- Przepraszam. Moi rodzice stracili cały majątek podczas rewolucji w Rosji, ale we mnie od czasu do czasu odzywa się coś z bolszewika.

- Z bolszewika? - przeraziła się.

Uśmiechnął się, żeby ją uspokoić.

- Obydwoje nie wiemy dokładnie, co to znaczy.

- Od razu mam ochotę wstąpić do kościoła. Pójdiesz ze mną? To bardzo piękny kościół,, poświęcony Our Lady, Matce Boskiej.

- Byłaś... tu już? -Zapytał ostrożnie.

- Tak.

Miał ochotę pytać dalej - czy zdążyła zwiedzić miasto i jego kościoły podczas kilku godzin czekania na niego, czy też... Zaniechał jednak tej myśli. Wszedł za nią do kościoła i kiedy ona podążyła ku głównemu ołtarzowi, zatrzymał się przy drzwiach, w cieniu chóru. Nie mógł się modlić, a to, co układało mu się w głowie, było pytaniem pod adresem Pana Boga, które wreszcie wśród woni kadzideł i kwiatów, więdących na wszystkich ołtarzach, a więc we właściwej aurze i scenerii miał okazję mu zadać - dlaczego, choć tyle kobiet było na świecie, on przywiązał się właśnie do tej jednej, która wspominała wciąż swój paryski dom, a w nocy, leżąc przy nim, wymawiała imię innego mężczyzny...? Dlaczego tak się zaplatał i wciąż wierzył, że ma przyszłość coś, co - być może - nie miało żadnej przyszłości...? Może było to możliwe tylko dlatego, że inna - ważniejsza - przyszłość była wciąż zagrożona? O niej trzeba było myśleć podczas tego urlopu, nie zadawać głupich pytań Bogu ani sobie, kochać z wdzięcznością Anetkę, bo była tu dla niego, tym razem była tu dla niego, pić whisky, spać po dwanaście godzin na dobę, wysłuchiwać komunikatów w relacji pana Burhama i pozwalać pannom Cantiveller, żeby wpatrywały się w niego jak w Robin Hooda.

- Postanowiłem być bardzo miły - powiedział Anetce, gdy wyszli z kościoła.

- A nie byłeś?

- Nie w tym stopniu, w jakim bym pragnął. Zaraz kupię

mnóstwo kwiatów, dla ciebie, dla pani Shielfield i dla tych trzech pań.

- A dla nich z jakiego powodu? - udała nadąsaną Anetka.

- Bo są matkami, siostrami, może córkami marynarzy.

- O ile mi wiadomo, tylko syn pani Ladlelove służy w marynarce.

- A skąd wiesz, że panny Cantiveller nie są wnuczkami admirała? Widzisz, pochodzę z kraju, w którym nie ma wnuczek admirałów, a wielbiłbym je, gdyby były. Wobec tego pozwolisz, że przeleję te uczucia na wnuczki angielskiego admirała.

- Na domniemane wnuczki angielskiego admirała.

- Wszystko jedno. Tylko w strzelaniu jestem ścisły.

Anetka śmiała się, śmiała się po raz pierwszy tego dnia, a jego to czyniło szczęśliwym. Wyzначzył małe aspiracje swemu szczęściu, wiedział, że dla kulawego konia nie należy podnosić poprzeczki. Nakupił róż, które na szczęście nie były na kartki, prawdopodobnie z tego powodu, że nie można ich było schować na dalsze miesiące wojny - nakupił róż i wkroczył z nimi do pensjonatu pani Shielfield, która udawała rozgniewaną taką rozrzutnością.

I przez trzy dni było tak, jak być powinno - urlopowe i odświeżenie, pogodnie i prawie bezmyślnie tym szczególnym i szczęśliwym rodzajem bezmyślności, która eliminuje wszystkie nękające dociekania. Pani Briffaut wyładniała, kapitan znowu był chłopcem, którego pokochała dawno, dawno temu, wszystkie panie w pensjonacie pani Shielfield, nie wyłączając gospodyni, nuciły w swoich pokojach, a pan Burham starał się ukrywać złe wiadomości i palił coraz lepsze cygara, znoszone mu przez Wołodię.

Wtedy to właśnie, po powrocie z porannego spaceru, zastali tę kartkę, leżącą na stole. Od drzwi wyglądała całkiem zwyczajnie: nieduża, biała kartka na kolorowej serwecie. Dopiero gdy zbliżyli się do stołu, zrozumieli, że to telegram.

- O, Boże! - szepnęła Anetka.

- To do mnie - uspokoił ją, bo mu się wydawało, że tylko on może otrzymać złą wiadomość. Ale jednak ręce mu lekko drżały, kiedy otwierał telegram. Jego treść była krótka, zawierała tylko cztery słowa: Zameldować się na "Garlandzie". I podpis: KMW. Trzy litery, które dla Anglików były obcym skrótem, a dla Polaków na wyspie stanowiły źródło wszystkich rozkazów: Kierownictwo Marynarki Wojennej.

- Od kogo...? - spytała Anetka. - I co jest... co jest w tym telegramie...?

- Kochanie - zaczął. I po francusku bardzo lubił to słowo, ale wymówił je teraz dla zyskania na czasie.

- Coś... złego?

- Muszę zaraz wyjechać.

- Nie! - Potrząsnęła głową, jakby można było nie zgodzić się z tą złą wiadomością, nie godzić się na nią. -Nie! Przecież masz urlop.

- Widocznie już go nie mam.

- I mówiłeś, że twój okręt stoi w stoczni.

- Mam się zameldować na innym okręcie. Na Garlandzie.

- Konwój? - zapytała, szukając w torebce chusteczki.
- Tak.
- Atlantycki?
- Nie. Do Murmańska.
- Czy... Czy musisz się na to godzić? Żeby przenosili cię na inny okręt, i to podczas urlopu...?
- Kochanie - powiedział znowu - jest wojna...
•* - Wiem. Ale mimo wszystko muszą być respektowane podstawowe prawa ludzkie...
- Prawa ludzkie... - powtórzył. - Są duże straty w konwojach do Murmańska i najwidoczniej postanowiono wzmocnić załogę o oficera artylerii, przeszkolonego w strzelaniu z radarem. A ja jestem właśnie po kursie.
- Jesteś po kursie?
- Tak. I to wszystko. - Spojrzał na zegarek. - Muszę pójść na dworzec i dowiedzieć się, jakie są pociągi.
- Pójdę z tobą.
- Nie - poprosił. - Wolałbym, żebyś została.
- Nie będę już płakać. A chcę być z tobą. - Swoim zwyczajem objęła go w pół i rozpaczliwie trzymała przy sobie. Łagodnie uwolnił się z tego uścisku.
Na ulicy milczeli. Wołodia myślał o trwającym na północy przez całą dobę dniu arktycznego lata, podczas którego statki i okręty konwoju były bez przerwy dogodnym celem dla niemieckiego lotnictwa. Myślał o lodowej krze, hamującej zwrotność okrętu, o stadach nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, dla których nie stanowiła żadnej przeszkody. Myślał o mieście piekła, jakie go czekało w lodowatej scenerii Arktyki.
Na dworcu, po odejściu od kasy, kiedy Wołodia miał już bilet w kieszeni na ranny pociąg do Londynu, Anetka załamała się.
- Może nie musiałeś... - zapłakała •- nie musiałeś się na to zgodzić... Nie kochasz mnie.
Wyprowadził ją z hali dworca, bo ludzie zaczęli się już im przyglądać, choć w ten wojenny czas widywano tu chyba często płaczące kobiety - usiedli na ławce w pobliskim parku, Anetka wyjęła z torebki chusteczkę.
- Przysięgnij mi, że w Londynie będziesz się starał o zmianę tej decyzji.
- Kochanie - szepnął bezradnie. -- To niemożliwe. Jest wojna, a ja jestem żołnierzem.
- Frazesy! - krzyknęła. - To są frazesy!
- Ale nie są nimi setki czołgów i samolotów, tysiące ton amunicji, które toną w morzu, których nie możemy dostarczyć na front wschodni. A to jest front... - zawahał się, w obawie, że i to, co powie, ona uzna za frazes. - To jest ważny front. Może nie dla Anglii... i nie... dla Francji...
- Przepraszam! - Anetka wytarła oczy, schowała chusteczkę do torebki. Milczała, boleśnie zamyślona.
- Kiedy wrócę - próbował ją rozweselić - przyjedziemy tu jeszcze raz.
- Nie wiem, czy to się uda.
- Dlaczego?
- Dlaczego? - zamyśliła się. - Pani Shielfield może nie mieć wolnego pokoju albo ja nie dostanę w tym czasie urlopu.

- To nie są przeszkody nie do zwalczenia.

- Wiem... - powiedziała cicho - wiem.

Usilnie starał się, żeby w ciągu dnia nie byli już sami. Przeciagał posiedzenia przy stole, rozpoczynał z panem Burham dyskusje, które wymagały przeniesienia się do gabinetu i otworzenia jeszcze jednej butelki "Old Smuggiera".

Po kolacji, gdy trzeba już było wstać od stołu, zapytał panny Cantiveller, czy nie są córkami admirała.

- My? - zdziwiły się. A jedna z nich wyjaśniła z rumieńcem dumy na policzkach: - Nasz dziadek miał skład kolonialny w Płymouth, przy London Street osiemnaście.

- Największy skład kolonialny w Płymouth! - dodała druga.

- To prawie szlify admirałskie w tej branży! - zawołał z entuzjazmem Wołodia. Rzucił się całować ręce pannom Cantiveller, a one - zdumione, onieśmiałe, ale chętne zarazem - pocałowały go w czoło.

- To na szczęśliwy powrót, kapitanie!

Pani Ladlelove zapisywała na kartce adres swojej farmy.

- Odpocznie pan u mnie - mówiła. - Po powrocie z morza najlepiej odpocznie pan na wsi. Cisza. Niemcom szkoda bomby na jedną farmę. Mleko prosto od krowy i jaja prosto od kur. Oczywiście - spostrzegła swoją niezręczność - w pensjonacie pani Shielfield są pełne wygody, ale gdy pan tu zawita, może pan na kilka dni wpaść na wieś.

Wołodia dziękował za zaproszenie, przeciągał, jak mógł, chwilę pożegnania, ale w końcu znalazł się z Anetką w ich pokoju i nie mieli o czym mówić, żadne słowo nie przybywało na pomoc ich wspólnej samotności. Nie rozbierał się i ona także się nie rozebrała; chciała go odprowadzić na dworzec, pociąg odchodził o trzeciej nad ranem, o drugiej musieli wyjść z domu, o tej porze mogło nie być żadnego środka lokomocji... Położyli się i leżeli obok siebie w ciemności, nie dotykając się prawie; dopiero gdy Anetka zasnęła, Wołodia wziął jej rękę i położył ją sobie na piersi. Nie przyznawał się nigdy do strachu, ale teraz czuł go wyraźnie, waliły się nań zewsząd słupy wody, okalały go ciasnym pierścieniem pływające kałuże płonącej ropy... Wrócić tu, myślał. Tu albo w każde inne miejsce. Wrócić stamtąd.

Gdy oddech Anetki stał się równy i głęboki, podniósł się ostrożnie i zabrawszy swoje rzeczy, wyszedł z pokoju. Na dole leciutko zatrzasnął drzwi i od razu zaczął biec, choć miał do odejścia pociągu jeszcze wiele czasu.

Na dworcu, na szczęście, było tłoczno i gwarно. Docisnął się do bufetu, okupowanego przez ozdrowieńców z miejscowego szpitala, którzy wracali na front. Anglicy, Amerykanie, Kanadyjczycy i Australijczycy śpiewali - wzajemnie się przekrzykując - swoje piosenki. Dostał także kufel piwa i dołączył się do nich. Rozejrzał się w poszukiwaniu choćby jednego Polaka, ale nie znalazł żadnego.

Jakiś Amerykanin trącił się z nim kuflem. Pochodził z Oclahomy, miał na imię Paul. Był właścicielem małego zakładu fotograficznego, który prowadziła teraz jego żona.

- Jak długo jeszcze potrwa ta zaszrań wojna? - zagaił.

- Spytaj generałów.

- Oni także nie wiedzą.

- Jest ktoś wyżej od nich.
- I także nie wie.
- A ten, co stoi najwyżej?
- Człowieku! - powiedział fotograf z Oclahomy. - Człowieku! Nikt nic nie wie.

Patrzyli obydwa na tłum w mundurach różnych krojów i barw. Trwał wciąż ten wielki trud milionów mężczyzn, walczących na ziemi, w morzu i w powietrzu, mężczyźni wracających ze szpitali na front i odsyłanych z frontu do szpitali, i tych, których nie trzeba było już do nich zabierać - trwał wielki, niezmierzony żadnym słowem wysiłek, żeby przywrócić ład oszalałemu światu. To wszystko nie zdarza się tylko mnie, myślał Wołodia. Podniósł kufel, jeszcze raz trącił się z Amerykaninem. To jednak była pociecha.

- Ty... musiałeś? - spytał fotograf.
- Co takiego?
- Musiałeś iść na tę wojnę. Napadli na was.
- Napadli.
- A od nas o setki, o tysiące mil...
- Na was także napadli - powiedział Wołodia. Wciągnął w płuca dużo powietrza, jak zawsze, gdy chciał się opanować. - Na Pearl Harbor.

Amerykanin pociągnął piwa. Otarł usta wierzchem dłoni. Miał mały, ciemny wąsik nad górną wargą.

- Cholerne żółtki. Gdyby nie oni, spałbym sobie teraz z żoną w swoim łóżku.
- Zamknij się - powiedział Wołodia.
- No, ale może mi powiesz, co ja tu właściwie robię w Europie? I co mnie to wszystko obchodzi? Miałem właśnie iść do kina, kiedy przyszła ta kartka. Byłem na żółtków wściekły i nawet chętnie zrezygnowałem z kina, ale potem się okazało, że jadę do Europy. Wiesz... - pociągnął znowu piwa i pochylił się ku Wołodi - mój ojciec też tu był, w szesnastym roku, i... nie ma zbyt miłych wspomnień.

- Zamknij się - powtórzył Wołodia.
- Człowieku! - Amerykanin chwycił go za mundur na piersiach. - Nie rozumiesz, że gdyby mnie wysłali przeciwko żółtkom, byłoby mi lżej?

Wołodia nie odtrącił jego ręki, przytrzymał ją mocnym uściskiem.

- Tym, czego tobie brak - powiedział cicho - ja mógłbym obdzielić cały pułk. Tak, trzeba być blisko ognia, żeby osmalić sobie twarz, ale przy odrobinie wyobraźni można pojąć, że ogień rozniesie się bardzo szybko, jeśli się go nie umiejscowi i nie zadusi. Wasz prezydent ma tę wyobraźnię, ale chyba napotyka opory w zaszczepianiu jej wszystkim obywatelom.

- Uchwaliliśmy lend-lease - powiedział Paul z dumą.
- Pięćdziesiąt milionów dolarów pożyczki dla Europy w broni, w amunicji, w żywności. Jesteś w stanie objąć rozumem, ile to jest warte?

- Jestem w stanie objąć rozumem - odpowiedział Wołodia - ile wart jest każdy żołnierz.

Mimo tej różnicy zdań po kilku następnych piwach zaprzyjaźnili się i zanim nadszedł czas odejścia pociągu, zawarli równie łatwe i hałaśliwe przyjaźnie z innymi żołnierzami, którzy stali obok nich przy bufecie; pili z nimi

bruderschaft, całowali się głośno, śpiewali wojskowe piosenki, każdy w swoim języku...

I nagle w tę skłębioną męską wrzawę wdarł się wysoki głos kobiety. Dochodził od strony drzwi i wszyscy odwrócili głowy w tym kierunku. W progu stała siostra Czerwonego Krzyża w narzuconej na biały fartuch pelerynie. Podtrzymała młodzieńckiego szeregowca kanadyjskiej piechoty morskiej, który stał na jednej tylko nodze - puste miejsce po drugiej zobaczyli wyraźnie na tle białego fartucha siostry.

- Ochotnik kanadyjski wraca do kraju! - zawołała.

- Musicie się nim zaopiekować. Na dworcu w Londynie odbierze go któraś z naszych sióstr. Będzie czekać na peronie,

Salę bufetową zaległa cisza, słychać w niej było tylko odstawianie kufli na kontuar. Wszyscy patrzyli na wymizerowaną twarz chłopaka, który ciężko opierał się na ramieniu siostry. Wargi mu drżały, na policzki wypełził nikły rumieniec.

- Który z panów... - podniosła głos siostra. - Proszę podejść. Nasz ozdrowieniec nie jest jeszcze oswojony ze swoją... nową sytuacją...

Przez tłum przepchnął się fotograf z Oclahomy, Wołodia podążył za nim. Piwo wietrzało z nich z każdym krokiem.

- Pan? - spytała siostra.

- Ja - odrzekł fotograf cicho. Podeszedł do młodzieńczego żołnierza, chwycił go pod ramię. - Synku - powiedział.

-- Oprzyj się na mnie, synku.

XIX

Śliczna młoda dziewczyna siedziała przy jednym ze stolików w piwiarni Trudy Plischke. Prawdopodobnie pragnęła, żeby nie zwracano na nią uwagi, ale w sali, gdzie nad kuflami piwa siedzieli prawie sami mężczyźni, nie było to możliwe. Ze spuszczoną głową bawiła się rzemykiem od torebki i z prawdziwą niecierpliwością spoglądała ku drzwiom, w których miała ukazać się kelnerka.

Julitka spostrzegła ją od razu - wymieniły ze sobą spojrzenia. Obie doskonale zagrały swoje role: Wisia zbyt długo czekającej, a spragnionej klientki, Julitka - kelnerki, niesłusznie skarconej za opieszałość.

- Nie mam stu rąk - powiedziała rozdrażnionym tonem i tak, żeby ją słyszała cała sala. - Co podać?

- Małe jasne - równie głośno odpowiedziała Wisia.

- Tylko proszę szybko, bo mi się śpieszy. - A ciszej dodała: - Czekam na ciebie za rogiem.

- Nie mogę wyjść - jęknęła Julitka.

- Musisz! Tym razem chodzi naprawdę o twoje widzenie z ojcem.

Julitka zastygła w bezruchu, nie mogła oderwać spojrzenia od oczu koleżanki. Wisia zachowała więcej przytomności.

- Idź już! - szepnęła ostro. - I zdejm fartuch. Pojedziesz ze mną zaraz do Gdyni. Poczekaj, ja od razu zapłacę, żebym mogła wyjść.

Spotkały się za rogiem i od razu ruszyły w stronę dworca.

Godzina była popołudniowa, dzień piękny - maj kończył się pogodą prawdziwie wiosenną, tłumy gdańszczan zapełniały ulice, nikt nie zwracał uwagi na dwie dziewczyny,

szepczące coś do siebie.

- Niewierze-potrząsnęła głową Julitka.-Niewierze.

- Ale jednak zdecydowałaś się jechać ze mną.

- Matka dostała wiadomość ze Stutthofu, że ojca tam nie ma.

- No i nie ma. Jest w Gdyni. Jedziesz do niego.

- Skąd...? Jakim sposobem...?

- Pracował z grupą więźniów u ogrodnika w Oliwie.

Przysłał dziewczynę do mojej mamy.

- Do... twojej mamy?

- Tak. Wydało mu się to prawdopodobnie... łatwiejsze.

I mama go stamtąd wydostała. I tamtych dwóch także.

Seweryna Turka i tego chłopaka z Połczyna, którego razem

.z ojcem zabrali do Stutthofu.

- Są... teraz u nas?

- Nie. Twój ojciec i Seweryn Turek nie chcieli mamy...

, nie chcieli nas... narażać...

- Gdzie są? - krzyknęła prawie Julitka.

- Są na Chyloni. U jakichś znajomych Seweryna. Ukrywają się tam od trzech tygodni.

- Od trzech tygodni...? - zdumiała się boleśnie Julitka

- I dopiero teraz... dopiero teraz...?

Wisia spuściła głowę.

- Sama rozumiesz.

- Ale mama zrobiła to tylko po to, żeby ojca ratować.

Chyba wierzysz w to? - zapytała Julitka gwałtownie.

- Wierzę.

- Stało się coś strasznego. Mama dopiero teraz zdaje sobie z tego sprawę. Wszyscy odsunęli się od nas... Ode mnie także...

- Ja nie - zaprzeczyła Wisia gorąco.

- Ja... - Julitka zatrzymała się na chwilę, zacisnęła powieki, Wisia trzymała ją za rękę - ja chciałam z domu uciec i... gdybym miała dokąd... Ale zostawić mamę... i babcię... i Tomaszka, który już także doskonale pojmuje, co się stało... wydawało mi się to okrutne; prawie tak okrutne, jak to, że musiałam zostać.

- Porozmawiasz o tym z ojcem. Także i po to chciał się z tobą zobaczyć. ;

- Także i po to?

- Bo jest jeszcze inny powód. Sam ci o tym powie. Mnie we wszystko nie chcieli wtajemniczać.

- Ale chyba ojciec matki nie potępia...?

- Nie wiem - szepnęła Wisia. - Nic nie wiem...

- Słuchaj - Julitka pochyliła się ku niej, ale patrzyła ostro i nieprzychylnie. - Od dawna chciałam już cię o to zapytać. Czy nie sądzisz, że... mój ojciec i twoja matka...

- Nie - zaprzeczyła Wisia gwałtownie, ale zaraz głos jej się zmienił. - Może... ale nie jest to coś, co mogłoby nas niepokoić. Ani zawstydząć... :

-- Boże! - zmieszała się Julitka. - O czym my mówimy?

I czy to w ogóle w tej sytuacji ma jakieś znaczenie...

Może i ma, pomyślała Wisia ze ściśniętym sercem, skoro usiłowania ojca, żeby sprowadzić je do Francji, spełzły na niczym. Nie powiedziała jednak Julitce, że właśnie kilka dni temu zjawił się na Kamiennej Górze ów szwedzki kapitan, przywożący listy od ojca. Tym razem wiadomości nie były

dobrze. Ojciec pisał, że człowiek, który miał je przewieźć przez Niemcy i dostarczyć aż do nowej granicy francuskiej, przepadł i nie daje znaku życia, a na znalezienie nowego kontaktu trzeba znowu trochę czasu, bo sprawa nie jest łatwa. Szwedzki kapitan wykazywał zresztą dziwną nerwowość, powiedział, że Niemcy coraz bardziej nie dowierzają Szwedom i nie wie, jak długo będzie chodził do Gdyni, czy już w następnym rejsie nie zostanie skierowany do Szczecina... Po tej wizycie matka zamilkła na kilka dni. Przed wyprawą do Francji wyprzedała wszystkie rzeczy, żeby mogły odbyć tę podróż w charakterze nie obciążonych zbytnim bagażem turystek. Ojciec w poprzednich listach zapewniał, że wszystko kupi się na miejscu - odzież na zimę i obuwie... Teraz trzeba się było o to starać tutaj, a kupowało się zawsze drożej, niż sprzedawało... Poza tym część dolarów, przysłanych przez ojca, matka dała chyba ojcu Julitki, żeby razem ze swoimi towarzyszami miał na jakieś urządzenie się na wolności. Nie mówiła o tym, ale tego można się było domyślić. I teraz to pytanie Julitki, ten ton wyrzutu, który jednak przez krótką chwilę zadźwięczał w jej głosie... - Tak - powiedziała, przyspieszając kroku - to nie ma żadnego znaczenia.

Przyjechały do Gdyni przed pierwszym zmrokiem. Na dworcu było tłoczno; pociągiem, który stał na przeciwległym torze, odjeżdżała właśnie grupa poborowych, żegnanych przez tłum krewnych i przyjaciół. Jak uderzenie ugodziły Julitkę polskie słowa w tej ciżbie, rozpacz nie zdołała już ich zahamować, gdy pociąg drgnął, gdy zaczął toczyć się po szynach. Ci, co podpisali papier, w którym odżegnali się od polskości, uczucia szarpiące serce wyrażali jeszcze w tym języku. Mężczyźni - mężowie, synowie i bracia - w niemieckich mundurach jechali walczyć za III Rzeszę, kobietom rozpacz pozostawała polska, jeszcze jej nie pokryła fałszywa pycha nowego języka, uznanego za ojczysty.

- Chodźmy stąd - przynaglała Julitka. - Dlaczego się tu zatrzymujesz?

- Wcale się nie zatrzymuję. Widzisz, jaki tłok! - Wisia, energicznie rozpychając się łokciami, wydostała się z tłumu. Przypomniał jej się ścisk na nabrzeżu francuskim, gdy w sierpniu trzydziestego dziewiątego roku prokurent ojca usiłował wsadzić je na statek, ostatni, jaki odpływał z Gdyni. Coraz częściej, przy różnych okazjach, wracało do niej to wspomnienie. Akurat wtedy musiała zasłabnąć! A może... nie tylko dlatego zostały...? Dzisiejsze pytanie Julitki wielu sprawom nadawało inny sens... Nie, nie będę o tym myśleć, postanowiła. Nie mogę o tym myśleć. Nie wolno mi.

- Jada na front wschodni - powiedziała Julitka twardo.

- Najpierw chyba przeszkolą ich w Reichu.

- To nie będzie trwało długo.

- Też tak sędzę - zgodziła się Wisia. Wysunęła się teraz naprzód i przyspieszyła kroku.

Julitka nie pytała jej o adres, pod który ją prowadziła, zajęta swoimi myślami zdawała się we wszystkim na nią. Radości ze spotkania z ojcem towarzyszył niepokój. Niepokój złożony z kilku naraz - dotyczył tak wielu spraw, że nie sposób było wyobrazić sobie, aby je można było wszystkie jakoś uładzić, załatwić, rozwiązać. Pierwsza dotyczyła sytu-

acji ojca - bezdomny, bez pieniędzy, może chory, poszukiwany i tropiony, co miał ze sobą zrobić, gdzie się podziać? W jaki sposób można mu było pomóc, skoro do domu wrócić nie chciał? Nie mógł, poprawiła się w myślach, teraz dopiero naprawdę nie mógł.

Stały przed małym domkiem, przed baraczką właściwie, obrosniętym krzewami bzu i wysokimi liśćmi rabarbaru przy wejściu. Małe podwórze wypełniały jakieś przybudówki, komórki i budki, służące chyba dawniej jako pomieszczenia dla królików i kur; teraz w mieście kur nie wolno było trzymać, więc błąkał się koło nich tylko wychudzony pies, który na ich widok uniósł górną wargę i pokazał kły.

- Cicho, Majtek! - uspokoiła go Wisia.

- Znasz go? - spytała Julitka.

- Tak - powiedziała.

Znała tego psa i on znał ją, bo zaczął się zaraz do niej łąsić

- musiała więc tu przychodzić, musiała być tu nie raz. Serce Julitki ścisnął żal, poczuła nagłą niechęć do Tereszkówny, tym ostrzejszą, że niesprawiedliwą.

- Byłaś tu już kiedy?

- Oczywiście.

Drzwi otworzyła młoda kobieta, bez słowa wpuściła dziewczyny do środka, kazała im czekać, sama weszła do pokoju. Usiadły na ławce w kuchni, Julitka musiała być bardzo blada, bo Wisia potrząsnęła nią gwałtownie.

- Uspokój się! Co wyprawiasz?

- Ależ ja nic...

- Bałam się, że zemdlejesz. Powinnaś się przede wszystkim cieszyć, że żyje. Ja z moim ojcem musiałam się także rozstać i zobaczę go dopiero po wojnie.

- Ty... coś wiesz...?

- W każdym razie żadnych szczegółów. I ty się chyba także o nich nie dowiesz.

! Kobieta wróciła do kuchni, zostawiła uchylone drzwi.

- Wejdz - powiedziała do Julitki.

Zerwała się i pobiegła, ledwo mogąc pohamować płacz.

Ale na progu zatrzymała się i cofnęła nawet o krok.

Czekał na nią obcy, dziwnie wysoki mężczyzna w za dużym na niego ubraniu, tylko w spojrzeniu głęboko cofniętych oczu było coś znajomego, coś dawnego, coś, co wyrwało krzyk z jej gardła.

Przyskoczył do niej, ukrył jej twarz na swojej piersi.

- Nie wolno głośno płakać - powiedział.

Ale sam chyba także płakał; kiedy Julitka podniosła oczy, na twarzy obcego człowieka, który był jej ojcem, świeciły w mroku dwie wilgotne bruzdy; szybko starł je dłonią.

- Co się stało z naszym życiem? - spytała cicho.

- W tej chwili ważniejsze jest, co się stanie - odpowiedział. Odzyskał panowanie nad sobą, odsunął ją, wskazał krzesło.

Dopiero teraz zobaczyła Seweryna Turka i Brunę, stojących przy oknie i patrzących na drogę. Nad podłogą sterczała nie domknięta kłapa wejścia do piwnicy.

- Posłuchaj-zaczął ojciec.-Prosiłem, żebyś przyszła, ponieważ musimy się pożegnać.

- Po... żegnać? - wykrztusiła.

- Tak. I nie wiadomo, na jak długo. Wojna prędko się

nie skończy. Potrwa jeszcze kilka lat. Nadarza się możliwość przedostania się do Szwecji. Stamtąd do Anglii. Trzeba walczyć.

- Zabierz mnie ze sobą - poprosiła cicho.

- Moje drogie dziecko!

- Zabierz mnie! Nie jestem już dzieckiem. Zniosę wszelkie trudy.

- To nie jest możliwe - powiedział ojciec bardzo powoli. - I ze względu na trudność dostania się do portu, wiesz, jak jest strzeżony, i później ze względu na warunki podróży. W węglu! Rozumiesz? W węglu!

- Zniosę to!

- Nie upieraj się. To nie jest zależne ode mnie. Ludzie narażają swoje życie, żeby nas przerzucić. Dodatkowe trudności mogłyby zaważyć...

3.74

- Rozumiem. I przepraszam.

- Zapomnij o tym, co ci mówiłem. Niemcy wciąż wężą wokół Szwedów. Nic nie słyszałaś.

Wyprostowała się, patrzyła ojcu długo w oczy.

- Zapewniam cię, że mam i własne tajemnice, których umiem strzec.

- Moje drogie dziecko!- powiedział po raz drugi, usta mu drżały.

- Czy mam powiedzieć mamie...?

Długo milczał, zanim rzekł:

- Tak, ale nie zaraz. I oczywiście nie powiesz, w jaki sposób.

- Wiesz, co zrobiła?

- Wiem.

- Od kogo?

- Od pani Heleny.

- Potępia mamę!

- Nie - powiedział cicho. - Bardzo nad tym boleje.

- Boleje! - wybuchnęła Julitka. - Boleje! - Skąd wzięłaś takie słowo? Mama to zrobiła dla ciebie! Nie pytała nas. Nikt nas o nic nie pytał i zostaliśmy wciągnięci na tę listę. Do tej pory udawałam u ciotki Niemkę, bo było mi to do czegoś potrzebne. Ale teraz nie chcę udawać, skoro według ausweisu jestem Niemką. Nie chcę! Powiedz, co mam zrobić?

- Myślałem o tym.

- Myślałaś?

- Tak. I z tego powodu także kazałem ci przyjść. Nie tylko dlatego, żeby się pożegnać. Nie wrócisz już do Gdańska.

- Ale w domu także nie chcę zostać! Już mi nie grozi wywiezienie do Niemiec, ale nie chcę być w domu. Może właśnie dlatego...

- Nie wrócisz do domu. Nie możesz. Matka to zrobiła, ale ty i Tomaszek... ty i Tomaszek... Musisz wyrwać stamtąd Tomaszka.

- Wyrwać...?

- Użyłem nieodpowiedniego słowa. Pewnie myślisz, że jestem okrutny wobec matki, ale musisz jej wytłumaczyć, że to dla was jedyny ratunek...

- Ona właśnie chciała nas ratować.

- Wiem. Ale rozpacz podsunęła jej zły sposób. Najgorszy z możliwych. I trzeba to naprawić... jeśli tylko się da.

- Co mam ze sobą zrobić?

- Rozmawiałem z żoną Seweryna. Pójdiesz do niej. Pracuje w wojskowej pralni. Jeśli nie znajdziesz sobie innej pracy, ciebie też tam zatrudni. A później i Tomaszka. Dostaniecie nowe papiery. Wszystko już omówiłem i załatwiłem. Nie wszyscy w Gdyni przyjęli niemieckie papiery i nie wszyscy się boją. Zrobiłem wielki błąd, że tak długo siedziałem w Połczynie jak mysz pod miotłą. Gdyby mnie stąd wywieźli do Stutthofu, wiedziałbym przynajmniej za co... - Zamyślił się, a Julitka nie przerwała tego milczenia. Wpatrywała się w ojca, starała się zapamiętać jego twarz, wyraz oczu, ręce. - Ludzie wam pomogą - zaczął znowu.

- Port się trzyma po dawnemu. Na port można zawsze liczyć. I... - zawahał się, bał się, że nawet córka uzna jego słowa za przechwałkę - są tam jeszcze tacy, co mnie pamiętają.

- Czy... od razu... już dziś mam iść do pani Sewerynowej?

- To już zależy od ciebie. Nie wiem, w jakim stanie zostawiłaś swoje sprawy.

- To były sprawy, które każdej chwili mogłam zostawić.

- I pamiętaj, co powiedziałem ci o Tomaszku! Pamiętaj, co każe wam ojciec! - Zawsze tak miękki wobec dzieci, teraz zdobył się na ton stanowczy. - Nigdy, nigdy bym ci nie przebaczył...

- Och, tatusiu! - zapłakała Julitka. Znowu przyskoczyła do ojca, rzuciła mu się na szyję.

- Musisz już iść - powiedział z trudem.

- Chwileczkę - odezwał się Seweryn spod okna. - Jest Antoni.

Wszedł wysoki, szczupły mężczyzna, który najwidoczniej był tu gospodarzem. Rzucił czapkę na łóżko, usiadł ciężko na krześle.

- Dziś nic z tego - powiedział.

Patrzyli na niego w napięciu.

- Czesław przeprowadził lasami z Chojnic pięciu angielskich lotników. Oni muszą być przerzuceni najpierw.

- To zrozumiałe - powiedział Seweryn cicho. I zapytał po chwili: - Kiedy Eriandson zawinie znów do Gdyni?

- Najwcześniej za dwa tygodnie.

- Ja wracam do domu - odezwał się Bruna spod okna.

- Matka mnie ukryje. I was także...

- Spokojnie - przerwał mu gospodarz. - To twoja córka? - zwrócił się do Krzysztofa.

- Tak?

- Mam nadzieję, że jest na tyle dorosła...

- Co pan sobie wyobraża? - Julitka zwróciła ku niemu zapłonioną twarz. - Jestem w Tajnym Hufcu Harcerzy.

- I za szybko się do tego przyznajesz.

- Panu chyba mogę?

- Nikomu, kto nie musi wiedzieć. Zapamiętaj to sobie. I nie byłaś tutaj. I nie słyszałaś tej rozmowy.

- Tak jest, proszę pana - zgodziła się pokornie. Krzysztof objął ją i pocałował w czoło.

- Pamiętaj, co ci mówiłem.

- Pamiętam. Uważaj... uważaj na siebie.

- Ty także.

Wyszła, zamknęła za sobą drzwi. Na jej widok Wisia podniosła się z ławki.

- Nie becz! Nie wyjdziemy na ulicę, dopóki nie przestasz beczeć.

Kobieta popchnęła Julitkę ku miednicy z wodą.

- Przemyj sobie oczy - powiedziała. - Taki teraz czas, że płaczemy, ale oni nie mogą tego widzieć. Oni też zapłaczą, zapłaczą, nie bój się. I będą musieli pokazać całemu światu te swoje zapłakane gęby.

Na ulicy Julitka powiedziała:

- Ojciec kazał mi nie wracać już do Gdańska.

- W ogóle?

- W ogóle. Mam pójść do żony Seweryna Turka.

Dostanę nowe papiery.

- Wiedziałam... - szepnęła Wisia- wiedziałam, że on... że twój ojciec coś wymyśli. Tak się cieszę! I mama... mama także się ucieszy. Bardzo bolała nad tym, co się stało...

- Słuchaj - powiedziała Julitka groźnie - jeśli jeszcze raz usłyszę to słowo...

- Nie rozumiem?

- Już nic, przepraszam.

- O jakie słowo ci chodziło?

- Powiedziałam: przepraszam. Zapomnij o tym.

- Dobrze - zgodziła się Wisia, wciąż jednak trochę zdumiona. - Wiesz co? Przenocuj dzisiaj u nas - zaproponowała. - Jutro pójdziesz do Turkowej. Mamy tyle do obgadania.

- Ja przede wszystkim muszę sobie gdzieś popłakać.

Jeden jedyny raz, ale dobrze. I do końca. To się więcej już nie powtórzy.

- U nas będziesz mogła się wypłakać. Wprawdzie nasz Niemiec wrócił akurat z morza, ale dziś urządza przyjęcie. Będzie zajęty gośćmi. Chyba dostał jakieś odznaczenie i musi to oblać.

- Może Ritterkreuz?

- Może. - Żadna z nas o to nie zapytała, a on nie chwali się przed nami.

- Subtelny - parsknęła Julitka.

- Myślę, że w gruncie rzeczy chyba nas nienawidzi. Albo znienawidzi wkrótce. Sama czytałam w "Das Reich", że po śmierci Płena jest teraz na czwartym miejscu pod względem ilości zatopień. Oni to liczą w tonażu...

- Wiem.

- A więc bohater. I wchodzi po powrocie z morza do domu, i musi całe bohaterstwo zostawić za drzwiami. Nie zniesie tego długo. Idziesz do nas?

- Tak.

Gdyby ojciec zostawał w Gdyni, chyba by nie poszła. Ale miało go tu nie być i cała sprawa, o której niepotrzebnie napomknęła Wisi, niepokojąc ją chyba tak samo, ta cała sprawa przestawała istnieć - pani Helena Tereszkowa była tylko kobietą, która uratowała jej ojca, uratowała jej ojca, narażając własne życie, to się liczyło, nic więcej.

- Idę do was - powtórzyła. - Chcę podziękować twojej matce.

Przed domem Tereszków na Kamiennej Górze stał wojskowy samochód. Marynarz wynosił z niego skrzynki z piwem i puszkami konserw. Puścił oko do dziewcząt, odpowiedziały takim samym zalotnym spojrzeniem.

Ale już na schodach Julitka obejrzała się za siebie z nienawiścią.

- Niech go wszyscy diabli!

- Wiesz - Wisia zatrzymała się dla nabrania tchu, ścieżka pod górę zawsze ją męczyła - czasem myślę, że... przynajmniej niektórzy z nich tak samo cierpią przez tę wojnę jak my. Nikt ich nie pytał, czyjej chcą... czy się na nią godzą. W tym wypadku wszystkie demokracje nic nie znaczą.

- Winszuję ci - powiedziała Julitka.

- Czego?

- Winszuję ci, że dojrzałaś do tego, żeby tak myśleć.

- Czasem nie mogę się temu oprzeć.

- W gruncie rzeczy... nie gniewaj się ale w gruncie rzeczy żyjesz jak u Pana Boga za piecem.

- Nie chcesz się chyba ze mną pokłócić? - spytała Wisia z żalem.

- Nie. Przecież mam nocować u ciebie. A jestem... jestem bez dachu nad głową.

- Nie mów tak! - Wisia objęła przyjaciółkę i stały tak przez długą chwilę w pustym przedpokoju. - Jesteś u nas. I nie musisz iść wcale do Turkowej. Mama... jestem przekonana, że mama...

Drzwi, prowadzące w głąb mieszkania, otworzyły się.

Stał w nich mężczyzna w koszuli tylko i w granatowych spodniach od munduru.

- Słyszałem, że ktoś wszedł... - zaczął. Julitka pomyślała, że zachowuje się jak prawdziwy gospodarz.

- Pan Wieseirode, moja przyjaciółka - przedstawiła Wisia. W każdej sytuacji pamiętała o wpojonych jej zasadach dobrego wychowania.

- Miło mi - powiedział.

Julitka milczała. Skierowała się od razu ku schodom wiodącym na górę. Wieseirode wrócił do kuchni, gdzie Weronika biła tłuczkiem jakieś mięso, a na stołku pod oknem siedziała Marynka Blok. Paliła papierosa i ze śmiechem podjęła przerwana rozmowę.

- Mama jest pewnie na górze - powiedziała Wisia z wyczuwalną ulgą.

Pani Helena rzeczywiście była w swoim pokoju, całkowicie wyłączona z tego, co się działo w jej domu. Siedziała na tapczanie, na samym jego brzegu, dziwnie wyprostowana i Julitce od razu rzuciło się w oczy, że ta poza nie jest spoczynkiem, że jest w niej coś tymczasowego, jakiś niepokój, może nawet - na chwilę tylko zatrzymany - pośpiech.

- Mamo - powiedziała Wisia od progu - przyprowadziłam Julitkę. Nie wraca już do Gdańska. Tak zdecydował jej ojciec. Będzie u pani Sewerynowej. Ale dziś proszę, żeby mogła zanoć u nas.

- Ależ cieszę się bardzo! - zawołała pani Helena.

Pocałowała Julitkę w policzek. - Szkoda tylko, że dziś... akurat dziś jest to przyjęcie na dole.

- Nie będziemy w ogóle stąd wychodzić - powiedziała

Wisia.

- Chciałam pani podziękować - odezwała się Julitka nieswoim głosem. W gardle jej zaschło, zabrakło serdeczniejszych, lepszych słów.

- Och, moje dziecko! - powiedziała tylko pani Helena.

I zapytała po długiej chwili: - Więc to... tej nocy?

- Nie. Właśnie kiedy byłam u ojca, nadeszła wiadomość, że dziś muszą być przerzuceni angielscy lotnicy, których lasami doprowadzono z Chojnic.

Pani Helena załamała ręce.

- Fatalnie! Że też musiało się to zdarzyć. Już myślałam, już byłam pewna...

- Ale ten jakiś Erlandson - pośpieszyła z pociechą Julitka - ten jakiś Erlandson ma zawinąć do Gdyni za dwa tygodnie.

- Za dwa tygodnie! Ależ to jest czternaście dni! Czternaście dni! Przez ten czas...

- Mamusiu! - upomniała Wisia. - Nie martwmy się na zapas.

- Jest pod dobrą opieką - zaczynała się uspokajać pani Helena, głównie ze względu na Julitkę. - Ale wolałabym, żeby już go tu nie było. Żeby już go tu nie było.

Na progu ukazała się zadyszana Weronika.

- Nie zejdzie pani? - zwróciła się do pani Heleny.

- Nie. Po co?

- Bo on prosi o jakieś lepsze widelce i noże. A są tylko kuchenne.

, - Przecież Weronika wie, że sprzedałam całe srebro.

- Ale niech mu to pani sama powie. Mnie nie uwierzy.

- Uwierzyłby, gdyby Weronika powiedziała. Że też niczego nie chcecie mi zaoszczędzić.

- No to mu teraz powiem - zmieszała się Weronika.

Pani Helena podniosła się znużonym ruchem.

- Teraz! Kiedy już wie, że Weronika po mnie poszła.

Gdzie jest?

- W kuchni. Wszystkiego dogląda.

Korvettenkapitan Wieseirode stał przy kuchence gazowej i obracał skwierczące na patelni mięso. Widać było, że po tygodniach na okręcie sprawia mu to wyjątkową przyjemność. Twarz miał zaczerwienioną od gorąca, koszulę porozpinaną pod brodą. Na ogłos kroków pani Heleny odwrócił się gwałtownie.

- Przepraszam. Nie chciałem niepokoić. Ale prosiłem o lepsze sztucce.

- Lepszych nie ma - ucięła od razu. - Sprzedałam.

Wojna trwa już prawie trzy lata i trzeba z czegoś żyć. Pan wybacz, mogą być tylko kuchenne.

- Kuchenne! - zmartwił się Arno i zaraz zaczął się z tego tłumaczyć. - Mnie by to nie przeszkadzało, ale... będą panie.

- Panie?

- Tak. Trzy...

Pani Helena doznała uczucia niemiłego zdumienia, jakby to na przyjęcie urządzone przez nią miał przybyć ktoś nie zaproszony.

Arno wciąż się tłumaczył:

- Koledzy...rozumie pani...tęsknią do damskiego towa-

rzystwa... Pobyt w bazie nie jest urlopem, nie wracamy do domów...

- Ależ chodzi tylko o to - podniosła głos - że sztucce mogą być wyłącznie kuchenne. Innymi nie mogę panu służyć.

- Trudno - zgodził się zmieszany. - Gdybym był wiedział, nie poruszałbym w ogóle tej kwestii.

- Pan przypalił mięso! - jęknęła Weronika. Uniosła w górę patelnię. - Pani jest świadkiem, że mnie tu nie było i że to pan przypalił mięso.

- Weroniko! Mnie to nic nie obchodzi.

Wycofała się z kuchni, szybko minęła jadalny pokój.

Dogonił ją na schodach, wyprzedził jednym skokiem, oparł się o poręcz.

- Wróciłem i nie usłyszałem od pani ani jednego dobrego słowa.

- A... spodziewał się pan?

- Marzyłem o tym.

- Sam pan wie, że jest wojna i tyle marzeń się nie spełnia.

- O wielu sprawach myśli się na morzu inaczej niż na lądzie. Gdyby pani wiedziała... było kilka takich momentów, w których... I tylko zawiadomiono by panią, że ktoś inny obejmuje kwaterę...

Przejęła jego ton:

- Było kilka takich momentów, w których zastanawiałam się, czy będzie pan zadowolony, gdy ktoś inny zamieszka na naszym miejscu.

Nie przyjął tego za żart.

- Czy... coś się stało? - zapytał z niepokojem. - Czy mogło... coś się siać?

- Każdej chwili może się coś stać.

--Pani znowu zmizemiała - powiedział cicho, jego--.*
jasne oczy były zupełnie przeźroczyste i nieruchome. - •

- Trudno się spodziewać, że zacznę nagle nabierać rumieńców. - Chciała go wyminąć, ale nie pozwolił na to.

Przykrył dłonią jej rękę, którą trzymała na poręczy.

- Proszę mnie nie dotykać. Bardzo proszę.

- Ale wtedy... przed moim wyjazdem... w pociągu... pamięta pani?

- Obydwoje byliśmy w rozpacz.

- A... teraz?

- Teraz otrzymał pan odznaczenie i oczekuje pan gości. Zrozumiał to jakoś niewłaściwie, pośpieszył z wyjaśnieniem:

- To potrwa niedługo. Musiałem zaprosić kolegów, nie daliby mi spokoju, gdybym ich nie zaprosił. Ale na pewno ' wszystko szybko się skończy.

- Och, jest pan u siebie w domu. Przepraszam, że stół nie będzie nakryty tak, jak pan sobie wyobrażał. I... jak wymagają tego okoliczności.

- Proszę nie myśleć już o tych nieszczęsnych sztucach.

- Ja nie myślę. - Zdołała wreszcie wyminąć go i wejść na górę. Głośno zamknęła za sobą drzwi.

On stał jeszcze chwilę w tym samym miejscu z przykrym uczuciem upokarzającego niezadowolenia z siebie, ze wszystkich słów, które tu bełkotał bez opamiętania i godności. Ale

wciąż ją widział, jak zaplata ten swój przeklęty czarny warkocz, jak stoi tu i wznosi w górę ręce, a jej smagłe palce wykonują ten niespieszny, ten nie przynaglony tym, co się działo, ruch. Stał wtedy na dole w płaszczu i czapce na głowie, obcy mężczyzna, wróg, a ona go po prostu nie zauważała i starała się to robić przez cały czas, powinien to od dawna zrozumieć.

Wrócił do kuchni, obejrzał przypalone mięso.

- To nic - pocieszała go Weronika. - Obskrobię i przełożę na inną patelnię. Dodam świeżej cebuli, nikt nie pozna.

- Tak, tak, Weroniko - powtarzał skwapliwie. Stara służąca wydała mu się najbardziej życzliwą osobą na całym świecie. - I te sztucze, te kuchenne widelce i noże, niech Weronika trochę przeczyści.

- Już przeczyściłam, proszę pana.

- Dziękuję.

- Powinam była od razu powiedzieć, że te lepsze pani sprzedawała.

- Ach głupstwo.

- Wszystko wyprzedajemy, proszę pana. Bo z czego żyć?

Wisia pracuje w sklepie, ale w papierniczym. Gdyby pracowała w kolonialnym, może by czasem przyniosła coś do jedzenia. Papieru się nie ugryzie. Więc pani sprzedaje, co może, i kupujemy żywność na czarnym rynku. Te srebrne widelce, noże i łyżki... i łyżeczki jeszcze były do kompletu... Arno podniósł ręce do uszu.

- Nie chcę już o tym słyszeć.

- Ale ja panu tylko tłumaczę...

- Wszystko już wiem. Ani słowa już o tych nożach i widelcach, bardzo proszę!

Niestety, mówili o nich również goście. Zaprosił tylko najbliższych kolegów, a ci mieli prawo do pewnej poufałości, nadmiernej, jak zwykle na lądzie. Seltner, jego zastępca, zażartował:

- Biedny Arno! Trafił nie najlepiej. A dom z wyglądu całkiem okazały.

- Daj spokój - przerwał mu gospodarz. Napełnił kieliszki, podniósł swój do góry. - Za U-003\ I za jak najszybsze zakończenie wojny!

- Za jak najszybsze zwycięskie zakończenie wojny!

- poprawił go Schwetzner, główny mechanik, zawsze senny i ociężały, ale teraz podniecony obecnością dziewcząt. Rudowłosa Lizę trzymał już wpół swoim potężnym ramieniem. - Za zwycięskie zakończenie wojny!

- To chyba oczywiste.

- Opatrzność lubi sformułowania ścisłe.

- Ma własne, jeśli jest opatrnością.

- No... - zaśmiał się mały Knoll, oficer broni podwodnej - trochę jej pomagamy. - I wrócił do podjętego przez Seltnera tematu: - A może by te stał przezorny, że srebro wysłał do Reichu?

- Nic nie wysyłałem. - Amo zaczął nerwowo podsuwać gościom półmiski.

- Nie? - zdumiały się dziewczęta. Najładniejsza z nich, Annemarie, rosła i hojnie obdarzona przez naturę wdziękiem, które najwyżej cenia sobie mężczyźni, odchyliła się

w krześle i uważnie przyjrzała się meblom.

- Nie - potwierdził. - Moja rodzina nic nie potrzebuje.

- Och, tak się tylko mówi - powiedziała Annemarie.

- Podarki są zawsze mile widziane. - Wciąż rozglądała się po pokoju. - Objał pan tu chyba wszystko?

- Wszystko - przytaknął, żeby wreszcie skończyć z tym tematem.

Ale dziewczyna była dociekliwa. Uniosła do góry swój próżny w tej chwili talerz, przyjrzała się uważnie znakowi porcelany.

- Najważniejsze - powiedziała - było to, żeby zaskończyć ich w momencie, kiedy jeszcze nic nie zdążyli sprzedać.

A sprzedają, głównie na wieś, gdzie ludność ma już przeważnie którąś grupę i, niestety, nic nie można odzyskać.

Arno napełnił znów kieliszki. Miał nadzieję, że przy wódce i piwie rozmowa szybko zamieni się w chaotyczny i chichotliwy bełkot, ale na razie szło to opornie i wszyscy byli

kłopotliwie i męcząco trzeźwi. Liza zwierzała się ze swoich podejrzeń, że przydzielono jej mieszkanie ogołocone już

z najcenniejszych przedmiotów. Reszta towarzystwa podjęła ten temat i trudno było zastąpić go innym. Czego

właściwie spodziewał się po tym wieczorze? Tak, musiał zaprosić przynajmniej najbliższych kolegów, Prien, podob-

no, kiedy dostał Ritterkreuz, wydał przyjęcie dla całej załogi swego U-47. I dużo mu z tego przyszło! Anglik, który go

zatopił, także dostał pewnie za niego odznaczenie i on z kolei musiał wyprawić przyjęcie dla kolegów... Kółko się zamyka-

ło. Rachunki, płacone w kasynach, mogłyby być historią tej wojny. Pożałował, że swego przyjęcia nie urządził w kasynie,

13 - Tak trzymać t. ITT

ale przyjaciele uparli się, żeby wreszcie zobaczyć, jak mieszka. No i te dziewczęta. Nudziły się tu na Osteinsatzu tak samo jak oni podczas przerw między zadaniami bojowymi.

A może nie nudziły się wcale? Ktoś wracał z morza do bazy, ktoś stał w stoczni... Żeby przynajmniej mógł się z którąś przespać. Upić się na tyle, żeby przespać się na przykład-

z Annemarie. Wyraźnie nie miała ochoty na tego małego Knolla, przewyższała go o połowę głowy. Miała soczyste,

zawsze wilgotne usta i cudowne piersi, może zapomniałby przy niej o wszystkim, co go gnębiło. Niepotrzebnie tylko

wciąż rozglądała się po mieszkaniu i miała w oczach coś, czego nie zniósłby u własnej żony. Myślał przez chwilę

z czułością o rodzinie, o kobiecie, o której wiedział, że nigdy nie będzie się jej wstydził, o synach, których pragnął jak

najdłużej widzieć w krótkich spodenkach. A kiedy właściwie widział ich ostatnio? Gdyby nie wyznaczono mu bazy

w Gotenhafen, gdyby częściej bywał w domu, nie miałby w głowie tego zamętu, przez który nie mógł się przebić żadną

stanowczą myślą. Gdy dziewczęta - o którejś godzinie nocy - zaczęły biegać do łazienki, uciszał je błagalnym szeptem.

- Ktoś tam śpi na górze? - dziwiły się.

Pomijał milczeniem to pytanie. Nasłuchiwał, czy kobiety na górze nie odezwą się, czy nie dadzą znać o sobie. Ale

milczały i nie ruszały się, jakby naprawdę ich tam nie było. To znów budziło w nim żal, a zaraz potem gniew, że to

milczenie w jakiś sposób go obraża, bo jest strachem przed

nim, a może pogardą, może tą - tak często w tym domu wobec niego stosowaną - obecną nieobecnością. Dziewczeta przyniosły patefon i płyty. Wciąż nastawiały "Heimat, deine Sterne", nie mógł już znieść tej melodii, przyprawiała go o mdłości. Nienawidził sentymentalnego patriotyzmu, ckliwego słodzenia twardych, surowych obowiązków, ale tańczył z Annemarie, Knoll był rzeczywiście dla niej za mały, leżał w fotelu i przypatrywał im się z zawiścią, a Annemarie miała na sobie letnią sukienkę i poprzez chłodny z wierzchu jedwab czuło się jej gorące ciało, młode, prężne, gorące i uległe ciało, i można było, i można by było o wszystkim na chwilę zapomnieć, przykryć szczelną czapą ten zamęt, który miał wciąż w głowie, ten piekielny zamęt, ten żal, ten ból...

- Wyjdziemy do ogrodu? - zapytała cicho.

- Nie - przestraszył się. - Gospodarz... gospodarz musi czuwać...

- Ależ nie ma nad czym - roześmiała się. - Wszyscy doskonale sobie radzą. - Patrzyła mu w oczy z bliska, trochę zalotnie, trochę ciekawie. Sukienka o szerokim dekolcie zsunęła się jej z ramienia. Zobaczył białe pasemko bielizny i zakręciło mu się w głowie. Pochylił się gwałtownie i przylgnął zachłannymi ustami do gładkiej, gorącej skóry.

- Wyjdźmy! - powtórzyła dziewczyna.

Zsunął głębiej rękaw i wciąż całował jej ramię, a ona przyciskała jego głowę do piersi, unoszącej się szybko, coraz - szybciej. Nikt nie zwracał na to uwagi, Knoll w fotelu chyba zasnął, a reszta krążyła między stołem a ogrodem - przez otwarte drzwi werandy wionął cały zapach majowej nocy.

- Chodźmy! - powiedziała Annemarie jeszcze raz zdyszonym szeptem.

Objął ją wpół i skierował się ku wyjściu. Seltner wracał właśnie z ogrodu z Paulą, radiotelegrafistką ze sztabu. Chwalił się zawsze w morzu, że jest mu wierna.

- Ring wolny! - zachichotał. Zamknął już był drzwi, więc otworzył je przed nimi z hałasem. Wyraz jego twarzy, głupawy uśmiech, a także ani trochę nie speszzone spojrzenie dziewczyny sprawiły, że Arno zatrzymał się w progu.

Annemarie z rezygnacją poprawiła dekolt.

- Zatańczymy, kochanie! - poprosił ją gorliwie.

Tańczyli, dziewczyna przytulała się natarczywie, ale już nie ponowiła propozycji wyjścia do ogrodu. Nie tylko Knoll, którego przebudziło trzaśnięcie drzwiami, wodził za nią wzrokiem. Wpierał w nią też zuchwałe, łakome spojrzenie marynarz, zatrzymany dla obsługi przy stole. Zbierał puste butelki po piwie, otwierał nowe, a przez cały czas podrygiwał w takt melodii i nie odrywał rozblęskanych oczu od dziewczyny, która nie była przeznaczona dla niego. Uśmiechał się jednak, ilekroć przybliżała się w tańcu, choć uparcie omijała go wzrokiem.

W

"Heimat, deine Sterne .." - śpiewał Seltner na całe gardło. Dziewczyny mu zawtórowały. Znowu ktoś nastawił tę płytę. Arno wyłączył ją.

- Dlaczegoooo? - zawyło towarzystwo.

- Może byśmy... może byśmy porozmawiali...?

- O czym? - roześmiały się dziewczęta. W tym śmiechu

był także strach przed tematem, którego nie omijano wyłącznie w toastach. Odległe fronty przybliżały się, gdy padała nazwa jakiejś miejscowości, o którą toczono bój na wschodzie i w Afryce, gdy ktoś wspomniał nie zarysowane żadną linią bezkresne rozlewisko, z którego właśnie wrócili.

- Nie chcemy rozmawiać - zgodzili się z dziewczętami mężczyźni.

Znów napełniono kieliszki i kufle, marynarz uwijał się, otwierając butelki; pociągał z nich, gdy nikt nie zwracał na niego uwagi, policzki mu się zaróżowiły ochoczym rumieńcem. Ktoś nastawił płytę i znów tańczono wśród chichotów i pisków, albo w nagle zapadającym milczeniu, kiedy twarze przywierały do siebie, ramiona zaciskały się ciaśniej, a między ledwie poruszające się kolana trudno by było wcisnąć kartkę papieru. Obserwującemu to marynarzowi pociły się ręce, gryzł wargi i patrzył posępnie.

Annemarie wciąż omijała go wzrokiem i nie ona, ale Liza, zdolawszy oderwać się od Schwetznera, zapytała:

- Jak masz na imię?

Stuknął obcasami, ale wyraz twarzy nie pasował do postawy na baczność. Coś zbyt śmiałego czaiło się w spojrzeniu.

- Wolfgang.

- Wolfgang...? Zaraz... zaraz... - zamyśliła się dziewczyna. - Któż to sławny miał na imię Wolfgang?

Znów stuknął obcasami.

- Nie wiem. Nie słyszałem.

Nie było mu to potrzebne. Miał szerokie bary i metr osiemdziesiąt wzrostu, mały Knoll spoglądał na niego z zazdrością, takich chłopaków potrzebowała jego ojczyzna i ich - podobnych do nich - synów. Na właściwszym miejscu byłby tam, gdzie produkowano nowe pokolenie Niemców, marnował się na okręcie, mógł całkiem zmarnować się na okręcie, małe pudełko osiadłże któregoś dnia na dnie, trafione bombą, i poduszą się w nim wszyscy, wszyscy co do jednego... Dlaczego było mu teraz żal tylko tego jednego chłopaka...?

- Amo! - mały Knoll zbliżył się do gospodarza, którego nie wypuszczała ze swoich ramion Annemarie.

- Nie mogłeś kogoś innego wziąć z mesy do pomocy?

- Bo co? - spytał Amo niezbyt uprzejmie, coraz bardziej kręciło mu się w głowie.

- Bo chłopak robi nam konkurencję. Jak przy nim wyglądamy?

- Daj spokój!

Annemarie uniosła senne powieki i spojrzała ku temu, o którym mówiono.

- - Jeść! - zawołał od stołu Seltner. - Jeść! Mogę walczyć i kochać tylko wtedy, kiedy nie jestem głodny! Kiedyż oni sobie pójdą? - myślał Arno. Zebrał ze stołu puste talerze po kanapkach, trzeba było znów je napełnić, nakroić chleba, wyłożyć nań jakieś konserwy, przybrać serem, kiszonym ogórkiem i pierwszą zieleniną młodej cebuli i naci pietruszki. Ucieszył się, że Weronika w niedostateczny sposób oceniła apetyt jego gości - że będzie przez chwilę w kuchni sam, ale Annemarie podażyła za nim. On kroił chleb, a ona przytulała się do jego pleców, całowała go po

karku i włosach.

- Przestań - prosił.

- Nie.

- Przestań!

- Nie! Nie! Nie!

Odwrócił się gwałtownie, jednym ruchem zsunął sukienkę z jej ramion.

- Powiedz... masz kogoś? - szeptała. - Bo nie spotkałam jeszcze nikogo... Lubię takich opornych, ale ty...

- Jestem żonaty - syknął między pocałunkami.

- Och, nie bądź śmieszny! Fuhrer i ojczyzna za dużo od ciebie wymagają, żebyś i o tym miał jeszcze myśleć.

- Przestań wreszcie gadać!

Całowali się w miiczeniu i pośpiechu, Amo czuł coraz większą dla siebie pogardę, ale i radość, że się już nie zatrzyma, już się nie zatrzyma, już nie... Wyciągnął rękę, żeby przekręcić kontakt, ale zanim to uczynił, drzwi otworzyły się z trzaskiem i na progu stanął marynarz z uczeponą u jego ramienia Liza. Poderwał się na baczność, zamrugał powiekami.

- Przepraszam...

- Bałwan jesteś! - powiedział Arno, przytomniejąc, ale dziwnie bez złości.

- Przepraszam.

- Nie przepraszaj, pomóż mi.

- Właśnie w tym celu... właśnie w tym celu... - chichotała Liza. Annemarie patrzyła na nią z wściekłością.

Do rana starał się usilnie, żeby nie miała już okazji zbliżyć się do niego. A kiedy wysuszona została ostatnia butelka i talerze stały znowu puste, wypchnął swoich gości, nadając im na ganku szybkość przyśpieszoną, której nie mogli już opanować na stromej ścieżce. Potoczyli się w dół wśród śpiewu i śmiechu. Stał w otwartych drzwiach tak długo, aż przez ten milknący wrzask przedarł się śpiew ptaków w ogrodzie. Głowa mu pękała od bólu, do dawnego zamętu doszedł nowy, spowodowany alkoholem - sądził, że uwolni go od tamtego, ale on go tylko spotęgował. Po nocy, którą miał za sobą, śpiew ptaków wydał mu się nieskazitelnie czysty i natchniony, kościelny prawie - szum morza w dole był dla niego jakby towarzyszeniem ogromnych, ściszonych organów. Powietrze miało zapach zwilżonej rosą ziemi i młodego igliwia, którym jaśniały końce gałęzi porastających zbocze sosen.

Zamknął cicho drzwi i zatrzymał się przy nich na chwilę, wsłuchując się w ciszę domu, gdy zewnętrznymi schodami przebiegły pośpieszne kroki. Rozległo się cichutkie pukanie. Otworzył natychmiast, przerażony, że słysząc je w całym domu.

Na progu stała Annemarie. Zdyszana, uśmiechała się niepewnie.

- Nie zostawiłeś mnie chyba dla Knolla... ani dla tego...

- Dziewczyno - powiedział bezradnie.

Weszła, wciąż uśmiechała się, ale usta jej drżały.

-Naprawdę mnie nie chcesz...?

Postanowił być brutalny, teść admirał wydał mu się ostatnim ratunkiem.

- Idź - chwycił ją za ramię i skierował ku drzwiom

- nie będę dla jednej nocy z tobą ściagał na siebie gniewu teścia admirała.

Wciąż jeszcze próbowała się uśmiechać.

- Nie dowie się.

- Nie dowie się! Zajdziesz w ciążę i wszystkim roztrąbisz, kim jest ojciec. Od kiedy fuhrer dopłaca do każdego dziecka, żonaci mężczyźni muszą się mieć na baczności.

Spróbowała łez.

- Nie podobam ci się...

- Za bardzo mi się podobasz - powiedział uprzejmie.

- W tym właśnie całe niebezpieczeństwo, że za bardzo mi się podobasz. - Pocałował dziewczynę w policzek i wypchnął ją na ganek. Na schodach ktoś siedział. Dostrzegł we wczesnym wiosennym brzasku szerokie plecy marynarza.

W pierwszej chwili chciał wyskoczyć na ganek, ale opanował się - uśmiechnął się nawet lekko, zamknął cicho drzwi za sobą i jeszcze raz, nie ruszając się od progu, w s z e d ł w ciszę domu. Pomyślał z ulgą, że zaraz położy się spać, a o zwykłej godzinie obudzą go kroki na górze, podłoga nad jego głową zasygnalizuje początek krzątania, która potem przeniesie się do kuchni i towarzyszyć jej będzie szcęk naczyń, poranny koncert Weroniki na szkło i blachę. Był pewny, że mimo bólu głowy zaśnie od razu, a sen będzie dobry i pokrzepiający, bez podświadomej czujności, która nie opuszczała go na okręcie. Nie wiedział, ile dni ma przed sobą na ładzie. Wszystkie były podarunkiem losu, trzeba się było śpieszyć z każdą radością, z każdym...

Zza drzwi dobiegł go przyciszony śmieszek, dwugłos uciechy, z którą nie krępowano się przed nim. Krew uderzyła mu do głowy. Tych dwoje na schodach robiło należyty użytek z majowej nocy, z godzin na ładzie, z życia, które jeszcze trwało, jeszcze trwało, wyszachrowane od losu szczęśliwymi

m
rozkazami na ster i do maszyny, jastrzębią uwagą radarzysty.. Tych dwoje na schodach brało w pośpiechu to, co jeszcze można było brać, nie traciło czasu...

W całym domu trwała głęboka, uśpiona cisza. Śpiew ptaków za oknami wydawał się odległy, wyłączony z niej nie tylko ścianami, nie tylko ich szczelnością.

Nadsłuchiwał przez chwilę, ale jedynym dźwiękiem, który słyszał, było głuche dudnienie, dochodzące z głębi własnego ciała. Roześmiał się nagle, uderzył dłonią w poręcz schodów, aż zadrżała.

- Chodź tu! - krzyknął. - Wyjrzyj przez okno i zobacz, co robi tych dwoje na schodach. To widok dla ciebie.

Wreszcie coś z prawdziwego życia w tym trupim domu. A ta dziewczyna ma cudowne piersi i mógłbym ją mieć, ofiarowała mi się, ale oddałem ją tamtemu. No, zejdź! Do wszystkich piorunów! Do wszystkich diabłów! Do wszystkich... zejdź!

Nie jesteś polską królową, której korona spadłaby z głowy, to ja, ja narażam swój niemiecki honor i tylko to, że jestem jeszcze na coś potrzebny mojej niemieckiej ojczyźnie, powstrzymuje mnie od... powstrzymuje mnie...

Od czego? - pomyślał. Zaczynał trzeźwieć, stawiając sobie to pytanie. Od czego? Głuche dudnienie w głębi ciała nie ustawało. Dotknął dłonią czoła, zanurzył palce we włosach, szarpnął nimi, aż poczuł ból. Powstrzymuje mnie...

Cofnął się od schodów, wydawało mu się, że w całym domu drży jeszcze echo słów, które odważył się sobie samemu wydrzeć, które jak obelgę przeciwko sobie na głos wypowiedział. Na palcach przeszedł przez jadalnię i skierował się ku pokojowi, gdzie sypiał. Weronika przygotowała tapczan do spania. Po raz drugi tego dnia pomyślał o niej z wdzięcznością. Postanowił przynieść jej czekoladę z kasy-
na, albo pudełko sardynek - co będzie chciała. Usiadł na tapczanie, rozpiął koszulę i spodnie, ale już ich nie zdjął, w ubraniu upadł na poduszkę i natychmiast zasnął. Przebudziła go przeraźliwa jasność w pokoju. Nie zasłonił stor i słońce świeciło mu prosto w oczy. Zerwał się, ożywiony pierwszą myślą, że oto jest na lądzie, że za oknami mieni się prawdziwa zieleń roślin, a nie płynna monotoność wody, najgorsze z więzień, w którym można było zamknąć człowieka. Podszedł do okna, wystawił nagie piersi na promienie słońca, odetchnął głęboko - i w tej samej chwili przypomniał sobie ubiegłą noc, najpierw chaotycznie, a potem w coraz dokładniejszych szczegółach. Uderzyło go to, że w domu panuje niezwykła o tej porze cisza. Może wyszły wszystkie do pracy? - pomyślał. Nie było go trzy tygodnie, w ciągu tego czasu wiele mogło się zmienić. Może arbeidsamt zacieśnił rygory i naprawdę wszystkie musiały pójść do pracy? Uspokojony tą myślą, ostrożnie uchylił drzwi. W domu chyba naprawdę nie było nikogo. Wziął ręcznik i najpierw poszedł do łazienki, żeby się ogolić i wykąpać. Z dezaprobatą przyjrzał się w lustrze swojej twarzy. Nawet w dniu zwycięstwa, pomyślał, nie zaleję tak pały! Kąpiel orzeźwiła go, a nawet przywróciła mu apetyt. Z ręcznikiem na ramionach zszedł do kuchni, żeby zaparzyć sobie herbaty i znaleźć coś, co nie zostało pożarte tej nocy. Zwykle zastawał kuchnię idealnie wysprzątaną, co cenił sobie bardzo, wspominając pedantyczną czystość, jaką utrzymywała i jakiej wymagała od służby jego matka - teraz jednak cofnął się od progu: na stole i szafce pod oknem piętrzyły się stosy brudnych naczyń, zniesione tu z jadalni przez marynarza i dziewczyny pod koniec biesiady. Resztki sosu zaschły na talerzach, piwo, pozostawione na dnie, zażółciło kufle, niedopałki wysypywały się z pełnych popielniczek. Zaklął. Ogarnęła go wściekłość. Jeśli nawet wszystkie pracują, pomyślał, któraś powinna się już zjawić. Wydało mu się, że słyszy kroki na ścieżce, zerwał się, podbiegł do okna, zdziwiony, że na dworze już zmierzcha. Zerknął na zegarek - dochodziła ósma. Nie, pomyślał wreszcie ze złym przeczuciem, do tej godziny nikt nie pracuje. Odgłosy, dochodzące ze ścieżki, okazały się złudzeniem. Odrócił się od okna i uświadomił sobie naraz, że one mogą tam być, zamknięte w pokojach na górze, że mogło im się coś stać, że mogły... że wszystkie mogły... Ale cóż takiego wykrzykiwał tu w nocy, żeby... Kilkoma skokami pokonał schody. Zatrzymał się pod drzwiami pierwszego pokoju i jednak - zapukał. Raz i drugi. Trzeci. Nikt nie odpowiadał. Więc pchnął drzwi i wpadł do środka - pokój był pusty. Puste były także szafy, pootwierane na oścież. Na podłodze

walały się porzucone chusteczki i pończochy. Wpadł do drugiego pokoju i ujrzał ten sam obraz. W trzecim leżała na podłodze stara suknia Weroniki i jej przybrudzony fartuch. Chodził z pokoju do pokoju, zamykał drzwi, znów je otwierał. Nie mógł zrozumieć tego, co się stało, a równocześnie jakby doskonale to rozumiał, doskonale i do głębi, w pełnym poczuciu solidarności. Oparł się o framugę drzwi, przymknął oczy. W całym domu trwała głucha, przerażająca swą nieruchomością cisza.

XX

Pierwszym ludzkim odruchem okazała się wstydliwość. Przedtem był zwierzęciem wyjącym z bólu, leżącym długie godziny w zakrzepłej krwi, a potem niesionym dokądś, przenoszonym z miejsca na miejsce, obmywanym i opatrywanym, karmionym, dźwiganym i podtrzymywanym przy załatwianiu potrzeb. Bardziej czuł, niż wiedział, co się z nim dzieje. Nie rozpoznawał nikogo wzrokiem ani słuchem, poddawał się wszelkim zabiegom wokół siebie w przetrwanym bólem przyćmieniu, które trzymało go wciąż na granicy życia. I wreszcie któregoś dnia, gdy obnażono go, jak co ranka, dla zwykłych ablucji, chwycił ręką koc, naciągnął go na siebie.

- Nie! -jęknął.

- O, dobrze! - roześmiał się jakiś głos nad nim.

Rozpoznał śpiwną mowę swego dzieciństwa. Najpierw bardziej jej melodię niż treść. - Bardzo dobrze. Będziesz zdrow, będziesz żył! Ci, co mają umrzeć, nie wstydzą się. Uniósł z wysiłkiem powieki. Zobaczył nad sobą uśmiechnięte radością oczy pod puszystą grzywką, której nie zdołał poskromić biały czepek pielęgniarki. Mocniej ścisnął w dłoni brzeg koca.

- Gdzie jestem, siostrze? - zapytał po rosyjsku.

- W Murmańsku, kapitanie.

Zamknął znów oczy i powoli zaczęło wracać wszystko, co było przed granicą, którą właśnie przekroczył. Kilkudniowa walka o konwój pod bezustannymi nalotami, wśród stale ponawianych ataków u-bootów. I kra, hamująca szybkość i zwrotność statków i okrętów. I arktyczny sztorm. I przeźliwie jasny, nie kończący się dzień ze słońcem zawieszonym nad horyzontem, tą przeklętą latarnią, do której także chciało się strzelać, żeby wreszcie zgasła, żeby nie oświećlała ich tak wyraźnie nabiałym polu morza. Przez długie, długie godziny obrona rozpaczliwa i skuteczna, zestrzelony bombowiec, entuzjazm załogi, a potem najgorsza część drogi, najbliższa niemieckich baz w Norwegii. Samoloty, wyrzuciwszy cały ładunek, w ciągu niecałej godziny zaopatrywały się w nowy i wracały nad konwój, żeby go nękać zajadłe i coraz skuteczniej. Zapadały się w wodę trafione transportowce, jak zabawki przełamane na pół, albo płonęły długo, unieruchomione, już martwe i dolichowane do strat, zanim pochłonęły je fale. Te straty były przewidziane. Podczas arktycznego dnia konwoje nie miały zbyt dużych szans bez osłony własnego lotnictwa i przed zniszczeniem niemieckich baz w północnej Norwegii. Tam w górze, w Admiralicji, wiedzano o tym, ale tam w górze zwykle mają czas i konwój PQ-16 został wysłany zanim załatwiono te dwie sprawy. Osłonę lotniczą konwoju stano-

wił jeden samolot myśliwski. Bardziej wzruszał, niż wzmacniał poczucie bezpieczeństwa, zresztą - wyrzucany z katapulty na jednym ze statków - został zestrzelony przez własną artylerię, zniszczywszy uprzednio tylko dwajunkersy. Z mocnej na początku eskorty cztery krążowniki - wszystkie, jakie do niej przydzielono - i trzy niszczyciele wycofano z przeznaczeniem do innych zadań. Na najgorszy odcinek drogi, między wyspą Jan Mayen a Wyspą Niedźwiedzią, wszedł największy z dotychczasowych konwojów strzeżony tylko przez pięć niszczycieli, sześć trałowców i dwa okręty podwodne...

Mocna dłoń odgięła jego palce, zaciśnięte na kocu; Śpiewny głos przemawiał z łagodną pobłażliwością: - Ot i wstydlivy się znalazł! Popatrzcie się wy na niego. Tylko mu sił trochę przybyło, a już się szarpie. No i jak, nie umyty w łóżku będziesz leżał? Nowa choroba może z tego przyjść. Nowa bieda.

Słuchał tego głosu z łagodzącą wszystkie dolegliwości ulgą. Czuł dotknięcia mokrej gąbki na ciele, na tych jego miejscach, które wolne były od bandażu. Nie mógł się wciąż dźwignąć ani poruszyć głową. Sprawne, szybkie ręce wykonywały przy nim wszystkie czynności, które wracały go życiu, godzina po godzinie, dzień po dniu. A tak blisko był, tak blisko był...

Z czterech stron nadleciały samoloty. Od wielu godzin, bez przerwy, odpierali ich ataki, ale tym razem przedarły się przez ogień zaporowy, bomby spadły zaledwie o kilka metrów od burty Garlanda. Nim usłyszał wybuch i poczuł ból, zobaczył, że dotykają powierzchni wody. Zobaczył jeszcze w mgnieniu oka, że mat Płonka, zaokrętowany na Garlandzie w tym rejsie operator Wojskowej Kroniki Filmowej, właśnie to filmuje, że pochyla się, także ugodzony odłamkiem, i jeszcze manipuluje przy swym aparacie. A potem był ból, ciemność, dygoczący od wybuchów pokład pod plecami i półprzytomne odnotowywanie słuchem tego, co działo się na okręcie. Wybuch, który najbardziej wstrząsnął powietrzem i po którym odezwały się nowe jęki i wycia rannych, był wybuchem własnym - musiał eksplodować magazynek przy którymś dziale. Nie strzelało żadne z nich. W odgłosach bitwy, która się toczyła, zabrakło własnych dział, milczały także oerlikony - i było tak, jakby powietrzem zawładnęła cisza, ostatnia cisza, jaką słyszy się na morzu. W chwilę potem usłyszał jednak, że ktoś nawołuje ludzi spod pokładu do obsługi dział, i zrozumiał, że artylerzystów będą musieli zastąpić kucharze. Ale i pod pokładem były chyba straty w ludziach, bo po kilku minutach odezwało się tylko jedno działo na dziobie. Jedyńka! - pomyślał. - Strzela tylko jedynka! Stracił przytomność i dopiero ból na stole operacyjnym w mesie oficerskiej przywrócił mu ją. Doktor wyjmował odłamki bez znieczuleń, dezynfekował, zszywał, bandażował. Ktoś obok był jak zwierzę, ktoś inny pytał wśród płaczu:

- Będę żył? Doktorze?

Doktor nie odpowiadał. Raz tylko się odezwał, gdy doniósł mu ktoś z rozpaczą, że angielski doktor zemdłał:

- Dać mu waleriany! I niech go "Achates" zabierze z powrotem!

Potem były długie godziny wśród innych rannych, złożonych gdzie popadło - byle nie tamowali ruchu. Zabitych składają na rufie - usłyszał. I usłyszał jeszcze, że dowódca eskorty zezwolił Garlandowi na opuszczenie konwoju i natychmiastowe odejście do Murmańska.

- Natasza! - odezwał się z głębi jakiś głos kobiecy.

- Pośpiesz się! Za dużo czasu tracisz przy jednym chorym.

- Ale on dziś przemówił! - roześmiała się nad nim dziewczyna, nazwana Natasza - Anno Iwanowna, on dziś przemówił po raz pierwszy! A już myślałam... już myśleliśmy...

- Dobrze, że przemówił, ale pośpiesz się! Inni czekają.

- Zaraz się nimi zajmę.

Przytrzymał rękę, której dotknięcie miało zaraz ulecieć z jego ciała, nie pozwolił na to.

- Siostro Nataszo...

- Słucham, kapitanie.

Z wysiłkiem uniósł powieki i znowu ujrzał nad sobą uśmiechnięte oczy pod puszystą grzywką. Paliły się w nich roziskrzane iskierki radości.

- Słucham, kapitanie!

- Czy... jest tu... Czy żyje... marynarz Grzegorz... - szukał w pamięci nazwiska Grzesia, nazywał go zawsze po imieniu - ...marynarz Grzegorz Ładziejczyk...?

- Ten, co się wciąż o was pyta?

- A pyta się? - szepnął z ogromie, obezwładniającą ulgą.

- Nieustannie. Pokazać się na sali nie mogę...

- Co... co z nim...? Co mu się stało...?

Siostra Natasza milczała przez chwilę.

- Ciężko ranny.

- Ciężko?

- Tak.

" - Proszę... proszę mu powiedzieć... • i

- Powiem, że się pan dziś po raz pierwszy odezwał.

- Nie tylko to... Proszę powiedzieć...

- Natasza! - upomniał znów głos z głębi sali.

- Już idę, Anno Iwanowna. Już idę!

Wciąż nie wypuszczał z uścisku ręki, którą trzymał na swojej piersi.

- Czy... nie można by... nie można by przenieść go tutaj... albo .mnie do jego sali...?

Grzywka nad błyszczącymi oczyma zakołysała się w gwałtownym przeczeniu.

- Nie! Oj, nie!

- Dlaczego?

- Doktor nie pozwolił was ruszać. Nawet do schronów nie znosimy was podczas nalotów.

- Do schronów?

- Tak. Pod całą szkołą są schrony.

- Natasza!

- Już idę, Anno Iwanowna.

- Kiedy siostra... znów przyjdzie...?

- Jak tylko będę mogła. Ale najpóźniej w czasie obiadu.

Muszę was nakarmić, kapitanie.

A więc miał teraz na co czekać. Odzyskana świadomość była teraz przede wszystkim czekaniem na dostępne mu

objawy życia. Natasza - Natasza Andriejewna Skobcewa, jak się po odzyskaniu sił dowiedział - pojawiała się na sali kilka razy dziennie. Całkiem rano, żeby zmierzyć chorym gorączkę, potem - żeby ich umyć i nakarmić, i żeby zmienić opatrunki przed lekarskim obchodem. Kiedy na salę wkra-
czał Gienadyj Jakowlew, główny ordynator szpitala, żartu-
jący z chorymi nawet wtedy, gdy w oczach nie mógł ukryć
bezzradności, Natasza kroczyła za .nim wśród innych sióstr
i wysłuchiwała z uwagą poleceń, dotyczących jej chorych. Po
obchodzie przynosiła lekarstwa, rozdzielala je na cały dzień,
podawała baseny ciężko chorym, innym pomagała wstawać
i wychodzić do ubikacji. Wołodia dowiedział się, że przez
cały czas, kiedy nie odzyskiwał przytomności, spała przy nim
na sienniku rzuconym przy łóżku. Powiedział mu o tym
rosyjski lotnik, leżący najbliżej.

- Walczyła o ciebie.

- Co to znaczy... walczyła?

Połowa nie obandażowanej twarzy Rosjanina skierowała
się ku Wołodi.

- Bo niewiele ci brakowało, żebyś... Rozumiesz?

- Rozumiem.

- Skąd tak dobrze mówisz po rosyjsku?

- Urodziłem się i wychowałem w Kijowie.

- I wróciłeś do kraju?

- Wróciłem do kraju.

- I znowu niedługo tam wrócisz.

- Tak myślisz? - Wołodia uśmiechnął się do siebie

i spytał po chwili: - Jak masz na imię?

- Andriej. Andriej Pawłowicz Lichonow.

- Włodzimierz Jazowiecki, kapitan artylerii morskiej.

- Ja także kapitan - powiedział Rosjanin z dumą.

Wołodia odwrócił z wysiłkiem głowę, żeby mu się przyjrzeć.

Nie obandażowana część twarzy Rosjanina świadczyła, że
nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat.

- Kapitan? - spytał Wołodia z podziwem.

- Kapitan lotnictwa. Wyszliśmy na pomoc konwojowi.

Dwa ataki junkersów odparliśmy, w trzecim mnie zestrzelili.

Ale wyłowił mnie z morza jakiś angielski okręt.

- Ja byłem na Garlandzie.

- To wiem. Kiedy wasz okręt wszedł do portu, kiedy
zaczęli was tu znosić... - Andriej Pawłowicz Lichonow
zamilkł.

- Czy wiesz... - spytał Wołodia, pokonując ściśnięcie
gardła-czy wiesz... ilu było zabitych...?

- Wiem. Ale nie powinienś pytać. Jeszcze nie teraz.

- Chcę wiedzieć.

- Dwudziestu sześciu.

- Już ich pochowano?

- Tak. Przedwczoraj.

- ZGarlanda?

- Nie. Garlandjest na stoczni. Pochowano ich z pokładu
angielskiego trałowca Niger.

- Niedaleko, stąd?

- Sądzę, że niedaleko.

4@@

Kto? - myślał Wołodia. - Który z nich? Nie miał czasu
zżyć się z załogą Garlanda, tak jak zżył się z załogą

Błyskawicy, ale dziesięć dni na okręcie w czasie wojny to więcej niż pół roku podczas pokoju i każda twarz wydaje się znajoma i bliska, ponieważ widziało się ją w chwilach, których się nie zapomina. Wiedział, że największe straty poniosła artyleria, usłyszał, że podczas wybuchu zamilkły działa i że tylko jedno z nich zaczęło strzelać, gdy skrzyknięto obsługę zastępczą. Bał się pytać - może jednak niepotrzebnie postawił to pierwsze pytanie i wymusił na nie odpowiedź?

- Miałeś kupę szczęścia - powiedział Andriej Lichonow z wyraźną intencją zmiany tematu. - Kupę szczęścia! Przede wszystkim z tą papierośnicą.

- Z jaką papierośnicą?

• - Z twoją. Leży na stoliku. Musiałeś mieć ją w kieszeni na piersi. Ma dziurę wygniecioną w środku, ale zatrzymała odłamek. Gdyby nie ona...

Wołodia starał się odwrócić głowę i spojrzeć chociaż na papierośnicę, którą mu ofiarowali koledzy z Rybitwy, a Grześ dwukrotnie mu ją zwracał, gdy przeznaczał ją na wymianę na Helu i w Szwecji. Uratowała mu życie, ale nie był tego jeszcze całkiem pewny, skoro nie miał nawet siły, żeby na nią spojrzeć.

Rosjanin ciągnął dalej:

- To po pierwsze. W tym miałeś najwięcej szczęścia.

A po drugie, że dostałeś się w ręce naszej nauczycielki.

- Kogo?

- Ona jest nauczycielką. Natasza Andriejewna Skobcewa. Jest nauczycielką w miejscowej szkole. Ale teraz potrzebniejsze są sanitariuszki. Podczas nalotów czyta nam wiersze.

- Co robi?

- Czyta wiersze. Puszkina, Achmatowej, Jesienina.

Ciężko rannych nie znoszą do schronu, więc zostaje z nami i czyta nam wiersze. Pięknie czyta. W szkole prowadziła teatr. Gdyby nie wojna, pojechałaby z występami do Archangielska i jeszcze dalej.

- Wiele wiecie o siostrze Nataszy, ;Andrieju Pawłowiczu

- powiedział Wołodia.

Rosjanin chrząknął, milczał przez chwilę.

; - No, jak się -tak wciąż na nią patrzy... - odrzekł wreszcie.

- Rozumiem - powiedział Wołodia. - Rozumiem.

Jak pięknie siostra Natasza czyta wiersze, miał okazję przekonać się tego samego dnia. Nad miastem i portem trwał nalot. Długi i nękający. Siostry przy pomocy sanitariuszy zadzwigały do schronów wszystkich, którym ruch nie mógł zaszkodzić. Natasza wróciła na salę zdyszana i zarumieniona od wysiłku. Poprawiła przekrzywiony kołnierzyk fartucha, potargane włosy. Wzięła leżącą na okiennym parapecie książkę.

- Dziś przeczytam wam wiersze Jesienina - powiedziała.

Samoloty lotem nurkującym schodziły nad miasto. Wyły silniki, z hukiem padały bomby, w oknach zapłonęła łuna bliskiego pożaru. Leżeli nieruchomi - i unieruchomieni - polscy i angielscy marynarze, rosyjscy lotnicy. Większość nie rozumiała słów, wypowiedzianych przez dziewczynę.

Słuchała jej głosu. Natasza Andriejewna Skobcewa czytała:

Żyjesz jeszcze biedna stara matko?

I ja żyję, pozdrowienia ślę.

Niechaj sący się nad twoją chatką ;

to wieczorne światło w sienie mgły.

Mnie pisano, że ukrywasz trwogę,

tęsknisz za mną, że cię trapi żal.

Że wychodzisz często znów na drogę

w swej salopie śmiesznej patrzeć w dal...*

* Wiersz w tłumaczeniu Kazimierza Andrzeja Jaworskiego.

XXI

Na ścieżce leżały już liście - żółte dębów, rude klonów,
czerwone jarzębin i buków. Starali się stapać po nich tak,
żeby jak najmniej szeleściły - ścieżka przez las była
bezpieczniejsza niż droga, ale i tutaj mogli natknąć się na
Niemców.

- Wracajmy - prosił Seweryn. - Nie znajdziesz tej
leśniczówki.

Krzysztof przyśpieszył kroku.

- Znajdę. I tę dziewczynę też.

- Zastanów się, człowieku. Przecież to już przeszło trzy
lata! Myślisz, że tam jeszcze jest? Leśniczy na pewno się
zmienił.

- Jeśli był Polakiem.

- A jeśli Niemcem, nie siedzi chyba dotąd w jakiejś
leśniczówce pod Koleczkowem. A jego służąca może jest
sekretarką u landrata w Wejherowie. Daj sobie z tym spokój.

- Muszę ją znaleźć!

- A poznasz ją?

- Przez tyle nocy widziałem przed sobą jej twarz, że
poznałbym ją nawet w tłumie. Kiedy szedłem za nią przez
las, a ona biegła, by donieść Niemcom, że w leśniczówce
odpoczywa pułkownik Dąbek, postanowiłem to sobie. Po-
stanowiłem, że tu wrócę i odnajdę ją. Więc skoro jestem tak
blisko...

- Może na to jeszcze zbyt wcześnie - powiedział
Seweryn.

- A czy nie po to zdecydowaliśmy się zostać! Przecież to
ty powiedziałaś Bigusowi i Kujawskiemu, że rezygnujemy
z przerwania do Szwecji.

- Uważałem, i ty się ze mną zgodziłaś, że przerwaniu
powinni być najpierw angielscy lotnicy. A my... Na piechotę
jeszcze czas, alianci nie śpieszą się z utworzeniem drugiego
frontu.

- Czy musimy znów do tego wracać?

- Nie, nie musimy. Ale skoro zdecydowaliśmy się zostać
i walczyć w taki sposób, jaki jest tutaj możliwy, każdemu
krokowi musi towarzyszyć rozważa. Tyle strat mamy na
Pomorzu właśnie dlatego, że ludzie działają samowolnie,
czasem nawet w pojedynkę.

- Ja, żeby załatwić tę moją sprawę, nie potrzebuję
kompanii - powiedział Krzysztof porywczo.

- Całe nieszczęście, że i inni tak myślą.

- Ale jednak odbijamy więźniów z posterunków żandar-
merii, rozkręcamy szyny, rozbijamy na drogach żandar-
mów i osiedleńców, wykonujemy wyroki...

- Ale przy jakich stratach? Przy jakich stratach włas-

nych?

- Sądziś, że byłyby mniejsze, gdyby "Gryf był lepiej zorganizowany?

- Węższe byłyby szczeliny, przez które wciskają się denuncjatorzy i konfidenci. Opowiadałem ci, przez kogo dostałem się do Stutthofu.

- I tego człowieka osiągniemy także.

- Wątpię - powiedział Seweryn krótko.

Umilkli na długą chwilę, ścieżka zbliżała się do jakichś zabudowań - ale nie była to leśniczówka, której szukał Krzysztof.

- To jednak musi być gdzieś tutaj - powtarzał gorąckowo. - To musi być gdzieś tutaj.

Odeszli znów w głąb lasu i Seweryn wrócił do poprzedniego tematu.

- To, co się tutaj dzieje, jest żywiołem. Spontanicznym odwetem za okrucieństwa Niemców i równie spontanicznym pragnieniem wymazania zrad, które były tu zbyt częste, żeby, nie okupione, mogły być kiedyś zapomniane. W Wejherowie witano Niemców chlebem i solą, hitlerowskie władze nie zapomniały o tym, dziś najlepszy chleb jest w Wejherowie, z Gdyni kobiety przedzierają się lasami, żeby na granicy powiatu kupować go u ludności. Ale równocześnie setki osób wywieziono z Wejherowa do Piaśnicy, a teraz we wszystkich okolicznych wsiach, w ziemiankach i stodołach ukrywają się uzbrojeni ludzie. Ale to jest żywioł. Tragiczny żywioł - dodał Seweryn po chwili.

- Nie taki znów żywioł - odezwał się Krzysztof - skoro góra ma zupełnie określone orientacje.

- Tym bym się najmniej przejmował - niespodziewanie odrzekł Seweryn. - Zawsze na szczytach były jakieś kalkulacje, a na dole tylko walka. Naszą rzeczą jest walczyć i jesteśmy z każdym, kto pragnie tego samego. Później nasze drogi mogą się rozejść, ale na razie są wspólne.

- Nie powinniśmy już teraz o tym myśleć.

- A jednak musimy.

Umilkli znów na długo. Liście szeleściły cicho pod ich nogami, gdzieś w głębi lasu dzieciół opukiwał pracowicie korę drzewa, w gąszczu leszczyny migały rude kity wiewiórek, gromadzących na zimę zapasy orzechów. Sądząc, po wrzosach, po ich kwitnieniu prawie na całej długości łądyg, zima zapowiadała się długa i ostra, a ludzie nie mogli się przed nią zabezpieczyć tak, jak wiewiórki. Po barakach w Stutthofie kryjówki u gospodarzy, należących do "Gryfa", wydawały się im prawie letniskowe, ale wiedzieli, że zima odbierze im cały urok. Myśleli o tym samym, ale nie mówili ze sobą na ten temat. Trzeba było zdobyć ciepłą odzież, lepiej się odżywiać i znaleźć lepszą kwaterę. Z radia, zdobytego w urzędzie gminnym w Smażynie wraz z maszyną do pisania i kartkami żywnościowymi, wiedzieli o okrażeniu Niemców pod Stalingradem. Stamtąd mogła ruszyć ofensywa rosyjska, zmieniająca losy wojny. Ale nie była to nadzieja zbyt bliska. I nie mogła się cofnąć przed nią zima, do której przygotowywały się już zwierzęta.

Ścieżkę przecinała droga. Zbliżyli się do niej ostrożnie i tylko Krzysztof wyszedł na jej brzeg, żeby zorientować się, dokąd prowadzi. Rozpoznał zakręt, który mijali

z pułkownikiem, decydując się na wstąpienie do leśniczówki, a za nim zarośla, gdzie zostawił motocykl leśniczego, gdy przecucie kazało mu postępować za dziewczyną, biegnącą w pośpiechu przez las.

- To tutaj - powiedział do Seweryna. - Zaczekaj tu na mnie.

- Jeszcze się zastanów.

- Zastanowiłem się dobrze. Zboczyliśmy z drogi tylko po to, żebym mógł tu przyjść, więc zastanowiłem się dobrze.

- Ale radzę ci zastanowić się jeszcze raz.

- Poczekaj tu na mnie! - powtórzył Krzysztof. Wiedział, że Seweryn ma na myśli nie tylko niebezpieczeństwo. Pobyt w Stutthofie zmienił ich bardzo, ale może sądzili, że zdołają się jeszcze powstrzymać... Przed czym, u Boga Ojca, mieli się jeszcze powstrzymywać? Ileż to razy zaciskały im się szczęki w bezsilnym pragnieniu zemsty, ile razy byli świadkami śmierci okrutnej i splugawionej, odartej z wszelkiej godności, jaką zawsze przydawała jej ludzkość. Jak umierał dziadek Bronk? Na stojąco. We własnym kale. Spotwarzony i zelżony, ponieważ właśnie tak umierał...

Rozchylił rękoma zarośla, przez które miał nadzieję najszybciej dotrzeć do leśniczówki. Pamięć go nie zawiodła, Po kilkunastu minutach usłyszał gdakanie kur na podwórzu i zobaczył przeświecające przez gałęzie drzew czerwone ściany budynków. Zaczął się zbliżać ostrożnie, żeby nie obudzić czujności psa, który niechybnie musiał być w obejściu. Omijając zeschnięte gałęzie, leżące na ziemi, nie zebrane jeszcze na opał, zbliżył się do ogrodzenia. Od dawna tłumił w sobie reakcje na wszelkie emocje, tej jednak stłumić się nie dało: przez chwilę miał uczucie, że czas powrócił w dawne swoje miejsce, z listopada czterdziestego drugiego cofnął się we wrzesień trzydziestego dziewiątego roku - na podwórzu leśniczówki krzątała się ta sama postać kobieca w czerwonej spódnicy i jasnej chustce, zawiązanej na głowie. Przymknął na chwilę oczy, ale kiedy je otworzył, kobieta zmieniła tylko pozycję, odstawiła puste wiadro i skierowała się ku kurnikowi, skąd dochodziło donośne gdakanie. Teraz dopiero spostrzegł, że spódnica jest inna, ciemniejsza i nie w kwiaty, ale w zielono-granatową kratę. Czekał, że w drodze do kurnika kobieta choć na moment odwróci głowę, a kiedy się to stało, kiedy z niewiadomej przyczyny spojrzała ku niemu, ukrytemu za pniem drzewa, i patrzyła przez długą, przez bardzo długą chwilę, odbezpieczył broń i czekał z palcem w gładkim zagłębieniu spustu. Nie mylił się. Rozpoznałby ją na końcu świata. Weszła do kurnika, a on czekał, aż stamtąd wyjdzie.

Czas dłużył się. Co ona tam robi? - pomyślał. Zerknął ku drzwiom domu - były uchylone. Czy w głębi mieszkania są jacyś domownicy? Może mąż kobiety, która przedtem była tu służącą? Teraz on zapewne zajął miejsce polskiego leśniczego i, jeśli dobrze pełnił swoją funkcję, o tej przedpołudniowej godzinie nie powinno go być w domu. Co ona tam robi? - pomyślał znowu ze wzrastającym zniecierpliwieniem. Już by wolał mieć to za sobą, miał nadzieję, że Seweryn o nic go nie zapyta. Nie mógł sobie wyobrazić, jakich czynności można dokonywać w kurniku w ciągu tak długiego czasu. A może nie był on aż tak długi i tylko jemu się

takim wydawał? Poczuł na dłoniach wilgoć potu, przede wszystkim na prawej, w której trzymał broń, palec ślizgał mu się na zimnym i mokrym spuszcie - pomyślał, że musi go wytrzeć, kiedy na progu kurnika ukazała się kobieta.

W fartuchu niosła wybrane z gniazd jaja, zatrzymała się, wzięła w dwa palce jedno z nich i uniosła w górę.

- Heini! - zawołała. - Chodź prędko! Zobacz, co mamusia ma dla ciebie!

Drzwi od domu uchyliły się szerzej i ukazał się w nich najwyżej dwuletni chłopczyk w niebieskim sweterku. Klasnął w dłonie. Roześmiał się głośno.

- Daj! - krzyknął.

- Chodź tu do mamusi! Chodź zaraz!

Dziecko zaczęło ostrożnie schodzić ze schodów, a kobieta patrzyła na to z rozjaśniającą jej twarz radością.

--Chodź tu! - powtórzyła. - Chodź tu do mamusi!

Krzysztof podniósł broń. Małe stopy dziecka stanęły już na ścieżce i posuwały się nią, deptając żdźbła słomy, liście i pióra, pogubione przez drób. Spust broni pod spoconym palcem wciąż wydawał się śliski i zimny, i Krzysztof znowu pomyślał, że musi go wytrzeć, że...

- Prędziutko! - zaszczebiotała kobieta. - Biegnij prędziutko! Mamusia wybrała dla ciebie najładniejsze jajko! Powinien to zrobić teraz, zanim dziecko dobiegnie do matki, zanim dotknie rączkami jej wyciągniętej dłoni. Potem będzie za późno, dobrze o tym wiedział. Ale jednak palec na spuszcie spoczywał wciąż nieruchomo, a pot, który pokrywał żelazo, stawał się coraz bardziej zimny.

Chłopczyk przystanął na ścieżce i patrzył przez chwilę na matkę rozpromienionym wzrokiem. Najwidoczniej dopiero niedawno nauczył się chodzić i bardzo go to cieszyło.

- Heini! - zawołała matka.

Kiedy tak stała na tle ścian kurnika, w ostrym świetle południa, była celem doskonałym. Jej jasna chustka na głowie, kolorowa bluzka i spódnica były wyraźnymi plamami i nie trzeba było wpatrywać się w nią zbyt długo, żeby...

- ale Krzysztof schował broń. Czuł mdłą, gorzką czczość żołądka, jakby nie jadł nic od rana, przed oczyma zrobiło mu się ciemno. Schował broń, ociężale ruszył się z miejsca i bez pośpiechu odszedł w głąb lasu.

Seweryn czekał na niego, siedząc pod drzewem. Obrzucił krótkim spojrzeniem jego twarz.

- Nie ma jej tam? - zapytał z wyraźną ulgą.

- Nie. - zaprzeczył Krzysztof. - Jest.

- Nie słyszałem, żebyś strzelał.

- Bo nie jest sama.

- Mąż?

- Nie.

- Strażnicy leśni?

- Nie. Ktoś inny.

Seweryn o nic już nie zapytał, ruszyli z powrotem przez las i odezwali się do siebie dopiero wtedy, gdy mijali Rumie i na szosie, którą widzieli dokładnie z pochyłości zalesionego wzgórza, zobaczyli oddział żandarmerii, podążającej do Redy.

- Musimy ominąć miasto - powiedział Seweryn.

Szli z Szemudu, gdzie ukrywali się od dwóch miesięcy, do

Połczyzna pod Puckiem, do Dyszków, z którymi Krzysztof nie widział się od owego dnia, kiedy zabrano go do Stutthofu. Chciał prosić Anulę, żeby zawiadomiła jego rodzinę, że został w kraju. Wciąż wahał się, czy wiadomość tę przekazać Łucce, czy Julitce – mimo bezustannych rozmyślań na ten temat nie potrafił podjąć żadnej decyzji, a i Seweryn nie mógł mu w tym pomóc. Wciąż pamiętał Łuckę z jej panińskich lat, jej zakochane oczy, którymi wodziła za Krzysztofem – wyobrażał sobie, ile rozpaczy było w tym, co zrobiła. W dodatku trzeba jej było zabrać Tomaszka, Krzysztof musiał z całą męską stanowczością odnieść się do tej sprawy. Chłopak miał już szesnaście lat i nie można go było dłużej zostawiać u matki.

Do Połczyzna weszli w zapadającym zmierzchu. Przemykali między opłotkami, przypadali do ziemi, gdy ktoś ukazywał się w obejściu. W czasie tak długiej nieobecności mogły zajść we wsi jakieś zmiany, nie wszyscy przystawali na podpisanie volkslisty i dawne polskie gospodarstwa mogły być już w rękach niemieckich osiedleńców. Szczęśliwie dotarli do domu Dyszków, nie wchodzili jednak, dopóki Krzysztof nie nabrał pewności, że jeszcze wciąż są na swoim. Czekali ukryci za wrotami stodoły, żeby pokazał się ktoś na progu. Trwało to bardzo długo. Drób, nie zapędzony do kurnika, wałęsał się po podwórzu, w oborze odezwała się dopominająca się czegoś krowa. Krzysztof w napięciu wpatrywał się w drzwi i okna domu, ale nikt się w nich nie ukazywał.

Kiedy w obejściu panowała cisza, zza domu, z ciągnącej się wzdłuż niego drogi, dochodziły odgłosy jakiejś wrzawy i kobiecego płaczu, przebijającego się przez głosy innych ludzi. Krzysztofowi płacz wydał się znajomy. Gdy żandarmi go stąd zabierali, Anula biegła za nim, zawodząc takim właśnie wysokim, po dziecinnemu głośnym szlochem. Kogo teraz żegnała? Za kim biegła? Nie wiadomo dlaczego wyobraził sobie powtórzenie tej sytuacji.

- Muszę zobaczyć, co się tam dzieje - szepnął do Seweryna.

Ten uważał, że należy poskromić ciekawość.

- Nie ruszaj się stąd.

- Trzeba sprawdzić, czy w ogóle możemy tu zostać. Bo jeśli zabierają kogoś z Dyszków...

Kilkoma skokami pokonał podwórze i ukrył się w zaroślach ogródka przed domem. To u Schwenków naprzeciwnie coś się działo. Przypomniawszy sobie, że stary Schwenk podpisał volkslistę, a więc nie było to powtórzenie sytuacji, w której już raz uczestniczyli mieszkańcy tej wsi. Bo tłum zebrał się podobny, choć tym razem nie był chyba zgoniony przez żandarmów. Przed progiem stała bryczka, zaprzężona w dwa konie, których Lauhnitz najwidoczniej użył Schwenkowi na tę jakąś szczególną okazję. Schwenk krzątał się teraz przy nich, poprawiał uprzęż, wygładzał grzywy. Wyglądało na to, jakby młodą parę miał wieźć do kościoła. Ale z domu dochodził płacz i nie było to szczęśliwy płacz przed utratą panieństwa.

Krzysztof zbliżył się do samego płotu, stał prawie za plecami ludzi, zgromadzonych na drodze. Rozprawiali o czymś, ale słów nie mógł dosłyszeć. Płacz w głębi domu nie

ustawał; teraz mógł się zorientować, że płakały dwie kobiety - starsza ciszej i jakby z narzuconym jej czymś opanowaniem, i młodsza - nie hamując głosu, rozpaczliwie i rozdzierająco.

Stary Schwenk stał przy koniach z opuszczoną głową.

Kiedy jednak za progiem domu rozległy się spieszne kroki, a przybliżony płacz stał się jeszcze głośniejszy, wsiadł do bryczki i wziął do ręki bat.

W drzwiach ukazał się Teofil Schwenk z walizką w ręku, mimo mroku Krzysztof od razu go poznał, choć skurczony był jakiś i nie ten co dawniej. Towarzyszyły mu kobiety, matka i Anula, zaciskając sobie usta pięściami, żeby przed ludźmi nie krzyczeć. Ale zgorszenia wśród tłumu i tak już nie mogło pohamować.

- Męża ma w Stutthofie - parskały kobiety.

Krzysztof pomyślał po raz drugi, że los dwojga kochanków ze wsi kaszubskiej, nie tak sławnej jak Werona, stawał się tylko polską tragedią, której nie można by powtórzyć w żadnym innym miejscu i w żadnym innym czasie. Teofil wsiadał na bryczkę - powoli i jakoś sztywno, ojciec ułożył przy jego nogach walizkę, a matka objęła chłopaka i już nie licząc się z tym, że pan Laubnitz we dworze to usłyszy, zapłakała na cały głos. Teofil uwolnił się z jej uścisku zbyt pośpiesznie może i szorstko, zdjął czapkę z głowy i patrzył na Anulę, ale kiedy wskoczyła na stopień bryczki, stary Schwenk przejechał batem po jej łydkach, a potem przeniósł go na grzbiet koni. Ruszyły od razu ostro, Anula zachwiała się i upadła w pył drogi. Zerwała się jednak zaraz i z rozdzierającym krzykiem pobiegła za bryczką.

- Męża ma w Stutthofie - powtarzały ze zgrozą, kobiety.

Tłum zaczął się rozchodzić. Po świetle w oknach, które zaraz zasłonił papier, Krzysztof zorientował się, że Dyszkowie także wrócili do domu. Niezbyt odważnie zastukał do ich drzwi, Seweryna na razie pozostawiając w stodole, Powitano go jak zmarłychwstałego.

- Żyjesz?- szeptała Dyszkowa. - Pan żyje? - Łzy zaczęły od razu obsychać na jej twarzy, najwidoczniej towarzyszyła w rozpaczyc córce albo tylko wstyd ją palił za jej zachowanie - teraz jednak na widok niespodziewanego gościa zapomniała o tamtej sprawie i patrzyła na niego z radością, zmieniającą się powoli w niepokój. - Wypuścili pana?

- Nie.

- Marija, Józef! -jęknęła. - Słyszysz? - zwróciła się do męża.

- Słyszę. - Dyszk zbliżył się do stołu, odsunął krzesło, wskazał je Krzysztofowi, ale w tym zwykłym gościnnym geście było tyle trwogi, że Krzysztof nie usiadł.

- Nie bójcie się - powiedział. - Nikt mnie nie widział.

Co się u was dzieje? Jakieś zbiegowisko... I słyszałem płacz...

- Teofila Schwenka do wojska wzięli. Ojciec go odwiózł na stację do Pucka - odpowiedziała Dyszkowa. I naraz uprzytomniła sobie, że oto stoi przed nią człowiek winien wstydowi jej córki. Gdyby nie on... gdyby nie to, że uchodził tu za jej męża... Zatrzęsa się cała. - To przez pana!

- zawołała. - Cała wieś wytyka teraz Anulę palcami.

- Uspokój się, kobieto! - podniósł głos Dyszk. -
A o tym, że Teofil teraz Niemiec, a Anula Polka, to
zapomniałaś. Jest jeszcze i ten powód, żeby palcami ją
wytykać. Jak wróci, to tak ją spiorę... Przepraszam pana
- opanował się. - Niechże pan siada.
- Ja mam prośbę - zaczął Krzysztof, wciąż nie zajmu-
jąc podsuwanego mu krzesła.
- Tylko niech nas pan... niech nas pan znowu nie wciąga
w nieszczęście - zapłakała Dyszkowa.
- Uspokój się, kobieto! - powtórzył Dyszk, tym razem
już groźnie. - Jaką ma pan prośbę?
- Chciałem prosić o zawiadomienie mojej rodziny, że
zostałem w kraju. Bo po ucieczce ze Stutthofu widziałem się
z Julitką i powiedziałem jej, że udaję się do Szwecji,
a stamtąd dalej na zachód, ale wyszło inaczej i zostałem.
Jestem teraz w okolicy Wejherowa.
- W okolicy... - powtórzył Dyszk. Nie wiedział, czy
Grabień nie chce mu podać dokładnego miejsca swego
obecnego pobytu, czy też jest ono rozległe i nieokreślone,
bez jednej nazwy, polne i leśne miejsce pobytu wielu takich
jak on. - Czy to znaczy...?
- Tak - powiedział Krzysztof. - Jest wielu ludzi,
którzy uważają, że nie można siedzieć bezczynnie. I jestem
z nimi.
- Musimy porozmawiać - Dyszk zbliżył się do Krzysz-
tofa, usiłował posadzić go na krześle.
- Nie! - krzyknęła jego żona. - Nie! Nie pozwalam!
Już dosyć nieszczęścia! Co pan jeszcze chce sprowadzić na
nasz dom? Jak Anula wróci... lepiej... lepiej, żeby pana nie
widziała.
Dyszk odsunął żonę gniewnym ruchem ręki. Ale powie-
dział spokojnie i jakby już z żalem czy pragnieniem pociesze-
nia w głosie: ;
- Cicho bądź! To nie dla kobiet takie sprawy.
- Dla kobiet to tylko płacz! Tylko płacz, tak? - Dysz-
kowa nie dawała się uciszyć. - A ja mam dosyć płaczu
w tym domu. Dosyć!
- Teraz nikt się nie śmieje - przerwał jej mąż. -
Schwenk myślał, że się będzie śmiał, i co? Człowiek może się
tylko jednego bać: wstydu. - Dyszk zbliżył się do Krzyszto-
fa. - I w Połczynie są ludzie, z którymi powinien się pan
spotkać. Zaprowadzę pana.
- Idźcie! Idźcie zaraz! - krzyknęła znów Dyszkowa.
- Żeby Anula, kiedy wróci...
Krzysztof zbliżył się do drzwi.
- Ja tylko wstąpiłem na chwilę. Z tą prośbą, żeby
rodzinę zawiadomić, że tu jestem i że sam będę szukał
kontaktu.
- Ale ja... - zaczął znowu Dyszk, speszony zachowa-
niem żony - ja pana tak nie puszczę.
- Nie jestem sam. Zostawiłem kolegę w stodole.
- W naszej stodole? - krzyknęła Dyszkowa.
- Tak. Ale zaraz stąd pójdziemy. Chcielibyśmy jeszcze
wstąpić do Pawliszkowej. Dowiedzieć się o Brunę, bo był
z nami.
- Bruna nie żyje - powiedziała Dyszkowa.
- Nie żyje?

- Tak. Przysłali pismo ze Stutthofu. O tobie... o panu też przysłali...

- No - Krzysztof odetchnął. - Sami widzicie, jaka to prawda. Myślę, że go tu jeszcze zobaczycie w Połczynie.

- Matka się ucieszy - złagodniała Dyszkowa. - Już go opłakała. Niech pan zaraz do niej idzie.

- Tak - powiedział Krzysztof. - Do widzenia! A Anuli... - zatrzymał się w progu. - Anuli proszę powiedzieć, że mi bardzo przykro. Gdybym był wiedział, że wojna będzie trwała tak długo, nigdy bym jej nie naraził na taką sytuację. - Niech się pan tym nie trapi - Dyszk wciąż usiłował zatrzeć wrażenie, jakie musiało wywołać zachowanie jego żony. - Sytuacja Anuli nie byłaby wcale lepsza. Bo ja bym nie zrobił tego, co zrobił stary Schwenk. Widział pan, na co mu przyszło? Syna do niemieckiego wojska odwiózł. Ja mam też syna. Jeszcze nieletni. Ale kto wie, jak długo potrwa ta przekłeta wojna...

- Na pewno nie skończy się prędko - odpowiedział Krzysztof z ciężkim sercem. Skoczył w mrok, panujący na podwórzu, i znając tu rozkład wszystkich budynków, pobiegł ku stodole. Nie wiedział, co powie Sewerynowi. Wszystko było bardziej, boleśniej skomplikowane, niż sądził.

- Idziemy do matki Bruna - powiedział Sewerynowi.

- Dostała zawiadomienie ze Stutthofu o jego śmierci i myśli, że naprawdę nie żyje. Widocznie nie poszedł do domu, jak nam powiedział przy rozstaniu.

Do Pawliszkowej długo nie mogli się dopukać. Nie chcieli

•sprawiać zbyt wielkiego hałasu, ale jednak w końcu Krzysztof musiał wałnąć pięścią w odporne drzwi. Dom wydawał się wymarły, teraz jednak odezwały się w nim powolne kroki.

Nie zapytano ze środka, kto puka, jak to i bez wojny było tu w zwyczaju, drzwi otworzyły się od razu, kobieta, która w nich stanęła, patrzyła na przybyłych bez lęku.

Krzysztof, gdyby zobaczył ją w innym miejscu, a nie na progu jej domu, na pewno by jej nie poznał. Dziwnie zmaląła i wyschła, ubranie wisiało na niej luźno, nawet chustka na głowie wydawała się za duża. Ciepło zrobiło mu się koło serca na myśl, że pocieszy zaraz tę kobietę/wyniszczoną nieszczęściem jak ciężką chorobą, i od razu odezwał się prawie wesoło:

1: ^ ,

:- Nie boicie się otwierać drzwi bez pytania?

- Niczego się już nie boję - odpowiedziała. I powtórzyła dziwnie wysokim głosem: - Niczego!

- Poznajecie mnie? - spytał Krzysztof speszony. Noc była jasna, stali wciąż jeszcze w drzwiach i kobieta widziała ich wyraźnie:

- Nie-powiedziała.

- Jestem Krzysztof, przyjaciel Bruny. Razem pracowaliśmy w stajni u Laubnitza i razem zabrano nas do Stutthofu. Przyszedłem wam powiedzieć, że Bruna żyje... bo podobno przyszła kartka ze Stutthofu...

Pawliszkowa cofnęła się w głąb domu.

- Wejdźcie.

Długo stali w ciemności, zanim zasłoniła okna i zapaliła małą naftową lampkę. Krzysztof był pewien, że twarz jej rozjaśni otrzymana przed chwilą wiadomość. Zdumiało go,

że nie znikł z niej wyraz tępej, zastygłej na niej martwoty.

- Bruna żyje! - powtórzył Krzysztof. - Udało nam się razem uciec z podobożu w Oliwie, a potem on zdecydował się wrócić do domu w nadziei, że go tu ukryjecie.

- Ukryłam - powiedziała kobieta.

- Jest tutaj? - odezwał się milczący dotąd Seweryn. Nie zwykł był ujawniać swoich uczuć, ale lubił małego Pawliszka.

- Jest.

- Ucieszy się, że przyszedłszy po niego - wyrwało się Krzysztofowi. W domu Pawliszkowej panował zaduch nie-
znośny, spleśniały i zatęchły, jak we wszystkich nie wietrzonych wnętrzach. Pomyślał przede wszystkim o tym, że wyrwie stąd chłopaka, że go stąd zabierze. Niepotrzebnie tylko wyjawiał to od razu matce. Ale i teraz nie zmienił się wyraz jej twarzy.

- Przyszliście po niego - powtórzyła.

- Tak - zmieszał się Krzysztof. - Oczywiście, jeśli zechce... Porozmawiamy z nim...

- Nie porozmawiacie.

- Dlaczego? - wmieszał się Seweryn. - Skoro tu przyszliście... Po to tu przyszliście...

- Nie porozmawiacie!

Krzysztofowi stanęła przed oczyma zaczerwieniona od gniewu twarz Dyszkowej - kobiety zaciekle broniły tu swoich mężczyzn.

- Chcemy z nim tylko porozmawiać - zwrócił się" łagodnie do Pawliszkowej. - Tylko porozmawiać. Sam zrobi, co zechce. Powiedzcie, gdzie jest?

Otworzyła drzwi do pokoju.

- Tam.

- Gdzie? Każcie mu wyjść.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Tego mu nie mogę kazać.

Krzysztof rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu, posuwając się w głąb pokoju, potknął się na nierównej podłodze.

- W szafie go chyba przez tyle miesięcy nie trzymacie?

- Nie.

- A za szafą? - Krzysztof odsunął mebel, ściana poza nim była nie naruszona i gładka.

- Bruna! - krzyknął Seweryn. - Odezwij się!

- Nie odezwie się -- powiedziała kobieta.

- Ale jest tutaj? - zniecierpliwił się Krzysztof.

- Jest.

- Gdzie? Nie możecie się tak zachowywać! - Krzysztof krzyknął wreszcie na kobietę. - Jak długo macie zamiar trzymać tak syna? W tym zaduchu, w tym...

- Jemu to nie przeszkadza - powiedziała, nie podnosząc głosu. - Jemu nie.

- Gdzie jest? - powtórzył Krzysztof, tym razem już groźnie. Znowu potknął się na nierówności podłogi, schylił się, przyjrzał się źle ułożonym deskom. - Może tutaj?

- Tutaj - potwierdziła bezbarwnie kobieta.

- W piwnicy?

- To nie jest piwnica.

- Wszystko jedno, jak to nazywacie. Do końca życia nie

nauczę się tych waszych pomorskich nazw. Jak się to otwiera?

- Tego się nie otwiera.

- Nie?

- Nie.

- Wejście jest z zewnątrz?

- Nie.

- Musi być przecież jakieś wejście.

- Nie musi - odpowiedziała kobieta. - Po co?

- Po co? - krzyknął, w końcu także Wyprowadzony z równowagi, Seweryn. Pochylił się nad podłogą i razem z Krzysztofem usiłowali rozsunąć deski.

Ukazała się pod nimi ziemia, ubita pośpiesznie czyimiś stopami, nawet ślady gumowych podeszew zachowały się w miejscach, których - na nierównościach - nie przygniotały deski. To stąd, z tego miejsca, wydobywał się ten mdły, zatęchły zaduch, spotęgowany teraz oderwaniem podłogi.

- Co to znaczy? - szepnął Krzysztof. - Gdzie on jest?

Gdzie jest Bruna?

Kobieta stała nad wyrwą w podłodze, dopiero teraz jej twarz zaczęła drżeć i ożywać, w oczach pojawiły się łzy i cienkimi strużkami spływały wzdłuż pomarszczonych policzków.

- Tam.

- Nie żyje? - spytał cicho Seweryn.

- Nie żyje.

- Co się stało? Dlaczego tu leży? Kto go zabił?

- Sam umarł - zapłakała.

Czekali w milczeniu, aż się uspokoi, aż będzie mogła mówić i wyjaśnić im, co się stało. Niewiele trzeba było słów, żeby to zrozumieli. Bruna wrócił do matki, kiedy się rozstali.

Ukryła go, dobrze go ukryła, wdowiego domu nikt nie odwiedzał i mógłby tu spokojnie siedzieć, gdyby był zdrow, gdyby nie miał za sobą obozu i głodu, i pracy ponad siły.

Jakaś choroba się przyplątała, lekarza nie można było sprowadzić, tu nawet za Polski nikt lekarza do wsi nie sprowadzał, ładowało się chorego na wóz i wiozło do Pucka, ale Bruny nie można było zawieźć do Pucka, już by na to pieniądze spod ziemi wydrapała, ale taki, co się ukrywa, i chorować musi w ukryciu. Wojna wciąż trwała, więc leczyła go sama, smarowała sadłem i spirytusem, dawała mu mleko z miodem i w ogóle wszystko najlepsze, co mogła zdobyć do jedzenia, żeby się odżywił, żeby się poprawił, żeby mu ta choroba przeszła, ale ona wciąż nie przechodziła, tylko

14 - Tak trzymać t. III

stawała się coraz gorsza i coraz bardziej zajadła. Kiedy umarł, nawet mu pogrzebu nie mogła wyprawić, ani pochować w poświęconej ziemi - sama mu grób wykopała pod podłogą, a kiedy był dosyć głęboki, może jeszcze nie taki, jak trzeba, ale musiała się śpieszyć, było lato i upał akurat, jak rzadko kiedy, musiała się śpieszyć, żeby Brunonka jak najprędzej pochować, więc kiedy grób był już dosyć głęboki, skropiła go święconą wodą, co ją miała w kropielniczce, i złożyła tam ciało, ziemię na nim mocno ubiła, deski z powrotem ułożyła...

- I tak leży - powiedziała.

Milczeli obydwaj, więc dodała jakby z jaśniejszą nutą

w głosie:

- Tak tu leży przy matce.

Kiedy wychodzili, nie znajdując słów, które by trzeba albo można było powiedzieć, zatrzymała ich w progu.

- A ten dąb musieli jednak wyciąć! - powiedziała.

- Sam gemeindekommissar stał przy nim, jak go piłowali.

On także już nie ten sam co przedtem.

Kto z nas jest taki sam? myślał Krzysztof, kiedy znów przemykali opłotkami, żeby jak najprędzej opuścić wieś.

Takie właśnie były wojny, zwycięzcy w końcu niewiele różnili się od zwyciężonych, tylko że ich obciążała cała wina. Wina nie tylko za śmierć ludzi, ale także i za śmierć tego, co ludzkie w tych, co pozostali.

- Czy wiesz, kto był z tą kobietą, której nie zastrzeliłem rano? - spytał Seweryna, gdy drżąc z zimna, ciasno do siebie przytuleni, ułożyli się w jakimś stogu siana.

- Powiedziałeś, że jacyś ludzie.

- Nie. Dziecko.

- Dziecko? Jej dziecko?

- Tak. Wydaje mi się, że teraz...

- Cicho - powiedział Seweryn. - Nie chcę tego słuchać.

Ale o świcie, kiedy zbudził ich zbliżający się warkot motocykla, który musiał przejechać drogą obok ich kryjówek, nie powstrzymał Krzysztofa, odbezpieczającego broń. Jechało dwóch żandarmów. Jeden na motorze, drugi w przyczepie. Ten drugi spał i nie zdążył się chyba obudzić, kiedy padł strzał, po nim drugi - motocykl jechał jeszcze przez chwilę, a potem zboczył z szosy do rowu, żandarm spadł z siodełka, potoczył się w pożółkłe trawy, nie drgnął. Nie poruszał się także ten w przyczepie. Krzysztof wyskoczył zza stogu, biegł w dół ku szosie. Wrócił po chwili, obwieszony bronią.

- Przyda się - powiedział.

- Tak - potwierdził Seweryn. - Przyda się.

XXII

Pracowały teraz we trzy - Sewerynowa, pani Helena i Marynka - w pralni, mieszczącej się w ponurych zabudowaniach Kriegsmarine-Arsenal pod samym lasem na Grabówku. Chodziły do pracy razem, bo Sewerynowa, która im wyrobiła tę "posadę", z różnych względów lepszą niż inne, wyjednała u majstra Arensa, gdyńskiego volksdeutscha, jedną dla nich zmianę. I nie nocną, ale tę najlepszą, zaczynającą się o szóstej rano, a kończącą o drugiej. Można więc było zrobić coś za dnia, przede wszystkim postarać się o żywność, wciąż najważniejszą wśród skromnych sprawunków.

Sewerynowa była teraz w ogóle dla nich opatrzością.

Owego ranka, kiedy pani Helena zdecydowała się opuścić swój dom, przyjęła je bez słowa. Razem z Julitką przygotowała im posłanie z sienników, które skądś przyniosła i do których także postarała się o słomę. Stary dom Augustyna Konki, jak za dawnych lat, zaczął rozbrzmiewać gwarem wielu głosów - ale nie były to głosy wesołe. Wojna przeciągała się ponad wytrzymałość ludzką, kończyły się wszelkie zasoby, podjęcie pracy było koniecznością nie tylko ze względu na zaświadczanie i kartki żywnościowe; Sewery-

nowa, wciągając je do pracy w pralni Kriegsmarine, zapewniała, że to praca lepsza niż inne i mrużyła przy tym oko, choć ani pani Helena, ani Marynka nie wiedziały jeszcze ; wtedy, co to znaczy. Zrozumiały, ujrzawszy na posłanych dla nich siennikach prześcieradła w granatową kratkę z pieczątką przedstawiającą hitlerowskiego ptaszka. Prześcieradła, poszwy i poszewki, marynarska bielizna i dreluchy, wynoszone przez kobiety z pralni, były wysoko cenione w okolicznych wsiach. Stanowiły najlepszy towar wymienny przy zaopatrywaniu się w mąkę, mięso i tłuszcze. Polacy, rozgrzeszeni okupacyjną przemocą i grabieżą, nauczyli się ratować i w ten sposób, choć groził im za to Stutthof albo natychmiastowe rozstrzelanie.

Pani Helena nie od razu wciągnęła się w ten proceder. Miała jeszcze resztki dolarów od męża, a poza tym uważała, że kradzież to kradzież, zawsze człowieka plami, a wszelkie rozgrzeszenia własne mogą wejść w nawyk i rozciągnąć się na inne okoliczności i na inny czas. Chodziło jej przede wszystkim o Wisię, wciąż myślała, że nie mogłaby jej spojrzeć w oczy, wracając do domu z kradzionymi rzeczami- ale to właśnie Wisia, jej choroba, a potem przedłużająca się, grożąca powikłaniami rekonwalescencja skłoniły ją do rezygnacji ze swoich zasad. Jakoś na początku zimy Wisia, nie dość dobrze ubrana, bo wszystkie zimowe rzeczy zostały sprzedane przed niedoszyłym wyjazdem do Francji, przeziębila się i dostała zapalenia płuc. Dla Polaków wszelkie choroby były katastrofą. Już naprawdę za ostatnie dolary pani Helena sprowadziła lekarza z Sopot, kupiła przepisane lekarstwo. Lekarz zalecił dobre odżywianie i nie krył obaw co do następstw zapalenia. Wisia miała już prawie siedemnaście lat, właśnie w tym wieku - mówił lekarz - zdarzają się najczęściej wypadki gruźlicy w konsekwencji zapalenia płuc. Prawie z zażenowaniem rozejrzał się po ubogiej izbie, w której leżała chora. "Trzeba zrobić wszystko - powiedział - żeby do tego nie dopuścić". "Rozumiem" - powiedziała pani Helena. Patrzyła lekarzowi z rozpaczą w oczy. Najprawdopodobniej był gdańszczaninem, który - nie przyciśnięty do muru - uważał się tyleż za Polaka, co Niemca. Przed wejściem do domu Augustyna Konki rozglądał się trwożnie. Na tle wysokich kamienic stary dom, nie remontowany od lat, miał jakby wypisane na frontonie, że mieszkają w nim Polacy. Wewnątrz jednak lekarz o ustalonej przynależności państwowej, ale nie sprecyzowanej - przed samym sobą - narodowości, pozwolił sobie na życzliwość. Nie aż taką, żeby nie przyjąć honorarium, ale jednak wyrażoną prawdziwą troską o zdrowie pacjentki. "Jajka - mówił - dużo jajek, masła, śmietany, mięsa, sama pani wie". "Wiem" - powiedziała pani Helena. Teraz czuła się rozgrzeszona. Wisia wstała po chorobie bladziutka, słała się na nogach, nawet lekarz arbeitsamtu dał jej zwolnienie z pracy na dwa tygodnie. Pani Helena wynosiła z pralni prześcieradła i poszwy, owijając się nimi pod suknią, jak czyniły inne kobiety, żeby nie zwrócić uwagi strażnika w przejściu, albo pakując je razem ze swoją bielizną w poniedziałki, kiedy to wolno prać własne rzeczy przy użyciu wojskowego mydła i urządzeń pralniczych. Wynosiła pościel także i Marynka. Nauczyła ją tego

Sewerynowa, która - pozbawiona mężowskiej opieki - objawiać zaczęła niezwykłą energię i zaradność. W niewiadomy sposób nawiązała jakieś konszachty z niemieckim kucharzem w wojskowej kuchni i przynosiła od niego co dnia w potężnej kance zawieszoną, gęstą zupę, w której często pływały kawałki tłustego mięsa. Jadły tę zupę, rozlaną do szklanych słoików, pośród stert brudnej bielizny, zwiezionej tu z okrętów, w woni mydła, proszków do prania i zalatującego z odwszalni karbolu. Czasem Sewerynowa przynosiła z dołu, od Polaków zatrudnionych w ślusarniach, ćwiartkę wódki. Zapraszała majstra Arensa, czasem któregoś ze strażników, pilnujących zatrudnionych w pralni więźniów - zjednywanie ich życzliwości było wciąż potrzebne, nikt nie mógł przewidzieć, kiedy mogła się przydać. Marynka nawiązała kontakt z francuskimi jeńcami, którzy także pracowali w Kriegsmarine-Arsenal. Latem zbierały dla nich z Wisia liście mlecza, które Francuzi uważali za źródło witamin. Rewanżowali się czekoladą i puszkami sardynek z jenieckich paczek. Z czasem najczęstszym kontaktem Marynki z Francuzami okazał się Jacques, ciemnowłosego i czarnookiego syn cukiernika z Paryża, który wciąż opowiadał, jakie w cukierni jego ojca przy rue Buonaparte pieczono torty i ciasta. Przeganiano go z sortowni, w której pracowały kobiety, ale kiedy zaczynał o tym opowiadać, nawet Niemców ogarniało rozmarzenie i pozwalali mu wylegiwać się na stosach brudnej bielizny. Marynka miała zniszczone, popękane od proszków ręce. Goiły się i piękniały, kiedy je ktoś całował.

- Kiedy się wojna skończy - mówił - zabiorę cię do Paryża.

Marynka śmiała się cicho.

- Ilu dziewczętom już to powiedziałaś?

Jacques walił się pięścią w owłosione piersi, widoczne spod porozpinanej koszuli. Na dworze śnieg, ścięty mrozem, trzeszczał pod nogami, ale w pralni temperatura dochodziła do trzydziestu stopni.

- Tobie pierwszej.

- Ale może nie ostatniej?

- Od ciebie zależy, żebyś była ostatnia.

Pani Helena przysłuchiwała się tym rozmowom z bliskim rozczuleniu pobłażaniem. Marynka nie brała ich poważnie, ale działały na nią jak ożywcze lekarstwo, jak prąd świeżego powietrza w zatęchłej, przesyconej zjełczałym potem atmosferze pralni. Oczy jej jaśniały, wilgotne usta rozchylały się w uśmiechu.

- Miły chłopak ten Jacques - mówiła do niej pani

Helena. Obecność Francuza i na nią działała kojąco. Widywało się więc tutaj nie tylko tych mężczyzn, w znienawidzonych mundurach, byli i ci, których pokonano, ale którzy nie uważali się za pokonanych - Polacy w warsztatach, związani nie znaną dotąd solidarnością, Francuzi i Niemcy, przyprowadzani tu na każdą zmianę przez więziennych strażników. Porozumiewali się ze sobą krótkimi słowami lub spojrzeniami tylko - ale i one potrafiły być źródłem nadziei. Od kiedy radzieckim okrętom podwodnym zaczynało udawać się pokonywanie zagrody minowej, trzymającej je we wschodniej części Zatoki Fińskiej, i coraz częściej wypływały

z Kronsztadu na Bałtyk, topiąc tu - na tak bezpiecznym dotąd dla Kriegsmarine morzu - niemieckie okręty i transportowce, wiadomości o tych klęskach przedostawały się natychmiast do zatrudnionych w pralni Polaków. Były bardzo krzepiące, a ubytek prześcieradeł mógł być doliczany do ogółu strat.

Pani Helena wyzbyła się więc resztek skrupułów i obaw, jedyną troską było teraz zdrowie Wisi, niedopuszczenie do wywiązania się gruzlicy - żeby ją przed tym obronić, skłonna była nie tylko kraść, ale i zabijać.

Tego poniedziałku, kiedy spotkała na ulicy korvettenkapitana Wieseirode, niosła w stercie własnej bielizny, wypranej i wysuszonej w pralni, dwie powłoki z pieczętkami Kriegsmarine. Były to powłoki "oficerskie", więc białe, Odpowiednio złożone, prezentowały przy oględzinach na bramce swoje nieskazitelne brzegi. Mimo tej metody, na ogół niezawodnej, przechodzenie przez bramę pod czujnym okiem strażnika, któremu czasem zachciewało się sprawdzić zawartość tobołków, nie należało do przyjemnych. Pani Helena czuła, jak jej pot występuje na czole, a ręce drżą przy pośpiesznym rozwiązywaniu tłumoka. Ale i tym razem miała szczęście, strażnik popchnął ją ku wyjściu.

- Idź, idź - powiedział - prędko!

Już za bramą zawiązała bieliznę, wzięła ją pod pachę.

Ciażyła bardzo, ale był w niej ciężar masła i smalcu, cukru i maki, ciężar wszystkich najpotrzebniejszych rzeczy, które spodziewała się otrzymać za oficerskie powłoki, "damaszkowe", jak nazywano je na wsi. Odprężyła się dopiero, gdy pod mostem kolejowym przeszła na ulicę 10 Lutego. Ale tu znów peszyło ją jej obecne ubranie, jakaś prawie męska kurtka, którą kupiła u handlarki przechodzoną odzieżą, i sznurowane czarne buty, w jakich niegdyś chodziła do szkoły, ale to było bardzo dawno temu. Nie tak przywykła się pokazywać na tej reprezentacyjnej przed wojną ulicy, obnosiła tu nowe suknie i kapelusze, wsparta na ramieniu Tereszki przyciągała spojrzenia zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Zazdrość i podziw były uczuciami w jednakowy sposób podniecającymi próżność i choć nigdy jej zbytnio nie ulegała - teraz miłe było dla niej to wspomnienie.

Uśmiechała się prawie do siebie, kiedy z ostrym piskiem opon zatrzymał się przy niej wojskowy samochód. Stanęła rażona myślą, że śledzono ją, że żandarmeria albo gestapo dokona tu na ulicy rewizji jej tobołka. Mocniej ścisnęła go pod pachą, z rozpaczą odwróciła głowę - z wojskowego gazika wysiadał Arno Wieseirode. Marynarz przy kierownicy patrzył na niego w zdumieniu.

- Tyle miesięcy... tyle miesięcy... - mówił dowódca U-003 do pospolicie ubranej kobiety. Tak wyglądały w tym mieście tylko Polki i nigdy nie widywano ich w towarzystwie niemieckich oficerów. - Tyle miesięcy poszukiwań i czekania...

- Czekania na co? - zapytała. Przez myśl jej nie przeszło, że powinni się jakoś przywitać, coś wyjaśnić -przynajmniej ona.

- Na co? - powtórzył za nią. - Na to, że panią spotkam. Że odnajdę.

- Nie trzeba było mnie szukać.

- Szczerze mówiąc, niewiele miałem na to czasu. Wciąż w morzu. Ale kiedy wracałem... - Rozejrzał się dookoła z niepokojem. - Nie będziemy przecież rozmawiać na ulicy...

- Tak - powiedziała. - Nie możemy. Ani pan. Ani ja. Stali przed Cefe Berlin, skąd dochodziły stłumione dźwięki południowego koncertu. Arno znów rozejrzał się półprzymkniętym, na ulicy nie było żadnych mundurów.

- Wejdziemy - powiedział.

- To lokal tylko dla Niemców.

-- Ze mną może pani wejść.

- Nie.

- Proszę. Muszę przecież z panią porozmawiać.

- O czym? - zapytała, ciałniej przyciskając do boku swój tobołek. - Poza tym śpieszę się. I jestem zmęczona. Niosę to aż z Grabówka. Spod samego lasu.

- Gdybym mógł pani pomóc - powiedział zmieszany.

- Ale nie może pan.

- Więc usiadźmy na chwilę. Napije się pani kawy,

- I wejdzie ktoś i mnie wyrzuci.

- Przy mnie to pani nie grozi.

- Przybywa pan z morza i nie wie pan, jakie obyczaje panują na lądzie.

- Ale na razie Kriegsmarine i głównie u-booty liczą się w tej wojnie.

- Czy... o tym chce pan ze mną rozmawiać?

- Nie! - krzyknął. - O Boże! Nie! Chcę na panią przede wszystkim popatrzeć. Usiąść przed panią i spokojnie popatrzeć.

- Ten spokój jest najmniej pewny.

- Wejdzmy tam! Naprawdę nie możemy tak stać na ulicy, a zaraz pani nie puszcę.

Zastanawiała się jeszcze przez chwilę, zanim ociężała ruszyła ku drzwiom kawiarni. Poza wszystkimi innymi był jeszcze jeden powód, który powstrzymywał ją przed wejściem. Pracowała tu jako kelnerka Julitka Grabieniówna. To było pozbawione jakiegokolwiek sensu i znaczenia, ale jednak nie chciała, żeby Julitka zobaczyła ją w tym towarzystwie.

Arno wybrał stolik pod ścianą, jak najdalej od okien i wejścia, odebrał z jej rąk tobołek i z pobladłą twarzą, jakby spoczywało na nim surowe i zdumione spojrzenie teścia admirała i wszystkich dowódców niemieckiej marynarki na przestrzeni wieków, usiłował umieścić go na krześle i jak najgłębiej wcisnąć pod stolik. Drżały mu przy tym ręce i panią Helenę wreszcie to rozweseliło.

- To straszne - powiedziała - prawda? W tym tobołku jest bielizna, którą raz w tygodniu, właśnie w poniedziałek, wolno nam wyprać sobie w naszej pralni. Pracuję tam. W pralni Kriegsmarine-Arsenal.

- Pani?

- Tak. I nawet to sobie chwalę... z pewnych względów. Oparł łokcie na stole, chwycił się rękami za głowę.

- Co takiego zrobiłem, że uciekła pani ze swego domu

- po raz pierwszy powiedział "swego" i zdał sobie z tego sprawę - że opuściła go pani, aby nie być razem ze mną...?

Milczała.

- Wróciłem z morza, wypilem dużo...

- To wszystko wzięłam pod uwagę. Był pan zupełnie usprawiedliwiony.

- Dlaczego więc...?

- Ja nie byłabym usprawiedliwiona, gdybym dłużej tam została.

- Dlaczego? - zawołał, nie panując nad sobą. Na szczęście grała orkiestra i nikt przy sąsiednich stolikach nie zwrócił na to uwagi.

- Nie wiem, jak to panu wyjaśnić, i niech mnie pan do tego nie zmusza.

Z grupy kelnerów przy bufecie wyłoniła się Julitka i szła ku nim wolno przez salę, opanowując zdumienie.

- Dla mnie małą czarną - powiedziała pani Helena, jakby co dnia wstępowała tu o tej porze, żeby napić się kawy.

- A dla pana? - spytała Julitka.

Arno patrzył na nią półprzymkniętymi oczami. Odniósł wrażenie, jakby już ją kiedyś widział, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. W końcu nie wydało mu się to ważne.

- Wszystko jedno - powiedział.

- Wszystko jedno?

- Wszystko jedno co pani poda.

- Więc kawę? Dużą?

- Dobrze. I dwa kieliszki koniaku.

- Jeśli ten drugi dla mnie - powiedziała pani Helena - to dziękuję.

- Proszę, żeby się pani napiła.

- Nie piję. W dodatku... w tych okolicznościach.

- Ale ja bardzo proszę.

- Więc ile tych koniaków? - spytała Julitka.

- Dwa - powtórzył z naciskiem. Kiedy odeszła, pochylił się nad stolikiem. - Jeśli cokolwiek pragnąłem najbardziej - zaczął cicho - to tylko tego, żebym mógł panią obronić. Ustrzec przed niebezpieczeństwem. Żeby miała pani ten swój dom, przynajmniej to, tę małą wysepkę wśród... wśród...

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Nie miewa się takich wysepek tu nad tym morzem, o jakim pan myśli.

"

Zmieniła ton, zapytała prawie ze swobodą: - Kto teraz mieszka na naszym miejscu?

- Jakaś rodzina - odpowiedział z niechęcią. - Niemiecka rodzina. Czekalem długo... długo łudziłem się, że pani wróci, w końcu musiałem to zgłosić w kwatermistrzostwie, dom podczas mojej nieobecności nie mógł zostać bez dozoru.

- Rozumiem - powiedziała.

Zjawiła się Julitka z erztazowymi kawami i koniakiem.

- Proszę - powiedziała, uśmiechając się do pani Heleny jak do stałej klientki.

Wieseirode sięgnął pośpiesznie do kieszeni.

- Ja zaraz zapłacę.

Julitka wyciągnęła bloczek, wypisała rachunek, zainkasowała należność. Niespiesznie odeszła w stronę bufetu. Czterech chłopaków z orkiestry powiodło za nią wzrokiem; Refrenista śpiewał "Lili-Marien". Tekst brzmiał poprawnie, ale panią Helenę zastanowiło coś w jego brzmieniu. Volks-

deutsch albo Polak, pomyślała.

Arno podsunął jej cukiernicę, patrzył w milczeniu, jak nabiera z niej cukier, jak miesza go łyżeczką, jak odkłada ją potem na spodek i ukrywa zaraz pod stołem swoje zniszczone ręce.

- Coś takiego się przydarzyło - powiedział cicho.

- I właśnie mnie.

Zaprzeczyła czemuś łagodnym poruszeniem głowy.

- Nie chciałem tego. I zdarzyło się, od razu wtedy, tego pierwszego dnia...

Znowu potrząsnęła głową, tym razem gwałtowniej. Ale on wciąż mówił:

- W gruncie rzeczy człowiek jest zupełnie bezbronny'.

I wiem, że pani tego bała się przede wszystkim.

- Och, co też pan mówi - zaprotestowała z przykrością.

- Tak, wiem. Wystarczyło mi raz na panią spojrzeć, żeby nabrać o tym przekonania. Kochali panią mężczyźni i pani to lubiła, lubiła pani być kochana...

- Bardzo pana proszę...

- Nie, nie, muszę to powiedzieć pani do końca. Lubiła to pani. Nie chciała więc pani dopuścić do tego, żeby pomyślano, że i teraz...

- Niechże pan zamilknie.

- Już powiedziałem wszystko. Tego się pani bała. Że ja będę tak samo niecierpliwy jak inni.

- Niczego się nie bałam - powiedziała twardo. - Postąpiłam tak, jak powinnam. Powody zachowuję dla siebie. I żałowałam tego tylko raz. Kiedy Wisia była bardzo chora i nie mogłam jej zapewnić odpowiednich warunków.

- Wisia? Chora - zmartwił się.

- Tak. Miała zapalenie płuc. A w naszej sytuacji...

- Czy lepiej się już czuje? Może czegoś potrzeba?

Jakiegoś lekarstwa? - pytał gorączkowo.

- Już nie.

- Aleja... ja mogę wszystko zdobyć... Dlaczego mi pani nie pozwala...

- Naprawdę już niczego nie trzeba.

- Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł w czymś pomóc...

- Urwał, uprzytomniwszy sobie, że nigdy z podobną troską nie myślał o własnej rodzinie. Wydawało mu się zawsze, że trzeźwa zaradność jego żony zabezpieczają przed wszystkim w dostateczny sposób. Ale Hamburg stawał się teraz celem coraz częstszych nalotów alianckich i nie mogła ochronić przed nimi swoich dzieci nawet najlepsza matka. Ani ojciec, rozgrzeszył się w myśli. Postanowił zatelefonować wieczorem do domu, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku.

Do kawiarni weszło trzech gestapowców. Jeden z nich wydał się pani Helenie znajomy, choć - na szczęście - nie widywała ludzi w czarnych mundurach z bliska. Usiedli opodal. Sztywno wyprostowani, obmietli wzrokiem salę. Pani Helenie wydało się, że refreniście orkiestry zadrżał głos, ale pomyślała, że to zapewne własny niepokój jest źródłem tego złudzenia. Położyła rękę na tobołku z bielizną, który mimo usiłowań korvettenkapitana nie dał się wepchnąć całkowicie pod stolik.

- Już pójdę.

- Proszę, niech pani jeszcze zostanie.
- Widzi pan przecież...
- Powiedziałem już, że przy mnie nic pani nie grozi.
- Mimo to chcę już wyjść. Proszę mnie nie zatrzymywać.
- Próbowała wysunąć tobolek spod stolika, a on jednak usiłował jej w tym przeszkodzić. Szamotali się przez chwilę w milczeniu, starając się jak najmniej zwracać na siebie uwagi - siedzieli przy stoliku prawie nieruchomo, jedynie wysunięte pod stół ręce walczyły ze sobą nieustępliwie i zaciekle. Wiązania starej serwety, w którą zawinięta była bielizna, w końcu puściły, i sztywno wykrochmalone prześcieradła i powłoki zsunęły się na podłogę. Arno schylił się, żeby je pozbierać, czynił to gorączkowo, łona rumieńca wystąpiła mu na twarz, bielizna wymykała mu się z rąk, stawała się pod jego dotknięciem prawie żywa i oporna. Pani Helena schyliła się, żeby mu pomóc, i obydwójce równocześnie zobaczyli na jednym z prześcieradeł czarną pieczętkę "Kriegsmarine". Arno pośpiesznie przykrył ją najpierw dłonią, później inną sztuką bielizny, udało mu się wreszcie zwinąć i zawiązać rozsypujący się toboł, wsunąć go, wcisnąć, wtłoczyć znów pod stół. Usiadł sztywno wyprostowany i spokojnym pełnym rozpaczliwej godności spojrzeniem odparł zaciekawiony i baczny wzrok gestapowców.
- Teraz pan wie - powiedziała pani Helena.
Odezwał się dopiero po długiej chwili:
- Nie chcę, nie mogę w to uwierzyć...
- A jednak pan widział.
Znowu zamilkł, krwawy rumieniec ustąpił nagłej bladości. Tym razem pani Helena przechyliła się ku niemu nad stolikiem.
- A co pan myślał? Z czego my tu żyjemy? Dlaczego nie umieramy jeszcze z głodu? Mimo wszystko nie robiłam tego, dopóki Wisia nie zachorowała. Ale to mnie zmusiło do ostateczności, jestem zdecydowana na wszystko. A w końcu...
- W końcu co?
- W końcu i tak by to kiedyś legło na dnie morza.
Milczał.
- Wysepka - powiedziała cicho. - Chciał mi pan stworzyć wysepkę spokoju i bezpieczeństwa... I sądzi pan, że to by coś załatwiało. Że mogłoby to uratować nie tylko mnie, ale i pański spokój. A co z innymi, co z milionami takich jak ja...?
- Proszę, niech pani już nic nie mówi.
- Przecież chciał pan ze mną porozmawiać. Innego tematu nie ma. Wojna trwa już prawie trzy i pół roku. Jakie by trzeba było mieć zasoby, żeby się wreszcie nie skończyły? A w dodatku ja prawie wszystko wyprzedałam, kiedy miałam wyjechać z Wisią... Niech się pan dowie i o tym, skoro zobaczył pan to, co najgorsze. To, co w pana mniemaniu najgorsze. Kiedy mój mąż nawiązał ze mną kontakt przez tego szwedzkiego kapitana, miałyśmy wyjechać do Francji. Nie wiem dokładnie, jak to zamierzał przeprowadzić. Pisał, że zgłosi się ktoś po nas i przewiezie nas przez Niemcy. Bliższych szczegółów nie podawał.
- I ten ktoś się nie zgłosił? - spytał powoli.
- Nie. I od tej pory nie miałam już żadnej wiadomości od

męża. Widzi więc pan, że zdana jestem tylko na własne siły. Ale jest to sytuacja milionów kobiet w Polsce. W Niemczech także, chciał powiedzieć, ale jednak powstrzymał się od tego. Volenti non fit iniuria, przypominał sobie łacińską sentencję. Chcącemu nie dzieje się krzywda... Tak, tym stwierdzeniem można było uciszyć wszystkie niemieckie skargi. Żadne kobiety na świecie nie wyprawiały z taką ochotą na wojnę swoich mężczyzn, jak kobiety niemieckie. Przypominał sobie własną żonę, kiedy mówiła (także już i do synów) o zaszczytnych powinnościach, które czekają Niemców. Jedno musiał jej przyznać: jej listy pozbawione były utyskiwań, z którymi tak walczył Goebels na łamach "Das Reich".

- Proszę przyjąć moje zapewnienie - odezwał się sztywno - że nic nie widziałem.

- Przyjmuję je - odpowiedziała z tonem leciutkiego rozbawienia w głosie.

- Mój Boże! - głos mu się załamał. - Tak bardzo chciałem panią zobaczyć. Panią to... śmiesz?

- Nie. Znam to uczucie.

Wyciągnął rękę przez stół, ale zaraz ją cofnął.

- Niech pani zdejmie chustkę. Proszę.

- Nie mogę rozbierać się w momencie, kiedy zamierzam wyjść.

- Bardzo proszę. Bo... może już nie zobaczę pani więcej... Nie zostawi mi pani swego adresu?

- Nie.

- Wiedziałem. Choć nie rozumiem dlaczego.

- Kiedyś będzie mi pan wdzięczny.

- Przypisuje mi pani różne uczucia w przyszłości, jakby można było mieć pewność, że mnie... akurat mnie jest ona sądzona...

- Jest wojna i wszyscy możemy zginąć. Tak czy inaczej...

- Tak czy inaczej - powtórzył za nią. - Więc niechże pani zdejmie chustkę z głowy choć na jedną chwilę.

Nie zdjęła jej, ale zsunęła z czoła, obnażyła rąbek włosów, ich czerń, w której dostrzegł pojedyncze nitki siwizny.

- I przed tym bym panią uchronił - powiedział z żalem.

- W każdym razie dziękuję panu, że pan tego pragnął.

- Powiedziała to wbrew swojej woli, naciągnęła znów chustkę na czoło, zmarszczyła brwi. - A teraz proszę mi pozwolić wyjść stąd. Pan niech jeszcze zostanie.

Wstała, chwyciła swój tobołek. Orkiestra akurat skończyła grać, muzycy składali instrumenty, zamierzali zejść ze swego podium.

- Stać! - zawołał któryś z gestapowców. Wszyscy trzej podnieśli się z krzeseł, skierowali się w stronę podium. Refrenista jednym skokiem pokonał przestrzeń, dzielącą go od oszklonych drzwi, szarpnął je, wyskoczył na ulicę; Gestapowiec, ten który wydał się pani Helenie znajomy, rzucił się za nim, błyskawicznie wyjął broń. Padł strzał, posypało się szkło. Gestapowiec wybiegł na ulicę, ale chłopak musiał najwidoczniej przepaść w którymś z pobliskich podwórek, bo ścigający wrócił zaraz, pogoń wydała mu się bezcelowa - mieli jeszcze tamtych trzech, a stanowiło to trzy nitki, po których spodziewali się dojść do kłębka. Zagarnęli ich w stronę pomieszczeń na zapleczu kawiarni.

- Cały personel do kuchni! - rozkazali.

Julitka, przechodząc obok pani Heleny, wymieniła z nią długie spojrzenie. Pani Helena usiadła z powrotem, złożyła swój tobolek na kolanach.

- Widzi pan - powiedziała do Arna -- jak tu można spokojnie porozmawiać.

Julitka, już przy samych drzwiach, jeszcze raz odwróciła głowę i szukała jej spojrzenia.

W kuchni odbywała się już rewizja. Najpierw rewizja osobista chłopców z orkiestry, potem reszty personelu. Julitkę odwołał na bok Joe-mikser, nawet i teraz trudno było sobie wyobrazić, że ma jakieś nazwisko. Wciąż mieszkał na Świętojańskiej w dawnym swoim mieszkaniu, przesiedlony tam z powrotem przez Lohmanna, który na dobre zajął mieszkanie (i posadę) po prezesie Carbopolu.

- Dawno cię nie widziałem. Nie mieszkasz u matki?

- Pracowałam w piwiarni u ciotki w Gdańsku.

- Wiem. Ale teraz pracujesz tutaj.

- Mieszkam w starym naszym domu po dziadku.

- Na Świętojańskiej ci za ciasno?

- Nigdy nie zgadzałyśmy się z mamą.

- Rozumiem - powiedział Joe-mikser. - A gdzie ojciec?

- Nie wiem.

- Zaginął. A potem podobno znalazł się w Stutthofie.

W każdym razie tam go matka szukała.

- Widocznie jednak tam go nie było.

- Był.

- Jakby był, to by był - powiedziała Julitka. - Co by się z nim stało?

- Wiemy, co się z nim stało --odpowiedział w zamyśleniu Joe-mikser. - W każdym razie, jeśli go zobaczysz, powiedz mu, że pytałem o niego.

- Nie zobaczę go.

- Nie jestem tego pewien. Matce powiedz, żeby tak nie liczyła na tego Lohmanna. Może się przeliczyć.

- Nie powiem jej tego, bo jej nie widuję.

- Nie?

- Nie.

Julitka patrzyła mu prosto w oczy i Joe-mikser uśmiechnął się nieznacznie.

- Nie pytała was, kiedy zdecydowała się to zrobić?

Ciebie i Tomaszka? I ojca?

- Ojca nie ma.

- No, dobrze, ojca nie ma. Ale ty i Tomaszek... Zwłaszcza ty... Dlaczego nie jesteś z matką?

- A pan by przystał nagle na inną narodowość, skoro przez całe życie czuł się pan Niemcem?

Były mikser z Habanery milczał. Julitka wiedziała, że tylko pochlebstwo może ją obronić przed jego gniewem.

- Czuł się pan Niemcem tak bardzo, że nie bał się pan żadnego niebezpieczeństwa. Że mógłby pan umrzeć za to. Poza wszystkimi innymi, zrozumiałymi uczuciami podziwialiśmy pana.

Joe przechylił głowę, patrzył na nią badawczo.

- Naprawdę?

- Naprawdę.

Zapadło teraz długie milczenie, groźne dla Julitki, kłopotliwe dla miksera. Skubał palcami górną wargę w głębokim zamyśleniu.

- Słuchaj - powiedział - potrafię to uszanować. Poza tym... poza tym znam cię od dziecka... Ale nie jestem tu po to, żeby wzruszać się takimi zaciętymi gówniarami jak ty. Miej się na baczności. I trzymaj się z daleka od wszystkiego, co śmierdzi. Seweryna Turka nie widzisz?

- Nie. Jest w Stutthofie.

- Do żony nie przychodzi?

- Jest w Stutthofie, jak może przychodzić?

- Ja swoje, ty swoje. No dobrze. Twarda jesteś. Ale nie takie już miękkły w moich rękach. Mówię ci po raz drugi: miej się na baczności.

- Ale on tam naprawdę nie przychodzi, proszę pana!

- zawołała Julitka z dziecinna prawdą w głosie.

Joe wziął to za szczerość. Popchnął ją w kierunku sali.

- Wracaj do swoich obowiązków.

W domu zjawiała się punktualnie, jak nigdy dotąd. Zwykle gdzieś wstępowała. Tajny Hufiec Harcerski miewał zbiórki w coraz to innych punktach miasta, tego dnia jednak udała się prosto do domu, wiedziała, że czekano na nią, że pani Helena zrozumiała jej spojrzenie i opowiedziała wszystkim, co zaszło w Cafe Berlin. Najważniejszą adresatką tej informacji była Wisia, ale reszta domowników nie wiedziała o tym.

- W porządku - szepnęła Julitce, gdy ta ukazała się w drzwiach. - Wszystko schowałam.

- Czy kogoś aresztowano? - spytała pani Helena.

- Orkiestrę.

- Znałaś tych chłopców?

- Tak - odpowiedziała Julitka po chwili. Dopiero teraz zauważyła, że w mroku pod oknem siedzi babka. Widywały się teraz często, Konkowa prawie naprzykrzała się im wszystkim ze swoimi wizytami, ale choć widziała ją niedawno, Julitka była zdumiona zmianą, jaka w niej zaszła.

- Czy coś się stało? - zapytała z przestrawieniem. - Mamie... albo Tomaszкови?

- Mamie nic się nie stało - odpowiedziała Konkowa dziwnie twardo. - Ani Tomaszкови. Ale podobno po Kolibkach teraz kościół na Świętojańskiej Niemcy mają rozbierać i ludzie mówią, że to na żądanie gdyńskich volksdeutschów. Bo uważają, że ten kościół wzmaga nadzieje Polaków na zwycięstwo. Wybudowany już za Polski...

- Babciu! - krzyknęła Julitka. - Chyba babcia nie myśli, że i mama...

- Nie wiem - potrząsnęła Konkowa głową; - Nie wiem. Podobno podpisy zbierali pod tą petycją. A bo to mama się do czego przyzna? Powie coś? Wszystko robi sama... Ani się człowieka nie zapyta, ani nie poradzi...

- Babciu! - prosiła uspokajająco Julitka, bo Konkowa szukała już chustki do nosa, żeby ukrywszy w nią twarz, zapłakać gorzko, jak to robiła prawie podczas każdej wizyty.

- Ja tego nie przeżyję! Taki wstyd na stare lata! Taka rozpacz! Nawet końca wojny nie można czekać z podniesionym czołem.

Marynka Blok nie znosiła tych lamentów starej kobiety.

- Mniejsza o czoło - powiedziała - kiedy w brzuchu piszczysz. Co mamy dziś na kolację?

- Fasolówka - odpowiedziała Sewerynowa pogodnie.

- Udało mi się wczoraj zdobyć trochę fasolki i słoniny. Nawet zacierki w niej będą. Weronika zrobiła drobniotki, jak przed wojną.

- Bo wiem, że mój króliczek grubych nie lubi - powiedziała Weronika, całując Wisię w policzek.

- Weroniko - zawstydziała się Wisia - wiesz, że teraz jem wszystko.

- Ale jeśli ci można czasem dogodzić...

- I skończ z tymi zwierzakami. Króliczek! Mam już siedemnaście lat!

- Nie dla mnie - uśmiechnęła się czule Weronika.

Przekomarzały się jak za dawnych czasów na Kamiennej Górze - nowa sytuacja, w jakiej się znalazły, nie zmieniła spraw najważniejszych. Pani Helena pomyślała o tym ze wzruszeniem i uśmiechnęła się do wszystkich, także i do Konkowej, która wciąż wycierała zaczerwienione od płaczu oczy.

- Pani także zje z nami, pani gospodyni.

Dawno nikt tak Konkowej nie nazywał. Przypomnienie, że to ona przecież była gospodynią w tym domu, wzniesionym dla niej przez jej męża, Augustyna Konkę, owiało ją nie tylko dawnym honorem, ale i wspomnieniem lat szczęśliwych, choć - być może - za takie się ich wtedy nie uważało. Wyprostowała się, zarumieniała, zakwitła.

- Dziękuję - powiedziała. - Chętnie. Bardzo chętnie. I sięgnęła do torby.

- Chleba wam białego trochę przyniosłam.

Przyniosła go dla Julitki, ale tu i tak wszystko trafiało na wspólny stół, więc wolała od razu dać go pani Helenie, która sprawiedliwie go rozdzieliła.

Zasiadło ich do stołu siedem. Weronika ogromną ochlę nalewała na talerze pachnącą, przyrumienioną słoniną zupę. Na wszystkich frontach toczyła się walka. Pod Stalingradem dokonał się decydujący zwrot w losach wojny: radzieckie wojska Frontu Dońskiego rozbiły dwadzieścia dwie dywizje okrażonego nieprzyjaciela, wzięły do niewoli dwięćdziesiąt tysięcy żołnierzy z dwudziestoma generałami i dowódcą 6 armii, feldmarszałkiem von Paulusem. W Afryce - po przeprowadzonej w ostatnich miesiącach czterdziestego drugiego roku inwazji - alianci wysadzili na ląd prawie pół miliona żołnierzy, 23 stycznia armia brytyjska zajęła Trypolis, dowóz posiłków dla coraz bardziej ścieśnionych wojsk niemiecko-włoskich odbywał się już tylko na "trasie śmierci", między Tunezją i Sycylią, gdzie szła na dno przynajmniej połowa transportowców. Do Murmańska przybył kolejny konwój, atakowany w drodze z dotychczasową zajadłością. Niemieckie pancerniki Tirpitz, Lutzow i ciężki krążownik Admiral Hipper wraz z niszczycielami i okrętami podwodnymi bazowały wciąż w Norwegii, z norweskich lotnisk wylatywały nieprzerwanie eskadry samolotów. U-booty zagrażały alianckim konwojom na wszystkich morzach i oceanach, przede wszystkim na północnym Atlantyku, gdzie święciły wciąż nowe sukcesy, przypuszcza-

jąc zmasowane ataki na konwoje podążające z Ameryki do Wielkiej Brytanii i z Wielkiej Brytanii do Ameryki. Na Oceanie Indyjskim grasowały również. Pobierały paliwo i żywność od tankowca Charlotte Schliemann w pobliżu Madagaskaru i penetrowały wody Kanału Mozambickiego oraz szlaku od Przylądka Dobrej Nadziei do Indii. U wybrzeży Nowej Gwinei lotnictwo amerykańskie w liczbie 335 samolotów zniszczyło całkowicie konwój japoński, wiozący siedem tysięcy żołnierzy. Pod Szlisselburgiem przerwano ostatecznie blokadę Leningradu. Wojska Frontu Leningradzkiego połączyły się z wojskami Frontu Wołchowskiego pod Siniawino, połączony znów z ojczyzną Leningrad zaczął przygotowywać się do przerwania blokady na Zatoce Fińskiej...

Wszędzie, na wszystkich frontach, toczyła się walka - na ziemi, morzu i w powietrzu.

Weronika wylała resztę zupy do swego talerza. Siedem kobiet chwyciło łyżki. One także wygrały dziś swoją małą bitwę: jadły.

XXIII

Najwcześniej zaczął wstawać Andriej Pawłowicz Lichonow. Najwcześniej z nich trzech - bo Wołodia, wciąż unieruchomiony odłamkami w nogach, i przetransportowany tu z innej sali Grześ z uszkodzonym kręgosłupem przykuci byli jeszcze do łóżek. Reszta rannych z Garlanda dawno opuściła szpital w Murmańsku, na pokładach eskortowców wróciła do Anglii i weszła znów do służby.

Andriej Pawłowicz Lichonow tylko prawą rękę miał jeszcze nie w pełni sprawną. Wołodia pisał mu wszystkie listy, ale do punktu pocztowego w szpitalu, a w miarę jak wracały mu siły i na pocztę, zanosił je sam i wracał stamtąd zawsze z dobrymi nowinami. Złych prawdopodobnie w ogóle nie słuchał.

Salę zapełniali ranni z coraz to innych konwojów, głównie Anglicy. Wołodia tłumaczył im słowo w słowo każdą wypowiedź rosyjskiego kapitana, który - odwinięty z bandaży - wydawał się jeszcze młodszy, niż był. Inne oczy patrzyły teraz ze zwojów białych płócien na tych, którzy mogli kontaktować się ze światem. Szczęśliwcem był Andriej Pawłowicz - jemu się udało. Wyszedł z tej sali, przemierzał ulice miasta, choć o nim właśnie mówił najmniej. Po zaciekłych nalotach, które nie ustawały przez całe lato czterdziestego drugiego roku - prawie nie istniało. Cudem ocalał budynek nowej szkoły, w którym mieścił się szpital. Wybudowany na szczycie skalistego wzgórza, nie był łatwym celem dla bomb. W każdym nalocie kruszyły się skały wokół niego, ale sam szpital drżał tylko w posadach i tracił szyby, o które było coraz trudniej w zniszczonym mieście za kołem podbiegunowym. Już prawie trzy lata o pięćdziesiąt kilometrów na zachód trwał front. Przyzwyczaili się do niego mieszkańcy Murmańska, prawie ze spokojem mówili o ponawianych wciąż niemieckich atakach w dolinie zachodniej Licy. Żołnierze korpusu strzelców górskich niemieckiej armii "Norwegia" nie mieli szczęścia do tej rzeki. Ranni leżeli także w tym szpitalu wraz z lotnikami niemieckimi, zestrzelonymi nad miastem. Mieli osobną salę i nikt ich nie odwiedzał. Ozdrowieńcy, którzy mogli się już poruszać

o własnych siłach, włóczyli się po szpitalu, opiekowali się ciężiej rannymi, składali sobie wzajemnie wizyty. Do Niemców nikt nie zachodził. Tylko siostra Natasza Andriejewna, starająca się wszystkich chorych traktować jednakowo, zdobyła nieco ich zaufania. Nie ukrywali przed nią, że słup graniczny ze wsi Riestikient miał być ofiarowany przez strzelców górskich armii "Norwegia" na kolejne urodziny fuhrera.

- Miał być ofiarowywany - poprawiła ich Natasza, która była nauczycielką. - Forma częstotliwa. Już trzy razy obchodził fiihrer urodziny bez tego prezentu. Niemcy milczeli. Natasza była pewna, 'że - choć ranni i w niewoli - myślą o tegorocznych urodzinach fuhrera. Rysy twarzy im tężały, usta stawały się zacięte. Nie padło z nich jednak żadne słowo. Siostra, gdy zmieniała im opatrunki, miała łagodne, uważne ręce. Ale były to ręce rosyjskie i bali się, że mogą w gniewie, a także i rozpacz, zacisnąć się wokół ich szyi.

- Zachodnia granica pod Murmańskiem nawet nie drgnie przez całą wojnę - mówił kapitan Lichonow, kończąc swoje codzienne relacje ze stanu na frontach. Wołodia tłumaczył to Anglikom. Słów Andrieja Pawłowicza nie uważał za przechwałkę. Zaciętość ludzi północy coś mu przypominała. Murmańsk - port i miasto - był tylko o dziesięć lat starszy od Gdyni. Bronili go także ci ludzie, którzy go budowali. I którzy mieli go odbudowywać po wojnie.

I to powiedział Anglikom. Kiwali obandażowanymi głowami.

Każdy miał jakieś miasto, które trzeba będzie odbudowywać po wojnie. Tylko Amerykanie słuchali nieporuszeni. Dla nich każda wojna była wciąż jeszcze wojną daleką. Brali w niej udział, nie drżąc o swoje domy i rodziny, panował w nich dawny spokój. Jeśli nie dotknęła ich żałoba.

- O czym mówiłeś tak długo? - spytał Andriej Pawłowicz. Dziwiło go, że polski kapitan tak obszernie tłumaczy jego krótkie zdanie.

- Mówiłem im o Gdyni - odpowiedział Wołodia w zadumie. - Z różnych względów przypomina mi Murmańsk. Także broniła się zaciekle. Na samym początku wojny, która zaczęła się przecież od Gdańska - dodał. Wyraz twarzy Lichonowa świadczył, że w zażenowanym popłochu szuka w pamięci jakiejkolwiek wiadomości na ten temat. Za długo te wojny były osobne, myślał Wołodia, i dlatego tak uporczywie, tak powoli ciągnie się ta wspólna. Wszystkie rozmowy - po wyczerpaniu relacji o stanie zdrowia, wyniku kolejnych badań, a także opinii dotyczących posiłków, składających się głównie z kasz, których nie cierpieli Anglosasi - schodziły na jeden niezmienny temat: kiedy wreszcie skończy się ta cursed, ta proklataja, ta przeklęta wojna.

Tym, którym wypisywano ze szpitala z ponownym skierowaniem na okręty, zazdrośczonego powrotu do walki. Wydawało się to niepojęte, a jednak było prawdziwe. Zazdrośczone im, że to oni przyspieszać będą koniec wojny, że to może oni ją zakończą. Były pierwsze dni marca czterdziestego trzeciego roku. Ludzi ogarniało zniecierpliwienie. I tyl-

ko marzenia - a w końcu już ugruntowane przekonanie
- o zwycięstwie pomagały je znieść.
Natasza wciąż podczas każdego nalotu transportowała
chorych do schronu. Pozostałym czytywała wiersze. Jej
melodyjny głos, jakim recytowała strofy rosyjskich poetów,
i nie on chyba tylko, stał się natchnieniem dla Andrieja
Pawłowicza. Gdy nikt tego nie widział, usiłował zapisywać
coś lewą ręką na skrawkach papieru. Później, kiedy był już
zupełnie zdrow, w przeddzień opuszczenia szpitala, poprosił
Wołodię, żeby mu to na czysto przepisał.

441

- Co to jest? - zdumiał się polski kapitan. - Wiersz?

- Wiersz - zmieszał się Andriej Pawłowicz.

-Czyj?

- Mój. Mój wiersz do Natalii Andnejewny Skobcewej.

- Wielki Boże! - westchnął Wołodia.

- Wręczysz go jej jutro. Kiedy mnie tu już nie będzie.

- Wielki Boże! - westchnął Wołodia jeszcze raz.

- Dyktuj.

Andriej Pawłowicz chrząknął, rozejrzał się wstydliwie na
boki. Niepotrzebnie, nikt z chorych nie rozumiał po rosyjs-
ku.

- Tylko pisz wyraźnie!

- Mam bardzo wyraźne pismo.

- I tak, żeby było widać, że to wiersz. Rozumiesz?

- Rozumiem.

- No to pisz!

Andriej Pawłowicz jeszcze raz chrząknął i zaczął wzruszo-
nym głosem.

Pokochaliśmy siebie w zły dzień, moja miła.

Mnie trzeba w drogę, tobie progę strzec -

i tylko myśli moje wracać tutaj będą,

by potem za mną, jak psy wierne biec.

Pokochaliśmy siebie w złą noc, moja droga

Jeszcze na miłość nie czas, oj - nie czas.

Jeszcze się tamtej sprawy nie skończyło,

aby ta nasza kwitnąć mogła w nas.

- No, jak? - spytał cicho. - Jakie to jest?

- Piękne! - zachwycił się życzliwie Wołodia.

- A... gramatyczne? - chciał się upewnić lotnik. - Bo

ona nauczycielka...

- Wydaje mi się, że i gramatyczne - uspokoił go Polak.

- Chociaż w tym ostatnim zdaniu...

- Co jest w ostatnim zdaniu...?

- Nie, chyba jest w porządku. Zresztą, ważna jest
intencja.

- Intencja?- powtórzył Andriej Pawłowicz.

- Bo to przecież oświadczyły. Wojenne oświadczyły.

- Właśnie - ze smutkiem pokiwał głową Andriej Paw-
łowicz. - Wojenne. Skąd można mieć pewność, że powtórzę
je po wojnie?

- Trzeba mieć tę pewność, mój drogi! - zawołał

Wołodia ze zbyt rażącym ożywieniem. I nagle zapytał

znacznie ciszej: - Czy i ona... Czy Natalia Andriejewna... bo
piszesz "pokochaliśmy siebie", a to by znaczyło...

Lichonow zarumienił się, spuścił oczy. Wyglądał jak
zawstydzona dziewczyna.

- To tylko taki zwrot... - bąknął pod nosem. - Natalia Andriejewna o niczym nie wie. Ale chciałbym, żeby się dowiedziała... żeby się nareszcie dowiedziała. - Spojrzał na Wołodę podejrzliwie. - A dlaczego o to zapytałeś?

- Tak sobie. Ciekawość nie grzech, przynajmniej niewie-
lki.

- Oddaj jej ten wiersz, kiedy tylko odjadę.

- A może jednak w takim momencie, żeby zdążyła cię dogonić?

Andriej zadumał się, ale w końcu przecząco pokręcił głową.

- Nie. Wolę nie wiedzieć. Bo jakby... no, wolę nie wiedzieć i już.

- Rozumiem - powiedział Wołodia.

Siostra Natasza przeczytała list lotnika z leciutką zmarszczką między brwiami. Może to był cień tylko, ale Wołodia go dostrzegł.

- Ot, i po co to jemu? - westchnęła. Nie powiedziała nic więcej i Wołodia o nic nie pytał. Wsunęła kartkę do kieszeni fartucha i zbliżyła się do Grzesia, żeby poprawić mu pościel.

- On się w siostrze zakochał - powiedział Grześ.

- I nie on jeden. - Mimo złego stanu, w jakim wciąż się znajdował, usiłował żartować.

- Jeśli to ma poprawić samopoczucie moich pacjentów

- uśmiechnęła się siostra Natasza - to niech się we mnie kochają.

- Ale wśród wielu powinien być ten jeden-niepotrzebnie zażartował Wołodia.

Natasza zwróciła ku niemu twarz. Oczy miała szeroko rozstawione, ich spojrzenie było przez to jakby osobne i trudno było się domyślić, co wyraża.

Ten jeden? - powtórzyła za polskim kapitanem.

I dodała zaraz: - Dobrze napisał Andriej Pawłowicz: na miłość jeszcze nie czas.

Wołodia zamilkł. W myśli przyznawał także rację prostym słowom wiersza. W szufladzie stolika, stojącego przy łóżku, leżały dwa listy od Anetki. Przywiozły je kolejne konwoje

- poczta w Murmańsku była czymś najbardziej upragnionym. Lekarze w szpitalu twierdzili, że stan pacjentów poprawiał się po każdym jej nadejściu. Wołodia tego po sobie nie zauważał. W obydwu listach Anetka robiła mu wyrzuty, że zgodził się popłynąć na Garlandzie, wciąż wyobrażała sobie, że mógł się na to nie zgodzić, zapewniała o swojej miłości i tęsknocie, donosiła o staraniach, jakie poczyniła, żeby móc go pielęgnować w Murmańsku. To, niestety, nie było możliwe. Na szczęście! - myślał Wołodia, czytając list. Czuł się wyczerpany długim leżeniem, bezwolny i otępiały - przerażenie ogarniało go na myśl, że mogłaby tu być, widzieć go w tym stanie, zmuszać do bezustannego wysiłku, żeby ukrywać go przed nią. Przed siostrą Nataszą nie musiał tego czynić. Wydawało mu się, że przed nikim nie był tak szczery i otwarty. Kiedy nawiedzały go chwile zupełnego załamania, kiedy myślał, że umrze, że nigdy się stąd nie wydostanie - z tego łóżka, z tego szpitala, z tego Murmańska, mówił jej o tym, a ona siadała na łóżku, pochylała się nad nim i powtarzała śpiewnym swoim głosem.

- Będziesz ty żył! Nie ubili oni ciebie! Jeszcze się z nimi

spotkasz. Jeszcze sobie do nich postrzelasz...

Słuchał jej z ulgą i wzrastającym ukojeniem. Przypominały mu się słowa starej Hejkowej z Helu, w najgorszych chwilach jego życia dodające mu otuchy: "Będziesz ty jeszcze do nich strzelać jak do kaczek". Były aż żałosne w swoim pragnieniu pocieszenia, a jednak wierzył im, przeniósł je ponad momentami wszystkich zwątpień i wszystkich rozpacz od Helu po Dunkierkę, przez konwoje i dozory, przez ataki lotnicze w portach... Teraz i ten głos, i słowa, wypowiedane w ciepłej, rozlewnej mowie jego dzieciństwa, miały mu towarzyszyć w dalszych wojennych dniach.

- Dziękuję, Nataszko! - mówił. - Dziękuję.

Ona nie wiedziała za co i dziwiła się, dziwiła się ślicznie, wpatrując się w niego pytająco tym przedziwnym, osobnym, zniewalającym do uśmiechu spojrzeniem swoich oczu.

Wieczorami, gdy nie było nalotu na miasto, gdy ciężko chorzy nie jęczeli i nie domagali się basenów, rozmawiali o Kijowie i Ukrainie. Natasza nigdy tam nie była, nie mogła sobie nawet wyobrazić, że może być takie lato, kiedy trudno wytrzymać z gorąca, kiedy nocą leży się na rozgrzanej ziemi z sianem pod głową, słuchając świerszczy i kumkania żab. W Murmańsku zeszłego lipca padał śnieg, przez całe lato trzeba było palić w piecach, dziadek Nataszy - Piotr Aleksandrowicz Skobcew - ani na jeden dzień nie zdjął kożucha.

- A piłaś ty kiedy, Nataszka, chlebowy kwas? - pytał Wołodia. - Zimny, wyniesiony z piwnicy chlebowy kwas, najlepiej gaszący pragnienie w upały?

Smak kwasu oczywiście siostra Natasza знаła, ale nie zachwycał jej. W Murmańsku nie chciało się pić tak, jak w Kijowie, Odessie, Soczi, Suchumi czy Baku. W Murmańsku pito gorącą herbatę, mężczyźni lubili wódkę, dziadek Nataszy - Piotr Aleksandrowicz Skobcew - także, a w dzieci wmuszano tran, żeby były zdrowe i dobrze rosły. Natasza jeszcze teraz zaciskała powieki ze wstrętu na to przypomnienie. Ale zdrowa i silna wyrosła. Jadła ryby, które tu, w Murmańsku, były najlepszym i najtańszym pożywieniem. Ryby i chleb. Dużo kaszy. O ziemniaki było trudniej. Ale nikt głodny nie chodził - dodawała z dumą.

Któregoś dnia Wołodia, znękaný ostatecznie porcją kaszy, którą dostali na kolację, mimo że - inaczej nieco przyrządzona - była już na obiad, zaczął nietaktownie wspominać kijowskie jedzenie, podawane w domu rodziców: pieczeń baranią po hiszpańsku w maladze, jesiotra z wody z cytryną i masłem pietruszkowym, bażanty prażone w sosie migdałowym, indyka z kasztanami, kaczkę po polsku, bliny z kawiozem - czerwonym dla pań, czarnym dla panów.

Natasza słuchała tego najpierw z zainteresowaniem, potem z potęgującym się wciąż potępieniem. W końcu nie pohamowała pytania, które od początku pragnęła zadać:

- I skąd... skąd braliście to wszystko?

Wołodia roześmiał się dawnym, szczęśliwym śmiechem-

- Mój ojciec był bardzo bogaty.

- I nie było ci wstyd, że inni są biedni? - zapytała boleśnie zgorszona.

Wołodia wciąż się śmiał.

- Jakoś nigdy nie przyszło mi to do głowy.
- To niemożliwe - szepnęła.
- Możliwe, kochanie. To było przed rewolucją -dodał, jakby to wyjaśnienie mogło zmienić jej pogląd na tę sprawę.
- Nie było cię jeszcze na świecie.
- Ale wiem, jak wtedy ludzie żyli - upierała się rozżalona, a przede wszystkim zrażona do niego. - Uczyłam się o tym i starsi opowiadają, choćby dziadek... Bliny z kawiozem... - powtórzyła. - Indyk z kasztanami... Kasztany w ogóle można jeść? U nas nie rosną.
- Te, które się jada, rosną tylko na południu.
- A pierogów w Kijowie nie jedzą?
- Jedzą, oczywiście.
- To dlaczego o nich nie mówiłeś?

Wołodia przykrył powiekami rozbawione oczy.

- Bo co innego chciało się powspominać...
- Dlaczego co innego? - zgorszyła się Natasza.

Przez długi czas nie mogła się zdobyć na zwykłą dla niego serdeczność. Zauważał to i byłby skłonny przyhamowywać na przyszłość swoje wspomnienia, żeby nie zrażać jej do siebie, gdyby inna sprawa nie wydawała mu się ważniejsza: Natasza nie miała jeszcze dwudziestu lat, on skończył już trzydzieści dziewięć - czuł się przy niej stary, boleśnie stary czuł się przy wszystkich radzieckich oficerach, którzy leżeli w szpitalu, byli wśród nich trzydziestoletni pułkownicy... W świat, w którym żył od kilku lat, przywrócił go przeniesiony na łóżko Lichonowa porucznik Michael Meadow, Kanadyjczyk z Quebec, oficer broni podwodnej z eskortowca konwoju JW-53, ostatniego, który przybył do Murmańska przed wstrzymaniem przez rząd brytyjski dalszych konwojów do Związku Radzieckiego. Konwój JW-53, płynący pod osłoną nocy polarnej, nie poniósł żadnej straty, poza kilkoma rannymi, których dosięgły odłamki niecelnie rzucanych torped lotniczych. Jednym z ich był Michael Meadow. Odniósł obrażenia lewej ręki i nogi, był na ogół w niezłym stanie, martwiła go jedynie perspektywa przedłużającego się pobytu w Murmańsku, trudno było przewidzieć, kiedy - wobec wstrzymania konwojów - będzie można stąd się wydostać. Niepokoiło to także i Wołodię, od kiedy zaczął wstawać i przy pomocy Nataszy odbywać pierwsze spacery po korytarzach szpitala.

- To nie może przecież długo trwać - denerwował się.
- Nie mogą ustać dostawy do Związku Radzieckiego. Front wschodni jest decydujący.
- Równie decydująca - odpowiadał Meadow - jest walka z u-bootami na północnym Atlantyku. Grasały teraz stadami - po dziesięć, po dwadzieścia, po trzydzieści. Na spotkanie konwoju HX-229, płynącego z Nowego Jorku do Wielkiej Brytanii, wyszło ich czterdzieści. Rozproszyły konwój, zatopiły połowę statków przy stracie własnej tylko jednego okrętu. Wymagało to skoncentrowania sił do wzmożonej obrony konwojów, a inwazja w Afryce Północnej wiązała potężną część floty i eskadr lotniczych. Wymagało to także wprowadzenia stałych ulepszeń technicznych, do których należała również wyrzutnia "hedgehog" - Michael Meadow bardzo wierzył w jej

skuteczność. Ze szczególną przyjemnością tłumaczył Wołodia, na czym polega i z jakiego względu dezorientuje przyzwyczajone do dawnych metod walki u-booty.

- Salwy wyrzucane są w przód, przed atakujący okręt eskorty - mówił, jakby miał do czynienia z kimś, kto nie znał się zupełnie na uzbrojeniu okrętu. - Dotąd bomby głębinowe wyrzucane były w bok i za rufą w momencie, gdy u-boot był pod spodem. Obecnie zwiększyły się szansę trafienia...

- Oczywiście - przerwał Wołodia uprzejmie. W gruncie rzeczy wykazywał mniejsze zainteresowanie nowym osiągnięciem technicznym, niż na to zasługiwało. Chciał wiedzieć, dlaczego wzmocnienie eskorty konwojów atlantyckich musiało odbyć się kosztem konwojów do Murmańska. I czy naprawę musiało? Z Kanadyjczykiem nie można było na ten temat rozmawiać, zbyt jednostronnie patrzył na wojnę i zbyt optymistycznie oceniał dalszy rozwój wypadków. Nie brał także pod uwagę tego, że każde usprawnienie techniczne, zastosowane na okrętach czy w samolotach aliantów, powoduje szybkie riposty przeciwnika. To nie była tylko wojna polityków, strategów i żołnierzy. To była także wojna wprzęgniętych w jej cykl uczonych, inżynierów i robotników w tysiącach fabryk na obydwu półkulach.

- Coś na to wymyślą - powiedział po długiej chwili.

- Co takiego? - nie zrozumiał go Kanadyjczyk.

- Mówię, że Niemcy coś na to wymyślą. Zwiększą szybkość i głębokość zanurzenia, znajdą sposób.

- To jednak nie powinno osłabiać naszych nowych poszukiwań.

- Na pewno.

- Nie lubię, jak tak długo rozmawiacie - przerwała im Natasha Andriejewna. Uśmiechnęła się, żeby złagodzić tę interwencję. - Po pierwsze, nie wiem o czym. A po drugie, za bardzo się ekscytujecie tą rozmową.

- Bo jest czym - powiedział Wołodia. Zachował jednak dla siebie swój pogląd na temat wstrzymania konwojów do Murmańska. Nie chciał jątrzyć i tak wzrastającego rozgoryczenia Rosjan. Front wschodni wydawał mu się centralną sprawą wojny, natomiast akcja przeciwko u-bootom mogła - jak sądził - ciągnąć się przez lata całe.

Ale mylił się. Już w maju sukcesy niemieckie w wojnie podwodnej znacznie spadły, a okupione zostały strata trzydziestu trzech u-bootów na samym tylko Atlantyku, o czym donosiły obszerne komunikaty radiowe. W lipcu, po zajęciu Sycylii i upadku Mussoliniego, co łączyło się z przejściem głównych sił floty włoskiej, przewaga aliantów na morzu stała się tak znaczna i tak decydująca we wszelkich poczynaniach na lądzie, że Wołodia palce sobie prawie obgryzał z żalu i rozpacz, iż teraz, właśnie teraz, wyłączony jest z uczestnictwa w bliskim - jak mu się wydawało

- zwycięstwie.

- Chyba wojna nie skończy się bez nas? - dopytywał się Grześ, usiłując się podnieść. Jeszcze wciąż nie wstawał, a zaczynał go już trapić gorączkowy niepokój, że przeszedłszy przez wszystkie klęski tej wojny, nie weźmie udziału w należącym mu się po tylu cierpieniach triumfie.

- Nie - uspokajał go Wołodia, tłumiąc własne podnie-

cenie. - Leż spokojnie. Wszystkiego sami nie załatwia,
Zostanie jeszcze coś i dla nas.

Natasza odwracała zasmucone oczy. Nie umiała kłamać,
a stan Grzesia nie był dobry. Oprócz tego jeszcze inny
smutek ją trapił, ale ten skrywała nawet przed sobą. Bo
polski kapitan wracał teraz szybko do zdrowia i gdyby tylko
pojawił się jakiś konwój...

To były myśli niegodne i wstyd ją ogarniał, że nie potrafi
się przed nimi bronić. W czas wojny miejsce mężczyzn było
na froncie, a kobietom - poza pracą - przypadła rola
tłumienia własnej rozpacz. Więc cóż wśród tylu cierpień
mógł znaczyć jej żal, że ktoś tak obcy, jak ten człowiek, ktoś
tak bardzo obcy, choć poświęciła mu tyle bezsennych nocy,
miał odejść stąd i nigdy tu nie wrócić? Wspominała wiersz
Lichonowa, wyobrażając sobie, że to nie on go napisał,
i wtedy żal stawał się mniej dokuczliwy, rozjaśniała go
nadzieja.

Pokochaliśmy siebie w zły dzień, moja miła.

Mnie trzeba w drogę, tobie progu strzec -

i tylko myśli moje wracać tutaj będą,

by potem za mną jak psy wierne biec...

Ale tego właśnie nie była pewna - czy myśli polskiego
kapitana wracać będą do Murmańska. W szufladzie jego
stolika leżały dwa listy, dwa listy od kobiety, tego była
15 - Tak trzymać t. III

pewna. Kochała go, czekała na niego - Natasza, patrząc na
jego ciemną głowę, myślała, że nie mogło być inaczej.

Któregoś dnia, bardzo upokorzona swoją natarczywą
ciekawością, zapytała go o to.

Tak odległy był teraz od tych spraw, że przez dłuższy czas
nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi.

- No... Czy jest ktoś, kto na pana czeka? - powtórzyła
pytanie, prawie uroczyście je formułując. Zwykle mówiła mu
"ty", teraz jednak powróciła do formy, której się trzymała
podczas pierwszych dni pobytu Wołodi w szpitalu. - Czy
jest ktoś taki...?

- Och - roześmiał się - oczywiście. Przede wszystkim
czekają na mnie ich lordowskie moście w Admiralicji,
choć nie sędzę, żeby zbyt niecierpliwie. Gdyby tak było,
przysłano by już po mnie jakąś łajbę. Następnie czeka na
mnie dowódca mego okrętu, moich okrętów, muszę teraz
powiedzieć, bo nie wiem, gdzie mnie przydzielią.

- Nie to miałam na myśli - szepnęła Natasza.

- Wiem - równie cicho odpowiedział Wołodia.

Szli wąską alejką brzozową, ciągnącą się wzdłuż zbocza,
na którym stał szpital. Anemiczne liście brzozy, tak chronio-
ne tu przez wszystkich, szarpał wiatr, wiejący z głębi
Półwyspu Kolskiego. Był lipiec, ale ostry podmuch zapowia-
dał już arktyczną jesień. Natasza ciaśniej owinęła się far-
tuchem, podniosła kapitanowi kołnierz szpitalnego szlaf-
roka.

- Nic mi nie będzie - bronił się. - Jestem już zupełnie
zdrów. A co się tyczy tamtej sprawy... Tak długo nie
dochodzi poczta...

- Ależ to nie ma żadnego znaczenia - zawołała Natasza
gorąco. - Jeśli ktoś czeka, wie się o tym. Ma się tę pewność.
Czy... czy pan ją... ma?

- Mam - powiedział Wołodia wreszcie. Ale zaraz dodał i zdumiało go, że zupełnie bez radości: - Chyba mam...

- Wiedziałam.

Wołodia ujął dłoń Nataszy. Była to mała, zaciśnięta teraz piąstka o szorstkich palcach i zniszczonych, krótkich paznokciach. Podniósł ją do ust, pocałował.

- Jest wojna i wszystkie te sprawy wydają się bez sensu.

Sam nie wiedział, dlaczego to mówi. Od spotkania w Greenock myśl o Anecie była pokrzepieniem w najcięższych chwilach, nie wstydził się tego przed sobą, nie czyniło go to słabszym. Wszyscy na okręcie ogrzewali serca podobnymi uczuciami. Nie mógł pojąć, dlaczego teraz wydało mu się to sentymentalne, kliwie i tanie.

- Bez sensu - powtórzył prawie mściwie.

- Nie - zaprzeczyła Natasza. - Nie!

- Tak, kochanie.

- Nie mów tak do mnie. Bardzo proszę.

- Ależ dlaczego?

- Bo dla ciebie to nic nie znaczy. Wy już macie taki sposób bycia. U nas, kiedy ktoś powie takie słowo...

- Nataszko! - poprosił.

Rozpląkała się nagle, przyciskając do oczu zwinięte pięści.

Nie zapytał o nic, ujął ją tylko pod ramię, żeby nie potknęła się na nierównej ścieżce.

- Jestem strasznie podła - szepnęła.

- To niemożliwe. Nie wierzę w to - powiedział jak do dziecka.

- Możliwe. Pragnę, żeby jak najdłużej nie zawiął tu żaden konwój.

Roześmiał się, wydało mu się to najbardziej stosowne.

- Nie pochwalono by cię za to w Komsomole.

- Wiem - powiedziała, rozcierając łzy na zaczerwienionych policzkach. - A dziadek przetrzepałby mi spódnice na siedzeniu. Ale nic na to nie poradzę.

- Dziadek w morzu? Bo mógłbym go zastąpić. - Usiłował żartować, ale jakoś nie bardzo mu się to udawało.

Nataszka wciąż nie mogła pohamować łez.

- Taka podła - szeptała do siebie. - Taka strasznie podła! Suka! Ścierwo!

Wołodia otoczył ją ramieniem, zatrzymał ją przy sobie na ścieżce. Natasza zacichła nagle, patrząc mu z bliska w twarz mokrymi jeszcze oczyma, czekała na to, co nastąpi. Wołodia przygładził jej włosy na czole, wierzchem dłoni dotknął rozgrzanego policzka. Natasza czekała. Wstrzymywała oddech i czekała. Wołodia westchnął. Jej usta były rozchylone i wilgotne. Pomyślał, że może jeszcze nikt ich nie całował.

- Nie trzeba »t.ego psuć - powiedział. - Nie wolno.

- Czego? - krzyknęła.

- Tego, co jest. I»co powinno takim zostać, Natalio Andriejewna Skobcewa - zaciął żartobliwie uroczystym, ale i trochę drżącym głosem - pani jest snem w moim życiu i dziękuję, że śni mi się pani tak pięknie.

XXIV

Weszli do miasta podczas nalotu, który nie bardzo udał się Anglikom. Samoloty nadleciały od strony Szczecina, obrona przeciwlotnicza Gdyni zdążyła nakryć port i miasto zasłoną dymną. Ale północno-wschodni wiatr zniósł ją nad Cisową

i tam - w te domniemane cele - wladowali lotnicy większość bomb. Ubogie zabudowania tej dzielnicy rozpadły się w gruz lub płonęły krótkim, niskim ogniem. Wśród warzywnych ogrodów sterczały resztki gratów, wyciągniętych z pogorzelsk, czerwieniła się pościel. Seweryn i Krzysztof przemykali między ogrodzeniami prawie bezpieczni w tym zamieszaniu, któremu nie towarzyszyły niemieckie patrole. Zbombardowanie dzielnicy, zamieszkiwanej wyłącznie przez Polaków,, budziło jawną uciechę Niemców i nie wymagało żadnej pomocy ani interwencji. Nie zagrożeni niczyją uwagą dotarli do starego domu "Augustyna Konki. Obydwaj walczyli ze wzruszeniem.

- Jakże masz przecucie? - spytał cicho Seweryn.

Krzysztof uśmiechnął się nieznacznie do siebie.

- Są w domu - powiedział.

Godzina była przedwieczorna; wyobrażali sobie, że powinno się o niej kończyć wszystkie zajęcia, że życie kobiet było, jak dawniej, ułożone w zwykłe rygory, w przeciwieństwie do tego, które sami wiedli. Seweryn wszedł pierwszy do sieni, zapukał, a kiedy usłyszał głos żony, długo nie mógł nacisnąć klamki. Nie zaznała przy nim zbyt wiele szczęścia, zajęty innymi sprawami nigdy się nad tym nie zastanawiał, teraz - kiedy miał ją za chwilę zobaczyć po półtorarocznym niewidzeniu - zrozumiał to z dotkliwym żalem, ale i radością, że jeszcze nie wszystko jest stracone, że oto przyszedł tu i za chwilę spojrzą na siebie, połączeni na krótki czas i odzyskani.

- Wchodźże! - przynaglił go Krzysztof.

Dopiero teraz nacisnął klamkę, pchnął drzwi.

Sewerynowa stała przy stole, obydwie z panią Heleną przykrawały z białego w niebieskie kratki płótna małe sukienki, widywane tak często na wiejskich dzieciach we wszystkich wsiach wokół Zatoki Gdańskiej. Obydwie równocześnie podniosły głowy, obydwie zaniemówiły.

Pierwszy odezwał się Seweryn:

- Nikogo obcego nie ma w domu?

- Na strychu, u Julitki i Wisi, jest jakiś chłopiec. Ale to kolega, zupełnie pewny...

- Lepiej, żeby nas nie widział.

Pani Helena, wciąż w milczeniu, otworzyła drzwi do pokoju. Weszli tam i dopiero wtedy się przywitali - Sewerynowa rzuciła się mężowi na szyję, pani Helena wyciągnęła ręce do Krzysztofa.

- Mój Boże - powiedziała - tyle długich miesięcy...

Pochylił nisko głowę.

- Bardzo, bardzo długich.

- Ale to dobrze, że się pan nie narażał, przychodząc tutaj. I dziś... może nie trzeba było... może to niezupełnie rozsądne...

- Dziś musiałem.

Zrozumiała to niewłaściwie; zaczęła szeptać, że sama by przyszła, że przecież mógł ją wezwać. Julitka kontaktowała się z nim tyle razy, więc gdyby wtedy...

Nie wiedział, co odpowiedzieć, napomknął, że zmieniają miejsca pobytu, że zbyt częste są wyspy i zdrady, żeby mogli długo przebywać w jednym miejscu. Dopiero powiedziawszy to wszystko, zdecydował się wyznać:

- Przyszedłem po Tomaszka.
- Po Tomaszka...? - powtórzyła pani Helena, ale tylko w ten nikły sposób wyraziła swoje rozczarowanie. Dodała zaraz:- Julitka rozmawiała z nim dwa. razy, ale... bez rezultatu.
- Wiem. Dlatego musiałem przyjść po niego.
- Ale aż tam... aż na Świętojańską nie pozwolę panu pójść! - zawołała. - W kamienicy sami Niemcy. I większość zna pana.
- Znowu będę musiał posłużyć się Julitką.
- Ale czy to ma sens... - powiedziała po długiej chwili;
- Skoro chłopak chce zostać z matką...
- Za smarkaty jest, żeby wiedział, czego chce.
Weszła Julitka, wezwana z góry przez Sewerynowa. Przestraszyła się, zamiast ucieszyć.
- Nie powinienes - powiedziała do ojca z nagana; z jakiegoś tylko jej znanego powodu czuła się dorosłej sza od niego. - Stanowczo nie powinienes...
- Sza! - powiedział Krzysztof, całując córkę. Znowu wyrosła, a wzruszało go to za każdym razem, kiedy ją widział. - Byłem ostrożny.
- Przyszedłeś po Tomaszka? - zapytała.
_ Tnif
Ł A&.
- Sądysz, że będzie miało jakieś znaczenie to, że tu jesteś? Przecież nawet nie będę mogła mu tego powiedzieć.
- Powiesz, że czekam na niego.
- A jeśli Karol nie będzie mógł go wywołać?
Krzysztof zmarszczył brwi.
- Za wiele masz wątpliwości. Czy są jakieś konkretne powody...?
- Nie... - zaprzeczyła Julitka nie dość stanowczo. Nie patrzyła ojcu w oczy.
- Powiedz, o co chodzi.
Pochyliła głowę.
- Nie wiem, co mi się stało, ale... tak mi żal mamy... tak mi żal mamy...
Krzysztof wziął jej brodę w dwa palce, jak zwykł był czynić, kiedy była dzieckiem, podniósł ku światłu jej twarz. Julitka płakała.
- Więc co mam zrobić? - zdenerwował się. - Jak mam postąpić?
Pani Helena dyskretnie wycofała się z pokoju, za nią wysunęli się Sewerynowie.
- Nie wiem - mówiła Julitka. - Nic nie wiem. Niemcy już najwyraźniej przegrywają wojnę i można by było mieć tyle nadziei... tyle nadziei... Dlaczego właśnie nas musiało to spotkać?
- Stawianie sobie takich pytań nie ma żadnego sensu. Myślałem, że jesteś na tyle rozsądna...
- Och - powiedziała z żalem •- nigdy nie byłeś w sytuacji, w której rozsadek nie mógł ci nic pomóc?
Krzysztof przyjrzał jej się uważnie.
- A cóż to za chłopiec jest u ciebie na górze?
Julitka przyjęła to pytanie ze zdziwieniem. W jej oczach pojawił się nawet na chwilę błysk rozbawienia. Doroślała bez uwag i napomnień rodziców, nie wiedziała, jak się wobec

nich zachować.

- Tatusiu! - powiedziała pobłażliwie.

- Zdaje się, że cię o coś pytałem - zacietrzewił się Krzysztof.

- Co ci przychodzi do głowy? To... kolega. Nic innego mi nie grozi - dodała po chwili.

- A wolałbym, żeby ci groziło - zaczął, ale zaraz mu przerwała:

- Więc mam iść po Tomaszka?

- Tak - powiedział z rezygnacją. Nie po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze swojej zupełnej bezsilności wobec tych dwóch istnień ludzkich, które powołał do życia, a które od początku przerażały go swoją odrębnością. Teraz jednak sytuacja była poważniejsza od dotychczasowych i wiedział, że musi się zdobyć na stanowczość, że ten jeden jedyny raz musi się zdobyć na stanowczość. - Idź po niego - powiedział głosem, który zdumiał go tak samo, jak Julitkę.

- Dobrze - zgodziła się posłusznie, ale już wychodząc, dodała jednak: - Jak chcesz.

Przez całą drogę prawie biegła. Miasto po nalocie było jakieś trwożliwe i przyczajone. Wprawdzie zniszczenia były niewielkie - w samym centrum tylko dwie kamienice - ale ich gruzy świadczyły o tym, że to, co uważano dotąd za niemożliwe, było jednak możliwe: angielskie samoloty nad tym wschodnim portem, w którym tak spokojnie dotąd stały powracające z głównego teatru wojny okręty. Julitkę zdumiała myśl, że dopiero teraz wyobraziła sobie, że i ich kamienica na Świętojańskiej mogła zamienić się w stos rozsypanych cegieł. Ucieszyło ją to, że schron na podwórzu był tak solidny, postanowiła powiedzieć Tomaszкови, żeby zawsze po ogłoszeniu alarmu do niego schodzili... Ale Tomaszka od dziś miało nie być na Świętojańskiej - ogarnęło ją przerażenie, że ma mu to powiedzieć, że znowu ma zburzyć spokój, którego matka nie miała chyba za wiele. Delikatnie zadzwoniła do mieszkania na pierwszym piętrze, nikt na schodach jej nie widział. Chciała jak najprędzej schować się u Karola w kuchni. Ale Karol nie mógł jej wpuścić do środka.

- Mamy gości - przeraził się, po dawnemu używając liczby mnogiej, ale bez dawnej satysfakcji. - W dodatku są kobiety, wciąż po coś przylatują do kuchni. Dawniej żadna z pań tego nie robiła.

- Niech pan Karol wywoła Tomaszka na podwórko

- szepnęła z desperacją. - Będę czekać przy śmietniku. I... żeby mama nie zwróciła na to uwagi.

- Rozumiem - powiedział Karol. - Zawołam go niby do pomocy. Żeby mi przyniósł wino z piwnicy. Już je dopijają - dodał nagle.

- Co? - nie zrozumiała Julitka.

- Wino pana Słubickiego. Przed samą wojną sprowadzi-
liśmy nowy transport. Same najdroższe gatunki i marki...

- Panie Karolu! - przerwała mu Julitka.

- Dobrze, już idę.

Zeszła na podwórze i wcisnęła się między wysoki betono-
wy pojemnik na śmieci a ścianę domu. Tomaszek długo się
nie zjawiał, zaczynała już tracić nadzieję, kiedy wreszcie
zobaczyła go w drzwiach. Ociągając się, podszedł do niej.

Twarz mu pałała.

- Ojciec cię przysłał? - zapytał ochryple.

- Tak.

- Nie pójdę.

- Słuchaj, wciąż myślisz, że to żarty.

Potrząsnął głową. Patrzył na dach domu przy ulicy Bema, którego podwórze stykało się z ich podwórkiem. Ostre światło letniego popołudnia oświetlało wyraziście jego twarz. Nad górną wargą i na brodzie widać już było nikły puszek przyszłego zarostu. Boże, Boże! - pomyślała Julitka. - On ma już siedemnaście lat! Ale nie użyła argumentu, który wciąż wydawał się jej niegodny. Nie oznaczał bowiem wyboru, niezawisłego od okoliczności wyboru najważniejszej dla człowieka przynależności, a tylko lisie rozeznanie wśród kilku niedobrych spraw. Nie powiedziała mu więc, że wojna trwa już cztery lata i nie wiadomo, jak długo jeszcze się przeciągnie, i że czeka go mundur koloru feldgrau, jeśli zdecyduje się zostać przy matce. Powiedziała tylko:

- Ojciec kazał ci przyjść ze mną. Czekają na ciebie.

- Nie pójdę - odburknął Tomaszek. Patrzał na nią z rozpaczą.

Objęła go, choć nigdy nie świadczyli sobie żadnych czułości; nie pamiętała, czy kiedykolwiek go pocałowała, bratersko-siostrzana miłość obywatela się jakoś dotąd bez tych zewnętrznych manifestacji.

- Ty sobie poszłaś - mówił Tomaszek, pociągając już z lekka nosem. - Poszłaś sobie i uważasz, że to w porządku i że to takie bohaterkie z twojej strony. A Joe-mikser, ile razy spotka mamę na schodach, zawsze jej mówi, że tylko ze względu na nią nie zabiera się do ciebie tak, jak mu nakazuje jego niemieckie sumienie. Bo co sobie wyobrażasz? Mogłabyś tak pracować spokojnie w Cafe Berlin, gdyby nie mama?

- Przestań!

- Nie. Dowiedz się prawdy. I nie wyobrażaj sobie, że jesteś tak całkiem w porządku. I że za twoje patriotyczne miny nie płaci mama, a także i ja...

Julitka odsunęła brata i z bliska, z całej siły uderzyła go w twarz. Tomaszek był już teraz prawie jej wzrostu, ale silniejszy od niej. Ani drgnął pod tym uderzeniem, łyzy jednak zakręciły mu się w oczach i Julitka po raz drugi przyciągnęła go do siebie. Przez długi czas płakali razem, wzajemnie to przed sobą skrywając. Na podwórzu panowała przedwieczorna cisza, wszystkie dywany były wytrzepane, kubły ze śmieciami wyniesione, na wyprowadzanie psów było jeszcze za wcześnie. Z otwartego okna na trzecim piętrze słychać było radio. Niskim głosem, uwielbianym przez wszystkich Niemców, śpiewała piękna Szwedka Zarah Leander.

- Co zrobimy? - spytał cicho Tomaszek.

- Nie wiem.

- Nie mogę zostawić mamy. Nie mogę. Nie zrobiła tego dla siebie. Zrobiła to dla nas. I teraz miałbym ją zostawić...

- Jest z nią babcia.

- Z babcią coraz gorzej. Ma jakieś zamroczenia. Przedwczoraj spadła ze schodów.

- Była u nas i nic nie mówiła.

- Przychodzi do starego domu?

- Tak.

Tomaszek zamilkł. Przypomniało mu się, co dawno, dawno temu, kiedy był jeszcze mały i buntował się przeciwko wakacjom na Świętojańskiej, mówił dziadek Bernard, pragnąc go zatrzymać na lato u siebie w tym pierwszym domu Konków, starszym od domu dziadka Augustyna. Mówił, że mieszkają w nim duchy wszystkich Konków i że nie trzeba się ich bać. Ojciec, kiedy przywędrował do Gdyni, a dziadek Bernard wziął go do siebie, spał z nimi na strychu i wstawał co rano z dobrymi myślami, naszeptanymi mu przez nie do ucha. Teraz w starym - w tym pierwszym domu dziadka Bernarda mieszkała jakaś polska biedota, a wśród duchów był już i dziadek Bernard, upierający się przy swoim "a" na końcu nazwiska.

- Co mam powiedzieć ojcu? - spytała Julitka.

Tomaszek milczał. Bolesna obręcz zaciskała mu gardło.

- Co mam powiedzieć ojcu?

- Że nie mogę.

- Już mu to dwa razy mówiłam.

- Niech wymyśli jakieś inne wyjście.

- Nie ma innego wyjścia.

- Wiem - powiedział Tomaszek głosem, który wydał się Julitce bezdzwięczny i umarły. Wypuściła go z uścisku i zostawiła pod ścianą domu.

- Nic mi nie powiesz? - krzyknął za nią.

Uczyniła tylko ręką jakiś gest, który nic nie wyrażał.

- Nie chciał? - spytał ojciec, gdy tylko stanęła w drzwiach.

Skinęła głową. Nie miała ochoty powtarzać całej rozmowy z Tomaszkiem, ojciec zresztą nie był jej ciekaw. Rozejrzał się za czapką.

- Poczekaj przynajmniej do zmroku - powiedział Seweryn. Od razu wiedział, co Grabień chce zrobić, i wydało mu się to zrozumiałe i słuszne.

Ale pani Helena zastąpiła mu drogę.

- Nie! - zawołała z rozpaczą. - Nie puszczę!

- Muszę tam pójść - powiedział Krzysztof z prośbą w głosie.

- A ja muszę pana przed tym powstrzymać. Muszę panu to wyperswadować! Dwa razy... dwa razy - głos jej się załamał - ratowałam pana przed śmiercią... i mam chyba... mam chyba jakieś prawo, żeby prosić... żeby żądać i prosić... Krzysztof, nie zważając na Julitkę, Sewerynów i Wisię, a także Marynkę i Weronikę, które wróciły właśnie do domu z codziennej wyprawy po jakieś jedzenie, schylił się nisko nad rękami pani Heleny, przycisnął je do ust.

- Nigdy o tym nie zapomniałem, kochana moja, nigdy o tym nie zapomniałem. I nie tylko dlatego życie moje należy do pani, że je pani uratowała. Wie pani o tym dobrze i od dawna. Ale ta jedna sprawa... ta jedna sprawa musi być załatwiona za wszelką cenę.

- Nie chcę, nie - szepnęła. - Nie mogę się na to zgodzić.

- Musimy. Musimy się na to zgodzić. Pani i ja. Przez całe swoje życie pragnąłem, żeby nie miało ono żadnej skazy.

Więc i tę jedną... tę jedną muszę z niego zdjąć i pani mi w tym pomoże...

- Ja...? W jaki sposób?

- Że nie będzie mnie pani zatrzymywać.

- Ja pójdę z tobą - odezwała się Julitka. - Znam przejście w ogrodzeniu między naszym podwórzem a posesją przy ulicy Bema. I będę ubezpieczać cię na schodach.

- Ubezpieczać...? - powtórzył Krzysztof. To słowo w ustach córki wydawało mu się dziwne, ale nie była to odpowiednia chwila, żeby zastanawiać się nad tym. - Dobrze - powiedział. - Pójdziemy razem, mój żołnierzu. Kiedy tylko zaczęło się ściemniać, ale do godziny policyjnej pozostawało jeszcze dość dużo czasu, ruszyli na Świętojańską, klucząc mniej uczęszczanymi ulicami, przeczekując w bramach przejścia patroli. Przez nikogo nie zauważeni dostali się na podwórze kamienicy, której posiadanie zawsze zdumiewało Krzysztofa. Teraz po raz pierwszy nie nawiedziło go to uczucie. Julitka wbiegła na schody i zaraz wróciła zdyszana.

- Możesz iść!

Wspiał się na drugie piętro i zadzwonił dawnym swoim sygnałem - dwa razy: raz długo, raz krótko - i czekał, starając się o niczym nie myśleć. Żadnych wspomnień. Żadnych pytań o przyszłość. Był dzień dzisiejszy i zabierał stąd swego syna. Miał do tego prawo.

Nikt nie poruszył się w mieszkaniu, a na dole trzasnęły drzwi wejściowe. Odwrócił się tyłem do schodów, odbezpieczył rewolwer, wsunął go za pasek od spodni, zapiał marynarkę. W pierwszej sekundzie trwogi, zanim jej nie opanował, pomyślał, że pralnia na górze może być otwarta... A jeśli nie, jeśli zamoczył tam ktoś swoją bieliznę na noc i zamknął ją na klucz? Natarczywiej nacisnął dzwonek, dwa razy, długo i krótko. Teraz ruszyło się coś w głębi mieszkania, powolne kroki posunęły się ku drzwiom, o wiele szybsze przemierzały schody. Jeszcze raz przyłożył palec do dzwonka.

Otworzyła mu teściowa, prawie nie zdziwiona tym, że przyszedł.

- Od razu byłam pewna, że to ty! - zawołała. Wciągnęła go do środka, szybko zamknęła drzwi, zapaliła światło w przedpokoju. - Niechże ci się przyjrzę! Mój Boże!

- roześmiała się cichutko i łzawo. - Wydaje mi się, jakbyś wyrósł.

- Zeszczuplałem - powiedział i pocałował ją w rękę.

Przyglądał się jej także ze zdumieniem. Ostatni raz widział ją w Połczynie, kiedy to żandarmi zatrzymali ją z Łucka, domagając się od nich należnego im ze strony Polaków pozdrowienia. Wtedy Konkowa była hardą kobietą, absolutnie pewną swoich racji, spoglądała bez trwogi, wojna - choć dopiero zaczęta i tak dla Niemców pomyślna

- wydawała jej się już wtedy przez nich przegrana, a czekanie na ostateczne jej rozstrzygnięcie nie przerażało jej ani trochę. Teraz Konkowa - dopiero teraz, pomyślał Krzysztof - była starą kobietą. Po prostu starą kobietą, a znaczyło to więcej niż określenie wieku. - Cieszę się, że mamę widzę - powiedział, schylając się, żeby mogła pocałować go w czoło, jak to zawsze miała w zwyczaju.

- Ja także - odpowiedziała. - Modliłam się o ciebie.
Przez cały czas się o ciebie modlę.

Na progu pokoju stanęła Łucka. Usłyszawszy jego głos, dawno powinna już tu być, ale widocznie wahała się, jak go powitać. On także, choć tyle razy wyobrażał sobie to spotkanie, nie wiedział, jak się zachować. Wszystko, co postanawiał, było złe, niesprawiedliwe lub bez godności, krzywdzące Łuckę lub zbyt pobłażliwe dla niej. W końcu ona sama to rozstrzygnęła - runęła ku niemu z płaczem, owinęła jego szyję ramionami, szlochała i całowała go po oczach, ustach i policzkach.

- Łucka! - przeraziła się matka.

Krzysztof zmartwiał. Odepchnięcie żony wydało mu się niemożliwe tak samo, jak przygarnięcie jej do siebie i oddawanie jej pocałunków.

- Uspokój się - szepnął miękko.

- Tyle lat! - płakała Łucka. - Tyle lat! Wszystko robiłam, żeby cię ratować. Wszystko!

- Wiem - powiedział.

Odsunęła twarz od jego twarzy, oczyma, które dawniej przypominały mu swoim kolorem niebo, a które teraz miały nijaką barwę łez - patrzyła na niego z bliska, pokornie, z prośbą i nadzieją.

- Przebaczyłeś mi?

- To złe słowo - powiedział wymijająco - i nie to jest najważniejsze, czy ja cię wybaczam...

- Wszyscy, wszyscy wiedzą, że zrobiłam to dla ciebie!

- zawołała.

Nie mógł teraz zdjąć jej ramion ze swojej szyi, po prostu nie mógł tego zrobić. Ona go wciąż całowała i płakała, jęcząc.

- Wiedziałam, że mi przebaczysz. Że będziesz musiał mi przebaczyć. Gdybyś nie był w Stutthofie, gdybym nie była pewna, że w ten sposób cię uratuję...

- Przestań! - krzyknęła Konkowa. - Czy nie rozumiesz, że on przyszedł po Tomaszka?

Dopiero teraz Łucka ucichła. Ręce, trzymające kurczowo Krzysztofa, zluźniły swój uścisk.

- Tak? - zapytała.

- Tak - odpowiedział cicho.

Odskoczyła od niego, oparła się o ścianę.

- A ja go nie dam. Nie dam! Julitkę już mi zabrałeś.

I teraz przychodzisz po niego! Ale on nie chce, rozumiesz?

Nie chce być z tobą. Powtórzyła ci chyba Julitka...

- Powtórzyła mi. I dlatego tu jestem.

- Jak go zabierzesz? Siłą?

W ostatnim słowie Łucki zawarty był ton rozpaczliwej drwiny. I może groźby także. Myślał o tym, idąc tutaj. Wciąż jednak był jeszcze pewny, że ona zdaje sobie sprawę, co by w tej sytuacji znaczyła wywołana jej uporem awantura. Ale to nie był tylko jej upór. Powtórzyła:

- Siłą go zabierzesz?

- Chyba jeszcze pamięta, że jestem jego ojcem? - odsunął Łuckę, która zagradzała mu przejście do pokoju, otworzył drzwi.

Tomaszek siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach.

Wstał, gdy ojciec wszedł, ale nie zwrócił ku niemu głowy.

- Chcesz być Niemcem? - spytał Krzysztof. Jeszcze potrafił opanować głos, jeszcze potrafił zatrzymać się w miejscu, poza które postanowił się nie posunąć. Tomaszek milczał długo, a potem chlipnął.

- Czy ojciec musi od razu tak...?

- A jak? Zdajesz sobie sprawę, jaka jest sytuacja?

- Ja mamy nie zostawię.

- Mój synek --rozpłakała się znowu Łucka. Rzuciła się ku Tomaszekowi, przygarbiona go do siebie. -Wiedziałam, że. on mnie nie zostawi, że najbezpieczniej mu przy matce. I dokąd byś go zabrał? - zwróciła się do Krzysztofa, który nieporuszony stał wciąż pośrodku pokoju. - Do tych nor w ziemi? Do tych piwnic, w których musicie się kryć jak szczury? Jak można tak żyć?

- A jednak wiele ludzi tak żyje. Od przeszło roku i ja z Sewerynem...

- Z Sewerynem! - parsknęła Łucka, przyjaciel jej męża zawsze wydawał jej się w jakiś sposób groźny, tak samo podczas pokoju, jak i podczas wojny. - Daleko ty zajdziesz ze swoim Sewerynem, zobaczysz! A do czego on był przez całe życie przyzwyczajony, ten twój Seweryn? W jakiej budzie mieszkał na Grabówku, dopóki nie wymogłeś na mamie, żeby go wpuściła do naszego starego domu! Sewerynowa mieszka tam dotąd jak u Pana Boga za piecem.

- To i dobrze - odezwała się Konkowa. - Czego chcesz od kobiety?

- Nic od niej nie chcę. Tylko ten jej mąż buntuje Krzysztofa. Zawsze go buntował i jestem pewna, że teraz przyszedł tu także z jego namowy...

- Kobieto! - odezwał się Krzysztof ze smutkiem.

- Tak! - krzyknęła. - Tak! Zawsze tak było i jest teraz. Sam byś na to nie wpadł. Sam byś się na to nie odważył!

- Kobieto! - powtórzył jeszcze raz Krzysztof.

- A ja Tomaszka nie dam na poniewierkę. Przyjdzie zima, gdzie się podzieje? Przyzwyczajony jest do ciepła i wygod. Zawsze - Łucka rozpłakała się znowu - zawsze dbałam, żeby mu nic nie brakowało, żeby moje dzieci miały lepiej niż ja...

Ciągnęłoby się to nie wiadomo jak długo, gdyby Konkowa nie postąpiła ku Tomaszekowi i nie pchnęła go ku ojcu.

- Zbieraj się, gówniarzu! - powiedziała cicho, ale groźnie. - Ojciec po ciebie przyszedł.

- Co też babcia! - obruszył się chłopak, jakby chodziło o skarcenie podczas zabawy.

- Nie chcę mieć Niemca w domu! - krzyknęła. - Rozumiesz? Nie chcę! I żeby cię tu matka na kolanach zatrzymywała, ja ci nie pozwolę zostać. Dziadek... dziadkowie obaj by się w grobie przewrócili, Augustyn i Bernard. Znowu Kaszubi mieliby służyć w niemieckim wojsku? Wtedy, podczas pierwszej wojny, innego tu nie było, więc robili z nami, co chcieli. Ale teraz jest! Jest polskie wojsko prawie w każdej wsi i ojciec cię do niego zaprowadzi.

- Jakie wojsko? - krzyknęła Łucka, przyskakując do matki. - Ta garstka ogłupiałych gryfowców, których gestapo zgarnia, jak chce, bo wszędzie ma swoje wtyczki? I ciekawa jestem, co w tym zapatrzonym w Londyn "Gryfie" robi komunista Seweryn.

- Milcz! - krzyknęła matka. - Na litość boską, milcz, bo spiorę was obydwój. No, rusz się - zwróciła się do Tomaszka. - Dlaczego tu jeszcze stoisz? Przynieś torbę i swoje rzeczy. Najpotrzebniejsze.

Tomaszek podszedł do szafy, otworzył ją, ale stał przed nią bezradny. Łucka płakała rozdzierająco, starała się znowu zagarnąć syna w swoje objęcia, unieruchomić go, zatrzymać. Konkowa odepchnęła ją od niego, aż potoczyła się na ścianę.

- Mówię ci, że cię spiorę i nawet sam pan Lohmann ci nie pomoże. Może jestem już całkiem stara i zupełnie do niczego, ale matka twoją nie przestałam być i babką tego ślamazarnego gówniarza. Pośpiesz się! - krzyknęła. - Twemu ojcu grozi tu niebezpieczeństwo! Życie narażał, żeby tu przyjść po ciebie!

Tomaszkowi ręce się trzęsły, wyciągał z szafy jakieś koszule, swetry i skarpety, padało to wszystko na ziemię, plątał się w tym i szamotał. Babka odsunęła go gniewnie.

- Jesteś zupełnie do niczego. Najwyższy czas, żeby ojciec się tobą zajął! - Sama przyniosła z drugiego pokoju torbę i wepchnęła w nią rzeczy wnuka.

Łucka wciąż płakała, ale coraz ciszej i jakby z bolesną kapitulacją. Krzysztofowi w końcu zrobiło się jej żal.

W dalszym ciągu doznawał pełnego pomieszania uczuć.

Był w domu, który razem z Łucką budowali, w mieszkaniu, do którego wspólnie wybierali meble i firanki. I tkwiło w tym wszystkim tyle dobrych wspomnień. Nie mógł ich podeptać.

Nie mógł wyjść stąd tak, jakby tamte lata i sprawy w ogóle nie istniały.

Zbliżył się do Łucki, wziął jej dłoń, pocałował.

- Wierz mi - powiedział. - Tak będzie lepiej.

- Tak was kochałam - szepnęła. - Boże jedyny! Tak was kocham! I za co na mnie ta kara? Za co? Ciepłe rzeczy wzięłeś? - krzyknęła za Tomaszkiem. - Krzysztof. Nie jesteś głodny?

Dopiero teraz matka przygarnęła ją do siebie i trzymała ją mocno, gdy oni powoli wychodzili z mieszkania.

Zabrawszy Julitkę, wydostali się przez podwórze na ulicę Bema, prawie pustą o tej porze. Przez drogę prawie nie rozmawiali. Tylko Julitka od czasu do czasu szeptała coś do Tomaszka, który odpowiadał jej mruklawie. Dotarli szczęśliwie do starego domu, gdzie kobiety przygotowały im już posłania na noc.

Krzysztof spał na jednym sienniku z Tomaszkiem i sądził, że ta przymusowa bliskość stanie się prawdziwym zbliżeniem, że zaczną ze sobą rozmawiać jak ojciec z synem, że powróci dawne zaufanie i potrzeba szczerości, którą zawsze starał się podtrzymywać w swoich dzieciach. Ale nic takiego nie nastąpiło. Tomaszek milczał, ułożył się na boku twarzą do ściany i trwał tak bez ruchu, choć Krzysztof wiedział, że nie śpi. O którejś godzinie nocy usłyszał, że Tomaszek płacze. Ogarnął go niepokój, niedobre, męczące, pełne wątpliwości myśli nie opuszczały go do rana.

Wyszli od Sewerynowej o świcie, kiedy tylko na ulicy rozległy się kroki pierwszych przechodniów. Najlepiej było wmieszać się w tłum podążających do pracy o tej wczesnej godzinie, wiedzieli o tym - o szóstej zaczynała pracę

pierwsza zmiana w porcie, w stoczni, nawet w Kriegsmarine-Arsenal, w pralni i warsztatach. Kobiety - Sewerynowa, pani Helena i Marynka - także były już gotowe do drogi. Wyszli razem i szli tak aż do Grabówka, gdzie musieli się rozstać. Kobiety skręcały w lewo, ku zabudowaniom Arsenalu, mężczyźni mieli iść jeszcze kawałek ulicą, ku Chyloni, poza którą zamierzali wejść w las na dalszą pieszą wędrówkę.

Trzeba się było pożegnać, nie zwracając na siebie uwagi przechodniów.

- Bywaj - rzekł Seweryn do żony.

- Bywaj - odpowiedziała, z trudem dobywając to słowo ze ściśniętego gardła.

Krzysztof, idący przez cały czas przy boku pani Heleny, wziął jej rękę, ścisnął w swojej dłoni.

- Kiedy...? - zapytała. - Kiedy znów się zobaczymy?

- Nie wiem.

- Czasem zdaje mi się, że... nie przetrzymamy tego... że nie zdołamy... nie potrafimy... Nie starczy sił.

- Oni także nie mają ich już tyle, co na początku.

- Ale mogą nas jeszcze... to jeszcze mogą... I dlatego tak trudno się rozstawać... Nie mieliśmy nawet chwili na spokojną rozmowę.

- I kiedy mnie nie ma, rozmawiam z tobą. Nie czujesz tego? Nie słyszysz? Nie dochodzi do ciebie to jedno słowo, które wciąż powtarzam...?

- Krzysztof- zaczęła powoli, jakby z namysłem - Co stało się z naszym życiem?

Zrozumiał, że nie myślała o wojnie, tylko o wojnie - i nie znalazł odpowiedzi. Przez chwilę widział siebie przed maszynym kontuarem Pawilonu owego wieczora, kiedy Wołodia zaprowadził go tam po raz pierwszy i kiedy wszystko zaczęło się tak dobrze... tak dobrze, że od razu nie można było mieć nadziei, żeby było tak zawsze.

- Do widzenia, najpiękniejsza, najlepsza pani Heleno!

- powiedział Seweryn, nie wiadomo dlaczego akurat teraz przypominając dawne słowa Wołodi.

- Mój Boże! - szepnęła. - Jak to było dawno... Do widzenia! Wracajcie szczęśliwie!

Krzysztof milczał, chłonał wzrokiem jej twarz z nienasyconym pragnieniem zapamiętania jej wyrazu, oczu, ust, bolesnych zmarszczek w ich kącikach. Rozstawali się tyle razy, a nigdy tak ostro nie ugodziła go myśl, że już jej nie zobaczy, że oto dzieje się to po raz ostatni i naprawdę. Rzucił się za nią, ale spojrzenie Seweryna przywróciło mu przytomność. Więc tylko patrzył, jak odchodzi, jak się oddala, jak maleje w zwężającym się ku leśnym wzgórzom promieniu ulicy, jak zaczyna biec, żeby w tym pośpiechu nie móc już się zatrzymać, odwrócić głowy...

Seweryn dotknął jego ramienia.

- Dostyć roztkliwiań - powiedział. - Dostyć słabości.

Tomaszek spojrzał na niego z nieprzyjazną niechęcią.

Już pierwszego dnia, kiedy znaleźli się w swojej kryjówce w Szemudzie, poderwano ich do alarmu. Nie miał to być

zwykły, nękający Niemców - żandarmerię, urzędy gminne

i osiedleńców - wypad. Zgrupowano trzy oddziały: Mi-

chałka, Kamińskiego i Dejki, trzy najlepsze w całej okolicy

oddziały, zanosilo się na coś poważnego.

- Zostaniesz tutaj - powiedział Krzysztof do syna, pośpiesznie sprawdzając broń, wsadzając do kieszeni naboje.

- Gdzie? - spytał Tomaszek, rozglądając się po niskiej ziemi, oświetlonej nikłym blaskiem dnia, przeciekającym przez zbite nieszczelnie i przysypane słomą deski stropu. Usta mu drżały.

- Tutaj - powtórzył Krzysztof. Zapinał pas, nie miał czasu na rozmowę. Michałko, listonosz z zawodu, ale podoficer rezerwy, był surowym dowódcą.

- Pójdę z tobą! - Tomaszek uchwycił się ramienia ojca.

- Nie. Nie jesteś przeszkolony, a może... może być niebezpiecznie. Czekać tu na mnie, aż wrócę.

Tomaszek nie puszczał ramienia ojca.

- A jeśli... nie wrócisz?

Krzysztof zdołał się już uwolnić z rozpaczliwego uchwytu syna, po tych jego słowach jednak zatrzymał się przy wyjściu z ziemianki.

- Jeśli nie wrócisz? - powtórzył Tomaszek.

Pytanie było rozsądne i starał się rozsądnie na nie odpowiedzieć. Przede wszystkim rozsądnie. Dosyć roztkliwian i słabości, powiedział Seweryn. Co dnia, co godziny trzeba było sobie o tym przypominać.

- Powiem o tobie dowódcy. Zostaniesz w jego oddziale.

- A... kto mi da tu jeść? - spytał Tomaszek.

- Zanim wrócimy, gospodyni cię nakarmi. To wszystko nasi ludzie. Tylko pamiętaj, żebyś stąd nie wychodził.

Na ostatnią przestrożę Tomaszek nie odpowiedział, Krzysztof nawet na to przez chwilę czekał, ale czas naglił i nie mógł się już dłużej zatrzymywać. Wyszedł z ziemianki, dołączył do grupy, w której omawiano już cel i plan wyprawy.

Chodziło o lotnisko ćwiczebne Luftwaffe w Strzebielinie, wypad prowadził ktoś z komendantury głównej, a może komendant powiatowy "Gryfa", którego bliżej nie wtajemniczeni członkowie organizacji, a Krzysztof do takich właśnie nie należał, znali tylko z pseudonimu "Ferrum".

Zaufanie do dowódców rodziło się w boju, nauczył się tego w ciągu dwunastu dni u boku pułkownika Dąbka

- teraz pragnął, żeby ten człowiek, którego nigdy dotąd nie widział, okazał się godnym postępujących za nim żołnierzy, żeby w niczym ich nie zawiódł, przede wszystkim ich dumy i ich nadziei. Doświadczenia ostatnich miesięcy były gorzkie, pogłębiający się antagonizm między dwoma komendantami

Rady Naczelnej "Gryfa", Dambkiem i "Rysiem" - Gierszewskim, doprowadził do wyroku śmierci, jaki Dambek wydał na ukrywającego się przed swoimi w leśnym

bunkrze Gierszewskiego. Ta śmierć, ten wyrok, którego słuszności nikt nie mógł ani udowodnić, ani dociec, oraz mnożące się wciąż wyspy i aresztowania członków organizacji przez coraz lepiej orientujące się w jej działalności gestapo

- doprowadziły do tego, że ks. ppłk Wrycza z Wiela, który był w organizacji najwyższym autorytetem, odsunął się od niej, nakazawszy uprzednio zniszczenie wszystkich jej dokumentów, a spisu członków przede wszystkim. Wzrastające wciąż aresztowania dowodziły, że tego nie uczyniono, że

w dalszym ciągu największą chlubą "Gryfa" byli ci domokrażni agitatorzy, którzy z krzyżem i notesem w kieszeni krążyli po wsiach, wciągali na listy nowych członków i sympatyków, sprzedawali im wydawane z okazji świąt narodowych znaczki, aby dochód z nich, idący w setki tysięcy marek, przekazywać do kasy głównej "Gryfa". Niczego się więc nie nauczono w ciągu tych dwu okrutnych lat, podczas których drobne dywersyjne zwycięstwa okupowane były stratami wielkich bitew. Krzysztof starał się trzymać na uboczu konspiracyjnego nurtu organizacji. Jak i Seweryn - był tylko żołnierzem, nawet do swego stopnia oficerskiego się nie przyznawał, pobyt w Stutthofie był dla niego wystarczającą legitymacją i tylko do niej się ograniczał, chętnie poddając się rozkazom kolejnych dowódców. Temu, który dowodził dzisiejszą akcją, życzył z całej duszy powodzenia i szczęścia, nie tylko z tego powodu, że zależało od tego także i jego własne życie.

Seweryn myślał tak samo. Posuwali się lasem w kierunku północno-zachodnim i tylko w chwilach, gdy padali na mech dla krótkiego odpoczynku, mogli zamienić ze sobą kilka słów.

- Zawsze tak było - mówił Seweryn - w całej naszej historii. Tylko walka ludzi na dole, tylko walka szeregowych działaczy i żołnierzy była czysta. Na górze były przede wszystkim osobiste ambicje, dzielenie nie osiągniętych jeszcze zasług, walka o przypisywanie sobie nie odniesionego jeszcze zwycięstwa. Nie wiem, może gdybym był wodzem najniższej nawet rangi, ta pycha także by mnie ogarnęła. Ale na szczęście byłem zawsze w szeregu, nigdy na jego przedzie.

- Mój drogi - powiedział Krzysztof z nagłą, nie wiadomo czym aż tak gwałtownie pobudzoną serdecznością - zawsze cię za to kochałem.

- Co to znaczy... - zmieszał się zaskoczony tym Seweryn - skąd te słowa... dlaczego...?

- Nie wiem dlaczego - odpowiedział.

Atak na lotnisko był dobrze przemyślany. Po obezwładnieniu wart całą załogę lotniska, napadniętą podczas snu i w absolutnym poczuciu bezpieczeństwa - zamknięto w jednym z pomieszczeń magazynu. Z innych załadowano na samochód dziesięć skrzyń amunicji karabinowej, kilka skrzyń granatów, dwa lekkie karabiny maszynowe, pełne komplety umundurowania, dwie maszyny do pisania i papier. Listonosz Michałko ponaglał swoich ludzi, sam stał w drzwiach magazynu, śmiał się i płakał. Duży samochód ciężarowy, również zarekwirowany na lotnisku, ledwie mógł pomieścić wszystkie skrzynie, takiej zdobyczy jeszcze nie mieli.

Kiedy samochód odjechał w stronę lasu, przystąpili do niszczenia samolotów. W hangarach i na płycie lotniska stało sześć maszyn. Najprościej byłoby je podpalić, ale ściągnęłoby to uwagę okolicznych posterunków. Trzeba więc je było rozbić i rozmontować, uczynić niezdatnymi do dalszych lotów, a nawet remontu. Przed świtem i z tym byli gotowi. Zbierali się do odwrotu w poczuciu pełnego zwycięstwa. Krzysztof już je układał w opowieść, którą jak najprędzej pragnął przekazać Tomaszowi. Nie kryli się po norach jak szczury - walczyli i zwyciężali, to musiało przemówić do

wyobraźni i uczuć chłopaka.

Odchodzili w las tak, jak tu przyszedli, grupami przeskakując szosę. Tylko mały oddział został w odwodzie dla powstrzymania Niemców, którzy udawaliby się na lotnisko. Może część załogi miała przepustki lub w ogóle nocowała w mieście, należało przeszkodzić zbyt wczesnemu odkryciu napadu na lotnisko.

Dopiero w połowie drogi Krzysztof zorientował się, że Seweryn został w tej grupie. Chciał zawrócić, ale cały oddział posuwał się naprzód i Krzysztof musiał w tym pośpiesznym marszu przez ledwie rozjaśniony pierwszym świtem las znaleźć dowódcę, żeby uzyskać zgodę na odłączenie się od oddziału. Nie było to łatwe, przedzierał się przez gąszcz, omijając dukty, pełzali przez polany, przypadali do mchu, gdy płoszył ich jakiś odgłos - i wciąż byli dalej, wciąż dalej od tych, którzy zostali, zaczajeni przy wjeździe na lotnisko. Kiedy wreszcie odnalazł Michałka, odsadzili się już kilkanaście kilometrów od Strzebielina.

- Chcesz wracać? I po co? - zdumiał się.

Krzysztof nie umiał mu tego wyjaśnić. Bał się, że przyznać się do niepokoju, który go trapił, poczytane zostanie za inteligencką słabość, tak tępioną przez podoficerów wszystkich armii świata.

- Może trzeba wzmocnić ten oddział - zaproponował słabo.

- Jest dostatecznie mocny - odpowiedział Michałko.

- Wracaj do syna.

Przez całą resztę drogi starał się stłumić w sobie niepokój i oddać się wyłącznie radości z odniesionego triumfu, tym ważniejszego i większego, że miał opowiedzieć o nim Tomaszкови, że miał zachęcić syna odniesionym dziś zwycięstwem do podejmowania nowych partyzanckich wypadów, do walki u boku ojca.

Ale Tomaszka w bunkrze nie było. To niemożliwe, pomyślał w popłochu, to niemożliwe. Może tylko tak mu się wydawało? Może spał gdzieś wsunięty w najciemniejszy kąt? Krzysztof krzyknął. Raz i drugi. Nikt się nie odzywał. W gorączkowym pośpiechu obmacał dłonią wszystkie sieniki, przykryte derkami. Były puste. Krzyknął jeszcze raz, ale już bez nadziei, że usłyszy odpowiedź. Czuł w skroniach gwałtowne pulsowanie krwi. Do ziemianki wsuwali się pozostali członkowie grupy, których wyprzedził, spiesząc się do syna. Michałka jeszcze nie było, najwidoczniej przeliczał wchodzących, zawsze chciał być pewny, że wszyscy są na miejscu. Krzysztof drugim wyjściem z ziemianki przedostał się w obejście gospodarskie, do którego przylegała. Znalazł gospodynię przy dojeniu krów.

- Mój syn...-zachłysnął się tym pytaniem-mój syn... zostawiłem go w ziemiance...

Kobieta odsunęła chustkę z czoła, patrzyła na niego jakoś dziwnie.

- Zaniosłam mu przed wieczorem mleka i chleba, nawet chwilę z nim pobylam, bo żał mi było, taki młody. Ale on powiedział, że tu nie zostanie, że nie może tu zostać...

- Nie ma go w ziemiance - wykrztusił Krzysztof.

- Bo już uciekł. Widocznie zaraz uciekł, jak tylko się najadł i napił. Mój mąż uważa, że trzeba zaraz zameldować

o tym Michałkowi.

- Ja mu powiem - powiedział Krzysztof.

Michańko jednak sam juŹ zorientował się w sytuacji. Był w bunkrze i powitał Krzysztofa chmurnym pytaniem:

- Szukałeś go?

Krzysztof milczał. Nie mógł zebrać myśli.

- Nie masz go co szukać - mówił Michańko. I zaklął.

- Psiakrew! Źe teŹ nigdy nie dowierzam swojemu przeczu-
ciu. Ten zasmarkany gówniarz od początku wydał mi się
podejrzany.

- Podejrzany? - powtórzył Krzysztof, ugodzony w sa-
mo serce. Oburzenie nie mogło stłumić w nim wstydu, który
juŹ się rodził i który - wiedział - nigdy nie miał go juŹ
opuścić. - AleŹ ja... - wyjąkał - ja ręczę za niego.
Widocznie przelał się, za młody jeszcze, ale ja ręczę, Źe jest
rozsądny i...

- Ty jesteś ojcem - przerwał mu Michańko - ty moŹesz
za niego ręczyć i być pewnym, Źe nie ściągnie nam biedy na
głowę. Ale ja jestem dowódcą mego oddziału i odpowiadam
za kaŹdego człowieka. Psiakrew! - zaklął znowu. - Taka
dobra kryjówka! I bezpiecznie tu, i Źarcie nie najgorsze!
Krzysztof nie wierzył własnym uszom. Bolesne pulsowa-
nie krwi rozsadzało mu skronie.

- Nie będziemy przecieŹ... nie musimy przecieŹ z tego
powodu zmieniać bunkra...?

- A cóŹeś ty myślał? - krzyknął Michańko, wreszcie
dając upust hamowanej wściekłości. - Źe będę tu siedział
i czekał, aŹ mi szczeniak Niemców na łeb sprowadzi?
Chłopaki! - krzyknął. - W drogę!

- AleŹ... - zaczął Krzysztof, ale nie zdołał juŹ wykrztu-
sić ani słowa.

- W drogę! - powtórzył Michańko. - PrędeŹ!

W ziemiance rozległy się przekleństwa i narzekania.

Ludzie byli zmęczeni i głodni, przyzwyczajeni do bunkra,
który był naprawdę lepszy od innych.

Wlekli się wiele godzin przez las do następnej kryjówki,
którą mieli w tych stronach. Krzysztof w zupełnym osamot-
nieniu. Często szli tak, nie odzywając się do siebie, wymaga-
ło tego bezpieczeństwo, ale teraz - czuł to - było to
milczenie innego rodzaju. Kiedy jednak zostawał na końcu
oddziału, od razu wyrastał ktoś koło niego - zrozumiał, Źe
jest pilnowany, Źe Michańko nakazał to swoim ludziom.

Teraz nawet chęć pozostania z oddziałem, strzegącym drogi
na lotnisko, świadczyła przeciwko niemu. Michańko mógł to
sobie połączyć z ucieczką Tomaszka i Bóg jeden wiedział, do
jakich dochodził teraz wniosków. Nieufność byłego listono-
sza była jedną z głównych jego zalet, Krzysztof jednak
przyjął ją jak policzek. Wiedział, Źe wiele upłynie dni, a moŹe
tygodni, zanim odzyska zaufanie dowódcy i jego ludzi. Nie
czekało go lekkie Źycie w oddziale. Nieobecność Seweryna
potęgowała uczucie osamotnienia. I niepokój, czy prędko się
odnajdą.

Las, przez który szli, jaśniał urodą wczesnego lata. Zielen
młodych liści nie obeschła jeszcze z nocnej rosy, słońce
zapalało jej krople nagłym blaskiem wśród gałęzi. Ptaki
odzywały się w wysokich koronach drzew, las był ogromną
filharmonią, ale tego dnia nie miał słuchaczy jej koncert.

Krzysztof potykał się na kamieniach, ukrytych wśród mchu, korzeniach wystających z ziemi, zapadał w rozpadliny i wykroty. Szedł, nie widząc prawie nic przed sobą. Przeżył od początku wojny wiele tragicznych chwil. Ale nigdy jeszcze nie było mu tak ciężko.

XXV

Joe-mikser, nigdy nie nazywany inaczej w domu na Świętojańskiej, choć cała Gdynia – cała niemiecka jej ludność – znała go jako starszego asystenta kryminalnego Hansa Miihidorfa, zatrzymał Łuckę w bramie. Mijała go pospiesznie, z opuszczonymi oczyma, niechętna temu spotkaniu i czekającej ją rozmowie. Nie zraziło go to.

– Pani Grabieniowa – zaczął. – Mam tego Seweryna Turka. Znowu go mamy.

– Jakiego... Seweryna Turka? – zapytała Łucka.

– Niech pani nie udaje, że go pani nie pamięta. Przyjaźnił się z pani mężem. Twierdzi, że on nie żyje.

Łucka zaczerpnęła tchu. Torbę z zakupami przełożyła do drugiej ręki.

– Mój mąż?

– Pani mąż. – Joe nie spuszczał z jej twarzy uważnego, czujnego jak u tresowanych psów spojrzenia. – Myślałem, że ta wiadomość, wobec braku pewności...

– Jakiego braku pewności? – odpowiedziała Łucka z dobrze udanym, żałobnym tonem w głosie. – Przecież tę wiadomość, że mąż nie żyje, otrzymałam ze Stutthofu.

– Ze Stutthofu otrzymała pani wiadomość, że go tam nie ma – sprostował z naciskiem były mikser.

– A co w takim liście może znaczyć "nie ma"? – zapytała Łucka wciąż z tą samą, tym razem prawdziwą żalością. Przypomniało jej się, że kiedy ona otrzymała ten list, Krzysztof był już na wolności, uratowany przez Tereszkową. Nie przez nią, nie przez nią, ale przez tamtą!

– Powinna pani nauczyć się już wierzyć każdemu niemieckiemu słowu.

– Panie Joe – zaczęła Łucka, ale jej przerwał:

– I niech mnie pani tak nie nazywa, bardzo proszę!

Łucka zdobyła się na odwagę, o którą nigdy by siebie nie podejrzewała. Powiedziała z leciutkim uśmiechem:

– Gdyby pan od razu zameldował się u mnie jako Hans Muhklorf, nie zwracałabym się do pana inaczej.

– No, już dobrze – burknął. Chciałem pani tylko powiedzieć, co zeznał ten Seweryn Turek.

– A gdzie... gdzie go złapano...? – spytała, tym razem nieudolnie udając brak specjalnego zainteresowania. Lokator z trzeciego piętra znów patrzył na nią z czujnością tresowanego psa.

– Gdzie? – zaczął powoli. – Gdzieś za Wejherowem.

Dostał postrzał w nogę i nie mógł uciekać.

– Jest w szpitalu? W Gdyni? – zaczęła pytać gorączkowo Łucka.

Hans Miihidorf uśmiechnął się, mrużąc oczy:

– Nie. Rana szybko się zagoiła. Jest już u nas. Do widzenia pani.

– Do widzenia – szepnęła Łucka.

Biegł już w górę po schodach, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał.

- A jak się czuje Tomaszek? Bo... zdaje się, że ostatnio niedomagał?

- Już mu przeszło - Łucka zdobyła się na uśmiech.

- Zdrow jak koń.

- To dobrze - powiedział. - To bardzo dobrze.

Co go w tym tak cieszy? - zdenerwowała się Łucka. Ręka jej się trzęsła, kiedy usiłowała otworzyć drzwi. Ogarnęła ją panika. Ludzie w mieście opowiadali o jękach, jakie dochodziły z gmachu gestapo na Kamiennej Górze. Można było mieć pewność, że i Seweryn zostanie poddany torturom...

Konkowa od razu zwróciła uwagę na dziwny wyraz twarzy córki.

- Co się stało?- zapytała natychmiast.

- Co się stało! Co się stało! Mama zawsze pyta, co się stało! - parsknęła Łucka. Miała zamiar ukryć przed matką informację o aresztowaniu Seweryna Turka i związaną z tym swoją nową udrękę. Ale zabrakło jej siły, żeby samej to znieść. - Seweryn Turek jest na gestapo - jęknęła.

- Kto ci to powiedział?

- Mikser! Przed chwilą na schodach. Ma jakiś cel w tym, że mi to powiedział. Te jego oczy, żeby mama widziała jego oczy!

- Zawsze zamykam swoje, kiedy mijam go na schodach.

Nogi jeszcze kiedy przez to połamię.

- Kiedy zaczną go bić - Łucka chwyciła się za głowę

- kiedy zaczną mu wbijać drzazgi pod paznokcie, wsypie Krzysztofa. Wyśpiewa, gdzie jest.

- Oszalałaś! - szepnęła ze zgrozą Konkowa. - Opamiętaj się!

- Wyśpiewa! Wszyscy się załamują. A niektórzy jeszcze przed biciem. Seweryn zawsze mi na takiego wyglądał.

A Krzysztof tak mu wierzył, tak mu wierzył!

- Opamiętaj się - powtórzyła matka, ale już słabszym głosem. - On nic nie powie.

- Nie powie? - Łucka zaśmiała się piskliwie. W gorzkiej ironii tego śmiechu była wieloletnia jej niechęć do Seweryna, strach przed wpływem, jaki miał na jej męża. Wołodię Jazowieckiego lubiła, dzieci go nawet kochały - Seweryn Turek budził tylko lęk, który oto dopiero teraz miał być w pełni uzasadniony. - Wszystko powie. Zawsze był mocny tylko w gębie. Książkę by można było napisać z tego, co gadał.

- Może nie był z Krzysztofem? - starała się ją uspokoić matka. - Może nie wie, gdzie on jest?

- Wie! - z ponurą żalością pokiwała głową Łucka.

- Tego jednego mogę być pewna. Na nasze nieszczęście tego mogę być pewna!

- Czy... mam powiedzieć Sewerynowej o aresztowaniu męża?

Łucka popatrzyła ostro.

- Mama tam chodzi?

- A dlaczego nie? Przecież to nasz dom. Zawsze tam chodziłam.

- Ciasno tam teraz - powiedziała Łucka z niechęcią.

- Jeszcze i dla mnie znajdzie się miejsce. Nawet pierwsze przy stole.

Łucka zamilkła.

- Niech jej mama lepiej nie mówi - powiedziała po chwili. Głos jej się zmienił, brzmiał teraz miękko.

- Po co ma się martwić? Nic mu nie pomoże, to po co ma oczy po nocach wypłakiwać, wyobrażać sobie, jak go bija i męczą?

Ale Seweryna nie bito. Jeszcze go nie bito. Na razie miał mu wystarczyć widok storturowanego więźnia, którego wrzucono mu do celi. Od momentu, kiedy przywieziono go tu ze szpitala, siedział sam. Teraz miał towarzysza, a także wyobrażenie, do czego prowadzi nieudzielenie odpowiedzi na stawiane podczas badań pytania. Człowiek, rzucony na ziemię, jęczał cicho. Seweryn ułożył go na pryczy, podał mu wody. Pił chciwie, ale patrzył nieufnie i wciąż milczał - i tutaj nie miał zamiaru odpowiadać na żadne pytania. Seweryn nie dowiedział się więc, kim jest i dlaczego zajęło się nim gestapo. Następnego dnia znowu wzięto go na przesłuchanie. Aż do celi, w której siedział Seweryn, aż do piwnic budynku dochodził krzyk i odgłosy uderzeń. Ze ściśniętym sercem czekał na powrót swego współtowarzysza. Nie mylił się, to on musiał krzyczeć, bo wniesiono go w jeszcze gorszym stanie niż pierwszego dnia. Seweryn znowu podał mu wody, obmył z krwi czoło. I tym razem nie rozmawiali - storturowany, posiniaczony i pokrwawiony człowiek wciąż patrzył nieufnie.

Odezwał się dopiero po kilku dniach, patrzył w ścianę i Seweryn nie widział jego oczu.

- Dlaczego ciebie nie biorą na przesłuchanie?

- Już mnie przesłuchiwali.

- Nie wyglądasz na to.

- Nie wyglądam?

- Nie. Spójrz na mnie.

Seweryn zrozumiał - był brany za kapusia, za wtyczkę gestapo w tej celi. Najpierw poczuł się upokorzony, a potem zachciało mu się śmiać.

- Człowieku - powiedział. - Za kogo mnie masz?

- A to niemożliwe? - spytał tamten.

- Możliwe.

- Rodzonemu bratu bym teraz nie ufał. A zresztą

- dodał zaraz - nie mam nic do powiedzenia. Zabrali mnie przez pomyłkę.

- Mnie też - powiedział Seweryn.

- Ciebie też?

- Tak.

- Też... przez pomyłkę?

- Przecież mówię.

Skatowany człowiek z wysiłkiem odwrócił ku Sewerynowi głowę.

- Zostawię ci wiadomość dla mojej rodziny... dla rodziny i jeszcze dla kogoś... Zawiadomisz ich, gdybym tu umarł... przekażesz wiadomości... Bo pewnie puszczą cię niedługo, skoro jesteś niewinny...

- Też tak myślę - powiedział Seweryn cicho.

Sam nie wiedział, dlaczego się tak zachował wobec tego człowieka. Może udzieliła mu się jego nieufność, a może instynkt podpowiedział mu taką właśnie reakcję na jego słowa. Tego dnia i jego wzięto na przesłuchanie. Prowadził

go ten sam przystojny blondynek w mundurze unterscharfuhrera, który przesłuchiwał go już uprzednio. I pytania były te same. O Związek Transportowców i pozostałych w Gdyni jego członków. O ucieczkę z podobozu Stutthof w Oliwie. O kontakty z "Gryfem". Aby powtórzenie było idealne, Seweryn nie zmienił ani na jotę swoich odpowiedzi. Z członkami związku nie miał żadnych kontaktów, większość ich zresztą została z Gdyni wysiedlona, Rusinek był w Stutthofie. Ucieczki z Oliwy dokonał sam, bez niczyjej pomocy, skorzystał z nieuwagi wartownika, a Krzysztofa Grabienia, o którego go i tym razem zapytano, nie było w ogóle w tej grupie, umarł w Stutthofie. O "Gryfie" nic nie wiedział. Nie należał do tej organizacji.

- A broń? - spytał leniwie płowy funkcjonariusz gestapo. - Złapano cię z bronią w ręku. Skąd ją miałeś i do czego ci służyła?

Opowiedział jeszcze raz historyjkę o znalezieniu porzuconej broni i używaniu jej wyłącznie w celu zdobycia jedzenia u rolników.

- Niemców?

- Niemców i Polaków.

- Ich także musiałeś straszyć bronią?

- Także - odpowiedział.

Wiedział, że gestapowiec nie wierzy żadnemu jego słowu.

Wyglądało na to, jakby przepowiadali sobie scenę, którą mieli zagrać w amatorskim teatrze. Do czego to wszystko zmierza? - zadawał sobie pytanie i nie było na to dobrej odpowiedzi.

- Ty, człowiek o lewicowych przekonaniach - gestapowiec przechylił się ku niemu ponad stołem, za którym siedział - stary komunista, dałeś się wciągnąć do organizacji, w której rządzą księża i podporządkowani im nauczyciele.

- Nie mam nic wspólnego z "Gryfem".

Gestapowiec zaśmiał się cicho.

- A jednak od razu wiedziałeś, że o "Gryfie" mówię.

- Małe dzieci wiedzą, kto mu przewodzi.

- Czy małe dzieci wiedzą także, że gryfowcy składają przysięgę rządowi sanacyjnemu w Londynie?

- Nie wiem. Nie interesowała mnie tak dalece ta sprawa.

- No, dosyć zabawy - powiedział młody człowiek

w czarnym mundurze, Seweryn nie po raz pierwszy odniósł wrażenie, że widywał go chyba w Gdyni przed wojną.

- Dosyć tej zabawy. Pytam po raz ostatni: Byliście razem z Grabieniem w oddziale "Gryfa"? Braliście obydwaj udział w napadzie na lotnisko w Strzebielinie?

- Nie - powiedział Seweryn. - Nie!

Do pokoju weszło dwóch mężczyzn, bez kurtek, w koszulach tylko, na dworze było upalnie, a prawdopodobnie czekała ich męcząca praca. Seweryn zdawał sobie z tego sprawę.

- Nie - powtórzył.

Gestapowiec westchnął, zanim skinął na mężczyzn w koszulach.

- Nie chciałem tego. Bóg mi świadkiem, sam jesteś winien, zmusiłeś mnie do tego. Chyba zaraz odświeży ci się pamięć.

Nigdy w życiu nie doznał fizycznego bólu, był zawsze chudy, żyłasty jak rzemień, ale zdrowy, nawet zęby go nigdy nie bolały, a w Stutthofie udawało mu się cudem unikać kaźni - nie wiedział więc, co to znaczy cierpienie, jego łamiąca siła, jego upokarzający, rzucający na kolana imperatyw. I on na nie upadł, nie wytrzymał uderzeń, upadł na ziemię i już na niej został mdlejący i cucony na przemian, wyjący jak zwierzę, ale w tym przerażającym głosie, który wydawały jego pokrwawione wargi, nie było ani jednego słowa. A gdy na chwilę przerywano bicie, gdy wylewano na niego konewkę wody i sadzano znów na krzesło, gdy pochylał się nad nim spocony, rozwścieczony jego uporem blondynek, który wydawał mu się wciąż znajomy, krzyczał mu prosto w twarz:

- Nie! Nie! Nie!

Tego dnia jego wrzucono do celi jak zakrwawioną kukłę i jemu więzienny współtowarzysz musiał udzielić pomocy; Obmył mu twarz, przyłożył strzęp jakiejś nasyczonej wodą szmaty do obolałych ust, reszty ran nie było czym opatrzyć.

- Urządzili cię, biedaku - szeptał. - Oni to potrafią.

O co cię pytali?

Seweryn nie mógł mówić, pokręcił tylko głową. ,o

- Ale nic nie powiedziałeś? Jestem pewny, że nic im nie powiedziałeś.

- Nie - wykrztusił Seweryn. I dodał z wysiłkiem. - Bo nic nie wiem.

Współtowarzysz uniósł go właśnie, żeby podsunąć mu więzienną, wypchaną wiórami poduszkę pod obolałe plecy - opuścił go teraz na nią, prawie rzucił.

- Nic nie wiesz?

- Nie.

16 - Tak trzymać t. III 481

- Twardy jesteś - powiedział i zabrzmiało to jakoś dziwnie. ; .

Nie powiedział nic więcej, a po godzinie i jego zabrano na badanie, z którego już nie wrócił. Seweryna zdumiała cisza panująca w budynku. Nie słychać było uderzeń ani ludzkiego wycia. Tylko przed frontem trwał zwykły ruch, zajeżdżały i odjeżdżały samochody, zapalały się i gasły silniki, trzaskały drzwiczki.

Seweryn, opierając się rękami o ścianę, dowlókł się do okna. Zasłaniająca je drewniana kłapa była węższa z jednej strony i zostawiała szparę, przez którą można było widzieć skrawek ulicy i wejście do budynku. Właśnie opuszczała go grupa gestapowców, jeden z nich miał bandażem zawinięte czoło, co zwróciło uwagę Seweryna - uważniej przyjrzał się jego twarzy i na chwilę zabrakło mu tchu. Gestapowcem z bandażem był jego towarzysz z celi - udawał się teraz do domu na zasłużony odpoczynek i rekonwalescencję. Musiał leczyć swoją ranę na czole, tylko ona była prawdziwa. Seweryn zaczął sobie przypominać w popłochu każde słowo, które do niego powiedział. Na szczęście - podświadomie - był ostrożny, ale mogło przecież być inaczej, mogło dojść do zwierzeń, które... O sobie już się nie bał, wiedział, że jego sytuacja jest beznadziejna i nic go nie wyrwie z rąk gestapo, ale mógł zaszkodzić tym, którzy jeszcze w nie nie wpadli. Nie mógł się uwolnić od tych myśli, trapiły go przez

całą noc, a rano zabrano go znów na przesłuchanie. I tym razem nie różniło się od poprzednich. Pytania dotyczyły Związku Transportowców, ucieczki z Oliwy, "Gryfa", napadu na lotnisko w Strzebielinie, Krzysztofa Grabienia... Odpowiadał zdaniami, które już umiał na pamięć. Badający go blondynek bladł i czerwieniał na przemian, wezwał do pomocy nową grupę "badających", bardziej obeznaną w swoim fachu. Seweryn mdlał i zlewany wodą odzyskiwał przytomność, a pragnął już jej nie odzyskać, pragnął nie wrócić z tej kojącej ciszy, w którą zapadał po nowych ciosach, od których mdlały ręce oprawcom.

Trwało to przez tydzień. Siódmego dnia załamał się. Nie mógł już tego znieść - badający, nie badany.

Kazał posadzić Seweryna na krześle, odprawił zziębniętych pomocników, wyjął papierosy, podsunął Sewerynowi.

- Zapalisz?

- Nie.

- Słuchaj. Nie dojdziemy tak do niczego. Ty tu zdechniesz, a mnie wcale nie jest potrzebne, żebyś mi tu zdychał na oczach. Mam dla ciebie pewną propozycję. Tylko weź ją poważnie, to ostatnia dla ciebie szansa. Dobra szansa. Seweryn milczał.

- Dobra szansa! - Blondynek w czarnym mundurze odgarnął z czoła zlepione potem włosy, głęboko zaciągnął się papierosem. - Do diabła ze Związkiem Transportowców.

Mamy w Stutthofie Rusinka, to powinno nam wystarczyć.

Do diabła z ucieczką z Oliwy i z całym tym przeklętym "Gryfem". I tak wyłapiemy ich wszystkich jak przepiórki.

Za dużo myślą o swoich rządach tu po wojnie, a za mało o prymitywnej ostrożności. Sami gubią swoich ludzi, wcale nie musimy im w tym pomagać. Do diabła z tym wszystkim. Skupimy się na jednej sprawie. Dla mnie najważniejszej. Seweryn milczał.

Gestapowiec niżej pochylił się nad stołem. Palce, w których trzymał papierosa, drżały mu lekko.

- Myśl sobie o tym, co chcesz. Możesz uważać, że to mój kaprys, skoro macham na tamto ręką, a na tym jednym mi tak zależy. Muszę go mieć. Tak. Muszę mieć Krzysztofa Grabienia.

- Nie żyje.

- Żyje! Wiesz o tym tak samo dobrze jak ja.

- Umarł w Stutthofie.

- Nie umarł. Jest tam bałagan, to prawda, ale nie w tej jednej sprawie, umarłych zapisują skrupulatnie. I nawet tą drogą nikt się stamtąd nie wywinie bez ewidencji. Bez dokładnej ewidencji.

- Krzysztof Grabień nie żyje - powtórzył Seweryn.

Gestapowiec załomotał pięściami o biurko.

- Żyje! Jestem pewien, że kontaktuje się z rodziną i ty o tym dobrze wiesz. Czy mam zapytać o to twoją żonę?

Seweryn wciąż milczał, ale wyraz oczu musiał mu się zmienić i nie uszło to uwagi gestapowca.

- Widzisz! Mogę to w każdej chwili uczynić, chyba zdajesz sobie z tego sprawę. Ale nie jestem takim sukinsynem, za jakiego mnie masz. To ty byłeś zawsze sukinsynem w stosunku do swojej żony. Plątały ci się jakieś mrzonki po

głowie, ludzi chciałeś uszczęśliwiać, a nie pomyślałeś o tym jednym człowieku, którego przez całe życie miałeś przy sobie. Wszystko to wiemy. Nie za wiele ci zawdzięczała twoja żona, więc nie będziemy jej obarczać odpowiedzialnością za ciebie, nawet gdyby mi to miało pomóc w sprawie. Pracuje uczciwie w Kriegsmarine-Arsenal i nie będę burzyć jej spokoju. Bo i bez tego dowiem się od ciebie, gdzie przebywa Krzysztof Grabień.

- Powiedziałem już, że nie żyje.

Gestapowca zaczynał opuszczać z trudem utrzymywany spokój. Znowu załomotał pięściami o biurko.

- Żyje tak samo, jak ty i ja. Ostatni raz pytam, gdzie jest?

Seweryn zamilkł.

- Gdzie jest?

Seweryn przymknął powieki, dłonie zacisnął na kolanach.

Oddychał głęboko.

- Gdzie? - zawył człowiek za biurkiem. Wybiegł zza niego, przyskoczył do drzwi, otworzył je szeroko. - Brać go! -- zawołał. - I nie oszczędzajcie się!

Gdy wyciągano Seweryna na korytarz, pochylił się nad nim.

- Ja go i tak będę miał. I właśnie ty, czy chcesz, czy nie, pomożesz mi w tym.

Jeszcze tego samego dnia Joe-mikser zjawił się w Cafe Berlin. Rozejrzał się od progu po sali i usiadł dopiero wtedy, kiedy się zorientował, który rejon należy do Julitki Grabieńówny. Uśmiechnął się do niej, przyzywając ją gestem do stolika.

- Dzień dobry! Co dnia jesteś ładniejsza.

- Wszyscy mi to mówią, proszę pana.

- Wszyscy?

- Prawie. Co panu podać?

- Kawa pewnie jest niemożliwa?

- Zupełnie niemożliwa. Goście narzekają.

- Narzekają? - nastroszył się Joe-mikser, przypominając sobie o powszednich swoich obowiązkach. - Na wojnę też?

- Nie, proszę pana. Mówią tylko, żeby raz wreszcie się skończyła.

- Tak - powtórzył mimo woli. - Żeby raz wreszcie się skończyła... No to co? - oprzytomniał. - Napiję się chyba piwa. Jedno jasne.

- Już podaję - powiedziała zwykłym kelnerskim tonem.

Patrzył za nią, jak oddala się w stronę bufetu, jak wypisuje kartkę z zamówieniem. Nie mógł się zdecydować, kiedy rozpocząć z nią rozmowę, dla której tu przyszedł. Postanowił w końcu, że zagadnie ją dopiero przy płaceniu rachunku. Mimoходом, bez specjalnego nacisku. Wszyscy Grabieńowie wydawali mu się kuci na cztery nogi: mamunia, która sobie wciąż wyobrażała, że Lohmann zawsze będzie mógł ją obronić, ta przyczajona smarkata i nawet ospały z pozoru Tomaszek, mijający go z opuszczoną głową na schodach. Niespiesznie wypił piwo, odliczył pieniądze i rozejrzał się za Julitką.

Podeszła dopiero po podaniu kawy do sąsiedniego stolika.

Schowała pieniądze, pozostawiła napiwek, który dla niej przeznaczył.

- Nie bierzesz napiwków?

- Nie, proszę pana.

- Od wszystkich?

- Od wszystkich.

Chciała odejść, ale ją zatrzymał.

- Mamy tego Seweryna Turka, wiesz?

- Kogo? - zapytała powoli, żeby zyskać na czasie i zebrać myśli.

- Seweryna Turka! Tak się dziwicie, jakbyście go nie znali. Twoja mama, a teraz ty.

- Rozmawiał pan z mamą?

- Oczywiście. Jak tylko go aresztowaliśmy.

- Może on wie coś o tatusiu? - krzyknęła. Patrzyła na niego w ufnym oczekiwaniu, jakby przybył tu tylko po to, żeby przynieść jej dobrą wiadomość o ojcu.

Spojrzał na nią prawie z podziwem.

- Wie - odpowiedział.

- O Boże! - szepnęła. - Co?

- Że nie żyje.

- Więc jednak... - Spuściła głowę, poszukała w kieszeni fartuszek chusteczki do nosa, podniosła ją do oczu. - Skoro i on to mówi...

Muhidorfowi nie odpowiadał obrót, jaki przyjęła rozmowa, a także nie miał zamiaru dopuścić do tego, żeby cała sala widziała, że zmusza do płaczu kelnerkę.

- Uspokój się! - syknął. - Ten Seweryn udaje tylko, że coś wie o twoim ojcu. Ujęliśmy go podczas akcji "Gryfa" na lotnisko w Strzebielinie. Postrzeliliśmy go w nogę, nie udało mu się uciec i ukryć w którejś wsi. Wszędzie są ich ludzie, ale odechce im się konspiracji i udzielania pomocy partyzantom, jak zobaczą którego dyndającego przed gemeindeamtem. Właśnie mamy zamiar w Szemudzie powiesić Seweryna Turka.

- W Szemudzie - bezwiednie powtórzyła Julitka.

Mikserowi zabłyśły oczy.

- W Szemudzie - powtórzył dobitnie.

Był pewien, że haczyk został dobrze zarzucony. Następnego dnia sprawdził, czy Julitka przyszła do pracy. Przyszła.

Wobec tego sprawdził Sewerynową. Ona także była na swoim miejscu w arsenale. To go zbiło z tropu. Zadzwoił do Lohmanna. "Pana Lohmanna nie ma, będzie za godzinę"

- odpowiedział mu głos Grabieniowej. Z wściekłością rzucił słuchawkę. Zaklął najgorszym przekleństwem, jakie znał. Czyżby się pomylił? Czyżby się sam na sobie zawiódł? Ale przypomniał sobie, że w starym domu Konków mieszkała jeszcze Tereszkowa i panna Blok. Ta ostatnia zbyt zajęta była wprawdzie Francuzami, żeby wdawać się w inne sprawy, ale i ją polecił sprawdzić. Obydwie z Tereszkową stały się do pracy i były na swoich miejscach. Kto?

- myślał gorączkowo. - Kto? Bo wciąż był pewien, że pojechał ktoś w teren z przekazaną przez niego Julitce wiadomością.

Wieczorem zaszedł do Grabieniów. Zapytał, czy nie znalazł kto klucza od windy, który zgubił. Skazywało go to na bieganie po schodach przez najbliższe dni, ale postanowił

zdobyć się na tę ofiarę. Drzwi otworzył mu Tomaszek, ale zaraz w przedpokoju zjawiała się Grabieniowa. Oczywiście, nie wiedzieli nic o kluczu.

- A... pani Konkowa? - zapytał, bo tknęła go nagle jakaś myśl, choć z pozoru wydawała się niedorzeczna.

- Może ona znalazła?

- Matki nie ma - odpowiedziała Grabieniowa.

- Kiedy wróci?

- Dziś nie wróci. Wyjechała. Do rodziny.

- Do rodziny? - uśmiechnął się, nie mogąc opanować uciechy.

- Tak - poinformowała Łucka jak na przesłuchaniu.

- Mamy rodzinę pod Puckiem.

- No, to przepraszam - powiedział z niezwykłą uprzejmością.

Ta baba! - myślał. - Ten stary, wścibski babsztyl! Ona!

Julitka musiała przekazać jej wiadomość, że Seweryn Turek ma być powieszony w Szemudzie, doszła także do wniosku, że babka najlepiej się nadaje do tego, żeby zawieźć tę informację ojcu. Musiały zatem wiedzieć, gdzie przebywa

- pod tym względem więc się nie mylił. Co za naród! Co za straszny naród! - powtarzał sobie. Nie tylko mężczyźni, nie tylko ta banda włócząca się po lasach z bronią w rękę, spiskująca w każdym domu - ale i stare baby, i dzieci!

Coraz częściej - mimo sukcesów, jakie odnosiło gestapo

- zdawał sobie sprawę, że nie można walczyć ze wszystkimi;

Że taka walka nigdy się nie kończy, że wszystkich

pokonać nie można. Ale przynajmniej wokół Grabieniów

pętka zaciskała się coraz skuteczniej. Był pewien, że

Grabień będzie usiłował odbić Seweryna Turka z aresztu

w Szemudzie, jak to ostatnio miało miejsce w Kamienicy

Szlacheckiej, gdzie rozbito areszt gminny i uwolniono

więzionego tam członka "Gryfa". Seweryn Turek jednak nie

był na pewno kimś, za kogo gryfowcy chcieliby tłumnie

nadstawiać głowę. Z akt, zgromadzonych w gestapo, wyni-

kało, że był przybyszem, a więc obcym na pomorskim

terenie, a tu takich zbytnio nie kochano i zawsze stawiano

wobec nich pytanie, czego tu właściwie szukali - ponadto

był komunistą, a w tej podporządkowanej Londynowi

organizacji oznaczało to bezustanną nieufność. Wyobrażał

więc sobie, że Grabień będzie miał trudności w zebraniu

chętnych do akcji w Szemudzie, że - być może - będzie

musiał działać sam...

Joe-mikser uśmiechał się do siebie, rojąc te myśli. Po

Grabieniu miała nadejść kolej na resztę mieszkańców dru-

giego piętra w kamienicy, w której on mieszkał wciąż na

trzecim, tylko przez tydzień zajmując pierwsze. Być może te

ambicje były poniżej jego godności, ale lubił doprowadzać

do końca to, co zaczął. A zaczął... No, po pojmaniu

Grabienia Lohmann, wspierający jego żonę, nie będzie już

dawnym Lohmannem. Wszystko odbywało się według pla-

nu, poczuł prawie wdzięczność do Konkowej, że pomogła

mu w jego realizacji.

Już nazajutrz gemeindeamt w Szemudzie otrzymał pole-

cenie przygotowania aresztu dla szczególnie ważnego więź-

nia. Miały zostać wzmocnione kraty w oknie i okucia

u drzwi. Przed gemeindeamtem zaczęto wznosić szubienicę.

Jej budowa przebiegała powoli i z należytych rozgłosem: zwożono i dobierano odpowiednie drewno, raz przeznacza-
no sosnę, raz dębinę dla Seweryna Turka, piłowano i zbijano
pnie, ustawiano na placu wysokie podium, aby egzekucja
była zewsząd dobrze widoczna. Odpowiedzialną tą robotą
kierował przywieziony skądś Niemiec-cieśla, ale do jej
wykonania wyganiano ludzi z pobliskich domów - już po
dwóch dniach cała okolica wiedziała, że w Szemudzie budują
szubienicę dla kogoś bardzo znacznego. Zaczęto nawet
szeptać - i groza padła na naród - że to może samego
księdza podpułkownika z Wielu gestapo po kilku latach
poszukiwań dostało wreszcie w swoje ręce.

Krzysztof po raz drugi rozmawiał z Michałkiem. Obydwaj
byli pewni, że to zasadzka. Ale Krzysztof chciał podjąć to
wyzwanie, a Michałko usiłował go od tego odwieść.

- To szaleństwo - powiedział. - Nie pozwalam ci!

Słyszysz?

- Słyszę. I ten jeden raz nie wykonam rozkazu. Możesz
mnie rozstrzelać.

Obydwaj patrzyli sobie w oczy z rozpaczą. Michałko
uderzył się pięścią w piersi.

- Nie mogę narażać oddziału! Za mało nas. Wiesz
dobrze, ilu nas jest.

- Wezwij na pomoc Dejkę i Lepperta.

- Człowieku! - powiedział tylko Michałko.

- Więc... odmawiasz? - spytał cicho Krzysztof. Był
przygotowany na wszystko. - Chcesz, żebym szedł sam.

- Już ci powiedziałem - krzyknął Michałko - że nie
pozwalam. Nie pozwalam na to! - I dodał po chwili: - Ja
bym szedł... i wziąłbym swój oddział, żeby odbić Seweryna
Turka. Bo co mi do tego, że to komunista? A ja niby kto?
Przedwojenny hrabia?

- Michałko... - zaczął Krzysztof.

Dowódca oddziału nie pozwolił sobie przerwać.

- Listonoszem byłem. W dodatku wiejskim. Powiesz: co
to za różnica miejski czy wiejski? A jednak! Nigdy nie
dostałem zaszczytu noszenia poczty w samym Wejhero-
wie.

W innych okolicznościach Krzysztof powiedziałby nie-
chybnie, że i na wsi musi ktoś roznosić pocztę, teraz jednak
postanowił podsycać rozżalenie Michałka.

- Może nie chciałeś? - wtrącił.

- A, tam! Nie chciałem! - powiedział Michałko gorzko,
ugodzony w najczulsze swoje miejsce. - Wiesz dobrze, że
wszystkie lepsze posady były tylko dla protegowanych.
Wszędzie tak było. A nasz komendant Dambek? Był nauczy-
cielem na wsi. Najpierw w Kobylem, potem w Żarnowcu.

W mieście mu szkoły nie dali. A księdzu Wryczy nie należała
się większa parafia? Choćby dlatego, że podpułkownik. Ale
że nie od Piłsudskiego, a od Hallera, to mu probostwo
w Wielu musiało wystarczyć. A teraz nie te pieszczochy,
które zawsze umiały się tak ulokować, żeby wiatr im w nos
nie dmuchał, ale my za Polskę głowę nadstawiamy.

Krzysztof zaczynał się niecierpliwić. Rozżalenie Michałka
pragnął spożytkować dla sprawy Seweryna, sytuacja "Gry-
fa" była tematem ogromnym i życie jednego partyzanta
wobec różnych jej powikłań znaczyło niewiele. Rozmowa,

w którą wciągnął Michałka, była ostatnim ratunkiem dla Seweryna - wiedział o tym. Może i dla niego samego także, od pierwszej chwili zdecydował się pójść do Szemudu, nawet gdyby miał to uczynić sam. Wiadomość od Konkowej przekazał mu gospodarz, w którego obejściu mieli bunkier, opuszczony przez oddział Michałka po ucieczce Tomaszka. Teraz ta ucieczka mogła okazać się ratunkiem dla Seweryna, bo przecież nikt inny, tylko Tomaszek musiał wytłumaczyć babce, dokąd ma się udać. Ogarnęła go niespodziewana czułość dla syna, prawie gotowość przebaczenia, choć w ostatnich dniach tyłu doznał przez niego upokorzeń.

- Słuchaj - zbliżył się do Michałka, potrząsnął go za ramię - czas ucieka. Powiedziałeś, że ty byś poszedł...

Wezwij Lepperta i Dejkę.

Michałko tarł dłonią swoją nie ogoloną brodę.

- Nie pójda. Nie pójda z nami.

- Dlaczego?

- Będą chcieli wiedzieć, dla kogo narażają życie swoich ludzi. A ja będę musiał im to powiedzieć. Dlaczego Seweryn tyle gadał? Nie mógł się przymknąć? Wszyscy musieli wiedzieć, co myśli? A teraz ja jeszcze mogę dostać po karku, że trzymałem go w oddziale. Porucznik Leppert to wychowanek seminarium nauczycielskiego w Wejherowie, a rodzice mieli majątek w Koleczkowie, jeszcze mu resztówka po nich została...

- Michałko! - zaczął znów Krzysztof ze wzrastającą rozpaczą. - Nie wierzę, żeby było tak, jak mówisz. Nie chcę. Nie mogę w to uwierzyć. Po co bym tu był? Po co bym razem z wami walczył, gdyby miała w nas zostać dawna nieufność, dawne podziały? Wezwij Lepperta i Dejkę, musimy się porozumieć. Życie Seweryna po tym, co powiedziałeś, to coś więcej niż życie jednego człowieka. Coś więcej. Nie rozumiesz tego?

- Rozumiem - powiedział Michałko po długiej chwili. Podporucznik Leppert i Dejko, dowódca oddziału, który również brał udział w napadzie na lotnisko w Strzebielinie, przybyli do nowego bunkra Michałka o zmroku.

Plac przed gemeindeamtem w Szemudzie zasłany był już cały sosnowymi wiórami - szubienica była okazała, z pięknie heblowanych belek, wzniesiona na podium tak gładkim i tak dużym, że chyba ze cztery pary mogłyby na nim swobodnie zatańczyć guligutkę. Poprzez łączność, utrzymywaną z Szemudem, wiedzieli także, że więźnia przywieziono już do aresztu, że wraz z nim przybył oddział żandarmerii z Wejherowa i jacyś cywile.

- Obstawa jest większa, niż myślałeś - powiedział Michałko do Grabienia. Obydwaj czekali na decyzję, która mieli podjąć wezwani na pomoc dowódcy oddziałów. Leppert wysłuchał, milcząc, tego, co mówił Michałko, co musiał - według własnego sumienia - powiedzieć Michałko o Sewerynie. Siedział wyprostowany, z rękawiczkami wsuniętymi za koalicijkę na piersi - Krzysztof zachował tak w pamięci przedwojennych oficerów, swoich przełożonych i kolegów, z którymi odbywał służbę i ćwiczenia. Teraz porucznik Leppert sam jeden w tym otoczeniu był jakby kontynuatorem tego sposobu bycia i myślenia chyba także. Krzysztofa, gdy na niego patrzył, gdy słuchał jego

milczenia, ogarniał coraz większy popłoch, liczyły się już godziny, egzekucję wyznaczono na ósmą rano. Miała w niej uczestniczyć cała wieś.

- Co myślicie? - spytał Michałko ochryple.

- Ja... - Dejko zerknął niepewnie ku Leppertowi - ja myślę przede wszystkim, że to człowiek, który brał udział w napadzie na Strzebielino. I osłaniał nas w odwrocie. Więc zostawić go teraz...

- Pan, panie poruczniku? - zwrócił się Michałko do Lepperta.

Ten nie patrzył na nikogo. Wzrok miał utkwiony w umocnioną palami ścianę bunkra. Wciąż milczał. Krzysztof oddychał ciężko, bał się, że w całej ziemiance słychać ten jego oddech i dudnienie serca.

- Pan, panie poruczniku? - powtórzył Michałko.

- Dla mnie to przede wszystkim Polak - powiedział Leppert krótko. - Polak! Po co nam inne uzasadnienia? Krzysztof usiłował nie dać poznać po sobie, co znaczyły dla niego te słowa, ale chyba mu się to nie udało, bo w dalszej rozmowie Leppert wciąż zwracał się do niego, choć nie on, lecz Michałko był dowódcą oddziału. Ustalili plan działania i rozeszli się do swoich grup. Mieli spotkać się przed świtem w oznaczonym miejscu, trzy kilometry przed Szemudem. Krzysztofowi oddano dowództwo kilkusobowej grupy, której zadaniem było opanowanie dwóch niemieckich domów w pobliżu gemeindeamtu, skąd żandarmeria nie będzie spodziewała się ataku. Oddziały Michałka, Dejki i Lepperta miały posuwać się do wsi i włączać się do akcji w miarę jej rozwoju.

Opanowanie domów dwóch volksdeutschów nie było trudne. W jednym była tylko kobieta z dziećmi, męża powołano właśnie do wojska, w drugim niemłody już gospodarz nie stawiał oporu - związali go z łatwością i razem z żoną, sąsiadką i jej dziećmi zamknęli w piwnicy. Krzysztof poprzydzielał posterunki bojowe w oknach, sam zajął miejsce naprzeciwko aresztu, chciał od początku widzieć wyprowadzenie Seweryna.

Czas dłużył się. We wsi budziło się bydło. W oborach odezwały się porykiwania krów, w stajniach niecierpliwe rżenie koni. Wkrótce na podwórzach rozzwoniły się wiadra, zaskrzypiały kołowroty przy studniach, poszły w ruch sieczkarnie. Nad dachami ukazały się pierwsze wstążki dymów. Rysowały się na niebie pogodnym, bez jednej chmurki, na niebie różowym jeszcze od świtu, ale błękitniejącym z każdą chwilą w czystą, wolną od mgły, stężała jakby nad nieruchomymi sadami barwę nadchodzącego upału.

Krzysztof czuł w żołądku gorzką czczość. Przed wyruszeniem rozdzielono w oddziale zwykłe porcje, ale nie mógł nic przełknąć z podniecenia, a teraz wydawało mu się, że ssie go od wewnątrz jakieś zachłanne zwierzę. Zdawał sobie sprawę, że to nie tyle głód co nerwy - ale wyjął z niemieckiego kredensu bochen chleba i odkroił z niego potężną kromkę. Żuł go jednak bez smaku, a czas włókł się wciąż tak samo opieszale wśród zwykłych wiejskich czynności, które obserwowali zza firanek i doniczek pelargonii, gęsto ustawionych na parapecie okna.

Przed ósmą jednak czynności te ustały i mieszkańcy wsi

zaczęli zbierać się na placu przed gemeindeamtem. Jakaś pięść załomotała w drzwi domu, w którym byli ukryci. Krzysztof zbliżył się do progu, był gotów na wszystko, gdyby łomotanie nie ustało. Ale ktoś, kto miał ponaglić opieszalnych gospodarzy, ograniczył się tylko do zastukania do nich i podążył dalej w swojej misji. Krzysztof wrócił do okna między pelargonie. Ogarniała go co pewien czas fala dreszczy, jak przed ciężką chorobą. Dotknął dłonią czoła, było chłodne. Ale drżenie powracało po chwilowym uspokojeniu. Starał się zwalczać je myślą, że oddziały Michałka, Dejki i Lepperta są już w pobliżu i że włącza się do akcji, jeśli okaże się to potrzebne. Był pewien, że Niemcy nie spodziewają się tak silnego ataku, ale i ta myśl nie łagodziła w nim potęgującego się wciąż podniecenia. Kiedy wyprowadzono Seweryna, kiedy zobaczył go między dwoma żandarmami i na tle zielonych mundurów tych, którzy postępowali za nim - zupełny mrok przesłonił mu na chwilę oczy. Miał rację Michałko, kiedy nie krył się z tym, że nie ma zaufania do inteligentów. Krzysztof, starając się opanować, w ułamku sekundy wyraził uznanie swemu dowódcy. Podniósł broń, wziął na cel żandarma z lewej strony - ku reszcie miały posypać się strzały z innych okien, jego strzał rozpoczynał akcję. Ale nim się rozległ, rozpoczęła się strzelanina wokół wsi. Najwidoczniej zastawiono tam pułapki, na które musieli się natknąć zbliżający się do wsi gryfowcy. Żandarmi na placu odbezpieczyli broń - ten lewy nie zdążył tego uczynić, dosięgnęła go kula Krzysztofa, upadł, podczołgał się pod ścianę budynku i tam został. Upadł również Seweryn, ale Krzysztof odniósł wrażenie - choć strzelano już z obydwu domów, zajętych przez jego grupę - że nie jest ranny, że przypadłszy do ziemi, stara się nie utrudniać akcji, odpeł-
Ziiać jak najdalej, uciec. Manewr ten jednak zauważono i z budynku gemeindeamtu, posypały się stamtąd strzały, a pod ich osłoną dwóch cywilów usiłowało wciągnąć Seweryna z powrotem do aresztu. Krzysztof wziął pierwszego z nich na muszkę. W natężeniu wzroku wydał mu się tak wyraźny, jakby patrzył na niego z bliska, jakby miał go o krok, jak wtedy, kiedy pożegnawszy się z rodziną, opuszczał Gdynię wraz z oddziałami pułkownika Dąbka, a Joe-mikser dogonił go i zastąpił mu drogę w bramie. Teraz miał go na muszce i nacisnął spust z uczuciem wniebowstąpienia i w tym stanie łaski patrzył, jak tamten unosi się na palcach, wylatuje w górę, jakby chciał zagarnąć dłońmi jak najwięcej powietrza, i pada na ziemię, na udeptaną ścieżkę, wiodącą do gemeindeamtu. Seweryn rzucił się znów do ucieczki, ręce miał z tyłu związane, nie mógł się nimi podeprzeć, gdy się potykał; padał, wstawał z trudem i znów padał, jacyś cywile usiłowali jeszcze raz wciągnąć go do aresztu. Ale strzelanina rozpętała się już w całej wsi. Krzysztof zgarnął z parapetu pelargonie, wyskoczył przez okno. Obstawa w budynku gemeindeamtu nie była zbyt liczna. Sądzone prawdopodobnie, że do odbicia więźnia w ogóle nie dojdzie, że ci czy ten, który by się na to ważył, nie przedostanie się do wsi poza pierścień ochrony, która miała być dla niego zasadzką. Najpilniejszą sprawą było zlikwido-

wanie łączności telefonicznej z Wejherowem, niedopuszczenie do tego, żeby wyruszyły stamtąd posiłki. Kiedy Krzysztof stanął w drzwiach, ostatni z cywilów, którzy tu przybyli, pozostawiając w Gdyni swoje czarne mundury, trzymał właśnie słuchawkę. Wypadła mu z ręki. Na placu przed gemeindeamtem był już Michałko ze swoimi ludźmi, strzelanina powoli milkła, mieszkańcy wsi w popłochu chronili się do swoich domów, barykadując drzwi.

Krzysztof podbiegł do Seweryna, podniósł go z ziemi, przeciął sznur, krępujący mu ręce. Seweryn nie mógł wydobyć głosu ze wzruszenia.

- Skąd?-wyjąkał wreszcie.-Skąd wzięliście się tutaj? Chyba z nieba.

- Z nieba - powtórzył Krzysztof. Łzy ciekły mu po twarzy.

- Prędejsz! - przynaglał Michałko. - Zabieraj go stąd! Za chwilę możemy mieć tu całą żandarmerię z Wejherowa.

- Strzeliłem w trakcie rozmowy. Nie wiem, w jakim jej momencie.

- No, więc prędejsz! - powtórzył Michałko. Zgarniał swoich ludzi.

Krzysztof podparł Seweryna, dopiero teraz dostrzegł z bliska, jak jest skatowany.

- Będiesz mógł iść?

- Spróbuję.

Posuwali się powoli, pozostawiając za sobą placyk przed gemeindeamtem, uciszony i wymarły. Ale gdy zbliżali się już do zabudowań, które mogłyby ich osłonić, rozległ się strzał. Jeden, po nim drugi. Seweryn upadł, Krzysztof błyskawicznie rzucił się na ziemię obok niego. Zobaczył Joe-miksera, który zakrwawiony i czołgający się z wysiłkiem, oddał do nich te dwa wystrzały. Wymierzył do niego, ale zniknął mu za węglem.

- Prędejsz! - przynaglał Michałko. Cofnął się, podbiegł do nich, zobaczył, co się stało.

- Seweryn! - krzyknął Krzysztof. Usiłował go podnieść, szybko cofnął ręce spod jego pleców. Były całe we krwi.

- Widocznie tak mu było sądzone - powiedział Michałko.

Seweryn otworzył oczy.

- Będę miał piękną śmierć - powiedział. - Przyszliście po mnie.

- Seweryn! - Krzysztof płakał. - Nie zostawię cię tu. Nie mogę.

Od szosy narastał odgłos silników.

- Idź! - szepnął z wysiłkiem Seweryn. - Śpiesz się! I myśl o tym, że miałem piękną... bardzo piękną śmierć...

XXVI

W Murmańsku słońce coraz niżej krążyło nad widnokręgiem. Przed nadejściem polarnej nocy wzmogły się naloty niemieckie, bombowce atakowały teraz jakby "na zapas"; prawie na trzy zimowe miesiące miasto miała przykryć utrudniająca naloty czapa ciemności.

Natasza Andriejewna Skobcewa czytywała teraz swoim rannym wiersze Achmatowej. Na sali oprócz Wołodi i Grze-

sia leżeli prawie sami Rosjanie z Floty Północnej, której okręty i samoloty zapuszczały się teraz aż po fiordy norweskie, atakując niemieckie konwoje. Angielski konwój, pierwszy po kilkumiesięcznej przerwie, płynął dopiero do Murmańska, w szpitalu przygotowywano już miejsca dla rannych z transportowców i okrętów eskorty. Na północy Niemcy atakowali wciąż zajadłe, na Morzu Śródziemnym ponieśli bezwzględna klęskę, w coraz bardziej oczywisty sposób przegrywali walkę o Atlantyk, front wschodni przybliżał się niebezpiecznie, jedynie doniesienia o zwycięstwach okrętów, bazujących w portach północnej Norwegii, mogły poprawić samopoczucie fuhrera.

Przybycie konwoju JW-54A do Murmańska oznaczało dla Wołodi koniec pobytu w tym mieście. Natasza popłakiwała po kątach. Wołodia z niejasnymi uczuciami witał swój powrót do wojny.

Bo była to już inna wojna, bardziej inna na morzu niż na lądzie i w powietrzu. Zwycięstwo odniesione nad u-bootami flota sprzymierzonych zawdzięczała wprowadzaniu coraz to nowych zmian w uzbrojeniu, a także wzrastającemu wciąż doświadczeniu dowódców i załóg okrętów. Radio, którego słuchali w szpitalu namiętnie, sławiło w opisach zwycięskich bitew brytyjskiego komandora Walkera, dowódcę 2 Grupy Wspierającej. Wołodia pragnął dożyć tej chwili, żeby móc uścisnąć mu rękę. Im bardziej konwój zbliżał się do Murmańska, tym większa ogarniała go niecierpliwość. Pragnął porozmawiać wreszcie z ludźmi, którzy orientowali się w sytuacji floty, w jej nowym stanie technicznym; w komunikatach radiowych przestrzegano pilnie tajemnic wojskowych, pomijano więc w nich najbardziej interesujące go sprawy. Pragnął przede wszystkim dowiedzieć się, jakie nowości zastosowano w artylerii morskiej; czy będzie musiał przejść najpierw ćwiczenia, czy od razu włączony zostanie do akcji.

Starał się ukrywać przed Nataszą swoje radosne podniecenie - nie tylko przed nią zresztą, przed Grzesiem także. Grześ zostawał w Murmańsku. Zaczynał już jednak na szczęście wstawać i czepiając się rękoma poręczy łóżek, podchodzić do okna. Tyle miesięcy spędził w tym mieście, a dopiero teraz je widział - ruiny domów, zawalone gruzami ulice i place. Pytał swego kapitana, czy on - kiedy zaczął wstawać - widział tam jeszcze całe kamienice, gładkie jezdnie, trawniki na skwerach? Nie, Wołodia też już ich nie widział.

- Szkoda - mówił Grześ. - Będziemy kiedyś opowiadać, że byliśmy w Murmańsku, a nie widzieliśmy Murmańska.

- Nie ulice i domy są miastem - odpowiadał Wołodia

- miastem są ludzie. I poznaliśmy ich, i będziemy mogli o nich opowiadać.

- Chciałbym jednak - upierał się przy swoim Grześ

- kiedy już będę mógł wychodzić, przejść się prawdziwą ulicą, taką jak w Greenock... - Wspomnienie Greenock, w którym spędzili w sumie prawie rok podczas kolejnych przestojów w stoczni, łączyło się zawsze z myślą o Emili i Grześ milkł na długo. Może uświadamiał sobie, że gdyby nie przyjazd na urlop jej "prawdziwego" narzeczonego, nie

prosiłby o zaokrętowanie na Garlandziel
Tłumacząc sobie w ten sposób zamilknięcie Grzesia,
Wołodia doznawał nikłego pocieszenia - może to jednak
nie dla niego, nie tylko dla niego Grześ znalazł się na
Garlandzie w najbardziej dla tego okrętu pechowym rejsie.
Patrzył na zniszczonego wielomiesięczną chorobą, porusza-
jącego się wciąż z najwyższym wysiłkiem chłopaka i żal
chwytał go za gardło.

- Pamiętaj - mówił do Nataszki - pilnuj go, nigdy
bym ci nie przebaczył, gdyby mu się coś stało.
Dla Nataszki te słowa znaczyły wiele. Znaczyły przede
wszystkim to, że polski kapitan kiedyś tu wróci. Może
z następnym konwojem, może zaraz po wojnie... Bo jeśli
mówił, że nigdy by jej nie przebaczył... Co innego mogły
oznaczać te słowa? Wróci tu, zobaczy, że ten mały Polak jest
zupełnie zdrow, i pochwali ją, i może wreszcie przekona się,
co jest warta.

- Już ja go upilnuję - przyrzekała, podnosząc na niego
czułe, bezmiernie zakochane oczy. - Nie bój się o niego.

- Bo widzisz... - Wołodi brakowało słów - po raz
pierwszy zostaje sam, bez nikogo ze swoich. I tak daleko od
domu. Niektórych ogarnia wtedy strach, taki strach...

- Strach może ogarnąć człowieka i z czego innego.

- Wiem, ale ten jest najgorszy ze wszystkich.

- Nie - powiedziała Nataszka - nie jest najgorszy.

Znowu szli tą brzozową alejką wzdłuż zbocza, na którego
szczycie stał szpital. Wiatr z każdym dniem stawał się coraz
bardziej przejmujący. Wołodia wkładał już na te spacer
swoją płaszcz, "wypisany" przez Nataszkę ze szpitalnego
magazynu, ona sama narzucała na plecy krótki kożuszek,
spod którego wystawał jej biały fartuch, głowę owijała
wełnianą chustką.

- Nie jest najgorszy? - spytał niepotrzebnie Wołodia.

- Wiesz dobrze, że nie.

Trzymała go pod rękę, jakby jeszcze i teraz była mu
potrzebna jej pomoc, czuł przez sukno swego szynela ciepło
tego dotyku i starał się walczyć ze wzruszeniem, jak to czynił
od miesięcy - z największym wysiłkiem, ale jednak skutecz-
nie. Nie miał sobie nic do zarzucenia i pragnął móc to sobie
powiedzieć, kiedy będzie już stał przy burcie okrętu, a zała-
wione oczy Nataszki, jej ścięta żalem twarz, ginać będą
wśród arktycznej mgły. Zawsze dotąd, kiedy spotykał
kobietę, która mu się podobała i której i on nie był
obojętny... nie, tym razem musiało być inaczej. Czuł się
fatalnie z tym postanowieniem, prawie głupio, ale bardzo
pragnął w nim wytrwać. Nataszce należał się ktoś lepszy niż
on, z sercem zaśmieconym wspomnieniami - Lichonow na
przykład, chłopak jak skra, i ten jego wiersz, i oczy, którymi
wodził za siostrą Skobcewą, gdy poruszała się po sali...

- Wszystkie strachy trzeba z siebie wyrzucić - powie-
dział bez najmniejszej nadziei, że zdoła ją przekonać tymi
słowami - a zwłaszcza te... najgorsze. Wygramy wojnę
i wszystko ukaże się w innym świetle. Wrócą młodzi
mężczyźni do Murmańska..

Nataszka coraz mocniej zaciskała swoją piastkę na suknie
jego rękawa.

- ... i wyjdiesz ich witać z kwiatami.

- Wyjdę - szepnęła. - Jak wszyscy.

- I wśród nich zobaczysz jednego, wybierzesz z tłumu żołnierzy, pobiegiesz, dasz mu kwiaty...

- Oj, nie -mów ty już nic...

- Nataszko! Dlaczego? Przyzwyczajaj się do myśli, że wszystko dobrze się skończy, że po tej strasznej wojnie będzie na świecie tyle szczęścia... tyle szczęścia... - urwał, wszystko, co mówił, wydało mu się puste i płaskie. Nataszkę płakała na jego ramieniu, zdołałby ją pocieszyć jednym słowem, ale musiałoby być kłamstwem, a nie chciał kłamać, chciał nie mieć sobie nic do zarzucenia. Naprawdę nic do zarzucenia.

Ale choć tak bardzo się o to starał, odwiedził go któregoś dnia dziadek Skobcew. Natasza nie miała akurat tego dnia dyżuru, poszła do domu, więc w pierwszej chwili pomyślała, że stary przychodzi może od niej - ale właściwie z czym mógłby przyjść? Wywołany z sali zbiegł do portierni i zobaczył go na ławce pod oknem w walonkach i kożuchu, w baraniej czapce na głowie, której najwidoczniej nie miał zamiaru zdjąć, ale którą jednak zdjął, gdy zbliżył się do niego. Tak właśnie wyobrażał go sobie z opowiadań Nataszki i uśmiechnął się do niego.

Stary nie odpowiedział mu uśmiechem. Patrzył ponuro.

- Ja w sprawie Nataszy.

- Czy coś się stało? - spytał Wołodia z niepokojem.

- A stało się, stało! - warknął. - Przez ciebie chodzi ona zatumaniona i oczy ma czerwone. W nocy budzę się i słyszę: płacze. A rano ucieka od mego spojrzenia i słowa powiedzieć nie chce. Ale rozpylałem się u ludzi, choćby i tu w szpitalu...

- Piotrze Aleksandrowiczu - zaczął Wołodia z pomieszaniami i żalem.

- Jaki ja tam dla ciebie Piotr Aleksandrowicz - przerwał mu stary. - Ty obcy jesteś! Dla Nataszki i dla mnie. Wystarczy na ciebie popatrzeć.

- A nie ze wszystkim obcy - teraz jemu nie dał dokończyć Wołodia. - Bo ja w Kijowie rodzony. Nie mówiła Natasza?

- W Kijowie? - powtórzył stary i oczy mu rozbłysły.

- Toż Kijów dzisiaj został wyzwolony! Nie słuchacie radia?

- Węzeł w szpitalu włączają dopiero o dwunastej.

- Kijów wyzwolony! Słyszałem na własne uszy. Jest już w naszych rękach! Wojska Pierwszego Frontu Ukraińskiego zajęły wczoraj Światoszyno, a dziś Kijów.

Wołodia zobaczył przed sobą kijowskie mieszkanie rodziców, ich letni dom w Światoszynie. Przez tyle lat nie mógł się pogodzić z myślą, że są tam bolszewicy, teraz doznawał triumfalnej, obezwładniającej radości na wieść, że już znowu są tam bolszewicy - nie, naprawdę nie było powrotu do tamtych spraw, do tamtych straconych nadziei, odzyskane miały zupełnie inny wymiar i sens.

- Piotrze Aleksandrowiczu - zawołał już bez lęku, że stary obruszy się na tę poufałość - więc jak to jest? Obcy ja czy nie obcy, skoro rodziłem się w Kijowie?

Dziadek Skobcew kręcił głową.

- To już i sam nie wiem. Może i nieobcy? Ale Nataszki ty mi nie rusz. Zadurzona ona w tobie bez rozumu i pamięci,

i dlatego ja, stary, przyszedłem cię prosić... - uczynił ruch, jakby schylał się Wołodi do kolan, ale go chwycił i na ławce posadził.

- Co wam przychodzi do głowy? - szepnął przerażony.

- Ona sierota. Ojciec zginął zaraz w pierwszym roku wojny, matka ze szpitalem polowym gdzieś na froncie, od pół roku nie ma od niej żadnej wiadomości, może już też nie żyje. Ja jeden jej zostałem, ale w domu gościem jestem, nie upilnuję. Młodych ze statków rybackich na okręty pobrali, na ich miejsce musieli wrócić starzy, co już kilka lat przed wojną kości wygrzewali pod pierzyną. Nie ma się na co oglądać, strzelają, nie strzelają, w morze trzeba iść, w kraju głód', przynajmniej ryba ludzi trochę podratuje. - Patrzył w oczy Wołodi małymi, ledwie widocznymi spod krzaczastych brwi, zatroskanymi oczyma, zapomniał na chwilę z czym tu przyszedł, i starał się to sobie przypomnieć.

- Więc Nataszka ma już tylko mnie - powiedział po długiej chwili.

I mnie! - chciał powiedzieć Wołodia i zamarzyło mu się nagle, że tak dobrze by było, gdyby - bez obawy, że kłamie - mógł to jednak powiedzieć. Ale prawdy i tylko prawdy wymagało zatroskane spojrzenie starego człowieka i oczy Nataszy, które widział wciąż przed sobą, ich ufne spojrzenie, ich łaknące oczekiwanie.

- Mogę dać wam słowo - powiedział uroczyście - że łączy mnie z Nataszą tylko przyjaźń. I szacunek. I wdzięczność. Może bym nie żył, gdyby nie ona...

- Aha! Przyjaźń. I szacunek. I wdzięczność - mruczał stary. - Człowieku, to może z twojej strony. Bo ona...

- Co też wy mówicie. Piotrze Aleksandrowiczu? - prze-rzwał się Wołodia. Ale i radość wypełniała mu serce, odbierająca poczucie rzeczywistości radość.

- Ona... - powtórzył stary. Zbliżył się do polskiego kapitana, popatrzył mu z bliska w oczy. - I gdybyś to wykorzystał, gdybyś dziewczynę zmarnował... to pamiętaj...

- podniósł w górę pięści, czerwone, popękane, zżarte morską solą i mrozem - ja cię tymi rękami... tymi rękami...

Wołodia poczuł się nieswojo. Zerknął ku portierce - Anna Popowa, która tam siedziała, zajęta była taktownie układaniem jakichś papierów. Przyjaźnił się z nią od kilku miesięcy, z wieloma ludźmi przyjaźnił się w szpitalu i pragnął, żeby zachowali go w dobrej pamięci. Tymczasem rozmowa ze Skobcewem mogła zamienić się nieoczekiwanie w awanturę, nie mógł do tego dopuścić. Chwycił starego za ramię.

- Dziadku! - zagadnął pogodnie. - Wypijemy za Kijów. Zapraszam dziadka do gospody. Wszystko inne jest bzdurą i urojeniem.

- Za Kijów? - zamrugnął powiekami stary.

- Za jego oswobodzenie! Żebyście wiedzieli. Piotrze Aleksandrowiczu, co to dla mnie znaczy.

- Zapraszasz mnie? - chciał się upewnić Skobcew.

- Oczywiście, że zapraszam. Nie wydawałem przez tyle miesięcy pieniędzy, a w Admiralicji gażę mi na kupkę składają. Milionerem pewnie będę, kiedy wrócę do Anglii.

- Najważniejsze, że żyjesz - powiedział stary.

- Najważniejsze, że żyję - powtórzył.

Poszli do małej knajpki w porcie, odwiedzanej przez rybaków, marynarzy ze statków i okrętów, robotników portowych. Dziadek Skobcew musiał tu być częstym gościem, bo czuł się jak u siebie w domu, nawet względy miał jakieś u obsługi, bo i miejsce się dla nich znalazło, a po przydługich konszachtach z kelnerką pojawił się na stole półmisek świeżo usmażonych, pachnących przyrodzoną swoją morską wonią i olejem śledzi. Od innych stolików i od bufetu, gdzie było najciaśniej, odwracano ku nim głowy. Dziadek Skobcew wstał, powiódł uciszającym spojrzeniem po salce, wskazał dłonią swego towarzysza.

- Polski kapitan! - powiedział. - Konwój eskortował do Murmańska i teraz dopiero ze szpitala na świat wyjrzał. A w dodatku w Kijowie rodzony, a od dzisiaj Kijów znów w naszych rękach!

-- Zdrowie! - okrzyk ze stu gardeł zatrzęsł ścianami gospody.

Piotr Aleksandrowicz, który zaczynał się już obawiać, że go te śledzie o złociście przyrumienionych bokach skłóca z resztą gości, zagryzających ostrą, rybacką wódkę mizernym dzwonkiem śledzia na równie znikomym, nie narzucającym się oczom kawałku chleba, rozpromienił się teraz, poderwał Wołodię z krzesła i zawołał do wszystkich.

- Zdrowie!

Wzniesiono w górę szklanki, zadźwięczało szkło od wzajemnego przypijania.

Rano - Wołodia właściwie nie wiedział, po czym można to było poznać, podbiegunowe niebo miało wciąż tę samą szarą, rozświetloną tylko nad horyzontem barwę, a cyfry na tarczy zegarka rozmazywały mu się i były nie do odczytania, ale dziadek Skobcew jakoś i bez zegarka orientował się w porach dnia - rano więc, dopiero rano, znaleźli się na drodze wiodącej do szpitala. Wspierali się wzajemnie i chyba tylko ze względu na gościnność, a nie lepsze samopoczucie, Piotr Aleksandrowicz wymamrotał:

- Odprowadzę de. Boby cię mogli do szpitala nie wpuścić.

- Nie jestem już chory - bez przekonania zauważył Wołodia.

- Chory nie chory, a w nocy należy się leżeć w łóżku. Ale powiem, że byłeś u mnie... i że Kijów w naszych rękach...

- Właśnie! - ucieszył się znowu Wołodia. - Kijów!

- Każdy by to zrozumiał, ale jak w portierni będzie Larissa Prażanowa, przepadliśmy obaj. Ona nie zrozumie. Własnego męża przez całe życie o suchej gębie trzymała, a jak umarł, nawet mu stypy nie wyprawiła. Ona nie zrozumie.

Dyżur miała jednak jeszcze na szczęście Anna Popowna, pokiwała tylko głową na widok Wołodi, podpieranego przez dziadka Skobcewa, a równocześnie w jakiś sposób również go wspierającego - pokiwała głową na widok ich obu i rozłączyła ich energicznym gestem.

- Do łóżka! - parsknęła gniewnie na zjawiającego się o tak dziwnej porze pacjenta i pchnęła go na schody, ledwie Piotr Aleksandrowicz z bardzo pokorną miną zdążył zawołać za nim:

- A Nataszy ani słowa!

Odwrócił ku niemu głowę, przytaknął gorliwie.

- Ani słowa!

Ale Natasza chyba wszystkiego się domyśliła i - najdziwniejsze - prawie wcale jej to nie obeszło. Kiedy się obudził, od razu z obrzydzeniem do siebie, ze smakiem wódki i śledzi w ustach, ona siedziała na brzegu jego łóżka, patrzyła w ścianę ponad jego głową.

- Jutro spodziewany jest konwój w Murmańsku - powiedziała.

Zerwał się, usiadł na łóżku, przetarł dłonią twarz.

- Przepraszam.

Nie zapytała, za co ją przeprosza. Powtórzyła:

- Jutro. Jeśli, oczywiście, nic nie zajdzie po drodze.

- Tak - powiedział. Oznaczało to dwadzieścia cztery godziny czekania, niecierpliwszego niż podczas tego całego drugiego czasu, który miał już za sobą, który zdołał jakoś przetrzymać. >"

Musiała się domyślać, o czym myśli, bo powiedziała z nagłym, gorączkowym pośpiechem:

- Zapraszamy cię dziś do nas na pożegnalny wieczór.

Dziadek i ja. -

- Dziadek?-zdumiał się.

- Tak. Chyba także chce cię za coś przeprosić. Zdaje się, że nagadał ci jakichś głupstw.

- Skądże znowu? - zaprzeczył.

- Wszystko jedno. Dziadek lubi wódkę. Nie wiedziałam, że ty też.

- Ja? - prawie krzyknął, aż chorzy ze wszystkich łóżek spojrzeli w ich kierunku. - Przecież nie miałem kropli w ustach od kilku miesięcy.

- Bo nie mogłeś mieć - mówiła dalej z poważnym i trochę jakby smutnym zgorszeniem Nataszka. - Ale jakbyś mógł... No! Dziś wieczorem nie będzie ani kropli wódki. Nie chcę, żebyś pił, kiedy będę się z tobą żegnać.

- Co za okropne słowo! - Starał się wprowadzić do rozmowy lżejszy ton, ale to mu się nie udało.

- Zamiast wódki -mówiła dalej - będzie sok z morożki. Lubisz!

- Nie wiem, co to jest.

- Nasza malina. Jak gorączka człowieka trzęsie, dobrze napić się tego soku z herbata.

- Ale mnie nie trzęsie - usiłował protestować Wołodia.

- To nic - odpowiedziała, wciąż poważna i skupiona.

- Będzie sok z morożki i smażone śledzie.

- Co takiego?

- Smażone śledzie. To teraz rarytas. Nie lubisz?

- Lubię. Ale...

- Z trudem je dostałam. Ale pomyślałam, że nie możesz wyjechać z Murmańska, nie skosztowawszy naszych śledzi.

- Po cóż tyle zachodu, Nataszko?

Przyłożyła palec do ust, ale zabawnemu temu gestowi nie towarzyszył uśmiech.

- Sza! Musimy przecież jakoś się pożegnać. Przyjdę po ciebie o szóstej. - Wyciągnęła rękę i na krótką chwilę dotknęła jego głowy, włosów na skroni, pogładziła je leciutko, prawie w powietrzu. - Możesz jeszcze się prze-

spać.

- Nie, już nie zasnę.

Ale położył się jednak, przymknął oczy. Konwój był już tylko o dwadzieścia cztery godziny od Murmańska. Ile trzeba będzie czasu, żeby wyładować statki? To potrwa, musi potrwać. Niemcy będą się starali w tym przeszkadzać, nasila się naloty na port, mimo to jednak chciałby już wtedy być na którymś z okrętów, słyszeć, jak gra artyleria, jak drży kadłub od odrzutów dział. Mocny Boże! - myślał. - Znowu to usłyszeć! Znowu poczuć pokład pod stopami. Usłyszał nagle, że ktoś obok płacze. Bez otwierania oczu wiedział, że to Grześ.

- I czego? - spytał, nie odwracając się ku niemu. - Żle ci tutaj? Przynajmniej jako tako bezpiecznie, nie licząc nalotów, oczywiście, ale te będą coraz słabsze. Wyprztykali się z samolotów, głównie z okrętów podwodnych, ale i z samolotów także. Więc powinieneś się cieszyć, że masz tu jak u Pana Boga za piecem.

- Ale pan kapitan się stąd wrywa.

Ja... Ja jestem już zdrow... jestem zdrow... - zaplatał się Wołodia i mam obowiązek...

E. tam! przerwał mu Grześ. Obowiązek! Pan chce! Pan liczy godziny! A i panu było tu jak u Pana Boga za piecem. Nataszka...

Tylko ani słowa o Nataszce! krzyknął.

Więc to jednak bolało. To było gorsze, boleśniesz, bardziej gorzkie, niż to sobie wyobrażał. Taka mała, obca dziewczyna. Jej ręce, ich kojący dotyk przywrócił mu przytomność, wydobył go z ciemności po długich dniach nieistnienia. Jej oczy wołały go ku życiu, trzymały go na jego krawędzi, jej usta budziły pierwsze pragnienia zdrowiejącego ciała. I miało jej nagle nie być. Już od jutra. I na zawsze. , Nataszko! powiedział wieczorem, kiedy przyszła po niego. Chciałbym, żebyś wiedziała, że wyjeżdżam stąd nie z taką radością, o jaką mnie posadzasz.

Powiedział to z prawdziwym smutkiem, ostrożnie bo jednak wciąż nie chciał mieć sobie nic do zarzucenia i pamiętał o danym Skobcewowi słowie - ale jednak z nadzieją, że mu uwierzy.

Nie odezwała się. podniosła mu kołnierz płaszcza, jak to zwykła była robić, choć nieraz go to już gniewało. Tym razem poddał się temu pokornie. Murmańskie wiatry na styku ciepła, napływającego znad Morza Barentsa, i mroźnego chłodu, ciągnącego z wnętrza Półwyspu Kolskiego. jesienią stawały się najbardziej dokuczliwe.

Cieszyłbym się, że wracam do Anglii i na okręt, ale że jest to równoczesne rozstanie z ludźmi, którym tyle zawdzięcza... / tobą, z tobą przede wszystkim... Nataszko! Wyjeżdżam stąd z ciężkim sercem.

Wiem powiedziała. I dlatego musimy się pożegnać jak należy. Głos jej brzmiał dziwnie poważnie, Wołodię zastanowił jego zdeterminowany, a równocześnie jakby uroczysty ton.

Co to znaczy: jak należy? zapytał.

Nie uśmiechnęła się, przyśpieszyła kroku.

- Zobaczysz.

Mieszkanie Skobcewych było skromne, składało się

z dwóch pokojów i kuchni, wojennemu ubóstwu towarzy-
szyła w nim niezwykła czystość, biel ścian, wyszorowana
jasność podłogi, stołu i krzeseł. Od poduszek, ułożonych
wysoko na łóżkach, biła świeża woń wiatru, który suszył
rozwieszoną na dworze pościel.

- Na szczęście dom ostał się we wszystkich nalotach
- powiedziała Nataszka, sadzając kapitana na najlepszym
krześle. - Może przede wszystkim po to, żebyś mógł tu być
razem ze mną.

- Moja złota! - powiedział cicho.

Uciszyła go szybkim gestem.

- Chcę sobie ciebie zapamiętać.

- Nataszko! - poprosił bezradnie.

- Wracać będę do domu, stawać przed tym krzesłem,
jakbyś tu był. Bo ja mam bardzo dobrą pamięć, Wołodia.

- Gdzie dziadek? - zapytał z niepokojem. Trzeba mu
było jakiegoś ratunku, jakiejś obrony przed tym, co zaczyna-
ło się dziać.

- Dziadek? - powtórzyła Natasza w roztargnieniu.

- Zaraz przyjdzie. Powinien zaraz przyjść.

- Jest w porcie?

- W porcie. Siedź tak! - poprosiła. - Chcę patrzeć na
ciebie. Chcę, żebyś dla mnie zawsze siedział przy tym stole.
Tego wieczora przeżyli jeszcze razem nalot lotniczy, ostatni
nalot Wołodi w Murmańsku. Natasza, sprowadziwszy do
schronu lżej rannych, długo szukała wśród swoich książek
na parapecie okna. Nie zszedł do schronu, został z nią
i z Grzesiem, chciał mu tłumaczyć wiersze, czytane przez
Nataszę; ciekaw był, co dziś wybierze.

Wybrała znowu wiersz Jesienina:

Kraj lubimy! Sierdca sniatsia

Skirdy sohica w wodach lennych.

- Kraju miły! - tłumaczył Grzesiowi Wołodia. - Sercu
śnia się stogi słońca w wodach płynących...

Ja chotieł by zatieratsia

w zieleniach twoich stozwonnych.

Wołodia przymknął oczy. Zobaczył przed sobą parujący
ranną mgłą step pod Światoszynem. Poczuł jego letnią woń
tak blisko, że nozdrza i płuca rozszerzyły mu się na jej
przyjęcie. Przetłumaczył cicho:

- Chciałbym się zanurzyć, zagubić, zatracić w twoich
zieleniach studzwonnych...

Po mieże na pieriemietkie

Riezeda i riza kaszki.

- Na miedzy... - uśmiechnął się do siebie, a Grześ ze
zdumieniem przypatrywał się temu uśmiechowi - na mie-
dzy na przemian: rezedka i koniczyna...

I wyzwaniawajut w czotki

lwy, kratkije monaszki.

- I dzwonią różańcami wierzby, pokorne mniszki...

- Kto? - spytał szeptem Grześ.

- Wierzby - odpowiedział równie cicho Wołodia. -

Stoją rzędami jak mniszki w monastyrze, splotły ręce przed
sobą, pobrzękują różańcami. Wiatr rozwiewa kornety na ich
głowach... Widzisz to?

- Widzę - odrzekł Grześ niepewnie.

Nataszka zwróciła ku nim głowę. Jakby leciutko nasiliła

głos:

Kurit obłakom hołoto,
Gar w niebiesnom koromysle,
S tichoj tajnej dla kowo-to
Zataił ja w sierdce myśli.

Wołodia pochylił się i pocałował szybko jej zziębnięte palce, trzymające książkę. Nikt tego nie zauważył, może nawet ona sama nie mogła być pewna, czy wydarzyło się to naprawdę.

- Och, Nataszko! - szepnął, choć mówił do Grzesia.

- Obłoki kurzu nad drogą, błoto dymi w letnim skwarze;
konie idą wolno, wóz skrzypi... dobrze wtedy leżeć w sianie
na wznak i patrzeć w niebo, zeswędzone spiekotą. Dla kogo
ja o tamtych dniach zachowałem w duszy serdeczne myśli...?

Nalot trwał. Bomby padały głównie na port - celem ataku było zniszczenie nabrzeży przed jutrzejszym wejściem konwoju do Murmańska - ale łoskot ich, który potęgowało jeszcze echo, odbijające się od zbocza szpitalnego wzgórza, wydawał się tak bliski, że ranni mimo woli chowali głowy w ramiona. Natasza nie przestawała jednak czytać:

Wsio wstrieeczaju, wsio prijemlu,

Rad i szczastliw duszu wynut'.

Ja priszoi na etu ziemlu

Cztob skoriej jejo pokinut'.

- Witam wszystkich - tłumaczył Wołodia, z upartą radością nie zwracając uwagi na to, co działo się wokół

- witam wszystkich i wszystko, duszę bym z piersi wyjął...

I jak żał, jak żał, jak żał, Nataszko, że przyszedłem na tę ziemię, by ją tak szybko porzucić.

Gdy tylko konwój JW-54A wszedł do portu, kapitan Jazowiecki zameldował się u dowódcy eskorty. Brytyjski komandor wiedział o nim, miał rozkaz zabrania go do Anglii. Zaokrętował go też od razu, mimo że konwój co najmniej przez tydzień dla rozładunku musiał przebywać w Murmańsku.

- Szpitala ma pan pewnie dosyć? - zapytał.

- Tak jest, panie komandorze - odpowiedział.

Przydzielono go do kabiny, którą zajmował dowódca artylerii - niewysoki, trochę rudawy, o okrągłej twarzy i przenikliwym spojrzeniu jasnoniebieskich oczu. Irlandczyk, pomyślał i uśmiechnął się, gdy oficer wymienił swoje nazwisko.

- Mac Bardless.

- O, Boże! - zawołał Wołodia, długo ściskając mu dłoń.

- Mam nadzieję, że z natury nie jest pan milczący?

- Nie. A dlaczego? - zdziwił się artylerzysta.

- Bo usycham z pragnienia rozmowy. Czy może pan to sobie wyobrazić? Tyle miesięcy bez żadnej łączności, chwila-
mi myślałem, że zwariuję.

Irlandczyk poklepał go po ramieniu.

- Pogadamy. Aż się to panu sprzykrzy. Cała droga przed nami.

- Jak przeszła w tę stronę?

- W porządku. Nie straciliśmy ani jednego statku.

- Gratulacje!

- To nie tylko sprawa obrony. Niemcy znacznie spuścili z tonu. Admirał Dónitz posługuje się coraz to innymi

metodami i chyba szalu dostaje, gdy zawodzą. Rzuca na konwoje atlantyckie po dwadzieścia okrętów podwodnych, traci ich zwykle kilka dla zatopienia jednego statku, jak to miało na przykład miejsce w październiku z konwojem SC-145, płynącym z Kanady. Przykre tylko, że powiodło im się z waszym Orkanem.

- Z... Orkanem...^. - spytał cicho Wołodia.

- Nie wiedział pan o tym? - spieszył się Irlandczyk.

- Nie.

- Orkan został trafiony torpedą akustyczną z u-boota.

Wybuchł pożar amunicji i ropy, objął maszynownię, śródokręcie, nawet pomost bojowy. Już po zatopieniu wyłowiono tylko dwudziestu ludzi. Dwustu dwudziestu razem z dowódcą zginęło. Myślałem, że pan wiedział o tym...

- Nie, nie wiedziałem.

- Znał pan dowódcę?

- W takiej małej flocie, jak nasza, wszyscy się znali

- powiedział.

Staszek Hryniewiecki! - myślał. Tyle ich łączyło przed wojną. A potem cała obrona Helu i ucieczka z oblężonego półwyspu - osobna, ale równocześnie w jakiś sposób wspólna poprzez to samo pragnienie dalszej walki, pragnienie odwetu i zwycięstwa. I dla Staszka już się to skończyło. Nie wróci do Gdyni z orderami na piersi, nie stanie na polskiej ziemi, nie uściśnie bliskich.

- Przykro mi - powiedział Irlandczyk.

- Cóż - uśmiechnął się krzywo Wołodia. - Jest wojna.

Jeszcze jej nie wygraliśmy. -

- Ale już na pewno wiemy, że wygramy. Choć... oczywiście... wielu z nas jeszcze zginie przed końcem.

Nie było to najlepsze wejście do służby po tyluszpitalnych miesiącach. Mac Bardless zbyt późno zdał sobie z tego sprawę. Usiłował ratować sytuację:

- Są zapewne jakieś listy do pana. Dowiadywał się pan?

- Jeszcze nie.

- Zaprowadzę pana do zastępcy dowódcy. Czy chciałby pan dublować kogoś na okręcie?

- Oczywiście.

- Odciaży nas pan. Odeśpiemy zarwane noce w drodze do Murmańska. Mówię: noce, a tu trzeba wciąż patrzeć na zegarek, żeby się zorientować, jaka pora.

- Ja się do tego już przyzwyczaiłem.

- Nie powie mi pan chyba, że przyzwyczaił się pan i do Murmańska. Strasznie tu ludzie żyją.

Nie śpieszyło mu się z odbiorem Ł-aspondencji, spodziewał się góry listów od Anetki, wydawało mu się, że nie będzie miał odwagi przeczytać żadnego z nich. Ale był tylko jeden.

Poza kilkoma listami od kolegów z Błyskawicy - jeden jedyny list od Anetki Briffaut. Ten jeden musiał przeczytać.

Wyszedł na pokład, schronił się przed wiatrem za ścianą nadbudówki. List był wysłany z Oranu, co go zdumiało.

Z Oranu i przed pół rokiem.

"Mój Najdroższy! - pisała Anetka. - Nie wiem, co się

z tobą dzieje, czy jesteś już na swoim okręcie, czy wciąż jeszcze w Murmańsku - na wszelki wypadek adresuję list na Błyskawicę, w nadziei, że jakoś dotrze do Twoich rąk.

Domyślasz się pewnie, że jestem u ojca; od kiedy Algier jest

znów w naszych rękach, stało się to możliwe. Ale sprowadziło mnie tu coś, czego nie przewidzieliśmy w naszych planach: Marcel brał udział w operacji "Torch" na początku listopada ubiegłego roku. Zdobywanie Oranu nie obyło się bez walki, choć w porcie stała flota francuska - to było straszne, nie oszczędzono nam niczego w tej wojnie. Marcel został ranny, ciężko ranny. Po kilku miesiącach pobytu w szpitalu przywiozłam go do domu ojca w Oranie, tak więc pisana mi była rośa samarytanki. Ale to nie jest przejściowa opieka nad kontuzjowanym żołnierzem. Marcel będzie potrzebował jej zawsze, zawsze będzie potrzebował mnie. Nie ma obydwo nóg, zmiażdżyły mu je barki desantowe podczas lądowania na plaży pod Oranem, najdoskonalszą sztuką chirurgiczną nie udało się tego naprawić. W tej sytuacji... Wszystko, co roiliśmy, zostało więc przekreślone przez los, i wybac mi, że nie podejmuję żadnej walki o to, żebyśmy jednak mogli być razem. Z jakim czołem mogłabym rau teraz powiedzieć, że... nie, to niemożliwe i wiem, że ty także tak myślisz. Przeplakałam wiele nocy, zanim usiadłam do napisania tego listu, mam nadzieję, że Marcel niczego się nie domyśla, nie chciałabym, żeby cierpiał bardziej, niż cierpi - Tobie także kiedyś o to chodziło, prawda? Bądź zdrow, Wołodia! Kochałam Cię tak, że tracąc Ciebie, tracę całą radość, jakiej spodziewałam się jeszcze od życia. Nic już w nim nie będzie prócz obowiązków. Przeżyj szczęśliwie wojnę, wróć do swojej Ojczyzny. I... odezwiw się, gdybyś był kiedyś w Paryżu. W końcu jesteśmy także parą dobrych znajomych".

Ostatnie dwa zdania były przekreślone, następował po nich dopisek:

"Nie! Nie zobaczymy się już nigdy więcej. Nie trzeba było tego ciągnąć, udawać, kłamać. Wiem, że do końca życia będę pragnęła Cię zobaczyć, napisać do Ciebie... Nie zrobię tego i proszę Cię, żebyś Ty także...

Anetka".

Złożył powoli mały arkusik listu i wsunął go do koperty. Czuł się jak ogłuszony. Wina wobec Anetki, która trapiła go od kilku godzin, stała się nieistotna, ale prawie o tym nie myślał - wiadomość o wypadku Briffauta po otrzymanej przed chwilą wiadomości o śmierci Staszka Hryniewieckiego przypominała, że wojna wciąż trwa, że zbiera swoje ofiary. Ludzie usiłowali mimo wszystko żyć pełnią życia, mieć jakieś swoje inne sprawy, ale wszystko było przez wojnę uzależnione, zakreślone jakby jej czerwonym ołówkiem.

Przekonał się o tym natychmiast, gdy rozpoczął się nalot na port, na nabrzeża, zavalone wyładowywanym z transportowców wojskowym sprzętem, na podstawione już wagony. Na szczęście portową osłonę przeciwlotniczą wzmocniła artyleria wszystkich okrętów eskorty. Wołodia zameldował się u dowódcy, w chwilę potem wszedł na pomost bojowy. Na długi czas zapomniał o sobie.

Dopiero wieczorem przeczytał listy od kolegów. Donosili o czekającym go awansie i odznaczeniu. Ucieszyło go to mniej, niż przypuszczał. Wszystko wydawało się odległe, prawie nierealne. Mac Bardless, gdy znaleźli się razem w kabinie, zaczął opowiadać o angielskich miniaturowych okrętach podwodnych, które uszkodziły słynnego Tirpitz,

pancernik niemiecki, na kotwiczowisku w norweskim fiordzie Alta - sądził, że go to zainteresuje, ale Polak słuchał w roztargnieniu.

- "X6" i "X7" przedarły się przez sieci zagrodowe, niech pan sobie wyobrazi: okręty obsadzone tylko przez dwóch ludzi... - Przerwał, zapytał z niepokojem: - Coś panu dolega?

- Przepraszam - oprzytomniał Wołodia.

- Otrzymał pan złe wiadomości w listach?

- Nie najlepsze. Ale były i dobre.

- Taka właśnie jest wojna. Raz na wozie, raz pod wozem. Raz im się coś udaje, raz nam. Przerobili swoje u-booty tak, żeby mogły schodzić w zanurzeniu do dwustu metrów, na to odpowiedzieliśmy bombą głębinową "Mark 9", wprowadziliśmy nowy typ miotacza rakietowych pocisków głębinowych "squid", samoloty otrzymały również pociski rakietowe i torpedę lotniczą z samonaprowadzającą głowicą i holowane za sobą hydrofony, służące do wykrywania okrętów podwodnych. Ale największe znaczenie w bitwie o Atlantyk - Irlandczyk zapalał się coraz bardziej - ma wprowadzenie lotniskowców eskortujących. "Black pit" już prawie nie istnieje. U-booty nie mogą już tam bezkarnie grasować.

Wołodia od miesiący czekał na taką rozmowę, a teraz nie zajmowała go prawie wcale. "Black pit" - luka na środkowym Atlantyku, nie objęta zasięgiem patroli lotniczych, była do tej pory najbardziej niebezpiecznym dla konwojów miejscem - Irlandczyk miał prawo oczekiwać, że polski artylerzysta okaże większe zainteresowanie dla tej sprawy. Na szczęście Wołodia zorientował się w swoim nietakcie.

- Przepraszam. Tyle tych nowin. Admiralicja zabrała się ostro do rzeczy.

- Wreszcie - mruknął Anglik.

- To nie ja powiedziałem - uśmiechnął się Wołodia.

Co dnia żegnał się teraz z Nataszą. Kiedy tylko mógł zejść z okrętu i kiedy ona nie miała dyżuru w szpitalu. Dziadek Skobcew wyszedł w morze na swoim statku rybackim i Wołodia tylko wyobrażał sobie, jak to stary go kiedyś zadusi tymi swoimi czerwonymi i popuchniętymi od pracy na morzu rękami. A może jednak nie zadusi? - myślał pod ciepłym piecem, kiedy Nataszą krzątała się koło samowara, kiedy smażyła na patelni jakieś placki, których zupełnie nie chciało mu się jeść po okrętowym wikcie, ale nigdy jej tego nie powiedział. Bo i dlaczego miałyby go udusić dziadek Skobcew? Czy unieszczęśliwił jego wnuczkę? Ależ on ją uszczęśliwił! Z dnia na dzień, z godziny na godzinę stawała się ładniejsza, rozkwitała od miłości, od nadziei, którą usiłowała odpędzić smutek.

Bo powiedział jej, że wróci, że przyjedzie tu zaraz po wojnie, że zabierze ją stąd do miasta, gdzie wieją wprawdzie również przez cały czas wiatry, ale cieplejsze, rok ma cztery pory, jak należy, a słońce wspina się na niebo wysoko i dopiero wieczorem naprawdę chowa się za horyzontem. Nataszka kręciła na to głową, ale rozstrzygnięcie tej sprawy zostawiała na potem.

- Mój miły! - mówiła. - Niech cię nie tknie żadna kula, niech cię nic nie zrani! Wyleczyłam cię ze wszystkich

ran, zagoiłam je, zasklepiłam. Wróc cały i zdrow. Nie daj się wojnie.

Słuchał jej ze ściśniętym gardłem, ale kiedy okręt odbijał od brzegu, kiedy wszystkie statki konwoju wyszły już z portu i zaczynała podążać za nimi eskorta - opuściło go opanowanie. Nataszka stała na zapchanym wojskowym sprzętem nabrzeżu w swoim krótkim kożuszk, zamazywała mu się przed oczyma jej twarz, potem jej postać, i widział już tylko jej chustkę, targaną przez wiatr, a może wydawało mu się tylko, że ją widzi... Podniósł obie pięści, zatkał nimi usta, bał się, że zacznie krzyczeć.

Mac Bardless podszedł do niego, położył mu dłoń na ramieniu.

- Kobiety! Niech pan myśli, że one nie istnieją, kapitanie.

XXVII

Ten papier przyszedł, kiedy nikt się go nie spodziewał.

Łucka zaraz po powrocie z biura wybrała się do żony Leona Kąkola z jakimiś drobiazgami dla jej dzieci. Powodowała nią i litość, i zazdrość zarazem - żona jednego z oficerów łącznikowych pułkownika Dąbka, wyrzucona ze swego mieszkania przy Tatrzańskej, gnieździła się w jakiej piwnicy w Orłowie, głodowała wraz z dziećmi, ale sumienie miała spokojne i z coraz większą nadzieją czekała na powrót męża z niewoli. Łucka, patrząc na jej przedwcześnie postarzałą twarz, myślała, że gdyby i Krzysztof poszedł do niewoli, jej los wyglądałby właśnie w ten sposób: ze Świętojańskiej by ją wyrzucili, chodziłaby na posługi jak Kąkolowa, Julitka i Tomaszek spełnialiby także jakieś służebne funkcje u miejscowych Niemców, ale jakież byłby w tym spokój, jakie łatwe czekanie na zwycięski koniec wojny.

Wciskała Kąkolowej swoje skromne dary i odchodziła z załzawionymi oczyma. Kąkolowa nie wiedziała, jakim dowodem legitymuje się teraz żona wojennego towarzysza jej męża, nie mogła zrozumieć jej zachowania. A także nie mogła jej pomóc, choć miała w sobie tyle zacieklej wytrzymałości, że mogłaby nią obdzielić wiele kobiet.

Po drodze Łucka usiłowała się opanować, właściwie przez cały czas - od rana do wieczora - usilnie się o to starała i nigdy w pełni jej się to nie udawało. A teraz czekał na nią w domu ten papier - właściwie świstek, złożony we dwoje i spięty spinaczem. Zauważyła go od razu, gdy tylko weszła do pokoju. Leżał na brzegu stołu, świecił bielą na kolorowym tle ceraty, a matka i Tomaszek, cofnięci pod samą ścianę, prawie przyklejeni do niej, trzymali się od niego z daleka, jakby parzył, jakby mógł skaleczyć lub ugryźć.

- Co to jest? - zapytała zachrypniętym głosem.

- Zobacz - powiedziała matka.

- Nie przeczytaliście?

- Nie.

- Dlaczego?

- No, zobacz! Zobacz sama!

Łucka zbliżyła się do stołu i wzięła świstek w dwa palce. Ręka jej się trzęsła. W lewym rogu był niemiecki "ptaszek", a pod nim straszne słowo, które spędzało sen z jej powiek od długich miesięcy: "Wehrmacht". Nie, myślała, to niemożliwe. Ileż on ma lat? Jeszcze nie skończył osiemnastu. Przecież

to jeszcze dziecko. Dziecko! Jej dziecko!

- A może to tylko rejestracja...? - cicho odpowiedziała Konkowa.

Łucka spojrzała na nią z wściekłością.

- To dlaczego mama nie otworzyła? Nie przeczytała?

Zawsze wszystko spada na mnie w tym domu.

- Chciałam... ..

- Już ja wiem, czego mama chciała. Żeby najpierw podstawiała swój grzbiet. No, dobrze - Łucka wyprostowała się - niech już tak będzie.

Szarpnęła świstkiem, otworzyła go, podniosła do oczu

- matka i syn patrzyli na nią w napięciu.

- Osiemnastego stycznia ma się stawić w wojsku - powiedziała po długiej chwili.

Tomaszek od razu się rozplakał. Babka przyskoczyła do niego, uderzyła go w twarz, z prawej i z lewej strony, dołożyła, aż się zachwiał i oparł o ścianę. Ale rękami się nie zasłonił, babka biła, a on stał nieruchomy, nawet płakać na głos przestał, tylko łzy ciekły mu po twarzy.

- Ty gówniarzu! - krzyczała. - W wojsku polskim nie chciałeś służyć, to teraz będziesz służył w szwabskim. Tegom się na stare lata doczekała! I tak już na ulicy wstydę się pokazywać, a teraz jeszcze przybędzie mi wnuk w niemieckim mundurze. Żebyś mi tu tylko na urlop nie przyjeżdżał! Słyszysz? I nie becz! Co z ciebie wyrosło? Ciasto nie chłopak. Jedna tylko pociecha, że pożytku z ciebie mieć w tym wojsku nie będą. Och, mogłabym cię zatłuc, kiedy patrzę na twoją głowę!

- Mamo! - Łucka odciągnęła matkę od syna, zasłoniła go sobą. - Cóż on winien? To przecież ja, tylko ja...
- Obydwoje jesteście siebie warci. Obydwoje! Gdybyś go wtedy nie zatrzymywała, może zostałby z Krzysztofem... I zamęczyliby go w gestapo, jak innych. O tym mama nie pomyślała?

Konkowa zamilkła, Łucka ją objęła i uderzyły obydwie w wielki płacz, słyszany chyba na wszystkich piętrach kamienicy.

Tomaszek rzucił się ku drzwiom i wypadł na schody. Z pierwszego piętra dochodził gwar wielu głosów, powinno go to powstrzymać, ale nie powstrzymało, pchnął nie domknięte drzwi, przeszedł przez przedpokój, w którym na wieszaku wisiały damskie futrai wojskowe płaszcze - Karol na szczęście był w kuchni. Stawiał właśnie na tacy dwie butelki wina i kieliszki. Zwrócił ku chłopakowi zdumiony wzrok i jakoś od razu pojał, co się stało.

- Kiedy? - zapytał tylko.

- Osiemnastego stycznia. Mam tylko pięć dni...

- Na co.. masz pięć dni? - spytał Karol powoli, szkło zadzwieczało w jego rękach.

- Nie wiem na co... - wyjąkał Tomaszek - ale przecież muszę coś ze sobą zrobić... Uciec do ojca albo co...

- Teraz się namyśliłeś! - mruknął nie bez złośliwości Karol. - A wiesz chociaż, gdzie jest?

- Julitka pewnie wie. Zresztą wszystko jedno... w las pójdę...

- Jutro porozmawiamy spokojnie. - Karol chwycił tacę. - Mamy gości, chyba zauważyłeś. I nie rycz na

schodach, "mikser" ze szpitala wrócił, ale siedzi w domu, bo jeszcze nie całkiem wydobrzał. Poczekaj, poczekaj, to w ogóle może być jego sprawka...

r

- Co? - wyjąkał Tomaszek, uspokajając się powoli.

- To, że cię biorą do wojska... że cię tak wcześniej biorą do wojska...

- Ale on z mamą... całkiem dobrze...

- Chłopcze! - powiedział tylko Karol.

W drzwiach kuchni stanął Lohmann, koszulę miał porozpinaną pod brodą, twarz zaczerwienioną od alkoholu.

- Karolu! - zawołał z pretensją. - Czekamy na wino!

- Już podaję, proszę pana - poderwał się Karol.

Tomaszek, wyminawszy szefa matki, prysnął do przedpokoju. Ale Lohmann zauważył jego zaczerwienione oczy, łyzy nieobeschłe na policzkach.

- Czy coś się stało na górze? - spytał Karol.

- Chłopak powołanie dostał.

- Powołanie? Do czego?

- Jak to do czego? Do wojska.

- A ileż on ma lat? - zdziwił się z nieukrywaną przykrością Lohmann, jakby Tomaszek, dorastając, jemu przede wszystkim spłatał paskudnego figla.

- Nie wiem ile, ale lata płyną, a wojna wciąż trwa.

- Wciąż trwa... - powtórzył Lohmann i zapytał dopiero po chwili: - I co? Nie chce iść? Płacze?

- No, cieszyć się nie ma z czego - powiedział z całą szczerością Karol. - Jakby pan na przykład...

- Mój Karolu! - przerwał mu Lohmann, nastroszył się groźnie, ale zaraz twarz mu się zmieniła. - Zanieś wino do salonu - powiedział. - Za chwilę wrócę. Muszę wpaść na górę.

Obie kobiety jeszcze płakały - Łucka przeraziła się, że Lohmann to widzi, usiłowała podać jakiś inny powód łez, ale szef od razu powiedział jej, że już wie.

- Przyszedłem - dodał - bo sytuacja jest poważna.

Nawet sobie pani nie zdaje sprawy, jak poważna, pani Grabień.

- Czy pan myśli, że mój wnuk zatrzyma wszystkich Rosjan? - zaczęła zaczepnie Konkowa.

Lohmann spojrzał na nią pobłaźliwie.

- Nie o to chodzi. Boję się... żeby on nie zrobił jakiegoś głupstwa...

- Głupstwa? - spytała Łucka.

- Żeby nie uciekł... czy coś w tym rodzaju... Rozumie pani, że wtedy sytuacja pani... a także i moja... Jakoś wyciągałem panią ze wszystkich opresji, ale tym razem... tym razem*... Niech pani nie sądzi, że odmawiam pani pomocy. Po prostu czuję się tak samo zagrożony jak pani.

- Rozumiem - powiedziała Łucka, nie patrząc na matkę.

Konkowa krzyknęła:

- Co rozumiesz? Co rozumiesz?

- Niech się pani uspokoi - Lohmann znów spojrzał na nią z litościwym pobłażaniem. - W końcu wszystkim nam zależy na jednym: żeby nie doszło do większego nieszczęścia. Wojna może nie potrwa już długo...

- Co pan mówi? - zdumiała się nadmiernie Łucka.
- No... - zająknął się Lohmann -jeśli fuhrer zdecyduje się na użycie nowej broni...
- A dlaczego jej do tej pory nie użył? - spytała Konkowa.
Lohmannowi zaczynała w końcu działać na nerwy.
- Nie naszym zadaniem jest pytać go o to - odpowiedział szorstko. - Więc, droga pani - zwrócił się znów do Łucki - zdaję sobie sprawę, jaki to cios dla pani...
- A nie można by go było... wyreklamować? - spytała Łucka.
Lohmann patrzył na nią, jakby nie rozumiał tego słowa, choć dla tysięcy niemieckich mężczyzn - i dla niego samego - oznaczało teraz największą z łask.
- Wyreklamować! - powtórzyła.
- Ach, wyreklamować... - krzywo uśmiechnął się Lohmann, wydał się Łucke opasły, spocony, odrażający, choć zawsze uważała go za przystojnego mężczyznę. - Wyreklamować... Sądzę, że to bez szans. Chłopak nie pracuje na żadnym ważnym dla wojny stanowisku pracy... Zdaje się, że w ogóle nie pracuje?
- W sklepie Meinia, jako pomoc.
-- No, widzi pani.
- Nie chce mi pan pomóc?
- Nie mogę! Niech pani to zrozumie: nie mogę. I mnie się także przyglądają, może mi pani wierzyć. Choćby ten z trzeciego piętra.
- On się nam wszystkim przygląda.
- No, więc nareszcie zaczyna pani dochodzić do jakiegoś rozeznania w sytuacji.
- Niechże pan już idzie - odezwała się nagle Konkowa.
- Dosyć! Dosyć! Nie chcę tego słuchać!
Łucka struchlała. Spojrzała przepaszająco na Lohmanna.
- Niech pan wybaczy. Matka zdenerwowana...
- Rozumiem, rozumiem - Lohmann pośpiesznie posunął się ku drzwiom. - Jeszcze jedno tylko chciałbym dodać: przecież chłopak nie od razu pójdzie na front. Kilka miesięcy będzie trwało przeszkolenie...
- Przeszkolenie? - spytała z nadzieją Łucka.
- Oczywiście - gorliwie potwierdził Lohmann. - Trzeba nauczyć go strzelać...
- Niechże pan już idzie! - głośniejszą powtórzyła Konkowa. - Strzelać to wy każdego nauczycie prędko. Cały świat moglibyście wziąć na przeszkolenie.
- Mamo! - omdlałym głosem zaprotestowała Łucka.
Ale Lohmann był już w drzwiach, otworzył je gwałtownie i... bardzo cicho zamknął za sobą.
- Oczywiście przekonał cię? - zapytała Konkowa po długiej chwili milczenia.
Łucka przyskoczyła do matki, targnęła nią, przyparła do ściany. Jej niebieskie, zawsze do nieba przez Krzysztofa przyrównywane oczy były prawie czarne.
- A jakie jest inne wyjście? - krzyknęła. - Jakie jest inne wyjście?
Jedynie matka odprowadziła Tomaszka na dworzec/babka zeszła z nim tylko na dół, do bramy. Trzymała się za serce,

brakło jej tchu.

- Idź już! - mówiła. - Idź!

Chłopak schylił się do jej ręki, ale mu ją wyrwała.

- Diabła w ogon będziesz teraz całował, nie babkę w rękę.

Łucka milczała, nie było nic do powiedzenia, rozpaczliwie nie było nic do powiedzenia - wypchnęła chłopaka za drzwi, sama pośpiesznie podążyła za nim. Ani spojrzeli obydwój na dom, który przez tyle lat był dumą rodziny, najgłówniejszym jej zabezpieczeniem. Teraz nie było już rodziny i nie istniało żadne z zabezpieczeń. Łucka od razu ruszyła krokiem twardym i równym, jakby to ona właśnie miała nauczyć swego syna wojskowego marszu. Ale Tomaszek nie podchwycił tego rytmu, powlókł się za matką ociężale.

Babka stała długo w pustym korytarzu, dopóki nie umilkły ich kroki. Potem przeżegnała się i zaczęła odmawiać 'modlitwę, taką samą za tego, który dopiero co odszedł, jak za tych, co odeszli dawno temu... Spostrzegła to dopiero po chwili i bolesny strach ścisnął jej gardło. Zaniechała modlitwy, ruszyła ku schodom - ale po chwili zmieniła zamiar, wsadziła rękę do kieszeni fartucha, poszukała klucza od windy. Otworzyła ją, nacisnęła guzik piątego piętra. Winda drgnęła, coś w niej trzasnęło - nie konserwowana właściwie przez cały czas wojny, nie działała już tak sprawnie jak dawniej - ale ruszyła jednak w górę. Konkowa przypomniała sobie, ile dobrych chwil spędziła tu, zanim wybuchła wojna, jak lubiła nią jeździć: własną windą przez pięć własnych pięter, jakie miłe oblegały ją tu zawsze myśli. Życie wydawało się tu wywyższone ponad dawne wyobrażenia o nim, niezwykajne i odświętne tak bardzo, że czasem bała się, czy przypadkiem nie śni jej się to wszystko albo czy nie przygląda się cudzemu życiu, szczęśliwemu ponad miarę. Bo utrata tej miary nękała ją jednak w tamtych dniach. I oto złe przeczucie sprawdziło się, los się odwrócił, całym tyłkiem się do nich odwrócił, od ilu lat widywała już tylko ten wypięty na nich tyłek, na całą ich rodzinę, na cały ich dom... Winda zatrzymała się na piątym piętrze, Konkowa wysiadła. Nie dlatego, żeby wydawało jej się, że jest tak, jak dawniej - właśnie uświadomiła sobie z najostrzejszą wyrazistością, że już nigdy tak nie będzie - ale, że zapragnęła udać dawną swoją szczęśliwość, podejść choćby do drzwi osobnego swego mieszkania, tej garsoniery, jak ją nazywał pożyczający u niej pieniądze na pokera kapitan Wołodia Jazowiecki. Na sąsiednich drzwiach - tych z lewej - wisiała dawniej wizytówka Arciszewskich, którzy mieli tylko jedną zmianę pościeli, ale za to co tydzień byli w kasynie w Sopocie, na tych z prawej widniała mosiężna tabliczka z nazwiskiem panny Loewe... Konkowa znowu zaczęła modlitwę za umarłych, ale tak jak uprzednio, zaraz jej poniechała. Na wszystkich drzwiach odczytywała teraz niemieckie nazwiska, ale już wkrótce miało ich tu nie być. Modlitwa za umarłych była przypieczętowaniem nieodwracalności, a to, na co tu patrzyła, musiało się zmienić, los już niedługo miał się odwrócić tyłkiem do kogo innego i warto było na to czekać, choćby licząc własne krwawe straty. Z obudzoną nagle otuchą Konkowa znowu otworzyła

drzwi windy. Żegnała Tomaszka z uczuciem zupełnej klęski, teraz rozumiała, że i radość jeszcze jakąś ma przed sobą i że nie podda się, dopóki jej nie zazna. Warto było żyć, żeby doczekać tej chwili, kiedy ci z piątego piętra - i z wszystkich innych - będą uciekać z tego domu i z tego miasta. Nie mogło to być zadośćuczynieniem za wszystkie krzywdy, ale jednak warto było żyć, żeby to zobaczyć.

XXVIII

Arno Wieseirode coraz rzadziej zjawiał się teraz w Gotenhafen. Przewaga aliantów na Atlantyku przesunęła u-booty na morza bardziej odległe, o setki mil oddalone od baz. Paliwo pobierały z podwodnych zbiornikowców, choć i one padały łupem nasilonych ataków lotniczych. W ciągu ostatnich kilku miesięcy U-003 przebywał u wybrzeży Nowej Fundlandii, w rejonie Azorów, Wysp Owczych, a także na Morzu Karaibskim, u wybrzeży Brazylii i Afryki, wokół Wysp Zielonego Przylądka, gdzie pobierały paliwo u-booty skierowane na Ocean Indyjski. U-003 szczęśliwie uniknął tego losu, po dwóch miesiącach spędzonych bez przerwy w morzu, w nadmiernie częstym zanurzeniu ze względu na wszechobecne zagrożenie ze strony alianckich lotniskowców, został odesłany do bazy i na stocznię, celem instalacji nowego urządzenia, które podwodniacy nazwali "chrupami". Pozwalały one płynąć w zanurzeniu na silnikach spalinowych i ładować w tym czasie akumulatory. Chrapy doprowadzały powietrze i odprowadzały spaliny, skracaly okres przebywania na powierzchni, były nadzieją niemieckiej wojny podwodnej, która wchodziła w nowy - nie przewidziany na początku, u szczytów powodzenia - okres. Oto przygotowywano się do utworzenia dwóch silnych patroli przeciwinwazyjnych. Jeden miał zabezpieczać brzegi zachodnioeuropejskie, drugi - penetrować Morze Północne i Norweskie.

Arno wrócił w złym stanie - fizycznym i nerwowym. Miał wprowadzić na koncie dwa transportowce z konwojów atlantyckich, które przyczyniły się do jego awansu na fregattenkapitana, ale sam ledwie uniknął trafienia i przeżył na okręcie pierwszy atak zbiorowej hysterii. Opanował go szybko, nie mógł jednak zapomnieć, że coś takiego się zdarzyło i że mogło zdarzyć się ponownie. Był marzec czterdziestego czwartego roku; nie zapominając o intensywnych ćwiczeniach przed rozpoczęciem wojny - ludzie żyli prawie pięć lat w bezustannym napięciu, z tego ile w morzu i ile w zanurzeniu?

Dał sobie słowo, że podczas pobytu na lądzie nie będzie p tym myślał, że nie będzie myślał o niczym przykrym, nawet o tym, o czym nie udało mu się dotąd zapomnieć, a co odżywało w nim z przejmującą wyrazistością podczas każdego powrotu do domu na Kamiennej Górze. Skoro wszystkie morza i oceany pokrywała teraz coraz gęstsza siatka angielsko-amerykańskiej czujności, skoro spodziewano się już inwazji i planowano zaciekły opór - jakie znaczenie mogło mieć małe własne nieszczęście, zaplątanie we wszystkie narzucone człowiekowi niemożliwości? Cóż stąd, że ta kobieta żyła w tym mieście? Nie chciała go widzieć, a i on... i on... - ileż spokoju mogło dać takie kłamstwo przed sobą samym - i on także mógł żyć bez jej widoku.

Postanowił się przede wszystkim wyspać, zapowiedział to od razu rodzinie, która zajmowała teraz pierwsze piętro domu, i spotkał się z należytytym zrozumieniem – szanowano w tym mieście spokój ludzi przychodzących z morza, a on był w dodatku tym, o którym dwukrotnie rozpisywały się gazety, zamieszczając jego zdjęcie w galowym mundurze i ze wszystkimi orderami. Dzieci Asenbrotów zbierały te zdjęcia, o czym mu pani Asenbrot oznajmiła zaraz przy powitaniu. Niestety, ledwie się położył, zapukała leciutko do drzwi jego pokoju. Zdawało mu się, że przedtem słyszał nieśmiały odgłos dzwonka i ogarnęła go tym większa wściekłość. Zapowiedział przecież babie, że nie chce nikogo widzieć. Usiadł na tapczanie jak poderwany sprężyna.

Pani Asenbrot miała w oczach popłoch.

- Przepraszam, najmocniej przepraszam, ale mówiłam, że pan śpi...

- Trzeba było przede wszystkim powiedzieć, że mnie nie ma!-krzyknął.

- Powiedziałabym... tylko że ona przychodziła tu już tyle razy i nigdy nie mogła pana zastać...

Zerwał się z tapczanu, włożył kurtkę, zawieszoną na poręczu krzesła, przygładził włosy.

- Kto? - zapytał głosem, którego brzmienie zwróciło uwagę pani Asenbrot.

- Ta dziewczyna... zdaje się, że ma jakąś ważną sprawę...

- Do diabła! - zaklął Arno pod nosem. Jednego był pewien: nie miał ochoty widzieć żadnej dziewczyny. Nawiedzało go jeszcze od czasu do czasu upiorne wspomnienie przyjęcia, jakie wydał w tym domu, i Annemarie, która chciała go zaliczyć do swoich zdobyczy, a u której zastąpił go w końcu - był pewien, że z dobrym skutkiem - marynarz z mesy okrętowej. - Proszę pani... - zwrócił się groźnie do zalęknionej coraz bardziej sąsiadki - powiedziałem przecież...

- Ale ona była tu już tyle razy - zdołała jednak wyszeptać pani Asenbrot. - I mówi, że przychodzi w sprawie swojej matki...

Wieseirode w jednej chwili był przy drzwiach.

W przedpokoju stała Wisia Tereszko. Nie widział jej dawno i wydała mu się teraz jeszcze bardziej podobna do swojej matki.

- Przepraszam - powiedziała cicho. - Wiem, że pan zmęczony...

- Cóż znowu? - zawołał, zapominając, że pani Asenbrot nie wycofała się jeszcze do siebie na górę. - Wejdz! Niech pani wejdzie... Właściwie nie wiem, jak się zwracać do ciebie... Taka śliczna panna się z ciebie zrobiła.

Wisia nie odpowiedziała na komplement. Usiadła na brzegu fotela w salonie, który wciąż wyglądał jak dawniej, ale nie zwracała na to uwagi. Podniosła pełne rozpaczy oczy.

- Przychodzę w sprawie mamy.

Usiadł także, długo szukał papierosów, ręce mu drżały.

- Czy... coś się stało?

- Mama jest w Stutthofie...

- W Stutthofie? - powtórzył ze zgrozą. Nie powinien był sobie na nią pozwolić, Stutthof był obozem wychowawczym dla leniwych i opornych Polaków, uczyli się w nim

pracować i choćby ze względu na panią Asenbrot, która mogła jeszcze stać na schodach, nie wolno mu było powtarzać tej nazwy z dezaprobatą i strachem w głosie. A jednak powiedział jeszcze raz z tym samym przerażeniem: - W Stutthofie...

- Tak.

- Od dawna?

- Prawie od roku. - Wisia zasłoniła rękami oczy.

- Boże! Byłam tu tyle razy u pana... I nigdy nie mogłam pana zastać. Dopiero dziś udało mi się dowiedzieć, że pana okręt wszedł do doku...

Jak? W jaki sposób? - chciał zapytać. Kiedy indziej obudzona czujność kazałaby mu tego dociekać, nie zapomniał jeszcze chłopaka z woreczkiem piasku, uwiązany pod kolanem, wiedział, że Polacy są zorganizowani, w dodatku lepiej, niż można to było przypuszczać - teraz jednak wszystko to wydało mu się błahe i bez znaczenia. Zamiast tamtych pytań, postawił inne:

- Czy wiesz dlaczego? Dlaczego ją zabrali?

Wisia zwiesiła głowę.

- Wiem - powiedziała po długim czasie.

Arno też już wiedział.

- Poszwy i prześcieradła z pieczęcią "Kriegsmarine"?

- Tak. Musieliśmy przecież z czegoś żyć! - krzyknęła

Wisia. - Czy pan wyobraża sobie, ile zarabiamy i co dostajemy na nasze kartki? W dodatku byłam chora...

- Wiem - powiedział cicho.

- Czy... Czy będzie pan mógł pomóc...?

Arno rozważał to właśnie. Zadawał sobie pytanie, czyjego orderzy zrobią wrażenie w komendanturze obozu i właściwie jakim prawem, jakim niemieckim prawem miał upominać się o jakąś polską złodziejkę, którą spotkała słuszna, jak najśluszniejsza kara.

- Muszę coś wymyślić - powiedział słabym głosem.

Wisia zerwała się ze swego fotela.

- Proszę! Błagam! Niech pan tam pojedzie! Niech pan powie, że... że mama prowadziła panu gospodarstwo domowe... że świetnie gotuje, że nie może się pan męczyć bez gosposi...

- Mamy kasyno.

- Och, nie będą pana łapać za słówka. Przecież jest pan kimś, komendant obozu weźmie to pod uwagę. Proszę! Co pewien czas przychodziły od mamy kartki na paczkę, ale od dwóch miesięcy to ustało... Tak się boję... tak się boję...

Wieseirode posadził dziewczynę znów na fotelu. Szukał słów, żeby jej najkrócej wyjaśnić system władzy, która i jego trzymała w swoich kleszczach. Ale nagle obudził się w nim bunt. Więc co były warte jego zasługi, skoro nie uwalniały go nawet od strachu przed jakimś dekonikiem, który na stanowisku komendanta obozu wymigiwał się od wojska?

Przez sekundę pozazdrościł mu tej bezpiecznej odległości od frontu, ale zaraz wycofał się z tej myśli. We własnej śmierci dla flihrera i ojczyzny było jednak coś wzniosłego, podczas gdy... Ależ oni uczą tam pracy, pracy! przepowiedział sobie jak lekcję, której postanowił nauczyć się na pamięć.

- Proszę! Proszę! - powtarzała wciąż Wisia. - Wydawało mi się... wydawało mi się, że... pan... lubił mamę.

Spojrzał na nią, na jej czarne włosy, tak samo gładko rozdzielone nad czołem jak u tamtej, na oczy, których blasku nie zapomniał, na usta, nie oszpecone nawet hamowanym płaczem.

- Dziewczyno! - powiedział tylko.

- Pójdzie pan tam? Pojedzie...?

- Tak - powiedział z wahaniem.

- Kiedy?

- Dziś! Nie, dziś już za późno. Jutro...

- Czy... będę mogła przyjść... dowiedzieć się...;

- Tak, proszę.

Zdołał utrzymać się w tym postanowieniu przez cały wieczór i noc, nad ranem przeżył wprowadzenie moment przykrego, upokarzającego załamania, ale udało mu się je zwalczyć. Po śniadaniu w kasynie udał się do dowództwa i poprosił o samochód w celach prywatnych. Nigdy dotąd z niego nie korzystał, więc dano mu go bez oporu, choć z benzyną było już krucho. Musiał jednak podać cel podróży.

- Stutthof? - zdumiała się panienka ze służby pomocniczej, wypisująca rozkaz wyjazdu.

- Stutthof - potwierdził, ale dodał zaraz, jakby musiał się jednak z tego wytłumaczyć. - Komendant obozu to mój znajomy.

- Rozumiem - powiedziała uprzejmie, a jemu sprawiło to jakąś szczególną przykrość.

Zastanawiał się nad nią przez całą drogę, była jednak pogardą dla funkcjonariusza, do którego się udawał i przez którego miał nadzieję zostać przyjęty. Ta ostatnia myśl zaświtała mu w głowie, gdy już wjeżdżał na teren obozu, gdy po raz pierwszy - po zboczeniu z szosy do Piławy - zapytał go o przepustkę.

Nie miał jej. Wartownik był nieustępliwy. Mundur wysokiego oficera Kriegsmarine nie robił na nim żadnego wrażenia, nie takie mundury wywoływały tu respekt.

Wieseirode wyszarpnął z portfela dokumenty służbowe, legitymacje towarzyszące wszystkim odznaczeniom bojowym, nawet kartkę oddającą mu do dyspozycji samochód.

Wartownik przejrzał to wszystko pobieżnie i bez większego zainteresowania. W oczach jego była jakaś tępa odporność na wszelkie argumenty spoza wąskiego zakresu mu znanych.

- Ależ komendant mnie na pewno przyjmie! - krzyknął Wieseirode już trochę histerycznie. W głowie nie chciało mu się pomieścić, że musiałby się cofnąć przed taką przeszkodą.

- Jakby miał przyjąć - odparł wartownik z tym samym obraźliwym brakiem zainteresowania - to by pan miał przepustkę.

- Skąd miałem ją wziąć? - wrzasnął Amo. - Gdzie je wydają?

- W Gdańsku. Na ulicy Neugarten.

Wszystkim gdańszczanom ulica ta była dobrze znana, ale dowódcy U-003 nie kojarzyła się z niczym.

- Nie będę przecież teraz wracał na tę zasmarkaną ulicę.

- Tam się mieści gestapo - powiedział wartownik.

- Przepraszam. Nie wiedziałem. Nie siedzę na lądzie, przez cały czas, od trzydziestego dziewiątego roku, jestem

w morzu i jeśli... jeśli nie zasłużyłem nawet na to... - urwał, rumieniec upokorzenia, odrazy do siebie samego pokrył mu twarz. Do kogo to mówił? U kogo miały mu wyjednać przychylność jego wojenne zasługi, długa lista zatopień, wszystkie niebezpieczeństwa, którym uszedł, ratując okręt i ludzi? - Jest gdzieś tutaj telefon? - wykrztusił.

- Tutaj? - zdumiał się wartownik. Jego budka stała na skraju leśnej drogi, po lewej miał gęstą, nieprzetrzebioną ścianę lasu, po prawej karczowisko, na którym wznosił się okazały budynek mieszkalny, zabudowania administracyjne i ledwie widoczne za nimi niskie baraki obozu. - Telefon jest na wartowni.

- Aha! - ucieszył się Wieseirode. - Jest jednak jakaś wartownia.

- Oczywiście. Ale powiedzą tam panu to samo co ja. Zapytają o przepustkę.

- Może tam mi ją właśnie wystawią.

- Przepustki wystawiają w Gdańsku.

- Nie jestem złoczyńcą! - krzyknął Wieseirode, tracąc ponowanie nad sobą. - Jestem oficerem niemieckim, który wiernie służy fuhrerowi i ojczyźnie, który... - znowu poczucie żałosnej, obskurnej śmieszności nie pozwoliło mu skończyć zdania. - Żądam widzenia z komendantem obozu!

Wartownikowi nagle sprzykrzyła się ta scena.

- Proszę, niech pan jedzie na wartownię - powiedział.

- Ja bym mu... - mruknął kierowca z Kriegsmarine, gdy ruszyli.

- Spokojnie - uciszył go. Sam drżał cały z wściekłości. Jadąc tutaj, wyobrażał sobie, że ma przed sobą jedyną trudność: wyciągnięcie z obozu uwięzionej kobiety, tymczasem wciągnięty został w ambicjonalną sprawę, w którą się zaangażował nawet jego kierowca. - Spokojnie - powtórzył.

Minęli tory kolejki, przejechali obok budynku, w którym można się było domyślić willi komendanta, i obok psiarni, gdzie wylegiwały się w pierwszym wiosennym słońcu ogromne owczarki. Wszystkie zwróciły łby ku samochodowi, żaden nie zaszczekał, nauczone były najwidoczniej tego, że samochodami i w mundurach przybywali tu wyłącznie swoi. W przedziwny sposób nie sprawiło to Wieseirodemu satysfakcji.

Na wartowni powtórzyła się mniej więcej rozmowa, jaką odbył z wartownikiem przy szosie. I tu nie zdołał się opanować, rozłożył w okienku wszystkie swoje dokumenty, podpychał je pod nos nieciekawego ich esesmana, podniesionym głosem wyliczał wszystkie sukcesy U-003. Słuchano tego z pobłażliwym zniecierpliwieniem.

- Czy komendant oczekuje pana? - chciał wiedzieć funkcjonariusz w okienku. Tylko to go interesowało.

- Wczoraj wróciłem z morza - piał wysokim głosem Wieseirode - kiedy miałem się z nim skontaktować? Proszę teraz do niego zadzwonić. Na pewno mnie przyjmie.

Esesman miał bardzo sceptyczny wyraz twarzy.

- Proszę zadzwonić do komendanta! - powtórzył Arno głosem, którego nigdy nie używał na okręcie, tam najciszej wypowiedziane słowo zawsze było rozkazem. Tutaj jednak

krzyk odniósł w końcu jakiś skutek. Esesman podniósł słuchawkę i leniwie wykręcił numer.

W chwilę potem już wypełniał natrętowi z Kriegsmarine przepustkę, już, salutując, otwierał przed nim drzwi. Mały ten triumf przywrócił mu wiarę w siebie, wkroczył do gabinetu komendanta obozu z niedbałym uśmiechem i przedstawiając się, z tym samym uśmiechem poprosił o drobnostkę - o zwolnienie z obozu swojej byłej gospodyni, o której dowiedział się, że tu przebywa.

- Sądziłem, że uciekła - wyjaśnił - że jej zabroniono być u mnie, wie pan... te ich bandyckie organizacje... Ale okazuje się, że znajduje się tutaj. Chyba nie potrzebuje jej pan bardziej nrzja. Sądzę, że ważniejsze jest, żeby dowódca okrętu podwodnego po powrocie z wykonanego - podkreślił to - zadania dostał dobre śniadanie, niż żeby tutaj - zatoczył szeroki ruch ręką - zgadzała się ewidencja.

A jaki ona robi bigos! - roześmiał się hałaśliwie. - Nie wie pan, co to bigos? To taka polska potrawa z różnych mięs i kapusty z grzybami. Zapraszam pana na degustację! Zapewniam, że jeśli ona ją robi, nie będzie się pan dziwił mojej prośbie. A do tego bigosu chowam butelkę courvoisier, przywiozłem ją z urlopu we Francji. - Mówił wciąż hałaśliwie, śmiał się, trzaskał po udach, wszystko po to, żeby ukryć strach, ten piekielny, odrażający strach, że kiedy ona się tu zjawi, kiedy komendant ją zobaczy, domyśli się prawdziwej przyczyny jego zainteresowania tą kobietą. Komendant obozu, w randzie sturmbannfuhrera SS, bawił się ołówkiem.

- Jak długo u nas przebywa? - spytał po chwili.

- Prawie od roku.

- Hm... - mruknął. - No, zobaczymy. Jak się nazywa.

Wieseirode, starając się ukryć zdenerwowanie, które wciąż na nowo go opanowywało, podał personalia Tereszkowej. Komendant wezwał oberscharfuhrera i polecił przeprowadzić więźniarkę.

Trwało to długo. Nie wiadomo było, o czym przez ten czas rozmawiać, jak wypełnić te leniwie płynące minuty. Komendant zaczął mówić o organizacji obozu, o znaczeniu, jakie miał w tej północnej części Rzeszy, gdzie wprowadzić panował spokój, ale dość często musiało się dochodzić do wniosku, że jest to spokój pozorny. Na szczęście wypracowane już zostały metody w pełni skuteczne. Komendant mówił z nie ukrywaną dumą o sprawności mechanizmu, którym kierował.

Arno nie patrzył na jego twarz, bo ta duma i zadowolenie z dobrze wykonywanych obowiązków musiała się niechybnie na niej malować. Ale jeśli nie chciał patrzeć na niego, to co właściwie miał począć z oczyma, gdzie je miał podziąć - za oknem, w które spoglądał, nie mógł także znaleźć dla nich spokojnego oparcia. Właśnie dwie więźniarki w pasiakach prowadziły pod rękę trzecią. Prowadziły! To nie było odpowiednie określenie - ciągnęły ją, prawie wlokły po ziemi, choć się nie opierała. Widok był straszny. Odwrócił głowę. Ale po chwili znów patrzył. Postępująca obok więźniarek funkcjonariuszka obozowa kierowała je do budynku komendantury. Nie będzie się tu chyba przy mnie załatwiać jakichś spraw...? - pomyślał z przerażeniem.

Chciał zaprotestować, ale zastanowił się, czy powinien objawiać aż taką słabość. Odwrócił się więc znów do okna, starając się opanować, starając się myśleć, że i ona stamtąd przyjdzie, że wyłoni się zza narożnika bloku, że za chwilę ją zobaczy i ona zobaczy jego...

A one - te trzy i ta czwarta, która je eskortowała - weszły tymczasem do pokoju. Nie odwracał głowy, nie chciał tego widzieć, ale zaalarmował go głos komendanta. - Cóż to jest? Co to znaczy? - krzyczał. - Na co sobie pozwalacie?

Widok był odrażający: dwie młode, wychudzone więźniarki, podtrzymywały trzecią, ślaniającą się na nogach. Była to kobieta stara, kosmyki siwych włosów wysuwały się jej spod chustki na złane potem czoło. W wychudzonej, zapadłej twarzy gorejące błyszczały czarne, za duże jakby w niej teraz oczy. I zęby wydawały się także za duże, nie obejmowały ich zeschnięte, spieczone wargi, błyszczały w nich niepotrzebną, nie zdobiącą już bielą, zbędnym zdrowiem. Te zęby... i te oczy... Nie, to było nieprawdopodobne! Niemożliwe! Ale te oczy w niego patrzyły, rozpoznawały go... brały go za świadka... te oczy...

- Co to znaczy?! - wrzeszczał wciąż komendant.

Aufseherka - młoda, tęga dziewczucha - stała wyprostowana.

- Dał pan rozkaz, żeby sprowadzić, panie komendancie.

- Ale nie w takim stanie. Nie w takim stanie!

- Ona umiera - powiedziała jedna z dziewcząt w pa-siaku.

Miała swoją śmierć jeszcze przed sobą, może za miesiąc, za dwa, za pół roku, ale jej oczy gorzały tak samo i tak samo jak tamte nie zdejmowały z jego twarzy oskarżającego spojrzenia. Dlaczego? Dlaczego, myślał, nie powiedziała tego do komendanta, dlaczego mówiła to do niego, na niego patrzyła?

- Ona umiera! -

wzrokiem.

- powtórzyła, a aufseherka przeszyła ją

Precz mi z tym!

- Precz! - zawołał komendant.

Odpowie mi pani za to!

•-. - Pan komendant dał rozkaz, żeby sprowadzić - broniła się Niemka.

- Precz!-wrzeszczał komendant, bijąc pięścią w biurko.

Rozpoczął się odwrót - to samo szarpanie i wleczenie, i towarzyszące mu wściekłe popędzanie aufseherki.

Arno zrobił krok naprzód, ale jednak się zatrzymał.

Głowa leżącej na rękach towarzyszek kobiety odchyliła się w drzwiach i jeszcze raz ugodziły go jej oczy. Powinien był podbiec do niej, unieść ją, nie pozwolić wlec i szarpać, ale nie był tym, którego dotknięcie mogłoby jej sprawić ulgę, złagodzić chwilę śmierci - i komendant patrzył na niego, zdumiony wyrazem jego twarzy.

Gdy drzwi zamknęły się za kobietami, podniósł rękę do kołnierza, czuł, że się dusi.

- Nie sądziłem-wykrztusił-niespodziewałem się...

mówił pan przed chwilą o wychowawczych zadaniach obozu... a zobaczyłem... zobaczyłem...

Komendant stał przed nim, czerwony przedtem z wściekłości, teraz bladł powoli, oczy mu się zwęziły.

- Niech pan tylko nie sądzi - powiedział dobitnie - że robi pan czystsza robotę niż nasza.

Wieseirode patrzył na niego w osłupieniu. :

- Ja?-zawołał.-Ja walczę! Ja narażam swoje życie...

- I po co? - spytał tamten z okrutnym spokojem. Po co pan je naraża? Po to przecież, żebyśmy zwyciężyli. Żebyśmy mogli wyczyścić ten kraj ze wszystkich niepotrzebnych, gnijących elementów. Pan przecież o to walczy, fregattenkapitan Wieseirode.

Arno zamilkł. Ogromny sopel lodu ugodził go w samo serce.

- Więc dlaczego ma pan do nas pretensję, że we właściwy sposób korzystamy z pana zwycięstw? - zapytał komendant.

Stanął przed nim, pochylił głowę.

- Proszę uważać tę rozmowę... i w ogóle moją wizytę tutaj... za niebyłe.

Komendant skwitował to skrzywieniem warg.

- Sądzę, że tak będzie najlepiej. Niech pan dalej dzielnie walczy, fregattenkapitan. Musimy zwyciężyć.

Opanować się! - myślał. - Nie wybuchnąć!

Wychodząc, zdołał się prawie uśmiechnąć.

- Trudno, komendancie, nie spróbuje pan tego świetnego polskiego bigosu...

W samochodzie usiadł tak, żeby kierowca nie mógł widzieć jego twarzy. Tyle razy brał udział w śmierci, tyle razy ją powodował - nigdy nie widział jej z bliska. Ten czarny warkocz, myślał, gdzie jest ten czarny warkocz? Żeby przynajmniej pochowali go albo spalili razem z nią. Ale leżał gdzieś w jakimś worku na włosy w magazynie, gdzie gromadzono wszystko, co miało jakąś wartość - włosy, zęby... Ludzie o tym mówili, ale nigdy nie chciał tego słuchać, a to była jednak prawda.

Wysiadł przed domem z postanowieniem uniknięcia wizyty Wisi Tereszko. Nie mógł jej przecież powiedzieć... wołał, żeby myślała, że okazał się tchórzem i że boi się spojrzeć jej w oczy. Miał zamiar zapowiedzieć pani Asenbrot, że nie ma go dla nikogo w sposób ostateczny i nieodwołalny i że jeśli tego nie zrozumie, zmusi go do pozostawania przez cały czas na okręcie. Kiedy jednak to mówił - zaraz po otwarciu drzwi - kobieta miała przez cały czas rozbawiony wyraz twarzy.

- I co w tym panią cieszy? - wybuchnął.

Roześmiała się radośnie, a jej śmiechowi zawtórował drugi, w głębi domu.

- Bo już ma pan gościa. I to jakiego!

- Żona? - spytał z przerażeniem, którego pani Asenbrot nigdy nie powinna była zobaczyć.

Hannelohre biegła już ku niemu, miała na sobie powiewny szlafrok, którego nie znał, i musiała dopiero co wyjść z łazienki, bo pachniała cała świeżością, dobrym mydłem i wodą kwiatową.

- Kochanie! - wołała. - To się do tej pory zdarzało tylko w moich snach.

Nie widział jej osiem miesięcy, od ostatniego urlopu

i ostatniego pobytu w domu. Nie zapraszał jej nigdy do Gotenhafen i cieszyło go, że nigdy nie miała ochoty tu przyjechać. I oto tu była, całowała go gwałtownie, dusiła w uścisku.

- Skąd? - zdołał wykrztusić. - Jakim sposobem dowiedziałas się, kiedy wracam do bazy?

Roześmiała się szczęśliwie.

- Choć raz przydał mi się na coś papa admirał! Przyznasz, że nie zanudzam go prośbami. Kochanie! - zawołała.,

- Nigdy mi nie pisałeś, że tu tak ślicznie!

- Owszem, ładnie - powiedział, oswobadzając się delikatnie z jej uścisku.

- Taki ładny dom! I ogród! I widok na zatokę! Do kogo przedtem to należało?

- Nie wiem - odpowiedział. - Kiedy się tu wprowadziłem dom był już pusty.

Akurat dziś! - myślał. - Akurat dziś!

Hannelohre znów go całowała.

- Mam cztery dni urlopu. Całe cztery dni! Spędzimy je sami, jak po ślubie. - Przytuliła się do niego mocniej, ściszyła głos. - Czy... ta kobieta z góry... często tu schodzi...? •

- Oczywiście - odpowiedział. - Dom był budowany dla jednej rodziny i są tu tylko te schody.

- Ale przecież masz swój pokój - powiedziała niecierpliwie.

- Nie mógłbym tu odpoczywać, gdybym go nie miał

- odparł wymijająco. I zaraz zapytał: - Co w Hamburgu?

Bombardują bez przerwy?

Hannelohre odsunęła się od niego, usiadła w fotelu, poszukała w kieszeniach szlafroka papierosów, paliła inne niż on, więc tylko podał jej ognia i czekał, żeby odpowiedziała na jego pytanie.

- Prawie bez przerwy. Noc nie jest już osłoną, od kiedy mają bomby oświetlające; widzą wszystko jak na dłoni. Przyjechałam tu... oczywiście... stęskniłam się za tobą... osiem miesięcy! Osem miesięcy nie było cię w domu! Ale także chciałam się rozejrzeć, czy nie można by przenieść tu chłopców... ;

- Przecież nie zostawisz szpitala?

- Och, to niemożliwe! Nie myślę o sobie. Mama by tu z nimi przyjechała. Załatwiłbyś chyba przeniesienie ich do tutejszych szkół.

- Nie sądzę, żeby były z tym trudności.

- Arno!

Starął się przybrać zwykły wyraz twarzy.

- Coś ci dolega?

- Skądże? - odparł.

- W morzu jest coraz ciężiej?

- Tak. Ale do wszystkiego w końcu można się przyzwyczaić.

- Mnie nie okłamiesz. Codziennie mam do czynienia z ludźmi, którzy nie zdołali się przyzwyczaić. W końcu... i ja... ja sama... Przegrywamy wojnę, tak? - zapytała cicho.

- Tak - odpowiedział. Jeszcze wczoraj nikt nie zdołałby wymusić na nim tego wyznania. Uświadomił to sobie za późno. Krzyknął:

- Czy przyjechałaś tu po to, żeby zadać mi to pytanie?

Patrzyła boleśnie zdumiona.

- Przepraszam - powiedział. - Jestem ostatnio bardzo rozdrażniony.

- Widzę to od początku. Przepiszę ci tabletki z bromem.

- Wiesz, że nie wolno mi ich zażywać.

- Dopóki nie jesteś w morzu, możesz.

- Nasz lekarz nam ich nie zapisuje. Ostępiają.

- Lekarze wojskowi to weterynarze. Od dawna mam o nich to zdanie.

- Dobrze - poddał się. - Przepisz mi te tabletki.

- Mój biedny chłopiec.

Znowu go całowała, ale i tym razem pani Asenbrot wyratowała go z opresji.

- Chodźmy do twego pokoju - szepnęła Hannelohre.

- Nie chcesz zobaczyć ogrodu? - zaproponował.

T

Nadeszła jednak noc, Hannelohre wzięła w łazience drugą kąpiel tego dnia, nie przeczuwając, że jej świeżość i zapach lawendowego mydła, którego zdobycie - w piątym roku wojny - kosztowało ją zapewne wiele trudu, obracają się przeciwko niej. Kiedy przytuliła się do męża taka czysta, urodziwa i zdrowa, odsunął się od niej, ukrył twarz w poduszce.

- Wybacz - powiedział cicho.

Myślał, że zdoła się przemóc, w końcu cały dzień był jednym zadawanym sobie gwałtem, mógł dodać do niego jeszcze i ten - ale nie potrafił się do niego zmusić.

Hannelohre zmartwiała, leżała z zaciśniętymi powiekami, nie oddychała chyba także. Wziął jej dłoń, pocałował. Wyrwała mu ją.

- Powiedz od razu: jest jakaś inna kobieta?

- Nie - powiedział po długim milczeniu. - Nie ma. Nie ma drugiej kobiety.

- Przysięgnij na zdrowie naszych dzieci.

- Przysięgam.

- A więc... dlaczego? - zapytała żałośnie.

Przygarnął ją do siebie, bo była mu jednak potrzebna, bo bałby się to mówić do siebie.

- Byłem dzisiaj w obozie koncentracyjnym za Gdańskiem. Widziałem, jak ludzie umierają. Jak odrażająca, męczeńska i upokarzająca zgotowaliśmy im śmierć.

- Po co tam pojechałeś? - krzyknęła.

Długo formułował odpowiedź na to pytanie.

- Trzeba w końcu wiedzieć, co się dzieje w tym kraju.

- Ja usiłuję nie wiedzieć.

Nie słuchał jej, ciągnął dalej:

- Ważne było dla nas: c o. Co zdobędziemy, co osiągniemy. Nie pytaliśmy: jak? A przynajmniej inteligencja niemiecka, w odróżnieniu od wreszcie nasyczonego władzą, we wszelkich jej objawach, motłochu, powinna o to zapytać. Jak, w jaki sposób i za jaką cenę?

- Przestań - poprosiła cicho.

Nie pozwolił sobie przerwać.

- Powinniśmy wiedzieć, że ten nowy niemiecki świat to świat feldfebla, który wreszcie może wszystkim rozkazywać. Przez sto lat nikt nie zechce podawać ręki Niemcom. Jaka

jest przyszłość naszych synów? Dlaczego będą musieli za to płacić?

- Arno! -jęknęła. - Boję się. Gdybyś czasem... gdybyś czasem powiedział coś takiego nie tylko przede mną...

- I na tym właśnie polega obrzydliwość naszego życia.

Nie możemy mówić prawdy, nie możemy widzieć prawdy, nie możemy przeciwstawić się złu, chociaż rozumiemy, do jakiej klęski nas prowadzi.

- Wstanę, ubiorę się, trafię jakoś do apteki i przyniosę ci te proszki już teraz.

- Nie trzeba, jestem całkiem spokojny. Pamiętaj... gdyby się coś wydarzyło... gdybym sam nie mógł powiedzieć tego chłopcom... ty powiesz im, że nie chciałem przykładać do tego ręki, że od kiedy nabrałem pewności, od kiedy zobaczyłem to na własne oczy... nie chciałem już przykładać do tego ręki...

- Jak długo będzie trwał postój w stoczni?

- Dwa, do trzech tygodni.

- Chwała Bogu. Może byś zostawił nadzór zastępcy i przyjechał na ten czas do Hamburga...

- Do Hamburga?

- Tak. Pod te bomby. Żebyś wiedział, jak wtedy inaczej myśli się o wojnie. Jak nienawidzi się tych, którzy je rzucają.

- Kochanie - powiedział - nieszczęście Niemców

polega na tym, że w tej wojnie największymi wrogami są sami dla siebie. Gdyby tak nie było, nikt nie zdołałby nas pokonać. A do Hamburga... tak, zabierz mnie do Hamburga. Może w ogóle mógłbym zmienić bazę... Nie chciałem, nie chciałem już tu wracać...

Nie zmrużył oka aż do rana. Hannelohre płakała u jego boku. I nie mógł jej pocieszyć ani jednym dobrym słowem, choć na nie zasługiwała. Trzy tygodnie, jakie jego okręt miał spędzić w stoczni, były dla niej nadzieją - on nie wiedział, jak je przetrzyma: bardzo pragnął znowu być w morzu.

XXIX

Thomas Grabień (Grabín - wymawiano teraz z niemiecka jego nazwisko), szeregowy Wehrmachtu w jakimś małym garnizonie w General Gouvernement, pisywał do domu listy lakoniczne. Donosił w nich niezmiennie od pół roku, że jedzenie nie najgorsze, spanie jako tako wygodne i że na froncie jeszcze nie był. Nie przychodziło mu na myśl, czego by jeszcze matka i babka mogły być ciekawe. Koledzy, którzy szczerze wypełniali jak najdrobniejszym pismem przeznaczone na połowę korespondencję kartki, patrzyli na niego ze zdumieniem. Wszyscy mieli żony i dzieci, i Tomaszek rychło przyjął tę barierę wieku za najbardziej dla niego wygodną, a dla nich zrozumiałą. Myśleli, że młodociany żołnierz dlatego jest tak milczący, iż onieśmiela go ich towarzystwo, tematy rozmów, w których nie mógł uczestniczyć. Tomaszek nie wyprowadzał ich z błędu, nigdy nie skory do zwierzeń, teraz jeszcze bardziej zamknął się w sobie. Z przełożonymi zatargów nie miał, był uległy i posłuszny; kiedy padał rozkaz - przestawał myśleć, był idealnym materiałem na żołnierza w niemieckiej armii.

Z tego otępiałego, bezwładnego spokoju wytrącały go wyjścia do miasta, w którym wszędzie na ulicach słyszało się polski język, gdzie nikt nie milkł na widok niemieckiego

żołnierza. Nie posadzano go najpewniej o znajomość polskiego, i tak przed jakimś straganem z czereśniami dowiedział się o pierwszych atakach na Brześć i Lwów, na pocztce podsłuchiwał rozmowę o powołaniu w Warszawie stu tysięcy Polaków do sypania fortyfikacji... Wszystko to wydało mu się jeszcze odległe, odległe w podwójny jakiś sposób - i z liczby kilometrów, dzielących go od tych miast, nie zdawał sobie sprawy i one same nie znaczyły dla niego tyle, co którekolwiek z miast Pomorza. O Warszawie uczył się w szkole, ale prawie pięć lat wojny zatarło w pamięci nieledwie wszystko, co o niej słyszał. Natomiast dziwnie bliska wydawała mu się miejscowość, w której mieszkał dziadek. Wiedział, że jest gdzieś w tych stronach, kilkakrotnie był w tej wsi na wakacjach i nieraz myślał, że gdyby się rozpytał między ludźmi... Ale nie mógł się pokazać u dziadka Grabienia w niemieckim mundurze, postanowił poczekać, aż go zdejmie, aż go z niego zdejmą, był pewien, że to już niedługo nastąpi.

Wieczorami w koszarach rozmawiano o froncie. Wiadomości o nim czerpano z komunikatów formułowanych oględnie, ale po pięciu latach wojny każdy żołnierz wiedział, co to znaczyło, gdy całe armie wycofywały się na "z góry upatrzone pozycje". Tomaszka to nic nie obchodziło. Chciało mu się spać i wściekły był, gdy któregoś wieczoru w usypiający szmer rozmowy wtargnął donośny odgłos kroków sierżanta, a później jego głos, wyznaczający żołnierzy do plutonu egzekucyjnego, który miał o świcie następnego dnia stawić się w miejscowym więzieniu. Został także wyznaczony, zerwał się, stanął na baczność, mruknął "tak jest!", a gdy sierżant wyszedł, znowu padł na posłanie. I rano był senny. Wlókł się na końcu oddziału, słuchając domysłów żołnierzy, którzy spodziewali się, że i tym razem skazańcami będą dezterterzy. W ubiegłym tygodniu rozstrzelano ich siedmiu, ciekawi byli, ilu ich się znowu uzbierało. W plutonie egzekucyjnym mówiono o nich bez złości, co najwyżej z utajoną pretensją, że egzekucje odbywały się tak wcześnie rano, sen był jedynym dobrem żołnierza i choć letnie poranki wstawały promienne i iskrzące się od rosy, nikt nie kwapił się ich oglądać.

W więzieniu ustawiono ich pod ścianą dziedzińca na wprost drzwi, z których mieli wyjść skazańcy. Czekali na to dosyć długo, sierżant, dowodzący oddziałem, zaczynał się niecierpliwić, spoglądał nerwowo na zegarek i zapewne tylko myślał, że wszystko, czego się doznawało na zapleczu frontu, było lepsze od tego, czego można było doznać na froncie, łagodziła jego zniecierpliwienie.

W końcu za żelaznymi drzwiami odezwały się kroki, zadzwoniły klucze i jakaś ręka pchnęła ciężkie odrzwia. Ukazał się w nich starszy mężczyzna w podobnym do wojskowego mundurze, prawdopodobnie naczelnik więzienia, za nim drugi - jeszcze w innym mundurze, z jakąś kartką w ręku, strażnik z odbezpieczoną bronią, a za nim dwie dziewczyny, skute razem kajdankami.

Przez pluton egzekucyjny przeszedł szmer, nikły jak stłumiony oddech. Sierżant ostrym spojrzeniem obrzucił oddział. Ale go nie uspokoił. Żołnierze z drugiego szeregu wyciągali szyje, żeby ponad ramionami kolegów móc dokła-

dniej zobaczyć więźniarki. Niektórzy po raz drugi i trzeci brali udział w egzekucji i, być może, zaczynało im się roić, że rozstrzeliwanie dziewczyn to jednak co innego niż rozstrzeliwanie dezerterów. Ale zaraz przychodziła myśl następna, że dezerterzy to byli swoi chłopcy, miało się uczucie, że stało się z nimi w szeregu, a te tutaj... - w końcu przez takie właśnie zacięte dziewczyny wojna trwała tak długo, aż ją w końcu musieli przegrać, tak, przez takie dziewczyny także.

Tomaszek stał w pierwszym szeregu i nie musiał wyciągać szyi, żeby je dobrze obejrzeć. Obydwie były wymizerowane, zbite i brudne, ich twarze prawdopodobnie nawet im samym wydawały się zupełnie obce - a jednak coś go tknęło, gdy lepiej się im przyjrzał. Szczególnie jedna z nich kogoś mu przypominała. Najpierw przypomniawszy sobie czas, który mu się w mglisty jakiś sposób z nią kojarzył - lato... ciepło... szczęśliwie... a więc lato przed wojną, był jeszcze dzieckiem, ale już nie takim, które nie mogłoby zapamiętać ludzi, widywanych w domu... A więc i dom przy Świętojańskiej, i jakiś wieczór, kiedy wszyscy siedzieli przy stole, i głos Julitki, zdyszany z emocji, ale i przejęty zaszczycem: - To jest panna Halszka!

To była ona, zbita, skatowana, ledwie trzymająca się na nogach. Dziewczyna, z którą ją skuto, miała na imię Malina, to sobie także przypomniawszy. Przyszły obydwie z Gdańska, gdy do Gdyni wkroczyli Niemcy, prosiły o nocleg, ale w końcu udały się do Tereszków na Kamienną Górę... Miał do nich strzelać, wszyscy mieli do nich strzelać, ale on miał strzelać także do swego dzieciństwa, do wszystkiego, w co wierzył i co nie mogło, nie mogło stracić swego sensu. Zrobiło mu się słabo, przed oczyma zawirowały ogniste płatki - kolega, o którego ramię oparł się na chwilę, odsunął się od niego.

- Co ci jest?

- Nie, nic - odpowiedział.

Oficer towarzyszący naczelnikowi więzienia podniósł do góry kartkę. Tomaszek nie słyszał, co z niej odczytał, słowa dochodziły do jego uszu jak stłumiony bełkot, poderwała go dopiero komenda sierżanta. Przyłożył jak inni broń do ramienia.

- Niech żyje Polska! - krzyknęły dziewczyny bardzo wysokim głosem.

Oficer, który odczytał wyrok, spojrzał z wściekłością na sierżanta. Gdyby nie jego opieszałość w wydawaniu komend, strzały zagłuszyłyby ten okrzyk. A wyprzedziwszy je o sekundę, brzmiał donośnie i czysto, i odbijał się zwielokrotnionym echem w kwadracie więziennego podwórza.

Dopiero teraz sierżant kogucim głosem wrzasnął:

- Ognia!

Tomaszek celował w mur ponad głowami dziewczyn, ale to nie miało żadnego znaczenia, wiedział o tym, że to nie ma żadnego znaczenia, bo kiedy odezwał się jeden zbiorowy strzał, one uniosły się nieco w górę, jakby podrzucone uderzeniem, i zaraz upadły miękko, najpierw na kolana, potem na twarz. Z parapetów więziennych okien uleciały spłoszone gołębie, zawirowały nad podwórzem, nad budynkiem, zatoczyły szerokie koło nad miastem.

Oficer podniesionym głosem rozprawiał się z sierżantem,

a skończywszy to, co mu miał do powiedzenia, schylił się nad dziewczynami, szarpnął je za ramiona, odwrócił twarzami ku niebu. Pluton egzekucyjny mógł zbierać się do odmarszu. W ciągu następnych dni nie opuszczała Tomaszka myśl, że gdyby te dwie dziewczyny nie były znajome, gdyby nie rozpoznał ich twarzy, gdyby nie odnalazł w nich wspomnień własnego dzieciństwa... W nocy ścisnął rękami głowę, bał się, że zwariuje. Już wiedział, dlaczego babka tak płakała i dlaczego biła go po twarzy, gdy dostał powołanie, dlaczego ojciec chciał zatrzymać go w lesie. To, czego dotąd nie rozumiał, czego nie chciało mu się objąć gnuśnymi myślami, przedstawiało mu się teraz wyraźnie, z okrutną jasnością. Czy był jeszcze jakiś ratunek? Czy wystarczy, jeśli będzie zawsze strzelał nad głowami tych, do których mu każą strzelać? Czy to za mało? O tym, żeby uciec, nie ważył się myśleć. Wiedział, jaki los czeka dezertków. Ale obsesyjnie wracało do niego wspomnienie starej szkoły, w której mieszkali dziadkowie. Musiała być gdzieś blisko, czuł to, że musiała być gdzieś blisko...

Kiedy na dworzec przychodziły transporty rannych z frontu, brano ich do wyładowywania noszy z wagonów, do ładowania ich na samochody. Żołnierze małego, wciąż jeszcze sennego garnizonu na tyłach, nie lubili tej czynności - mieli podczas niej przed oczyma własną przyszłość, los żołnierza, który przegrywa wojnę. Zdawali sobie sprawę, że w małym garnizonie nie zawsze będzie spokojnie i sennie. Tomaszek, dźwigając rannych, rozglądał się po peronach i dworcu. Przypominało mu się powoli, że wysiadał tu z ojcem, ilekroć udawali się do dziadków, a potem wychodzili na placyk przed dworcowym budynkiem, gdzie ojciec godził furmankę, która zawoziła ich na miejsce. Musiało więc to być gdzieś blisko, tak blisko, że mógłby tam zająć piechotę, gdyby tylko udało mu się choć na chwilę wypłatać spod uwagi dowódcy oddziału i kolegów.

W szpitalu, gdzie upychali nosze z rannymi na korytarzach, zagadnął jedną z sióstr, upewniwszy się przedtem, że jest Polką. Oczywiście, że wiedziała, gdzie jest ta wieś, wskazała mu kierunek i powiedziała, że to zaledwie szesnaście kilometrów. Podziękował, a ona spojrzała na niego z jakimś zastanowieniem i zapytała, kogo tam ma.

- Dziewczynę - odpowiedział.

Teraz już myślał, że musi to zrobić. Musi. Czekał, żeby wezwano ich na dworzec w nocy, ale akurat transporty przychodziły tylko w dzień i zaczął już tracić nadzieję, że kiedykolwiek nadejdzie nocny. Tymczasem na podwórzu więziennym dwukrotnie odbyły się egzekucje i choć sam w nich nie uczestniczył, wiedział, że rozstrzeliwano dezertków. Rozchorował się z napięcia nerwowego i kiedy wreszcie poderwano ich w nocy do rozładowywania wagonów z rannymi, sam leżał chory po wymiotach i biegunce, która nękała go cały poprzedni dzień; nazajutrz mieli go odesłać do szpitala. Zwlókł się jednak z łóżka i zdażył dopaść samochodu, zanim ruszył.

- Przecież jesteś chory - zdziwił się sierżant.

- Już mi przeszło - odpowiedział. - Najadłem się niedojrzałych papierówek.

- Na przyszły raz uważaj - upomniał go sierżant.

- Żołnierz powinien być zdrowy.

- Tak jest! - odpowiedział.

Noc była ciemna, księżyc jeszcze nie wzeszedł albo zakrywały go chmury, spod plandeki samochodu nie widziało się nieba, tylko ogieńki papierosów, które żołnierze trzymali w rękach i podnosili do ust. Rozjarzały się wtedy, oświeślały palce i brody mężczyzn, ich zatroskanym grymasem ściągnięte usta. Od czasu do czasu padało z nich jakieś zdanie o froncie, o jego bliskości, o miastach, które już padły. Tomaszkiem trzęsły dreszcze. Bał się, że ten, przy którym siedział, wyczuje to, że zawiadomi sierżanta. Odsunął się na brzeg ławki, skulił się, dłoń zacisnął na ustach, żeby powstrzymać dzwonienie zębów. Musiał to zrobić. Musiał! Wyobraził sobie, że stoi na podwórzu więziennym, naprzeciwko plutonu egzekucyjnego, i wcale nie wydało mu się to takie straszne. Patrzył przez chwilę na czarne wyloty skierowanych ku niemu luf - nie, to nie było takie straszne, musiał, musiał to zrobić...

Kiedy załadowany noszami samochód zatrzymał się przed przejazdem kolejowym, uniósł klapę plandeki i ześliznął się na ziemię. Koledzy, wyznaczeni razem z nim do transportu, siedzieli w przedzie ciężarówki; ranni przeklinali, jęczeli, wzywali Boga i wszystkich świętych - nie mogli nic zauważyć. Skoczył w rów, w mokre od rosy pokrzywy, wcisnął się w nie, choć parzyły mu twarz i ręce. Zęby dzwoniły mu wciąż, bolały go już szczęki od ich zaciskania. Cekał, żeby pociąg wreszcie przyjechał, żeby samochód ruszył z miejsca, bał się, że koledzy go zawołają, że poprosi go o pomoc któryś z rannych.

Nic takiego jednak nie nastąpiło, pociąg oddalił się po szynach, samochód drogą, nad rowem i polem poza nim zaległa ciemność i cisza. Podniósł się i wszedł na ścieżkę między rowem a nie żętym jeszcze na szczęście łąnem żyta. Według tego, co mówiła pielęgniarka, nie musiał przechodzić przez miasto i gdyby tylko nie natknął się na patrol... Szedł wciąż wzdłuż rowu między drogą i żytem, zapadał w szeleszczącą jego gęstwę, gdy słyszał zbliżający się z oddali odgłos silnika albo rozmowę. Ale zdarzyło się to tylko dwa razy, w nocy i Polacy, i Niemcy woleli siedzieć za dobrze zamkniętymi drzwiami.

Kiedy pierwsza różowa jasność ukazała się po wschodniej stronie nieba, zobaczył na jej tle przydrożną tablicę. Musiała być na niej nazwa wsi, do której się zbliżał, ale w ciemności nie mógł jej odczytać. Kołatanie serca rozsadzało mu piersi. Postanowił poczekać w rowie, aż rozwidni się na tyle, żeby mógł rozpoznać litery. Ale niecierpliwość nie poddała się temu postanowieniu. Wstał i zaczął zbliżać się ku zabudowaniom. Piały w nich pierwsze koguty, odzywały się porykiwania krów. Pamiętał, że szkoła była na małym wzgórzu przy drodze, że niedaleko był kościół. Zobaczył wreszcie jego wieżę na jaśniejącym coraz bardziej tle nieba. Zaczął biec, ale zwolnił zaraz, zszedł do rowu i posuwał się naprzód w osłonie pokrzyw i liści łopianu. We wsi na pewno byli żandarmi i mógł wpaść w ich ręce, będąc już tak blisko celu. Zbliżył się najpierw do kościoła, jaśniał w mroku miodową barwą deszczulek, z których był zbudowany. A więc trafił tu, doszedł tu, taki był kościół we wsi dziadka. Chrzczono

w nim wszystkie dzieci nauczyciela, poczynając od najstarszego, od Krzysztofa. Tomaszek myślał o tym przez długą chwilę i prawie zapomniał, skąd i po co tu przyszedł, i jakie czyhają jeszcze na niego niebezpieczeństwa. Spojrzał w stronę, gdzie powinna być szkoła. Tak, stała tam, na małym wzgórku ponad drogą, a wokół niej był sad, w którym bieliły się już obciążone owocem gałęzie papierówek. Serce, uspokojone na chwilę, dało znów znać o sobie gwałtownym kołataniem... Doszedł tu, był o kilkadziesiąt metrów, o kilka dobrych skoków od płotu, zaraz wejdzie w ten sad, zastuka do drzwi.

I nagle pomyślał, że dziadka przecież mogło już w tej szkole nie być. Była wojna, ludzie nie trzymali się jednego miejsca, tak jak dawniej, i nieprzewidziane spotykały ich losy. Poza tym... dziadek nie był już młody...

Oparł czoło o pień drzewa, przymknął oczy. Powróciły nudności, o których na kilka godzin zapomniał. Co zrobi, jeśli w szkole są obcy ludzie? Czy powie im...? Ależ tak! pomyślał gorączkowo. Powie im! Zostanie tam. Na pewno są Polakami...

Kiedy jednak znalazł się w sadzie, nie miał odwagi zbliżyć się do domu. Ukryty wśród krzewów porzeczek czekał, aż otworzą się drzwi i ktoś się w nich ukaże. W kurniku na podwórzu donośnie piał kogut, gdały kury. Pies przy budzie wyczuł obcego, zaszczekał, ale zaraz umilkł, biegał tylko podniecony na naprężonym łańcuchu, skomlać cicho. Trwało to wszystko bardzo długo, słońce wstawało zza kościelnej wieży dziwnie leniwe tego ranka, Tomaszek palce sobie poobgryzał, czekając na pełną jasność dnia i pierwszą oznakę życia, jaką musiała wywołać w mieszkaniu dziadków.

Jakoż zazgrzytały przy drzwiach zasuw i stanęła w nich niemłoda kobieta, z odkrytą siwą głową. Rozejrzała się najpierw po podwórzu, po ogrodzie, po niebie i dniu na nim rozpiętym, przeżegnała się i ruszyła w stronę kurnika. Tomaszek ostatni raz widział babkę, kiedy miał dziesięć lat, i teraz nie mógł nabrać pewności, czy to ona. Bał się, że ją przestraszy, ukazując się znienacka, w dodatku w niemieckim mundurze. Odczekał, aż skończyła swoje czynności w kurniku, i dopiero gdy wróciła do mieszkania, wszedł za nią.

Szkoła i mieszkanie nauczyciela przy niej mieściły się w budynku niskim i starym; Tomaszek, stając w drzwiach, zdziwił się, że ledwie się w nich mieści, musiał się schylić, żeby wejść do sieni, a potem do kuchni. Babka, a może kobieta, która nią nie była, krzyknęła cicho.

Powinien był się odezwać, uspokoić ją, powiedzieć, kim jest, ale nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Żołnierze niemieccy, kiedy się zjawiali w tym domu, mówili prawdopodobnie od razu, czego chcą, jego milczenie przeraziło kobietę, pierzchnęła do pokoju, a on bezradnie postąpił za nią. Na brzegu łóżka siedział starszy mężczyzna w kaletkach, zamierzał właśnie wstać, zaalarmowany wyrazem twarzy żony, ale Tomaszek mu się nawet nie przyjrzał - zobaczył na biurku, stojącym pod oknem, fotografię swoją i Julitki. Byli na niej obydwaj w słomkowych kapeluszach i uśmiechali się do pana fotografa, jak nakazał ojciec. Zrobiono im

to zdjęcie chyba dwanaście lat temu.

- Oco chodzi? - spytał dziadek, odzyskując opanowanie. - Nie widzieliśmy żadnych partyzantów. Od tygodni nie pokazują się we wsi.

Tomaszek gwałtownym ruchem obydwu rąk rozerwał na sobie mundur, aż potoczyły się po podłodze oderwane guziki. Równie szybko zdjął spodnie, zsunął z nóg buty. Stał przed dziadkiem w bieliźnie tylko, łydki mu się trzęsły. Zduszonym głosem wyszeptał:

- Ja jestem Tomaszek. Tomaszek Grabień.

- Kto? - wykrztusił dziadek, choć w oczach zalśniło mu już jakieś światło.

- Tomaszek. Syn Krzysztofa.

Opowiadał wśród łez wszystko, co się stało. Babka stanęła w drzwiach na straży, patrzyła na sad i drogę. Płakała cicho. Dziadek raz tylko podniósł rękę do oczu, gdy zapytał o Krzysztofa, o to, kiedy go Tomaszek ostatni raz widział. Chłopak ukrył twarz w dłoniach.

- Wtedy... w bunkrze, kiedy zabrał mnie do lasu i kiedy... mu uciekłem.

- Mieliście potem jakieś wiadomości od ojca?

- Julitka miała.

Dziadek długo milczał.

- Cyprek jest także w lesie. Od trzech lat - odezwał się cicho. - Od przeszło trzech lat.

- Daleko? - spytał Tomaszek. - Daleko jest stryjek?

-Nie. Całkiem blisko.

- Ten mundur zaraz spalę - powiedziała babka od progu. - Albo zakopię go w sadzie. Jakbym zaczęła palić szmaty, smród by był w całej wsi.

- Szkoda - mruknął dziadek. - Takie dobre sukno.

- I co po nim? Nikomu na oczy nie będzie się można w nim pokazać. Ani teraz, ani po wojnie. W co ubierzemy chłopaka?

Dziadek kazał mu wstać i sam stanął przy nim. W pokoju zrobiło się cicho.

- Jest mego wzrostu.

- Popatrz, popatrz - powiedziała babka cichutko.

Dziadek podszedł do szafy, otworzył ją, nie musiał w niej długo szukać, ubranie wisiało w niej jedno. Prawie czarne, odświeżone.

- Nie - wzbraniał się Tomaszek.

- Innego nie mam. I w jakichś szmatach... w jakichś szmatach się przecieży stryjkowi nie pokażesz.

Tomaszek pochylił się do ręki dziadka.

Babka zapłakała głośniej, ale jakby równocześnie uśmiechała się do męża i wnuka.

- Odprowadzisz go? - zapytała.

- Ma się rozumieć. Daj mu coś zjeść i niech się prześpi do wieczora. Wyruszmy na noc.

XXX

- Chyba ci teraz ciepło - zażartował z Wołodi dowódca. - Po Murmańsku to ci się należy!

Stali przy burcie Garlanda podczas jednej z tych przedłużających się teraz chwil ciszy i spokoju nie tylko na Morzu Egejskim, ale i w całym basenie Morza Śródziemnego.

Utworzona w Aleksandrii eskadra pod dowództwem brytyj-

skiego kontradmirała Troubridge'a miała za zadanie oczyszczenie tego terenu z ostatnich u-bootów, a także niemieckich baterii, znajdujących się na greckich wyspach - były to pierwsze przygotowania przed lądowaniem wojsk alianckich w Grecji. Garland, dowodzony przez komandora Biskupskiego, był jednym z osiemnastu niszczycieli, które wchodziły w skład eskadry.

Wołodia wystawił twarz do słońca. Była druga połowa września, w Murmańsku, a nawet w Gdyni, wiały już północne wiatry, tu można się było jeszcze opalać.

- Zapominasz, że "zagrzałem się" już w sierpniu u brzegów Prowansji.

Po powrocie ze szpitala w Murmańsku czuł się trochę - mimo awansu - rozczarowany, że nie przydzielono go z powrotem na Błyskawicę. Rozczarowanie przemieniło się w rozgoryczenie, gdy Błyskawica wzięła w czerwcu udział w inwazji w Normandii, ale los mu to wkrótce wynagrodził: Garland został wyznaczony jako eskorta lądowania wojsk sprzymierzonych w południowej Francji. A zaraz potem przeszedł do Aleksandrii i na Morze Egejskie. Rozpoczęły się cudowne dni, nie tylko ze względu na pogodę i pejzaż, choć i to nie było bez znaczenia. Każdą wolną chwilę chciało się teraz spędzać na pokładzie i patrzeć na zielone brzegi wysepek, z których nierzadko odzywały się jeszcze niemieckie baterie, ale to na krótko tylko płoszyło myśli, nasycone wspomnieniami szkolnych lat, kiedy pierwsze wyobrażenia piękna, jego miar, czerpało się właśnie stąd, kiedy słoneczna Hellada uczyła pojęć, przykładanych potem przez długie lata do wszystkich zjawisk. Źródłem radosnego podniecenia była jednak przede wszystkim pewność, że wojna się kończy, że nieludzkim wysiłkiem milionów zapędzono teraz wroga z powrotem do jego gniazda, żeby go w nim zdusić i unicestwić. I teraz jeszcze można było zginać, można było zginać w ostatnim dniu wojny, a nawet po jej zakończeniu, gdy zaciekłości walki nie przerwie i nie stłumi rozkaz zawieszenia broni - wiedzieli o tym, ale wiedzieli także, że już doczekali się tej najpiękniejszej dla żołnierza pewności wygrania wojny, która rozpoczęła się tak sromotną klęską.

- O czym myślisz? - spytał dowódca. - Bo widzę, że się uśmiechasz.

Wołodia wyszczerzył zęby.

- A nie mam powodu?

Przed wieczorem, kiedy znajdowali się w rejonie wyspy Thera, operator asdicu zameldował echo. Okręt podwodny zbliżał się do Garlanda. Alarm bojowy poderwał całą załogę. Ze wszystkich stanowisk obserwowano powierzchnię morza. Sygnalista zawiadamiał już migaczem inne jednostki zespołu niszczycieli o dokonanym przez asdic odkryciu. Tuż nad powierzchnią morza wisiała zwiewna i ledwie widoczna wstęga dymu. Mogło to być pasemko mgły, ale czujność obserwujących nakazywała podejrzenie, że są to spaliny z silnika diesla, wydzielane przez chrapy - nowe urządzenie, zainstalowane na u-bootach. Dostrzeżono je wkrótce, a za nimi peryskop - w jednej chwili jednak na powierzchni morza nie było nic widać i tylko zapach spalonej ropy w czystym powietrzu świadczył o tym, że

obserwujący nie ulegli złudzeniu.

Asdic trzymał echo i choć pierwszy atak z wyrzutni "hedgehog", o której wprowadzeniu Wołodia słyszał już w Murmańsku, a którą tu po prostu nazywano "jeżem" - nie dał żadnego rezultatu, u-boot był jakby w sieci asdicu wszystkich niszczycieli zespołu, miotał się, próbował ucieczki - nadaremnie. Trwało to przez całą noc, przez całą noc nie schodzili ze swoich stanowisk - oni na Garlandzie i na brytyjskich okrętach, i ci w dole, ci w morzu, w jego głębi, w osaczeniu, które - być może - uważali już za ostateczne. Wołodię w takich chwilach nękały myśli o tej szczególnej, ponurej i przerażającej więzi, jaka łączyła ludzi polujących na siebie, ludzi, którzy nic o sobie nie wiedzieli, nigdy nie widzieli - i prawdopodobnie nigdy nie zobaczą - swoich twarzy, a łączył ich od urodzenia wyrok, przedstawiony im do wykonania. Nie był fatalistą i w innych okolicznościach takie refleksje nie miałyby do niego dostępu, kiedy jednak stał na swoim stanowisku i wciąż trwała walka z niewidzialnym wrogiem, nie mógł przestać myśleć, że oto się spotkali, że są od siebie o kilkaset metrów, że krążą w zasięgu swoich torped i że nie ma już siły, która by ich od siebie oderwała. O piątej nad ranem Niemiec, trafiony bombami głębinowymi dwóch brytyjskich niszczycieli i Garlanda, musiał się wreszcie wynurzyć.

Zobaczyli najpierw ogromne, oślepie teraz jakby oko peryskopu, a w chwilę potem kiosk okrętu. Zwróciły się ku niemu natychmiast wszystkie lufy dział i karabinów maszynowych.

- Ogień ciągle! - krzyknął na swoim pomoście komandor podporucznik Jazowiecki. Więc ten wyrok, myślał, ten wyrok wykonają jednak oni! Z polskiego niszczyciela, którego pod Murmańskiem chciała osiągnąć śmierć, ale jednak nie była mu sądzona. Nie była mu sądzona właśnie po to, żeby teraz całą mocą swego ognia mógł się wstrzelać w obłę cielsko, wyrzucone na wodę jak zdychająca ryba, żeby je pokaleczył, poszarpał, porozrywał na straszne, pochłaniane przez wodę strzępy.

Zanim z miotaczy posłano ku Niemcowi dwie ostatnie bomby, ukazał się jego numer na kiosku i wszyscy, którzy go widzieli z Garlanda, pomyśleli o tym samym: oto szedł na dno jeden z weteranów wojny podwodnej. Ile miał na swoim koncie zatopień, ile statków z konwojów, ile okrętów eskorty? U-003 musiał być jednym z pięćdziesięciu siedmiu okrętów podwodnych, którymi dysponowali Niemcy na początku wojny, od września trzydziestego dziewiątego roku był zapewne w akcji i kończył teraz swoją działalność, podziurawiony jak stare rzeszoto bombami i pociskami polskiego okrętu.

- Requiescat in pace! - krzyknął ktoś przy burcie.

Gruchnął śmiech, choć nie wszyscy wiedzieli, że "in pace" oznacza: w smole, czyli w piekle.

- Szalupy na wodę! - rozkazał komandor Biskupski.

Żałoga u-boota w popłochu opuszczała swój okręt. Przez pokład Garlanda szedł zwycięski okrzyk. Wszyscy cisnęli się do relingu, żeby zobaczyć Niemców, skaczących w wodę. Wołodia żałował tylko, że odbywa się to na Morzu Egejskim, a nie pod Wyspą Niedźwiedzią, i że Grześ nie jest

uczestnikiem tej chwili. Czekali na nią przez całą wojnę, marzyli o niej w ciągu długich miesięcy w Murmańsku - należała im się po wszystkim, co przeżyli. Postanowił jeszcze tego samego dnia napisać do niego długi list, choć na dwa poprzednie chłopak mu nie odpisał, ale w lecie wobec dwóch inwazji w północnej i południowej Francji, zawieszono znów konwoje do Związku Radzieckiego. I od Nataszki... od Nataszki także nie było żadnych wieści.

Podjęci z wody Niemcy siedzieli już w szalupie, ulokowali się w niej pośpiesznie, a kiedy przybiła do okrętu, z równym pośpiechem zaczęli się wspinać na jego pokład.

Boże! - pomyślał Wołodja. - Tacy sami ludzie jak my!

Uciekł z Helu, żeby nie zobaczyć ich z bliska, żeby nie poddać się, nie pójść do niewoli - chciał ich widzieć tylko na odległość strzału. Nie przeczuwał wtedy, że jednak ich z bliska zobaczy, ale w zgoła innej sytuacji. Miał ich teraz o krok, widział ich pobladłe twarze, przerażone oczy i naraz po uczuciu triumfalnej radości ogarnęło go nagłe znużenie. Dowódca Garlanda w otoczeniu oficerów zbliżył się do stłoczonej na pokładzie grupy Niemców.

- Gdzie jest wasz dowódca?

Pokład zaległa cisza.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku stojącemu wśród marynarzy fregattenkapitanowi. Milczał nieporuszony, oczy miał ukryte pod powiekami, usta zaciśnięte. Gorzki ich wyraz nie pojawił się chyba dopiero w chwili klęski.

- Fregattenkapitan Wieseirode! - zawołał po niemiec-ku jakiś młody oficer, wysuwając się na czoło grupy.

- Niech się pan nie wstydzi! Niewola to jedyny dla pana ratunek! Ale kiedyś jednak nas z niej wypuszczą. I postawię pana pod sąd, żebyśmy mieli na to czekać nawet dwadzieścia lat! Bo mogliśmy się bronić! Mogliśmy wyjść z tego okrążenia! A dlaczego sami nie atakowaliśmy? Może pan na to odpowie, fregattenkapitanie Wieseirode?

Przez grupę Niemców przeszedł szmer.

- Milczeć! - krzyknął dowódca Garlanda i zwrócił się do Niemca: - Ma pan broń?

- Mam - odpowiedział cicho.

- Proszę ją oddać.

Dowódca U-003 sięgnął do tylnej kieszeni przemoczonych spodni, wyjął z niej mały belgijski pistolet i nim ktokolwiek zdążył się zorientować, co zamierza uczynić, podniósł go do skroni. Padł strzał.

Wśród Niemców się zakotłowało. Jedni rzucili się ku swemu dowódcy, choć nie można było mu już pomóc

- drudzy ku młodemu oficerowi, który go oskarżył. Cofał się teraz ku skrajowi grupy, jakby miał zamiar rzucić się ku burcie i skoczyć z niej w morze. Któryś z Polaków zastąpił mu drogę, jednym ruchem ramienia wepchnął go z powrotem w sam środek rozkrzyczanej niemieckiej załogi.

- Spokój! - krzyknął komandor Biskupski.

Niemcy uciszyli się, ścisnęli między sobą młodego oficera, wtłoczyli go między swoje plecy i barki, ledwie mu sponad nich wystawała jego pobladła twarz.

Do leżącego na pokładzie zbliżył się lekarz Garlanda, pochylił się nad nim i - zaraz się wyprostował.

- Nie żyje.

- Cofnąć się! - krzyknął komandor Biskupski do Niemców. - Wasz dowódca nie żyje. Załoga U-003 uformowała się w dwusereg. Ci, którzy mieli na głowach czapki, zdjęli je, ukryli w nich twarze. Płakali jak mali chłopcy w obliczu nagłej, niesprawiedliwej, nie pojętej do końca krzywdy. Trudno było sobie wyobrazić, że ci sami ludzie jeszcze pół godziny temu stanowili groźne niebezpieczeństwo dla wszystkich niszczycieli zespołu. Wołodia odszedł na rufę okrętu, żeby tego nie widzieć i nie słyszeć. Każda klęska miała w sobie coś wstydliviego i nie należało jej się przyglądać.

Ciało fregattenkapitana Wieseirode spoczęło na dnie morza między grecką wyspą Thera a Aleksandrią, do której udawał się Gar land, żeby zdać jeńców i zameldować o odniesionym zwycięstwie. Komandor Biskupski zgodził się, żeby swego dowódcę pochowała załoga jego okrętu. W ostatniej chwili zebrał jednak na pokładzie i załogę Garlanda. Dzień był bardzo piękny. Spokojne morze wchłonęło zwłoki jakby oddechem małej fali. Przez ułamek sekundy widać było białe prześcieradło w jasnozielonej, przezroczystej wodzie Morza Śródziemnego, a potem biel zapadła w nią, rozplynęła się i znikła.

Daleko od ojczyzny, pomyślał Wołodia. Ale i on, i każdy z okrętu mógł spocząć na niewiadomym kawałku dna niewiadomego morza, z daleka od swego życia, od jego szczęśliwych miejsc. A na głos rzekł do stojących przy nim: - Ten ma to już za sobą. Zwycięstwa i klęski. Wszystko.

XXXI

W starym domu Augustyna Konki panowała wciąż żałoba. Wisia i Weronika opłakiwały śmierć pani Heleny, Sewerynowa - męża. Tylko Marynka i Julitka usiłowały zachować pogodniejszy nastrój, w czym Marynce pomagał jej Francuz, a Julitce pomyślnie rozwijające się sprawy, w których pograżała się coraz bardziej, a które dawały nadzieję na uczestnictwo - tak, skromne, ale jednak uczestnictwo - w zbliżającym się zwycięstwie. Przepadała teraz na całe wieczory i wracała do domu rozpromieniona. Długo w noc szeptały z Wisią, Weronika przysłuchiwała się temu ze zgrozą.

- Daj jej spokój - prosiła Julitkę rano. - Nie wciągaj ty jej do tego. Dosyć już nieszczęścia.

- Weroniko! - protestowała Wisia. - Muszę wiedzieć, co się dzieje. Jak tylko trochę przyjdę do siebie, sama się włączę...

- Niech cię Pan Bóg broni! A i ty - Weronika zwróciła się do Julitki - ty także się z tego wycofaj. Mało jeszcze was naaresztowali? To nawet niebezpieczne dla tych ludzi, z którymi macie kontakty. Gdyby, nie daj Boże, tyłek wam przetrzepano, od razu wszystko wyśpiewacie. Za smarkate jesteście, żeby brać się do takich spraw.

- U nas wszyscy tacy smarkaci - powiedziała Wisia z uśmiechem.

- Wszyscy? - przeraziła się Weronika.

- Prawie. Tylko jeden ma już trzydzieści lat. Ale to oficer i brał udział we wrześniu i w powstaniu warszawskim.

- Jak się tu dostał?

- Uciekł z niewoli.

- Boże, Boże! - jęczała Weronika. - Kiedy to się skończy? Dnia nie ma spokojnego.

- Trzeba myśleć o tym - wmieszała się Sewerynowa

- że i dla nich, i dla Niemców nie powinno być już teraz ani jednego spokojnego dnia. I dobrze, że ci młodzi o tym myślą.

- Pani je jeszcze namawia - jęknęła Weronika.

Sewerynowa potrząsnęła głową.

- Nie namawiam, nie namawiam. I tak by nie posłuchały, gdybym nawet mówiła inaczej.

Sama zachowywała się także, jakby miała dwadzieścia lat.

W pralni już ją wszyscy znali, każdy ze swoim zmartwieniem przychodził do Sewerynowej. Przez całe życie miała za złe mężowi, że miesza się do ludzkich spraw, teraz - gdy już nie żył - bezwiednie przyjęła na siebie tę cząstkę współczucia, która od niego należała się ludziom. I zawsze znalazł się ktoś, komu można i komu trzeba było je okazać.

Tego grudniowego dnia, kiedy owinięte chustkami przyszły do pralni, był nim młody marynarz z Kriegsmarine, wraz z grupą więźniów przydzielony do sortowni. Poruszał się jak automat, wszystko leciało mu z rąk. Sewerynowa usiłowała go wdroić do systematycznej pracy.

Podniósł na nią zgasłe oczy:

- Po co?

- Jak to po co? - obruszyła się. - Strażnik zwróci na ciebie uwagę, że się migasz.

- I tak może już mnie tu jutro nie będzie.

- Wezmą cię na podwórze do śniegu? Jakbyś dobrze pracował, to by cię tu zatrzymali. Przynajmniej ciepło.

Chłopak pokręcił głową. Trząsł się cały.

- Nie o to chodzi.

- A o co?

- Jutro... pewnie mnie rozstrzelają. Albo powieszą.

Nogi pod Sewerynową się ugięły. Po śmierci męża była pewna, że już nigdy żaden Niemiec nie znajdzie u niej litości, ale ten... taki młody...

- Za co? - zapytała struchlałym głosem.

Chłopak rozejrzał się po sortowni. Stary wachman drzymał na stosie brudnych prześcieradeł.

- Byłem sygnalistą. Oni - skinął głową ku wachmanowi, a pod jego postacią ku ludziom z okrętu i sędziom sądu polowego - oni uważają, że dawałem znaki okrętom rosyjskim. Że chciałem im się poddać.

- A tak nie było? - spytała cicho Sewerynowa.

Milczał długo.

- Nie chciałeś już walczyć?

- Nie.

- Poczekaj, chłopcze - powiedziała kobieta, u której żaden Niemiec nie miał już zaznać litości.

Poszła najpierw do Marynki Blok. Kontaktowała się wciąż z Francuzami, a Francuzi pracowali w warsztatach na dole. Ale Marynka ją wyśmiała.

- Jak ja im o tym powiem? Oni także siedzą, i to od pięciu lat, i nikt ich nie uwalnia. A nie wiadomo, jaki im los zgotują przed zakończeniem wojny.

- Ale tego mogą rozstrzelać już jutro!

- Więc to o termin chodzi? - spytała Marynka z zaciętym wyrazem twarzy. - Ja Jacques'a nie pozwolę w to

zamieszać. Dosyć, że straciłam Wołodię, teraz jeszcze i tego...

- Jak wszyscy tak będziemy się bać... - zaczęła Sewerynową z perswazją i nadzieją.

- A tak! Ja się boję - syczącym szeptem potwierdziła Marynka. - Mam prawo? Boję się i raz w życiu postanowiłam być mądra.

- Ale jego mają rozstrzelać za to, że nie chciał już walczyć.

- Już? - roześmiała się Marynka. - Rozmyślił się!

A dotąd?

- Zobacz, jaki jest młody.

Marynka wzruszyła ramionami.

- Nic mnie to nie obchodzi.

Sewerynowa zerknęła ku innym kobietom. Pracowały . w pobliżu, musiały wszystko słyszeć, ale patrzyły gdzieś w bok i chyba były tego samego co Marynka zdania.

Dobrze, pomyślała Sewerynowa, zrobię to sama.

Zeszła na dół do Polaków, przyniosła od nich pół butelki wódki. O wódkę było wszędzie łatwo. Niemcy dawali ją Polakom na przydział i cieszyło ich, że piją. Sewerynowa tego nie pochwałała, ale teraz miało się to na coś przydać. Ulepiła niedużą kulę z płatków mydlanych, które przydzielano do prania koszul oficerskich.

Wyciągnęła z fartucha swoje śniadanie i z butelką wódki przysiadła się do wachmana, drzemącego na wzgórku brudnej bielizny z okrętów. Na szczęście chleb tego dnia miała z wędzonym boczkiem, jego zapach natychmiast zaalarmował powonienie wachmana. Usiadł, przetarł oczy.

- Hm... - mruknął. - Co tu tak pachnie?

- Moje śniadanie - odpowiedziała Sewerynowa. - Chce pan skosztować?

Zaczął się certować, ale oczy patrzyły łakomie.

- Mały kawałeczek. Na spróbowanie.

Ułamała mu pół kromki. Podała butelkę z wódką.

- Piję, bo mnie coś w żołądku boli, muszę go rozgrzać.

Niech się pan też napije.

- Chętnie - uśmiechnął się Niemiec. - Na te wszystkie nasze zmartwienia!

Przepijali z równą częstotliwością, sprawiedliwie, choć Sewerynowa ledwie butelkę przykładła do ust, a wachman ciągnął z niej potężnie.

- Dobrze się odżywiacie - powiedział.

- Trafiło się ślepej kurze ziarno. Siostra mi paczkę przysłała.

- Skąd?

- Ma się rozumieć, że z Gubernatorstwa.

- Tam są już Rosjanie.

Sewerynowa zastanowiła się, przyłapana.

- Tam ich jeszcze nie ma - powiedziała wymijająco.

-Dobry boczek?

- Dobry.

Boczek był z Marzęcina. "Kosztował" prześcieradło i poszewkę, zaliczone na konto nowych zatopień, dokonanych przez rosyjskie samoloty i okręty podwodne na Bałtyku. Na dno mórz i oceanów szedł co dnia nieobjęty żadnym

liczeniem majątek, Sewerynowa zawrotów głowy dostawała, kiedy zaczynała o tym myśleć. Straty się urealniały, gdy dorzucała do nich wynoszoną przez siebie z pralni pościel. Los Heleny Tereszkowej i kilku innych kobiet nie był dla reszty ostrzeżeniem. Może i był, ale w końcu z czego miały żyć, wszystkie były jedynymi żywicielkami swoich rodzin...

- Dobry ten boczek z Gubernatorstwa - szepnął Niemiec z lubością po ostatnim kęsie. Wysuszył butelkę, : rozejrzał się sennie po sortowni.

Sewerynowa postanowiła nie zachęcać go do drzemki, to by mogło wzbudzić w nim podejrzenie, zresztą nie było potrzebne. Niemiec podsunął sobie pod głowę tobołek z oficerską bielizną, przez chwilę wygniatał w nim wygodny dołek, rozgrzeszała go myśl, że tak czy siak przez bramę nikt się nie prześliźnie, a więźniowie wszyscy byli w pasiakach.', Już po chwili szczęśliwe chrapanie rozlegało się w całej sortowni. Sewerynowa skinęła na Ericha. Wachman spał na boku, klucz przy jego pasie był łatwo dostępny, bez trudu dało się odcisnąć go w mydle.

- Nie, to niemożliwe - szeptał chłopak drżącymi wargami. - To się nie może udać.

Sewerynowa już szukała wśród marynarskich drelichów odpowiedniego dla jego wzrostu.

- Idź tam do kąta i włóż to pod pasiak.

- To niemożliwe! - powtarzał. - Zauważą to. Złapią mnie.

Kobieta spojrzała mu twardo w oczy.

- A co masz do stracenia?

Pobladł.

- Nic.

- No widzisz. Więc czego się boisz? I gdyby cię nawet mieli żywcem palić, nikt ci nie pomagał, rozumiesz?

- Tak jest, proszę pani - powiedział pokornie.

Diabli cię wiedzą, myślała, idąc na dół do Polaków. Mogła się cofnąć jeszcze ze schodów, ale nie zrobiła tego. Zrodziła się w niej stanowczość, której nie doznawała nigdy przedtem

- sprzeciw, bunt przeciwko zabijaniu, przeciwko mnożeniu ofiar tej wojny, która wciąż jeszcze trwała. Wyobrażała sobie, że na tego niemieckiego gówniarza czeka gdzieś jego matka i choć polskie matki nie zaznały litości, niech tamtą ucieszy, ale i zawstydy litość, okazana jej synowi przez polską kobietę, która trzech synów miała w niewoli i męża w nie oznaczonym najmniejszym choćby krzyżem grobie.

Przed końcem pracy klucz był gotów. Wcisnęła go do ręki Erichowi. O mało go nie wypuścił na podłogę.

- Uważaj - szepnęła. - I weź się w kupę. Teraz wszystko zależy od ciebie. Dałam ci szansę. Mur jest niewysoki, a za nim las.

- Dziękuję - szepnął. - Dlaczego pani to robi?

- Bo ja wiem dlaczego? - powiedziała tylko.

Do domu wróciła zamyślona i choć wciąż uważała, że była to zupełnie błaha sprawa, nie mogła sobie znaleźć miejsca, nie mogła się doczekać następnego dnia. Marynka patrzyła na nią posępnie, ale nie powiedziała o wydarzeniu ani Julitce, ani Wisi. Dziewczęta zresztą wciąż szeptały między sobą, a zagadnięte o coś, zwracały ku nim nieprzytomne oczy.

Kładły się już spać, kiedy odezwały się syreny, ogłaszające alarm lotniczy.

Julitka skoczyła na środek pokoju, zaśmiała się, klasnęła w dłonie.

- Nareszcie!

Weronika patrzyła na nią ze zgrozą.

- Oszalałaś?

Julitka złapała Wisię w objęcia, okręciła się z nią w szalonym tańcu.

- Nie zabijają nas! Nie zabijają! Wiedzą dokładnie, w co mają celować!

- Julitko! - upomniała ją Wisia.

Spojrzała na nią, umilkła, ale wciąż kręciła się z nią na środku pokoju, wciąż ją ścisnęła i całowała z radości.

- Uspokójcie się, wariatki! - powiedziała Marynka cierpko. - Idziemy do schronu!

Stary dom Augustyna Konki nie miał własnego schronu, jego mieszkanki "należały" do betonowego bunkra, wybudowanego na podwórzu jednej z kamienic przy ul. Żeromskiego. Było tam już pełno, ledwie znalazły miejsce przy samych drzwiach.

- Chciałabym tu stać i patrzeć - szepnęła Julitka Wisi, ale jakiś stary Niemiec z Luftschutzdienstu wcisnął je do środka.

W chwilę potem spadły pierwsze bomby, schron zatrzęsł się, na głowy ludzi posypał się tynk. Kobiety zaczęły się modlić - najpierw Polki, po nich nieśmiałym, ścisłym szeptem rozmodliły się Niemki i volksdeutschki. Bomby spadały nieomal bez przerwy, ogłuszający ryk nurkujących samolotów mieszał się z łoskotem potężnych detonacji. Takiego nalotu Gdynia jeszcze nie przeżyła.

- A u nas w Hamburgu tak co dnia - płakała jakaś kobieta w kącie schronu, inne Niemki usiłowały ją uspokoić, ale powtarzała wciąż wśród łez: - Co dnia! I co nocy! Sewerynowa dopiero teraz zaczynała wierzyć, że chyba jednak uratowała tego chłopaka. Podczas nalotu Niemcy tracili głowy i nie wystawiali nosa ze schronów, a on miał klucz, miał klucz i mógł wydostać się ze swojej celi. Boże! - myślała. - I moim chłopcom pomóż, żeby mogli szczęśliwie wrócić do domu. Gdyby teraz zapytał, dlaczego to zrobiła, wiedziałaby, jak mu na to najkrócej odpowiedzieć.

Rano zebrała się do roboty wcześniej niż zwykle.

- Przecież jeszcze wcześniej - zdumiała się Marynka.

Zawsze lubiła spać i nawet wojna nie mogła jej tego oduczyć. Przeciągała się jeszcze w łóżku, kiedy Sewerynowa była już gotowa do wyjścia.

- Chcę zobaczyć po drodze skutki nalotu - powiedziała.

- To nie będzie po drodze - odezwała się Julitka ze swego posłania; w zimie na strychu było zimno i wszystkie spały w jednym pokoju. - Ja twierdzę, że to przede wszystkim port wojenny.

- Proszę! - parsknęła Marynka, odrzucając kołdrę i z wściekłością wyskakując z łóżka. - Ty twierdzisz, że to port. - Ta pewna siebie smarkata działała jej na nerwy. Przede wszystkim dlatego, że nie była już smarkatą. Miała

przeszło dziewiętnaście lat, a jeśli ona miała dziewiętnaście lat, to... Szaleństwo ogarniało ją na myśl, że najpiękniejsze lata pochłonęła jej wojna, czekanie na Wołodię, rozpacz po nim, a potem ciężka praca, ohydna i niszcząca. Gdyby nie to, że jednak podczas niej poznała Jacques'a, uważałaby siebie za najbardziej poszkodowaną z ofiar wojny. Ale Jacques...

- przymknęła rozmarzone oczy, jak zawsze łatwo wpadała z nastroju w nastrój - Jacques obiecał jej, że zabierze ją do Paryża. "W cukierni klientela się zwiększy, jak staniesz za kontuarem" - mówił. To było najmniej zachęcające, ale matka jej potrafiła kiedyś ze skromnego maklerskiego pracownika zrobić właściciela firmy importującej bawełnę, dlaczego by ona nie miała ze swego zrobić najsłynniejszego cukiernika w Paryżu? Wprawdzie tysiąc brzmiało o wiele gorzej niż bawełna, ale za to Paryż brzmiał o wiele lepiej niż Gdynia. No i starzy dopiero teraz zobaczą, jaką mają córkę. Napisze do nich z Paryża.

- Dlaczego się uśmiechasz, Marynko? - zapytała Wisia. Także jeszcze leżała w łóżku, obie z Julitką zaczynały pracę później niż kobiety w pralni.

Marynka Blok pochyliła się nad nią.

- Daj tu zaraz do pocałowania swój śliczny nosek.

- Oho! Jesteś w dobrym humorze.

- W niezłym.

- Ja idę! - powiedziała od progu Sewerynowa.

- Dogonię cię - zawołała za nią Marynka, ale ona tego już nie słyszała.

Śpieszyła się, poganiało ją coś, żeby jak najprędzej znaleźć się w pralni, żeby być już tam w momencie, gdy do sortowni doprowadzeni zostaną więźniowie, żeby zobaczyć, że chłopca, który miał być stracony tego dnia, wśród nich nie ma.

W dwóch czy trzech miejscach ludzie zatrzymywali się przy zbombardowanych domach, żandarmeria ich rozpędzała - poczuła się tym niejako rozgrzeszona, zamiast przystanąć, przyśpieszyła jeszcze kroku, w tym wypadku współczucie nie miało żadnego znaczenia, zatrzymywanie się w tych miejscach było tylko patrzeniem na cudze nieszczęście. Szkody w mieście były zresztą znikome. Z tego, o czym rozprawiali ludzie na ulicy, można było wnioskować, że ucierpiał zwłaszcza port i że przeciwko niemu głównie skierowany był nalot. Łowiła po drodze strzępy rozmów bez specjalnego zainteresowania. Później, myślała, później wszystkiego się dowiem. Teraz miała przed sobą swoją małą własną sprawę, małą ale i ogromną zarazem, bo wymyśliła sobie coś w ciągu nocy, bo zrobiła jakby zakład z losem...

Strażnik w bramie zdumiał się na jej widok.

- Byłem pewny, że dzisiaj wszyscy zaśpią.

- Oka nie zmrużyłam - odpowiedziała. I była to prawda. Widocznie wczoraj zużyła cały zasób opanowania i spokoju, nie starczyło go już na noc i dzisiejszy dzień. Wzięła ze sterty jakąś marynarską bluzę, rozłożyła ją na kolanach udając, że przyszywa wydarty rękaw. Oczy wparła w drzwi.

Kobiety schodziły się powoli, niewyspane, szare na twarzach. Dopiero gdy zbliżała się godzina rozpoczęcia pracy, w wejściu zrobił się tłok. Więźniów wciąż nie było widać.

Zwykle przyprowadzano ich dość wcześnie, kobiety zastały ich przeważnie już przy pracy. Tego dnia było inaczej. Sercem Sewerynowej targnął niepokój. Co to mogło znaczyć? Co spowodowało to opóźnienie? Podeszła do okna, na dziedzińcu arsenału nic szczególnego się nie działo, ścieżka za murem, wiodąca w las, była pusta. Przed miesiącem, gdy wieszano tam dezertów, spędzono całą okoliczną ludność, żeby uczestniczyła w egzekucji.

Więźniowie zjawili się dopiero około południa. Przyprowadził ich nowy wachman, młody, ostro patrzący. I Ericha wśród nich nie było.

Sewerynowa oparła się o ścianę, nie wierzyła oczom.

A jednak go nie było! Nie było! Zakład z losem został wygrany! Za tego uratowanego chłopaka trzech innych miało szczęśliwie wrócić z niewoli. Znowu chwyciła marynarską bluzę, pochyliła się nad rękawem i popłakała sobie nad nim serdecznie. Gdy oczy jej obeschły, zbliżyła się do wachmana. Uśmiechnęła się z życzliwą ciekawością:

- A gdzie to nasz opa? Chyba nie chory?

Młody wachman czujnym spojrzeniem powiódł po grupie więźniów. Odpowiedział burkliwie:

- Te stare trupy są do niczego.

- Każdy będzie stary - powiedziała Sewerynowa sentencjonalnie.

W drodze do domu wciąż powtarzała wśród śmiechu do Marynki:

- A jednak się udało! Jednak się udało!

Nie był to koniec pomyślności tego dnia, bo wieczorem, gdy wszystkie były w domu, a Julitka wróciła z Cafe Berlin nieprzytomna od wieści, jakie tam usłyszała o zbombardowaniu w porcie pancernika szkolnego Schleswig-Holstein, do drzwi ktoś cicho zapukał.

Strwożone czekały, aż pukanie się powtórzy. Gdy rozległo się znowu, równie ciche i w jakiś szczególny sposób uspokajające, Sewerynowa podeszła do drzwi, żeby je otworzyć

- Niemcy tak nie pukali.

Na progu stał Krzysztof Grabień. Ledwie go poznały w stroju, jaki zwykle nosili tu rybacy - w okrągłej czapce z daszkiem na głowie, w za szerokiej na niego kurcie, w wysokich gumowych butach.

- Tatuś! - szepnęła Julitka. Już go wciągnęła do środka, już go ścisnęła i całowała.

- Przyszedłem zobaczyć, co się z wami dzieje.

- Jesteśmy całe i zdrowe! - zaśmiała się szczęśliwie Sewerynowa.

- Właśnie to chciałem zobaczyć na własne oczy.

Witał się po kolei z kobietami, na dłużej zatrzymał w swojej dłoni leciutką rączkę Wisi, zbliżyła się do niego i nagle pocałowała go w policzek, trwało to krótko, ale przez ten ułamek sekundy jakby oboje zapłakali. Widzieli się po raz pierwszy od śmierci pani Heleny. Doniosła o niej lakoniczna i kłamliwa kartka ze Stutthofu.

- Przyszedłeś... z lasu? - spytała Julitka.

Krzysztof usiadł przy stole, przez chwilę patrzył na ściany domu, z którym łączyło go tyle wspomnień.

- Nie - odpowiedział. - Nie jestem już w lesie.

Nie dodał nic więcej, a one go o nic nie zapytały. Pomyślał,

że może tylko Julitce powie o rozgromieniu Gryfa, o polowaniach, które Niemcy nazywali "saujagd", urządzanych w lasach na jego członków, o śmierci listonosza Michałka i porucznika Lepperta, którzy zginęli z bronią w ręku, osaczeni w nierównej walce. Jemu udało się wydostać z kotła pod Koleczkowem, gdzie Niemcy zgromadzili przeciwko trzydziestoosobowemu oddziałowi Gryfa cztery kompanie żandarmerii polowej z Wejherowa, wspierane przez oddziały pomocnicze żandarmerii z Kartuz - udało mu się ujść cało, ale też postanowił nigdy już nie wracać w te strony. Działywały wprawdzie jeszcze poszczególne grupy bojowe, w odwecie za Koleczkowo, za jeszcze wcześniej zlikwidowaną "Ptasią Wolę" - bunkier komendy głównej Gryfa, w którego obronie zginął właśnie Michałko - wzmogła się nawet ich aktywność, ale nie żył już Dambek, a gestapo, zdobywszy część archiwum Gryfa z owymi spisami członków, w których tak się lubował systematyczny komendant - były nauczyciel, dokonywało bez przerwy masowych aresztowań.

- Nie jestem już w lesie - powtórzył.

- Och, tatusiu! - Julitka przytuliła twarz do twarzy ojca, oczy jej błyszczały. - Schleswig-Holstein zbombardowany! Pamiętasz, jak się odezwał w trzydziestym dziewiątym? I już się więcej nie odezwie. Już nie wypłynie z portu. Pójdzie na żyłетки, i to w dodatku na polskie!

- Cicho, cicho - uspokajał ją ojciec. - Mimo wszystko wojna się jeszcze nie skończyła.

567

- Ale już się kończy.

- Jedno bombardowanie niczego nie załatwia. Jeszcze wielu Polaków zginie.

Julitka posmutniała.

- Nie chcesz chyba odebrać nam radości...

- Nie. Ale chcę, żebyście byli ostrożne. Niemcy teraz wzmogą terror, zaostrzą postępowanie wobec Polaków. Nie umieli wygrać tej wojny i nie potrafią jej też przegrać z honorem.

- Niech pan to im powie - Weronika zwróciła spojrzenie ku dziewczętom. - Ja im co dnia mówię, żeby karku nie nadstawiały.

- Julitko - rzekł Krzysztof cicho, ale nie było w tym słowie niezadowolenia czy nagany, był tylko niepokój, który nie opuszczał wszystkich Polaków.

Rzuciła się ojcu na szyję, śmiała się, udawała, że ją to bawi.

- Czy mamy całe zwycięstwo zostawić innym?

Nie uznał tego za żart.

- Nie. Ale chodzi o to, żebyśmy przy nim jednak byli, żeby nas przedtem nie wymordowali.

- Nie przesadzajmy - zawołała i uderzyła się zaraz w czoło. - Tatusiu! Ty nas straszysz, a my mamy dla ciebie same dobre nowiny. Przyszedł list od dziadka. Przed trzema dniami. I żebyś wiedział, co w nim pisze!

- Pokaż! - zawołał Krzysztof niecierpliwie.

Julitka wyjęła z szuflady i podała mu list. Był krótki.

- Ciekawa jestem, czy domyślisz się tego samego. Dziadek widocznie bał się, i słusznie, że gestapo sprawdzi naszą korespondencję.

Dziadek Grabień pisał:

"Kochana Julitko! Pewnie już od dawna wyglądasz
mojego listu. Jesteśmy oboje z babcią zdrowi i cieszymy się,
że mieszkasz teraz w domu dziadka Kąkola i że masz dobrą
pracę. Wnuki moje rosną, nawet już moje ubrania na nich
pasują - powinno mnie to może zasmucać, bo z tego
wynika, że człowiek już na odchodnym, ale tym razem mnie
to ucieszyło. Bardzo. Cyprka ostatnio nie widzimy, ale już
przyzwyczailiśmy się do tego. Bądź zdrowa, pozdrów wszys-
tkich i napisz od czasu do czasu do swoich kochających Cię
- Dziadków".

Krzysztof podniósł oczy znad listu.

- Tomaszek! - powiedział cicho.

- Też tak myślę - rozjaśniła się Julitka. - Bo po
pierwsze skąd by dziadek wiedział, że tu mieszkam, nie
podawałam mu tego adresu, nie odzywałam się w ogóle do
niego od kiedy... od kiedy mama podpisała ten papier. I to
o tym ubraniu... Myślisz, że to możliwe? Że Tomaszek
odnalazł dziadka, że zdobyłby się na to...?

- A jednak! - Przez twarz Krzysztofa przemknął
krótki, wstydliwie czuły uśmiech. - Wydoroślał! Zrozu-
miał.

- Zobaczysz! Jeszcze wszystko dobrze się skończy. -
Julitka znowu całowała ojca. Nigdy nieskora do pieszczot,
teraz nie mogła się od niego oderwać.

Tym trudniej było mu się z nią rozstać. I nie tylko z nią.

- Bledziutka jesteś - powiedział do Wisi.

- Wciąż się o nią boję - od razu zapłakała Weronika.

- Gdyby teraz, nie daj Boże, zachorowała, kiedy pani...
kiedy pani już nie ma...

Krzysztof położył na stole plik marek.

- Przyniosłem wam trochę pieniędzy. Musicie się dobrze
odżywiać. Weroniko! - zwrócił się do starej służącej.

- Niech Weronika dba o Wisię, bo Julitka, wiem, że daje
sobie radę.

- A czy ja o nią nie dbam? - uderzyła się w piersi
Weronika. - O mego ptaszka ślicznego? O moją jaskółecz-
kę?

Krzysztof doznał bolesnego uderzenia w samo serce.

Kiedyś... dawno temu, gdy to miasto było jeszcze wsią,
francuski inżynier, który przybył tu, żeby budować w tym
miejscu port, nazwał w ten sposób poznaną tu kobietę...

Hirondelle! Jaskółeczka!

- Ależ wierzę, że Weronika nie robi Wisi krzywdy

- odezwał się zmieszany.

- Nikt jej nie robi krzywdy - wmieszała się do
rozmowy dosyć cierpko Marynka. - Jeśli pan chce wie-
dzieć, to i czekolady francuskie nieraz się tu zjawiały!

- Przestańcie o mnie mówić - zawołała Wisia. - Bar-
dzo proszę.

Kiedy Grabień zaczął zbierać się do odejścia, podeszła do
niego.

- Ja wiem, że pan kochał mamę - powiedziała cicho

- i że ona... że ona także...

Ujął ją mocno za ramiona, ścisnął.

- Nie trzeba o tym mówić. Nie trzeba. Chyba tylko to, że
nie uwłaczało to nikomu. Proszę mi wierzyć. Nikomu.

- Ależ wiem, proszę pana - powiedziała. Patrzyła na

niego z dojrzałą kobiecą czułością i zrozumieniem, które go zaskoczyło. - Nie rozmawiałabym z panem o tym, gdyby było inaczej. Niech pan uważa na siebie.

- Tak. I ty także! - I wy - zwrócił się do kobiet - wy wszystkie.

Julitka naciągała właśnie płaszcz.

- Odprowadzę cię. Muszę wyjść.

- Dokąd?

- Właśnie! - zawołała Weronika. - Może pan się dowie dokąd! Bo przepada na całe wieczory.

- Mam chłopca! - parsknęła Julitka. - Nawet kilku.

Gdy wyszła z ojcem na ulicę, spowaźniała:

- Ja naprawdę mam kilku, tatusiu. Cały zastęp Tajnego Hufca Harcerzy. Nie wiedziałeś o tym?

- Domyślałem się.

- No to teraz już wiesz na pewno. Przez te wszystkie lata mieliśmy mnóstwo niepowodzeń, wysp, aresztowań, rozstrzelań bez konkretnych sukcesów. Ale teraz karta się odwróciła. Jak myślisz? Dlaczego Anglicy tak precyzyjnie zbombardowali port w Gdyni, głównie okręty przy nabrzeżach i halę targową, w której Niemcy mieli magazyny silników samolotowych?

- Nie chcesz chyba powiedzieć...

- Owszem, chcę. Otrzymali od nas tajne plany niemieckiej bazy wojennej w Gdyni. Wykradł je z gabinetu samego komendanta Kriegsmarine korwettenkapitana von Kóllera nasz hufcowy Wawrzyńczyk. Zjawił się u pana komendanta jako krawiec i pozostawiony na chwilę w gabinecie, zaopatrzył się w ten drobiazg. Dobrze!

- Dobrze! - poświadczył, ledwie dobywając z siebie głos, Krzysztof.

- Poczekaj. To nie wszystko. Na tych planach przybito na odwrocie pieczętkę Tajnego Hufca Harcerzy i tak ostemplowane powędrowały na zachód. Przewiozło je dwóch angielskich oficerów lotnictwa, ukrywanych i przerzuconych do Szwecji, no, jak ci się zdaje, przez kogo?

- Julitko! - jęknął Krzysztof.

- Przecież to dzięki tobie znaleźliśmy ten adres. Uważałam, że nie powinnam zachowywać go tylko dla siebie. Przekazałam go, komu należało.

- I nic mi nie powiedzieli.

- Kto?

- Ci ludzie. Przecież znowu u nich jestem. Gdzie bym się podział po powrocie do Gdyni?

- Widzisz, jak dobrze dochowują tajemnic - roześmiała się Julitka cichutko. Trzymała ojca pod rękę i szli sobie razem, jak za dawnych dobrych lat, tylko że wtedy Krzysztof starał się stawiać małe kroki, a teraz nie musiał już tego czynić. Wczesny zmierzch grudniowy wymiótł ulice z ludzi, Niemcy może zresztą obawiali się powtórzenia nalotu, prawie nie było ich widać.

- Masz przynajmniej dobre papiery? - spytała Julitka ojca.

- Niezłe. Widzisz, jak jestem ubrany - zażartował, a poważnie dodał: - Już teraz trzeba tu być na miejscu. Niemcy, wycofując się z Gdyni, będą chcieli zniszczyć port, może choć częściowo uda się im w tym przeszkodzić.

- Pomyśleliśmy o tym - powiedziała Julitka spokojnie.

- Co takiego?

- Mówię, że pomyśleliśmy o tym. Niemcy od lata robią z Gdyni istną fortecę, przygotowują się do obrony. Tylko jednego nie wiedzą - że my to wszystko nanosimy na mapy, wszystkie ogniska artylerii, pola minowe, zasieki, bunkry. Koronkowa robota, a kiedy będzie skończona, dokładne plany umocnień wokół Gdyni zostaną przekazane Armii Czerwonej. I może Gdynia będzie zdobyta wcześniej, niż sobie to Niemcy wyobrażają i nim zdążą wymordować wszystkich jeńców i więźniów.

Krzysztof przystanął, przygarnął córkę do siebie. Głos mu drżał.

- Jaka jest w tym twoja rola?

- Na razie bardzo skromna. Udział w ubezpieczaniu domu, w którym ktoś pracuje nad tymi planami. I oczywiście nawet tobie nie powiem, gdzie to jest. A poza tym nie martw się, może nie mnie wybiorą do przeniesienia tych planów przez front.

Krzysztof zamilkł na długo. Pobielony śniegiem stok Kamiennej Góry świecił w ciemności. W zaciemnionych domach nie widać było świateł, tylko gwiazdy świeciły w górze, dziwnie roziskrzone. W nocy będzie mróz, pomyślał. A na głos powiedział:

- Przeszło dwadzieścia lat temu, w sierpniu dwudziestego czwartego leżeliśmy tam w trawie na górze: Seweryn, Wołodia i ja. Seweryn nie bardzo uczestniczył w rozmowie, jak to on, nawet miał chyba coś za złe Wołodi, że my dwaj zastanawialiśmy się, jakimi to dyrektorami będziemy po dwudziestu latach i postanowiliśmy się tu spotkać dwudziestego piątego sierpnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

- Byłeś tu? - spytała Julitka.

- Nie. Byłem wtedy w ostatniej swojej akcji w Kamieniu pod Wejherowem. Walczyliśmy przeciwko grupie Jagdkommando. Paweł Hebel, ostatni dowódca, który mi został po Michałku i Leppercie, został wtedy ciężko ranny. Ukryłem go w Częstkwie u rodziny Grzenkowiczów, ale znaleźli go tam. Bronił się, zabił jednego Niemca, dwóch ranił. Oczywiście Grzenkowicz przypłacił to także śmiercią... -Mówił jak w gorączce, Julitka nie śmiała mu przerwać. - Przepraszam - powiedział po chwili - wciąż nie potrafię się z tego wyłączyć.

- Rozumiem. To będzie bardzo długo trwało.

- Pytałaś o coś?

- Czy byłeś na Kamiennej Górze dwudziestego piątego sierpnia. Teraz już wiem, że nie mogłeś. Ale poszedłbyś, gdybyś mógł?

- Byłoby to coś w rodzaju nabożeństwa żałobnego po Sewerynie i Wołodi. Odprawiałem raczej inne nabożeństwa żałobne za ich dusze, z bronią w ręku i, okrutne jest to, co mówię, doznawałem jednak jakiejś pociechy.

- Pamiętasz naszą gonitwę we wrześniu po polach na Obłuzu z tym zabitym Niemcem na noszach? Głowa mu się wciąż zsuwała, a ja ją poprawiałam... nie dość delikatnie...

- Pamiętam.

- Powiedziałeś wtedy, że boisz się o mnie... że może się ze

mną stać coś takiego...

- Z nami wszystkimi się to stało. - Krzysztof ruszył się z miejsca, pociągnął córkę za sobą. - W tej wojnie odwet nie będzie hańbą, nie my ponosimy za to odpowiedzialność. Ale pragnąłbym jednak, żebyś ty...

- Możesz być spokojny - powiedziała Julitka jakby z żalem. - Nie mam nic takiego na sumieniu. - I zapytała już innym tonem: - Dokąd właściwie idziemy? Bo, o ile pamiętam, "mieszkasz" teraz w innej części miasta.

- Zachciało mi się obejrzyć stare kąty.

- Naprawdę?

- Ulicę Świętojańską, przynajmniej od tyłu. Przyszło mi na myśl, że powinienem porozmawiać z kimś z naszego domu.

- Wiem z kim. I wiem dlaczego. Postaram się go wywołać.

Jak wtedy, kiedy przyszli tutaj po Tomaszka, weszli na podwórze od strony Bema. Wokół okna kuchni na pierwszym piętrze świeciło jasne pasemko, zaciemnienie było nie dość dokładne, ale można było z tego wywnioskować, że Karol jest w domu. Julitka zajrzała jeszcze od frontu, wszystkie okna były zupełnie ciemne - Lohmann jeszcze nie wrócił.

Skradając się po schodach (najboleśniejsze było to, że najbardziej obawiała się spotkania z matką), dostała się na pierwsze piętro, zadzwoniła cichutko.

- Niech pan zejdzie ze mną na podwórze - powiedziała do Karola, gdy otworzył jej drzwi. Miał na sobie swoją nieskazitelną kamizelkę w wiśniowe i beżowe pasy, widocznie uważał, iż mimo frontu na Wiśle należy jednak dbać o honory domu szefa.

- Tomaszek? - przeraził się. - Przez cały czas byłem pewien, że ten chłopak to robi.

- Co też pan, panie Karolu? - powiedziała Julitka.

- Mój ojciec na pana czeka.

- Pan gospodarz?

- Zrezygnujmy już z tego tytułu.

Rozmowa odbyła się między schronem a betonową ścianą śmietnika.

- Panie Karolu! - mówił Krzysztof. - Tylko pana mogę o to prosić. Tylko pan jest tutaj na miejscu i może go dopilnować.

Karol nie zapytał, o kogo chodzi. Przysunął się bliżej do Grabienia, przyłożył mu prawie usta do twarzy. Pachniał dobrym tytoniem, bez którego wciąż jeszcze nie mógł się obejść Lohmann.

- A jak pan myśli? Po co ja tu siedzę przez tyle lat? Bawiłoby mnie lokajstwo, wysługiwanie się Niemcom? Dla niego tu siedzę, bo obiecałem starszej pani, że nie spuszczę go z oka.

- To dobrze! - odetchnął Krzysztof. - Drogi panie Karolu, to bardzo dobrze!

- Już mnie się on nie wymknie, może pan być spokojny. Przez tyle lat to sobie układam. Wiem, co mu się należy. Za mojego pana, za pannę Loewe, za... - głos mu się załamał

- za Lorda... On pierwszy rzucił mu się do gardła. Pies, a od razu wiedział, co należy czynić.

- Panie Karolu - przerwał mu Krzysztof- to twarda sztuka. Niech pan nie myśli, że jak tyle lat koktajle mieszał. to zapomniał o prawdziwym swoim fachu.

- Wiem - powiedział Karol - on na minutę o nim nie zapomniał.

- W każdym razie niech pan działa z rozwagą. Do ostatniej chwili będzie usiłował walczyć.

- Trafił swój na swego - mruknął Karol i dodał ze szczerą radością: - Cieszę się, że pana widzę!

- Ja także.

- Tyle lat tułaczki...

- Nie takiej jeszcze najgorszej. Teraz chodzi tylko o to, żeby, wycofując się, nie zniszczyli nam miasta.

- Ba! - powiedział Karol cicho.

Julitka nie odzywała się przez cały czas, przy ostatnim krótkim westchnieniu Karola chciała się wmieszać do rozmowy, ale powstrzymała się od tego, choć bardzo pragnęła podzielić się z kimś radością, która śpiewała jej w duszy: miasto miało być uratowane. Uratowane! W suterenie baraku przy Adolf Hitler Strasse pracował Janek Górecki nanosząc na mapy sztabowe wszystkie informacje przekazywane przez harcerzy. Egzemplarze tych map wykradł z niemieckiego "Katasteramtu", gdzie go nieopatrznie zatrudniono. Opracowywał je od długich tygodni, chroniony z zewnątrz przez harcerską obstawę. Tego wieczoru właśnie i ona do niej należała. Pożegnała ojca, podniecona i szczęśliwa, ten śpiew, wysoki i czysty, wciąż w niej trwał, unosił ją, gdy biegła, przypinał jej skrzydła...

- Julitko! - zatrzymał ją ojciec.

Przystanęła, podszedł do niej.

-- Mój mały żołnierzu! - powiedział wzruszony, dumny, ale jednak bardzo smutny. Uściskali się jeszcze raz.

- Może jednak pójdziesz jeszcze kawałek ze mną?

- Nie, już muszę się śpieszyć. - Uśmiechnęła się.

- Żołnierze mają bardzo ważne zadania.

- Uważaj!

- Ty też! .

Starła się opanować podniecenie, nie biec, to mogło zwrócić uwagę. Zmierzch już gęstniał, ale rozjaśniał go śnieg, leżący pod domami i przy krawężnikach ulicy, nie rozdeptany i nie rozjeżdżony. Ucieszyła się, że widzialność będzie dobra, że każdy podejrzany gość, zbliżający się do baraku, w którym opracowywano mapy, dostrzeżony będzie z daleka. Kilka dni temu brała udział w ubezpieczeniu mieszkania przy ulicy Śląskiej 4, w którym u matki hufcowego Wawrzyńczyka odbywała się narada sztabu akcji "B2". Ten kryptonim krył cały plan dotyczący opracowania map i dostarczenia ich zbliżającej się Armii Czerwonej. Brał w niej udział, oprócz Wawrzyńczyka, sam "Joachim", ów trzydziestoletni już oficer po wrześniu i powstaniu warszawskim, Joachim Joachimczyk, inicjator akcji oraz Stanisław Kaczmarek, młody podporucznik z II grupy wywiadowczej AK, którego przedtem nie znali, który został przydzielony dla sprawnego jej wykonania. Ubezpieczał tę naradę, zdając sobie sprawę z jej ważności, Zygmunt Tanaś ze swoją drużyną. Zygmunt Tanaś, pseudonim "Przebiegły Ryś"... Te indiańskie pseudonimy śmieszyły ją trochę i wzruszały.

Miała rację Weronika, byli jednak wciąż jeszcze smarkaci. Jeden "Joachim" wyłamał się z indiańskich koligacji. Inni z dumą posługiwali się swoimi pseudonimami: "Bawoli Róg", "Orle Oko", "Czubaty Orzeł", "Kamienne Serce", "Chytry Lis"... Nie protestowała, gdy nazwano ją "Lotną Gazelą", chłopcy twierdzili, że to bardzo do niej pasuje, że właśnie ma takie długie, smukłe nogi. Bardzo piękne, dodał któryś. Może by mogła jednego z nich pokochać? Tyle godzin, spędzonych razem, tyle rozmów, spojrzeń, dotknięć rąk. W końcu mówili nie tylko o wojnie i o swoich zadaniach. Życie było życiem, bywały chwile tak piękne, tak oddalone od wojny... Nie, myślała, jeszcze nie teraz... Upłynęło za mało czasu od tamtych dni, w których Jerzyk Powsiałowicz mówił jej swoje wiersze, kiedy płakała nad grubym zeszytem, przyniesionym przez jego matkę. Mieli bardzo mało czasu na tę swoją szczenięcą pierwszą miłość. Więc niechby trwała jeszcze przynajmniej we wspomnieniu. Mijała właśnie jakiś lokal, kiedy otworzyły się jego drzwi i w krótko rozblęśniętej smudze światła ukazał się młody człowiek w mundurze Hitlerjugend. Nie był już chłopcem, więc pomyślała od razu, że chyba wysoko zaszedł w hierarchii tej organizacji, skoro nie posłano go na front, i w tej samej sekundzie rozpoznała w nim Leo Benbencka. Odwróciła twarz, przyspieszyła kroku, ale było już za późno - on poznał ją także.

- Hej! - zawołał. Był chyba po kilku piwach, nigdy się tak do niej nie zwracał.

Nie zatrzymała się. Pragnęła, żeby doszedł do wniosku, że się pomylił. Ale on także przyspieszył kroku.

- Hej! - powtórzył. - Nie uciekaj!

Odwróciła się gwałtownie, wiedziała, że już teraz mu nie umknie i że nie może dopuścić, by szedł za nią. Postanowiła się z nim rozmówić.

- Czego chcesz? Bardzo cię proszę, nie wołaj za mną na ulicy.

- Nie widziałem cię tak dawno. Do ciotki do Gdańska nie przyjeżdżasz...

- Widocznie nie mam po co.

- Ale ja na szczęście przyjechałem do Gdyni. I spotkałem cię! Nareszcie cię spotkałem! - Był naprawdę po kilku piwach. Podczas tej ostatniej swojej zimy na wschodnich terenach Niemcy usiłowali alkoholem zagłuszyć ogarniającą ich rozpacz. Była ona także w twarzy Leo Benbencka, młodzieżowego dygnitarza z tak drogiej fuhrerowej organizacji.

- Spotkałeś mnie i co z tego?

- Musimy to jakoś uczcić.

- Nie mam czasu, śpieszę się.

- Wobec tego odprowadzę cię do domu.

- A może nie idę do domu? Może idę na randkę?

- No, to dziś nie pójdziesz na nią - powiedział twardo Leo. Wyrósł już na prawdziwego mężczyznę, ale w ustach, okrągłych i jakby spuchniętych, miał wciąż coś - jak myślała Julitka - obrzydliwie gówniarzowatego.

- O ho ho! - powiedziała. - A dlaczego to?

19 - Tak trzymać t. III

- Bo dziś pójdziesz ze mną.

Wspięła się na palce, zbliżyła swoją twarz do jego twarzy, mógł nawet sądzić, że zamierza go pocałować. Ale ona syknęła przez zęby:

- Odczep się, dobrze?

- Nie - pokręcił głową. - Nie odczepię się.

- Umówię się z tobą na inny dzień.

- Ten dzisiejszy jest bardzo dobry.

- Ale nie dla mnie! - krzyknęła. Rozważała w popłochu, co ma uczynić. Czas uciekał. Musiała już być tam, gdzie być powinna.

- Słuchaj, Leo - powiedziała miękko - ja naprawdę się śpieszę.

- Wobec tego odprowadzę cię tam, dokąd się śpieszysz:

- Nie wygłupiaj się!

- Wcale się nie wygłupiam.

Ta rozmowa mogła się ciągnąć przez pół godziny albo dłużej. Leo był podparty, uparty. Ogarniała ją rozpacz. Musiała się zdecydować na ucieczkę. Już raz przecież udało się jej umknąć mu sprzed nosa, wpaść w jakieś podwórze, a z niego na sąsiednią posesję, inną ulicę i znowu na jakieś podwórze. Musiała być tam, gdzie być powinna. Mapy sztabowe pokrywały się punktami niemieckich umocnień wokół Gdyni, trzeba było strzec tej pracy jak oka w głowie, jak oka w głowie trzeba było strzec miasta...

- Zobaczmy się kiedy indziej! - zawołała i zaczęła biec, rozglądając się za jakąś znajomą bramą.

- Stój! - krzyknął.

Nie zatrzymała się.

- Stój! - powtórzył i puścił się za nią w pogoń. Ale był cięższy od niej, a ją nie bez powodu chłopcy nazwali "Lotną Gazelą".

Roześmiała się cichutko, szczęśliwie. Czuła mroźny powiew wiatru na czole, nogi niosły ją chyżo.

- Stój! - wrzasnął Leo Benbeneck jeszcze raz.

Zza węgła wyszedł patrol żandarmerii. Na widok biegnącej postaci żandarmi podnieśli broń.

«,ł A stóy•~k^c^w^^zdyszany głoŝem wyroŝnięty
młody człowiek w mundurze Hitlerjugend y
leJS1 ^aż biegła'. kiedy rozległ si? strzał- Poczuła
T"^ 7 lęcle .w plerś'jakby ptak ""^ ^ w locie.
I JUŻ dale) me poleciał, upadł.

XXXII

Oto były dni, które wynagradzały ludziom wszystkie lata okupacji - Niemcy opuszczali Gdynię.

Uciekali w popłochu, zostawiając mieszkania, które kiedyś zajęli z całym dobytkiem, a z których teraz zabierali co cenniejsze rzeczy i usiłowali włądować się ze swoimi tobołami na samochody, statki i okręty. Ale droga tylko w jednym kierunku była nie odcięta - w morze.

Bo Rosjanie i Polacy szli zewsząd. W tych wczesnych dniach marcowych gdańsko-gdyński pierścień stawał się coraz ciaśniejszy, ale główne natarcie szło od zachodu. Potęgowało to panikę, doprowadzało uciekinierów do obłędu: w starej ojczyźnie także byli już Rosjanie i Polacy. Armia Czerwona i Pierwsza Armia Polska po przełamaniu Warn Pomorskiego szły na Kołobrzeg, parły na Berlin. Opanowanie Gdańska i Gdyni, przeszkodzenie w ewakuacji wojsk

niemieckich z tych miast, z Zalewu Wiślanego, z Kępy Oksywskiej i Helu - to były sprawy, które armia musiała załatwić niejako po drodze, prawie z marszu, choć był to wciąż jeszcze marsz bardzo krwawy. Sam fuhrer nakazał twierdzy Gotenhafen obronę do ostatka. Wiazała ona -jak sądził - potężne siły radzieckie, powstrzymując je tym samym od skierowania się na Berlin.

Panika wśród Niemców zaczęła się już w ostatnich dniach stycznia, kiedy to oględne i misterne stylistycznie komunikaty z Fuhrershauptquartier doniosły o przesunięciu się frontu poza rzekę Łebżankę. Przesunięcia tego dokonała Pierwsza Armia Polska, która wraz z rzeczką Łebżanką przekroczyła granicę z trzydziestego dziewiątego roku. Tego dnia Niemcy w Gdańsku, Sopocie i Gdyni, spakowani już od połowy stycznia, gdy ruszyła wielka ofensywa radziecka, zaczęli wysyłać swoje rodziny do Reichu, który miał się nagle okazać wystarczającym i wymarzoną lebensraumem dla cofającej się armii i ściągających z całej Europy uciekinierów. W marcu już nie dla kobiet, nie dla dzieci, ale dla siebie samych dygnitarze wszystkich hitlerowskich szczebli szukali jakichkolwiek możliwości wydostania się z kotła. Ale rozkaz fuhrera kazał im trwać na dotychczasowych posterunkach, a w mieście działało "Komando do Spraw Porządku i Dyscypliny", dowodzone przez świeżo odznaczoną Ritterkreuzem mit Eichenlaub generała Wenglera. "Niezdyscyplinowani" wisieli na drzewach w alejach wiodących do Oriowa i Chyloni, a tabliczki na ich piersiach wyjaśniały dobitnie, za co zostali powieszani.

Lohmann, spotkawszy któregoś dnia na schodach Łuckę, powiedział jej prawie szeptem:

- Niech pani będzie także gotowa.

- Ja? - zachłysnęła się bolesnym zdumieniem.

Lohmann wychylił się przez poręcz i strachliwym wzrokiem omiótł klatkę schodową.

- Chyba tu pani nie zostanie?

- Aleja... - Łucka z trudem łapała oddech. - Dokąd?

I właściwie... dlaczego?

- Może pani sobie wyobrazić, co Polacy będą robili z volksdeutschami. A Rosjanie! Musi pani uciekać z nami.

Mogę panią zapewnić - Lohmann już teraz nie ściszał głosu, nawet go nieco podniósł, jakby chciał, żeby go słyszeli wszyscy lokatorzy, a szczególnie jeden - mogę panią zapewnić, że Niemcy, zwycięskie czy pokonane, zawsze będą potęgą w Europie.

Łucka milczała. Oddychała otwartymi ustami, jak ryba, którą wyrzucono na brzeg.

Lohmannowi w końcu zrobiło się jej żal, nawet bardziej niż siebie. Dotknął współczująco jej ramienia.

- Zaopiekuję się panią. Musi pani z nami uciekać. To... to się szybko unormuje. Niemcy już nieraz przegrywały wojnę, a zwycięskie czy pokonane...

- Już pan to mówił - warknęła Łucka. Wpadła do swego mieszkania z płonąca twarzą.

- Co się znowu stało? - zawołała matka na jej widok.

- Lohmann uważa, że muszę z nimi uciekać, Konkowa z jakimś garnkiem w ręku przysiadła na brzegu kuchennego stołka.

- Dlaczego mama nic nie mówi?

- A co mam mówić, moje dziecko? - odezwała się wreszcie. I jej... jej także nieraz przychodziło to do głowy. Budziła się w nocy i od razu, jak cios, spadała na nią ta myśl: nie będzie prawdziwej radości, kiedy oni stąd odejdą, bo Łucka odejdzie razem z nimi. Bo musi, bo powinna z nimi odejść, skoro zapisała się po ich stronie, skoro ma ten przeklęty papier, a na nim napisane jest wyraźnie... Nie dość było śmierci Julitki, niewiadomego losu Tomaszka -- teraz czekało ją jeszcze to: Łucka uciekająca z Niemcami!

- Mamo! - Łucka potrząsnęła ją za ramiona. ^- Przecież to niemożliwe! Nie chcę! Zabiję się! Utopię!

- Nie grzesz! Pan Bóg daje ludziom rozum po to...

- Mamo! Przecież mama przynajmniej wie, dlaczego to zrobiłam. Dlaczego musiałam to zrobić. Kto może mieć mi to za złe? Chciałam ratować męża... Teraz on... on powinien...

- Na szczęście masz jeszcze matkę - powiedziała Konkowa z nagłym przypływem energii. Przez te wszystkie straszne dni zazdrościła Augustynowi, że leży spokojny na oksywskim cmentarzu, teraz zrozumiała, że jest jednak jeszcze potrzebna swojemu dziecku. Nieraz miała ochotę sprać Łuckę po pysku, aż ją ręka z tej ochoty świerzbiała, ale wciąż przecież była jej jedynym dzieckiem i kto miał jej pomóc, jak nie matka. - Nigdzie z nimi nie pojedziesz - zdecydowała stanowczo.

- Ale jak Lohmann przyjdzie po mnie...?

- Nie zastanie cię w domu. Musisz zniknąć na te dni. Pod ziemię się zapaść. Jadę do Połczyna.

- Znowu do Połczyna? - przeraziła się Łucka. To, co spotkało tam Krzysztofa i co było przyczyną dalszych nieszczęść, nie nastrajało jej przychylnie do tej wsi.

- A dokąd? W końcu to moja wieś rodzinna. A Dyszkowie dostali wszystkie rzeczy Tomaszka. Zawiozę im jeszcze te buty, które kupiłaś mu na ostatni przydział... - Konkowa urwała, przypomnienie niemieckiej schuhkarty było teraz zupełnie nie na miejscu. - Pojadę jutro z samego rana. Łucka objęła matkę.

- Front już blisko. Jeszcze mama tam zostanie. Konkowa przemogła wzruszenie.

- Nie martw się o mnie. Wrócę tego samego dnia. Front był już naprawdę blisko, ale pociągi do Wejherowa i Pucka kursowały jeszcze bez najmniejszych zakłóceń. Komando generała Wenglera spełniało swe zadania - wszędzie panował porządek i dyscyplina. W Połczynie także. Dwóch puckich żandarmów stało przed gemeindeamtem

- tyle że nie zaczepili już Konkowej, żeby im się ukloniła. Byli to zresztą już inni żandarmi, tamci albo poszli na front, albo zginęli podczas polowań, urządzanych w okolicznych lasach na "gryfowców". Ci nowi miny mieli już nietęgą, oczy rozbiegane - Konkowa, sama przytłoczona swoim nieszczęściem, minęła ich prawie z uczuciem politowania. Dyszkowie powitali ją z radością i zdumieniem. Buty (bo najpierw je wyciągnęła) okazały się w sam raz na Józefka, dawno takich nie miał na nogach, przez wszystkie wojenne lata chodziło się tu w drewniakach i grubych skarpetach z owczej wełny.

- Zaraz po wojnie w pierwszą niedzielę - śmiał się chłopak - włożę je do kościoła.

- Właśnie. Zaraz po wojnie... - Konkowa, odchrząknawszy, podjęła swój główny temat. - Do końca już niedaleko. Muszę gdzieś ukryć Łuckę.

- Panią gospodynię? - spytała Anula. Konkowa dopiero teraz spostrzegła, że dziewczyna jest w żałobie, ale nie był to moment odpowiedni w rozmowie, żeby pytać, po kim. Sama zresztą nosiła żałobę po Julitce, a Dyszkowie także nie zwrócili na to uwagi, tyle teraz kobiet chodziło w czerni.

- Łuckę. Moją córkę - potwierdziła. - Niemcy chcą, żeby z nimi uciekała. Ale ja do tego nie dopuszczę. Ja...

- Konkowa przez cały czas trzymała się godnie, jakby kamienica na Świętojańskiej znowu odzyskiwała swoje znaczenie, teraz jednak głos jej się załamał. Popatrzyła po Dyszkach z pokorną rozpaczą. - Ukryjcie ją tutaj?

- Niech przyjdzie - uciał Dyszk krótko. I dopiero po długiej chwili dodał: - Nas wszystkich zapisali na trzecią grupę. Ale nikt się ze wsi nie ruszy.

- A... Schwenk? - spytała Konkowa.

- Może tylko jeden Schwenk. Ale on już i tak ma za swoje.

Anula zapłakała cicho. Konkowa, patrząc na nią, domysliła się wszystkiego.

- Teofil?

- Teofil. Zginął na froncie wschodnim. Jak przyszła ta wiadomość do Połczyna, gemeindekommissar poprosił Schwenka do siebie, podał mu rękę, kazał siadać, Schwenkowi od razu wydało się to dziwne. "Panie Schwenk - powiedział gemeindekommissar - dla jednych słońce wschodzi, dla drugich zachodzi". "Dla nas wszystkich zachodzi" - powiedział Schwenk gemeindekommissarowi. Wstał i poszedł. I przez tydzień nie przychodził do roboty, ale pan Laubnitz słowa mu za to nie powiedział. Bo przecież to on, on go namówił...

- A pan Laubnitz - przerwała Dyszkowi Konkowa

- sam pan Laubnitz nie zamierza uciekać?

- Pan Laubnitz? - prawie uśmiechnął się Dyszk. - Pan Laubnitz wszystkim opowiada, że zawsze był Niemcem i że Polacy dobrze wiedzą, że był Niemcem, nie ukrywał się z tym, kiedy tu była Polska, więc właściwie dlaczego miałyby uciekać? Przed wojną zatrudniał Polaków, dobrze i punktualnie im płacił, będzie teraz czekał na polskie wojsko na progu swego domu, jest pewien, że włos z głowy mu nie spadnie.

- Takim panom, jak Laubnitz - powiedziała Konkowa cicho - nigdy włos z głowy nie spada. Zawsze pozostaną panami, świat dla nich się nie zmienia.

- Chyba żeby się raz zmienił - zauważył Dyszle.

Konkowa już się zegnała, gdy od strony Pucka nadpłynął warkot samolotu. Oswojeni z nalotami, od razu rozpoznali, że leci jeden i że nie jest to bombowiec; bombowce dudniły głucho, a ten miał warkot wyższy, jaśniejszy i o wiele cichszy, musiała to być niewielka maszyna. Wszyscy wylegli przed dom ją zobaczyć, choć Dyszkowa piskliwie nawoływała, żeby się kryć, padać na ziemię.

- Marija, Józef! - jęczała. - Wojna się kończy, a nas

zabija!

- Cicho, kobieto! - uspokoił ją Dyszk zniecierpliwionym głosem. Samolot lądował na widocznych jak na dłoni polach pobliskiego majątku. - Co to może być? Co to może znaczyć?

To samo pytanie musiał sobie postawić Laubnitz, bo ujrzeni po chwili, jak z dworskiej bramy wyjeżdża stajenny na nie osiodłanym koniu i uderzając go w boki piętami, gna przez pola ku zabudowaniom sąsiedzkiego majątku Stammfeldów.

Zanim wrócił, przed wejściem na dworskie podwórze zebrał się tłum. Stał wśród niego sam pan Laubnitz w myśliwskiej kurtce, narzuconej na ramiona, z gołą głową. Wiatr rozwiewał mu siwe włosy. Ze zniecierpliwieniem odpowiadał na płaczliwe pytania żony.

Stajenny wrócił z niezwykle wiadomością:

- Pan Wacholz przysłał samolot po żonę i dzieci.

- A pan Stammfeld leci także? -- krzyknął Laubnitz, nie mogąc opanować podniecenia.

- Nie wiem, czy pan dziedzic leci - odpowiedział stajenny.

- Bałwanie! Nie mogłeś się o to zapytać?

Stajennemu zadrżały wargi.

- Miałem się tylko dowiedzieć, co to za samolot...

- Złaz z konia!

- Nie zostawiaj mnie! - rozpłakała się Laubnitzowa.

- Nie zostawiaj mnie tutaj! Oni mnie zabijają! Oni...

Laubnitz siedział już na koniu. Nie przyzwyczajony do jazdy bez siodła i w ogóle już nie ten sam co dawniej, wyglądał żałośnie i śmiesznie, gdy oburącz objął szyję konia.

- Zabijają mnie! - rozzłochała się jego żona. Nie

obchodziło już jej to, że czyni to przed służbą. Dawniej w Deutschwestafrika nawet przed Murzynami nie ujawniała swoich uczuć. Teraz krzyczała na całe podwórze: - Nie zostawiaj mnie! Nie zostawiaj!

- Co może grozić starej babie? - krzyknął i klepnął konia w zad. Wierzchowiec, podenerwowany krzykami i płaczem, ruszył od razu ostrym kłusem.

- Nie zostawiaj mnie! - płakała rozdzierając Laubnitzowa. Rzuciła się z wyciągniętymi rękami za mężem, jakby go mogła jeszcze zatrzymać, pośliznęła się na rozmokłej drodze, upadła w błoto.

Nikt z patrzących nie ruszył się, żeby ją podnieść. Tylko Anula ledwie rozpoczętym gestem okazała tę chęć, ale ją jednak w sobie poskromiła. Laubnitzowa dźwignęła się sama, zabłoconymi rękami odgarnęła włosy z czoła. Tak jak wszyscy ludzie zwróciła się w stronę, dokąd galopował jej mąż. Łzy zalewały jej oczy, więc chyba go nie widziała, ale jednak patrzyła w tę stronę.

Ludzie zaczęli się rozchodzić dopiero wtedy, gdy samolot, zatoczywszy najpierw koło po ziemi, wzniósł się w górę i poszybował na zachód. Była to mała, lekka maszyna wojskowa, szybko zniknęła za lasem na widnokręgu. Rozchodzącym się powoli ludziom wydała się czymś nierzeczywistym.

- Wacholz musi być gdzieś bardzo wysoko - powiedziała Dyszkowa prawie z dawnym podziwem.

- Oni są teraz wszyscy bardzo nisko - odrzekł Dyszk.
- Ale jednak samolot po żonę przysłał!
- Dużo jej z tego przyjdzie. Tak jak tutaj już jej nigdzie nie będzie. Dopiero teraz będą się tam cisnąć jak śledzie w beczce.

Śmiech gruchnął po gromadzie, ale zaraz ucichł. Ktoś wskazał ręką ku odległym polom - wracał przez nie na potykającym się ze zmęczenia koniu pan Laubnitz.

Ludzie, którzy już się porozchodzili, zebrali się znów przy dworskiej bramie. Powinni mu tego zaoszczędzić, ale jednak czekali na niego. Z ganku zeszła żona, już nie płakała, starała się zetrzeć błoto z rąk i sukni, uporządkować swój wygląd.

Laubnitz, wjechawszy powoli na podwórze, nie spojrzał nawet na nią, nie spojrzał na nikogo. Zsiadł z konia, oddał go stajennemu. Idąc ku gankowi, uczynił jakiś dziwny gest ręką - zniecierpliwienia czy rezygnacji.

- Trzy miejsca... - powiedział nie wiadomo do kogo.

- Tylko trzy miejsca...

- Małych Wachoizów jest czterech! - zawołała, zapominając o własnej sytuacji, przejęta tragedią sąsiadów Laubnitzowa.

- Dwóch najmłodszych zostało z niańką i dziadkami!

Równie dobrze mogliby wszyscy zostać. Co w końcu grozi dzieciom? W dodatku na wsi? Ale dygnitarze są samolubni.

Samolubni! Nawet w takiej chwili! - Parskając gniewnie, Laubnitz wszedł do domu i głośno zatrzaskał za sobą drzwi.

Żona została na ganku i dopiero po chwili odważyła się wśliznąć za nim, jak śmiertelnie przerażona myszka.

Konkowa szybko pożegnała Dyszków i upewniwszy się jeszcze raz, że Łucka będzie mogła się u nich schronić, ruszyła w stronę Pucka. Przed kilkoma godzinami wysiadła na spokojnym, prawie cichym dworcu - teraz klębił się tu tłum cywilów i wojskowych, zrozpaczona, zmierzwiona popłochem masa ludzka, walcząca o dogodne miejsce na peronie. Musiało się coś stać w ciągu tego niedługiego czasu, ale nie sposób było się o to rozpytać - wszyscy, zagadnięci przez Konkowa, mieli obłęd w oczach. Rozsadzając tłum barkami, docisnęła się jakoś bliżej toru. Nie miała żadnego bagażu i to okazało się teraz zbawienne. Ale kiedy nadszedł pociąg, niewiele jej to pomogło. Ława ludzka ruszyła szturmem na wagony, na drzwi i okna, przez które dostawali się do środka co młodsi i zwinniejsi. Starość nigdzie nie jest atutem ani szansą, w tłumie staje się kalectwem bez okazywanego jej w innych okolicznościach szacunku. Konkowa poczuła się w jednej chwili odepchnięta od toru, wessana w napierającą ciżbę, stłamszona jej siłą i bezwzględnością. Krzyknęła, ale wśród płaczu kobiet i dzieci, wśród przekleństw mężczyzn sama prawie tego nie usłyszała. I byłaby została na peronie, gdyby jakiś rosły żołnierz poza nią nie pchnął jej swoim mocnym ciałem, nie dźwignął na schodki, nie wtłoczył do wagonu.

- Nie płacz, matka! - powiedział. - Nie zostawimy cię Ruskim na pożarcie.

Naprawdę płakała. Bo już rozumiała, że Łucka nie dostanie się do Połczyna. Chyba że pieszo... Ale pod front? W poprzek frontu? Nie, to było niemożliwe. Niemożliwe...

- Nie płacz, matka! - powtarzał wciąż żołnierz. Sam

miał oczy zaczerwienione, ledwie widoczne spod opuchłych powiek.

Konkowa pomyślała, że takie oczy miał przed pięciu laty Krzysztof, gdy przyszedł z frontu na Świętojańską, żeby się pożegnać; oddziały pułkownika Dąbka opuszczały Gdynię. Teraz historia obróciła się akurat tak, żeby swój tyłek wypiąć na Niemców. Konkowa wyprostowała się mimo tłoku, który - gdy pociąg ruszył - jakby trochę zelżał, usiłowała nawet odsunąć się od swego wybawiciela, nie było to jednak możliwe.

Na dworcu w Gdyni upewniła się, że na froncie musiały zajść jakieś ważne zmiany. Popłoch wśród Niemców wyraźnie się spotęgował, ulice były jeszcze bardziej niż dotąd zatłoczone ściągającym ze wszystkich kierunków wojskiem, miotającym się cywilami. Zapragnęła nagle zobaczyć się najpierw nie z Łucka, lecz z Krzysztofem, i skierowała się prosto z dworca do starego domu Konków, gdzie Krzysztof coraz częściej ostatnio przebywał. Niemcy, zajęci swoją klęską, nie tropili już tak zajadle Polaków. Nie wchodząc im zbyt w drogę, można było nawet - po pięciu długich latach - doznać uczucia przywróconego wreszcie bezpieczeństwa. Działań wojennych, piekła, które lada moment mogło rozpętać się nad miastem, a które nadciągało już w pomruku dział, bijących zza wzgórz - Polacy jakoś dziwnie się nie bali. Wszystko to było skierowane przeciwko Niemcom.

Tak właśnie myślały kobiety w starym domu. Kiedy Konkowa tam dotarła, ogłoszono właśnie alarm przeciwlotniczy, ale one nie wybierały się do schronu.

- Za nic tam nie pójdę - śmiała się Marynka Blok.

- Tam Niemcy śmierdzą ze strachu. Przedstawiam pani mego narzeczonego!

Konkowa od razu, gdy weszła spostrzegła w kuchni przystojną, rosłą dziewczynę. Miała krótkie złoto blond włosy, pięknie podkreślające smagłość cery. Oprócz niej w kuchni były tylko dotychczasowe lokatorki starego domu.

- Narzeczonego? - zapytała ze zdumieniem.

- No co? - zaśmiała się Marynka. - Nie ładna z niego dziewczyna?

Sytuację pokrótce wyjaśniła Sewerynowa. Nalot się już zaczął i choć bomby padały głównie na Oksywie, dziwnie brzmiała w ich huku prawie żartobliwa opowieść o przeistoczeniu francuskiego jeńca w zalotną blondynkę. Kiedy Niemcy rozpoczęli równającą się zbiorowemu mordowi ewakuację więźniów ze Stutthofu, Marynkę ogarnęła rozpacz, że taki sam los czeka jeńców wojennych. Uspokój się!

- powiedziała Sewerynowa, która wciąż wierzyła, że każdy uratowany chłopak to jakby jej własny, szczęśliwie wracający z niewoli. Zdobyła w jakiś sposób perhydrol, wsadziła Jacques'a, cukierniczego syna z Paryża, za największy stos brudnej bielizny i tam dokonała na nim fryzjerskiego zabiegu. Damską kieckę dla niego przeniosła na sobie do arsenału Marynka. Przeistoczony tak Francuz wmieszał się w tłum kobiet, opuszczających pralnię. Najgorszy był moment mijania strażniczej bramki. Strażnicy znali na ogół z wyglądu wszystkie kobiety i mogli zwrócić uwagę na pierwszy raz widzianą twarz. Tak się też rzeczywiście stało.

O, jakaś nowa! - uśmiechnął się do Jacques'a strażnik i wyciągnawszy nieznacznie rękę, uszczypnął go w twardy pośladek. Coś jakby blask zastanowienia zalśniło w jego oczach. Ale Jacques zachichotał zalotnie, kolumna kobiet przeszła bramę i czujny strażnik odłożył, być może na dzień następny, zbadanie zastanawiającej go zagadki.

- Drugi raz nie miał już okazji go uszczypnąć - śmiała się Marynka. Trzymała wpół swego wciąż przebranego za dziewczynę chłopaka. - Nigdzie go stąd nie puszczam. Chyba jest tu bezpieczny?

- Tak - powiedziała w zadumie Konkowa. - W tym domu zawsze było bezpiecznie. Jest może Krzysztof? - zapytała. - Bo ja właściwie do niego...

- Jest - odezwała się milcząca dotąd Wisia. - Na strychu. Przez całą noc go nie było. Boimy się, że chodzi do portu.

- Do portu?

- Tak. Ludzie mówią, że Niemcy wysadzają w powietrze wszystkie portowe urządzenia, nabrzeża i falochrony... Konkowa przeżegnała się drżącą ręką.

- Mogą to zrobić?

- Oni wszystko mogą. Przed niczym się nie cofną.

Chyba... chyba żeby nie zdążyli... - Wisia uśmiechnęła się leciutko, patrzyła gdzieś ponad głową Konkowej w białą, przezroczystą teraz dla niej przestrzeń białej ściany. Po śmierci Julitki, oplakanej do samego dna łez, zrodziła się w niej nowa zaciętość, zgłosiła się na jej miejsce w zastępie, ubezpieczającym opracowywanie map "twierdzy Gotenhafen", a później - gdy były gotowe - do przeniesienia ich przez linię frontu i doręczenia oddziałom Armii Czerwonej. Nie wybrano jej do tego trudnego zadania. Odchorowała to, ale musiała przyznać, że dziewczęta, którym w końcu je powierzono, bardziej się do tego nadawały: Mietka Oleszakówna, siostra cioteczna hufcowego Wawrzyńczyka, która po aresztowaniu i śmierci ojca uciekła spod Poznania do Gdyni i знаła już drogę na Chojnice, a także Irka Maśkiewicz, córka powstańca wielkopolskiego, pilotowana przez hufcowych Joachimczyka i Wawrzyńczyka i rodzeństwo Jana i Felicję Walkuszów, znających dobrze okolice Wejherowa. Trzecią grupą kierował podporucznik Kaczmarek, którego matka także pochodziła z tych stron. Wszyscy byli więc doskonale zorientowani w terenie i gdyby im się udało... gdyby się udało... Wpiła paznokcie w dłonie, zacisnęła powieki. - Port jest duży. Założenie ładunków, i to teraz, kiedy odbywa się ewakuacja...

- Ale Krzysztof... po co Krzysztof chodzi do portu...?

- zajęczała Konkowa. - Tam przecież teraz piekło.

Wszyscy pchają się na statki, wojsko i cywile...

- Tym łatwiej wmieszać się w tłum.

- Ale po co? Po co? Mało jeszcze nieszczęścia?

- On ten port przecież budował - przypomniła Sewerynowa cicho. - Budował go od początku. I Seweryn także. Też by teraz tam chodził, gdyby żył...

- Ale po co? - krzyknęła jeszcze raz Konkowa. - Czy można przeszkodzić Niemcom w wysadzeniu nabrzeży?

Sewerynowa odwróciła twarz ku oknu. Łzy po niej ciekły, usta wykrzywił płacz.

- Nie wiem, czy można.

Nalot już się skończył, nad miastem zawisła krótka cisza. Ze schronów, z zabezpieczonych workami piasku bram wysypali się znów na ulicę ludzie, objuczeni walizkami i tobołkami, pchający przed sobą jakieś wózki, z których wciąż spadało coś na ziemię. I dokąd? - pomyślała Konkowa, rażona przypomnieniem sytuacji Łucki. - Dokąd?

Uciszonym dopiero co powietrzem targnął bliski wybuch. Jeden, drugi, trzeci...

- To Śląskie - powiedziała cicho Sewerynowa. - Albo Angielskie. - Mieszkała tu tyle lat na tyłach portowych basenów, orientowała się w położeniu nabrzeży. W drzwiach od sieni ukazał się Krzysztof, blady, postarzały o dziesięć lat.

• - Słyszaliście? - zapytał. - To port.

- Tak - potwierdziła Sewerynowa. - To port.

- Krzysztof - zaczęła Konkowa. Chciała mu powiedzieć o swojej bytności w Połczynie, o samolocie, który Wacholz przysłał po rodzinę, o Teofilu i Anuli, i o tym, że Dyszkowie zgodzili się przetrzymać Łuckę przez ten nie-dobry czas, ale że już na to za późno... za późno na ratunek dla niej... Miała mu to wszystko powiedzieć, ale kiedy tak przed nim stała, kiedy patrzyła w jego nie widzące jej, zagasłe oczy, zrozumiała, że nic do niego nie dotrze, że nie usłyszy ani jednego jej słowa. Rozpocząła się śmierć portu, powolna, w niemiecki sposób systematyczna. Metr po metrze darto wybuchami jego betonowe ciało, miażdżono je, wgniatało w morze. To, co powstawało latami, mogło zostać zniszczone w jednej chwili i decydowała o tym tylko zbrodnicza myśl i siła wybuchowego ładunku. - Krzysztof! - powiedziała Konkowa tylko. - Nie chodź tam! Nic nie pomożesz. Zrobią to. Nikt im nie przeszkodzi. Wisia płakała cicho z głową opartą o ścianę. Konkowa pogładziła ją po włosach, bardzo się do niej przywiązała po śmierci Julitki.

- Nie wychodź z domu! - przykazała jej. - To dobry dom. Julitka, gdyby się go bardziej trzymała...

• Nie dokończyła. Nie pożegnawszy się z nikim, wyszła na ulicę i pod prąd, pod cały tłum, który pchał się w stronę portu, ruszyła ku Świętojańskiej. Wiedziała już, że można (tylko czekać. Wszystko zależało teraz od wielkiej armii, której armaty mruczały za wzgórzami, od tego, czy zdąży na czas, czy wejdzie do miasta, zanim zemsta niemiecka wysadzi je w powietrze.

Dwudziestego trzeciego marca Armia Czerwona potężnym uderzeniem od Wielkiego Kacka poprzez Orłowo przerwała opór niemiecki i zajęła Sopoty, doszła do morza. Pokłoniły się Bałtykowi radzieckie czołgi i piechota. Żołnierze, którzy przeszli tysiące kilometrów, na każdym mijając się z zagładającą im w oczy śmiercią, zaczerpnęli słonej wody i ochłodzili nią czoła.

To zwycięstwo poprzedzone było zmasowanym atakiem artyleryjskim, od którego nawet w Gdyni dźwięczały szyby w oknach. Radzieckim działom i katiuszom odpowiadały salwy niemieckich pancerników, krążowników i niszczycieli, ściągniętych na wschodni Bałtyk dla odparcia lądowego

ataku Rosjan. Ale nie było to już możliwe. Przyczółek gdańsko-gdyniński został rozcięty na dwie części. Gdańsk utracił łączność z Gdynią. Oddziały radzieckie parły teraz w obydwu kierunkach, spychając nieprzyjaciela w stronę morza. Pierścień okrażenia zmienił się w dwa pierścienie, coraz mniejsze, coraz ciaśniejsze, coraz bardziej nierozzerwalne.

To, co dotąd wydawało się popłochem, było tylko nieznacznie przyspieszonym ruchem ludności wobec paniki, która teraz oświadczyła miastem. Niemieccy uciekinierzy z Sopot i Orłowa ciągnęli nieprzerwanie jezdnią ulicy Świętojańskiej wraz z oddziałami wojska - piechotą, taborami i czołgami. Pękła nie tylko linia frontu, razem z nią rozpadło się coś, co było dotąd główną siłą narodu: podporządkowanie i posłuszeństwo. Już nic, żadne kordony policji i wojska nie mogły powstrzymać naporu tłumu na port. I tych kordonów w końcu zabrakło, kiedy sztab obrony miasta przeniósł się z Kamiennej Góry do potężnego schronu przeciwlotniczego W porcie. Żandarmeria polowa egzekwowała już teraz resztki wojennej karności wyłącznie od wojska i pokrewnych formacji. Cywilów jeszcze nie wieszano. A mieli już spojrzenia pełnie oskarżającej rozpacz. Zdolność oskarżania, prawo do niego, które nagle na niewiadomych przesłankach rodziło się w uciekinierach - dzieliły teraz Niemców na odpowiadających za wszystko i nie odpowiadających za nic, na winnych i niewinnych, na sprawców i ofiary. U progu ostatecznej klęski Niemcy coraz bardziej jej nie rozumieli. Tylko ci, którzy byli w stanie pojąć jej istotę, mogli dostrzec w coraz gęstszych ciemnościach zbliżającego się pogromu isierkę nadziei.

Tego dnia, kiedy sztab obrony miasta przeniósł się do portu, kiedy opustoszały po nim ufortyfikowane piwnice na południowym stoku przestrzeliwanej teraz ze wszystkich okolicznych wzgórz Kamiennej Góry - opustoszały także mieszkania przy ulicy Świętojańskiej, a Konkowa rozpoczęła ściąganie dywanów do swojej dawnej garsoniery (gdzie był Wołodia, od którego nauczyła się tego słowa?) na piątym piętrze. Czyniła to bardziej z nerwów niż z chciwości, trzeba się było czymś zająć, gdy nad miastem rozpętało się prawdziwe piekło - beczynne siedzenie w opustoszałym teraz schronie wydawało jej się pośmiertnym odosobnieniem w betonowych ścianach grobowca. Jakakolwiek praca była życiem, a ta, którą teraz przedsięwzięła, mogła jej choć częściowo wynagrodzić stratę tych dwudziestu tysięcy nie wymienionych na guldeny, choć była, na pewno była na to szansa i sam pan Słubicki podsunął jej tę myśl... Persa pana Słubickiego ściągnąć do siebie nie mogła. Po pierwsze, Lohmann jeszcze się ostatecznie nie wyniósł - przepadając gdzieś na całe dnie, zawsze jednak na noc wracał do mieszkania, a po drugie pers należał się chyba Karolowi, który może nawet po to tkwił tu przez całą wojnę, żeby zagarnąć wszystko po prezesie Słubickim. Pani von Schabenbach mu to podobno w spadku po synu darowała. Konkowa zamierzała nawet rozmówić się z nim co do tej sprawy, ale K-arol pochłonięty był czym innym. To on przyniósł wiadomość, że na Kamiennej Górze nie ma już sztabu, a także ulotkę, którą znalazł na ulicy po ostatnim

nalocie. Była pisana po niemiecku, Karol podszkolił się w tym języku w ciągu pięcioletniej pracy u Lohmanna, wolał jednak, żeby dokładnie przetłumaczyła ją Konkowa.

Tekst ulotki był krótki:

"Żelazny pierścień moich wojsk coraz ciaśniej zamyka się wokół was. Dalszy opór w tych warunkach jest bezsensowny i doprowadzi jedynie do waszej śmierci - Dowódca Drugiego Frontu Białoruskiego marszałek Rokossowski".

- To... mieliśmy jeszcze jednego marszałka? - szepnęła Konkowa. - Słyszałam tylko o Piłsudskim i Rydzu-Smigłym...

- Ten to pewnie Rosjanin - powiedział Karol.

- Ale nazwisko ma polskie?

- Może z polskiej rodziny. Ludzie się mieszaają na tym małym kawałku ziemi... - Karol urwał. Wśród bezustannego ostrzału wyłowił uchem trzaśnięcie drzwi na dole. Rozmawiali jak zwykle na schodach. Było tu najbezpieczniej, a poza tym Karol wciąż na kogoś czekał... Tracił nadzieję i na nowo ją odyskiwał. Obserwując wszystkie wyjścia lokatora z trzeciego piętra, był pewien, że nie zabrał jeszcze swoich rzeczy z mieszkania, że nie zdjął czarnego munduru, czego w końcu Karol zaczął się spodziewać. Razem ze sztabem obrony miasta opuściła Kamienną Górę załoga straszego domu, z którego piwnic przez pięć lat wydobywały się jęki i krzyki Polaków. Karol czekał na Hansa Miihidorfa, nazywanego wciąż w tym domu "mikserem". Czekał i był pewien, że to on właśnie trzasnął bramą na dole. Musiał iść bardzo powoli albo tak bardzo dłużył się czas, zanim go zobaczyli. Mundur miał nie dopięty, czapkę zsuniętą nisko na oczy. Minał ich bez słowa i oni także nie odezwali się do niego. Konkowa, która zostawiła na podeście dywan z opustoszałego drugiego mieszkania na trzecim piętrze, czekała, kiedy na nią wrzaśnie, kiedy ją wezwie na górę i każe się jej z tego wytłumaczyć - ale nie uczynił tego. Usłyszeli, jak otwiera kluczem drzwi, jak - nie zatrzasnując ich za sobą - wchodzi w głąb mieszkania.

- Gdyby się winda nie zepsuła... - zaczęła Konkowa, ale Karol uciszył ją gwałtownym gestem.

Teraz, myślał. Teraz! Nie wiedział, jak to robi, tamten miał broń, on - gołe ręce. Ale mógł na przykład wejść za nim do mieszkania, mógł powiedzieć, że ma jakieś polecenie od Lohmanna i gdyby, mówiąc to, podszedł do niego z bliska, tak z bliska, żeby niemożliwe było wyciągnięcie broni, a możliwe, bardzo możliwe zaciśnięcie bezbronnych rąk na szyi w czarnym, nie dopiętym mundurze...

- Pani gospodyni... pani gospodyni, niech się pani teraz modli za mnie - zaszeptał Karol, ruszając po schodach. Zdołał pokonać zaledwie kilka stopni, gdy na górze rozległ się strzał. Jeden. Ale Karol był pewny, że celny. Kiedy wbiegł do mieszkania na trzecim piętrze, Joe-mikser siedział przy stole, plecami odwrócony do drzwi. Nie wypuścił jeszcze rewolweru z ręki, ze skroni ciekła mu mała, niewidoczna prawie strużka krwi. Karol potrząsnął nim. W pierwszej chwili ogarnęła go wściekłość, że mu się wymknął, że nie upilnował go jak należy, choć układał to sobie przez całą wojnę. Ale zaraz potem poczuł ulgę, ogromną, oczyszczającą go ze wszystkich tych myśli.

Gdy zdyszana Konkowa stanęła w drzwiach, odwrócił ku niej zupełnie pogodną, wygładzoną jakby, obmytą z dotychczasowego napięcia twarz.

- Nie żyje.

Konkowa zbliżyła się pomału. Usiadła przy stole, po jego drugiej stronie, i pochyliwszy się nieco, zaczęła z niedowierzaniem i uwagą przyglądać się "mikserowi". Wydawało się jej to niepojęte, niemożliwe - przez pięć lat drżeli przed tym człowiekiem, a oto siedział tu nieżywy i można go było trącić palcem, uszczypnąć, można było zajrzeć do jego szafy i zobaczyć, co tam nagromadził w ciągu tej całej swojej przerażającej służby. Oglądała go sobie powoli, bez triumfu i radości, z ciekawością raczej, wciąż nienasyconą i pełną nie wygasłego jeszcze niedowierzania.

Dopiero kiedy zobaczyła broń, leżącą na dywanie, broń, z której Joe-mikser nie mógł już zrobić użytku, uwierzyła w to, co się stało. Powiedziała z ożywieniem:

- Ładny rewolwer! Przyda się Krzysztofowi.

- Niech pani gospodyni go nie dotyka! - krzyknął

Karol. - Jeszcze któryś z nich może tu wpaść. I może by pomyślał...

- Marija, Józef! - jęknęła Konkowa. Poderwała się z krzesła, w jednej chwili była przy drzwiach. Zatrzasnęła je za sobą i Karolem, i dopiero potem przeszło jej przez myśl, że trzeba będzie - gdy wszystko się uspokoi - wyłamywać zamek, że drzwi przez to się zniszczą, te porządne, piękne drzwi, które zamówiły z Łucka aż w Wejherowie u znajomego stolarza, a on wykonał je nad podziw solidnie... Boże święty! - przeraziła się. - O czym ja myślę? Od Orłowa, od witomińskich wzgórz szła salwa za salwą, z morza waliły okręty, a ona łałowała głupich drzwi od mieszkania nieżyjącego gestapowca.

- Nic stamtąd nie ruszę! - powiedziała do Karola.

- Nic! Co pan Karol zamierza?

- To co wszyscy. Czekać. I jeszcze nie wiem, czy Lohmann się zjawi. Jak już będę pewien, że nie wróci, zamknę mieszkanie "i pójdę do starego domu, żeby powiedzieć panu Grabieniowi o "mikserze". Kazał mi go pilnować. Nie wiedział, że sam z siebie postanowiłem to samo. Jeszcze może razem z panem gospodarzem Niemców popędzimy.

- Ja bym teraz panu radziła siedzieć na tyłku.

- Pięć lat siedziałem na tyłku. Wystarczy. Mogłem być w lesie, mogłem się bić, a musiałem tu siedzieć i pilnować tego sukinsyna.

- Miał pan u Lohmanna jak u Pana Boga za piecem.

- Tak - odparł Karol z zapiekłą goryczą. - Ale honoru nie miałem.

Lohmann zjawił się na Świętojańskiej pod wieczór, kiedy nikt się go już nie spodziewał. Konkowa wypuściła właśnie Łuckę z pralni na górce, gdzie w każdej chwili mogła się schować za kotłem od bielizny, i robiła jej właśnie herbatę, gdy zadzwonił do drzwi. Zobaczyła go przez wizjer, nogi się pod nią ugięły. Postanowiła nie otwierać, wstrzymała oddech, jakby nie kroki, których nie ściszyła nieopatrznie, ale właśnie on mógł zdradzić jej obecność.

Lohmann krzyknął:

- Wiem, że pani tam jest. Niech pani otwiera!

Nie ruszyła się i nie odezwała.

- Niech pani otwiera, bo przestrzelę zamek!

Konkowej ręce się trzęsły, gdy podniosła je, żeby otworzyć zatrzask. Boże miłosierny! - myślała. - I te drzwi trzeba będzie naprawiać. Przez całą wojnę nie było żadnych szkód, a teraz, kiedy się kończy...

Tak układny, spokojny, zawsze uśmiechnięty Lohmann miał rzeczywiście broń w rękach. Konkowa cofała się przed nim ze zgrozą.

- Gdzie córka? - zapytał.

- W kuchni.

- Pani Grabieniowa! - zawołał. - Niech się pani

zbiera! Zdobyłem samochód i jedziemy do portu.

Łucka wstała ze stołka, wyprostowała się. Tak spokojnej matka dawno jej nie widziała.

- Ja nie jadę.

- Nie jedzie pani?

- Nie. Zostaję tutaj.

- Niezależnie od tego, co oni z panią robią?

- Niech robią, co zechcą.

. - Głupia babo! - wrzasnął. - Nie ma teraz czasu, żeby ci tłumaczyć, jak będzie wyglądał ten odwet. Zbieraj się! I Jasiek pod spódnicę! Ciężarne kobiety razem z mężami odpływają wprost do Reichu. Nie na Oksywie, nie na Hel, ale do Reichu!

- Ja... - Łuckę ogarnęło nie tylko przerażenie, ale i kobiece zażenowanie - ja... mam już prawie trzydzieści dziewięć lat... kto uwierzy...?

- Nikt się teraz nikomu nie przygląda. Każdy wygląda na własnego trupa. No, prędzej! Dostałem samochód tylko na pół godziny. Rosyjskie czołgi stoją już pod wiaduktem. Jeszcze ich tam trzymamy, ale to długo nie potrwa.

- Niech pan idzie! - krzyknęła Łucka. - Nigdzie z panem nie pojedą! Niech mnie tu zabijają! Niech mnie rozszarpia!

- Głupia babo! - krzyknął jeszcze raz. Skierował broń do Konkowej. - Prędzej! Jasiek i palto! Nie mamy chwili do stracenia!

Konkowa nie ruszyła się z miejsca, więc popchnął ją przed sobą do pokoju, dopilnował, żeby wzięła poduszkę z kanapy, palto Łucki z wieszaka. Zastał ją już przy drzwiach, chciała uciekać, ale zdążył ją zatrzymać. Pod bronią kazał Konkowej wcisnąć jej poduszkę pod spódnicę.

- I niech tylko nie przyjdzie pani przypadkiem do głowy zdradzić się z tego, że nie jestem pani mężem. Ja się z panią naprawdę ożenię - dodał łagodniej. - Wydostańmy się stąd tylko, a przysięgam, że się z panią ożenię.

- Niech pana diabli wezmą! - szamotała się z nim Łucka. - Niech pana piekło pochłonie!

Pchnął ją przed sobą, Konkowa - która rozkrzyżowała się w drzwiach - odtrącił na przeciwległą ścianę.

- Kochanie! - powiedział, wciąż z wyciągniętą bronią w rękę. - Mamy naprawdę bardzo mało czasu.

Do swego mieszkania nawet nie wstąpił, choć milczący Karol czekał na niego w progu. Minał go, jakby go nie widział - wszyscy Niemcy mijali tak teraz Polaków -

a Karol, nie mogąc w niczym pomóc płaczącym kobietom, uznał za słuszne nie narzucać się jego oczom. Rankiem dwudziestego siódmego marca, po nocy, którą obłąkana prawie Konkowa spędziła na schodach swego ogromnego, a pustego teraz domu, dotrzymujący jej towarzysztwa Karol postanowił wyjrzeć na ulicę. Najpierw - przez dwa podwórza - na ulicę Bema. Strzały sypały się jeszcze gęsto, ale w osłonie wysokich kamienic biegł chodnikiem jakiś młody człowiek i krzyczał na całe gardło, że ulica Piłsudskiego polskie czołgi doszły już do morza! Że na początku Świętojańskiej rosyjscy saperzy rozminowują jezdnię!

Karolowi dech w piersiach zaparło. Cofnął się na swoje podwórze, stanął za betonową ścianą schronu. Łzy ciekły mu po twarzy strumieniem, a nie chciał pokazywać się tak Konkowej, jeszcze by pomyślała, że stało się co złego. Tyle lat! - myślał. - Tyle lat wszelkich klęsk, strachów, upokorzeń - i przyszła ta chwila! Naprawdę przyszła ta chwila!

Wytarł twarz wierzchem dłoni i ruszył biegiem do Konkowej, żeby i jej powiedzieć... Nim jednak otworzył drzwi do sieni od strony podwórza, zobaczył przez ich szybę, jak sześciu żołnierzy niemieckich wnosi do domu panzerfausty i ciężki karabin maszynowy. Cofnął się czym prędzej. Usłyszał najpierw płacz i krzyk Konkowej, a później serię za serią, bijącą z okien kamienicy. Załoga twierdzy Gotenhafen była posłuszna rozkazowi flihrera: walczone tu prawie o każdy dom, o każdą ulicę. Walczono tym zajadłej, że żołnierze nie mieli wyboru - nim wycofali się do śródmieścia, widzieli swoich kolegów, powieszonych przez komando generała Wenglera na drzewach wzdłuż starej pięknej alei, wiodącej do Orłowa.

Dopiero w południe odgłosy walki wyciszyły się w kamienicy i na ulicy przed nią, a Karol odważył się opuścić swoją kryjówkę. Pojedyncze strzały dochodziły jeszcze z północnego odcinka Świętojańskiej, ze skweru Kościuszki, z placu Kaszubskiego, od dworca i portu - i z morza waliły wciąż jeszcze okręty, ale przed domem panowała już cisza, którą wkrótce przerwały głosy ludzkie. Karol ostrożnie wyjrzał na ulicę. Z bram, osłoniętych workami z piaskiem, wydostawali się już ludzie. Gestykulowali zżywieniem, pokazywali sobie czołgi, stojące u wylotów ulicy, i piechotę, biegnącą skokami od domu do domu, przestrzelającą okna, które mogły być jeszcze gniazdami niemieckiego oporu.

Karol spojrział na front kamienicy Grabieniów. Tynk nosił w wielu miejscach ślady pocisków, w oknach nie było ani jednej całej szyby, a na pierwszym piętrze... na pierwszym piętrze tkwiła, wsparta o parapet, umilkła już lufa cekaemu. Pobiegł tam czym prędzej, ale pod drzwiami stanął i zawrócił. Na ulicy zatrzymał dwóch radzieckich żołnierzy. Nie wiedział, jak im wytłumaczyć, o co chodzi. - Germańce! - krzyknął i wskazał im okna na pierwszym piętrze.

Żołnierze twarze mieli szare, oczy zapadnięte, były w nich tysiące kilometrów, które przeszli, wszystkie bitwy i wszystkie straty, śmierć kolegów i dowódców, strach przed własną - teraz jednak rozjaśniał je blask triumfu, radosna niecierp-

liwość, pchająca wciąż naprzód i naprzód, ku ostatecznemu zwycięstwu, po którym umilkną wszystkie strzały, a żołnierzom należeć się będzie szczęśliwy odpoczynek.

Poklepalili Karola po plecach, runęli w bramę, Karol za nimi.

Na persie pana Słubickiego, zlanym krwią, leżało dwóch zabitych Niemców. Czterech stało pod ścianą z podniesionymi rękami. Karol wpadł do kuchni po klucze od piwnicy, złapał jakąś pustą butelkę po winie, pokazał ją Rosjanom, tłumaczył coś po polsku, ale chyba niepotrzebnie, bo od razu wszystko zrozumieli. Z pepeszami na kolanach usiedli na fotelach, jeden z nich podniósł obydwie dłonie, rozcapierzył palce. Karol zrozumiał - mogli tu zabawić najwyżej dziesięć minut. Dziesięć minut przed zwycięstwem.

Ruszył do piwnicy, ledwie dotykając piętami schodów, starał się opanować drżenie rąk, gdy otwierał kłódkę. Zza butelek, bardzo już przerzedzonych na półkach, wyjął jedną, prawdziwie omszałą i posrebrzoną kurzem. Strzegł jej przed Lohmannem przez pięć lat, pamiętając, że pan Słubicki chował ją na wyjątkowe święto. Teraz nadeszło! Ci, co mieli ją wypić, może nie znali się na gatunkach i rocznikach win, ale oni właśnie byli jej godni i Karol, śmiejąc się i ocierając łzy radości, dla nich niósł na górę swój skarb.

Odkorkował butelkę w kuchni, pochylił się nad jej szyjką, na chwilę przymknął oczy. Porto, rocznik tysiąc dziewięćset osiemnasty, miało aromat niepowtarzalny. Karol wiedział, że już po raz drugi w życiu nie będzie pił takiego wina. I z takiej okazji! Postawił na tacy trzy kryształowe kieliszki, chleb i potężny kawał szynki, którą Lohmann przyniósł ze składów Kriegsmarine, a której już zjeść nie zdążył. Gdy wkroczył z tym do pokoju, Rosjanie wydali radosny okrzyk. Nalał wina, trącił się z nimi. Jeńcy spod ściany patrzyli ponuro, byli bardzo młodzi, drżały im usta wstrzymywanym płaczem. Karol odwrócił się, żeby nie widzieć ich twarzy. Litość? - myślał. - Już litość? Kroił szynkę i wraz z chlebem wpychał ją w ręce Rosjan. Jedli, aż im szczęki trzeszczały, ale starszy z nich naglił do pośpiechu. Karol, potrząsając kluczami od piwnicy, pokazywał im wciąż butelkę. Na kartce, którą znalazł na biurku Lohmanna, wypisał im nazwę ulicy i numer domu. Zrozumieli, skinęli głowami, że przyjdą, a teraz kazali jeńcom zabrać zabitych i złożyć ich na podwórzu. Karol zastanowił się, czy nie powiedzieć im o trupie gestapowca na trzecim piętrze, ale zrezygnował z tego. Oni naprawdę nie mieli czasu, a trup gestapowca - pośród tego, co widzieli, był nic nie znaczącym głupstwem, które nie powinno zatrzymywać ich w drodze.

Gdy odeszli, prowadząc przed sobą jeńców, Karol rozejrzał się za Konkową. Nie znalazł jej ani w mieszkaniu na drugim piętrze, ani w garsonierze na piątym. Dopiero kiedy zaczął nawoływać, ukazała się w ostrożnie odemkniętych drzwiach pralni.

- Już po wszystkim? - zapytała.

- Po wszystkim - odrzekł.

Opowiedział jej o tym, co przeżył przed chwilą. Konkowa rozjaśniała się i prostowała po każdym jego słowie.

- Można już wyrzeć na ulicę?

60'1

- Niech pani gospodyni jeszcze uważa. Okręty biją z morza. Ale ja idę. Nie mogę siedzieć w domu. Trzeba tu wszystko pozamykać. Każde mieszkanie. Może potem przyjdą jakieś komisje i trzeba będzie to zdać.

- Jak to... zdać? - zapytała Konkowa.

- Zwyczajnie. Przecież jacyś ludzie dostaną te mieszkania. Wrócą ci, co tu dawniej mieszkali.

- A kto mi zwróci moje dwadzieścia tysięcy? Dwadzieścia tysięcy złotych polskich, jak jeden grosz? I wszystkie szyby w oknach, i....

- Pani Konkowa - przerwał jej Karol łagodnie - tyle poniosła pani większych strat. Julitkę pani pochowała, córka i wnuk nie wiadomo gdzie, a o jakichś bzdetach pani myśli.

Konkowa podniosła obie ręce do oczu.

A co mi przyjdzie z tego, jak będę myślała o tamtym?

- Idę do pani zięcia - zawołał Karol, nie chcąc przedłużać tej rozmowy. - Może się razem w co włączymy.

- Jest wojsko - krzyknęła za nim Konkowa. - Cywiliów nie potrzeba.

- Ale! - odkrzyknął jej Karol już z sieni.

Na ulicy ruch się już zaczął, jakby Niemcy nie siedzieli jeszcze w porcie i na dworcu, i na Oksywiu. Karol, rozdając ukłony i witając się wylewnie z zupełnie nieznanymi ludźmi, posuwał się ku skwerowi Kościuszki. W miejscu, gdzie w wyrwie między domami widać było jaśniejący już pierwszą zielenią stok Kamiennej Góry, bliski i potężny wybuch rzucił go o ścianę. Gdy posunął się naprzód, zobaczył ogromne działo, podciągnięte już przez artylerię na plac Grunwaldzki i zwrócone lufami w stronę morza. Niemieckie okręty, zarzucające wciąż miasto swoimi salwami, otrzymały wreszcie godną odpowiedź. Karol powstałby trochę przy armatach, gdyby go artylerzyści nie przepędzili. Przy kościele i na skwerze Kościuszki stały polskie czołgi. Stąd już się ludzie przepędzić nie dali. Daremnie ktoś krzyczał, że jeszcze trwa walka, że trzeba się kryć. Nawet kobiety nie mogły wytrzymać w schronach i zabarykadowanych jeszcze bramach. Na blachach czołgów i na czapkach tankistów były polskie orły. Ktoś płakał. Pięć lat! Pięć lat? Nie można było już zwlekać ani chwili, żeby wreszcie to zobaczyć.

Ale na placu Kaszubskim, już prawie na początku ulicy Portowej, zaledwie o kilkadziesiąt metrów od starego domu Konków, zatrzymał Karola widok straszny - trzech zabitych czołgistów leżało na polskim czołgu. Czwarty krzyczał jak obłąkany, że doszli w to miejsce z tak daleka, że zawsze mieli szczęście, że nigdy ich nie opuszczało, w najgorszych chwilach i najgorszych miejscach... Z drugiego czołgu biegła już załoga, podniesiono zabitych, ułożono ich na pancerzu nad silnikiem. Karol odwrócił oczy, zdławił go nagły płacz, skurcz wykrzywił mu szczęki. Akurat tutaj musiało ich to szczęście opuścić! W taki piękny dzień, kiedy podarowali ludziom odbite przez siebie miasto! Wojna jeszcze się nie skończyła, jeszcze trwała, jeszcze zgarniała swoje ofiary, a droga do Berlina była daleka.

Wszedł do domu Konków bez radości, z którą tu się wybrał. Kobiety siedziały po kątach, spłoszone ostatnią

salwą z morza. Nie powiedział im, że widział jej skutek. Zapytał o Grabienia i poszedł do niego na strych, gdzie Weronika trzymała – także wyrrywającą się na miasto

– Wisię.

– Siedź! – krzyczała. -- Nie wiesz, co to jest wojsko dla dziewczyny?

– Ale ja muszę! – upierała się Wisia. – Muszę zobaczyć, czy one nie wróciły. Mietka i Irka. I chłopcy. Może weszli do miasta razem z wojskiem.

– Proszę pana – Weronika zwróciła się do Karola, choć widziała go po raz pierwszy. – Może pan jej wytłumaczy...

Karol zbliżył się do Grabienia, stojącego przy oknie.

Chciał mu powiedzieć o tym, co stało się z jego żoną i w jakim stanie jest dom, ale zamiast tego zapytał:

– Nie znajdzie się dla nas nic do roboty?

– Tak – odpowiedział Krzysztof, nie odwracając się od okna; płonęło za nim czerwone od bliskiego pożaru niebo, błyskały raz po raz wybuchy. – Jak się ściemni, idziemy do portu.

Karol nie zapytał po co i przez cały czas, kiedy tam szli, kryjąc się w rozwalonych magazynach, między wagonami na .torach, przeskakując wyrwy w betonie – nie postawił tego .pytania. Przeszli tak w milczeniu przez molo Rybackie, zniszczonym nabrzeżem dostali się na molo Węglowe, doszli do nabrzeża Szwedzkiego. Wszędzie zastępowały im drogę wystające z betonu kawałki żelaza, spiętrzone, wyniesione w górę wybuchem kamienne bryły, zwalone dźwigi, zerwane taśmociągi. Obraz zniszczenia, wyobrażony raczej i przeczu-ty, niż zobaczony dokładnie pośród nocy, dławiał gardło rozdzierającym żalem, piekącymi łzami przesłaniał oczy. To już nie był port – najlepszy, najmłodszy, najnowocześniejszy na Bałtyku. To były kilometry spiętrzonego cementu, powyginanego żelastwa, kilometry groźnych przeszkód, zalegających dna basenów.

Zatrzymali się w momencie, gdy doszły do ich uszu podniesione głosy niemieckie. Stali na skraju nabrzeża Śląskiego, do tego miejsca –od basenu Żeglarskiego poprzez wszystkie nabrzeża, które minęli – nie było już w porcie Niemców. Ewakuowali się jeszcze z mola pasażerskiego; na jaśniejącym raz po raz od wybuchów niebie widać było ciemne sylwetki statków, które po krótkim postoju przy nabrzeżu wtapiały się w ciemność. Ich miejsca zajmowały inne, mniejsze i większe, wszystkie witane obłędnym wyciem tłumu, który rzucał się na trapy i burty.

Dopóki to trwało, dopóki to słyszeli, posuwali się tylko nieznacznie naprzód, na skraj nabrzeża Duńskiego, i tutaj Krzysztof dokonał zapierającego dech odkrycia: nie było zniszczone. Beton pod nogami był zwarty i równy, dwa przenośniki taśmowe do węgla, których instalowanie dokładnie pamiętał, wydawały się zdadne do użytku. Nie zdążyli! – pomyślał z bijącym sercem. Nie zdążyli. Do ostatniej chwili musieli zaopatrywać stąd w paliwo ewakuacyjne statki i okręty, i nie mogli, nie zdążyli wysadzić nabrzeża w powietrze!

Krótką radość zmaciło mu jednak podejrzenie, którego nie mógł od siebie oddalić.

- Panie Karolu •- powiedział cicho- pan przecież służył w wojsku...
- Tak. Ale jeszcze w austriackim i... jako ordynans pana Słubickiego.
- Ale potrafi pan odnaleźć kable i ładunki wybuchowe?
- Teraz, po ciemku?
- Od czasu do czasu jest jasno. I będzie jeszcze jaśniej, kiedy skończy się ewakuacja.
- Czy... nie powinniśmy...? Tu może być bardzo niebezpiecznie. Jak nasi im teraz przygrzeją...
- Nasi wiedzą, że do tego miejsca awanportu Niemców już nie ma. Oczyścili przecież miasto do skweru Kościuszki, do placu Kaszubskiego, Portowej i dalej. Panie Karolu, musimy przebadać nabrzeże, metr po metrze. Podejrzewam, że chcą wysadzić je z Oksywia, kiedy skończy się ewakuacja. Dwa podnośniki do węgla i całe nabrzeże, czy pan wie, co to znaczy?

Karol starał się to sobie wyobrazić. Pan Słubicki nieraz mówił, że tylko uzbrojony port jest portem i że węgla szuflami na statki ładować się nie da. Jak Krzysztof na kolanach, metr po metrze zaczął badać nabrzeże. To szaleństwo! myślał. Nigdy tego nie znajdą. Tego przekłętego ładunku i kabla. Grabieniowi, który ten port budował, mogło coś takiego przyjść do głowy, ale zdrowy rozsądek, który w końcu ktoś tu musiał mieć, nakazywał brać nogi za pas i na pięć minut przed dwunastą nie szukać guza. Tak myślał, ale nie podnosił się z klęczek, nie wycofywał się z nabrzeża. Gdy kolejne wybuchy na krótki moment rozjaśniały ciemność, widzieli swoje zrozpaczone, naznaczone już zwątpieniem twarze. Nie mogli znaleźć, wciąż nie mogli znaleźć żadnych min, żadnych ładunków wybuchowych ani kabli. Bolały ich już kolana, zgięte grzbiety, palce od szorstkiego cementu, któremu usiłowali wydrzeć ukrytą w nim tajemnicę. Kiedy doczołgali się tak do końca nabrzeża Duńskiego, do miejsca, w którym stykało się ono z nabrzeżem Holenderskim, zastanowiła ich nagła cisza przy moło pasażerskim. Podnieśli się i zobaczyli jaśniejącą odsłoniętym obszarem nieba pustkę nad stojącym jeszcze budynkiem Dworca Morskiego, przed nim i za nim, w miejscach, gdzie przedtem stały ewakuacyjne jednostki.

Koniec? pomyślał Krzysztof i w tej samej chwili dostrzegł w oddali sunący środkiem portowego kanału ku głównemu wejściu kształt czarny i ogromny potężnego okrętu. Gdy kolejna eksplozja rozjaśniła ciemność, zobaczył wyraźnie wyniosły kształt komina i palce dział, wparte w niebo. Domyślił się, że to pancernik Gneisenau. Stał w porcie od lata czterdziestego drugiego roku, przyholowany tu z Kilonii po zbombardowaniu go przez Anglików. Miał tu przejść remont i przebrojenie, a część jego dział, przeniesionych na nabrzeże, służyła obronie przeciwlotniczej portu. Wiedział o tym od robotników polskich, pracujących w stoczni, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego pancernik - upiorna, kolczasta góra żelaza, sunąca środkiem kanału - podąża teraz ku wejściu do portu? Dokąd go wyprowadzano? W jaki sposób miał być uratowany?

Rozległy się jakieś podniecone krzyki niemieckie, gwizdki i nawoływania, nawet jeden pojedynczy strzał. Góra żelaza

stanęła. Rozpoczęły się jakieś krótkie, gwałtowne pertraktacje między okrętem a nabrzeżem, a potem Krzysztof i Karol usłyszeli terkot motorówek, oddalających się w stronę Oksywia. Kiedy umilkły, ciemny kształt okrętu zaczął znów posuwać się w stronę wejścia do portu. Utknął w nim i nie przeszedł między główkami, nie minął ich, unieruchomiony odejściem holowników, które go tu podciągnęły. Wytężając słuch, usłyszeli, że odeszły w stronę Oksywia.

Krzysztof dopiero po długiej chwili zrozumiał, co się stało, czego tu, na jego oczach, w jego bezsilnej obecności, dokonano. Gneisenau tonął w wejściu do portu, osiadał na dnie! Niszczenie nabrzeży i falochronów, palenie magazynów, wysadzanie w powietrze dźwigów i bram portowych uznano za niewystarczające. Zamknięto port wewnętrzny kadłubem okrętu o wyporności trzydziestu tysięcy ton! Gneisenau, właściwie wrak od prawie trzech lat, teraz po raz ostatni, ale jakże skutecznie walczył.

- Co się stało? - szepnął Karol. Nie obeznany z portem tak jak Grabień, nie mógł zorientować się w wydarzeniach tej nocy.

Krzysztof ścisnął go za ramię.

- Gneisenau tonie u wejścia do portu. Zablokowali cały port wewnętrzny. Nawet jeśli znajdą się tam odcinki nie zniszczonych nabrzeży... - Zrozumiał, jak ważne, jak potrzebne jest to, na którym stali, całe i nie tknięte jeszcze eksplozją nabrzeże awanportu! - Panie Karolu! Musimy uratować to nabrzeże!

- Może wcale go nie zaminowali?

- Myślę, że jednak tak. Nie wygląda na to, żeby chcieli zostawić nam taki prezent.

Znowu zaczęli się czołgać i metr po metrze sprawdzać nabrzeże. Karol kłął pod nosem, ogarniało go zwątpienie i tylko milcząca zaciętość Krzysztofa powstrzymywała go od rezygnacji i ucieczki.

Kiedy o świcie już, wyczerpani i znużeni, porażeni klęską, daremnością swoich usiłowań, usiedli na nabrzeżu, żeby chwilę odpocząć, zobaczyli w wystającej z wody ścianie wykute wgłębienie, umieszczone w niej główce torped i uchodzące od nich w wodę kable. Zaniemówili obaj i oczu nie mogli oderwać od miejsca, którego szukali całą noc, a które znajdowało się teraz o krok od nich.

W części wewnętrznej portu raz po raz odzywały się detonacje. Może to były wybuchy artyleryjskie, a może saperzy niemieccy, już z Oksywia, kończyli swoje dzieło zniszczenia polskiego portu.

- Prędej! - naglił Karol. Rozejrzał się gorączkowo po nabrzeżu, ale nie mógł znaleźć nic, co by mogło posłużyć do odcięcia kabli.

- Blacha! - zawołał Krzysztof. Dostrzegł opodal płat rzuconej aż tutaj wybuchem blachy. Podnieśli ją obydwaj z Karolem, ostrym jej brzegiem zaczęli piłować kable. Szło to opornie, pokrywali sobie ręce, ale w końcu odłączone od głowic druty ześliznęły się w morze, cofnęły się w nie jak cienkie ramiona ośmiornic.

Długo patrzyli w miejsce, w którym zniknęły. A potem podnieśli wzrok i spojrzeli na siebie. Nie byli jeszcze zdolni do uśmiechu, ale to spojrzenie go zastąpiło.

Kiedy zupełnie się rozwidniło, ruszyli dalej w głąb portu. Czołgi nacierającej armii doszły już do nabrzeży, skierowały lufy dział w stronę Oksywia. Jedno z nich ostrzelało wystający z wody wrak Gneisenau 'a. Krzysztof się nie mylił. Ogromne cielsko pancernika, ustawione w poprzek, tarasowało wejście do portu. Usuniemy je stamtąd - pomyślał z nagłym przypływem siły i nadziei, której nie zniweczył i nie osłabił rozciągający się przed oczyma widok ogromnego obszaru zniszczenia. - Podniesiemy z wody! Potniemy na kawałki!

- Sukinsyny! - powtarzał Karol. - Sukinsyny! - Potykał się o skręcone żelastwo, o wyrwane z nabrzeża bryły betonu. Zatrzymał się, gdy Krzysztof wskazał mu coś ręką. Na budynku Kapitanatu Portu powiewała biało-czerwona flaga! Zwrócili głowy w inną stronę i zobaczyli biało-czerwoną flagę na gmachu Urzędu Morskiego! Ranek wstawał piękny, ostry i wietrzny, ale pogodny. W czystym, prawie szklanym powietrzu wyraźnymi konturami rysowała się na tle niebieskiego nieba, rozpięta na nim wiatrem, czerwień i biel.

Dożyłem! - myślał Krzysztof. - Dożyłem tego dnia i nic już dla mnie nie będzie za trudne ani za ciężkie. Przez chwilę tylko, krótką jak ból, który targnął sercem, pomyślał o stratach, jakie poniósł, o tym, czego odbudować i ożywić nie był w stanie i co mógł ocalić tylko pamięcią...

- Idziemy tam - powiedział gorączkowo do Karola.

- Trzeba się śpieszyć!

- Gdzie! Dokąd? - zdumiał się Karol. Raz po raz na obszarze całego portu powtarzały się detonacje, czołgi i podciągnięta już artyleria prowadziły nieprzerwany ogień.

- Dokąd? Do Urzędu Morskiego. Trzeba zabezpieczyć... trzeba pilnować, żeby pożar nie wybuchł, żeby... Karol stanowczo ujął go pod rękę.

- Na szczęście wojsko tam pana nie dopuści. Dosyć nadstawialiśmy karku tej nocy. Trzeba iść pomieszkać, a przede wszystkim zobaczyć, czy mamy gdzie. Te sukinsyny wciąż grzeją z morza...

- Jak to... wojsko mnie nie dopuści? - upierał się Krzysztof.

- Ja pana nie dopuszczę, ot co! Trzeba mieć wreszcie rozum. Wyprą Niemców z Oksywia i dopiero zacznie pan urzędowanie. Rany boskie! - chwycił się za głowę. - Teraz my będziemy stać na brzegach ulic i patrzeć, jak prowadzi jeńców! Myślał pan o tym?

- Tak - powiedział Krzysztof. - Bardzo często.

Odwet historii był aż precyzyjny w swoim zadośćuczynieniu. Tymi samymi ulicami, którymi w trzydziestym dziewięćciu roku pędzono polskich jeńców z Oksywia i Helu, miały teraz przeciagać przeciśnięte do morza, rozbrojone, odarte z dystynkcji i mitu kolumny "niezwyciężonej" armii. Przez całe pięć lat marzył o tym, żeby to zobaczyć. Teraz, gdy mogło to nastąpić za dzień lub dwa - radość, której miał doznać, nie zachowała siły tego marzenia.

- Idziemy do domu - mruknął, ulegając perswazjom Karola.

- Na Świętojańską?

- Nie. Nie na Świętojańską - powiedział po długim milczeniu.

Karol umilkł. Dopiero teraz przypomniał sobie, że nie powiedział Grabieniowi, co stało się z jego żoną, i właśnie szedł się, żeby mu to powiedzieć jak najogólniej, gdy zobaczył ją przed domem Konków. Stała, nie mając siły czy odwagi tam wejść, płaszcz miała poplamiony, nogi w podartych pończochach, skrwawione i opuchnięte. Przyciskała do piersi poduszkę z kanapy i ten przedmiot w jej rękach przeraził Krzysztofa bardziej niż jej wygląd.

- O Boże! - zawołała, rzucając mu się na szyję.

- Jesteś! Żyjesz!

I jak wtedy, kiedy przyszedł po Tomaszka, nie odsunął jej od siebie. Nie mógł tego uczynić w ten dzień tak dobry, tak szczęśliwy.

- Wracaj do domu - powiedział cicho.

20 - Tak trzymać t. III

- A ty? - krzyknęła.

- Ja... Ja będę miał teraz dużo pracy. Port prawie nie istnieje. I trzeba będzie dużo czasu, żeby pogoiły się wszystkie rany. Te w ludziach także.

- Krzysztof! - zapłakała. - Ja przecież dla ciebie...

Przez ciebie! Wiedziałeś chyba o tym od początku. Wszystko byłabym zdolna zrobić, więc i to także! I tak czekałam! Tak czekałam...

Weszła za nim do domu; wciąż trzymając poduszkę przy piersi, zastępowała mu drogę, gdziekolwiek się zwrócił.

- Wybacz mi - powiedział. - Mówiłem ci, że trzeba będzie dużo czasu...

Karol zaczął czym prędzej opowiadać o nocy w porcie, o wszystkim, czego dokonali i co widzieli. Sewerynowa rzuciła się do kuchni w słusznym przewidywaniu, że muszą być głodni, Wisia chciała wiedzieć, czy można już wyjść na ulicę, a Marynka - czy jest szansa przedostania się już teraz do Paryża. W tym gwarze, w tej radości, zmaconej tylko tragicznym milczeniem Łucki, nie słyszeli otwarcia drzwi i zwrócili ku nim głowy dopiero wtedy, gdy Konkowa, wyprostowana i rozjaśniona, cała jakaś odświeżona, stała już w progu. A za nią dwóch żołnierzy. Dwóch polskich żołnierzy: szeregowiec i oficer.

Łucka pierwsza rozpoznała syna.

- Tomaszek! - krzyknęła wielkim głosem.

- Cyprek? - szepnął z niedowierzaniem Krzysztof.

- Ja! - zaśmiał się porucznik. Zmężniał i chyba wyrósł przez te wszystkie lata wojny. W niczym nie przypominał młodziutkiego podchorążego, który z czołem opartym o drzewo opłakiwał śmierć koni z taboru. Uścisnął brata. Krzysztof powiedział tylko jedno słowo:

- Żyjemy!

A potem było całowanie i ściskanie Tomaszka, który niespodziewanie rozplakał się - z radości i przypomnienia wszystkich swoich win równocześnie, z żalu za Julitką wreszcie, o której śmierci powiedziała mu już babka na Świętojańskiej, dokąd najpierw zaszedł.

- Ale skąd wy tutaj? Z Rzeszowszczyzny? - zapytał wreszcie Krzysztof.

- Kiedy tylko ogłoszono pobór do naszej armii, wyszliś-

my z lasu - powiedział Cyprek. Spośród kobiet, ściśniętych wokół stołu, od razu wyodrębnił Wisię i nie odrywał od jej twarzy rozblęśniętych oczu. - Już zeszłego roku pod koniec lipca i na początku sierpnia razem z armią radziecką szturmowaliśmy Rzeszów. I tak nam szczęście dopisało!

Tomaszek przez cały czas marzył, żeby być w oddziale, który wejdzie do Gdyni... - Cyprek urwał i zapytał znienacka:

- Ja już chyba panią gdzieś widziałem...?

- Mnie? - zaczerwieniła się Wisia.

- Tak. Panią.

Wisia spuściła długie rzęsy.

- Pan mnie odprowadzał do domu ze Świętojańskiej na Kamienną Górę. W sierpniu trzydziestego dziewiątego roku. Przyszłam wtedy razem z Julitką...

Cyprek uderzył się dłonią w czoło.

- Ależ tak! Pamiętam. - I pochylił się ku dziewczynie:

- Już wtedy miałem przemożną ochotę panią pocałować.

- Co za stylistę z pana porucznika! - zaśmiała się Marynka.

- Już wtedy! - powtórzył Cyprek. - Naprawdę.

- Wtedy nie miałam nawet czternastu lat i bardzo by mnie to przestraszyło. Ale dzisiaj... - Wisia nadstawiła swój zaróżowiony policzek - dzisiaj niech pan całuje. Na pamiątkę tego dnia.

- I na zadatek wszystkich następnych! - Cyprek zerwał się, objął dziewczynę, pocałował.

- Ostro pan porucznik naciera - odezwał się Karol.

- Jak w wojsku. A jak można inaczej, skoro dostaliśmy z Tomaszkiem tylko godzinę na zobaczenie się z rodziną? Poszliśmy najpierw na Świętojańską, to już nam zajęło trochę czasu...

- Zebrałam się w mgnieniu oka - odezwała się Konkowska. Nie zdejmowała z Tomaszka czułego spojrzenia. Ta droga przez Świętojańską u boku wnuka w polskim mundurze zapłaciła jej za wszystkie doznane ostatnio upokorzenia, strachy i zgryzoty. Nawet dywany i inne rzeczy, które zamierzała pościągać z opustoszałych mieszkań, żeby choć w części pokryć stratę owych dwudziestu tysięcy złotych polskich, przestały ją nagle obchodzić. Porzuciła je na schodach i ruszyła do starego domu Konków, gdzie błąkały się może wśród ścian duchy Augustyna i Bernarda, przywołane na tę radosną chwilę z odległej przeszłości.

Gdy porucznik Grabień i szeregowiec Grabień musieli już wracać do swego oddziału, wszyscy odprowadzili ich za Próg.

- A wracajcie tu zaraz po wojnie! - powiedział Krzysztof.

Cyprek wciąż patrzył na Wisię, aż Weronika nawet zarumieniła się od tego spojrzenia.

- Żeby wiedział, że mam do kogo, to bym się śpieszył.

- Więc niech pan myśli, że ma pan do kogo - powiedziała cicho Wisia.

Krzysztof objął ich obojgo i trzymał przez chwilę przy sobie. Pomyślał, że szczęście nie jest całkiem stracone, nawet jeśli samemu się go nie doznało.

Żeby pokryć wzruszenie, zaczął mówić z bezładną radością.

- Wracajcie prędko! Jest tyle do zrobienia. Port trzeba odbudować. Obsadzić porty w Gdańsku i w Kołobrzegu.

Może nawet...

- W Szczecinie! - dokończył Cyprek.

Odchodzili z Tomaszkiem, powiewając czapkami. Na ulicach coraz więcej było ludzi. Strzały wciąż nie milkły, ale coraz dłuższe były między nimi przerwy i słyszało się w nich wysoko brzmiącą, czystą nutę ciszy. Wolność! - myślał Krzysztof. - Wolność!

XXXIII

Ten spacer, marzył Wołodia, ten spacer wzdłuż długiego brzegu, o którym pisał Krzysztof w swoim liście... Wyruszą nań podczas pierwszego urlopu i kilometr po kilometr, radość po radości, przemierzają piaszczyste plaże, obmywane przez morze wsie i miasta.

Ale teraz tkwił jeszcze tu, na swoim stanowisku. Na niebie nie było już nieprzyjacielskich samolotów, w morzu nieprzyjacielskich okrętów - nie licząc tych tam na atlantyckiej głębi, ku którym płynęli, a on stał tu, był tu jeszcze potrzebny, choć już od siedmiu miesięcy milczały wszystkie działa i skończył się trud milionów żołnierzy. Wrócili już do domów albo wracali do domów, albo mieli dopiero do domów powrócić, jak on. Wszystko było szczęśliwie skończone, zamknięte, podpisane w Poczdamie, a lufy Błyskawicy miały się wznieść tylko raz jeden, skierowane ku tym okrętom na atlantyckiej głębi, na którą szli północno-zachodnim kursem.

Był więc tu jeszcze potrzebny, a także chciał tu być - nawet gdyby mu kazano stąd odejść, nie mógłby nóg oderwać od pomostu, od tego kawałka stalowej blachy, na którym spędził tyle godzin, tyle dni i miesięcy, tyle lat... Przed którymś kartografstwem na Oksywiu w zapamiętanym na zawsze skromnym pokoju, którego ascezy nie mąciły, a raczej w dziwny sposób ją podkreślały, cudowne wonie żmudzińskich ziół, bredził coś tam przed księdzem kapelanem, odzegnując się od wszelkich sentymentów. Żelazo, powiedział wtedy o okręcie, żelazo, którym trzeba umieć kierować... I stał teraz na tym żelazie i wiedział, że tylko wtedy rozstanie się z nim bez bólu, kiedy okręt zawinie wreszcie do swego portu.

Ale to właśnie wciąż było za mgłą, za najgorszą z mgieł, na jakie natrafiała Błyskawica.

Nie chciał o tym myśleć, starał się o tym nie myśleć w ten piękny mimo późnej jesieni dzień, kiedy zbliżali się coraz bardziej ku niemieckim okrętom, czekającym na ostatnie salwy tej wojny - wystrzelone już podczas pokoju; miały ją zakończyć dobitniej niż podpisy złożone na dokumentach. Pragnął przed tą chwilą zachować czyste myśli żołnierza, który w godny sposób rozstaje się z bronią, pragnął uchronić je przed wszystkim, co mogłoby je skazić lub zmącić. Stał tu, na swoim stanowisku bojowym, i wiedziałby już, co odpowiedzieć księdzu kapelanowi, gdyby teraz prowadzili tę rozmowę. Ale ksiądz pułkownik nie żył od czterech lat i nie można mu było już nic powiedzieć, nawet nad jego grobem nie można było stanąć, nie miał grobu ksiądz kapelan oksywskich marynarzy, pochowany gdzieś tam na ogromnej przestrzeni obozu Dachau, dokąd go zabrano - duchowne-

go z bronią w ręku - zaraz po wkroczeniu Niemców do Babich Dołów.

Dowiedział się o tym z listu (te listy, te pierwsze listy pisane po wojnie, gdyby ludzie zechcieli je zachować!), listu Krzysztofa Grabienia, do którego napisał zaraz po zawieszeniu broni, w pierwszy dzień pokoju, kiedy nie umilkły jeszcze wiwaty, a listonosze całego świata przygotowywali się już do swoich wielkich zadań.

Wysłał tego dnia trzy listy. W odpowiedzi otrzymał tylko ten jeden. Do ojca napisał na stary adres w Warszawie, ale najwidoczniej nie istniały już stare adresy w Warszawie. Postanowił szukać go przez Czerwony Krzyż, wiedział, że po powstaniu mieszkańcy Warszawy zostali wywiezieni do obozów, choć nie wszyscy byli żołnierzami. A może wszyscy byli żołnierzami. A może wszyscy byli żołnierzami, może był żołnierzem także i stary pan Jazowiecki?

Od Marynki Blok również nie otrzymał odpowiedzi.

Napisał do niej, bo uważał, że - niezależnie od sytuacji między nimi - należała jej się wiadomość od niego, że żyje. A poza tym... chciał napisać do jakiejś dziewczyny... bardzo chciał napisać do jakiejś dziewczyny i znowu miał tylko ją jedną, a raczej wyobrażał sobie, że ją jeszcze ma. List Krzysztofa rozwiął i tę nadzieję - niepoważną zresztą i w dawny, dziwnie odległy sposób lekkomyślną - a po nim przyszedł list od niej samej, list, który go jednak rozbawił, a to już było bardzo wiele.

Pisała z Paryża:

"Mój Kochany! Oplakałam Cię przez te wszystkie lata, kiedy nie było od Ciebie żadnej wiadomości. Uwierzyłam, że żadna to najgorsza, ale jednak, gdy tylko się tu znalazłam, choć już bez nadziei, że będziemy razem, natychmiast rozpoczęłam poszukiwania i oto dziś listonosz przyniósł pismo z Kierownictwa Marynarki Wojennej w Londynie z cudowną wieścią, że żyjesz i że pływasz na Błyskawicy, która rozwozi teraz repatriantów do Danii, Niemiec i Norwegii... Och, jakże się cieszę, jak się cieszę, że udało Ci się przeżyć ten wojenny koszmar. A równocześnie... jak żal, że... nie czekałam na Ciebie. Na kopercie widnieje moje nowe nazwisko. Mam ochotę walić głową o mur, ale na nic się to nie zda. Nie wiem, czy to możliwe, ale proszę Cię, żebyś mnie zrozumiał. I my w Gdyni przeżyliśmy swój koszmar i w tych strasznych dniach każdy uśmiech losu i każdy człowiek, który nim się stawał... możesz to sobie chyba wyobrazić, sam na pewno także doznawałeś tych pocieszeń i wiesz, co znaczyły. Jacques jest dobry, miły i czuły, zasługuje na to, żeby go kochać, a cukiernię, którą jego rodzice mają przy rue Buonaparte, ja uczynię najlepszą cukiernią w Paryżu. Przyjedziesz tu kiedyś i zapytasz taksówkarza, gdzie są te słynne polskie ciastka, a on zawiezie cię prosto tutaj i zobaczę, jak otwierasz drzwi, jak podchodzisz do kontuaru... Ale to tylko żarty, a może i... marzenia?"

Nie doczytał listu do końca, postanowił, że kiedyś to zrobi, a tymczasem wsadził go do kieszeni na piersi i nosił go tam razem z listem od Krzysztofa i tym, którego się nie spodziewał, a który napisał do niego Andriej Lichonow zaraz po powrocie do Murmańska...

O tym także nie chciał myśleć. Nie teraz... nie przed tą

piękną chwilą, która zbliżała się z każdą milą, pokonywaną przez ósmą flotyllę niszczycieli, płynącą wciąż północno-zachodnim kursem ku atlantyckiej głębi, przemierzanej tyle razy podczas wojny w bezustannym zagrożeniu. Teraz destroyery Jak nazywali je Polacy, szły w pięknym szyku, na niebie naprawdę nie było ani jednego nieprzyjacielskiego samolotu, a na morzu ani jednego nieprzyjacielskiego okrętu, długo nie mogli się do tego przyzwyczaić, prawie przez sześć lat każde wyjście w morze oznaczało niebezpieczeństwo.

Pierwsze powojenne rejsy z repatriantami odbywały się w atmosferze podnieconego niedowierzania, wszyscy - załoga okrętu i cywile - spoglądali wciąż w niebo i w morze, a krótkie spojrzenia, które ze sobą wymieniali, miały wyraz radosnego zdumienia, dokonywanego wciąż na nowo odkrycia, jakim dzielono się wzajemnie w uroczystej prawie ciszy.

Nie lubił tych rejsów, choć były wielkim urozmaicheniem po długich wojennych latach, dzielonych tylko między akcje bojowe i postoje w Harwich, Portsmouth, Coves, Plymouth, Greenock, Glasgow, czy Scapa Flow. Teraz mogli zobaczyć, jak wyglądają inne porty, ale oni byli ciekawi tylko tego jednego do którego wciąż nie mogli zawinąć i niszczyło to tamte przyjemności, ofiarowywane im jakby zamiast, choć żołnierzowi, który chce wracać do kraju, niczego "zamiast" ofiarować nie można. Myśleli więc tylko, jak tam jest, w tym porcie, do którego wciąż nie zawijali, i że może są tam potrzebni bardziej niż tu - zawsze w jakimś miejscu jest się potrzebnym bardziej niż w innym, i kiedy człowiek zaczyna to rozumieć, nie można go już zająć żadną inną myślą.

Rejsy do Norwegii rozjątrzały ich najbardziej. Ten mały kraj, tak niepodobny do Polski, w jakiś dziwny sposób ją jednak przypominał. Nie poddał się i ani na chwilę nie przestał walczyć, widziało się to w oczach ludzi, którzy natychmiast przystąpili do odbudowy zniszczonych miast, gdy tylko armia niemiecka - po długich pertraktacjach, ciągnących się przez całe lato - wycofała się wreszcie z Norwegii.

Kiedy pierwszy raz Błyskawica zawinęła do Trondheim, przecisnął się przez tłum płaczących ze wzruszenia Norwegów - tych, którzy wrócili do kraju, i tych, którzy przyszli ich witać - żeby jak najszybciej rozpyłać się w porcie o Bodę. Słyszał, że zostało zniszczone przez Niemców w czterdziestym roku, i - niestety - uzyskał potwierdzenie tej informacji. Błyskawica miała stać w Trondheim przez trzy dni. Dowiedziawszy się, jakie są połączenia pociągów, zapukał do kabiny dowódcy i otrzymał bez trudu przepustkę. Nie rozwiślał przypuszczeń, że chodzi o kobietę - któż by mu uwierzył gdyby powiedział, że przede wszystkim chce zobaczyć kościstego dragala, w którego piżamię spędził trzy noce przed wyruszeniem na wojnę, przed tym swoim prawdziwie dobrowolnym wyruszeniem na wojnę z małego norweskiego miasteczka, przytulonego do wysokiej ściany fiordu Salt...

Przez cały czas podróży nie opuszczało go niecierpliwe podniecenie, ale kiedy wysiadł w Bodę i zobaczył, że nie ma

już Bodó takiego, jakie zapamiętał, ogarnęła go panika, strach ścisnął go za gardło i gdyby miał natychmiast pociąg powrotny, wsiadłby do niego, nie przekonawszy się, czy mały dom ze wzruszająco nieproporcjonalnie okazałym szyldem "Sportartiklen" stoi na swoim miejscu. Stał. To było jak piękny sen, który musi się przyśnić znużonemu wędrowcowi. Stał sam jeden w otoczeniu ruin, porośniętych już bujną zielenią, przez ich niskie przypadnięcie do ziemi wyższy jakiś i masywniejszy, chyba bielszy także, może pobielony dopiero co świeżym wapnem. Zbliżał się do niego powoli, a kiedy stanął przed wystawową szybą, czas cofnął się o kilka lat, w sklepie jakieś dziewczynki przymierzały kolorowe czapeczki, a za ladą stała niewysoka kobietka i grzała zziębnięte dłonie pod za szerokim na nią kubrakiem. I tak samo jak wtedy, kiedy był tu pierwszy raz, oczy jej znieruchomiały nagle, od razu wiedziała, kim jest - od dawna nie było obcych mężczyzn w Bodę, poza tymi, którzy tu przyszli w czterdziestym roku i odeszli dopiero po pięciu latach. Odebrała czapeczki niezdecydowanym dziewczynkom, najwidoczniej powiedziała im, żeby przyszły kiedy indziej, a on wszedł do sklepu dopiero wtedy, kiedy go opuściły, zapominając, że już nie musi się bać.

- Jakże się cieszę - zawołała, wybiegając ku niemu zza kontuaru - jakże się cieszę, że pan żyje!

Usiłował zażartować, choć usta mu drżały:

- Czy wyglądałem na to, że pozwolę się zabić?

- Och - powiedziała - wielu znałam takich, którzy na to nie wyglądali.

Nie widział wyrazu jej twarzy, całował jej ręce i wciąż usiłował żartować, żeby pokryć wzruszenie:

- Nie mogłem dać się zabić, musiałem tu wrócić i podziękować za te cudowne trzy dni i za wszystko, co zrobiliście dla nas.

Zamknęła sklep i szła przed nim w głąb mieszkania. Odwróciła głowę.

- A ten mały Polak? Nie przyjechał razem z panem?

Oswoił już się z tą myślą, już się jej poddał, a jednak potrzebna mu była długa chwila, zanim powiedział po raz pierwszy na głos:

- Nie żyje. ;.

- Nie żyje - powtórzyła z żalem Berit Bjernsen i nie odwróciła już po raz drugi głowy.

- Był ranny, obydwaj byliśmy ranni... Leżeliśmy w szpitalu w Murmańsku...

- W Murmańsku?

- Tak. Tam właśnie zginął. Podczas bombardowania szpitala, kiedy... - - urwał. Nie musiał mówić nic więcej, pani Bjernsen pytała tylko o Grzesia, pani Bjernsen знаła tylko Grzesia.

Weszła do pokoiku za sklepem, który nieraz jawił mu się we wspomnieniu jak prawdziwy raj, wskazała mu miejsce na kanapce, a on zapadł w jej miękkość, jakby i teraz miał za sobą przeprawę przez ośnieżone góry, przez oblodzone sklejdę, ku pierwszej stacji kolejowej po norweskiej stronie. Oparł się wygodnie, wyciągnął przed siebie nogi, a ona patrzyła na niego.

- Harriet - powiedziała cicho - Harriet się ucieszy...

Muszę do niej zadzwonić.

- Może jednak nie zaraz - poprosił. Przypomniała mu się dawna płochliwość pani Bjernsen i, tak jak przed kilku laty, zaczynała go bawić. Zapytał, zniżając głos: - Czy... mąż i tym razem w morzu?

Potrząsnęła głową.

- Nie.

- A o której wraca ze stoczni?

Odeszła od drzwi, przy których się zatrzymała w wyraźnej gotowości udania się bądź do kuchni po poczęstunek dla gościa, bądź też do sklepu, gdzie był telefon - usiadła po drugiej stronie stołu, złożyła na nim ręce.

- Nie słyszał pan o strajku robotników norweskich w czterdziestym pierwszym roku?

- Słyszałem... - odparł zaskoczony - choć bez żadnych szczegółów.

- Objął głównie robotników w Oslo, czterdzieści tysięcy, ale były usiłowania rozszerzenia go na całą Norwegię... Także i w Bodę robotnicy w stoczni wstrzymali się od pracy. Eryk to organizował...

Już wtedy powinien był zrozumieć, może nawet rozumiał i dlatego właśnie powiedział:

- Trudno by było sobie wyobrazić, że mógłby się przed tym powstrzymać.

Pani Bjernsen umilkła na chwilę. Dłonie trzymała na stole splecione ciasno, palce jej pobierały od ich zaciśnięcia.

- Nie można go było powstrzymać - powtórzyła cicho.

- Ale nikt nie wyobrażał sobie jeszcze wtedy, kim są Niemcy, i jakie będą represje z ich strony. W Oslo wystrzelali wszystkich przywódców strajku. Nawet rektora uniwersytetu i biskupa za poparcie dla strajkujących. A tutaj...

Dlaczego tu przyjechał? Dlaczego wyobrażał sobie, że mogło tu być jak dawniej - to samo miasto, ci sami ludzie? Czy nie lepiej by było nie wiedzieć i toczyć w myślach tę rozmowę, którą wciąż pragnąłby, którą do końca życia pragnąłby przeprowadzić z Erykiem Bjernsenem? Usiedliby naprzeciwko siebie, dwóch mężczyzn, którzy spotkali się znowu po długich latach walki...

- Ojca Harriet rozstrzelali także - powiedziała Berit Bjernsen.

Podniósł się, jakby chciał wyjść, jakby natychmiast chciał wyjść z domu, w którym wszystkich nie zastał, ale powstrzymała go myśl, że wiele było takich domów i że w żadnym z nich nie mógłby się zatrzymać na dłużej. Usiadł, a pani Bjernsen wzięła na siebie trud dalszego prowadzenia rozmowy.

- Wygraliśmy wojnę i trzeba odsuwać od siebie wszystko, co ma ci tę radość - powiedziała cicho.

- Trudno się na to zdobyć - odrzekł.

- Ale trzeba się starać.

Myślała o żałobie, o stratach poniesionych przez walczące narody, a on dopisywał do nich i wszystkie żale, i wszystkie rozczarowania, które nigdy nie powinny były spotkać żołnierzy po wygranej wojnie. A jednak spotkały ich i maciły tę radość, o której mówiła. Zaczął z nadmiernym pośpiechem opowiadać o swoich wojennych losach, o swoich okrętach, o tym głównie, na którym przybył do Trondheim

i na którym miał nadzieję...

Ona właśnie o to zapytała:

- Kiedy wraca pan do kraju?

Wykrztusił:

- Nie wiem. - I zaraz dodał, bo bał się, że mogła to zrozumieć niewłaściwie, tyle było teraz interpretacji tych polskich powikłań, w Bodę mogli jeszcze o nich nie wiedzieć, ale jemu wydawało się, że wiedzą o nich na całym świecie, dodał więc zaraz: - To zależy od pewnych okoliczności...

- Od jakich? - zapytała. Najwidoczniej naprawdę nie wiedziała nic o sprawie, którą uważał prawie za wstydliwą wobec prostego norweskiego szczęścia: wracali teraz do kraju wszyscy, jak najszybciej, bez rozterek i komplikacji, wracali pewni swoich zasług i nie bali się, że mogą stracić swoją wartość. -s Od jakich? - powtórzyła.

Nie, pomyślał, nigdy o tym nikomu nie powiem. Nikomu poza krajem, nikomu obcemu. Bolesne sprawy powinny być roztrząsane tylko wśród swoich, w czterech ścianach domu, który znowu miał i do którego wciąż nie wracał. I jeszcze o czymś nie mógł jej powiedzieć - przed pięciu laty, kiedy się tu zjawił, był bezdomnym żołnierzem, któremu Berit Bjernsen udzieliła pomocy, teraz siedział przed nią oficer w pięknym mundurze, przyglądała mu się z upodobaniem i po cóż było jej wiedzieć, że może już wkrótce nie będzie miał prawa go nosić, że Polska Marynarka Wojenna zostanie rozwiązana, Błyskawica przejdzie pod nadzór angielski, a ci, którzy by się jednak upierali przy powrocie do kraju, będą mogli tam wrócić nie na swoich okrętach, nie w charakterze żołnierzy, lecz repatriantów. Repatriantów.

Patrzyła na niego, wciąż oczekując odpowiedzi, zdobył się więc na lekki ton, jakby chodziło o zupełnie błahe sprawy, którymi nie chciał zaprzętać jej głowy:

- Trudno by było pani rozeznać się w tym wszystkim.

Myślał potem o tej rozmowie często, o rozmowie i całej bytności w Bodę, krótszej, niż przypuszczał. Przez całą wojnę, gdy po lewej lub prawej burcie przepływały w oddali brzegi Norwegii, widział dwa domy u podnóża ściany fiordu Salt, dotykał zgromadzonych w nich przedmiotów, których widok uwiódł go na krótko wyobrażoną trwałością rzeczy... Harriet Halvind, wezwana przez panią Bjernsen, zjawiła się w żałobie, nie mieszkała już na plebanii i to, co wydawało mu się nieomal wieczne, okazało się kruchsze niż szklane klosze wiedeńskich lamp, o których los nawet nie zapytał. Gdy odjeżdżał, zegnały go dwie kobiety w czarnych sukniach, obydwie mogły obudzić w nim jakąś nadzieję, ale nie obudziły i tak skończyła się ta osobista sprawa, którą miał do załatwienia po wojnie, jedna z niewielu, a może nawet naprawdę ostatnia.

Z Cynthia Breakburt widział się bowiem w dzień zawieszenia broni. Błyskawica stała znów na stoczni w Coves, a wszyscy sądzili, że jest to ostatni remont okrętu przed powrotem do kraju. Na raut, który z okazji zwycięstwa wydawał burmistrz miasta, zostali zaproszeni wszyscy oficerowie. Cynthia miała niebieską suknię, jak flagi obwieszające pokój, którymi ozdobiono miasto, i choć nie odstępował jej porucznik królewskiej marynarki, znalazła stosowny

moment, żeby się od niego uwolnić.

- Już pan zapomniał, że zostawił mnie pan sobie na później?

Patrzyła na niego ślicznie, w spojrzeniu i przechyleniu głowy była żartobliwa zalotność, pod którą jednak chciała coś ukryć, choć ukryć tego nie było można.

- Nie zapomniałem - powiedział.

- Czy chwila jest odpowiednia?

- Bardzo.

- Potrzebuje mnie pan teraz?

- Dziewczyno! - Miał już wtedy w kieszeni na piersi ten list od Lichonowa i potrzebne mu były pocieszenia całego świata. Pisała o nich Marynka w swoim liście, zanim przekonała się, że nie są lekarstwem na wszystko, że najwyżej mogą przynieść tylko krótką ulgę. - Dziewczyno!

- powtórzył.

- Bardzo bym chciała, żeby był pan szczęśliwy.

- Ale czy potrafi pani żyć w tym kraju, do którego zamierzam wrócić?

Panna Breakburt opuściła powieki, zamilkła na długą chwilę.

- Mógłby pan przecież wstąpić do angielskiej marynarki.

- Oczywiście - powiedział.

Czy wiedziała już wtedy o tym, czego nikt z nich

- walczących u boku Royal Navy - nawet nie podejrzewał, czy też była tylko niezbyt szczęśliwie zakochaną dziewczyną, która usiłowała zmienić los...

- Zdaje się, że żoną oficera angielskiej marynarki może pani zostać... bez tych zabiegów.

- Tak - zmieszana się - oświadczył mi się ktoś.

- Kochanie - zawołał (wciąż lubił bardzo to słowo po angielsku) - powinna go pani przyjąć. I to jak najprędzej.

Obserwował go potem przez cały wieczór, tego różowutkiego porucznika z angielskiego destroyera; był zapewne bohaterskim chłopcem i należał mu się pełny szacunek, a nie mściwe lekceważenie tylko z tego powodu, że tak łatwo można mu było sprzątnąć narzeczoną sprzed nosa. Ta nikczemna radość, które} pozwolił na krótko sobą zawładnąć, nie była jednak niczym innym, jak tylko nie uświadomioną w pełni rekompensatą za coś, czego nie umiałby jeszcze nazwać, co było może niesprawiedliwe, ale co jednak istniało, istniało na pewno. Bardzo potrzebowali jakichś ubocznych, dodatkowych ważności - oni z tych kilku polskich okrętów, które walczyły przy boku potężnej angielskiej floty. Potrzeba ta musiała być aż tak silna, że wyczulają nawet Admiralicja, która nie zwykła była zajmować się błahostkami - bo oto jeden z polskich niszczycieli płynął teraz ku atlantyckiej głębi, gdzie - jak stado kaczek - czekały rozbrojone i poddane w niewolę niemieckie okręty.

Dlaczego psuł sobie tę radość myślami, do których postanowił już nie wracać? Powinien był skupić się na tej jednej, rozświetlającej mrok wszystkich żalów, rozczarowań i lęków. Znalazł się znów na Błyskawicy, wyokrętowany z Garlanda w listopadzie czterdziestego czwartego roku, akurat wtedy, gdy formowano ósmą flotyllę, podporządko-

waną dowódcy Zachodniego Obszaru Morskiego. Było w tym jakieś spełnienie, zamknięcie czegoś, co otworzyło się przed sześciu laty największą rozpaczą - pozwoliła mu ją przeżyć tylko nadzieja, że jednak zobaczy, jak płoną i tona ich okręty. Stał teraz na swoim stanowisku i czekał. Był gotów. Nie liczyło się, nie powinno liczyć się nic więcej. W wyznaczony akwen dopłynęli około południa.

Na krótki czas podczas listopadowego dnia uniosły się mgły znad powierzchni morza i wtedy zobaczył, że jest to naprawdę stado kaczek, ciężkich, stalowych kaczek, unieruchomionych swoim przeznaczeniem. Szły rozkazy od dowódcy zespołu do poszczególnych okrętów, formowano się w szyku, najbardziej dogodnym do oddania salw, które - choć nie miało to już dawnego znaczenia - powinny być tak celne, jak podczas najbardziej dramatycznej bitwy. Miał o to zadbać na swoim okręcie, po to tu stał, po to uczył się strzelania i doskonalił tę umiejętność przez całą wojnę, po to wymagał od marynarzy posłuszeństwa, uwagi i precyzji. Grześ... to on powinien podawać dziś pociski do dział...

Andriej Lichonow napisał: "Pokazano mi w szpitalu Pana listy i myślę, że może najlepiej będzie, jeśli właśnie ja Panu na nie odpiszę - wiem, jak był Pan przywiązany do tego małego marynarza, z którym rozpoczął Pan kampanię wojenną. Podczas nalotu na Murmańsk Natasza Andriejewna Skobcewa pomagała mu zejść do schronu. Nie żyje i ona. A ten cios to już dla mnie. Pan wie... pan jeden wiedział... Ten wiersz, przepisany przez Pana, nosiłem wciąż przy sobie, wydawało mi się, że człowiek może przeciwstawić się przeznaczeniu..."

Ten cios to już dla mnie, napisał Andriej Lichonow...

- Komandorze Jazowiecki! - usłyszał nagle w słuchawce podniecony głos dowódcy. - Wołodia! Jak Boga Kocham, słyszysz mnie? Strzelamy pierwsi!

- Pierwsi? - powtórzył oszołomiony.

- Jest rozkaz dowódcy zespołu. Przyznaje nam ten honor. Bo pierwsi zaczynaliśmy walkę z Niemcami, więc jako pierwsi będziemy ich teraz topić!

Przez okręt przeszedł jakby wyczuwalny dreszcz. Nikt się nie ruszył, wszyscy od kilku godzin trwali na swoich stanowiskach - ten dreszcz, ten dźwięk, ledwie uchwytny, nie był więc dudnieniem blach, dzwonieniem żelaza, był raczej spotęgowaną ciszą, którą wszyscy przejęli w siebie w skupieniu. Dalmierzyści przy szklach, artylerzyści przy działach czekali na rozkaz rozpoczęcia "Operation Deadlight" - operacji martwego światła, która miała ostatecznie zakończyć niemiecką działalność na morzu.

- Pal! - zawołał. - Pal! Pal! - krzyczał, choć nie trzeba było powtarzać tego rozkazu. Namiar był dobry, pierwsza salwa doszła celu, władowała w ciemny, nieruchomy i niegroźny już kształt na wodzie, tak właśnie, jak zamierzał - okręt nie tylko tonął, ale i gorzał wysokim płomieniem palącej się ropy.

Spełniło się, zamknęło się pełnym zadośćuczynieniem marzenie długich lat. Stara kobieta, która opatrzyła mu rany na Helu, stara kobieta o rękach lekkich, podobnych do wyschniętych liści, wiedziała także, czym opatrzyć mu serce. I jeszcze czekał go ten spacer, ten spacer z Krzysztofem

wzdłuż długiego brzegu... Nie miał żadnych osobistych spraw - ale jedną przecież miał, tę największą, która mogła zastąpić wszystkie inne, zanim życie, jak potok, ułoży się w swoim nowym biegu.

Teraz inne okręty zespołu oddawały salwy, wstrzeliwały się w nieruchome, ciężkie stado stalowych kaczek. Wołodia wystawił twarz na wiatr, głęboko zaczerpnął w płuca powietrza.

Niech to wystarczy na długo, myślał, niech to wystarczy na zawsze. Niech świat tego nie zmarnuje, nie przeefrymarczy przy dyplomatycznych stołach, nie spotwarzy giełdowymi kalkulacjami, nie odmieni w znaczenia przeciwne i niespodziewane - niech pozostawi żołnierzom czystą radość, że walczyli o coś, co zawsze będzie miało jednakową wartość: o złoty pieniądz pokoju i ludzkiej godności.

POSŁOWIE

Bohaterowie powieści realistycznej, uwikłani w sprawdzalną prawdę miejsca i czasu, wydają się zwykle czytelnikowi prawdziwi, gdyż prawdziwe są przypisane im losy, po tysiącokrotnie przeżyte przez ludzi żywych w bezlitosnym maneużu historii. W "Tak trzymać" oprócz bohaterów powieściowych są jednak postacie w pełni autentyczne - i nie tylko te, których nazwisk już dziś uczą się z podręczników młodzi Polacy. Pragnęłam upamiętnić w mojej książce ludzi, o których podręczniki nie wspomną, a zapomnieć o nich się nie powinno, gdyż to, że istnieli, że żyli naprawdę, było jedynym światłem podczas długich mroków polskich walk i zwątpień.

Tak na przykład autentyczna jest postać Leona Kąkła (II tom), nauczyciela gdyńskiego, a we wrześniu oficera łącznikowego pułkownika Dąbka, postać "panny Halszki" - Haliny Sarneckiej, pracownicy Polskiej Rady Sportowej w Wolnym Mieście Gdańsku, postacie członków "Gryfa" i Tajnego Hufca Harcerzy... Przemieszani z fikcyjnymi bohaterami powieści użyczyli im swojej prawdy i siły wyrazu.

Do sfery fikcji nie należy również obecność w Gdyni Brunona Jasieńskiego (I tom). Doniósł mi o niej organizujący spotkanie poety z robotnikami, budującymi port w Gdyni, pan Longin Maliński z Braniewa, ówczesnie - w latach dwudziestych - mieszkający w Gdyni.

"Starzy gdynianie" przez cały czas mojej pracy nad książką służyli mi radą i pomocą, dzieląc się ze mną swoimi wspomnieniami, za co im - kończąc pracę - serdecznie dziękuję. Z tych wspomnień usiłowałam odtworzyć nieuchwytną aurę Gdyni, która - wzbogacona o nowe barwy i odcienie - trwa do dziś, trwać będzie zawsze.

KILKA UWAG O MIEŚCIE I LUDZIACH

"Moje pierwsze kontakty z Wybrzeżem miały miejsce w okresie międzywojennym. Od początku powstania Gdyni mieszkał w niej i pracował w porcie mój wujek. Pierwsze moje morze oglądałam z Kamiennej Góry podczas spędzanych u wuja wakacji... Tu uświadomiłam sobie, że to miasto będzie kiedyś tematem mojej twórczości" - wspomina Stanisława Fleszarowa-Muskat. "Po wojnie, której kilka lat spędziłam w Bawarii na przymusowych robotach, osiedliłam się w Gdyni".

Tu powstaje pierwsza książka Fleszarowej, poświęcona jeszcze nie Gdyni, lecz szerzej: tematowi budowy pierwszego polskiego portu nad Bałtykiem Sen o morskiej potędze (1948).^{*} Poetycka wizja dalekosiężnych morskich planów Władysława IV otrzymała

przedmowę twórcy "wielkiej Gdyni" Eugeniusza Kwiatkowskiego, ministra i wicepremiera w przedwrześniowej Polsce, a po wojnie - reanimatora polskiej polityki morskiej. Przedmowa ta podkreślała związek Snu... z najlepszymi tradycjami obywatelskiego myślenia o konieczności kształtowania "morskiej świadomości" Polaków. Niestety, dzieje tej niewielkiej książeczki wiernie odbijają skomplikowane losy naszego powojennego myślenia o morzu i Wybrzeżu. Kiedy w 1949 r. Eugeniusz Kwiatkowski przestał być delegatem rządu do spraw odbudowy Wybrzeża, również Sen..., choć nagrodzony literacką nagrodą miasta Gdyni (1949), obdarzony przychylnymi recenzjami i życzliwością czytelników, zniknął wkrótce z półek księgarskich. Był to zresztą okres lansowanej wtedy koncepcji o "przeinwestowaniu portów polskich". Czas wielkiej literackiej kariery miasta, o którym pisał przecież Stefan Żeromski (Wisła, Wiatr od morza, Międzyzmorze, Port w Gdyni), Wacław Sieroszewski, Władysław Orkan, Kornel Makuszyński, Melchior Wańkowicz i wielu, wielu innych, wydawał się już

* W nawiasie podano datę pierwszego wydania.

629

zakończony. W nielicznych powojennych tekstach Gdynia prezentowana była jako miasto zwyczajne, jedno z wielu. W swoich książkach Fleszarowa zachowała natomiast obraz Gdyni - miasta "dobrego", rozbudzającego nadzieje i zmuszającego przybywających tu ludzi do pokornego uczenia się "tej nowej życiowej sprawy, jaką stawało się morze..." Bohaterowie wielu jej powieści pojawiają się w Gdyni - często jest to tylko krótka wizyta, przejazd przez miasto, przez jego okolice, czasem tylko spojrzenie w kierunku miasta czy portu. Swoim bohaterom i czytelnikom Pisarka przekazuje własną fascynację tym niezwykłym miejscem. Wydaje się nam mówić - to szczególnie fragment ziemi, ci, którzy tutaj przybywają, wcześniej czy później spostrzegą, iż ta ziemia przemieni losy ich samych, ich rodzin, ba - całej społeczności. Tu, jak w biblijnej opowieści, usłyszeć można słowa o świętości tej ziemi... Z rozproszonego zaborami społeczeństwa Gdynia czyni sprawnie funkcjonujący, ożywiony jednym celem organizm. Jest na pierwszych stronach Tak trzymać! kapitalny skrót - oto "austro-węgiersko-niemiecko-kongresowym" składem pociągu jadą ku niewiadomemu Polacy, zachęceni artykułami gazet, książkami czy wreszcie - krążącymi tu i ówdzie wieściami, iż gdzieś na pomocy powstaje wielkie dzieło. Jednych ciągnie tam romantyka wielkiej przygody. innych - patriotyczny obowiązek, jeszcze innych - i tych jeszcze chyba najwięcej - potrzeba zdobycia pracy. U celu nikt na nich właściwie nie czeka, o pracę trudno, a jeżeli już się ją dostanie - to jest ona ciężka i źle opłacana. Tego wyśnionego miasta "domów ze szkła i stali" też jeszcze nie ma, są natomiast "Meksyki", "Pekiny" i "Warszawy", dzielnice biedy, z trudem zapewniające jakiś dach nad głową. Port dopiero powstaje, dopiero zdobywane są środki na jego budowę. Tuż obok, w Wolnym Mieście Gdańsku ("wolnym" - z nazwy - w rzeczywistości zaś wszelkimi sposobami przeciąganym na niemiecką stronę), głośno mówi się o tym, że Polacy porwali się na realizację czegoś, o czym nie mają najmniejszego pojęcia. Tę skomplikowaną sytuację odnajdziemy w trylogii Fleszarowej - nie pokazuje bowiem ona tylko jasnych stron ówczesnej gdyńskiej egzystencji. W opisywanych przez Pisarkę wydarzeniach ujawnia się złożony charakter ówczesnej rzeczywistości. Uderza jednak wiara w wyjątkowy charakter miejsca, przestrzeni, w której poruszają się bohaterowie.

Jest to z jednej strony przestrzeń realna, istniejąca w konkretnym mieście, noszącym swoją prawdziwą nazwę. Z drugiej zaś - jest to przestrzeń "znacząca", niosąca bohaterom i czytelnikom szczególnie ważne przesłanie. W powieściach Fleszarowej nie ma przestrzeni obojętnej. Istnieją obok siebie obszary dobre i złe lub dokładniej - dobre, zdolne do dawania życia, nadziei i złe - skalane (niekoniecznie z własnej winy), pozbawione daru nadziei, rodzące konflikt i zagrożenie. Taką mityczną, wręcz błogosławioną krainą jest przestrzeń Gdyni, przestrzenią skalaną przestrzeń Gdańska. W Przerwie na życie (1960) Magdalena Łuminiecka spostrzega nie tylko czysto zewnętrzne różnice między tymi miastami: Gdynia - "To było miasto! Sklepy, kawiarnie, dobrze ubrane kobiety na ulicy, mężczyźni znajdujący czas na oglądanie się za nimi - oto było coś, czego potrzebowała". Powojenny Gdańsk natomiast to dla niej wstrząsające morze ruin, pełni nienawiści ludzie, "śmierć piękna i przeszłości". Najpełniej to rozgraniczenie wyrażone zostało w Tak trzymać! - dla budujących nowy port Gdynia ma wszelkie cechy Ziemi Obiecanej, pełnej spodziewanego dobrobytu, sprawiedliwości i piękna. Gdańsk jest natomiast miastem skalanym, zhańbionym, odebrany podstępem, siedliskiem brudu i nienawiści, wypłacającym się spieszącym ku niemu Polakom niewdzięcznością Niemców i wojennym zagrożeniem.

Szczególny przypadek "dobrej" przestrzeni stanowi przestrzeń domu. Przypomnijmy tu chociażby zabiegi Heleny Tereszkowej wokół tworzonego przez nią polskiego domu w Gdyni - jest on pełen wschodnich kilimów, ciepły i bezpieczny. Nawet sam Wiesłode dostrzeże różnicę pomiędzy niemiecką sterylnością swego rodzinnego domu a klimatem mieszkania Heleny i - być może - to zafascynowanie nieco złagodzi okupacyjną rzeczywistość. Bohaterowie trylogii nieustannie poszukują domu, dążą do odnalezienia miejsca, w którym można się bezpiecznie osiedlić, wznieść dom, założyć rodzinę, walczyć z siłami zagrażającymi bezpieczeństwu domu. Krzysztof Grabień znajduje swój pierwszy gdyński dom w rybackiej łodzi, dzięki miłości Łucki zostaje przyjęty do domu Konków, nieufnie - jak i reszta dawnych mieszkańców Gdyni - patrzących na obcych przybyszów. W imię ratowania domu rodziny Łucka wyprze się swojego pochodzenia. Można tu mówić o swoiście "polskim syndromie" (pisała o tym i Maria Kuncewiczowa w Fantomach i Naturze), szczególnej wrażliwości ludzi wielokrotnie pozbawianych dachu nad głową nie tylko w sensie dosłownym. Pojęcie domu łączone jest w książkach Fleszarowej z obrazami zdobywania nowych przestrzeni, jej zasiedlania i oswajania, z "udomowianiem" nieprzyjaznych terenów, nawet tak opornych jak pomorskie piaski czy... samo morze. To "doświadczenie domu" wiąże Fleszarową z elementami patriotyzmu, poświęcenia, wiary w człowieka, w sprawiedliwość. Ważną cechą przestrzeni w powieściach Fleszarowej jest ich "przygraniczność". Rozbicie na przestrzeń dobrą i złą, własną (dom) i cudzą, świętą i skalaną nabiera szczególnego znaczenia dopiero przez fakt, iż obie te przestrzenie położone są obok siebie, graniczą z sobą. Przekraczanie tej granicy niesie zawsze element dramatyzmu - w pierwszym tomie Tak trzymać! przejazd Polaków przez graniczne tereny Gdańska ma charakter skrótu-symbole, jednocześnie silnie naznaczonego emocjami. Zagrożenie, gehenna, droga krzyżowa zmierzających do Gdyni przyszłych jej budowniczych i jednocześnie -wręcz irracjonalne manifestowanie włas-

nej godności ludzkiej i narodowej. Wybuch wojny związany jest z naruszeniem granic, osiągnięcie pokoju - z przywróceniem granic sprawiedliwych. Bardzo często bohaterowie dorastają w takich sytuacjach, zmieniają się. Tak dzieje się z Krzysztofem Grabieniem, równie dramatycznie przekracza granicę w zakończeniach powieści Pozwólcie nam krzyczeć! i Przerwa na życie Magdalena Łuminiecka.

Fleszarowa nawiązuje w ten sposób do poetyki powieści "pogranicza" czy - do bliższej nam - poetyki powieści "kresów", dobrze reprezentowanej przez utwory Sienkiewicza czy Kossak-Szczuckiej. Obraz pogranicza-kresów ma dwojakie znaczenie - jest pewnym dynamicznym symbolem myślenia skierowanego w przyszłość, nastawionego na budowanie nowego świata i jednocześnie romantycznym uogólnieniem ludzkiego losu. "Graniczność" jest w tych powieściach po prostu problemem oczekującym rozwiązania - zetknięcie z nową sytuacją (budowa portu, koniecznością wyboru), z nowym żywiołem (morze), z nowymi ludźmi (współtowarzysze pracy, mieszkańcy Kaszub, Niemcy). W książkach Fleszarowej, szczególnie w trylogii morskiej, w-powieściach o wielkich budowach (Czterech mężczyzn na brzegu lasu - 1963) możemy odnaleźć wiele podobieństw z powieściami "pogranicza". Ich bohaterowie przenoszą się ze świata "starego" do świata "nowego", ze środowiska już znanego do nieznanego, czekającego dopiero na odkrycie. Pokolenie Krzysztofa Grabienia wędruje więc nad nieznane morze z miejsc rodzinnych, może i bezpiecznych, ale jednocześnie ubogich, takich, które nie potrafią zaspokoić głodu bohaterów - dosłownie i w przenośni. Nowy kraj ma charakter tajemniczego, dziewiczego ładu. Jego największa

zaletą jest to, iż pozwala przybyłym na budowanie nowego świata od podstaw, bez błędów obciążających "stary" świat, z nadzieją stworzenia sprawiedliwego ładu. We wszystkich poczynaniach bohaterów znajdziemy motyw sprawdzania samego siebie. W nowych warunkach odważają się oni na czyny wielkie, stają się - niekiedy nawet nieświadomie - "mocnymi" ludźmi, muszą wytrwać i nie dać się pokonać przeciwnościom. Życie w nowym świecie jest ciężkie z wielu powodów - między innymi dlatego, iż wymaga częstej konfrontacji z nieznanym, z przedstawicielami obcych kultur. Pojawia się problem sąsiada i problem wroga. Tutaj wyraźnie zaczyna się rysować ważny nurt powieściopisarstwa Stanisławy Fleszarowej-Muskat - problematyka stosunków polsko-niemieckich. W książkach Fleszarowej widać nieustanne ścieranie się potocznych wyobrażeń o Niemcach z próbami przełamania stereotypowych sądów. Autorka przyjmuje, iż najsłuszniejszym sposobem podważenia rozpowszechnionego schematu będzie zestawienie go z możliwie bezstronną, bogatą i opartą na niepodważalnych dokumentach relacją. Odwołuje się więc do doświadczeń własnych, wywodzących się z okresu studenckiego (Uniwersytet Poznański), do dramatycznych przeżyć okresu wojny, do bogatych i różnorodnych kontaktów powojennych. Korzysta także z relacji i doświadczeń innych - ze wspomnień poszczególnych osób, z dokumentów historycznych. Zawsze jednak w tych próbach wyraźnie zarysowuje się obecność owego "przysłowiowego Niemca". Niemiec ukazany jako symbol zła, demoniczny i podstępny, uciekający się do różnych sposobów, aby zniszczyć to, co jest cenne dla Polaków i ludzi o podobnym do polskiego systemie wartości. Nawet w obrazach "dobrych" Niemców (Steinlieb z Pozwólcie nam

krzyczeć! czy Wieseirode z Tak trzymać!} pojawia się charakterystyczna nieufność. Typowe życie Niemca wydaje się bowiem zmierzać ku wojnie, ich powołaniem jest siać niepokój, niszczyć, zabijać. "Szaleństwo niemieckie" jest sprawą aktualną, Niemcy bardzo szybko zapominają o doświadczeniach obu wojen, powracają stare hasła (Wizyta - 1971, Wczesną jesienią w Żółtych Piaskach - 1970), które znajdują zwolenników wśród młodego pokolenia, a przez starszych traktowane są z dużym pobłażaniem. A przecież - wydaje się mówić Pisarka - stąd już tylko krok do nowej wojny. Bierność innych, chęć zachowania własnej stabilizacji, pogoń za zyskiem sprawiają, że zło może się odradzać. "Wojna to nieprzemijający polski temat" - mówi Fleszarowa w jednym z wywiadów. "Nie jest on wynikiem narodowej obsesji, jak to usiłują wmówić światu Niemcy Zachodnie". Historia i wrażliwość uprawniają Polaków do tego, by stali się "sumieniem świata", "Ten smutny prymat wśród narodów" - przypomina Pisarka - "daje nam moralne prawo, żeby wciąż powtarzać, żeby wciąż mówić światu: patrzcie, jak to szybko idzie, wsłuchajcie się w trzask płomieni, które jeszcze zlokalizowane, jeszcze nie przekraczające bariery słów, grózb i planów, albo już rozlanych ognisk - jutro mogą rozlać się morzem ognia, który zagarnie i unicestwi wszystko, nie tylko życie człowieka współczesnego, ale i wszystko to, z czego dumna była ludzkość". W tej sytuacji książka może tylko dokumentować, opisywać stan aktualny, próby przełamania obiegu sądów są bardzo trudne, a ich skuteczność wiąże się głównie ze zmianami zachodzącymi w otaczającej pisarza i czytelników rzeczywistości.

Tak tworzone powieści są już niejako ze swej natury patetyczne, ukazują ścieranie się wielkich namiętności, idei. Z jednej strony wymagają bohaterów-herosów, z drugiej zaś - uwznioślają czynności najprostsze, codzienne. Bohaterowie Fleszarowej muszą być postaciami kreślonymi w sposób wyrazisty, zdecydowany. Pisarka nie lubi postaci nijakich, snujących się po kartach powieści, postaci "bez właściwości", pozbawionych przez życie i autora ostro zarysowanej sylwetki. Możemy powiedzieć - przenosząc na teren literatury określenie z planu filmowego - iż nawet w epizodycznych rolach "obsadza" Autorka aktorów o czytelnym, charakterystycznych twarzach. Robotnicy portowi, obrońcy Gdyni, napotykanie na ulicach okupowanego miasta postacie przechodniów, zatrzymanych jeńców, niemieccy żołnierze - tło, które pozostaje w pamięci czytelników.

Różnorodne są źródła, do których sięga Autorka w poszukiwaniu materiału, z którego później wykreuje bohaterów swych książek. Zdarza się, iż korzysta z doświadczeń osobistych - nieraz przetworzonych jakby nieznacznie (Pozwólcie nam krzyczeć!) lub też poddanych bardzo dokładnemu "zaszyfrowaniu" (Powrót do miejsc nieobecnych - 1968). Czasem własne życie pozwala nadać bohaterom jeden tylko rys (Krzysztof Grabień np. przyjeżdża do Gdyni z rodzinnych stron Pisarki.) W losach powieściowych postaci możemy także odnaleźć przeżycia i doświadczenia innych autentycznych ludzi, niekiedy bohater jest jakby sumą wielu osób, z którymi Fleszarowa spotkała się bezpośrednio lub też pośrednio (poprzez relacje, wspomnienia, pamiętniki). Zdarza się i tak, że w powieściowej historii rozpoznają swoje życie także ci, którzy nigdy z Autorką się nie zetknęli. Oczywiście, najłatwiej wskazać można tych bohaterów, którzy zostali przeniesieni na karty książki z realnego życia wraz z prawdziwym nazwiskiem, wyglądem,

charakterem i biograficznymi szczegółami. W Tak trzymać! przypomniane są osoby z okresu powstawania Gdyni (inżynier Tadeusz Wenda, projektant i budowniczy portu), wrześniowych walk (Leon Kąkol, pułkownik Stanisław Dąbek, Halina Samecka), ale często też okazuje się, iż pozornie anonimowa twarz należy do autentycznego człowieka, odnalezionego przez Fleszarowa we wspomnieniach dawnych gdynian. Autorka nigdy nie stara się nadawać postaciom historycznym charakteru wiodącego i nie dąży do tworzenia typowej powieści biograficznej - dzięki temu udaje się jej uniknąć pułapek nieprawdopodobnego uprawdopodobniania znanych z podręczników wypowiedzi czy postępowań. Bohaterowie fikcyjni i prawdziwi poruszają się w powieści na tych samych prawach, obecność osób autentycznych wzbogaca literackie tworzywo, użycza mu -jak pisze Autorka - "prawdy i siły wyrazu". Niekiedy o losach powieściowych postaci decydować chcą czytelnicy - w listach, na spotkaniach autorskich zwracają uwagę na konieczność zajęcia się takimi czy innymi sprawami, zachęcają do umieszczenia akcji powieści w jakimś konkretnym środowisku, dostarczają Autorce wielu informacji, dokonują "korekty" jej książki, nie chcą, aby ich ulubieńcy ginęli lub przegrywali. Dzięki czytelniczej "interwencji" dwukrotnie wracała do życia Magdalena Łuminiecka (Pozwólcie nam krzyczeć! kończy się sceną ryzykownego powrotu do kraju. Przerwa na życie - podobnie, przy czym Magdalena zostaje postrzelona przez straż graniczną), pomocy doznawali również bohaterowie "radiowych" opowieści (Milione-rzy, Kochankowie róży wiatrów). Możemy się domyślać, jak burzliwa była czytelnicza dyskusja podczas publikacji kolejnych tomów Tak trzymać! i ilu postaciom (Helena Tereszkowa, Julitka Grabieniówna, Natasza Skobcewa, Arno Wieseirode) proponowano uratować życie.

Jakkolwiek podbudowana solidną dokumentacją - historyczną bądź "życiową" - proza Fleszarowej bliższa jest fikcji literackiej niż reportażowi. Pisarka tak określa sens i cel swej metody twórczej - "Zbieranie materiału działa zapładniając na wyobraźnię, aczkolwiek bronię się przed zbyt dokładnym poznaniem, gdyż wtedy mógłby powstać reportaż a nie powieść. Poznanie realiów jest konieczne, ono często utwierdza pisarza w słuszności jego zamierzeń i podbudowuje fikcję... Unikam jednak przy zbieraniu materiału dosłowności, którą daje bezpośrednia obserwacja. Sta-ram się, aby środowisko, w które wchodzę i o którym chcę pisać, potwierdziło mi mój twórczy zamysł, nie pytając o to wręcz, muszę wynioskować, czy jest to dla tego środowiska problem, czy konflikt prawdziwy. Zdarza mi się, że rezygnuję z zamiaru, nie uzyskawszy takiego potwierdzenia". Realia, obyczajowość -mó-wi Fleszarowa - są tylko "kostiumem" powieści, tematu, konflik-tu - "wszystkie bowiem nasze poznania, rozległość patrzenia na świat, gromadzenie zasobów z doświadczeń i obserwacji - prowa-dzi zawsze do tego samego: do pogłębienia wiedzy o człowieku, tej nigdy do końca nie zbadanej tajemnicy, jaką jesteśmy sami dla siebie. Sami dla siebie nadzieją i radością, sami dla siebie - naj-większym zagrożeniem".

Fleszarowa broni się przed zaszufładkowaniem jej jako autorki "poczytnych romansów" - a taką etykietkę przypinają jej recen-zenci, nie mogący w żaden sposób wyjaśnić przyczyn popularności jej książek. Sama uważa siebie za pisarza-wychowawcę - dowcip-nie, ale i z pewną uszczypliwością tak komentuje kolejną wypo-więdź krytyka - "Marzy mi się napisanie powieści jawnie

i bezwstydnie wychowawczej, z postaciami-wzorcami, z wyraźnie nakreślonym kierunkiem działania. I niechbym tylko musiała dbać o to, żeby to była dobrze napisana książka, żeby czytelnicy jej nie odrzucili. Niestety, wciąż panuje opinia, że dydaktyzm (ze szczególną pogardą nazywany poczciwością) zarówno w literaturze, jak i w filmie, to hańba dla autora. Ciekawa jestem, jakimi środkami zamierzamy wychowywać nasze społeczeństwo (a może tego nie potrzebuje?), jeśli stać nas na rezygnację z tych, które miały u nas długą i dobrą tradycję". Powołując się na głosy czytelników Pisarka pokazuje, jak istotny jest "problem literatury nie tylko tworzonej przez współczesnego człowieka, ale towarzyszącej współczesnemu człowiekowi w jego konfliktach z otaczającym światem. Problem literatury nadziei a nie zwątpienia, literatury pomagającej człowiekowi żyć, uczącej go życia nie tylko dla samego siebie, ale i dla swego kraju, swego narodu. Problem literatury patriotycznej -jako głównego elementu w wychowaniu społeczeństwa, w konsolidowaniu jego sił".

Fleszarowa sięga po tematykę marynistyczną nie tylko dlatego, iż chce być wierna swojemu młodzieńczemu zauroczeniu morzem czy Gdynią. Dostrzega w poczytności tej literatury przejaw poszukiwania przez czytelników pozytywnych wzorów osobowych. Nie chce konkurować z pisarzami na co dzień związanymi z morzem poprzez zawód marynarza czy pasję podróżnika. Jej marynistyka nie jest "porejsowa", nie olśniewa opisami egzotycznych portów, nie epatuje obrazami żeglowania, męskiej morskiej przygody. Autorka podchodzi do tematyki morskiej z pokorą i ostrożnie, stara się problematykę morską ukazać poprzez pryzmat ładu. Nieważne, czy będą to sprawy drobne, losy pojedynczych marynarzy, statków czy przeciwnie - losy całych morskich konwojów, walczących na morzu potęg militarnych. Ważne jest ukazanie związku pomiędzy przemierzającym morskie szlaki marynarzem a pozostawioną w domu żoną, matką, rodziną, ważne jest ukazanie, jak morze żywi i bogaci mądrze korzystające z niego narody, jak pomaga im w zachowaniu godności i wolności w najtrudniejszych momentach. Dla Fleszarowej bardzo często określenie "morski" jest uzupełniane określeniem "polski" czy "niepodległy". Autorka przypomina, iż w czasie drugiej wojny światowej "pokład polskich okrętów z powiewającą nad nimi polską banderą były wciąż wolnym, walczącym terytorium naszego państwa". Fleszarowa potrafi te wielkie słowa, wielkie idee pokazać w wymiarach ludzkich, potrafi przełożyć je na język codziennych zachowań, zwyczajnych myśli. W centrum wszystkich opowieści znajdują się bowiem zwyczajni ludzie - dokładnie: dwoje ludzi, ona i on. Człowiek nie może, nie powinien żyć sam - wydaje się mówić Autorka - w świecie ludzi nie może być tak, że ktoś pozostaje bez pomocnej obecności drugiego człowieka. Ten sąd bliski jest przeświadczeniu - jakże staremu - iż świat składa się z dwóch uzupełniających się pierwiastków - męskiego i żeńskiego. Temat ten bardzo często podejmuje sztuka - tu Szekspir podaje jakby rękę anonimowemu opowiadaczowi ludowej baśni, a najbardziej wyrafinowana powieść znajduje porozumienie z popularną piosenką. Odwołanie się do takiego poglądu pozwala Fleszarowej zaprosić czytelników do wspólnego zastanowienia się nad sensem życia nie tylko powieściowych bohaterów. Ukazanie świata, w którym ludzie są sobie przeznaczeni i dążą ku sobie, nie zważając na przeciwności losu, pozwala zaprezentować własne rozwiązanie problemu samotności człowieka, najczęstszego bodaj tematu

współczesnego literatury. Ludzie są sobie przeznaczeni, ich dramat polega albo na niemożności odnalezienia drugiego człowieka (niekochana Bronka z Przerwy na życie), albo wynika z niemożności dokonania jednoznacznego wyboru (Krzysztof Grabień, żyjący w ustawicznym rozdarcu pomiędzy miłością do Heleny i miłością do Łucki). Samotność wynika także z nieumiejętności znalezienia sobie celu w życiu - niekiedy tego "drugiego" człowieka może zastąpić sztuka, idea, praca dla innych. Jeżeli wybór bohatera jest słuszny, a postępowanie szlachetne, to obecność i miłość drugiego człowieka pojawia się jako obiecana nagroda. Przekonanie, iż człowiek jest zawsze przeznaczony drugiemu człowiekowi, że nigdy z własnej winy nie jest sam, służy ukazaniu świata sprawiedliwego, pełnego nadziei i sensu. Takie jest założenie Pisarki, wielokrotnie potwierdzane również wypowiedziami w prasie - "Czy wolno nam - ulegając modom - mówić o bezsensie życia, o odwiecznym tragizmie ludzkiego losu?". Mówienie o łączącym ludzi przeznaczeniu pozwala przedstawić problem wierności wobec drugiego człowieka, a także szerzej - wobec społeczności, wobec nadrzędnej idei. Ludzie, którym odebrano ich największą miłość, umierają. Opis rodzącego się uczucia pomiędzy Julitką a Jerzykiem Powsiałowiczem nawiązuje do pięknego i głęboko zakorzonego w ludzkiej świadomości przekonania, iż istnieje podobieństwo między losami ludzi i losami ptaków. Para ptaków razem buduje i razem chroni swoje gniazdo, kiedy zaś jedno z nich ginie - to umiera również i drugie. Tak jest i tu - kiedy rówieśnice dziewczyny odnajdują przeznaczonych sobie chłopców, osaczona "niedobrą niemiecką miłością" młodego Benbencka Julitką ginie, a jej śmierć zostaje zestawiona z obrazem zabijanego ptaka. Odnalezienie drugiego człowieka jest symbolem spełnienia się ludzkiego losu i jednocześnie - opowiadanej historii. Przypadkowa droga pojedynczych ludzi od momentu ich spotkania z sobą staje się drogą, z której można odczytać ukryty sens każdego ludzkiego istnienia. Spełnienie losu przez spotkanie drugiego człowieka ma sens ponadjednostkowy - społeczny. To jedna z tych ważnych różnic pomiędzy powieściami Fleszarowej a powieściami popularnymi, na przykład z okresu międzywojennego. Człowiek nie może stać się człowiekiem bez drugiego człowieka - tak można odczytać sens tego przesłania. Człowiek odkrywa swoje zdolności i swoje społeczne posłannictwo dopiero w kontakcie z drugim człowiekiem. Cała "edukacja społeczna" Magdaleny Łuminieckiej czy Krzysztofa Grabienia polega na uczeniu się od napotykanych ludzi istotnych zasad życia.

Jaki jest efekt tak konstruowanego losu postaci? Wydaje się, że świat bohaterów - mimo pozorów - jest jednak światem opartym na pewnej równowadze. Dobru odpowiada na przeciwnym biegunie umieszczone zło, postaciom szlachetnym - bohaterowie, których pozytywne cechy nie potrafią się ujawnić. Ludzie sobie przeznaczeni spotykają się, a każdemu przekroczeniu obowiązujących praw towarzyszy kara, każde krzywdzie - zadośćuczynienie. Nie należy jednak myśleć, iż odbywa się to wszystko w prosty, mechaniczny sposób. W książkach Fleszarowej wiele spraw nie zostaje rozstrzygniętych, wiele kar wymierzonych nie będzie, wiele wyroków nie zostanie wykonanych. Nad bardzo dramatycznymi losami bohaterów czuwa jednak akceptowana i poszukiwana przez czytelników sprawiedliwość. To, że nie zawsze może ona zatryumfować, nie dowodzi jej nieobecności, a tylko podkreśla dramatyzm życia bohaterów i nakłania czytelników do współdziałania z nimi

w imię tej właśnie sprawiedliwości. Autorka nie określa jednoznacznie, co jest jej podstawą. Czytelnik może się domyślić, że bezpieczeństwo tego świata zależy od poruszających się w nim postaci, od ich wzajemnych stosunków, od przyjętych przez nie zasad moralnych, będących właśnie 'wyznacznikami czy gwarantami tej sprawiedliwości.

Dążenia do życia bezpiecznego i spokojnego są bliskie i fikcyjnym postaciom literackim, i Autorce, i czytelnikom. Nie każdy jednak dostrzega, iż proponowany przez Pisarkę wzór życia bezpiecznego i spokojnego nie jest tożsamy z życiem gnuśnym i nieciekawym. Ta trudna uroda opisywanego przez Fleszarową życia sprawia, iż - jak sama mówi - kieruje swoje książki "do wrażliwych. Do tych, którzy potrafią odczytać w książce to, co - poza fabułą - podsuwam im do przemyśleń i do przeżycia. Do nie obojętnych na los swego kraju i świata, nad którymi gromadzą się wciąż różnego rodzaju zagrożenia. Moje porozumienie z czytelnikami opiera się na trwałych podstawach uznawania tych samych zjawisk, tych samych wartości za potrzebne i społeczeństwu nieodzowne. Pragnę, żeby moje książki były przeżywane, żeby czytelnik nie pozostawał na nie obojętny, żeby, sądząc niekiedy, że piszę o prawdziwych ludziach - rozumiał, że ci "prawdziwi" ludzie są równocześnie marzeniem o człowieku takim, jakim być powinien".

Tak trzymać! odczytywane przez pryzmat "marzeń o człowieku" przestaje być jeszcze jedną literacką opowieścią o budowaniu Gdyni. - Gdynia jest jedna, to prawda - mówi Fleszarową.

- Wokół nas jest jednak nadal wiele miejsc, które dają nam możliwość realizowania tych marzeń. Trzeba je tylko -jak pisał Żeromski - otoczyć "pospólną miłością", jak kiedyś - Gdynię.
Michał Błażejowski